

Antologia Opowiadań Science Fiction

Czarna Msza

Pod redakcją Wojtka Sedeńko

Antologia Opowiadań Science Fiction

Czarna Msza

Pod redakcją Wojtka Sedeńko

# Tom I

*Wojtek Sedeńko*

# Wstęp

We wstępie do „Wizji alternatywnych” wspomniałem, że w razie powodzenia antologii — idea wydawania zbioru utworów oryginalnych będzie kontynuowana. Jeszcze przed pokazaniem się na rynku „Wizji” zaczęliśmy w gronie autorów oraz przyjaciół i kibiców spekulować nad kształtem drugiego tomu. W grudniu 1990 roku, na konwencji w Gdańsku, w trakcie burzliwej dyskusji grupa pisarzy zdecydowała, że ma to być zbiór monotematyczny, a Bóg, religia i Kościół mają być leitmotiwem. Temat ten stawał się wówczas coraz częściej drażony, żeby nie powiedzieć lansowany przez polskich fantastów. Był mi również na rękę, gdyż stanowił spoiwo łączące tom drugi z „Wizjami alternatywnymi”, które sygnalizowały rosnące zainteresowanie autorów tematyką religijną (Ziemkiewicz, Dębski, Inglot, Jabłoński).

Mistycyzm, religia, metafizyka towarzyszyły fantastyce od początku, wbrew temu, co próbowali nam wmówić różni teoretycy SF, jak James Gunn, który w „Drodze do SF” pisał: *Nie można pisać science fiction przyjmując postawę religijną. SF kwestionuje wszystko, niczego nie przyjmując na wiarę... Religią SF jest sceptycyzm w sprawach wiary* \*).

To właśnie dyskusja nad wyborem: religia czy nauka stała się kołem napędowym wielu tekstów SF, które dzisiaj uważamy za kanon tej literatury. Tak się złożyło, że w 1991 roku mieliśmy okazję poznać niektóre najsłynniejsze utwory SF poruszające tematykę religijną — „Kantyczkę dla Leibowitza” Millera i „Pana Światła” Żelaznego. Znamy dwa tomy trylogii Perelandra Lewisa, a wkrótce ukażą się polskie edycje „Behold the Man” Moorocka i „Childhoods End” Clarke’a.

Zainteresowanych głębiej tematyką religijną w science fiction odsyłam do szkicu Toma Woodmana „Science fiction, religia i transcendencja”<sup>\*</sup> oraz artykułów Lecha Jęczmyka „Bóg w science fiction” i Macieja Parowskiego „Boże igrzyska”<sup>\*</sup>.

W kraju zainteresowanie fantastów tematyką religijną i eschatologiczną zauważyły szybko oba czasopisma SF i nie ma obecnie numeru „Nowej Fantastyki” czy „Fenix”, aby nie rozprawiano tam o Bogu, Kościele i religii. Nie trwało długo, jak odezwali się czytelnicy zarzucając jednym klerykalizm i fideizm, a drugim, anty klerykalizm. Zastanawiam się, komu potrzebne są owe kłótnie. Od lat karmiono nas historyjkami, jacy to Polacy są tolerancyjni i wyrozumiali na zwyczaje innych (za przykład podawano zwykle przyjęcie do Polski arian i pozostałych innowierców, zapominając o kontrreformacji, która trwała u nas dłużej niż w jakimkolwiek innym państwie), ale wystarczy rozejrzeć się wokoło, aby stwierdzenie to włożyć między bajki. Pieniactwo, obojętność na krzywdę, totalny tumiwizm, nienawiść wobec wszystkiego, co trąci innością, niezależnie czy chodzi o kolor skóry czy poglądy lub wyznanie, zawiść o urodę, pieniądze czy stanowisko. Krótkie zrywy i klepanie się po plecach nie zmieniają faktu, że uczestnicząc w dyskusji, na nasze argumenty słyszemy najczęściej „Won!” i widzimy plecy szanownego rozmówcy, dumnego, że do niego należało ostatnie słowo. To tyle o naszej słynnej wyrozumiałości, czasem zdaje mi się, że jedynymi tolerancyjnymi ludźmi w Polsce są fryzjerzy. Spory toczone już nie tylko na ulicy czy w pracy, ale w łóżku i przy barze (nota

bene, w rasistowskiej i potępianej przez świat RPA istnieje w pubach wysoce według mnie cywilizowany zwyczaj zakazujący rozmów o polityce i religii przy kuflu piwa), i dodatkowe kłótnie teologiczne przy fantastycznym stole wydają się zupełnie niepotrzebne. W tym miejscu przypomina mi się pyszna kwestia, jaką wypowiada w filmie Alana Parkera „Heart Angel” główny bohater: *Mówią, że religii na świecie jest wystarczająco dużo, by ludzie się nienawidzili, a za mało, by się kochali.*

W wyniku tych i innych sporów pojawiają się opinie o rozłamie wśród polskich pisarzy SF. Uważam je za bezpodstawne. Dla dobrego autora nie powinien istnieć żaden temat tabu, terra incognita, której nie penetruje, gdyż zabraniają mu przekonania lub opinia otoczenia. Oramus napisał, nie pamiętam już z jakiej okazji:

*...cała fantastyka to jedna herezja wobec tzw. normalnego świata* — i słusznie, a oburzanie się na nieortodoksyjne widzenie świata przez autorów SF, prawienie, że coś jest słuszne lub nie, jest retoryką, którą większość pisarzy fantastów (zjednoczonych) wyśmiewała zaledwie przed paru laty.

Większość poniższych opowiadań fantastycznych wzięła się ze spontanicznej reakcji na to, co dzieje się w kraju. Wybrałem moim zdaniem najlepsze, przy doborze unikałem jak ognia kryterium: pro czy anty. Tekst miał być przede wszystkim dobry, a to czy miał wymowę prokatolicką, czy był pochwałą krwawej dżihad było mi obojętne. Jesteśmy społeczeństwem, w którego świadomość katolicyzm zapuścił korzenie bardzo głęboko i jeśli któryś z autorów atakuje Kościół, to czyni to nie z mody czy koniunktury, lecz z potrzeby zareagowania na zmieniającą się rzeczywistość. Prymas Glemp w wywiadzie telewizyjnym podzielił przeciwników duchowieństwa na trzy kategorie: komunistów, pragnących podporządkować sobie Kościół, liberałów i katolików, którzy uważają, że chcąc zbudować nowoczesne państwo, nie powinniśmy pozwolić na dominację Kościoła. Ta obawa przed klerykalizacją państwa jest dość powszechna (z pewnością wpłynęły na to ostatnie spektakularne sukcesy Kościoła, jak powrót do szkół religii, odzyskanie olbrzymiego majątku w nieruchomościach, stanie się czynnikiem opiniotwórczym w wielu dziedzinach życia) i tu też trzeba szukać przyczyny zainteresowania pisarzy tą tematyką. Nie bez znaczenia jest również fakt, że polska fantastyka zawsze szybko reagowała na wszelkie zmiany w życiu codziennym, a że SF lubi zajmować się skrajnościami, stąd nie dziwię się, że kilka spraw mogło autorów poruszyć. Na przykład widziałem w telewizyjnym programie katolickim dla młodzieży szkolnej, jak katechetka tłumaczy słuchaczom, skąd biorą się dzieci: *Czy widzicie ten dołek między nosem a ustami? To jest miejsce, gdzie dotknął was palcem anioł i tak sprowadził na ziemię.* Później powstają opowiadania o teokracji i nadejściu wieku ciemnoty. To był przykład skrajny.

Nie trzeba być psychologiem, aby zauważyć, że ludziom którym świetnie działający propagandowo–edukacyjny walec systemu totalitarnego wyprał mózgi, po wyjściu ze słoja i pierwszym łyku świeżego powietrza grozi zachłyśnięcie. Wpadają w konsumpcję bez granic, w wir tego, co wcześniej zakazane lub szukają środka zastępczego — ot, brak im kogoś, kto za nich pomyśli i poda na tacy gotowy światopogląd i system wartości w miejsce poprzedniego, szybko i jednogłośnie przekłętę. W taką niszę wszedł Kościół ze swoją sprawną organizacją, potężną mocą oddziaływania i opromieniony chwałą wiecznej ostoji prawdziwej wolności i demokracji. Stąd wziął się chyba jego sukces, zagubieni i niepewni jutra obywatele, nie nawykli do samodzielnego myślenia znaleźli oparcie, jakiego szukali. Potem wykorzystują nabyte przez czterdzieści lat doświadczenia i sądząc, że krajem rządzi Kościół, piszą dziwnie znajomo brzmiące hasła:

*Ojcze Święty, drogowcy Warmii i Mazur pozdrawiają cię!*

Sam widziałem. Takie rzeczy kłują w oczy uważnych obserwatorów. Czterdzieści lat minęło, jak

z knuta strzelił, i ludzie boją się wpaść z jednej skrajności w drugą, co ponoć leży w naszym narodowym charakterze. Czas pooddychać pełną piersią. Nie dziwię się więc fali antyklerykalizmu, uważam ją jednak za chwilowy odruch bezwarunkowy, choć tematyka religijna w fantastyce z pewnością nie zniknie tak szybko. Nie szukałbym w owym zainteresowaniu żadnej sensacji — to tematyka bardzo nęcąca i z taką mnogością możliwych interpretacji, że starczy jej na pokolenia. Potężna organizacyjnie instytucja kościelna kusi, aby zaatakować ten monolit, rozpoczynając atak najlepiej od podstaw, czyli dogmatów wiary. To już specyfika fantastyki i za to ją kocham.

Pytano mnie, dlaczego antologia nosi tytuł „Czarna msza”, który czuć zapachem czarnych świec i niektórym autorom kojarzy się z zaproszeniem na bal satanistów. Tytuł zaproponował na wspomnianym już spotkaniu w Gdańsku Andrzej Sapkowski, tam też uzgodniliśmy, że w zbiorze nie będzie miejsca na żadne satanika, które przy poruszanej w antologii tematyce religijnej jakby same się narzucały.

Przyznam, że mimo propozycji ASa, zwlekałem z podjęciem ostatecznej decyzji, aż któregoś dnia przeczytałem krótki esej Jacka Inglota pt. „Wariat z pochodnią”, w którym rozwodził się, najogólniej mówiąc, nad upadkiem fundamentu kultury, jakim jest *sacrum* i zniknięciem z życia ludzkiego wszelkiej duchowości. Uznałem wówczas, że „czarna msza” będzie bardzo dobrym, komercyjnym tytułem dla tej antologii i o tyle przewrotnym, że zgadzam się w całej rozciągłości z Inglotem, który termin „czarna msza” potraktował jako ponurą metaforę upadku kultury na rzecz wszechogarniającej i ogłupiającej, komercyjnej właśnie, pop kultury. Zapatrzenie na produkty zza oceanu i kanału widać i na interesującym nas poletku SF, gdzie popularni skądinąd autorzy przybierają brzmiące z angielska pseudonimy w obawie, że nikt nie weźmie już ich książki do ręki.

Zestaw autorów „Czarnej mszy” w znacznej mierze różni się od tego z „Wizji alternatywnych”, powtarzają się Dębski, Inglot, Grzędowicz, Ziemkiewicz (powoli przechodzi na pisanie tylko do antologii — czego absolutnie nie mam mu za złe) i Jabłoński. Ten ostatni, rocznik 1955, jest najstarszym wiekiem autorem w zbiorze, co dobitnie świadczy o dokonanej zmianie warty. Po długim milczeniu odezwali się Drukarczyk oraz Drzewiński i pomimo przerwy utrzymali poziom i styl. Debiutuje, nie licząc tekstów zamieszczonych w almanachu „Voyager”, Oszubski; jeżeli Almapress stanie na głowie, to antologię może wyprzedzić zapowiadana od lat jego powieść dark fantasy „Twierdza nienawiści”. Mocnym punktem są także najmłodszy wiekiem i dorobkiem autorzy — Dukaj i Sobota, lansowani przez Parowskiego jako czołowi przedstawiciele najmłodszej, piątej generacji.

Zbiór miało pierwotnie zakończyć opowiadanie Grzędowicza „Dom na Krawędzi Światła” z motywem Chrystusa zstępującego do Piekła i niosącego nadzieję skazanym na wieczne potępienie. Tuż przed oddaniem wydawcy antologii nadeszło opowiadanie Piekary, będące suplementem do tekstu Grzędowicza (nawiasem mówiąc są współautorami pomysłu) i odbierające, już jakby „zza grobu” nadzieję grzesznikom. W ten sposób to dwuczłonowe opowiadanie zgrabnie zamknęło antologię.

Oprócz trzech, wszystkie opowiadania powstały specjalnie do „Czarnej mszy”. Niełatwo jest napisać tekst na zamówienie, biorąc jeszcze pod uwagę goniące terminy. Temu trudnemu zadaniu kilku uznanych autorów nie sprostało, rezygnując w przedbiegach lub po krótkiej walce. Dlatego właśnie niniejsza antologia stanowi wiarygodny sprawdzian kondycji polskiej fantastyki i może jej przynieść skautowską sprawność „system wczesnego reagowania”. Taki był cel drugiej i myślą że nie ostatniej antologii opowiadań oryginalnych.

Wojtek Sedeńko

*Olsztyn, 31 grudnia 1991 roku*

## O „Raju utraconym”

*Ktoś, kiedyś, gdzieś, z jakiegoś powodu powiesił na drzewie kawałek skóry i trzy zęby, po czym zaczął się temu kłaniać i prosić o deszcz wierząc, że ten spadnie z czystego nieba. Wiara w spełnienie nadziei, którą wyklucza rozum, urosła do rangi instytucji i jeżeli nie przeszkadza tym, którzy własne myślenie powiesili na kołku ofiarnym ołtarza, to resztę poniższy tekst powinien skłonić do refleksji i zastanowienia. Dlaczego wziąłem się za ten właśnie temat? To po prostu jeden z nieskończonej ilości wariantów szukania początku, próba postawienia jakichś pytań bez liczenia na odpowiedź inną niż godzinna lektura, podczas której Czytelnik będzie zmuszony do śledzenia jeśli nie własnych myśli, to przynajmniej autora.*

*A później, no cóż... pozostanie mu dalej wierzyć, albo zacząć pytać innych.*



*Grzegorz Drukarczyk*

# Raj utracony

To było tak...

Stworzyłem Kobiętę.

Najpierw, z mozołem skoncentrowanej aż do absurdu myśli, wykreowana została twarz. Piękna twarz. Wiele czasu i wysiłku pochłonęło wybranie z tysięcy najlepszych wzorów tego jedyne zestawienia, przy którym proporcje wszystkich elementów składają się w przedziwną harmonię kształtu.

Dałem jej włosy jak przędzy doskonały puch — z sześciu odcieni brązu — przetykany nitkami złotych słońc z sześciu układów, zanurzony w sześciu strumieniach orzechowych planet, wysuszony spiekotą sześciu podmuchów rdzawego żaru. Kazałem im zwiewnie falować przy najłżejszym ruchu, tworzyć rozmigotane załamywanym blaskiem mgliste formy puszystych skojarzeń.

Dałem jej oczy czarne jak bezkresna pustka wszechświata, głębokie niczym niezmierzone przestrzenie wieczności, mądre wiedzą niezwykłych przypadków losu od czasu poczęcia, z magią czarowną i nieodpartą, oczy w których można utonąć w poczuciu własnej nicości — pełne najprzeróżniejszych niespodzianek, upojnego zapomnienia i świętokradczej zachłanności. Rozpaliłem w toni tęczy gwiazdy srebrzyste, sypnąłem garścią jasnych ogników, rozmigotałem symfonią błysków gorących.

Dałem jej usta przepyszne, o linii czarownej jak przebieg pól płynnych, o cudownym owalu nieistniejącej formy, o obfitości jędrnej rozświetlonym ciepłem, o powabie tajemniczym opuszczonych warg, o opalizującej wilgoci uwalnianego oddechu; tchnienie rozpaliłem żarem ogromnym, którego muśnięcie woalką szalonego oddania zasnuwało bezwolną rzecz wszelką.

Dałem jej róż policzków cienisty, wyniosłe łuki brwi, alabaster dumnie wypiętrzonego czoła, linię nosa najdoskonalszą z możliwych, śliczne konchy uszu skryte pod rozmigotanym tańcem włosów, szyi wyniosłą kolumnę, co wyrasta jak pokorne dłonie gotowe do przyjęcia ofiary najcenniejszego ciężaru.

Kiedy ta praca została ukończona, nadszedł czas kształtowania dalszych form — by piękne były jako i twarz, by godnie jej towarzyszyły, by ziścił się ulotnych wyobrażeń ideał.

Ofiarowałem jej ramion cudowne przeszło, wsparte na kości stelażu podwójnym, wspaniałe w napięciu gładkiej skóry, rozmigotane leniwą grą ścięgien ukrytych, zwieszono rąk gestem błogosławionym. Dłoniom nadałem smukłości światła; o dotyku niczym muśnięcie cienia, o ruchach w płynną melodię zmienionych, promienne o pieszczot tajemne zjawisko, rozszeptane chwilą palców zbliżenia.

Ofiarowałem jej piersi wyniosłe świątynie, co kopuł modlitwą w niebo godzą zuchwałę, bujne obłym kształtu wzniesieniem, wypchnięte mocą pragnienia nienasyconego, nabrzmiałe krwi gorącym rytmem, żądzą obfitą bez miary wezbrane; rozfalowane czasie atlasowym wołaniem kuszące do zagubienia się w upojnym tknięciu świata nierealnych doznań; porowatych stożków dwa dzióbki

nieświadomym wyzwaniem burzące spokój zwykłego istnienia.

Ofiarowałem jej krągłość bioder uroczą, w spadzistą formę odlaną — spiżową, gładką, olśniewającą — pierścień zaczarowanego załamania jednolitej powierzchni; krąg tajemniczego ruchu po miękkim obwodzie, przed którego powabem nie ma ucieczki w niepamięć czy świadomą niewiedzę; delikatny taniec rozplamionej skóry na podanym do przodu płynnym owalu brzucha; klejnot diamentowego wzgórką łonowego magicznie absorbujący wyobraźnię, przysłonięty rozedrganą powłoką niepojętej tajemnicy: od której całe galaktyki ginęły w wirze zwariowanego pędu, od której miliardy nowych wybuchały w czarnej nicości, od której rozbudzone niewyobrażalne siły mknęły ku granicom pojmovanych obszarów.

Ofiarowałem jej nóg przepiękne kolumny, toczone według form dla wyobrażenia najdoskonalszych, bałwochwalczo wyzywające strzelistą prostotą, zwodnicze nieuchwytną zagadką, dla wejrzenia pod niedostępną gardą obłądnego zachwytu ukryte; ud woal natchniony potępieńczym wołaniem, rozkołysany ospałym mięśni wyprężeniem, matowy kanki materia, przyzywająca nieznacznym linii rozchyleniem; kolan pętla wiążące smukłe konturów rysy; łydek oszalamiającą płynność; drobne i filigranowe stawy kostek; stopy małe o prześlicznych łukach, zwiewne tak, by ślad po nich nie pozostawał na cienistych szlakach.

Ofiarowałem jej figurę, jakiej nie ma od krańca do krańca istnienia, sylwetkę wymodelowaną z niezwykłym pietyzmem, postać ucieleśniającą najwyższe wzloty fantazji — prężną, gibką jak skojarzenia śmigły bieg, wdzięczną niczym zaczarowany taniec gwiazdowego pyłu — kształt będący objawieniem kanonu absolutnej harmonii.

Stworzyłem ciało, ale na tym nie koniec.

Wypełniłem cudowną głowę zapisem skoncentrowanej wiedzy, mądrością przeszłych czasów, pamięcią od chwili poczęcia, zdolnością samodzielnego myślenia, łatwością kojarzenia najdziwniejszych zająć, chłodną logiką wyboru wariantów optymalnych, wnioskowaniem bezsprzecznym, analitycznym podejściem do każdego zagadnienia.

Wówczas stało się coś niedobrego. Cudownie miękkie rysy stwardniały, profil wyostrzał, wargi zeszyły się w prostą kreskę, oczu tajemniczy czar prysł, a jego miejsce zastąpiło zimne wyrachowanie i żądłace wejrzenie dociekliwych źrenic.

Wykreowałem krwi wrzącą czerwień, serca misterny kielich, nerwów niezwykle sploty. Dałem jej głos śliczny — niski i spokojny — mamiący melodii natchnionym brzmieniem, kuszący nutkami wewnętrznej radości; śmiech perlisty i pełny, otwarty i szczery, prawdziwie beztroski i wolny od wszelkich zmartwień. Tak powstała Ona i już tylko jednego podarunku brakło, by całość zakończyć.

Wziąłem część samego siebie i tchnąłem w nią Duszę. I znów piękną formę twarzy wzbogacił nastrój ulotnej zagadki, rozchylone wargi zwilżył języka różowy koniuszek, oczy przyzywały blasku niezwykłą prośbą, policzki okraślił rumieniec delikatny, nabrzmiały czary piersi wspaniałe, złożyły się jak do modlitwy rąk upojne kształty. Teraz istniała naprawdę Na szóstej planecie układu żółtego słońca, zagubionej wśród mrocznej pustki, powstała Kobieta.

Kazałem jej żyć. Przez twarz przeleciał nagły grymas, ciałem wstrząsnęły kurcze rozbudzonego ruchu. Z namaszczeniem wzniosła rękę, jakby chcąc objąć rozgwieżdżone niebo, rozchyliła wargi i cicho wyszeptała:

— Dziękuję ci, Panie...

Wolno ruszyła w kierunku, gdzie zza linii horyzontu wynurzała się ogromna kula słońca.

Żeby stóp jej delikatnych nie ranić, rozsnułem na żwiru ostrych odłamkach trawy zielony

kobierzec, ubarwiony kwiatów upojnie pachnących ornamentem, chylony wiatru lekkimi muśnięciami, roziskrzony migotem rosy klejnotów. Roześmiana biegała po tym aksamitnym, miękkim dywanie, zbierając naręcza kwiatów o kielichach błękitnych, strzepywała niewinnym ruchem ze źdźbeł wysmukłych kropelki wilgoci z uwiecznionym wewnątrz światła promiennym błyskiem, wystawiała twarz zaróżowioną na podmuchy wietrzyka, a on rozwiewał jej wspaniałe puszyste włosy, targał nimi w niewinnej zabawie roztańczonego falowania. Śliczne palce splatały kruche lodyżki bajecznie kolorowych roślinek w wianek dziewczęcy, by po czasie potrzebnym zwinnym dłoniom na nadanie mu kształtu niezwykłego, przyozdobić nim skroń wyniosłą.

By mogła się przejrzeć, otworzyłem oko lustrzanej toni — jeziorka krystalicznie czystego, o chłodnej wodzie ulgę przed słońcem przynoszącej, z wysadzonym migotliwymi kamieniami dnem. Ona aż klasnęła w dłonie i zaraz też tanecznym krokiem zbliżyła się do zakłętego zwierciadła i uklękawszy wejrzała w swoje odbicie. Ileż było radości, ile śmiechu beztroskiego, ile niedowierzania na widok kolejnych obrazów twarzy, ile zabawy przy układaniu włosów niesfornych, ile minek wdzięcznych, ile gestów dłoni składanych w formy urocze, ile ustawień ciała gibkiego tak, by piękno jego jeszcze bardziej upięknąć. Aż wreszcie Kobieta nasyciła wzrok postaci swojej doskonałą proporcją, uśmiechów nawet najbardziej niezwykłym odbiciem oczu zmienionym odcieniem. I powstawszy znad wody błękitnej po raz drugi wyszeptwała:

— Dziękuję ci, Panie.

Wówczas przywołałem do niej zwierząt najprzeróżniejszych liczne zastępy. Kazałem lwom grzywiastym, olbrzymim, groźnym, łasić się u jej stóp, ocierać z błogim pomrukiwaniem, wiernopoddańczo oczekiwać na pochwałę czy przyganę. Kazałem słoniom mocarnym ugiąć karków w pokorze, by po ich głowach mogła dosiadać tronu wzniesionego na grzbietach, by jeśli taka będzie jej wola podróżowała bez zmęczenia w najdalsze zakątki. Kazałem antylopom zwinnym bawić się z nią, znosić śmigłe wieści ze wszystkich stron; żyrafom długoszyim wypatrywać ciekawych rzeczy, tańczyć w rozważanych płasach; ptakom kolorowo upierzonym wyśpiewywać szczebiotliwe melodie, cieszyć rozmigotanym wirowaniem, koić trzepotem maleńkich skrzydeł.

Kobieta w zachwycie obserwowała cały ten korowód zwierząt, urzeczona ich różnorodnością i okazywanym przywiązaniem. Gładziła płowe lwów grzywy, a te upojone pieśczętą przeżyły z rozkoszą silne cielska, mruczały sennie ukojone łagodnym dotykiem. Ptaki siadały na jej ramionach, a Ona ze śmiechem i udawaną złością oganiała się od nich, czasami brała którąś z kruszynek w dłonie i uniósłszy na wysokość twarzy przekomarzała się z nią. Żyrafy pochylały wysmukłe szyje, by nozdrzy mechatają materia otrzec się o jej rozwiane włosy, by spojrzeniem bezbronny prosić o odrobinę czułości. Kiedy pierwsza radość minęła, euforia zabawy wesołej opadła, Ona poskarżyła się:

— Jestem głodna, Panie...

Stworzyłem więc gaje palmowe obficie obsypane owocami wszelakimi, zielone, o koronach strzępiastych, w baldachim cienisty ułożonych, o pniach brunatnych, strzelistych. Były tam bananów żółtych naręcza, dojrzałych tak, że aż miękka skórka rozpeknięta na końcach odsłaniała apetyczną zawartość; orzechów kokosowych szaro—brązowe bulwy, wypełnione wyśmienitą miękiszu tkanką i białym sokiem wspaniale gaszącym pragnienie; pomarańcz kule dorodne o wnętrzu soczystym i zapachu niezwykłym; słodkie daktyli wrzeczona, co usta napełniają rozkoszą niewysłowioną. Zmusiłem je, aby na skinienie ręki osypywały się na ziemię, spadały deszczem pożywnym, by drzewa roniły lzy swoich dzieciątek dla tej, która była teraz ich szczęściem i przetrwaniem.

Kobieta z rozbijającą ciekawością zaspokajała głód, kosztując wszystkich darów, po kolei

delektowała się każdym najdrobniejszym kawałkiem. Ruchy jej były przy tym tak wdzięczne i pełne gracji, że olbrzymią przyjemność sprawiała obserwacja swoistej gry dłoni, gracji z jaką ręce wykonywały płynnych przejść ewolucje, twarzy przeróżnych obrazy — począwszy od roześmianego skrzywienia na kwaśny smak cytryn żółtawych, aż po zdziwienie mączystą słodyczą bananów dojrzałych. Jadła, a mnogie zwierząt sylwetki zastygły w bezruchu, obserwując ją z uwielbieniem i zachwytem. Nawet ptaki ucichły, by szczebiotem nie naruszać błogiego spokoju rytuału spożywania darów Pańskich. Jadła, a kiedy minęła pora wieczernia, senne powieki poczęły opadać na oczu jagody.

— Jestem zmęczona, Panie — wyszeptała jakby niepewna, czy tak być powinno.

Wykreowałem pałacu kryształowy obelisk, co tęczą rozszczepionego blasku wyrasta nad traw falowanie i palm strzępiaste korony; opromieniony aureolą nierealnego migotania, lśniący polerowaną płaszczyzną, konturze wymodelowanym kreską połączonych łuków — niczym dłonie złożone do modlitwy. Wewnątrz rozesłałem posłanie puchowe, obszerne i wygodne tak, że nawet najdrobniejsze ziarnko piasku nie uwierało delikatnego jej ciała. Uchylone złote podwoje zapraszały do wejścia, szeroko rozwarte cztery platynowe okiennice godziły w cztery strony świata.

Kobieta niespiesznie zagłębiła się w rozigraną wśród kryształowych ścian symfonię fantastyczną. Z cichym westchnieniem podziwu, klękawszy na podłodze aksamitną materią pokrytej, unosząc głowę ku błękitnemu sklepieniu przemówiła głosem tłumionym wzruszeniem:

— Panie, dziękuję ci za ten czas tak cudownie przeżyty, za twoją dobroć i miłosierdzie, za wszystko co dotąd dla mnie zrobiłeś. Bądź błogosławiony.

Zgasiłem słońca oślepiający blask, by otulić ją atłasem ciemności cichej, przyjaźnie osłonić kurtyną czarną — rozjaśnioną tylko plamkami gwiazd. Uspokoilem wiatru lekkie podmuchy, gajuszum spokojny, ptaków czarowny śpiew — by nocnej ciszy nie naruszać, by piękne ciało mogło trwać pogrążone w błogich snu objęciach, by rankiem znów wstała tak urocza i piękna jak przed zamknięciem oczu. Mrok okrasilem orzeźwiającym chłodem, który daje wytchnienie, pozwala myślom uciec w krainę niepamięci, a ciało masuje leczniczym dotykiem. Pozwoliłem cykadom grać na swoich bajecznych instrumentach, tak by słodka muzyka kołysała ją do snu. Powieki przysłoniły blask źrenic. Spała.

...Minął dzień pierwszy. Ja muszę czuwać. Obarczony bagażem bezwzględnych Myśli nie mogę zmrużyć powiek. Nie mam ani źrenic, ani oczu. Nie mogę ciała użyć do spoczynku. Nie mam ciała. Kobieta jest moją częścią i ja jestem częścią niej. Razem władamy rzeczą wszelką. Zawsze trwałem. Gdzie? — w nieistniejących granicach pojmowania.

Dlaczego? — bo tak być musi. Dokąd? — dotąd, gdy czasu nie będzie. Kim jestem? — sobą. Co robię? — trwam. Od kiedy? — zawsze. Istniałem, istnieję i istnieć będę. Muszę czuwać nad spokojnym i równym oddechem Kobiety, niewidzącym wejrzeniem oglądać cudowną postać zamkniętą w kryształowej szkatułce, muszę myśleć nad nowym prezentem dla niej...

Rozpaliłem świtu oślepiającą łunę, która na powrót wydobyła kontury świata spoza kurtyny nocy. Zagrawszy na wierzchołku pałacu różnokolorowo rozszczepionym promieniem, legła w wydłużonych cieniach palmowych zarośli. Pobudzone ciepłą jasnością zwierzęta gromadnie poczęły ściągać do złotych wrót i oczekiwały tam na ukazanie się ich wybranki. Trawy łan chylony łagodnym, dopiero co rodzącym się wiatru powiewem płynnie falował, ptaków chóry pogodną wrzawę podniosły i furgaly napelniając powietrze migotliwym ruchem. Wszystko wyglądało chwili, w której Ona wyjdzie ze swojego lśniącego domu.

Wreszcie piękna postać wyłoniła się spoza łuku rozwartych podwoi, przez moment czarne oczy chłonęły cud nowego dnia, po czym z wolna uśmiech okrasił usta. Pierwsze kroki skierowała w stronę jeziora błękitnego, by ujrzeć swoje odbicie doskonale i dokonać rytuału obmycia ślicznej twarzy, uporządkowania włosów rozwichrzonych, odświeżenia całego ciała kroplą z czary chłodnego ruczaju, odpędzenia ostatnich mar nocnych.

Baraszkująca wśród feerii wilgotnych perełek, roztańczona beztriosko w orzeźwiającej wodzie, nie zwracała na nic uwagi, jakby cały świat nie istniał — pomijany przez świadomość rozkoszującą się toni chłodnym dotykiem.

...Szczęście. Czy tak wygląda szczęście. Nie wiem. Brak uściśleń. Analizuję nowe pojęcie. Czarne jest przeciwieństwem białego. Jeżeli jest tylko czarne, to może być również białym. Ja jestem wszystkim. Ale wszystko egzystuje tylko w zestawieniu z niczym. Jestem i niczym. Istnieję i nie. Możliwe to niemożliwe. Niemyślenie jest absolutem myśli. Byt przeobraża się w niebyt. Wiem wszystko, choć nie wiem niczego. Szukam. Powoli, systematycznie, uparcie szukam. Tworzę, by znaleźć rozwiązanie. Poznaję nowe pojęcia z zamiarem odkrycia zagadki..

Ofiarowałem jej prezent — Mężczyznę. Wysoki, mocny, twardy, mądry. Taki, jaki powinien być On — przeciwieństwo Kobiety, ale na tyle tylko, by dwie połowy pasowały do siebie krawędziami, tworząc nierozzerwalną całość.

Ciała nie miał miękkiego jak Ona, był zbrylony masywem mięśni, zwężlony krzyżującymi się wstęgami ścięgien, spiętrzony złomami kościstych dźwigarów. Silny i potężny tak, by każdą przeciwność pokonać, przygotowany barbarzyńską zuchwałością na najgorszy losu przypadek. Otrzymał umysł zdolny osiągnąć najwyższe szczyty dostępne dla skojarzenia.

Kobieta skończywszy beztrioską kąpiel, otrząsając się z ostatnich kropelek wody, wyszła na brzeg trawą bujną pokryty i przystanęła zdumiona — widząc wyniosłą sylwetkę Mężczyzny. Przez chwilę przyglądali się sobie z mieszaniną zdziwienia i ciekawości.

— Ktoś ty? — przemówiła jako pierwsza głosem, w którym drżała nuta napiętego oczekiwania.

— Jestem twoim Mężczyzną — odrzekł pewnie.

— Czy ja jestem twoją Kobieta?

— Tak.

Z całej jego postawy biło zdecydowanie i poczucie siły, zadowolenia z panowania nad myślą i ciałem. Zbliżył się energicznym krokiem i położył dłoń na jej ramieniu. Dłoń, która przykryła całą krągłość delikatnego barku, dłoń o palców sękatych gałęziach, dłoń porytą arteriami żył, dłoń ciężką, choć w tym momencie — gdy spoczywała na ramieniu — prawie nieważką, dłoń zdolną do kruszenia kamieni, choć w tej chwili łagodnie gładzącą atlasową skórę.

— Czy ty także zostałeś stworzony przez Pana? — zapytała ciekawie.

— Przez jakiego Pana? — podniósł niebieskie oczy.

— Tego, który wykreował mnie, dał łąki, gaje, wodę, zwierzęta i schronienie, zrobił noc ciemną dla wypoczynku i dzień jasny do życia. Czy to on?

— Nie wiem. Ale powiedz, wszystko wokół jest jego dziełem?

— Tak, ja czczę go i błogosławię.

— Czy to prawda? — w jego głosie czuło się niewiarę.

— Najszczęśliwsza — odrzekła z dziwną mocą.

Przygarnął ją ramieniem. Wtulona w potężne ciało, maleńka, bezbronna cichutko popłakiwała. Było coś dziwnego w tej scenie, jakaś nieuchwytna nuta czaru. On — duży, silny, zwalisty — gładził

delikatnie puszyste włosy rozwiewane przez wiatr, a Ona niemalże schowana w objęciu muskularnych ramion, wpatrywała się w niego z bałwochwalczym podziwem. Trwali w takiej pozycji przez czas dłuższy, po czym Mężczyzna przerwał milczenie.

— Jak długo czekałaś na mnie?

Nie знаła odpowiedzi, bo tylko jeszcze mocniej przytulona, jakby z odrobiną ociągania odrzekła:

— Jesteś taki, taki... — przez chwilę szukała odpowiedniego określenia — taki trwały... Nie, nie to miałam na myśli — nerwowo uprzedziła jego zdumienie — jesteś mocny, pewny siebie, zdecydowany i jesteś tworem Pana.

Świat zewnętrzny przestał dla niego istnieć — oczy niewidzące, choć szeroko otwarte, wyraz błęgiego zadowolenia na twarzy. Niezgrabnie schylony nad kruchą postacią spróbował złożyć pocałunek na czerwonych, nabrzmiiałych ustach.

— Jesteś piękna — ze ściśniętej podnieceniem krtani głos dobywał się niski i chrapliwy — jesteś cudowna i moja, tylko moja.

— Nie... — przerwała. — Jest jeszcze Pan, do którego należy wszystko. Ja i ty również. — Unosząc głowę ku błękitnemu niebu spróbowała zaintonować pieśń modlitewną.

On przerwał brutalnie — na powrót zmieniony w mocarza. Schwyciwszy ją za rękę okręcił wokoło, wyciągniętym palcem godząc kolejno we wszystkie strony.

— Gdzie jest twój Pan, gdzie?!

— Tam — pokazała w górę — i tu — pokazała siebie — i tu — pokazała jego — i wszędzie — zakreśliła dłonią szeroki łuk.

— Jak to jest możliwe? — złagodniał.

— Nie wiem.

Długo myślał, próbując dociec prawdy obiektywnej. Ale zagadnienie przerastało możliwości pojmowania.

— Wierzę, wierzę dlatego, że tak cudowna istota jak ty nie mogła powstać normalnie. Wierzę, bo stworzył także mnie. Wierzę, bo przeznaczył nas sobie i wolą jego jest, abyśmy byli razem.

Przytuliła się podając do pocałunku gorące usta — wpatrzona w Mężczyznę jak w święty obraz, całym napiętym w oczekiwaniu ciałem gotową do spełnienia każdego życzenia...

Posłanie kwiecistej łąki przyjęło ich w gościnne objęcia. Spleceni w miłosnym uścisku z jakąś niewytłumaczalną zachłannością pili z siebie rozkosz zbliżenia, chciwie sycili się najdrobniejszym dotykiem, najniewinniejszą pieśczęcią, najintymniejszym gestem. Ona już nie patrzyła w niebo, wzrok z dziękczynnym zadowoleniem poświęcony został jemu — nowemu twórcy niewyobrażalnych doznań. Oboje w dziwnej ekstazie, jakby na przekór zwykłej zdarzeń zmienności, nie rezygnowali z dobrodziejstw swoich ciał, nie mogąc nacieszyć się wzajemnym oddaniem, tym zaklętym kręgiem, w którym przestają obowiązywać prawdy zewnętrzne. Było w nich coś pięknego, nie dlatego, że ciała zostały stworzone według kanonów najdoskonalszych, nie, to coś ukryte było w nastroju obojga, w mglistej i nieskrystalizowanej więzi, w szczególności nieuchwytnym, w milczeniu, w czułym geście muskularnego ramienia, przyczajone w zagryzieniu warg...

Kobieta leżała ze spokojnym uśmiechem, głowę ufnie złożyła Mężczyźnie na piersiach. Śliczne, białe ramiona oplatały potężny tors z jakąś lubą, leniwie nasyconą błogością, a kształtne palce delikatnie muskały mocarny kark.

— Kocham cię — wyszeptała unosząc lekko głowę.

— Ja też cię kocham — odparł poważnie.

...To jest miłość, więz między Kobieta i Mężczyzną. Tak wygląda miłość. Ten blask wewnętrzny, który promieniuje z rozpalonych ciał, ta gorączka rozmarzonych oczu, wargi spierzchnięte żarem posiadania, bezwiedny ruch dłoni ślizgającej się po jędrnej piersi, spokój, kiedy u boku leży najdroższa osoba, ta rozmowa, w której słowa są zbyteczne, radość oddania aż do zupełnego zatracenia się. To wszystko razem jest kochaniem. Chwila dawno przeszła, a jednak wciąż obecna w ich zachowaniu. Niby niematerialna, ale mocna i trwała jak żadna z rzeczy uściślonych. Nie rozumiem. Ale zdaje się, że właśnie niezrozumienie jest tutaj miarą. Muszę wprowadzić nowe elementy. Dla pełnego poznania Muszę...

Stworzyłem Drugiego — też mężczyznę, ale postaci mizernej, o szpetnej twarzy, cherlawej budowie. Był przeciwieństwem Mężczyzny, brakło mu wszystkiego, co tamten miał aż w nadmiarze. Uformowałem go niechętnie, bo ranił poczucie piękna niekształtną sylwetką, przygarbioną linią pleców, płochliwym, rozbieganym spojrzeniem, kikutami chudych rąk i nóg, zapadniętą piersią. Umysł nie mógł być inny niż ciało — jedna i nierozdzielna całość — biegły i sprawny, ale pozbawiony głębokiej mądrości i umiejętności sięgania rzeczy wzniosłych.

Kazałem mu zbliżyć się krokiem niepewnym, niezgrabnym, poleciłem przemówić głosem piskliwym, ostrym, nieprzyjemnym.

— Bądźcie pozdrowieni o wspaniali dobroczyńcy moi — zgięty w pokornym pokłonie rozpoczął powitanie — pozwólcie biednemu samotnikowi, który szuka odrobiny ciepła i współczucia, pozostać przy was i radować wzrok obrazem tak doskonałych postaci. Nie odganiajcie żebraka, nakarmcie mnie i napójcie, a będę najwierniejszym towarzyszem, jakiego świat widział...

Kobieta jako pierwsza przerwała potok słów Drugiego.

— Ależ nikt cię nie wygania. Spocznij obok i opowiedz, skąd przybywasz. Poczekaj chwilę — zwróciła się do Mężczyzny — czy mógłbyś przynieść naszemu gościowi owoców z gaju?

On zerwawszy się, natychmiast chętnie pospieszył po kiście dorodnych bananów, czerwone kule pomarańcz, kokosów przepysznych bryły, daktyli słodkich moc.

Nie minęło wiele czasu, gdy objuczony owocami wrócił nad brzeg błękitnego jeziorka.

— Posil się, gościu, nim opowiesz nam swoje dzieje — zaprosiła go szerokim gestem — to pożywienie mniemam, że i tobie przypadnie do gustu.

Drugi przystąpił do uczy z niezwykłą łapczywością. A kiedy wreszcie odłożył niedojedzonego daktyla i odsunął mleczka kokosowego pełną skorupę, otarłszy owłosionym przedramieniem usta, rozpoczął opowieść.

— Przybywam z dalekich stron, ze stron tak dalekich, że aż trudno będzie wam zrozumieć sens moich słów — ze spokojem przystąpił do przedstawiania faktów, które nigdy miejsca nie miały, a są jedynie wytworem jego wyobraźni.

...To było kłamstwo. Moje twory pozwalały sobie na działanie daleko wybiegające poza dany stereotyp. Nienormalne, choć właśnie przez to w niewytłumaczalny sposób prawdziwe. Dalej śledziłem przebieg zdarzeń...

— Ileż to rzeczy niezwykłych, przerastających wyobraźnię widziały oczy moje, aż trudno opisać — ciągnął zupełnie niespieszony brakiem jakiegokolwiek rzetelności. — Wy żyjecie tutaj tak szczęśliwie i beztrasko, że uwierzyć nie mogę wspominając własne dzieje...

— Czy i ciebie stworzył Pan? — przerwała Kobieta wpatrzona w Drugiego z napięciem.

Mężczyzna chciał uciszyć ją ruchem ręki, ale tak prosząco spoglądała na niego, że dał spokój i tylko przygarbniawszy ją do piersi ucałował ciemne włosy delikatnie.



— A ciebie, o piękna, on stworzył? — odpowiedział pytaniem na pytanie, z głową pochyloną, jakby szukając czegoś w trawie.

— Tak. Mnie, Mężczyznę i to wszystko wokół...

— Widziałaś go? — zagadnął unosząc spuszczone wzrok.

— Nie, ale wiem, że jest.

Drugi przez chwilę udawał zastanowienie. Myślał bardzo szybko i myślał bardzo dobrze. Pozbawiony wzniosłych ideałów, a przez to daleki od operowania jedynie czystymi pojęciami, potrafił wykorzystać swoje ułomności dla celów zupełnie materialnych i wymiernych.

— Ja widziałem Pana — wyszeptał z namaszczeniem.

...Oszustwo. Pochodna kłamstwa, tak jak spryt, chytryść i przebiegłość. Obserwowałem dalej...

Oboje zamarli w bezbrzeżnym zdumieniu. Kobieta otrząsnąwszy się ze zdziwienia, z hamowanym podnieceniem, z oczami rozgorzałymi jak dwie gwiazdy, przymilnie poprosiła:

— Opowiedz o nim, jaki jest, jak wygląda, czy podobny jest do nas, czy...

— Przybyszu — wtrącił Mężczyzna — jesteś oto najmilszą osobą, bo kto widział go, należy do najszcześniejszych. Odtąd nasz dom będzie twoim domem. Mów.

...To jest naiwność. W dążeniu do ideału można popełnić błąd. Mężczyzna przyjął wniosek bez przeprowadzenia dowodu. Nie miał cienia wątpliwości co do słów Drugiego. Naiwność...

— Otóż — z namysłem rozpoczął Drugi — on jest do nas niepodobny ani z wyglądu, ani z zachowania. — Niespiesznie sięgnąwszy po skorupę z mleczkiem kokosowym obserwował ich reakcje. — Jest ogromny, tak wielki, że najwyższe korony palm sięgają mu zaledwie do kolan, największe wody przebywa nie zanurzając się nawet po pas, najrozleglejsze przestrzenie przemierza kilkoma krokami, ramiona kryją chmury. Ma dwanaście nóg... — z ust Kobiety wyrwał się jęk niedowierzania — a tak — ciągnął Drugi zadowolony z efektu — ma dwanaście nóg, dwanaście rąk i sześć głów... — dramatycznie podnosząc głos rzucał im ukradkowe spojrzenia.

Mężczyzna zerwał się z trawy i nerwowym krokiem począł chodzić tam i z powrotem, zaszokowany zasłyszczanymi rewelacjami, z trudem panował nad okrzykami grozy, których nie szczędziła Kobieta. Drugi milcząco wpatrzony w jej twarz — wyrażającą teraz jedynie bałwochwalczy podziw — z udanym smutkiem kiwał potakująco głową.

— Tak, tak, sam widziałem. Jak w tej chwili wasze postacie. Wszystko jest najszcześniejszą prawdą. Zaklinam się, że żadne ze słów nie wyolbrzymia obrazu. Ale to dopiero początek...

Kobieta była myślami w odległych zakątkach, gdzie według słów dziwnego przybysza można zobaczyć Pana. Nareszcie poznać wszechpotężnego, któremu zawdzięcza się istnienie i wszystkie dobrodziejstwa. Wyobraźnia przywoływała obraz odległych stron, jeszcze wspanialszych i jeszcze bardziej pociągających niż ich okolice, bajeczne miraży krainy zamieszkiwanej przez tajemniczego stwórcy. Chciała tam być.

...Tęsknota. Analiza logiczna tak jak i w innych, podobnych przypadkach, niemożliwa. Jeden element więcej...

— Ale to dopiero początek — powtórzył Drugi.

Mężczyzna na powrót usiadł i z uwagą oczekiwał następnych słów, zmieniających jego poglądy na wiele spraw w zadziwiający sposób.

— Na każdej głowie ma po trzy pary oczu, przed których bystrym wejrzeniem nic się nie ukryje, choćby nie wiem w jakim głębokim zakątku schowane. Widzą one równie dobrze w dzień i w nocy, potrafią dostrzec najmniejszego ptaka nawet na drugim końcu świata — wiódł zmyśloną opowieść.

— Potrafi wrywać drzewa. Kiedy śpi, to jakby wiatr dął. Jeżeli ktoś czci go i miłością otacza, jest szczodry i dobry, tworzy najprzeróżniejsze cuda, których nie sposób opisać — z pochyloną głową i kornie spuszczonej oczami wyglądał jak wcielenie pobożności — bywa w takich razach miłosierny, a hojność jego nie zna granic. Natomiast biada niepokornym! — podniósł głos, starając się, aby piskliwy ton przybrać w groźne brzmienie — bo wówczas jest bez umiaru w karach. Potrafi zabrać wszystko...

...Umysł niedoskonały potrafi obracać się tylko w granicach niedoskonałych pojęć. Nie można stworzyć wyobrażeń wyższych ponad zakodowane. Jedynie modelować. Notowałem. Z punktu widzenia funkcji Drugi miał najwyższe parametry. Co dalej, przyszłość pokaże...

Tymczasem zaczął zapadać zmrok i trzeba było przerwać opowieść gościa. Kobieta jeszcze niezupełnie wyzwolona spod wrażenia zasłyszanych dziwów z ociąganiem powstała z murawy i przeprosiwszy gościa spiesznie ruszyła, by przygotować posłanie. Słońce niknęło w purpurowej poświacie nadając krajobrazowi tajemniczy wygląd. Korony palm jak gdyby gorzały krwawym płomieniem, z oddali dochodziło senne porykiwanie lwa, ostatnie ptaki kwiliły coraz ciszej, ustępując miejsca rozpoczynającemu się koncertowi cykad.

Mężczyzna ujawszy Drugiego pod ramię wolno poprowadził go do domu.

— Powiedz mi, drogi gościu, dlaczego opuściłeś taką wspaniałą krainę, gdzie jest się blisko Pana?

Drugi przez moment wyglądał jak przyłapany na gorącym uczynku. Zlustrował Mężczyznę spłoszonym spojrzeniem, ale uspokojony ufnością i ciepłem bijącym z jego oblicza, z dobrze udawanym zaufaniem szepnął:

— Przybyłem tutaj specjalnie dla utwierdzenia waszej wiary, aby uradować duszę twoją i twojej Kobiety opisem Pana, aby zawsze przypominać o obowiązkach, jakieśmy mu winni, aby czuwać nad ofiarnym oddaniem.

Mężczyzna pokornie kiwał głową, dziwnie potulny wobec karykaturalnej postaci chudego towarzysza. Od pewnego czasu, a dokładnie od momentu zakończenia opowieści o odległych stronach zamieszkiwanych przez Pana — od chwili, w której bez żadnych zastrzeżeń uwierzył w jego istnienie — nie był już całkowicie sobą, świadomość przeszła ogromną metamorfozę, której następstwa miały zaowocować w nadciągających dniach. Kiedy doszli do kryształowej siedziby w geście szacunku przepuścił gościa przodem, a sam — zaczekawszy, aż Kobieta wprowadzi go do wspaniałej sali — zawarł złote wrota.

...Wiele nowych pojęć. Wiele złożonych czynników. Trudno dojść do wymiernych relacji. Brak skali stopniującej wielkość. Jestem obserwatorem. Modyfikuję sytuację zwiększając stopień złożoności. Informacje są niezbędne do ostatecznej pracy...

Tuż przed świtem rozdmuchałem potężne wiatry — huragan, który postrzącał owoce z palmowego gaju, powalił liczne drzewa wrywając je z korzeniami i niosąc po równinnej płaszczyźnie w dal. Rozpędziłem zwierzęta, zbiesiwszy je i pozbawiwszy tej łagodności danej na początku. Niebo przysłoniłem peleryną ciężkich, sinych, ponurych chmur. Ten ranek nie był piękny, świat pogrążony w mglistej wilgoci nie nastrojał radośnie.

Jako pierwsza wstała Kobieta. Po rozchyleniu platynowych okiennic mimowolny jęk grozy wyrwał się z jej ust budząc Mężczyznę i Drugiego. Wyrwani ze snu półprzytomnym spojrzeniem bładzili po zmienionej nie do poznania okolicy. Kiedy wreszcie upewnieni o całkowitej realności oglądanych widoków poczęli spoglądać na siebie z niemym pytaniem, przemówił Drugi:

— Oto dzieło Pana — a gdy oboje wbili w niego zdziwiony wzrok, dodał — tak karze nieposłusznych, którzy nie potrafią uszanować woli jego.

— Ależ przybyszu — zaoponowała — czym mogliśmy narazić się, że zsyła taką klęskę?

— Nie wiem, nie wiem — kiwał energicznie głową, ale wyraz twarzy przeczył słowom.

— Ty widziałeś Pana — On potulnie prosił — na pewno umiesz wyjaśnić przyczyny, dla których zostaliśmy dotknięci tym nieszczęściem. Bądź miłosierny i nie ukrywaj ich, abyśmy mogli przebłagać Stwórcę i wystrzegać się w przyszłości podobnych błędów.

Drugi zastanawiał się przez chwilę.

— A jak dotąd okazywaliście wdzięczność za powołanie do życia i hojne dary?

Wyglądali na mocno speszonych, bo rzeczywiście, jaką formę przybrały dziękczynne modlitwy? — żadnej. Święcie przekonani, że wystarczy wierzyć, że myślenie o Stwórcy jest jedynym sposobem okazywania przywiązania i miłości, że niekonieczne są jakiegokolwiek inne działania, nie czynili żadnych kroków ani wysiłków, by zademonstrować głęboki podziw i uwielbienie. A teraz przyszły skutki owej bezmyślności.

— Co radzisz, drogi gościu? — błagalnie spytał Mężczyzna. — W jaki sposób naprawić pomyłkę i udobruchać Pana? Bądź tak dobry i nie skąp mądrej wskazówki.

— No cóż — Drugi z ociąganiem rozpoczął przemowę — znam metodę, która powinna odwrócić niechęć Stwórcy, ale o jej skuteczności nawet mnie trudno wyrokować.

— Mów, jeżeli ci nasze dobro leży na sercu — Kobieta prosiła kładąc piękne dłonie na ramionach Drugiego.

— Mężczyzna musi naznosić kamieni na wielki kopiec, który będzie świątynią, miejscem kultu i ofiar składanych Panu. Powinien być usypany, o tam — wskazał ręką niewielkie wzniesienie w połowie drogi między kryształową siedzibą i gajem — aby należycie okazać wiarę musimy każdego dnia składać dary z owoców i zwierząt. Ja będę czuwał nad tym ceremoniałem, gdyż najlepiej, a właściwie jako jedyny znam Stwórcę i jasne są dla mnie jego wyroki. Będę więc pośrednikiem między nim a wami. Nazywajcie mnie Kapłanem... — zakończył dumnie wypinając pierś.

Coś na kształt sprzeciwu mignęło w oczach Mężczyzny, ale tylko przez moment, bo spokojnie zrezygnowanym głosem zapytał:

— Czy pracę mam zacząć od zaraz?

— Kapłanie... — przypomniał Drugi sycząco.

— Kapłanie — dodał Mężczyzna, chyląc głowę w przeproszającym geście.

— Tak dobrze — zamruczał odsłaniając w uśmiechu długie zęby — najpierw muszę przynieść zrzuczone przez wiatr owoce, byśmy mogli posilić się należycie.

Mężczyzna odwróciwszy się na pięcie bez słowa opuścił kryształową siedzibę. Szedł krokiem sprężystym, szparkim, z osobliwą gracją i wdziękiem. Kobieta odprowadzała go rozmiłowanym spojrzeniem, dopóki zgrabnej sylwetki nie wchłonęły zarośla. Jeszcze przez jakiś czas wpatrzona w gmatwaninę pni i pozrywanych koron czekała, czy nie mignie gdzieś droga postać.

— Kobieto, czy ty go kochasz? — zapytał Drugi.

— Tak — padła natychmiastowa odpowiedź — bardzo go kocham.

— Za co darzysz Mężczyznę miłością? — ciekawie indagował dalej.

Ona na dłuższą chwilę pograżyła się w zadumie, by po jakimś czasie bezradnie rozkładając ręce odrzec:

— Nie wiem. Tego nie opiszą żadne słowa, ani też żadnych przyczyn uczucia nie potrafię znaleźć,

ale nie potrzeba, bo to tkwi głęboko wewnątrz i po prostu jest.

— A czy kochasz Pana? — Drugi najwyraźniej zadawał pytanie nie tylko z czystej ciekawości.

— Tak, Pana też kocham...

— Czy również miłujesz wszystko, co stworzył? — ciągnął coraz bardziej zadowolony z siebie.

— Kocham wszystko, co on stworzył.

— A czy i mnie też kochasz? — prędko wyrzucił z siebie, z napięciem lustrując jej oblicze spojrzeniem bladozielonych oczu.

— Tak, ciebie również kocham.

Pochyliwszy się tak, że przyspieszony oddech muskał ciemne włosy, z chytrym uśmiechem zapytał:

— Kochasz mnie jak i Mężczyznę?

— Nie...

— Dlaczego?! — Nieomalże krzyknął, porzucając maskę dobrodusznego opiekuna, z grymasem niepohamowanej złości nadającej jego obliczu odpychający wyraz. — Jestem w czymś gorszy od tego głupca?!

— Czy wiarę, dobroć i uległość nazywasz głupotą?

— Nie, nie to miałem na myśli — wycofywał się spieszenie, już na powrót spokojny i opanowany — wybac ten błąd, który popełniłem zupełnie mimowolnie i bez złej intencji.

— Ależ... — i po zastanowieniu — Kapłanie, wiem, że nic zdrożnego nie chciałeś rzec. Kocham Mężczyznę. Przy nim czuję się bezpieczna i całkowicie ulegam jego opiece. Nie wyobrażam sobie dnia bez obrazu tej barczystej postaci, bez ciągłej obecności, bez ciepłych spojrzeń, bez uśmiechu zdobiącego szczerze i proste oblicze, bez delikatnego dotyku mocarnej dłoni, bez uroczej pieśczoły, bez chwil zbliżenia. Ciebie natomiast kocham jako twórcę Pana, jako istotę tego samego gatunku. Ale nie jesteś podobny do Mężczyzny. Nie, nie zrozum mnie źle — przeczyła widząc Drugiego z mieniącą się twarzą — ty wspaniałością może nawet go przewyższasz. Widziałeś przecież Stwórcę i mądrością wyrastasz nad nasze skromne osoby, nazywamy cię Kapłanem...

Drugi obserwował Kobiętę z uwagą o wiele większą, niżby można było przypuszczać, patrząc na opuszczone powieki i twarz okrytą maską powagi. Zadowolenie z górnolotnych pochwał nie osłodziło goryczy zniewagi i ośmieszenia. Chociaż Ona mówiła najwyraźniej szczerze i z głębi duszy — po prostu tak jak czuje i myśli — nie ufał ani jednemu słowu.

...Zawiść. To była zawiść. Nowe określenie. Zakodowałem w zachłannej świadomości. Niezwykle interesujące...

Akurat w złotych wrotach stanął On — obarczony owocami, których kolory wyblakły przez noc. Ostrożnie złożył wszystkie na podłodze, tak aby wyglądały jak najokazalej i zbliżywszy się do Kobiety delikatnie ucałował jasne czoło. Drugi z wyrazem upokorzenia ukradkiem obserwował czułą scenę. Wyglądali na szczęśliwych — absolutnie i bezgranicznie — rozradowani wspólnym zbliżeniem, obecnością, dotykiem spragnionych ciepła dłoni.

Jest przecież Kapłanem, wyrocznią, którą należy traktować z należyty szacunkiem. Sięgnął po pomarańczę i obdzierając skórę z dziwną zaciekłością zapytał:

— Kiedy masz zamiar zabrać się za budowę świątyni? — zjadliwy komentarz przerwał czułą wymianę pocałunków. — Dopiero wówczas, gdy kolejna klęska zostanie zesłana przez Stwórcę?

— Chyba krótka chwila nie ma znaczenia — zadrgały nerwowo zaciśnięte mięśnie szczęk — nie spożyłem jeszcze posiłku.

— Kapłanie! — wyrzucił Drugi piskliwie, z krtanią zdławioną ledwie hamowanym krzykiem.

— Kapłanie!

— Zapamiętaj sobie, że masz zawsze odzywać się, używając tego zwrotu. Bo jeżeli pomijasz go i uwłaczasz godności mojej, to tym samym wznosisz bezbożną dłoń na majestat Pana.

— Dobrze, dobrze, przepraszam i obiecuję, że na przyszłość będę uważał — Mężczyzna wyraźnie zniecierpliwiony zakończył spór potakiwaniem. Następnie, jakby zawstydzony zbytnią zuchwałością, ani nie skosztowawszy przyniesionych owoców, opuścił kryształowy dom.

Tam, gdzie rumowisko skalnych odłamów wyrastało z zieleni łąk, skierował swoje kroki i już po niedługim czasie, przygięty pod ciężarem pierwszego kamienia, zmierzał w kierunku przyszłej świątyni. Uporna wędrownica tam i z powrotem rychło przestała budzić zainteresowanie Drugiego.

— Kobieto, czy i piękno ciała zachowujesz jedynie dla niego? — ruchem głowy wskazał Mężczyznę, który uwolniony od kolejnej bryły, wracał nad skalne usypisko.

Milczała, jakby nie rozumiejąc sensu dziwnego pytania.

— No powiedz, ja też mógłbym skorzystać z dobrodziejstw twoich cudownych kształtów? Mógłbym?!

— Nie. — Ze zgrozą kręciła głową. — Nie. Nawet Kapłan...

Śmiał się rechotliwie, nieprzyjemnie — zgrzyt wyrwany z głębi gardła szydził ze zdumionej miny. Niezbyt wspaniała postać, daleka od wyidealizowanej doskonałości, na pewno nie wzniosłe cele kierują postępowaniem mizernej osoby: chyba że użyteczność można nazwać wartością wyższą. Chichotał aż do łez płynących z zapadniętych oczu, aż do szalonego tańca grdyki, aż do strużki śliny spływającej z kącika ust. Rozbawiony jej zdumieniem, gwałcił się w paroksyzmach powracających napadów śmiechu. Ale to nie była wesołość, to nie radość ani swobodny i beztroski nastrój — bez żadnej wątpliwości nie.

— Nawet Kapłanowi, powiadasz? — nieomalże dusząc się własną śliną pytał ze złym błyskiem źrenic — nawet Kapłanowi?

— Nawet.

— Więc zaryzykowałabyś opór przeciwko woli Pana? Bo wszystko co stworzył — już bez cienia uśmiechu ciągnął dalej — jest wspólne i przykazano, by między dziećmi Stwórcy nie było różnic ni podziałów na lepszych i gorszych. Spróbowałabyś oponować tak podstawowym prawidłem? Możliwe jest, by ktokolwiek śmiał sprzeciwić się bezwzględny wyrokom? Kobieto, twoje ciało nie może być własnością jednej osoby, ty o tym nie decydujesz!

— Kapłanie — zaczęła po dłuższej chwili zastanowienia — mówisz, że wszystko jest wspólne. Ale czyż Pan nie kieruje losem, czyż nie on świat cały ma we władaniu, czyż nie rządzi najdrobniejszymi zdarzeniami? — pytające spojrzenie spoczęło na twarzy Drugiego.

— Owszem, masz rację, dlatego...

— Poczekaj — przerwała — chcę zakończyć. Otóż jeśli tak jest, to powinnam i do ciebie, Kapłanie, żywić podobne co do Mężczyzny uczucia. A tak nie jest.

Został pokonany własnymi argumentami, delikatnie, a jednocześnie bezwzględnie. Jego, Kapłana, nauczono, co wolno robić, a czego nie, dlaczego Stwórca postępuje tak a nie inaczej, jak wyglądają Pańskie wyroki i jak należy je rozumieć. Tego było mu za wiele, czerwony ze wściekłości, tocząc dziko oczami krzyknął:

— Ja tu jestem od wydawania sądów!!!

...Złość. Wściekłość. Gniew. Dalsze trzy wnioski. Coraz więcej informacji. Coraz bardziej

skomplikowanych i złożonych. Uczucie będące wypadkową upokorzenia, poczucia własnej słabości, ośmieszenia, poniżenia, niemożności osiągnięcia upragnionego celu. Niemożliwa analiza przyczynowo–skutkowa. Zbyt mało danych. Trzeba pełniej wymodelować zdarzenie...

Stworzyłem Trzeciego — jeszcze jednego mężczyznę, jeszcze jedną osobowość. Pięknego niczym Kobieta, urodziwego aż do granic oznaczonych męskimi cechami, wiotkiego i prostego jak źdźbło bambusowego pędu, zgrabnego i harmonijnie uformowanego. Był dopełnieniem dwóch pozostałych. Powołałem go do życia i spokojnie śledziłem dalszy rozwój wypadków...

Drugi rzuciwszy przelotne spojrzenie w okno natychmiast pohamował gniew i pokazując Kobiecie coś niezwykłego, wybiegł szybko z kryształowej sali. Spojrzawszy we wskazanym kierunku ze zdziwieniem spostrzegła, że Mężczyzna kogoś prowadzi. Z tej odległości trudno było jeszcze dostrzec jakiegokolwiek szczegóły. Pospieszyła więc w ślad za Kapłanem i już po chwili, oboje przysłoniwszy oczy wzniesionymi dłońmi, spoglądali w stronę nadchodzących.

Gdy wreszcie stanęli przed nimi — On i Trzeci — Kobieta w niedowierzaniu kręciła głową, nie mogąc oderwać rozgorączkowanego spojrzenia od ślicznej sylwetki. Było na co popatrzeć — wyjątkowo udany twór.

— Spotkałem go nad brzegiem jeziora, od strony kamiennego usypiska — relacjonował Mężczyzna z przejęciem. Niewielkie grono powiększyło się o jeszcze jedną osobę, więc nietrudno zrozumieć, z jakim zaciekawieniem cała trójka obserwowała nowego.

Patrząc w dal nad ich głowami i zwracając się jakby do przestrzeni wokół, a nie do konkretnych postaci, przemówił:

— Witajcie, przyjaciele. Czy udzielicie schronienia przybyszowi?

Bez żadnej troski o odpowiedź obserwował ich obojętnie, zatrzymując jedynie dłużej spojrzenie na cudownej twarzy Kobiety.

— Czy wiesz, że jesteś piękna? — zagadnął, nim ktokolwiek miał czas rozwiązać wątpliwości poprzedniego pytania.

Splonęła rumieńcem i spuszczając głowę zerknęła płochliwie na boki. Nie śmiejąc otwarcie utkwić wzroku w twarzy Trzeciego, rzucała mu spod powiek ocienionych długimi rzęsami ukradkowe spojrzenia.

...Wstyd. Nieśmiałość. Skrępowanie. Zażenowanie. Kokieteria. Zadziwiający efekt. Doświadczenie trwa. Dobrze. Doskonały materiał do pracy ostatecznej...

— Jakie dobre wiatry przywiały cię do nas? — z przekąsem wycedził Kapłan. Z rozognionymi ślepiami sprawiał wrażenie zwierzęcia gotowego do raptownego ataku.

— Ani dobre, ani złe, nieboraku...

...Złośliwość. Kpina. Ironia. Kolejne informacje. Kolejny element układanki...

Drugiego wściekłość o mało nie rozniosła. Zgrzytając zębami z jakąś dziwną zachłannością napawał wzrok obrazem prześmiewcy, jakby dla wyrzycia w pamięci wiernej kopii tej sylwetki. Było w jego zachowaniu coś niepojętego, ukryta groźba, zapowiedź przyszłego odwetu.

— To jest nasz Kapłan — niespodziewanie Kobieta przyszła mu z pomocą. — On widział Pana. Wszyscy jesteśmy powołani do życia przez Stwórcę, więc okazując szacunek Kapłanowi, zachowujemy należyta powagę względem naszego dobroczyńcy.

— Dobrze, czarowny kwiecie, jeżeli ty tak chcesz, mogę mówić nawet: Wielki Kapłanie. Twoje słowa będę traktował jak rozkaz.

Mężczyzna od niejakiego czasu zachowywał się dziwnie. Prostoduszne oblicze wyrażało

pierwsze objawy zaniepokojenia.

— Możesz tu zamieszkać nawet na stałe. Nie musisz szukać własnego domu... Chyba, że chcesz — zastrzegł się pospiesznie, choć czuło się w jego głosie, że właśnie z całego serca pragnąłby pozbyć się kłopotliwego przybysza.

— Utrafiłeś w samo sedno, czcigodny mężu — pokłonił się Trzeci z udawanym szacunkiem — chcę mieć własne miejsce do spoczynku, które wolnym będzie od widoku osób mi niemiłych.

— Bój się gniewu Pańskiego! — Drugi ponurym głosem spróbował ukorzyć zuchwalca. — Bo za swoją bezbożną mowę i myśli zostaniesz srogo ukarany. Bacz, by na twą głowę nie spadło nieszczęście, którego odwrócić niepodobna.

Trzeci zaniósł się dźwięcznym śmiechem. Po dłuższej chwili, uspokoiwszy rozbawiony głos, z niedowierzaniem kręcąc głową odparł:

— Kapłanie, jesteś durniem. A do tego jeśli twój Pan jest tak brzydki i pokraczny jak ty, to nie chcę i nie mam najmniejszej ochoty wierzyć — to mówiąc szybkim ruchem wyciągnął rękę i poklepał go po policzku niczym posłusznego zwierzaka.

Mężczyzna, zupełnie zaszokowany zadziwiającymi wydarzeniami, nie mógł wykrztusić ani jednego słowa, nie wspominając już o jakiegokolwiek reakcji, Kobieta natomiast z rosnącym podziwem wpatrywała się w Trzeciego.

— Kobieto, powtarzam, jesteś piękna. Zarumieniona z zadowolenia, aż łuna biła od jej lica, próbując za wszelką cenę rzecz całą w żart obrócić — by Mężczyzny jeszcze bardziej nie drażnić — z zachwycającym wdziękiem złożyła ceremonialny ukłon.

— Ach, cóż ja niewiasta pokorna mam rzec? Czyż wszyscy nie jesteśmy piękni jako twory Pana? Czyż i ty nie jesteś ucieleśnieniem idealnego kształtu?

— Należysz do Mężczyzny? — wtrącił pozornie niedbale, ale znać było, że bardzo uważnie oczekuje odpowiedzi.

Traktowany jak powietrze, pomijany całkowicie przy rozmowie, lekceważony od momentu pojawienia się nowego gościa On — głosem schrypniętym od skrywanej złości — uznał wreszcie za stosowne przemówić.

— Tak, kochamy się... — i tu zabrakło mu odwagi, bo wypowiedziane słowa zabrzmiały jakoś fałszywie, zbyt twardo i bardzo przyziemnie, jakby nie były określeniem wzniosłego uczucia, wręcz profanowały chropawą szorstkością i zupełnym brakiem echa: zawieszony w powietrzu stwarzały wrażenie nieprzyjemnego zgrzytu.

— Czy to prawda?

— Tak — padła odpowiedź, ale zdawała się być równie wymuszoną co i wcześniejsze wyznanie...

— Ojej! — Kobieta zabawnie złapała się za głowę. — My tu stoimy w progu, zamiast zaprosić do środka i poczęstować owocami. Jesteś głodny? — zwracając się do Trzeciego jednocześnie zaprosiła wszystkich do kryształowego wnętrza.

— Nie, nie, dziękuję za zaproszenie, ale na razie nie skorzystam. Chciałbym jeszcze dzisiaj wybrać miejsce pod budowę swojej siedziby. Wróciłbym przed porą spoczynku.

— Może pójdź z tobą — zaproponował On zapominając o urazie — będzie potrzebna pomoc.

— To później, przy samym wznoszeniu. Wówczas poproszę o wsparcie nie tylko ciebie, ale i — tu zawahawszy się chwilę, z krzywym uśmiechem dodał — waszego Kapłana. Natomiast teraz chcę być sam.

Rzuciwszy Kobięcie przeciągłe spojrzenie odwrócił się i ruszył płynnym krokiem w stronę gaju. Nie odchodząc daleko, zwolnił trochę, po czym przez ramię krzyknął w ich stronę:

— Nazywajcie mnie Patronem!

Stali bez ruchu niezupełnie oprzytomniawszy po rozmowie z Patronem. Każde z nich myślało o nim, ale całkowicie w innych kategoriach.

Kobieta z rozmarzonym wyrazem twarzy, błędnym wzrokiem i całkowitym brakiem zainteresowania dla otoczenia, dumiała nad urodą niezwyklego towarzysza, nad dziwną obietnicą czającą się w każdym spojrzeniu. Ona już nie należała do Mężczyzny, nie tak bezgranicznie jak dotąd, zaczynała odczuwać ochotę na nieokreśloną zmianę, zdarzenie jeszcze nie w pełni uświadomione, tajemniczą przygodę.

O przybyszu rozmyślał też On, ale jakże inaczej. Tego, co było jej tęsknotą, Mężczyzna zaczynał się bać, trudno mówić o przecuciach, choć właśnie podobne określenie pasowałoby najbardziej. Rozumiał, że istnieje gradacja wartości, a jest nią piękno, która zestawiając go z Trzecim gasi wszelkie zalety. Nawet z pobieżnej obserwacji wynikało, jak bardzo Kobieta została zuroczona przez nowego i jak bardzo przypadł jej do gustu...

Drugiego do wściekłości doprowadzało lekceważenie jego osoby. Urażona duma Kapłana, przed którym winno ukorzyć się wszystko, co żyje, judziła do czynów mogących przywrócić zachwianą pozycję. I on zauważył, z jakim uwielbieniem Kobieta wpatrywała się w Trzeciego, i jemu nie w smak było to zainteresowanie...

— Chodźmy, pokażę ci, jak powinna wyglądać świątynia — zaproponował Mężczyźnie.

— Tak, zaniedbaliśmy nasze obowiązki — chciała widocznie zostać sama — ja tymczasem przygotuję kryształową siedzibą do przyjęcia naszego gościa.

— No to chodźmy — Mężczyzna zgodził się z ociąganiem.

Oddaliwszy się od domu wystarczająco daleko, by głosy nie mogły być słyszane, Drugi przemówił zgryźliwie:

— Piękny jest nasz towarzysz, aż trudno uwierzyć... Twarz, cóż za cudowne rysy. Oczy, w które można patrzeć bez pamięci — ciągnął hymn pochwalny przy całkowitym milczeniu Mężczyzny — my jesteśmy tylko mizernymi stworzeniami, tak dalece mizernymi, że nie wiem, w jakim celu nasz Pan wykreował podobne istoty. Tak, nietrudno zrozumieć Kobiętę, która od pierwszej chwili zapalała do niego chyba czymś więcej niż tylko sympatią...

— O czym mówisz, Kapłanie? — On przerwał, raptownie stając.

— Ja tylko opowiadam, co sam zauważyłem. Patron podoba się jej bardziej, niżli wynikałoby to ze zwykłej ciekawości. Zresztą trudno się dziwić, jest naprawdę piękny... — judził z obliczem przybranym w maskę zrezygnowania.

— Przecież mnie kocha! Sama potwierdziła... — Mężczyzna tracił stoicki spokój.

— Nie rozumiesz dlaczego?

— Nie.

— Żebyś nie poczuł się urażony, żeby cię nie ośmieszyć, żeby zachować twoją przychylność i jeszcze drugie tyle „żeby”, o których tylko Ona wie.

— Niemożliwe. Kapłanie, ty po prostu kłamiesz. Może nieświadomie — łagodził wymowę słów — ale nie mówisz prawdy. Nie wierzę, aby takie uczucie nie miało dla niej nic znaczyć. Z pewnością nie.

— Tak sądzisz? A widziałeś, jak na niego patrzyła? A zwróciłeś uwagę na ich porozumiewawczą



wymowę spojrzeń? A rozumiałeś, dlaczego nie zdawała sobie sprawy, co się wokół niej dzieje? A pojąłeś zdawkowe i jakby wymuszone potwierdzenie tej wielkiej miłości? A dotarło do ciebie znaczenie braku jakichkolwiek przejawów czułości w ciągu całej rozmowy? Ani razu nie przytuliła się, nie uśmiechnęła, nie uraczyła miłym słowem. Uważasz, że jeszcze mało?

Mężczyzna kiwał głową jakby zamroczony, starał się za wszelką cenę znaleźć błąd w klarownym wywodzie. Najwyraźniej świadomość nie przyjmowała nieprawdopodobnego — w jego mniemaniu — wniosku, jedyne z możliwych i jedyne nie do zaakceptowania.

— Kapłanie, wszystko, o czym wspominałeś, to tylko pozory — dowodził bardziej sobie niż Drugiemu — wyjątkowy splot okoliczności powodujący, że mylnie rozumiemy znaczenie obserwacji. Ona ma prawo interesować się nową postacią. Zresztą czy i my nie czyniliśmy podobnie wpatrując się w niego niczym w zaczarowany obraz? — Głos nabierał mocy wraz z wypowiedzianymi słowami. — Jest tak piękny, że byłoby dziwne, gdyby Kobieta nie przejawiała żadnego zainteresowania. Nie ma powodu do obaw, sytuacja powinna wyjaśnić się w ciągu kilku najbliższych dni. Wtedy zobaczysz, że podejrzenia twoje były bezpodstawne.

— Jesteś naiwny, Mężczyzno — Kapłan przerwał ze złością — nie rozumiesz, że dalej trwając w wygodnej niewiedzy, nie podejmując zdecydowanych kroków, stracisz ją w krótkim czasie: na zawsze i nieodwołalnie.

— Dość. Już za dużo powiedzieliśmy, nie mając ku temu najmniejszych podstaw. Zabierzmy się wreszcie za budowę świątyni, bo o nią ci chyba chodzi, Kapłanie?

Drugi nie próbował więcej poruszać drażliwego tematu. Nie trzeba było wytrawnego obserwatora, by pojąć stan, w jakim znajdował się Mężczyzna.

Dalszą część drogi do wzgórza, na którym miała stanąć budowla, przebyli w zupełnym milczeniu. Na miejscu, gdzie leżało już kilkanaście głazów zwalonych w nieregularny kopiec, rozmowa toczyła się jedynie o świętym placu. Wybrany był korzystnie — na niewielkim pagórku o ściętym wierzchołku i łagodnym stoku otwierającym się na kryształową siedzibę.

Drugi podniósłszy podłużny, ostro zakończony odłamek kamienia, począł kreślić na trawie tajemnicze znaki. Najpierw, zrywając zieloną pokrywę aż do ziemi, wytyczył ogromny kwadrat, w którym z niemałym trudem wpisał koło, a w to z kolei drugi kwadrat. W środku tych figur zbiegły się przeprowadzone z wierzchołków proste linie.

On obserwował niezrozumiałe poczynania ze zdumieniem graniczącym wręcz z podziwem. Zupełnie niepojęta kombinacja rysunku wzbudzała respekt i szacunek tym większy, że Drugi wykonywał wszystkie czynności z powagą świadczącą o celowości każdego kroku. Wreszcie ukończywszy, odpowiedział na nieme pytanie, malujące się w oczach Mężczyzny, głosem zabarwionym nutą wyższości. Począł wyjaśniać:

— Ten okrąg symbolizuje świat. Popatrz — powiedział wskazując dłonią na horyzont — nasz świat jest okrągły, okrągłe jest słońce, po okręgu też porusza się. Ten kwadrat na zewnątrz jest przedstawieniem Pana, który ma we władaniu całość. Kwadrat wewnątrz jest również jego obrazem, bo przecież razem z nami żyje tutaj: w środku swojego królestwa. Każda z linii przedstawia jeden z darów Stwórcy: życie, ziemię, wodę, powietrze, rośliny, zwierzęta, dzień i noc, a wszystkie przecinają się w środku i my nim jesteśmy, jako że dla nas zostały wykreowane owe wspaniałości. Tu dokładnie musi stanąć ołtarz, na którym składane ofiary będą oznaczać wdzięczność i szacunek, jaki żywimy dla Pana.

— Kapłanie, twoja mądrość jest zdumiewająca. Potrafisz zrozumieć najskrytsze zagadki losu.

— Dlatego wymagam uznania i miłości. — Drugi aż pokraśniał z zadowolenia. Dumnie napuszony prawie uwierzył we własną siłę i wspaniałość.

— Jaką pracę dla mnie przeznaczyłeś, czcigodny Kapłanie?

— Trzeba ułożyć kamienie na wyrysowanych liniach, a później przystąpić do budowy ołtarza i kryjącej go kaplicy.

Zabrali się do pracy. Szare głązy powoli pokrywały zewnętrzny obrys figur. Wiele wysiłku kosztowało Mężczyznę dźwiganie ogromnych kamieni, a wymagania nadzorującego Drugiego były bardzo wysokie — albo nie taki kształt, albo za małe odłamy, albo zbyt popękane: tak, że obok pagórka rosło drugie wzniesienie z odrzuconych brył. Ale wysiłek odnosił błogosławiony skutek, bo na razie w niepamięć poszły wydarzenia z Kobiętą i Patronem. Spływający obficie pot: po mocarnym karku, po ramionach, po torsie, wyłocił ciało Mężczyzny połyskliwym blaskiem, stwarzając uludę wewnętrznej jasności.

Kiedy czwarta część okręgu została obłożona skalnymi złomami, zaczęło zmierzchać i Kapłan, jakby z odrobiną żalu, zakomenderował:

— No, koniec na dzisiaj. Pora wracać do domu. Kobieta czeka pewnie z przygotowanym posiłkiem.

Co dziwniejsze On również odchodził od pracy z ledwie tajoną niechęcią. Jeszcze raz przyjrząwszy się rozpoczętemu dziełu niespiesznie ruszyli w kierunku kryształowej siedziby. Na chwilę chmury odsłoniły kawałek nieba i gasnące za horyzontem słońce zajaśniało ostatnim, krwawo-czerwonym promieniem.

Dotarłszy na miejsce zastali wewnątrz Patrona. Był niezwykle zajęty rozmową z Kobiętą. Na ich widok urwali natychmiast i zapadło niezręczne milczenie. Przerwał je dopiero Kapłan.

— Jesteśmy bardzo głodni. Czy przygotowałaś posiłek? Bez słowa wskazała przeciwległy kąt pomieszczenia, gdzie leżały rozłupane orzechy kokosowe i rozłożone na liściach banany. Przystąpili do uczyty i po niedługim czasie po owocach nie pozostało śladu.

— Znalazłeś odpowiedni zakątek pod budowę domu? — odezwał się Mężczyzna, ocierając usta.

— Tak, trafiłem na polanę. Tam gdzie gaj styka się ze ścianą rumowiska. W pobliżu leży mnóstwo powalonych pni akurat na budowę.

— Kiedy masz zamiar rozpocząć pracę? — zagadnął Drugi.

— Nie martw się, Wielki Kapłanie, nie zabraknie jej i dla ciebie. Oczywiście jeżeli zechcesz wesprzeć mnie swoim silnym ramieniem...

— Chętnie, bardzo chętnie — nie podjął zaczepki — a o czym tak miło rozmawialiście przed naszym przyjściem? — zapytał od niechcenia.

Nowy rzuciwszy Kobięcie przelotne spojrzenie, z udaną obojętnością odpowiedział:

— O takich nieistotnych sprawach. Zwykła gadanina, nic interesującego.

— Jednak chętnie posłuchamy...

— Niech ci powie twój Pan, wszechwiedzący! — Patron stracił spokój.

— Rozmawialiśmy o budowie domu, urokach okolicy i podobnych rzeczach. Rzeczywiście nic ciekawego — Ona przyszła mu z pomocą.

Mężczyzna przysłuchiwał się temu z pozorną nieuwagą, ale sztuka ukrywania uczuć była mu na tyle obca, by bystry obserwator bez trudu odgadł wewnętrzną rozterkę.

Niewątpliwie Drugiego można nazwać spostrzegawczym i on też dyskretnie śledził wyniki swoich przedsięwzięć. Patron natomiast zachowywał się wręcz wyzywająco, jakby chciał pokazać,

jakie to z nich marne istoty i czego potrafi dokonać.

...Duma. Pycha. Zarozumiałość. Kontury wypełnia coraz pełniejsza treść, krystalizując obraz końcowego dzieła...

Gdyby nie samouwielbienie, Trzeci zrozumiałby, że najwyższa pora opamiętać się lub przynajmniej zachować pozory. Ale Piękny był tylko piękny i żaden racjonalny argument nie docierał do zarozumiałej świadomości. Natomiast Kapłan wiodąc zaplanowaną akcję, przewidywał finał z niezwykłą wprost pewnością...

Kolejnego dnia słońce wzeszło w całej okazałości, niebo bez jednej chmury radowało czystością błękitu. Bez troski gwar ptactwa niósł się w ożywczym chłodzie poranka.

Rozbudzeni panującą jasnością spoglądali wokół z zachwytem — tym większym, że nieoczekiwanym po wczorajszej niepogodzie. Wyglądało, jakby los znów uśmiechnął się do nich, a niepokój o gniew i niełaskę pańską był sprawą bezpowrotnie przeszłą. Ucieszeni takim obrotem rzeczy pospiesznie szykowali się do czekającej ich dzisiaj pracy. Zaspokoiwszy głód opuścili kryształowy pałac, by wyruszyć na miejsce budowy siedziby Patrona. Tym razem Kobieta postanowiła im towarzyszyć.

Polana w istocie okazała się być uroczym zakątkiem wręcz wymarzoną do zamieszkania. Zwaliste, poszarpane urwisko z jednej strony kontrastowało z czystą zielenią z drugiej. Postanowiono chatę przylepić jednym bokiem do skalnej ściany, wspaniale chroniącej od wiatrów w czas niepogody i zapewniającej miły chłód podczas zbyt upalnych chwil.

Drugi okazał się być doskonałym budowniczym, znakomicie rozwiązującym każdy problem. Jako pierwszy podsunął myśl, aby pnie palm umieścić na ułożonej z głazów podstawie, pokazał, jak można ostrym odłamkiem obrabiać drewno, złobiąc w nim wgłębienia zazębiające całość niezwykle trwale. Wreszcie, po kilku próbach, wpadł na pomysł transportowania co cięższych pni na wałkach z bambusowych pędów. Ktokolwiek próbowałby sądzić, że żywi do Trzeciego urazę, musiałby znać jego myśli. Ale kiedy słońce zbliżywszy się do najwyższego punktu swojej wędrówki pozwoliło zasiąść do południowego posiłku, z obojętną miną zagadnął Kobietę:

— Czy po skończeniu domu masz zamiar zamieszkać w nim razem z Patronem?

Pytanie padło tak nagle i niespodziewanie, że wszyscy zamarli w zdumieniu, nie mogąc wykrztusić ani słowa. Ona, zupełnie zaskoczona i nie przygotowana na odpowiedź, w milczeniu błędziła wzrokiem od jednego do drugiego.

— No tak, rozumiem — ciągnął z niezmaconym spokojem — jest rzeczywiście piękny i Mężczyzna nie może się z nim ani równać.

— Ależ nie, nie — zaprzeczyła, dopiero teraz zrozumiałwszy, do czego zmierza — skąd ci, Kapłanie, przyszła do głowy taka myśl?

Widać było, jak On traci spokój, jak poczynają drgać mięśnie twarzy, złobiąc w niej grymas wściekłości. I jeszcze ten zadowolony uśmiezek Patrona. Zaiste lepiej byłoby dla niego, gdyby nie okazywał swojego zadowolenia aż tak wyzywająco.

— Dlaczegoż by nie?! — wykrzyknął z zachwytem. — Kapłanie, czasem lęgną ci się całkiem dobre pomysły!

Mężczyzna z zaciśniętymi zębami trwał jak martwa figura, pięści same złożyły się w kulaki, spojrzenie stwardniało i nawet iskierka dawnej uległości nie rozjaśniała czarnej toni źrenic.

A dzień był taki pogodny...

...Zazdrość. Powstaje przy utracie własności. Układanka kompletowała się sama...

— Nie, nie! — prawie krzyczała — nigdy podobna myśl nie przyszła mi do głowy. Nigdy!

Nerwowo latała mu powieka, potężne mięśnie zbryliły sylwetkę, nadając jej drapieżny wygląd. Oddech miał płytki i szybki — powietrze ze świstem wydobywało się ze ściśniętej krtani.

— Takie są prawa natury, mój drogi — kpiąco judził Patron.

Jeszcze w niewyobrażalnej naiwności nie rozumiał, ku czemu zmierza bieg zdarzeń, jeszcze świadomość bagatelizowała dziwne zachowanie. Powinien był przewidzieć...

— Zaklinam na wszechmocnego Stwórcę, że nie odejdę od ciebie! — Ona natomiast przeczuwała doskonale. — Uwierz, ja chcę być tylko z tobą!

Mężczyzna odwróciwszy się, ruszył wyciągniętym krokiem w stronę kryształowego pałacu, a za nim prawie biegnąc podążał Drugi. Patron i Kobieta pozostali na miejscu.

A dzień był taki pogodny...

— Widzisz, mówiłem o jej uwielbieniu — Drugi szybko wyrzucał z siebie słowa — na pewno odejdziesz, jeżeli nie dziś, to jutro, pojutrze, za trzy dni. Obudzimy się któregoś ranka, a łożo obok będzie puste.

Nawet jeden dźwięk nie wychodził poza barierę kurczowo zwartych szczęk. To było coś więcej niż tylko wściekłość, coś więcej niż zapalczywość, coś więcej niż zawiść — coś więcej...

— Ale nie jej wina, że jest taki cudowny. Może gadam od rzeczy, ale podobnej urodzie trudno stawić opór. Pamiętasz — zmienił nagle temat — jak wróciliśmy wczorajszego wieczoru?

On sprawiał wrażenie, jakby ani jedno słowo doń nie docierało, ruchy choć gwałtowne miały w sobie jakąś niesamowitą precyzję, kryła się w nich zapowiedź działania. Niby w transie odmierzane kroki, regularny oddech urywany chrapliwym jęknięciem, wyprężone mięśnie, nabrzmiałe żyły i ten wzrok upiornie wbity w jeden punkt nad linią horyzontu.

— Mówię o tym, jak urwali rozmowę, kiedyśmy weszli. Chciałem poznać jej treść, ale Patron wymigiwał się od odpowiedzi. Nie twierdzę — ciągnął nieubłaganie, z osobliwą satysfakcją obserwując, jak argumenty trafiają wreszcie na podatny grunt — że jest w tym choćby odrobina jej winy, skądże, wręcz przeciwnie! — Zakrzyknął z uniesieniem, po czym złagodzone głosem ciągnął dalej. — Ona jest nieświadoma, nie rozumie, na czym polega zło, a jedynie za sprawą podszeptów Patrona czyni właśnie tak. Odkąd pojawił się wśród nas, w zapomnienie poszedł spokój. Wierz mi — zaklinał składając ręce na piersi — i mnie żal chwyta, kiedy widzę to bezbronne maleństwo we władzy opętanego Patrona. Biedna, biedna, po trzykroć biedna — dramatycznym głosem zawodził na wysokiej nucie.

Kwadratowa twarz posepniała coraz bardziej, coraz bardziej też uporczywie oczy patrzyły w dal, coraz bardziej białawy kostki zaciśniętych pięści.

— Nie ma ratunku, nie ma — Drugi wyduszał z siebie autentyczne łzy — już stracona bezpowrotnie. Nikt nie pomoże. Opanował, zmusił do kłamstwa, zabronił miłować ciebie, zniewolił haniebnie, uczynił narzędziem powolnym swej woli. Nieszczęsna, jakież to los jej przeznaczony. Nie ma sposobu uwolnienia, nie ma żadnej nadziei...

W tym momencie usłyszeli wołanie. Kobieta co sił biegła w ich stronę. Mężczyzna zatrzymawszy się raptownie, czekał bez ruchu, aż podejdzie bliżej. Wreszcie zdyszana, nie mogąc wykrztusić ani słowa, stanęła obok.

On wpatrzony w cudowną postać, z posepną miną, głosem twardym i zmienionym nie do poznania, wolno wykrztusił:

— Ma piękną twarz? — złowrogie tony sprawiły, że jakby powiało chłodem. — Ma piękną

twarz?! Ma! Wspaniała twarz! Cały jest piękny, prawda? Jest! Odejdiesz z nim? Odejdiesz?! Odejdiesz! — krzyczał tak, że skulili się pod wpływem huku wściekłych słów. — Nie. Ty nie możesz... — cichy szept brzmiał jeszcze gorzej niż poprzedni wybuch gniewu.

A dzień był taki pogodny...

Biegiem ruszył w kierunku polany. Pierwszą chwilę stracili, śledząc w zdumieniu szaleńczy pęd. Drugą, kiedy wymieniwszy trwożliwe spojrzenia nie mogli uwierzyć w ewentualność niesamowitego czynu. Później przyszła chwila strachu — już trzecia niepotrzebnie zmitręzona.

...Strach. Bojaźń. Trwoga. Przerazenie. Zapamiętanie...

W czwartej oboje puścili się w pościg za Mężczyzną. Nie poruszając się tak szybko i tę chwilę zaprzepaścili.

Dopadając polany wiedzieli, że jest już za późno — za późno dokładnie o cztery chwile. Słaniając się na nogach Drugi patrzył na makabryczny obraz szeroko rozwartymi oczami. Do tego przecież cały czas dążył, powinien być dumny i zadowolony, na razie jednak bojaźliwy umysł wzdragał się przed wymową przerażającej sceny. Kobieta przymknawszy powieki bezwolnie opadła na ziemię. Błoga nieświadomość omdlenia oszczędziła jej okropnych szczegółów.

A dzień był taki pogodny...

Krew na rękach Mężczyzny wyglądała normalnie — jasnoczerwona, jakby nierealna i trochę nie na miejscu — w blasku rozmigotanych promieni nie sprawiała groźnego wrażenia. Umazane dłonie, pochłapane ciało, zroszona trawa — wszystko to zakrawało na żart. I jeszcze jasność pogodnego dnia, to niesamowicie rozpalone słońce, wesoły śpiew ptaków, zieleń palmowego gaju. Powoli i opornie rozum zaczynał przetwarzać na myśli opowieść oczu. Trawa była zapaskudzona, a czym i co to oznacza po raz pierwszy uderzyło Drugiego. Zaczął wymiotować.

On stojąc nieruchomo patrzył wokół niewidzącymi oczami. Wyzute były ze wszelkich uczuć, bezgranicznie puste i bez najmniejszej isierki świadczącej, że zdaje sobie sprawę, czego dokonał. — Straszliwe dzieło, choć rzecz dziwna: raczej budziło wstręt i odrazę niż grozę. W mocarnej dłoni kurczowo zaciśnięty skalny odłamek, ten sam, którego używali do obrabiania pni — teraz oblepiony kosmykami włosów i krzepnącą krwią.

Kapłan krztusił się zwracanym jedzeniem. Jeszcze nie starczyło mu odwagi, by spojrzeć niżej, tam, gdzie u stóp Mężczyzny leżała ofiara makabrycznej zbrodni... Strzępy, jedynie strzępy — krwawa miazga — pozostały z pięknej twarzy Patrona. Teraz nie była już urocza, teraz prawie w ogóle jej nie było. Roztrzaskana głowa w niczym nie przypominała dawnego, doskonałego kształtu — zmasakrowana, rozgruchotana potężnymi uderzeniami kamienia, zmiażdżona w napadzie mściwej furii. Widok wywołujący dreszcz niedowierzania, że oto jedna istota pozbawiła drugą daru najcenniejszego — życia. W imię własnych interesów, dla zdobycia wymiernych korzyści — Kobiety. Bezładnie leżący korpus, utaplany we krwi trup — bez głowy, której szczątki rozbryzgane są wokół — jeszcze do niedawna był jednym z nich. Teraz jest martwy. I zamiast żalu tylko potworne obrzydzenie, trwoga przed wstrętnym koszmarem, jaki niesie widok zmasakrowanych szczątków.

A dzień był taki pogodny...

Mężczyzna niepewnym krokiem podszedł do zemdlonej Kobiety. Pochyliwszy się nad bezładnym ciałem, wyciągnął umazane krwią ręce — z tą samą, pustą i pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu twarzą. Drugiemu ciarki przebiegły po krzyżu. Cofając się, szeptał bojaźliwe zaklęcia. A On opasawszy ją mocarnymi ramionami, nadzwyczaj delikatnie, jakby w obawie przed uronieniem cennego ciężaru, uniósł i przytulił do piersi skalanej ciemniejącą czerwienią. Niespiesznie, z

dziwnym namaszczeniem ruszył w kierunku kryształowego pałacu. Uważnie stawiał stopy, oczy wzniósł do czystego błękitu.

Sunęli ponurą, trzyosobową procesją, oddalając się od ołtarza potwornej ofiary, która brzemieniem zapamiętanego obrazu miała ciążyć już na zawsze.

A dzień był taki pogodny...

Do jasnej, rozmigotanej tęczowymi blaskami siedziby dotarli w zupełnym milczeniu. Jedynym tematem, który przesłaniał wszystkie inne, aż pierś rozrywał, chcąc wolności szalonego wrzasku, była dokonana zbrodnia, a o niej, choćby cichym szeptem wspominać wara. On ostrożnie ułożył nieczułe ciało na posłaniu.

W tym momencie — czy to od delikatnego dotyku, czy też organizm zwalczył słabość — Kobieta ocknęła się z omdlenia. Popatrzyła wokół bezrozumnym spojrzeniem. Kiedy jej wzrok padł na Mężczyznę umazanego krwią, na dłonie czerwono splamione, wyciągające się nad nią w geście czułości — te dłonie, które skalny odłamek wraziły w twarz Patrona po raz pierwszy, i które jeszcze po wielokroć makabryczną czynność powtarzały: dopóki z głowy nieszczęsnej ofiary nie pozostało nic, co przypominałoby dawną postać — kiedy dłonie te spostrzegła nad sobą, w zbliżeniu grożącym pieszczotą, zerwała się z histerycznym krzykiem:

— Nie!!! Nie dotykaj mnie! Morderco!!!

...Nienawiść. Obrzydzenie. Niechęć. Dobro Drugiego. Dobro Kobiety. Dobro Mężczyzny. Dobro Patrona. Które jest właściwe. Żadnych uogólnień. Trzeba zakończyć tę kreację. Skompletować wszystkie obserwacje. Jeszcze tylko parę szczegółów...

— Nie zbliżaj się — w odruchu panicznego strachu osłaniała twarz przedramieniem. Oczy gorzały obłąkańczym ogniem. — Zabiłeś go!

Stał w pozie znamionującej bezradność i całkowite zdumienie. Wyglądało tak, jakby wykrzykiwane słowa nie dotyczyły jego osoby. Wciąż — mimo jej potępieńczego krzyku — trwał z wyciągniętymi w niemym błaganiu rękami. Niewiele pozostało z obrazu Mężczyzny jeszcze jakiś czas temu mogącego wyzwąć do walki świat cały, uformowanego z Pańską pomocą w kształt krzepki tak, że jedynie podziw i zachwyty mogły go otaczać. Teraz już nie ten sam, teraz z pokorą zastygłą w rysach prosił Kobietę o jedno dobre słowo.

A Ona wtulona w załamanie ściany i posłania, osłaniając dłońmi twarz w podświadomym geście obrony, kulila się targana spazmatycznymi wstrząsami szloch. Jednak ni jedna łza nie spływała po bladych policzkach — dziwna rozpacz, która nie rodzi kropli przynoszących ulgę w cierpieniu. Wyglądało to niesamowicie, w niewytłumaczalny sposób drażniło, uwierało kolcem sprzeciwu. Płacz bez łez, o tyle nieprawdopodobny, co i straszny — dla Mężczyzny przygiętego brzemieniem wyrzutu był to wyrok okrutny i bez odwołania. Jeszcze próbował zmienić coś oczu błagalnym opuszczeniem, jeszcze chciał prosić dłoni gestem, jeszcze usta pobielale złożył w modlitewny ton, jeszcze...

— Potworze! — Głos jej okrzepł w powagę i zdecydowanie. — Nie chcę cię znać. Boję się, przerażeniem napełnia mnie twoja postać, brzydzę się dłońmi splamionymi krwią, jesteś mi wstrętny. Odejdź, jeżeli jakiegokolwiek uczucia pozostają w duszy twojej, oddal się, nie dręcz mnie widokiem bolesnym, nie prześladuj wspomnieniem tamtej chwili. Precz!!! — krzyknęła, widząc jak pochyła się, próbując pogłodzić ją po włosach.

Trwała w pozie wyrażającej strach i obrzydzenie. Widocznie jej postać tchnęła wystarczającym potępieniem — choć można było wyczuć w tym całym przedstawieniu fałszywą nutę — bo

Mężczyzna ze zwieszonymi bezsilnie rękami wyszedł z kryształowego pałacu. Echo ciężkich kroków zamarło po chwili — wskazując obrany przez niego kierunek: niedokończoną świątynię. Drugi niepostrzeżenie przysunął się do okna i stojąc tak, aby samemu nie być widzianym, obserwował poczynania Mężczyzny.

Wlokąc nogi szedł wolno. Nic nie pozostało ze sprężystego chodu, który w taki podziw wprawiał ich niegdyś. Smutny obraz, przygnębiający wniosek, jak szybko i łatwo można zmienić twór pozornie doskonały w lichą pozostałość. Po niedługim czasie On dotarł do wzniesienia z kamiennym obrysem Domu Pańskiego. Wspiąwszy się na ścięty wierzchołek opadł na kolana i unosząc dłonie nad głową pozostawał tak bez jednego drgnięcia.

— Straszne — Drugi przemówił schrypniętym głosem. Nie wiadomo, czy chodziło mu o dokonaną zbrodnię, czy o to, co dzieje się z Mężczyzną — okropne, aż uwierzyć nie mogę... Patron leży tam martwy, z roztrzaskaną głową, a sprawcą jest nasz towarzysz. Zupełnie nie znajduję powodów, dla których dopuścił się takiego okrucieństwa... — widząc ją milczącą ciągnął dalej — a przecież biedak był z nami dopiero drugi dzień. Taki piękny, taki mądry, taki wspaniały. Jakąż krzywdę wyrządził, by odebrać mu życie? Czyż tak trudno radować się wspólnie cudownym światem, w miłosierdziu i miłości budzić się każdego dnia i mozołem rąk pomnażać dobro nasze, w porze spoczynku podziwiać dzień dobrze spędzony...

Mówił z przekonaniem. Gdyby nie wcześniejsze postępowanie, można by uwierzyć natchnionym słowom. Godna podziwu gra. Drugi potrafił wypowiadać zdania przeciwne jego naturze z taką uduchowioną powagą, że aż wzruszenie chwytало za gardło.

— On nie powinien był postąpić w taki sposób — teraz wyglądał na współczującego towarzysza — bo od chwili dokonania owej strasznej zbrodni klątwa Pańska wisi nad głową jego i dzień gniewu blisko... A przecież kocham go mimo rąk bratobójczych, mimo ich potwornego dzieła, mimo krwi niewinnie przelanej.

— Kapłanie — wtrąciła Kobieta wyrwana z odrętwienia — i ty masz w tym swój udział...

— Ależ chyba...

— Nic nie łączyło mnie z Patronem, nic co usprawiedliwiałoby podejrzenia. A ty, Kapłan znający najskrytsze tajemnice, nie potrafiłeś zrozumieć tak oczywistej prawdy.

Drugi odetchnął z widoczną ulgą. Przez moment zdawało mu się, że Ona przejrzała nieczne zamiary. Ale na szczęście sądziła jedynie z zewnętrznych pozorów. A przecież dążył do konkretnego celu. Zemsta, odzyskanie utraconej pozycji, odpłacenie pięknym za nadobne — ale to jedynie część prawdy. Najważniejsza była Kobieta, dla niej rozpoczął tę ryzykowną batalię i nie miał zamiaru rezygnować prawie u końca drogi. Rozkręcone koło intrygi toczyło się samo.

— Rzeczą naturalną jest mylić się — powiedział spokojnym głosem — ale zważ niewiasto, że w staraniach miałem jedynie na uwadze wasze dobro, utrzymanie tej wzniosłej miłości, którą podziwiam i popieram z całego serca. Występowałem z czystymi intencjami i jeśli błądziłem — ze smutkiem spuścił głowę — to nieświadomie, jako rzecznik łączącego was uczucia. Nie czyni więc wymówek, nie potępiaj za chlubne chęci, nie żyw skrytej urazy, bo ja za wydarzenia dzisiejsze odpowiedzialności nie ponoszę.

— Nie, nic takiego nie chciałam powiedzieć — zaprzeczyła bez przekonania — oboje jesteśmy poniekąd winni...

Słońce powoli chyliło się za linią horyzontu, mrok kurtyną cienia otulał świat. Mężczyzna, z tej odległości wyglądający jak ciemna plamka na tle palmowego gaju, trwał nie—poruszenie przed

niedokończoną świątynią. Niczym jeden z martwych głazów — jak i one nieruchomy, milczący, wrosnięty w brunatną ziemię. Nadchodziła noc...

Drugi leżąc obok Kobiety nie zmrużył oka. Nie śmiał drgnąć ani zmienić niewygodnej pozycji. W ciemności słyhać było jej nierówny oddech, czasem ciche jęknięcie śpiącej świadczyło, że i koszmarny sen przypomina dzisiejszą tragedię. Ostrożnie przysunął się do rozpalonego, nagiego ciała. Nadeszła chwila urzeczywistnienia najskrytszych pragnień, celu, do którego dążył przebiegle i z takim uporem. Oto Ona leżała ciepła, bezbronna, całkowicie zdana na jego łaskę. Mógł wreszcie dotknąć cudownego ciała, objąć i przycisnąć je do piersi.

Trochę niepewnie wyciągniętą dłoń złożył na owalu biodra. Kobieta poruszyła się niespokojnie. Palce Drugiego delikatnie sunęły po aksamitnej skórze uda, muskały przelotnie czarowną wypukłość łona. Oddech Kapłana stał się przyspieszony, chrapliwy. Nie panując nad szalonym podnieceniem, które falą żaru ciągnęło od lędźwi, przywarł do jej ust namiętym pocałunkiem. Dopiero wówczas się obudziła. Trzymał ją w obezwładniającym uścisku, nerwowo błędząc po nabrzmiąłych piersiach. Oprzytomniawszy próbowała wyrwać się, ale ani szarpanie, ani nagłe zrywy nie mogły uwolnić jej od gniotącego ciężaru. Drugi sapał coraz szybciej, bełkotliwie szeptał miłosne zaklęcia, podczas gdy ręka uparcie wędrowała wzdłuż wewnętrznej strony uda.

— Nie!!! — w krzyku tym było tyle przerażenia, odrazy, sprzeciwu, że i śmierć nie mogła wywołać podobnego strachu.

Kapłan przekroczył już dawno barierę, za którą — przez mgłę zaślepiającego podniecenia — do świadomości nie docierają żadne bodźce. Zakrył jej tylko usta dłonią, nie przestając drugą błędzić po całym ciele. Ale nie chciała ulec, w ostatnim akcie rozpaczony wbiła zęby w jego nadgarstek. Ryknął z bólu, odrywając się od niej na chwilę. Później, z premedytacją i ogromną siłą uderzył Kobietę w twarz — raz, drugi, trzeci...

Zrezygnowała z oporu. Zapłakana, rozbitymi wargami szeptała słowa modlitwy. Pochylony, z okrutnym uśmiechem rozchylił jej uda otwierając drogę do całkowitego posiadania.

Było to już ostatnie zwycięstwo Drugiego, bo w tym momencie potworna siła uniosła go i rzuciła na ziemię. Nim miał czas pojąć, co się dzieje, sękaty palec Mężczyzny poczęły miażdżyć krtań, odbierając płucom oddech. Czas Kapłana uciekał do wtóru przeraźliwego krzyku myśli o jeden łyk powietrza. Oczy wychodziły z orbit, twarz siniała, ręce i nogi poczęły w szalonym tempie uderzać o podłogę. Jeszcze w ostatnim błysku świadomości zanotował, jak Ona szarpie Mężczyznę, ale słów już nie słyszał...

— Nie! Puść go! Dostyc jednej zbrodni! — próbowała oderwać dłonie zaciśnięte na gardle. — Nie zabijaj! Proszę... — szlochała.

Niechętnie, ociężale rozgiął palce i Drugi mógł zakrzuszyć się pierwszym, zbawczym haustem powietrza. Kiedy oprzytomniawszy zrozumiał, że jest w niewytłumaczalny sposób ocalony, słysząc ciężki oddech Mężczyzny nad sobą zerwał się do panicznej ucieczki. Szybki tupot nóg i trzaśnięcie drzwi oznajmiły koniec jego kapłańskiej misji.

Od strony palmowego gaju niosło wściekłe porykiwanie lwów, coraz bliższe i coraz mocniejsze. Dołączały nowe rozjuszone głosy płowych mocarzy i wkrótce okolica grzmiała hukami ogromnymi. Raptem wszystko ucichło i w dali rozległ się przeraźliwy, przedśmiertny krzyk Drugiego — krótki, urwany wpół tonu. Dokonało się nieuniknione...

Kobieta bezwiednie przytuliła się do Mężczyzny. Działy się straszne rzeczy, ten wymarzony i doskonały świat przestał być przyjazny, przestał budzić ufność i bezgraniczny podziw. Coś się



popsuło.

Prawie przez całą noc nie zmrúżyli oka. Nie mogli uwolnić się od wspomnienia o Kapłanie rozszarpanym przez dzikie bestie. Dopiero tuż przed świtem Ona zmęczona czuwaniem zasnęła.

Męczyzna przez czas dłuższy wpatrywał się w cudowne ciało, po czym zdecydowanym krokiem wyszedł z kryształowego pałacu. Dniało...

Obudziła się, gdy słońce stało już wysoko na niebie. Wzrok na próżno szukał Męczyzny. Nawoływanie nie przyniosło rezultatu, więc spiesznie opuściwszy dom, ruszyła na jego poszukiwanie. Wczorajszy gniew i uraza minęły bezpowrotnie, pozostało tylko dawne uczucie ustokrotnione jeszcze litością, współczuciem i przywiązaniem, jakie rodzi wspólne przeżycie strasznych chwil. Chciała mu powiedzieć, że już nie ma żalu, że kocha wciąż tak samo, że nigdy więcej nie skrzywdzi go złym słowem, że żałuje... Teraz będzie dobrze, koszmar minął, świat wróci znów do dawnej postaci...

Znalazła go na skraju zarośli. Wyglądał prawie jak za życia — spokojny, milczący, nieruchomy. Można by sądzić, że stoi z przymkniętymi powiekami, oczekując na przybycie Kobiety. Stopy tylko w dziwny sposób nie dotykały ziemi, zawieszona swobodnie tuż nad kobiercem trawy. Pęd bambusowy — smukły, wysoki, twardy — utrzymywał ciało w pozycji pionowej: ciało nabite, nawleczone na prosty pręt, którego koniec wyrastał z barku Męczyzny okrwawionym ostrzem. Słońce wesoło igrało wśród płowych włosów, rozświetlało poskręcane kosmyki, oświetlało twarz skrzeplą w maskę spokoju. Niepomne czci oddawanej zmarłym profanowało majestat śmierci.

Kobieta złamana wewnętrznym nakazem, wolno opadając na kolana, ze wzniesionymi rękami godzącymi w niebo, z ogromną siłą rozrywającą krtań krzyczała:

— Nienawidzę cię, Panie!!! Bądź przeklęty!!! ...Dobiegł kresu dzień szósty i ostatni. Dzieło zakończone.

Zamknięty rozdział obserwacji. Model wykreował dokładne uogólnienia. Koniec...

Zabrałem pałacu kryształowy obelisk, co tęczą blasku wyrasta nad traw falowanie, opromieniony aureolą nierealnego migotania.

— Bądź przeklęty!!!

Zabrałem gaj palmowy obficie obsypany owoców wszelakich dobrem, zielony, o liściach strzępiastych w baldachim cienisty ułożonych, o pniach brunatnych, strzelistych. Nie było już bananów żółtych, orzechów kokosowych, słodkich daktyli.

— Bądź przeklęty!!!

Odwołałem zwierząt najprzeróżniejszych liczne zastępy. Rozwiały się lwy grzywiaste, olbrzymie, silne, nie łąsiły się już u jej stóp. Nie było słoni mocarnych z karkami ugiętymi w pokorze, zniknęły antylopy, żyrafy, umilkły ptaki kolorowe.

— Bądź przeklęty!!!

Zabrałem ze żwiru ostrych odłamków trawy zielony kobierzec, ubarwiony kwiatów upojnie pachnącym ornamentem, chylony wiatru lekkimi muśnięciami, roziskrzony migotem rosy klejnotów. Zgasilem oko lustrzanego jeziora — krystalicznie czystego, o chłodnej wodzie ulgę przed słońcem przynoszącej.

— Bądź przeklęty!!!

Już tylko pustka pozostała i nic prócz wichru hulającego wśród przygnębiających masywów skalnych nie ożywiało ponurej przestrzeni obramowanej linią horyzontu. Ostatnie promienie umykały przed nadciągającą nocą — po raz ostatni obdarzając piesszczotą rozwiane włosy Kobiety. Klęczała

nieczuła na ostre odłamki kaleczące ciało, na przejmujące podmuchy zimnego wiatru, na groźbę złowieszczych, kamiennych cieni. Tylko jedną myślą opętana, jednym wnioskiem nakazującym trwać w potępieńczym uporze, jedną potrzebą rzucenia klątwy straszliwej, jednym pragnieniem odwetu...

— Nienawidzę cię, Panie!!! Widowisko skończone, ale ja ciebie nienawidzę!!! I będę nienawidzić!!!

Zniszczyłem Kobietę, jej piękną twarz o włosach jak przędzy doskonały puch, o oczach czarnych jak bezkresna pustka wszechświata, o alabastrze dumnie wypiętrzonego czoła, o wyniosłych łukach brwi, jej figurę jakiej nie ma od krańca do krańca istnienia, sylwetkę wymodelowaną z niezwykłym pietyzmem, kształt będący objawieniem kanonu absolutnej harmonii. Zniszczyłem ją całą.

...Czas nadszedł dzieła ostatecznego. Wiedza dokonanej kreacji jest nareszcie pełna. Teraz mogę zmienić własne istnienie...

To było tak...

Stworzyłem samego siebie...

CZŁOWIEKA?...

## Grzegorz Drukarczyk

*Urodził się w roku pańskim 1959, mieszka przez pięć miesięcy w roku w Koszalinie, a przez pozostałe tuła się po świecie za chlebem. W trakcie przygotowywania antologii dzwonił lub pisał do mnie z Norwegii i Niemiec. Ze szkół ukończył tylko podstawówkę i LO, bo z Politechniki Wrocławskiej wyrzucono go na trzecim roku, a z Wyższej Szkoły Inżynierskiej na czwartym. Nie może więc poszczycić się żadnymi tytułami, jeśli nie liczyć oczywiście tytułów opublikowanych opowiadań i książki.*

*Jego dorobek twórczy to zbiorek opowiadań „Reguła Baśniowego Mroku” (Almapress, 1986) oraz dosyć ostra w wymowie społecznej i religijnej powieść „Zabijcie Odkupiciela”, którą już trzy wydawnictwa kupiły, lecz z różnych przyczyn nigdy nie wydały. Poza tym ma w dorobku ze trzy szuflady różności, których — znając swoje nie anglosaskie nazwisko i gehennę wydawniczą — nawet nie próbuje ruszać.*

*Parę lat wcześniej — otrzymawszy nagrodę „Fantastyki” za najlepsze opowiadanie roku („Reguła przetrwania”), nagrodę czytelników (Polcon 86), trzecią nagrodę za debiut publikowany w prasie Pomorza i parę pomniejszych wyróżnień — uważał, że droga do publikacji książkowych, przynajmniej dla niego została wyasfaltowana. Teraz już wie, że to nawet nie „kocie łby”, a bycie grzecznym i koniunkturalizm mu nie pasują.*

*Jeździ więc po świecie i ciężko pracuje na chlebuś, ja zaś mam niewątpliwą przyjemność przypomnieć jego twórczość i spróbuję spowodować, aby co nieco z tych szuflad różności ujrzało światło dzienne, m.in. po pół roku zabiegów znalazłem odwąznego do wydania powieści „Zabijcie Odkupiciela”.*

## O „Interregnum”

*Magia liczb... Upływ czasu miał dla człowieka wszystkich epok bardziej lub mniej uświadamiane magiczne znaczenie. Czyż nie czujemy tego, że nadchodzi nowa era, nowe tysiąclecie? Gwałtownie zmienia się obraz świata i jest w tym ślad tajemnej prawidłowości. Czyż jakieś siły nie wymazują spośród żywych (choć nie z kart historii) imion szaleńców usiłujących wieść ludzkość (choć nie ludzi) ku szczęśliwości? I nie jest tu ważne, czy owa szczęśliwość ma być ziemską, czy też nie z tego świata. Faktem jest cykliczne pojawianie się wśród przywódców politycznych różnych patologicznych uszczęśliwaczy, a także upadek wznoszonych przez nich imperiów. To rozbudza wyobraźnię, ów siódmy zmysł wymykający się na szczęście fizykalnemu poznaniu. Pobudza do dociekań, odkrywania nieznanymi nam dotąd obrazów kształtu świata. Trawestując w tym miejscu słowa Wiktora Hugo, można by rzec, iż fantazja jest dla słabych czymś nieosiągalnym. Dla bojaźliwych czymś nieznanym. Lecz dla odważnych jest szansą. I szczypty tej odwagi na co dzień sobie i wszystkim życzę. Łatwiej jednak, mniej boleśnie toczy się życie, gdy wesprzemy się na gotowych protezach, w jakie obfituje nasza tradycja. Siła przyzwyczajenia, to siła bezwładu...*

*Czyż nie jest dziwnym, jak w naszej świadomości zakorzenił się literacki wizerunek Bolesława Chrobrego — mocarza, niczym obrośnięty tłuszczem howardowski Conan, wykuwającego swe królestwo mieczem, szczerbiącego bramy Kijowa i Pragi? Także obraz Ottona III sprowadza się do kilku kresek, jak w kiepskim komiksie. To dobrotliwy „Dobry Niemiec”, cesarskie chuchro chylące czoło przed piastowską krzepą. Źródła historyczne przeczą jednak tym imaginacjom. Dają świadectwo niepokojącym zamysłom... A ja boję się fanatyków. Bez względu na to, jaki znak noszą ich armie i czyjej produkcji bronią się posługują. Czuję przed nimi lęk, nawet gdy ich ciała zmieniają się w pył od prawie tysiąca lat. Bo fanatyzm w służbie świetlanych idei jest dżumą ludzkości. Unoszone monsunami historii bakcyle przyjmują formę przetrwalnikową i czekają na sprzyjające warunki. I co najbardziej mnie przeraża, to fakt, że osiadają w umysłach każdego z nas, poszukujących odpowiedzi na podstawowe pytania: Kim, czy też Czym jest Bóg i Czym my dla Niego jesteśmy?*

*Żywię nadzieję, że siły utrzymujące nasze umysły — nasze światy — w delikatnej równowadze, nigdy nie zawiodą. Jednak nadzieja to zbyt krucha konstrukcja, by wytworzyć poczucie bezpieczeństwa.*

*Tadeusz Oszubski*

# Interregnum



# Prolog

Krzyknął i zacisnąwszy palce na okrywającej go pozłocistej kapie poderwał się, siadając w łożu. Senne otępienie znikło niczym poranny opar rozdarty uderzeniem wiatru. Przetarł wierzchem dłoni spocone czoło i wezwał kleryka przydanego mu na noc do posług, a czuwającego w sąsiednim pomieszczeniu. Odpowiedziała mu cisza.

Gniewnym ruchem odrzucił drogocenną narzutę i spoczywającą pod nią wełnianą kołdrę. Odziany tylko w lnianą nocną koszulę poczuł wiosenny chłód, zalegający w tę piątkową noc pośród grubych, kamiennych ścian. Skórę miał wilgotną i lepłą od potu. Zadrzał z zimna. Czując rosnące rozdrażnienie wstał i wsunąwszy stopy w miękkie skórznie sięgnął po przerzucone przez oparcie bogato rzeźbionego krzesła ciepłe okrycie z bobrowego futra. Krew zaczęła szybciej krążyć i dreszcze minęły.

Poruszając się niespiesznie zapalił świecę z najprzedniejszego wosku, po czym zajrzał do sąsiedniej komnaty. Tam zaś chłopiec w szarej, sukiennej szacie, wyznaczony, by tej nocy czuwać nad Ojcem Kościoła, spał na rozciągniętym na marmurowej posadzce wzorzystym, wschodnim kobiercu, wsunąwszy przedramię niczym poduszkę pod policzek. Starszy mężczyzna, widząc to uśmiechnął się ze smutkiem i wrócił do alkowy. Tam odsunął jedną z kotar, pchnął ramę witrażowego okna — osadzone w ołowiu kawałki grubego, barwnego szkła zalśniły w blasku świecy niczym klejnoty.

Wilgotne, zimne powietrze napływające do komnaty zdawało się wymiatać resztki niezdrowych miazmatów snu. Snu? Koszmarnej wizji raczej, z niepokojącą konsekwencją nawiedzającej go już od kilku miesięcy. Postawił lichtarz na marmurowym parapecie i oparł łokcie na lodowatym kamieniu. Zanurzył głowę w przepastny wykusz okna.

W oddali, wokół Wzgórza Awentyńskiego, pośród ruin pełgały ogniska biedoty. Jedyńm trwałym, sensownym kształtem w tym królestwie rozkładu, śmietniku romańskiego imperium widzianym z okna papieskiej sypialni, był wieńczący Awentyn klasztor św. Aleksego i pospiesznie wznoszona w jego pobliżu rezydencja cesarska.

Powiódł wzrokiem wzdłuż linii akweduktu. Budowla, niczym guzowaty, smoczy grzbiet ciągnęła się od Awentynu po przypominające zniszczony plaster miodu Koloseum, imponujący ślad niegdysiejszej potęgi imperium, zamieszkały teraz przez legion najgorszych szumowin — żebraków, złodziei i ładacznic — nie dający się ujarzmić ani znakiem krzyża, ani mieczami i pałkami miejskich straży. „Oto dzieła ludzkie upadają. Czas, rozpad, zgnilizna — przejawy woli i obecności Szatana — niweczą wszystko, co nie jest naznaczone stygmatem bożym” — znów, choć nie sprawiało mu to przyjemności, wrócił myślą do snu. Przerazał go swą tajemniczością i konsekwencją, niosąc przez jakże wiele nocy miast wypoczynku chorobliwą malignę.

Objawiające się w powietrznej pustce gigantyczne, kamienne ściany budowli osaczały go, spoczywającego w bezruchu na posadzce. Zniewolony, widział chaotycznie krzątające się wokół postacie, wznoszące w dziwnie niechlujny sposób mury świątyni. Trzy groteskowe, na wpół ludzkie, na wpół zwierzęce istoty miesiły zaprawę z krwi i złota, obrabiały głązy i układały je bez wysiłku, ale i bez wyraźnego planu, coraz wyżej, póki szczyty wież nie poczynały nurzać się w obłokach. Muratorzy o głowach Lisa, Wieprza i Małpy — iż była to małpa, Sylwester II był absolutnie pewnym, bo widział to stworzenie przed laty w zwierzyńcu klasztoru Saint Gallen — układali



ostatnie kamienie, tworząc z nich nieforemną kopułę. Wówczas, jak zwykle dochodziło do kulminacji. Budowla zaczynała walić się w gruzy, a kamienny rumosz przysypywał śniącego, obserwującego dotąd wszystko z poziomu posadzki.

Ruiny spowijał gryzący gardło, wapienny pył. Potem nieodmiennie nadciągały fale mgły, a wśród nich objawiała się mroczna postać bez twarzy. Milcząca, zdająca się obserwować Sylwestra II ze wszystkich stron jednocześnie.

Wiosenna noc ochłodziła rozpalone czoło, wygasła emocje. Jednej myśli nie potrafiła jednak zatrzeć w umyśle mężczyzny, słów Jana Eriugeny, Szkota dwakroć wyklętego przez biskupów Kościoła Chrystusowego. Słów nawołujących do powrotu człowieka ku Boskiej Światłości, do roztopienia się w Bogu. Słów, które Otton III, dwudziestoletni młodzieniec będący de nomine władcą chrześcijańskiego świata, zamierzał obrócić w czyn.

Cesarz bawił teraz, tkając nieustannie swą sieć, w Sclavinii, u Bolesława, księcia na wpół pogańskiego ludu...

Czy jednak potępienie Eriugeny na synodach w Valenciennes i Langres rzeczywiście było bezpodstawne? Zatrważające, w jaki sposób ten chłopiec w purpurze interpretuje słowa martwego już od stulecia z górą myśliciela. Zdawało się, że ukryte są w nich skorpiony zadające podstępne ciosy, aż jad nieuchronnie przeniknie całe ciało myśli, każdy mięsień i nerw umysłu wyrafinowanie wykształconego, lecz może i skażonego już tchnieniem obłędu.

Dostojnikiem znów wstrząsnęły dreszcze. Pospiesznie zamknął okno i zgasiwszy świecę spróbował zasnąć ułożywszy się w wilgotnej od potu pościeli. Ukojenie jednak nie nadchodziło. W tak przygnębiającym nastroju papież Sylwester II witał zbliżającą się Wielkanoc roku tysięcznego.

## Rozdział pierwszy

Do Ratzbony było jeszcze dobrych dziesięć mil. Michael zakasłał i przetarł dłonią spoconą twarz, na której osiadła gruba warstwa pyłu. Czerwiec był tak upalny, że Wyżyna Bawarska przypominała mężczyźnie rozgrzaną latem, do białości Sierra Morena. Trudno mu było opędzić się od takich skojarzeń, wszak spędził tam osiem lat, być może najlepsze dni swojego życia, mimo podłej kondycji niewolnika.

Poklepał wilgotny grzbiet gniadego, wychudzonego wierzchowca i sięgnął po bukłak z wodą. Unosił go już do ust, gdy ujrzał przed sobą grupę mężczyzn stojących na środku brudnożółtej wstęgi gościńca. Natychmiast zrozumiał znaczenie konfiguracji zastygłych w rozgrzanym powietrzu sylwetek. Nieraz był już świadkiem takich scen. Odruchowo ściągnął wodze idącego stępa wierzchowca i przelknąwszy nieco cuchnącej diegciem wody, zdecydowanym ruchem zawiesił bukłak przy siodle. Z juków wyjął zniszczoną, sięgającą ledwie za pas kolczugę i wciągnął ją na kaftan, po czym dobywszy niemieckiego miecza, którego długość i ciężar uważał od lat za najwłaściwsze dla białej broni, dźgnął wysłużonego konia ostrogami w zapadnięte boki. Wkrótce znalazł się na tyle blisko, że mógł już gotować się do ataku.

Pięciu mężczyzn otaczających dotąd samotnego duchownego, odzianego w brunatną szatę, usłyszawszy tętent drgnęło, po czym zwróciło twarze ku nadjeżdżającemu rycerzowi. Jednego z nich, z napiętym łukiem w dłoniach, zawiodły nerwy i pochopnie wypuszczona strzała minęła głowę jeźdźca o dobry łokieć. Pozostali zdawali się wahać, czy podjąć walkę — nie zastanawiali się jednak nazbyt długo. Nim kopyta wstrzymanego silnym ramieniem rumaka zaryły się w wyschłej na pieprz glinie, rabusie zdążyli czmychnąć i rozproszywszy się, zniknęli w gęstych chaszczach porastających obie strony gościńca.

Michael gwałtownym ruchem odkrył głowę — misiurka rozgrzała się już na słońcu i zaczęła dawać się rycerzowi we znaki, bo w pośpiechu nie zdążył założyć sukienego czepca. Schował miecz i w kilka chwil uspokoił konia, usiłującego w podnieceniu tańczyć na zadnich nogach. Dopiero teraz Michael mógł uważniej przyrzeć się człowiekowi, któremu zapewne uratował życie.

Mężczyzna w brunatnej szacie nadal stał w bezruchu, jakby to, co wokół niego się działo, nie było groźną rzeczywistością. Pełen spokoju uśmiechnął się do rycerza, wbijając spojrzenie w jego twarz. W tej właśnie chwili Michael zrozumiał, dlaczego rabusie tak długo wahali się przed zaatakowaniem samotnego, nieuzbrojonego człowieka. Także odczuł siłę bijącą z tego spojrzenia, zdając sobie sprawę, że zetknął się z potęgą woli, jakiej istnienia dotąd nawet nie podejrzewał, choć spotykał na swej drodze wielu możnych tego świata. Z nadmiaru emocji poczuł zawrót głowy, pochylił się nad końskim karkiem i z trudem panując nad sobą zsunął się niemrawo z siodła.

— Dzięki ci, rycerzu, za obronę — duchowny powiedział to dziwnie miękkim głosem. Wskazał przy tym na końskie juki z juchtowej skóry, obciążające jego lewe ramię. — Rzeczywiście niosę skarby, lecz ci zbójcy nie widzieliby, co z nimi uczynić.

Michael przyjrzał się uważnie kształtowi, jakiego nabrały skórzane sakwy, i domyśliwszy się ich

zawartości, czując się nadal podle, stwierdził jednym słowem:

— Księgi.

— Tak, rycerzu — mężczyzna w brunatnej szacie zdjął wreszcie brzemię z ramienia i położył na gościńcu. — Jestem Johannes, geometra w służbie ojca Poppona, biskupa Krakowa. To miasto w Sclavinii, rycerzu. Nasza droga wiedzie z klasztoru w Saint Gallen.

— Wybacz, ojcze Johannesie, że brak mi ogłady, zważ jednak, że ostatnie osiem lat spędziłem w niewoli mauretańskiej i od nowa uczę się chrześcijańskich obyczajów — powiedział jeździec, ściągając jednocześnie ciężką, rozgrzaną kolczugę. — Nazywam się Michael de Tignonville z hrabstwa Tuluzy. Przed dwoma tygodniami wyruszyłem z Akwilei, gdzie powiedziano mi, że Saksonowie i Dunowie gotują się, by wyruszyć na pogan. Zamierzają nawrócić lud Ranów i oddać Rugię we władanie Kościołowi Chrystusowemu.

— Czyż to nie dziwne, rycerzu de Tignonville, że tuluzańczyk zamierza nawracać Sclavinów? Wszak zwykle ścieraliście się z Maurami.

Johannes znów uśmiechnął się i skupiając na rycerzu przenikliwe spojrzenie, dodał:

— Widać w długoletniej niewoli zetknąłeś się nie tylko z wrogami.

Michael nie miał zamiaru rozwijać tego tematu i wołał, by mnich poprzestał na domysłach. Czyż mógł ten klecha, ten mól książkowy zrozumieć cokolwiek ze wspomnień niosących zapach włosów i gładkość skóry Miriam, córki żydowskiego kupca z Kordoby, z zachowanej do dziś głęboko w sercu mądrości słów i uczynków kadiego Ali ad Dina, przyjaciela, choć przy tym pana życia i śmierci niewolnika, którym był wówczas Michael? Czy Johannes był w stanie czuć to samo co młody mężczyzna, który tylko dzięki nieprawdopodobnej dobroci swego dziadka, pana na Tignonville, mógł podawać się za szlachcica? Wszak niewielu jest rycerzy mających szalone matki, twierdzące, że to nie człowiek, a oślepiający błysk światła zasiał życie w ich dziewiczych łonach, rycerzy nie potrafiących podać imienia swego ojca.

Michael przetarł spoconą twarz rękawem kaftana, sięgnął po bukłak i upiwszy trochę wody, podał go Johannesowi. Patrząc na promieniejącą siłą, dziwną twarz i otchłanne oczy geometry, poczuł niepokój. Przemknęło mu przez myśl, że może rozterki, ból i gniew nie były mu obce.

## Rozdział drugi

Ciemnowłosa, delikatnej budowy mężczyzna w purpurowym płaszczu spływającym z ramion, usiadł na kamiennym tronie. W uniesieniu powiódł wzrokiem po czaszy sklepienia kaplicy akwizgrańskiej. Unosił się tam na tronie władca świata, zapowiedziany przez Objawienie św. Jana, otoczony dwoma tuzinami starców składających mu w ofierze swe królewskie korony. Wielobarwna mozaika pokrywała wnętrze kopuły, która swą złudną perspektywą przydawała postaciom pozorów realności. Musnął palcami oparcie tronu i poczuł chłód gładkiego kamienia, namacalnego dowodu, że wybrał słuszną drogę. Znak boży... Oto ziszczały się jego marzenia...

Od wejścia do kaplicy, za jego plecami, niósł się stłumiony pogłos kroków. To nadchodził jeden z jego sekretarzy. Niepotrzebnie. Płoszył myśli, tłumił słodki i metaliczny zarazem smak triumfu. Nie podnosząc głosu, jednym słowem Otton odprawił intruza.

Pochylił się i spojrział w mroczną otchłań, wejście do krypty, ziejące pośród stosów barwnych, kamiennych kostek mozaiki wydartych z posadzki. Odnalazł skarb. Kolejny znak...

Pierwszym było widzenie, którego dostąpił przed czterema laty. Udał się wówczas, wraz z biskupem Worms do świętego Nila, by tam, na sposób świętych eremitów, w grocie sąsiadującej z kościółkiem wykutym w szarej skale, oddawać się modlitwie. Dziesiątego dnia odosobnienia, odziany tylko we włosiennicę, wycieńczony długotrwałym postem, z trudem odróżniający sen od jawy w wyniku nazbyt długiego czuwania, rozważał słowa Jana Eriugeny, którego idee o władnęły nim już przed laty. Jakże bliskie były myśli tego filozofa doktrynie ojców kościoła, głoszącej, że władca ziemski składając swe insygnia Bogu w ofierze, nie gdzie indziej a na samej Golgocie, przybliży nadejście Królestwa Bożego. W takiej właśnie chwili, gdy umysł rozżarzony był szalonymi, niejasnymi jeszcze przeczuciami szesnastoletniego chłopca, z głębi groty nadpłynęła mgła, wilgotna i gęsta, rozjarzona nieziemskim światłem. Ottonowi zdało się wówczas, że ujrzał pośród niej wysoką postać, a raczej cień człowieka odzianego w powłóczystą szatę, który wyciągnął ku niemu dłoń, zapewne w przyjacielskim geście. Po kilku uderzeniach oszalałego wzruszeniem serca obraz znikł. Pozostało jednak ziarno kiełkującej pewności, że to właśnie on, Otton, syn Ottona i Teofano, naznaczony został do wielkich czynów. Spędził w grocie jeszcze kilka dni, jednak widzenie nie powtórzyło się. Od tego czasu kilkakrotnie wracał w snach do wyrytej w pamięci wizji.

Później wypadki potoczyły się tak szybko i po myśli Ottona, że pewności, iż tkwi w tym palec boży, nic nie było w stanie zachwiać. Bo oto zmarł nagle papież Jan XV, co umożliwiło osadzenie na tronie Piotrowym niewiele starszego od Ottona jego krewniaka — Brunona z Karyntii. Ten z kolei, przybrawszy imię Grzegorza V, wkrótce uroczyście ukoronował Ottona III na cesarza. Wówczas to wizjoner w osobie szesnastoletniego młodzieńca został legalnym władcą chrześcijańskiego świata.

Nie obyło się też, rzecz jasna, bez przeciwności hartujących wolę Ottona niczym stal. Wielu panom niemieckim nowy władca był nie w smak i próbowali czynić wiele zła, by się go pozbyć. Największy jednak zawód sprawił cesarzowi Jan Filagatos. Ów preceptor Ottona, którego śladów na drodze pogłębienia wiedzy cesarz nie byłby w stanie wymazać, okazał się zdrajcą. Było to tym

boleśniejsze, że przecież wiódł umysł Ottona od *Etymologu* Izydora z Sewilli, poprzez Jana Eriugę, przechowywane w Remis czy Bobbio rzadkie odpisy dzieł Cezara, Tytusa Liwiusza, Swetoniusza, aż po *De Consolatione* Boecjusza. Jednak gdy poznał plany Ottona, w oszołomieniu zaczął przytaczać argumenty godne biskupa Wilfritha z Yorku, który z obawy przed siłami nieczystymi co wieczór brał kąpiel w wodzie święconej. Jan Filagatos wprost oskarżył władcę świata o uleganie wpływom Szatana! Mało tego — widząc niezłomność woli szesnastoletniego młodzieńca, zaczął paktować z Krescencjuszami, jego śmiertelnymi wrogami.

Filagatos, obwołany przez łajdaków — choć Grzegorz V nadal zasiadał na Piotrowym tronie — papieżem Janem XVI, nie cieszył się długo ze swego tytułu. Wkrótce dosięgła go sprawiedliwość boska w postaci zwycięskich wojsk cesarskich. Oślepiiony, z obciętym nosem i uszami, ku ucieście gawiedzi oprowadzany na grzbiecie osła po ulicach Rzymu, zrozumiał swój błąd. Zbyt późno. Wkroczył wszak na drogę, z której nie wraca się nigdy. Niewiele czasu minęło i Filagatos, pod czujną opieką morzącego go głodem Grzegorza V, skonał w lochach ciągnących się pod Awentynem.

Opatrzność nadal czuwała nad Ottonem III. Umierając nagle, w wieku dwudziestu siedmiu lat, odchodzi Grzegorz V, krewniak i jakże użyteczne narzędzie. Nie zachwiało to jednak fundamentami budowli wznoszonej przez cesarza, bo oto na miejsce Brunona gotów już jest wspaniały następca. To najbardziej wykształcony człowiek w chrześcijańskim świecie — Gerbert z Aurillac. Szalony wspólnik planów opromienionych prorocstwem św. Jana.

Cesarz poruszył się niespokojnie. Chłód bijący z krypty, w której przez stulecia spoczywał sarkofag z ciałem Karola Wielkiego, mógł stać się niebezpieczny dla zdrowia. Otton nie mógł teraz pozwolić sobie na uleganie chorobom, które tak dojadły mu już od wczesnego dzieciństwa. Westchnął głęboko i położył na kolanach trzymany dotąd w znużonych ciężarem ramionach ewangeliarz, zdobiony kunsztownymi miniaturami, dar wiernego stronnika, opata Liuthara z klasztoru Reichenau. Musnął palcami tabliczkę z kości słoniowej z reliefem przedstawiającym zaśnięcie Marii, którą przed laty dostał od swojej matki, a teraz kazał umieścić w oprawie księgi.

Oto misternie rzeźbiona postać Jezusa z duszą Matki Bożej w ramionach — symbol więzów, tej tajemnej zależności. Otton potrafił to odczuć. Wszak to Teofano pierwsza uzmysłowiła mu jego przeznaczenie. Wszystkie jej rady okazały się słusznymi. Teraz, otwierając ewangeliarz i zatrzymując spojrzenie na wersach Apokalipsy, które wszak i o nim mówiły, z dreszczem niepokoju przypomniał sobie jeszcze jedną z rad matki. Powiedziała kiedyś, i to doskonale wryło mu się w pamięć, że największym wrogiem władców jest czas, niweczący częstokroć najgenialniejsze plany. Starość, zniedołężnienie, śmierć nie mogą go zaskoczyć — to Otton przyrzekł już sobie przed laty. Został wybrany i nie może zawieść!

Jakże drażnili go ci głupcy! Musiał bezustannie czuwać, by w swej nieświadomości nie pokrzyżowali jego planów. Zarówno Robert, król Francji, jak i Bolesław władający sporym obszarem Sclavinii, myśleli tylko o własnych, doczesnych zyskach. Doskonale impregnowani na ideę, której oddał się Otton, wdawali się w wojny, rozszerzali włości i chętnie wyciągając ręce po przywileje, w zamian zbywali cesarza nic nie znaczącymi obietnicami. Robert nie raczył nawet przybyć do Akwizgranu, by stać się świadkiem uroczystego wydobywania szczątków Karola Wielkiego. Przysłał w swoim zastępstwie jakiegoś niewiele znaczącego hrabiego. Bolesław z kolei, choć skorzystał z zaproszenia, to jedynie po to, by powołując się na przyjaźń i oddanie, uzyskać od cesarza jak najwięcej dla swego rosnącego państwa. Nawet dar w postaci tronu wydobytego z krypty, chłodnego marmurowego siedziska, którego twardość Otton był właśnie władny odczuć, nie nakłonił

Bolesława do poddania się planom cesarskim. Wyraźnie nie w smak było mu wyruszać do Ziemi Świętej, by wydrzeć Maurom Jerozolimę i chronić swym mieczem cesarza i papieża, mających tam wydać ludzkość na Sąd Boży. *To drapieżne zwierzę, pragnące wyrwać, ile się zmieści w pysku, by z łupem powrócić do swej nory* — pomyślał władca świata — *zapewne świadom jest, że nuworysz nigdy nie stanie się partnerem wielkich, skazany na rolę narzędzia. O tak, to chytre zwierzę, butne i przebiegłe.*

Otton zacisnął dłoń na zwieszającym się z szyi ciężkim krucyfiksie z kutego złota, znalezionym wśród prochów twórcy cesarstwa. Oto kolejny znak! Symbol władzy godny złożenia na szczycie wzgórza, tam gdzie Chrystus oddał za ludzkość swoje życie. I gdzie ludzkość winna, w akcie wiary i nadziei, ofiarować się Panu.

## Rozdział trzeci

Wbił zakrzywione niczym szpony, porażone kurczem palce w wilgotny, szorstki piasek plaży. Nie zdając sobie jeszcze w pełni sprawy z ocalenia, konwulsyjnie poderwał się, targnął całym ciałem i przetoczył się poza linię przyływu. Spróbował unieść wyżej głowę, by nareszcie zaczerpnąć tchu, jednak wymagało to zbyt wiele wysiłku. Zrezygnowany, wtulił więc policzek w rozgrzany słońcem, krystaliczny pył. Oddychał płytko, urywanie, lecz nie uchroniło go to przed zakrztuszeniem się drobinami nadmorskiego piasku. Nagły paroksyzm kaszlu rozdarł piersi. Ból był tak potworny, że Michael odzyskał pełnię świadomości i uklękawszy zwymiotował słoną wodę, obciążając dotąd żołądek. Potem uniósł twarz ku słońcu i chłonał całą po—wierzchnią skóry pieaszczotliwe, ciepłe muśnięcia łagodnego powiewu. Zmuszając się do wysiłku wstał, odwracając się plecami do fal, nadbiegających z morskiego bezkresu, i ruszył chwiejnym krokiem po piaszczystym zboczu. Zataczając się, brnąc po kolana w miążkwej tkance wydmy, nadludzkim zrywem woli wspiął się na wzniesienie. Tam jednak ciało poddało się i upadł twarzą w piekący, rozgrzany już południowym słońcem piach.

Wokół, jak okiem sięgnął, otaczała go żółtawa, odarta z życia pustać. Równie groźna, jak mordercza otchłań morza, z której tak niedawno udało mu się wydostać. Zamknął oczy, zbierając siły i walcząc z obezwładniającą rezygnacją.

Wyruszył, by walczyć z poganami, ale jak dotąd było mu dane zmagać się nie z ludźmi, a z żywiołami, ni razu nie dobywając miecza. Drakkar okrutnych duńskich krzewicieli chrystusowej wiary uległ sztormowi wkrótce po wypłynięciu z portu w Schleswigu, gdzie i Michael wszedł na jego pokład, po czym niesiony potęgą wichru roztrzaskał się, Bóg jeden wie, ile mil na wschód od Rugii, gdzieś na pogańskim wybrzeżu Pomorza.

Osamotniony, chłodny i spragniony rycerz z Tuluzy nie mógł mieć nadziei na ocalenie. Fale morskie wyrzuciły go na brzeg bosego, w podartych spodniach i lnianej koszuli. Za broń, niczym dzikiej bestii, mogły mu służyć jedynie ręce, nogi i zęby. Wśród bezkresnych wydm, gdzie czołgał się teraz z nieludzką determinacją, nie mógł liczyć w potrzebie nawet na zaciśnięcie w dłoni przydrożnego kamienia, czy ułamanej w pośpiechu gałęzi. Był zdany na swój los — nieodgadnione wyroki boże. Wkrótce wysiłek znów zmienił uładzony tok jego myśli w chaotyczne postrzeganie okru—chów otaczającego go świata. Ciało Michaela — bezrozum—na machina z mięśni, ścięgien i kości — pełzło niczym robak przez sypki, żółtawy pył. Umysł stał się odrębnym bytem, balansując na granicy jawy i snu.

Dzień dobiegł końca, nastąpiła noc, on jednak nadal parł, byle dalej od morskiego brzegu, niczym zwierzę instynktownie wyczuwając strony świata i nieomylnie zdążając na południe. Gdy wreszcie wyrwał się żywiołowi wydm, docierając do pasa krótkiej, szorstkiej darni, na chwilę odzyskał świadomość — choć równie dobrze mogło to być urojeniem. Zdało mu się wówczas, że nad jego umęczonym ciałem pochyła się jakaś świetlista istota, by nakarmić go i napoić. Później znów opona szarej mgły spowiała umysł, któremu zdało się, że nad mrocznym horyzontem wykwitł opalizujący

obłok. Rósł on, przybliżał się, aż przybrał kształt unoszącego się pod sklepieniem nieba starca o mlecznobiałej brodzie, nad którego głową promieniała słoneczna tarcza. Obok starca, zdającego się emanować boską mocą, ukazała się młoda, nieskończenie piękna kobieta tuląca w ramionach srebrzystą rybę o głowie uśmiechniętego niemowlęcia w cierniowej koronie. Ta urokliwa istota, sięgająca ledwie do piersi niebiańskiemu starcowi, wspierała swe drobne stopy na sierpie księżycy.

Michael przetarł załzawione oczy i skoncentrował wzrok — o ile to we śnie jest w ogóle możliwe — na pełnym potęgi i chwały obrazie. Spozstrzegł wówczas jeszcze dwie nieziemskie istoty krążące wokół boskiego wizerunku. Skrzydlatą, opierzoną bestię o jaszczurczym ciele, miotającą we wrogów pękami piorunów, i świetlistą, przypominającą człowieka postać o łabędzich skrzydłach, z ognistym mieczem w dłoni. Zaraz potem umysł Michaela zapadł się w bezdenną otchłań omdlenia.

Ocknął się następnego dnia w chacie rodziny smolarza, żyjącej niczym dzikie zwierzęta w przepastnej kniei, wśród społeczności z rzadka tylko wdającej przybyszów. W ich sercach tkwiła jednak dobroć i ulitowali się nad cierpieniem znalezionej w lesie nieznanego. Choć nie mogli się z nim porozumieć, jednak przygarnęli i odkarmili Michaela, sporządzili mu kaftan z wiewiórczych futerek i mocne buty z wyprawionej jeleniej skóry.

Być może rycerz zostałby wśród nich dłużej — myśli o krucjacie wśród Sclavinów szybko przestały zaprzętać jego umysł, wszak widział, że smolarz mimo oddawania czci bożkom gnieźdzącym się w prastarym dębie, w głębi duszy przepojony był dobrem godnym prawego chrześcijanina — jednak niepokoił go powtarzający się co noc sen, w którym dziwne lecz przyjazne istoty nakazywały mu niezwłocznie udać się na południe. Zdawał sobie sprawę, że zapewne popada w szaleństwo, że może nawet staje się igraszką Szatana. Nie widząc jednak innego sposobu na pozbycie się nocnych widziadeł, podjął ryzyko i w końcu września, zdając się na Opatrzność, wyruszył przez porośniętą gęstymi lasami, obfitującą w jeziora krainę, tak jak nakazywała mu wizja — na południe.

Mijały tygodnie, a on, rycerz z hrabstwa Tuluzy, o umyśle rozbudzonym w dzieciństwie przez benedyktyńskich mnichów w ich przyklasztornej szkółce, a później gładzonym lekturami i uszlachetnianym rozmowami z mauretańskimi bibliotekarzami i tłumaczami, długimi dysputami z kadim Ali ad Dinem, wędrował przez obszary, których nie tknęła dotąd ludzka stopa i wiódł żywot godny dzikiego zwierza. Znów wspomnienia i bieżące wypadki, jawa i sen, stawały się jednością a Michael szedł na południe, uzbrojony jedynie w prymitywną, własnoręcznie wykonaną włócznię i niezłomną wolę — choć trafiały się i chwile, w których poddawał się zwątpieniu, nie umiając sobie wytłumaczyć, dlaczego NAPRAWDE ulega presji nocnych wizji.

Po kilku tygodniach jawy i mileniach rozrastającego się imperium snu, dotarł wreszcie do granicy lasów. Przed nim rozpostarła się nizinna, pełna otwartych przestrzeni, zamieszkała już z rzadka kraina. Tam znów dały o sobie znać siły sprawujące pieczę nad jego krokami.

Zdrożony, zatrzymał się wówczas przy jednym ze strumieni, by ugasić doskwierające pragnienie. Z ulgą zanurzył twarz w chłodnej wodzie, jednak natychmiast poderwał się, po czym zastygł w bezruchu, nie zwracając uwagi na ściekające ze zmoczonych włosów strużki, płynące po zmartwiałej twarzy. Przed nim, oddalona zaledwie o kilka kroków, stała smukła, ciemnowłosa dziewczyna o smagłej cerze.

— Miriam — wyszeptał, wyciągając ku niej dłoń. Dziwny, pełen zmysłowości uśmiech wpełzł na jej usta, uśmiech, którego dotąd Michael nie znał.

— Miriam? — znów szepnęła, lecz teraz liczne pytania zaczęły ożywiać jego umysł.



W jakim to przedziwny sposób, w odludnej głuszy Sclavinii znalazła się ta wychowana w luksusie, wykształcona, o eterycznej duszy i wiotkim ciele córka żydowskiego kupca i bankiera z Kordoby?

Niepewnym ruchem, nie dowierzając własnym oczom wyciągnął ku niej dłoń, a ona natychmiast uściśnęła szorstkie, zabrudzone palce. Michael poczuł wówczas chłód przenikający od połamanych, zgrubiałych paznokci aż do serca, po głębię duszy. Przerażony chciał wyrwać rękę z mroźnego, obezwładniającego uścisku, jednak nie potrafił.

— Ty nie jesteś Miriam! — krzyknął i rozpaczliwie targnął ciałem, które zdawało się zastygać, przeobrażać się w kamień.

Odpowiedział mu ostry, bezlitosny śmiech — odgłos tysięcy tłukących się, kryształowych zwierciadeł.

## Rozdział czwarty

Gerbert z Aurillac, noszący od roku imię Sylwestra II, i tej nocy przeżył niepokojącą wizję. Jak zwykle Lis, Wieprz i Małpa, nieustannie wadząc się, wznosili bezładnie mury świątyni, a on, Gerbert, widział to i bezsilny nie mógł im przeszkodzić ani też pomóc. Leżał wciąż na posadzce, jak zwykle nie wiedząc kim, czy też czym jest w swoim śnie, co w dwójnasób wzmagало niepokój. Tej jednak nocy doznał pełni objawienia, i choć dotąd modlił się, by było mu to dane, nie poczuł radości. Bo w chwili, w której sklepienie zaczęło pękać i grad głazów runął na posadzkę, dusza Sylwestra II uniosła się lekka jak łabędzi puch i ujrzała to, czym zdawała się być w nękającym ją śnie — spoczywającym na posadzce Chrystusem rozpiętym na krzyżu. Nie była figurą rzeźbioną w drewnie, czy odlaną z kruszcu, lecz prawdziwym, ostatecznie martwym ciałem Zbawiciela. Martwym Kościołem Chrystusowym! A gdzieś w oddali, pośród tumanu mgły spowijającej gruzy, tkwiła bacznie obserwująca wypadki, mroczna postać zanosząca się teraz śmiechem pełnym nienawistnego triumfu.

— Boże! — załkał, przyciskając dłonie do oczu. — Panie, nie dawaj mi takich znaków. Moja dusza dość już cierpi! Nie znam przecież dotąd odpowiedzi, czy czyny i plany Ottona, które wszak wspieram, są miłe twojemu sercu Odsuń ten kielich gorzkiej niepewności...

Przerwał nagle, bo zdał sobie sprawę, że już nie śni, że siedzi zły potem w swoim miękkim łóżu i boleśnie, z jękiem pociera dłońmi twarz wilgotną od łez.

Zerwał się i podbiegł do okna. Odetchnął pełną piersią i ze skrucą skarcił się za grzech pychy. Wszak we śnie śmiał przybrać ciało Zbawiciela! Ogarnął go strach, bo zda—wał sobie sprawę, że sprawując władzę nad chrześcijańskim światem jakże łatwo, i początkowo niezauważenie, może przekroczyć granicę, za którą czeka już tylko mrok i ohyda potępienia. Odsunięcie od Pana!

Chciał zadać swojemu ciału ból, by krwawiło i kuliło się w fizycznej udręce, wiedział jednak, że to zbyt mało. Narzucił więc na wilgotny strój nocny opończę z popielic i szybkim krokiem, nie zwracając uwagi na zdziwione spojrzenie kleryka czuwającego w sąsiedniej komnacie, ruszył mrocznym korytarzem do kaplicy. Tam leżał krzyżem na lodowatej, marmurowej posadzce pragnąc żarliwą modlitwą pojednać się z Bogiem. Jednak słowa, płynące mechanicznie z ust, przez długi czas nie były w stanie uśmierzyć szalonego biegu myśli. Dopiero gdy przypomniał sobie słowa Johannes, protegowanego opata Poppona, poczuł ulgę. Ten zadziwiająco wykształcony geometra, który prócz skreślenia map i obliczenia wielkości obszarów przyłączonych do Kościoła Chrystusowego w Sclavinii, miał także do wypełnienia misję zleconą mu przez świętych mnichów z Cluny, w trakcie udzielonej Popponowi audiencji wdał się z Sylwestrem II w rozmowę. Szczególnie jedno zdanie — prócz może tych kilku o księgach Alchwarismiego i samego Gerberta, traktujących o kształcie świata i sposobach jego mierzenia — utkwilo w pamięci papieża. Oto w pewnej chwili, Johannes rzekł, iż ufa w szybkie nawrócenie ogromnych rzesz Sclawinów, bo ich władca, książę Bolesław żarliwie tego pragnie, a wszak niczym salamandra tańcząca w płomieniach oczyszczał swą duszę z grzechu pośród ognia przeciwności i niebezpieczeństwa, jakimi doświadczał go Pan, co uczyniło zeń prawego i

świętobliwego władcę. Sylwester II, podobnie jak cesarz, miał odmienne zdanie co do czystości intencji Bolesława, jednak słowa Johannesesa, właśnie w tej chwili oddawały stan jego duszy.

Być może ten uporczywie powtarzający się sen o posmaku herezji był próbą naznaczoną mu przez Pana. Wszak jest Namiestnikiem Bożym, cóż więc w tym dziwnego, że Pan upodobał sobie czynić z nim to, co niegdyś z Jakubem. A może z Hiobem?

Znów wrócił myślą do osoby geometry. Wizerunek jego twarzy tkwił we wspomnieniach niczym drzazga. Był pewien, że poznał go niegdyś, że spotkali się już. Lecz gdzie, kiedy? Wówczas postacie Lisa, Wieprza i Małpy, jakby przywołane rozmyślaniami, nadpłynęły z zanotowanego przez pamięć snu i wydobyły szczątki zdarzeń sprzed trzydziestu lat. Odkrył więc, że miało to miejsce w klasztorze Saint Gallen, na krótko przed tym jak objął katedrę w szkole biskupiej w Reims. Tak, tam właśnie, w klasztornym zwierzyńcu wspólnie przyglądali się figlującej małpce przywiezionej przez mauretańskich kupców z odległej Libii. Spoglądali na tę skrzywioną błazeńsko karykaturę ludzkiej twarzy i rozprawiali o kształcie świata nakreślonym przez Ptolemeusza. Tak, to było jedno jedyne spotkanie. Przed trzydziestu laty... W jakim więc sposób ów Johannes zachował młodzieńczą sylwetkę i twarz bez jednej zmarszczki?! I znów fala niepokoju zburzyła rodzącą się w umyśle harmonię.

Sylwester II przytulił policzek do kamiennej płyty posadzki i zaczął głośno, niemal krzycząc, odmawiać modlitwę.

## Rozdział piąty

Konie spłoszyły się i rżąc niespokojnie rzucały łbami. Dopiero po dłuższej chwili dały się okiełznać. Także dwaj mężczyźni, przydani Johannesowi jako przewodnicy i ochrona, uzbrojeni rycerze z książęcej drużyny, poczuli się niepewnie. Choć wyglądali na zahartowanych w bojach weteranów, rozglądali się dokoła podejrzliwie, kładąc przy tym dłonie na rękojeściach mieczy. Pospiesznie zwinęli obozowisko i dosiadając wierzchowców ponagli Johanna, by szybciej przytroczył swój bagaż do końskiego rzędu. Gdy tylko geometra znalazł się w siodle, natychmiast ruszyli dnem szerokiego parowu, na południowy wschód.

Johanna nie dziwiło ich zachowanie. On także wyczuł snujące się wokół, jakby niesione powiewem wiatru, fluidy zła.

Spodziewał się tego od kilku już dni, od owego snu zwiastującego starcie. Snu śnionego w mrocznym, sosnowym lesie, wkrótce po opuszczeniu Gniezna, gdzie biskup Poppon wraz ze swoją świtą pozostał, by konferować z arcybiskupem Ungernem nad kształtem czekającej go pracy misyjnej.

Johannes kilkakrotnie już doświadczył tego samego znaku. Po raz pierwszy wizja ta oładnęła nim, gdy wyruszył śladami mnicha iryjskiego, Brendana. Postać ta fascynowała go od chwili, w której wziął do ręki — jeszcze w Leodium — zniszczony przez czas manuskrypt *Vita Brendani*. Ten boży szaleniec stał się dla Johanna mistrzem do tego stopnia, że kilka długich, nudnych lat spędzonych w Lotaryngii, dokąd rzuciło go przeznaczenie, Johannes ubarwił spisując w dwudziestu dziewięciu rozdziałach własną wersję wypadków, tytułując ją: *Navigatio sancti Brendani*. Jak było mu wiadomo, dzieło to zostało przyjęte z niebywałym zainteresowaniem i po wielokroć kopiowane, dotarło do wszystkich zakątków chrześcijańskiego świata. A później... Cóż, nie pozostało Johannesowi nic innego jak pójść w ślady iryjczyka i wsiąść do kruchej łodzi.

Po wielomiesięcznej wędrówce pokonał przestwór oceanu, natykając się w drodze na niewymowne cuda i niebezpieczeństwa. Niektóre z nich zdawały się być wyjęte żywcem z traktatu o Brendanie, inne stały się nowymi, dotąd nawet nie przeczuwanymi doświadczeniami. Pokonawszy oceaniczny przestwór, gdzieś na krawędzi świata, wśród miedzianokórego ludu o dziwnych twarzach i obyczajach wyśnił swój pierwszy sen, poznał też moc i chwałę swych atrybutów. Zetknął się wszak ze złem w jego najczystszej, esencjonalnej postaci, co musiało doprowadzić do konfliktu i, siłą rzeczy, wywołało Przemianę.

Jakże wówczas wstrząśnięty był stanem, w jakim znalazły się jego przekształcone, mocarne ciało i dusza. Dzięki swym atrybutom odniósł zwycięstwo, rozumiał jednak doskonale, że był to tylko triumf w jednej spośród wielu bitew Nieustającej Wojny. Oszołomiony tym lud o płaskich twarzach i miedzianej skórze uwieczniał w złocie i kamieniu jego podobiznę w kształcie, jaki posiadał w wyniku Przemiany. Składali mu ofiary, wielbili go, popadli więc w bałwochwalstwo — musiał ich opuścić.

Jeszcze po wielokroć, wróciwszy do chrześcijańskiego świata, staczał bitwy z Ciemnością. Niektóre przegrane, znaczące jego duszę bolesnymi bliznami. Jakże wiele jest imion Mroku... Zapewne tyleż samo co imion Światłości i w tym Johannes pokładał nadzieję. Potykał się z wieloma

przeciwnikami, będącymi wszak mackami odrażającego, bezkształtnego potwora z otchłani Zła. Astaroth, Sheloshett, Satanael, Tezcatlipoca, Harah czy Czerw, wszystko to powłoki i miana oznaczające tę samą moc, porażającą dusze miazmatami zagłady.

Znów ten szalony sen... Starzec pełen chwały znów ukazał się wraz z kobietą nieziemskiej urody, unoszącą w ramionach istotę o ciele ryby i głowie małego dziecka uwiecznionej na skroniach cierniową koroną. Wokół nich unosiły się dwa ożywione symbole mocy w glorii swych atrybutów. Wężokształtny, o opierzonych skrzydłach, miotający błyskawice i świetlisty, unoszący się na łabędzich skrzydłach z ognistym mieczem w dłoni. Wizja oznaczała, że nadciąga kolejny dzień próby. Była ostrzeżeniem, że oto w tworzywie świata powstała rysa.

Johannes uniósł wzrok ku górze. Zapadała już noc, jednak towarzyszący mu dwaj przewodnicy najwyraźniej nie mieli zamiaru zatrzymać się. Było to dość ryzykownym posunięciem, jako że znaleźli się już na obszarze starych, zmurszałych gór, gdzie osypiska gładów i niespodziewane szczeliny w skalnej opoce mogły nieść śmiertelne niebezpieczeństwo. Zdając się na instynkt swego wierzchowca, puścił wodze. Nadal nie odrywał oczu od granatowej, rozgwieźdzonej sfery, bowiem nad horyzont weszło nowe ciało niebieskie.

Czuł, że cierpie mu skóra — to niepokój zatopił szpony w jego duszy. Wszak weszło Słońce Umarłych, czarne słońce, które jedynie nieliczni mogą dostrzec. Cała ludzkość, nieświadoma jego pojawienia się, może ponieść konsekwencje związanego z tym zagrożenia. Oto zaczął się czas bezkrólewia. Symbole traciły swą moc, a Światłość i Mrok uzyskały równe szansę.

Ostrzegł ich szelest, a potem łoskot toczącej się z urwistego wzgórza lawiny skalnego rumoszu. Wstrzymali niespokojne wierzchowce i wsłuchali się w odgłosy nocy. Już po chwili góry ucichły, z oddali jednak zaczął się nieść odgłos wielu końskich kopyt bijących o skalisty grunt. Wraz z nowymi dźwiękami nadciągnęła fala chłodnych, obezwładniających fluidów przerażenia. W tej, jakby zastygłej w bryłce bursztynu, straszliwie długiej chwili księżyc zdarł ze swego oblicza oponę chmur i zalał wyżynną, spękaną płaszczyznę sinym blaskiem.

Dwaj Sclavini jęknęli, owładnięci strachem i nakreślili na piersiach znak krzyża, po czym dobyli mieczy. Johannes zaś zsiadł z konia i wysunął się przed towarzyszy, by ocenić rozmiary zagrożenia. Wówczas z cienia rzucanego przez szczyt przypominający swym kształtem zdruzgotaną basztę wyłoniło się czterech jeźdźców na monstrualnych rumakach. Zbliżali się, jadąc stępa, a ich rynsztunek zgrzytał warkotliwie niczym czuryngi hordy pogańskich magów. Dopiero gdy znaleźli się w odległości dwudziestu kroków, blade światło księżyca w pełni objawiło Johannesowi ich ohydę. Oto nadjeżdżało Czterech Jeźdźców Ciemności. Każdemu z nich, sponad ramion wyrastała miast głowy naga czaszka spojona ściśle ze zbroją okrywającą całe, z kształtu ludzkie ciało, a uczynioną z kościanych i kamiennych płytek, złowieszczych amuletów z wrytymi na nich inskrypcjami bluźnierczych zaklęć. W opancerzonych dłoniach ściskali długie, krzemienne miecze o ząbkowanych ostrzach. Wierzchowce rycerzy ciemności, także okryte warstwą z kawałków kości i kamienia, pokrytych magicznymi symbolami, zdawały się być ożywionymi fragmentami skał. Parły do przodu niestrudzenie, ze złowieszczym szczękiem i zgrzytem, niosąc na swych grzbietach głód, zagładę dusz, bestialstwo i zarazę.

Sclawińscy przewodnicy nie potrafili dłużej wytrzymać nieznośnego napięcia i z krzykiem przerażenia, wbijając ostrogi w ciała oszalałych koni, ruszyli galopem na potwornych przeciwników. Ich odwaga mogła wzbudzać respekt, jednak nie zdążyli nawet skrzyżować mieczy z Jeźdźcami Ciemności — niemal natychmiast osunęli się z siodeł. Martwi, z duszami wydartymi przez Mrok.

Johannes także odczuł uderzenie fali jadu nienawiści, emanowanej przez koszmarnych przybyszy. Wówczas zaczęła w nim rosnać moc, jak zawsze, gdy w jego obecności Mrok objawiał swe istnienie, drwiąc ze Światłości. Przypominało to zadziwiająco konsekwentne działanie dwu kamieni magnetycznych, dążących ku zespoleniu — zderzeniu, które wobec ich kruchości stać się też mogło katastrofą, rozsypującą je w proch. Proces zadziwiającej transmutacji duszy i ciała został zainicjowany i nie było już od niego odwrotu.

Odrażające rumaki oddalone były zaledwie o kilka kroków, a miecze dosiadających ich bestii uniosły się w górę — Johannes dostąpił wówczas Przemiany i objawił się w nowej postaci, z atrybutem mocy, gotów do walki. Załopotały potężne skrzydła i jaszczurcze cielsko porośnięte szmaragdowymi piórami wzbiło się w przestworza. Ciśnięty spod nocnego sklepienia piorun przebił granatowy kryształ powietrza i poraził jednego z jeźdźców. Wśród gór przetoczył się grom, a pancerz z kości i kamienia rozsypał się w proch, objawiając absolutną pustkę swego wnętrza.

Od południowego wschodu zaczął się wówczas nieść przeraźliwy pisk i stado navii wypłynęło nagle z ciemności, tnąc ostrymi jak sztylety dziobami nowe ciało Johannesesa, szarpiąc je potężnymi jak paści na grubego zwierza szponami. Wijąc się z bólu, obciążony niezliczonymi kształtami wczepionych w niego bezlitosnych monstrów, uderzył ciężko o ziemię. Z trudem wypelzł spod oblepiających go gron zajadłych przeciwników i miotając wokół pękami błyskawic, wzniósł się znów pod kopułę nieba. Była to batalia, w której jak zwykle, żadna ze stron nie oczekiwała pardonu.

Dopiero tuż przed brzaskiem zastępy navii zostały zdruzgotane. Skorupy ohydnych jeźdźców spojone odrażającą magią także wkrótce pękły, zniszczone oślepiającymi gromami. Mżące światło księżycy rozlało się na stopionych żarem grudach obsydianu i kości, jedynych śladach po skrzydlatych upiorach nocy, jeźdźcach zagłady i ich rumakach. Johannes, poraniony, wyczerpany walką, upadł na ziemię. Ciało człowieka było zbyt kruche, aby uczestniczyć w tak potwornych zmaganiach; mimo ponownej Przemiany, ślad bólu i zmęczenia zawsze w nim osiadał.

Geometra jęknął i przewrócił się na wznak. Jego wzrok podążył ku czarnej tarczy Słońca Umarłych, niknącej wśród brzasku, nieśmiało rosnącej osnowy dnia. I wówczas, z jednej spośród kotlin rozsianych poniżej płaskowyżu, na którym stoczono bój, zaczęły sączyć się pasma mgły. Nadciągały bladą oponą, a wśród nich unosił się lekko kształt — mroczny, przypominający nieco ludzką sylwetkę.

— Czerw — szepnął pobladłymi wargami Johannes i z wysiłkiem wstał, by zmierzyć się ze znacznie niebezpieczniejszym przeciwnikiem. Monstra, które niedawno zniszczył, okazały się zaledwie forpocztą prawdziwie groźnych sił. Obawiał się, że wyczerpał już wiele z zesłanej mu przez Światłość mocy, jednak nie doszło do walki. Czarna postać rozplynęła się nagle wraz z sinym oparem. Johannes przez chwilę słyszał jej cichnący w oddali, złowieszczy śmiech. Było to ostrzeżenie. Wyzwanie?

## Rozdział szósty

— Z głębokości wołam do ciebie, Panie! Panie, wysłuchaj głosu mego! Nakłoń uszu swych na głos błagania mego! Jeżeli będziesz zważał na winy, Panie, któż się ostoi? — powtarzał za Psalmistą, klęcząc w kaplicy przed szczerozłotym, sadzonym karbunkułami krucyfiksem.

Modlił się żarliwie od północy, gdy zbudził się po niespokojnym śnie odbierającym siłę ciała i duszy. Jak zwykle, Sylwester II był w nim świadkiem nieskładnej pracy muratorów i kamieniarzy skrytych pod wszetecznymi larwami Wieprza, Lisa i Małpy. Gdy jednak nadeszła chwila zagłady świątyni i pośród gruzów postrzegł swą duszę jako krucyfixs z przybitym do niego rozkładającym się truchłem Zbawiciela, z wapiennej kurzawy wyłoniła się wysoka, odziana w szary habit postać geometry biskupa Poppona. W jaki sposób osoba ta trafiła do jego heretyckich snów, pozostało dla Sylwestra II zagadką. Prawdą było, że myślał o nim kilkakroć, za dnia, nigdy by jednak nie podejrzewał, iżby mogło to wywrzeć znaczący wpływ na nocne ułudy. Niemniej geometra ów pojawił się we śnie, pochylił i wydobył z rumowiska krucyfixs będący nadal Sylwestrem, po czym zaniósł go do alkowy i posadził w fotelu. Natychmiastowa zmiana kształtu zdawała się być czymś zwykłym, tak więc papież z przyjemnością zanurzył się w puchowych poduszkach, którymi wyściełane było jego rzeźbione krzesło, wsparł stopy na podnóżku i wdał się z Johannesem w dyskusję nad *Megale syntaxis* Ptolomeusza Klaudiusza, jak za owych młodzieńczych lat w Saint Gallen. Rozważali także doniosłość znaczenia traktatu o algebrze Maura Alchwarismi *O odtwarzaniu i przeciwstawianiu*, jak i nowe postulaty, które Sylwester II zawarł w swych dziełach, zarówno w *Geometrii*, jak i w *Liber de astrolabio*.

— Teraz, w wiele lat od napisania tych ksiąg, wiem, że częstokroć myliłem się — stwierdził papież, pogrążony w dziwnie melancholijnym nastroju. — Zbyt pochopnie wyciągałem wnioski i nie mogłem oprzeć się przed ukazaniem ich innym. To, że lubimy być nauczycielami innych, jest zapewne jednym z nieszczęść ludzkości.

— Tak, Gerbercie — odparł Johannes, podczas rozmowy unoszący się w powietrzu niczym łabędzi puch. — Niewiedza to prawdziwa plaga. Czyż ty i Otton nie dostrzegacie błędu w waszej interpretacji myśli Eriugeny? Popęlniacie go wszak z niewiedzy.

— Nie zarzucaj mi braku wykształcenia! — Sylwester II nasrożył się i zamoczył usta w pucharze wina, który pojawił się nagle w jego dłoni. — Kilkadziesiąt lat spędziłem na studiowaniu traktatów w zakresie logiki, filozofii i pozostałych sztuk!

— Nie posługuj się swym wiekiem jako argumentem, Gerbercie — odparł geometra przepływając na ukos alkowę i znacząc swój ślad wirującymi w powietrzu drobinami świetlistego pyłu. — Jestem wielokroć starszy od ciebie. A co do twoich studiów, wiem, że poświęciłeś się pracy z bezgraniczną zachłannością. Wszak sam pomagałem ci orientować się w zawartości katalogu liczącego czterdzieści cztery tomy, a sumującego blisko pół miliona dzieł zgromadzonych w bibliotece uniwersyteckiej w Kordobie. Tak, znam cię lepiej niż sądzisz, Gerbercie. To już nasze czwarte spotkanie. Któż wie, czy ostatnie?

Sylwester II nie okazał zdziwienia, był to przecież jedynie sen. Zaciekawilo go jednak, jaki, według geometry, błąd popełnił, popierając idee Ottona.

— Szalonego Ottona — poprawił go Johannes, najwyraźniej czytający umiejętnie w myślach papieża. — Cesarz głosi, iż dąży do osiągnięcia wolności duszy roztopionej w Bogu, zespolonej z Bogiem w Boskim Ładzie, a przecież postępuje przy tym skrycie, podstępnie, używając chytrych niczym miecza. Przypomina mi to, wybacz, że określe go zabawnym, *passus* z twej *Geometrii*, gdzie podważasz arystotelesowski podział ciał na lekkie i ciężkie, akceptując jednocześnie resztę poglądów tego mędrca. Wszak wówczas ruch planet i wszelakich ciał byłby niemożliwy! Wydzierając fragment z logicznej całości powodujesz, iż owa całość rozsypuje się w gruzy nie wytrzymując szczegółowej krytyki. Tak też jest i z Ottonem, który z Eriugeny wydobył jedynie słowa o dążeniu ku Bogu, rozpląnięciu się w Bogu, a resztę dzięki temu martwej doktryny pozostawia niczym truchło na żer ścierwojadów. Może nie jest jeszcze zbyt późno, by objawić ci prawdę... Wzeszło Słońce Umarłych, Gerbercie. Świat znalazł się w przełomowym momencie. Przypomina to tę nieskończoną krótką chwilę między wdechem i wydechem powietrza, w trakcie pracy twoich płuc, Gerbercie. Oto nadszedł czas *interregnum*! Któż wie, jakie siły mogą zostać wyzwolone błędnymi czynami wynikającymi z niewiedzy. Czy złożenie insygniów cesarskich na Golgocie ma stać się sygnałem wiodącym ku kataklizmowi? Jeśli tak, to zważ, że rozpęta się chaos, którego nikt i nic nie okiełzna. Potęgi, których istnienia nawet nie przeczuwasz, dokonywać będą krwawego podziału łupów. Wyobraź sobie, Gerbercie, że zaledwie garść wybrańców spośród całej ludzkości trafi pod skrzydła Pana, dostąpi obcowania z Światłością...

— Jest to teza godna rozważenia — szepnął Sylwester II. — Popełniane przez nas częste błędy dają ten pożytek, iż w końcu przyzwyczajamy się do myśli, że wszystko może dziać się inaczej, niż to sobie wyobrażamy.

— Zawsze ceniłem twój umysł, Gerbercie. Jesteś na właściwej drodze, bowiem rozsądek polega na tym, by zmieniać sądy, gdy zmieniają się przesłanki.

— Zaprezentuj mi więc, geometro, opata Poppona, owe nieznanne mi argumenty.

— Korzenie błędu mogą tkwić w odległej przeszłości, Gerbercie, a także w mylnym pojmowaniu wszelkich przejawów istniejącego świata. Zapewne znane ci są doktryny, zarówno ta, rozprzestrzeniająca się od dziesięcioleci na południu Królestwa Francji, jak i ta, tępiona przez cesarzy Bizancjum, a głoszona przez paulicjan. Doktryny mówiące o stworzeniu człowieka w jednym akcie, zarówno przez Boga, jak i Szatana. Światłość i Mrok zdają się tam być równymi sobie potęgami. Czyż to nie wywołuje w tobie uczucia strachu, iż może doktryny te obnażają prawdę aż po jej jądro? I czyż nie powoduje to, że ze strachu trzymasz się kurczowo dogmatów, do których straciłeś już serce? Ludzie zwykle kręcą się wokół własnego lęku, Gerbercie! — krzyknął Johannes, wypływając oknem i unosząc się nad Wzgórzem Awentyńskim niczym topolowy puch, kołysany wiatrem. — Czego boi się Otton?! Któż jest siewcą jego lęku?! Znajdź odpowiedzi na te pytania, Gerbercie! Wiele od tego zależy!

Alkowę, Rzym i cały świat spowiła mgła. Gęsta, wilgotna i lepka, nieprzenikliwa do tego stopnia, że papież nie mógł już dostrzec własnych dłoni. Jednak gdzieś w oddali majaczył niewyraźny kształt. Mroczna sylwetka... I niósł się szaleńszy śmiech, tłumiony odległością. Właśnie ten przerażający śmiech zbudził go.



## Rozdział siódmy

Z błękitnego, bezchmurnego nieba spadła pośród przesywającego świstu kula ognia. Nie był to zbląkany piorun, a rozżarzony do białości miecz, który wbił się w darń zaledwie o krok przed Michaeliem.

Ciemnowłosa dziewczyna, której szaty zapłonęły od gorąca bijącego z zesłanej z niebios broni, puściła dłoń mężczyzny i odskoczyła z nieludzkim skowyt. Wówczas dopiero rycerz, porażony dotąd nienawistną siłą, odzyskał wolną wolę i swobodę ruchów. Oszukańcza Miriam zaś przypadła do ziemi i w mgnieniu oka przedzierzgnęła się w ogromną, czarną sukę, szczerzącą lwie kły. Uniosła łeb ku górze i zawyła złowróźnie. Przenikliwy dźwięk uderzył o ścianę pobliskiego lasu i powrócił, bogatszy o chrzęst zbroi i stukot kopyt.

Niebo zasnuło się chmurami, a spomiędzy drzew wyjechało czterech rycerzy na opancerzonych rumakach. Michael zdrętwiał ujrawszy nagie czaszki przybyszów, ich zbroje ze spojonych w tajemniczy sposób płytek kamiennych i kościanych z wrytymi na nich bluźnierczymi zaklęciami. Piekielne rumaki parły naprzód, równie pozbawione życia i lekkości ruchów co maszyny obłąknicze. Za potępińczą watahą sunęła ściana brudnobiałej mgły.

Wówczas, jakby wykonując zapomniane czynności, nieświadom jeszcze, co z tego wyniknie, Michael sięgnął po wbity w ziemię, ostygły już miecz. Wyrwał klingę z gruntu, z szerokim zamachem wykonał kilka próbnych cięć i stwierdził, że trzyma w dłoni broń jeszcze doskonalszą niż najwyższej próby szable ze stali damasceńskiej, którym się napatrzył do woli w Domu Rzemiosł w mauretańskim Toledo. Wówczas odkrył, że ogarnia go uczucie niezwykłego spokoju, mimo zbliżającego się ku niemu, rosnącego w oczach ruchomego wizerunku grozy doskonałej. Poddając się impulsowi, uniósł w górę miecz, a ten rozgorzał białym światłem. Także dłonie, korpus i nogi Michaela stały się nagle żywym obłokiem blasku. Nie mógł widzieć swej twarzy, ale i ona promieniała w dziwny, pełen chwały sposób.

Wojownik z białego światła bez wahania wzbił się w niebo na wyrosłych mu z ramion, ogromnych, łabędzich skrzydłach, po czym spadł na karki potwornych rycerzy, siejąc pośród nich spustoszenie swym ognistym mieczem. Zaledwie chwila minęła od ich pojawienia się nad strumieniem, a już zdruzgotane puste skorupy z kości i kamienia, spojone dotąd bluźnierczą magią, zasłały okolicę zwęglonymi szczątkami. Nie był to jednak koniec bitwy, bo spośród koron gęstych, spowitych mrokiem drzew wyleciało stado odrażających stworów, będących odzianymi w plugawe kształty duszami porońców. Wówczas i powierzchnia strumienia zafalowała, by zgęstnieć jak miód. Wyrastać z niej zaczęły monstra o ludzkich kształtach, uczynione z przezroczyściego, lecz niczym żywa rtęć gęstego tworzywa — wody stężalej pod dotknięciem zła. Jednak wszystkie te istoty szybko uległy płomienistemu mieczowi.

Michael powoli opadł na darń i zmęczony wsparł się na rękojeści miecza. Wokół, w promieniu kilkudziesięciu łokci, poczerniała darń znaczyły kopczyki zdruzgotanych płytek, kilka ludzkich i końskich czaszek, wszystko, co pozostało z monstrów powołanych do istnienia zaklęciem mrocznego

zła. Jedyne ocalała z pogromu czarna suka ze skomleniem znikła już pośród grubych pni pobliskiego lasu.

Chmury rozpierzchnęły się, odsłaniając słońce chylące się ku zachodowi. Wiatr rozdarł tkwiącą dotąd pod lasem oponę mgły. Michael zaś spojrział na swoje jaśniejące dłonie i szepnął:

— Przebacz mi, matko!

Dopiero teraz, w chwili dokonywania się Przemiany, uwierzył słowom jedynej córki pana na Tignonville, twierdzącej, że nigdy nie obcowała z mężczyzną. Poczul żal, że nie może już podzielić się z nią swym odkryciem — że zgryzoty zmarła przed wielu laty w pohańbieniu. Jakże odmieniło się jego życie! Będąc świetlistym rycerzem, jednym aktem woli mógł objąć umysłem dziwne wypadki i pozornie splątane dotąd ścieżki swego życia. Nabral też dziwnej pewności, że starcie, w którym brał udział, inicjacja objawiająca mu jego moc i przeznaczenie, jest zaledwie próbą, drobną potyczką.

Uniósł ku ciemniejącemu już, wieczornemu niebu twarz, na powrót nabierającą ludzkich cech. Pośród wielu ciał niebieskich spostrzegł czarny, posępny krąg, ślący ku ziemi promienie strachu. To Słońce Umarłych, niczym odrażający płaz, wpelzało na nieboskłon.

## Rozdział ósmy

— Ojcze, ojcze...

Choć szept był cichy, na granicy słyszalności, niemniej nader irytował swą natarczywością. Sylwester II drgnął i ruchem ręki dał znać intruzowi, by pozostawił go w spokoju. Ten jednak nie ustępował. Papież oderwał się więc od *Księgi polityki państwowej Al-Farabiego*, traktatu sięgającego ku Platonowi i Arystotelesowi — czytał go w oryginale, próbując znaleźć u muzułmańskiego myśliciela choćby ślad odpowiedzi na dręczące go pytania.

Spiorunował wzrokiem przydanego mu do posług kleryka, jednak z konsternacją stwierdził, że nie przypomina sobie jego imienia. Młodzieniec z kolei skulił się, niczym pies oczekujący razów, jednak nie zamierzał ustąpić, bo znów szepnął:

— Ojcze! Cesarz Otton III prosi o audiencję. Już od kilku pacierzy czeka w komnacie rady.

Papież, z rezygnacją zamknął księgę dostarczoną mu przed tygodniem z Toledo i niechętnie wydał klerykowi polecenie. Ten nie zwlekał i zaraz rozwarł szeroko drzwi, by do alkowy wkroczyć mógł drobny, ciemnowłosy młodzieniec w purpurowym płaszczu.

— Woląłem nie czekać na oficjalną audiencję, ojcze — powiedział cesarz wysokim, miękkim głosem. Po czym odkrył poły płaszcza i w migotliwym blasku woskowych świec ukazał się wiszący na szyi Ottona ciężki, szczerozłoty krucyfiks. — Oto, co pozostawił mi Karol Wielki — stwierdził, świadomie nadając słowom patetyczne brzmienie. — Krzyż ten jest relikwiarzem, w którym spoczywa drewno z Krzyża Świętego, jeden z gwoździ, które przebiły ciało Pana naszego i cierń z Jego korony! Nadchodzi czas, gdy ziszczą się nasze plany, Ojcze Kościoła! Wypełni się wola Pana naszego!

— Twoja wola, Ottonie — szepnął Sylwester II.

— Przed laty, gdy szukałem swej drogi, otrzymałem znak od Pana — odpowiedział ostrym tonem cesarz. — Nikt nie odwiedzie mnie od wypełnienia tego trudnego zadania. Moja matka powtarzała po wielokroć, że jestem Porfirogenetą, jedynym godnym, by władać światem. Nawet Jan Filagatos, ten podły zdrajca, zgadzał się z nią w tej materii. Później dopiero, gdy zacząłem słowa przemieniać w czyny, stchórzył!

*Twoja matka — pomyślał papież, przymknawszy powieki — Teofano, urodzona jako córka karczmarza, morderczyni swego drugiego męża i kochanka własnego stryja, nie była niczym innym, jak ambitną ladacznicą. Jesteś zwierciadłem jej duszy, Ottonie. Spala cię żądza... Władzy? Nie, władzę już posiadasz. Raczej pragniesz zdobyć wieczną chwałę zarówno wśród ludu, jak i u Pana naszego. Czyżbyś pragnął za wszelką cenę stać się kimś wyjątkowym? Nowym Mesjaszem?! Lękasz się... Upadku? Pozostawienia po sobie znikomego śladu w ludzkiej pamięci? Może śmierci? Czego boisz się, Ottonie?*

Powróciłem dziś z Akwizgranu tylko po to, by osobiście wydać ostatnie polecenia memu wysłannikowi, nuncjuszowi Anzelmo i kapitanowi galery, którą wynająłem wraz z załogą u Wenecjan — ciągnął dalej cesarz. — Jutro odpłyną do Akki, a stamtąd emisariusze podążą do Jerozolimy, by

przygotować wszystko na nasze przybycie. Za trzy miesiące my także wsiądziemy na pokład, mój przyjacielu i mistrzu, by w święto Wielkiej Nocy, w Zmartwychwstanie Pańskie wspiąć się na Golgotę.

— Boję się — szepnął Sylwester II, zaciskając palce obu dłoni mocno, aż pobieliała skóra.

— To niegodne — odpowiedział cesarz z wyraźnym zdziwieniem w głosie. — Dotąd uważałem cię za męża wielkiej odwagi! — zamilkł na chwilę, po czym, już innym tonem powiedział — Maurowie nie będą w stanie nam przeszkodzić, wszystko otacza nader ścisła tajemnica. Później zaś... Cóż, będzie już po wszystkim. Czyż ponosząc, nawet gdyby do tego doszło, męczeńską śmierć, nie staniemy się milsi Panu?!

— Boję się zagłady, śmierci całych narodów, wojen. Końca tego, co mi dobrze znane — odparł ze szczerością w głosie, zamyślony Sylwester II.

— Wkrótce po tym nadejdzie Królestwo Boże!

— A jeśli nie nadejdzie? — szepnął papież, i ze zdziwieniem stwierdził, że w zastraszająco łatwy sposób dopuścił się najpotworniejszej herezji, świadczącej dobitnie, iż nie jest godnym, by sprawować rządy z niebotycznych wyżyn piotrowego tronu.

## Rozdział dziewiąty

Misja, którą opat klasztoru w Cluny powierzył Johannesowi, powiodła się. W pobliżu kasztelańskiego grodu, Wiślicy, udało mu się odnaleźć wzniesiony nad brzegiem Nidy stary kamienny kościół pamiętający jeszcze czasy Cyryla i Metodego, a opodal wzniesioną z drewna, otoczoną wałem osadę. Prócz tuzina posiwiąłych mnichów, którzy zostali przy życiu spośród tych, co przed ćwierćwieczem wyruszyli z Cluny i przez Morawy dotarli do tego cichego zakątka Sclavinii, często przechodzącego z rąk do rąk sąsiadujących ze sobą, bitnych władców, mieszkało tam kilkanaście rodzin pasterzy i rolników nawróconych na wiarę Chrystusową. Johannes przekazał opatowi odciętego tak długo od świata klasztoru, ojcu Maurycemu, pisma od mnichów z Cluny, a także od Poppona, biskupa krakowskiego, po czym zabrał się do prac mierniczych, kreślenia map okolicy i liczenia osad i ich mieszkańców, co spotkało się z pewnym zaniepokojeniem ze strony Mścislawa, kasztelana wiślickiego, osadzonego przez księcia Bolesława w odległym od klasztoru o dzień jazdy grodzie, zaledwie przed niespełną rokiem. Mścisław — jak twierdził ojciec Maurycy, nadal poganin duszą, mimo srebrnego krzyżyka wiszącego na jego byczym karku — czuł niejasno, że dzieło geometry wiązać się będzie z podatkami na rzecz kościoła, które on, kasztelan, będzie zobowiązany ściągać. A to spotka się z niezadowoleniem rolników i mieszkańców puszczy. Mając zaledwie dwie dziesiątki wojów na podorędziu, musiał spodziewać się kłopotów.

Tak w gorączce pracy i niespokojnym oczekiwaniu minęła Johannesowi jesień. Pierwsza śnieżna zawieja spotkała geometrę w drodze, gdy wracał po przeprowadzeniu pomiarów głębokości Nidy. Przy pomocy brata Clementa, który liźnął nieco geometrii po wielokroć kopiując dzieła Arystotelesa, towarzyszącego Johannesowi za zgodą Maurycego — a może wręcz na jego polecenie, bo Johannes zadziwiał opata znajomością języka i obyczajów Sclavinów — zaznaczył wszystkie brody w północnym biegu rzeki, aż po stare góry. Ulegając zmianie pogody powrócili spieszenie do klasztoru, by przeczekać tam do wiosny, gdy do Krakowa przybędzie biskup Poppon. Johannes zdawał sobie jednak sprawę, że to siły mające nad nim pieczę dały w ten sposób znak, by nie oddalał się z tego miejsca.

Kilka dni później, a była to połowa grudnia, do przyklasztornej osady zawitał wyniszczony, odziany w łachmany mężczyzna, znający ledwie kilka słów w mowie Sclavinów. Nie posiadał żadnego dobytku prócz cennego, misternej roboty miecza, uwiązanego rzemieniem do sparciałego, konopnego sznura, którym był przepasany. Przybysz wszedł chwiejnym krokiem do kościoła, minął ogromne baptysterium, po czym legł krzyżem na chropawej, kamiennej posadzce, przed ołtarzem. Modlił się głośno po łacinie i w mowie Franków, nie odpowiedział jednak na żadne z pytań zadanych mu przez opata Maurycego. Po całym dniu spędzonym na modłach mężczyzna podniósł się i niepewnym krokiem ruszył ku wyjściu. W drzwiach frontowych opuściły go jednak siły i straciwszy przytomność upadł twarzą na posadzkę. Natychmiast przeniesiono go do jednej z cel, gdzie dwóch mnichów znających się nieco na medycynie zajęło się jego schorzałym ciałem. Przybysz jednak trwał bez zmysłów, w omdleniu, przez blisko tydzień.

W tym czasie zaszły nowe, niepokojące wypadki. Wpierw, przez okolice przetoczyła się trwająca dwie doby potworna śnieżna zawierucha, wzbudzając w ludziach przerażenie gromami bijącymi z mrocznego nieba, niczym w letnią burzę. Zdawało się, że to kamienni giganci zmagają się w niebiosach, krzesząc przy tym snopy iskier. Gdy zawieja ucichła, odsłoniło się posępne, szare niebo. Dni stały się krótkie i bezsłoneczne.

Potem w bramie mocnej palisady, otaczającej klasztorną osadę, pojawiło się czterech rośliwych mężczyzn, kapłanów ze świątyni Peruna, wznoszącej się u stóp odległej o dwadzieścia mil Łysicy. Dźwigali na swych barkach lektykę, uczynioną z dębowego drewna, kryjącą swe wnętrze za wełnianymi kotarami. Kapłani bez obawy udali się wprost do Kościoła i tam, złożywszy swoje brzemię w baptysterium, poprosili przerażonego ich zuchwałością opata Maurycego o sprowadzenie do świątyni biskupiego geometry. W kwadrans później Johannes wkroczył do nawy i zatrzymał się przed lektyką ustawioną opodal wielkiej chrzcielnicy wykonanej w jednym kamiennym bloku.

Któryś z milczących kapłanów pochylił się i szarpnął wełnianą kotarę, odsłaniając wnętrze. Geometra cofnął się wówczas o krok, bo oto ujrzał spoczywające na puchowych poduszkach okaleczone ciało dziwnej, niepokojąco znajomej mu istoty.

— Witaj, synu — szepnął ranny, układając usta w namiastkę uśmiechu. Tylko jego piękna, męska twarz nosiła ludzkie cechy. Resztę ciała o jaszczurczym kształcie pokrywały pasma zielonkawych piór i łusek, zlepionych teraz krzepnącą, purpurową posoką tryskającą z licznych ran.

— Witaj, Żmiju — powiedział do Johannes a i skrzywił się z bólu.

Próbował unieść się z posłania. Jedno z jego skrzydeł rozłożyło się, zatrzepotało spazmatycznie, po czym osunęło się bezwładne, niczym uschły liść zdążający zawsze ku upadkowi.

— Powróciłeś — wyszeptał. — Jesteś ostatnią nadzieją tego świata, Żmiju. Poniosłem klęskę... Tylko ty pozostałeś, synu...

— Światłość zesłała mi podporę — odpowiedział mu Johannes. — W ludzkim ciele objawił się znów pogromca Satanaela, Michał. Przybył tu przed kilkoma dniami. Szkoda, ojcze, że dopiero teraz mogę cię poznać — dodał szeptem.

— Taki nasz Los, synu. Taka Droga — dobiegło z wnętrza lektyki. — Obyś, synu...

Istota zadrżała, z jej ust popłynęła struga gęstej krwi. Ciało wyprężyło się, po czym zastygło w iście niehumanicznej pozie.

Johannes, pogrążony w zadumie, podszedł do ciała i położył dłoń na jaszczurczej łapie swojego ojca. Jakże wiele lat minęło, odkąd kilku ponurych mężów, odzianych w czerń kapłanów Czerwia, Tego Który Toczy Złem Dusze, wdarło się do chaty starego bartnika, opiekującego się swą jedyną córką i ośmioletnim wnukiem, chłopcem poświęconym bogom. Mroczni zabójcy pozbawili życia starca i kobietę, jednak syn Żmija był dla nich nietykalny. Wywieźli go więc aż poza granice Sclavinii, do Hamburga, gdzie arcybiskup Ansgar założył klasztor, a przy nim szkołę, do której sprowadzał chłopców kupionych od Sclawinów i Dunów. Mieli oni w przyszłości stać się misjonarzami w swoich rodzinnych stronach, głosząc chwałę Chrystusa. Kapłani Czerwia, popędliwi i bezrozumni, sądzili widać, że skaziwszy duszę chłopca aktem chrztu i naukami Kościoła, wytrąca jego ii moc. Jednak prawdziwa natura syna Żmija nie mogła zostać zbrukana przez inne imię Światłości — tak jak smak wina, mimo, że zmiesza się je z wodą, nie zaniknie na tyle, by całkowicie przejąć cechy wody.

Wędrowni i studia, którym oddawał się przez ponad półtora stulecia, zahartowały jego duszę. Ciało i umysł miał niczym mauretańska szabla — ostre, giętne i niezłomne. Fakt, że osiągnąwszy

dojrzałość, nie ulegał objawom starości, zmuszał go do częstych podróży i zmian tożsamości. Jednak i jemu, jak zapewne każdej istocie obdarzonej duszą, nie obce były ból i rozpacz. Powiódł więc dłonią po zastygłej, martwej twarzy ojca i zapłakał.

W tej właśnie chwili jaszczurcze ciało drgnęło, spowił je opalizujący obłok, po czym poświata, jak i szczątki Żmija znikły. W ich miejscu pozostał jedynie maleńki, zielono upierzony ptak, który rozpostarłszy skrzydła zakołował nad głową zaskoczonego Johanna, wyfrunął przez okno i wzbił się w niebo. Geometra śledził jego lot, póki maleńki kształt nie rozplątał się wśród ołowianych chmur. W chwilę później poruszył się, bez słowa wyminął kapłanów i szybkim krokiem udał się do celi, w której leżał nieprzytomny rycerz de Tignonville.

— Michale, zbudź się — powiedział syn Żmija, dotykając opuszkami palców jego zarośniętej, brudnej twarzy. — Czas już nadszedł.

I w owej chwili, ku zaskoczeniu mnicha–medyka, który nadbiegł właśnie z kolejną fiolką sprokurowanej driakwi, omdlały dotąd mężczyzna otworzył oczy.

## Rozdział dziesiąty

— To dziwna kraina — powiedział opat Maurycy, kreśląc w powietrzu znak krzyża, jakby w ten sposób chciał zapewnić bezpieczeństwo swojej duszy. — Pełna sprzeczności. Niełatwo tu krzewić wiarę chrystusową i nie popaść przy tym w herezję. Ruszaj, bracie Johannesie, jeśli taka jest wola Boga, choć przyznam, że nie pojmuję, w czym rzecz.

— Światłość ma nieskończenie wiele imion — odparł z zagadkowym uśmiechem geometra, wspinając się na koński grzbiet. Jego twarz ściągnęła powaga, gdy dodał. — I nieskończenie wielu wrogów.

Prowadzeni przez czterech kapłanów Peruna wyruszyli ku starym górcom. Johannes, Michael i brat Clement przydany im przez opata jako towarzysz, a może i szpieg, jechali stępą, wpatrując się w krzepkie sylwetki spieszących przed nimi mężczyzn.

Po kilkakroć napotykali grupy zziębniętych, uważnie się im przyglądających kobiet, mężczyzn i dzieci. Doglądali oni ognisk palonych na rogach cmentarzysk, by w ten niepewny czas wskazywać właściwą drogę wędrującym, niespokojnym duszom zmarłych. Johannesowi zdało się wówczas, że mimo dziennego światła, każdą z ludzkich sylwetek spowija mroczny kokon, rzucający cień na ich dusze, jakby już zostali wydani na łup lodowatym ciemnościom.

Tak pośród znoju wędrówki i niepokojów serca minęły im dwa dni. Potem okrytą śniegiem okolicę opuściło wrażenie martwego spokoju. Zastygłe w bezruchu powietrze zdawało się teraz być przesączone fluidami przerażenia. I nagle, gdy wędrowcy minęli już mur z bloków kwarcytu, podkowiastą linią chroniący podnóże świętej góry Łysicy, wraz z wieńczącą ją świątynią i zaczęli przybliżać się do poszarpanych skał Kamiennej, bez ostrzeżenia rozpętała się szaleńcza zawierucha.

Uderzenia wiatru niosącego falami raz kłęby śniegu, to znów ciskającego ogromnym, niczym gołębie jaja gradem, lub zacinającego ulewnym deszczem, z morderczą zajadłością pastwiły się nad przybyszami. Brodzili więc z wysiłkiem w szybko tających zaspach, pośród coraz głębszego błota, w mokradłach powstałych jedynie po to, by powstrzymywać ich, porazić ciała i dusze zmęczeniem. Wreszcie po kilkunastu godzinach męki, po zmierzchu, nastał względny spokój. Grudniowy mróz odszedł, nastąpiła odwilż, niespotykana o tej porze roku.

Atak wodnych żywiołów dopiekł wędrowcom. Zadał sporo groźnych ran, wybijając oczy i kalecząc twarze dwóm kapłanom. Pozostali mężczyźni, prócz Johanna i Michaela, których zdawały się chronić niewidzialne dłonie, także odnieśli obrażenia. Geometra wstrzymał więc wierzchowca, zeskoczył w głębokie błoto, w kilku słowach nakazał Clementowi i pozostałym, trzymającym się jeszcze na nogach kapłanom, by wsadzili na koń rannych i wycofali się. Nie sprostali jednak próbie, stając się jedynie ciężarem. Po krótkiej sprzeczce kapłani i mnich ulegli jego naleganiom — czciciele Peruna skierowali się ku łysickiej świątyni, Clement zaś wyruszył do klasztoru.

Johannes i Michael, samotni wśród skalistego pustkowia, unieśli twarze ku niebu. Srebrzystoczarny łuk nocnej tęczy wspinał się po ugwieżdżonej sferze ku wyłaniającemu się z eteru Słońcu Umarłych. Michael, jakby wiedziony odległym wspomnieniem, zacisnął zęby i dobył miecza.



Gdy nieskazitelna klinga rozbłysła łagodnym światłem wskazującym kierunek, spojrzeli na siebie w milczeniu, po czym ruszyli ku posepnemu szczytowi Kamiennej. W kwadrans później minęli bez słowa duży, płaski głaz z rozciągniętymi na nim zwłokami dziecka. Wydarte z jego piersi serce leżało kilkadziesiąt kroków dalej, a okoliczne skały zdawały się być skąpane we krwi.

Wkrótce podnóże góry spowił gęstniejący całun mgły. Michał i Żmij, bez wahania zanurzyli się w lepkim, chłodnym oparze, nieświadomi, że prócz wrogiej siły, której obecność wyczuwali wokół, jeszcze ktoś za nimi podąża. Był to brat Clement, który opuściwszy pogańskich kapłanów, wrócił po własnych śladach, pragnąc wywiązać się z poleceń wydanych mu przez opata.

Mnich szedł ostrożnie, omijając osypiska głazów i starając się przy tym nie stracić z oczu dwóch idących bez wahania mężczyzn, co w gęstniejącej mgle nie należało do łatwych zadań.

Wkroczyli na obszar uważany przez Sclavinów za przeklęty, jako że ponoć pod korzeniami gór spoczywał tam, przykuty łańcuchem do serca ziemi, Władca Zła. Gdy targał ogniwami, lawiny osuwały się ze szczytów, niszcząc wsie i zabijając ludzi. Clement, przypomniawszy sobie te opowieści, zacisnął dłoń na drewnianym krzyżu, zwieszającym się z szyi, odmówił modlitwę i choć nie poczuł, by dzięki temu odtajało jego serce, z determinacją ruszył w trop za tajemniczymi wędrowcami. Opatowi Maurycemu nie w smak były magiczne praktyki, pogańskie gusła, w jakie dał się wplątać protegowany biskupa Poppona — wszak jego obserwacje kłóciły się z pochwałami zamieszczonymi na temat Johannesesa w listach przywiezionych z klasztoru w Cluny przez owego geometrę. I oto Clement zdobył dowód, iż podejrzania dotyczące apostazji Johannesesa nie są bezpodstawne. Prawy chrześcijanin nie trwonilby przecież czasu na włóczęgę, wraz z drugim przybłądą, po przeklętych uroczyskach. Mnich zatarł zziębnięte dłonie, a jego oczy rozjaśnił triumfalny błysk. Wkrótce nadeszła jednak chwila, w której zaczął przeklinać swoją gorliwość, bo oto ujrzał, że Johannes i Michael zatrzymują się.

Naprzeciw nich wyłoniła się z gęstego oparu nieprzeliczona gromada jeźdźców opancerzonych pogańskimi amuletami z kamienia i kości, zespolonymi w potężne skorupy kryjące tajemnicę kształtu ciał przerażających rycerzy. Ich osadzone miast głów nagie czaszki połyskiwały blado w świetle księżyca, a w oczodołach jarzyło się czarne światło zła. Za nimi, ławą, kroczyła grupa ludzi odzianych w czarne szaty, uzbrojonych w krzemienne noże, szalonych i okrutnych kapłanów Czerwia. Dokoła, w zimnym błocie wiły się ogromne węże, kroczyły ociążale ohydne płazie stwory — łamie o ostrych, jadowitych kłach i siejącym przerażenie wejrzeniu.

Spod niskiego pułapu chmur zaczęły odrywać się liczne cienie — to navie, upiory wylęgłe z dusz porońców; zatrzepotały skrzydłami, upatrując ofiar, z których mogłyby wyssać krew i siły witalne. Przed ławą dzikiego wojska zaczęła z kolei przemykać piękna, smukła, czarnowłosa kobieta, nie wiadomo czy przewodząca zgrai, czy też na modłę rycerską spełniająca rolę harcownika, prowokującego wroga do podjęcia bitwy. Kształty ciemnowłosej piękności co chwila zmieniały się. Raz była Inianowłosą, wyniosłą dziewicą — Dziewanną o trupioblady obliczu, to znów obranym do czysta szkieletem z rozkwitłą, szkarłatną różą w dłoni. Bywała też ogromną, czarną suką — Żyworuną, władczynią księżyca i śmierci.

Po długim oczekiwaniu, przepojonym narastającą grozą, objawił się wreszcie prawdziwy wódz potępieńczej hordy. Nadpłynął niesiony podmuchem wiatru, mroczny i wyniosły. Potężny siewca zła, Czerw, uniósł w górę swą podobną do ludzkiej dłoń. Wówczas w zboczu Kamiennej pojawiła się rysa. Pęknięcie szybko rozszerzało się, tworząc coraz głębszą rozpadlinę, aż stało się otchłanną jamą, poprzez trzewia żywej skały sięgającą do serca ziemi.

To, co wydarzyło się później, musiało być zaiste potwornym obrazem, bo gdy po wielu dniach pewien smolarz odnalazł w kniei i przywiódł do klasztoru brata Clementa, ten był już zaledwie strzępem człowieka. Włosy miał zbielałe, a lewa dłoń stała się bezwładna. Atak strachu poraził też na zawsze jego mowę i słuch. Najstraszliwsze spustoszenia dokonały się jednak w umyśle mnicha. Świadczyły o tym oczy, które, bez względu na czym by nie spoczął wzrok Clementa, rozszerzone były nieustannym paroksyzmem lęku.

## Epilog

Na trzeci dzień od wyruszenia Johannesesa i Michaela spod wiślickiego klasztoru, w wigilię Bożego Narodzenia roku tysięcznego, mnisi oraz ze dwa tuziny rodzin ochrzczonych Sclavinów, pod wodzą opata Maurycego, schronili się w ciasnym, kamiennym kościele. Pozostali tam całą dobę, ze zgrozą spoglądając na wypełniającą ogromną chrzcielnicę wodę święconą, która zdawała się tężeć niczym sosnowa żywica, co było widowym dowodem objawienia się w pobliżu mocy Szatana. Rozmodleni w pokorze, kulili się wśród huku gromów. Świat oszalał — jaskrawe ściegi błyskawic i słupy dymu były spośród szczytów starych gór w niebo szare jak popiół — a oni modlili się, póki żywioły nie zasnęły, a ludzie nie zdołali przywrócić swym sercom, choć w części, żaru wiary w moc Kościoła Chrystusowego.

Następnego dnia, dwudziestego piątego grudnia, nad znacznym obszarem królestwa Francji dostrzeżono wzbudzającego grozę smoka, kołującego wśród chmur i ciskającego pioruny. Widać toczył na niebiosach bój z innym potworem, bo w południe strącił z nieba ogromną, mroczną postać, która upadłszy na ziemię w pobliżu Lyonu, przemieniła się w jezioro o błotnistej, cuchnącej wodzie.

Wiele było jeszcze w tych dniach znaków na niebie i ziemi, niewytłumaczalnych zjawisk i śmierci. Wenecka galera z nuncjuszem papieskim na pokładzie, wysłana przez Ottona III do Akki, nie powróciła. Po następnej, wysłanej tam w okolicach Wielkiej Nocy następnego roku, także słuch zaginął. Za to mauretańscy żeglarze, którzy na flotyllach feluk utrzymywali ruch handlowy między Kalifatem Damasceńskim a portami Maghrebu, twierdzili, iż opodal wybrzeży Krety po wielokroć dostrzegali cień obudzonego ze snu, mitycznego ptaka Rukha, rzucany spośród chmur na zmarszczoną falami powierzchnię morza. Niektórzy z nich posuwali się nawet do tego, aby zaklinając się na głowy swych matek świadczyć, iż byli świadkami zagłady, jaką Rukh niósł chrześcijańskim galerom, co niewątpliwie było znakiem Allaha, nawołującego, by wzniecić dżihad, świętą wojnę przeciw niewiernym.

Wkrótce, bo w 1002 roku, zmarł Otton III, a w rok później Sylwester II. Ich nieliczni hagiografowie wspominali, iż przy śmierci cesarza i papieża asystowała zawsze świetlista, anielska postać z ognistym mieczem w dłoni, by unieść ich dusze ponad obłoki, ku Bogu. Trudno dziś dociec, na ile było to tylko poetyckim zmyśleniem, a na ile interpretacją prawdziwych wypadków. Tym bardziej, że obaj wkrótce przestali cieszyć się estymą wśród potomnych. Wspominano o nich z rzadka, a i to raczej z łatwo czytelną obawą. Może nawet strachem?

Johannes i Michael podobno zniknęli bez śladu. Jednak wnikliwe studia nad biegiem wypadków, zaszłych w następnych stuleciach, zdają się zadawać kłam temu stwierdzeniu. Historia ludzkości, niczym wąż połykający własny ogon, zdaje się być nierozwiązywalnym splotem przyczyn i skutków. Cóż więc i tu przyczyną było, a co skutkiem? Wszak nieliczni tylko znają daty wschodu Słońca Umarłych, nastania czasu interregnum. Któż wie, na jaki dzień winniśmy być gotowi. Któż wie...

Zapada przedwczesny zmierzch. Czuję falę chłodu, a kiełkujące ziarno niepokoju wprowadza zamęt w rytmiczne dotąd kadencje pracy serca. Zdaje mi się też, że słyszę szum ogromnych skrzydeł i

pełgający w oddali blask piorunów przesywających tkaninę nieba.

## Tadeusz Oszubski

*Urodził się w Bydgoszczy w 1958 roku. Rozpoczął od poezji, trochę wierszy opublikował w prasie, otrzymał też kilka wyróżnień w konkursach, m. in. I nagrodę w Turnieju Jednego Wiersza w Gostyniu (1980) i również I nagrodę w II Konkursie im. St. Grochowiaka w Radomiu (1981). Jego wiersze ukazały się w antologii „Pokłosie konkursów im. Stanisława Grochowiaka” (1983) i w autorskim tomie pt. „Zostawiliśmy skrzydła w szatni” (1984).*

*Później przyszedł czas na prozę — szeroko pojętą fantastykę i sensację. Krótkie formy publikowała prasa, poświęcono im audycje emitowane w lokalnej rozgłośni Polskiego Radia w Bydgoszczy. W druku znajduje się jego powieść „Twierdza nienawiści”, a następna — „Demony”, czeka na publikację. Obie są próbą pogodzenia dobrej powieści akcji z nurtem fantasy, a ponieważ obie ma zamiar wydać warszawski Almapress — nie wiadomo, kiedy ujrzą światło dzienne.*

*W wyniku powyższych opóźnień „Interregnum” będzie prawdopodobnie książkowym debiutem autora.*

*Opowiadanie podejmuje intrygującą tematykę zagadek historii i kultury, a zwłaszcza uderzającego podobieństwa swojskiego Żmija i Quetzalcoatl z półwyspu Jukatan. Bóstw z mitologii Słowian i Majów, które pojawiły się mniej więcej w tym samym czasie, bóstw posiadających tę samą formę i spełniających identyczne zadania.*

## O „Umieraj z nami”

*„Umieraj z nami” to właściwie „opowiadanie zastępcze”. Pierwotny pomysł, który nosiłem w sobie od czasu powstania idei „Czarnej mszy”, a mający traktować o klerykalno–narodowych pryncypiach, jakoś tak w ciągu wiosny i lata ‘91 rozplynął mi się bez śladu. Być może wpływ miała na to telewizja, którą bez umiaru zacząłem oglądać, a i trochę praca (w cudownej instytucji pt. Prywatna Telewizja „Echo”, która niczym czerw w jabłku załęgła się w środku Wrocławia). Stąd chyba wypelzł pomysł organizujący niniejsze opowiadanie. Dodatkowym źródłem inspiracji były seriale produkcji rodzimej i amerykańskiej;*

*Myślę też, że tymczasem zmieniła się (przynajmniej u mnie) hierarchia rzeczywistych zagrożeń dla umysłowości przeciętnego Polaka — nie klerykalizm, na który można stosunkowo łatwo wytworzyć antyciała (analogicznie jak w przypadku komunizmu), a zamerykanizowana pop kultura, wlewająca się do naszego życia szeroką, brudną strugą, wymywając z niego wszelki sens i wartość. Przed tym zagrożeniem nijak nie potrafimy się bronić, przeciwnie, jakby nurzamy się w jego błotnych głębiach z wyraźną przyjemnością. Ale każda przyjemność ma swoją drugą stronę — i o tym chyba jest to opowiadanie.*

*Klasyczna, solidna science fiction pełniła zawsze funkcję profetyczną, przewidującą przyszłość. Po części i to miałem na względzie, pisząc „Umieraj z nami” — ponieważ tak naprawdę to duchowa pustka i niemoc współczesnego człowieka będzie tym ołtarzem, na którym w przyszłości — już chyba niedalekiej — Szatan odprawi nad zwłokami ludzkości swą „czarną mszę”.*

*Jacek Inglot*

# Umieraj z nami

Pani Eudoksja okazała się miłą, kruchą staruszką o ujmującej powierzchowności. Pokój, do którego mnie zaprowadziła, też prezentował się zupełnie przyzwoicie.

— Powinno być tu panu wygodnie — powiedziała, dyskretnie zamykając drzwi.

Podszedłem do obszernego jak lotnisko blatu mahoniowego biurka i położyłem na nim walizkę z klawiaturą. Potem rozejrzałem się uważnie — pomieszczenie idealnie spełniało moje wymagania. Dwa ogromne, łukowate okna, przysłonięte od zewnątrz ażurową kratą, wychodziły na zapuszczony ogród. Można je było dodatkowo zasłonić ciężkimi, ciemnobordowymi storami. Na ścianie naprzeciw biurka wisiała piękna kolekcja broni myśliwskiej: co prawda nie znałem się na tym zupełnie, ale rozpoznałem klasyczny kształt winchestera, w towarzystwie kilku dwururek i karabinów myśliwskich typu mauser. Wspomniano mi już, że mąż pani Eudoksji w młodości sporo czasu spędził w Afryce. Nie spostrzegłem jednak żadnych specjalnych trofeów łowieckich, poza leżącą na podłodze lwią skórą, bardzo spłowiałą, i jakimś murzyńskim maszkaronem wymalowanym na kokosowej łupinie. O wiele większe wrażenie wywoływała umieszczona w rogu, na brązowych, dębowych półkach podręczna biblioteka, przypominająca raczej jakiś kredens, ponieważ książki zamknięto za oprawionymi w miedź szybkami. Podszedłem i otworzyłem jedno skrzydło: tomy, wszystkie w obwolucie z ciemnej, lakierowanej skóry, matowo błyszcząły w świetle zachodzącego dnia. Sięgnąłem po pierwszy z brzegu — widniejący na pożółkłej karcie tytuł i nazwisko autora nic mi nie mówiły. Zaskoczył za to widniejący pod spodem fantazyjny ekslibris. Dzisiaj książka była zbyt mało istotna, aby ktokolwiek myślał o oznaczeniu jej własnym symbolem. Do życia wystarczał numer karty kredytowej.

Pokój został starannie posprzątaný i jak mi się zdawało, usunięto część przedmiotów. Odniosłem wrażenie, iż dookoła jest nienaturalnie przestronnie, co mi w gruncie rzeczy nie przeszkadzało. Wróciłem do samochodu i przyniosłem display'e, które rozłożyłem po obu stronach blatu. Klawiaturę wraz z bankiem pamięci umieściłem pośrodku. Całość przypominała błonkoskrzydłego owada, gotowego do natychmiastowego odlotu. W krainę literatury czystej — pomyślałem z mimowolnym sarkazmem.

Rozległo się ciche pukanie i pani Eudoksja, z właściwym sobie taktem i dyskrecją, zaprosiła mnie na kolację. Usiedliśmy w jadani, przy okrągłym stole, zastawionym srebrem i porcelaną. Prawdę mówiąc niezbyt dobrze mi się z tego jadło: taka zastawa była warta majątek, rzecz jasna dla kolekcjonera. Przy kolacji mówiliśmy niewiele, głównie o pogodzie. Później wyszedłem do ogrodu na papierosa.

Dom i okolicę polecił mi kiedyś pewien były malarz, obecnie czołowy pacykarz w wielkiej firmie reklamowej. Chwalił ciszę i oddalenie, bardzo pomocne w skupieniu. Twierdził, że wpadł tutaj na masę świetnych grepsów. Rzeczywiście, nie wyglądało to najgorzej. Poszedłem zarośniętą alejką w głąb parku, aby popatrzeć z pewnego oddalenia na dom, obszerną piętrową willę, trochę



zapuszczoną i obrośniętą bluszczem. Na ogród wychodziła drewniana weranda zastawiona doniczkami — zauważyłem pochyloną sylwetkę pani Eudoksji, z metalową konewką w ręce. Słońce zachodziło i twarz i ręce staruszki pokryły czerwonożółte plamy światła. Była naprawdę bardzo stara.

Ogród, a właściwie dębowo–cisowy park, otaczał cały dom grubym półksiężycem, otwartym jedynie od strony piaskowej drogi, łączącej willę z miasteczkiem, położonym nieco w dole, nad małą rzeką. Pieszko mogło to być nie więcej jak dwadzieścia minut. Z drugiej strony, tam gdzie pierścień drzew był najgrubszy, park przechodził w mieszany, sosnowo–dębowy las. Granicę musiał kiedyś wyznaczyć kamienny mur, do którego zaprowadziła go ścieżka, zapadnięty teraz w ziemię i porośnięty mchem. W kilku miejscach rozsypał się zupełnie. Łysnęło mi coś tam czerwono — spojrzałem uważniej i odkryłem cegłę, świeżo przełamaną na pół. Tak, jakby ktoś przechodząc, otarł się o krawędź wyrwy. Wydało mi się to zupełnie nieprawdopodobne — próbowałem sprawdzić stan okolicznej ściółki, ale ponieważ było już zupełnie ciemno, nic nie zobaczyłem.

Od ponad dwóch lat zajmowałem stanowisko głównego scenarzysty mydlanego serialu *Wspaniałe życie Joanny*, który od pięciu sezonów stanowił główny hit największej sieci komercyjnej telewizji. Miałem właśnie przygotować jego jesienną edycję. I zupełnie nie miałem żadnego pomysłu.

Podstawowym problemem bohaterki, Joanny, był fakt, iż jako kobieta posiadała cipę. Gdyby była mężczyzną, chodziłoby zapewne o członek. Tak czy owak cipa Joanny doprowadziła do zaawansowanego alkoholizmu jej męża Michała, którego wątroba przypominała pordzewiały durszlak. Albowiem cechą cipy Joanny była nieustanna potrzeba, aby jakieś ciało obce wykonywało w niej ruchy tłocząco–posuwiste. Michał, w myśl dotychczasowych założeń scenariuszowych, wykazywał mało zrozumienia dla tych potrzeb i na znak protestu tłoczył alkohol do żołądka, też, można rzec, dość istotnego organu.

Popatrzyłem z niechęcią na błyszczące zielonkawo w ciemności display'e. Producent zobowiązał mnie do przygotowania minimum ośmiu konspektowych wersji dalszych trzydziestu odcinków. Później wybierze dwie, trzy najlepsze i przetestuje je na potencjalnych widzach przy pomocy ankiet socjologicznych. Może się i tak zdarzyć, iż testy wypadną niepomyślnie i całą robotę trzeba będzie wykonać od nowa. Jeśli zaś będą dobre, to wybrany konspekt otrzyma do rozwinięcia zespół mych podwykonawców, ja sam sprawowałem jedynie ogólny nadzór pisarski, wprowadzając też ostatnie poprawki i wygładzenia.

To i tak nie było jeszcze najgorzej — ostatnio rozpowszechniła się metoda polegająca na zacytowaniu od testów: respondentowi przedstawiano wielowariantowy konspekt–ankietę, zawierający wszystkie szczegóły potencjalnego serialu, łącznie z tym, czy heroina ma być blondynką, czy brunetką i czy ma poruszać się na szpilkach, czy może płaskich pantoflach. Starzy wyjadacze telewizyjni nazywali to metodą *dupa–masło*, myśląc tu o konkretnej czynności wykonywanej przez producenta wobec widza. Z tym, że cała impreza była dosyć kosztowna: nikt nie chciał za darmo siedzieć pół dnia i pracowicie wypełniać liczący blisko setkę stron formularz. W ogóle pisanie scenariusza coraz częściej przypominało układanie schematu gry planszowej.

Tak jak teraz — położyłem rękę na klawiaturze i na prawym display'u zaczął rozkwitać jeden z wariantów, który wpadł mi do głowy w czasie wieczornego spaceru.

Przyjacielem alkoholika Michała jest Robert, zażywny blondas o posturze byka, kuta na cztery nogi bestia ze sprytem do biznesu, typowy yuppie domowego chowu. Od lat bywa zaliczany do

drugoplanowych drażycieli Joanny, prowadzi także wspólne z Michałem interesy. Ostatnio jego rola wzrosła, z racji pogłębiającego się nałogu męża Joanny. Sama Joanna, widząc, iż pożytki z Michała są coraz mniejsze, postanawia zastąpić go Robertem, który nie jest od tego. Lubi pieprzyć Joannę, a poza tym obracać forszą Michała. Obydwoje przystępują do akcji — niecnotliwa małżonka oddaje się swym kochankom prawie na oczach męża, jednocześnie jakaś tajemnicza dłoń rozstawia wszędzie butelki wysokoprocentowego alkoholu. Michał stacza się na skraj *delirium tremens*. Wszystko toczy się według planu, aż do momentu, gdy w domu Joanny zjawia się Teodor, roznosiciel pizzy, wyjątkowo dobrze wyposażony przez naturę. Joanna szaleje na jego widok...

Przyjrzałem się tak zarysowanej siatce. Byłoby tego na trzy, cztery odcinki. Należało zdynamizować akcję, wprowadzając dodatkowe czynniki, komplikujące fabułę. Należało ją tak zawikłać (mniej więcej koło połowy edycji), by potem niespiesznie rozwiązując problem za problemem w idyllicznej atmosferze zakończyć ostatni odcinek. Oczywiście nierozwiązanym pozostawiając archetypiczny problem cipy Joanny, jako punkt wyjścia do edycji następnej.

Przerzuciłem się na lewy display. Oprócz Roberta przyjacielem domu jest Ryszard, młody człowiek, trochę poeta, trochę malarz reklamujący się jako impotent. Rzecz jasna wpada natychmiast w oko Joannie, stanowiąc ewidentne wyzwanie dla jej cipy. Jako wiadomo, w każdym tkwi chęć czynienia cudów, stąd i Joanna postanawia przywrócić Ryszarda społeczności kopulujących. Ryszard bohatersko odpiera kolejne, coraz bardziej furiackie ataki heroiny, aż, zdesperowany, zjawia się w towarzystwie Krystyny, zacieklej lesbijki–feministki, mającej na koncie setki złamanych serc kobiecych. Przypuszcza szturm do Joanny, która, w przyływie nagłego olśnienia, odkrywa w sobie nowe powołanie. Ryszard, patrzący na igraszki obydwu kobiet, zaczyna być mężczyzną. Dochodzi do szeregu scen zazdrości, zwłaszcza że Joanna przejęła od Krystyny nie tylko seksualne upodobania, ale i feministyczne poglądy. Na tym tle dochodzi do zbliżenia między Robertem i Ryszardem: postanawiają podsunąć Joannie nowego kochanka, jakiegoś prawdziwie wydolnego orła seksualnego — tu można wpleść wątek Teodora...

Odsunąłem fotel i głęboko westchnąłem. Pokryte siatkowymi konspektami displaye wyglądały jak skrzydła ważki rozjarzone fosforem. Na klawiaturze nadal paliły się diody: przypominała niewyraźnie zarysowaną w ciemności paszczę. Nie ważka, a modliszka. Joanna i jej cipa.

Wprowadziłem oba konspekty do pamięci. Nie chciało mi się więcej pracować. Tego rodzaju wstępnych konspektów musiałem ułożyć najmniej kilkanaście. Miałem na to jeszcze mnóstwo czasu. Już zamierzałem wstać od biurka, kiedy wiedziony jakimś diabelskim chochlikiem, wystukałem na obu display'ach równocześnie pytanie, którym za kilka miesięcy będą żyły miliony.

„Przed kim Joanna rozłoży swe smukłe, białe nogi?”

Patrzyłem na to czas jakiś, na pograniczu kretyńskiego rechotu, w końcu zgasilem wszystko i poszedłem na górę, na piętro, gdzie w narożnym pokoju pani Eudoksja urządziła mi sypialnię. Kiedy wspinałem się wąskimi schodkami, wydało mi się, że słyszę od strony werandy jakieś niewyraźne głosy. Zerknąłem na zegarek — było już po pierwszej. Wyglądało to dosyć dziwnie — obróciłem się, aby zejść na dół, gdy głosy nagle zamilkły i u stóp schodów ukazała się ze świecą w dłoni pani Eudoksja, w długiej, koronkowej koszuli nocnej. Stała chwilę, jakby nad czymś zamyślona, potem weszła do salonu. Cicho wdrapałem się na górę. Długo nie mogłem zasnąć.

Nazajutrz ubrałem się w dres i w ramach zalecanego przez lekarzy joggingu pobiegłem do miasteczka. Zajęło mi to dziesięć minut, biegłem krętą drogą wijącą się wśród brzoźowego gaju.

Samo miasteczko nie kryło żadnych rewelacji, liczyło może dwa tysiące mieszkańców, stanowiąc ośrodek administracyjny okręgu rolniczego. Kiedyś było ich chyba znacznie więcej, ponieważ sporo domów zostało najwyraźniej opuszczonych. Reszta skupiła się wokół sympatycznego, wyłożonego czerwoną kostką rynku, dość starannie utrzymanego. Znalazłem tam małe bistro, gdzie serwowali świetną kawę. Mieszkańców kręciło się niewielu — właściciel bistra poinformował mnie, że lepiej wygląda to pod koniec tygodnia, gdy przyjeżdżają po zakupy okoliczni rolnicy. Pospacerowałem jeszcze trochę, zaglądając tu i ówdzie, ale nie widząc nic ciekawego pobiegłem z powrotem.

Do wieczora zaciekle pracowałem. Ułożyłem jeszcze trzy obszerne siatki, mnożąc stałych i przypadkowych kochanków Joanny do blisko dwudziestu. Obliczyłem wstępnie, że jeśli dalej będę pracował w podobnym tempie, ich ogólna ilość ze wszystkich siatek wyniesie koło setki. Poczulem nagle przewrotną chęć, aby na końcu zlać wszystkie konspekty w jedną giga-siatkę: wtedy Joanna musiałaby kopulować przez cały czas trwania serialu (licząc na jeden stosunek pięć minut), a ludzkość tym samym otrzymałaby jeden z najdłuższych pornosów w historii.

Niestety, całość musiała być okraszona przynajmniej pozorami moralności. Zatrudniałem w zespole specja od scen ekspiacyjnych, który to załatwiał. Zdołał już dwa razy wysłać ją na pielgrzymkę i raz do klasztoru, gdzie wytrzymała trzy dni w nowicjacie. A może tym razem zdobyć się na oryginalność, na przykład jakaś modna sekta? Błyskawicznie to zakodowałem, jako jedną z możliwości finału. W tym momencie wyobraziłem sobie Joannę stojącą w pokutnej szacie przed ołtarzem i marzącej o uwiedzeniu rozpiętego na krzyżu Chrystusa. Taka Maria Magdalena a rebour. Nadawałoby się do wersji eksportowej...

Byłem w świetnym nastroju, pomysły sypały się jak z rękawa. W przerwach błogosławiłem tego pacykarza, który poradził mi tu przyjechać. Blokada minęła, mój umysł wypluwał debilne (producent nazywał je *rynkowymi*) pomysły z cudowną łatwością. Dopiero gdy doprowadziłem do triumfalnego stosunku Joanny z młodym guru z Hare Kriszna, dałem spokój. Obydwa display'e nie były w stanie pomieścić spęczniałych nagle siatek, zaczynałem gubić się w poszczególnych wątkach. W każdym razie znaczną część roboty miałem za sobą, zostało jeszcze trochę ogólnych grepsów i za parę dni mogłem wysłać pierwszą dyskietkę.

Wyłączyłem aparaturę i opadłem wygodnie na fotel, przymykając oczy. Musiało być już dobrze po północy. W pewnym momencie poczułem lekkie mrowienie na twarzy — ktoś mnie obserwował. Do pokoju nikt nie wszedł, ten ktoś siedział za oknem. Otworzyłem oczy i spojrzałem w kierunku okna. Za kratą coś się gwałtownie poruszyło i oderwał się od niej bezkształtny cień. Wstałem i szybko uchyliłem jedno skrzydło. Nic jednak nie zobaczyłem, noc była bezksiężycowa i wokół trwała martwa, głucha ciemność.

Rano przy śniadaniu usiłowałem poruszyć temat nocnego gościa. Pani Eudoksja nie rozumiała, o co chodzi.

— Musiało się coś panu wydawać — oświadczyła z właściwą sobie dystynkcją. — Tutaj nikt w nocy nie przychodzi, ponieważ nie ma po co. To było raczej jakieś zwierzę, po okolicy kręci się mnóstwo zdziczałych kotów.

Pojałem, że nie ma sensu pytać dalej, pani Eudoksja albo rzeczywiście nic nie wiedziała, albo nie chciała powiedzieć. W milczeniu dokończyliśmy śniadanie, potem poszedłem do gabinetu popracować. Ale dzisiaj zupełnie mi nie szło — nie zdołałem ułożyć bodaj jednego logicznego łańcucha wydarzeń. Kochankowie Joanny popieprzyli mi się dokumentnie, i to co zaczął Robert, to

kończył Teodor czy inny koncesjonowany jebaka. Czuję się zupełnie zdekoncentrowany. W końcu wyszedłem do ogrodu i pod pretekstem spaceru podążyłem do odkrytej uprzednio dziury w murze.

Za dnia nie miałem żadnych wątpliwości — ktoś tędy przechodził, i to często. Oplatające mur jeżyny były potargane, ściółka wygnieciona, kamienie poruszone. To mógł stwierdzić nawet taki leśny dyletant jak ja. Z ciekawością zajrzałem na drugą stronę; ślady wiodły w głąb lasu. Były na tyle wyraźne, że zdecydowałem się pójść ich tropem.

Właściwie to mogłem przewidzieć, że zgubię się po pięćdziesięciu metrach. Poszycie tak zgęstniało, że ślady, widoczne przedtem jak na dłoni, zniknęły zupełnie. Drzewa też stały jakby bliżej, potężne świerki, gęstniejące przede mną w jednolitą, zieloną masę. Powinienem zawrócić, ale coś mnie pchało do przodu. Brnąłem prawie na oślep, osłaniając oczy przed gałęziami i klnąc własną głupotę. Trwało to może z pięć minut, kiedy drzewa nagle skończyły się. Stałem, zupełnie oglupiały, przed wysokim, dobrze zachowanym murem z białej cegły, zwieńczonym u góry koleczastym drutem, błyszczącym w słońcu gładką, nierdzewną stalą. Sam mur liczył około dwa i pół metra wysokości. Ciągnął się wzdłuż linii drzew z północy na południe, jak mi się z grubsza wydawało. Po chwilowym namyśle postanowiłem ruszyć na północ.

Mur po kilkudziesięciu krokach skręcał pod kątem prostym w prawo. Szedłem jeszcze może sto metrów, kiedy natrafiłem na bramę. Starą, kunsztownie wygiętą kratę, pomalowaną na biało olejną farbą, dwuskrzydłową, o szerokości co najmniej pięciu metrów, z masywnym zamkiem pośrodku. Za bramą rozciągał się dziedziniec, brukowany kwadratową kostką. Dalej był budynek, chyba, takie odnosiłem wrażenie, jakby klasztor, zbudowany może w XIX wieku. Został zbudowany w kształcie litery „L”, dłuższe ramię stało równoległe do bramy, krótsze poprzecznie. Z zagięcia litery sterczała mała, dwupiętrowa dzwonnica, zwieńczona krzyżem.

Klasztor wyglądał na dobrze utrzymany; jednopiętrowy budynek na wysokim podpiwniczeniu pokrywał dach z czerwonej dachówki. Nie brakowało ani jednej. Także dziedziniec był czysty i posprzątany. Poruszyłem klamką u bramy i próbowałem ją pchnąć. Ani drgnęła, jak przyspawana. Spojrzałem raz jeszcze na budynek i wtedy uderzył mnie szczegół, na który przedtem nie zwróciłem uwagi. Wszystkie szyby w oknach były pomalowane na biało w połowie swej wysokości.

Postałem jeszcze trochę przy bramie, potem zająłem się prowadzącą do niej drogą. Biegła przez las, dosyć szeroka i kiedyś zapewne często używana — teraz zielsko porosło ją tak, że brodziłem w nim prawie do pasa. Szedłem powoli, rozglądając się dookoła. W pewnym momencie dostrzegłem wąską przecinkę, odbiegającą ukosem od drogi, w kierunku, jak się z grubsza orientowałem, domu pani Eudoksji. Poszedłem nią dalej, uważnie patrząc pod nogi — przecucie mnie nie myliło, ktoś tędy chodził, ślady były bardzo wyraźne. Przecinka skręcała w lewo, niknąc w gęstwinie, ślady biegły w drugą stronę. Po chwili znalazłem się przy dziurze, wiodącej do ogrodu pani Eudoksji.

Do końca dnia nie mogłem zupełnie się skupić — resztki entuzjazmu dla pracujących jak krawieckie nożyce ud Joanny opuściły mnie dokumentnie. Siatka wychodziła zupełnie kretyńska, porwana na szereg odrębnych epizodów.

Cały czas myślałem o tajemniczym osobniku, krążącym w nocy między klasztorem a domem pani Eudoksji. Wyłączyłem komputer i zapowiedziawszy, że kolację zjem w miasteczku, ruszyłem niespiesznie w jego kierunku. Po drodze wziąłem z samochodu latarkę. Po pięciu minutach zawróciłem i zataczając szeroki łuk dostałem się na tyły domu, w pobliże przejścia przez mur. Postanowiłem zacząć się w kępie krzaków tuż obok wyrwy. Obliczyłem, że zaskoczę tajemniczego gościa zaraz po tym, jak przekroczy mur.

Czekałem długo. Noc zapadała powoli, las szarzał i wyraziste przedtem kształty zlewały się w ciemne plamy. O lesie wiedziałem tyle co nic, niemniej zdziwił mnie brak wszelkich odgłosów, poza monotonnym szumem wiatru w koronach drzew. Nie krzyczał żaden ptak, nie szurało jakiegokolwiek zwierzę. Nie słyszałem nawet bzykania komarów. To naprawdę było dziwne — i niepokojące.

Czas kapał miarowo, odmierzany migającymi cyframi na moim zegarku. Przed północą zacząłem drętwieć, robiło się coraz zimniej. Wpadłem na pomysł, że należałoby się trochę poruszać, ponieważ inaczej będę za chwilę niezdolny do żadnych łowów. Wtedy usłyszałem dobiegający zza muru suchy trzask. Ktoś się do mnie zbliżał. Mocniej ścisnąłem latarkę.

Odczekałem, aż gość przejdzie przez dziurę, potem wyskoczyłem przed niego i zapaliłem latarkę. I zdębiałem — naprzeciwko, mrużąc oczy od światła, stała dziewczyna. Brunetka o bladej karnacji i długich, wijących się włosach. Podniosła rękę i próbowała osłonić oczy. Ubrana była w obszerny, zielony skafander.

— Kim jesteś? — rzuciłem ostro.

Nie odpowiedziała, kręciła tylko w oszołomieniu głową. Opuściłem nieco latarkę. Wykorzystała to natychmiast — obróciła się na pięcie i błyskawicznie skoczyła z powrotem w wyrwę. Bez namysłu poleciałem za nią, ale dziewczyna śmignęła gdzieś w bok i przepadła. Musiała znać ten kawałek lasu na pamięć. Usłyszałem jeszcze z oddali kilka trzasków i znowu zapadła całkowita cisza. Powiał silniejszy wiatr i zrobiło się bardzo zimno.

Kiedy wracałem do siebie, wydało mi się, że przez szparę w drzwiach ktoś mnie obserwuje. Pani Eudoksja. W nocy śniła mi się Joanna.

Rano, tuż przed śniadaniem, postanowiłem okazać wobec pani Eudoksji stanowczość. Nie bacząc na to, iż unikała mego spojrzenia, zapytałem wprost i bez ogródek.

— Kim jest ta dziewczyna?

Staruszka milcząc nalewała herbatę. Odstawiłem na bok filiżankę.

— Jest z klasztoru, tak? Z kim tam mieszka?

Piła herbatę drobnymi łyżkami, krzywiąc się lekko od gorącego płynu.

— Dobrze — położyłem serwetę obok talerzyka i zacząłem się podnosić. — Może ludzie w miasteczku będą rozmowniejsi.

Gwałtownie postawiła filiżankę na stole.

— Tego nie radziłabym panu robić — powiedziała cicho. — Są rzeczy, o które nie należy pytać.

— Ja tak nie uważam — usiadłem z powrotem. — Zatem? — Ci ludzie, tam, w klasztorze... — najwyraźniej do końca nie chciała powiedzieć, o co chodzi. — Oni są... chorzy.

Drgnąłem, wstrząśnięty nagłym dreszczem.

— Chorzy? Na TO?!

Pani Eudoksja skinęła bez słowa głową. Ja sam bębniłem nerwowo w blat. Od czasu ostatnich pogromów sprzed pięciu lat ostatni chorzy przebywali w zamkniętych strefach, pilnowanych przez wojsko. Pamiętałem telewizyjne relacje z tamtego okresu, zwłaszcza tę zrobioną przez kogoś ukrytą kamerą — tłum obrabował pobliską rzeźnię i przyszedł uzbrojony w automaty do uboju bydła. Wyłapanych chorych przyprowadzano do kata, który, ubrany w rzeźnicki fartuch, przykładął tubę automatu do potylicy ofiary i naciskał guzik. Ciało trzepotało groteskowo... Potem rzucali wszystkich na stos w rogu podwórza i podpalali. I mimo rzekomego szaleństwa dobrze pamiętali o gumowych rękawicach i maskach chirurgicznych. Po tych zdarzeniach ocalałe domy zamknięto, a chorych przeniesiono do izolowanych stref daleko od terenów zamieszkałych. Słyszałem ostatnio od kogoś, że

niewielu ich przeżyło. Skąd w takim razie wzięli się ci tutaj?

— Jak to możliwe? — spytałem. — Czy miejscowi ludzie wiedzą o tym?

Pani Eudoksja znowu przytaknęła. Zaczęła zbierać nakrycia, najwidoczniej chcąc skończyć rozmowę. Ale ja miałem jeszcze kilka pytań.

— A ta dziewczyna? Dlaczego tu przychodzi? Dlaczego w nocy?

— Mogą poruszać się tylko w nocy. Taka jest umowa — ułożyła wszystko na tacy i chciała odejść, ale złapałem ją za rękę.

— A dziewczyna? — powtórzyłem.

— Moja wnuczka... — zawahała się, niepewna, czy może powiedzieć. — Moja wnuczka na to umarła. Ona jest do niej bardzo podobna. I bardzo mnie potrzebuje.

W oczach staruszki coś się zaszklilo. Poczulem nagle wstyd, że musiałem wdrzeć się tak głęboko. Kiedyś być może zachowałbym się inaczej, ale za długo siedziałem w telewizji, której obyczajem było nicowanie człowieka, jakby był kawałkiem starej szmaty. Joanna to uwielbiała: Nie każdy nią jednak był, albo raczej — jeszcze nie każdy był Joanną. Chciałem podejść do pani Eudoksji, przeprosić i powiedzieć coś miłego, ale ona z nadzwyczajną zwinnością porwała tacę i zniknęła. Został mi tylko wstyd.

Wieczorem wymogłem na pani Eudoksji obietnicę, że skłoni dziewczynę do porozmawiania ze mną. Nie przyznałem się staruszce do wyczynów z poprzedniej nocy, ale chyba o nich wiedziała. Zapewniłem, że chcę jedynie porozmawiać, nic więcej. Właściwie nic więcej nie było możliwe. Później czekałem, wygodnie wyciągnięty na odsuniętym od biurka fotelu. Przede mną jarzyła się ledwo rozpoczęta siatka, urwana w momencie, gdy powinna się na dobre rozwidlać. Kolejny kochanek zawisł w pół drogi do Joanny, niczym pajak opuszczający się po nitce wprost do płomienia świecy. Powieki ciążyły mi coraz bardziej, ale nie chciałem zasnąć. Być może znowu śniłaby mi się Joanna.

Skrzypnęły cicho drzwi i ktoś prawie bezszelestnie wsunął się do pokoju. Stała pod szafą z książkami. Nie widziałem jej wyraźnie — ze względu na display'e światło miałem przyćmione i ograniczone do małej lampki w rogu pokoju. Poza tym twarz dziewczyny przesłaniały rozpuszczone i opadające włosy. Poprawiłem się w fotelu, na co zareagowała lęklwym gestem, jakby chciała natychmiast uciec. Zrozumiałem, że muszę ją czymś uspokoić.

— Chciałbym przeprosić za te wygłupy w lesie — powiedziałem. — Po prostu byłem ciekaw... taka głupia, ludzka ciekawość.

Nadal stała nieruchomo, ale wyczułem, że przestała się mnie bać.

— Czego chcesz? — spytała cichym, matowym głosem.

— Niczego — próbowałem się uśmiechnąć, ale chyba mi nie wyszło. — Chciałbym tylko zwiedzić wasz klasztor.

— Po co?

Sam chciałem to wiedzieć. Przyszło mi to nagle do głowy, diabli wiedzą skąd. Chociaż, dlaczego by nie? Nigdy nie byłem w takim ośrodku. Jak oni tam żyją? I jak umierają — uświadomiłem sobie, ogarnięty niespodziewanym zażenowaniem. Było jednak za późno, aby się wycofać.

— Ciekawość — tym razem wyszło mi z uśmiechem. — Pisuję to i owo... Szukam tematów i wrażeń. Obiecuję całkowitą dyskrecję.

— Pracujesz w telewizji? — po raz pierwszy spojrzała mi prosto w oczy. Jej były ciemne i łagodnie opalizujące.

— Tak, ale nie w dziale reportażu. Boisz się, że sprzedam im informację?

— Owszem — potwierdziła.

— Wiesz co, zwierzę ci się z największej tajemnicy mego życia. Nie znoszę telewizji. Wszystko się we mnie wywraca, kiedy o niej myślę. Jest nas tam takich wielu...

Milczała, przyglądając mi się bacznie spoza znowu opuszczonych włosów. Poruszyłem się niecierpliwie.

— A jeśli nie? — zapytała.

— No cóż... będę musiał poradzić sobie w inny sposób. Ale naprawdę bym nie chciał. Człowiek — dodałem filozoficznie — świnią bywa najczęściej wtedy, gdy się go do tego zmusza.

— Czy mamy to traktować jako groźbę?

— Nie — odparłem łagodnie. — Prośbę. Jestem pokornie proszącym jałmużnikiem. Proszącym o wiedzę.

Wyraźnie nie potrafiła odróżnić, czy kpię, czy mówię serio. Nerwowo wyłamywała palce — obserwowałem ją spod oka: wydawała się być wcale ładna, trochę może zbyt blada jak na pełnię lata. Nie wiedziałem, czy to postęp choroby, czy nocny tryb życia. Przy odpowiedniej kuracji można było w jej stanie dobrą formę utrzymywać latami.

Aż do przebudzenia się wirusa. Dziewczyna podniosła nagle głowę.

— Przekażę twoją prośbę. Odpowiedź przyniosę jutro.

Wyszła równie cicho jak weszła. Przez chwilę miałem wrażenie, iż był to jakiś sen. Przeczyła temu wyświetlona na display'u siatka, nad którą od dwóch godzin usiłowałem pracować. Przysunąłem się do biurka i zacząłem ją kasować, segment po segmencie, od góry, przesyłając w niebyt kolejne charakterystyki, epizody i zaskakujące zwroty akcji. Siatka kurczyła się, niczym usychający powój. Nie przerwałem, aż do momentu, kiedy nie zostało z niej nic.

Następny dzień włókł się niemiłosiernie. Nie mogłem i nie chciałem pracować. Późnym popołudniem pobiegłem do miasteczka na kawę. I tu, zamiast ją spokojnie wypić i wrócić, ni stąd, ni zowąd zagadnąłem sympatycznego właściciela bistro. O klasztor. Uśmiech natychmiast spełził mu z twarzy. Popatrzył na mnie zimno.

— W okolicy nie ma żadnego klasztoru — wyjaśnił uprzejmie. — I nigdy nie było.

— Jakże to! — zaoponowałem. — A ten w lesie, jakieś pięć kilometrów stąd na zachód? Sam widziałem.

— Coś się musiało panu wydawać — jego mina była jeszcze bardziej kamienna. — Tutaj nie ma żadnego klasztoru.

Wyszedł na zaplecze i długo trzaskał tam naczyniami. Kiedy wrócił, usiłowałem jeszcze go indagować, ale spytał oschle, czy życzę sobie drugi kubek kawy. W tym momencie pojąłem, iż musiałem naruszyć jakieś lokalne tabu, stąd dalsze pytania nie miały sensu. Dopilem kawę i wyszedłem.

Tego samego wieczora znalazłem dziennik męża pani Eudoksji.

Biurko, przy którym pracowałem, od początku wzbudzało moją fascynację. Wykonane z autentycznego mahoni, o spękanej politurze i z wytartymi, mosiężnymi okuciami na nogach,

zawierało mnóstwo mniejszych i większych szuflad i schowków. Oczywiście zaraz jak tylko przy nim usiadłem, próbowałem co niektóre spenetrować, ale były opatrzone misternymi zamkami i starannie pozamykane. Dopiero teraz, gdy przysunąłem fotel bliżej blatu, spostrzegłem, iż najniższa szuflada jest lekko uchylona. Wyglądało to na zaproszenie, więc schyliłem się i wysunąłem ją do końca. W środku nie znalazłem nic, poza starym, obłożonym tekturą brulionem. Na okładce ktoś napisał zielonym atramentem: „DIARIUSZ”.

Brulion zawierał około stu kartek, pożółkłych już i kruchych, wypełnionych równym, nieco pochylonym, ale silnym i zdecydowanym pismem. Otworzyłem rękopis na pierwszej stronie.

*Byłem człowiekiem. I jeśli Opatrzność wezwie mnie przed swoje oblicze, a stanie się to niedługo, i zapyta, kim byłem i czego dokonałem, odpowiem z całym spokojem i pewnością: Byłem człowiekiem. Człowiekiem, który próbował doświadczyć swojej pełni. O ile nie było to bluźniercze złudzenie.*

Przerwałem czytanie, zaskoczony tym niezwykłym wyznaniem. Cóż autor rozumiał przez poczucie pełni? I co ono miało wspólnego z człowieczeństwem? I bluźnierstwem?

Podjąłem znowu lekturę, ale wyznania autora urywały się nagle, przechodząc od razu w opis przybycia do portu Mombasa we wschodniej Afryce i pierwszych przygód spragnionego wrażeń młodzieńca z dobrego domu. Rzecz, jak się zorientowałem, działa się gdzieś w latach dwudziestych i stanowiła opis fantastycznego safari. Kolejne strony zawierały relację z włóczęgi po okolicach Jeziora Wiktorii, pogranicza Kenii i Ugandy — autor przemierzał sawannę w towarzystwie dwóch zatrudnionych w charakterze tragarzy Murzynów, trochę polując, trochę handlując, a głównie zaznajamiając się z ludźmi i obyczajami. Wszędzie był też dobrze przyjmowany, może dlatego, że nie obnosił się ostentacyjnie z wyższością białego człowieka. Przeżył wiele: polował na lwy z Masajami, zbierał bataty z Kikujami, umierał z pragnienia na pustyni Koroli, zdążając do Somalisów, oglądał zwietrzałe ruiny pozostałe po starożytnych Kuszytach, uwiódł córkę jednego z wodzów Turkanów, widział cmentarzysko słoni, strzelał do hipopotamów w Jeziorze Rudolfa.

Sam dziennik składał się właściwie nie tyle z kronikarskich relacji, co po trosze z poetyckich impresji, ułożonych jednak w pewien ciąg fabularny. Wodząc palcem po mapie bez trudu można było odtworzyć kolejne etapy wędrówki. Relacja nie zawierała nic nadzwyczajnego, poza nostalgicznym wspomnieniem dni dawno minionych. Aż do pewnego epizodu.

Znalazłem go pod koniec brulionu, w miejscu założonym niebieską wstążką. Trudno było orzec, czy zrobił to ktoś specjalnie. *Diariusz* wyglądał na nieruszany od wielu lat.

Autor wspominał o wizycie u pewnego abisyńskiego magnata, w jego rezydencji położonej gdzieś w górnym biegu rzeki Dawa, w głębi etiopskiego płaskowyżu.

*Salem od pierwszego wejrzenia zrobił na mnie niezwykle wrażenie. Wysoki, o prawie białej cerze, rysach twarzy raczej arabskich niż murzyńskich, roztaczał image miłego i sympatycznego człowieka. Okazało się, że czas jakiś spędził we Włoszech, studiując kulturę europejską. Widać to było po otoczeniu, a zwłaszcza po pałacu, zbudowanym wedle planów włoskich architektów. Niezwykle przypominał renesansową willę, z kwadratowym dziedzińcem, otoczonym biegnącymi wokół trzech piętér kolumnadami. Na środku ustawiono nawet fontannę. Nie sądzę, aby pod tą szerokością geograficzną można było znaleźć podobną budowlę, może dopiero w Egipcie.*

*Przyjął mnie tedy Salem bardzo gościnnie — mimo że niezbyt tu lubią Europejczyków, a to przez Włochów, którym najwyraźniej ten niepodległy kraj jest solą w oku. Pod koniec zeszłego stulecia stoczyli z nim wojnę i przegrali. Zysk z całej awantury został taki, że podobni Salemowi*



wielmoże zaczęli się Europą interesować. Zaraz też zostałem wzięty na rozmowę — okazało się, że Salem jest wcale nieźle zorientowany w sprawach naszego kontynentu.

Zabawiłem u niego czas jakiś — dom, wygodny i po europejsku urządzony, pozwalał odpocząć po trudach koczowniczej wędrówki. Czulem się trochę niezdrów i potrzebowałem paru dni wytchnienia, zwłaszcza że miałem zamiar jednym skokiem dostać się do Dżibuti, skąd myślałem przez Morze Czerwone i Egipt wracać do kraju. Salem obiecywał nowe konie i przewodników.

Ostatniego dnia mego pobytu, tuż przed zachodem słońca, staliśmy razem przy balustradzie pierwszego piętra i popijając herbatę rozmawialiśmy o czymś, chyba o Abisynii, ponieważ Salem w pewnym momencie odstawił filiżankę i patrząc na ostro rysujące się na horyzoncie góry jął nagle mówić:

— Chyba już zdążyłeś dowiedzieć się, iż w moim kraju życie ludzkie nie jest w specjalnej cenie. Można by właściwie rzec, iż rodzimy się głównie po to, by umrzeć, i to prawie nigdy we własnym łóżu, w otoczeniu synów i wnuków. Ludzie tutejsi mają proste umysły, stąd do rozwiązywania licznych problemów i waśni używają środków najprostszych.

Kiedy tak mówił, na dziedziniec wbiegło kilkunastu ludzi z pochodniami w rękach. Ustawili się w nieregularny krąg i zastygli w bezruchu. Salem ciężko westchnął.

— Dzień przed twoim przybyciem wrogowie mego rodu nastali na mnie skrytobójcę. Jak widzisz, nie udało mu się.

U wejścia na dziedziniec coś zadźwięczało. W gęstniejącym mroku dostrzegłem dwa szeregi zbrojnych, prowadzące kogoś między sobą. Po chwili weszli na dziedziniec — przyjrzałem się lepiej i zadrżałem. Człowiek pośrodku został starannie owinięty szerokimi, białymi bandażami, niczym jakaś mumia, zostawiono mu tylko szparę pośrodku twarzy, skąd błyskały przerażone oczy. Ręce miał wykręcone do tyłu i skrepowane. Prowadzący go żołnierze sprawnie uformowali czworobok i skierowali do środka ostrza włóczni.

— Często rozmyślałem o naturze życia i śmierci. I coraz częściej dochodzę do wniosku, że jedno jest drugiemu niezbędne. Czyż dopiero przy obcowaniu ze śmiercią nie odczuwamy całej pełni życia? Czyż nie zadajemy śmierci po to, by przekonać się, że my żyjemy naprawdę? Czyż boski wymiar władzy nie polega na możliwości obdzielania życiem i śmiercią? Gdzie leży nasza pełnia, jeśli nie w śmierci — kogoś drugiego, a na końcu w naszej.

Słuchałem tych bluźnierstw przejęty nagłą grozą. Już wiedziałem, co się stanie. Tkwiący w środku kolczastego czworoboku człowiek dygotał coraz gwałtowniej, wreszcie osłabły padł na kolana. Wtedy Salem dał znak — znak rzymskiego cesarza, kciuk skierowany w dół — spośród sług trzymających pochodnię wystąpił jeden i pobiegł do czworoboku, który rozstał się. Płomień pochodni dotknął na moment klęczącego człowieka. Nasączone żywicą bandaże zajęły się natychmiast. Człowiek zerwał się na równe nogi i zaczął rytmicznie skakać, rozniecając jedynie ogarniający go ogień. Skakał coraz wyżej — żołnierze ścisnęły szyk i mocniej ujęły włócznie. Słyszałem, że wielu skracalo swe męki rzucając się na ich ostrza. Ten nie zdołał — po którymś skoku przewrócił się i przetoczywszy parę kroków zamarł w bezruchu. Po dziedzińcu rozszedł się swąd palonego mięsa. Zupełnie rozdygotany, odwróciłem się ku Salemowi. Ten patrzył przed siebie i jego usta wykrzywiał sardoniczny uśmiech. Ale oczy miał smutne.

Zamknąłem dziennik i zamyśliłem się głęboko. Problemy, które, jak sądziłem, pozostawiłem dawno za sobą, wróciły w tych słowach z niespodziewaną siłą. Dla mnie i wielu innych świat stał

się jałowy niczym gaza opatrunkowa. Wypełnił się substytutami przedmiotów, myśli i uczuć. Za fabrykację tych ostatnich sam byłem odpowiedzialny.

Od dłuższego czasu odczuwałem jednak głód. Głód autentyczności. Rozmyta w mydlaną fikcję rzeczywistość wywoływała we mnie falę mdłości. Wszystko wokół nasączało się *Wspaniałym życiem Joanny* — chwilami miałem wrażenie, iż jestem jednym z bohaterów serialu, plastikową kukielką, za sznurki której pociąga producent, a w jego osobie tzw. masowy widz. Wejścia zwierzały się z wyściami, a mydło, niczym gigantyczny rak, pożerało coraz większe kęsy rzeczywistości. Podświadomie wiedziałem, iż odzyskam spokój, gdy proces ów dojdzie do końca i wszystko stanie się substytutem. Zanikną wówczas wszelkie kontrasty (uwydatniające różnicę między autentykiem a ersatzem) i wtedy naprawdę sakramentalne pytanie: *Przed kim Joanna rozłoży swe szczupłe, białe nogi?* stanie się tym pytaniem rzeczywiście najistotniejszym. Ponieważ nie będzie żadnych innych pytań.

Nie pamiętam, jak długo to trwało — leżałem bezwładnie w fotelu, przed moimi oczami, w jakimś półsennym marzeniu, przelatywały fragmenty z dziennika męża pani Eudoksji, przemieszane z niezliczonymi obrazami z przeszłych dziejów Joanny, już wymyślone, bądź dopiero planowane. Razem ułożyły się w jakiś koszmarny serial, przewijający się przez mój umysł niczym przez jakowyś stół montażowy, gdzie szaleje obłąkany montażysta.

Trwało tak aż do przyścia pani Eudoksji.

— Dziewczyna czeka na pana — oświadczyła, z bardzo dziwnym wyrazem twarzy. Spostrzegła rozłożony brulion, ale nic nie powiedziała.

Stała w ogrodzie, tuż pod werandą, blada i milcząca. Gestem kazała mi iść za sobą. Przez całą drogę nie powiedziała ani słowa. Pół godziny później byliśmy przed bramą klasztoru. Spojrzałem nań i zamarłem, zaskoczony. Klasztor, za dnia sprawiający wrażenie opuszczonego, był teraz jasno, wręcz rześkie oświetlony i tętnił życiem. Na dziedzińcu kręcili się jacyś osobnicy, wykonując bliżej, nieokreślone prace, główne drzwi zostały szeroko rozchylone, stali tam jacyś ludzie, głośno rozmawiając, po chwili doleciał mnie wybuch czyjegoś śmiechu. Dziewczyna pchnęła bramę i weszliśmy do środka. Od grupy stojącej przy drzwiach odłączył się jakiś mężczyzna i ruszył prosto ku nam. Okazał się wysokim, wysportowanym brunetem o przyprószonych siwizną włosach. Mógł mieć koło czterdziestki.

— To starszy naszej wspólnoty, Grzegorz — przedstawiła go dziewczyna i chciała odejść, ale mężczyzna powstrzymał ją nieznacznym gestem.

— Chyba cię znam — powiedział Grzegorz, przypatrując mi się uważnie. — Kiedyś pisałeś książki.

— Stare dzieje — uśmiechnąłem się krzywo. Nie lubiłem, gdy mi o tym przypominano. — Teraz są już niepotrzebne.

— Niezupełnie — tym razem uśmiechnął się Grzegorz. — Tutaj sporo czytamy, także twoje książki. Dlatego tu jesteś. Co chciałbyś najpierw zobaczyć?

— Nie wiem — rozejrzałem się trochę bezradnie. — Najlepiej wszystko.

Grzegorz podprowadził mnie wraz z dziewczyną do grupy ludzi, rozmawiających przy wejściu. Wszyscy bez wyjątku byli młodzi, nie przekraczający trzydziestki, bardzo weseli i sympatyczni. Nie widziałem żadnych oznak choroby, poza może nienaturalną bladością u niektórych, być może spowodowaną też nocnym trybem życia. Zachowywali się zupełnie normalnie, co prawda nie

wyciągając rękę w moim kierunku, reagowali dopiero wtedy, gdy ja to czyniłem. Robiłem to z pewnym wewnętrznym drżeniem, mimo że ich dotyk nie miał w sobie nic nadzwyczajnego. Zwykła, ludzka skóra, nieco tylko wilgotna.

Weszliśmy do środka i przekonałem się, że klasztor został pomysłowo przerobiony na coś zbliżonego do luksusowego domu wypoczynkowego. Część ścian wyburzono, w zamian tworząc rodzaj ciągu salonów różnorodnego typu, od bilardowych, wypoczynkowych, telewizyjnych po sportowe. Grzegorz zapewnił, że w podziemiach mają też saunę, dyskotekę i małe kino. Z lekka ogłupiały gapiłem się na te luksusy, a zwłaszcza na ludzi, którzy spacerowali, pili kawę i zachowywali się jak towarzystwo w modnym kurorcie.

Prawdziwe zaskoczenie przeżyłem jednak dopiero wtedy, gdy przeszliśmy na drugą stronę budynku. Ujrzałem oto przed sobą zadbane ogród, ogromnych rozmiarów, starannie utrzymany — widziałem ludzi, pracujących w nim w świetle łukowych lamp. Dalej dostrzegłem spory basen, przykryty balonem z plastikowej folii, obok korty tenisowe i kawałek bieżni. Cały obszar, aż do muru, oblewało ostre światło lamp: było widno jak w dzień. Wszędzie widziałem też ludzi, najspokojniej w świecie zajętych pracą lub zabawą.

Z niedowierzaniem obróciłem się ku Grzegorzowi, ale ten uprzedził moje pytanie.

— A co właściwie spodziewałeś się ujrzeć? Eremitów odzianych w zgrzebne worki, zatopionych w modłach w oczekiwaniu na koniec? Czy naprawdę czułbyś się lepiej, gdybyś zobaczył umierających ze strachu nędzarzy? Czy tak powinniśmy żyć? I wreszcie — czy coś by nam to pomogło?

Milczałem. Rzeczywiście, moje odruchowe obiekcje wydały mi się nagle absurdalne. Nie miałem żadnego prawa, aby mówić tym ludziom, jak powinni żyć. A właściwie umierać.

— Skąd mieliście na to pieniądze? — spytałem, aby coś powiedzieć.

— Niektórzy z nas byli bardzo bogaci...

Szliśmy teraz wzdłuż wewnętrznego krużganka, wprost ku zagięciu litery L, o białym, wysokim sklepieniu. Zatrzymaliśmy się przy starych, drewnianych drzwiach okutych zaśnieżonym żelastwem. Widniał na nich krzyż.

— Tam nic nie zmienialiśmy — powiedział Grzegorz. — Czasami ktoś z nas odczuwa potrzebę modlitwy. To pomaga w przygotowaniu.

— Do czego? — zapytałem, mimo iż znałem odpowiedź.

— Do zakończenia — odparł spokojnie Grzegorz. — Limit każdego z nas jest dość wyraźnie określony.

— A tam, co jest? — wskazałem na białe lakierowane drzwi, jakie widuje się w szpitalach i klinikach, wiodące do części gmachu będącej krótszym ramieniem L.

— Tam są ci, których limit właśnie dobiega końca. Nie pytałem o nic więcej. Wracaliśmy ku wyjściu, mijając nieskończoną zda się liczbę salonów i pokojów. Znajdowałem się w jakimś dziwnym stanie — ni to szoku, ni ogłupiającej błogości. Ledwo słyszałem to, co mówił do mnie Grzegorz.

— Udało nam się wyzwolić od strachu. Tak to bywa, gdy wszystko zostało z góry ustalone, strach czy odwaga nie mają tu nic do rzeczy. Każda chwila jest bezcennym skarbem, który staramy się wykorzystać do końca. Powiedziałbym, że pogodzeni z przemijalnością, żyjemy naprawdę... Czy pamiętasz, co mówiła jedna z postaci z twojej ostatniej książki?

Pokręciłem przecząco głową — z tamtych czasów nic już nie pamiętałem. A raczej nie chciałem

pamiętać.

— Twierdził on, że przez całe życie szukał jego smaku, jak inni najulubieńszej potrawy i nic nie znajdował. My tutaj odkryliśmy go, stając przed obliczem śmierci. Dopiero teraz żyjemy naprawdę.

Obróciłem się do ściany, nie chcąc, aby widział moją twarz. Przeszłość, o której chciałem zapomnieć, wybuchła we mnie, niszcząc resztki złudzeń, że kiedykolwiek zdołam uciec.

Bohater mojej ostatniej powieści należał do grupy, zwanej przez socjologów *hedonicusami*. Zaliczali do niej ludzi, którzy bądź to za sprawą spadku, bądź szczęśliwego trafu, otrzymywali nagle duże ilości pieniędzy burzących monotonię ich codziennej egzystencji. Drugim czynnikiem wyróżniającym był fakt, iż osobnicy owi nie przeznaczali uzyskanych środków na inwestycje czy korzystne lokaty — zajmowali się wyłącznie zaspokajaniem potrzeb konsumpcyjnych, do tej pory utajonych bądź nieuświadomianych. Wraz z upływem czasu potrzeby te nabierały form coraz bardziej dziwacznych, jeśli nie wynaturzonych.

Znaczną część swego życia *hedonicus* spędził jako agent pewnej firmy ubezpieczeniowej. Wielkie pieniądze stanowiły dla niego cyfrowy abstrakt, obecny w aktach i wykazach przepływających przez jego biurko. Tak było do pewnego dnia, w którym został spadkobiercą bliżej nieznanego krewnego, mającego przedśmiertny kaprys uszczęśliwienia dalekiego kuzyna. Sumy są tak astronomiczne, że przyprawiają o zawrót głowy.

*Hedonicus* porzuca firmę i zaczyna nowe życie. Zmienia krąg przyjaciół, obyczaje, jedzenie i wiele innych przyzwyczajęń. Z usługodawcy przekształca się w usługobiorcę, i to imponujących rozmiarów. Przeznacza olbrzymie środki na zaspokojenie swoich zachcianek, początkowo naiwnych i prostych, z czasem bardziej wyrafinowanych. Czynność ta, początkowo naturalna i zrozumiała, powoli zaczęła nabierać cech dla bohatera coraz bardziej niepokojących.

Zaobserwował, iż każda nowo nabyta rzecz (dom, samochód, kobieta) cieszyła go jakby za każdym razem krócej. Znużenie i znudzenie pojawiało się prawie natychmiast, niezależnie od walorów i jakości nabytku (piękno, szybkość i seks). Usiłował temu zaradzić, zwiększając tempo konsumpcji i rozszerzając jej zakres. Niestety, znużenie następowało coraz szybciej — objawiało się w postaci ssącej pustki, przypominającej głód narkotyczny. Każdy nowy akt konsumpcji wywoływał krótkotrwałe nasycenie, przechodzące w pustkę i zniechęcenie, po których wybuchała gwałtowna żądza nowych doznań. Mimo praktycznie nieograniczonych środków ich zaspokajanie okazywało się znacznie trudniejsze niż przedtem. Bohater zaczynał przypominać narkomana, któremu zwiększone dawki narkotyku przynoszą ulgę na proporcjonalnie krótszy okres.

Jego zachowanie nabierało cech orgiastycznych; formy zaspokajania zaczęły graniczyć z dewiacją. Wiele tu pomogły opisy zabaw Nerona i Kaliguli. Niemniej i wyrafinowana perwersja przynosiła ulgę tylko chwilowo; w każdym akcie spełnienia tkwił jak psująca smak zadra początek nowej żądzy. Z czasem doprowadziło to do tego, że bohater odczuwał już wstręt i zniechęcenie jeszcze przed samym aktem spożycia. Jednocześnie stan niekonsumowania powodował rozdzęcie jego potrzeb do rozmiarów zgoła apokaliptycznych — tak czy owak konsumpcja musiała nastąpić, aby egzystencja mogła być choć przez chwilę znośniejsza.

W ten oto sposób *hedonicus* wpadł w pogłębiającą się sprzeczność: między rozbuchanymi do kosmicznych rozmiarów potrzebami a coraz niklejszymi możliwościami ich zaspokajania. Wszak nadal pozostawał człowiekiem i dysponował jedynie ludzkimi sposobami zaspokajania. Innymi słowy, z całym rozpędem uderzył w nieprzekraczalne bariery kondycji ludzkiej. W rezultacie jego

wewnętrzne nienasycenie rosło, czyniąc z życia obłąkańczą szamotaninę złożoną z bezskutecznych prób zaspokajania.

Działania te są coraz bardziej desperackie i powoli przywodzą bohatera na skraj choroby psychicznej. Wydawałoby się, iż jest to jakieś wyjście. *Hedonicus* zdaje sobie jednak sprawę, że byłaby to ucieczka, a nie rozwiązanie. Likwidacja pożądania zamiast jego zaspokojenia zupełnie nie odpowiadała jego ambicji. W ostatecznej desperacji szukał dalej, przebierając między potrawami, napojami, kobietami i mnogością innych rzeczy ze zdawałoby się pozornie nieograniczonego kosmosu materialno—usługowej konsumpcji. Wszystko to odbierał jednak jako gorsze od tego, co posiadał już poprzednio. W efekcie rosła frustracja, stąd i końcowy obłąd wydawał się nieuniknionym.

Uratował go przypadek. Kiedyś, po szczególnie męczącej kombinacji erotyczno—bachicznej, wyszedł nad brzeg morza, by zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Spacerując po plaży dostrzegł w pewnym momencie starszego człowieka, spoczywającego w koszu i z dziwnie usatysfakcjonowaną miną obserwującego zachód słońca. Na pytanie bohatera, cóż w tym takiego niezwykłego, odpowiada, iż być może patrzy nań po raz ostatni. Wywiązuje się rozmowa, w której bohater zwierza się ze swoich kłopotów. Starzec kiwa ze zrozumieniem głową.

— Też jestem *hedonicusem* — powiada. — I to o stażu o wiele dłuższym niż twój. Problemy, o których wspomniałeś, znam z autopsji. Tak samo miałem się bezskutecznie, szukając nasycenia w świecie o zanikającej sensualności. Wszystko już było, ot co! Nie sposób nasycić się czymś, co pod pozorami (czytaj: efektownym opakowaniem) daje nam za każdym razem ten sam standardowy produkt. Sól życia, jego smak, został dawno zużyty, a wszystko, co się robi, służy jedynie temu, aby brak ów przed nami zamaskować.

— A więc nie ma już żadnego wyjścia? — pyta bohater.

— Tego nie powiedziałem — odrzekł starzec. — Jak widzisz, ja cieszę się jego pełnią.

— Jak to możliwe, skoro wszystko przepadło?

Starzec śmieje się, ujęty prostodusznością młodego *hedonicusa*.

— Całkiem niedawno też byłem pogrążony w skrajnej rozpacz, tak jak ty teraz. Trwało to do chwili, gdy lekarz oznajmił mi, iż jestem ciężko chory i moje życie należy mierzyć na miesiące, jeśli nie tygodnie. Od tego czasu jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Bohater patrzy na niego przerażonymi oczyma.

— Nie rozumiesz jeszcze? — dziwi się tenże. — Wszak to dzięki śmierci odzyskała sens każda przemijająca chwila, każde doznanie, nawet to najzwyczajniejsze, cieszy i podnieca, ponieważ może być doznaniem ostatnim. To, co do tej pory było przyczyną udreki, stało się nagle radością — odczucia zamieniły się miejscami niczym w zwierciadlanym odbiciu. Teraźniejszość, przed chorobą czas wypełniony nudą, stała się limitowanym skarbem. Wszechobecny kontekst śmierci uszlachetnia wszystko, nawet zjawiska i rzeczy najbardziej banalne. Ponieważ tak naprawdę to śmierć jest solą życia.

Starzec umilkł. Czas jakiś spoglądali na zanurzające się w morzu słońce.

— Myślę też — dodał starzec — iż to właśnie śmierć jest tym nasycającym doznaniem, ostatecznym spełnieniem, ku któremu zdąża wiedziony szczerzym instynktem każdy *hedonicus*, błądząc w labiryncie konsumpcji. Dlatego też nie czuję przed nią lęku, oczekując jak kochanki, która da mi rozkosz, jakiej jeszcze nie znałem. Pierwszy i ostatni raz.

Umilkł znowu. Słońce zaszło i bohater widzi jego twarz w bladej poświacie dopiero co wzeszłego księżyca. Przyozdobiona była dziwnym, enigmatycznym uśmiechem na wąskich ustach.

Dopiero po chwili pojął, iż ów nie żyje. Ze szczupłej postaci emanował spokój całkowitego spełnienia.

Dzień następny spędziłem morderczo pracując. Uporządkowałem wszystkie do tej pory stworzone siatki, dopisałem także dwie nowe, które już dawniej opracowałem szkicowo w pamięci. Zapakowałem dyskietkę do koperty, z zamiarem wysłania producentowi. Wystukałem szybko kilka listów, regulujących zaległe sprawy. Ucieszyłem się, że nie muszę sporządzać testamentu — zrobiłem to jakiś czas temu, po pierwszym ataku serca. Pobiegłem potem do miasteczka na pocztę i rozluźniony, zrelaksowany nawet, spędziłem resztę dnia leżąc w fotelu, z samopoczuciem człowieka, który wykonał wszystko, co do niego należało.

Wieczorem, bardziej z nudów niż potrzeby, złożyłem display'e, spakowałem komputer i całość ułożyłem porządnie w kącie. Żegnaj, Joanno! — pomyślałem bez szczególnego żalu i wyszedłem.

Pojawiły się pierwsze gwiazdy, w pogrążonej w głębokim cieniu werandzie dostrzegłem bujany fotel, a w nim zgarbioną sylwetkę pani Eudoksji. Kołysała się niespiesznie, targana podmuchami wiatru — okna i drzwi były otwarte na przestrzał. Poczulem, że powinienem coś jej powiedzieć, jakieś słowo na pożegnanie. Podeszedłem bliżej i lekko dotknąłem jej ramienia. Nie poruszyła się.

— Pani Eudoksjo! — tym razem trąciłem silniej, na serio zaniepokojony. Staruszka miała w nienaturalny sposób opuszczoną głowę, wykręconą pod dziwnym kątem. Chwyciłem ją za rękę i zamarłem, nie wierząc własnym oczom. Dłoń była pełna krwi, kobieta miała starannie przecięte nadgarstki. Szukając dokładniej, znalazłem porzucony nóż kuchenny i ciemną plamę pod fotelem. Pani Eudoksja nie żyła co najmniej od kwadransa.

— Dlaczego? — szepnąłem wstrząśnięty i cofnąłem się w kierunku drzwi. Więcej było tych *dlatego* — dlaczego podsunęła mi dziennik swojego męża?

W lesie spodziewałem się spokoju i ciszy. Chciałem ochłoniąć i jeszcze raz wszystko przemyśleć. Szedłem powoli ścieżką, w prawie absolutnej ciemności i właśnie zamierzałem włączyć latarkę, gdy po lewej coś nagle błysnęło i zgasło. Nie byłem w lesie sam — stanąłem i wytężyłem słuch: podmuch wiatru przyniósł trzaski i jakby strzępy słów. Latarka błysnęła znowu; ktokolwiek to był, posuwał się w stronę klasztoru. Za moimi plecami huknął przełamany konar. Wyglądało na to, że las jest pełen ludzi. Rozrzućeni szerokim wachlarzem, szli w tym samym kierunku co ja. Zacząłem biec.

Parę minut później dotarłem do bramy — otwartej, z szeroko rozchylonymi skrzydłami. Czyżby się mnie spodziewali? Wszedłem na dziedziniec i zaraz przystanąłem, zaskoczony panującą wokół ciszą. Drzwi i okna były szeroko otwarte i jasno oświetlone, niemniej nie spostrzegłem ani jednego z pensjonariuszy. Z tyłu tylko monotonnie szumiał las. Okna otwierały się i zamykały z głuchym łomotem. Nadal nikogo nie widząc wszedłem do środka.

Wewnętrzne gabinety zastałem puste, choć sprawiające wrażenie, jakby bawiono się w nich dosłownie przed chwilą: nie wyłączony telewizor, tocząca się kula bilardowa, nie dopite drinki. Wszyscy gdzieś zniknęli. Wędrowałem w głąb budynku, zaglądając do kolejnych pomieszczeń — dopiero w ostatnim znalazłem dziewczynę. Siedziała w fotelu i coś czytała.

Od razu poznałem okładkę — była to ta książka, opowieść o człowieku, który szukał smaku życia. Dziewczyna podniosła oczy i patrzyła na mnie zdumionym wzrokiem. Upuściła książkę — sięgnąłem po nią i odłożyłem na półkę.

— Nie powinienes tu przybywać — powiedziała cicho.

— Dlaczego? — spytałem.

Nie odpowiedziała. Uśmiechnąłem się gorzko. Na to pytanie nie było dziś odpowiedzi. Zresztą, wcale jej nie pragnąłem. Wziąłem dziewczynę za rękę i pociągnąłem za sobą. Nie mieliśmy zbyt dużo czasu — chciałem zdążyć, nim przyjdą. Schody prowadziły na górne piętro. Weszliśmy wyżej, aż na strych, trafiając do obszernej, wyłożonej kafelkami sali, z ogromnym, półkolistym oknem wychodzącym na dziedziniec, wypełnionym witrażem. Ułożony z kawałków szkła krzyż rzucał kolorowe plamy światła, widoczne na posadzce i białym suficie. Przypominało to trochę magiczną latarnię.

Usiedliśmy na podłodze i czas jakiś patrzyłem na nią w milczeniu. Miękkie światło otaczało jej postać rozmazaną aureolą. Uniosłem rękę i dotknąłem jej policzka, ciepłego i aksamitnego. Samymi końcami palców musnąłem szyję, potem wolno zjechałem do zagłębienia nad obojczykiem. Odsunęła się gwałtownie.

— Nie powinieneś tego robić — w jej głosie brzmiał chłód.

— Dlaczego? — pochyliłem się ku niej i dotknąłem ustami jej lekko rozchylnych warg. — Bądź królową mej śmierci — szepnąłem prawie bezgłośnie. Miłość i śmierć. I smak życia, którego wreszcie chciałem doświadczyć. Dłoń wędrowała dalej, ku piersiom, nadzwyczaj pełnym, płaskiemu, sprężystemu brzuchowi, szczupłym udom i okrągłym kolanom. Gdy była już naga, uległa i pogodzona z tym, co miało nastąpić, wtedy do sali wszedł Grzegorz.

Stał bezszelestnie nad nami, a na jego ustach błąkał się sardoniczny uśmiezek. Ale oczy miał smutne. Popatrzył na mnie z rezerwą, chłodny i daleki.

— Wiedziałem, że przyjdiesz i będziesz chciał to zrobić. Czy jednak jesteś pewien, że wiesz o nas wszystko? Czytałeś zapewne dziennik męża pani Eudoksji?

Przytaknąłem bez słowa.

— Nie ma w nim jednego zasadniczego faktu — że autor z Afryki przyjechał chory... Pani Eudoksja to jego druga żona, pierwsza zmarła zaraz na początku. Kiedy zorientował się, o co chodzi, kupił ten klasztor, wówczas już opuszczony. Jest pochowany w ogrodzie, daleko, przy murze.

Spojrzałem na dziewczynę — siedziała nieruchomo, objawszy rękoma kolana, wpatrzona w okno. Jej widoczny na tle witrażu profil wydał mi się do czegoś, a raczej kogoś podobny.

— Pani Eudoksja? — spytałem, prawie pewien.

— Tak — potwierdził Grzegorz. — Jest jej wnuczką. Wirus bywa kapryśny niczym grecki bóg, ją oszczędził, ale tylko po to, by mogła widzieć śmierć córki, a potem wnuczki.

Pomyślałem w jakimś szatańskim przeblysku, że tym razem pani Eudoksja okazała się sprytniejsza. Nic więcej nie będzie oglądać.

— Jest coś jeszcze — ciągnął Grzegorz, ale naraz w budynku zgasły wszystkie światła, siedzieliśmy dalej w zupełnej ciemności. Po chwili na dziedzińcu pojaśniało, chwiejny i niepewny blask, pochodzący od pochodni. Wstałem i podszedłem do witraża — przez otwartą bramę wlewał się na dziedziniec gęsty tłum, setki ledwo widocznych, zamaskowanych postaci. Niektórzy trzymali w rękach pochodnie, tryskające czerwonymi iskrami. Patrzyłem z niepokojem, podczas gdy tłum ustawiał się w wielki, nieforemny krąg, otwarty z jednej strony. Nikt nic nie mówił, słyszałem jedynie monotony szurgot butów po bruku.

— Widziałem ich w lesie — zauważyłem. — To najprawdopodobniej ludzie z miasteczka. Myślę, że spalą klasztor. Dlaczego nie uciekliście, tak jak inni?

Grzegorz w milczeniu potrząsnął głową. Na dole tłum tężał i nieruchomiał, jakby na coś jeszcze

czekając. Gdzieś pod nami trzasnęły drzwi i w polu widzenia ukazało się dwóch ludzi, prowadząc trzeciego, owiniętego od stóp do głów białym bandażem. Szli wprost ku tłumowi...

Nie mogłem patrzeć dalej — z zaciśniętymi do białości pięściami zwróciłem się ku Grzegorzowi, który zdawał się być całkowicie pochłonięty obserwacją dziedzińca.

— Nie zapytałeś o cenę — powiedział, nie odwracając głowy. — A za wszystko na tym świecie trzeba płacić. Coś za coś — życie za śmierć. A śmierci mamy w nadmiarze.

Na zewnątrz płomień wystrzelił wysoko i jasno, opadając i wznosząc się w upiornym, majestatycznym rytmie. Światło rozbijało się na szybach witraża, zalewając salę migotliwymi bryzgami, jak w diabelskim kalejdoskopie.

— Czy nie przyszło ci do głowy, że tłum też ma swoje potrzeby, jeśli chodzi o autentyczność? — mówił Grzegorz. — Że i jemu *Wspaniałe życie Joanny* może stanąć w gardle, powodując pragnienie przeżyć istotnych, rzeczywistych? Że świat skrojony na miarę mydlanego serialu ich także może zmierzić?

— To zbrodnia — powiedziałem, walcząc ze zmartwiałymi wargami. Biedna pani Eudoksja, więc to o tym chciała mi powiedzieć. To dlatego mieszkańcy miasteczka nic nie chcą wiedzieć o klasztorze.

— Nie — zaprzeczył spokojnie. — Zwyczajny handel. Zresztą, sprzedajemy tylko tych, których limit dobiega końca, którzy przeszli przez białe drzwi. Przechodzi się przez nie w jedną tylko stronę...

— A ten, tam?

— Był moim bratem.

Płomień na dziedzińcu raptem się obniżył, potem przygasł i jakby zduszony rozpełzł na boki. Rozległ się znowu szurgot butów, gasły pochodnie, ciemności gęstniały. Stałem zupełnie ogłuszony, z dźwięczącą pustką w głowie. Grzegorz odszedł, ciężko powłócząc nogami. Wydawało mi się, że słyszę jakiś szloch czy spazm. Poczulem obok siebie dziewczynę, jej miękkie, aksamitny dotyk. W nienackających okrucieństwach światła musiała wyczytać z mej twarzy ostatnie pytanie, ponieważ ujmując moją rękę i całując końce palców szepnęła:

— Umieraj z nami!

Obróciłem się ku niej. W jej łagodnie opalizujących oczach dostrzegłem ciemność i chłód. Nie było nic więcej — jedynie łomot mego oszalałego serca.

*Wrocław, czerwiec—sierpień 1991*



## Jacek Inglot

*Urodził się w 1962 roku w Trzebinii, a na stałe osiadł we Wrocławiu. Absolwent filologii polskiej na tamtejszym Uniwersytecie. Jeżeli nie weźmiemy pod uwagę fanzinów, to debiutował w 1988 roku opowiadaniem „Dira necessitas” w antologii Almapressu pod tym samym tytułem oraz humoreską „Science And Fiction, Inc.” w miesięczniku „Fantastyka”.*

*Od dłuższego już czasu oczekuje, razem z Andrzejem Drzewińskim, na ukazanie się we wrocławskim KAW-ie ich wspólnego zbioru „Bohaterowie do wynajęcia”. Opowiadanie „Quietus i chrześcijanie” z poprzedniej antologii pragnął rozwinąć w powieść, lecz jak sam twierdzi, zbieranie do niej materiałów idzie bardzo opornie.*

*„Umieraj z nami”, przyznaję, że jeden z moich faworytów z tym zbiorze, wiąże się ściśle z Jackowymi przemyśleniami na temat sacrum, i upadku kultury, czemu dał wyraz w swoim eseju pt. „Wariat z pochodnią”. Zacytujmy mały fragment:*

*„Rozpad klasycznego modelu kultury nie wziął się znikąd. Wiaże się ściśle z przemianami w duchowości współczesnego człowieka, a właściwie od tej duchowości desperackiej ucieczce... Fundamentem każdej kultury jest sacrum... bej strefy sacrum (i związanych z nią zakazów i nakazów) nie może być mowy o zbudowaniu hierarchii wartości, którymi kieruje się jednostka... Tak pojęte sacrum w naszej kulturze już nie istnieje, a zanik sacrum oznacza zniknięcie z życia ludzkiego wszelkiej duchowości. Zostaje jeno materia i smród jej rozkładu...”*

*To tylko jeden aspekt opowiadania „Umieraj z nami”, mną wstrząsnęła najbardziej wizja, wielce ponura i okrutna, symbiozy mieszkańców miasteczka z enklawą (enklawą?) chorych. Ciche, bezceremonialne seanse nienawiści w zamian za aprobatę egzystencji, w rowie, tuż za naszym płotem...*

## O „Rzece”

Opowiadanie „Rzeka” ma dość długą historię — powstało, w pierwotnej i niedoskonalej wersji, jeszcze na przełomie roku 1988 i 1989. Jednym z pierwszych, którzy zapoznali się z jego treścią, był Maciej Parowski, człowiek, któremu zawdzięczam bardzo wiele. Odpisał, że owszem, opowiadanie podoba mu się, za wyjątkiem zakończenia, które określił jednoznacznie jako „totalną obsuwę”. Szczerze mówiąc obawiam się, czy spodoba mu się „Rzeka” w zaproponowanym obecnie kształcie. Prawdopodobnie niedługo się o tym przekonam...

Kiedy niedawno miałem okazję powtórnie obejrzeć znakomity film Alana Parkera „Heart Angel”, uświadomiłem sobie nagle i dość nieoczekiwanie, że pisząc „Rzekę”, popełniłem coś, co na własny użytek nazwałem „podświadomym plagiatem negatywnym”. Zarówno bowiem moje opowiadanie, jak i film Parkera oparte są na podobnym pomysśle, acz ich wymowy są zupełnie różne. „Rzeka” nie rości sobie oczywiście prawa do czerpania pełnymi garściami z wielkości „Heart Angel” — na to jest jeszcze czas i daleka droga przede mną.

Dlaczego właściwie o tym wszystkim piszę? Ano dlatego, że pamiętam, jak całkiem niedawno oburzałem się na Jacka Piekarę za jego „Ponurego Milczka” (przez nieporozumienie chyba nominowanego do nagrody Fandomu), który to utwór jest dość niezręcznym plagiatem „Księżycowej Cmy” Jacka Vance’a. Otóż Piekara zasłonił się przed oczywistym zarzutem, plagiatu, umieszczając przy swoim opowiadaniu cytaty z Vance’a. Ja robię to w inny sposób. Niby przyznaję się wprost, że „Rzeka” jest plagiatem, ale zaraz dodaję, że „podświadomym” i łudzę się, że ktoś mi uwierzy na Słowo.

Gwoli wyjaśnienia dodam, że zdecydowanie nie zaliczam się, pomimo kilku wcześniejszych moich opowiadań utrzymanych w tym tonie i manierze, do zwolenników wizji świata jako areny zmagania między Dobrem a Złem, Bogiem a Szatanem. Zdecydowanie w większym stopniu odpowiada mi koncepcja Manfreda Eigena, który postrzega świat jako monstrualną Grę między stronami o nieustalonej tożsamości i tzw. „Kośćcu moralnym”. Już znakomity myśliciel i wódz chiński Sun Cy stwierdził 25 wieków temu, że ludzie (postrzegani jako jednostki) są jedynie pionkami na szachownicy strategii.

Kierując się wyłożonymi powyżej racjami, zarówno Biblię (co znajduje swój wyraz w „Rzece”, gdzie wykorzystuję, w dość dowolny i niezgodny z oryginałem sposób, mit o Sodomie i Gomorze), jak i twierdzenia znanego odszczepieńca Marcjana, czy innego Marksa, przyjmuję z przymrużeniem oka, jako propagandę obu Wysokich Stron wzajemnie się oczerniających i obrzucających pomyjami.

Kto, z Kim i o Co gra — tego niestety nie wiem. Jestem jednak tylko pionkiem...

*Jacek Sobota*

# Rzeka

*Tak oto dążymy naprzód, kierując łodzie pod prąd, który nieustannie znosi nas w przeszłość.*  
(F.S. Fitzgerald — *Wielki Catsby*)

Wszystko się zaczyna i wszystko kończy. Ciemność. Ciemność przechodząca w pustkę. Nagle krótki błysk. Przeszywający, wyzwalający... obrazy?

NOBODYH! NOBODY, PROSZĘ SIĘ ODEZWAĆ!!!

Dlaczego tak głośno?

ON UMARŁ!

JESZCZE NIE.

MOŻE BY TAK PRADEM?

NIEZŁA MYŚL!

PANIE NOBODY!!!

Nobody?

SERCE! SERCE SIADA!!!

CHOLERA!!!

Aż nagle zapada cisza. Zagłębiam się w poszukiwaniu utraconej tożsamości. Wszystko oddala się mimo braku punktu odniesienia.

Stara kobieta o twarzy pomarszczonej jak wyschnięty owoc. Jej oczy są stare i mądre. Patrzy na mnie i uśmiecha się, więc moje usta również rozciągają się w niechcianym uśmiechu.

— Dlaczego zdecydowała się pani właśnie na tego chłopca? — pyta Pani. — Proszę spojrzeć na jego nadgarstki.

— Mój Boże!

A jednak mnie wzięła.

Deszcz leje jak z cebra. Mokra ulica. Nagły i niespodziewany chłód przenika ciało i wszystko się kurczy. Podnoszę wysoki kołnierz nieśmiertelnego płaszcza, nasuwam kapelusz jak najgłębiej na oczy, by stać się nikim, wtopić się, scalić w jedno z tłumem. Próbuję przejść przez jezdnię. Ryk klaksonów wwierca się w mózg, rozrywa delikatne rusztowanie nerwów. Kapelusz spada na zabłoconą jezdnię powoli, niczym groteskowy, ogromny liść. Wściekła twarz kierowcy za moką szybą.

Mijam stare zaułki Wschodniej Dzielnicy, zwanej też Doliną. Inne dzielnice biją w niebo swą koszmarną architekturą, urągając dobremu smakowi. Dolina jest stara i nostalgiczna jak przebrzmiałe wspomnienia.

Zatrzymuję się przed bardziej niż inne odrapanym z tynku budynkiem, wznoszącym się opodal cuchnącego rybolu.

To miejsce pracy — dzielnicowy posterunek policji.

Więc wchodzę. Stary hali utrzymany w przytłaczającym czerwonym kolorze. Ten kolor — to tradycja. O taaak, to tradycja.

Kiwam na powitanie głową starzejącym się od kilkunastu lat twarzom, witam z pozorami wylewności sekretarkę szefa (równie apodyktyczną jak on sam), wreszcie wchodzę do mojego gabinetu — klitki trzy na cztery, z powietrzem przesiąkniętym papierosowym dymem, równie wiekowym jak Wschodnia Dzielnica. Siadam i niespiesznie przeglądam przedwczorajszą gazetę. Jej treść nie dociera do świadomości, zatrzymuje się gdzieś po drodze, diabli wiedzą gdzie. Odpoczywam po nocnych koszmarach i oczekuję na koszmary jasnego dnia. Nie czekam długo.

Drzwi otwierają się bez pukania. Wchodzi szef. Zdejmuję nogi z biurka i przestaję się czuć swobodnie. Odprężenie znika. Bezpowrotnie.

Na razie nic nie mówi, tylko patrzy na mnie. Wreszcie siada ciężko. Krzesło wydaje się pod nim groteskowo małe. Szef to ogromny facet, masywny w każdym calu.

— Co słyhać? — odzywa się wreszcie.

— Nic szczególnego...

— Taaa... — zapala papierosa. Dym cienką strużką wędruje ku sufitowi, gdzie zbiera się w bezkształtny w swym kształcie kłąb.

— Jest sprawa.

Milczę.

— Jest sprawa, Jos — powtarza z naciskiem.

— Yhm.

— Znikają ludzie.

— Coś podobnego!

— Nie szarżuj! — głos szefa nabiera ostrości.

— Porwania to nie moja działka, szefie.

— Pozwól, że jako twój bezpośredni przełożony, sam zadecyduję, co należy, a co nie należy do twoich obowiązków.

Pozwalam.

— Między innymi zaginęła córka prezydenta miasta... — zawiesza głos. Od dawna już zauważam u niego ową melodramatyczną żyłkę, nie popartą niestety aktorskim talentem.

— Owszem, pamiętam. Widziałem ją kiedyś na bankiecie, który obstawiałem. — Jej obraz żywo stoi mi przed oczami. Wysoka blondynka o błękitnych oczach, mętnych od wypitej whisky. — Jedna z tych, co to palą cygara, chleją wóde i dyskutują o walorach twórczości Kafki.

— Kto to jest Kafka? — pyta szef.

— Pisarz.

— Nie cierpię pismaków. Prezydent videofonował do mnie o piątej rano...

— Co na to pańska żona, szefie?

Wściekłość rozsadza Łazowi nos. Patrzę na ten jego nos z pobłażliwą ciekawością, ale tak naprawdę boję się. W stanie wskazującym na spożycie mniej jest w nim człowieczeństwa, niż alkoholu w zakrapianym piwie.

— Czekaj, Łaz. Czekaj... — Mam nadzieję, że moje słowa brzmią spokojnie, ale i tak wiem, że na nic nie będzie czekał, a już z całą pewnością nie na mnie. Bo i po co?

— Skurwłłłeee... — ślina cieknie obficie z jego rozchylonych ust. Tonące w wódzie oczy

zatrzymują się na glinianym wazonie. I znów pragnienie ślepej destrukcji bierze górę nad wszystkim innym. Nawet nie próbuję go powstrzymać — mimo wątłej budowy ciała jest piekielnie silny.

— Posłuchaj, Łaz... Zarobiliśmy ostatnio sporo forsy...

— Forsła! — Nikła iskra inteligencji rozświetla na moment otchłanie jego oczu.

— Tak, Łaz, forsa. Gdzie jest moja działka?

— Forsła?! — Iskra gaśnie jak zdmuchnięta.

Podnosi się ze starego, trzeszczącego przy każdym ruchu krzesła i podchodzi do okna. Otwiera okno. Przeciąg rozwiewa jego rzadkie, przyprószone siwizną włosy. Powoli, jak na zwolnionym filmie, wyjmuje z wewnętrznej kieszeni marynarki wypchany portfel i wytrząsa jego zawartość, jak strząsa się przez okno brudną szmatę. Banknoty wirują w powietrzu, niczym stado zielonych motyli. A Łaz śmieje się ekstatycznie.

Mój wzrok zatrzymuje się na szyldzie obskurnej knajpy. U BOBY'EGO ZDROWIEJ I TANIEJ — głosi napis.

Wchodzę do środka. Przy podwyższeniu imitującym bufet stoi rozmarzony barman o psich oczach. Poleruje i tak już oślepiająco błyszczące szklanki.

Sala jest niewielka, zbyt mała chyba nawet na skromny dirty strip-tease.

— Boby... to pańskie imię? — pytam.

Obrzuca mnie niechętnym spojrzeniem.

— Tylko dla przyjaciół.

— Nalej mi wódki, Boby.

— Z wodą?

— Za dużo dziś wody na świecie...

Deszcz leje jak z cebra. Przyjemnie jest siedzieć w mieszkaniu w taką pogodę. Nawet wówczas, gdy mieszkanie owo jest śmierdzącą, zaszczurzoną, zapajęczoną, zawilgoconą dziurą.

Śmierdząca wilgocią klatka schodowa, pod nogami chlupią kałuże deszczówki. Moryc stuka w odrapane drzwi właścicielki budynku. Drzwi uchylają się z potępieńczym skrzypieniem. Naszym oczom ukazuje się poskręcana artretyzmem postać starej kobiety.

— Panowie do mnie... — Słaby, chwilami zanikający głos.

— To pani chce wynająć mieszkanie? — upewnia się Moryc.

— Proszę za mną.

Prowadzi nas na poddasze, sam nie wiem, w jaki niepojęty sposób wspinając się po schodach stromych jak ściana Everestu. Wreszcie otwiera drzwi. Bez wątpienia jest to dla mnie szok. Wilgoć. I pajęczyny zasnuwające pokój jak opary gęstej mgły. I odpadający całymi płatami tynk. I rozpacz.

— Mam nadzieję, że panowie są porządnymi młodymi ludźmi. Ten dom od lat ma wspaniałą reputację... — mówi staruszka.

— Taaak. Ma wspaniałą reputację i odpadający tynk — zauważa Moryc.

— Nie zniosę tu panienek lekkiego prowadzenia — kontynuuje swoją tyradę właścicielka budynku.

— I pełno tu pajęczyn... — wciąż nie zraża się Moryc.

— Pająki przynoszą szczęście... — próbuję rozładować napięcie, ale chyba niezbyt fortunnie, bo

Moryc patrzy na mnie niechętnie.

— Jeśli panowie zawiodą moje zaufanie, wyrzucę bez pardonu.

— I wilgoć tu nie do zniesienia — Moryc szturmując niewzruszony bastion moralności.

— Siedemdziesiąt tysięcy za rok. Płatne z góry — mówi nieoczekiwanie staruszka.

— Za tę klitkę?! — ryczy Moryc głosem przepelnionym pełnym bólu zdumieniem.

— To nie żadna klitka, to mieszkanie w centrum miasta.

— W najbardziej podejrzanym części miasta, w dzielnicy kolorowych i łajdaków.

— Pan jest rasistą? — zainteresowała się staruszka.

— Pięćdziesiąt tysięcy. Jestem Żydem.

— Sześćdziesiąt dziewięć tysięcy. To się daje odczuć.

— Pięćdziesiąt jeden. — Sześćdziesiąt pięć.

— Pięćdziesiąt pięć. To moje ostatnie słowo. Ale stanęło na sześćdziesięciu pięciu.

Po dokonaniu transakcji Moryc nachyla się ku mnie i mówi konfidencjonalnym szeptem:

— Nie martw się, Jos. Ona już długo nie pożyje...

Chyba nigdy nie doczekam się chwili jej śmierci. Jej głos dobiega zza drzwi, domaga się zapłaty komornego. Udaję, że nie ma mnie w mieszkaniu. Stoi tak jeszcze przez dłuższy czas, słyszę jej urywany, chrapliwy oddech. W końcu jednak odchodzi. Dopiero wtedy wymykam się cichcem. Znowu się spóźnię.

Wsiadam do mojego volkswagena, kupionego okazji przed laty u pewnego handlarza starzyzną.

Wreszcie docieram do komisariatu. W gabinecie czeka na mnie niemiła niespodzianka — na moim ulubionym obrotowym fotelu siedzi sobie w najlepsze szef.

— Nie wyglądasz za dobrze — stwierdza łaskawie.

— Jestem trochę przeziębiony.

— I w ogóle burdel tu u ciebie. Wiesz, że nie toleruję nieporządku. Tu szklanka stoi na biurku w tej samej pozycji bodaj od roku. Dlaczego nie wylewasz fusów?

— Czekam, aż wykiełkuje z nich drzewko herbaciane.

— Znowu szarżujesz. Goni nas czas. Masz znaleźć tych domorosłych porywaczy. A wiesz, co trzeba robić, by tego dokonać? Trzeba ich szukać, inspektorze.

— Dziękuję za cenne wskazówki, szefie. Wychodzę. Mój własny gabinet, a ja wychodzę. Sierżant... bodajże Lewison... zaczepia mnie w korytarzu.

— Znalazłem ten adres, panie inspektorze.

— Adres... Jaki adres, sierżancie? A tak. Rzeczywiście. Dziękuję.

— 14 ulica, 5 dom. Taka stara buda popisana przez Redheadów.

— W porządku.

Ulice Miasta—Molocha. Wąskie, kręte, wypełnione po brzegi różnojęzycznym i różnokolorowym tłumem, rozświetlone holograficznymi reklamami. Śmierzące rynsztoki, zanieczyszczone trotuary, anachroniczne pojazdy i nie ustający smród od lat gnijącego miasta — monstualnego, umierającego organizmu.

Woda leje się strumieniami z ołowianego nieba, mój kapelusz staje się coraz cięższy, w końcu opada głęboko na oczy.

Córka prezydenta nie była wcale pierwszą ofiarą. Była za to ową „znaczącą okolicznością”, która

nadała w końcu sprawie bieg. Taki już jest ten świat — nikogo nic nigdy nie obchodzi — do czasu, aż jakiś waśniak nie przytrzyma sobie paluchów.

Chińczyk sprzedający warzywa w prowizorycznej, drżącej pod podmuchami wiatru budzie, obdarza świat, a przy okazji i mnie jowialnym uśmiechem. Biorę sobie z jego stoiska banana i odchodzę bez słowa.

— Money? — rzuca za mną niepewnie, z przytłumioną nadzieją.

Nie lubię bananów.

Holograficzna reklama superwidowiska sex–jitsu wciąż jeszcze jarzy się blado, choć jest już południe. Reklamowe fantomy z wolna dematerializują się w chłodnym powietrzu.

14 ulica. Slums? To za dużo powiedziane — jak zauważyłby zapewne prezydent Miasta—Molocha — Joseph Prokurat. Ulica przesuwających się z pozorną logiką cieni. Ulica bezpostaciowych postaci.

Ukradkowe spojrzenia, ukradkowe myśli...

Filozofia życia? I to za dużo powiedziane. A przecież to właśnie tu, dokładnie w tym miejscu, gdzie teraz stoję, popełniono przed laty najgłośniejszy mord w dziejach miasta — zastrzelono samego Prezydenta Federacji. Kula roztrzaskała mu czaszkę, lecz na wszelki wypadek ciało zawieszono do kliniki i poddano natychmiastowej reanimacji. Niestety, reanimacja trupa nie powiodła się. Przy okazji, w trakcie zamieszania okazało się, że połowę tłumu zgromadzonego na trasie przejazdu Prezydenta stanowili funkcjonariusze służby bezpieczeństwa. Mordercą był młody sprzedawca pieczywa. Motywów nie ustalono nigdy.

Jak to powiedział sierżant? Buda opisana przez Redheadów? Zgadza się.

Odrapana klatka schodowa, ściany i schody opisane redheadowskimi i neokomunistycznymi w swej wymowie hasłami. Trzecie piętro. Zgniłozielone drzwi, a na nich tabliczka z napisem: *T. i A. Sterenkovs*. Stukam, w miarę możliwości, delikatnie. Drzwi wydają z siebie przy tym głuchy dźwięk pękającej skorupy. Wokół roznosi się przykry smród nie czyszczonego od lat zsypu. Za brudnymi, porysowanymi przez czynniki atmosferyczne i pozaatmosferyczne szybami pada deszcz.

Półmrok.

Wizjer zaczernia się. Wciąż cisza. Dopiero po dłuższej chwili:

— Kim pan jest? — kobiecy głos.

— Jestem z policji. Pani mąż...

Drzwi otwierają się niespodziewanie. Młoda dziewczyna.

Nie, nie może być żoną zaginionego w niewyjaśnionych okolicznościach Toma Sterenkova — czterdziestoletniego pracownika podmiejskiej elektrowni jądrowej. Zbyt młoda. Zbyt świeża. Czarne pukle włosów niesforne opadają na blade, gładkie czoło zadziwiająco kontrastujące z głębią jej oczu. Czarnych oczu.

Co ona, u diabła, robi w takim miejscu?!

— Tom Sterenkov nie wrócił do domu po pracy w dniu 17 listopada tego roku. Kiedy widziała pani ojca po raz ostatni?

— Męża — poprawia mnie z uśmiechem. — Niechże pan wejdzie. Może napije się pan herbaty.

— Nie, dziękuję.

— Cóż... — usta drżą jej lekko. Nerwowym ruchem zapala papierosa. — Nie mieliśmy z mężem dzieci...

Rozglądam się po pokoju pełnym cieni i półcieni. Cienie i półcienie czają się po kątach,



bezszelestnie wędrują, jak to tylko cienie potrafią, nie dotykając przy tym podłogi.

— Tom wyszedł jak zwykle rano do pracy. Nie był zdenerwowany, czy gwałtowny... On... bał się... czegoś...

— Bał się? — słyszę swój drewniany głos, jakby dochodzący z wielkiej dali.

— Proszę mnie źle nie zrozumieć! Ten strach nie był u niego czymś niezwykłym... Tom należał po prostu do kategorii ludzi wiecznie czegoś się bojących. Czegoś bliżej nieokreślonego, nieuniknionego, jak...

— Śmierć? — wtrącam.

— Nie wiem. Być może... Wyszedł i nie wrócił... po prostu nie przyszedł... — Wzburzenie igra z jej obliczem. Emocje przepływają falą nie do powstrzymania przez głębię jej oczu, przez wąski nosek, przez drżącą linię ust...

Jest piękna.

— Czy miał jakichś wrogów? — moja rutyna nie daje jednak za wygraną.

Wrogów? Jakich wrogów mógłby mieć podrzędny pracownik elektrowni, który połowę swojego życia spędził na uważaniu, by przypadkiem nie nadepnąć komuś na odcisk — rezygnacja przelewa się przez jej głos, jakby jego ramy były zbyt wąskie.

— Tom był dobrym człowiekiem — dodaje po chwili. Patrzą na ich ślubne zdjęcie wiszące na ścianie, tuż nad holowizorem. Nagle przechodzi mnie dreszcz — znam tego faceta! Tom Sterenkov jest człowiekiem z mojego snu!

Wychodzę z żalem. Idą ulicą i czuję na plecach wzrok pięknej Angelici Sterenkov (prawdopodobnie wdowy), choć przecież wiem, że okna jej mieszkania wychodzą na brudne podwórze.

W głowie szumi mi stado komarów. Czuję roztaczający się wokół poetycki nastrój.

Kiedyś, pamiętam, napisałem wiersz. Pierwszego dnia, zaraz po akcie tworzenia, wiersz spodobał mi się. Drugiego dnia dostrzegłem wulgarność rymów, trzeciego zaś liryczną miałkość. Czwartego dnia chciałem wiersz spalić, lecz coś mnie powstrzymało. Teraz, ilekroć nachodzi mnie nieprzeparta chęć napisania czegokolwiek, wyjmuję z szuflady nieszczęsny wiersz i czytam. Od razu mi przechodzi.

Okrucieństwo maluje się na twarzy Skurbyka. Pozostałych nie znam.

— Cześć — mówię.

Jest księżycowa noc i pustka na ulicach.

— Cześć — odpowiada za wszystkich obecnych i nieobecnych Skurbyk. Jego twarz jest ciemną plamą. — Słyszałem, że chodzisz z Joanną.

— Na spacer.

— Śmieszne — zauważa jeden z towarzyszy Skurbyka. Jakoś nikt się nie śmieje. Nawet ja.

— Przestań z nią chodzić, Jos — mówi Skurbyk.

— Na spacer? — zawieszam głos. Nie za wysoko, nie za nisko. Dla Skurbyka w sam raz.

Cios rzuca mnie na chodnikowe płyty. Są zimne.

— No?

— Nic... z tego... oboje lubimy spacer... Dopiero drugi cios topi mnie w oceanie ciszy.

Cisza jest niemal absolutna. Nie licząc oczywiście pracującego na pełnych obrotach wentylatora.

Tu zawsze i bez względu na pogodę jest duszno.

Szef patrzy na mnie jak na robaka.

— Wyniki?

— Zero. Brak zaczepienia. Tych ludzi kompletnie nic nie łączy. Czterdziestoczteroletni listonosz. Czterdziestoletni pracownik elektrowni. Dwudziestodwuletnia córka prezydenta miasta, jakiś windziarz, urzędnik... Nie, to wszystko nie trzyma się kupy.

— Prezydent...

— Tak, wiem.

— Potrzebujesz wsparcia? Ludzie, sprzęt...

— Nie.

— Choć raz posłuchaj mnie uważnie, Jos. Jeszcze dwa, może trzy dni i ten imbecyl prezydent każe swojej *gwardii pałacowej* spacyfikować Dolinę... — Irytacja.

Udaję się do Jajogłowego — komputerowego geniusza, poza tym zaś — kompletnego imbecyla. Sterylny, czysty, aseptyczny niemalże gabinet, grube książki na półkach, pozbawione choćby grama kurzu, no i niepozorny komputer w rogu pomieszczenia.

— Nie najlepiej ci się powodzi, co? — pyta Jajogłowy z irytującym uśmiechem.

— Najlepiej, nie. Rozeszło się już?

— O niczym innym nie mówią.

— Rzucisz to na komputer?

— Co to jest?

— Dane o zaginionych. Wszystko: wiek, płeć, środowisko, szkoła. Wszystko.

— Analiza porównawcza?

— Zdaje się, że tak ktoś to kiedyś nazwał.

Deszczowy wieczór. Gwiazd nie widać, księżyc w odwrocie. Świat odbija się, groteskowo zdeformowany, w kroplach deszczu. Dystyngowani z Zachodnich Dzielnic spieszą na swoich latających limuzynach na nocne superwidowisko sex-jitsu. Potem będą mówili o *specyficie* Wschodniej Dzielnicy. Wchodzę do budynku. Wszystko tu śmierdzi wilgocią. Otwieram drzwi jak najciszej, żeby przypadkiem nie obudzić właścicielki domu. Światło chyba nie działa.

Nocne latarnie nie działają. Ulica pogrążona jest w głębokich ciemnościach.

Przed moim domem stoi dziewczyna. Niezła.

— Dobry wieczór, Josefie.

To Joanna. Piękna Joanna.

— Dlaczego nie wchodzisz do środka? — pytam.

— Twoja ciotka... — jej kasztanowe włosy rozwiewa wiatr. Ciepły, wiosenny wiatr. Jej oczy... Jej oczy dziwią się światu. Świat dziwi się jej oczom. Jej ciało...

— Boisz się mojej ciotki? To dobra kobieta. Adoptowała mnie kiedyś, wyrwała ze szponów sierocińca. Miałem wtedy siedem lat... Ktoś podrzucił mnie pod drzwi sierocińca, kiedy miałem dwa lata. — Podchodzę do Joanny na tyle blisko, by czuć zapach jej włosów. Pachną wiosną. Obejmuję ją. Nasze wargi odnajdują się w ciemnościach. Pocałunki są gorące.

Gorączka udziela się mieszkańcom, choć gazety — blokowane przez wyższe instancje — milczą.

Siedzę w anachronicznym volkswagenie (lubię go za ten anachronizm) zaparkowanym na rogu 12

i 17 ulicy i nanoszę na mapkę Doliny miejsca kolejnych zniknięć. Właściwie to nawet nie wiem, dlaczego zatrzymałem się w tym akurat miejscu.

Zebrak o twarzy tytułowego bohatera „Upiora w operze” uporczywie stuka w szybę volkswagena. W końcu otwieram drzwi i rzucam mu monetę o niewielkim nominale. Odchodzi.

Nie mija nawet kwadrans, a znów jakiś facet wyglądający na jowialnego boksera stuka w drzwi. A więc to wieczór odwiedzin. Niechętnie uchylam szybę.

— Dobry wieczór — mówi.

— Późny wieczór.

— Rozumiem! Zrozumiałem aluzję! — I śmieje się idiotycznie. Nosi świetnie skrojony płaszcz i kapelusz ze sklepu słynnego Strombergera.

— Pan ma do mnie jakąś sprawę, prawda?

— Owszem. Ale może wejdziemy do mnie? Mieszkam tu opodal.

— Niestety, cierpię na chroniczny brak czasu.

— Rozumiem. Przechodzę do meritum sprawy. Nazywam się Jean Vancouver i jestem kolekcjonerem antyków. To teraz wyjątkowo rzadko spotykane hobby. Bardzo zainteresował mnie pański pojazd...

— Chwileczkę, zaraz... Pan bierze mój samochód za jakiś tam antyk?! — Furia wzbiera we mnie powoli, jak powoli wzmaga się jesienny wiatr.

— Nooo... nie jest to raczej ostatni krzyk techniki...

— A pan by wolał, żeby technika wydała już swój ostatni krzyk? Nieodwołalnie ostatni?

Vancouver znów chichocze głupkowato.

— Jestem gotów dużo zapłacić. Jestem gotów nawet dużo przepłacić...

— Widzi pan, Vancouver, dla mnie to nie jest muzealny eksponat, jeszcze jedna ramotka do kolekcji — proszę wybaczyć dosadność — zwariowanego kolekcjonera. Ja tym samochodem po prostu jeżdżę.

— Brzmi to fantastycznie, ale oczywiście wierzę panu. — Złamany nos Vancouvera pąsowieje, nozdrza rozszerza woń łatwej zdobyczy. — Dam panu za to najnowszy model limuzyny latającej firmy nieodżałowanego Forda.

— Mam lęk wysokości.

— Widzę, że z pana nie lada handlarz, panie...

— Nobody.

— Nobody. Dam dwie limuzyny.

Teraz pozostaje mi już tylko czekać, aż zaproponuje mi posiadłość w East Village z basenem i kortem tenisowym.

— Przykro mi, ale ten samochód nie jest przeznaczony do sprzedaży. To pamiątka po... — Przez dłuższą chwilę zastanawiam się, kogo by tu wymienić, ale jakoś nikt nie przychodzi mi na myśl.

— Co myślisz o jego nazwisku? — pyta Pani Pana. Pan siedzi przy ogromnym biurku i coś notuje. Na moment przerywa pisanie i patrzy na mnie. Opuszczam oczy.

— Jakby go nazwać?...

— Josef...

— Josef?

— To na twoją cześć.

- Aha...
- Josef Nobody.
- To nawet do niego pasuje...
- Śmieją się.

Roześmiana twarz Mary Scernick. Urodzona w East Village, niebieskie oczy i tak dalej. Patrzą na jej fotografię i zastanawiam się, skąd, u diabła, znam jej twarz?! *Déjà vu?* John Bazyl, sprzedawca samobieżnych odkurzaczy, urodzony... Banały! Zaginął 28 października... Wszystko rozplywa się w ciężkich oparach snu. Budzi mnie odgłos kropel uderzających o blaszany parapet. Błady świt. Mój płaszcz jest bardziej wymięty niż zazwyczaj. Kapelusz leży na podłodze.

Udaję się wprost do gabinetu Jajogłowego. Kawa, którą mnie raczy, jest lodowato zimna.

— Twój expres nie jest sprawny — stwierdzam nie bez złośliwości. Jajogłowy uśmiecha się — nie bez złośliwości. — Co słyhać u twojego ulubieńca? — pytam, mając na myśli policyjny komputer.

— Coś jeszcze myśli w tym komisariacie. Jednak rezultaty mogą się mijać z twoimi oczekiwaniami.

— Nie mam żadnych oczekiwań.

— Tym lepiej, tym lepiej...

— No?

— Wszyscy zaginieni przyszli na świat w East Village...

— Córka prezydenta?

— Też.

— To już jest coś.

— To jeszcze nie wszystko. Wszyscy są obywatelami pochodzenia żydowskiego.

— Córka prezy...

— Też. — Jajogłowy marszczy się w uśmiechu.

— Żydzi z East Village? Dziwne...

— Nie ma w tym nic dziwnego. W East Village żyje bardzo wiele rodzin żydowskich. Była to kiedyś prawdopodobnie osada żydowska. Tu chodzi o Żydów, Jos. Po prostu o Żydów.

— Jakiś cholerny nazistowski socjopata...

Zalewana deszczem ulica. Piekielnie brzydka dziewczyna obnaża się na tle krzykliwej reklamy sprzętu holo. Marzę już tylko o ciepłym łóżku.

Łóżko skrzypnęło pod niewidzialnym ciężarem, drgnęły drzwi, targnięte podmuchem niewiadomego, lodówka warknęła ostrzegawczo. Mieszkanie rozbrzmiewa tajemniczymi odgłosami. I nieustannie śmierdzi gnijącą pleśnią.

— Przytulnie tu — zauważa Joanna. Nie wiem, czy drwi.

— Tylko, że nie ma się do kogo przytulić...

— O? Czyżby? — Jednak drwi.

— Co postanowiłaś? — pytam. — Znasz mnie, wiesz, jakim jestem człowiekiem. Jedni uważają mnie za zdolnego skurwysyna, inni za nieszkodliwego durnia. Niektórzy zwykli mawiać, że jestem bezdusznym draniem, który ukradnie żebrakowi z ulicy pusty kapelusz dla samego sportu, inni mówią o mnie: Jos? *to ten* sentymentalny *póldiota*, który *nie przeklnie wróbla srającego mu z nieba na*

głowę.

Czuję się jak szekspirowski aktor odstawiający chałturę.

— Jaka jest prawda? — Błękitne oczy Joanny śmieją się. Zdusić ten śmiech!

— Prawda? Cóż to jest prawda?! Prawd jest tyle, ilu ludzi je głoszących... Przepraszam, że taki tu nieporządek — pokazuję rozbebeszone łóżko.

— Nic nie szkodzi, Josefie.

Targnięty ciemną i nie do końca zrozumiałą stroną mojej skomplikowanej natury, podbiegam do łóżka, łapię slipy, w których spędzam samotne noce i ciskam nimi w twarz Joannie.

— Czujesz?! — krzyczę. — Śniłem o tobie tej nocy!!!

Tak to się skończyło.

Wszyscy są Żydami, wszyscy urodzili się w East Village i wszyscy czegoś się boją. Czego się boją? Podobno zwierzęta w niepojęty sposób wyczuwają zbliżającą się nieuchronnie katastrofę...

East Village to niewielka miejscowość położona opodal Miasta—Molocha. Niecka przechodząca w łagodną dolinę. Oaza ciszy i starych ludzi.

Powoli zapada zmierzch. Deszcz ustaje, krople spadają rzadziej, jakby przypadkowo.

Zatrzymuję się obok niewielkiego sklepu z obuwem. Jest zamknięty. Patrzą na tabliczkę: *Ulica Brzozowa*. Nie widzę w okolicy ani jednej brzozy.

Jakaś staruszka posuwa się z wolna w moim kierunku.

— Przepraszam — zaczepiam ją.

— A?

— Nie orientuje się pani, gdzie jest ulica Wierzbowa?

— Wiśniowa?! — krzyczy staruszka.

— Wierzbowa!!!

— Druugaaa w prawo!!!

— Dziękujęęę!!!!

Ulica Wierzbowa. Oczywiście skutecznie pozbawiona wierzb. Królują tu dość niefortunnie dwa kolory: szary i żółty. Domy na przemian są szare i żółte. Płyty chodnikowe — szarżółta szachownica.

Deszcz znów się wzmaga, wiatr zacina bezlitośnie po oczach. Niewielki domek — szary i koszmary. Wierzbowa 14. Dzwonią. Jękliwy, szarpiący nerwy dźwięk. Po dłuższej chwili drzwi otwierają się bezszmerowo i jakby nieufnie. Patrzy na mnie twarz mężczyzny w podeszłym wieku. W blasku latarni wydaje się żółta.

— Pan Townshead? — pytam.

Potwierdza nieznacznym gestem. Wyjmuję z kieszeni odznakę, ażeby zdusić w zarodku jego nieufność.

— Jestem z policji. Josef Nobody. Przychodzę w sprawie zaginięcia córki państwa...

— Wejdz pan — szorstki jak spracowane dłonie głos.

Czarny korytarz, ciemne pieczary pokoi. Jeden rozświetlony. Na bujanym fotelu siedzi kobieta wpatrzona w muzealny model holowizora.

— Kto to był? — pyta, nie odwracając oczu od holowizora.

— Facet z policji — odpowiada Townshead.

— Czego chciał?

— Sama go o to spytaj.

Kobieta odwraca się wreszcie. Jej twarz przywodzi mi na myśl stary worek bokserski. Nie wydaje się specjalnie zaskoczona moją obecnością.

— Czego pan chcesz? — pyta.

— Chciałbym dowiedzieć się czegoś o córce państwa... Chwila zastanowienia.

— Pytaj pan.

Townshhead macha zrezygnowany ręką i wychodzi z pokoju.

— Czy... miała jakichś wrogów?

— Wrogów?

— Zawiedziona miłość... zazdrość... — naprowadzam.

— Nie.

— A może miała jakichś przyjaciół? — pytam przez przekorę.

— Nie wiem. Nie było jej tu od siedmiu lat.

— Wobec tego czemu tak kategorycznie pani twierdzi, że nie miała wrogów?

Pani Townshhead — apodyktyczna kobieta grubo po sześćdziesiątce — zbywa moje pytanie zaklętym milczeniem. Siedzimy tak — milcząc — minutę, może nawet dłużej.

— Cóż, dziękuję pani za cenne informacje — przerywam w końcu milczenie.

Wychodzę z pokoju. Zatrzymuje mnie głos starej.

— Anna była dobrą dziewczyną...

— Na pewno.

— Zawsze czegoś się bała.

— Bała się?

— Bała się.

— Czego... kogo się bała?

— Nie wiem.

Wsiadam do samochodu i przeglądam listę nazwisk. Muszę jeszcze odwiedzić kilka koszmarnych domków.

Kiedy wreszcie znów jestem w mieście, jest już prawie północ. W komisariacie melduję się około trzeciej w nocy. Szef czeka na mnie. Ostatnio spędza w moim gabinecie dwadzieścia dwie godziny na dobę.

— Cholerny deszcz — mówię z odpowiednią dozą wściekłości w głosie.

— Który to już dzień? — pyta szef.

— Pada chyba od tygodnia.

— Pytam, ile trwa śledztwo.

— Też coś koło tego.

— Rezultaty?

— Trudno tu mówić o jakichkolwiek rezultatach...

— Dwudziestu zaginionych, a tobie trudno mówić o rezultatach!

Jajogłowy pływa w oceanie samosatysfakcji.

— Potrzebuję informacji — wyrywam go z tego godnego pozazdroszczenia stanu.

— Niestety, obawiam się, że mój komputer nie zdradzi ci nazwiska porywacza...

— Bardzo śmieszne.

— Zdaję sobie z tego sprawę.

— Potrzebuję informacji o ludziach urodzonych w East Village, przebywających aktualnie w Dolinie.

— Pochodzenie żydowskie?

— Yhm.

— A skąd pewność, że nasz przyjaciel nie zacznie jutro porywać żółtków?

— Nie mam takiej pewności.

— Przyjdź za piętnaście minut.

— Będę u ciebie za dwie godziny. Mam sprawę w mieście.

Silnik volkswagena zgrzyta i terkocze, jakby domagając się przeglądu. Mokre ulice zostawiam za sobą, jak przykre wspomnienia. Dźwięki dochodzą do mnie przytłumione, miękkie jak wosk. Mijam chiński sklep mięsny, w którym od niepamiętnych czasów sprzedaje stary, na wpół sparaliżowany Chińczyk z nieodłącznym grymasem paralityka na ustach.

Zatrzymuję się przed brzydkim, jak wszystko wokół, budynkiem. Klatka rozbrzmiewa echem moich kroków. Pukam do drzwi opatrzonej tabliczką: J. i M. *Brower*. Otwiera młody, wysoki mężczyzna, sądząc z pozorów — dość inteligentny.

— Pan Brower? — pytam.

— Tak.

— Nobody z komisariatu dzielnicowego. Macham mu przed oczami podrdzewiałą odznaką.

— Pańscy koledzy już mnie odwiedzili.

— Wiem.

— Cóż... skoro już pan tu jest... niech pan wejdzie.

— Przyszedłem w sprawie zaginięcia pańskiej żony.

— Doprawdy? — Wprowadza mnie do niewielkiego pokoju obwieszzonego starymi, bądź też sprawiającymi takie wrażenie, zegarami. Żaden z nich nie chodzi.

— Pan jest hobbystą? — pytam, żeby rozładować atmosferę.

— Nie.

— Zastanawiają mnie okoliczności zaginięcia pańskiej żony.

— Już o tym mówiłem. Nie raz. — Zapala papierosa. Wyraźnie trzęsą mu się przy tym ręce.

— Nie mnie.

— Dobrze. Siedziałem w pokoju i usiłowałem zapomnieć o tykaniu tych cholernych zegarów. Monika robiła coś w kuchni. Śpiewała coś przy tym... Chyba *Do You Believe?* Miała bardzo ładny głos... Aż nagle przestała śpiewać. — W tym momencie Brower blednie. — W końcu poszedłem do kuchni. Nikogo tam nie było... W kuchni nikogo nie było!

— Proszę się uspokoić... — Nie nadaję się na pocieszyciela facetów wyższych ode mnie o pół głowy. — Może pańska żona po prostu wyszła?

— Musiałaby albo przejść przez pokój, albo wyskoczyć przez okno w kuchni. W pokoju siedziałem ja, z pierwszego piętra zaś nigdy dotąd nie skakała...

— Zawsze jest ten pierwszy raz — mówię. Brower patrzy na mnie dziwnie, więc szybko zmieniam temat:

— Więc jak pan to wszystko wytłumaczy?

— Pan jest tu od tłumaczenia. Ma cholerną rację.

— Był pan może kiedyś w East Village? — pytam bez jasno sprecyzowanego celu.

— Tak. Dość ponura miejscowość. Jakby żywcem ściągnięta z wieków średnich. Chodzi mi o

atmosferę. I tamtejsi ludzie. Chłodni, obojętni, wulgarni ignoranci. Jej rodzice też tacy byli. Nie przepadali za mną.

— Czy pańska żona... bała się czegoś?

— Niby czego?

— Nie wiem.

Przez dłuższy czas milczy.

— Tak. Chyba tak. Zawsze miała takie przestraszone oczy.

Oglądamy jeszcze kuchnię. Kuchnia jak kuchnia, ale znów męczy mnie dziwne uczucie *déjà vu*. Ja już tu kiedyś byłem...

Wychodzę bez pożegnania.

U siebie zasypiam prawie na stojąco. Pajęczynę ciszy zrywa nagle i przy okazji budzi mnie zarazem przenikliwy dźwięk videofonu.

Mój rozmówca nie włączył wizji.

— Tak? — wieczne jak sam czas pytania.

— Jos? — Nie rozpoznaję głosu. Za oknem nic nie rozświetla ciemności, prócz ludzi i ich nieudanych dzieł.

— Owszem, mam na imię Jos, ale to jeszcze nie oznacza, że każdy może mnie budzić w środku nocy.

— Wybacz, że się odważyłem. — A więc to mężczyzna. Głos na to nie wskazywał.

— O co chodzi?

— Miałeś wpaść do mnie po południu.

— Czyżby?

— Nie mogłem cię nigdzie znaleźć. Komputer wypluł nowe, dość interesujące dane.

— Czy to ty, Jajogłowy?

— Nie poznałeś mnie?

— Zmieniłeś się od wczoraj.

— Słuchaj uważnie, Jos. W Dolinie są w tej chwili dwie osoby pochodzenia żydowskiego, urodzone w East Village...

— Szef wie?

— Nie pytał mnie o to... Cały Jajogłowy.

— Zaraz tam będę. Dzwonisz z komisariatu?

— Z domu. Jestem co prawda w piżamie, ale jeśli koniecznie chcesz, to wpadaj. — Tłumiony chichot.

— Kto ma teraz dyżur w komisariacie?

— Chciałbym się mylić, ale chyba Twardogłowy...

— Niedobrze... Nazwiska i adresy.

Jean Vancouver — 17 ulica, dom 6, mieszkanie 9. Deborah Veverka, znana powszechnie jako Debbie China — 12 ulica, dom 7, mieszkanie 15.

— Debbie China... to ta piosenkarka?

— Ta sama.

Wyłączam Jajogłowego i wystukuję numer mojego zaufanego — Bobby'ego Ventury. Zaspana, wymięta twarz Bobby'ego.

— Cześć.



— Cześć.

— Bobby, wal do komisariatu i wypieprz stamtąd Twardogłowego. Zajmij się Jeanem Vancouverem i Deborah Veverką — podaję adresy. — Są następni na liście. Zaraz będę w komisariacie.

— W porządku, Jos.

Fonuję do szefa. Kiedy wystukuję numer jego mieszkania, mój wzrok przypadkowo pada na podłogę. Pod moim łóżkiem leży kobieca blond peruka. Skąd tu się wzięła blond peruka?!

Odbiera żona szefa. Mam wyłączoną wizję.

— Witam — mówię bez wstępów. — Wie pani oczywiście, kto teraz z panią rozmawia, prawda?

— Tak jest, panie prezydencie. Już proszę męża, panie prezydencie.

— Słucham — rozespana twarz szefa.

— Tu Nobody. Ustaliliśmy nazwiska potencjalnych ofiar.

Potrzebuję ludzi.

— Skąd fonujesz?

— Z domu.

— Co tam jeszcze robisz?

— Już nic. — Wyłączam się. Oczami wyobraźni widzę Debbie China śpiewającą very hard rocka. Azjatyckie rysy twarzy umiejętnie wydobyte przez jakiegoś geniusza chirurgii plastycznej i rozbiegane, rozszerzone strachem oczy.

Patrzymy na młodą dziewczynę wykonującą dirty strip-tease. Spazmy brudnego podniecenia. Falujące rozkoszą ciało. Nie może mieć więcej niż szesnaście lat. I jest artystką w swoim fachu — budzi odrazę.

— Idziemy? — pyta pobladły nagle Mix.

— Dokąd?

— Do Jolette — mówi Mix — powinna być teraz w domu.

To dobry pomysł. Tego dnia nawet bardzo dobry. Chłopcy uśmiechają się, myśli odbijają się w ich twarzach. Głupie oblicza młodocianych pseudointelektualistów. Jolette jest naszą koleżanką z ogólniaka przy 5 ulicy. Poza tym jest zawodową prostytutką, co nie przeszkadza jej w byciu wzorową uczennicą.

Wchodzimy do anachronicznie czystej i gustownie urządzonej klatki schodowej. Na ścianach wiszą reprodukcje Boscha. Pukam. Nic. Albo jej nie ma, albo jest zajęta. Patrzę na Moryca. Jest rozczarowany.

Rozczarowanie zalewa mnie falą nie do odparcia — szef jest w komisariacie. To jego ford z turbodoładowaniem. Na latającą limuzynę jeszcze go nie stać.

— Ich mieszkania sprawdzone?! — ryczę od drzwi. Żandarmi patrzą na mnie jak na faceta z innego — być może nawet lepszego — wymiaru.

— Vancouver jest u siebie. Veverka powinna teraz być w East Shaw. Nasi ludzie są już w drodze — relacjonuje Bobby Stary, dobry Bobby, o oczach starego, dobrego, poczciwego psa.

— O.K., Bobby. Nie kontaktować się z nimi, nie ostrzegać przed czymkolwiek. Ograniczyć się do obserwacji. I dyskretnej ochrony.

— Jesteś pewien tego, co robisz, Jos? — to szef. Stoi za mną ze skrzyżowanymi na piersiach

ramionami. Wielki i majestatyczny.

— Jak cholera.

— Zawiadomiliśmy ich!

— Kogo?

— Chłopców.

— Dobra, Bobby. Ta sprawa nie może zostać spieprzona. Jedź do grupy obserwującej Vancouvera... skąd ja znam to nazwisko? Ja jadę do East Show.

Jedziemy. Neony rozmazują się w nic nie znaczące smugi, wycieraczki pracują już chyba tylko siłą inercji. Czuję się tak, jakbym jechał naprzeciw przeznaczeniu.

Żadna knajpa w Dolinie nie jest tak znana jak East Show. Buda okolona błotnistym podjazdem i oczywiście odzwierny — barczysty facet o twarzy zmasakrowanego pekińczyka — kiwający głową z majestatyczną powagą i aprobatą na widok okazywanych zaproszeń. Macham mu odznaką. Kiwa głową z dezaprobatą. Ale przepuszcza.

Strach narasta wprost proporcjonalnie do zmniejszającej się odległości.

Tłum dyszy podnieceniem. Na niewielkim ringu odbywa się pokazowa walka sex-jitsu. Kobieta ma wyraźną przewagę.

Wyczuwam w powietrzu coś obcego, namacalnie niemal rzeczywistego, elektryzującego atmosferę. Coś się wydarzy...

Rozochocona dziewczyna, z gatunku platynowych sex-bomb, pakuje mi rękę w krocze. Odpycham ją — może nieco nazbyt brutalnie. Przyskakują do mnie jacyś faceci o płomieniście białych włosach, ze swastykami wytatuowanymi na czołach. Pierwszego ciosu prawie nie czuję.

Tłum rozstępuje się, rozerwany rozterką — co gwarantuje większe emocje: sex-jitsu, czy też nasza bójka? Podniecenie sięga niechlubnego szczytu.

Chcę wyjąć odznakę, ale drugi cios wyłącza mnie na czas bliżej nieokreślony. Wreszcie otwieram oczy. Pochyla się nade mną jeden z białowłosych napastników. Odrzucam go od siebie ciosem niespodziewanym, także i dla mnie samego. Jego ciało wiotczeje, opada na kolana. W tym samym momencie widzę, że moi chłopcy przeciskają się przez tłum w moim kierunku.

— Stóóójcieeee!!!! — krzyczę. — Biegnijcie do garderoby! Pilnujcie Debbieeee!!!

Zatrzymują się niezdecydowani, a ja przeklinam to ich niezdecydowanie.

Spada na mnie grad ciosów. W końcu ktoś litościwie pozbawia mnie przytomności.

Po pewnym czasie odzyskuję ją. Głowę mam dużo cięższą niż zwykle o tej porze.

Nade mną stoi szef — niewzruszony jak głaz. Wciąż jestem w East Show. Leżę na którymś ze stolików. Ile mogło minąć czasu?

— Ile czasu? — pytam i nie rozpoznaję swojego głosu.

— Pół godziny — zimne opanowanie szefa.

— Myślałem, że minęła cała wieczność...

— Pół godziny wystarczyło. Pokpiliście sprawę, Jos. Cholernie pokpiliście sprawę...

— Ona...

— Zniknęła, nie opuszczając garderoby, z której jest tylko jedno wyjście. A ty się tu bawiłeś w bójki...

— To nie była zabawna zabawa. Złapaliście tych przyjemniaczków?

— Tak. To Whiteheadzi.

Jason Rutheford — homoseksualista i barman z East Show — był ostatnim człowiekiem, który

widział Debbie China. Zeznał, że Debbie zjawiała się na godzinę przed występem. Zdziwiło go, że nie podeszła do baru, jak zwykle to robiła, by zamówić whisky z wodą i pogawędzić z nim. Od razu udała się do garderoby, skąd już nie wyszła. Wyszedł za to stamtąd drobny, niski facet w płaszczu przeciwdeszczowym, z wysoko postawionym kołnierzem, który zakrywał mu twarz. Było zresztą ciemno, migotały dyskotekowe migacze.

— Z postawy przypominał pana — powiedział Rutheford do mnie.

Głowę rozsadza mi tępy, dojmujący ból. Wsiadam do wozu i jadę. Kierownica kieruje dłońmi. Prosto na 17 ulicę.

Boby siedzi w swoim samochodzie — starym modelu merca.

— Wciąż jest u siebie? — pytam bez zbędnych wstępów.

— Tak. Przed chwilą sprawdzaliśmy. Jeden z chłopców był u niego w przebraniu pracownika gazowni.

— Dobra. Idziemy.

— Do niego?

— Do Vancouvera.

Wchodzimy na trzecie piętro. Dzwonię. Drzwi uchylają się lekko. Ulga.

— Pan Vancouver? — pytam.

— Tak. — Wysoki, barczysty blondyn o złamanym nosie. Skądś znam tę twarz...

— Policja.

— Co się...

— Pozwoli pan, że wejdziemy.

— Macie panowie nakaz?

— Sto nakazów.

— Wystarczyłby jeden. Chciałbym go jednak zobaczyć...

— W tym momencie poznaję go. Jean Vancouver — kolekcjoner starzyzny, który chciał onegdaj kupić mojego volkswagena...

— Bynajmniej nie chcę panu sprzedać mojego samochodu. Przychodzę w zupełnie innej sprawie...

Poznaje mnie.

— Pan Nobody, oczywiście! Ale pamięta pan o naszej umowie?

— Jakiej umowie? — jestem zdumiony.

— Rozumiem — mówi Vancouver, pokazując nieznacznym gestem moich współpracowników. —

Pan jest tu służbowo...

— Będę mówił krótko. Urodził się pan w East Village?

— Tak.

— Jest pan obywatelem pochodzenia żydowskiego?

— To moja prywa...

— Jest pan, czy nie?

— Tak, ale co to ma do...

— Ludzie pochodzenia żydowskiego urodzeni w East Village znikają w niewyjaśnionych okolicznościach. Czy chce pan zniknąć w niewyjaśnionych okolicznościach, panie Vancouver?

— Pan... chyba oszalał.

— Jeszcze nie. Boby, zostaniesz tu. Bierz sobie kogoś do pomocy. Macie nie opuszczać pana

Vancouvera. Bez względu na okoliczności.

— Czy pan się czegoś boi, panie Vancouver? — pytam na odchodnym.

— Ja... chyba tylko pana, inspektorze. — Na dnie oczu Jeana Vancouvera — handlarza jarmarczną starzyzną i antykami — czai się strach.

Udaję się do pobliskiej knajpy na kilka głębszych.

Moja ciotka, którą kocham jak rodzoną matkę, ma najgłębsze oczy na świecie. Na początku pytała mnie, czy pamiętam cokolwiek z własnej przeszłości. Nie pamiętałem. A może wolałem nie pamiętać?

Pamięć płata figle — o mało nie przejechałem obok komisariatu. Od razu kieruję swoje kroki do sali przesłuchań. Po drodze spotykam szefa — jest zatroskany.

— Może masz jakąś koncepcję, Jos?

— Nie wiem. Może to Whiteheadzi. Naziści, nie lubią Żydów.

— Nie odkrywaliby się tak w East Show. No i ten facet, który wyszedł z garderoby Veverki.

— Taaa. Zagmatwana sprawa...

Wchodzę do sali przesłuchań. Wprowadzają jednego z Whiteheadów.

— My się chyba skądś znamy... — pocieram znacząco rozbitą szczękę.

— Nie powiem ani słowa podczas nieobecności mojego adwokata! — warczy. — Nigdy nie miałem do czynienia z glinami! Przez całe swoje życie.

Całe życie to szmat czasu. Nawet, jeśli żyje się dwadzieścia lat.

— Powiesz, powiesz...

— Nie po...

Uderzam na odlew po twarzy bez wyrazu. Trafiam gdzieś w okolicy swastyki.

— Pan nie ma prawa! — warczy. Wciąż jeszcze warczy.

— Ja jestem prawem. W tej parszywej dzielnicy znikają ludzie. W mojej dzielnicy znikają ludzie. Zniknęła piosenkarka Debbie China — przy twojej wydatnej pomocy. Debbie była Żydówką... Wy nie lubicie Żydów, prawda?! Co z nią zrobiliście?! Co zrobiliście z innymi?! Aha, zniknęła jeszcze córka prezydenta miasta...

— Córka prezydenta? — Whitehead blednie.

— Prezydent jest nerwowym facetem... Znam go trochę...

— Ale to nie my...

— Więc kto?! — podchwytyję.

— Jeden facet kazał nam się panem zająć... Nie wiedzieliśmy, że pan jest gliną...

— Nazwisko.

— Co?

— Jego nazwisko.

— Nie przedstawiał się. Ale ja go znam... Prowadzi antykwariat na rogu 14 i 21 ulicy.

— Sprawdzić to! — rzucam do protokolującego sierżanta. Wychodzi, wyprowadzając przy okazji Whiteheada. Wraca po dziesięciu minutach.

— Mamy nazwisko tego faceta — mówi tak, jakby cedził przez gęste sito równie gęstą zupę.

— No? — ponaglęm.

— Nazywa się Vancouver.

— To tak jak...

— To ten Vancouver.

— Ten Vancouver... — powtarzam machinalnie. — Vancouver!

Videofon. Kod. Sygnał i czarny ekran. Nikt nie odpowiada. Nikt.

— Wóz!!! — ryczę.

Jedziemy na sygnale ulicami przeklętej dzielnicy przeklętego miasta. Deszcz zacina, krople na szybie łączą się w strużki.

Zatrzymujemy się z piskiem wytartych opon. Prerażony staruszek gubi laskę. Po chwili wyjmuję z przepastnej kieszeni notes i zapisuje numery naszego wozu.

Biegnę przeskakując po trzy, cztery stopnie naraz. Za mną, gdzieś z tyłu, sapie ciężko sierżant. Drzwi. Przez szparę sączy się leniwie światło. A więc otwarte. Otwarte?! Wpadam do środka. Dwa trupy. Krew. Boby z dłonią na klawiaturze videofonu i z kuchennym nożem w plecach. Przez moment szarpie się ze schowaną pod pachą kaburą. Wreszcie wyszarpuję pistolet. Jego metaliczny chłód uspokaja.

Oczy Boby'ego zasnuwa mgła, której już nic nie może rozwiać. Boby był zawodowcem. Boby był twardzielem.

Był...

Kuchnia. Otwarta szuflada. Zapewne brakuje w niej kuchennego noża. Otwarte na oścież okno. Stół.

Do mieszkania wpada zasapany sierżant i dwóch mundurowych.

— Boże... — zduszony szept.

Więc to Vancouver. Tylko po co? Może chce pozostać jedynym Żydem poczętym w East Village? Szaleństwo...

A w pokoju trupy. Żołądek podchodzi mi wysoko. Zbyt wysoko. Opanować się. Zmusić się...

Wychodzę z kuchni.

— Fonujcie na pogotowie. — To chyba mój głos.

— Tak jest. Pan źle się czuje?

Świat wiruje, traci formę i sens. Przedmioty zlewają się, wszelkie prawa przestają obowiązywać. Czy tak właśnie wygląda śmierć?

Wychodzę z tej oazy śmierci na pustyni bezprawia. Coś prowadzi mnie poprzez ulice miasta jak na smyczy. To chyba serce. Wchodzę do klatki schodowej jakiegoś domu. Jakiego? Nie wiem. A może jednak wiem? Wieczne pytania. Stoję teraz przed zielonymi drzwiami. Pukam. Dźwięk pękającej skorupy. Skądś znam ten dźwięk...

— Kto tam? — pyta kobiecy głos. Aksamitny głos. Są głosy mile i niemiłe znajome. Ten zdecydowanie zalicza się do tych pierwszych. Dopiero teraz odczytuję tabliczkę na drzwiach: *T. i A. Sterenkovs*. Tak. Już tu byłem. Jakże dawno...

— Policja! — krzyczę i zanoszę się dzikim śmiechem. Drzwi uchylają się lekko.

— To pan... — niepewny i jeszcze bardziej aksamitny głos.

— Dobry wieczór, Angelico. Proszę mi wybaczyć, ale jestem pijany.

— Dobry wieczór. Proszę wejść...

— Czy już ci mówiłem, że masz aksamitny głos? Ponurość tego miejsca przytłacza.

— Miłe masz mieszkanko, Angelico.

— Czy jest coś nowego w sprawie mojego męża?

— Niestety. Milczenie.

Ja wiem, że ty jesteś subtelną dziewczyną, i że nie przepadasz za pijanym gliniarzem, który prawie przemocą wdziera się do twojego domu. Ale to jest tak: czujesz się na tym świecie samotnie i źle, więc wchodzisz do knajpy bez nazwy. Zamawiasz wódkę u barmana bez nazwiska. Potem jeszcze jedną. I jeszcze. Taki już jest mechanizm — człowiek robi świństwa, a potem się zalewa, żeby zapomnieć. Zapomnieć! Można jeszcze ewentualnie sprać po pysku jakiegoś łobuza i to już jest katharsis.

Angelica patrzy na mnie z lekkim, być może ironicznym uśmiechem.

— Angelico — przerywam oplatającą mnie wciąż od nowa pajęczynę ciszy — zakochałem się w tobie. Pytanie brzmi: czy szczęśliwie?

Uśmiech wciąż błąka się gdzieś na dnie jej zmysłowych ust. Oczy się nie śmieją. Stają się jeszcze głębsze, choć wydawałoby się to niemożliwe.

— Jestem mężatką.

— To nie moja wina. — Przysiągłbym, że w tym momencie, na krótką chwilę roześmiały się jej oczy. Poczytuję to sobie za sukces. Wyjmuję z kieszeni cudownie płaską butelkę whisky.

— Ja nie piję.

— Ja również. Jestem przecież na służbie. Rozlewam alkohol do szklanek.

Piję jednak. Angelica też pije. Pijemy. Dzieli nas tylko stół.

Na stole piętrzą się tony makulatury. To tylko nieukończone raporty.

— Weź się w garść, Jos — mówi szef głosem Johna Wyne'a.

Nie odpowiadam. Podpieram diablo ciężką głowę, czym się da. Daremnie — wciąż opada.

— Wiem, że Bob...

— Ja też wiem, że Bob!!!

Jadę. Mijam bardziej i mniej znane zakątki. Wciąż pada deszcz, ale jakby inaczej. Jakby usypiająco...

Jest dobrze. Tylko w gardle wciąż czai się strach.

Las. Mijam drzewa. Żeby wszystko można było zostawić za sobą jak te drzewa...

Przesilenie. Jesień odgrywa ostatnie akordy. Dezintegracja świeżości. I deszcz. Wszechobecny deszcz. Deszcz rozpuszczający świat. Deszcz rozpuszczający świadomość. Czy tylko ja to tak odczuwam?

Strach.

Zawracam. I znów zapomniane przez Boga miasto.

Angelica uśmiecha się. Nie jest to już ten dawny uśmiech pełen niepewności i tłumionego lęku.

— Jos?

— Tak?

— O czym myślisz?

— O życiu.

— Życiu?

— Życie jest pytaniem bez odpowiedzi, Angelico.

Jest piękna. Jest zaprzeczeniem tego wszystkiego, co rozciąga się wokół. Jej świeżość zniewala, świat staje się przy niej nic nie znaczącym, płaskim tłem o pastelowych barwach.

— Idziemy — mówię i narzucam swój wieczny płaszcz.

— Dokąd?

— Tam gdzie jest jeszcze ruch i życie, tam, gdzie pamięć nie ma żadnego znaczenia.

— Znasz takie miejsce?

— Jest taka knajpa...

Volkswagen z trudem przebija się przez równą ścianę deszczu. Trzymam w dłoni jej dłoń — zwiewną i delikatną. Lekko drży — jak liść w podmuchach wiatru.

— Świat stał się jedną wielką kałużą — mówię. Stajemy przed starą budą, nad którą jarzy się trójwymiarowy napis: Dancing. Dancing pozbawiony nazwy.

Ponury odzwierciadla obrzuca nas ciężkim spojrzeniem.

— Zaproszenia? — jego głos jest głębszy od Oceanu Spokojnego, za to jego oczy są płytsze od kałuży.

Zostawiam mu dwudziestkę i nasze płaszcze.

— Tu pierwszy raz wyruszyliśmy na podryw...

— Z jakim skutkiem?

— Co, z jakim skutkiem?

— No podryw.

— Aaaa... Skutki zostały już oplakane. Śmiejemy się.

Ludzi jest tu mało. Nic nie znaczące twarze o zmęczonych oczach rzucających obojętne spojrzenia.

— Wiesz... nigdy się nie ożeniłem.

Nikt nie tańczy. Muzyka snuje się smętnie pomiędzy stolikami.

— Zamówić coś? — pytam.

— Nie.

— Zatańczymy?

— Owszem.

Właściwie, to nie potrafię tańczyć. Angelica robi to jednak z wrodzonym wyczuciem rytmu. Poddaję się temu rytmowi, przestaję myśleć o czymkolwiek, toniemy w bezkresie muzyki, twarze ludzi zlewają się, stoliki wirują bezładnie, a my tańczymy, tańczymy, tańczymy...

Przez krótką chwilę nie czuję nawet strachu. Zamykam oczy.

Zamykam oczy. Ciszę przerywa tylko deszcz. Siedzę w volkswagenie i zastanawiam się nad kupnem hamburgera w pobliskiej budce.

Wszystko już wiem. To Vancouver był porywaczem i prawdopodobnie wielokrotnym mordercą. Listy gończe zostały już rozesłane, gończe psy spuszczone ze smyczy. Moja rola skończona. Powinienem czuć ulgę. Ale jakoś nie czuję.

W końcu decyduję się i wysiadam. Ale w tym samym momencie podchodzi do mnie starszy gość z parasolem nad głową. Pyta grzecznie:

— Przepraszam, czy nie mógłby mnie pan poinformować, jak dotrzeć na 18 ulicę? — Jego twarz pokryta jest rozległą pajęczyną zmarszczek. — Jak na lekarstwo nigdzie w pobliżu nie widać policjanta.

— Taaa... Nigdy ich nie ma, kiedy porządny obywatel jest w potrzebie — mówię. — Powiedział pan na 18 ulicę?

— Tak, tak — gorliwie potakuje starzec.

— Wsiądzie pan do busu numer...

— Bardzo nie lubię busów... hałasują, smrodzą, no i ten diabelski ścisk... Jeśli już nie konno, to chciałbym bardzo dotrzeć na ulicę 18 pieszo.

— Pieszo... — sięgam do skrytki po mapę. Wodzę po niej palcem, pokazując drogę.

— Dziękuję. Ale co pan tu powypisywał, młody człowieku? — pyta w pewnym momencie stary człowiek.

Ci młodzi! Czy wie pan, że mojego siostrzeńca wyrzucono z Biblioteki Miejskiej za to, że robił notatki na marginesie „Państwa Słońca” Campanelli? Jeszcze raz dziękuję za pomoc.

Odchodzi.

Przepytyuję żandarmów patrolujących Dolinę, czy nie zobaczyli czegoś interesującego. Otrzymałszy kilka negatywnych odpowiedzi, ruszam w dalszą drogę. Coś mnie gnębi. Jakiś szczegół, który umknął mojej uwadze. Siedzę zagłębiony w płytkich myślach, aż nagle mój wzrok pada na mapę leżącą na bocznym siedzeniu.

Starzec. Mapa. Popisana mapa. Popisana?!

Rozkładam ją na kolanach. Są na niej naniesione miejsca kolejnych zaginięć. Jest East Show, jest dom Browera i wiele, wiele innych. Razem dwadzieścia dwie kropki. Ależ kropki układają się w logiczny wzór! Napis?! Tak. Odczytuję: „7 ulica”. Brakuje tylko jednej kropki. Wypada ona w okolicach jednego z budynków na 7 ulicy...

Ktoś daje mi znaki? Dlaczego?

Idę, kompletnie przemoczony, ze zgaszonym papierosem w zębach. Mijam kręte uliczki, po których wytrwale biegają różnokolorowe dzieciaki i chodzą różnokolorowi ludzie. 7 ulica. Niczym szczególnym nie różniąc się od tysiąca innych. Już z daleka widzę ten dom. Właściwie niewielki domek z dymiącym kominem. Kłęby czarnego dymu.

Jedyny komin w mieście.

Dojrzewa absurdalna myśl, którą zrazu odrzucam, ale która uparcie powraca. Komin? Zwłoki? Piec...

Pukam. Chcę jeszcze uciec przed nedorzecznością moich podejrzeń, ale w tym właśnie momencie otwierają się drzwi. Człowiek o pomarszczonej twarzy wpatruje się we mnie uważnie swoimi zielonymi oczami. Skądś go znam...

— Słucham pana.

— Jestem palaczem...

— Pan jest palaczem — powtarza bezwiednie. — To teraz rzadko spotykana profesja. Nawet w Dolinie. I chyba nieopłacalna. Ja... właściwie nie potrzebuję palacza. Sam potrafię napalić w piecu.

Odwracam się, by odejść. Czuję przy tym niewytłumaczalną ulgę. Zatrzymuje mnie jednak głos starego:

— Ależ proszę, proszę, niech pan wejdzie.

Więc wchodzę. Czuję się tak, jakbym nie wchodził, ale wychodził naprzeciw przeznaczeniu.

Stary dom. Wnętrze przywodzi na myśl pieczarę. Dziesiątki starych zegarów.

— Oto piec — mówi starzec. Dopiero teraz go poznaję. Przecież to ów miły, stary człowiek, który chciał dotrzeć pieszo na 18 ulicę!

Piec jest ogromny.

— *I rzekł: Niechaj nie gniewa się Pan, proszę, gdy jeszcze raz mówić będę: Może znajdzie się tam dziesięciu. I odpowiedział Pan: Nie zniszczę miasta ze względu na tych dziesięciu* \* — starzec



recytuje namaszczone głosem, a mnie przenika na wskroś olśnienie i... przypomnienie.

— Niiieee!!! —krzyczę.

— Ty spisałeś się lepiej od Abrahama — mówi starzec — znalazłeś dwudziestu dwóch sprawiedliwych. Tak, tak, to ty porwałś Debbie China z jej mieszkania, a potem zjawiłeś się w East Show przebrany za nią. Było ciemno — nikt cię nie rozpoznał. Blond peruka — pamiętasz? To ty wykradłeś panią Brower z kuchni na pierwszym piętrze. Znałeś doskonale rozkład jej dnia. Wiedziałeś, że o tej porze będzie w kuchni. Wszedłeś przez okno po przystawionej drabinie. To ty, nikt inny, namówiłeś Vancouvera do wynajęcia Whiteheadów, którzy rozpętali rozróbę w East Show. Po zniknięciu Vancouvera podejrzenie padało już tylko wyłącznie na niego. Vancouver zgodził się łatwo — był zakochany w twoim samochodzie. Wreszcie porwałś samego Vancouvera, zabijając przy tym swoich towarzyszy...

— Boby... — patrzę na moje dłonie i widzę na nich krew.

— I tak nie pożyliby długo. Miasto jest skazane. Uratowani przez ciebie ludzie, z nową pamięcią i tożsamością spędzą spokojny żywot w miastach rozsianych po całej Ziemi. Twoja misja skończona. Przedostatnia misja... On jest z ciebie bardzo zadowolony... Jutro o świcie rozpęta żywioły... i nastanie Dzień Gniewu...

To stąd owo nieustanne uczucie *déjà vu*...

— Nieustannie opierałeś się przeznaczeniu. Aż musiałem interweniować wtedy, z tą mapą...

Jutro o świcie... A Angelica?

— A Angelica?!

Nagle wszystko urywa się bez żadnego ostrzeżenia.

Moryc ostrzegał mnie, że Skurbyk za mną nie przepada. Ale mimo wszystko zjawiam się na jego dwudziestych urodzinach. Większość gości porusza się już na rżęsach. Sam Skurbyk wpatruje się tępo w sufit i pije wzmocnioną whisky. Podchodzi do mnie Moryc. Przez chwilę rozmawiamy o polityce.

Nagie moją uwagę przykuwa piękna, na swoisty bardzo i subtelny sposób, dziewczyna o kasztanowych włosach i prawdopodobnie niebieskich oczach. Siedzi samotnie przy oknie i być może liczy opadające z drzew, różnokolorowe liście. Tak, to już jesień.

— Kto to jest? — pytam Moryca. Widocznie zobaczył w moich oczach coś dziwnego, bo wydaje się być wyraźnie zaniepokojony.

— Nie radzę, Jos. To dziewczyna Skurbyka.

— A o czym ona może z nim rozmawiać?

Podchodzę do niej, nie zważając na nieme protesty Moryca.

— Dzień dobry. Na imię mi Josef. Przyjaciele mówią do mnie Jos.

Przez dłuższą chwilę dziewczyna mierzy mnie uważnym spojrzeniem.

— Ja będę do ciebie mówiła Josef — odzywa się wreszcie.

— A ja już się przedstawiłem... — zawieszam głos. Moje serce jest dziurawą łodzią na bezmiarze oceanu. Więc tak wygląda miłość?

— Na imię mi Joanna — przedstawia się dziewczyna, którą kocham.

— To moje ulubione imię.

Tak to się zaczęło.

Natłok obrazów przerasta zdolność percepcji. Aż wreszcie wszystko znika i pozostaje tylko

jeden, aż do bólu bliski obraz...

Znów jestem w dancingu pozbawionym nazwy i smaku, i znów tańczę z Angelicą... Znów wszystko wiruje i staje się diablo odległe i nieważne...

NIEDOBRZE!!!

WIDZĘ.

Widzę tylko jej twarz promieniującą ciepłem... Tańczymy.

CHOLERA!!!

CO JEST?

TO CHYBA JUŻ KONIEC. ON NIE ŻYJE...

Tylko jej twarz... jej twarz...

ZAKRYJCIE MU TWARZ. ZAWIADOMCIE RODZINĘ.

ON NIE MIAŁ RODZINY. TO SAMOTNY, TRZYDZIESTOTRZYLETNI GLINA.

ONI WSZYSCY TAK KOŃCZĄ.

CI Z DROGÓWKI TEŻ?

KURWA! SPÓJRZ NA JEGO NADGARSTKI! I NOGI! TO WYGLĄDA JAK...

JAK STYGMATY?

Jej twarz... jej twarz jest absolutem.

*Olsztyn, styczeń 1989, wrzesień 1991*

## Jacek Sobota

*Olsztynianin, urodzony w 1969 roku, student nauk społecznych Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Olsztynie. Pisuje od lat kilku, początkowo do fanzinów — jest zresztą działaczem Warmińskiego Klubu Fantastyki.*

*„Oficjalnie” zadebiutował opowiadaniem „Splot” („Nowa Fantastyka” 4/1990). Pół roku później uznanie Parowskiego zyskała jeszcze „Ręka Diabła” („Nowa Fantastyka” 5/1991) i autor ma nadzieję, że na tym współpraca z popularnym miesięcznikiem się nie skończy.*

*Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że wszystkie opowiadania Jacka są do siebie podobne, pisane jakby tą samą manierą. Zapewniam, że nic bardziej mylnego. Znam kilka jego nie publikowanych jeszcze tekstów i postęp jest bardzo widoczny, nie zawsze jednak wydziwisk tych opowiadań jest na rękę niektórym redaktorom.*

*Opowiadanie „Rzeka” napisane prawie dwa lata temu, zostało zmienione (zwłaszcza końcówka) pod kątem niniejszego zbioru, sądzę jednak, że dzięki temu stało się mocnym punktem antologii.*

## O „Dopuszcie Bożym”

*W dzisiejszym świecie, gnającym przed siebie na złamanie karku, postęp nauki i techniki nabral takiego tempa, że nie trzeba już pokoleń, aby dojrzeć zmiany, jakie za sobą pociąga. Wystarczają lata, czasami miesiące. Często pojawia się przy tym zasadne pytanie o dalsze możliwości ludzkiego rozumu. A jeśli założyć, że przyjdzie nam spotkać Obcych, to czego możemy po nich oczekiwać? Gdzie w takim świecie znajdzie się „miejsce dla Boga”? Czy będziemy w stanie odróżnić jego działalność od ingerencji Obcych? Pytania te zawitały do mojej głowy parę lat temu, lecz dopiero niniejsza antologia dała asumpt do nadania im postaci opowiadania. Trudno ukryć, że w tej — w sumie krótkiej formie — nie wyczerpałem tematu, co najwyżej zasygnalizowałem pewne problemy. Naturalnie, nie są to kwestie nowe. Na poparcie podeprę się autorytetem Leszka Kołakowskiego, który tak opisywał stanowisko Pascala:*

*„Religia chrześcijańska, chociaż jest mądra przez swoje cuda i prorocтва, które jej siłę ukazują, jest szalona zarazem, bo to nie one każą wyznawcom wierzyć, ale jedynie Krzyż”.*

*Nie trzeba być jednak filozofem, aby szukać własnej odpowiedzi na wspomniane pytania. Wielu próbuje na swoją rękę. Niniejsze opowiadanie jest również taką próbą.*

*Andrzej Drzewiński*

# Dopust Boży

*Dobro i zło jednak służą planowi Bożemu*  
św. Augustyn

Pierwsze objawienie miało miejsce czwartego października 1999 roku o godzinie 20:15 w małym miasteczku na południu Francji. Wizja, przybierając kształt Matki Boskiej, ukazała się kilkunastu wiernym, przybyłym na wieczorną mszę do kościoła pod wezwaniem Najświętszego Serca Jezusowego. Celebrujący mszę proboszcz, na widok postaci, której blask zmuszał do opuszczenia oczu, padł na kolana i począł głośno odmawiać litanie do Najświętszej Maryi. Reszta wiernych poszła w jego ślady, za wyjątkiem najstarszego, który przyplącił widzenie lekkim zawałem. Po hospitalizacji jego stan szybko wrócił do normy.

Kolejne cudowne wydarzenie miało miejsce na stadionie nowojorskich „Metsów”, którzy podejmowali tego wieczoru samych „Redskinów”. W trzeciej minucie obrońca gości wybił niezwykle trudną piłkę, lecz gdy oczy wszystkich uniosły się ku górze, stutysięczna widownia zamarła. Na niebie, w otoczeniu purpurowożłoty obłoków wisiał olbrzymi tron z postacią o zasłoniętym półmrokiem obliczu. Miało to wiele z kiczu, lecz wtedy nikt tego tak nie nazwał. Po paru sekundach, w idealnej ciszy, na kopułę stadionu „Shea” spłynęły wibrujące promienie światła. Kiedy ludzie ponownie przejrzel, niebo było puste. Jak ktoś słusznie zauważył, nawet gdyby postać na tronie miała szarfę z napisem „Pijcie Coca—Colę”, i tak trudno byłoby uwierzyć, że to tylko wyrafinowana technicznie reklama.

Trzecie udokumentowane zdarzenie miało miejsce w kraju ojczystym Michała Langiewicza, co niektórzy z jego rodaków poczytali sobie za nadzwyczajny honor. W Krakowie, ponad Wawelem, pojawiła się monstrualna korona cierniowa, spleciona jakby z płomieni, której blask przez kwadrans nie pozwalał zmrużyć oka większości mieszkańców. Trudno mówić o bezpośrednich skutkach tego zdarzenia. Co najwyżej warto odnotować, że tej nocy w podwawelskim grodzie znacznie spadła ilość rozbojów i innych przestępstw kryminalnych. Także wtedy po raz pierwszy powiązano zjawisko z końcem drugiego milenium.

W ciągu następnych dni, głównie z obszaru Europy i obydwu Ameryk, zaczęły nadchodzić dalsze komunikaty dotyczące niecodziennych wydarzeń. Oprócz widzeń zbiorowych i jednostkowych rejestrowano przypadki snów proroczych, cudownych uzdrowień, a nawet stanów mistycznych. Do najgłośniejszych należy zaliczyć nawiedzenie z Kadyksu, kiedy po niedzielnej sumie wyszedł z katedry tłum wiernych śpiewających w natchnieniu hosannę. Zanim policja zdążyła zablokować ruch, co najmniej kilkanaście osób uległo wypadkom, wpadając pod koła pojazdów przejeżdżających pobliską obwodnicą. Opisy tych wydarzeń w pierwszej kolejności trafiły na szpalty popołudniówek, pomiędzy doniesienie o Yeti, a notkę o matce zjadającej własne dziecko czy też odwrotnie. W ślad za nimi ruszyły lokalne stacje radiowe i telewizyjne, lecz już drugiego dnia CNN, BBC czy ZDF

poprosiły zaprzyjaźnionych teologów i naukowców o wstępne komentarze. Żartobliwy ton pierwszych doniesień zastąpiły zdecydowanie bardziej rzeczowe wypowiedzi. Nie zmieniło to jednak faktu, że nikt nie wiedział, co naprawdę się dzieje.

Jechali drogą typową dla Polski powiatowej — w zasadzie równą, lecz co jakiś czas urozmaiconą sporą łatą. Boleski prowadził pewnie, gwizdząc pod nosem jakiś szlagier z lat sześćdziesiątych. Podobno w domu miał całą kolekcję nagrań „Czerwonych Gitar”, łącznie z krążącymi wśród znawców tematu amatorskimi nagraniami z koncertów. Po raz kolejny próbując ukraść nieco snu, Michał oparł głowę o ramę. Sprzęt w tyle wozu, zabrany z ministerstwa, mimo parcianych pasów, na każdym zakręcie stukał o burty i straszył wizją uszkodzenia aparatury wartej kilka milionów nowych złotych. Trochę żałował, że dał się namówić Zawójowi, ale wiedział, że nie potrafi inaczej. Zawój, to kawał jego życia — promotor zarówno magisterki, jak i doktoratu. Przed pięciu laty, kiedy poszedł w ministery, pociągnął Michała za sobą. Ten starał się odwdzińczyć, jak mógł. Nie grzał tyłkiem stołka, tylko koordynował badania, liczył i konferował. To ostatnie było najgorsze. Świat po zamęcie postkomunistycznym powoli dochodził do normy. Państwa, zarówno nowe, jak i stare, zauważywszy, w czym przyszło im żyć, stawiały na ochronę środowiska, przeżywającą swój drugi, tym razem ogólnoswiatowy, renesans. Tylko dlatego udało się Europejskiej Unii Astronautycznej przeforsować projekt „Skaner”.

Ostre hamowanie sprawiło, że zaparł się odruchowo nogami, lecz pasy i tak uchroniły głowę od kontaktu z szybą. Przetarł oczy, uświadamiając sobie po blasku ulicznych latarni, że jednak musiał przysnąć. *Wydęte karawele o żaglach z motyli*, powtórzył w myślach fragment wiersza, który wrócił do niego podczas snu. Pragnąc uciec od tych słów, uchylił drzwi samochodu. Niewielki kościół, cofnięty od ulicy na szerokość wypielegnowanego ogrodu, przypominał widoczki z kalendarza werbistów. Może trochę lukrowe i sztuczne, ale w sumie zawsze przyjemne dla oka.

— Proszę poczekać z wyładunkiem — Boleski otworzył furtkę w murze. — Poszukam proboszcza.

Michał oparł się o ciepłą jeszcze maskę, szukając odruchowo papierosów. Przy trzeciej kieszeni przypomniał sobie, że właśnie rzucił nałóg. Przez chwilę walczył z pokusą sięgnięcia do paczki Boleskiego, lecz w końcu tylko strzyknął śliną i wolnym krokiem począł przemierzać płyty chodnika. Refleks światła odbił się od jednego z urządzeń ustawionych w części bagażowej.

— Brak jest specjalistów, nasz kraj cierpi na chorobę Petera w nowym wydaniu — Zawój odchylił się w fotelu, jak zwykle w takiej chwili przyjmując pozę operetkowego dyktatora. — Połowa wyjechała za granicę, połowa zmieniła fach, a „trzecia połowa”...

Umilkł i ze zrozumieniem uśmiechnęli się do siebie.

— Jednym słowem mam jechać za Iławę i zebrać do próbówki łyzy płynące z obrazu.

— Dokładnie. Dostaniesz Boleskiego, to chłopak z UOP-u. Inteligentny, a nawet ma poczucie humoru.

— Zna dowcip o wronach?

— Nie wiem, sam go spytasz.

Słyszac głosy dobiegające zza żywopłotu, Michał przy stanął. W półmroku nie dawało się odróżnić twarzy, lecz niższy głos bez wątplenia należał do ochroniarza.

— Daleko to?

— Jak pojedziecie za mostkiem w lewo, na stawy, będzie nie więcej jak kwadrans jazdy —

postać stanęła w świetle latarń ukazując matowe sukno sutanny.

— Niech będzie pochwalony — Michał skinął głową.

— Na wieki wieków, amen — nieoczekiwanie ksiądz rozłożył ręce. — Właśnie mówiłem pańskiemu koledze, że przyjechaliście na marne.

Jak zawsze w takich chwilach poczuł trudną do opanowania irytację.

— Proszę nie mówić, że na wieść o spektrometrze święta Teresa przestała płakać.

— Cecylia.

— Proszę...?

— To była święta Cecylia, patronka śpiewu — proboszcz uśmiechnął się delikatnie. — Dla mnie sytuacja również jest niezręczna.

— Ksiądz sądzi...

Proboszcz nie pozwolił mu dokończyć. Wyciągnął dłoń w stronę, gdzie szpaler latarń kończył się nieoświetlonym parkiem.

— Mówiłem pańskiemu koledze, że niektórzy moi wierni wybrali się nad stawy — leciutko westchnął. — Ktoś rozpuścił plotkę, że dzisiejszej nocy będzie tam objawienie.

— Jesteśmy z ministerstwa, a nie z „Orbisu” — Michał postarał się, aby zabrzmiało to łagodnie. — Dostaliśmy konkretne zadanie.

Ksiądz zakręcił młynka palcami, widać nie lubił mało domyślnych owieczek.

— Jeśli pragniecie u mnie zanocować, to gość w dom, Bóg w dom.

Nie trzeba było być psychologiem, aby wyczuć intencje mówiącego.

— Dziękujemy — Michał wyciągnął rękę — teraz, kiedy znamy drogę, byłoby grzechem nie skorzystać z takiej okazji.

Zaparkowali w starym dukcie, na skraju wysokopiennego lasu. Dalej rozpoczynały się rozlewiska. Czuć je było nosem, pod postacią rechotu żab słychać uchem, a na dodatek coś jaśniało po drugiej stronie wąskiej, porośniętej długą trawą, grobli.

— I po co to wszystko braliśmy? — mruknął Boleski, sprawdzając zamknięcie tylnej klapy. — Laboranci trzęśli się nad spektrometrem, jakby nam Amerykanie mieli jaja poobrywać.

Michał opuścił lornetkę.

— Spektrometr jest nasz, dostaliśmy go z wymiany — wskazał kierunek, skąd dochodził szelest wody pochylającej trzciny. — Zawołamy?

— Nie, lepiej z boku się przyjrzeć — Boleski położył dłoń na jego ramieniu. — Można ją teraz zobaczyć?

Wzrokiem szukał między gwiazdami, więc nietrudno przyszło zgadnąć, o co pyta.

— Za wcześnie — Michał pokręcił głową. — „Freedom” porusza się po orbicie zsynchronizowanej z pozornym ruchem słońca, nad Polskę nadlatuje koło północy.

Chłodny wiatr, rozpędzony ponad taflą wody, uderzał w twarze. Nie ociągali się i jedynie zmrużywszy powieki, ruszyli ku temu przeciwnikowi, pachnącemu rybą i wilgocią. Na grząskim gruncie stopy ślizgały się, zmuszając do przystawania. Boleski nie pomylił się. Jeśli chcieli zbadać fenomen jak najdokładniej, należało obserwację prowadzić z ukrycia, nie naruszając swoją obecnością przebiegu zdarzeń. Jak w kwantowej fizyce, pomyślał Michał. Socjologiczna Zasada Nieoznaczoności.

Księżyc wychynął zza chmur, w samą porę ukazując wcięcie grobli. Krok dalej, a wpadliby do



ciemnej wody. W bok odchodził zapadnięty pomost. Boleski kiwnął ponagląco ręką i odsłonięty odcinek łąki przebiegli w dobrym tempie. Raz tylko Michał zaklął pod nosem, wpadając w kretowisko. Mimo wszystkich racji fakt, że wyjazd naukowy powoli zamieniał się w indiańskie podchody, nie przypadła mu do gustu. Pochyleni, przeszli jeszcze kilkanaście metrów pod osłoną zarośli, gdy wreszcie gałęzie odsłoniły miejsce rozświetlone blaskiem ogniska. Na ziemi, u nasady długiego pomostu, paliły się drewniane kloce, ułożone ze znajomością rzeczy. Wokół, na kształt podkowy, siedziało bądź stało kilkadziesiąt osób. Patrzyli w stronę jeziora. Wiatr, mający możliwość w pełni pokazać, na co go stać, wywijał chorągwią płomienia, rzucając duże, rozbiegane plamy cienia. Drobne iskierki popiołu spadały wokół, lecz ludzie nie reagowali. Michał nie dziwił się. Niedaleko brzegu, pchając spienioną wodę, poruszał się pod powierzchnią świecący kształt.

— Ciekawe — szepnął Boleski. — Radio nie działa. Nawet nie mogę złapać rejonowej placówki.

— Nieważne — Michał przyklęknął obok niego. — Grunt, że wreszcie zaliczymy jakiś cud.

Jakby usłyszawszy te słowa, jasny kształt wstrzymał swój bieg i nad wodą począł się formować słup jasnego światła. Ludzie przyklęknęli na nadbrzeżnym piasku. Ktoś zaintonował „Ojciec Nasz”. Pod powiekami Michała przepłynęły obrazy odległe, a zarazem znane, aż do bólu. Śnieżna pasterka sprzed dwóch lat, dzwony bijące na wieży i jej twarz wtulona w kołnierz futra. Specjalnie dla niego nie pojechała na święta do rodziny, zostając w akademiku. Poczul ruch koło szyi, to Boleski ściągnął mu lornetkę. Poczul wilgoć sączącą się przez materiał spodni, lecz nie zważał na to, śledząc metamorfozy, jakim podlegała świetlista zjawa. Wciągał go nastrój tego miejsca, śpiew ludzi, bliskość czegoś niepojętego. Wyteżył wzrok. Tak, to była Matka Boska, taka jak na obrazach Rafaela. W niebieskiej szacie, chuście na głowie, z cierpliwym uśmiechem na ustach. Uniosła się ponad deski pomostu, i pchając przed sobą delikatny obłok pary, sunęła wzdłuż jego ościeżnic. Śpiew ludzi stawał się coraz bardziej podniosły.

— Kurcze — Boleski wyraźnie nie mógł się pogodzić z tym, co widzi — znam się trochę na holografii i czegoś takiego nie da się zrobić.

— A jeśli to nie hologram?

Ochroniarz błysnął białkami.

— Pan jest wierzący?

Skinął głową i odwrócił wzrok. Wiedział, że widząc to samo, będą odbierać co innego. Jakby dwie osoby zamierzały opisać obraz patrząc, jedna przez zielone, a druga czerwone szkło. Przypomnił sobie ze szkoły eksperymenty z filmami trójwymiarowymi, gdzie efekt przestrzenny uzyskiwano stosując okulary o dwóch barwach szkieł. Czyżby i teraz miała to być najlepsza metoda?

— O, kurcze — Boleski zakrył oczy dłonią, a Michał poszedł w jego ślady.

Postać Matki Boskiej, roziskrzona niczym diament, zaczęła promieniować silnym światłem. Śpiew umilkł. Światło przesuwano się z osoby na osobę. Twarze stare i młode, kobiet i mężczyzn nabierały uduchowionego wyrazu, jak na obrazach z żywotów świętych. Na jeziorze rozkwitały pajęczyny różnobarwnych refleksów, stanowiąc impresjonistyczne tło dla ich sylwetek. Tylko szmer oddechów i trzciny ruszanych na wietrze, a poza tym cisza. Gdy promień dotarł do ostatniego rzędu, przygasając począł się cofać. Nagle wstrzymał ruch, a potem z niezwykłą prędkością runął ku zaroślom, gdzie się ukrywali. Tylko na moment stanął przy Boleskim, a sekundę później otoczył Michała. Odruchowo próbował wstać, lecz w połowie ruchu zapomniał, co czyni. Ochroniarz, teraz już bez zahamowań, wyjął aparat i raz za razem uruchamiał migawkę. Michał słyszał to, słyszał

pomruk tłumy, lecz nie potrafił utrzymać na nim myśli. Czuł nieziemskie odprężenie, spokój, którego tak potrzebował, a przed oczyma sunęły w korowodzie zdarzenia całego życia: ogród dziadka, smak lodów, szkoła, pierwsza komunia... obrazy pędziły coraz szybciej... matura, usta pierwszej dziewczyny, „Skaner”, Gosia, pożar, Gosia...

— Nie! — krzyknął zrywając pęta czaru. — Nie dręcz mnie.

Wstał gwałtownie, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Kaszląc spazmatycznie, opadł na piasek. Uczuł zimny pot. W rozszczepionym obrazie ujrzał, jak światło odpływa, najpierw nad pomost, a potem dalej, w głąb jeziora. Od gromady ludzi dobiegły szepty pełne irytacji.

— Mój przyjaciel wystraszył się — w głosie Boleskiego nie słychać było lęku. — Zabłądziliśmy.

Unosząc Michała, przyłożył usta do jego ucha.

— Możesz biec?

Próbował przełknąć ślinę, lecz w końcu tylko skinął głową. Nie za bardzo kojarzył, co ochroniarz wyciąga z kieszeni.

— Przepraszamy za najście — powiedział Boleski, a ciśnięty przez niego granat akustyczny detonował w ognisku.

Piekielnemu hałasowi towarzyszył fajerwerk iskier i popiołu. Ludzie stojący najbliżej miejsca eksplozji padli na ziemię z dłońmi przy uszach. Boleski pociągnął Michała w ciemność. Byli w połowie odsłoniętego odcinka, kiedy dobiegł ich ryk wściekłości. Księżyc zatańczył w oczach Michała, potęgując bolesny ucisk skroni.

— Szybciej — Boleski teraz prawie go niósł — bo potopią jak koty.

W rejuwachu za ich plecami dawało się odróżnić poszczególne okrzyki. Nie prorokowały najlepiej. Wskoczyli między trzciny, i taplając się jak wielkie czaple, dopadli na wpół rozwalonego pomostu. Zimna woda przywracała zdolność myślenia, lecz śmierdziała rybami i sięgała po pachy. Zacisnął zęby i pochylił głowę. Biegnących poprzedzało tańczące na trzcinach światło latarek. Urywane, pełne złości głosy sprawiły, że do końca pojał, co się stało. Pozbawiając tych ludzi cudu, ponownie skazując ich na szarą egzystencję, popełnił świętokradztwo. Gdy światło padło na belki, zanurzyli się po sam nos. Jak na razie deski dawały solidną osłonę, lecz wystarczyłoby, aby któryś z rybaków pochylił się. Donośny okrzyk z końca grobli wybawił ich z opresji. To odkrycie samochodu ściągnęło pozostałych.

— Jak zdróweczko? — Boleski błysnął zębami. — Lepiej?

Michał zadygotał, lecz potwierdził skinieniem głowy.

— Przeszło, tylko zimno jak cholera.

Odgłosy ożywionej rozmowy, w której intruzów najczęściej nazywano bynajmniej nie antychrystami, tylko skurwysynami, świadczyły, że prześladowcy dzielą się na grupy. Większość miała przeszukiwać las, a reszta zająć się groblą. Boleski przesunął się parę metrów pod pomostem i począł się z czymś mocować. Po chwili spod pomostu wychynął ciemny kształt płaskodennej łodzi.

— A tak się źle mówi o kłusownikach — zachichotał — wskakuj. Ominiemy całą ferajnę.

Głosy, coraz silniej przebijające się ponad chłupot wody, świadczyły o powracającym niebezpieczeństwie. Boleski złapał Michała wpół i jakimś cudem znajdując oparcie na mulistym gruncie, wepchnął do środka. Krawędź łódki omal nie rozgniotła mu brzucha, lecz gorszy był podbierak pozostawiony na dnie. Chwyciwszy się belki pomostu, Boleski wskoczył za nim. Gdzieś daleko rozwrzeszczały się kaczki i latarki ludzi z grobli przesunęły się w bok. Boleski, trzymając

wiosło przy samym piórze, zanurzył je w atramentową wodę i mocno pociągnął. Dla kogoś niewprawionego jesienna kąpiel w jeziorze jest torturą, lecz to i tak nic w porównaniu z siedzeniem w mokrym ubraniu. Skulony na dziobie Michał obejmował kolana rękoma, lecz niewiele to pomagało. Dygocząc starał się jednak kontrolować poczynania Boleskiego i kiedy groblę zasłoniły szuwary, zrozumiał, że ominą napastników lądując pod lasem.

— Gazem — jego partner wyskoczył pierwszy, wyszarpując łódkę na mizerny piasek — bo złapiesz zapalenie płuc.

Podczas biegu spodnie nieprzyjemnie oblepiały nogi, ustępując w tym jedynie wodzie mlaskającej w butach. Przetarł twarz rękawem. Niebo widniejące ponad koronami drzew było jedynie o ton jaśniejsze od bryły lasu. Najwyraźniej księżyc, skryty za chmurami, nie potrafił przeniknąć grubej warstwy chmur. Kiedy wpadli między pnie, Boleski złapał go za rękaw. Od strony leśnego duktu, gdzie zostawili samochód, błyskały długie smugi światła. Jak w kiczowatej scenerii filmu szpiegowskiego.

— Zostańcie tutaj i pilnujcie — widać któryś z napastników wziął na siebie rolę przywódcy. — Oni mogą wrócić do wozu.

Ochroniarz zsunął bezszelestnie obuwie i poczekał, kiedy przy samochodzie pozostanie dwójka gówniarzy. Potem zniknął w zaroślach. Film szpiegowski stawał się sensacyjnym. Michał rozejrzał się w mroku za jakimś kijem, lecz kiedy pomyślał, że ma nim rąbnąć w czyjaś głowę, poczuł się obrzydliwie. Boleski nie przejawiał takich zahamowań.

— Cześć — powiedział, unosząc się spoza maski wozu — wróciłem.

Być może młodzieniaszki należały do miejscowych osiłków, lecz takie numery oglądały jedynie w kinie. Starszy, kopnięty piętą z półobrotu, zwałił się między drzewa ani pisnąwszy. Młodszy okazał się rozsądniejszy. Wrzeszcząc wniebogłosy pobiegł w stronę stawów. Michał rozgarnął krzewy i zastał ochroniarza przy otwieraniu wozu.

— Cienkie bolki — zamruczał ten, omiatając światłem koła — nawet opon nie porznęli.

Silnik zapalił od razu, pstryknęły światła. Już mieli ruszać, gdy w przecince ukazała się postać niskiej kobiety.

— Józus! — zawyła dramatycznie. — Co wyście mu zrobili!?

Michał wychylił się przez okno.

— Ten pani Józus chciał nam głowy porozbijać — wskazał miejsce, skąd dochodził urywany kaszel. — Nic mu nie będzie.

— Łajdaki, szkoda, że wam...

Michał nie zdążył z kolejną odpowiedzią, gdyż Boleski ruszał z takim impetem, że tylko refleks ratował od rozbicia głowy.

— Zapamiętaj, nie zawsze należy dyskutować.

Chyba tylko fatalna droga uratowała go od reprimendy. W milczeniu usiłował rozmasować krwiak pod okiem. Długie światła reflektorów wywabiały z mroku upiorne kształty drzew, mijające ich w olbrzymim pędzie i zaraz zapadające w niebyt. Gdy z boku błysnęło światło, sprawny slalom między głazami i dobre zawieszenie uwolniły ich od niepożądanego towarzystwa. Jedynie donośne trzaski z tyłu budziły dreszcz niepokoju. Spektrometr masowy to tak delikatne urządzenie... Czyjaś wykrzywiona złością twarz zamajaczyła z boku drogi, kamień odbity od ramy nie trafił jednak w szybę. Ruch kierownicą sprawił, że napastnik zląkł się rozpędzonej masy wozu.

— Jabidabidu! — Boleski pięknym poślizgiem wypadł na asfaltową drogę.

Wolną ręką sięgnął za połę i wyciągnął nadajnik.

— Japońskie, a takie gówno — rzucił za siebie. — Wystarczyło trochę wody.

Michał odwrócił głowę od przemykających na zewnątrz strzelistych cieni drzew. Nie chciało mu się nawet ust otwierać.

— Już przy ognisku nawalał — powiedział wreszcie. Boleski zdawał się tego nie słyszeć. Dopiero po dłuższej chwili rozpoznał w jego pogwizdywaniu melodię „Anny Marii”. Owinął się ściągniętym z siedzenia pledem i jeszcze tylko przez moment poczuł niepokój, kiedy na granicy miasteczka spotkali sporą grupę osób. Jednak żadna z mijanych postaci nie odwróciła głowy.

Niepozorny budynek, cały obłożony szarym piaskowcem, stał przy Alejach Jerozolimskich, nie zwracając na siebie specjalnej uwagi, co najwyżej brzydota bryły architektonicznej. Jak mawiał Edgar Allan Poe: „liść najlepiej ukryć w lesie”. Michał, odwróciwszy wzrok od szyb odpornych zarówno na laserowy podsłuch, jak i coś bardziej konkretnego, zerknął na tytuły gazet leżących pod parapetem. „*Fala niepokojów narasta*”, „*Falszywy prorok zdemaskowany*”, „*Kryzys reklamy*”, „*Zastój na giełdach*”. Przymknął oczy. Redaktorka z porannego dziennika usilnie starała się być na luzie, lecz młody górnik nie podzielał jej entuzjazmu.

— „Proszę pani, jeśli nie ma być jutra, to po jaką cholere tyrać?”

Przełączył wtedy na kreskówkę z Kaczorem Donaldem, ten przynajmniej nie zastanawiał się nad sensem życia. A jeśli mają rację, górnik i ci znad jeziora? Koniec świata — dzień kiedy wszyscy z martwych powstaną i staną przed obliczem Najwyższego. Wszyscy, więc i Gosia...

Szelest rozsuwanych drzwi zapowiadał wejście Zawoja. Zaczesywane na bok włosy praktycznie nie maskowały łysiny. Już rok temu, podczas szeroko zakrojonej akcji propagandowej, mającej nakłonić społeczeństwo do pokochania natury, jedna ze zdesperowanych charakterysterek zaproponowała panu ministrowi przypięcie treski, lecz Zawój z godnością odmówił.

— Widzisz, chłopie — zaczął kordialnie. — Kilka lat temu miałbyś murowane zapalenie płuc, a tak skończyło się na dwóch dawkach subbioników.

Michał uśmiechnął się blado, nie chcąc wspominać bólu nerek, ponoć typowej reakcji ubocznej.

— Naprawdę nie jesteś głodny? — Zawój opadł na fotel. — Oni jeszcze kończą.

— Przed spotkaniem z tajniakami zawsze jem zawczasu. Zawój wydał wargi, jakby półtorej godziny, które poświęcili Markiewiczowi, było niegodne wspomnienia. Facet, jak większość pracowników Urzędu Ochrony Państwa, należał do niezwykle skrupulatnych. Dobrze, że w całej rozmowie uczestniczył Rawicz — członek komisji sejmowej powołanej do zbadania fenomenów. Dzięki niemu spotkanie nie do końca nabrało cech przesłuchania. Markiewicz rozpoczął od dokładnej analizy całego zajścia, potem przeszedł do hipotetycznych czynników sprawczych, a więc holografia, fantomatyka, substancje halucynogenne i tak dalej. Dla Michała najciekawsze jednak były pytania dotyczące postępowania tłumu, obecności osób stymulujących zachowania histeryczne, potencjalnych — świadomych, bądź nieświadomych — przywódców manipulujących reakcjami wierzących, i oczywiście domniemanej reżyserii całego wydarzenia. Nie wydawał się usatysfakcjonowany wnioskami, jakie płynęły z relacji Michała. Dobrze, że w paru miejscach niezręczną sytuację rozładowały kiepskie żarty Rawicza. Zawój zerknął za siebie, czy nie nadchodzą.

— Sprawa coraz bardziej śmierdzi, krajowi grozi chaos — zniżył głos do szeptu. — Sam widzisz, jak reaguje Kościół, niezwykle wstrzemięźliwie.

— W kwestii cudów Kościół zawsze był ostrożny.

— Ale nigdy nie miał do czynienia z takim ich nagromadzeniem. Oni po prostu nie wierzą, że to znaki od Pana Boga.

— Sądząc z niektórych wypowiedzi...

— Nie żartuj — Zawój klepnął dłońmi w kolana. — To normalne, że zostawiają sobie furtkę. Ich szkoła dyplomacji ma wielką tradycję.

Drzwi otworzyły się bez pukania. Do pokoju weszło dwóch mężczyzn, których wygląd przyjęto nazywać: ludzie na stanowiskach. Markiewicz pozbył się swego elektronicznego notesu, co sugerowałoby koniec pytań, lecz nie wyglądał na odprężonego. Siadając podsunął Rawiczowi fotel i zwrócił twarz w stronę Michała.

— Pańska relacja stanowi dla nas nieocenioną pomoc — uśmiechnął się zdawkowo. — Mam jednak jeszcze jedną prośbę.

Zawiesił głos, a potem dalej kontynuował, widać traktując milczenie za przyzwolenie.

— Pańskim prywatnym zdaniem, jakie naprawdę było pochodzenie samego zjawiska?

Michał wzruszył ramionami.

— Nie wiem.

— I to wszystko...? — mężczyzna potrząsnął głową. — Proszę zrozumieć. W pańskim przypadku, naocznego świadka, znanego naukowca, nawet przypuszczenia mogą być cenne.

Zerknąwszy na Zawoja, Michał przesunął się w fotelu.

— To wszystko zostało już dzisiaj nazwane w tym pokoju — zaczął wysuwać palce. — Po pierwsze ingerencja jakiejś siły politycznej, może ponadnarodowej, mającej dostęp do najnowocześniejszej technologii. Tylko za bardzo nie widać, kto przeciw komu. Amerykanie? Wątpliwe, to zwykła europejska ksenofobia. Różni wariaci i natchnieni? Zgoda, tylko ci nie mają środków. Próba skompromitowania Kościoła i samej religii, tylko przez kogo? Arabów? Można jeszcze dodać kosmitów i światy równoległe.

Michał spojrzał Markiewiczowi prosto w oczy.

— Pozostaje jeszcze Drugie Przyjście. Nikt z nas nie wie, jak powinno wyglądać — miał wrażenie, że nie jest właściwie rozumiany. — Chcę powiedzieć, że nie możemy tego odrzucić.

Markiewicz pokiwał głową do swoich myśli, a potem nagle okręcił się w fotelu do pozostałej dwójki.

— Słyszeliście panowie o tym facecie w Kongresie, który twierdził, że dostał wiadomość od Archanioła Gabriela, co do dokładnej godziny Sądu Ostatecznego?

Rawicz roześmiał się głośno.

— Amerykanie lubią takie numery, szczególnie na początku kampanii.

— Ale mają nienaukowe podejście — Zawój przysunął do nich fotel. — Powinni się gościa spytać, według jakiego czasu podano mu termin.

Michał uniósł się ociężale. Wiedział, że teraz w jego obecności nie zostanie już powiedziane nic istotnego. Przestał być człowiekiem zaufanym. Mruknął coś niewyraźnie i wyszedł na korytarz, gdzie przez wysokie okna widać było ostatnie liście spadające z drzew. Jesień się kończy, pomyślał, nadchodzi czas umierania.

Deszcz lał równo przez całą podróż, zamieniając asfaltowe drogi w pułapki, na których łatwo stracić panowanie nad kierownicą. Przez pierwszą godzinę słuchał radia, lecz nawet małe, lokalne rozgłośnie, irytująco często syciły wyobraźnię słuchaczy opisami nadnaturalnych wydarzeń, nieraz

wzbogacając informacje wywiadami.

— „...A więc śniło się panu to samo co reszcie rodziny?”

— „Tak” — z przejścia głos przechodził w wyższe rejestry. — „Szliśmy Piotrkowską, to znaczy ja, moja żona i dzieci, a wszędzie pusto. Ni żywego ducha. Wie pan, panie redaktorze, miasto nie wyglądało na zniszczone, było jakieś zapuszczone. Brudne szyby, kłódki na drzwiach, odpadnięty tynk...”

— „Przeraziło to pana?”

— „Nie, bardziej przygnębiło. Poczulem stracha dopiero, kiedy ci starcy wyszli na ulicę.”

— „Starcy?”

„No, trudno to określić, byli strasznie brudni i zaniedbani, ale myślę, że mieli pod sześćdziesiątkę. Patrzyli..., tego nie da się opisać. W ich oczach widziałem, samotność, żalną samotność.”

— „Rzeczywiście apokaliptyczna wizja, czy na tym sen państwa się zakończył?”

— „Nie. Oni unieśli ręce i wskazali coś na niebie.”

Dziennikarz sztucznie się roześmiał.

— „I co tam było?”

— „Nie wiem, jakiś kształt. Zanim go rozpoznałem, sen urwał się.”

Po tym wywiadzie odechciało się Michałowi słuchać radia. Niestety, monotony szum motoru, szelest opon trących o asfalt i deszcz, deszcz rozbijający się o szyby, pogarszały jego, i tak nie najlepszy, stan. Dygotał, mimo że klimatyzacja wozu działała bez zarzutu. Nerwowe dreszcze drażniły ciało utrudniając koncentrację na zalanym wodą krajobrazie. Na dodatek od samego przebudzenia dręczył go ucisk w skroniach i po raz kolejny roztarł zmęczone powieki. Chyba wszystko przez ten ranny telefon z Paryża. Simon gorąco namawiał, aby przyjechał na jutrzejszą sesję Europejskiej Unii Astronautycznej. Podobno miał realne szansę, aby wskoczyć do grupy bezpośrednio nadzorującej przebieg programu „Skaner”. Nie wierzył w to, a jeśli nawet, to nie miał ochoty i wiał się jak piskorz, aby uniknąć konkretnej odpowiedzi. Wiedział, że być może za parę dni będzie żałował swojej decyzji, lecz teraz musiał mieć czas dla siebie. Aby uciec od dalszych telefonów, zdecydował się na niespodziewany wyjazd. Znajomi nie ukrywali zdziwienia, kiedy stanął u ich drzwi o siódmej rano, prosząc o klucz od domku letniskowego. Przy wszystkich zaletach: ciszy, elektrycznym ogrzewaniu czy antenie satelitarnej, posiadał on, co prawda, jedną wadę. Postawiono go prawie dwieście kilometrów od Warszawy.

Gwałtownie zahamował. Mały kościółek stał na obrzeżu wioski, niczym słup graniczny oddzielający zabudowę od pól. W jego zwartej bryle dostrzegł dla siebie jakąś nieuchwytną pociechę. Tak w każdym razie to odbierał. Zjechał na podsypkę i ustawił samochód koło wysokiego, drewnianego krzyża. Z twarzy Chrystusa spływały w dół krople deszczu, jakby jeszcze bardziej chciały pogłębić udrękę zawieszono na krzyżu ciała. Michał zmrużył oczy i szybko przebiegł drogę dzielącą go od drzwi kościoła. Pchnął, uchylily się bezszelestnie. W półmroku nie rozróżnił pierwotnie kształtów, jedynie zapach: leśnego igliwia, świec i starego drewna. Przystąpił próg, rozumiejąc, że potrzebuje, aż do bólu, zadać jedno pytanie. W obramowaniach jasnych belek płaszczyzny witraży przepuszczały widmowe światło. Przesunawszy wzduż nich wzrokiem dojrzał przy ołtarzu postać w sutannie. Poprawiała kwiaty w jednym z wielkich dzbanów, pomalowanych w ludowe wzory. Kiedy doszedł do połowy głównej nawy, ich spojrzenia spotkały się.

— Niech będzie pochwalony.

— Na wieki wieków, amen — ksiądz mimo braku siwizny miał swoje lata. — Co cię sprowadza, synu?

Przypominając sobie, że powinien przyklęknąć przed ołtarzem, opadł na kolana i już w takiej pozycji pozostał.

— Mam problem... — próżno szukał dalszych słów.

Ksiądz przysiadł na skraju pierwszej z ławek.

— Wstań — wskazał miejsce naprzeciwko — kolana lepiej zostaw do rozmowy z Bogiem.

Poczuł pod palcami chropowatość oparcia i twarde drewno. To go nieco uspokoiło.

— Świat wariuje — uniósł dłoń. — Nie, nie zapytam, co ksiądz myśli o tych wszystkich znakach. Co innego mnie gnębi.

Usta księdza, zamknięte w sieci zmarszczek, milczały. Tylko oczy błysnęły żywiej, jak zwykle lepiej odslaniając duszę.

— Proszę księdza. W tym roku zmarła droga mi osoba — czuł, że ledwo panuje nad głosem. — Czy teraz, czy gdyby rzeczywiście miał nastąpić koniec świata, rzeczywiście spotkałbym ją?

Przyszło mu do głowy, że się wygłupił, lecz myśl zniknęła, zanim do końca zdążyła wykiełkować. W ciszy deszcz delikatnie bębnił o dach kościoła, dźwięk spływał z wysoka sprawiając, że po raz pierwszy tego dnia przestały mu drżeć ręce.

— Jeśli obydwoje byliście prawi, spotkacie się. Tak mówi Pismo.

Odetchnął głęboko. Miał wrażenie, że księdzu należy się choć słowo wyjaśnienia.

— Ona nie była moją żoną, ale bardzo się kochaliśmy — opuścił głowę. — Nie zdążyliśmy się pobrać, jeszcze studiowała..

Ksiądz uśmiechnął się z nie znaną Michałowi dobrocią.

— Bóg jest wyrozumiałością i miłością, pamiętaj. To największa tajemnica naszej wiary.

Nie wstydził się łez płynących po policzkach. Ponownie przyklęknął pośrodku pustego kościoła.

— Chciałem... — wyszeptał i dodał głośniejszym głosem. — Chciałem się wypowiedzieć.

Ksiądz bez słowa narzucił na ramiona stulę i przeżegnał się.

— Mów, Bóg cię wysłucha.

Po kwadransie, gdy szum deszczu przycichł, obydwoj wstali i podeszli do ołtarza przykrytego białym obrusem. Z pochyloną głową czekał, aż otworzy się tabernakulum, a ksiądz położy na języku opłatek hostii. Potem pogрузzył się w modlitwie, znajdując ukojenie w słowach znanych od dzieciństwa, lecz teraz jakby na nowo smakowanych. Gdy skończył i wolno ruszył do wyjścia, raz jeszcze usłyszał kapłana.

— Jak ty, nie wiem, co się dzieje, ale pamiętaj, szatan to księżę iluzji. Pamiętaj.

Postać w sutannie wróciła do układania kwiatów w wazonach.

— Księżę iluzji — powtórzył Michał, położywszy dłoń na klamce i wzdrygnął się.

Na zewnątrz przywitały go zalane deszczem podwórze, zimny wiatr i samotny pies biegnący wzdłuż ogrodzenia. Jak z obrazów Utrilla. Zaciągnął wyżej ekler kurtki i omijając kałuże, pobiegł do wozu. Włączył silnik i chwilę obserwował, jak nawiew radzi sobie z zaparowaniem. Czuł się wolny i swobodny. Nie potrzebował myśli ani słów, aby to wyrazić. Czuł to. Wrzucił bieg i samochód potoczył się na drogę. Szare popołudnie kończyło się, przechodząc w szary wieczór. Pod mglistym baldachimem wysokich sosen leżało ciemne, wilgotne igliwie. Ale godził się z tym, godził się z całym światem. Przymknął oczy i pewniej zacisnął palce na kierownicy.

Uderzenie było silne. Wóz zatańczył na mokrym asfalcie, i zanim go opanował, każdy ruch kierownicy odbił się w żołądku mdlącym osłabieniem. Drugie uderzenie w zderzak było słabsze, za to ujrzał twarze napastników. Gówniarze, pijani jak bąki, śmiali się i wylewali na niego ryszotok słów. Ich nowiutki mercedes gnał lewym pasem, a wykrzywione chorobliwą nienawiścią pyski mówiły, że nikt im nie podskoczy. Próbował zwolnić, lecz powtórzyli jego manewr, waląc tym razem całym bokiem wozu. Poczul w ustach smak krwi. Nie znał ich, ani oni jego — zwykłe, małe sukinsyny, pragnące w pijanym widzie wysłać go do kostnicy. Las uciekał po bokach szarymi smugami. Próbował zapalić reflektory, lecz lewy, najwyraźniej rozbity, nie zadziałał. Bał się zatrzymać i stanąć twarzą w twarz z ich nienawiścią.

Raptem, w ułamku sekundy, spoza zakrętu wyskoczyły długie światła potężnego TIR-a. Michał przykleił się do pobocza, usiłując zostawić im miejsce. Ryk klaksonów, kątem oka dojrzał znak drogowy, którego słupek mijał o centymetry. Wizgot powietrza rozpruwanego masą ciężarówki, zdezorientowane twarze gówniarzy... skręcił ostro kierownicą i wziął zasłonięty krzakami zakręt. Oni nie zdążyli. Mercedes, kosząc barierę, wyleciał z drogi, odbił się od pnia i z łoskotem wylądował na roslym drzewie. Michał z trudem opanował wóz i wyhamowawszy na poboczu wyskoczył na drogę. Staął.

Uszy poraziła cisza, jedynie w oddali milkło echo wściekłego klaksonu ciężarówki. Drobnny kapuśniaczek zraszał twarz wilgotną wysypką. Rozcierając ją rękawem, ruszył na miejsce kraksy. Faceci nie mieli prawa wyjść z niej cało. Maskę wozu prawie że miłośnie oplótła drzewo, a spomiędzy powyginanych blach ściekała na igliwie ciemna posoka. Paliwo, pomyślał i ruszył biegiem w stronę na wpeł wyrwanych drzewiczek. Mimo półmroku dojrzał rozbitą twarz pasażera — z miejsca, gdzie były usta, wydobywały się lepkie pęcherzyki powietrza. Chwycił mężczyznę pod pachy i próbował wyciągnąć. Gdzieś w połowie zrozumiał, że nogi zaplątały się pod zgniecionym fotelem. Cholerne gnoje, jechały bez pasów! Szarpnął i nie dochodząc przyczyny głuchego trzasku, położył mężczyznę na poboczu. Droga nadal była pusta. Ruszył na drugą stronę samochodu, lecz mijając zderzak, potknął się. Kierowca leżał z otwartymi oczyma, a z uszu i nosa płynęły wąskie strumyki krwi. Nie żył. Gdzieś wysoko, w drzewach oplecionych pajęczyną rychłej nocy, zagwizdał wiatr. Otumaniony, czując wódczanosłodka zapach zmieszany z wonią benzyny, wrócił do pierwszego z poszkodowanych. W półmroku mało co widział, lecz dostrzegł, jak nogi mężczyzny spazmatycznie kopią ziemię. Droga wciąż nikt nie nadjeżdżał. Uklęknął i spróbował podnieść głowę ofiary, lepkie włosy plątały mu się między palcami. Boże, posłał ku niebu nieme wołanie, pomóż mi. Co mogę zrobić, oni umrą.

Uniósł powieki zaintrygowany zmianą pod swymi palcami. W pierwszej chwili nie uwierzył oczom. Pomyślał, że oszalał. Krew śmiertelnie ранego człowieka zdawała się sama wpływać do ran, a opuchlizna znikła w oczach, na powrót nadając krwawej masce wygląd twarzy. Oniemiały, nie za bardzo wiedząc, co czyni, dotknął brwi i gałka oczna wróciła na swoje miejsce. Rozejrzał się, szukając świadków swojej mocy, lecz nadal jedynym towarzyszem były ciemne drzewa. Wybalszając oczy obserwował, jak z trzaskiem zrasta się kość udowa, a stopa wraca na właściwe miejsce. Nie minęła minuta, a jedynie podarte ubranie świadczyło, że ten człowiek umierał przed chwilą. Dotknął jego policzka. Mężczyzna zachrapał i obrócił się na bok.

— Boże — wstając, Michał zatoczył się — co jest grane?

Chwiejnym krokiem obszedł zdruzgotaną maskę wozu i stanął nad kierowcą. Mężczyzna otworzył oko. Kiedy dojrzał Michała, zabelkotał coś w pijanym widzie. Chociaż mrok utrudniał obserwację,



nie można było mieć wątpliwości. Na ciele leżącego nie było znać nawet śladu wypadku.

Michał zatoczył się, odbił plecami od drzewa i przeskakując rozbitą barierkę, wybiegł na drogę. Smuga światła, z jedyne go sprawnego reflektora celowała w głąb lasu. Z łomoczącym sercem wskoczył do wozu. Bez spojrzenia za siebie wdusił gaz do oporu. Przez podeszwę poczuł twardość podłogi. Dławiąc się wóz ruszył do przodu, a on kochał go za to nad życie. Potem, zapinając zmartwiały mi palcami pasy, pomyślał, że znowu nic nie rozumie.

Do Warszawy dojechał na resztkach benzyny, lecz już za rogatkami poczuł, jak silnik zaczyna się dławić. Musiał jeszcze trafić do domu, spakować rzeczy i dotrzeć na Okęcie, więc znalezienie stacji stało się koniecznością. Decyzję o wyjeździe na konferencję podjął pod wpływem impulsu, lecz znał siebie i specjalnie tego nie analizował. Nieraz w życiu, borykając się z trudnymi decyzjami stosował ucieczkę. Byle dalej, gdziekolwiek, do innych spraw, a najlepiej do obcych ludzi. Ci dwaj zmartwychwstali pijacy byli ponad jego siły. Nie potrafiłby zmrużyć w nocy oka, mając w pamięci ich twarze. Tam w lesie, na pierwszej lepszej krzyżówce skręcił w lewo i nieco dłuższą trasą, nie chcąc spotkać niedoszłych nieboszczyków, dotarł do stolicy. Z racji okężnej drogi wjechał do Warszawy od strony dzielnicy mało sobie znanej, lecz słyszał, że gdzieś tutaj, między blokami, kończyła swój żywot niewielka stacja benzynowa.

Dochodziła dziesiąta i już stosunkowo niewielu przechodniów można było spotkać, lecz wygląd niektórych zniechęcał do zawierania bliższych znajomości. Od czasu pierwszych objawień różni frustraci demonstrowali wieczorami swój obstrukcyjny stosunek do państwa, Kościoła i całego społeczeństwa. Właśnie kilku ubranych w obcisłe skóry próbowało przewrócić na dach białego datsuna. Koniec świata, pomyślał Michał i uśmiechnął się sarkastycznie. Omijając ich łukiem, trafił światłem na potrzebny mu kierunkowskaz. Skręcił w ulicę zamienioną w jednokierunkową, najwyraźniej z racji robót wodociągowych. Światła odbłaskowe chroniących wykop barierek prowadziły wprost na oświetlony plac przed stacją. Mógł wyłączyć silnik, gdyż na tym odcinku ulica miała wyraźny spadek. Delikatnie operując hamulcem, zajechał przed dystrybutor. Wysiadł i rozprostował kości. Po ponad trzystu kilometrach miał do tego prawo. Stacja otoczona płotem bazy transportowej i ślepą ścianą nowo stawianego wieżowca mogła wpędzić klientów w klaustrofobię. Przy sąsiedniej kolumnie dystrybucyjnej stał motocykl z przyczepką, której całą powierzchnię zajmował pokraczny baniak. Starszy mężczyzna z niechęcią zerknął na Michała. Lał do przyczepionego zbiornika monstrualne ilości benzyny. Michał nie miał pojęcia, na co mu tyle, aczkolwiek słyszał o rzedach płonących krzyży pod Sochaczewem. Odkręcił wlew i zaczął uzupełniać własne braki. Czuł zmęczenie i brak energii. Po głowie kołatały słowa starego księdza o księciu iluzji, potem zastąpił je obraz krwi na palcach. Krwi, która zdała się na powrót wpływać do ran.

Mężczyzna z motocyklem zapłacił w okienku i sprawnie uruchamiając starter, wykołował na ulicę. W łunie elektrycznych lamp zieleni wąskiego trawnika przypominała sklepową atrapę. Zwolniejszy spust odwiesił rękojeść węża na miejsce. Sądząc po światłach, większość ludzi z okolicznych bloków jeszcze nie spała. Wciągnął do płuc chłodne powietrze, a potem odwrócił głowę. Mężczyzna z motocyklem nie ujechał daleko. Stał na stromej uliczce i wrzeszczał coś nieskładnie do otaczającej go grupy świrów. Ubrani w kolorowe szmaty, z nieodłącznymi kolczykami w uszach, blokowali drogę, kręcąc się i podskakując. Najwyższy, w niebieskim kapeluszu na głowie, próbował usiąść na tylnym siedzeniu motocykla, lecz zepchnięty klapnął na jezdni, co przywitano

tubalnym rykiem radości. Motocyklista krzyczał i groził, na co w sumie mógł sobie pozwolić. Świrry zaliczały się do stosunkowo łagodnej odmiany młodzieżowej subkultury. To nie byli fuckersi, co przy słowie sprzeciwu rozgniatali oponentowi genitalia.

Michał powoli przeszedł do okienka i już miał wręczyć odliczoną sumę, gdy dojrzał w oczach ajenta strach. Odwrócił się. Jeźdźcą, z narastającym turkotem, zjeżdżał baniak z benzyną. Musiał go odczepić któryś ze świrów. Wymachiwali rękoma, tańcząc wokół osłupiałego mężczyzny, niczym w karnawale. Przekleństwo benzyniarza o ułamek sekundy wyprzedziło trzask zamykanego okienka. Przyczepa, nieźle już teraz rozpędzona, podskoczyła na przypadkowym wyboju i okręciwszy się wokół osi, z całej siły wyrzuciła w słup podtrzymujący reklamę. Motocyklista wiedział, co robi, wrzeszcząc niemal w hysterii. Zbiornik, widać lipnie spawany, pękł jak arbuz i wyrzucił ze swego wnętrza większość zawartości. Na szczęście, gdyż reszta, zapalona podczas iskrzenia metalu o beton, rozerwała się w środku. Podmuchał zrzucił klosz lampy, zepchnął barierki do wykopu, a odłamki podrzucone pióropuszem ognia zdemolowały neon. Świrry rozbiegły się po bramach. Co dziwniejsze, mężczyzna z motocyklem kopnął starter i otoczony płatkami sadzy, jak szalony wyrwał pod górę ulicy. Huk płomieni, zwielokrotniony ścianami domów, stawał się coraz głośniejszy. Czując na twarzy gorący podmuch, Michał uświadomił sobie, że ulicą splywa na stację potok ognia. Unosząca się nad nim fala gorącego i drgającego powietrza przyćmiła blask latarni. Jego zmęczony umysł nie chciał przyjąć do wiadomości tego, co widział. W oknach pokazały się głowy mieszkańców. Z ich punktu widzenia całość wyglądała dość malowniczo.

Szarpnięcie za rękaw było otrzeźwiające. Agent, krzyknawszy coś, pobiegł w stronę bocznej uliczki. Miał rację. Budynek stacji, sprytnie ustawiony w zakolu wysokiego płotu i budowy, miał tylko dwie drogi dojazdowe. Jedynie dalsza, wpadająca między wieżowce, dawała szansę ucieczki, lecz agentowi nie do końca się udało. Dotarł do jej wylotu równo z płonąca benzyną i, mimo kangurzych skoków, jedną nogę wsadził do ognia. Wyjął jak zarzynany, wymachując do Michała, zniknął za budynkami. Zawtórowali mu ludzie z okien. Ogień przebył plac, właśnie pożerał trawnik i zaraz miał ogarnąć kolumny dystrybucyjne. Żar zabierał powietrze tlen i nie za bardzo było czym oddychać. Smród płonącej benzyny palił w płucach. Wybiegł za róg stacji, lecz wbrew przepisom betonowy płot dochodził do samej ściany — gładkiej i ślepej jak samo przeznaczenie. Z hukami pękły dwie latarnie nad placem. Zawrócił. Chociaż pamiętał o swoim nisko zawieszonym baku, przekręcił kluczyk. Mimo wycia rozrusznika, silnik nie podjął pracy. Roześmiał się szaleńczo. Dlaczego jego, właśnie jego to spotyka?! Płomienie wdrapywały się na karoserię, topiąc gumowe uszczelki drzwi. W gryzącym dymie piekły oczy i gardło, do reszty odbierając wolę. Raz jeszcze przekręcił kluczyk... bezskutecznie. Kierownica parzyła w palce. O, Boże..., pomyślał i odpowiedziała mu głucha detonacja.

Za ściany ognia wystrzeliły w niebo płomieniste smugi. Wyraźnie poczuł drgnięcie gruntu i płomień nad placem zawirował płatkami sadzy. Wir ognia urósł, nabrzmiał i nagle, na oczach porażonego Michała, przygasł pod wypiętrzonym wałem czerni. Wyglądało, jakby to asfalt odskoczył od podłoża, dusząc swym ciężarem płomienie. Dopiero po sekundzie rozpoznał wodny żywioł, łapczywie pochłaniający swego śmiertelnego wroga. Płonąca benzyna odrzucona jego impetem uwolniła dystrybutory i zgasła przyduszona falą błota. Jeszcze tylko przez chwilę, tu i ówdzie, pełgały na jej powierzchni blade płomyki na podobieństwo ogni św. Anzelma.

Oparł głowę na kierownicy i zaczął się dusić przeraźliwym kaszlem. Po policzkach spływały łzy, nie wiadomo, zwiedzione dymem czy też dzisiejszymi przeżyciami. Po omacku wcisnął klawisz i

opuścił szybko. Z wykopu, po drugiej stronie placu, walił potężny strumień spienionej wody. Przymuszczałnie pękła rura należąca do głównej magistrali. Od ognia? Wątpliwe. Spojrzał piekącymi oczyma w niebo i ciężko westchnął. Silnik, jak oczekiwał, zapalił od razu. Nie zważając na okrzyki stojących na chodnikach gapiów, powoli ruszył przez wodę. Dopiero po kilkudziesięciu metrach przypomniał sobie, że nie zapłacił za tankowanie. Uśmiechnął się boleśnie i ponownie zakaszał. Samolot do Paryża odlatywał o świcie.

Podobno znaleźli się pisarze, którym podobał się jesienny Paryż. Może... lecz tego dnia trudno byłoby przekonać Michała. Z podniesionym kołnierzem marynarki stał na tarasie wysokiego Hiltona i pozwalał drobnemu deszczowi zraszać twarz. Z tej strony hotel wychodził na stylową dzielnicę, gdzie większość zabudowy pamiętała epokę fin de siècle. Rzędy spadzistych dachów, krytych czerwoną dachówką, topiły się w kłębach delikatnej mgły, której ulotna materia rozpraszała światło późnego popołudnia. Daleko, za niewidoczną stąd nitką Sekwany, dostrzegł sylwetkę Notre Dame — pani wszystkich katedr.

Ciche skrzypnięcie przywróciło go do rzeczywistości. W uchylonych drzwiach kawiarni dojrzał znikającą postać kelnerki. Widać goście, przy takiej pogodzie, nieczęsto wychodzili na taras zaczerpnąć świeżego powietrza. Spojrzał w dół, za balustradę, gdzie jasne światła z sali kolumnowej padały na żółtą trawnik. Sesja Europejskiej Unii Astronomicznej ruszyła pełną parą. Grzecznościowo wysiedział referat wstępny i dwa kolejne, lecz więcej nie mógł już wytrzymać. Ale nie żałował przyjazdu. Gdyby został w tym domku w Polsce, pewnie zwariowałby przez weekend.

Ponowne skrzypnięcie upewniło go, że czas już wracać. Pracownicy kawiarenki mogą tolerować dziwaków, ale bez przesady. Pchnął uchylone drzwi i już na progu przywitał go dźwięk tłuczonego szkła. Barmanka zasyczała i włożyła palec do ust, lecz po kciuku zdążyła spłynąć wąska strużka krwi. Pęknięty kieliszek wykonano z grubego szkła i nic dziwnego, że zaciął głęboko. Michał poczuł, jak gwałtownie przyspiesza jego puls. Bał się, nie rozumiał tej dziwnej, goszczącej w nim siły. Nie chciał mieć z nią nic wspólnego. Być może powinien odczuwać wdzięczność, dziwny wypadek, dziwny ratunek, nie wiedział...

Z głową ciężką od myśli przeszedł na korytarz, a potem w dół do sali kolumnowej. Simon dojrzał go pierwszy i typową dla Francuzów gestykulacją zmusił do podejścia.

— Przyjacielu, gdzie się podziewałeś? — klepnął Michała, aż zabolalo. — Twoja kandydatura przeszła pierwszą turę.

Uśmiechnął się blado. Na żółtym znaczku, wpiętym w klapę marynarki Simona, widniał modny ostatnio slogan: „*Europa dla Europejczyków*”.

— Siadaj, za chwilę drugie głosowanie.

Popił łyk kawy z wciśniętego w dłoń kubka i wolną ręką roztarł skronie. Niech będzie, że to dar od Boga. Lecz, co ma z nim zrobić? Na wolnym miejscu koło Simona przysiadła dziennikarka, znana Michałowi z widzenia. Pisywała do kilku sensownych dzienników, była rzeczowa i posiadała piękne, orzechowe oczy. Przymuszczałnie ten ostatni walor był decydujący dla kariery. Spróbował skoncentrować się na rozmowie.

— ...a więc stąd nazwa „Skaner”?

— Naturalnie — Simon odpowiadał z widoczną wprawą. — Pełna mapa bogactw mineralnych naszej planety od samego początku została uznana przez Unię za sprawę o najwyższym priorytecie.

— Panie profesorze, mówi się, że nieraz przypominaliście Amerykanom o swoim 40% wkładzie

przy budowie stacji „Freedom”.

— Rzeczywiście, tak się mówi — Francuz był rozbijający. — Niemniej bez naszego udziału NASA na początku lat dziewięćdziesiątych nie była w stanie przystąpić do budowy stałej stacji orbitalnej. Projekt ten miał zbyt wielu oponentów w obu izbach Kongresu.

Urodziwa Włoszka przesunęła mikrofon wpięty w węzeł krawata Simona. Hałas na sali wzmógł się za sprawą gości powracających na salę przed głosowaniem.

— Wróćmy do samego urządzenia badawczego. Proszę, w dwóch słowach, przybliżyc naszym czytelnikom zasadę jego działania.

Simon przepuścił dwójkę rozgadanych Duńczyków. Jako współcześni kontestatorzy nosili koszulki z emblematem Zjednoczonej Europy.

— Wykorzystujemy zjawisko podobne do rezonansu jądrowego, stosowanego w tomografii — Simon szukał prostych sformułowań. — Samo serce skanera, wysoce energetyczny emiter plazmowy, pobudza do drgań atomy minerałów leżących w kolejnych warstwach geologicznych. Wtórna emisja złapana przez ekrany detektorów i poddana obróbce komputerowej ujawni pełny obraz tego, co skrywa się pod ziemią.

— Promieniowanie, emisja, to brzmi nieco groźnie — głos dziennikarki spoważniał. — Czy taka emisja, prowadzona z orbity również nad obszarami zamieszkałymi, będzie bezpieczna dla ludności?

— Widzę, że wychowała się pani na filmach sf.

— Możliwe, ale sądzę, że większość czytelników również jest tym zainteresowana.

— Nie — tym razem i Simon przestał się uśmiechać — zapewniam, że nie istnieje jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Pani wybaczy... — mruknął i odpiął mikrofon.

Przewodniczący zebrania, siwy Niemiec, ogłosił koniec przerwy, co Simon skwapliwie wykorzystał, aby zakończyć niewygodny dla siebie wątek. Włoszka nie wyglądała na zadowoloną, Michał zresztą też. Francuz świadomie kłamał. W rękach wariata czy terrorysty skaner mógłby nie tylko szkodzić, ale i zabijać.

Musiał się uśmiechnąć, gdyż z pierwszego rzędu machali do niego znajomi Węgrzy. Poznał ich na wiosennej sesji nad Balatonem. Czuł się wtedy tak podle, dochodząc do siebie po wypadku Gosi, że nawet odrobina ludzkiej życzliwości pozostawiła niezatarte wrażenie.

— Co za zdzira... — odprowadziwszy dziennikarkę wzrokiem, Simon opróżnił swój kubek. — To tak, jakby pytać kierowcę, czy jego autobus jest bezpieczny. Wiadomo, że w zasadzie tak.

W sali robiło się coraz duszniej. Niespodziewanie zaintrygował Michała mężczyzna pod ścianą. Wysoki, o klasycznych rysach, wcześniej go nie widział. Łapiąc jego wzrok odwrócił głowę. Simon wskazał ekran nad prezydialnym stołem, gdzie czwarte miejsce listy zajmowało jego nazwisko.

— Stary, przejdiesz — Francuz dźgnął go palcem. — Pamiętaj, pierwszy ci to mówiłem!

Trudno mu było dzielić entuzjazm kumpla. Mając własne problemy na głowie, nie widział siebie w grupie wyjeżdżającej do Szwajcarii. Tam, w odosobnionej alpejskiej dolinie, mieściło się właściwe centrum dowodzenia projektu „Skaner”. Przez pierwszy miesiąc mieli, korzystając z sieci przekaźników, testować pracę urządzenia chwilowo zamontowanego u boku stacji „Freedom”. Lecz później, z racji potężnej radiacji, moduł skanera miał się odłączyć i już samodzielnie kontynuować dalszy lot. Wtedy już tylko trójka z alpejskiej bazy miała kierować jego pracą. Zmiał kubek i dyskretnie zerknął w bok. Typ spod ściany dalej mu się przyglądał. Dziwne, że nie miał plakietki z nazwiskiem.

— Ej... — poczuł ciepły oddech Simona. — Na co czekasz?

Na ślepo wybrał przycisk ze swego pulpitu. Dopiero po chwili, gdy zorientował się, że zagłosował na siebie, zrobiło mu się głupio. Ale już na tablicy wyświetlano wyniki.

— Eric Norsen ze Szwecji, Allan Stichcomb z Wielkiej Brytanii oraz Michał Langiewicz z Polski.

Musiał wstać i pokazać się wszystkim. Simon zmusił go do pomachania rękoma.

— Dziękuję, wspaniale, świetnie — uśmiechał się, i nie zważając na minę Simona, począł przepychać się do wyjścia. — Jasne, cieszę się bardzo... tak jest... będę o tym pamiętał.

Od twarzy, znajomych i nieznajomych, kręciło mu się w głowie. Deptano jego stopy i usilnie namawiano do uściśnięcia dłoni. Słyszac żart, aby nie uciekał, zrobił wieloznaczną minę. Oszołomiony, musiał oderwać się od tych wszystkich spojrzeń i gratulacji, zaszyć się w swoim pokoju i raz jeszcze całość przemyśleć. Wymienił gratulacje z dwójką przyszyłych współpartnerów, posłał ukłon w stronę przewodniczącego i wyszedł na korytarz.

Po paru metrach, bardziej wyczuł, niż dojrzał, że ktoś jeszcze opuścił salę. Wysoki mężczyzna, widząc, że został zauważony, uśmiechnął się lekko. Michał przyspieszył kroku skręcając ku windzie. Akurat wysiadała z niej para młodych ludzi. Idąc w stronę sauny nieśli duże torby reklamowe wypchane szlafrokami. Przyspieszył i zdążył wpaść do środka, zanim jeszcze mechanizm zaczął zamykanie drzwi. Wdusił klawisz piętra i zerknął przez szczelinę. Mężczyzna szedł za nim, lecz nie przyspieszał, jedynie lekko się uśmiechał. Kiedy winda drgnęła, Michał odprężył się, lecz tylko na moment. Mężczyzna przeniknął drzwi windy i stanął naprzeciwko.

— Nie bój się — powiedział.

Michał już wiedział, kogo mu przypomina. Anioła z tryptyku Memlinga. Przeniósł wzrok na kontrolkę koło drzwi. Mrugała, lecz nie czuł ruchu windy.

— Kim jesteś? — wychrypiał.

— Wysłał mnie ten, który cię uratował — wysłannik rozłożył ręce. — Pyta, dlaczego nie korzystasz z daru?

Wsparł się plecami o ścianę windy. W powietrzu unosił się zapach cedrowego drewna.

— Chcecie zniszczyć nawet tę atrapę życia, jaka mi pozostała — przełknął ślinę. — Kogo mam uzdrawiać? Bogatych czy biednych? Za pieniądze czy dla uwielbienia?

Wysłannik pokiwał głową.

— Żałujesz, iż nie dostałeś daru wcześniej?

Poczuł, jak niepotrzebne, jak bolesne jest to pytanie.

— Jeśli jesteś od niego — zbyt wiele słów cisnęło się na usta — powinieneś zrozumieć, jak mi ciężko.

— Pan kazał powiedzieć, że ukoji twój ból.

— Nie! Teraz nie pragnę już jego opieki — fala gorąca płynęła z głębi trzewi. — Niczego nie przyjmę, ani też nie zapomnę!

Serce łomotało, głośno i natarczywie.

— Uspokój się, on wie, czego pragniesz.

Twarz wysłannika straciła ostre kontury, a potem, wraz z całym ciałem, rozplynęła się w powietrzu. Michał osunął się po ścianie z pięścią przyciśniętą do żołądka. W uszach słyszał coraz donośniejszy łomot.

— Nie przyjmę — wyszeptał. — To nieuczciwe.

Drzwi windy odskoczyły na boki. Unosząc głowę dojrzał mężczyznę w uniformie z łomem w

dłoniach. Obok stał recepcjonista, któremu przez ramię zaglądało kilku ciekawskich gości.

— Przepraszamy najmocniej — mężczyzna rozłożył ręce. — Ta winda dopiero miała przegląd, a nawet ręczne otwieranie wysiadło. To już się nie powtórzy.

Właściciel łomu nachylił się, aby pomóc mu wstać.

— Nie szkodzi — Michał usiłował pokryć zmieszanie uśmiechem. — Trochę się wynudziłem.

— Co innego — roześmiał się któryś z przygodnych obserwatorów — gdyby pana zamknięto z wysoką blondynką.

Reszta zawtórowała dowcipnisiowi. Krok za krokiem zostawiał ich głosy za sobą i jeszcze tylko przechodząc koło lustra, zerknął nerwowo w jego błyszczącą powierzchnię. Na szczęście tym razem nikt mu nie towarzyszył.

Poprzedniego wieczoru, któryś dzień z rzędu, oblewał awans do trójki wspaniałych. Gdyby nie współczesna chemia, pewnie w ogóle nie wstałby rano z łóżka. Fax, który przyniesiono podczas płukania zębów, sprawił, że do reszty zapomniał o bólu głowy. Rząd Polski gratulował nominacji, jak to napisano, o światowym wydźwięku, i dla poczucia bezpieczeństwa przysyłał pracownika UOP. Poniżej podpisów, dodano małym drukiem: *pan Boleski przybędzie samolotem LOT-u we wtorek o szesnastej po południu.*

W urzędowych pismach trudno jest odróżnić prośbę od polecenia, więc dla świętego spokoju wynajął samochód i po obiedzie udał się w stronę lotniska. Widać mając w pamięci jego alkoholowe wybryki z ostatniego tygodnia, obsługa patrzyła mu na ręce, ale najwyraźniej dobrze się spisał, gdyż zgodnie z życzeniem dostał szybki model sportowy. Opuścił szybę i pozwolił gładzić listopadowemu słońcu swoją twarz. W ostatnich dniach natężenie cudów wyraźnie zmalało, zarazem zdecydowana większość miała teraz miejsce w Europie. Miejsce widzeń zajęły głównie sny prorocze i stany mistyczne. Mimo to trudno było mówić o powrocie do normalności. Patrząc po witrynach sklepów, dawało się zauważyć, jak wiele firm zawiesiło działalność. Reklamy zastąpiły opuszczone żaluzje i naklejki w stylu: „*Do zobaczenia w następnym stuleciu*”. Lecz to nic w porównaniu z gazetami, w których zniknęły całe kolumny ogłoszeń, dzięki czemu niektóre tytuły balansowały na krawędzi bankructwa. Nie dotyczyło to naturalnie periodyków poświęconych cudom, przepowiedniom i rzeczom tajemnym. Ich rozkwitowi dorównywał jedynie popyt na wszelakich osobników łączących się z drugim światem. W parze z nimi szły tabuny cwaniaczków pławiących się w morzu ludzkiej naiwności. „*Jeśli nie wiesz, kto zaopiekuje się Twoim domem, kiedy pójdziesz do nieba, przyjdź do nas!*” Zwolnił, objeżdżając leżącego na jezdni mężczyznę. Ten, ubrany w zwoje materiału, zdawał się czekać, aż ktoś go przejedzie. Kierowca nadjeżdżający z przeciwka opuścił okno i splunął gęstą śliną na leżącego. Michał przeniósł wzrok na bez— chmurne niebo. Bolał go żołądek. A poza tym, aż do szaleństwa pragnął, aby świat wrócił do normy. Po chwili zrozumiał, że się myli. *Wydęte karawele o żaglach z czerwonych motyli I pachnące cynamonem, pieprzem i imbirem...*, Gosia bardzo lubiła ten wiersz. Pamiętał, jak recytowała zwrotkę za zwrotką, a ich dłonie ogrzewał żar ogniska. Strasznie pragnął być z nią znowu... Drżącymi rękoma skreślił w poprzeczną ulicę, gdzie na moment można było przystanąć. Sprawca cudów dał mu nadzieję i to było przerażająco bolesne. Nowa możliwość kusila i napawała lękiem.

Przechodnie, idący chodnikiem, ciekawie zerkali w jego stronę, więc ukrył twarz w dłoniach. Simon nic nie rozumie, pomyślał wspominając wczorajszą libację.

— Za wszystkich, których cuda sprowadzą na łono Kościoła — Francuz uniósł kieliszek i

przechylił do dna.

Mylił się. Ludzie wierzący nie potrzebują spektakularnych gestów, tracących teatralnością. Gdyby tak było, religie dawno by umarły, a ich prawdy zamieniły się w puste słowa. Człowiek dochodzi do Boga przez zwątpienie, przez bezustannie dręczące go pytania, przez szukanie sensu istnienia. Nie trzeba być św. Tomaszem czy Leibnizem, aby dojść do tego wniosku. Naturalnie znajdują się tacy, których tylko cuda będą przyciągać, lecz równie dobrze mógłby ich zachęcić krzykliwy przywódca wskazujący wspólnego wroga, ktoś obiecujący dużo pieniędzy i mało pracy czy też po prostu wyraziciel starej zasady: chleba i igrzysk.

Donośny dźwięk klaksonu wyrwał go z rozmyślań. Obok, lawirując pośród samochodów, wymuszając niekiedy drogę ryzykownymi skrętami, przesuwiał się biały ambulans. Chwilę śledził jaskrawy krzyż z tylnych drzwi, a potem ruszył jego śladem. Zastanawiało go, właściwie po jaką cholere wysłano Boleskiego. Może dostali cynk, że poczynia sobie za bardzo rozrywkowo. Czort wie, co im się roi w głowie. Terrorysty o niczym innym nie marzą, jak tylko, żeby porwać polskiego delegata EUA.

Zwolnił, gdyż kłęby dymu unoszące się nad dachem domu, już z daleka sygnalizowały nieszczęście. Płomienie strawiły część dachu i osmaliły dwa górne piętra. Gapie stali na chodnikach, część z opuchniętymi twarzami obwiązany mokrymi chustkami. Z kilku wybitych szyb sypnęło szkłem, aż na jezdnię, słyszał, jak miażdży kołami okruchy. Na asfalcie leżały kawałki cegieł, parę rozbitych doniczek, a nawet obtłuczone gipsowe popiersie. Dopiero widok kilkunastu Arabów, chronionych przez kordon policji, uświadomił Michałowi źródło konfliktu. W ostatnim czasie typowe napięcia etniczne przybrały na sile, szczególnie jeśli ludność napływowa wyznawała inną wiarę. Wszelakie objawienia tyle ją obchodziły, co Europejczyka taniec kobry. Trudno przychodziło znaleźć wspólny język. Omijając resztki usuwanej przez policję barykady, gwałtownie wdusił hamulec. Jezu...

Nigdy nie ustalono przyczyny pożaru. Akurat tej nocy w żadnym z akademikowych pokoi nie urządzano balangi czy nocnej nasiadówki. Dlatego płomienie zauważono dopiero o drugiej w nocy, kiedy pożar wypełził już z magazynu i odciął jedyną klatkę schodową. Michał nigdy nie wybaczył tej rozhisteryzowanej matce, której krzyk zmusił Gosię do ponownego wejścia w płomienie. Cholerne bachory od dawna były na dole, a Gosia nigdy już nie wyszła z dymu. Strażacy mówili, że musiała zgubić drogę. Jezu, pomyślał ponownie, i mimo ponaglających ruchów policjanta, śledził ciało leżące na noszach. Kobieta wynoszona z pożaru, tu na paryskiej ulicy, do złudzenia przypominała Gosię. Szyderczy kaprys losu.

— Tu nie wolno parkować! — wrzasnął za nim stróż porządku, lecz Michał nawet nie odwrócił głowy.

Nie potrafił opanować swego irracjonalnego przymusu. Bóg wygrywał. Los, ślepy traf pokonały go, szachując sytuacją, w której mógł wykonać tylko jeden ruch.

— Proszę mnie puścić — wykrzykiwał nie najlepszą francuszczyzną — jestem jej krewnym.

Lekarz był przeciwny, lecz widać rzut oka na twarz Michała przekonał go, że ma do czynienia z trudnym przeciwnikiem. Machnął ręką, aby wsiadał. W środku leżała jeszcze jedna osoba: starsza kobieta z rozbitą kamieniem głową. Siadł u jej wezgowia, i niepomny na ciche pojękiwania, wbił wzrok w ciało dziewczyny.

— Dym — sanitariusz starał się okazać współczucie — przynajmniej nie cierpiała. To ktoś bliski?

Nie odpowiedział. Z racji syreny wyjącej na dachu jechali dość szybko. Dla pewności złapał uchwyty i do bólu zacisnął powieki. Pragnął, aby żyła. Żyła, oddychała, pociła się, myślała, kochała... Instynkt nie zawiódł. Rozwarłszy powieki dojrzał pierwszy ruch klatki piersiowej, potem następne.

Ciche westchnienie podrzuciło sanitariusza. Nachylił się nad dziewczyną, a potem krzyknął coś niezrozumiale w stronę szoferki. Michał drżał jak w febrze. Zęby szczękały o siebie i czuł się jak na rauszu. Szumiało mu w głowie, kiedy w takt dawno niesłyszanej melodii powtarzał w duchu: *Niech się dzieje, co ma się dziać, niech się dzieje, co ma się stać.*

Kierowca musiał zawiadomić szpital po drodze, gdyż jak tylko zajechali na podjazd, w gwałtownie szarpniętych drzwiczkach pokazał się wózek noszowy. Nikt nie zwracał uwagi na przygodnego współpasażera. Zajęci cudownym powrotem dziewczyny ze świata cieni, nawet nie pomyśleli, że właśnie on, niepozorny człowiek, jest sprawcą cudu. Z radosnym uniesieniem obserwował, jak podłączają jej ramię do kroplówki. Gdy pobiegli w stronę drzwi szpitala, miękko wyskoczył na chodnik. Czuł, jakby cały ból nagromadzony przez miesiące udręki znalazł wreszcie ujście. Wiedział, że to nie była Gosia, lecz w tej chwili mu to nie przeszkadzało. Odchodząc, zerknął w głąb ambulansu i jeszcze na moment przystanął. Kobieta z rozbitą głową patrzyła na niego porozumiewawczo, a potem uniosła dłoń. Powoli, z namaszczeniem, jej palce nakreśliły znak krzyża.

Tego ranka Boleski nie uśmiechnął się ani razu, co już samo w sobie stanowiło zły omen. Uniósł wysoką szklankę z piwem i obrócił pod światło.

— Jednym słowem, odmawia pan?

Michał wzruszył ramionami. Cała sytuacja była idiotyczna, a prośba Boleskiego absurdalna. Miał zrezygnować z udziału w eksperymencie, tylko dlatego, że w rządzie ktoś cierpi na manię prześladowczą.

— Śmieszne pytanie — przysiadł na oparciu fotela. — Trudno oczekiwać, że tak po prostu zrezygnuję z celu, na który pracowałem od kilku lat.

Kłamał, lecz Boleski nie musiał o tym wiedzieć. Z położonej na kolanach teczki UOP-owiec wyjął kilka kartek zabezpieczonych plastykiem. W słabym świetle poranka mignęły jakieś zdjęcia i wykresy.

— W porządku, mam upoważnienie do ujawnienia kilku dokumentów — jego pierwszy tego dnia uśmiech nie zaliczał się do przyjemnych — ale proszę pamiętać, że sam pan chciał.

Do Michała dotarła pogróżka ukryta w tym stwierdzeniu. Nie pchaj palca między drzwi, nie żądaj od służb, aby ci się tłumaczyły. Być może Boleski tęsknił do starych, dobrych czasów, gdy mogli używać prostych, ohydnych, ale skutecznych metod.

— Po pierwsze proszę przyjąć do wiadomości, że serią zjawisk nadnaturalnych od samego początku zainteresowały się służby specjalne.

Michał opadł w fotel, gdyż zanosilo się na dłuższą rozmowę. Oparł dłonie na poręczach.

— Po dwóch tygodniach zawiązał się ponadnarodowy komitet, który w pierwszym rzędzie zlecił inwigilację osób stanowiących zagrożenie ładu społecznego.

— Sepleniących dziennikarzy?

— Nie, takich jak pan. Ludzi mających dostęp do broni, informacji, wszelkich czynników destabilizujących...

— Broni?



— Tak, skaner, o czym pan dobrze wie, może zostać użyty jako narzędzie zagłady. Niestety, trochę za późno dowiedzieliśmy się o tym.

Michał przechylił się gwałtownie nad ławą i przysunął szklankę z piwem. Ciepła ciecz ledwie splukwała gardło, lecz przynajmniej mógł się odezwać.

— Bierzecie mnie za szpiega?

— Nie — Boleski uśmiechnął się pod nosem — ale uważamy, że ktoś panem manipuluje.

— Świetny pomysł, ale niby: kto i po co? Uniesiona dłoń wstrzymała dalsze pytania.

— Powoli, najpierw proszę posłuchać — uniósł kartkę. — Dziesiątego listopada, dzień po spotkaniu w ministerstwie, wyjechał pan do daczy Karkowskich. Jednak już wieczorem wrócił pan do stolicy...

— Zdecydowałem się na lot...

— Wiemy, proszę nie przerywać — głos Boleskiego nie przypominał wesołego kompana znad jezior. — Najważniejsze jest to, że na stacji benzynowej przy ulicy Zagórskiej cudem uniknął pan, jeśli nie śmierci, to przynajmniej straszliwych obrażeń.

Przez sekundę zapragnął wszystko powiedzieć. Gdyby rozmowa miała miejsce dzień wcześniej... Sięgnął do puszek i nie szukając pośrednictwa szklanki, wlał zawartość do ust.

— I jaki stąd wniosek?

— Jak pokazały eksperymenty, rura wodociągowa nie pękła sama — odwrócił w stronę Michała zdjęcie wykopu. — Odcinki głównej magistrali są wykonywane specjalną techniką, w praktyce chroniącą przed każdym przypadkowym pęknięciem. A ta rura puściła na całym obwodzie.

Hotelowym korytarzem przejechał wózek sprzątaczkowy. Odruchowo zerknęli na drzwi.

— Nie ma w tym nic dziwnego — Boleski zawiesił głos. — Rurociąg został przecięty impulsem lasera.

— Jasne — Michał roześmiał się gardłowo — ktoś rąbnął laserem z balkonu.

— Nie, nie z balkonu — Boleski odwrócił kolejną kartę — najprawdopodobniej ze stacji „Freedom”. Ekspertyzy nie zostawiają żadnej wątpliwości, co do tego, że źródło emisji znajdowało się na orbicie.

— Gdybym nie wiedział, z kim rozmawiam...

— Panie Michale — Boleski przechylił się gwałtownie w jego stronę — ktoś zaplanował wypadek na Zagórskiej. Ktoś na tyle potężny, że posiada dostęp do supertajnego obiektu, jakim jest stacja orbitalna.

— To niemożliwe.

— A możliwe są te wszystkie cuda?

Nie potrafił znaleźć właściwej riposty. Ze zrezygnowaną miną obrócił puszkę w palcach.

— Nazwijmy rzeczy po imieniu — Boleski zniżył głos do profesjonalnego szeptu. — Sądził pan, to sam Stwórca cudownym sposobem rozwalił rurociąg, prawda?

Michał potarł drętowymi palcami wieczko puszek. Zdziwiał, że napełniano ją zaledwie trzy dni temu.

— W porządku, może pan nie odpowiadać. Weźmy się za kolejną sprawę: głosowanie.

Słowa Boleskiego ponownie boleśnie zaatakowały jego umysł.

— Głosowanie było uczciwe.

— Myli się pan — Boleski sięgnął po kolejną kartkę. — Dostaliśmy taśmę kręcącą przez ochronę konferencji podczas głosowania. Siedząc kadr za kadrem ustaliliśmy, że wyniki zostały sfałszowane.

Pańska kandydatura przypuszczalnie zajęła szóste miejsce.

— To niemożliwe.

— Możliwe, nie docenia pan komputerów. Analizując ułożenie ciała, położenie gałek ocznych, mimikę czy też po prostu obserwując palce poszczególnych osób, nasi technicy ustalili prawdziwą kolejność z siedmioprocentowym błędem. Trzeba przyznać, że robotę mieli katorżniczą.

— Ale istnieją programy zabezpieczające przed ingerencją z zewnątrz.

— Z zewnątrz być może — palec Boleskiego pstryknął zamek teczki. — Francuz nadzorujący komputery dwa dni później popełnił samobójstwo.

— Pan sugeruje...

— A pan, kurczę, co by pomyślał? Znowu cudowny zbieg okoliczności? — trzasnął papierami o kolana. — Komuś cholernie zależy, aby wziął pan udział w testowaniu skanera. Zarazem ten ktoś pragnie wpędzić pana w manię prześladowczą.

— Manię...?

— Dokładnie, ślepy człowieku.

Z wściekłością wyszarpnął Boleski trzy kolejne zdjęcia. Duże powiększenia nie pozostawiały wątpliwości, co do tożsamości osób.

— Zna ich pan, prawda?

Skinął głową.

— Wypadki...

— Więc jednak... — Boleski westchnął, jakby mu ulżyło. — Tych facetów namierzyliśmy już po kraksie. Niestety, za późno wzięliśmy pana na widelec. Co tam było? Także cud?

Przytaknął.

— Uzdrowiłem ich.

— Jasne — twarz Boleskiego stać jednak było na żywą mimikę. — Tak podejrzewaliśmy. Samochód rozpruty niczym konserwa, a faceci cali.

Machnął fotografią dziewczyny.

— A ona?

— Nie oddychała.

— Rozumiem, cud í la Łazarz.

— Proszę nie kpić.

— Na litość boską, człowieku, nie widzisz, że ktoś robi z ciebie idiotę. Naprawdę nie widzisz tego?!

— To nie było fingowane.

Boleski zdawał się walczyć z własnymi rękoma.

— Jasne, po prostu jest pan pomazańcem bożym, tak?!

Huczało mu w głowie, myśli zachodziły na siebie... Dość, nie może dać się sprowokować! Najpierw musi upewnić się do końca.

— Nie wiem — wycedził odpowiedź. — Ale tego, co widziałem, nikt nie byłby w stanie zainscenizować.

Spojrzenia mężczyzn walczyły przez chwilę.

— Dobrze — Boleski opuścił powieki — rozumiem pana. Wtedy nad jeziorem również nie mogłem uwierzyć w to, co widzę.

Wyjął kolejne zdjęcia i rzucił na ławę.

— Poznaje pan miejsce? Jest różnica?

Trzy kolejne ujęcia przedstawiały bez wątpienia unoszącą się nad pomostem postać z objawienia. Lecz teraz zamiast wyraźnej postaci widoczna była jedynie jasna plama, w zarysie przypominająca ludzką sylwetkę. Michał uniósł twarz, nie kryjąc zaskoczenia.

— A to jak tłumaczą pańscy specjaliści?

— To oczywiste — Boleski machnął dłonią. — Pisano już o tym w prasie. Praktycznie w każdym objawieniu ludzie widzą więcej, niż dzieje się naprawdę. Manipulatorzy opanowali metodę uaktywniania ludzkiej wyobraźni, która potem sama dobudowuje szczegóły.

— Ale wtedy poszczególne relacje różniłyby się od siebie. Przynajmniej w drobiazgach.

— I różnią się, i to nie tylko w drobiazgach — Boleski postukał w teczkę. — Może pan przejrzeć całą stertę wywiadów z uczestnikami widzeń. Wszystko jest jak na dłoni.

— Dobrze — napięte nerwy Michała wibrowały jak struny — przyjmijmy, że to wszystko prawda. Lecz, kto według was za tym stoi?!

Boleski skrzywił się jak na widok zepsutego owocu.

— Moje upoważnienia kończą się. Proszę o tym pamiętać.

Michał skinął głową, lecz nie opuścił wzroku.

— Nie mamy stuprocentowej pewności, lecz wiele wskazuje, że za pomocą pańskiej osoby grupa amerykańskich polityków usiłuje skompromitować kandydata partii demokratycznej Rechestera.

— Boże — Michał zamrugnął oczyma — wam chodzi o to, że jest on katolikiem...?

— Dokładnie. Blamaż Kościoła katolickiego, pokazanie, że jego wyznawcy mogą być nieobliczalni, byłby im na rękę.

— Ależ to piramidalna bzdura.

— To pana pogląd. Jak przyjrzeć się szczegółom, sprawa nie wygląda już tak absurdalnie. Nic więcej nie mogę powiedzieć.

— A może w tym wszystkim najważniejszy jest, tak modny teraz, nasz europejski szowinizm?

Nie unosząc głowy Boleski zapiął teczkę i postawił na kolanach.

— Jeszcze nie wiemy dokładnie, kto i dlaczego? Ale wiemy, że w tych planach pan odgrywa podstawową rolę. Dlatego proszę — westchnął — o podporządkowanie się poleceniom. Wrócimy do kraju najbliższym samolotem.

W zapadłej ciszy słyhać było odległą muzykę. Na gładkim niebie, odciętym dźwiękoszczelną szybą, przeleciał pasażerski odrzutowiec.

— Nie — szepnął Michał — nie mogę zgodzić się na to.

Boleski tylko przez moment mierzył go uważnym spojrzeniem, a potem otworzył usta.

— W takim razie jestem zmuszony użyć środków nadzwyczajnych.

Materiał pod palcami Michała zdawał się nadzwyczaj śliski.

— Zwiąże mnie pan?

— Bynajmniej — Boleski odsunął teczkę, ukazując schowaną za nią lufę. — Obudzi się pan dopiero w kraju.

Salwa z miotacza gazowego trafiła Michała w tors, na powrót wduszając w fotel. UOP-owiec chwilę przyglądał się nieruchomemu ciału, a potem wstał i przeszedł do pokręteł od klimatyzacji. Przesunął wymianę powietrza na maksimum i roztarł skronie. Czuł się zmęczony całą gadaniną, lecz musiał spróbować. Zwiedziony trzaskiem odwrócił głowę. Ujrzał rzecz niemożliwą. Langiewicz, cały i przytomny stał koło ławy i mierzył z nieopatrznie zostawionego miotacza.

— Widzisz, jak posunęła się amerykańska technika — powiedział i wystrzelił.

Boleski próbował odskoczyć, lecz struga gazu boleśnie uderzyła w jego twarz, wstrzymując w pół ruchu. Kurcze, pomyślał upadając na dywan, nie skontaktuję się z Markiewiczem przed jutrzejszym wieczorem. Potem zgasł jak zdmuchnięta świeczka.

Samolot leciał wysoko ponad alpejskim lodowcem, nieczuły na ruchy prądów powietrznych. Z czołem przytkniętym do grubej szyby Michał obserwował bezmiar przestrzeni, gdzieś u góry przechodzącej z błękitu w granat. Stichcomb i Norsen drzemali w fotelach, od czasu do czasu, rzucając spojrzenia w stronę szklanek z drinkami. Lecz teraz był pewien, że nie otworzą oczu. Odwrócił się. Wysłannik oparł się o ścianę dzielącą kabinę od części załogowej. Jak zwykle, na ustach błąkał mu się życzliwy i niehumaniczny zarazem uśmiech.

— Czekałem na ciebie — Michał wsparł się o obramowanie okna. — Wiedziałem, że przyjdiesz.

— Panu mili są wszyscy, którzy na niego czekają. Czy jesteś gotów wysłuchać nowiny?

Pracujące silniki były niesłyszalne, lecz zdawało się, że czuje w żołądku ich wibrację.

— Jestem.

— I uczynisz, co ci powie? — oczy wysłannika wciągały z hipnotyczną mocą.

— Czy wątpisz we mnie?

— Nie, teraz już nie — anioł Memlinga wyprostował się. — Słuchaj uważnie słów moich, bo wielka jest ich waga.

W powietrzu zapachniało cedrowym drewnem. Słowa wysłannika poczęły sączyć przerażenie w duszę Michała.

— Pan zdecydował o końcu tego świata. Czas ludzki dopełnił się. Ale nie bój się. Pan w dobroci swojej pozwoli rodzajowi ludzkiemu dokończyć dni żywota, zabroni mu tylko rozmnażać się i doczekać potomstwa.

Michał, jak w transie, czuł kolejno nadpływające fale niepokoju i błogości. Oczekiwał takiej prośby, lecz do tej chwili miał nadzieję, że się myli.

— Będiesz narzędziem bożym. Uruchomisz emiter i błogosławionym promieniowaniem obmyjesz ziemską kulę z bólu, zła i podłości.

Poczuł, jak paznokcie wbijają mu się we własne dłonie.

— Mam wysterylizować ludzi?

— Nie, masz zesłać łagodny zmierzch, poprzedzający Drugie Przyjście. Zaufaj, nikt nie będzie cierpiał. Wiem, co myślisz: choroba popromienna, mutacje, zerwanie cykli ekologicznych — wysłannik uniósł dłonie. — Nie obawiaj się. Pan tak pokieruje, że ludzie w spokoju dożyją swego końca.

Michał, opanowując zalew myśli wibrujących w głowie, wskazał na siebie.

— A co ma być ze mną?

— Pan przyjmie cię do królestwa swego i tam spotkasz się z tą, której tak ci brakuje.

Poczuł, jak gniew napina jego mięśnie. A potem roześmiał się niespodziewanie nawet dla samego siebie. Wysłannik posłał pytające spojrzenie.

— Radujesz się?

— Tak, przypomniałem sobie jednego tajniaka. Przekonywał mnie, że jesteś Amerykaninem.

Oczy wysłannika zamglili irytacja.

— Nie przychodzę od nikogo z Ziemi.

— Och, wiem — Michał zmrużył oczy — wiem o tym.

Wysłannik uśmiechnął się.

— Pan mówi, że musisz utrzymać emiter na krytycznej mocy przez trzy czwarte pełnego obiegu wokół Ziemi. Poziom dziesiąty, przy zdjętych zabezpieczeniach zielonym i żółtym, kąt 30°, początek emisji wschodni Atlantyk...

— Przecież wiem to. Powiedz lepiej, skąd wezmę kod uzbrajania skanera.

Wysłannik nakreślił w powietrzu długi rząd cyfr.

— Przyjrzyj się uważnie. Nie zapomnisz, prawda?

Przytaknął. Wiedział, że tamten się nie myli.

— Dobrze. Pan poprowadzi rękę twoją — wysłannik rozmglił swą postać. — A później, później przyjdę po ciebie.

Zniknął. Jedyne przez chwilę woń cedru unosiła się w kabinie. Stichcomb zamlaskał przez sen i otworzył jedno oko.

— Mówiłeś coś? — wymruczał.

— Śpij — Michał czuł straszną suchość w gardle. — Zdawało ci się.

Chwilę patrzył na kudłatą czuprynę Anglika, a potem zagryzł wargi, aż do bólu.

— Do końca dni — stuknął kulakiem w ścianę. — Nawet na Apokalipsę nie zasługujemy.

Samolot położył się na jedno ze skrzydeł i niebo uciekło z okienka. Najwyraźniej podchodzili do lądowania, skąd już tylko żabi skok dzielił ich od samego serca Alp. Siadł w fotelu i położył na kolanach teczkę Boleskiego. Miał wiele do przemyślenia.

Pierwszy dzień minął na zapoznaniu się z rozkładem pomieszczeń, wypróbowaniu możliwości kuchni oraz wstępnej aklimatyzacji. Bazę postawiono na ruinach stacji meteorologicznej, w miejscu, gdzie krystaliczny grzbiet gór przebił się ponad mniej odporne warstwy. Niewielka kotlinka, z widokiem na Jungfrau i pasmo Alp Berneńskich, z trzech stron otoczona była masywem góry. Na jej zboczu rozmieszczono kilkanaście czasz, tworzących w sumie jedną z najsilniejszych anten w tej części kontynentu. Praktycznie, oprócz tras wspinaczkowych, wiodła w to miejsce jedynie droga powietrzna, lecz niewielkie lądowisko wymagało od pilotów helikopterów niebanalnych umiejętności. Z założenia odcięci od świata, mieli w pełni skoncentrować się na obsłudze skanera. Michał miał jednak własny harmonogram zadań. Chociaż nie otrzymał żadnych sygnałów od Boleskiego czy władz polskich, był pewien, że z wprowadzeniem planu nie może zwlekać.

Tej nocy w służbie było wystarczająco zimno, aby w niewymagającym gospodarstwie domowym mogła służyć za lodówkę. Lekko zmartwiałymi palcami wepchnął żyłkę kabla pod izolację i, odstąpiwszy parę kroków, przyjrzał się dziełu. Nieźle. Miotacz Boleskiego, zamaskowany w skrzynce z osprzętem wspinaczkowym, wyglądał wyjątkowo niewinnie. Postępował jak stary konspirator. Nawet godzina pasowała. Jak pamiętał, większość zamachów stanu miała miejsce krótko przed świtem i z reguły pierwszym krokiem zamachowców było sparaliżowanie dowództwa. Zrobił to wyśmienie, wydłużając sen partnerom o kilka godzin. Dobrze, że magazynek miotacza był pojemny. Naciągnął zewnętrzne rękawice, uzupełniając tym całość stroju i przesunął zabezpieczenie drzwi. W wejściu obramowanym kryształkami lodu zawirowały kłęby pary. Schylił się i przestępując wysoki próg, stanął na zawianej lodem betonowej płycie. To nie była najlepsza pora roku na osvajanie się z górami, ani najlepsza pora dnia na podziwianie krajobrazu. Noc, czwarta nad ranem.

Wdychając aseptycznie czyste powietrze zadarł głowę ku niebu, skąd w milczeniu obserwowały go nieruchome gwiazdy. Chwilę odwzajemniał spojrzenie, by w końcu, czując w gardle igielki mrozu, szczelniej zacisnąć filtr na ustach. Moduł skanera tylko czekał, aby odłączyć go od stacji „Freedom”. Jej załoga nie miała żadnej możliwości, aby temu zapobiec. Przez pierwsze minuty uznają to za awarię, a potem będzie już za późno. Istnieje możliwość, że Markiewicz i jego resort zdecydują się donieść do EUA, mimo groźby kompromitacji, gdyby ślad amerykański okazał się lipą, lecz tej nocy, na nieoświetlonym lądowisku nikt nie wylądował. Postarał się o to pół godziny temu. Czas, czas i konieczność szybkiego podejmowania decyzji będą ich wrogami. Po odłączeniu skanera mogliby zestrzelić cały moduł. Ale najpierw będą musieli nabrać pewności, potem wyjaśnić sprawę Amerykanom, a na ostatek znaleźć osoby władne nacisnąć atomowe guziki. Z racji braku osłon radiacyjnych, eksplozja w pobliżu stacji nie wchodziła w rachubę.

Głowa bolała go od tych hipotez. Wyglądało, że faktycznie dziwnym zrzędzeniem losu otrzymał w swoje ręce broń mogącą unicestwić życie na Ziemi. Wystarczyło wprowadzić koordynaty i nacisnąć guzik. Póki nie wyczerpie się źródło energii, praktycznie skaner będzie niezniszczalny. W jego pobliżu, za sprawą radiacji, zgłupieje każdy system naprowadzania.

Przerażony własną potęgą zamknął oczy i opadł na kolana. W kamiennej ciszy gór złożył dłonie odziane w rękawice. „Daj mi, Panie, siłę...”, zaczął własną, prywatną modlitwę.

Specjaliści twierdzą, że czas, po którym sprzęt komputerowy ulega zdezaktualizowaniu, należy liczyć nie w latach, lecz miesiącach. Rzut oka nawet laika wystarczał jednak, aby się przekonać, że zestaw zgromadzony w bazie należał do hitów ostatniego tygodnia. Potężny wielofunkcyjny ekran ciekłokrystaliczny, gigabajtowe dyski optyczne, bezprzewodowe konsole, a przede wszystkim jednostka centralna — światłowodowy komputer o nowej architekturze.

Otoczony tymi cudami, w powiewie bezgłośnej klimatyzacji siedział na krześle obrotowym i czekał. Czerwony punkt na mapie świata przelatywał właśnie ponad Zatoką Meksykańską. Moduł miał do przebycia cały Atlantyk, zanim z jego pomocą będzie mógł otworzyć drzwi do piekła.

Gdzieś zza kopuły stacji dobiegło odległe dudnienie. Drugie w przeciągu ostatnich pięciu minut. Nie mógł wyjść z pomieszczenia, więc starał się nie myśleć o pochodzeniu dźwięków. Zerknął przez ramię. Pośrodku pulpitu łączności nadal płonęła kontrolka wezwania. Pojawiła się wraz z tym, jak zdalnie odpalił ładunki utrzymujące skaner przy korpusie stacji. Nie odpowiadał, bo i po co... Spojrzał na ekran. Czerwona kropka minęła Florydę i płynęła nad szelfem kontynentalnym. Komunikat pogodowy zapowiadał dzisiaj burzliwą noc nad tą częścią Atlantyku.

Detonacja wypełniła pomieszczenia głuchym jękiem. Serce skoczyło Michałowi do gardła i daremnie przekonywał siebie, że się nie boi. Straszliwa odpowiedzialność dawno skruszyła odwagę, obnażając gołe nerwy. Walnięte kopniakiem drzwi wyleciały z futryny. Przez próg przeleciał zwinięty kształt, w ułamku sekundy przybierając postać mężczyzny ubranego w biały battledress.

— Stój, ani kroku! — napastnik zsunął opięty na ustach i nosie filtr przeciwigazowy. — Dłonie na kark, szybko!

Dopiero, kiedy zrzucił kaptur, rozpoznał Boleskiego. Posłusznie wykonał polecenie, starając się nie odchodzić od pulpitu.

— Połóż się! — wyrzaskując polecenia Boleski lustrował pomieszczenie.

Nie uszedł jego uwagi napis na monitorze dyspozycyjnym: „*kod czerwony przyjęty, wprowadź koordynaty*”.

— Na podłogę — ryknął i Michałowi nie pozostało nic innego, jak posłuchać.

Z lufą wycelowaną w jego głowę napastnik uniósł płaski nadajnik do ust.

— Miał kod, słyszycie?! — potrząsnął pudełkiem. — Miał kod, ale nie załadował współrzędnych emisji.

Boleski, najwyraźniej przeszkolony przed akcją, był w stanie wszystko popsuć. Za wszelką cenę musiał mu przeszkodzić. Odwrócić uwagę, zagadać czymkolwiek.

— Ostatnio byliśmy na „pan”.

UOP—owiec przyklęknął na kolano i wysunął czarno oksydowaną lufą. Uśmiechnął się paskudnie.

— To nie jest miotacz gazowy, pamiętaj. Drugi raz ci się nie uda. Wstawaj!

Wykładzina zajeżdżała nieprzyjemnie impregnacją, więc z ulgą uniósł ciało. Boleski pchnął go na krzesło i spał z tyłu kajdankami.

— Spuściłeś się na linie czy wylądowałeś helikopterem? — Michał starał się podtrzymać rozmowę.

— Wylądowaliśmy, dwóch załatwiłeś gazem w śluzie — nieoczekiwanie mrugnął okiem. — To było niezłe.

Michał zerknął dyskretnie na zegar, do obszaru poszukiwań brakowało dziesięciu minut.

— Poczekamy — Boleski potrząsnął nadajnikiem. — Dmucha fen i nie wiadomo, czy reszcie uda się wylądować. Oświetlenie rozpieprzyłeś perfekcyjnie.

— Wam jednak udało się wylądować.

— Tak, bez płóz i ogona.

Wyjął z kieszeni niewielkie opakowanie, i rozrywając folię, wyłuskał ze środka dyskietkę.

— Pozwolisz, że odwołam twoje dyspozycje.

Nie miał kłopotów z odnalezieniem właściwej konsoli. Nie spuszczać jeńca z oka, nachylił się nad stacją dysków. Michał zbladł. Z pewnością wprowadzenie dyrektyw z dyskietki miało zablokować poprzednie polecenia i sparaliżować system modułu.

— Nie rób tego — wyszeptał.

Boleski nie miał zamiaru nawet odpowiadać. Przesunął zabezpieczenie, obrócił dyskietkę... Michał opuścił głowę. Nawet gdyby potrafił znaleźć argumenty, sparaliżowane gardło byłoby wystarczającą przeszkodą.

Boleski krzyknął krótko. Michał sekundę patrzył na puste miejsce przy konsolecie, a potem przeniósł wzrok pod ścianę. Zdażył jeszcze dojrzeć, jak jego przeciwnik zalany krwią opada na podłogę.

— Zostaw go — Michał spojrzał na wysłannika — nie trzeba zabijać.

Anioł popatrzył pytająco, a ciało Boleskiego z wolna osunęło się na podłogę.

Sam widzisz, jak niezbędna jest pomoc Pana — głos zadźwięczał ironią.

— Tak — Michał poczuł, jak pęka ogniwo kajdanek. — Chwała mu za to.

Wiedział, że teraz nie może popełnić nawet najmniejszego błędu. Przesunął palcami po klawiaturze i dostał się na poziom banku danych. Transfer! Komputer pokładowy łąpczywie zgarnął wiedzę o tym, co ma odnaleźć i zniszczyć. Jednym, mocnym, piekielnie mocnym impulsem.

— Nie martw się o helikoptery — anioł wydawał się odprężony. — Żaden nie wylądaje.

Szybciej, szybciej, pomyślał Michał, znajdź tych skurwieli. Tyle godzin poświęcili analizie zdjęć wykopu z Zagórskiej. Czerwona plamka na ekranie wolno wpełzała na kontur Wysp Brytyjskich. Moduł powinien już namierzyć obiekt, musiał być gdzieś w pobliżu. Nawet jeśli był niezauważalny

podczas rutynowej kontroli radarowej, skaner nie może go przeoczyć. Skaner widzi wszystko!

— Pan pyta, czy jesteś pewien tego, co czynisz? — odezwał się niespodziewanie fantom spod ściany.

— Chodzi o moralną stronę zagadnienia? — igrał z ogniem, i to zaczynało go podniecać.

— Nie — zachnął się anioł. — Czy dobrze programujesz emiter?

Jest!!! Rozwrzeszczało się w jego głowie. Na ekranie pojawiły się dane obiektu: masa, rozmiary, widmo emisji własnej i wtórnej... Orientacyjne położenie, jakiego dostarczyły materiały z teczki Boleskiego sprawdziło się!

— Tak, skurwysynu — położył palec na klawiszu. — Dobrze programuję.

Twarz wysłannika przebiegły zmarszczki, jak na telewizyjnym ekranie. Jego postać zdawała się rozdymać.

— Ty... — Michał dla pewności zacisnął dłoń na pulpicie. — Myślałeś, że wezmę cię za Boga?! Boga poznajesz po czynach, miłosierdziu, a nie jarmarcznych sztuczkach!

Czuł, jak obca wola próbuje opanować jego ciało, lecz nienawiść, którą był przepelniony, stanowiła wystarczającą ochronę.

— Wykonaj słowa Pana! — zaskowyczał wysłannik, walcząc z miotającymi go deformacjami.

— Nigdy nie zrozumieliście ludzi — Michał roześmiał się z pogardą. — Chcieliście wykorzystać co najświętsze, ale wy tylko poznaliście wyobrażenie o wierze, nie samą wiarę.

Wokół wysłannika poczęły się formować z nicości blade sylwetki. Rozpoznał Matkę Boską, Archanioła z mieczem, krzyż...

— Miłość — zaskowyczał anioł Memlinga — damy ci miłość. Nie niszczy nas!

— A ja — Michał obnażył zęby w grymasie — dam ci nienawiść!

Wdusił klawisz i rozkazy pomknęły do modułu zawieszonoego ponad Europą. Obiegi obwody komputera, naniósł poprawki i plazmowe słońce w mgnieniu oka rozblęskło śmiercią. Struga energii, której nie mógł powstrzymać żaden pancerz, trafiła prosto w cel. Zjawy westchnęły, zamigotały i przestały istnieć. Przymknąwszy oczy, Michał osunął się na podłogę. Statek Obcych przestał istnieć.

Pokój pozbawiony okien był jedynym miejscem, gdzie mógł przebywać. Nie martwiło go to specjalnie. Wciśnięty w kąt łóżka przerzucał ospale kartki czasopisma, nie próbując nawet zapamiętać jego nazwy. Błat stolika zajmowało kilka puszek dietetycznej coli, oraz napoczęta porcja gulaszu. Właściwie mdliło go na widok jedzenia, lecz Boleski zagroził, że jeśli nie zje obiadu, wyłączy mu światło. W sumie porządny z niego gość. Mimo pięciu szwów na łbie, zachował o Michale dobre zdanie, gorzej z resztą. Szczególnie Stichcomb omijał go jak morowe powietrze, grożąc sądem za bezprawne użycie miotacza. Bez sensu. Norsen chyba miał żal za uszkodzenie modułu. Szpryca, jaką zaaplikował Obcym, rozregulowała elektronikę.

Ziewnął, aż do bólu w szczękach. W sumie areszt domowy nie był złym wynalazkiem. Gorzej, że jutro powinna tu zlecieć się banda naukowców, polityków i tajniaków, stanowiących międzynarodową komisję Parlamentu Europejskiego. Ci to go wymagają...

*Kiedy domyślił się pan, że mamy do czynienia z obcą agresją? Skąd Obcy wiedzieli, że bierze pan udział w projekcie? Dlaczego cały czas ukrywał pan prawdę? Do jakiego stopnia Obcy mogą czytać myśli? Czy wie pan coś na ich temat?*

Uśmiechnął się pod nosem, gdyż jak mu powiedział Norsen, po Braciach w Rozumie nie było co zbierać w próżni. Statek rozpadł się jak purchawka i jedyne, co dojrzano z pokładu wahadłowca, to



kilka nadtopionych konstrukcji.

Naturalnie pył utrudniał obserwację, lecz wejście w jego silnie promieniotwórczą chmurę było wykluczone. Ktoś delikatnie zapukał, potem wsunęła się głowa Norsena.

— Nie przeszkadzam?

— Skądże — wysunął krzesło spod stołu. — Wchodź.

Szwed rozejrzał się, otworzył usta, lecz w końcu tylko wyciągnął płaską butelkę.

— Za uratowanie Ziemi — powiedział i podał Michałowi.

— Na pohybel kosmitom — mruknął ten i przechylił do ust.

Piekło, ale dobrze zrobiło. Miał dość tej choleryjnej coli, na którą skazał go Boleski. Skandynaw poszedł w jego ślady i już po chwili czerstwą twarz zabarwiły wyraźne rumieńce. Nachylił się i szepnął konfidencjonalnie.

— Rozmawiałem przed chwilą z żoną. Ale szum w prasie... Już powiązano eksplozję z końcem cudów. Prędzej czy później ludzie dowiedzą się prawdy.

Dla równowagi Michał pociągnął raz jeszcze.

— Błysk był widoczny?

— Jak cholera. Chyba myśleli, że Pan Bóg zdjęcia im robi — Norsen zacisnął pięść. — Dobrze przypieprzył skurwielom, za to, że tak cię po świńsku zwodzili...

Nie ciągnął myśli, wiedząc, jak Michał znosi komentarze o swej nieżyjącej dziewczynie. Aby pokryć zmieszanie, wypił do dna i krzywiąc twarz, zakręcił butelkę.

— Pomyśleć, że brali cię za czubka — rozparł się na krześle. — Zastanawiałem się dzisiaj, co zrobiłbym widząc, że czynię cuda? Sam nie wiem...

— Moi ozdowieńcy nie żyją — Michał wzruszył ramionami. — Umarli, jak tylko eksplodował statek.

— Słyszałem... ale przedtem nie wiedziałeś tego.

Nie chciał, lecz wiedział, że jeszcze nie raz będzie wracał do tego tematu. Jak stary kombatant, psia mać.

— Widzisz... atmosfera, która towarzyszyła cudom, od początku wydawała mi się niezdrowa. Zamieszanie, wypadki, bijatyki, jak w Polsce, gdzie mnie namierzili... — machnął ociężale dłonią. — Tak być nie powinno. Bóg nie może przychodzić w ten sposób.

Trudniej niż zwykle składało mu się słowa.

— Moim zdaniem Obcy, cholera zresztą wie, kim byli, uznali, że wiara jest rodzajem protezy ułatwiającej życie. Schematu raz przyjętego, którego nie obejmuje żadna refleksja. Może tylko tak potrafili to pojąć. Nie przyszło im do głowy, że człowiek wierzący zastanawia się, główkuje i dopiero przez wątpliwości znajduje obraz swojego Boga.

— Bliższy jeden nawrócony niż dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych — zacytował Norsen i roześmiał się głośno.

— Zgadza się.

Szwed spoważniał, jakby nagle nabierając do całej sprawy właściwej perspektywy.

— Właściwie, dlaczego zamierzali nas wykończyć? — spytał półgłosem.

— Nie wiesz...? — Michał spuścił stopy na podłogę. — Chcieli nas przerobić na smołę pogazową.

Oczy Norsena wyraźnie zwiększyły swoją średnicę, więc Michałowi nie pozostało nic innego, jak tylko się uśmiechnąć.

— Skąd mam to wiedzieć, Eric? — klepnął w kolana. — Wygląda, że nie chcieli niszczyć samego skanera. Może zależało im na naszych surowcach...

Potem przeczesał palcami włosy i ponownie spoważniał.

— Boję się o ludzi.

Norsen spojrzał pytająco.

— Wszystkich ludzi — dodał i rozłożył ręce. — Oszukano ich, wielu wierzyło, że sacrum zstąpiło na ziemię. Co z nimi będzie?

— A co ma być, Michael? — Norsen przysiadł na jego łóżku. — Religie przetrwały wiele, to i Obcych przyswoją. Lepiej martw się o siebie.

W drzwiach stanął Boleski z wydrukiem w dłoni. Miał szczęście do nagłych wejść. Ani słowem nie skomentował zapachu whisky, jedynie podszedł krok do Michała.

— Ożyła — powiedział z jakimś nerwowym tikiem twarzy.

Sygnal w głowie Michała obwieścił, że dzieje się coś niezwykłego.

— Dziewczyna z ambulansu?

Boleski przytaknął.

— Była pod obserwacją naszych ludzi, kiedy rano ustały jej funkcje życiowe — położył kartkę między puszkami. — A teraz, od godziny znowu żyje.

Michał zacisnął palce na stole, nie zauważając puszek spadających z blatu.

— Twierdzi... — Boleski pchnął papier. — Przeczytaj lepiej, to jej list do ciebie.

— Do niego? — Norsen chciał zajrzeć Michałowi przez ramię, lecz ten przeszedł pod lampę.

Nie zważał na nerwowy szept Boleskiego. Powieki piekły, kiedy czytał, a w końcu, z pobladłą twarzą osunął się na kolana. Oparł czoło o chłodną ścianę.

— Poznasz po czynach jego... — wyszeptał, a potem spazmatycznie wciągnął powietrze.

Jego goście, rozumiejąc się bez słów, cicho wyszli z pokoju. Michał pozwolił upłynąć paru sekundom w ciszy, a później zadarł twarz ku górze. I tak, spoglądając ku niebu zasłoniętemu sklepieniem pokoju, powtórzył pierwsze linijki listu:

*Wydęte karawele o żaglach z czerwonych motyli  
pachnące cynamonem, pieprzem i imbirem,  
pływają po morzach mosiężnych, a w tyle  
delfiny ciągną — jak antyczne liry.\**

## Andrzej Drzewinski

*Urodził się w 1959 roku we Wrocławiu. Ukończył studia na Wydziale Matematyczno-Fizycznym Uniwersytetu Wrocławskiego. Na polu fantastyki zadebiutował w 1981 roku, na łamach „Młodego Technika”. W 1983 roku ukazał się jego autorski zbiór opowiadań pt. „Zabawa w strzelanego” (KAW). Trzy lata później Nasza Księgarnia wydała zbiór pt. „Posłaniec”, gdzie obok jego opowiadań znalazły się również dwa teksty Mirosława Jabłońskiego.*

*Z silnego środowiska wrocławskich fanów wyszło kilku autorów, i aż prosiło się, aby powstała w tym mieście jakaś spółka autorska. Tak też się stało — najbardziej chyba znany w rodzimym świecie sci-fi duet Andrzejów: Drzewiński i Ziemiański, opublikował dotąd dwie powieści — „Zabójcy szatana” (KAW, 1989) i „Nostalgia za Sluag Side” (KAW, 1990). Obaj zapowiadają, że ich współpraca na tym się nie skończy.*

*Andrzej nie pisze ostatnio wiele, sporo czasu pochłania mu dziecko i praca naukowa, stąd jego opowiadania zobaczymy ponownie w towarzystwie tekstów innego autora — tym razem Jacka Inglota — w zbiorze przygotowywanym przez KAW.*

*Prezentowane powyżej opowiadanie „Dopust Boży”, to podobnie jak u Dębskiego, typowa, twarda fantastyka. Autorzy wrocławscy tradycyjnie już trzymają się żelaznych tematów SF i raczej nie penetrują innych podgatunków SF.*

## O „Źródle bez wody”

*Miałem ogromne kłopoty, żeby po długiej beczynności zmusić się ponownie do napisania opowiadania. Przez ostatni rok w ogóle tego nie robiłem. Wyplułem z siebie natomiast kilkadziesiąt felietonów i kilka dłuższych artykułów o polityce. Zaczęłem też książkę o konserwatywnym liberalizmie i perspektywach Europy w nadchodzących latach. Mam wrażenie, że dzieje się z nami coś, czego przeciętny Polak nie pojmuje ni cholery, a co przewróci nasze dotychczasowe życie do góry nogami — i wciąż wierzę głęboko, że MOŻEMY COS ZROBIĆ. Dlatego mój życiorys robi się coraz bardziej zdyszany i od konstruowania metafor wolę teraz brać się za bary z rzeczywistością bezpośrednio.*

*Skądinąd, zawsze lubowałem się w konkretach, w szczegółach, w twardym stapaniu po ziemi. To właśnie upodobanie ściągnęło mnie do SF. Ostatnio jednak sytuacja zmieniła się diametralnie, fantastyka traci pazurki — a zarazem otwierają się nie istniejące dawniej możliwości głoszenia swoich przekonań i walki o nie.*

*Last but not least — mam już 27 lat. To nadal niedużo, ale dość, żeby zacząć zajmować jakieś KONKRETNE miejsce w życiu. Chodzi nie tylko o stałe źródło utrzymania, ale w ogóle o jakiś punkt zaczepienia. SF — niestety — może być jedynie hobby.*

*Mam jednak nadzieję, że będę mógł temu hobby poświęcać niekiedy trochę czasu.*

*Rafał Ziemkiewicz*

# Źródło bez wody

*Ci są źródłem, bez wody i obłokami wiatrem pędzonymi, których czeka mrok ciemności...*

św. Piotr

Mężczyzna, który wczesnym rankiem letniego dnia przechodził obok budki telefonicznej na jednym ze skrzyżowań biurowej dzielnicy Marsylii, nie wyróżniał się spośród przechodniów niczym szczególnym. Luźno skrojona, jasna, sportowa marynarka, niesiona w ręku czarna walizeczka, a nade wszystko biała skóra i przerzedzone blond włosy nadawały mu wygląd zwykłego urzędnika. Jednego z dziesiątek tysięcy urzędników, spieszących o tej porze do pracy.

Widok mijanego telefonu najwyraźniej jednak o czymś mu przypomniał. Cofnął się pół kroku, wymanewrował z nurtu przechodniów i wszedł do budki.

Nie było w tym naprawdę nic szczególnego.

Położył swoją plastikową walizeczkę na półce pod aparatem i otworzył ją. Walizeczka nie była walizeczka, lecz przenośnym komputerem.

Mężczyzna sięgnął do czołowej płyty automatu, wetknął do czytnika kartę magnetyczną, po czym odsłonił gniazdo modemu.

W tym także nie było nic szczególnego.

Teraz mężczyzna sięgnął ponownie do swojej walizeczki, zdejmując pokrywę bocznej ścianki, spod której wydobył zwinięty kabel. Zanim go jednak rozwinął, nagle znowu sobie o czymś przypomniał; popatrzył na mijających go po obu stronach przechodniów z łagodnym, jakby przepaszającym uśmiechem, po czym sięgnął dłonią do przełącznika umieszczonego tuż poniżej aparatu telefonicznego. W drzwiach budki szcęknęły cicho rygle, zabezpieczając je przed nagłym otwarciem. Otaczające mężczyznę tafle szkła zmętniały i zaczęły gwałtownie ciemnieć. Nie minęło piętnaście sekund, a stały się czarne, połyskliwe i nieprzejrzyste, jakby zrobione z wyszlifowanego, czarnego marmuru.

Nadal nie było to nic szczególnego. Ot, pracownik któregoś z biur, czy może urzędów lokalnej administracji, zapomniał o jakimś drobiazgu — więc łączy się ze swoim domowym komputerem, albo z biurem, by zebrać notatki z bazy danych. Większość pracodawców zaleca w takim wypadku swoim podwładnym korzystanie z możliwości zamknięcia i wyciemnienia kabiny telefonicznej. Zdarzały się bowiem napady na osoby korzystające z ulicznego telefonu do wchodzenia w systemy danych; przyłączony do systemu komputer, o dokonanej identyfikacji, umożliwiał zuchwałym przestępcom rozmaite hakerskie wyczyny na konto swej ofiary. Poza tym, ktoś zawsze mógł zza szyby śledzić poczynania użytkownika systemu i wejść tą metodą w posiadanie poufnych danych.

Krótko mówiąc, mężczyzna w budce telefonicznej w najmniejszym stopniu nie wyróżniał się na, z wolna gęstniejącym od przechodniów, pasażu, nie zwracał sobą niczyjej uwagi. Przez następne długie minuty kilkadziesiąt osób minęło zaciemnioną budkę zupełnie obojętnie, zauważając ją tylko

na tyle, by nie rozbić sobie głowy o wzmocniony plastmetaliczną listwą kant.

Pozostający natomiast wewnątrz urzędnik, odczekawszy tylko chwilę, aż fluorescent rozjarzy się do stopnia umożliwiającego pracę, zaczął natychmiast zachowywać się w sposób niecodzienny. Zupełnie zignorowawszy odsłonięte gniazdo modemu sięgnął po słuchawkę, rozkręcił ją i wybebeszył spod mikrofonu pęk kolorowych kabli. Następnie zdjął pokrywę przedniej płyty aparatu z klawiszami numerycznymi, podważając jej brzegi wydobytym z kieszeni scyzorykiem, i z płataniny takich samych kolorowych przewodów wydobył połyskującą pomarańczowym plastykiem kostkę, upstrzoną po bokach nierównymi szeregami mikroskopijnych, złotomiedzianych występów.

Kabel, wyjęty spod pokrywy w bocznej ścianie laptopa, nie miał na końcu normalnego, szesnastodżekowego wtyku. Zamiast tego rozgałęział się na trzy przewody — zielony, czerwony i niebieski. Dwa pierwsze kończyły się krótkimi igłami, trzeci metalową klamerką. Znalazła ona swoje miejsce na jednym z wygrzebanych spod mikrofonu drucików, które wcześniej mężczyzna oczyścił scyzorykiem z izolacji na długości pół centymetra. Obie igły natomiast ulokował w mikroskopijnych gniazdach dyndającej pod wyprutą tarczą telefoniczną kostki, usunąwszy z nich wcześniej znajdujące się tam wtyki.

Wszystko razem nie zajęło mu więcej niż minutę. Uporawszy się z aparatem telefonicznym, mężczyzna raz jeszcze sięgnął do odsłoniętej niszy w bocznej ścianie walizki i wydobył z niej jeszcze jeden kabel, na końcu którego znajdował się płaski, biało–złoty talar wielkości monety stufrankowej. Podważył paznokciem białą, plastikową warstwę, zdjął ją i schował do kieszeni. Trzymał teraz w dłoni złotą wtyczkę, najeżoną gęstwą mikroskopijnych dżeków. Rozpiąwszy guzik koszuli pod krawatem, wsunął rękę pod materiał, sięgnął do barku i oderwał sobie z obojczyka miękkiego, cielisty plaster. W nienaturalnie w tym miejscu różowej skórze odsłoniło się ciemne, okrągłe gniazdo, w którym chwilę później znalazła swoje miejsce wtyczka.

Ekran wyłożonego na półce pod telefonem komputera, dotąd ciemny, zamigotał nagle głęboką zielenią, by zaraz nabrać barwy zgniłobrunatnej. Mężczyzna uśmiechnął się i zmrużył oczy. Jakby od tego spojrzenia, ekran nagle rozświetlił się czystą barwą złota, potem zaprezentował jedna po drugiej wszystkie kolory tęczy, a wreszcie zaczął się mienić pawiookimi wzorami. Wtedy mężczyzna przejechał dłonią po klawiaturze i nabierając głęboko powietrza zamknął oczy, unosząc obie dłonie ku górze.

Gdyby ściany ulicznej budki nie zostały pozbawione przejrzystości, przechodnie mijający ją w całkowitej niewiedzy mogliby przez kilkanaście sekund obserwować, jak jasnowłose porusza szybko palcami, niczym rozgrzewający dłonie przed koncertem pianista, i jak na jego skupionej twarzy wykwita w pewnym momencie grymas zadowolenia.

Dokładnie w tej samej chwili, kiedy jasnowłose się uśmiechnął, mężczyzna siedzący przed terminalem w tylnej części żółtopomarańczowej śmieciarki, zaparkowanej o jakieś siedemdziesiąt metrów dalej, pod wysokim biurowcem OLY D'AUNTIER, poruszył się w fotelu i rzucił przez ramię: „jest!”.

Oglądana z zewnątrz śmieciarka nie różniła się niczym od kilkadziesiątu innych, półautomatycznych wozów kręcących się — zwłaszcza o tej porze dnia — po całym mieście.

Jednak w tylnej części pojazdu nie było urządzeń do segregowania i prasowania odpadów. Ich miejsce zajmowało ciasne pomieszczenie, zapchane elektroniką. Pośrodku, przed szerokim terminalem, siedziało dwóch mężczyzn. Gdyby nie brak marynarek i krawatów, można by uznać ich za łudząco podobnych do tego w budce telefonicznej. Starszy z siedzących miał przymknięte oczy i

opierał się wygodnie o zagłówek fotela. Dłonie trzymał na wysokości piersi, niczym przystępujący do stołu operacyjnego chirurg; tylko od czasu do czasu poruszał nieznacznie palcami. W odsłoniętej przez rozpięcie koszuli bliźnie na obojczyku tkwiła mu złota, płaska wtyczka, od której ciągnął się do terminalu cienki, skręcony kabel. To właśnie ten człowiek wyrzucił z siebie przed chwilą zwięzłe „jest”.

Młodszy haker był wysokim Mulatem. Jak na razie miał niewiele do roboty. W skład grupy wchodził do niedawna i dostał się do niej bardziej ze względu na kolor skóry, niż na jakieś szczególne umiejętności. Na wszelki wypadek nie powierzano mu innych funkcji niż pomocnicze.

Dalej, w tylnej części pojazdu, znajdowały się cztery głębokie fotele. Trzy z nich były zajęte, ale o siedzących tam mężczyznach trudno byłoby powiedzieć cokolwiek poza tym, że tkwili na swych miejscach nieruchomo, niczym kamienne posągi, obwieszane bronią, o twarzach skrytych pod wielkimi, lustrzanymi goglami. Tylko gdyby dało się zajrzeć pod te lustrzane gogle, na czarnych i śniadych policzkach można by dostrzec perlący się pot.

Dwóch innych mężczyzn, odzianych w ciemne kombinezony, czekało w szoferce wozu. Czarnoskóry kierowca wydawał się nie interesować absolutnie niczym, poza synkopowanym rytmem, który ze znudzoną miną wystukiwał palcami na kierownicy. Miejsce obok zajmował krępy, śniady trzydziestolatek o smoliście czarnych włosach i takim samym zaroście. Usłyszawszy dobiegające zza przepierzenia „jest” uniósł gwałtownym ruchem nogi i okręcił się na swym fotelu, przenosząc stopy ponad pokrywą automatyki sterowania. Potem postawił je na skrawku podłogi za pokrywą, podniósł się sprężystym ruchem i uchyliwszy na chwilę wąskie drzwi w przepierzeniu, przecisnął się przez nie do tylnego przedziału.

Kierowca zareagował na ten manewr jedynie ledwie zauważalnym sięgnięciem prawą ręką na wysokość kolan, gdzie przestawił wystającą z ukrytej przed wzrokiem postronnego obserwatora tablicy dźwignię do położenia oznaczonego „auto”, po czym, wciąż ze znudzonym wyrazem twarzy, wrócił do bębnienia paznokciami po kierownicy.

Śniady mężczyzna nazywał się Mehmet Azufahan i był oficerem Biura Ochrony Praw Człowieka. Jak dotąd, nigdy nie narzekał na swą pracę. Zawdzięczał jej zapewnioną przyszłość i pozycję wśród establishmentu piątej republiki. Dla dziewiątego syna algierskiego imigranta było to bardzo wiele.

Poza tym lubił ją. Lubiał zwłaszcza chwile, gdy sieci już były zastawione i na horyzoncie pojawiała się zdobycz; te chwile, gdy ożywały ukryte w ciele pompy, tłoczące do żył adrenalinę, gdy wszystkie mięśnie wypełniało powoli uczucie radosnego podniecenia.

Takie chwile jak ta.

Pochylił się nad tkwiącym w systemie mężczyzną i sponad jego ramienia śledził uważnie ekran.

— Jean wprowadził im do systemu zabezpieczeń swoją sekwencję — wyjaśnił siedzący obok młodszy haker. — Świetnie. Immunologia zerowa. Musimy teraz już tylko jakoś do nich wejść z zewnętrznego obiegu danych.

— Jestem w głównym module — wysapał starszy, nie otwierając oczu.

Przez chwilę panowała absolutna cisza, w której na czerń ekranu sypały się równe rzędy cyfr i liter.

— Są. Terminal 980455QTQ, piętro XIV, lokal 1454. Dzierżawione przez spółkę jawną „France–Britt UKC”, numer rejestru...

Azufahan przerwał mu gniewnym machnięciem ręki. Na tego typu rzeczy przyjdzie czas potem. Tymczasem sam dostrzegł, w otwartym na jednym z ekranów oknie, że system zabezpieczenia



antyterrorystycznego biurowca zorientował się, iż jest penetrowany.

Jean, mężczyzna w budce telefonicznej, znał wprawdzie zastrzeżone kody, ale ich użycie miałyby się z celem. Wejście w autonomiczny system komputerowy byłoby pogwałceniem prywatności obywateli, której gwałcić nie było wolno. Przynajmniej nie tak nachalnie. Dlatego właśnie ludzie Mehmeta Azufahana włamywali się do sieci biurowca, a przez nią do jego zabezpieczeń, za pośrednictwem ulicznego telefonu i pozbawionego cech swoistych terminalu. Jeżeli plon akcji okaże się godny przygotowań do niej, informatycy z Surete będą potem zapamiętali grzebać się w pamięci systemu; nie było powodu, by nie mieli znaleźć czegokolwiek, co obciążałoby Mehmeta Azufahana. I co mogłoby zostać wykorzystane przez obrońców na procesie.

Znowu długa, pełna napięcia cisza. Starszy haker zatrzepotał gwałtownie dłońmi. Zanim jego palce zdążyły drgnąć, ten sam impuls nerwowy przemknął z rdzenia przez interfejsy do programu sterującego, spowodował wydanie odpowiednich komend, zgodnie z którymi zadziałał program operujący aktualnie, wraz ze znieczulającą sekwencją drugiego hakera, gdzieś w trzewiach systemu antyterrorystycznego biurowca. Zazwyczaj tak pracowali — pierwszy miał za zadanie włamać się do systemu i wprowadzić drugiego, ten zaś, lepszy fachowiec, dysponujący wielokrotnie bardziej skomplikowanym sprzętem, obezwładniał na wystarczającą chwilę mechanizmy obronne budynku.

Po ekranie przebiegały nierozpoznawalne dla ludzkiego oka błyski. Trwało milczenie.

Trwało.

System miał swoje lata. Niegdyś wystarczył do ukrócenia fali arabskiego terroryzmu, która omal nie rzuciła przerażonej Europy na kolana przed zjednoczycielem Islamu, wielkim Hasadem Al Sal-ed-din. Ale potem był stopniowo rozgryzany i modyfikowany przez ludzi wysługujących się wrogom Republiki Praw Człowieka.

Trwało...

Mehmet nie znał się zbyt dobrze na informatyce, tyle tylko, ile musiał. Jego żywiołem były akcje bezpośrednie, a przede wszystkim — osaczenie. Wyłuskiwanie przestępców. Wolał myśleć raczej o swoim wozie bojowym. O chwili, gdy poderwie się on w górę i ta chwila nadeszła. Starszy haker odetchnął głęboko i otworzył oczy, a potem popatrzył z dumą na Mehmeta. Nagle czas przyspieszył do wariackiego wręcz tempa. Zanim jeszcze kapitan zdążył powiedzieć: „startujemy”, młodszy z informatyków Sûreté przystąpił do wprowadzania i zgrywania programu akcji. Trzech ludzi w lustrzanych goglach, smagniętych sygnałem, zdążyło tylko poprawić swe pozycje w gniazdach i uchwyt palców na broni. Półtorej sekundy na przygotowanie do akcji, jedna na jej wykonanie. Mimo wprowadzonego przez hakera z budki telefonicznej wampira, program strażniczy może za moment zorientować się i zamienić atakujący budynek wóz domniemanych terrorystów w pak ognia. Mehmet wskoczył wyćwiczonym ruchem na wolne, czwarte siedzenie. Wszyscy położyli ręce na poręczach foteli. Rozległ się krótki, trójtonowy sygnał.

A potem stało się nagle kilka rzeczy naraz. Spod kół zaparkowanej na *Rue de Soutie* śmieciarki buchnęły kłęby kurzu i wóz zniknął z wizgiem z oczu przechodniów, by w tym samym momencie pojawić się tuż koło okien na trzydziestym czwartym piętrze srebrnego biurowca. Szybciej, nim ktokolwiek mógł to zobaczyć, plunął w nie, obracając się wokół własnej osi, ciemnymi, obłymi kształtami, wstrzeliwując z obu burt do wnętrza budynku członków grupy specjalnej. W huku i trzasku pękającego szkła wpadli do rozległego, surowo urządzonego pomieszczenia. Mehmet na końcu. Starszy z hakerów czuwał, by system ochronny budynku nie skontrolował ataku, ale samostrzelne działka i generatory pól zaporowych nie zostały wzbudzone. Młodszy pilnował samych członków

grupy i sterowania niosących ich kokonów siłowych, gotów w razie potrzeby je skorygować. To też okazało się zbędne. W ułamku sekundy cała czwórka znalazła się w pomieszczeniu, lądując miękko na nogach, kokony pękły tuż po tym, jak przebrzmiał huk wstrzelonych przed momentem petard i przygasł upiorny błysk oślepiających rac. Szkoleni latami do takiej sytuacji członkowie specgrupy nie tracąc ani chwili, runęli na zszokowanych ludzi wewnątrz pokoju, uniemożliwiając im nawet pomyślenie o jakiegokolwiek obronie.

Było ich trzech. Trzech mężczyzn, całkowicie zaskoczonych, nic nie pojmujących. W mgnieniu oka znaleźli się na ziemi, ogłuszeni i oślepieni, z rękami skutymi kajdankami na plecach. Najbliższych kilkanaście sekund miało im teraz zająć domyślanie się, co się właściwie stało.

Dla Mehmeta najważniejszy był facet, który w chwili rozpoczęcia akcji stał przed zajmującym krótszą ścianę sali terminalem. Na szczęście nie był on połączony z systemem bezpośrednio. Sekciarze nie stosowali neurowszczepów i wspomaganie hormonalnego, umożliwiającego bezpośrednio operacje komputerowe. Zakaz religijny. Przy akcji przeprowadzonej z przyzwyczajoną prędkością nie było mowy, by przeciwnik zdążył przeładować pamięć.

A akcja trwała nawet krócej niż regulaminową sekundę. Mehmet odetchnął głęboko wysysanym błyskawicznie z pokoju przez klimatyzatory świadem odpalonych przed chwilą petard. Popisowa robota. Cele obezwładnione, system zneutralizowany, pełne dane zabezpieczone do rozpoznania. Przejechał dłonią po lśniących punktach ponad kieszeni na piersi, wygaszając je. Wprasowane w tkaninę mikroobwody systemu personalnego zasnęły ponownie, niepotrzebne.

Jeszcze chwilę trwała cisza. A potem zaczął się gwar. Zrobili popisową akcję, świetna sprawa, trzeba się nagadać, wymienić uwagi i gratulacje. Zatrzymani wciąż jeszcze leżeli półprzytomni, z tępych twarzami ludzi, którym nagle niebo zważyło się na głowy. Mehmetowi trudno się było na widok ich min powstrzymać od śmiechu. Skinął na jednego z chłopców, by na wszelki wypadek sprawdził zatrzymanych podręcznym pakietem medycznym. Tylko tego brakowało, żeby mu któryś odkorkował ze strachu.

Poznawał te twarze. Doskonale je poznawał. Popisowa akcja. I skuteczna. Wielu jego kolegów oddałoby pół życia za taki połów.

Obrócił się ku ekranom komputera. W najwyższym wersie jednego z nich dostrzegł nagłówek programu:

#### DEPOSITUM FIDEL PRZYWOŁANIE

Kapitan Mehmet Azufahan uśmiechnął się do nich, czując wyraźnie rosnącą w miejsce uprzedniego podniecenia euforię. Pochylił się nad jednym ze schwytych.

— No i co, prawiczku?! — zakrzyknął wesoło wprost w twarz samozwańczego biskupa Marsylii.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy biały mężczyzna z walizką zniknął za ciemniejącymi szybami budki telefonicznej w pasażu *Soutie*, Chantall Dacous przyglądał się w zadumie trzymanej na dłoni pastylce. Sprawiał wrażenie, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu i jakby zupełnie nie wiedział, co to jest.

Naturalnie, wiedział. Pastylki *clichette*, największe osiągnięcie myśli ludzkiej minionego wieku. Wynalazek epoki. Nareszcie seks bez strachu! Twojemu facetowi wystarczy jedna mała pigułka — żadnych kłopotów, żadnych niewygód, od dziś to nie twoje zmartwienie! Kup koniecznie, koniecznie, koniecznie!

Ta akurat pastylka pochodziła z opakowania z napisem EXTRA FRAISE i oprócz działania plemnikobójczego nadawała spermie smak oraz aromat świeżych poziomek.

Madelaine lubiła poziomki.

A Chantall udawał przed wszystkimi, że lubi Madelaine. W istocie miał jej powyżej uszu. Jej i innych bab, których musiał dosiadać od czasu do czasu, by podtrzymywać reputację kobieciarza — bo pozwalała mu ona jakoś wykręcać się bez utraty twarzy od ofert wysoko postawionych gejów.

W głębi duszy — na samym dnie — Chantall brzydził się miłością grecką. W głębi duszy był seksistą. To w zasadzie nie należało do przestępstw, ale od nietolerancji seksualnej, wiadomo, już tylko krok do faszystowskiego rasizmu. Osoba Zwierzchnia marsylskiej prefektury powinna pozostawać poza podejrzeniami. A Chantall Dacous był bardzo zadowolony ze swojej pozycji i nie chciał jej tracić.

Zdecydowanie wolał smakować poziomki. Zazwyczaj. Bo tego dnia...

Tego dnia wszystko stało się nagle inne. Niezrozumiałe.

Odłożył pastylkę na blat stołu, przy którym jadł śniadanie. Nie, nie jadł go. Deliberował nad nim.

Wszystko nagle stało się inne Jakby dopiero co się urodził. Albo jakby obudził się po bardzo, bardzo długim śnie, śnie trwającym od urodzenia. Wokół unosiły się strzępy jakichś dziwacznych, sennych rojeń. Czuł je przez skórę, nie potrafiąc uchwycić niczego poza nie dającym się nazwać nastrojem. Pozostawały na skraju świadomości. Jak coś, co dostrzegamy kątem oka; wiemy, że coś tam obok jest, ale nie widzimy kształtu ani barwy.

Jakby się obudził i pytał samego siebie, gdzie jest, co robi, skąd się tu wziął. Ale zarazem doskonale przecież wiedział, doskonale pamiętał całe swoje życie, mozolne wdrapywanie się po szczeblach urzędniczej kariery, gromadzenie punktów, chwytanie okazji.

Chantall Dacous. Osoba Zwierzchnia. Wydział Ochrony Praw Człowieka, departament przestępstw przeciwko tolerancji religijnej. Siedzi w swojej kuchni, samotny, bo do późnego wieczora tkwił wczoraj przy komputerach nadzorując śledztwo... Jedna noc do przodu, bez silenia się na „jeszcze mogę”. Mogę. No i co? Nie chce mi się.

Przypomniał sobie o spotkaniu z kardynałem i ta myśl na moment omal nie wyzwoliła czegoś z czających się na granicy myśli sennych majaków. Ale zaraz to przeszło. Sięgnął po wystygłą kawę, machinalnie wyciągając rękę w kierunku pigułki. Chantall Dacous, Osoba Zwierzchnia. Chantall to żeńskie imię. To robota matki. Nazwała go tak, bo nienawidziła mężczyzn. Samców, jak by powiedziała.

Za dziećmi zresztą też nie przepadała. W każdym razie szybko doszła do wniosku, że nie było warto rodzić Chantalla tylko po to, by osiągnąć pełniejszą samorealizację.

Nigdy nie tęsknił za matką.

Spotkanie z kardynałem to rutyna. Ważniejsza była sprawa prowadzona przez Azufahana. Tej nocy miał ją przecież finalizować.

Ten Arab jakoś go onieśmiałał. Chantall nie potrafił mu niczego odmówić. Pewnie dlatego, że w głębi duszy — bardzo, bardzo w głębi — niezbyt lubił Arabów. A to by było najgorszą kwalifikacją dla wysokiego rangą funkcjonariusza Biura Ochrony Praw Człowieka. Więc faworyzował Azufahana i kilku innych na takiej samej zasadzie, na jakiej matka, podświadomie nienawidząca dziecka, które zepsuło jej linię albo odebrało szansę kariery, obsypuje je od czasu do czasu nieoczekiwanymi prezentami i pocałunkami.

Tak jak jego matka. Nigdy nie wiedział, czy zaraz wybuchnie, czy zbierze jej się na czułości. Z

dzieciństwa — oprócz dziesiątek różnych internatów i przechowalni, do których go podkukuła — zapamiętał przede wszystkim ten ciągły strach, bezustanną niepewność...

Z rozbiegania myśli wyrwał go dźwięk włączającego się telewizora. Siódma trzydzieści, wiadomości poranne. Chantall rozejrzał się nieprzytomnie, nagle przypomniał sobie, że przecież nie ma czasu, by tak siedzieć i pozwalać myślom toczyć się w niewiadomą stronę. Pomimo głodu zostawił śniadanie nietknięte — jakby chciał w napadzie dziwnej złości ukarać siebie samego, nie wiadomo za co.

Łazienka. Miniaturowy huragan rozpędzonych i doprowadzonych do optymalnej temperatury kropelek zjonizowanej wody. Łaskotliwe pieszczoty pola aparatu do masażu, ujędrniającego skórę i poprawiającego jej ukrwienie. Ciepło osuszających ciało strumieni powietrza, potem chłód napyłanej przez kabinę kąpielową cieniutkiej warstewki balsamu. Z kuchni dolatywało monotonne gadanie telewizora. W pewnym momencie w uszy Chantalla uderzyło zmurszałe mury Watykanu” i przez chwilę przysłuchiwał się uważniej. W końcu szło o coś, co dotyczyło jego spraw zawodowych.

„Papież chce nam zabronić miłości. Ale Chrystus nigdy jej nie potępiał. Jest obowiązkiem naszej wiary nie poddawać się inkwizytorскому zapędowi ludzi, którzy pragną nas cofnąć do średniowiecza...”

Chantall trwał w zadumie. Kabina, zakończywszy pokrywanie jego skóry orzeźwiającym balsamem, ucichła. Telewizor gadał. Chantall znał tę sprawę — ciągnęła się od dawna — lombardzki katecheta, pozbawiony święceń za stosunki seksualne z jednym z wychowanków. Okazja, żeby raz jeszcze ukazać opinii publicznej prawdziwe oblicze fundam—entalistów ze wschodniej Europy, okupujących Watykan. Reporterka mówiła coś o faszystowskich relikwach, ale niczego, o czym by Chantall nie wiedział. Nie słuchał. Coś go w usłyszanych słowach uderzyło, przypomniało znowu ten nieprześlony sen — coś nieuchwytnego, jakby woń kadzideł, jakby echo chorałów... Które ze słów uruchomiło mechanizm pamięci? Kościół, Watykan, fundamentalizm? Nie. Polak? Polak... Auschwitz, prześladowania Żydów... Nie, też nie to. Nie potrafił sobie przypomnieć.

Co się z nim tego dnia działo?

INKWIZYTOR — uświadomił sobie nagle, gdy już zrezygnowawszy wyszedł z łazienki. Powtórzył to na głos: inkwizytor.

Przez chwilę stał nagi w sypialni, jakby znalazł jakiś ślad. Ale wcale go nie znalazł. Nie wiedział, skąd nagle znalazł się w tym słowie taki ładunek. Nie wiedział, dlaczego wywołało ono z jego pamięci następne, tym razem już niezrozumiałe: *depositum fidei*...

— Jestem chory — powiedział do siebie na głos. — Potrzebuję odpoczynku. Jestem przemęczony i chory — powtórzył te słowa jak zaklęcie.

Zaklęcie, w które sam nie wierzył. Wcale nie czuł się chory. Mimo dziwnej melancholii oraz skłonności do zadumy miał w sobie tego ranka może nawet więcej energii niż zazwyczaj. Czuł się tylko bezbrzeżnie zbrzydzonej samą sobą, swoim pełnym lęklivej niepewności dzieciństwem i zatopionym w upale miastem za oknami, nad sumieniem którego powierzono mu władzę. Czuł obrzydzenie do swojej kariery, z której był zawsze tak dumny, do układających się chętnie w zgrabne kółeczko ust Madelaine, do Republiki Praw Człowieka i w ogóle do całego świata.

Dlaczego? Przecież był to najlepszy ze światów. Najlepszy. Świat wymarzony przez filozofów, wyśniony przez pokolenia bojowników o postęp... Wolny, demokratyczny, bez dyskryminacji.

Ubierając się Chantall, coraz bardziej spóźniony, rozmyślał o słowie „inkwizytor” i niezrozumiałym *depositum fidei*. O mieście za oknami.

— Jestem chory — powtarzał rozpaczliwie w duchu, wychodząc z windy na szeroki podjazd, otoczony wysokim płotem z przezroczystego, kuloodpornego plastyku, gdzie czekał na niego od kilkunastu minut opancerzony samochód prefektury.

Ale wiedział, że to, co się z nim tego dnia działo, nie miało nic wspólnego z chorobą.

Starszy z hakerów, podesłanych Azufahanowi przez Süreté, nazywał się Le Corve i jedyną rzeczą, na której się znał, były komputery. Przyłączony do systemu danych, stawał się w zerojedynkowym świecie geniuszem i bogiem. Poza tym światem istniał jako jeden z milionów kompletnych przeciętniaków, pochłaniających tony chrupek, wideokaset i plemnikobójczych pigulek smakowych.

Komputery były także jedyną rzeczą, jaka go naprawdę w życiu interesowała. Le Corve nie potrzebował dla swojej pracy żadnych uzasadnień. Nie interesowało go, dla kogo pracuje i przeciwko komu, za co aresztuje się rozpracowywanych przez niego facetów i co się z nimi dalej dzieje; nawet nieporównywalne z przeciętną zarobki, jakie dawała mu ta praca, były raczej pretekstem. Tak naprawdę, Le Corve uwielbiał wybebeszać programy, łamać ich zabezpieczenia, głowić się nad nie spotkanymi wcześniej systemami. Jeżeli trafił na coś oryginalnego, wystarczało mu to w zupełności jako nagroda za włożony w służbę wysiłek.

Krótko mówiąc, był obok Mehmeta Azufahana drugim człowiekiem bardzo zadowolonym z akcji na OLY D'AUNTIER. To, co obsługiwał nieznany mu operator, zanim został ogłuszony, oślepiony, przewrócony na ziemię i skuty kajdankami, miało fenomenalnie pomyślane zabezpieczenie. Jakkolwiek Le Corve się starał, przy każdym jego ruchu program DEPOSITUM FIDEI ulegał stopniowemu samozniszczeniu.

— I co w tym niby fenomenalnego, stary baranie?! — zaryczał Azufahan, który nie miał o informatyce zielonego pojęcia i po prostu nie był w stanie zrozumieć finezji obsługiwanego przez zatrzymanych programu.

— No cóż, poza tym nie ma tu większych sensacji. Zasadnicza część programu to nieco zmodyfikowany *Chasse 7.25*. Nie mogę powiedzieć, kiedy zdołali tym wejść do naszej sieci. W każdym razie program nadal w niej jest.

— To już wiem. Brakuje mi informacji, po co tam wchodzili.

Oczywiście, tak naprawdę ciekawe było nie „po co”, ale „jak”. Na ten temat Le Corve mógłby coś niecoś powiedzieć. Z tym, że Azufahan i tak by nic nie pojął. Nie wiedzieć czemu, szefami zespołów operacyjnych z reguły bywali ignoranci.

— Ich program ma sekwencję kierującą go na bieżące operacje naszego systemu. Przykleja się do niektórych zbiorów, nie jestem w stanie powiedzieć, według jakiego klucza, i częściowo powiela się w nich.

— Coś w rodzaju szpiega w naszych komputerach?

— Absolutnie nie. To nie zbiera ani nie kopiuje żadnych danych. Po prostu rozsiewa nam po systemie kopie swojego programu. Zresztą znakomicie pomyślane. Te powpisywane przez nich wtręty są doskonale chronione przed naszymi programami czyszczącymi, i to dzięki bardzo prostemu trickowi...

— Zaraz — przerwał mu Azufahan. — To co właściwie, do jasnej cholery, robi w naszej sieci to ich całe decośtam?

Le Corve powstrzymał się przed okazywaniem irytacji.

— Dokładnie, to na razie nie wiem To, co wpisują nam do systemu, praktycznie rzecz biorąc nie

służy niczemu. Być może jest to coś podobnego do sposobu, którego używamy przy forsowaniu zabezpieczeń antyterrorystycznych. Pierwszy program sam w sobie nic nie znaczy, zapada w sieci i czeka na drugi, który bez tego pierwszego nigdy by nie pokonał zabezpieczeń.

Tak, znam to — Mehmet Azufahan potarł nerwowo brodę. — Słuchajcie, muszę wiedzieć, co oni chcieli w ten sposób uzyskać. Nie interesuje mnie, jak wspaniale ten program potrafi się kasować podczas prób jego rozgryzienia. Lepiej będzie dla nas wszystkich, jeśli mu na to nie pozwolicie.

— Nie ma siły. Nie sposób dorwać się do kodów uruchamiających go, a każda próba uaktywnia komendy destrukcji...

Twarz oficera stała się jeszcze ciemniejsza niż zwykle.

— Ale udało mi się utworzyć w nim obszar wirtualny — dokończył czym prędzej Le Corve. — Przy użyciu lepszego sprzętu zdołamy potem wszystko odzyskać.

— Aha — mruknął Azufahan z miną człowieka, który nigdy w życiu nie słyszał o obszarach wirtualnych. — Dobrze. W razie czego możecie użyć dowolnych połączeń, jakich będziecie potrzebować. Jakoś się z tego potem wytłumaczymy. Tylko mam to mieć jak najszybciej!

Aż uśmiechnął się w duchu na widok radości, która odbiła się po tych słowach na twarzy Le Corve'a. Pozwolił mu wrócić do terminalu i wyszedł z pokoju. Przez moment zamajaczyła mu jakaś niejasna obawa, że polecenie „użyj, czego będziesz potrzebował”, dane człowiekowi rozmiłowanemu w bebeszeniu programów bez oglądania się na koszt i sens swojej zabawy, może mu przysporzyć kłopotów. Zaraz jednak zapomniał o tym, spojrzawszy na ustawioną na stole w korytarzu końcówkę interkomu wozu. Przez chwilę zajęty był tylko układaniem życzeń pod adresem swojej Osoby Zwierzchniej, Chantalla Dacous.

Azufahan nigdy nie pałał do Chantalla szczególną sympatią. Uważał, że z białą rasą musi już być naprawdę fatalnie, skoro desygnowała na kierownicze stanowisko taką rozlazłą kluchę. Najprawdopodobniej zresztą miała to być ostatnia biała Osoba Zwierzchnia w tym wydziale marsylskiej prefektury. W ciągu ostatnich trzech lat struktura ludności zmieniła się bardzo na korzyść rodaków Azufahana i Islamski Samorząd już zażądał od rady municypalnej uaktualnienia klucza personalnego, według którego obsadzano stanowiska.

Tym razem jednak, niezależnie od wszystkiego, Mehmet miał bardzo konkretny powód, żeby przeklinać swojego zwierzchnika do siódmego pokolenia. Prowadzona przez Mehmeta operacja zaklasyfikowana została w Paryżu jako przeciwdziałanie zagrożeniu wolności obywatelskiej. Pozwalało to Azufahanowi korzystać z pomocy Sûreté, ale poddawało śledztwo bezpośredniemu nadzorowi Chantalla. Oznaczało to, że bez oficjalnego polecenia Osoby Zwierzchniej, potwierdzonego i zidentyfikowanego przez system danych, Mehmet, bezpośrednio kierujący akcją, nie mógł zrobić literalnie nic. Nie mógł, na przykład, formalnie aresztować zatrzymanych i odstawić ich na najbliższy posterunek. Nie mógł przedstawić im formalnych zarzutów, a co za tym idzie — przystąpić do przesłuchania.

Tymczasem ta cholerna bryła sadła nie raczyła się od rana odezwać. Być może szanowna osoba w ogóle jeszcze nie dotarła do prefektury i odsypia nocne szaleństwo... Nie, przecież wczoraj siedział razem z nimi w centrali operacyjnej systemu danych. Zdobył się na takie niesłychane poświęcenie. Musiał, operatorzy wykryli, że coś im się wcina w system, ale w świetle prawa nie mogli nic zrobić bez jego obecności. No, więc odsypiał pracę. Albo nie miał chęci reagować na wściekłe przypomnienia, zostawiane przez Azufahana na bazie danych jego sekretariatu.

Dokładnie w chwili, gdy Mehmet miał już się odwrócić i zająć czymś innym, interkom zabuczał

nagle sygnałem przywołania. Azufahan wręcz rzucił się na aparat.

To, co miała mu do oznajmienia Jacqueline, kierownik sekretariatu Chantalla, wprawiło go w kompletne zdumienie.

— Co to znaczy „zaniechać”?! — krzyknął wreszcie. — Czy pani w ogóle zdaje sobie sprawę...

Jacqueline wzruszyła tylko ramionami i przerwała połączenie.

Przez długą chwilę Mehmet nie mógł opanować wściekłości. Czy ten idiota zupełnie oszalał?! Odstawić zatrzymanych do jego osobistej dyspozycji, zaniechać czynności śledczych... I, jak gdyby chodziło o jakiś zupełny drobiazg, przekazuje tę wiadomość przez sekretariat, bo jest zbyt zajęty, żeby zaszczyścić Azufahana chwilą rozmowy?

W co on grał?

Z pokoju wyjrzał jeden z członków specgrupy, zmuszonej od godziny do nudnego pilnowania zatrzymanych.

— Wezwij więźniarkę — rzucił do niego Mehmet, opanowawszy się nieco — Muszę odkonwojować prawiczków do prefektury.

Nie było to całą prawdą. Musiał, przede wszystkim, spotkać się z Chantalliem i wydobyć od niego parę wyjaśnień.

Chantall istotnie był zbyt zajęty, żeby zareagować na informacje Azufahana. Z początku nawet o tym pamiętał, jeszcze wysiadając w podziemnym garażu prefektury, układał sobie w myślach rozmowę z Mehmetem. Krótką i zwięzłą, aby podwładny nie wyczytał z niej śladów dziwnej słabości, która tego dnia ogarnęła Chantalla.

Kiedy jednak znalazł się w swoim gabinecie, zapomniał zupełnie o wyznawcach samozwańczego biskupa i o — jak ustalili poprzedniego wieczora — maskującej ich działalność firmie „France–Britt UKC”, buszującej po systemie danych prefektury. Jego uwagę przykuł niepodzielnie jeden z ostatnich punktów, zapisanych w rozkładzie dnia. Na ciemnozielonym ekranie notesu lśniło wypisane drobnymi literami: kardynał Teasar, przyjąć w wolnej chwili.

Poczuł nagle irracjonalną pewność, że Teasar jest TYM CZŁOWIEKIEM.

Co to znaczyło — być TYM CZŁOWIEKIEM? Nie wiedział. Człowiekiem, który mógł mu pomóc. Który miał mu pomóc.

Chyba.

W każdym razie rozmowa z kardynałem wydała mu się nagle szalenie ważna.

— Tak, oczywiście... — Jacqueline sprawiała wrażenie zdumionej — On czeka, prefekcie. Ale... Właśnie kontaktował się kapitan Azufahan...

— Przyślij do mnie Teasara — musiał przez moment przypominać sobie, jak zazwyczaj się do niej zwracał. — *Chérie*.

Uśmiechnął się przy tym do interkomu — właściwie to jego twarz uśmiechnęła się sama. Z Jacqueline, smukłą Libanką o ostrych, semickich rysach, przespał się kiedyś parę razy bez większego entuzjazmu; z jej strony zresztą także go nie było. Wpadało po tym od czasu do czasu cmoknąć Kierownika Sekretariatu w policzek i udawać, że się jest zainteresowanym jej względami. Na szczęście Jacqueline nie była nachalna.

Skinęła głową i zniknęła z interkomu. Chantall, ogarnięty nagle niewytłumaczalnym podnieceniem, wstał z biurka i zaczął przechadzać się po gabinecie.

Przez chwilę zdawało mu się, że powraca do niego wizja ze snu. Gdzieś na granicy postrzegania. Mdląca woń palonych ziół, zapach rozgrzanego wosku, pogłos sandałów na kamiennych posadzkach,

pełgający blask świec...

— Kardynał Teasar.

Wizja zniknęła natychmiast, jeśli w ogóle istniała. Odwrócił się W drzwiach stał siwy, nobliwie wyglądający starzec w jasnym, rozpiętym pod szyją garniturze.

— Dlaczego pan się tak ubrał? — zapytał nieoczekiwanie dla samego siebie Chantall.

Na dobrą sprawę — rozumował Mehmet — postępowanie Chantalla dawało się rozumieć tylko w jeden sposób. Człowiek, którego udało się Mehmetowi zatrzymać w biurówcu, był dla prefektury zbyt cennym łupem, aby pozwolono Azufahanowi prowadzić sprawę według normalnych procedur. Rozumiał to, ale z drugiej strony, nie miał zamiaru dopuścić, by całą zasługę wziął na siebie Dacous.

Chociaż zasługa i tak z urzędu należała do tej kluchy, jako formalnie prowadzącego śledztwo. Można było jedynie zadbać o należyte uwypuklenie swojego udziału w sprawie.

Azufahan cały czas pamiętał, że następny zwierzchnik — następna Osoba Zwierzchnia, poprawił się w myślach — od przestępstw przeciwko tolerancji religijnej nie będzie już białym.

Dlatego postanowił odkonwojować swój łup osobiście. Prawiczek nie wydawał się przerażony jazdą opancerzonym furgonem — zastygł nieruchomo, z twarzą ukrytą w dłoniach, w takim skupieniu, że trudno się było Mehmetowi zorientować, czy miała to być modlitwa, czy próba eksterioryzacji.

Przez kilkanaście minut, zanim Mehmeta nie znudziło przyglądanie się, zatrzymany nawet nie drgnął. Niewiarygodne, w jaki sposób był do tego zdolny. Ani też, dodał po chwili w myślach, jak potrafił wytrzymać przy takim skwarze w swoim idiotycznym, czarnym stroju, zapinanym na mnóstwo drobniutkich guzików. Legalni prawiczkowie od dawna już tego nie nosili.

Zresztą, ten wysuszony postami mężczyzna o twarzy i oczach szaleńca w świetle prawa nawet nie był już księdzem. Kardynał Teasar ekskomunikował go przed siedmioma laty za szerzenie nienawiści na tle wyznaniowym i niepodporządkowanie się zarządzeniom episkopatu Francji. Ale ekskomunikowany okazał się człowiekiem nieustępliwym. Po prostu — ekskomunikował kardynała i cały episkopat. I nadal robił swoje.

Robił swoje, to znaczy judził przeciwko podstawowym prawom człowieka i ustrojowym zasadom tolerancji, szerzył wyznaniową nienawiść i ciemnotę. Ściągał do siebie innych fanatyków. Znajdował ich nawet wielu. Coraz więcej. Wydawało się to niepojęte — oficjalny kościół, choć w jakimś tam stopniu starał się podążać za duchem czasu, był dla ludzi zbyt konserwatywny. Ginał śmiercią naturalną, stawał się pośmiewiskiem. Tymczasem ten szalony fanatyk, kultywujący średniowieczne obrzędy, bredzący o piekle i zabraniający właściwie wszystkiego, począwszy od seksu, skończywszy na jedzeniu mięsa — zbierał coraz większe tłumy.

W dodatku był niezwykle sprytny. Wykorzystywał zrećnie na swoją korzyść prawo o tolerancji wyznaniowej. Jego wyznawców wylapywano czasem za konkretne przestępstwa, ale zwierzchnikowi sekty niewiele można było zrobić. Z początku zresztą prefektura pokpiła sprawę, uznano, że samowładny biskup przepadnie sam. Potem liczba jego zwolenników wzrosła, sekta zdobyła wpływy... Nie chciało się wierzyć, ale pojawiali się w niej ludzie młodzi, wykształceni, atrakcyjne kobiety...

Trzeba było, krótko mówiąc, wreszcie coś na tego uprzykrzonego człowieka znaleźć.

I oto właśnie Mehmetowi udało się go osaczyć w grupie winnych poważnego przestępstwa komputerowego! Mehmetowi, formalnie działającemu pod kontrolą Chantalla Dacous, który — jak widać — też postanowił wyciągnąć z tego dla siebie możliwie najwięcej korzyści.



Nie pamiętał tylko o jednym; że to Azufahan sprawuje nadal bezpośrednią kontrolę nad akcją, i chociaż aresztowanie należy do prefektury, w innych sprawach — na przykład istoty naruszenia systemu danych Biura Ochrony Praw Człowieka — ma prawo zwracać się bezpośrednio do Súreté.

Kardynał Teasar spodziewał się ciężkiego dnia, odkąd tylko dowiedział się, że Chantall Dacous wzywa go na rozmowę do prefektury. Nie żeby nie lubił Chantalla, przeciwnie, naprawdę się cieszył, że to stanowisko przypadło komuś takiemu jak on. Zwierzchnik wydziału swobód religijnych mógł, gdyby chciał, naprawdę ciężko uprzykrzyć kardynałowi życie. Gdyby chciał.

Chantall, grubawy, nieco niezgrabny i o nalanej twarzy nie tyle może nie chciał, co nie chciało mu się. Teasar zdążył go poznać jako człowieka niezbyt przejętego swymi obowiązkami, o zawsze jakby nieco znudzonej twarzy i rozleniwionym spojrzeniu, w którym dawało się wyczytać przede wszystkim „a dajcie wy mi wszyscy święty spokój”. Właśnie to rozleniwienie czyniło Chantalla w gruncie rzeczy dobrym. Kardynał wolał nie wyobrazać sobie, jak wyglądałyby jego stosunki z konkurującą do tego samego stanowiska Vanellie Auroud, wściekłą feministką usuniętą z Paryża za jakieś podpadnięcie ministrowi. Z punktu widzenia prefektury, jako kandydatka była Chantalla na głowę pod każdym względem. Bogu dzięki, że kierownicze stanowiska prefektury były już w przewidzianym procencie obsadzone kobietami, i nominacja przypaść musiała mężczyźnie. Klucz personalny, wprowadzony w urzędach państwowych pod naciskiem feministek, raz przynajmniej zadziałał przeciwko nim.

Mimo wszystko, Chantall miewał dni, kiedy stawał się nieprzyjemny. I Teasar miał wszelkie powody spodziewać się, że oto właśnie jeden z takich dni nadszedł.

Tym bardziej, że domyślał się przyczyny tak nagłego wezwania. Dostał tę informację jeszcze wczoraj, za pośrednictwem spowiednika, od jednego z cichych katolików w prefekturze Biuro Ochrony Praw Człowieka wpadło na trop jakiegoś grubszego przewinienia schizmatyków Leserve'a i szykowało się do zdecydowanej akcji przeciwko nim. Każde takie zdarzenie natychmiast odbijało się na Kościele mimo, iż nie mógł on formalnie odpowiadać za poczynania oderwanej od niego sekty. Było to ironią losu; właśnie przemożna chęć niezadrażniania stosunków z władzami zadecydowała przecież przed kilku laty o naciskach całej francuskiej hierarchii na ówczesnego papieża, by usunął Leserve'a z kościoła.

Na wszelki wypadek Teasar przyszedł do prefektury rano, zabierając ze sobą — by nie tracić czasu — sekretarza. Ten ostatni nie zdążył się jednak przepracować. Już w połowie dyktowania drugiego listu odezwał się w poczekalni wzywający go głos sekretarki. Zdecydowanie za wcześnie. Zazwyczaj Teasar czekał do południa, nawet dłużej.

Kardynał powstrzymał próbującego pójść za nim sekretarza i, pełen najgorszych przeczuć, ruszył w stronę gabinetu Chantalla.

Szybko okazało się, że jego najgorsze przeczucia i tak były przesadnie optymistyczne. Jedno spojrzenie Chantalla wystarczyło kardynałowi, by przekonać się, że zwierzchnik wydziału jest tego dnia wyjątkowo wściekły. Jego twarz wydawała się ściągnięta, wylupiaste oczy spoglądały z niezwykłą srogością. Chodził nerwowo po gabinecie, długimi krokami.

Słowem, zachowywał się w sposób zupełnie do niego niepodobny. Zmierzył Teasara spojrzeniem, od którego przeszły go ciarki, i ni stąd, ni zowąd, wypalił.”

— Dlaczego pan się tak ubrał?

W pierwszej chwili kardynał nie zrozumiał w ogóle, o co mu mogło chodzić.

— Jest pan przecież kardynałem. Dostojnikiem kościoła. Czy to jest stosowny do tej godności strój?

Zapadło długie, niezręczne milczenie. Teasar nadal nie bardzo rozumiał, co się dzieje. Wiedział jedno — że Chantall najwyraźniej zastawia na niego jakąś pułapkę.

— Prawda, nie należy ludzi drażnić. Kościół ubogi, czyż nie tak?

— Chrystus był ubogi — odezwał się ostrożnie Teasar. Chantall znowu zrobił kilka długich, szybkich kroków po gabinecie.

— I dlatego wzgardził pan kardynalską purpurą? Skoro chciał pan tak dokładnie naśladować ubóstwo Chrystusa, powinien pan raczej zostać pustelnikiem, a nie kardynałem. Kardynał to książę kościoła. Odpowiada za instytucję, za narzędzie w ręku Pana. Za dochowanie wierności apostołskiej tradycji.

Teasar, speszony, z trudem wydobył z siebie głos.

— Już od dawna nie używa się w kościele katolickim tradycyjnych strojów. Czasy się zmieniły... Nikt już nie nosi sutanny ani infuły...

— Dlaczego? — powtórzył uporczywie Chantall.

Co to miało być? Egzamin z lojalności? Wstęp do jakichś decyzji? Chantall mógł wiele. Mógł cofnąć zezwolenia na użytkowanie miejsc kultu, zmienić klasyfikacje podatkowe, zarządzić weryfikację..

— Pokora — oznajmił kardynał zmęczonym głosem. — Czasy się zmieniły, epoki totalizmu i fundamentalizmu minęły. Nikomu nie wolno narzucać swych poglądów, a klucie niewierzących w oczy naszymi rytuałami mogłoby być w ten sposób odbierane, obrażałoby uczucia religijne innych. Dzisiejszy kościół pragnie być pocieszycielem i duchowym oparciem, krzewić czystą ideę Chrystusa, ideę miłości bliźniego...

— Boga i bliźniego — poprawił Chantall.

— Boga... — o mały włos dałby się złapać. — Czy istnieje Bóg, to kwestia wiary.

Chantall podniósł na moment wzrok. Mrużył oczy, jakby starał się coś zrozumieć, i przez chwilę kardynałowi wydawało się, że jego pierwsze wrażenie — wściekłości — było mylne; że zwierzchnik wydziału raczej chce się czegoś dowiedzieć. Ale zaraz potem Dacous nagle znowu odezwał się tym zgrzytliwym, napastliwym tonem:

— Ale pan chyba w niego wierzy?

— Naturalnie... w swoim sumieniu, oczywiście. Nie można jednak... nie można dyskryminować nikogo, komu jego światło rozumu wskazało inną drogę...

— Więc wiara mahometan jest równie dobra i równie prawdziwa jak chrześcijańska?

— Wszystkie religie...

— Przecież to absurd! Skoro tak pan uważa, pan, kardynał, to dlaczego nie jest pan mahometaninem?!

Teasar nabrał głęboko powietrza, ale Dacous uprzedził go, pokazując nagle zdobiący ścianę herb republiki. Wzrok kardynała prześliznął się po okalających herbową tarczę wstęgach ze złotymi napisami w alfabetach łacińskim i arabskim: *liberté, egalité, fraternité* oraz *La illach l'Allah, Mohamed rasul Allah*.

— Nie będę się wypowiadał na tematy polityczne — odrzekł kardynał. — Zresztą wie pan doskonale, że przepisy mi tego zabraniają. Prawa mniejszości należą do kompetencji władz. A co do ostatniego pytania, mogę odpowiedzieć tak: wierzę w miłość bliźniego. Ona jest esencją

chrześcijaństwa, ją będziemy głosić. Ale nie odstępimy nigdy od podstawowych zasad. Zwłaszcza od zasady tolerancji.

— Dla grzechu? Czy kościół może być tolerancyjny wobec zła? Rozwiązłości, kłamstwa, nie wypełniania obowiązków wobec Boga i bliźnich? Jak może nazywać się kapłanem Chrystusa ten, który nie napomina grzesznika, nie uświadamia mu jego grzechu?

— Grzechu? Grzech jest sprawą sumienia...

— A czyją sprawą jest budzić sumienia? — Chantall nagle znowu stał się napastliwy — Czy pan jest jeszcze kapłanem?! Czy zwierzchność kościelna toleruje pańskie wypowiedzi?!

— Pan przecież wie, że Watykan stał się ostatnio siedliskiem ludzi bardzo konserwatywnych... Ja nie potępiam naszego papieża, to co robi jest zapewne konieczne dla Afryki i południowej Ameryki, tam gdzie ogólny poziom wiernych jest znacznie niższy. No, ale cóż, w pewnych sprawach, zwłaszcza w kwestii obyczajów, mamy naturalnie inne zdanie.

Chantall milczał. O dziwo, wciąż sprawiał wrażenie niezadowolonego z wypowiedzi kardynała.

— Mówienie o grzechu jest potrzebne dla prostych, niewykształconych wiernych. To do nich przemawia. Co do naszej sytuacji...

— ...to kto by przychodził słuchać jakichś historii o grzechach — dokończył Dacous. — Kapłan nie może mówić rzeczy ponurych, odstraszać słuchaczy od kościoła... — Nagle podszedł do Teasara i, z rozplomienionymi oczami, chwyciwszy go za ramiona, powiedział:

— Kapłan musi być przekonany do swej wiary, kapłan służy Bogu. Nie kaprysom ani zachceniom tłumu. *Dopóki niebo i ziemia nie przeminą, ani jedna jota, ani jedna kreska nie zmieni się w Prawie.* Święci męczennicy oddawali za wiarę życie. Czego wy się boicie? Czego? Gwizdów? Drwin?

Przez moment Teasar omal nie uległ tym słowom. W ostatniej chwili błysnęła mu w umyśle ostrzegawcza myśl. Chantall prowokował. Mówiąc o męczennikach prowokował bezczelnie. Kardynał wreszcie przejrzał jego grę — musiał mieć sygnały, że część niższego duchowieństwa zaczyna się ostatnimi czasy skłaniać do schizmy Leserve'a, okazując sekcje życzliwość i nawet konkretną pomoc. Wytrzymał przenikliwe spojrzenie Chantalla.

— Jesteśmy lojalni, prefekcie — odparł spokojnie, ledwie rejestrując fakt, że jego głos zabrzmiał jak głos bezbrzeżnie zmęczonego starca. — Całkowicie lojalni wobec republiki.

Dacous puścił go i równie gwałtownie; jak przed chwilą się zbliżył, odsunął się w kierunku szerokiego biurka. Po raz pierwszy od początku tej rozmowy usiadł w fotelu, kryjąc na chwilę twarz w dłoniach.

— Nie jesteś tym człowiekiem — oznajmił.

Kardynał wolał na wszelki wypadek milczeć. Zresztą Chantall nagle jakby stracił zainteresowanie jego osobą. Nie wyglądał teraz na wściekłego Nie wyglądał też, jak gdyby chciał się czegokolwiek dowiedzieć.

Szczerze mówiąc, sprawiał po prostu wrażenie szaleńca.

— Inkwizycja... — wyszeptał Chantall ledwie dosłyszał—nie, a potem podniósł głowę, wyraźnie szykując się do zadania Teasarowi jakiegoś pytania. Otwierał już usta. Dla kardynała ta chwila trwała całe godziny. Czuł, że za chwilę padnie oskarżenie, oskarżenie nawet bez prawa do obrony — i spoglądając na otwierające się usta wiceprefekta modlił się w duchu, by coś się stało, coś, co go powstrzyma.

Ale Chantall powtórzył tylko „nie jesteś tym człowiekiem” i straciwszy nagle wszelkie

zainteresowanie Teasarem pochylił się gwałtownie nad interkomem.

— Połącz mnie z Azufahanem... *cherie*. Nie, poczekaj. Przekaż mu, żeby wstrzymał czynności śledcze i odesłał mi głównego zatrzymanego. Ze względu na wagę sprawy, chcę go przesłuchać osobiście.

Kardynał nie próbował słuchać Powoli, niepewnie zaczął się wycofywać z gabinetu. W miarę, jak zbliżał się do drzwi i nie rozlegało się za nim żadne „dokąd?” ani „jeszcze nie skończyliśmy”, przyspieszał kroku.

Gdy wreszcie znalazł się za drzwiami, musiał oprzeć się drżącą ręką o ścianę i chwilę poczekać, aż mu wróca siły.

Nigdy nie miał uzyskać pewności, czy Chantall za wszelką cenę starał się go sprowokować, czy po prostu oszalał.

Jacqueline, nachylona nad interkomem, obrzuciła opuszczającego gabinet kardynała ukradkowym spojrzeniem. W pierwszej chwili miała ochotę podbiec i podtrzymać go — z trudem zdołała tę chęć ukryć. Jak gdyby nigdy nic dokończyła rozmowę z Chantallem i zaczęła wybierać kod terminalu używanego przez Azufahana, cały czas obserwując ostrożnie opartego o ścianę duchownego.

Nawet biorąc poprawkę na podeszły wiek kardynała, musiało się stać coś niezwykłego. Nigdy jeszcze nikt tak nie wyglądał po rozmowie z Chantallem. Dacous nie był tym typem człowieka, wiedziała to doskonale.

To nie znaczy, że nie umiał być świnią albo draniem, broń Boże. Ale kiedy robił jakieś łajdactwo, to zawsze za plecami i po cichu. Po prostu fizycznie nie był w stanie walnąć pięścią w stół ani rozedrzeć się na kogoś. Nie był w stanie niszczyć człowieka, patrząc mu w oczy.

Przynajmniej tak dotąd sądziła.

Azufahan usiłował protestować, ale nie miała głowy ani zamiaru się z nim użerać. Wzruszyła tylko ramionami i rozłączyła linię, by móc podejść do opartego o ścianę starszego mężczyzny i zapytać, czy nie trzeba mu pomóc.

— Dziękuję pani bardzo... Nic mi nie jest, już stąd idę, już...

Do diabła, przecież wcale nie kazała mu wychodzić! Przez moment czuła w sobie straszliwą chęć, żeby ścisnąć go za rękę i pochyliwszy się, szepnąć do ucha, że jest po jego stronie, żeby się nie martwił, że w razie czego uprzedzi zawczasu...

Na litość boską, nie mogła tego zrobić! Zwłaszcza tutaj, w tym nafaszerowanym elektroniką sekretariacie. Osoby Zwierzchniej. Zostawiła kardynała i otworzywszy drzwi do poczekalni skinęła na siedzącego tam sekretarza. Tyle nie powinno wzbudzać żadnych podejrzeń — zwykła kobieca opiekuńczość. Ale na wszelki wypadek, kiedy po chwili sekretarz wyprowadzał swego pracodawcę, trzymając go pod ramię, starała się nie patrzeć za nimi.

Usiadła przy pulpicie w oczekiwaniu na kolejne wezwanie Chantalla. Ponieważ się nie odzywał, wydobyła z bazy danych najnowsze meldunki, te, które dotarły do niej dopiero w ostatnich godzinach i nie zostały jeszcze nigdzie przetransmitowane. Na razie jednak nie przeglądała ich. Wyświetlone na ekranie, miały w razie czego sprawiać wrażenie, że Jacqueline jest niezwykle zajęta. W rzeczywistości była jedynie zamyślona. Jacqueline często się tak zamyślała, wpatrzona w sprawozdania i katalogi sekretariatu. W zasadzie nic innego jej, poza rozmyślaniami, nie pozostawało. Miała trzydzieści dwa lata, ale nie to było jej problemem — nie widziała jeszcze po swoim cedrowozłocistym ciele wpływu lat. Była samotna, ale to także nie stanowiło problemu —

mając trzydzieści dwa lata i wciąż nienaganną figurę nie pragnęła już jakichkolwiek związków z mężczyznami ani kobietami. Parę razy obsłużyła na wszelki wypadek Chantalla, dopiero poniewczasie stwierdzając, że nie było to potrzebne. Gdyby chciał się jej pozbyć, tych paru razy nie uznałby za zobowiązujące do czegokolwiek — chyba nigdy jeszcze nikt nie zabierał się do niej z taką męczenniczą desperacją. Nie miała wątpliwości, że dziwkarska sława Chantalla miała osłaniać jego faktyczny homoseksualizm. Ten ostatni nie był oczywiście jakoś źle przyjmowany, ale pedały stanowili wszędzie zwarte, występujące jednogłośnie *lobbies* — a Chantall widocznie chciał robić karierę poza tym układem.

Jacqueline nie zrobiła kariery — ale i ta sprawa nie martwiła jej. Osiągnęła już wszystko, co chciała. Kosztem kilku lat pilnej pracy, od czasu do czasu wspomaganej ruchami łędźwi, wkręciła się do państwowego biura na funkcję na tyle nieznaczącą, że nikogo nie kusiło pod nią ryć. Prefekci i kierownicy wydziałów mogą się zmieniać bardzo często, ale nie sekretarki. Miała więc stałe zajęcie, dające jej miejsce w życiu i dość czasu na rozmyślania.

W wieku trzydziestu dwóch lat Jacqueline miała wszystkiego serdecznie dosyć. Czowała się pusta, wydrażona w środku i zarazem splugawiona, zgwałcona raz na zawsze wszczepionym w jej układ nerwowy paskudztwem. Jakby ten świat, w którym przyszło żyć, napluł jej głęboko w duszę i nie dawało się już tego wyczyścić.

To była cena za przeżycie — ten wszczep. W kilka miesięcy po tym, jak handlarze wywieźli ją z Bejrutu, wszyscy, których znała, zginęli. Jej rodzice i rodzeństwo także.

Nie miała do nich żalu, że ją sprzedali. Bejrut należał do wolnego świata i oczywiście każdy mógł go opuścić, jeżeli tylko miał dokąd jechać. Jej rodzina nie miała. Jedynym, na co mogła liczyć, była egzotyczna dla Europejczyków uroda córki. Po kilku latach pracy w pornobiznesie miała zarobić dość, żeby ściągnąć pozostałych.

Nic z tego nie wyszło. Do Bejrutu weszli Syryjczycy, pod opieką których mahometanie spokojnie, przez nikogo nie niepokojeni, wyrznęli chrześcijan do ostatniego. Rodzina Jacqueline miała to nieszczęście, że byli maronitami.

Nie wiedziała, co się z nimi stało. Europa nie spisywała zbrodni, na które sama pozwoliła. A na tę pozwoliła, by w zamian pchnąć jednych Arabów przeciwko innym Arabom.

Kontrakt, podpisany za niepełnoletnią córkę przez rodziców, okalał się być niejednoznaczny. Wystarczył jeden kaprys urzędnika imigracyjnego, by wróciła do Bejrutu i dołączyła do najbliższych. Wystarczyło, by przestała spełniać stawiane przez firmę wymagania.

Nie mogła mieć pretensji do firmy. Umiałaby zniechęcić człowieka, który za nią odpowiadał, ale nikt nawet nie wiedział, do kogo właściwie firma należała — trochę do tego, trochę do tamtego, trochę do paru innych firm, w których z kolei sama miała udziały. Firma zresztą do niczego jej nie zmuszała, przestrzegała ściśle prawa. Po prostu takie było prawo. Czy można mieć pretensje do wydanego nie wiadomo już nawet przez kogo przepisu?

Wszczep był zgodny z prawem, zresztą kontrakt stanowił jej zgodę na ten zabieg. Lalka na sznurku — neuroprocesorowy afrodyzjak. Uwaga, mała, czas być namiętną — naciskamy guzik. Będiesz nie do zdarcia, bezkonkurencyjna.

Więc była.

Nie było sensu tego wspominać. Minęło. Miała teraz obywatelstwo, pracę i święty spokój.

Nie miała tylko niczego, co by nadawało jej życiu sens. Nawet religii. Po tym wszystkim, co przeżyła w dzieciństwie, nie potrafiła pokochać Allacha, a prawo o samorządach mniejszości nie

pozostawiało jej wyboru wyznania.

Przeżuta i wypluta przez najlepszy ze światów, któremu powinna być wdzięczna, że w ogóle ją zechciał, wiedząca wszystko o seksie i niczego o miłości, pusta w środku...

Jakież to banalne — pomyślała po raz nie wiadomo który, wpatrzona niewidzącym wzrokiem w szeregi znaków na ekranie.

— Kapitan Mehmet Azufahan z zatrzymanym, zgodnie z poleceniem — oznajmił, kiedy po przemierzeniu labiryntu korytarzy i sztolni wind stanęli wreszcie przed drzwiami biura Osoby Zwierzchniej wydziału.

Przez długą chwilę nie działo się nic. Wreszcie sekretarka najwyraźniej raczyła zwrócić na nich uwagę; rybie oko kamery poruszyło się nieznacznie w srebrnej okładzinie futryny, szczęknęły rygle. Drzwi rozsunęły się, odsłaniając kilkumetrowy korytarz, pełen ukrytych w ścianach i podłodze czujników. Lekko popchnął przed sobą zatrzymanego i wszedł za nim.

Obwody osobiste, wtopione w służbowy strój Mehmeta, ożyły, pobudzając cichy świergot kasety przy wejściu. System sprawdził ich obu, zidentyfikował swojego pracownika i zweryfikował dane w kartotece Biura. Jeszcze raz szczęknęły rygle i otworzyły się drugie drzwi, u wylotu korytarza.

Przeszli przez poczekalnię do sekretariatu, gdzie na wprost wejścia strzegła wstępu do gabinetu Osoby Zwierzchniej ciemnowłosa dziewczyna. Przez chwilę przypatrywała się nieruchomo sponad terminalu — nie był w stanie powiedzieć, jemu, czy zatrzymanemu.

— Pierre Leserve?

Nie brzmiało to jak pytanie. Chłodne, rzeczowe stwierdzenie faktu.

Jego kontakty z sekretarką Chantalla ograniczały się wyłącznie do spraw służbowych, ale to jedno zdążył już zapamiętać. Wyniosły, lodowaty chłód, jakim darzyła otoczenie. Jakby chciała każdemu powiedzieć: „nie dla takich jak ty”.

— Biskup Pierre Leserve — odpowiedział zatrzymany, chyba po raz pierwszy głośno. Jego głos drżał lekko. Wreszcie zaczął się bać. I słusznie.

Sekretarka pochyliła się nad interkomem, by po chwili podnieść się i wyjść z za swojego pulpitu.

— Proszę za mną — rzuciła do Leserve’a.

— Chwileczkę — zaprotestował Azufahan. — Chcę najpierw porozmawiać z prefektem.

— Prefekt wzywał tylko zatrzymanego, kapitanie. Ze względu na jego podeszły wiek i nikłe zagrożenie fizyczne zrezygnował z przewidzianych przepisami środków bezpieczeństwa.

— Chcę najpierw porozmawiać z prefektem — powtórzył z naciskiem, podchodząc.

Jacqueline wzruszyła tylko ramionami i wróciła do terminalu.

— Kapitan Azufahan prosi o rozmowę, prefekcie...

Nie czekał na odpowiedź. W końcu znał Chantalla od dawna. Po prostu otworzył drzwi i wszedł, prowadząc przed sobą Leserve’a. Chciał tylko rzucić parę zrozumiałych dla przełożonego aluzji, że nie da się tego zatrzymania uprawomocnić bez niego.

Dacous zmierzył go lodowato zimnym wzrokiem. To było po prostu niesamowite; nigdy w życiu nie widział u Chantalla takiego wzroku!

— Proszę się wynosić — oznajmił nie znoszącym sprzeciwu tonem.

— Chciałem tylko... — zaczął z rozpędu Mehmet, słysząc za plecami kroki nadbiegającej dziewczyny. Ale Chantall nagle rozdarł się na cały głos:

— Wyjść, kapitanie!!!

Jacqueline nigdy jeszcze nie słyszała, żeby Chantall na kogoś krzyknął. Zastygła tuż za Azufahanem, zszokowana; zarazem nie potrafiła ukryć satysfakcji, że prefekt zgasił tego bezczelnego Beduina. Kapitan najwyraźniej zgłupiał. Wymamrotał „tak jest” i wycofał się tyłem, omal nie rozdeptując przy tym dziewczyny.

Na szczęście w porę odsunęła się na bok. Zmierzywszy Azufahana złym wzrokiem, odwróciła się raz jeszcze i powolnym ruchem, by nie trzaskać, zamknęła drzwi gabinetu.

— Witaj, ojcie Bernardzie — dobiegło ją przez wąziutką szczelinę w ostatniej chwili, zanim pokryte drewnem odrzwia zetknęły się, uruchamiając pole wytlumiające.

Witaj, ojcie Bernardzie? — powtórzyła w myślach, wracając na swoje miejsce.

Te słowa wypowiedział drżący ze wzruszenia głos biskupa Leserve’a.

— Witaj, ojcie Bernardzie — wypowiedział słowa hasła. Słowa, na których możliwość wypowiedzenia czekał sześć długich lat. I zanim jeszcze je wyrzekł, był już pewien. Już wiedział, że nie czekał nadaremnie. Człowiek, siedzący naprzeciwko niego, przymrużył oczy. Po jego twarzy przemknął jakiś cień, jakby skurcz bólu...

— *Laudetur Iesus Christus...*

Stary, ekskomunikowany biskup poczuł nagle, jak długo tłumione łkanie wzbiera mu w piersi i rozlewa się niepowstrzymaną falą. Świat zamglił się przed oczami, w piersiach zabrakło na chwilę tchu. Chciał podejść do ojca Bernarda, ucałować jego dłoń, ale nagle zakręciło mu się w głowie i musiał osunąć się na stojące w pobliżu krzesło.

Ojcie Bernardzie... Wszystko wskoczyło na swoje miejsca. Zapach kadzideł i rozgrzanego wosku, rozchybotane płomienie świec, pogłos sandałów na kamiennych posadzkach katedry. To Tuluza, z której wypędzono Katarów. Rok pański 1322. Ocalała w ruinach katedra i dziękczynne modły...

Już nie ma Tuluzy, nie ma Prowansji... Pozostał ten dziwny, pogański kraj na gruzach dawnej Europy.

Ojciec Bernard Gui, wielki inkwizytor Tuluzy ukrył twarz w dłoniach.

— Przywołałeś mnie — odezwał się wreszcie Bernard po długich, długich latach, po całych wiekach znieruchomiałego milczenia. Po wiekach, w czasie których rwały się granice i wymierały dynastie, rewolucje zmiatały trony, rządy i tyranie, zastępując je innymi, a miecze wyrastały w termonuklearne rakiety.

Leserve jeszcze nie potrafił wydobyć z siebie głosu. Potrząsnął tylko głową, przełykając gorące łzy.

— Przed chwilą byłem w Tuluzie, kończyłem pisać mój podręcznik... Znasz mój podręcznik? Tak, prawda, wiem... To dzięki niemu przywołałeś mnie do swojego czasu. Który to rok? Dwa tysiące szósty? Siedem wieków... Niezbadane są wyroki pańskie...

— To całkiem inna Europa, ojcie. Pogańska Europa. Nie ma w niej Boga, nie ma prawa, nie ma obyczaju.

— Pamiętam, bracie — odrzekł łagodnie Bernard. — Pamiętam wszystko, co wiedział ten człowiek... Chantall Dacous. I to, co znalazło się w programie przywołania.

Wielki Inkwizytor westchnął głęboko i w zadumie odchylił głowę na oparcie fotela.

— Pogański świat, jak ten, po którym pozostały jeszcze w moich czasach resztki dróg i ruiny akweduktów. Cieleśność i użycie, a potem choćby i piekło miało pochłonąć. Wiedza bez wiary.

— Wszystko się zmieniło, ojciec — powtórzył, wciąż jeszcze drżącym głosem, biskup Leserve.

— Więc chcesz sądu?

— Tak, chcę sądu. Także i nad sobą. Poddam się twojemu wyrokowi, ojciec.

— Oskarżaj.

— Złamałem śluby. Wymówiłem posłuszeństwo biskupom i Ojcu Świętemu. A co więcej, ojciec, nie żałuję tego. Gdybym nawet miał dziś szansę powrotu na łono kościoła, za cenę odwołania swych kazań — nie zrobiłbym tego.

— Kim jesteś, że tak mówisz? Twoja kapłańska władza i mądrość była władzą i mądrością kościoła. Kim pozostajesz, tracąc z nim łączność? Liściem na wietrze... Schizmy nie da się oddzielić od herezji. A skąd bierze się herezja?

— Z zadufania — odpowiedział pokornie biskup.

— Z zadufania — powtórzył Bernard. — Człowiek wbija się w pychę i zaczyna uważać, że on jeden posiadał prawdę. Że wieki zbiorowego wysiłku ojców kościoła to nic, że wszyscy, począwszy od świętych apostołów, błędzili, a tylko on jedyny dostąpił boskiego objawienia. Czy ty, bracie, uważasz się za wybranego? Czy sądzisz, że jako jedyny otrzymałeś i przechowujesz *depositum fidei*?

Starzec milczał przez długą chwilę, z trudem zbierając siły, by słowo to zabrzmiało z odpowiednią mocą.

— Tak, ojciec.

— Dość tego, kapitanie — zirytowała się Jacqueline. — Proszę wrócić do poczekalni, albo...

Miał na końcu języka prowokacyjne „albo co?”, ale powstrzymał się i zmusił do uprzejmego, wręcz pokornego tonu, chociaż miał ochotę chwycić dziewczynę za łeb i wybić nią dziurę w drzwiach, a potem wpaść do gabinetu i nakłaść Chantallowi po mordzie.

— Bardzo proszę... Chciałbym skorzystać z pani terminalu.

Zamilkła na moment. Wahała się.

— Mam do tego prawo — dodał. — Jeśli uznać, że stanowią eskortę aresztanta, który podlega obecnie przesłuchaniu, nie mogę jako taki oddalać się poza sektor.

— Tak — przyznała niechętnie po chwili zastanowienia. — Ma pan do tego prawo.

Obróciła się na fotelu i sięgnęła po dodatkową końcówkę interkomu. Podłączyła ją do pulpitu i pełnym dystynkcji ruchem postawiła przed Mehmetem na górnej pokrywie jednego z odgradzających ją od świata monitorów.

— Terminal wozu mojej specgrupy. Nie pamiętam dzisiejszego kodu.

Skinęła milcząco głową.

Mehmet stanął przed mikrokamerą interkomu, opierając się dłonią o monitor. Miał ochotę kogoś zabić. Czekał, aż skończą się procedury szyfrowe i identyfikacyjne.

— Azufahan. Zawołać Le Corve'a No to niech przerwie. — Milczenie. — Na razie czekajcie, decyzje podejmie wiceprefekt po przesłuchaniu głównego podejrzanego. No, gdzie ten Le Corve?

Znowu milczenie i obraz pustej ściany w pomieszczeniach „France-Britt UKC”. Zerknął spod oka na Jacqueline. Wyglądała, jakby w ogóle nie przyjmowała jego istnienia do wiadomości.

Wyglądała też, z tym swoim chłodem w ułożeniu ust i w spojrzeniu, cholernie wyzywająco.



— Tak, panie kapitanie? — odezwał się Le Corve. Mehmet nabrał głęboko powietrza... i nagle uświadomił sobie, że to, co chciał polecić Le Corve'owi, zabrzmiało jak więcej niż niesubordynacja.

— No i co, znaleźliście coś? — zapytał, by zyskać na czasie.

— Kościół zbłądził. Ugiął się przed wolą tyrana. — Leserve mówił powoli, z namysłem dobierając słowa swej obrony. — Nie wolno mu było ustąpić, choćby groziły prześladowania, choćby nawet tyran zagroził fizyczną zagładą Ciała Chrystusa. Należało ufać Bogu i nie odstępować dla chwilowego kaprysu władcy. Kościołowi zabrakło wiary

— Kim był tyran? I czym groził?

— Przyszło mi żyć w czasach tyranii najgorszej z możliwych. Dawni dyktatorzy prędzej czy później umierali. Obecny — zginie dopiero razem z nami. Tłum, ojcze. Tłuszcza. Motłoch. To on rządzi dzisiaj światem. On pragnie rozstrzygać, co jest dobre, a co złe. Co moralne, a co niemoralne. Co wolno, a czego nie wolno. Tłum... To szatańska sprawa, podpowiedzieć ludziom, że oni są władni rozstrzygać o prawach. — Biskup westchnął głęboko i boleśnie. — A tłum jest tym wszystkim, co w nas najgorsze. Wiara, by istnieć, musi kazać wspinać się wciąż pod górę. Musi być jak wędzidło i ostrogi, zmuszać do wysiłku, do wyrzeczenia, by człowiek mógł się doskonalić. Dziecko pozostawione same sobie nie podejmie nauki, dziecku nie wolno zostawiać decyzji co do swojego losu. Nawet jeśli płacze, bo czegoś nie dostało — musi mieć wychowawcę, który wie, że to, czego dziecko pragnie, w istocie obróciłoby się na jego szkodę. Jak wyglądałby świat dzieci pozostawionych samym sobie? A tak się stało w szatańskiej religii, jaką jest demokracja. Bo przecież w obliczu Boga wszyscy jesteśmy dziećmi. On wie, do czego zostaliśmy przeznaczeni, czego potrzebujemy. My tego nie znamy i nie mogliśmy pojąć. Czy wykładam rzecz jasno, ojcze?

— Mów dalej, bracie.

— Zatem, po innych tyraniach nastąpiła tyrania tłumu. Jeśli władza nie pochodzi od Boga, lecz od narodu, to sprawować ją będą ci, którzy najbardziej przypochlebią się tłuszczy. I tylko kilka lat, więc, tak samo jak i tłum, nie spojrzą dalej własnego nosa. Byle powiększyć poklask dla siebie, choćby za sto lat świat miał zginąć.

A jeśli kaprys tłumu stał się prawem, kto się odważy mu nakazać, by postępował wbrew sobie, wbrew bydlęcym instynktom człowieka? Przykazania, zamiast ich słuchać, zaczęto głosować. Zamiast jednego Boga, surowego, choć kochającego, pojawiły się miliony pogańskich bożków, uśmiechniętych, przymilających się o względy. Ludzie przestali szukać szczęścia, pogrzywszy się w przyjemnościach, przestali myśleć o duszy, zaczęli o ułatwianiu sobie życia, o uprzątnięciu z drogi wszelkich zakazów, uwolnieniu się od wszelkiej odpowiedzialności... Ojcze, uznałem, że nie może być prawowiernym chrześcijaninem, kto uzna demokrację za władną rozstrzygać o sprawach kościoła. Następca Piotra i jego biskupi pogodzili się z władzą tłumu. Odstąpili od Prawa, przerażeni pustkami w świątyniach i brakiem ofiar, zapragnęli przypodobać się motłochowi. Dlatego zламаłem ślub posłuszeństwa, ojcze Bernardzie.

— No, tak, coś niecoś znalazłem... — zaczął Le Corve. Mehmet od razu wyczuł w jego sposobie mówienia coś dziwnego. — To znaczy... Przede wszystkim, przegrzebałem im pamięć wewnętrzną. To znaczy, odtworzyłem proces programowania tego, z czym się tutaj ścigamy. Musiałem się podpiąć pod centralę Sûreté, ale za to prawie już zrekonstruowaliśmy...

— No i co tam jest takiego? — przerwał Mehmet, pomyślawszy, ile wpadnie na rachunek

prefektury marsylskiej za wykorzystywanie centrali obliczeniowej Súrété.

— Jakaś stara księga z czternastego wieku, coś w rodzaju podręcznika dla inkwizytora. Napisał to niejaki Bernard Gui. I bardzo ciekawy program do sporządzania charakterystyki osobowości. Odtwarzali tego inkwizytora. To znaczy, jestem pewien, że na podstawie tej księgi zrekonstruowali już jego zasadniczą osobowość, ale nie wiem, dlaczego ją wykasowali.

Miał wrażenie, że w którymś momencie twarz dziewczyny drgnęła.

— Czekajcie, Le Corve. Co z tymi programami, wpuszczonymi w nasz system?

Haker natychmiast stracił na elokwencji. Zaczął coś bąkać o problemach.

— Kurwa mać! Bawicie się, zamiast szukać tego, co ważne, tak?! — pytanie było czystą retoryką. Bez najmniejszej wątpliwości: wziął się, sukinsyn, za to, co go bardziej ciekawiło, zamiast za najważniejsze.

— Nie mogliśmy siedzieć we dwóch w jednym programie. Młody siedział nad tym wirusem, a ja...

Mehmet zaciął wargi.

— Dobra — wycedził. — Chcę wiedzieć, co on zwojował.

— No, trochę mamy — twarz Le Corve'a, gdy ponownie pokazał się na ekranie, wydawała się spokojniejsza. — Mamy kod osobisty, na który nastawione było to coś. Podać?

Popatrzył tylko na niego.

— A co do reszty... Młody twierdzi, że to ma zakodowaną jakąś dziwną sekwencję znaków. Jakby miało uruchomić pewien powtarzający się rytm. Niby, że wyczekiwało w systemie, aż zacznie w nim operować ta osoba, czepiało się jej i generowało w kółko tę serię impulsów.

— Dobra. Wracajcie do pracy, wkrótce tam będę. Delikatnie przytrzymał końcówkę, po którą już sięgała Jacqueline.

— Archiwum — rzucił. I po chwili dodał. — Proszę. Miała wrażenie, że ten Beduin kompletnie zwariował.

Oczy świeciły mu się jak jakiemuś szaleńcowi. Połączyła go z archiwum i wpisała podany kod.

## ZASTRZEŻENIE

— Na litość boską, niechże pani coś zrobi!

Rozłożyła bezradnie ręce.

— Na pewno pani może. Proszę. To ważne. Naprawdę ważne.

— Nie mam sposobu, żeby przekonać program archiwum. Przyglądał jej się przenikliwie.

— A prefekt? — zapytał nagle. — Niech pani wpisze jego kod.

Nie wiedziała, dlaczego mu uległa. Sięgnęła ku klawiaturze... I zastygła nieruchomo.

— To jest właśnie jego kod — powiedziała. Niepotrzebnie. Zupełnie bez sensu. W ogóle nie powinna łączyć go z archiwum.

Twarz oficera ściągnęła się. Jacqueline, choć nie wszystko zrozumiała z jego rozmowy, także poczuła nagły ucisk w gardle.

— Archiwum — zakomenderował. — Klucz „sekwencja”.

Wystukała to posłusznie. Lista haseł była długa. Przyglądał jej się w skupieniu, z coraz większą rezygnacją na twarzy.

— Rytm — zażądał jeszcze po długim milczeniu. Wpisała posłusznie: rytm.

Zauważyli to niemal jednocześnie: rytmy mózgu, stymulacja elektrohipnotyczna.

Wpatrzona w pojawiające się na ekranie informacje nawet nie zauważyła, kiedy Azufahan władował się za jej terminal.

— Skąd jestem pewien, że i ta tyrania upadnie? Ojczy, każdy system władzy ma swój zmierzch. Demokracja w czasach spokojnych wynosi na szczyty ludzi przeciętnych, którzy nikomu nie wadzą i niczego wielkiego nie przedsięwzięją. A w chwilach trwogi albo załamania — wielkich demagogów i szaleńców. Tak czy owak, sprzyja zawsze krótkowzroczności. Nie liczy się nic, co nastąpi po zakończeniu kadencji. Demokracja zawsze wybierze pozorną korzyść i chwilowy zysk, nawet kosztem przyszłej tragedii.

Islam nie zna demokracji. Wcisnął się już głęboko do Europy, wykształcił swoich naukowców i specjalistów na najlepszych uczelniach. Trzyma swoich wyznawców żelazną ręką — nie pozwala odstępować od obyczaju i przechodzić na stronę przeciwną.

Pięć lat temu rzucili na Europę tłumy terrorystów. Tłum chciał uwierzyć, że opanowano tę falę i zmuszono wroga do rokowań dzięki komputerowej ochronie miejsc publicznych i nowym technologiom bezpieczeństwa. Ale to nieprawda. Nowy Saladyn podpisał z białymi diabłami pokój. Na swoich warunkach. Poczekaj trochę i Europa wpadnie mu w ręce bezsilna, nawet nie zniszczona wojną.

Leserve dyszał ciężko. Podniósł zmęczone oczy na Wielkiego Inkwizytora.

— Kościół musi przetrwać zwycięstwo barbarzyńców. I nawrócić ich. Tak, jak już raz było... Kościół prawdziwy, nie jego parodia, konkurująca z sektami i salami sportowymi. Ojczy, mój czas się kończy. Poświęciliśmy lata na przywołanie cię, na obdarzenie cię władzą. Oczyść Europę i kościół z zepsucia... Ocal go jeszcze raz, jak kiedyś przed Katarami.

Pochylił się w milczeniu i znieruchomiał na dłuższą chwilę.

— To wszystko, ojczy Bernardzie. Czeka na twój wyrok.

Chciała mu przeszkodzić, ale Arab tylko bezceremonialnie zatkał jej usta dłonią.

— Milcz, rozumiesz? Mam ci ukręcić ten pusty łeb? — dyszał. — Włącz podsłuch gabinetu. No, na co czekasz?! Nie dociera do ciebie, co się tu dzieje?!

— Nie mogę cię potępić, bracie — usłyszeli głos Chantalla. — Nie mogę potępić nikogo. Gdzieś po drodze biały człowiek zбочzył o jeden drobny krok z drogi. Wyznaczył sobie jeden drobny skrót, jedno ułatwienie. A potem drugie. I trzecie... Kościół poszedł za innymi. Ostatni, ale poszedł także na manowce. Może nie mógł zrobić niczego innego, skoro stracił posłuch? A może musimy odkupić błędy męczeństwem, przebyć raz jeszcze tą samą drogę, co na początku dziejów?

Myślę, że ty także zbłądziłeś, bracie Piotrze. Kościół upadał wielokrotnie. Zdarzali się niegodni papieże, zdarzało się, że zgnilizna przeżerała wszystkie hierarchie, sięgała samego serca Watykanu. I mimo to kościół się odradzał, bo jakikolwiek by był, zawsze działa w nim Pan. W kościele jest łączność z Bogiem, poza kościołem jej nie ma. Zgrzeszyłeś, bracie Piotrze. Nie popadłeś w herezję i nie mogę cię potępić, ale zgrzeszyłeś.

Niech ci to Bóg wybaczy, bo zgrzeszyłeś z miłości do niego. Pomódlmy się o to, bracie Piotrze.

Bracie Piotrze...

Trzask interkomu. Azufahan groźnym gestem położył palec na ustach.

— Jacqueline, środki nasercowe. Prędko.

— Tak, prefekcie. — Szarpnęła się, odpychając Mehmeta i podniosła z fotela.

— Stój. Weź broń — rozkazał.

— Nie mam broni — rzuciła, przetrząsając apteczkę. Nic w niej nie było, poza tabletkami przeciwbólowymi. Chwyliła je.

— Musisz mieć broń. Znam przepisy. No, już! — popchnął ją, aż zatoczyła się na pulpit.

Nie wyobrażał sobie, że może w ogóle istnieć tak lodowato zimne spojrzenie jak to, które wbiła w niego, rozcierając stłuczoną rękę. Przez chwilę aż poczuł lodowate ciarki na plecach.

Powoli, wciąż przypatrując mu się zimno, otworzyła schowek pod pulpitem i wyciągnęła z niego sześciostrzałowy rewolwer.

Skinął głową, by szła za nim i ruszył do gabinetu Chantalla Prefekt — Wielki Inkwizytor klęczał obok fotela, na którym leżał bezwładny samozwaniec.

Samozwańczy biskup. Fanatyk. Prawiczek, który przez całe życie nie zerznął ani jednej dupy, który całe życie spędził na wdzieraniu się w nie swoje sprawy, na pouczeniu wolnych ludzi, co mogą, a czego nie, na kultywowaniu fanatyzmu i przesądów. Żałosny, śmieszny, godny pogardy.

Godny nienawiści. Gorącej nienawiści narodu, którego częścią czuł się Azufahan — mimo wszelkich zastrzeżeń, jakie mógłby mieć do niego Allah i jego kapłani.

— Już nie potrzeba — powiedział głębokim głosem Chantall. Puścił rękę Leserve'a i litościwym gestem zamknął mu powieki. Potem wstał.

— Wynoś się stąd, Azufahan — powiedział, podniósłszy głowę.

Mehmet wydobył z kabury pistolet. Był rozładowany, z wyjętym magazynkiem — inaczej Azufahan nie zostałby wpuszczony do sektora. Ale z zewnątrz nie było tego widać.

Obejrzał się. Jacqueline stała w progu gabinetu, z rewolwerem w ręku.

— Zastrzel go — rozkazał dziewczynie. — Rzucił się na mnie.

Przeraźliwa, nieruchoma cisza. Twarz Jacqueline przypominała wyrżniętą z lodu maskę.

— Zrób to, bo o wszystkim dowiedzą się Imamowie. Ten człowiek jest groźny, rozumiesz?!

Poruszyła wargami.

— Tak.

— Zastrzel go.

Patrzył, jak powoli, niezwykle powoli Jacqueline podnosi broń, jak ściąga spust i w tej samej chwili poczuł ból; zatoczył się, pchnięty potężnym uderzeniem w brzuch, nie słyszał nic, zdążył tylko zauważyć, jak raz jeszcze z lufy bucha płomień i jeszcze jedno uderzenie, twarz dziewczyny ściągnięta, pełna nienawiści.

Upadł i zasnął, niejasno zdając sobie sprawę, że to śmierć.

Opuściła rękę z pistoletem i przez długą chwilę przyglądała się twarzy inkwizytora. W znanych dobrze rysach Chantalla zdawały się pojawiać nowe, zupełnie inne. A może była to zwykła autosugestia.

— Tak, ojciec Wiem, co zrobiłam.

Nie odpowiedział. Chciała go zasypać pytaniami. Dziesiątkami, setkami pytań.

A potem pomyślała, że będzie jeszcze po temu dość okazji.

Odwróciła się bez słowa i poszła do swojego terminalu, wezwać strażników.

*listopad 1991*

## Rafał A. Ziemkiewicz

*Urodził się w 1964 roku, ukończył polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim, w stolicy też mieszka i pracuje — ostatnio jako naczelny miesięcznika „Fenix”.*

*Debiutował dość szybko, w 1982 roku opowiadaniem „Z palcem na spuście” w łódzkich „Odgłosach”, które udostępniły swoje łamy grupie literackiej TRUST. Napisał kilkanaście opowiadań, które publikował w prasie, a większość umieścił w dwóch autorskich zbiorach: „Władca szczurów” (Alfa, 1987) i „Zero złudzeń” (Białowieża, 1991), które łączy oryginalne spoivo, jakim jest odautorski notatnik. Opowiadanie „Jawnogrzesznica” dało tytuł retrospektywnej antologii polskich opowiadań SF lat 80-tych (Przedświt 1991).*

*W 1990 roku KAW wydała jego powieść fantasy „Skarby stolinów”, a rok później ukazała się powieść mieszcząca się w nurcie social fiction — „Wybrańcy Bogów” (Przedświt). Ostatnio pisze mało, sądząc po wstępie do powyższego tekstu, Rafał ma zamiar odsunąć się od SF, uważam, jednak, że to tylko chwilowy kryzys — wszak tyle dzieje się wkoło rzeczy ciekawych i bulwersujących, że każdego chyba korci, aby włączyć się w nurt codziennych wydarzeń, zamiast zamykać się w literackim getcie i otaczać rekwizytami SF. Sam przecież udowadnia „Źródłem bez wody”, że jest baczny obserwatorem tego, co w Polsce się dzieje i że fantastyka może być forum do głoszenia swoich poglądów i przekonań dotyczących spraw jak najbardziej aktualnych.*

*Swoim ostatnim opowiadaniem Rafał oddaje swoisty hołd zmarłemu przed rokiem arcybiskupowi Marcelowi Lefebvre i małej schizmie z Ecône, której dał on początek, spotykamy się w nim z autentyczną postacią Bernarda Gui (pamiętną z „Imienia róży”) i z oryginalnym pomysłem wiary złożonej w depozyt, która zostanie użyta do walki z... demokracją.*

*Mam tę satysfakcję, że swoje ostatnie teksty Rafał napisał specjalnie do antologii i dołożył starań, aby gościł w niej za każdym razem. Gdy raz wdepnęło się w fantastykę, rozsmakowało w niej, to nie ma już od niej ucieczki.*

## O „...więc chyba to był On”

*Kilkanaście lat temu przeczytałem o istnieniu plemienia, które zakosztowawszy kiedyś dobrodziejstw cywilizacji, oczekuje jej powrotu, budując „pasy startowe” i „samoloty” z patyków i słomy. Jakiś czas później zobaczyłem to wszystko bodajże w filmie Daenikena. Wydało mi się to wtedy uroczo świeże i naiwne. Dobrodusznie pośmiałem się w duchu z prostaczków, którzy niemal bez przerwy obserwują niebo w oczekiwaniu na cud, który zrzuci im na głowy kupę magicznych przedmiotów — koce, żywność, drut mosiężny i paciorki.*

*Dzisiaj owi dzicy wydają mi się — w swoim nieświadomym pragmatyzmie — o wiele bliżej swego ideału niż my, cywilizowani, wykształceni i świadomi; wydają się być niezmiernie bliżsi realizacji swoich modlitw — my, boscy, potężni i świetnie zaopatrzeni prędzej czy później wylądujemy na ich wysepkach.*

*A co z naszymi wysepkami?*

*Eugeniusz Dębski*

## „...więc chyba to był On”

— Strasznie jestem go ciekawa... — wydyszała Hamilton w ucho Sary da Fore.

Sara wzruszyła ramionami, starając się nie pochłapać puszystej bluzki zawartością niesionej do ust łyżki. Hamilton zjadliwie zmrużyła i tak małe oczka i prychnęła przez nos:

— Tylko nie udawaj, że on cię kompletnie nic nie obchodzi — syknęła. Sara na ułamek sekundy zamarła, omal nie powtórzyła gestu sprzed kilkunastu sekund, ale zauważyła, że Hamilton–Królowa–Złośnic czyha na ten właśnie jej ruch, więc spokojnie zamieszała łyżką w talerzu i prowokująco ospałym spojrzeniem mierzyła koleżankę. Hamilton zerknęła na drzwi.

— Mnie, złotko, nie nabierzesz — włożyłaś na siebie bluzkę, której tu jeszcze nikt nie widział. Może nawet już na starcie wiedziałaś, że zachowasz sobie jakiś łaszek dla naszego bohatera...

W udawanym podziwieniu pokręciła głową:

— Cztery lata! Masz cierpliwość!...

Da Fore wolno odłożyła łyżkę i wytarła usta serwetką.

— Mnie... — postarała się, żeby to jedno słowo zapanowało nad resztą zdania — ...on zupełnie nie rusza. Ani nie jest w moim typie, ani...

— A kto jest w twoim typie? Może brat Lora...

— Zamknij się, idiotko!

Hamilton pojednawczo skinęła głową.

— Fizycznie to on mi też nie imponuje — przyznała. — Ale jego życiorys... — ostatnie słowo wymruczała niczym przeciągająca się kotka.

Da Fore ostro stuknęła kostką środkowego palca w wypukły pas biegnący przez środek stołu. Jedna z tworzących go płyt wysunęła się do góry. Sara wsunęła w powstałą niszę swój talerz i popatrzyła wyczekująco na koleżankę. Uniosła lewą brew:

— Życiorys?

— Pewnie! W końcu ilu ich jeszcze jest, tych śpiących rycerzy?! Dziesięciu?

— Ale co cię w tym tak podnieca?

— Jak to? Nawet nie to, że muszą mieć jakieś inne wnętrza, bo jeśli ktoś daje się zahibernować i w ciemno zgadza się na nie wiadomo jaki kontakt, byle mieścił się w przedziale warunków finansowych...

— Zwykle ryzyko...

— Niech będzie, ale takich ryzykantów jest tylko dziesięciu! — Wyciągnęła w kierunku Da Fore obie dłonie z rozcapierzonymi palcami.

— Czy to znaczy, że gdyby wykryto na Ziemi jednego jedyne go faceta z chorobą weneryczną, poszłabyś z nim do łóżka? — zapytała lekarka wstając od stołu.

— A czy to, że ilekroć sięgasz po jakiś przykład, zawsze dotyczy on łóżka, też coś znaczy?

Sara popatrzyła z politowaniem na nawigatora, ale i ona i autorka riposty zdawały sobie sprawę,



że sztych był celny. Po niemal czterech latach wspólnego przebywania w zamkniętej przestrzeni kosmofrachtowca nie może być mowy o trudnościach z trafieniem współtowarzysza podróży. Na długą chwilę mesę opanowała cisza, niewidzialny i bezgłośny szósty członek wyprawy.

— Dobra, nie tnijmy się z powodu faceta, którego nawet nie znamy — wielkodusznie zaproponowała Hamilton.

Sara nie potrafiła jednak zapanować nad emocjami:

— Przecież obejrzałaś go sobie dokładnie, i to nie raz — mruknęła.

— A ty jako lekarz miałaś jego ciało do dyspozycji o każdej porze dnia i nocy — warknęła nawigator. — Trans hibernetyczny podobno wyklucza erekcję, ale od czego mamy na pokładzie lekarza? — Mówiąc to odsunęła nieco krzesło od stołu Da Fore bliska była bezpośredniego ataku na nawigatora.

Chrząknięcie od wejścia spowodowało, że drgnęły obie i zaskoczone popatrzyły na drzwi do sterówki. Na ich tle stał mężczyzna, który był przedmiotem sprzeczki. Krępej budowy, chyba najniższy z męskiej części załogi, mocno opalony — Sara nie szczędziła mu solexu — świeżo ostrzyżony przez automat. Jeśli się uśmiechał, to tylko oczami.

— Nirke Doumat — przedstawił się.

— Jestem Hamilton, Hamilton, tylko tyle — powiedziała nawigator. — Nawigator „Pasji” — uzupełniła prezentację. — A to nasza lekarka... — wskazała palcem i na pół sekundy zawiesiła głos. Miała ochotę dodać coś w stylu: „Ona zna cię dobrze, nie musisz się rozbierać”, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. — Sara Da Fore.

Lekarka opanowała zmieszanie, uśmiechnęła się do Doumata:

— Jak się czujesz?

— Wszystko w normie — skinął głową i podszedł do stołu. — Mogę pić? — zapytał.

— Ile tylko dasz rady. Biegunka?

— Och, i to jaka!

— Czyli nic nowego — rzuciła Hamilton ironicznie. — Zawiadomię dowódcę. Pewnie ma już dla ciebie jakąś robotę.

Nirke zrobił krok do przodu, odsłaniając drzwi. Hamilton już zza jego pleców rzuciła w kierunku Sary znaczące spojrzenie i wyszła. Zaciężny tropiciel zmarszczył czoło, jednocześnie obrzucając spojrzeniem całą mesę. Sara drgnęła, jakby chciała ruszyć do drzwi.

— Co to mamy za lot? — zapytał Nirke, podchodząc do stołu i sięgając po menu.

— Lepiej niech ci powie dowódca...

— A ty nie wiesz?

— Mnie możesz nie uwierzyć.

— Uwierzę — zapewnił ją Nirke, sięgając po wypełniony gęstym, jadowicie zielonym pistacjowym mleczem walec.

— Szukamy Boga — rzuciła lekkim tonem Sara. Pijąc zerknął na nią znad brzegu naczynia. Dokończył i dopiero po wytarciu warg zapytał:

— A jakiego?

— Jak to: jakiego?

— Manitou? Budda? Allach? Jehova? Thor? Kriszna?

Sara pokręciła w podziwiew głową.

— Czy to jakaś różnica?

— Zapytaj wyznawców — przerwał studiowanie wykazu posiłków, żeby zerknąć na dziewczynę. Wcześniej, zanim oderwał spojrzenie od menu, przyłożył czubek palca wskazującego do tafli ekranu.

Nie lubi tracić czasu na szukanie czegoś jeszcze raz, pomyślała Sara. Roześmiała się głośno.

— Nawet jeśli twoje opanowanie jest udawane, to i tak cię podziwiam — powiedziała. — Ja, mimo że siedzą w tym... — teatralnym spojrzeniem omiotła dwie ściany mesy — już cztery lata nie potrafię wygasić w sobie zdumienia.

Doumat stuknął końcem palca w wybraną pozycję jadłospisu, odczekał chwilę, wyjął kubek z podajnika, ale nie zaczął pić — wpatrywał się chwilę w falującą powierzchnię cieczy, a potem zaczął unosić naczynie do ust, jednocześnie mówiąc:

— Brałem już udział w dziwniejszych wyprawach...

— Oj, pieprzysz, bracie! — rzuciła rozeźlona Sara.

— Swoboda językowa panuje tu, jak widzę, duża. To mnie cieszy. Lubię móc, na przykład, powiedzieć po prostu, że mam sraczkę...

— No to do zobaczenia! — Da Fore poderwała się z krzesła i szybkim krokiem zmierzała do drzwi.

— Dziękuję — zawołał za nią Nirke. — Za opiekowanie się moim ciałem — dodał, jakby obawiając się, że może opacznie zrozumieć jego słowa.

Sara na ułamek sekundy zwolniła, wyglądało to, jakby potknęła się albo uderzyła piersią w niewidzialną przeszkodę, ale nie zatrzymała się. Drzwi uskoczyły przed nią i równie cicho zamknęły, gdy tylko przekroczyła ich próg. Doumat dopił swoją mleczną mieszanką, wolno nabrał powietrza do płuc i długo je wypuszczał, aż klatka piersiowa zapadła się w sobie. Stał chwilę nieruchomo, potem westchnął jeszcze raz i położył rękę na oparciu krzesła zamierzając odsunąć je od stołu, ale głośne burczenie w brzuchu spowodowało, że szybko przyłożył dłoń powyżej pępka i mocno przycisnął.

— Dobrze, że ta mała Ha nie wciągnęła mnie jeszcze do swojego łóża — powiedział śmiejąc się cicho. — To takie mało eroty-y-cz-ne-e... — zaśpiewał do „ad hoc” ułożonej melodyjki. Odbiło mu się potężnie. — Oo-u-pa! Cholera, za każdym razem mam nadzieję, że już wynaleźli coś na rewolucję we flakach po hibernie...

Usłyszał szelest ocierającego się o poruszone drzwi powietrza, powstrzymał szybką, tajemniczą reakcję, spokojnie odwrócił głowę, popatrzył przez ramię na przekraczającego próg Tracedilla.

— Cześć! — dowódca energicznie pokonał dzielące go od Doumata cztery metry przestrzeni i mocno uściśnął dłoń najemnika. — Dość dziwnie się czuję, poznając dopiero po kilku latach lotu nowego członka załogi — oznajmił, przez kilka sekund nie wypuszczając dłoni Nirke ze swojej.

— Rozumiem to — Doumat uwolnił dłoń i — jakby obawiając się o jej stan, założył ręce za plecy i splótł dłonie.

— Ze mną jest podobnie, co się obudzę, to w innym towarzystwie... — ułożył wargi w uśmiech, ale oczy pozostały spokojne i poważne.

— No tak... — Tracedill ominął Doumata, odsunął od stołu krzesło i usiadł na nim. — Sara obudziła cię w idealnym momencie — właśnie teraz nadeszła twoja kolej. Jesteśmy w tym kawałku przestrzeni, na którym się znasz...

Omal nie powiedział: „...na którym się podobno znasz...”, pomyślał Nirke.

— Co to za kawałek? — zapytał.

— Alfa do zero, szesnaście do siedem...

— O? Przedmieście wszechświata — Nirke, nie spuszczaając spojrzenia z dowódcy, usiadł na

krzesle.

— Ale opanowałeś jego penetrację?

— Jasne, chociażby ze względów taktycznych — wobec konkurencji innych śpiących tropicieli musiałem mieć jakiś rejon, na którym mógłbym złapać klienta.

— No i masz klienta...

— To znaczy?

— Zakon Prawdziwego Wyboru!

— Który szuka Boga?

— Sara ci powiedziała?

— Tak, a miała nie mówić?

— Dlaczego? Przecież to nie jest tajemnica... — Tracedill jakby zawiesił głos. Nirke zrozumiał, że oczekuje jego pytania, zastanowił się.

— Tylko? — zapytał.

— Tylko dość niecodzienne zlecenie, prawda?

— Yhy...

— Ale ciebie to nie rusza!

— Jestem najemnikiem — powiedział miękko Nirke. — Gdybym za każdym razem, kiedy zlecenie wydawało mi się głupie, mówił to zleceniodawcom, spałbym kilka razy więcej niż moi konkurenci. Albo i w ogóle nie byłbym budzony — przyjrzał się dowódcy. — Wolałbyś, żebym był zaskoczony?

— Chyba tak, bo ja byłem — Tracedill majtnął głową, jednocześnie wzruszając ramionami.

— No to jeśli ma ci ulżyć, to ja też jestem zdumiony.

— Zdumiony... Zaskoczony... Niby to samo, a jednak...

— Owszem. Jest różnica.

— Dobra, przejdźmy do konkretów; chciałbym, żebyś jeszcze dzisiaj podłączył się do komputera i zaczął penetracją obszaru...

— A kto wymyślił, że akurat tutaj można znaleźć Boga?

— Że akurat tutaj, to nikt nie ma pewności. Takich wypraw jak nasza wystartowało siedemnaście, a wszystkie kierowały się... Cholera, nie jest tak łatwo wytłumaczyć komuś, kto nie ma pojęcia... Wiesz, co to jest Smok Bancrofta?

— Nie.

— A o Y-procesach masz pojęcie?

— Szczątkowe quasi-równania z nieostrymi rozwiązaniami?..

— Dobrze. Niejaki Bancroft wprowadził pewną ich mutację, nazwano je Smokiem, bo zawsze mają trzy rozwiązania, jak trzygłowy smok. No i, pomijając pewne mniej istotne etapy, dochodzimy do momentu, kiedy ojciec Promo wyliczył przy pomocy Smoka Bancrofta pewne stwierdzenia, właściwie jedno ze stwierdzeń. Mianowicie, że jeśli Wszechświat jest nieskończony, to nie ma w nim miejsca dla Boga. Stąd prosty wniosek...

— Udowodnijmy, że Uniwersum ma granice, a łatwo znajdziemy na którejś z nich Boga?! — zakpił Nirke.

— Zdziwisz się, ale tak. Może nie zupełnie, jak powiedziałaś, ale prawie.

Doumat poderwał się z krzesła, niemal pobiegł w kierunku najbliższej ściany, tuż przed nią zawrócił unikając zderzenia. Wpatrywał się uważnie dłuższą chwilę w oczy dowódcy.

— Aż takie to proste

— Nie mówię, że moim zdaniem, ale tak. Można inaczej — jeśli Bóg jest nieskończony to nie mógł stworzyć równie nieskończonego Wszechświata. To stara pułapka na wierzących; jeśli Bóg wszystko może, to czy może stworzyć głaz, którego sam nie udźwignie? Tak więc, kierując się jedną z głów Smoka Bancrofta, dochodzimy do wniosku, że Bóg mógł co najwyżej stworzyć coś skończonego. Bo inaczej stworzyłby coś równego sobie. I tu wracamy do początku: skoro już wiemy, że Wszechświat jest skończony, a w ogóle, że istnieją co najmniej trzy Wszechświaty...

— Trzy?

— No: nieskończony, skończony i nieskończenie płaski... — Tracedill uśmiechnął się zachęcająco, ale Doumat powstrzymał się od kolejnych pytań. Dowódca odczekał chwilę i kontynuował:

— W naszym wariancie pozostaje odnalezienie Stwórcy. Kropka.

— Nadmiernie proste, przynajmniej w twojej relacji.

— Może, ale zawsze możesz porozmawiać z bratem Lorsem. Motywacja podróży to jego działka, my mamy kierować statkiem — Tracedill podniósł się i odwrócił w kierunku drzwi, gestem zaprosił Doumata do przechadzki po statku. Nirke skinął głową, wstał również.

— Możesz zacząć dzisiaj? — zapytał dowódca ruszając do drzwi.

— Dobrze, wezmę tylko swój kask.

Wyszli na korytarz, gdzie Tracedill wskazał kierunek i bez słowa ruszył w swoją stronę, a Nirke zawrócił, zamierzając przed pojawieniem się sterowca zabrać z kajuty swój kask. Na pierwszym zakręcie omal nie zderzył się z Sarą. Idąc przeglądała niesione w lewej dłoni kartony wydruków, a kiedy — ułamek sekundy po niedoszłym zderzeniu — podniosła wzrok i rozpoznała Doumata, gorący rumieniec wykwitł na jej policzkach. Nirke nie musiał zerkać w plik papierów, by zrozumieć, że Sara zajmowała się akurat jego osobą. Odruchowo uśmiechnął się i usunął z przejścia. Lekarka zrobiła dwa kroki do przodu, odwróciła się i zapytała:

— Nadal nie uważasz naszej wyprawy za dziwną? — A kiedy Doumat wolno pokręcił głową dodała: — No to ci powiem, że nie wydają nam nowych kombinezonów. Oszczędzamy. Musimy prac używane, rozumiesz?

Roześmiała się głośno, pokazała Nirke plecy i chichocząc oddaliła się korytarzem. Tropiciel uśmiechnął się również, tym razem szczerze i szeroko, szybko odwrócił się, żeby nie wystawiać uczuć na widok publiczny i pomaszerował do swojej kabiny.

Hamilton oderwała na pół sekundy wzrok od monotonnie płynącej przez zestaw ekranów rzeki liczb i symboli nawigacyjnych. Termometr uparcie wskazywał dwadzieścia dwa stopnie. Hamilton westchnęła, stłumiła chęć wypicia jeszcze jednej porcji zimnego soku. Wróciła spojrzeniem do ekranu. Zmusiła wzrok, by ślizgał się po fali symboli, nie usiłując nawet wczytać się w treść. Cienka, ciepła strużka potu szybko spłynęła pomiędzy jej piersiami i wyhamowała gdzieś na fałdach brzucha. Cholera, pomyślała, dlaczego ten gnój tak mi się podoba? Sfiksowałam! Zacisnęła zęby, żeby skoncentrować się na informacji z ekranów, przejechała opuszkami palców po rowku między piersiami, ścierając pot i zupełnie niespodziewanie zrozumiała, że dotyk palców w tym miejscu podnieca ją i sprawia przyjemność. Sprawdziła w odbiciu, co robi Nirke i wolno, muskając tylko skórę, przesunęła palcami od nasady szyi do zagłębienia pod mostkiem: To on powinien mi to robić, pomyślała czując, że wzbiera w niej złość. I niekoniecznie muszą to być palce... Może przełknąć

dumę i zgłosić się do naszej świętej, żeby mi powiększyła cycki? Nigdy dotąd nie uważałam, że powinnam coś takiego ze sobą zrobić. Czyżbym się starzała? Dlaczego ni stąd, ni zowąd zaczyna mi brakować cyca? Włożyła szybko dłoń pod klapę kombinezonu i nakryła nią całą lewą pierś. Była jędrna i kształtna i miała na szczycie nabrzmiałą twardą sutkę. Odbicie Doumata w ekranie poruszyło się, Hamilton szybko wyszarpnęła dłoń i żeby zamaskować ten ruch uderzyła palcem w klawisz spowalniający przepływ informacji przez ekran Z lewej strony coś się poruszyło, jednocześnie Nirke mruknął coś do siebie i znużonym ruchem zdjął z głowy kask.

— Nic — powiedział do ekranów przed sobą. Odwrócił głowę do Hamilton, przemknął spojrzeniem po jej twarzy i skierował je w bok. — Dzień dobry, ojcze Lors.

— Witaj, bracie — brat Lors ominął Hamilton, uścisnął dłoń Nirke i usiadł obok niego w wolnym fotelu. — Ciągle nic...

— Dlaczego od razu nic? — Nirke uruchomił swój dobrze już znany na pokładzie „uśmiech bez uśmiechu”. — Nic, to chyba nawet bardziej kategoryczne niż pustka, a na razie mamy do czynienia tylko z nią.

— A na dodatek sądzę, że nie bardzo wiesz, czego szukać...

— Wiem tyle, ile mi powiedział Tracedill.

— Och — Lors zatarł dłonie delikatnym ruchem. Nie był to gest człowieka zabierającego się do pracy, raczej odruchowa manipulacja bankiera finalizującego korzystną umowę. — Nie wtrącam się do dowodzenia statkiem, ale wiem, że Tracedill proponuje dość wulgarną wersję drogi postępowania umysłowego...

Nirke poprawił ułożenie kasku na kolanach i zaraz potem chwycił go i odłożył na konsolę kompa. Kątem oka zauważył, że Hamilton wpatruje się w ścianę za jego plecami, a pustka w jej oczach świadczy o tym, że ani tej ściany nie widzi, ani nie słyszy rozmowy. Opuszkami palców wskazującego i serdecznego głaskała rowek między piersiami. Przedramię zasłaniało prawą sutkę, ale lewa aż nadto wyraźnie świadczyła o podnieceniu nawigatora. Doumat szybko skierował pełen uprzejmego zainteresowania wzrok na brata Lorsa.

— Słyszałem, jak tłumaczył innym załogantom..., jeszcze, zanim cię, bracie, obudzono — ciągnął Lors — sensowność naszej wyprawy. Przyznam, że pewnie sam był zwątpił w logikę postępowania...

Nirke pokręcił głową, co Lors wziął za próbę przerwania swojego wywodu. Natychmiast zamilkł i Nirke, zły na siebie za brak opanowania, musiał zabrać głos:

— Nie musi mnie oj... brat przekonywać. Jestem z góry przekonany do wszystkich zleceń — poczuł, że wypowiedział najgorszą chyba z możliwych kwestię, rozzłościł się na siebie i zaraz potem na zakonnika. — Bez tego byłbym nic nie wart jako Tropiciel... — dokończył.

Lors nie wyglądał na przejętego zakłopotaniem Doumata. Z wyrazu twarzy sądząc, w ogóle nie słuchał, co się doń mówi, czekał, aż w sterówce zapanuje cisza, by móc kontynuować swoje rozważania.

— Oczywiście, rozumiem — rzucił pospiesznie, żeby tylko nawiązać jakoś do wypowiedzi rozmówcy. — Bancroft Udowodnił naszym zdaniem niemożność istnienia nieskończoności, co jest największym matematycznym odkryciem człowieka od czasów Einsteina, a niektórzy twierdzą, że nawet większym. I dopiero na tym opiera się konieczność, z której zrodziły się nasze wyprawy!

— A czy to nie stoi w jaskrawej sprzeczności z doktryną Kościoła?

— Ha! — Lors szeroko uśmiechnął się, najwidoczniej brak mu było nowego interlokutora i

cieszyła go możliwość dysputy. — Z „niektórymi” doktrynami „niektórych” kościołów — tak...

Nirke był pewien, że w ustach Lorsa słowo „kościołów” zabrzmiało właśnie z małej litery.

— Ale my uważamy, że Twórca nawet skończonego Uniwersum, po którym my poruszamy się, tracąc na to pokolenia i nie poznając nawet drobiny ułamka jego, jest Bogiem.

— I w ten sposób religia wreszcie nie stoi w sprzeczności z nauką — wtrąciła się niespodziewanie Hamilton.

Obaj rozmówcy zapomnieli na chwilę o jej obecności w sterówce i obaj byli zaskoczeni, gdy się odezwała

— Oczywiście! — zgodził się Lors. Odwrócił się nieco wraz z fotelem i popatrzył na Hamilton. — Kto powiedział, że wiara musi być ascjentyczna? Dlaczego ludzkość musi być rozdarta? Dlaczego fizyk ma kilka razy dziennie skakać duchem, od swojego profesjonalnego credo w pracy do ideologii w kaplicy?

— Bancroft wykonał zatem kawał dobrej roboty i pewnie dlatego został świętym!

— Mówisz to, siostrze, z sarkazmem, ale ja powtórzę twoje słowa z inną intonacją: Bancroft wykonał kawał dobrej roboty i dlatego został świętym!

— Powtórzył brat niezbyt dokładnie. Brakuje słów... — Hamilton uśmiechnęła się do Lorsa. — ... „zatem” i „pewnie”.

— Bo ty — mimo wszystko — wątpisz jeszcze, a ja nie — również uśmiechnął się Lors.

— A więc w tym składzie jestem przegłosowana. Nirke również nie wątpi. Inaczej nic by z jego pracy nie wyszło... — dziewczyna wstała i przeciągnęła się. Kombinezon naprężył się na jej piersiach. Nirke zauważył, że sutki przestały napierać na materiał. — A przy okazji mógłbyś mi opisać, jak tropisz? Pytałam już o to jednego fachowca, i ciekawa jestem, jak ty to odczuwasz?

Doumat kątem oka zauważył lekki grymas na twarzy brata Lorsa, wziął do ręki swój kask, podrzucił go i złapał za ten sam uchwyt.

— Wyobraź sobie, że jesteś w pomieszczeniu wypełnionym do wysokości metra lekkimi piłeczkami. A gdzieś wśród nich jest jedna, na pozór identyczna, ale metalowa. No i chodzisz po tym pokoju, rozgarniasz piłeczki i starasz się wyczuć, w którym miejscu opór jest nieco większy niż w innych. Kiedy już poczujesz kierunek, posuwasz się w tę stronę, ucieszona, jeśli opór rośnie, i zwalniając, kiedy maleje. Wtedy musisz ostrożnie zanurzyć ręce w piłeczkach i rozgarnąć je wokół siebie i robić to tak długo, aż znowu wyda ci się, że akurat w jakimś tym jednym kierunku jakby rośnie opór. Więc robisz w tamtą stronę krok...

— A dlaczego nie mógłby tego zrobić komputer? — zapytał Lors, gdy Nirke zawiesił głos, a po chwili oczekiwania okazało się, że skończył wyjaśnienie.

— Sam tego nie rozumiem, ale tak jest. Po prostu nie może... — Nirke wykonał ruch, jakby chciał jeszcze raz podrzucić kask, ale wstrzymał rękę, zanim skończyła zataczanie łuku o czterocalowej cięciwie. — A poza tym jedna sprawa — czy brat chciałby, żeby poszukiwaniem Boga zajął się komputer?

— A dlaczego nie? Jeśli byłby sprawniejszy od człowieka?!

Hamilton parsknęła śmiechem. Nirke oderwał nieprzytomne spojrzenie od Lorsa i popatrzył na nią.

— My to już mamy za sobą — powiedziała, odrzucając głowę do tyłu. — Brat Lors skutecznie powyłamywał nam szczęki o wiele wcześniej, już po pierwszej debacie w mesie.

— Zaraz! Spokojnie... To mi się nie podoba — Nirke pokręcił głową. — Mogę się pogodzić z

tym, że ktoś wierzy w Boga, ale tego — że tak powiem — w klasycznej postaci. A brat proponuje mi w tej chwili zupełnie inną rzecz — mam uwierzyć w istotę, którą może zidentyfikować komputer, a więc różniącą się ode mnie najprawdopodobniej tylko potencjałem umysłowym? Po prostu i tylko Nadczołowiek? Superman?

Lors rozłożył dłonie, jakby chciał powiedzieć: „To nie moja wina, stary”!

— A czy ty — i to słusznie — nie byłbyś bóstwem dla neandertalczyka? — Poderwał się ze swojego fotela i — zanim Nirke otrząsnął się z oszołomienia — bez pożegnania wyszedł ze sterówki.

Doumat szybko uniósł kilka razy lewą brew na przemian z prawą. Zdawał sobie sprawę, że jego twarz straciła wiele ze zwykłej profesjonalnej obojętności, ale tym się nie przejmował.

— Zaliczyłbyś to do plusów czy minusów swojego trybu życia? — zapytała Hamilton.

— Co masz na myśli?

— To, że wychodząc z hibernacji za każdym razem trafiasz do nieco innego świata. — Hamilton zsunęła się nieco w fotelu i skrzyżowała stopy. — Ile masz lat?

— Bezwzględnych? Trzydzieści... — zmarszczył czoło i liczył chwilę — ...cztery.

— No więc mężczy cię to czy nie?

— Czy ja wiem? — Doumat wzruszył ramionami. — Dopóki jest do czego się budzić... Co mnie obchodzi zmiany? Na ogół dotyczą tylko wycinków obyczajowości; raz wypada kłąć na ulicy, a następnym razem społeczeństwo wytrzeszcza gały, gdy się powie „cholera”. Albo wypada nosić spodnie z klapami na tyłku albo uważa się to za obrazę moralności. Albo wielożeństwo, albo monogamia, i tak dalej...

Podrzucił kask, chwycił go w podstawione na kształt świecznika palce i zakręciwszy utrzymał kilka sekund na czubku wskazującego palca. Potem szybko opuścił rękę, złapał kask drugą i poderwał się z fotela.

— Znosi się na to, że za chwilę znowu mnie zaprzęgna, idę się zrelaksować.

Wyszedł ze sterówki odprowadzany pełnym niewypowiedzianego pytania spojrzeniem Hamilton. Westchnęła. Drzwi niemal niesłyszalnym mlaśnięciem skwitowały trzask rygli. Hamilton wstała i — kontrolując odbicie w ekranie — przeciągnęła się. Wygięta w łuk dwa razy strzeliła biodrem w kierunku monitora.

— To takie ma-ąło eroty-y-yczne!... — wykrzywiła twarz do swojego odbicia, powtarzając podsłuchany występ Nirke Doumata.

— Nie przeczę, łatwiej jest sobie wyobrazić Wszechświat w ograniczonym, choć gigantycznym — przynajmniej dla nas — wymiarze... — tropiciel Doumat rysując w powietrzu koła, usiłował przedstawić w ten sposób kulę...

— Błąd! — przerwał komputyk Rawno. — Takie Uniwersum, wyliczone i określone przez Bancrofta, jest podobne do jeżowca, mniej więcej kuli ze sterczącymi we wszystkie strony szpilami. Tymi szpilami styka się z innym Wszechświatem, a może nawet przenika do niego.

— I my, twoim zdaniem, jesteśmy właśnie w takiej szpili?

— Tak.

— Hm? Idąc dalej pytam: tu spodziewacie się znaleźć Boga?

— Może nie tu, ale uczeni bracia z zakonu udowodnili, że musi przebywać gdzieś na uboczu. Bo jeśli nie ma go w centrum, a wiemy, że Ziemia jest centrum naszego Wszechświata...

— O?

— Oczywiście! Weź pod uwagę, że tylko na Ziemi rozwinęło się rozumne życie...

— Zostało rozwinięte, chciałeś powiedzieć!

— To oczywiste.

— Oczywiście — powtórzył z przekąsem Doumat. — I co dalej?

— Co dalej... Skoro przetrzasnęliśmy przestrzeń wokół Centrum...

— Przecież nie szukaliśmy w niej Boga!

— Po pierwsze, podświadomie zawsze Go szukaliśmy, a po drugie, myślisz, że przeoczylibyśmy Go nawet natknąwszy się przypadkiem?

— Może nie chce, żebyśmy go odkryli?

— Może... — zgodził się Rawno.

— Tu też może nie chce — atakował Nirke.

— Może — ponownie zgodził się komputyk. — Ale tu nie było jeszcze człowieka, trudniej będzie się zamaskować.

Doumat wstał z fotela i dwa razy trzepnął płasko dłonią w udo, jakby przywoływał psa.

— Wszystko to jest niemi z powietrza szyte — powiedział. — Pseudorównanie...

— Quasi — poprawił go Rawno.

— Quasi — zgodził się Doumat. — Ale do tego nieostre rozwiązanie, a nawet trzy, cały frachtowiec przypuszczeń, hipotez, domysłów...

— I mocna wiara!

— Właśnie. I wydaje mi się, że to jest najmocniejsza rzecz w tym układzie — Nirke sięgnął po nieodłączny kask, zakręcił go odruchowo na czubku palca i posławszy Rawno przelotny uśmiech, wyszedł z jego kabiny.

Perspektywę korytarza zamykała ściana, na której wyświetlany był czterowariantowy zestaw czasów. Nirke szybko obliczył, ile zostało mu do wachty i z pewnym żalem zarzucił myśl o krótkiej wizycie w kajucie Hamilton. Kilkoma krokami zdobył przestrzeń korytarza dzielącą go od zegara, skręcił w lewo, minął dwie pary drzwi — z kajuty Lorsa sączyła się uroczysta melodia któregoś z Klasyków Uczucia — skręcił w prawo i wszedł do sterówki. Tracedill ziewał właśnie, szeroko otwierając usta. Widząc Nirke zdołał zamknąć oczy i wymruczeć coś kręcąc głową.

— O r-rany... Ale mnie przymuliły te dwie godziny dyżuru... — powiedział niskim głosem. Wstał, przecierając twarz prawą dłonią. — Podłączaj się, ja będę u siebie.

Wbrew własnym słowom zmienił tylko fotel — podszedł do najbliższego i ziewając ponownie zwałił się, wyciągnął przed siebie nogi i zamknąwszy oczy oparł brodę na piersi. Doumat odłożył kask na konsolę, podszedł do niszy podajnika i zupełnie nie czując pragnienia wypił pół szklanki soku. Potrzebował tej chwili, żeby nie siadać w nagrzanym przez Tracedilla fotelu. Wrzucił kubek na dno niszy, podszedł do fotela i pochylił się w kierunku ekranów opierając dłoń na siedzisku. Wystygło już. Nie odrywając spojrzenia od ekranów usiadł w fotelu i nałożył kask. Wpiął zwisającą do podłogi końcówkę interfejsu w gniazdo kasku, oparł nadgarstki na brzegu konsoli i uruchomił obwód tropiący. Krótka kaskada dźwięków zaperliła się w pomieszczeniu i wsiąkła w matowe, niemal czarne ściany. Doumat odchylił się w fotelu i znieruchomiał, natomiast Tracedill poruszył się, otworzył oczy i ziewnął jeszcze raz.

— Czego ja tu jeszcze siedzę? — mruknął w przestrzeń. Podkurczył nogi i wyrzucił je przed siebie podnosząc się zrywem z fotela. Poczłapał do wnęki podajnika, ziewnął ponownie, przez zaciśnięte zęby tym razem, wystukując jednocześnie kod coffeneexu. Wypił duszkiem połowę



zawartości kubka i sapnął przeciągle. Odstawił kubek do wnęki, ale zaraz wyjął go i trzymając w ręku wrócił na fotel. — Ciekaw jestem... — mruknął i zamilkł, zatrzymując spojrzenie na jasnobrazowym płynie falującym w naczyniu.

Nieruchomo siedzący dotychczas Nirke drgnął. Głowa poruszyła się, przekreśliła, wychylił tułów do przodu i zamarł na długą chwilę, przypominając do złudzenia nasłuchującego pilnie człowieka. Tracedill napiął mięśnie, ostrożnie, nie spuszczać czujnego spojrzenia z tropiciela pochylił się i bezgłośnie postawił kubek na podłodze. Doumat szarpnął jeszcze raz głową, wysunął lewą rękę i delikatnym pieszcotliwym niemal ruchem opuścił ją na klawiaturę przed sobą. Nacisnął kilka klawiszy, odczekał chwilę, nieco szybciej, pewniej wystukał inną sekwencję i wsłuchując się w odzew z komputera, wolno podniósł prawą rękę i wolno ułożył na konsoli komputera.

— Zmieniam kurs — powiedział w przestrzeń.

— Masz coś? — zapytał dowódca. Zorientował się, że mówi szeptem. Odchrząknął cicho. — Masz zamiar?..

Doumat nie odpowiedział. Jego palce uderzyły kilka razy w klawiaturę, komp zareagował uruchamiając ekrany kursowe i żądając potwierdzenia rozkazów. Nirke wprowadził swój kod i zaczął wystukiwać nowe sekwencje kursowe. Szkliste spojrzenie utkwiał w centralnym ekranie, palce wykonały kilka uderzeń, zamierały na sekundę, dwie, czasem dłoń przesuwano się w bok udostępniając palcom klawisze potwierdzenia lub zmiany dyspozycji. Najwyraźniej kurs dawał się wyczuwać, ale zamiar nie był namacalny w oczywisty sposób. W sterówce panowała cisza przerywana tylko nerwowym głośnym oddechem Tracedilla i miękkimi uderzeniami opuszków palców w klawiaturę, potem na niemal pół minuty cielisty werbel zagłuszył sapanie... i ustał. Tracedill otworzył usta i zapomniał je zamknąć. Wpatrywał się w napięciu w tropiciela, który równie nieruchomo tkwił ze spojrzeniem ugrzęzłym w ekranie centralnym. Potem poruszył się: oderwał nagłym ruchem palce od klawiatury, odrzucił głowę do tyłu, aż do zetknięcia kasku z wysokim zagłówkiem fotela. Chwycił kask w dłonie i energicznie szarpnął do góry.

— Jeden mały skok — powiedział do wpatrującego się w niego w napięciu dowódcy.

— I?

— I będziemy na wlocie do igły jeżowca...

Tracedill zamrugł oczami. Potem szurnał nogami chcąc wstać, ale jego stopa trafiła w stojący na podłodze kubek. Coffeneex chlupnął na podłogę, największe odgałęzienie kałuży skierowało się w stronę fotela Doumata. Tropiciel obserwował chwilę jasnobrazową odnogę.

— No, do ślepego rękawa do innego wszechświata... — i widząc rozczarowanie rozlewające się po twarzy Tracedilla dodał: — chyba nie oczekiwałeś ode mnie, że...

Patrzył długą chwilę na dowódcę, a potem wzruszył ramionami.

— To już chyba nie moja sprawa? Powiedziałbym „nie moja parafia”, gdyby nie nabierało to nowego wydźwięku...

Wpatrywał się uważnie w twarz dowódcy, z której nader jasno promieniowało rozczarowanie. Nirke parsknął fałszywie brzmiącym śmiechem.

— Zostałem zakontraktowany na przeszukanie fragmentu przestrzeni, który sam znam wyłącznie teoretycznie. Tak działają wszyscy tropiciele, prawda? Tak, czy nie? — Tracedill westchnął i skinął głową. — Pracowałem nad tym kawałkiem kosmosu nie wiedząc nawet dokładnie, o co chodzi, zgoda? — doczekał się kolejnego kiwnięcia głowy rozmówcy i ciągnął dalej, nieco spokojniej wobec spolegliwej postawy Tracedilla: — Znalazłem coś, czego nikt dotychczas nie znalazł —

granicę Wszechświata, niesamowity paradoks — koniec nieskończonego! Rozumiesz?! Może przejdiesz do historii — Paradoks Tracedilla! — sapnął ze złością — A ty robisz ponurą minę... — dokończył z pretensją w głosie.

— Nasza wyprawa ma inne zadanie...

— Zgoda, cholera, zgoda! Ale ty wynająłeś przewodnika...

— Okay, już się nie sprzeczejmy — Tracedill poderwał się z fotela z uniesionymi do góry rękami. — Masz pod każdym względem rację — opuścił ręce, zerknął pod nogi nie chcąc wdepnąć w kałużę i kopnął pusty już kubek pod ścianę. Patrzyli obaj, jak turla się podskakując, zakręca ostro po okręgu wyznaczonym przez budowę ścianki, jak w końcu wpada w strugę zasysanego przez cleaner powietrza i znika w szczelinie. — Komputer — okólna! — Tracedill zrobił krok omijając kałużę i rzucił się w swój fotel. — Mamy nadzieję... — powiedział ze zmarszczonym czołem wpatrując się w centralny monitor — ...że po małym skoku znajdziemy się w okolicy... — zawahał się szukając odpowiedniego określenia — ...wlotu... kanału czy też... hm, odnogi...

Komputer potasował ekrany, centralny poszatkował na kilkanaście sekcji i zasygnalizował gotowość do wykonania skoku wibrującym, o zmiennym nasileniu i wysokości dźwiękiem. Tracedill wzruszył ramionami i wystukał sekwencję kodów przyzwolenia. Nirke odchylił maksymalnie oparcie swojego fotela i ułożył się na plecach z nieodłącznym kaskiem na brzuchu. Komputer przełknął kody, warknął niskim basem, a potem gdzieś za ścianami — zawsze ten dźwięk słyszalny był jak zza ściany, obojętnie skąd się go słuchało — rozległo się miaukliwe „ji-iau-u-umm”, co znaczyło, że przestrzeń wokół nich zmieniała się: albo reagowała tak na ich zniknięcie, albo na ich pojawienie, tego nikt tak do końca nie wiedział.

— Jesteśmy... — zaczął Tracedill.

W tym samym momencie do sterówki weszła Sara wyprzedzając o krok Lorsa, a zanim drzwi zatrzasnęły się, przemknął przez próg Rawno.

— Czy mam rozumieć... — uroczystym tonem zaczął Lors.

— I co mamy?... — jednocześnie zawołała Sara.

Oboje umilkli i popatrzyli na siebie ze zniecierpliwieniem. Sara zacisnęła usta i szybko odeszła na bok. Lors nabrał powietrza, żeby dokończyć rozpoczętą wypowiedź, ale w tym samym momencie drzwi do sterówki otworzyły się i pojawił się w progu Foquet popychany przez Hamilton. Lors sapnął ze zniecierpliwieniem, uniósł ręce do góry i klasnął w dłonie ściągając na siebie uwagę obecnych.

— Bracia i siostry...

Komputer pisnął przenikliwie i ponownie przetasował zawartość ekranów.

— Na kursie zbieżnym... — oświadczył płaski sztuczny głos — ...obiekt o klasie asteroidu. Ustalą prędkość zero względem obiektu i proszę o potwierdzenie decyzji lub alternatywę.

— Jak wiadomo... — powiedział głośno Lors. Nie krył irytacji i czuło się, że tym razem nie pozwoli już nikomu sobie przerwać — ...nasza wyprawa...

— Na asteroidzie znajduje się obiekt pochodzenia organicznego — beznamiętnie zakomunikował komputer.

Tracedill zawirował na swoim fotelu, ustawiając go przodem do konsoli operatora. Hamilton rzuciła się na swoje miejsce, bezceremonialnie odrzucając łokciami ze swej drogi brata Lorsa. Zakonnik zawirował w miejscu z trudem łapiąc równowagę. Jego twarz odzwierciedlała toczącą się w duszy walkę, w której złość i irytacja walczyły z rozsądkiem i opanowaniem. Doumat, spokojnie

obserwujący rozgardiasz w sterówce, stłumił uśmiech i odwrócił się do zestawu ekranów. Na centralnym i przylegających doń sześciu wspomagających Tracedill z furją niemal przeglądał asteroid pod każdym możliwym kątem i w kilkunastu przekrojach. Hamilton wprowadzała w gotowość użytkową ładownię numer cztery i wszystkie znajdujące się w niej pojazdy. Rawno z Foquetem odstrzelili kilkanaście sekund temu po dwie małe sondy i na cztery ręce gnali na nich w stronę asteroidu.

— Niemal czysta ruda żelaza — rzucił Tracedill. — Gdyby można go było zaholować...

— Zajdź do „trzeciej” — zawołał Rawno, nie zwracając uwagi na słowa dowódcy.

— Dobra, tylko się nie wpieprz we mnie...

— Dwa promy gotowe! — zameldowała Hamilton w przestrzeń sterówki.

Sara podeszła do fotela Nirke i nie odrywając spojrzenia od pasjansa z ekranów, przysiadła na oparciu fotela. Tropiciel odchylił się w przeciwną stronę, obrzucił lekarzę pytającym spojrzeniem.

— Bracia i siostry! — wrzasnął z tyłu Lors. — Stanęliśmy w obliczu chwili...

— Cisza, do cholery!!! — ryknął Tracedill. — Zdaży jeszcze brat... — odwrócił się wściekły i urwał w pół słowa.

Doumat i Sara jednocześnie obejrzeni się zaintrygowani zachowaniem dowódcy. Brat Lors stał na tle jedynej nie upstrzonej monitorami ściany z uniesionymi w modlitewnym geście rękami. Zrzucił swój szaro-bezbarwny kombinezon, pod którym miał — jak się okazało — jaskrawożółtą sutannę z czarnymi mankietami i tego samego koloru koloratką, cienki łańcuch przewleczony przez pętelki na ramionach opadał na pierś, gdzie wisiał krzyż, którego ramiona przecinały się w małej, pobrużdżonej południkami i równoleżnikami kuli. Niedokończony okrzyk Tracedilla zainteresował pozostałych obecnych, rzucali spojrzenia przez ramiona i zamierali ze spojrzeniem utkwionym w Lorsie. Zakonnik uniósł wyżej ręce i odetchnął głęboko.

— Pan, którego poznać chcemy i mieć zawsze w sobie... — zaintonował — ...objawił naszemu bratu drogę do krainy swojej. Natchnął tu obecnych...

Komputer zaterkotał natarczywie, Foquet jęknął i odwrócił się do konsoli, ale było już za późno. Co najmniej cztery ekrany pokazały zgon jednej z dwu prowadzonych przez niego sond — uderzyła w asteroid, a jeden z ekranów zgasł na chwilę, a potem wyświetlił propozycję przełączenia się na inną kamerę.

— Kur... — Foquet przełknął połowę inwektywy.

— Od tej chwili ktokolwiek nieregularnie przerwie ciszę w sterówce, zostanie umieszczony w ścisłym domowym areszcie! — ryknął rozjuszony Tracedill. — Na co czekacie? — warknął w kierunku Rawno i Foqueta.

Komputyk i pilot rzucili się do swoich paneli. W sterówce zapanowała tak głęboka cisza, że niemal słychać było, jak zmieniają się litery i cyfry na monitorach, stopniowo obecni otrząsnęli się z szoku, w jaki wpędził ich wybuch flegmatycznego dowódcy i zainteresowali informacją z trzech sond. Okrężały asteroid po różnych orbitach i z różnymi prędkościami, ale przekazywany obraz nie różnił się specjalnie od siebie. Aż do chwili, kiedy ocalała sonda Foqueta...

— Ludzie... — jęknął komputyk. — Czy ja dobrze widzę?...

Siedząca na podłokietniku fotela Nirke Sara wydała z siebie dziwny szlochający dźwięk i natychmiast sama go stłumiła przyciskając dłoń do ust. Tropiciel poderwał się ze swojego miejsca, ale natychmiast zamarł w miejscu. Foquet obejrzał się na dowódcę, ale nie znalazł w nim pomocy. Tracedill, jak i wszyscy obecni w sterówce, wytrzeszczał oczy wpatrując się w ekran, na którym

widniał obraz przekazywany z sondy komputyka.

Część naturalnego wgłębienia w nieregularnej bryle asteroidu została w niewątpliwie sztuczny sposób wygładzona, połyskiwała w świetle reflektora sondy. W centrum niecki, na wyciętym w podłożu postumencie siedział mężczyzna. Kamera pokazała go z boku, a potem, nie otrzymując innych rozkazów, kontynuowała lot po orbicie wokół asteroidu. Siedzący na sztucznej wypukłości mężczyzna przesunął się w polu widzenia kamery, aż — pół sekundy przed zniknięciem z kadru — poruszył głową, jakby chciał spojrzeć w obiektyw kamery.

— Chwała na wysokości!.. — zaszlochał Lors.

— Wróć tam kamerą — wykrztusił Tracedill. Głos miał drżący i chrapliwo-szeleszczący zarazem. Jakby nie z krtani się wydobywał, ale z suchej trzęsącej się tekturowej tuby. — Pośpiesz... — zakrztusił się i rozkaszał.

Foquet uderzył w klawisze, obraz na ekranie zawirował, któryś z bocznych sterowych silników sondy uderzył zbyt mocnym ciągiem. Przez ekran matową smugą przeleciał rozmazany obraz asteroidu. Sonda kręcąc opętane baki, smagała światłem reflektora ciemną kosmiczną pustkę.

— C—co robisz?... — wychrypiał Tracedill.

— Nie... nie mogę — żałośnie przyznał Foquet. — Ręce... Nirke wysunął do przodu jedną nogę. Spojrzał w dół, dostawił drugą nogę, zmusił się do jeszcze jednego kroku i chwycił się pulpitu drżącymi rękami. Myląc się i co kilka sekund sięgając do klawisza kasującego poprzednie dyspozycje zdołał usunąć z sondy poprzedni program i zwolnić komputerowe naprowadzanie na najbliższy materialny obiekt. Tracedill zerknął nieśmiało na tropiciela, z wysiłkiem poruszył dłonią wyprowadzając przekaz z kamery na centralny największy monitor. Zobaczyli ponownie asteroid, nieckę i mężczyznę w niej, wszystko pod nieco innym kątem, ale wyraźnie i kategorycznie. Doumat głośno przełknął ślinę, a potem trącił drżącymi palcami kilka klawiszy powiększając obraz na ekranie. Kamera pokazała twarz siedzącego spokojnie w kosmicznej próżni mężczyzny. Miał gęste siwe brwi i równie białe wąsy i ta biel dominowała w prześwieتلonym obrazie na ekranie. Włosy miały zupełnie inny kolor — szaro-brązowe, dość długie, falowały w nieważkim środowisku. Mężczyzna wolno podniósł wzrok i spojrział prosto w obiektyw kamery. Lekko zmrużył powieki, jak gdyby światło reflektora — a tak musiało być — oślepiało go. Spokojnie i nieco ironicznie wpatrywał się w szeroko otwarte oczy załogi „Pasji” i w trakcie tych kilkunastu sekund nikt z ludzi przed ekranami nie poruszył się ani nie wydał z siebie dźwięku. A potem mężczyzna odwrócił się i zamarł w poprzedniej pozycji.

— Boję się... — szeptem złamała ciszę Da Fore.

Nirke oderwał spojrzenie od ekranu i popatrzył na nią z dołu, napotkał szkliste spojrzenie, kruche, bo bliskie wybuchu hysterii. Wstał z fotela i chwycił Sarę za ramiona. Nie stawiała oporu, ale jej ciało było sztywne; niemal przeniósł ją w niezmienionej pozycji z oparcia na siedzenie fotela.

— Polecę tam — powiedział nie patrząc na ekrany. Tracedill oderwał się od pulpitu. Jego fotel kierowany odbiciem nóg okręcił się na swej osi. Miał podobne szklisko w spojrzeniu co Sara. Nirke zrozumiał, że wszyscy w sterówce reagują identycznie.

— Lecę — powiedział dowódca.

— Boję się — powtórzyła lekarka, nieco głośniej.

— Zażyj coś na odprężenie — powiedział Tracedill. — Najlepiej daj to coś nam wszystkim. No? — ponaglił. Sara patrzyła na niego chwilę a potem mechanicznie pokręciła głową. — Saro!

— Ja też się boję! — krzyknęła Hamilton. Przebiegła całą sterówkę i zatrzymała się za fotelem

Sary.

Tracedill patrzył na nie chwilę, otwierając i zamykając bezgłośnie usta, w końcu poderwał się z fotela i skierował do drzwi.

— To się bójcie, nie będę przeszkadzał. Lecisz? — rzucił przez ramię do Nirke.

— Cham? — pisnęła Hamilton i nagle, jakby ten okrzyk potrzebny jej był do zderzenia jakiejś zasłony, odzyskała większość ze swego zwykłego sarkazmu. Chwyliła lekarke za ramię i wyszarpnęła z fotela. — Chodź...

Wlokła Da Fore za sobą przez całe pomieszczenie z furią i determinacją, ale — jak zauważył Nirke — ani razu nie spojrzała w stronę ściany z ekranami. Wszyscy unikali patrzenia na tę ścianę.

— Polecę z wami... — sapnął Rawno.

— Ja też — szybko dorzucił Foquet.

Tracedill skinął głową i pierwszy ruszył do drzwi, zaraz za nim pomaszerował Lors. Jego wargi poruszały się, ale żaden dźwięk nie ulatywał z ust. Zwartą grupą dotarli do hangaru. Tracedill bez słowa skierował się do segmentów ze skafandrami i w milczeniu zaczął wciągać na siebie model próżniowy. Pierwszy skończył zakładanie skorupy i pomógł Lorsowi.

— Nirke z Foquetem — rzucił i przecisnął się przez wąskie drzwi do wnętrza pojazdu.

Sześć minut później oba promy jednocześnie wynurzyły się ze swych śluz. Pierwszy odpalił silniki Tracedill i ostro przyspieszając, jakby dowódca chciał możliwie szybko skończyć z kłopotliwą sprawą, pomknął do oświetlonego wąskim strumieniem reflektora asteroidu.

— Słuchaj... — odezwał się Foquet, ale Nirke przerwał mu w pół słowa:

— Nie szukaj we mnie wsparcia ani jakiegokolwiek odpowiedzi. Weź się, człowieku w garść, po prostu weź się w garść i czekaj.

Zwiększył siłę ciągu, dogonił niemal prom Tracedilla, odsunął się trochę w bok i mknął w kierunku bryły uważnie wpatrując się w cel.

— Lecę prosto na tę nieckę — usłyszeli z Foquetem głos Tracedilla w słuchawkach. — A ty odbij trzydzieści stopni na dwunastą i obserwuj nas z góry. Potem możesz lądować...

Nirke pociągnął na siebie szynę steru. Czub jego promu poderwał się w górę, Nirke przyspieszył, zerknął na licznik i przyspieszył powtórnie. Wyprzedzał teraz prom dowódcy, ale równocześnie oddalał się od celu. Gdy prom Tracedilla zawisł nieruchomo nad brzegiem niecki, odczekał chwilę, a potem na wzór jastrzębia runął w dół. Wylądował dwie minuty po pierwszym promie, trzyosobowa załoga czekała na nich. W ostrym świetle lamp czołowych i wciąż świecącego reflektora sondy, ich oczy błyszczały chorobliwie i wszyscy nerwowo oblizywali wargi. Lors trzymał w ciężkiej rękawicy zdjęty podczas ubierania skafandra łańcuch z krzyżem.

— Idziemy — usłyszeli w głośnikach.

Topornie wykreślona sylwetka człowieka chybotliwie okręciła się na pięcie i Tracedill pierwszy ruszył w kierunku dwumetrowej wysokości grzędy, dzielącej ich lądowisko od niecki. Skalny grzebień forsowali parami, i natychmiast, kiedy ich stopy przywierały do gładkiej, wyciętej w bryle rudy jednym ruchem gigantycznej mocy lasera płaszczyźnie, zamierali przesuając się do przodu tylko tyle, żeby następna para mogła sforsować krawędź i stanąć za ich plecami. Kiedy wszyscy już stali zgrupowani w nastroszony, spazmatycznie oddychający oddział, Lors zrobił krok do przodu wysuwając do przodu prawą dłoń z krzyżem.

— Panie... — wychrypiał. Zakołysał się, jakby zamierzał uklęknąć, ale nie potrafił tego zrobić w ciężkim podróznym skafandrze. — Panie... Wejrzyj na sługi swoje...

Jego głos nabierał mocy, znane, powtarzane miliony razy słowa uspokajały zakonnika.

— Powiedziane jest...

Półożąca na skalnym fotelu postać przekręciła nieco głowę i skierowała twarz na grupę w skafandrach. Ponownie jej długie włosy, wbrew wszelkiej logice, zafalowały jakby uwolnione tym ruchem od absurdalnie działającej w stanie spoczynku siły przyciągania. Mężczyzna spokojnym spojrzeniem powiódł po zamarłym zespole. Lors kiwnął się w przód, jakby nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

I wtedy mężczyzna zniknął.

*kwiecień–lipiec 1991, Wrocław*

## Eugeniusz Dębski

*Urodził się w 1952 roku w Truskawcu. Z wykształcenia jest rusycystą, mieszka i pracuje we Wrocławiu. Debiutował, nie licząc fanzinów, opowiadaniem „Najważniejszy dzień 111394 roku” („Fantastyka” 5/1984). Pod tym samym tytułem ukazała się jego pierwsza książka, będąca zbiorem nowel (Śląsk, 1985). W trzy lata później Almapress wydał następny zbiór, zatytułowany „Krach operacji Szept Tygrysa”.*

*Dębski znany jest jednak głównie z cyklu o detektywie przyszłości noszącym dźwięczne imię Owen Yeates (wydawca twierdzi, że Dębski to artystyczny pseudonim Yeatesa). Do tej pory ukazały się cztery tomy: „Podwójna śmierć” (KAW, 1989 — właściwy tytuł „Ludzie z tamtej strony świata”), „Ludzie z tamtej strony czasu” (CIA Books, 1991). Piąty tom — „Krótka podróż do wspomnień” czeka na wydanie, a sam autor zapowiada, że na tym nie koniec.*

*Gienek ma szczęście do wydawców, w ciągu ostatnich lat wydaje po parę tytułów rocznie. Jego bibliografię uzupełniają powieści: „Śmierć Magów z Yara” (KAW, 1990), „Upiór z playbacku” (CIA Books, 1990) i zbiór opowiadań „Czy to Pan zamawiał tortury?” (MARK, 1991). W zapowiedziach wydawców znajduje się jeszcze kilka innych jego książek.*

*Zamieszczone powyżej opowiadanie Dębskiego, podobnie zresztą jak innego wrocławianina — Drzewińskiego, reprezentuje klasyczną SF, rozgrywającą się w kosmicznej otchłani na pokładzie statku badawczego. Myślę, że niniejsza antologia nie byłaby pełna bez takiego właśnie potraktowania tematu.*

## O „Korporacji Mesjasz”

*„Korporacja Mesjasz” — cóż mogę napisać? Nie lubię wstępów, wszak pisze się opowiadanie jako zamkniętą całość i doprawianie mu potem koronek może tylko zepsuć efekt. Żeby nie wypaczyć treści, trzeba ciągnąć opowieść o niczym, bez związku z utworem, bo inaczej chcąc nie chcąc odchyli się uwagę czytelnika w jakimś kierunku.*

*Jeżeli ktoś przeczytawszy „Korporację” dalej nie wie, w co gwiżdżę, to już raczej go nie oświecę. Jeśli natomiast wydaje mu się, że pojął wszystko, to jedną rzecz powiedzieć mogą: napisałem stanowczo za jednoznaczne zakończenie. W założeniu wariantowych, równoległych rozwiązań miało być trzy, w tekście czytelne są dwa. Przymocno to wszystko zaplątałem. No, ale tak to już jest, że autorowi zawsze widzi się utwór lepszy, niż wychodzi i potem jest rozczarowany. A że w taki akurat sposób bawię się religią? Cóż, nie dlatego ludzie zasypiają nad „Panem Tadeuszem”, że historia ich nudzi, ale dlatego, że forma dla nich niestrawna.*



*Jacek Dukaj*

# Korporacja Mesjasz

Byli to prawdziwi fachowcy; eksperci wśród ekspertów, mordercy morderców. Elita elit. Nie powiedziano im, z kim będą mieli do czynienia, powiedziano: zabić — więc zabrali się do roboty najlepiej, jak potrafili, a byli w tym dobrzy. I tego po nich oczekiwano: absolutnej, bezlitosnej fachowości. Ofiara nie powinna mieć najmniejszych szans, to znaczy: umrzeć powinna, gdyby nie była tym, za kogo ją uważano.

Czterech ich było, szczupłych, wężlasto żyłastych mężczyzn o myląco przyjemnych twarzach. Rozłożyli się po dwóch stronach alejki, na wielkich, mięsistych drzewonach, z których sięgali wzrokiem aż do bramy słupa osi. Kilka metrów za ich posterunkami alejka skręcała i znaczna część jej dalszego odcinka przesłonięta była bujną, różnokolorową roślinnością parku, póki jego pierścień nie wygiął się na tyle, by można było ją dojrzeć już na „ścianie”. A potem znowuż ginęła połknięta przez „niebo”. Wiedzieli, z której strony nadejdzie ofiara, było więc to miejsce idealne na zasadzkę — ujrzą ją, gdy tylko pojawi się na tej śmiertelnej alejce.

Ponieważ byli tym, kim byli i niczego nie pozostawiali przypadkowi — on, jak wiadomo, jest największym wrogiem przestępcy — zabezpieczyli się nawet przed tym, co było równie mało prawdopodobne, jak nagłe trafienie parku przez przelatujący obok meteoryt. Na kilka dni przed akcją (by nikt nie zauważył nagłej różnicy) przyssali do wybranych drzewonów małe, cienkoskóre myślaki, aby pochłonęły mogące zdradzić ich obecność myśli. Zleceniodawca słowem nie wspomniał o telepatycznych zdolnościach ofiary, ale też przypuszczał, że nie będzie to potrzebne — wiedział, komu płaci. Nie wynajmuje się najlepszych tylko po to, żeby załatwili jakiegoś przeciętnego szaraka; najlepszych wynajmuje się do załatwiania najlepszych. To nie zwyczaj, to reguła: po cóż płacić ciężkie pieniądze, skoro za niższą cenę mógłby to zrobić kto inny? Nie, oni byli ci niezastąpieni.

Etka szedł powoli, z tą charakterystyczną delikatnością kaleki, stawiając stopy na szarym paśmie alei. Naparstek obejmujący wskazujący palec lewej ręki informował go nieustannie o odległości od najbliższej przeszkody — Etka poruszał palcem, niby owad czułkiem, odbierając przez nieludzko wyczulony opuszek dane o przestrzeni wokół.

Przed jego zamkniętymi oczyma migotały falujące w ósemkę pasma czerni. Dla niego jednakże nie była to ozdoba, lecz ochrona na te nieliczne chwile, kiedy unosił powieki; ochrona przed nagłym milczeniem, zamieraniem przechodniów w pół ruchu, przed ludźmi. Niepełnosprawny w świecie, gdzie niepełnosprawnych już po prostu nie powinno być, jest czymś więcej niż nieprzyjemnym widokiem — to już obraza.

Był ślepcem, a jednak ślepcem nie był. Jego oczy były martwe, jego oczu już nie było, lecz — widział. Pod nieprawdziwie zielonym niebem szybował leniwie źrenicznik i to on był jego okiem. To siatka komórek ocznych pokrywająca brzuch owego drapieznika przesyłała Normanowi dziwnie wykrzywione obcym zmysłem obrazy parku w dole; rozsiadł się ślepiec w mózgu źrenicznika i opanował go, bez cienia skrupułów wykorzystując jako czasowy przekaźnik. Już dawno ostatnie

przebłyski litości zgasyły w na pół szalonym umyśle Etki, nie tylko dlatego, że i świat nie miał dla niego litości. Norman Orde Etką pogrążony w zawitych kombinacjach wariantowych przyszłości, w straszliwie nieuchronnych wizjach napływających i odpływających na każde skinienie, a czasem i mimo sprzeciwu, w możliwości i niemożliwości, jak zmianie akcentu w niezrozumiałym wyrazie — gdzieś zgubił tę człowieczą niekonsekwencję, te błędnie podejmowane decyzje, chwile wahania. Im bardziej próbował pojąć przeznaczenie, tym bardziej przeznaczenie oplatało go siecią zdarzeń, co jeszcze nie nastąpiły, a już zaistniały w jego umyśle i nie pozostawiały mu wyboru.

A Reflektor sunął za nim krok w krok — to jego łańcuch był w tej chwili najważniejszym punktem wszechświata (według „czyjego” kryterium?). I chociaż łańcuch ten, z jego niezliczonymi, usychającymi systematycznie odgałęzieniami był tak ważny, dla Etki przestał być łańcuchem — on już „wiedział”, że tak naprawdę nie ma żadnych odgałęzień, i mimo, iż nie znał wszystkich ogniów (dlatego był szalony tylko częściowo), tylko Reflektor zauważał, na pozostałych wizjach dostrzegając pieczęć przeznaczenia. To ono było jego wrogiem, to przed nim bronił się zamykając rozpaczliwie umysł, by móc cieszyć się jak największą ilością złudnej władzy nad sobą i swym życiem, by nie zginąć, ostatecznie przygnieciony skończoną wiedzą — zmieniony w robota. Wciąż posiadał „władzę” nad takimi małymi decyzjami: co zjem na obiad, co na kolację; czasami i większych węzłów udawało mu się nie dopuścić do świadomości. Jakże się wówczas delectował wyborem między układami, do których miał się udać!

Doszedł do zakrętu i zatrzymał się. Miał nastąpić atak; mieli go tu zabić. Czemu więc nie atakują? Atakowali. Zaniepokoiło ich trochę jego zatrzymanie się tuż przed zasadzką, bo to akurat było im na rękę, przywódca więc, niejaki Brodziec, przesłał przez obciskające nadgarstki bransoletowe czuwacze sygnał — i pomknęły pociski. Z przylegających do przedramieni miotaczy, niby zwierzątek-maskotek, plunęły w ciszy smugi gradokul. Żadna z nich jednak nie wybuchła — ich mózdzki zaprogramowane miały jako cel tego mężczyznę, jego ciało, a uderzyły z ostrym zgrzytem w alejkę za nim. Przez Etkę przeszły jak przez dym, w ogóle go nie zauważając i nie wyrządzając najmniejszej krzywdy.

Chociaż dusze zapewne zatrzepotały w zabójcach, nie zawahali się ani na moment — trzasnęli w bransolety, które natychmiast rozwinęły się w dżdżownicowate, płaskie, długie a ostre głasnoże, co swym połyskującym metalowym tułowiem objęły prawe dłonie i teleskopowo wystrzeliły dalej, na prawie pół metra.

Nie zdążył Etką nawet nakazać żrenicznikowi zniżyć lot, a mordercy już zeskoczyli na alejkę. Zachybotwały się głasnoże szukając ofiary i skierowały ku Normanowi — jak języki węzów drgały, gdy otaczali go szybko, pewnie zacieśniając krąg. Nie było wątpliwości, kto tu jest ofiarą, a kto myśliwym.

Aż do chwili, gdy Etką próbując zwalczyć obcy kolorystycznie obraz widziany okiem żrenicznika, wyobraził sobie głasnoż, wyobraził sobie jego mozolne przeginanie się do wewnątrz i... Szarpnął silną myślą. Broń zachodzącego go z tyłu zabójcy wywinęła się nagle i dotknęła śmiertelnym końcem piersi właściciela. Chudzielec zwałił się jak ścięty.

Pozostali trzej mordercy na ten widok zareagowali bez namysłu — naprawdę byli najlepsi. Rozszerzyli krąg zamykając dziurę w kordonie, i sięgnęli po Bąki — wszystko to szybko, płynnie; najwyraźniej samo przebywanie w towarzystwie tego człowieka, ofiary, było niebezpieczne. Prawie nie myśleli, działali odruchowo — myśli w takich sytuacjach są za wolne, a poza tym czasami bywają nieodpowiednie.

Norman pozostawił w spokoju żrenicznika, na moment rzeczywiście ślepnąc, i przerzucił się w umysł Brodźca, zagarniając i tłamsząc wszelką wolę. Przeprowadził to tak gładko, że podwładni zniewolonego nie zauważyli różnicy, dopóki opętany nie rozplątał głośnożem sunącego obok do ofiary, zarośniętego bruneta. Wówczas jedyny pozostały przy życiu wolny zabójca odskoczył w bok, a Brodziec — brodźcowato intuicyjnie — przebiegł na jego miejsce. Zagradzając w ten sposób drogę do stojącego nieruchomo, skupionego na obcocięlesnej walce Normana. Ciało chroni mózg.

Ostatni, czerwonooki morderca po raz pierwszy okazał wahanie — uciekać, czy podjąć walkę przeciwko swemu dowódcy, który już dowódcą nie jest? — i skończyło się to dla niego fatalnie. Brodziec zdecydowanym wyrzutem wypuścił z dłoni Bąka. Urządzenie zakreślając w powietrzu nieco nachyloną w stosunku do powierzchni gruntu elipsę pozostawiło za sobą jasną, aż oślepiającą smugę, i przeleciawszy za kilkoma drzewonami, czerwonookim i rosnącym na granicy alejki pnączakiem — wróciło do Brodźca. W chwili gdy złapał je z powrotem, przestrzeń zamknięta w elipsie ścisnęła się do jednego punktu i z mokrym plaśnięciem rozprężyła, połykając świecąca linię przelotu Bąka. Pół tułowia czerwonookiego, kilka rozciętych równo drzewonów i pnączak — grzmotnęło o ziemię.

Następnie Etką nakazał zimną myślą Brodźcowi jeszcze jeden ruch, i przywódca zadźgany przez własny głośnoż miękko osunął się w błoto utworzone z krwi jego towarzyszy i soku pnączaka.

Etką odetchnął głębiej — nie co dzień zdarzało mu się umierać, nawet w cudzej skórze. Wrócił umysłem do żrenicznika i wolną spiralą ściągnął go w dół, najniżej jak potrafił. Potem podjął swój marsz. Za nim leniwie parowała krew.

Za zakrętem alei czekał na niego, wygodnie rozłożony na ławeczce, Erdan Adam. Na widok Normana uniósł elegancko brwi i wskazał miejsce obok siebie.

— Miło mi pana widzieć, panie Etką, czy też... Orde to pana drugie imię?

— Nazwa mojego klanu — rzucił Norman siadając.

— Klanu?

— Pochodzę z Gospodina. O czym pan doskonale wie.

— Jest pan na mnie wściekły, co? — cień uśmiechu.

— Za to, że usiłował mnie pan zabić? Nie.

— Ależ...

— Bo pan wcale nie chciał mnie zabić; tak myślę. To był tylko test. Prawda? Tylko test. Myle się?

— Szybki pan jesteś.

— Och, oczekiwał pan tego ode mnie. Inaczej nie byłbym panu potrzebny. Może teraz się mylę?

— Zastanawiam się, czy nie za szybki.

— Pan się wcale nad tym nie może zastanawiać.

— Takie blefy nie chwycą. Mój umysł jest zamknięty.

— Gdybym był tylko telepatą, również by mnie pan nie potrzebował.

— Skąd...

— Nie jestem pewien, czy to również nie test.

— Co?

— To. Pan. Ta rozmowa.

— Co to znaczy?

— Proszę się nie unosić. Pan naprawdę jest świetnym sobowtórem. Gesty, mimika i tak dalej.

— To..

— Niestety — przerwał mu Etką, wciąż siedząc nieruchomo, z przekolorowanym, żrenicznikowym obrazem w mózgu — są pewne rzeczy, które po prostu wiem, i dlatego jestem potrzebny panu Erdanowi Adamowi, którym, jak już zauważyłem, pan nie jest.

— Chyba to był test, co?

— Możliwe — mruknął sobowtór ciszej, zmieniając pozę. — Mnie o tym nic nie wiadomo.

— Proszę więc powiedzieć, co ma mi pan do powiedzenia.

— A co? To też pan wie? Że powiem?

— Aha.

— ...

— No?

— Chwileczkę.

Sobowtór trwał nieruchomo, niewidzącym wzrokiem gapiąc się na przeciwległą ścianę zieleni (dla Normana był to fiolet) — jak drugi ślepiec.

Wreszcie zamrugnął oczyma i wrócił do rzeczywistości.

— Ma pan wszczepkę? — spytał go Etką.

— Co to pana...

— Zgodził się pan zrobić z siebie niewolnika? Za jakie pieniądze? — ciągnął smutno Norman. — Pozbawić wolności, woli, zdolności podejmowania decyzji. Dlaczego pan to...

— Zamknij się! — syknął sobowtór. — Może jesteś jasnowidzem, ale...

— No? Czterech zawodowców leży tam, kilka metrów stąd. Pan następny?

Wszczepniak ochłonął.

— Pan Adam upoważnił mnie do przekazania panu...

— Hm?

— Zanim jednak to powiem, muszę pana ostrzec. Pan Adam ma pewne kontakty z Braćmi Materii...

Etką zrozumiał aluzję. Tego szantażu nie przewidział. Poprawiło mu to nastrój. Jego szaleństwo miało wiele twarzy.

— Nagrywaliście to? — spytał. — Tę walkę?

— Nie wiem.

— Oczywiście, że nagrywaliście. Wystarczy im pokazać te pociski przechodzące przeze mnie...

Nie musicie mnie wynajmować. Wystarczy zwykły szantaż.

— Pan Adam chce pana wynająć.

— O, to szlachetnie z jego strony. Że nie ograniczył się do bata.

— Mogę mówić?

— Mów, mów.

— ...czy wie pan też, co chcę powiedzieć?

— Chłopcze, nie ma jasnowidzów doskonałych. I w mojej skazie jest skaza. Gdybym znał odpowiedzi na wszystkie Pytania, nie byłoby pytań... Tak, jestem szalony. Pan Adam „yłby idiotą przystępując do układów z szaleńcem, nie mając zabezpieczenia. To szczęście dla niego, że jestem duchownikiem. Mów, mów.

Jacefc Dukaj

— Korporacja Mesjasz, której pan Erdan Adam jest prezesem, jak pan może się orientuje,

zajmuje się specjalistycznymi badaniami religii różnych ras, na zlecenie rządów wielu układów, a także na zlecenie prywatnych placówek naukowych. Posiada ponad osiemdziesiąt stałych stacji orbitalnych i dwadzieścia trzy ziemne, oczywiście na planetach o dopuszczającym to statusie.

— Kogo mogą interesować wierzenia jakichś dzikusów z dalekich planet?

— Są tacy ludzie, zapewniam pana. W ubiegłym studniu Korporacja przyniosła...

— Tak, tak, wierzę.

— Dwadzieścia pięć dni, standartni, temu, na jednej z naszych stacji orbitalnych zdarzył się wypadek... Trzy wypadki. Zginęły trzy osoby. Ponieważ zdarzyło się ich trzy i w tym samym czasie...

— Trudno to uznać za wypadki.

— Właśnie. Nie będę się tu wdawał w szczegóły, w każdym razie...

— Zaraz! A agencje rządowe?

— Słucham? — sobowtór był zimno uprzejmy.

— Dlaczego nie zajęły się tym agencje rządowe? Przecież pracujecie dla rządów, nie?

— Raczy pan zauważyć: dla rządów. Liczba mnoga. Większość prac, które wykonujemy, jest tajna i wpuszczając jedną agencję... Rozumie pan.

— Jak to — tajna? Co tajnego może być...

— Czwarta poprawka do poprawki o planetach patronackich Kongresu — wymamrotał wszczepniak.

— No tak. — Wiele rządów miało chętkę na bogate planety, których mieszkańcy wykazywaliby pożądanie, niski stopień rozwoju.

— Wewnętrzne śledztwo Korporacji niczego nie wykazało. Tak więc... zwracamy się do pana.

Podejmuje się pan?

— Oczywiście.

— Ani chwili namysłu, co?

— Ja musiałem się tego podjąć.

— To też pan wiedział? — spytał Adam, co nie był Adamem, wstając i podając ślepcowi kartę informacyjną. — Z tego dowie się pan reszty. Swoją drogą... czemu nie sprawił pan sobie nowych oczu?

— Nie mogę.

— Nie ma pan dość pieniędzy?

— Pieniądzy? Nie, z tym nie mam kłopotu.

— Loteria, co?

— I owszem. Chociaż tyle mam z tego jasnowidztwa.

— No więc?

— Co?

— Dlaczego nie sprawił pan sobie oczu?

Etka w odpowiedzi podsunął mu lewą dłoń pod nos.

— Pierścień Salomona — oświadczył.

Sobowtór zmarszczył brwi nie rozumiejąc. Żadnego pierścienia — pierścienia w podstawowym tego słowa znaczeniu — Etka nie posiadał.

Norman westchnął.

— Gospodin nie należy do najbardziej rozwiniętych planet. Ludzie z mojej wioski uznali, że

jestem dzieckiem czarownicy i wypalili mi oczy.

— No to co?

— Obłożyli je także klątwą.

— Klątwą?

— Klątwą. Nie mogę mieć nowych oczu.

— Pan wierzy w takie bzdury?

— Och, nie o to chodzi, czy wierzę. Ja wiem, że nie mogę mieć nowych oczu.

Wszczepniak kręcąc z niedowierzaniem głową odwrócił się i ruszył alejką w stronę przeciwną do słupa osi. Po kilku krokach zatrzymał się i ponownie odwrócił.

— A kiedy pan umrze, też pan wie?

— Tak.

— Pan jest szalony.

— Tak. Wiem.

— Pan musi być szalony... — powtarzał sobowtór podejmując swą przerwana wędrówkę w głąb parku.

Etka wsunął kartę do kieszeni i wypuścił powietrze z płuc, rozprostowując plecy. W chwilach napięcia mimowolnie się garbił — ostatnio wciąż chodził przygięty do ziemi.

Zrenicznik na powrót wzbił się wysoko, prawie pod granicę nieba. Przez mózg Normana przesączały się powoli obrazy parku. Jakaś para zapędziwszy się w gąszcz nie mogła znaleźć wyjścia. Siedzieli i rechotali dziko. Ktoś rozpalili ognisko i przypatrywał się dziwnie układającemu się dymowi. Grupa manlarzy zebrała się na szczycie jednego ze wzgórz, zapewne zaraz chwalić się będą, jakie to cierpienia sobie zadali, jak oszukali siebie i innych — coraz więcej ostatnio pojawia się takich sekt. Z bramy słupa wynurzyła się rozwrzeszczana wycieczka niedoletnich. Ruszyli szarą alejką.

Życie toczyło się mozolnie, bez finezji, tą samą koleiną. A Reflektor uparcie spoczywał na Normanie. To on w tym ogłupiałym świecie był najważniejszy. Śmiać mu się z tego chciało.

Tego dnia bogowie mu sprzyjali — ograł w Ślepego Samuraja swego towarzysza podróży, podstarzałego archeologa, co jeszcze samo w sobie nie było niczym dziwnym, bo i nie „oszukując” często wygrywał — lecz gdy szczęście zaczęło go opuszczać, rozbrzmiał sygnał odpalenia i gra skończyła się, pozostawiając mu znaczną część wygranej sumy, i to było oznaką dobrego humoru bogów: zwykle gdy się rozegrał, początkowe zwycięstwa spływały po nim razem z forszą, jak woda, i kończył biedniejszy niż na początku. Ta zasada odnosiła się nie tylko do gry, w życiu tak samo (jeśli tylko pozostawiono mu „wolną rękę”) — początek kusił go wspaniałościami finału, który następował przy jęku żałobnych tręb. Jednak wolał to, niż pasmo zwycięstw, które nie były jego zwycięstwami, a igraszką przeznaczenia.

Wszystko było jego igraszką, ale teraz przynajmniej mógł pozwolić sobie nie zdawać z tego sprawy.

W ciasnym wnętrzu Jaja zapiszczał głos Jeźdźca ogłaszającego czas pozostały do wypchnięcia pasażerów w zwykłą przestrzeń. Norman, archeolog i trzej pozostali podróżni tkwili już w ochronnych kokonach o podobnie białych, przejrzystych powłokach jak powłoka Jaja, wymieniając bezsensowne uwagi, które miały rozładować atmosferę, a jedynie informowały o zdenerwowaniu rozmawiających. Etka swego czasu podróżował w Zwierzętach między gwiazdami częściej, niż

zwykłymi statkami w obrębie układów, między innymi na tym polegała jego praca; i teraz denerwował się bardziej z powodu spodziewanej kontroli na orbicie, niż samego lotu Jajem.

Kiedy wreszcie potężne, niewidoczne, uplecione z mroku mięśnie Zwierzęcia wypchnęły ich z jego wnętrzości w kosmos, poczuł jedynie ulgę — przyspieszenie zamknęło usta gadającym i rozpętała się jedynie stosowna w takich chwilach cisza. Jajo zakreśliło się, rzucając im w oczy pełną panoramę tego punktu przestrzeni. Dla wszystkich, prócz Normana, nie różnił się on od innych niczym; ta sama gwiazdna grochówka. Norman jednak czuł wiele innych rzeczy, których w żaden sposób nikt inny nie mógł odczuć, choć sam widok był dla niego tak samo suchy i niezrozumiały.

Rozłożona na jego czole kolonia komórek zveurxa przekazywała mu obraz o straszliwie wykrzywionej perspektywie, ale w zamkniętych pomieszczeniach nie mógł wykorzystywać niczego innego i pozostało mu pogodzić się z paraboliczną, prostą i łzawą kulą. Prawdziwym jego zmartwieniem było co innego. Przewiezieni przez odławiacz do portówki zostaną prawie przeniecowani. Duchowość Etki, która uratowała mu życie w orbitalnym parku, wyjdzie na jaw — nie ma siły. Po wystąpieniu (wygnaniu) z Mos–Mozu Norman podróżował wyłącznie nielegalnie — Zwierzętami i statkami przemytników, rebeliantów, niezależnych. Teraz, poganiany przez Korporację, nie miał takiej możliwości — musiał legalnie wpakować się w Jajo. Przy starcie Korporacja jakoś go upchnęła bez kontroli, lecz jak sobie poradzi na orbicie Azelfafage II? Tej rzeczy akurat nie wiedział. Erdan Adam nie przejmował się takim drobiazgiem — a powinien. Idiota nie był, czego dowiódł nie raz. Więc? (Zresztą — jak można dowieść, że się nie jest idiotą? Łamigłówni słowne, cholera).

Po godzinie dryfowania w przestrzeni dostrzegli wykluwający się cieniem pośród gwiazd kształt odławiacza. Statek zaszedł ich od tyłu, wyhamował zrównując swoją prędkość z ich prędkością i rozwinął skrzydła. Mroczne powierzchnie zamknęły ich i uniosły, choć nie zdawali sobie z tego sprawy. Chwilę potem błysnęło światło i powłoka Jaja stopiła się w nim jak lód. Kokony otworzyły się i wyszli na rampę objętą zewsząd sieciami asekuracyjnymi. Statek przyspieszał; skokroki stawały się coraz krótsze. Do wrót poczekalni doszli już normalnie.

Przekroczyli jej próg i rozproszyli się po wielkim pomieszczeniu, w którym przebywało już ponad trzydzieścioro odłowionych wcześniej podróżników. Rozmawiali, czytali, odpoczywali, czuwali, posilali się w dajni i opijali w barku. Jednak Etki stanąwszy na wzorzystym dywanie poczekalni nie zrobił już ani jednego kroku: zamarł jak trafiony złodowcem. Ciężkie wrota zawarły się za nim ze stękiem, lecz nawet na ich przełamanie się nie zwróciłby uwagi. Stała się jeszcze jedna rzecz, której nie udało mu się przewidzieć, ale tym razem nie był z tego zadowolony.

Jak dwaj śmiertelni wrogowie, co za moment mają rozpocząć pojedynek, stali na dwóch końcach sali, naprzeciwko siebie, znieruchomiali, cisi i zamknięci na cały świat poza nimi dwoma: on i Obcy.

Mówiono na nich: Obcy — i wiadomo było, o kogo chodzi. Nie było w poznanym kosmosie trzeciej rasy na tak wysokim poziomie rozwoju, by można ją było uznać za partnera. Oni, rzecz jasna, na siebie mówili: ludzie, lecz brzmienie tego słowa nie mogło być przekręcone na użytek ziemskiej nazwy, po prostu dlatego, że nie było takiego brzmienia — porozumiewali się za pomocą wymiennych świadomości. Zostali więc Obcymi (choć śmieszne i banalne było to imię), tym bardziej, że naprawdę byli obcy.

Nie w sensie fizycznym — najlepszy dowód, że oddychali ziemskim powietrzem. Choć wyglądem nie przypominali człowieka — skrzyżowanie modliszki z kretem, a i to naciągane porównanie. Największy dowód antymiłości u Obcych (albowiem coś takiego, jak czysta miłość nie



istniało u nich, taka irracjonalność nie była w ich naturze; co w niej było?) to morderstwo. I tu znowuż trudno wyjaśnić, co to jest antymiałość — na pewno nie nienawiść. Głównie z powodu takich właśnie trudności w porozumieniu się ludzie i Obcy trzymali się od siebie z daleka, nie kontaktując się, a przynajmniej nie wchodząc sobie w drogę. Jeśli już musieli, to zachowywali się jak ten tutaj — ignorowali przedstawicieli innej rasy.

Ten pierwszy kontakt — prawdziwy kontakt, bo pomniejszych cywilizacji pierwotniaków znaleziono sporo — nie dał ludzkości niczego, a mógł dać wiele; Obcy niewątpliwie stali wyżej. Nie było jednak śmiałków, którzy wyprawialiby się w przestrzeń. Ci, którzy na fali pierwszej euforii polecili tam, już nie wrócili. Skoro morderstwo jest u nich dowodem przyjaznych uczuć (czy w ogóle znają coś takiego, jak przyjazne uczucia?), to w takim razie...

Obcy „stał” tuż przy ścianie, grzbiet jego kurtki śmierci dotykał puszystego gobelinu. Mechanizmy ukryte w jego odzieniu bez przerwy zadawały mu ból, a on ten ból spijał jak narkotyk. Żaden człowiek nie potrafił pojąć Obcego, nawet nie próbowano — dlaczego oni tak rozpaczliwie potrzebowali cierpienia, do czego im służyło? Nie było mostowych pojęć, a jeśli były, to jeszcze na nie nie natrafiono; każda rzecz okazywała się być owym wykrzywionym odbiciem. Ciągi myślowe ich i ludzi po prostu się nie przecinały.

Teraz jednak przecięły się łańcuchy Etki i tego Obcego — stali, jak dwaj wrogowie, co mają przystąpić do pojedynku. O co? Musiał być powód, wspólny powód. Rolę tłumacza wzięło na siebie przeznaczenie, to ono ukazywało Normanowi takie, a nie inne obrazy, stawiając go na drodze Obcego. Lecz czy Obcy też był jasnowidzem?

Trwali tak nie zwracając uwagi na innych podróżników, a oni nie zwracali uwagi na nich — jakby ktoś nałożył dwa różne obrazy. Reflektor wszechświata walił w Etkę nieprzerwanym snopem uwagi.

Norman nie mógł oderwać wzroku od Obcego. Nie była to hipnoza, nie zniewolenie, nawet nie widział przymusu stania tak i gapienia się na tego potwora. To coś jak węzeł losu, jak...

— Panie Etko!

— ...

— Panie Etko? — mężczyzna zamachał mu ręką przed oczyma, zanim zdał sobie sprawę, że ma do czynienia ze ślepcem. Kolonia komórek zveurxa była nie do odróżnienia od prawdziwej skóry czoła. Mężczyzna na moment zamilkł skonsternowany.

— Panie Etko, proszę! — stanął przed nim i chwycił go za ramię, mocno ściskając. Był młody, miał na sobie oblun załoganta i wyglądał na przestraszonego.

Etko oprzytomniał.

— Co?

— Pan jest Normanem Orde Etką, tak?

— Owszem...

— Proszę za mną.

— Słucham?

— Proszę za mną — załogant przybrał zrozpaczony wyraz twarzy. — Panie Etko, bardzo pana proszę...

— Idę. Pan jest z Korporacji, co?

— Korporacji? Korporacji? Panie Etko...

— Dobrze, dobrze, chodźmy. Poszli.

Zagłębili się w labirynt wielopodłogowych korytarzy przystosowanych do lotów nieważkościowych, który wreszcie wypuł ich w luk awaryjny nr 6, gdzie pulsowało światło dehermetyzacji jednej z szalup. Młodzieniec prawie wepchnął do niej Etkę, ciągle oglądając się za siebie i mruczając pod nosem coś o własnej głupocie. Wyszeptał na pożegnanie jakieś informacje o kursie i zniknął. Po jego wyjściu szalupa automatycznie zasklepiła się.

Etkę spytał mózg o kurs. Był już wytyczony. Ekran rozkwitł jego trójwymiarowym obrazem: cienkiej, poskręcanej nitki prowadzącej na orbitę księżycy Azelfafage IV, przez większą część ciągnącej się łagodnym łukiem, a przy końcu płaczącej się w grawitacyjnym szaleństwie.

Szalupa została wypchnięta ze statku i po kilku minutach swobodnego dryfowania włączyła silniki. Norman rozplaszczony w kokonie kolejnymi korekcyjnymi salwami myślał o tym, jak daleko sięgają macki Korporacji. Teraz rzeczywiście nie będzie musiał poddawać się kontroli w porcie.

Korporacja była potężna, Adam był potężny. Czy nie za potężny, jak na prezesa zwykłej agencji badawczej?

— Hej tam, przeznaczenie! Twoja lalka wykonała kolejny ruch.

Gdy tylko trzasnęło za nimi złącze kabiny, odcinając ją od reszty stacji, Etkę wyczuł w zamiarach Ananiasha kłamstwo.

Główny nadzorca Sekobby był niesamowicie chudym, wysokim człowiekiem, o zaskakująco małej twarzy i rozpełzłym na niej dziwnym uśmiechu gościnności. Chodził przygięty do ziemi, podobnie jak Norman w chwilach zdenerwowania, ale u niego wyglądało to na stały zwyczaj — jakby nawet ta namiastka ciężenia w Pasie stanowiła dla niego udrękę. Poruszał się tak długimi krokami, że Etkę musiał podbiegać, by go dogonić. Zdyszał się, nim dotarli do przejścia z osi (do której na moment przycumowała szalupa, by zaraz odlecieć pusta, jedynie z ładunkiem wybuchowym w tylnej części) do przydzielonej mu kabiny.

Ananiash usiadł w sidłaku wystawiając swe długie, kościste nogi przed siebie i wskazał Normanowi przyścienną pufę. Najwyraźniej wiedział o kolonii zveurxa. Gdy Etkę uspokajał oddech, Nadzorca rozsunął drzwiczki i wyjął zeń dwie wąskoszyjne szklanki, rżnięte w zawile wzory, oraz butelkę Quinocca. Uniósł pytająco brwi. Etkę pokręcił głową. Wyczuwał kłamstwo i coś jeszcze, wolał więc pozostawać na pełnych obrotach.

— Powiedziano mi, że od pana otrzymam odpowiedzi na wszystkie moje pytania.

Ananiash skinął głową.

— Mnie powiedziano, bym tych odpowiedzi udzielił — kłamał. — Proszę więc pytać.

— Przede wszystkim chciałbym usłyszeć wszystko, co pan wie o tych... wypadkach. Poskąpiono mi informacji. A w końcu pan, jako dowódca stacji...

— Nie jestem dowódcą stacji.

— Jak to?

— Pełna nazwa mojego stanowiska brzmi: Główny Nadzorca Personelu Technicznego Stacji Badawczej Sekobba Korporacji Mesjasz. Tylko personelu technicznego. Nad naukowym nie mam żadnej władzy. Nad nimi chyba nikt nie ma władzy. W obrębie swoich specjalności mają przełożonych, ale tak w ogóle... Wolne stado.

— Tak, czy inaczej, jest pan jedynym dowódcą tutaj, skoro oni żadnego nie mają...

— Można i tak. — A więc?

Ananiash westchnął.

— Proszę. Czterdzieści dni temu...

— Czterdzieści?

— Och. Cykl dzienny naszej stacji dostosowany jest do cyklu Zagnova, i różni się nieco od standardowego. Czterdzieści naszych dni temu, kilka minut po drugiej, nieznormalizowanej, godzinie — szczegóły może pan wyciągnąć z mózgu — znaleziono zwłoki pierwszego ze zmarłych, inżyniera historyka, Stockpoffa. Usy Stockpoffa.

— Kto znalazł?

— Nikt.

Co pan przez to rozumie? Same się znalazły?

— Można to i tak określić.

— A inaczej?

— Widzi pan, my tu prowadzimy różne tajne... hm...

— Mówiono mi o tym. Poprawka poprawki i takie tam.

— No właśnie... Kłamstwo? Niedopowiedzenie?

— I co z tego? — Norman splótł palce w pancerzyk. „Zaślepiiony” napastrzek powodował uporczywe swędzenie opuszka.

— Pan Adam życzył sobie, by na wszystkich placówkach Korporacji, które zajmują się badaniami pod pieczęcią, zostały zamontowane systemy KOS-a.

Etkka zmarszczył brwi.

— Macie tu pełnego KOS-a?

— Pełnego nieee... Sieć publiczna. Korytarze, sale operatorów, obserwatoria, badaniówki, hale. Prywatne pomieszczenia nie.

— I KOS wykrył to ciało? — Niezupełnie.

— Co to jest, na Chresa, w dwadzieścia pytań mam się bawić?!

Ananiash teatralnie westchnął.

— Sprawa nie jest prosta. Rankiem tamtego dnia ktoś wyczyścił zupełnie KOS-a i nasz mózg został przełączony na jego przegląd i uruchomienie. Dopiero koło drugiej KOS ruszył.

— Co za bajki mi tu pan wstawia?! KOS-a nie da się wyczyścić. Nie da się nawet spróbować. System zamknięcia dwustronnego.

Ananiash uśmiechnął się przeproszająco.

— Nasz został wyczyszczony.

Etkka za pasami czerni zamrugał uderzony obrazem.

— Przepraszam. Proszę mówić dalej.

— Ich KOS naprawdę został złamany!

— Kiedy tylko ruszył, wykrył ciało na trzecim poziomie hali próbników. A właściwie to mózg je wykrył, wówczas leciał jeszcze z KOS-em na próbnej pętli.

— Ktoś miał jeszcze wątpliwości, czy to był wypadek? Złamanie systemu i...

Główny Nadzorca zignorował pytanie.

— Stockpoff miał rozpruty brzuch, od mostka do krocza. Kiedy wyszliśmy zza zakrętu w otwartą śluzę, najpierw zobaczyliśmy jego wnętrzności. Były rozwleczone przez pół poziomu — pokręcił głową. — Widok... niezapomniany.

— Kto konkretnie go tam znalazł? To znaczy, kto pierwszy był na miejscu, jak zaalarmował was KOS?

— Ja i jeszcze dwóch ludzi. Ponieważ mózg był nieczynny i wyłączenie KOS-a to była sensacja dnia, chyba wszyscy byli w głównej operacyjnej — no, prawie wszyscy — i równocześnie zobaczyliśmy go na ekranach. Wtedy wziąłem dwóch ludzi, Kalemata i Żelemskiego i... pogналиśmy tam.

— Jak to w ogóle mogło być sklasyfikowane jako wypadek? Jak można przez przypadek popełnić takie harakiri?

— Co?

— Harakiri. Samobójstwo. A, nieważne.

Etka przyzwyczał się, iż wiele obiegowych pojęć z Gospodina w świecie bardziej cywilizowanym, bardziej posuniętym w dziele grzebania przeszłości pod rosnącą w postępie geometrycznym masą cudów teraźniejszości — po prostu zginęło. I nawet po tylu latach — łapał się na słownych przebiciach z dzieciństwa.

Ananiash pociągnął Quinocca.

— Widzi pan, hala próbników znajduje się w Kuli, która jest częścią głównej osi. W tej hali prowadzi się remonty, przeglądy i tak dalej; wszystkiego, co wysyłamy na Zagnova. Mnóstwo tam ostrych krawędzi. A w nieważkości... To duże pomieszczenie. Wystarczy nieodpowiednie odbicie. Są zabezpieczenia, ale... mogło się zdarzyć. Nie miał jak wyhamować i nadział się.

— A ci dwaj następni?

— Jedna z nich to kobieta. Skurrude, bez imienia.

— Z Mienioo?

— Otóż to. I heretyczka. Skurrude i tyle — jeszcze jeden łyk Quinocca. — Była religioznawcą trzeciego stopnia. Prowadziła Soudeny. To takie wyspy na Zagnovie. Chodzi mi o...

— Rozumiem. Nadzór terenowy.

— Była kierowniczką działu... Piękna kobieta.

— Do jakiego stopnia była heretyczka?

— Och, to...

— Partnera nie miała? Stałego?

W ogóle. Prawdę mówiąc, nie wiem, czemu ją wygnano z Mienioo. I czemu tutaj ją przydzielono.

— Miał pan przez nią kłopoty?

— Pan jest telepatą i...

— I.

— Mógłbym...

— Póki ludzie mnie szanują, ja szanuję ludzi.

— Pan Adam mógł panu kazać...

— Nie, pan Adam nie kazał mi się włamywać do waszych mózgow. Poza tym wszyscy, jak leci, macie tu blokady. Kosztowne to utajnienie.

— Ale...

— Tak. Pozostaje to „i”.

Nadzorca odstawił szklankę.

— Owszem, miałem przez nią kłopoty. Miałem nawet próbę gwałtu.

— O?

— Udusiła faceta gołymi rękami.

— Mienioo — stwierdził Etko z lekkim uśmiechem.

— W każdym calu.

— No i co się stało z tą waszą żelazną dziewczicą? Przepraszam. Lubił ją pan; przynajmniej. Nie, nie włamałem się. Powiedziałem. Proszę się nauczyć panować nad swoją twarzą.

— Nie ma pan zbyt wielu przyjaciół.

— Nie mam żadnego. Słucham, słucham.

— Stosunek kobiet do mężczyzn na stacji wynosi mniej więcej dwa do trzech, ale ona naprawdę była... Gdyby nie pochodziła z Mienioo, z jej urodą i figurą — a zwłaszcza figurą, mogłaby zostać gwiazdą Solo.

— Gdyby nie pochodziła z Mienioo, nie zadusiłaby tego faceta. Co się z tym potem stało?

— Z czym?

— Nie było sprawy o morderstwo? A tak, tajne badania.

— Właśnie. Zresztą mało kto go żałował. Tego gwałciciela.

— Wróćmy do sprawy.

— No więc... Powiesiła się.

— Co?!

— Tak też na to zareagowałem. Żeby Mienioonka... Ale ona naprawdę się powiesiła. W swojej własnej kabinie. — Ananiash demonstracyjnie podrzucił butelkę. — W takim ciężeniu...

— Oczywiście KOS nie zarejestrował, kto ostatni do niej wchodził?

— Oczywiście. Ktoś z jej zespołu wpadł tam, żeby jej powiedzieć o Stockpoffie i tak ją znaleziono.

— Musiano ją powiesić, zanim jeszcze system się włączył.

— Jasno stawia pan sprawę.

— Sprowadzono mnie tutaj, żebym stwierdził, iż to nie są wypadki i udowodnił to. Do udowadniania ściągają się debili z policji. Jak przypuszczam, trzeci „wypadek” zdarzył się również podczas ślepoty KOS-a. Tak, może pan używać przy mnie słowa „ślepoty”.

— Mam nadzieję, że nie będę musiał często przeprowadzać z panem takich rozmów.

— ...

— Ma pan rację. Żwuna znaleziono w jednym z próbników. Był mechanikiem, pracował wtedy nad jakimś jego podsystemem.

— Pracował w tej hali próbników, w której wypatroszono Stockpoffa? A właśnie, znaleziono na jakiejś z tych pana ostrych krawędzi ślady jego wypadku?

— Znaleziono.

— Dokładny był ten zabójca. No i co z tym Żwunem? Zawał serca?

Ananiash wydał wargi.

— Udusił się zamknięty w bocznym pojemniku próbnika. Pokrywa musiała się zatrzaskać.

— Wszystko jest możliwe, wystarczy tylko odpowiednio silnie w to wierzyć.

— Panie Etko, jeśli myśli pan, że ja wierzę w te bzdurne „wypadki”, w takie zbiegi okoliczności...

— To jestem idiotą. Nie. Nie myślę, żeby ktokolwiek na stacji miał co do tego wątpliwości. Nie zatrudniacie tu półgłówków.

Ananiash ponuro przytaknął.

— Dwie próby linczu przez czterdzieści dni. I to przyspiesza. Dla tych na zewnątrz to mogą być wypadki — machnął ręką. — I my tak mówimy. Ale każdy nosi skalpel w kieszeni. Taka jest prawda.

I jeżeli pan szybko tej sprawy nie skończy, to atmosfera jeszcze się pogorszy. Już i tak prawie nikt nie pracuje.

— Może o to chodziło.

— Hm...?

Proszę posłuchać mojej teoryjki. Z tego, co pan powiedział, wnoszę, iż Stockpoff i Skurrude byli głównymi naukowcami stacji — sondował Norman. — Jeśli zamiarem mordercy było zatrzymanie badań, to przez ich zabójstwo zyskiwał podwójną korzyść. Nie tylko stwarzał atmosferę zagrożenia i niepewności, która w takich zamkniętych obiektach jest równie trująca jak simitoll, ale jednocześnie wyciął dwa z podstawowych umysłów — badania stają.

— A Żwun...

— Żwun musiał się nawinąć przypadkiem podczas szlachtowania Stockpoffa.

— Widzi pan... Wariant wypadków ma jedną zaletę. Niemałą zaletę.

— Wiem. KOS.

— KOS — potwierdził Ananiash. — Z przypadkową awarią systemu wszyscy są w stanie się pogodzić, ale jeśli działał morderca, to on musiał złamać KOS-a, by móc mordować. Rzecz w tym, że KOS jest nie do złamania — westchnienie.

— Ale sam pan mówił, że ktoś go wyczyścił.

— I również mówiłem, że nikt nie wierzy w wypadki. Ale równocześnie nikt nie wierzy w to, że istnieje sposób złamania zamknięcia dwustronnego. To jest szaleństwo.

Zostało ponad wszelką wątpliwość udowodnione, że złamanie systemów zamknięcia dwustronnego jest niemożliwe. Tego uczono małe dzieci zaraz po  $E=mc^2$ .

— Mam nadzieję, że będę mógł się swobodnie poruszać po stacji, zadawać pytania...

— Oczywiście.

To było to! Ślad kłamstwa, niedomówienia, zamknięcia.

Gdyby nie te blokady... Etką bynajmniej nie miał takich obiekcji natury moralnej przed podglądaniem cudzych umysłów, jakie zadeklarował.

— Chciałbym także zobaczyć ciała.

— A to po co? Przeprowadziliśmy dokładne badania. Zginęli taką, a nie inną śmiercią. Może mi pan wierzyć.

— Ja panu wierzę. Zapomina pan jednak o tym moim „i”.

Ananiash wstał i wzruszył ramionami.

— Jak pan chce — w drzwiach obrócił się. — Aha. Zapewne zauważył pan, że mamy teraz noc...

— Niech pan się nie obawia. Aż taki gorliwy to ja nie jestem. Zacznę rano.

— No to dobranoc.

— Wzajemnie. A Quinocca może pan zostawić. Łyknę sobie przed snem.

Nadzorca wściekły rzucił mu butelkę i zniknął w korytarzu. Drzwi za nim trzasnęły też jakoś tak gniewnie.

Etką wstawił butelkę z powrotem do schowka i włączył przeziernik. Zawsze najlepiej się otwierał, kiedy przed okiem, czy oczyma, którymi akurat się posługiwał, migwały w szalonym tempie wiadomości z różnych kątów galaktyki, które nikogo tak naprawdę nie obchodziły. W ich powodzi, lawinie nieopanowanej, wychwytywał jakiś szczegół — i na jego podstawie budował obraz.

Przez przestrzeń przeziernika przewalał się prawdziwy obraz Zjednoczonej Floty Izraela znowu przez kogoś atakowanej, po sprzątnięciu jej sprzed nosa kolejnej planety, która już miała być ich.

Głos spikera przeszedł w szemranie i zaginął wreszcie, pozostawiając tylko wizję. Norman macał przyszłość.

Miał wrażenie — wrażenie — że zanim się dowie, co tu się stało czterdzieści dni temu, będzie się musiał dowiedzieć tego, czego Ananiash nie powiedział, a co również tu się działo, a nie było bez znaczenia dla tych zabójstw. Znowu mu czegoś nie powiedziano, znowu zmuszano do przegryzania kolejnych warstw pianowych atrap. Następny test?

Pospolite owo wrażenie zniknęło i pojawiło się następne, bardziej ciężkie, odległe i nieludzkie. To będzie trudna noc.

Stacja orbitalna Sekobba składała się z dwóch części. Główną — z konstrukcyjnego punktu widzenia — stanowiła oś, dookoła której biegł Pas — część ważniejsza z punktu widzenia mieszkańców Sekobby; stacja miała standartową budowę, niezbyt odbiegającą od tysięcy innych próżniowych puszek rozsianych po galaktyce. Na „górnym” końcu osi umieszczony był dyskowaty zlepek urządzeń komunikacyjnych, obserwatoriów, a trochę niżej ośmiokąt zaczepny, przy którym aktualnie cumowały dwa stateczki. „Dolny” koniec wybrzuszał się Kulą: gruszkowa tym garażem sond, próbników i wszelakiego ruchomego żelastwa. Pas obiegający oś w dwóch trzecich jej „wysokości” mieścił wszystkie pozostałe pomieszczenia, na najniższych poziomach — mieszkalne.

Sekobba okrążała Zagnova po wysokiej orbicie, która bardzo często zmieniała się i musiała być korygowana — Azelfafage IV była układowym śmietnikiem. Niemal gwiazdną masą (jedna z największych znanych planet) zgarniała wszelkie kosmiczne rupiecie. Ze swymi pięćdziesięcioma sześcioma księżycami o planetarnych masach i niezliczonymi pomniejszych satelitami była układem w układzie. Stacja okrążała Zagnova, osiemnasty, co do wielkości, księżyc olbrzymia, na którym życie wykrzywiło twarz w krzywym uśmiechu inteligencji.

Zagnov, nazwany tak od marki ulubionych papierosów odkrywcy, miał nieco ponad 10 tys. km średnicy, lecz ze względu na nieprawdopodobne skupienie ciężkich pierwiastków w jądrze posiadał masę przewyższającą wzorcową masę ziemską. Jego atmosfera składała się w przeważającej części z gazów szlachetnych, po czym szedł tlen, azot, chlor i para wodna. Ponad pięć szóstych powierzchni Zagnova zajmowały oceany, niesamowicie wręcz zasolone, na pozostałe zaś 184,5 mln km<sup>2</sup> jedna trzecia przypadała na czapy lodowe. W efekcie tych skrawków stałego lądu, którymi był upstrzony, nie można było nazwać kontynentami: Zagnov był planetą wysp.

Azelfafage IV okrążały swe słońce, gwiazdę o typie widmowym B3, w czasie 458,47 standartdni. Znajdowała się na granicy ekosfery, lecz jako taki gigant — karykatura planety, że prawie gwiazda (choć jej albedo nie przekraczało 80%) nie była zdolna do splotzenia życia — takiego, które dostrzegłby człowiek — za to jej dzieci, z urodzenia, czy też adoptowane przez pułapkę jej wielkiej masy — na nich życie aż trzęsło się od przełamywania form i praw. Zagnov celował między nimi, jako najbardziej zaawansowany w dziele rozwoju, i to na nim kamieniowate zbarakła przezierały swe żołądkomózgi ku inteligencji. Sekobba przyglądała się temu procesowi z mroków kosmosu już półtora tysiąca standartdni.

W układzie Azelfafage życie rzygnęło również na drugą planetę, i tam znajdowało się ubogie „centrum” i portówka. Nie było jednak wielu chętnych do osiedlania się tutaj: daleko od szlaków i blisko Obcych.

W trzy godziny po tym, jak przez skomplikowane, delikatne pasma pierścieni giganta strzeliły pierwsze promienie wynurzającego się zza niego słońca i Zagnov zapłonął purpurą, i stacja błysnęła

kryształowym blaskiem — nastął dla ludzi „dzień”. Etką dotrzymał słowa: poczekał na sygnał początku podstawowego cyklu, nim rozesłał przez interkodeo wezwania do siebie. Przebywał tu jak najbardziej oficjalnie — z punktu widzenia Korporacji.

— Czym się pan zajmuje?

Odpowiedź.

— Naprawdę?

Odpowiedź (niemrawa).

— To interesujące. A jak... szczegółowe pytanie. Odpowiedź (szczegółów unikająca, a sypiąca danymi, w których pytający powinien się pogubić — pozornie entuzjastyczna).

— Nie sądzi pan... — zapytanie o sprawę, która według Etki tego człowieka powinna najbardziej ukłuć.

Odpowiedź (wściekło–pokorna, przerywana przymilnymi wstawkami w głębi duszy podgrywana przekleństwami).

A Norman wsłuchiwał się w brzmienie każdego słowa; każdy gest, minę, a jeszcze bardziej w to, co niewidoczne, co tylko on mógł spostrzec — poddawał drobiazgowej analizie.

I tak to szło.

Przesłuchawszy pięć osób wiedział już dość, by pozwolić sobie na dokładne wejrzenie w łańcuchy możliwości. Och, to było takie łatwe, tak bardzo mu przypisane — musiało się stać. Szedł krętą ścieżką, lecz w odróżnieniu od wszystkich innych ścieżek, nie wiedział, co znajdzie na jej końcu. Wiedział, gdzie on jest i kiedy do niego dojdzie, i czego doświadczy podczas drogi, ale ostateczna maska tej przepowiedni była przed nim zakryta. I teraz już nie miał pojęcia — czy cieszyć się z tego, jak cieszyłby się jeszcze niedawno z takiej odrobiny wolności, czy też kląć, że akurat w tym momencie, najmniej odpowiednim (dla niego, i nie tylko) przyszłość zamknęła się przed nim.

Drogę jednak znał.

Zablokował drzwi i z przepastnego traka wygrzebał kartę, na której znajdował się między innymi symbol specjalnej ziarnikówki Erdana Adama — do użycia tylko w nagłych wypadkach! Wystukał go i zażądał błyskawicznego połączenia. Z takiej zapadłej dziury nawet błyskawiczne nie było błyskawiczne, i prezes Korporacji Mesjasz wykwitł w przezierniku po ponad pół godzinie.

Najwyraźniej został wyrwany ze snu — sam w kokonie przyćmionego blasku ścian spalni. Jak się można było spodziewać, sobowtór nie różnił się od niego nawet kształtem zmarszczek gniewu, które ścinały się na czole Adama w chwilach takich, jak ta.

— Mam nadzieję, panie Etko, że posiada już pan jakieś konkretne wyniki, skoro...

— ...ośmielam się budzić wielkiego prezesa? I przerywać mu? O, mam wyniki, mam.

— Więc?

Etko żałował, że przegrodzony od Adama setkami lat świetlnych może polegać jedynie na słuchu i, straszliwie wykrzywionym wzroku. Zlizanie szczątków uczuć prezesa z jego blokady umysłowej wiele by mu dało. Musiał się jednak zadowolić tym, co ma. Przynajmniej miał pewność, że rozmawia z autentycznym prezesem; angażowanie sobowtóra, teraz, kiedy ze strony tak odległego Normana nic nie groziło, mogłoby tylko utrudnić rozmowę.

— Mam wyniki, ale, że się wyrażę tak melodramatycznie, nie takie, jak pan myśli.

— Och.

— Och — przytaknął Etko. — Następny test?

— Nie rozumiem, o czym pan, do cholery, gada!



— Noo, musi mieć pan pewność, zanim odkryje karty. Tak, to byłoby przykre, dać się złapać na tak prosty blef. Niestety, a może na szczęście, bo jak już mówiłem, nie wiem, czy to nie test — to nie jest blef. Ja zacznę mówić, a jak pan stwierdzi, że przekroczyłem granicę przypadku, może mi pan przerwać i zaprezentować swoją wersję.

— Co za mowa.

— I dalszy ciąg. Była sobie Korporacja. Korporacja naukowa, której placówki rozrzucone były po połowie galaktyki, Korporacja z odpowiednimi pozwoleniami i wspaniałymi, legalnymi podkładami. I był sobie prezes tej Korporacji. Prezes miał pomysły. A jeden największy, jego wspaniały Pomysł. Umiał też liczyć. I pomyślał sobie: co mi szkodzi? Pomysł dobry, jak każdy inny, a nawet lepszy, a sumka też większa od każdej innej, jaką mógłbym w ten sposób wyciągnąć, wyciągnijmy więc w inny. Ponieważ może mieć pan kłopoty ze zrozumieniem tego Pomysłu, wyłuszczę go dokładnie. Są planety bogate i planety biedne — swymi zasobami, rzecz jasna. Tymi drugimi nikt się nie interesuje, za to te pierwsze... Te pierwsze chętnie widziałyby pod swoją kuratelą wszystkie rządy. Istnieje jednak pewna przeszkoda. Planet bogatych jest mało, a na dodatek żyją na nich jakieś pokurcze, które z mocy idiotycznego prawa są posiadaczami tych bogactw, chociaż nie zdają sobie z tego sprawy, a nawet gdyby zrozumiały, na czym siedzą, to i tak nie miałyby co z tym zrobić. Toż to marnotrawstwo! Kongres był innego zdania i rządy musiały obejść się smakiem. Istnieje jednak i pewien haczyk, zawsze istnieje jakiś haczyk. Mianowicie: zwierzęta nie mogą posiadać niczego. A granica między istotą inteligentną, stojącą na bardzo niskim poziomie rozwoju i do tego obcą nie do pojęcia, a zwierzęciem, jest prawie niedostrzegalna. Kongres jednak ją dostrzegł i podzielił planety: na niczyje i nietykalne. Ale zawsze może się okazać, że był w błędzie, prawda? Że jakaś „cywilizacja” to pomyłka i w rzeczywistości pospolite bydło. Przylatuje druga komisja i ze zdumieniem kręci głowami. Patrzcie państwo, jak to się wszystko zmieniło! Rzeczywiście, przecież to tylko zwierzęta. Całkiem przypadkiem na orbicie tej niczyjej nagle planety znajduje się stacja Korporacji naszego pomyslowego prezesa. Wyjaśnienie...

— Daruje sobie pan dalszy ciąg tych idiotyzmów? — przerwał mu Adam.

— Jeśli idiotyzmów, to nie.

— Świetnie. Jak pan chce — to był test, a pan go zdał. Norman odprężył się.

— Przypuszczam, że teraz zaprezentuje mi pan swoją wersję...

— Gdyby pan nie wiedział: wszystkie kanały moich stacji są kodowane systemem dwustronnie zamkniętym, jeśli to jeszcze cokolwiek znaczy. Dlatego zaprezentuję panu moją prawdziwą wersję. A także dlatego, że gdybym zechciał...

— Tak?

— Pana nie ma, panie Etko. Wiem. Zginałem w tej szalupie. Skąd...? Ach, no tak, jasnowidz.

— Jasnowidz.

— Tak. Ma pan rację. Oficjalnie już pan nie istnieje.

— A nieoficjalnie?

— A nieoficjalnie może pan przestać istnieć w każdej chwili. Znajduje się pan na jednej z placówek Korporacji i ja tam jestem prawem, a to znaczy, że prawa nie ma. Czy pan mnie zrozumiał?

— Jak najbardziej. Szantaż w szantażu.

— Otóż to. Ja wiem, pan jest telepatą, jasnowidzem, duchownikiem i czymś tam jeszcze... Ale właśnie dlatego, że jest pan tym, kim jest...

— Bracia Materii...

— Między innymi. Pan po prostu nie ma innego wyjścia, jak skończyć dla mnie tę robotę. A ten test, jak go pan nazywa, był mimowolny. I tak miałem panu powiedzieć prawdę.

— Pana pracownicy jej nie mówili.

— Nie mogli. Jeszcze nie zezwoliłem.

— Po co ta cała maskarada?

— Słucham?

— Maskarada. Gra. Udawanie.

— To bardzo proste. Pan nie mógł się dowiedzieć prawdy, póki nie był pod całkowitą kontrolą.

Na Sekobbie jest pan pod nią.

— A teraz otworzy pan przede mną wrota tajemnicy. — Pan mi nie wierzy.

— Wręcz przeciwnie. Ta bajęda to była dekoracja, musiałem coś takiego stworzyć, bo miałem za mało danych, a wiedziałem, że powie mi pan prawdę, dopiero gdy tak postawię sprawę. Nie uwierzy pan, od jakich głupot zależą czasami największe decyzje. Rząd może podać się do dymisji tylko dlatego, że jakiś żebrak miał katar. Nie żartuję. Wszystko zależy od długości łańcucha. No tak... Proszę mówić.

— Ile jeszcze pan wie?

— Tłumaczyłem to temu wszczepniakowi. Nie wiem wszystkiego. Nie mogę wiedzieć. Prowadzę ciągłą grę, i jej kolejne fragmenty pojawiają się dopiero, gdy ułożę poprzednie, i wtedy tamte giną w terażniejszości. To jak schody w ciemności. Idzie pan po nich z nadzieją, że następny stopień nie jest spróchniały. Ja wiem, który jest spróchniały, a który nie, ale to nie uwalnia mnie od konieczności wspinania się. Zresztą, wiedza o tych stopniach — zdarzeniach — i tak zwykle objawia się „za późno”. Po prostu, jak to pan stwierdził, nie mam wyboru. Dookoła mojej przyszłości widzę wiele rzeczy, lecz droga moja pozostaje w ciemności, dopóki nie przetnie się z czymś, co świeci własnym światłem, co przychodzi spoza niej. Wtedy mogę przewidzieć własną przyszłość, mogę...

— Powiedział pan, że zna datę swej śmierci.

— Tak. Koniec jest oświetlony. — „Dlaczego?”

— Tyle pan wie, a jednak nie może mi pan powiedzieć, kto...

— Ja i przeznaczenie jesteśmy wrogami. W takim sensie, w jakim pana wrogiem jest robak, któremu stawia pan na drodze kamyki, żdźbła trawy, ziarna piasku. Wszyscy jesteśmy takimi robakami, lecz nie zdając sobie sprawy z własnego położenia, możemy być szczęśliwi pozorami władzy nad sobą. Ja widzę więcej, i to jest moje przekleństwo. Jakie to tragiczne, prawda? Cóż za gadka...

— Pan musi być nieszczęśliwy.

— O wiele łatwiej jest powiedzieć: szalony. Zresztą — cóż to jest szczęście?

— Szczęście, panie Etko, to nieświadomość nieszczęścia. Może mi pan wierzyć; w tym to ja jestem specjalistą.

— Dlaczego ci, którzy powinni być szczęśliwi, właśnie nie są?

— Lepiej już zejźmy z tego. — Adam ułożył się wygodniej. — Wciąż nie mogę zrozumieć, jak to jest, że jasnowidz nie zna przyszłości.

— Bardzo prosto. To jak ze zgubionymi rzeczami. Znajdują się wtedy, gdy są niepotrzebne. Kiedy chcę znaleźć rozwiązanie jakiegoś problemu, to właśnie ten łańcuch gdzieś ginie. A te zbędne walą we mnie obrazami, że muszę zamykać umysł. Poza tym rozwiązania tej zagadki należy szukać w przeszłości, a nie przyszłości. Będę musiał znaleźć, a po części stworzyć, łańcuch jej rozwiązania,

żeby z niego je odczytać, i stworzyć ten łańcuch, i tak dalej. Potrzebny mi jest jednak jakiś zapalnik, iskra. Cokolwiek — szczegół: przedmiot, słowo, gest, sytuacja. Właśnie dlatego nie jestem w stanie zbudować żadnej konstrukcji, dopóki moja rzeczywistość tego łańcucha będzie nieprzystająca. Wiem, że wyrażam się mętnie, kiedy byłem mały, też próbowano opisać mi kolory...

Pan nie od początku był telepatą?

— Ale od początku ślepy. Z tego też proponuję zejść. Miał mi pan opowiedzieć prawdziwą wersję.

— Nie tak to sobie planowałem. Cóż... — Erdan Adam potarł czoło — Korporacja Mesjasz jest agendą Kongresu. Dosłownie. Te zlecenia rządów różnych układów, badania, poprawki do poprawek — to wszystko fikcja, przykrywka. W rzeczywistości jesteśmy ręką Kongresu, a ja też nie jestem prawdziwym prezesem, tylko z nadania. Miałem być wyższym komisarzem, ale to jest nawet więcej niż komisarstwo. Chcę, żeby pan zrozumiał, jak wielką wagę Kongres przywiązuje do tej sprawy. Pamięta pan katastrofę „Stufona”?

— Krążownik MosMoza zestrzelił przez pomyłkę pasażerski liniowiec.

— To nie była pomyłka. Na pokładzie tego liniowca znajdował się człowiek, który mógł zagrozić Korporacji, jej istnieniu i celom. Więc Kongres wydał rozkaz, a MosMoz go wykonał.

— Tego nie wiedziałem. Ciekawe, coż takiego robi ta pana, no, Kongresu, Korporacja, że piętnaście tysięcy ludzi przy tym to nic.

— Cierpliwości. Jeszcze jedna sprawa. Czy wie pan, że Obcy wypowiedzieli nam wojnę?

— Co?!

— Wypowiedzieli nam wojnę, a my ją przyjęliśmy, rozumie pan, przyjęliśmy wojnę, i tylko dlatego jeszcze żyjemy.

— To jakaś parodia...

— Teraz mogę...

— Chwileczkę!

— A co? Kłamię?

W głowie Etki splątało się kilka przyszłości.

— Nie. Przepraszam.

— Głównym i nadrzędnym celem Korporacji — podjął Erdan — jest ochrona interesów ludzkości. To znaczy niedopuszczenie, by powtórzyła się sytuacja z Obcymi, dla których pokój oznacza wojnę, z którymi nie można się porozumieć, bo żądają śmierci negocjatorów w dowód przyjaźni, która zresztą chyba u nich nie istnieje. Obcy fizycznie stosunkowo mało się od nas różnią, w każdym razie w skali galaktycznej są niemal braćmi, lecz psychicznie... — dmuchnął, odpędzając jakieś wspomnienie. — Dlatego podjęto decyzję o stworzeniu agencji, która pod przykrywką badawczej korporacji kontrolowałaby i wpływała na rozwój innych ras. Ras, z którymi prędzej czy później — bo nie jest powiedziane, że wszystkie cywilizacje muszą się rozwijać w tym samym tempie — będziemy się musieli spotkać jak z równymi i wówczas... Nie chcemy mieć więcej takich Obcych.

— Utaczacie więc tych pierwotniaków na nasz obraz i podobieństwo.

— Nie fizycznie. Ograniczamy się do psychiki. Staramy się już teraz jak najbardziej ją skrócić w naszym kierunku, wciągnąć na nasz tor. Jako optymalny środek, jak już się pan zapewne domyślił, stosujemy religię. Każda, którąkolwiek z ras by pan nie wskazał, każda ma jakieś tam wierzenia, i my wchodzimy w nie, sterujemy nimi; one są rylcem, którym kształtujemy drogę rozwoju myślowego, tor

osobowości, charakter przyszłych cywilizacji.

— Jak...?

— Och, sprawy techniczne, to akurat najmniejszy problem. Naprawdę myśli pan, że tak trudno odgrywać bogów przed jaskiniowcami, chociażby — prezes krzywo się uśmiechnął — byli to jaskiniowcy z trzema nogami, czy mózgami?

— Ale...

— Oczywiście, nie możemy wyjść poza ograniczenia fizyczne; stopniujemy wzorce i kierując, i zmieniając ich religie, czynimy ich bardziej „człowieczymi”. No, proszę pomyśleć, czym byłaby teraz ludzkość, gdyby tysiące lat temu te wszystkie religie, wierzenia... Gdyby Jezus miał pięć żon, gdyby Budda był kobietą, gdyby dobrem było zło, czy jak byśmy to nie nazywali; odwrócenie pojęć... Bylibyśmy zupełnie inną cywilizacją, „ludźmi” według zupełnie innego wzorca, a pan, ja, tacy jak teraz — obcy. Obcy. Rozumie pan? Może pan sobie wyobrazić lepsze narzędzie, niż wiara? Nie mówię już: religia; wiara. — Adam Pytając rozłożył ręce i na moment zastygł w tej pozie, jakby wyczekując od jasnowidza odpowiedzi — jesteśmy Intergalaktycznym Mesjaszem. Tak, jesteśmy brutalni, bezwzględni, ale wchodzimy w ich umysły nie dla zysku, jak to pan przedstawił, ale po to, by ochronić te przyszłe biliony rozsiane po galaktyce; żeby nie musiały stanąć pewnego dnia naprzeciw takich wyrafinowanych technicznie istot, dla których zabójstwo jest pocałunkiem miłości, że się posłużę najbliższym przykładem; stanąć i co zrobić? — walczyć, nie walczyć, tak jak z Obcymi wojować „pokojem”? Tak to wygląda. Zdaję sobie sprawę, że niezbyt pięknie, ale nie ma innego wyjścia. Coś takiego jak sumienie nie wchodzi tu w grę. Sumienie pojedynczych ludzi nie może decydować o losach ludzkości.

— Wie pan, kto podobnie myślał?

— Moim zadaniem nie jest przekonanie pana do celów Korporacji! Mam umożliwić rozwiązanie sprawy tych zabójstw — powiedział: „zabójstw” — i czynię to. Poinformuję Ananiasha, by ogłosił zdjęcie... cenzury. Szczegółów technicznych dowie się pan od niego.

— Wchodźcie z butami w największe świętości tych...

— To nie pański interes, w co wchodzimy. Chce się pan im najać za adwokata?

— Panie Adam, jestem zbyt wielkim egoistą, żeby przejmować się uczuciami mówiących kamieni z jakiegoś pod—planetarnego bagna. Ja po prostu usiłuję zrozumieć... Muszę zrozumieć. Zwykły człowiek lepiej zniósłby taką rewelację. Dotychczas to ja byłem najlepiej poinformowany. Chcę tylko zrozumieć — powtórzył Etk.

— No? — warknął zniecierpliwiony Erdan. — Czego pan nie rozumie?

— To dziwne, że nie macie problemu ze sterowaniem rozwojem tylu różnych ras, a z jednymi Obcymi nie możecie dać sobie rady.

— Proszę pana, żeby porozumieć się z Obcymi, trzeba ich pojąć. Tego nie dokona żaden człowiek...

W głowie Normana coś zadrgało. „Czyżby?”

— ...natomiast żeby ucłowieczać takie prawie zwierzęta, wystarczy fachowość i technika. Wcale nie zależy nam na zrozumieniu ich. To właśnie dlatego to robimy: żebyśmy nie musieli się wczuwać w jakieś pokraczne filozofie. Nie możemy natomiast pokierować Obcymi. Coś jeszcze?

— Tak. Religia. Dlaczego ona?

— Proszę mi powiedzieć, co robili starożytni ziemscy odkrywcy, chcąc nawiązać handel z dzikusami z dziczy? Przywozili misjonarzy. Prymitywne to było i szło na żywioł, misjonarze leżeli w

tę dzicz w charakterze mięsa armatniego, ale skutkowało. Myśli pan, że gdyby ludożercy nie zaczęli wierzyć w zbawienie duszy, to tak łatwo poszedłby naszym przodkom ich podbój? Nie mówię, że by się im nie udało, ale czy tak łatwo? Walka psychologiczna jest znacznie bardziej skuteczna od krwawych jatek i mniej bolesna, choć akurat z tym możnaby się spierać.

„To niebezpieczna gra. Bogowie tak łatwo nie poddadzą się”.

— Ale żeby tak uogólniać... To jest niemożliwe, żeby każda rasa wierzyła w duchy, czy inne takie. Przecież...

— Te dane są zatajane i fałszowane, ale właśnie tak jest. Każda z poznanych ras posiada religie. Nikt nie jest wyjątkiem. Każdy w coś wierzy. Pan na przykład wierzy w to swoje przeznaczenie. Jest pana Szatanem, wrogiem, ale wierzy pan w nie. Wiara jest naturalnym dopełnieniem wiedzy. W takiej czy innej postaci znajdzie ją pan u każdego, nawet u tych, którzy wierzą w to, że nie wierzą. I w tym tkwi siła Korporacji. — Erdan znowu potarł czoło. — Nie wiem, jak tam, ale u mnie zaczyna świtać. Prezes tak potężnej i bogatej korporacji musi dobrze wyglądać. Żegnam. W razie czego — do Ananiasha.

— Jeszcze jedno! Dlaczego ja? Przecież Kongres...

— Na to pytanie zna pan odpowiedź. Nie będę mówił, że jest pan najlepszy, bo nie istnieją uniwersalne kryteria oceny, ale niewątpliwie drugiego takiego w galaktyce nie ma.

Adam zniknął.

Etka natomiast za dużo już wiedział, by nawet próbować sprzeciwiać się przeznaczeniu. Z tępych uporem przystąpił do poszukiwania tej swojej iskry, czegokolwiek. Tak musiało być.

Blask Reflektora parzył jego wolę.

Obejrzał te trzy ciała ścięte w przechowywaczu w skale. Były ułożone w kolejności znalezienia, a ponieważ Adam zakazał, nie zcofano ich, i leżeli mesjaszowcy jak zginęli; z ciężkimi stygmatami śmierci utrwaleni. Stockpoff rozcięty prawie na pół, z przykrywającymi go — jak Chrystusa nienaturalna szata biodrowa — szarokrwistymi wnętrznościami. Skurrude z wytrzeszczem oczu, których nikt nie zamknął, uszanowano bowiem jej pochodzenie; i straszliwą pręgą popękanej skóry na szyi, co była niegdyś bosko gładka. Żwun, który po śmierci, zauważalnej tylko przez straszliwy bezruch, wyglądał jak za życia — nijako. Nikt nie przeszkadzał Normanowi, gdy tak szukał pomocy — przeszłości — w trupiarni.

Ananiash poinformował załogę, iż nie obowiązuje już ich milczenie w tajnych sprawach Korporacji, co przyjęli z ulgą, lecz bynajmniej nie stali się przez to bardziej rozmowni. Etka nadal musiał z nich wszystko niemal wyciągać. Blokady, w które Korporacja zaopatruje każdego pracownika, teraz stały się przeszkodą: gdyby nie one, po prostu wejrzałby po kolei do umysłów — i znalazł mordercę. A tak czuł się jak psychiatra, któremu zakazano rozmowy z pacjentem. Nie był detektywem — wewnętrzna policja Korporacji, w której pracowali na pewno specjaliści najwyższej klasy, niczego nie wykryła — jego „praca” polegała nie na mozolnym gromadzeniu i analizowaniu danych. Od niego oczekiwano nagłego i ostatecznego przebłysku intuicji, jasnowidztwa, wrażenia — a to nie nadchodziło. Z upływem czasu Ananiash coraz krzywiej na niego patrzył, a i załoga nie darzyła go sympatią; w każdej chwili mógł wskazać na jednego z nich jako na mordercę. Lecz Norman już dawno uniezależnił się od uczuć. Po prostu ewoluował.

— Skoro nic nie możesz znaleźć — mówił Nadzorca — to przekaż taką wiadomość. Nic nie znalazłeś.

— Chyba nie zależy ci na tym, żeby tak to wszystko zostało?

— Oczywiście, że nie. Możesz być pewien, że po twoim odlocie tak to nie zostanie.

Norman wzruszał ramionami. Ananiash już się poddał; on nie mógł. Przeznaczenie. (Człowiek został obdarzony rozumem i wolną wolą; jaki byłby teraz, gdyby nie wierzył w to złudzenie?)

Zwiedził całą stację, a nie była ona mała — z tymi wszystkimi korytarzami, magazynami, laboratoriami, Kulą, gdzie skonali Stockpoff i Żwun, i salami operacyjnymi, skąd kierowano mechanicznymi duchami, stalowokrzemowymi aniołami i holograficznymi bogami; skąd zsyłano na brudnego Zagnova przekleństwa, błogosławieństwa, objawienia; gdzie naprawdę mieściło się elektroniczne niebo i zawarte w niezniszczalnych, kryształowych pamięciach piekło. Żaden szczegół nie zapalił w Etce ognia, od którego mogłaby się zająć przyszłość. Gdyby nie to, iż wiedział, że tak być musi, zapewne porwałby się na jakieś szaleństwo. Atmosfera naprawdę była trująca.

Rozmawiał z informatykami, którym z chwilą złamania KOS-a zawalił się świat. Ta ich część, która nie była ogarnięta fatalizmem, przekonywała go o przypadkowości tych trzech śmierci, lecz słuchał tego z niesmakiem. Ich argumenty były jękami rozpaczki skazywanych na śmierć.

Gdy nadeszła ta chwila, w której miało mu się objawić rozwiązanie, a znał ją od początku, czuł tylko zmęczenie i niechęć — już do wszystkiego; niesmakiem napawał go świat.

Siedział w rogu mesy i przyglądał się rozmawiającym niemrawo technikom.

Zaraz — zaraz — zaraz — już!

Przez te wszystkie dni wykonywał posłusznie czynności podsuwane mu przez przeznaczenie, by łańcuch mógł się dopełnić chwilą wglądu w pączkujący ciąg jego wiedzy o zabójcy. Jeden łańcuch skończył się, drugi zaczął.

Norman poderwał się jak szalony i rzucił w kierunku czterech ponurych techników. Przez moment przyglądali mu się ze zdumieniem, potem jeden z nich, wysoki brodac z ciemnymi oczami, wstał i pognął nie oglądając się w boczny korytarz. Etką, smutny jeszcze jednym zwycięstwem przeznaczenia, sunął za nim.

W tak małym ciężeniu biegli bardziej odepchnięciami od ścian, niż właściwymi krokami. Technik kluczył, mając nadzieję, iż jako lepiej znający stację zgubi Etkę, lecz Norman na długo wcześniej, niż on o tym pomyślał, wiedział, gdzie skręci — i mogliby tak gonić przez Sekobbę do zmęczenia jednego z nich, gdyby brodac nie wpadł na wychodzącą z magazynu parę. Rzuciło ich w przeciwne strony i technik w panice pociągnął się w bok, żeby nie wlecieć na pędzącego za nim Etkę. Miał pecha — to był ślepy zaułek. Norman natychmiast wyhamował, zawrócił i stanął w przejściu.

Długie polowanie zbiegami łańcuchów możliwości dobiegło końca.

Technik dyszał ciężko, jakby przygnieciony czolnym spojrzeniem jasnowidza. Był dokładnym, doskonałym mordercą, lecz nie mógł uciec przed przyszłością. Nie popełnił błędu: błąd tkwił w założeniu — tak musiało się stać. Etką, Po raz kolejny w swym przeklętym życiu, został świadomym sługą losu (w odróżnieniu od wszystkich innych — nieświadomych), jego pięścią, wykonawcą. Podobnie brodac — sam był częścią wszechogarniającej terażniejszości.

Norman wolno podszedł do niego.

— Teraz...

Morderca szybkim jak myśl ruchem sięgnął do kieszeni po nornóż, włączył go i rzucił. Etką w tak ciasnym zaułku nie miał jak się uchylić. Rozprężył się więc i zduchował swe ciało, a nornóż przeszedł przez nie, podobnie jak pociski najemników, nie czyniąc szkody. Z sykiem zagłębił się w wykładzinę przeciwległej ściany. Technik wytrzeszczył oczy.

Norman wziął głęboki oddech i uderzył w blokadę mordercy; aż stracił na moment kontakt z

kolonią komórek ocznych i oślepl. Brodacz jęknął.

Nie można złamać blokady, lecz można ją „ścisnąć”, wydusić myśli; te myśli, których strzępki dotąd — właśnie mimo blokad — zlizywał Etką z umysłów rozmówców, rozpoznając kłamstwo i prawdę, strach i niedopowiedzenie. Niebezpieczny jest to sposób — zarówno dla przesłuchującego, jak i dla przesłuchiwanego; torturom równoważny. Na pewno nie niezauważalny.

Technik cierpiał straszliwe męki, gnieciony obcą wolą. Wił się i szlochał. Norman nie potrafił się dobrać do jego świadomości, ale był w stanie zmusić go do odpowiadania na pytania, i do mówienia prawdy. Z blokadą — to było nieprawdopodobne osiągnięcie.

— Dlaczego ich zabiłeś?

— Oooo... musiałem...

— Dlaczego?

— Ka—zali mi!

— Kto?

— Hhh...

— Kto?!

— Oni!

— Kto? Kto ci kazał ich zabić?

— Nie mogę... nie mogę!

— Jak złamałeś KOS—a?

— To oni... powiedzieli mi... kazali...

— Kto?

— Nie mogę... ja nie mogę! Hhh...

— Mów! .

Morderca rzucał się jak przypiekany.

— Mów! Kto?

— Oni...

Technik się powtarzał; Norman tracił siły. Zabójca, jak na razie, nie powiedział mu niczego. Jakby miał wszczepkę.

— A dlaczego? Co takiego zrobili, że musieli zginąć?

— Tak, musieli zginąć...

— Ale dlaczego?

— Bo... — brodacz wyprężył się, jakby wąż ukąsił go w plecy.

I eksplodował.

Krew, kawałki ciała, kości — poleciały we wszystkie strony. W zupełnej ciszy, jeśli nie liczyć cichego plaśnięcia rozrywanego ciała i chlupotu tryskającej posoki.

Etkę ten wybuch rzucił o ścianę. Cały w czerwieni i szczątkach mordercy, stał oniemiały i wsłuchiwał się uchem woli w czyjąś potężną obecność, co cofała się teraz po wykonaniu zadania — i złamaniu przyszłości.

Para naukowców, których morderca odrzucił w zderzeniu, wróciła teraz i gapiła się na korytarz i zaulek, jak wyjęte z horroru.

— Co tu się...?

Etką ocknął się z transu, w którym przyszłość defilowała mu szalonymi wizjami.

— Nie żyje — powiedział wciąż oszołomiony, i ruszył równym krokiem szubienicznika do

swojej kabiny, by zawiadomić Adama, o czym nie będzie mógł go zawiadomić. I tak dowie się z zapisu KOS-a. A to, czego się nie dowie...

Zdawało się, że dzień nie minął od ich poprzedniego spotkania w tym parku. To samo niebo, ta sama dzika roślinność. Lecz tym razem Etką pozostał przy zveurxie, uznając źrenicznika za niewygodnego, bo nie dość, że posiada wolę, to jeszcze się samodzielnie porusza i trzeba nim kierować — za dużo by skupiał uwagi. Norman chciał być wolny, jak tylko pozwalało mu na to jego przekleństwo.

Szedł tą samą szarą alejką; nie było na niej zasadzki. Tym razem zwrócony na niego Reflektor wszechświata znalazł swe odbicie w terażniejszości — Etką był najważniejszy, a przynajmniej tak sądzili ci, którzy decydowali (czy wydawało się im, że decydują) o ważności ludzi. Norman, rzecz jasna, wiedział, że jego cena dla tych ludzi jest złudna, wiedział już wszystko — tak blisko światła końca nic nie mogło się ukryć — lecz nie robiło mu to różnicy. Nic już nie robiło mu różnicy. Tak, był szalony. Musiał być.

Ten sektor parku został zamknięty dla spacerowiczów pod pretekstem śledztwa w sprawie tych czterech niedawnych morderstw, i objęty Kontrolą Całkowitą — takie wpływy miała Korporacja, to znaczy Konkres. Etką postawił sprawę jasno: nie może być mowy o sobowtórach, ani innych takich. Prezes musi przybyć osobiście. Prezes przybył osobiście i dlatego przeprowadzono taką mobilizację — przez Kontrolę Całkowitą nic się nie przebije; kula, promień, głos, myśl — nic. Teraz cały sektor był pusty i tylko oni dwaj w tym sektorze, znowuż jak przed pojedynkiem: on i Erdan Adam.

Autentyczny prezes czekał na niego w tym samym miejscu, co jego sobowtór czternaście standardni temu.

Gdy Norman podszedł do ławki, Erdan poderwał się i zrobił krok w tył.

— Nie zbliżaj się — ostrzegł. — Kontrola jest obsadzona moimi ludźmi. Kichnij na mnie, źle pomyśl — i zasypiasz.

— A zabić się mnie nie odważycie.

— Oczywiście. A diabli wiedzą, co ci strzeli do łba. Jesteś szalony, nie pamiętasz? — na odległość byłeś „panem”, teraz tylko „tym szaleńcem”. Ponieważ „ci szaleńcy” z bliska są czymś więcej, niż oryginalnymi potworkami. Mogą cię dotknąć.

Norman skinął głową i dziwnie ciężko usiadł na ławce. Prezes stał dwa metry od niego. Etką zdawał się go nie zauważać. Wystawił twarz do pseudosłońca i z lekkim uśmiechem trwał tak, jakby zamierzał się opalić w jego promieniach.

— Podoba mi się ten park — mruknął.

— I dlatego mnie tu ściągnąłeś? Nie mogłeś mi powiedzieć ze stacji? W co ty grasz? A może myślisz, że jak już wykonasz zadanie, to każę się ciebie pozbyć — a na stacji wygodniej? Etką! A może honorarium...

— Nie. Mnie się po prostu podoba ten park. Naprawdę.

— No? Świetnie, podoba ci się. I co dalej? Mów, do cholery!

— Czym się tak denerwujesz? — głos Normana był niesamowicie spokojny.

— Czym się denerwuję? Czym się denerwuję? Ludzie mi giną...

— Znowu?

— Tak, znowu! W innej stacji, czterech głównych naukowców zarżniętych jak świnię, nie ma mowy o wypadkach, po prostu zarżnięci, śledztwo niczego nie może wykazać, stoją w miejscu. A ten



się bawi w wielkiego człowieka! Powiesz wreszcie, kto za tym stoi? No?

— Nie denerwuj się, powiem ci, chociaż nie, właściwie nie powiem...

— Etko, ty sukinsynu...

— Piękny park.

Erdan zagryzł wargi.

— Dokąd to będziesz ciągnął?

Norman odwrócił twarz od słońca.

— Nawet sobie nie zdajesz sprawy, jaki teraz jesteś...

— No? Śmieszny?

— A—tam. Słuchaj. Ten technik z Sekobby i wszyscy następni mordercy, którzy ni z tego, ni z owego będą się pojawiać, działają na zlecenie, a raczej z przymusu, z woli kogoś, komu zależy na tym, żeby Mesjasz zaprzestał swej roboty.

— Co za odkrycie.

— Nie przerywaj mi. Muszę cię tak podprowadzać, nie mogę wszystkiego powiedzieć naraz, potem zrozumiesz dlaczego. W gruncie rzeczy to takie proste, że aż dziw, że jeszcze nikt na to nie wpadł. Ja ci tego nie powiem, to znaczy nie tak, jak myślisz, powiem, ale... To, co potem pomyślisz, co będzie tak oczywiste — to nieprawda. Słyszysz? Zapamiętaj to. To, co się wyda idealnym rozwiązaniem, nie jest nim. — Reflektor zaczął zbaczać.

— A co nim jest?

— Tego nie mogę ci powiedzieć. Ale słuchaj dalej. Niech to się już skończy. No, komu może zależeć na tym, żeby przyszłe cywilizacje nie były podobne do ludzkości? Towarzystwu Ochrony Uciśnionych Ras? Niewątpliwie. Ale Towarzystwo nie złamie KOS—a, a temu mordercy powiedziano, jak to zrobić, jak zrobić to, co niemożliwe. Kto? No?

— Gdybym wiedział...

KOS został napisany przez ludzi, stworzony w oparciu o ludzką wiedzę i ludzki sposób myślenia. Nie podchodź, odsuń się. Dla kogoś, kto nie jest ograniczony takim schematem...

I eksplodował.

Ludzie z Kontroli zaszemrali w ucho Erdana. Bardzo przepraszamy, ale... nie wiemy, co... jak to się stało... kto to..

Adam, uczerwieniony jak kilka dni temu Norman, zamarł w pół ruchu. Jego oczy patrzyły na nieziemską roślinność oblepioną szczątkami jasnowidza, co znał datę swej śmierci, na alejkę, ławkę, pnącza upstrzone ciepłymi kawałkami ciała — ale umysł oddzielnie biegł swoimi ścieżkami.

**Zatrzymaj się!**

Spacerująca na wzgórzu sąsiedniego sektora manlarka ujrzawszy eksplozję Normana, zdarła z siebie ubranie i zaczęła w natchnieniu kaleczyć się długimi paznokciami, albowiem cierpienie potrzebne jej było do życia jak narkotyk. Wyła przy tym ze szczęścia i nieszczęścia, bo wniebowzięta była w tym bólu, i upodlona w radości, ale Erdan otoczony Całkowitą Kontrolą, która okazała się nie być taką całkowitą, nie słyszał wycia, tylko obraz do niego docierał — i to wystarczyło. **Stop!**

„To, co się wyda idealnym rozwiązaniem, nie jest nim”. Czy jego przeznaczeniem było powiedzieć to?

Stał tak, czerwony od ofiarnej krwi gwałconej po raz kolejny przyszłości, i starał się nie myśleć.

Gdzieś coś — ktoś — czekało, obserwując; gotowe w każdej chwili do ingerencji. Zgodnie z wzorcem.

Nie myśleć. Tylko nie myśl...

*kwiecień (wrzesień) 1991*

## Jacek Dukaj

*Urodził się w 1974 roku, mieszka w Tarnowie. Mając piętnaście lat wysłał na konkurs „Fantastyki” opowiadanie „Złota Galera”, które wprawilo w zdumienie i wzbudziło zawiść kilku moich znajomych, a stało się tak bynajmniej nie z powodu młodego wieku autora (nie widzę tu nic szokującego, to, że nastolatki potrafią, pokazał przed laty choćby Marek Pąckiński), lecz dojrzałości i tzw. sprawności warsztatowej w debiutanckim przecież opowiadaniu. Wkrótce mogliśmy się zapoznać z innymi tekstami Dukaja — „Śmierć Matadora” („Nowa Fantastyka”, 1/91) i „Opętani” („Fenix”, 1/91) — które pokazały, że nie mamy do czynienia z autorem jednego tekstu.*

*Wydawnictwo REPORTER zapowiada autorski zbiór opowiadań Dukaja, on sam zaś pracuje w tej chwili nad dużą powieścią.*

## O „Spotkaniu na końcu drogi”

*Od czasów biblijnych, z ich niewątpliwą prostotą stosunków społecznych, kontakty człowieka z Bogiem mocno się skomplikowały. Patriarchowie obcowali z Nim niemal na równej stopie, ale już Mojżesz widywał Boga jedynie pod rozmaitymi maskującymi postaciami, i choć był Jego poufałym, to swobodnego przystępu doń nie miał.*

*Potem łączność stała się jeszcze trudniejsza — potrzebni byli do tego wieszczowie i prorocy nawiedzani przez sny i wieloznaczne objawienia, aż w końcu Pan na dobre skrył się w niebiosach.*

*Jezus, co prawda, przestawał za pan brat i wodził się z ludzką hałastrą po Palestynie, ale od momentu jego ukrzyżowania, do kontaktów Boga z niebezpiecznym dlań człowiekiem stało się według wielu konieczne zbudowanie urządzenia komunikacyjnego, zwanego Kościołem. Jak każdy urząd, podzielił się on na departamenty, wydziały, biura i komórki — mechanizm ten funkcjonuje wyłącznie dla siebie samego, czerpiąc jednakowoż soki z komunikantów z jednej strony, oraz wydając zaświadczenia, zezwolenia, zakazy i nakazy, wpływając na losy jednostek i całego świata z drugiej.*

*Co zatem mieliby sobie do powiedzenia Bóg i szef tego urzędu — papież, gdyby przy końcu świata stanęli oko w oko, na Ziemi jeszcze bardziej pustej, niż w zaraniu historii?*

*Mirosław P. Jabłoński*

# Spotkanie na końcu drogi

Telestyczne, zachodzące słońce oparzało niezdrową, przedagonalną purpurą kopuły budynków Citta del Vaticano i leżącego poniżej opustoszałe wymarłego Wiecznego Miasta. Jego uliczki wypełniała kalejdoskopowa mozaika granatowych cieni i krwawych blasków. W czarnych, głucho—studziennych zaułkach zwielokrotnione ciszą piski, skowyty i bulgotliwe rżenia świadczyły o morderczych walkach szczurów z bezpańskimi już teraz psami i kotami pożerającymi padlinę. Poza tym panował bolesny bezruch i cisza. Zamknięte pod hermetycznymi kloszami drzewa więdły statecznie pozbawione dopływu wody, którą tknięte mechaniczną dementia praecox urządzenia nawadniające zapomniały dostarczać z podziemnego morza Sahary.

— Pić... — wyszeptał umierający jedyny mieszkaniec miasta, a może i całej Ziemi. — Pić...

Wielka renesansowa sala, w której konał ospale na łożu z wyżartym przez czas baldachimem, powtórzyła szyderczo jego szept i z bezczelnym chichotem, który wyklął się zza stojących w zakurzonym cieniu rzeźb, zwróciła go starcowi. Zapadła znów cisza, przerywana paciorkami chrapnięć mozolnego oddechu umierającego.

Komuś, kto stałby w tym leniwym, spowalniającym swój bieg czasie na jednym z niepotrzebnych rzymskich mostów zdawać by się mogło, że wody w Tybrze jest w bród — w dole poruszało się coś błyskotliwie i czerwieniało odbitym światłem chorego słońca, ale kundel chudy kościstością przywodzącą na myśl obrazy kubistów i wędrujący z Via Appia Nuova w stronę Wzgórz Watykańskich, choć spragniony, nie dał się na to nabrać. Liczne liszajowate, ledwo zagojone rany na jego pysku, łapach i soczewkowo wklęsłych bokach świadczyły, iż wie, że wyschniętym, spękany i twardym jak klinkier korytem rzeki wędrują do Morza Tyrreńskiego miriady szczurów, których sierść — lśniaca zbrodniczo po niedawnych orgiastycznych ucztach — odbija blaski puchnącego, gorejącego słońca niczym lekka fala rzeczna, marszczona delikatnym podmuchem znad Kwirynału.

— Pić... — wyszeptał znowu umierający i ż niespodziewaną siłą targnął szarfę dzwonka u wezłowania łóżka zapominając, że wokół nie ma już nikogo. Wstęga materii została mu w spotniałej dłoni, nie usłyszał żadnego dźwięku; prawdopodobnie dzwonek urwał się już dawno temu, lub odłączono go w czasie, kiedy starzec dopiero zaczął umierać i ciągłym dzwonieniem niepokoił znerwicowaną służbę.

Wychudły kundel po wejściu na most zawahał się lękliwie. Przyczyną tego nie była żywa, szemrząca zgrzytem pazurków i tchnąca śmiercią rzeka, a przerażające w swej nieodpartości wrażenie, że mimo iż na moście nie dostrzegał nikogo, wyczuwał jednak czyjąś obezwładniającą obecność.

*Obecność przerażającą lękiem.*

Pies zaczął drzeć na całym wyliniałym ciele, podkulił ogon pod siebie i przykucnął wyszczerzywszy kły ze strachu, ale nie był nawet zdolny do cofania się — zmarł wstrząsany cholerycznymi drgawkami. Zdawało mu się, że ktoś potężnie niewidzialny stoi na moście i patrzy w

dół. A potem upiorne wrażenie minęło. Kundel rozejrzał się, już bardziej zdziwiony niż przestraszony, otrzepał jak po wyjściu z wody i znowu poczuł pragnienie. Mimo, iż był dużo inteligentniejszy od swych psich przodków (a to za sprawą ciągłego przestawiania z ludźmi, niezwykle sprytnymi w pośpiesznym dążeniu do samozagłady), nie był w stanie zanalizować w swym pomniejszonym mózgu niedawnego zajścia. Zwłaszcza, że węch był dla jego rasy ważniejszym drogowskazem na krętych, wytyczanych kopniakami ścieżkach trudnej koegzystencji, niż wzrok mający nierzadko obiecankami psiego raję.

Zaczął nerwowo węszyć — sam nie wiedział, czy w poszukiwaniu śladów przepadłej wilgoci, czy starając się dociec, co go spotkało przed chwilą. Wszędzie czuł pustkę i pylistą suchość. Zrezygnowany zwiesił łeb i wtedy, przy samej niegościnniej ziemi, odkrył strzęp woni tak nieoczekiwanej i nieprawdopodobnej, iż zamarł rozpaczliwie nie wierząc w nią, czy nie rozpoznając. Nagle, w bolesnym olśnieniu uwierzył — zapach człowieka!

Po pierwszej, poddańczej radości skonstatował, że człowiek ten umiera, a nawet być może już skonał z ulgą w odległym i niewiadomym miejscu, a zapach, który czuje, jest niczym światło odległych o milionlecia gwiazd.

*Które nie istnieją.*

Musiał się spieszyć. Pies ruszył z nosem przy ziemi, a potem, gdy woń stawała się coraz wyraźniejsza gwałcąc jego wyposzczone nozdrza, pognął przed siebie na sztywnych łapach, robiąc ciężko bokami z wycieńczenia.

— Pić — powtórzył z denerwującym uporem człowiek.

*Który umierał.*

Mówił to z przyzwyczajenia, jakby przekonany, że samym usilnym powtarzaniem tego zaklęcia wywoła ze złośliwego niebytu jeżeli nie deszcz, to chociaż szklanek wody. Przez moment był nawet przekonany, iż tak się stało — w otoczeniu zaszła jakaś zastanawiająca zmiana, której subtelnego charakteru nie był w stanie uchwycić. Może majaczył zresztą, był przecież bardzo stary, umierał pierwszy raz w życiu i bardzo się do tej czynności przykładał. Jego duch wyrwał się w zaświaty, daleko poza historyczne mury pałacu, poza kolumnadę Berniniego i dalej — poza granice Stato della Citta del Vaticano, poza obwodnię Grandę Ricordo Annulare, daleko poza Ziemię w końcu.

*W nieznanie.*

Spragniony usiłował się podnieść rachitycznie, ale niemal natychmiast z bezwładnością bryły wysychającej gliny opadł na szarą od jego potu poduszkę — zdążył zauważyć tylko coś na kształt monstrualnie rozdętej i zdeformowanej greckiej amfory czarno—figurowej — kopuła bazyliki za jego oknem z jednej strony płonęła bezgłośnie purpurą, z drugiej tajała czernią. Wzgórza, w tym Watykańskie, korzystały niechętnie z resztek czerwonego światła słońca; doliny Tybru, Aniene, Marco Simone i promieniście rozchodzących się z Capus Mundi dróg — Via Tiburtina, Via Portuense, Via Aurelia czy Via Salaria krył podstępny mrok. Zapalały się już samoczynnie pierwsze latarnie, zasilane z ładowanych przemocą za dnia solarnych baterii.

Wyczekujący na śmierć usłyszał kroki na posadzce. Słuch, jak zwykle w chwilach impotencji innych zmysłów, miał wyczulony strunnie. Nawet się nie zdziwił. Kroki rozlegały się gdzieś bardzo daleko jeszcze — nie był nawet pewien, czy w samym pałacu, czy też może w bazylice, skąd akrosoniczne echo przynosi je do jego sypialni, czy może ktoś złowieszco przechadza się po bibliotece lub muzeum watykańskim.

Był jedynym człowiekiem na osieroconej planecie, więc mógł to wszystko słyszeć

nietoperzowym zmysłem, wszystkie dźwięki przeznaczone były wyłącznie dla jego pożyłkowanych, pergaminowych uszu.

— Ktoś wrócił — pomyślał bez sensu.

Bo nikt nie mógł powrócić stamtąd, dokąd odeszli wszyscy.

*Zapominając o nim.*

Goniący resztkami sił kundel również usłyszał kroki i zatrzymał się, spazmatycznie strzygąc uszami. Zwiesił biały, obłożony gorączkowo jęzor i dyszał. Wokół robiło się ciemniej, ale wcale nie chłodniej — mury domów, zziajane jeszcze niedawno od pośpiechu trotuary, stojące bezzasadnie i śmierdzące gumą, olejem i rozgrzaną blachą samochody milczkiem oddawały ciepło. Pies ruszył powoli w górę, a mrok potulnie postępował za nim. Kundlowi zdawało się, że słyszy właśnie kroki ciemności, bo czuł nadal tylko jednego człowieka — wiekowego, umierającego ze starczym mazołem, bo w tym wieku wszystko przychodzi okrutnie trudno — a słyszał chód innego, który nie wydawał woni, ani nie odbijał światła.

*Który był.*

— Pić — wypowiedział zakłęcie umierający, kiedy kroki — jak wahadło w punkcie zwrotu — zamarły na chwilę przed otwartymi dla Niej zachęcająco drzwiami, a po chwili rozbrzmiewały już wewnątrz. — Pić...

Ktoś wszedł uroczyście do komnaty i leżący starzec przestał odczuwać pragnienie. Zaskoczony nawet zapomniał, że łaknął jeszcze przed chwilą.

*Która trwała i była piękna.*

Z przyzwyczajenia wywołanego długim pontyfikatem, zbyt długim, jak to teraz przenikliwie wiedział, zastanowił się, dlaczego Szwajcarzy wpuścili obcego, ale wnet przypomniał sobie, iż nacja wytrwale dostarczająca od wieków strażników jego królestwa wymarła wiele lat temu od dobrobytu.

Przybyły istotnie wyglądał na obcego, choć jednocześnie na nieprzyjemnie znajomego — starcowi kojarzył się z asyryjskimi płaskorzeźbami, jak te alabastrowe z pałacu w Niniwie, czy Durszarrukin. Przybrany w powłóczystą szatę bogato tkaną złotem, z czarnymi, starannie pokarbowanymi włosami głowy i prostokątnie przystrzyżonej brody oraz ostrymi rysami twarzy przypominał Sardanapala. Wyraz jego oblicza tchnął pierwotną, niepohamowaną dzikością, pełną władczej pychy i nieumiarkowania w gniewie.

Konający poczuł śliski strach w poruszanej płytkim oddechem piersi. Obawiał się, iż zostanie ukarany za to, że nie rozpoznał przybyłego. Poszukiwał nerwowo jego imienia, usiłując dopasować jego fizjonomię do wszystkich wyblakłych klisz ludzkich, jakie przechowywał w pamięci. Na próżno. W porywie niespodziewanego, lękiem wywołanego przyływu sił, pragnąc najgorsze mieć już za sobą, podniósł się i zapytał.

— Qui es?

I opadł na poduszki. Istotnie, kim był tamten, że w przebraniu przychodził straszyć człowieka umierającego, i tak pełnego niecierplivej trwogi z powodu zwątpienia, co wkradło się do jego duszy?

Obcy usiadł na fotelu w nogach łóżka. Umierający zamknął oczy, bo dopiero teraz, przy szacie tamtego, widać było wyraźnie, jak ów mebel jest koślawy, jak bardzo rozchwierutane są pozbawione złotej powłoki poręcze, a amarantowy plusz obić wytarty do osnowy.

„Żeby się tylko nie rozleciał pod nim” — zatroskał się nad okazałą postacią starzec.

— Powinieneś mnie znać — odparł przybyły. — Modliłeś się do mnie.



„Modliłem się? — zasumował się konający. — Pracowałem całe życie, zarządzałem, administrowałem, wysyłałem misjonarzy, odbierałem ich tajne meldunki, pomnażałem majątek kościoła na Ziemi... Kiedyż ja miałem czas modlić się?”

— A więc jesteś moim Bogiem — powiedział ze starczą rezygnacją.

— Jam jest Pan. Powiedział przybyły.

I roztrząsał się przed oczami umierającego, choć ten z powodu gorączki, słabego wzroku i wrodzonej niewidzialności Ducha Świętego, dostrzegał tylko dwie postaci — asyryjskiego gwałtownika i semickiego młodzieńca w garniturze, z czarną dyplomatką i solarnym zegarkiem na opalonym przegubie lewej ręki.

— Ty zaś jesteś ostatnim papieżem...

„Tak, jestem ostatnim Twoim namiestnikiem — pomyślał umierający, bo tak było istotnie — nie stało już na Ziemi kardynałów, by zwołać konklawe i spośród nich wybrać kolejnego następcę Piotra.

Gdzieś zarżał koń, ale starzec nie zwrócił na to uwagi.

— Jestem stary — powiedział zamiast tego.

— Obaj jesteśmy starzy — sprostował młodzieniec w garniturze. — Zapominasz, że byłem przy narodzinach tego świata — potwierdził asyryjski samowładca.

Pies, któremu zmęczone strachem, sztywne łapy rozjeżdżały się na marmurowej posadzce przeraźliwie długiej kolumnady przystanął nasłuchując, ale poza własnym ziajaniem i dudnieniem serca gdzieś pod stropem ażurowego tunelu niewiele słyszał. Zwiesił z rezygnacją łeb i wtedy wyczuł lekkie drgnienie gruntu, łagodną falę ziemi — niczym skurcz przebiegający po śliskiej, choć suchej, skórze węża. Kundel podkuł ogon i wstrząsnął się niecierpliwie i bez przekonania. Czuł w powietrzu napięcie elektrostatyczne, jakie zwykło poprzedzać burze.

*Wielkie burze.*

*Tajfuny.*

*Huragany.*

*Erupcje wulkanów.*

*Trzęsienia ziemi.*

*Które były złowrogie.*

— Czy to już? — zapytał umierający.

Przez trzepotliwą chwilę był w komnacie sam i słyszał jedynie powolny, ciężki szum smolnej krwi we własnych skroniach. Krew gęstniała. Z trudem przeciskała się poprzez zatorowane sklerotycznymi zmianami żyły. Nie tętniła, ale przepychała się z trudem. Jak miód przez kapilarę. Serce starca było za słabe, by tłoczyć tak ciężką, lepką ciecz. Która już tylko z nazwy była krwią.

— Wypełniły się znaki — usłyszał. — Nie wiedziałeś? Starzec nie otwierał oczu.

— Dawno nie wychodziłem — powiedział w stronę łaskotliwego mroku pod powiekami. — Nikt mi nic nie mówi — poskarżył się.

— Nie ma już nikogo...

Gdzieś daleko rozległo się wyraźniejsze rzenie konia, ziemia drgnęła, zdumiona, i na posłanie umierającego posypało się nieco kurzu i zaprawy ze spękanego sklepienia.

— Grzmi — powiedział starzec. — Będzie burza... Młodzieniec pod oknem skinął głową, choć wiedział, że nikt tego gestu nie dostrzeże.

— Wielka burza — potwierdził ze zdecydowaniem świadczącym o znajomości rzeczy. — Tajfun

o imieniu Armageddon spustoszy Ziemię...

Umierający z nadzieją otworzył oczy.

— Spadnie deszcz — zamamlał niewyraźnie i pokazał blade, pomarszczone dziąsła w bezzębnym uśmiechu. — Ulewa. Która zmiecie kurz, zmiecie wszystko.

— Gdzie jesteś? — zapytał.

— Z tobą — odparł asyryjski gwałtownik odwracając się od okna, którym wyglądał na plac zalany światłem słońca i księżycy jednocześnie. Srebrne i złote promienie przecinały się niczym po przejściu przez siatkę dyfrakcyjną. Mimo to pokój nadal tonął w mroku.

Jakby komnata zawierała się pod powiekami starca.

— Czy to już nowy dzień? — spytał.

— To ostatni dzień. Cisza.

— Jak cicho — powiedział konający. — Czy poznam kiedy umrę?

Złoto—srebrna krata drżała za oknem niczym wzór na czarnej zasłonie poruszanej lekkim wiatrem. Nie pozwalała wiedzieć, co jest poza nią, chociaż stojący przy oknie to wiedział.

Drgnęła ziemia. Potężny, gargantuiczny skurcz przetoczył się pod pałacem, rozchwierutał kolumny Berniniego, poruszył płyty na placu Świętego Piotra, pomiędzy którymi powstały czarne, ziejące zimnem szczeliny. Siatka pęknięć pokryła rzeczywistość.

— Widzę jak przez mgłę — poskarżył się umierający. — Zrób coś — poprosił.

Wstrząs rzucił psa na posadzkę. Zwierzę z cichym skowytem trwogi usiłowało wstać, nie dość szybko jednak, by kundel nie usłyszał krzyku skargi kamienia.

*Który przypominał zgrzyt granitu pod znieawidzonym dłutem.*

Krzyk przebrzmiał. Zginął.

Pies wstał. Z trudem. Bo coś się zmieniło.

Widział świat jakby przez drobny raster.

*Świat pękał.*

Pies zawył.

— Co to? — przeraził się dziecinnym przestraczem starzec.

Kundel na sztywnych łapach wszedł do komnaty i potoczył dookoła z wyrzutem niewidzącymi oczyma, w których szczątek półmrocznego obrazu rozpadł się niczym w rozbitym lustrze. Kiedy wzrok asyryjskiego rozbójnika spoczął na nim przelotnie, pies stanął w bezgłośnie trawiącym go ogniu.

Na woń przyjemną dla Pana.

— Co się stało temu psu? — zainteresował się poniewczasie umierający, wdychając roznoszący się po komnacie smród tłącej się sierści. Kichnął.

Kundel zgorzał ze szczętem, bez skargi. Szary kopczyk pyłu wskazywał miejsce, gdzie jeszcze stał zbytecznie przed chwilą.

Tętent konia, cwałującego na oślep tysiące kilometrów dalej, rozdzielił pauzą pytanie od odpowiedzi.

— Już czas — powiedział asyryjski gwałtownik. — Czy chcesz mi coś wyznać?

Starzec wpatrzył się w niego przenikliwym wzrokiem; sił miał więcej niż kiedykolwiek wcześniej, kiedy jeszcze nie umierał.

— Błądziłem... — wychrypiał.

Pan odwrócił się do niego plecami wpatrzony w apokaliptyczny spektakl za oknem.

— Ja też — powiedział. — Obaj popełnialiśmy błędy, dlatego tak często zaczęliśmy wszystko od początku. Sam wiesz, jak było — Praadam, potop, Sodoma...

— Ty... — zaczął starzec.

*Który umarł.*

Młodzieniec w ciemnym garniturze i o semickiej twarzy odwrócił się od okna, jakby widok nagle przestał być dlań interesujący. Podeszedł do ciała starca i przysiadł na brzegu łóżka. Patrząc na swój solarny zegarek zbadał puls.

*Którego nie było.*

Otworzył skórzaną, czarną walizczkę, wyjął przygotowany na najgorsze stetoskop i rozchyliwszy na piersi trupa przepoconą, cuchnącą śmiertelną męką koszulę, wsłuchał się w bezruch jego wnętrza. Z cichym traskiem ebonitowych końcówek wyszarpnął przewody z uszu i wrzucił słuchawki do walizeczki. Z butonierki wyjął małą latarkę i podnosząc powieki zmarłego, poświecił w zamglone ulgą oczy.

*Exitus.*

Akrosoniczne rzenie konia wstrząsnęło murami pałacu.

Wstrząsnęło posadami świata.

*Który zużył swój czas.*

— Czas, czas! — powiedział młodzieniec podrywając się — Mówię ci, Łazarzu, wstań!

*Bezruch opanował komnatę.*

W bezwładnym ciele starca poczęły powoli krążyć życiowe miszkulancje, oddalając czający się „rigor mortis”, i ruch ten, niczym kamień, który porywa za sobą lawinę, podniósł w płytkim oddechu jego klatkę piersiową, zaróżowił policzki niezdrowym szkarłatem, wprowadził w golemowe drżenie mięśnie.

Z tyłu, za plecami dokonującego rutynowego cudu, zmartwychwstały kundel otrzepywał się niepewnie z pokrywającego go zdziwienia i spadłego ze stropu tynku.

Starzec, tak samo wiekowy, lecz żywy, usiadł na łożu.

— Umarłem? — zapytał retorycznie.

— Zmartwychwstałeś...

— To już? — zacukał się w zdziwieniu ożywiony i rozejrzał się podejrzliwie wokoło. — Co się znów stało temu psu? On też...

Z cichym westchnieniem wybawienia pękło sklepienie sypialni, kundel przysiadł na zadzie.

— Musimy iść — powiedział młodzieniec gładząc brodę. — Czekają na nas.

— Kto? Gdzie?

— Nie słyszysz?

Zza okna dopadł go balistyczny łomot końskich kopyt o bruk, komnata rozkołysała się jak nawa na wzburzonym morzu, zarysowały się nerwowo ściany, z góry spadały z rezygnacją całe połączone zmurszałego wapna.

Inaczej wyobrażałem sobie koniec świata — westchnął zmartwychwstały starzec. — Nic nigdy nie wygląda tak, jak to sobie wyobrażamy.

Zsunął się z łoża i wzuł na nogi rozczłapane kapcie; w Starej koszuli nocnej był gotowy do czekającej go drogi.

— Chodź — powiedział młodzieniec, i obaj: człowiek i pies poszli za nim.

Konie niecierpliwiły się coraz bardziej, idący długimi korytarzami i przemierzający pełne

białego, duszącego pyłu sale czuli to doskonale poprzez tańczące pod ich stopami posadzki, zataczające się na nich ściany i wykusze z przedrzeźniającymi ich postacie weneckimi oknami. Portrety ze ścian, w przeciwieństwie do rozpadających się z determinacją, niczym stare truchła, figur z fresków i rzeźb, zdawały się ożywać i wyrwać z ram, gdy je mijali.

Poprzez otwory po wypadłych oknach widać było ciemność przecinaną potężnymi błyskawicami, ale huk wyzwanych z maestrią milionów elektronowoltów nie był w stanie zagłuszyć turkotu, z jakim coś toczyło się po placu.

Rzeki ognia strzelały spod końskich kopyt, para bijąca z nozdrzy potworów nadtapiała marmurowe kolumny i gzymsy.

*Które ściekały kamiennymi łzami.*

*Kamienie płakały.*

*Kamieniami.*

Pękały kopuły bazylik, waliły się wieże kościołów Wiecznego Miasta zapadającego się w niebyt, kamienne płyty pod nogami zamieniały się w lotne piaski i grzęzawisko.

Cztery bestie, podobne do wszystkiego tylko nie do koni, szarpały uprząż wiążącą je nieustępliwie do dwukołowego wozu.

*Kwadryga apokalipsy.*

*Która ruszyła.*

Zmartwychwstały starzec z niesmakiem przyglądał się rozpetanym na jego cześć żywiołom; usiłował w bezdennej ćmie dostrzec psa, który przepadł gdzieś w podstępny wirze Armageddonu. Jego skowyt rozległ się w czarnej dziurze oka cyklonu i zamarł zaduszony czerwono–złotymi węzami ogni krzesanych przez piasty i obręcze kół powozu.

Był sam.

Ale jakaś siła powoziła zaprzęgiem zmierzającym z płynną determinacją przez niebyt.

*Który był.*

A po drugiej jego stronie rozwidniło się znienacka posepnie i podróżnik dostrzegł — gdy bestie zwolniły swój groteskowy na pokaz bieg — miasto, nieprzyjemnie znajome, a w nim wiecznie murszejący pałac z jedynym, konającym uparcie lokatorem w środku.

To był on.

Właśnie zajęty był umieraniem, kiedy wrócił do siebie.

Otworzył oczy. Nie był spragniony, choć pamiętał majaczenia o szklance wody.

— Śniłem Boga — powiedział z bolesnym zwątpieniem do chudego psa, który jakby wyrzucony z raniącego go niebytu wkroczył chwiejnie do komnaty.

— *Który jest...?*

*Kraków, VI–IX 1991*

## Mirosław Piotr Jabłoński

*Urodził się w 1955 roku w Zakopanem, mieszka w Krakowie, gdzie ukończył studia na Wydziale Mechanicznym tamtejszej Politechniki.*

*Zadebiutował w prasie („Nurt”, 1978), a pierwszą książkę opublikował w 1982 roku — powieść „Kryptonim Psima” (Iskry). Przez kilka lat było o nim cicho, dopiero w 1986 roku Nasza Księgarnia wydała zbiorek pt. „Posłaniec”, gdzie obok kilku opowiadań Andrzeja Drzewińskiego znalazły się również dwa teksty Mirka. Najobfitszy był dla niego rok 1987, kiedy to na rynku ukazały się jego trzy powieści: „Nieśmiertelny z Oxa” (Glob), „Schron” (Glob) i „Trzy dni Tygrysa” (Iskry).*

*Woli większe formy, stąd znamy niewiele jego opowiadań, zresztą głównie z prasy („Młody Technik”, „Przegląd Techniczny”, „Fantastyka”), sporo z nich ukazało się w jego autorskim zbiorze „Czas wodnika” (Iskry, 1990).*

*W tym roku zaprezentował Czytelnikowi swoje dwie następne powieści: „Dubler” i „Duch czasu”, obie wydała oficyna Białowieża. Fragment tej ostatniej był ozdobą „Wizji alternatywnych”.*

## O „Domu Na Krawędzi Światła”

*Była chyba pierwsza w nocy. Siedzieliśmy z Jackiem Piekarą u niego w kuchni i wznosząc puchary toczyliśmy konwersację na tematy przyziemne. Zupełnie niespodziewanie rozmowa zmieniła charakter i zeszła na rzeczy ostateczne. Bodaj, że najpierw zaczęliśmy mówić o ateizmie jako takim, a potem wręcz przeciwnie — o piekle. Opowiedziałem wtedy historię pewnego mnicha, który straciwszy życie na rozmyślaniach o wieczności i karze, doszedł był do wniosku, że niezależnie od win, na wieczne cierpienie nie zasługuje nikt. Tysiąc lat, milion — zgoda. Ale nie wiecznie... Mnich ów, powodowany chrześcijańskim współczuciem, doszedł do wniosku, że jeżeli ktokolwiek jest na nie skazany, to on powinien być tam razem z nim.*

*Jacek podchwycił historię i zaczęliśmy adaptować ją na potrzeby literatury. Zatem pomysł jest wspólny...*

*Jarosław Grzędowicz*

# Dom Na Krawędzi Światła

*A kiedy przyjdzie także po mnie  
Zegarmistrz światła purpurowy  
By mi zabeltać błękit w głowie  
To będę jasny i gotowy  
Spłyną przeze mnie dni na przestrzał  
Zgasną podłogi i powietrza  
Na wszystko jeszcze raz popatrzę  
I pójdę nie wiem gdzie — na zawsze.*

Bogdan Chorażak

Najpierw go wyczułem. Jako tępy ból w tyle głowy, pulsujący gdzieś pod potylicą. Skoncentrowałem się i ból odszedł, a wtedy odebrałem go naprawdę.

Całe spektrum: rozpacz, poczucie krzywdy, żal, zmęczenie i przede wszystkim strach. Całe morze przeraźliwego lęku.

Odrzuciłem głowę do tyłu i zamknąłem oczy, żeby zobaczyć. Wolę widzieć.

I zobaczyłem go. Szedł potykając się, połykając łzy, przerażony, na mdlejących nogach. Szedł przez pustkowie nakryte czarnym niebem, wśród gorących, bazaltowych skał, okruchów pumeksu i gorących źródeł bulgocących cuchnącymi oparami.

Szedł Autostradą Styksu — Drogą W Jedną Stronę. Szedł sam. Każdy idzie sam i nie dostrzega nikogo innego. Nie wiem, jak to się dzieje, bo przecież idą ich tysiące w każdej chwili, a jednak każdy idzie sam.

Może każdy ma swoją własną Autostradę, a w rzeczywistości wszyscy podążają jedną i tą samą. Tą, która prowadzi tędy. Nie próbuję tego zrozumieć.

Ja też szedłem sam — tak jak on. Dawno, bardzo dawno temu. Może dziesiątki lat, może setki, może tysiące lat temu. To nic nie znaczy. „Rok” to puste słowo. Dawno. Kiedyś.

Też byłem sam. Szedłem Drogą i pamiętam jej gorącą, gładką nawierzchnię, palącą w podeszwę. Też byłem przerażony.

Autostrada przepalała mnie na wylot, ale nie mogłem z niej zejść, bo pustkowie pokryte ostrym jak szkło, gorącym, bazaltowym tłuczniem było jeszcze gorsze. Wrzało i płonęło.

Mogłem zawrócić i iść w przeciwną stronę, ale to nie miało najmniejszego znaczenia, bo to była Autostrada Styksu. Droga w Jedną Stronę.

Próbowałem różnych rzeczy.

Próbowałem chodzić w kółko, albo na przelaj. W przód, do tyłu. Wtedy zaczęła się zwęzać. Ale gdyby tak nie było, to i tak wszystkie próby mogłyby okazać się daremne.

Nie próbowałem uciekać — przynajmniej tyle rozumiałem, i na tym polegała moja przewaga.



Chciałem się zatrzymać.

Śmieszne. Zatrzymać się na Autostradzie Styksu. Na Drodze W Jedną Stronę. Nie miałem żadnych szans. Żadnej nadziei.

Udało mi się. Zobaczyłem Dom Na Krawędzi Światła. Na krawędzi mojego światła. Było jeszcze dosyć silne, dlatego wypatrzyłem dom. Był pusty. Wtedy myślałem, że nie jestem pierwszy, tylko, że poprzedni Pan Domu odszedł. Teraz sędzę, że to ja go stworzyłem. Bo ja nie chciałem stąd uciec. Wiedziałem, że nie mam dokąd. Chciałem mieć Dom Na Krawędzi Światła. I mam go.

Otworzyłem oczy i wstałem. Wyszedłem na szczyt Czatowni, chciałem to zobaczyć. Lodowaty wiatr szarpnął moim kapturem i łopotał połami płaszcza.

Światło tamtego było bladożółte, z białymi pobłyskami, ale jeszcze dosyć silne. Rzucalo wokół jego nóg wyraźny okrąg, ale zaczynało już pełzać. Migotało jak kaganek na wietrze. Ostatnie chwile. Przyjrzałem się uważnie, bo wydało mi się, że dostrzegam zieleń. Była. Lekkie, zielonkawe iskierki, pryskające przez jego światło od czasu do czasu. To dawało mu jakąś szansę. Zieleń, to oczywiście nadzieja.

Sprawiłem, by na dole, w Sali Spokoju zapłonęły wszystkie świece. By zapłonął ogień na kominku. Dużo własnego lśnienia posłałem tam, na dół, by były świece i ogień na Palenisku, by stało się jasno i dobrze. Potem otworzyłem drzwi. Oba skrzydła na oścież, żeby rzucić blask aż na nawierzchnię Drogi.

Bardzo chciałem mu pomóc, ale nie mogłem. Wszystko zależało od tego, czy ma dość własnego światła, by dostrzec Dom na jego krawędzi i czy wystarczy mu tych zielonych iskierek, by do niego dojść.

Lux zaskomlał merdając ogonem i ziewnął ze zdenerwowania.

— Idź na dół, jeżeli chcesz — powiedziałem. — To i tak nic nie zmieni. — Szczeknął nerwowo i pobiegł stukając pazurami na schodach.

Czekałem. Właściwie zawsze czekam, więc nie odczuwałem już niecierpliwości, tylko nadzieję. Patrzyłem, jak idzie, potykając się ze zmęczenia, a potem stanął. Ucieszyłem się, bo wiedziałem, ile bólu musi go to kosztować. A potem jego emanacja zapłonęła snopem zielonych iskierek, zmieszanych z żółtymi płomieniami strachu. Skreślił z drogi i ruszył przez płonąca pustynię, wśród ostrych jak brzytwy skał. Zobaczył Dom. Czekałem.

Czekałem nawet, kiedy usłyszałem kroki na posadzce Sali Spokoju. Wiedziałem, że zwali się na fotel, niepomny na nic, prócz ulgi w poparzonych nogach, w dygocących z wysiłku mięśniach, prócz słabej nadziei. Dałem mu trochę czasu.

Tu też jest czas. Jest przedtem i potem, jest następstwo zdarzeń. Tylko nie można tego mierzyć. Zegar, który kiedyś stworzyłem, stoi teraz, ale dawno temu działał, tylko że pokazywał cyfry pozbawione znaczenia. Płoną świece, ale przecież nie są prawdziwe. To są moje świece, więc płoną płacząc kroplami wosku, ale nie zmieniają długości. Tutaj rzeczy mają początek, ale nie mają końca. Tutaj jest trwanie.

Siedziałem przy stole i liniowałem rylcem kartę pergaminu. Powoli, dokładnie i starannie. Trzydzieści jeden linii, każda w odległości od sąsiedniej na szerokość palca wskazującego.

Pozwalałem mu odpoczywać i rozkoszować się ulgą. Potem przyjdzie czas na rozmowy i na pytania, na które nie ma odpowiedzi.

Ja miałem czas, i nie przypuszczałem też, by mój gość się gdzieś spieszył.

Poliniowałem kartę z obu stron i uznałem, że to wystarczy. Sprawiłem, by światła zapłonęły na

schodach, bo nie chciałem zaplątać się po ciemku w płaszcz i stoczyć pod nogi przybysza. Zszedłem powoli i cicho, a potem pchnąłem drzwi do Sali Spokoju.

Przestraszył się oczywiście, ale mniej, niż gdybym wszedł od razu. Patrzyliśmy na siebie. Pamiętałem, żeby zrzucić kaptur i pokazać mu od razu swoją zwyczajną twarz. Gdyby zniknęła gdzieś w cieniu, byłby przerażony. Tak jak ja na jego miejscu.

— Witaj — powiedziałem — jesteś w Domu Na Skraju Światła.

Oddali mu ciało, ale na litość, w jakim stanie. Wychudzone, chore i nieszczęsne. Suche, pomarszczone ręce dygotały mu nawet, kiedy splótł palce. Ze strachu, albo ze zmęczenia, albo z obydwu powodów. Z trudem podniósł na mnie wilgotny, przerażony wzrok.

— Kim jesteś? — głos drżał tak samo jak jego ciało.

— Jestem człowiekiem — powiedziałem łagodnie. Nie uwierzył mi. — Jestem też panem tego Domu. Jestem przeklęty tak jak ty, ale nie poszedłem do końca Drogi. Sprzeciwiłem się i zostałem w połowie. Napelniłem kubek, ten który zdołałem w goniące się gazy i liście akantu, i podałem mu.

— Napij się wody — powiedziałem — jest chłodna. Wypił chciwie, a potem oparł czoło na stole i zaczął płakać.

— Dlaczego... — zaszlochał. — Dlaczego muszę tu być? To jest właśnie jedno z tych pytań. Wszyscy je zadają.

Ja również. Tylko że nie ma na nie odpowiedzi.

— Sam powinieneś wiedzieć — powiedziałem bardzo łagodnie.

— Ale ja żałuję — jęknął — żałuję wszystkiego, ale nie wiem, co było naprawdę złe. Nigdy nie miałem wyboru. Jeśli byłem słaby, to przecież nie moja wina... to znaczy moja, ale co mogłem zrobić... a teraz wieczność... czy nie ma nadziei?

Nie wiem. Pozwoliłem mu płakać. Nalałem jeszcze wody. Położyłem rękę na ramieniu. Wypił dzwoniąc zębami o metal kubka, a potem zaczął się spowiadać.

Żył w jakimś złym miejscu i złym czasie. Krzywdził ludzi, żeby przeżyć, ale nie zabił nikogo. Nie mógł inaczej, próbował poprawiać swój los, ale mógł to robić tylko kosztem innych.

Całe życie szkodził i sam był nieszczęśliwy, i tak już pozostanie. Banalna historia. Było mi go żal. Było mi żal też tamtych ludzi, bo dla nich to też już straciło znaczenie, albo wkrótce straci.

Wielu z nich też wędruje Autostradą Styksu, a większość nie wie dlaczego. Zagubieni i nieszczęśliwi. Kaci i ofiary.

— Nie jestem spowiednikiem — odezwałem się. — Nie musisz niczego mówić. To i tak niczego nie zmieni. Po prostu tak jest, sam nie wiem dlaczego.

— A ty... dlaczego tu jesteś? — zapytał nieśmiało.

— Zabiłem kogoś... — walczył ze mną, a ja i tak go zabiłem, a potem nie żałowałem tego zbyt. Uważałem, że zasłużył na śmierć. Spałem też z kobietami, ale do dziś nie wiem, co miało by być w tym złego. Chyba żadnej nie skrzywdziłem świadomie. Skrzywdziłem też kogoś, kto usiłował mnie skrzywdzić. Nie byłem święty i nie byłem gorszy od innych. Nie wiem, co było przyczyną. Może coś, o czym nie wiem, a może właśnie to, że nie wiem. Pamiętam, że chciałem być dobrym człowiekiem, ale najwyraźniej mi się nie udało.

Zresztą, to było tak dawno i trwało tak krótko... Dokładnie już nie pamiętam. Jestem tu o wiele dłużej niż byłem tam. O wiele, wiele dłużej.

— A czy wierzyłeś... — zaciął się i ścisnęło mu krtań, próbował przez chwilę z tym walczyć.

— Nie uda ci się tego powiedzieć — powiedziałem. — Tak już tu jest. Nie uda ci się także

modlić. Możesz powiedzieć Światło.

— Światło?

— Tak. Jakoś sobie trzeba radzić. A ja... cóż. Wierzyłem w... Światło, ale nie byłem religijny. Zawsze stałem jakoś na pograniczu. Może dlatego tu jestem. Też na pograniczu — na krawędzi światła. Tym razem światła, nie: Światła.

— Jak to możliwe, że nie poszedłeś dalej?

— Nie wiem dokładnie. Każdy człowiek ma swoją jasność. Kiedy idziesz Autostradą Styksu, ona gdzieś zmienia się, słabnie, ale dopóki jeszcze jest, możesz stawiać opór. Dlatego istnieje Droga.

— Nic nie widzę — rzekł bezradnie.

— Widzisz. Ten dom, to moje światło. Tu się mogę bronić.

— Bronić?! Przed potęgą? To śmieszne.

— Dlaczego? Ten tutaj nie jest wszechmogący, tylko mu się tak wydaje. Popołnia błędy, ma swoje słabe strony. Moim zdaniem jest trochę nienormalny. Jego też mi żal.

— Jak możesz! — przeraził się. — Jeżeli go rozwścieczysz...

— Ależ jest wściekły. To jego normalny stan. I stale próbuję zgasić moje światło. Także w tej chwili.

Siedzieliśmy w milczeniu. Lux podrapał się hałaśliwie i ziewnął.

— On jest częścią domu?

— Nie. On jest żywy. Nie mogę stworzyć niczego żywego. Ja w ogóle przecież nic nie stwarzam. To tylko moje światło. Mogę mieć skórę, stopić wosk, czy spalić drewno, ale to przecież iluzja. Nie mogę stworzyć zwierzęcia, ani rośliny.

Lux jest człowiekiem. Jedynym, który zdecydował się zostać. Jedynym, który zdobył się na odwagę. Pewnego dnia zaczął się zmieniać. Stał się psem. Nie wiem, dlaczego. On też nie wiedział.

— To straszne.

— Tu wszystko jest straszne. Pamiętaj, gdzie jesteś.

— Czy jeśli ja zostanę...

— Nie wiem. Przecież nie wiem nawet, jak długo sam wytrzymam ten prywatny Armageddon. W każdym razie, masz wolny wybór, możesz zaryzykować albo wstąpić na Autostradę Styksu. Zapewniam cię, że na jej końcu znajdziesz się w znacznie gorszym położeniu, niż Lux tutaj.

— Skąd wiesz? — zapytał zaczepnie. — Przecież nie doszedłeś do końca?

— Czy na pewno wiesz, gdzie jesteś?

— W połowie drogi — wycedził. Lux wstał, parsknął i otrząsał się. Traktował to jako oznakę zniecierpliwienia i politowania. Przybysz oklapł nagle i znów zaczął się bać.

Wstałem.

— Przemyśl to i odpocznij — rzekłem. — Do niczego cię nie zmuszam. Sądzę tylko, że razem będziemy silniejsi. Możemy połączyć nasze światła.

Kiedy to powiedziałem, poczułem jednocześnie, że nic z niego nie będzie. Nie sprzeciwił się nigdy za życia, więc dlaczego miałby to zrobić teraz? Odejdzie... a być może moje światło słabnie? A gdyby spróbować wypić jego emanację? Jemu już nic nie pomoże, a ja bym się wzmocnił.

Podłe, oczywiście, ale kogo to może obchodzić, skoro jestem tutaj? Przecież nie tego, który mnie przeklął.

To była nowa myśl, a przy tym dość mi obca. Przynajmniej jak dotąd. Ściany jakoś przyblakły i stały się przezrocyste, a blask świec przygasł. Zrobiło się zimno. Lux zaskomlił ostrzegawczo.

— Wiem, przyjacielu — uśmiechnął się do niego.

— Ten pomysł nosi twoje znaki firmowe, Koziogłowy — mruknąłem pod nosem. — Każ się wypchać. To było kiepskie otwarcie.

— Tam, za kotarą znajdziesz pokoje — zwróciłem się głośno do przybysza — połóż się, odpocznij i przemyśl wszystko. Zdecydujesz się, kiedy będziesz chciał. Możesz też wziąć kąpiel. Mamy tu gorące źródła.

Ruszyłem po schodach na górę, żeby szkicować inicjał. Będzie piękny, zdobiony celtyckim motywem opłotowym i ornamentem roślinnym.

Na litość, jak chciałbym zobaczyć jakąś roślinę.

Na schodach ciosany kamień był znowu kamieniem, a kaganki wiszące co pięć stopni dawały równe, jasne światło.

Szkicowałem inicjał. To było „N”. Zaznaczone delikatnymi rysami rylca. Cienkie linie pionowe i mocne, skośne pociągnięcie, które będzie podstawą ornamentu.

Potem odpoczywałem, rozmyślałem, potem znowu rysowałem.

Rozmawiałem z Luxem. Patrzyłem na Autostradę. Odpierałem ataki.

W końcu zszedłem w dół.

Nie zdecydował się, ale przynajmniej zwlekał, a to już był dobry znak. Próbował się nawet uśmiechać, ale mu nie wychodziło. Usiłował naprawić zbutwiałe pogrzebowe łachmany, więc poradziłem mu, żeby posłużył się światłem. Nie udało mu się.

Przez jakiś czas trwaliśmy razem. Rozmawialiśmy, graliśmy w szachy. Grał jeszcze gorzej ode mnie.

A potem minął mu strach i przybysz zaczął się nudzić. Bałem się o niego.

Byłem na dole, kiedy to się stało, ale i tak wyczułem, że dzieje się coś złego. Stał na szczycie Czatowni i przyzywał mnie.

Pobiegłem na górę przeskakując stopnie. Stał tam z rozpromienioną twarzą, a lodowaty wiatr rozwiewał mu włosy.

— Patrz! — krzyknął. — Patrz na drogę!

Autostrada Styksu zmieniła się. Nadal ciągnęła się przez przeraźliwe pustkowie, ale teraz była oświetlona przytulnymi latarniami, jak jakaś nadmorska promenada. Na horyzoncie świeciło miasto. Tysiące ciepłych, złotych punkcików, jak stado robaczków świętojańskich. I neony. Wielobarwne, pulsujące i piękne. Kiedy patrzyłem uważniej, obraz przybliżał się, jak w obiektywie, i widziałem oświetlone dzielnice willowe, knajpy, bary, światło, ciepło i życie. Tysiące ludzików śmiało się, piło piwo, jadło coś, tańczyło i kochało się na estradach tanecznych, w oświetlanych ogródkach i knajpkach. Prześliczne, zgrabne dziewczątka tańczyły nago w pulsujących tęczowych światłach i skakały z estrad prosto w ramiona każdego, kto tylko dał znak.

Mój towarzysz był urzeczony.

— Daj spokój — powiedziałem. — Przecież to miraż. Spojrzał tak, jakbym go opluł.

— O czym ty mówisz?!

— O tym, co widzisz. To miraż. Propaganda. Tani pic.

— Bzdura. Co, z mojego powodu zrobili to wszystko?

— Chociażby.

— A skąd wiesz? Byłeś tam?

Nic nie odpowiedziałem. Nie, nie byłem. Natomiast wiem, gdzie jestem. Patrzył na mnie z

pogardą. Tu, na szczycie baszty mogłem widzieć jego słabą emanację. Była prawie całkiem zielona.

— Jesteś tchórzem — wycedził. — Ta droga, to próba. Możesz sobie wsadzić w tyłek tę swoją ponurą dziurę i to swoje zastrane światło. Idę. Jeżeli jesteś mężczyzną, to też pójdziesz.

Odwrócił się i zszedł po schodach. Poszedłem za nim. Lux usiadł przed drzwiami i zjeżył grzbiet.

— Won, kundlu! — warknął gość.

— Puść go, Lux — powiedziałem cicho. — On wybrał.

Wilczur wstał z podkulonym smutno ogonem i odszedł na bok.

— Nie rób tego — poprosiłem — tam nie ma miasta.

— Chcesz mieć drugiego psa, co? — syknął.

Omal go nie uderzyłem. Naprawdę, bardzo chciałem i wiele mnie to kosztowało. — Coś ci powiem — wycedziłem łamiącym się z wściekłości głosem — Lux jest psem, ale kiedy był człowiekiem, był... była kobietą. To moja żona.

— Otwieraj drzwi! — warknął z pogardą. Otworzyłem mu drzwi i poszedł w mrok do swojego miasta. Pewnie nawet będzie je widział przez jakiś czas.

Ciężkie skrzydła zamknęły się i zrobiło się bardzo cicho. Lux uniósł łeb i zawył przeraźliwie.

— Nawet nie wiem, jak miał na imię — powiedziałem głucho — nie wiem, dlaczego nie zapytałem. Ale nie był zły. Był naiwny. Nie zasługiwał na to. Nikt nie zasługuje.

Samotne trwanie popłynęło swoim torem. Myślałem. Rozmawiałem z Luxem, czytałem, skończyłem szkicować „N” i przygotowałem pióra do narysowania konturu.

A potem przyszli sprawdzić, czy porażka mnie nie rozmiękczyła. Widziałem ze szczytu baszty, jak stoją na krawędzi światła niczym czarne cienie wśród mroku, i próbują muru. Był wciąż mocny.

Nawet sam książę się pojawił, a jakże. Na tym swoim wierzchowcu, przypominającym skrzyżowanie ogiera, barana i rozkładającego się trupa. Łopocąca purpura i trupie czachy. Taka faszystowsko–psychopatyczna estetyka. Bałem się oczywiście, ale jeszcze trwałem.

Upłynęło bardzo dużo czasu. Wciąż próbowali mnie zmiękczyć, a ja wciąż trwałem. Byłem znużony. Byłem zmęczony. Potrzebowałem kobiety. Tak bardzo, aż mnie wszystko bolało. Gdybym w ogóle nie miał ciała, byłoby znacznie łatwiej.

I przyszła kobieta. Naga, zgrabna, piękna, z płomiennymi włosami. Szła do Domu jak po drucie, mimo że wcale nie otworzyłem drzwi. Jej emanacja aż płonęła miłością i pożądaniem. Błagała pod drzwiami i zaklinała mnie. Kołysała się na klęczkach z jedną dłonią wciśniętą między długie uda, a z drugą ugniatającą piersi. Gryzłem ręce i wyłem jak wilk, ale nie otworzyłem.

Pragnąłem jej jak końca piekła, ale pamiętałem o stawce.

— Niektórzy nigdy się nie nauczą — powiedziałem do zamkniętych drzwi — a ty jesteś wśród nich.

Wróciłem do ucierania tuszu. Jedną z gorszych rzeczy tutaj jest to, że nie da się oszaleć, choćbyś nie wiem jak pragnął. Myślałem o wieczności, i to były przerażające myśli, bez względu na to, jak o niej myślałem. Myślałem o Domu.

Nie panuję nad nim całkowicie. Nie mogę zrobić żadnego symbolu. Nie mogę go wyrzeźbić, ani wyryć, ani namalować.

Ani krzyża, ani półksiężyca, ani gwiazdy Dawida, ani mandali. Chciałem zrobić wziernik w kształcie krzyża w drzwiach. Jeśli światło przez niego zacznie padać na drogę, to może każdy będzie mógł z niej zejść.

Nic z tego nie wychodzi. Materiał, który mogę kształtować w dowolny sposób, zamiera, kiedy

usiłuję zrobić znak.

Kiedyś mi się to uda. Stopniowo.

Tego wędrowca wyczułem z daleka. Jego emanacja była nie tylko potężna. Była też trochę inna. Niewiele strachu, całe pokłady żalu i jeszcze coś innego, czego nie umiałem w ogóle odczytać. Coś dobrego, w każdym razie. Nie zauważyłem natomiast poczucia krzywdy. Nie widziałem też nadziei.

Patrzyłem z Czatowni, kiedy się pojawił. To było tak, jakby na autostradę padał snop światła potężnego reflektora.

Jakby w tym miejscu świeciło słońce.

Jego światło oślepiało. Kiedy był w zasięgu wzroku, nie mogłem go czytać. Patrzyłem tylko, jak idzie Autostradą Styksu wolnym, równym krokiem.

Nie musiałem zapalać świateł ani otwierać drzwi. Czuł Dom i to ze znacznie większej odległości, niż ja czułem jego. Po prostu skręcił z drogi i ruszył prosto w kierunku drzwi.

Zbiegłem na dół. Lux stał patrząc na wrota, całą postawą przekazując zdumienie. Postawione uszy, zjeżona sierść, ogon prosty jak drut.

Nic nie zdążyłem zrobić, po prostu patrzyłem, jak skrzydła drzwi odchylają się na boki i gość wchodzi do Sali Spokoju.

Wyglądał zwyczajnie. Był młody, ciemnowłosy, w podniszczonym prostym ubraniu. Spodnie, schodzone buty. Nic szczególnego, tyle, że zrobiło się jaśniej, kiedy wszedł. Naprawdę. Zapłonęły wszystkie świece, zapalił się ogień na kominku. Na ścianach zatańczyły cienie.

— Witaj — powiedział.

— Kim jesteś? — to głupie pytanie, zwłaszcza, że słyszałem je tyle razy, ale nie mogłem się powstrzymać.

— Jestem człowiekiem — powiedział i uśmiechnął się smutno. Wtedy zrozumiałem i ogarnął mnie lęk.

— Przyszedłeś zająć moje miejsce? — Te wszystkie emanacje, których nie wypilem, choć mogłem, i które mógłbym przeciwstawić jego niesamowitemu blaskowi...

— Przecież to twój dom — uśmiechnął się pobłaźliwie, i przestałem rozumieć.

— Mogę usiąść? — spytał łagodnie.

— Proszę...

— Dlaczego twoja kobieta klęczy? — Znów ten sam łagodny ton, z nutą życzliwej pobłaźliwości. Spojrzałem odruchowo na Luxa, ale wilczur zniknął. Moja żona klęczała z wyprostowanymi plecami, wsparta pięściami o kamienną posadzkę. Była naga, a długie włosy zwisały w dół, aż do podłogi. Przysiadła, potem spojrzała na swoje dłonie i powoli wyprostowała palce. Nie mogłem się ruszyć. Byłem jak skamieniały. Wstała niepewnie, i zrobiła chwiejny krok w moim kierunku. Podbiegłem i padliśmy sobie w ramiona. Dosłownie. To żadna przenośnia. Płakaliśmy oboje, a przybysz uśmiechał się.

Owinąłem żonę swoim płaszczem.

— Dlaczego tu jesteś? — spytałem. — Ty nie jesteś przeklęty.

— A czy ktokolwiek jest? A może każdy? — znów ten sam uśmiech. — Tu są ludzie. A ja jestem człowiekiem.

— Jesteś innym człowiekiem. Jak to zrobiłeś? — miałem na myśli żonę, ale zrozumiał. I wzruszył ramionami.

— Ty zrobiłeś ten dom. Każdy coś umie.

— Dziękuję — zamilkłem na chwilę. — Proszę cię, nie chodź tam!

— Muszę. Tam są ludzie, więc i ja tam muszę być.

— Oni są tam z własnej woli.

— Ja też — spojrzał na mnie łagodnie i dodał. — Wcale nie musisz iść ze mną. To nie jest konieczne, więc nie rób sobie potem wyrzutów. Twoje miejsce jest tutaj.

Wstał jak gość, który wpadł na chwilę. Jakby przyszedł pożyczyć soli.

— Życzę ci szczęścia — powiedziałem.

— Szczęścia?! — uśmiechnął się tylko rozbrajająco i ruszył do drzwi.

— Bądźcie zdrowi — rzucił przez ramię i pchnął oba skrzydła drzwi. Nie chciałem uwierzyć, że odchodzi.

— Zaczekaj! — krzyknąłem.

Stanął w pół zbocza i odwrócił się.

— Już raz byłeś człowiekiem! — zawołałem.

Rozłożył tylko ręce.

— Wrócisz? — krzyknąłem znowu.

Stanął i znowu się odwrócił.

— A zagrałbyś ze mną w kości? — rzekł, jakby to miała być odpowiedź. I odszedł. Drzwi zamknęły się i przez jakiś czas mogłem oglądać blask jego światła przez wziernik w kształcie krzyża na ich środku.

Odwróciłem się i zobaczyłem małe drzewko wyrastające spomiędzy bazaltowych płyt, w miejscu gdzie siedział. Oliwne. Kpiny.

— Może zostawił nam pod nim prezenty? — zapytała żona.

— Jesteś tu za złośliwość — powiedziałem i objąłem ją. Właściwie nic się nie zmieniło i tak naprawdę, nie wiem, czy się kiedyś zmieni, ale przynajmniej mam na co czekać. Nadal równina bulgocąca siarką, i nadal płaczący i mdlejący ze zmęczenia i strachu nieszczęśnicy wloką się Autostradą Styksu — Drogi W Jedną Stronę. Nadal cierpią o całe wieki dłużej niż zadawali cierpienie. Nadal kara jest niewspółmierna.

Mam jednak na co czekać. Stoimy oboje na podeście Czatowni i patrzymy, czy niebo się nie rozjaśnia, albo czy nie pojawią się sylwetki, które będą wracały Autostradą Styksu. Wypatrujemy słonecznej emanacji człowieka w zniszczonym ubraniu, który Jest—Tym—Który—Jest.

Być może nigdy to nie nastąpi, ale my będziemy czekali. Mamy czas. Mamy wieczność.

Jeżeli natomiast nastąpi i cała ta przekłeta pustynia za—rośnie drzewami, popłyną przez nią strumienie, a niebo powlecze się błękitem, też nie odejdziemy. Zostaniemy tutaj, na uboczu. W Domu Na Krawędzi Światła.

*Warszawa 13.10.1991*

## Jarosław Grzędowicz

*Urodził się w 1965 roku, mieszka w Warszawie. Założyciel w 1982 roku grupy autorskiej TRUST, z której wywodzą się m.in. Rafał Ziemkiewicz i Jacek Piekara. Debiutował na łamach łódzkiego tygodnika „Odgłosy”. Jego nazwisko jest znane miłośnikom fantastyki, choć nadal nie ma na swoim koncie książki. Publikował dotąd jedynie w prasie, w „Fantastyce” i „Fenixie”, pisze jednak mało i jak mi się przyznał, „Wizje alternatywne” i niniejsza antologia jakoś szczególnie motywują go do pisania, i to w tempie — jak na niego — ekspresowym.*

*Tymczasem pracuje nad powieścią, która ma być horrorem umiejscowionym w realiach polskiej wsi, lecz zgodnie z nieskromnym zamiarem Jarosława ma być mądrzejsza od zachodnich horrorów zalegających tysiącami nasze księgarnie.*

*„Dom Na Krawędzi Światła”, po opowiadaniu Mirka Jabłońskiego wydał mi się znakomitą kropką nad „i” oraz odpowiednim zamknięciem antologii.*



## O „Domu Na Krawędzi Ciemności”

*Razem z Jarkiem Grzędowiczem wymyśliliśmy opowiadanie, a raczej tylko jego szkielet, oparty na motywie Chrystusa zstępującego do Piekła, gdyż to wyłącznie Jego poświęcenie może zbawić świat. Jarek, który słynie z powolnego tempa realizowania pomysłów, tym razem zaskoczył mnie i nagle przyniósł gotowy tekst. Był to „Dom na Krawędzi Światła”. Miałem do wyboru: albo napisać historię alternatywną opartą na naszym schemacie, albo stworzyć kontynuację opowiadania Jarka. Wybrałem to drugie i mam nadzieję, że wprowadziłem pewne igły Ciemności do tej Jarkowej, w sumie dość krzepiącej wizji Piekła. Idea cierpiącego władcy Królestwa Mroku zawsze mi się podobała, przecież czynienie zła przez Wieczność musi w końcu stać się zajęciem nudnym. Chodzi mi po głowie taki tekst z „Siły strachu” Mac Leana, kiedy zawodowy, cyniczny morderca na zarzut, że rozkoszuje się zadawaniem śmierci, odpowiada: „a widziałeś kiedyś kopacza dołów, który lubiłby kopać doły?”. Szatan musi być potężnie znudzony monotonią swojej roboty, a w takim razie totalnie wściekły na tego, kto go w ten kanał wpuścił.*

*Poniższe opowiadanie można oczywiście potraktować także jako przestrożę przed piciem alkoholu z byle kim, ale w żadnym wypadku nie należy go rozumieć jako krytyki picia alkoholu w ogóle.*

*Jacek Piekara*

# Dom Na Krawędzi Ciemności

Koniec Drogi ginie gdzieś na krawędzi horyzontu, gdzieś pod czarnym jak studnia niebem. Przez dygoczące żarem powietrze suną ludzie niczym upiory o rozpalonych szaleństwem oczach. Skowyt z tysięcy gardeł niknie pośród żółto—burech siarkowych oparów, rozbija się o smoczozębie bazaltowe skały, drga wśród pumeksowych okruchów. Ludzie ocierają się o siebie, objają, padają sobie pod nogi, a każdy jest tak doskonale i absolutnie sam. Nie dano im łaski dzielenia cierpień z bliźnimi. W ogóle nie dano im żadnej łaski. To słowo jak setki, a może tysiące innych, jest jedynie pustym, pozbawionym znaczenia dźwiękiem. Dźwiękiem określającym nieistniejące pojęcie. Nawet nic zapomniane czy zagubione. Po prostu nie istniejące. Oczywiście, tylko tutaj, na Drodze W Jedną Stronę, na nieskończonej Autostradzie Styksu. Gdy gdzieś pośród bazaltowych iglic jaśniej, pulsuje i przyzywa zielone światło. Brama dla potępionych nie do końca. Nadzieja, nawet nic na wyzwolenie, a na przetrwanie. Lekarstwo na odroczenie rozpacz i bólu. Oaza chwilowego, a może wiecznego ukojenia. Chwilowego, wiecznego — te słowa nic nie znaczą, a raczej znaczą to samo. Tu czas nie płynie dla wszystkich jednakowo, a sączy się tylko leniwymi strugami cierpienia, innymi dla każdego. Tu nie ma znaczenia, czy błądzi się minutę, czy wieczność. Tu zawsze jest zawsze.

Przechodzę przez Zieloną Bramę, moje światło otwiera mi ją na oścież. Idę pośród ostrych jak brzytwa okruchów pumeksu, omijam wrzące, brudnożółte kałuże. Przedemną wznoszą się mury Domu Na Krawędzi Światła. Widzę pęd oliwnego drzewka przeciskający się poprzez kamienne złomy ku czarnemu niebu, widzę wziernik w kształcie krzyża wycięty na grubych dębowych drzwiach i człowieka w szarym płaszczu przyglądającego mi się uważnie ze szczytu wieży, którą sam nazywa Czatownią. Moje światło otwarłoby drzwi, ale nie zamierzam wchodzić tu bez zgody gospodarza. Stukam mocno w chropowate, poznaczone sękami belki i czekam. W końcu wrota uchylają się. Stoi przede mną, skupiony, poważny, a w aurze żółto płoną ognie niepokoju. Wiem, że oślepiam go moim blaskiem, czuję jego przerażenie i widzę je. Różowe smugi wokół głowy.

— Witaj — mówię spokojnie.

— Witaj — odpowiada w końcu, po długiej chwili wahania i ustępuje o krok. Krótkim gestem zaprasza do środka. Wchodzę i idę długą sienią w stronę sali, którą on nazywa Salą Spokoju. Wokół czarnego stołu o ośmiokątnym blacie stoi sześć ciężkich, rzeźbionych zydlu. Na środku stołu trójramienny świecznik z grubymi na dwa palce, białymi świecami. Będą płonąć tu przez wieczność, zawsze tak samo długie, płaczące grubymi łzami wosku, lecz nigdy się nie zmniejszą i nigdy nie dopalą. Siadam na zydlu i spoglądam w martwą tarczę zegara. Wskazówki o strzałkach w kształcie serc zatrzymały się, pokazując cyfry, które nic nie znaczą. Które nic nie znacząły i nie będą znaczyć.

Człowiek podaje mi chleb i ser. Czarny, gruboziarnisty chleb i twarde ser o ostrym zapachu. Jem popijając wodą, która jak wszystko tu nie ma smaku, lecz przynajmniej gasi pragnienie. Człowiek przygląda mi się. Nadal jego aura pulsuje niepokojem.

— Kim jesteś? — pyta.

Podnoszę głowę i uśmiecham się.

— To przecież nieważne — mówię łagodnie — czy chcesz I wiedzieć, kim byłem? Czy chcesz wiedzieć, dlaczego tu jestem? Moje życie, tam na górze, było tak krótkim epizodem, że dawno o nim zapomniałem. Odkąd pamiętam, jestem tu, na Drodze W Jedną Stronę.

— Nie starasz się sobie przypomnieć? — iskielki niebieskiego zdumienia.

— Po co? — wzruszam ramionami — komuż potrzebna j wiedza o tym, czy byłem mordercą, a może kazirodcą, a może cudzołożnikiem. A może jestem przez pomyłkę w rejestrach, przez znaczek wpisany nie tam, gdzie trzeba?

Nie sądzisz, iż wiedza o tym mogłaby nieść dodatkowe cierpienie?

— Nie sądzę — mówi lekko rozdrażniony, przez aurę przemykają fioletowe błyski zniecierpliwienia.

Słyszę stuk obcasów na drewnianych schodach, odwracam się i wstaję. Z piętra schodzi ona. Jego towarzyszka od zawsze i na zawsze. W błyszczącej czarnej sukni bez rękawów, z brylantowym diademem we włosach i złotym grubym łańcuchem spływającym na piersi. Ten ubiór, który mąż stworzył dla niej, widać, na specjalną okazję, nie dodaje jej urody. Ma zbyt grube rysy, za duże usta, mięsisty nos. Czarna suknia opina ciało o wiele pulchniejsze niż być powinno. Pod błyszczącą materią rysują się wałeczki tłuszczu. Ale on patrzy na nią z czułością i miłością. Jego blask rośnie. Ona podaje mu dłoń, zbyt szeroką, o nierówno przyciętych paznokciach.

— Jak dobrze, że trafiłeś do nas — mówi, a jej głos zdumiewa. Ciepły, miękki, pełen spokoju i ufny. Tak jakby witał dawno nie widzianego, upragnionego przyjaciela. Całuję jej dłoń, a absurdalność tego gestu trochę mnie śmieszy. Choć zapewne coraz mniej. Może tu, pośrodku Mrocznego Królestwa, dbałość o konwenanse pomaga utrzymać resztki człowieczeństwa.

Siada przy stole, a my dopiero po niej.

— Jesteś bardzo spokojny — mówi — ludzie, którzy czasem do nas trafiają, są przerażeni i zdumieni. Dlaczego jesteś inny?

— Byłem kiedyś tutaj, a może gdzie indziej, czy to ważne, w każdym razie po drugiej stronie Zielonej Bramy.

— I co się stało? — patrzą na mnie z napięciem.

— Któż może wiedzieć — rozkładam ręce — nagle była tylko Droga bez Końca.

W ich oczach i aurze czytam obawę. Nie chcieliby znów trafić na pustkowie pełne ludzi o wypalonych oczach. Na Autostradę Rozpaczy. Na Szlak Samotności.

— Ale jesteś tu — ona przerywa ciężkie milczenie — i tylko to się liczy. Czy możemy ci pomóc? Czy chcesz zamieszkać z nami?

— Nie — kręcę głową — moja droga nie kończy się tutaj.

— Twój blask — mówi on — wiesz, że niezwykle mocno jaśniejesz?

— Wiem, ale to blask odbity z Jego blasku — mówię, tak akcentując przedostatnie słowo, że nie ma wątpliwości, o kogo chodzi.

— A więc wiesz, że tu był? — aura zdziwienia.

— Któż inny mógłby pozostawić krzyż i zasadzić oliwne drzewko — odpowiadam pytaniem na pytanie — ja idę Jego śladem i kiedyś, kiedyś — prawie czuję, jak mój blask wybucha zielenią — kiedyś Go spotkam.

— I co wtedy? — pyta ona łagodnie.

— Wtedy skończy się moja droga — mówię — i odnajdę spokój.

— Możemy ci tylko tego życzyć — on nieco się rozpogadza, widać przypomniał sobie spotkanie z Nim — możemy tylko próbować się modlić.

— Być może kiedyś odnajdziesz w pamięci właściwe słowa — odpowiadam łagodnie, wiedząc, że nigdy się tak nie stanie.

Jestem w Domu Na Krawędzi Światła. Nie wiem, jak długo, bo tu czas ginie, rozmywa się, wciąż zwęża i rozszerza. Ale trzeba już odejść. Zaprzyjaźniłem się z nimi. Spędzamy razem długie wieczory, rozmawiamy, ba — nawet śmiejemy się i żartujemy. Traktują mnie, jakbym był tu od zawsze. Mój blask stworzył czarnoskrzydły, olbrzymi fortepian i ona czasem długo gra na nim, a muzyka zielonymi błyskawicami pędzi ku czarnemu niebu. On pokazał mi pergamin, starannie poliniowany, z pierwszymi inicjałami. Litery zdobione celtyckim motywem opłotowym i ornamentem roślinnym. Trzy. Każda wyrysowana z niewiarygodną starannością. „N” jak zamek z dwiema basztami. „A” jak rozłożone do lotu skrzydła ptaka i „J” niczym hartowany miecz o prostej klindze. Zostało mu jeszcze wiele liter. Wiele słów, nim stworzą zdania. Ale wydaje mu się, że ma przed sobą całą Wieczność, a skończoną pracę można przecież wykonać w nieskończonym czasie.

Niekiedy patrzę, jak uciera atrament, jak ostrzy pióro, obserwuję precyzyjne ruchy palców, podziwiam spokój i bezruch przygarbionych pleców. On jest pełen spokoju. Kiedyś z Czatowni, gdy gorący wicher owiewał nam twarze, pokazał mi stojącego przed zieloną bramą Koziogłowego. Patrzyli sobie prosto w oczy. Księżę Ciemności na ognistym rumaku o bazaltowych kopytach i on, człowiek o pochyłych plecach i wątlých ramionach. Milczeli. Długo, bardzo długo, podczas gdy sfora niewolników Koziogłowego obrzucała nas stekiem wyzwisk i drwin. Ale nie próbowali nawet zgasić jego blasku. Księżę Ciemności widział mnie i moją jasność. Mógł tylko stać i milczeć, a potem odwrócić się i zabierając jazgoczącą sforę odjechać. Nigdy już tu nie wróci.

Tego wieczora (używam słowa „wieczór”, choć ani dzień ani noc, ani pory dnia i nocy nie istnieją) piliśmy wino z cynowych kubków. Wino z krwistoczerwonych winogron, które niczym purpurowa szata otulały grzejące się w słońcu wzgórza Szampanii. Tak przynajmniej je sobie wyobrażałem, gdyż przecież jest ono tylko z mojego blasku. Rozmawialiśmy długo, a wino z cynowego pucharu płynęło nieskończoną strugą. Aż wreszcie on zsunął się z zydła i upadł na podłogę, a ona się śmiała. Potem zanieśliśmy go do łóżka i rozebrali. Pocałowałem ją w policzek, poszedłem do swego pokoju, cicho zamykając drzwi. Odtąd wino towarzyszyło nam co dzień. Tylko on gubił po nim pamięć, krzyczał i bełkotał, śmiał się i płakał bez powodu. Ja i jego żona trwaliśmy w nastroju szczęśliwej euforii, zdawało się jej, że istniejemy nie w Domu Na Krawędzi Światła, na poboczu Autostrady Rozpaczy, a w samym Świetle. Prosił mi, by nie pił, ale zazdrościł nam i nie mógł się powstrzymać, a gdy nie zastał kiedyś na stole cynowego pucharu i kubków, obrzucił nas wyzwiskami grożąc, że mnie wyrzuci.

Atrament zaschnął w kałamarzu, brudne nieostrzone pióro zasnęło na stole, czwarta litera „P” miała jedynie nóżkę. Wiedziałem, że nigdy nie zostanie dokończona. Świece na czarnym stole nie jaśniały już tak mocno.

Jego blask powoli przygasał, a on sam nic o tym nie wiedział. Być może zobaczyłby to w lustrze, gdyby nie fakt, że tafle zwierciadeł nie odbijają tu postaci, zaś pełne są jedynie ciemności.

Ona być może dostrzegła to, ale ufała mojemu światłu. Kiedyś, gdy zasnął w poprzek łóżka, chrapliwie oddychając i zionąc winem, przyszła do mnie i z radością dała mi swoje ciało. Sprawilem, by krzyczała z rozkoszy, czułem jej paznokcie przeorujące moje plecy, słyszałem oszalały łomot serca. Dałem jej chwilę wszechogarniającego szczęścia, obudziłem w niej miłość.

Będzie miała o czym myśleć w czasie nieskończonego marszu Droga w Jedną Stronę.

Kiedy schodzi na dół, czuje, że stało się coś złego. Siedzę w Sali Spokoju przy umarłym świeczniku i patrzę na różowe gwiazdy przerażenia kołujące przy jego głowie. Wiem, że przez półprzeźroczyste, mgliste mury Domu widzi już tłum ludzi na Drodze Bez Końca. Może nawet widzi tam swoją żonę.

— Co się stało — krzyczy, a jego oczy robią się coraz bardziej szalone, w miarę jak gasną zielone plamki nadziei.

— Zawsze pytacie, co się stało — mówię obojętnym głosem. Kiedyś w takiej chwili odczuwałem zawsze euforię zwycięstwa i rozkosz, pozwalałem sobie na drwiny, szyderstwa, żywiłem się ich rozpaczą i słabością, drażniłem, zwodziłem. Teraz chcę jak najszybciej skończyć.

— Kim ty jesteś? — wrzeszczy pulsując strachem, a oczy prawie wychodzą mu z orbit.

— Nie wiesz? — wzruszam ramionami — współczuję ci więc — pokazuję na drzwi. Lite, dębowe drewno. Ani śladu wziernika w kształcie krzyża. — Kończmy zatem — mówię spokojnie — chodź — wyciągam dłoń.

On cofa się. Drży na całym ciele.

— Nie, nie, nie — kręci głową — nie dostaniesz mnie. Mam jeszcze blask!

To prawda. Ma jeszcze blask.

— Jak chcesz — siadam z powrotem — mam nieskończoną ilość czasu. Mogę czekać. Muszę ci tylko powiedzieć, że twoja żona nie była tak uparta. Właściwie, to ona powiodła mnie na pokuszenie — pozwalam sobie na lekki uśmiech, a potem opowiadam mu z detalami, zważywszy jej żądę — dość gorszącymi detalami, o wszystkim, co zaszło.

Podciągam głos na wyższe rejestry, aby podrażnić ośrodki agresji. W końcu to skutkuje. Z zaciśniętymi zębami, z czerwoną aurą wściekłości chwyta ciężki świecznik ze stołu. Uderza mnie w głowę, która pęka jak orzech kokosowy, obryzgując go krwią i mózgiem.

I nagle stoimy już na Autostradzie Styksu, na otoczonej zębiskami skał, pogrążonej w siarkowym oparze Drodze Rozpacz. On czepia się żałośnie rękawów mego płaszcza, tak jakbym ja (właśnie ja, cóż za ironia losu!) mógł przynieść mu ratunek.

— Neeee, nieee! — jego krzyk brunatną chmurą rozpacz wzbija się pod czarne niebo.

— Przykro mi, stary — mówię i puszczam jego dłoń. Jest tylko jednym z tych koszmarne krzyczących, przerażonych upiorów błędzących przez Wieczność. Dojdzie do krańca Autostrady Styksu, gdzie spędzi Wieczność tak straszną, iż Droga W Jedną Stronę wyda mu się Światłem.

Oczywiście, nie jest mi przykro. Zbyt długo szukam Zielonych Bram i zbyt wiele zgasilem Domów Na Krawędzi Światła, aby odczuwać satysfakcję, ale nie mam żadnych powodów, bym popadał w rozpacz. W końcu to moja robota, zadanie na długo. Być może na Wieczność. Wciąż muszę iść za Nim i Jego ożywiającym światłem, za śladem rozbudzonej nadziei. Bo On potrafi rozbudzić ją nawet tu, na Szlaku Samotności. Idzie uparty i niestrudzony, pełniąc służbę, zdawałoby się, bezcelową, gdyż gaszę światła, które stworzy. Ale samo to, że zszedł do nich, że podał dłoń mordercom, gwałcicielom i podpalaczom, że wybaczył podłość i słabość, napełnia mnie strachem.

Może kiedyś Go spotkam i zgaszę ten przeklęty blask. Na razie wyrywam oliwne drzewko, rzucam je w otchłań nieba. Dosiadam czarnego rumaka o bazaltowych kopytach i galopuję przez tłum. Gdzieś znowu odnajdę plamę zieleni. Znowu ją zgaszę. Tak bez końca. Tylko On i ja. Kiedyś (a mamy przecież całą Wieczność) wreszcie Go dogonię i staniemy naprzeciw siebie. Jeżeli pokona mnie, wiem, że okaże litość (w końcu, gdyby tego nie uczynił, różnica między nami byłaby tylko

umowna). Może nawet w niezmiernym Świetle, które stworzy, ofiaruje mi miejsce, gdzie mógłbym odpocząć. Taki Dom Na Krawędzi Ciemności.

Musi wygrać, gdyż jeśli go pokonam, nigdy mu nie przebaczę. Nie przebaczę mu, że skazał mnie na wieczne podążanie Jego śladem Drogą Bez Końca. Nie umiem i nie chcę przebaczać. Spinam ostrogą rumaka, a on rzy ogniście i huczy bazaltowymi kopytami.

— Szybciej — krzyczę, czując jak łyzy na mych policzkach schną w palącym wietrze — szybciej, szybciej — drę ostrogami jego boki, niecierpliwie poganiam batem, choć wiem, że gnamy przez Wieczność, gdzie słowa „szybciej” czy „wolniej” nie znaczą nic.

*W-wa październik '91*

## Jacek Piekara

*Urodził się w 1965 roku w Krakowie. Mieszka i pracuje w Warszawie. Jeszcze jako osiemnastolatek debiutował opowiadaniem „Wszystkie twarze szatana” („Fantastyka” 81 11983). Był jednym z założycieli grupy TRUST i jako pierwszy z nich debiutował książką — mikropowieścią „Labirynt” (Almapress, 1986). Jego koledzy z TRUSTU, Ziemkiewicz, Grzędowicz, musieli jeszcze parę lat oczekiwać na druk swoich utworów, Piekara zaś — może dzięki boomowi na fantasy — nie miał żadnych kłopotów ze znalezieniem wydawców. Jego następne książki: „Imperium — Smoki Haldoru” (Iskry, 1987), „Zakłęte Miasto” (Nasza Księgarnia, 1990) i „Imperium” (Białowieża, 1990) były również utrzymane w konwencji fantasy.*

*Wkrótce Białowieża wyda jego powieść „Czas klątwy”, opartą na demonologii i mitologii słowiańskiej, oraz powieść fantasy „Pani Śmierć”. Autor pracuje w tej chwili równocześnie nad dwoma następnymi powieściami, pierwsza nosi tytuł „Klucz do światów” i ma być pogodną i sympatyczną fantasy, a druga, o charakterze apokaliptyczno-katastroficznym, „Przenajświętsza Rzeczpospolita” będzie opowiadała o Polsce za lat dzieści i w zamiarze autora ma być mieszanką „Małej Apokalipsy” i „Mechanicznej pomarańczy”.*

*W lipcu 1991 roku zmienił stan cywilny i jest pełen optymizmu, gdy idzie o przyszłość, zarówno w sprawach prywatnych jak i zawodowych.*



# Tom II

z języka rosyjskiego przełożyli  
Ewa i Eugeniusz Dębscy,

Jerzy Rossienik



**fabryka słów**

2007

Czarna msza.

Almanach rosyjskiej fantastyki, tom II

Copyright © by Fabryka Słów sp. z o.o., Lublin 2007

Copyright © for translation by Ewa i Eugeniusz Dębscy, 2007

Copyright © for translation *Niańka* Jerzy Rossienik, 2007

Wydanie I

ISBN 978-83-60505-46-5

To moja droga z piekła do piekła  
W dół na złamanie karku gnam!  
Nikt mnie nie trzyma, nikt nie prześwietla  
Nie zrywa mostów, nie stawia bram!

Po grani! Po grani!  
Nad przepaścią bez łańcuchów, bez wahania!  
Tu na trzeźwo diabli wezmą  
Zdradzi mnie rozsądek - drań  
W wilczy dół wspomnienia zmieniają  
Ostrą grań!

Po grani! Po grani! Po grani!  
Tu mi drogi nie zastąpią pokonani!  
Tylko łapią mnie za nogi,  
Krzyczą - nie idź! Krzyczą - stań!  
Ci, co w pół stanęli drogi  
I zębami, pazurami kruszą grań!

Tu do mnie! Tu do mnie!  
Ruda chwytła mnie dziewczyna swymi dłońmi  
I do końskiej grzywy wiąże  
Szarpie grzywę - rumak rży!  
Ona - co ci jest mój książę?  
Szepce mi...

Do piekła! Do piekła! Do piekła!  
Nie mam czasu na przejażdżki więdźmo wściekła!  
- Nie wiesz ty co cię tam czeka - Mówi sine tocząc łyzy  
- Piekło też jest dla człowieka!  
Nie strasz, nie kuś i odchodząc, zabierz sny!

z piosenki Jacka Kaczmarskiego  
„Epitafium dla Włodzimierza Wysockiego”

oznajmił światu, że oto już jest, głośnym krzykiem 8 sierpnia 1967 roku około godz. 11. Od tej pory jeszcze nie umierał, choć - jak sam twierdzi - kilka szans było. W wieku trzech i pół roku za poduszczeniem ojca opanował umiejętność czytania i od tej pory czyta fantastykę, tylko fantastykę i nic poza fantastyką. Gdzieś się uczył, czegoś się uczył, ale nie obciąża swojej pamięci tymi detalami. Od 1996 roku żyje z honorariów. Píše (oczywiście fantastykę) od ósmej klasy. Pierwsza publikacja miała miejsce bez udziału autora - Wołodia zabawiał się w wojsku, a koledzy zdołali zamieścić w gazecie jego tekst. Pierwszą książkę *Bież stracha i uprieka* wydał w 1991 roku i sprzedała się nieźle. Aktualnie ma na koncie około tuzina powieści i nie zamierza na tym poprzestać. Pasje standardowe: muzyka, futbol, jachting. Lubi piwo i większość napojów alkoholowych, zwłaszcza wina dobrych marek. Poza książkami jest autorem kilku CD z muzyką. Jakoś tam gra na gitarze solowej i basowej oraz na perkusji. Podobają mu się kobiety rude i zielonookie. Kibicuje moskiewskiemu Dynamo i Manchesterowi United, a poza tym uwielbia smażone ziemniaki. Kiepski wzrok - minus dwa. W Polsce znany z opowiadań *O wiedźminie Geralcie, pogromcy szalonych i zwyrodniałych maszyn*, oraz z powieści *Oblicze Czarnej Palmiry* i *Dzienna straż* (w duecie z Siergiejem Łukianienką).

Władimir  
Wasiliew

Niańka

Przekład  
Jerzy Rossienik

1.

Z tunelu tchnęło wilgocią i kwaśnym posmakiem żelaza. I stęchlizną - tyle że nie stęchłą wonią opuszczonego mieszkania, a martwym, ciężkim zaduchem niszczących mechanizmów. Jednak nie wszystkie niszczały. Niestety.

Niedaleko wejścia do szybu tłoczyli się mieszkańcy okolicznych osiedli - w przeważającej części krasnoludy i niziołki, chociaż było też wielu orków oraz wirgów, zarówno czystej krwi, jak i mieszańców.

Kiedy z ciemnej otchłani tunelu dobiegł straszliwy zgrzyt, tłum w jednej chwili zadrzał i się cofnął. Hałas nie ustawał, jakby ktoś podłożył blachę pod obracające się koło zębate. Potem gruchnęły dwa wystrzały i po kilku sekundach zgrzyt ucichł. Ale tylko na chwilę, aby znów zabrzmieć, tym razem ze zdwojoną częstotliwością i siłą.

- Nie - bez cienia nadziei w głosie wyszeptał ktoś w tłumie. - On nie pokona...

I nagle zgrzyt ucichł. Urwał się na wysokiej nucie, jakby koło nie wytrzymało i pękło na kilka kawałków. Przez około pięć minut wisiała w powietrzu przygniatająca cisza, a potem z tunelu, zataczając się, wyszedł mężczyzna w brudnym dżinsowym ubraniu, ciężkich krasnoludzkich buciorach i ze śrutówką w ręku. Potrząsał głową i mrużył oczy przed światłem.

Był zupełnie łysy; pod warstwą mazutu i brudu na skórze od skroni do skroni przez całą potylicę biegł kolorowy tatuaż. Szyję owijał mu spleciony z różnokolorowych przewodów sznur, a na nim dyndał czujnik, który nie wiadomo do czego mógł służyć.

- Zobacz tylko! - zdumieni gapie mówili jeden przez drugiego. - Ocalał!

Mężczyzna powoli, ledwie powłócząc nogami, zbliżał się do tłumy. Potem sięgnął wolną ręką pod kurtkę, wyjął zza paska dżinsów płaską owalną tabliczkę i cisnął ją pod nogi stojących w pierwszym rzędzie.

Widniało na niej: Fabryka DORMASZYNA, Nikołajew. PSZ-284M.

A pod spodem znajdował się numer fabryczny.

Nieco poniżej litery „r” w wyrazie „Dormaszyna” widoczne było dosyć świeże, wyraźne wgniecenie.

- On! Na pewno on! - zagrzmiął basem jeden z wirgów. - To jest ślad po oskardzie Westerwelda...

Jak na komendę tłum zaczął krzyżeć i cisza ustąpiła miejsca równomiernemu gwarowi.

Opasły krasnolud, na którego twarzy prócz brody można było dostrzec tylko oczy i koniec przypominającego kapeć nosa, zrobił krok do przodu, po czym wyciągnął ku łysemu mężczyźnie wytarty plecaczek. Materiał już dawno stracił swój pierwotny kolor.

- Oto twoja torba, szanowny... Jest cała i nienaruszona. W imieniu wszystkich mieszkańców Pięciochatek dziękuję za dobrą robotę, panie!

Łysy ociężałe skinął głową. Chwilę się zastanawiał i powiedział:

- I ja wam dziękuję. Za to, żeście nie poskąpili grosza i zapłacili bez szemrania.

Zapewne rzadko płacono mu bez szemrania. Takie czasy! Widać i jego coraz częściej próbowano

wykiwać i pod byle pretekstem uchylano się od zapłacenia.

Mężczyzna wziął plecaczek, potem zarzucił na ramię broń, którą trzymał za kolbę, przez co od razu stał się podobny do bohatera reklamowych billboardów, które co i rusz można było spotkać na wszystkich ważniejszych drogach Wielkiego Kijowa.

- Bądźcie zdrowi! - życzył mu krasnolud.

Tymczasem tłum skupił się wokół szczęśliwca, który pierwszy podniósł z kurzu tabliczkę. Wszyscy wyciągali szyje, szarpali i poszturchiwali stojących z przodu. Zapewne każdy chciał popatrzeć na znalezisko i potrzymać je w ręku.

- A może potrzebujecie noclegu, panie? - uprzejmie zainteresował się krasnolud. - Wkrótce wieczór...

- Nie - gwałtownie odrzekł łysy mężczyzna. - Pójdę już.

- No - westchnął krasnolud, nawet nie próbując ukryć ulgi - jak chcecie. My również idziemy.

Odwrócił się i szybko podszedł do tłumy. Bezceremonialnie klepnął po plecach stojącego z brzegu wysokiego wirga, a gdy ten się obrócił, odsunął go na bok. Przecisnął się do samego środka, odebrał tabliczkę od kolejnego gapia i ochryłym głosem wydał jakąś komendę.

Ale łysego mężczyzny nie interesowały ani słowa krasnoluda, ani ci z Pięciochatek. Robota wykonana. Pieniądze przelane na właściwe konto, a oszałała maszyna do drażenia tuneli spoczywa martwa w mrokach kopalni. Wszyscy są szczęśliwi i zadowoleni.

I jeszcze to zmęczenie... Poskromienie prawie dwóch ton agresywnego metalu to nie to samo, co wypicie duszkiem kufła piwa! Taki kolos żłobi po dwa lub trzy metry na dobę w najtwardszym granicie.

Tylko że ten stalowy olbrzym, zamiast drażyć tunele, z jakichś powodów wolał dusić w ślepych chodnikach nieszczęsnych górników, co niedawno przypłacił swoim nikczemnym mechanicznym życiem. Co jest dziwne, nie był - jak oczekiwał tego łysy mężczyzna - dziki, a całkowicie oswojony, w kabinie zachowały się nawet jakieś drobiazgi po jego panu. A z pana pozostała tylko zaschnięta plama pod dolnym lewym wiertłem.

Jeszcze niedawno działały się tu niezbyt radosne rzeczy. Właśnie z tego powodu wynajęła go społeczność Pięciochatek.

Wiedźmina imieniem Geralt. Jednego z tych, którzy chronią miasto, nie dbając o własne życie.

Zanim zniknął za hałdą, obejrzał się za siebie. Mieszkańcy Pięciochatek gęsiego podążali w odwrotnym kierunku, ku osiedlom mieszkaniowym. Długie cienie padały na drogę, czarnoszarą od węglowego pyłu. Nogi Geralta również rzucały cień, który zdawał się wrywać w ślad za odchodzącymi.

Rozważając w myślach, dokąd teraz iść, wiedźmin ruszył w kierunku zachodzącego słońca. Gdzieś tam, nieco bardziej na zachód, przebiegał uczęszczany szlak. Wprosić się na towarzysza podróży do jakiegoś znudzonego podróżnika nie stanowiło najmniejszego problemu. Szczególnie chętnie zabierały pasażerów krasnoludy, znane ze swej skłonności do gawędzenia w podróży.

Czyjąś zamazaną sylwetkę, od stóp do głów zakutaną w ciemny płaszcz, Geralt dostrzegł tuż za zakrętem. Tajemniczy człowiek wyraźnie chował się w gęstym cieniu zrujnowanej drewnianej szopy. Jakby nigdy nic, wiedźmin przeszedł obok, kątem oka rejestrując każdy ruch po swojej lewej stronie.

Wysoki mężczyzna w płaszczu ruszył w ślad za nim. Nie można powiedzieć, aby starał się pozostać niezauważony, ale jego zachowanie nie wróżyło nic dobrego. Za kolejnym zakrętem ścieżki, przy rzadkich krzewach, Geralt przysiadł i wcisnął się w gęstwinę gałęzi.

Wkrótce śledzący go człowiek wyszedł zza zakrętu. Zrobił krok, potem drugi i zatrzymał się. Pokręcił głową - bez pośpiechu, nawet z jakimś niemal ostentacyjnym ociąganiem. Potem wyjął rękę spod płaszcza i w zamyśleniu potarł koniuszek nosa.

- Hej, wiedźminie! - zawołał cicho. - Wyjdź, proszę. Szykuje ci się robótka.

„Dobrze by było, gdybyś wyjął spod płaszcza także drugą rękę” - pomyślał Geralt. Mężczyzna od początku mu się nie spodobał.

Niemniej wiedźmin wyprostował się i wolno wrócił na ścieżkę.

Sprawiał wrażenie wyluzowanego, ale ten luz był zwodniczy. W każdej chwili w jego rękach mogła znaleźć się strzelba, nóż, sztylet czy rewolwer. Zależało to od okoliczności.

Ale nieznajomy w płaszczu naprawdę nie zamierzał go zaatakować. Z pochyloną głową zaczął przyglądać się stojącemu na ścieżce Geraltowi. Jego twarz, jak zauważył wiedźmin, była nieludzko blada.

- Co to za robótka? - rzucił Geralt niezbyt przyjaźnie.

- No, nie będziemy rozmawiać o tym tutaj! - Mężczyzna ledwie zauważalnie przestąpił z obcasów na palce. - Znajdźmy jakąś karcznię, przekąśmy, wypijmy... na początek.

- Najbliższa karczma jest dopiero przy szlaku - chłodno sprecyzował wiedźmin, patrząc rozmówcy w oczy. W zachowaniu obcego nie było nawet śladu zmieszania czy zakłopotania.

- Wstąpiłem do niej, ale mi się nie podobała. Podskoczmy bliżej Doniecka. Mam niedaleko samochód.

- No - wzruszył ramionami Geralt - niech będzie. Ale ty stawiasz, skoro tak ci spieszo do wynajęcia wiedźmina.

- To nie mnie przypiliło. Ale to nieważne. Zgoda, ja stawiam.

Geralt w odpowiedzi skinął głową: „prowadź”. Nieznajomy płynnie, niczym kobieta, obrócił się i poszedł ku sąsiedniej hałdzie.

2.

Na miejsce rozmowy wybrali nawet nie karcznię, a prawdziwą tawernę sieci „Kijew-A”. W istocie była to dosyć nowoczesna restauracja przy dużym hotelu na granicy Doniecka i Ługańska. Kelner półork, odziany w chlamidę srebrzystej barwy, przyniósł jadłospis, kartę win, popielniczkę i majestatycznie się oddalił.

Chociaż był już wieczór, sala niemal świeciła pustkami. Oprócz Geralta i jego ewentualnego zleceniodawcy klientów było tylko troje: mężczyzna w podeszłym wieku ze szklaneczką czerwonego wina i parka wirgów, wyraźnie przejezdnych, którzy ze znużeniem jedli pieczyście przy stoliku w samym rogu.

Geralt nie spieszył się z przejściem do poważnej rozmowy. Przyspieszanie biegu wydarzeń nie leży w zwyczaju wiedźminów. Każdy żyjący Wielkiego Kijowa powinien wyraźnie sobie uświadamiać, że klient o wiele bardziej potrzebuje wiedźmina niż wiedźmin klienta. Bo tylko tak długo żyjący są żyjącymi, jak długo wiedźmini bronią ich przed nieujarzmioną siłą maszyn. W opalach zaś może znaleźć się każdy, jeśli nie teraz, to później, a mimo wysiłków ze strony wiedźminów ilość potworów, niestety, wcale nie jest mniejsza. Raczej na odwrót, mnożą się jak liście na wiosnę.

Łysy obdartus dość długo studiował kartę dań, kuchnia sieci „Kijew-A” zasłużenie słynęła z

różnorodności. Zatrzymał się na pieczystym po żytomiersku, julienne i potrójnej porcji sałatki „Besarabka”, następnie przeszedł do karty win. Także tutaj wybór był duży. Tego wieczoru Geralt zdecydował się na jałowieński kseres.

Zanim jeszcze zdążyli cokolwiek zamówić, dosłownie po kilku minutach kelner przyniósł dania, jakby wszystko zostało wcześniej przygotowane. Geralt chrząknął, ale za bardzo zdziwiony nie był. Nieznajomy - bo nadal się nie przedstawił - zaczął jeść w milczeniu. Nie zamówił alkoholu: albo wolał nie siadać pod wpływem za kierownicę swojego dżipa, albo miał inny powód. Wiedźminowi było wszystko jedno. Skosztowawszy kseresu, zabrał się za pieczone i sałatki.

To dziwne - praktycznie każdy w jego fachu z łatwością mógł sobie pozwolić na to, aby prawie codziennie jadać w tak drogich i wyszukanych miejscach. Z jakichś jednak powodów obrońcy miasta częściej musieli zadowalać się niewyszukaną strawą podrózną z najbliższego dzikiego sklepiku, a noc spędzać przy ognisku pod mostami w towarzystwie zaniedbanych włóczęgów. Mimo że pustych domów w Wielkim Kijowie jest bez liku.

Paradoks.

Jednak przez wiele lat wszystko wyglądało właśnie tak.

Po około półgodzinie, gdy Geralt odchylił się na oparcie krzesła i popijał już trzecią porcję kseresu, kiedy kelner dawno już zabrał brudne naczynia, a towarzysz wiedźmina wypalił aromatyczne cygaro - dopiero wtedy rozpoczęły się negocjacje.

- Sprawa mojego pana, ogólnie rzecz ujmując, jest prosta. Ale... dosyć delikatna - zaczął nieznajomy. - Potrzebny jest tu taki żyjący, który nie zacznie paplać jęzorem i od którego stronią inni żyjący. Moglibyśmy wynająć jakiegoś włóczęgę... Ale mój pan musi mieć wynik pewny w stu procentach, a i nie każdego można skłonić, by trzymał język za zębami.

Oczy mężczyzny były głębokie jak jeziora Karelii, a lodowate jak zima. Geralt skrzyżował z nimi wzrok i poczuł coś niezwykłego. Powiew przeżytych lat całkowicie obcy krótko żyjącym ludziom.

- Nie jesteś zwykłym człowiekiem, prawda? - cicho spytał wiedźmin.

Nieznajomy przełknął gotowe już wyrwać się zdanie i z niezadowoleniem spojrzał na Geralta.

- No... nie całkiem. Ale jakie to ma znaczenie?

- Jesteś longerem, prawda?

- Tak, jestem longerem... ale czy to takie ważne?

- A twój pan także jest longerem, nieprawdaż?

- Tak. - Mężczyzna jeszcze bardziej się zachmurzył. - Nie rozumiem, wiedźminie, do czego zmierzasz.

- Do niczego. Po prostu zawsze staram się wiedzieć dokładnie, z kim mam do czynienia.

Przez jakiś czas nieznajomy milczał, mierząc rozmówcę uważnym spojrzeniem.

Longerów z trudem można było nazwać ludźmi. Fizycznie niby się od nich nie różnili, tylko żyli prawie tak długo jak elfy. Stąd ich psychika w ciągu stuleci kształtowała się inaczej niż u ludzi. Ci zwykli nienawidzili longerów, dlatego każdy longer niechętnie otwierał się przed obcymi.

- Mój pan jest znaną i ważną osobą w Wielkim Kijowie. Nie ma najmniejszych powodów, aby wymieniać jego imię, i tak nie zobaczysz się z nim ani nie skontaktujesz. Jak to się mówi, małe dzieci - mały kłopot, duże dzieci - duży kłopot...

Geralt słuchał uważnie, dłubiąc przy tym leniwie w zębach plastikowym widelczykiem z sałatki, mimo że pudełko z wykałaczkami było na stole.

- Mój pan ma córkę, typową przedstawicielkę złotej, że tak powiem, młodzieży. Szemrane



towarzystwo, trawka, szybkie samochody, crack i podobne swobodne obyczaje. Krótko ujmując, kilka lat temu wpadła. I kategorycznie odmówiła usunięcia ciąży. Urodziła... mieszańca. Do pewnego momentu nikomu to nie przeszkadzało, ale teraz pozamałżeński wnuk-kundel może zaszkodzić panu. Ogólnie...

Wiedźmin wstał i podniósł plecak z krzesła obok.

- Do widzenia - powiedział chłodno.

- Stop, stop, stop! - Nieznajomy wstał również i chwycił go za rękaw. - Nie dosłuchałeś do końca.

On jednak uwolnił się z łatwością, tak że rozmówca wbrew woli runął na stół. Pochylając się nad nim, wiedźmin rzucił beznamiętnie:

- Chyba nie zrozumiałeś, longerze. Ja zabijam potwory, nie dzieci.

- Ale kto cię prosi, abyś zabijał dzieci! - gniewnie wyszeptał nieznajomy. - Usiądź i wysłuchaj do końca! A przy okazji zapytaj o wysokość wynagrodzenia...

Geralt przez kilka sekund badawczo przyglądał się longerowi, potem położył plecak na miejsce i znów usiadł przy stole. Widelczyk ponownie pojawił się w jego palcach nie wiadomo skąd.

„No dobrze - pomyślał wiedźmin. - Posłucham jeszcze przez chwilę. Ale skoro padło na mnie, z pewnością jest to jakaś okropna i nieczysta sprawa. I zakończy się okropnie i nieczysto. Jak amen w pacierzu”.

- Tak naprawdę największym błędem było... eee... pozwolić, aby problem się narodził. I wyrósł. Jeśli teraz usuniemy latorośl, wrogowie mojego pana od razu podniosą szum..

- Co znaczy: wyrósł? - przerwał Geralt.

Longer przestał spoglądać w pustkę sali i ponownie skoncentrował spojrzenie na wiedźminie.

- Właśnie to. Nasz problem ma trzydzieści cztery lata. Powinieneś wiedzieć, że według miary długowiecznych jest to jeszcze nieodpowiedzialna młodość.

- Czyja jeszcze krew płynie w waszym... problemie? O ile dobrze pamiętam, wspomniałeś, że urodził się mieszaniec.

- Krew orków. Ojcem był czarny ork gdzieś spod Tarnopola. I jest to dziewczynka. Tak że nie urodził się, a urodziła.

„Tylko tego mi brakowało - westchnął w duchu całkiem zasepiony Geralt. - Dziewczynka!”

- Posłuchaj - powiedział głośno. - Kobiet też nie zabijam. Ani w dzieciństwie, ani na progu nieodpowiedzialnej młodości czy mądrej dojrzałości, ani później. Moim zdaniem niepotrzebnie tracimy czas.

Nieznajomy wrogo wykrzywił usta:

- Wydaje się, że wspomniałem już, że nikogo nie trzeba zabijać. Trzeba tylko jej towarzyszyć, przez jakiś czas. A dokładniej, pozwolić, aby towarzyszyła prawdziwemu wiedźminowi, w tym wypadku tobie. To wszystko.

- Co znaczy: towarzyszyć? - spieszył się Geralt.

- Znaczy co znaczy. - Longer ziewnął, zakrywając usta wypielegnowaną dłonią. - Ta idiotka ubzdurała sobie, że zostanie wolną wiedźminką. Teraz zamierza wyruszyć na matwiejewski poligon czołgowy. Mówią, że uaktywniły się tam dzikie czołgi. Atakują nawet okoliczne dzielnice. Rozniosły dwie stacje benzynowe i ostrzelały przekaźnikowy maszt radiowy, ale na szczęście nie trafiły ani razu. Cynthia ubzdurała sobie, że uratuje tamtejszych mieszkańców. Mówiąc szczerze, nie mamy zamiaru jej przeszkadzać. Ale matka Cynthii uparła się, żeby jej córce towarzyszył prawdziwy

wiedźmin. Jest nam to nawet na rękę. Naogląda się, idiotka, wiedźmińskiej romantyki, wcześniej czy później porwie się z motyką na słońce... i problem sam się rozwiąże. Ty masz ją uratować raz czy dwa. A tam... niech wszystko toczy się w naturalny sposób.

- Bzdura - skonstratował Geralt - Do widzenia.

Znowu zamierzał wstać i wyjść.

- Nie spiesz się, wiedźminie! - Longer chwycił go za rękaw. - Zabierz ją. Na dwa tygodnie.

Dostaniesz za to...

Geralt wziął głęboki wdech, gestem przerwał nieznanemu, zrobił efektowną przerwę i cierpliwie powtórzył:

- Szanowny... Ja likwiduję mechanizmy, które stanowią zagrożenie dla żyjących. Na tym właśnie polega mój zawód. Nie będę niańczyć podrastających dzieciaków ani prowadzić waszej, jak powiedziałaś, idiotki na śmierć. Sprawa jest zakończona.

- Lepiej zapytaj, jaka to suma - z naciskiem wypowiedział longer, po czym przybrał opryskliwy wygląd, jakby usiłował odegrać scenkę pantomimiczną pod tytułem „Mnie nikt nie odmawia”.

Wiedźmin uśmiechnął się kącikami ust, ale nie zdążył niczego powiedzieć - w kieszonce pasa zawibrowała komórka.

Wyjął telefon i najpierw spojrzał, kto dzwoni. Spojrzał - i natychmiast spoważniał.

- Tak, Wesemirze! - odezwał się do aparatu.

- Witaj, Geralcie - rzekł oschle Wesemir. - Gdzie jesteś?

- Między Donieckiem a Ługańskiem.

- Czy rozmawiał już z tobą pewien longer? Na temat dziwnego zadania?

- Właśnie teraz rozmawia.

- Zgódź się.

- Co to ma znaczyć? - zapytał speszony Geralt.

Takich słów od najstarszego wiedźmina Eurazji, od ojca i nauczyciela, nigdy się nie spodziewał.

- Czy wiecie, co mi proponują?

- Co by ci nie proponowano, zgódź się - równie oschle rozkazał Wesemir. - Zgódź się i wykonaj.

A co do zapłaty, tym się nie martw, sam wszystko załatwię. przyjmij, że pieniądze za to zadanie już dostaliśmy. To wszystko. Odszukam cię później.

Przez kilka sekund Geralt tępo wpatrywał się w wyłączoną słuchawkę.

„Coś tu jest nie tak - pomyślał z niepokojem. - A zresztą, niech będzie! Jeśli Wesemir każe, to znaczy, że tak trzeba”.

Bardzo wolno wsunął komórkę na miejsce.

- Zgadza się - głuchym głosem rzekł do nieznanego. - Co mam robić?

- To zupełnie inna rozmowa! - ożywił się tamten. - Odwiozę cię tam, gdzie trzeba. Najadłeś się?

- Tak!

- Kelner, rachunek!

Po kilku minutach wiedźmin siedział w dziupli, posępnie przyglądając się światłom jadących z naprzeciwka aut, i myślał o tym, co przyniesie mu najbliższa przyszłość.

3.

Cynthia okazała się milutkim dziewczęciem-półorkiem. Jak to zwykle bywa, dzięki wymieszaniu

krwi na świat przyszło bardzo ładne dziecko. Cynthia była szczupłą, nieco skośnooką dziewczyną o lekko wystających kościach policzkowych, jej proste włosy, czarne z granatowym odcieniem, na modłę orków opadały na ramiona. Ubierała się jak elf, nie jak ork - hafty, korale, paciorki... I oczywiście nie spódnica, a spodnie, do tego nie pantofle, a krótkie buciki.

Oczy miała prawie czarne, przy tym uważne, bystre i mądre. Nawet Geralt pod wpływem jej spojrzenia poczuł się nieswojo.

Lekkim krokiem półorka zbiegła po stopniach na werandę, z której przybysz od kwadransa obserwował okolicę.

- Witaj! Naprawdę jesteś wiedźminem?

Geralt opuścił plecak na najbliższe krzesło, a sam usiadł na sąsiednim.

- Naprawdę.

- Świetnie! Ile masz lat?

- Ile bym nie miał, wszystkie moje - niezbyt przyjaźnie odburknął w odpowiedzi.

Z twarzy Cynthii od razu zniknął uśmiech i stało się jasne, że nie jest przyzwyczajona do tego, żeby ktokolwiek mówił jej „nie”. To normalne u dzieci bogatych rodziców. Jej twarz wyostrzyła się, przybrała władczy grymas. Oczy jakby ściemniały, chociaż trudno, aby czarne oczy mogły jeszcze bardziej ściemnieć.

Jednak udało się jej opanować i wbrew oczekiwaniom nie wybuchła.

- Od dawna wiedźmaczysz?

- Od dawna - potwierdził Geralt.

- Nie jesteś szczególnie uprzejmy, wiedźminie! - zauważyła dziewczyna.

Łysy obdartus obojętnie wzruszył ramionami:

- Potworom wszystko jedno, czy jestem uprzejmy czy nie. Płacą mi zresztą nie za maniery, a za...

- urwał, zastanawiał się przez sekundę i tym samym tonem zakończył: - ...co innego.

Cynthia badawczo patrzyła na niego z góry. Potem odwróciła się i machnęła ręką.

- No dobrze, idziemy. Wyjeżdżamy już dziś! Zjemy tylko obiad i w drogę!

„No, zaczęło się!” - z niezadowolaniem pomyślał Geralt, marszcząc brwi.

- Nie można jutro? - zapytał, nie kryjąc rozdrażnienia. - Nie myłem się od tygodnia, a od ponad dwóch nie spałem w łóżku. Mam dość! Potrzebuję odrobiny luksusu, przynajmniej najbliższej nocy.

Dziewczyna zrobiła niezadowoloną minę, ale i tym razem się przemogła:

- No... jeśli rzeczywiście jest to konieczne, możemy przełożyć wyjazd na jutro rano. Ale musisz wiedzieć, że przez cały wieczór będę zasypywać cię pytaniami.

Słyszając to, wiedźmin tylko prychnął. Można by sądzić, że ktoś taki jak ona w drodze powstrzyma się od zadawania mu pytań!

- Jakoś to zniosę - zapewnił.

- A więc idziemy, przy okazji pokażę ci pokoje gościnne.

Teraz Geralt wstał szybko i z ochotą.

Rodzinka mieszkała w ogromnej willi niedaleko od centrum, nieco z boku trasy na Odessę. Do domu przylegał gigantyczny park bez jakichkolwiek zabudowań - jedynie drzewa i krzewy - w którym mieszkała rodzina elfów myśliwych. Kiedy podjeżdżali, wiedźmin zauważył przez szybę chudego, przypominającego łodygę sitowia elfiego chłopca, prawie niewidocznego wśród gałęzi jakiegoś bujnie rozrośniętego krzewu. Młodzieniec był zapewne dzieckiem myśliwego.

Za parkiem o doskonale utrzymane samochody dbał miedzianolicy kobold, któremu podlegali

czterej pomocnicy - ork, orkowirg i dwoje ludzi. W domu również byli służący - nie mniej niż dziesięcioro żyjących. Wszystkiego tego Geralt zdążył się dowiedzieć w rozmowie z orkowirgiem, gdy czekał, aż wnuczka gospodarza wróci ze spaceru. Wiedźminowi nie udało się zobaczyć matki Cynthii, gdyż ciągle przebywała w rozjazdach, a jej liczni kochankowie nie przesiadywali w domu, bo przeganiała ich ochrona tatusia, regularnie sprawdzająca drogę do Białej Cerkwi i z powrotem. Sam właściciel rezydencji pojawiał się rzadko. Nie przedstawiono go Geraltowi, a i jemu nie było spieszno go poznać.

Zanim dziewczyna wróciła ze spaceru, Geralt zdążył nie tylko pogawędzić z orkowirgiem mechanikiem i pospacerować przed domem, ale też odebrać dość dziwnego SMS-a od Lamberta.

„Życzę powodzenia i cierpliwości”. Geralt chciał zadzwonić i zainteresować się bliżej, co miało to oznaczać, ale rozmyślił się. Z SMS-ów wiedźmini korzystali tylko wtedy, kiedy zamierzali przekazać kolegom ważną wiadomość i nie oczekiwali na nią odpowiedzi.

\* \* \*

Przez dom szli długo, z dziesięć minut. Niekończące się amfilady sal, korytarzyki z bocznymi drzwiami, znowu sale... Pokoje gościnne, dzięki Bogu, były normalnej wielkości, nie więcej niż trzydzieści metrów kwadratowych. Geralt wybrał narożny, zapewne ze względu na jego niezwykajny kształt. Akurat ten fragment domu miał formę wieży, dlatego pokój kształtem przypominał koło nadziane na róg kwadratu. Okrągła część miała bardzo wysoki szklany dach o łukowym sklepieniu i ogromne okna. Sufit kwadratowej części - pozbawionej okien - odległy był od podłogi o około trzy metry. Stało tu za to łóżko, niskie i obszerne, z wezglowiem do połowy zasłoniętym idiotycznym baldachimem z frędzlami i riuszami. Oprócz tego w pokoju była szafa, stół, para ni to dużych szafek, ni to nieprzepisowej wielkości komód, cztery krzesła, dwa fotele, kominek, dwa obrazy przedstawiające pejzaże i wspaniały żyrandol. Między komódkami znajdowały się drzwi do łazienki, w której obok kwadratowej wanny dwa metry na dwa i muszli znalazł się także bidet. W tym urządzeniu Geralt lubił cynicznie myć nogi i prać skarpetki, rzecz jasna jeżeli cała armatura sanitarna była wypucowana i lśniąca. Tak jak tutaj.

- Może być - burknął wiedźmin.

Cynthia dziwnie na niego spojrzała, ale nawet jeśli pojawiła się w jej głowie następna nieprzyjemna myśl, dziewczyna znów zachowała ją dla siebie.

- Obiad za pół godziny. Na dole. Jeśli nie znajdziesz, zawołaj, służący cię zaprowadzą.

- A nie dałoby się podać obiadu do pokoju? - nieco kapryśnie zapytał Geralt. - Nie wiem, czy wiesz, ale nie lubię wystawnych rautów. Tych wszystkich „widelec trzymaj nie tak, nie mlaskaj, nie gap się na sąsiada...”. Lepiej już mlaskać w samotności.

Wnuczka longera zacisnęła usta i długo patrzyła na łysego przybysza. Patrzyła bardzo uważnie.

- Nie rozumiem, wiedźminie, do czego zmierzasz - powiedziała w końcu. - Czy usiłujesz nastawić mnie przeciwko tobie? Usiłujesz mnie zdenerwować? Po co ci to?

- Zupełnie po nic - zapewnił Geralt - Po prostu lubię samotność. We wszystkich jej przejawach. I dlatego źle mi się układa z żywymi. A po co mam zepsuć obiad twojej rodzinie?

- Rzeczywiście po nic - odpowiedziała mu w tym samym tonie. - Dobrze, obiad podadzą ci do pokoju, wydam dyspozycje. Ale potem przyjdę. Mam mnóstwo pytań.

- Nie wcześniej niż za godzinę - oświadczył wiedźmin i zdziwił się swojej bezczelności. Dyktować warunki gospodyni, do tego kapryśnej i władczej...

- Dobrze - skinęła głową. - Za godzinę.

I wyszła, starannie zamykając drzwi.

Geralt od razu odkręcił wodę, wziął z półki jakiś obficie pieniący się środek, popatrzył wokół siebie i nie czekając, aż wanna będzie pełna, wlał do niej. Lubił leżeć w ten sposób, czekając, aż kąpiel będzie całkiem gotowa, i czuć, jak podnosi się poziom wody. Woda przyjemnie łaskotała skórę. Gdy zdarzały mu się rzadkie dni kontaktu z cywilizacją, czasem po kilka razy opróżniał i napełniał wannę znów i znowu. Rozkoszował się na całego.

Z jakichś powodów dla pełnej rozkoszy koniecznie potrzebował odgłosu leżącej z kurka wody.

Kiedy wrócił do pokoju, obiad już podano. Na stole stała taca z pucharem wina, sztuciami i kilkoma talerzami zakąsek. Osobno, lśniąco wyczyszczone pokrywki, czekała na niego waza z zupą, a obok, pod mniejszą pokrywką, pieczone.

Wiedźmin chrząknął, rzucił ręcznik na łóżko i siadł do stołu.

Gotowano tu smacznie. Wino też nie było najgorsze.

Po obiedzie Geralt, tak jak stał - w świeżych szortach i bez niczego więcej, leżąc na łóżku obok ręcznika i błyskawicznie zasnął, nawet nie zdążywszy nacieszyć się czystą pościelą.

Obudziło go dotknięcie w ramię

Otworzył oczy. Obok łóżka stała Cynthia ubrana w kwiecisty szlafroczek. Włosy miała spięte z tyłu w koński ogon i wyglądała po domowemu, przyjemnie i bardzo naturalnie w tym otoczeniu.

- Ale jesteś wychudzony, wiedźminie - powiedziała, z uwagą przyglądając się szczupłemu ciału Geralta.

- Potwory szybko spalają zbędny tłuszcz - odburknął niezadowolony z tego, że za bardzo się rozluźnił. Gdyby ktoś chciał, mógł go zarżnąć, a wiedźmin wziąłby to za zły sen.

Ze stołu zniknęły już brudne naczynia i brudne serwetki. Za to pojawiła się szklanka i karafka. Była napełniona jakimś napojem owocowym, dość słodkim, ale i dość kwaskowatym, w sam raz, by ugasić pragnienie. Geralt wypił połowę prosto z karafki.

- Skorzystanie ze szklanki było za trudne? - zapytała gospodyni.

- Nie było. Ale i po co? - odpowiedział obojętnie.

Cynthia pochyliła głowę w bok, zupełnie jak dziecko:

- Chcesz uchodzić za gbura i prostaka?

- Dlaczego mam chcieć? - zdziwił się Geralt. - Przecież jestem gburem i prostakiem. Przecież jestem wiedźminem.

- Nie kłam. Wesemir zawsze cię chwalił.

- To ty znasz Wesemira?

- Znam. I to od dawna. Pewnie nawet lepiej od ciebie.

- No popatrz! - znów próbował zdziwić się Geralt, ale bez efektu. Nie odczuwał zdziwienia i właśnie to nieprzyjemnie go uderzyło.

Bardzo zabawne - dziwić się własnej nieumiejętności dziwienia się. Paradoks! Kilka sekund później Geralt uzmysłowił sobie, że raczej stwierdza fakt, niż się dziwi.

Dostrzeganie w sobie zmian, do tego tak nagle, zawsze jest nieco dziwne. Wiek. Wszystko wiek. Dorastasz i nabierasz doświadczenia, chociaż jak wcześniej uważasz siebie za smarkacza. A tak przecież nie jest. I uświadomienie sobie tego faktu to pierwszy krok od smarkacza do mędrca.

- Czego ty ode mnie chcesz? - Geralt zapytał Cynthię prosto z mostu.

- Chcę zostać twoją uczennicą. Wesemir twierdził, że jesteś najlepszy.

- Naprawdę tak powiedział? - z niedowierzaniem spytał wiedźmin.

- Niejeden raz.

- No... takich jak ja wychowuje się w Arzamasie-16. W pewien szczególny sposób. Dla ciebie jest już za późno. I, wybacz, jesteś kobietą, a wszyscy wiedźmini, jakich znam, to mężczyźni.

- W księgach są wzmianki o kobietach wiedźminkach - odparowała dziewczyna. - Czyli jest to możliwe.

- Badanie środkami farmaceutycznymi i w gabinecie klinicznym to nie są żarty - oschle poinformował Geralt. - Przeżywa jeden na dziesięciu.

- No, założmy, nie jeden na dziesięciu, a jeden i dwanaście setnych...

Wiedźmin spojrzał pytająco na Cynthię.

- Przejrzałam statystyki z ostatnich dwustu lat. Wesemir mi pokazał - wyjaśniła swoją zaskakującą wiedzę.

- No tak. Ale czy naprawdę te dodatkowe dwanaście setnych przeżywającego żywego ci pomoże? - zapytał Geralt nie bez złośliwości. - Badanie jest możliwe tylko we wczesnym wieku. Ty na pewno go nie przeżyjesz.

- To znaczy, że będę musiała zostać wiedźminką bez badania środkami farmaceutycznymi. I bez gabinetu.

- Leki, które bierzemy, dla zwykłych żyjących są niebezpieczne, natomiast mutantom nie szkodzą - nie poddawał się Geralt. - Oprócz tego mogą one mieć silny wpływ na funkcje rozrodcze twojego organizmu. Nie zapominaj, że jesteś kobietą.

- Nie zapominam. A co do funkcji... no cóż. Jestem gotowa ponieść ryzyko.

Głos dziewczyny zdradziecko przy tym zadrżał. Wspomniane funkcje z pewnością nie były dla niej obojętne.

- Ale można też nie brać leków - powiedziała.

- Wtedy wykończy cię pierwsza lepsza maszyna - bez namysłu odrzekł Geralt. - Ponieważ bez leków będziesz od niej wolniejsza.

- Będę trenować. A i tak większość maszyn jest szybsza od każdego obżartego stymulatorami wiedźmina. Ale mimo to wiedźmini w jakiś sposób radzą sobie z maszynami. A zresztą przestańmy się kłócić! Zostanę wiedźminką czy nie... I tak będę się uczyć, to już przesądzone. Tak więc, panie nauczycielu, proszę mnie uczyć.

- Nie potrafię uczyć - przyznał Geralt, odwracając wzrok. - I, jak podejrzewam, nie lubię. Nawet nie wyobrażam sobie, jak się to robi.

- Nie musisz. Po prostu mów mi o tym, co wiesz. I odpowiadaj na moje pytania. Możemy zacząć już teraz.

- Już teraz? - bezradnie zapytał wiedźmin.

- Już teraz - potwierdziła Cynthia niecierpliwie. - A teraz ubierz się. Co z ciebie za nauczyciel w samych majtkach?

- To szorty - odburknął Geralt. - Nie widzisz kieszeni?

I polazł do łazienki, w której zostawił ubranie.

Zanim otworzył dobrze wyciszone drzwi, dobiegło go

ciche terkotanie komórki. Podstawowy sygnał był przekazywany wibracją, dlatego nawet Geralt nie usłyszał dzwonka z pokoju. Znowu Wesemir...

- Halo - powiedział Geralt.

- Jak leci? - zapytał stary wiedźmin, nie witając się

z jakichś powodów.

- Niezbyt - Geralt zasepił się. - Jestem już na miejscu. Rozmawiam z... podopieczną.

- Świetnie. Rób wszystko, co ona powie. To naprawdę ważne, uwierz.

- Jaki tam ze mnie nauczyciel, Wesemirze? - z żalem powiedział młodszy wiedźmin. - Ja nie potrafię niańczyć dzieci!

- Nauczysz się. Mówię poważnie. No dobrze, powodzenia. Jak będą problemy, zadzwoń.

Wesemir zakończył połączenie. Zły i rozdrażniony jak diabli Geralt włożył ubranie i wyszedł z łazienki. Cynthia stała pośrodku pokoju, wzięwszy się pod boki i z głową swoim zwyczajem pochyloną na bok.

- Dzieci, powiadasz? - spytała zapalczywie. - Idziemy na strzelnicę, panie nauczycielu! Tylko skoczę się przebrać...

I poszli.

Na strzelnicy, dosyć nowoczesnej, nawet nie trzeba było podchodzić do tarcz - same podjeżdżały na prowadnicach, wystarczyło wcisnąć przycisk przy stanowisku strzeleckim. Obsługa nie była skomplikowana i każdy wiedźmin mógł się w niej zorientować, nawet jeśli wcześniej nie widział takich urządzeń.

Cynthia z pewnością ćwiczyła strzelanie często i chętnie. Po pierwszej próbie na jej tarczy błyskawicznie powstały otworki układające się w trzy orkowe runy - w złośliwe pytanie: „Zjadłeś?”.

- No i co? - zapytała triumfująco dziewczyna, czule gładząc sztywny papier z otworami w miejscach trafienia.

- Może być - z grymasem ocenił Geralt. - Ale wiedźmini nie strzelają w ten sposób.

- A jak?

Bez słowa podszedł do środkowego stanowiska i szybko, praktycznie nie celując, prawie serią władował w środek tarczy cały magazynek. Dwanaście pocisków. I wcisnął przycisk prowadnicy...

Gdy tarcza podjechała, było w niej widać tylko jeden otwór. Co prawda lekko postrzępiony i trochę większy, niż którakolwiek dziura po pocisku na tarczy Cynthii.

Dziewczyna przygryzła wargę.

- Lekcja numer jeden - powiedział Geralt, sam nie rozumiejąc, skąd bierze słowa. - Nigdy się nie popisuj. Żyjący nie lubią, kiedy pokazuje się im, że pod jakimś względem są gorsi od ciebie. Do wiedźminów i tak nie żywią przyjaźni, a co dopiero do wiedźmina, który się popisuje... I nigdy nie popisuj się przed potworami. Potworom jest wszystko jedno, a ciebie może to kosztować życie. Zapamiętaj. I postaraj się nie zapomnieć, kiedy znów zechcesz zabłysnąć jakimiś umiejętnościami.

Cynthia skinęła głową. Milczała. Ale w jej oczach pojawiło się coś... coś, czego nie da się opisać. I Geralt nieoczekiwanie zrozumiał - jego słowa ugodziły ją w samo serce. Nawet nie słowa, nie - myśl, którą wiedźmin usiłował jej przekazać. Myśl została przyjęta. Co do tego Geralt nie miał najmniejszych wątpliwości.

„Przecież ona naprawdę szczerze myśli o tym, aby zostać wiedźminką - pomyślał. - Ale...! Czyżby? Nie dla romantycznego szpanu, a dlatego, że taki postawiła przed sobą cel? Ale skąd taki cel u panienki z dobrego domu?”

- Wiesz, Geralt - powiedziała Cynthia z powagą - ty wcale nie jesteś takim złym nauczycielem, za jakiego chcesz uchodzić. Serio. Dzięki za pierwszą lekcję.

- Proszę bardzo - odburknął wiedźmin.

Przypomniał sobie nagle oczy Wesemira, gdy w czasie szkolenia Geralt wreszcie po raz pierwszy wykonał coś, co do tej pory kończyło się wieloma nieudanymi próbami. Dopiero teraz zrozumiał, co to za płomień rozpalał się w oczach nauczyciela w takich chwilach. Płomień dumy.

4.

Geralt wyspał się porządnie - wino, czysta pościel, żadnego niebezpieczeństwa... Oby tak zawsze! Rankiem po zimnym prysznicu był jak nowo narodzony. Ponownie śniadanie podano do pokoju, chociaż wiedźmin o to nie prosił. A wkrótce po śniadaniu przyszła Cynthia ubrana w kostium podróży, drżąca z niecierpliwości. Jej oczy wydawały się czarniejsze niż zwykle, ale przy tym niedwuznacznie błyszczały.

- Jesteś gotowy, Geralt?auta są już przed bramą!

Wiedźminowi od razu nie spodobały się te „auta”. Czy to znaczyło, że jest ich więcej niż jedno?

W milczeniu skinął głową na powitanie, złapał swój wierny plecak i ruszył w stronę wyjścia. W progu pokoju obrócił się i pokłonił, jak każe obyczaj. Oznaczało to, że wiedźmina przyjęto tu bardzo gościnnie.

Drugi ukłon Geralt wykonał, gdy zbiegł po stopniach, przed głównym wejściem. Teraz dziękował całemu domowi.

Cynthia nie pozostawała w tyle.

- A może trzeba zabrać ze sobą coś szczególnego? - trajkotała. - Przygotowałam się, ale nie wiem, jakie rzeczy mogą przydać się w drodze. Zobaczysz?

- Zobaczę.

Przed bramą stały cztery dżipy, a obok nich, zebrawszy się w kółko, rozmawiało sześciu żyjących. Wśród nich był wcześniejszy rozmówca wiedźmina, orkowirg, oprócz niego - czworo ludzi i młody elf.

Geralt zacisnął zęby.

„No, poczekaj, dziewczę! Nałykasz się ty u mnie wiedźmińskiej codzienności. I to w pełnym wymiarze!”

Po dokładniejszym przyjrzeniu się Geralt zauważył, że jeden z czekających na nich mężczyzn był kwarteronem - płynęła w nim czwarta część orczej krwi. Gdy tylko wiedźmin i Cynthia podeszli bliżej, żyjący przerwali rozmowę, wyrzucili niedopalone papierosy do kosza przy wjeździe i wyczekująco patrzyli na gospodynię.

Tymczasem Geralt zerknął na dżipy - przez przyciemniane szyby było widać, że bagażniki zostały załadowane pod samą podsufitkę.

Przez kilka sekund wiedźmin przyglądał się temu chmurnie.

- Co to? - zapytał w końcu, nie racząc spojrzeć na Cynthię.

- To nasz zespół i nasze auta - wyjaśniła drżącym głosem. Dawno zorientowała się, że Geralt nie jest zadowolony, ale na razie nie rozumiała, z jakiego powodu.

- Auta do garaży. Z ładunkiem zróbcie, co wam się podoba. Rzeczy Cynthii tutaj.

Zespół spojrział pytająco na gospodynię.

Ta przygryzła wargę i rzuciła:

- Wykonać!

Żyjący ruszyli się. Jedni wsiedli do wozów, inni otworzyli bagażniki. Po upływie minuty przed



bramą nie było samochodów, pozostał tylko zachmurzony wiedźmin, zdezorientowana dziewczyna i kilka pojemnych toreb podróżnych na asfalcie.

- To wszystko twoje rzeczy? - upewnił się Geralt.

- Tak - odpowiedziała zmieszana Cynthia.

Po raz pierwszy w życiu czuła się mała i bezbronna, chociaż jeszcze wczoraj była gospodynią i rozkazywała. Władczo i zdecydowanie. Wydawała rozkazy mężczyznom wszystkich ras, nawet elfom myśliwym. A teraz przestępowała z nogi na nogę w poczuciu winy przed wiedźminem - odszczepieńcem i włóczęgą.

- Podnieś je.

- Co?

- Swoje rzeczy.

- Wszystkie naraz?

- Oczywiście! Nie zamierzasz chyba co pięćdziesiąt metrów marszu po nie wracać?

Dziewczyna poczuła się jeszcze bardziej bezbronna. Było jasne, że każdą z czterech toreb mogła co najwyżej podnieść. Ale nie nieść.

- Nie dam rady, Gercalcie...

- Wiedźmin nie zna słów „nie dam rady”. Jesteś wiedźminem... wiedźminką. Wyruszasz w podróż. I nie jesteś w stanie unieść swoich rzeczy. Daleko zajdziesz?

- Ale auta...

- Wiedźmini najczęściej nie mają aut. A jeśli nawet mają, to w bagażniku znajdziesz tylko koło zapasowe i narzędzia. Przyjrzyj mi się, wiedźminko. To są wszystkie moje rzeczy. W zupełności wystarczą. Dlatego... dlatego nie będziemy przetrząsać tego całego kramu. Zabierzemy ze sobą tylko to, co jest naprawdę potrzebne. Czy masz coś takiego?

Geralt uniósł swój wierny mały plecak, towarzysza wielu wypraw.

- Zaraz - zrezygnowanym głosem odpowiedziała Cynthia.

- I zawołaj tego, kto to wszystko pakował.

Po kilku minutach przybiegła służąca, równie smagła jak jej pani.

- A zatem - zaczął wiedźmin - zapamiętaj: zabierać ze sobą trzeba nie to, co może się kiedykolwiek przydać, a tylko to, bez czego nie można się obejść. Przede wszystkim... Co przede wszystkim?

- Mmm... - mamrotała dziewczyna, zastanawiając się. I zaproponowała: - Broń?

- Prawie zgadłaś. Broń jest na drugim miejscu. A na pierwszym laptop i komórka. Ponieważ najważniejsza jest informacja i jej wymiana. Komórkę widzę. A czy masz laptopa?

- Mam! - Cynthia podniosła się trochę na duchu. - Elza!

Służąca niczym nurek zniknęła w przepastnej czeluści jednej z toreb i podała pani elegancką skórzaną teczkę.

- Co to za model? - zainteresował się Geralt.

- Motion-overdrive, ósemka.

- Bateria działa?

- Dwie i pół godziny od całkowitego naładowania.

- Nadaje się. Potrzebny program zainstaluję potem. Połóż z boku.

Teczka z laptopem powędrowała daleko od toreb.

- Teraz drugie. Jak już powiedziałas, broń. Przydadzą ci się trzy rzeczy: dobra strzelba, dobry

pistolet i dobry nóż.

- Strzelby zostały w autach. - Dziewczyna spojrzała w stronę garażu. - Pistolet mam tu...

Odchyliła połą zamszowej kurteczki podróżnej. Pod nią w brązowej kaburze wisiała ośmiostrzałowa „szulga”.

- Kiedy ostatni raz czyściłaś spluwę? - zaczepnie spytał wiedźmin.

- Dzisiaj.

- Jest przestrelana?

- Oczywiście!

- Dobrze. Z pistoletem załatwione. Nóż?

W pochewce przy biodrze Cynthii znalazł się pięknie wykonany nożyk firmy Brimingetti - inkrustacja, kość, drogocenne kamienie, wytrawiony wzór na klindze. Porządne cacko. Bardzo porządne!

- Nie nadaje się - skreślił go Geralt.

- Dlaczego? - prawie ze łzami w oczach zaprotestowała dziewczyna. - Przecież to bardzo piękny nóż! Jeden z najlepszych!

- Właśnie dlatego się nie nadaje. Wiedźmini włóczą się w takich miejscach, w których poderzną gardło za jeden tylko kamyk z rękojeści. Nóż powinien wyglądać tak...

Geralt wyjął i pokazał swój tasak. Prostszy być nie mógł. Drewno i metal, nic więcej. Nawet bez profilowanej rękojeści.

Cynthia przygryzła wargę, włożyła brimingetti w nie mniej wykwinętą pochewkę i wrzuciła do otwartej torby.

Tymczasem z garażu truchtem przybiegł jeden z mężczyzn, trzymając w każdej ręce strzelbę. Dziewczyna całkiem bezceremonialnie wyszarpnęła z pochwy przy jego pasie nóż - równie prosty jak Geralta.

- Ten się nada? - Z pochmurnym wyrazem twarzy pokazała go wiedźminowi.

Obejrzał go równie uważnie. Nóż był bardzo stary. Ale stał dobrej jakości, prawidłowo naostrzona, rękojeść wygodna.

- No, przymierz w ręce. - Geralt włożył broń w dłoń Cynthii. - Chwyć mocniej...

Pomacał, obejrzał.

- Rękojeść jest trochę za gruba. Ale ujdzie, przeszlifujesz na szlifierce.

Nóż wraz z pochwą po chwili znalazł się na biodrze dziewczyny.

- Strzelby... Nie ma się tu co zastanawiać, ta śrutówka. W sam raz dla ciebie. Odwróć się.

Kieszeń i szelki na strzelbę na ubraniu Cynthii doskonale nadawały się do wybranej śrutówki.

- Trzy tuziny nabojów do strzelby, trzy magazynki do „szulgi” i broń mamy z głowy...

- Mam jeszcze noże do rzucania - pochwaliła się dziewczyna. - I pistolecik.

- To twoja sprawa. Chcesz - bierz, nie chcesz - wyrzuć. Każdy wiedźmin musi mieć strzelbę, pistolet i nóż. Pozostałe jak chce. Przejdźmy do innych przedmiotów. Po trzecie. Co po trzecie?

Cynthia spotkała się wzrokiem z Geraltem i wzruszyła ramionami.

- Apteczka - powiedział wiedźmin, pouczająco unosząc palec. - Standardowa w zupełności wystarczy.

- A ty masz niestandardową? - nagle spytała dziewczyna.

- Ja mam wiedźmińską.

- Ale dlaczego mam mieć standardową? - zapytała obrażona Cynthia.

- Dlatego, że nie masz skąd wziąć wiedźmińskiej. To po pierwsze. I dlatego, że leki wiedźmińskie cię zabiją, bo nigdy nie przechodziłaś próby. To po drugie.

- Rozumiem.

Służąca nawet nie czekała na polecenie swojej pani - apteczka już leżała obok laptopa.

- Po czwarte: środki higieny. Szczotka do zębów, pasta, czysta bielizna. Sądzę, że przydadzą ci się też podpaski. Ręcznik nie jest potrzebny. Nie potrzebujesz też kosmetyczki, a dam sobie łeb uciąć, że twoja ma wielkość walizki. O suszarce do włosów też możesz zapomnieć, bo to przecież pudełko z suszarką tam, w torbie, nieprawdaż? A suszarka i kosmetyka nie są środkami higieny.

- Ale...

- Żadnych „ale”. Nie zgadzasz się - do widzenia.

Dziewczyna zdecydowanie podeszła do bagaży, pogrzebała w nich na przemian ze służącą i dodała do już wyselekcjonowanych przedmiotów torbę wielkości Geraltowego plecaka.

- Trzy razy mniejsza - bezlitośnie zakomenderował wiedźmin.

Wykonała i ten rozkaz.

Kiedy wstała, z jej umalowanych oczu po pokrytych różem policzkach płynęły łzy.

- I nie rycz! - Geraltowi obce było współczucie. - Potworom jest obojętne, jak wyglądasz.

- Ale żyjącym nie jest obojętne - cicho zaprotestowała Cynthia.

- Ale tobie jest wszystko jedno, co myślą o tobie żyjący. To jest dla ciebie obojętne! O-bo-jęt-ne.

Od dzisiaj.

- Rozumiem - wyszeptała.

Pewnie naprawdę zrozumiała. Ale łez nie zrobiło się przez to mniej.

- I zapamiętaj jeszcze jedno. Pewnie wydaje ci się, że jest mi ciebie żal. Że jestem nauczycielem, który postępuje z surowością tylko dlatego, że istnieje takie słowo jak „trzeba”, a w głębi serca jest on dobrym człowiekiem i żal mu nieszczęśliwej dziewczyny. To wszystko są bzdury. Wcale mi cię nie żal. Moja litość umarła wiele lat temu w Arzamasie-16. I powoli przyzwyczajaj się, że i twoja litość umrze gdzieś tam przed nami, podczas wędrówki. Umrze litość, współczucie, wszystko umrze. Pozostaną tylko umiejętności wiedźmina i obojętność wobec wszystkiego oprócz miasta.

- Zapamiętam - przyrzekła dziewczyna.

»To dobrze - uznał Geralt. - Uparta. Nie daje za wygraną. Dobra, zobaczymy, jak zaśpiewasz za tydzień«.

- A po piąte? - nieśmiało spytała Cynthia, ocierając łzy rękawem.

- Chusteczkę możesz zabrać - warknął jej nauczyciel. - Nie musisz rękawem... A po piąte... Piątego nie ma. Wiedźmin w podróży niczego więcej nie potrzebuje. Chociaż stop, pieniądze! Weź ze sobą tyle, ile uznasz za słuszne. Pieniądzy nigdy nie ma się za dużo. A teraz zapakuj to, co wybrałaś, do swojego plecaka. Ale zrób to sama, bo w drodze nie będziesz miała służącej. Torba z miękkimi rzeczami na plecy. Potem laptop, pionowo, portami do góry, stacją dysków i CD-romem do dołu. Tak, dobrze, zakładaj... Ech, zakuta pało, najpierw strzelbę zdejmij, potem znów ją przypniesz. Strzelbę będziesz częściej brać w ręce niż ściągać plecaczek. O, tak... Tak... Zupełnie inaczej. Buty nowe?

- Prawie.

- Nie obetrzesz nóg?

- Nie. To montereye.

- No, uważaj! Nie będę czekać. Podskocz no. Co tam się telepie? Przepakuj. I nie patrz tak,

niefortunny odgłos może kosztować cię życie.

Geralt kazał uczennicy przepakowywać plecaczek trzy razy, zanim był usatysfakcjonowany.

5.

Przez kolejne trzy tygodnie dni Geralta i Cynthii wyglądały niemal tak samo. Ranek zaczynał się od ćwiczeń fizycznych, przy czym dziewiątego dnia uczennica już dzielnie zrywała się po komendzie „Wstawaj!”, a piętnastego sama wstała o brzasku. Wyciskanie i skoki przestały być dla niej tak męczące jak na początku. O najróżniejszych mechanizmach i broni wiedziała o wiele więcej, niż wielu żyjących zdążyłoby się dowiedzieć w ciągu całego wieku. W pierwszej połowie dnia zazwyczaj oddawali się zajęciom teoretycznym, w drugiej - szli równolegle do trasy na Odessę. Nocowali w napotkanych willach, mieszkaniach, raz zdarzyło im się spędzić noc w starym, prawie już niejeżdżącym autobusie. Cynthia dobrała sobie inny, znacznie mniej elegancki strój, który o wiele bardziej nadawał się do podróży. Z własnej inicjatywy najpierw zrezygnowała z manicure, potem w ogóle z długich paznokci, a na kostkach jej palców pojawiły się pierwsze odciski. Pod koniec pierwszego tygodnia dziewczyna ze źle skrywaną dumą nakarmiła Geralta własnoręcznie przyrządzoną pieczęnią, nawet niezłą w smaku. Na podstawie haseł w wyszukiwarce wiedźmin wyśledził wizytę Cynthii na jednej z kulinarnych stron i pomyślał: „No cóż, podopieczna się stara! Punkt dla niej!”.

Tak w ogóle bycie niańką młodej półorczyki okazało się o wiele mniej kłopotliwe, niż wiedźmin z początku sądził. Tak, Cynthia miała niewłaściwe wyobrażenie o dzikim życiu Wielkiego Kijowa i wątpliwe, by uniknęła nieprzyjemności, gdyby pozostawiono ją samą sobie. Ale starała się - starała się ze wszystkich sił. I rezygnowała ze wszystkiego, co przeszkadzało jej dążyć do wytyczonego celu. Nie można powiedzieć, że Geralt dobrze znał płęć przeciwną - rzadko miał z nią do czynienia. Ale doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że postępowanie tej dziewczyny było nie lada wyczynem. Wątpliwe, czy znalazłoby się w Wielkim Kijowie wiele kobiet zdolnych do czegoś takiego. Fryzura, makijaż, pomalowane paznokcie, w ogóle przesadna dbałość o wygląd zewnętrzny tworzą podstawę ich bytu. A skoro Cynthia przekreśliła tę część swojego istnienia, oznaczało to, że jej cel nie był tak znowu błahy.

Dwukrotnie dzwonił Wesemir i pytał, jak przebiega szkolenie. Geralt wstrzemięźliwie przedstawił sytuację, za drugim razem zdobył się nawet na odwagę i pochwalił uczennicę, pytając też, po co Wesemirowi tak dziwnie wyuczona wiedźminka. Wszak bez prób z użyciem farmaceutyki i gabinetu klinicznego ona i tak nie stanie się pełnowartościową jednostką bojową Arzamasu-16. Wesemir zbył to milczeniem i polecił kontynuować szkolenie.

Można by pomyśleć, że Geraltowi pozostały inne warianty...

Monotonny bieg dni uległ zakłóceniu podczas kolejnej wieczornej wędrówki.

Wiedźmin szedł z tyłu, leniwie oglądając się na boki, Cynthia sama wybierała drogę i utrzymywała ogólny kierunek. Do zachodu słońca pozostało jeszcze co najmniej trzy i pół godziny, dlatego nie szukali na razie miejsca na nocleg. Do tego rejon, mówiąc szczerze, temu nie sprzyjał: skupisko małych i średnich fabryk, zakładników i zakładów, szare, zakurzone ulice i szare, zakurzone płoty o różnym stopniu zniszczenia. Wszystko to stawało na drodze, ciągnęło się to z lewa, to z prawa, pod nimi, a czasami i nad głową. Spotykali podziemne przejścia pod torami, tunele niewiadomego przeznaczenia, czasami musieli przedzierać się przez piwnice budynków albo na

odwrót, przez górne piętra, a nawet dachy. Nocleg w takich rejonach to wątpliwa przyjemność, nawet nie ma gdzie odnowić zapasów - ani sklepów, ani magazynów. Tylko z rzadka zakładowe stołówki z zezłoszczonymi mechanizmami w kuchni. Geralt co i rusz zauważał ślady żyjących - również w tych przemysłowych ruinach ktoś mieszkał. Mało prawdopodobne, by mieszkańcy okazali się bardziej gościnni niż miejsca, do których się przystosowali - tę prostą prawdę Geralt uświadomił sobie zanim jeszcze został wiedźminem. Dlatego chciał jak najszybciej minąć pępek rejonu i szukać noclegu poza nim.

Drogę zagroził im kolejny szary płot z drutem kolczastym na górze. Zardzewiałe tory, wzdłuż których szli przez ostatnie dwadzieścia minut, zniknęły pod zniszczoną drewnianą bramą w płocie. Z niej płatami odpadała zielona farba.

- Do diabła! - zakląła Cynthia i pytająco spojrzała na wiedźmina.

Ten beznamyślnie oglądał bramę. Dołem nie przejdiesz - szczelina jest za wąska. Na górze ten sam drut kolczasty, do tego dwa rzędy. Zamek, jeśli jest, to od wewnątrz. Płot ciągnie się w prawo i w lewo, dokąd wzrok sięga, i ginie w rudawej mgle przy samym horyzoncie.

Nie doczekawszy się reakcji Geralta, dziewczyna z własnej inicjatywy próbowała pchnąć bramę. Rzecz jasna bez skutku: wrota istotnie były zamknięte od środka.

- Zazwyczaj brama otwiera się na zewnątrz - zauważył wiedźmin. - Pchanie nic nie da. Popatrz na zawiasy. To nie jest taka skomplikowana technika...

Cynthia spojrzała i ze złością przygryzła wargę. Zapewne miała sobie za złe, że nie potrafiła sama domyślić się rzeczy tak oczywistej.

Bardzo chciała zostać dobrą wiedźminką.

Brama zresztą nie otwierała się też na zewnątrz, gdy Geralt i jego uczennica ciągnęli za skrzydła, za sam dół. Zamknięta.

Zastanawiali się kilka sekund, wreszcie wiedźmin lekko pchnął czubkiem buta jedno skrzydło, potem drugie.

- Co takiego? - Cynthię rozpierała ciekawość. Zrozumiała, że Geralt coś wymyślił.

- Mocna, zaraza - wyjaśnił. - Zdarzają się oczywiście mocniejsze, ale i tych nożem nie rozdlubiesz. A i toporem trzeba by się namachać, gdybyśmy mieli topór.

- A z broni? W zamek?

- Zamknięcie pewnie jest na zasuwę, a zasuwę kulami nie odsuniesz.

- To co robić?

- Myśleć - rzucił wiedźmin. - Podaj wodę.

Dziewczyna zręcznie dobytek z plecaka napełnioną do połowy butelkę mineralnej. Geralt usiadł na zrudziałej od rdzy szynie i na pół minuty zastygł w bezruchu. Cynthia cierpliwie czekała.

- A powiedz mi, podopieczna - ocknął się wiedźmin i wreszcie wziął łyk wody - jak dawno minęliśmy rozgałęzienie od tej jednotorówki?

- Z piętnaście minut temu! - raźnie zameldowała uczennica. - W lewo odchodził tor do jakiejś fabryczki. Ale brama jest tam niska, ażurowa, z metalu i bez drutu kolczastego.

- Słusznie - potwierdził Geralt. - A szyny są zardzewiałe, jak tu, czy wyjeżdżone, nie pamiętasz?

- Mmm... - zamamrotała Cynthia. - Zdaje się, że wyjeżdżone! I były tam plamy z oleju na podkładach, a nie trawa jak tutaj.

- Dobrze myślisz - wiedźmin zdobył się na pochwałę. - Szyny są tam rzeczywiście wyjeżdżone, na pewno ktoś ich używa. Idziemy.

Wstał i jak zwykle nie patrząc w tył na dziewczynę, poszedł wzdłuż zardzewiałej linii, oddalając się od bramy i zagradzającego tor płotu. Cynthia drobnymi kroczkami, starając się stąpać po podkładach, podreptała za nim.

- A w czym nam to pomoże? - zapytała.

Przygody w podróży najwyraźniej pobudzały ją bardziej niż nudnawe teoretyczne mądrości, których musiała uczyć się każdego ranka.

- Zobaczymy na miejscu - wymijająco odpowiedział wiedźmin.

Półorczyca już dawno zrozumiała, że jeśli Geralt od razu nie wytłumaczył swoich działań, nie ma sensu go dopytywać. Albo całkiem zamilknie, albo wytłumaczy w bardziej odpowiedniej chwili. Dlatego zwyczajnie poszła za nauczycielem.

Wkrótce dotarli do rozjazdu. Tu szyny rzeczywiście nie nosiły śladów rdzy, na dole były ciemniejsze, ale z wierzchu lśniły. Ażurowa brama z metalu zamykała wejście na teren jakiejś bazy. Szyny nurkowały pod bramę, ciągnęły się wzdłuż długiej ceglanej budowli z wieloma drzwiami i zakreślały w dali za rogiem. Z drugiej strony szyn, między płotem a torem, leżały ułożone w sztaple podkłady, sterczały zapaćkane smarem beczki, piętrzył się jakiś niesamowity złom. Widok był, jednym słowem, obrzydliwy - Cynthia widziała już wystarczająco dużo, aby nie zapalać sympatią do tego miejsca.

- Zamek - warknął wiedźmin. - A jednak zamek. No dobrze, taką bramę weźmiemy na jeden ząb.

Chwycił rękami pręty, postawił but na dolną poprzeczkę i wszedł na górę jak po drabinie. Cynthia ruszyła w ślad za nim - przejście przez bramę okazało się bardzo łatwe.

- I co? - spytała, otrzepując dłonie już po drugiej stronie.

Geralt ni to się rozglądał, ni to nadśluchiwał. Słuch dla wiedźmina jest równie ważny jak wzrok - nauczyciel zdążył jej już zademonstrować umiejętność strzelania na słuch. Kiedyś podczas noclegu w dużym drewnianym domu zawiązał sobie oczy czarną chustą, wziął do ręki rozładowany pistolet, wycelował do dziewczyny i zaproponował, aby zeszła z linii przypuszczalnego strzału. Cynthia przez pięć minut chodziła na palcach, wstrzymując oddech. Na próżno, lufa nieprzerwanie w nią celowała, błyskawicznie reagując na jakąkolwiek zmianę miejsca.

Po rozejrzeniu się (albo przysłuchaniu) Geralt ruchem ręki rozkazał jej pozostać przy bramie, a sam ruszył dróżką przed budynkiem. I skręcił za róg - tam, gdzie znikają z pola widzenia szyny.

Cynthia czekała prawie kwadrans. Przez ten czas siedziała nieruchomo w kucki, tuląc się do płotu obok bramy i nie zdejmując rąk ze strzelby. Na terenie bazy było cicho - jedynie coś zgrzytało w oddali, jakby gigantyczna prasa rozgniatała auta, które swoje przeżyły. Dziewczyna czuła się pewniej niż w pierwszych dniach, ale pozostawanie samej nie było na razie przyjemne. U boku Geralta było o wiele spokojniej...

Wiedźmin zjawił się tak, jak potrafią tylko wiedźmini - szybko i bezgłośnie niczym duch. Przed chwilą go nie było, a naraz, patrz - stoi! Wyszedł zza rogu i cicho zagwizdał. Cynthia odwróciła głowę, nauczyciel przywołał ją skinieniem ręki.

Nie zdejmując palca ze spustu strzelby, truchtem pobiegła dróżką. Geralt nie czekał na nią, zniknął za węgłem.

Za rogiem znajdował się wewnętrzny dziedziniec bazy. Z lewej strony stał czteropiętrowy budynek z czerwonej cegły, naprzeciwko - trzypiętrowy biały. Szyny przecinały obszerny plac i znikwały w półmroku otwartego hangaru po prawej. Geralt, zupełnie się nie kryjąc, poszedł w tamtą stronę. Cynthia popędziła za nim.

Gdy podeszła bliżej, obejrzała wewnątrz hangaru i zrozumiała, że do tej budowli o wiele bardziej pasowało określenie „parowozownia” - taka porządna nora dla lokomotywy. Dostrzegła też lokomotywę - a dokładniej: lokomotywkę. Taka nieduża, sympatyczna, zieloniutka, staromodna - niewiele takich zostało, swoje przeżyły. Lokomotywka mogłaby posłużyć za symbol minionej epoki, ale i półorczyca, i wiedźmin przeżyli jeszcze zbyt mało, aby to zrozumieć. Jakiś stary elf mógłby nostalgicznie westchnąć, patrząc na cudo wczorajszej techniki...

- Znajoma sztuka? - spytał Geralt, zatrzymując się w progu hangaru-parowozowni.

- Aha - pewnym głosem odpowiedziała Cynthia. - Mała lokomotywa manewrowa CzMEZ-2.

Model na wymiarciu.

- Dobrze - potwierdził wiedźmin. - A dokładniej? Cynthia wzruszyła ramionami, z łatwością wydobywając z pamięci wyuczone informacje:

- Łatwa do oswojenia, prosta w obsłudze, przypadków wrogiego zachowania w stosunku do żyjących odnotowano niezwykle mało. Uważana za bezpieczną.

- I to prawda - z zadowoleniem skinął głową Geralt. - Dobrze, ruszamy.

Podszedł szybkim krokiem do lokomotywki i zrećnie wdrapał się po drabince na stopień przy wejściu do kabiny. Cynthia nie pozostawała w tyle.

Kabina była otwarta. Ledwie wiedźmin złapał za klamkę, maszyna zadrżała i włączyła silnik. Zachowywała się całkiem spokojnie, z czego można było wnioskować, że jest oswojona.

- Spójrz - powiedział Geralt. - Ona tak przełącza się z automatu na ręczne sterowanie. W plikach szkoleniowych nie ma tej informacji, dlatego zapamiętaj, że w większości pojazdów przełącznik jest taki sam. Hopla. Jazda!

Lokomotywka posłusznie zagwizdała dwa razy i ruszyła, nabierając powoli prędkości. Plac, skręt, po czym przed bramą jak zwykle zwolniła.

„Wrota zamknięte! - pomyślała Cynthia. - I co dalej?”

Ale wiedźmin nie podzielał jej zakłopotania. Po prostu wyciągnął rękę i zdjął z haczyka naprzeciw tablicy sterowniczej zwykły klucz na długim rzemyku z surowej skóry.

- Idź, otwórz zamek i bramę - rozkazał dziewczynie.

- Dlaczego uważasz, że klucz będzie pasował do tego zamka? - spytała Cynthia.

- Dlatego. Idź, otwórz.

Uczennica posłusznie wyszła z kabiny i ześlizgnęła się po drabince. Ku jej nieopisanemu zdumieniu klucz pasował do zamka. Otworzywszy szeroko bramę, Cynthia zaczekała, aż lokomotywka wypełźnie za teren bazy, po czym tylko przymknęła oba skrzydła. Wspięła się do kabiny. Geralt nie zaprotestował, więc widocznie zrobiła wszystko jak trzeba.

Dojechali do ostatniego rozgałęzienia. Tu Geralt pokazał dziewczynie, jak działa zwrotnica. To było proste do bólu: dźwignia w prawo - jedziesz prosto. Dźwignia w lewo - skręcasz. Słowem, już po kilku minutach lokomotywka rażno pędziła po zardzewiałym torze w kierunku dużego zakładu i zamkniętej na cztery spusty bramy. Cynthia przykucnęła, opierając się plecami o metalowe drzwi kabiny.

Przed bramą lokomotywka spowolniła bieg, a potem całkiem stanęła około trzech metrów przed przeszkodą. Wiedźmin cierpliwie na coś czekał - ale na co? Aż zjawi się ktoś i otworzy wrota?

Potem Geralt z jakichś powodów pociągnął za zwisający z sufitu kabiny sznur. Wówczas rozległ się przenikliwy gwizd, tak głośny i nieoczekiwany, że dziewczyna omal nie wypadła z kabiny na wąską platformę przed drabinką.

- Ojej...

Wiedźmin zerknął kątem oka na półorczycę. Jego twarz, rzecz jasna, nie wyrażała żadnego uczucia.

- Mógłbyś uprzedzić! - warknęła Cynthia. - Serce omal mi nie wyskoczyło!

Geralt nie zdążył wyartykułować dyżurnego pouczającego zdania, gdyż dziewczyna kontynuowała:

- A zresztą wiem, wiem! Wiedźmin powinien być przygotowany na każdą niespodziankę. Na grom z jasnego nieba, gwizd lokomotywy, zlot motocyklistów, powódź w Karpatach i współczucie takiego samego wędrownego wiedźmina. Wybacz, ale w żaden sposób nie mogę się przyzwyczaić.

Jej nauczyciel przełknął przygotowane zdanie - komicznie poruszając szczęką - i przemilczał pretensje. Cynthia zachichotała: Geralt przez krótką chwilę miał bardzo śmieszny minę, jak gdyby chciał zatrąbić wargami albo kogoś cmoknąć. Na twarzy jej towarzysza podróży zbyt rzadko pojawiał się jakikolwiek wyraz - zazwyczaj był beznamiętny jak manekin z salonu Mommy Eri. Dlatego dziewczyna chichotała coraz głośniejsze i trudno było się jej powstrzymać.

W następnej chwili wydało się jej, że wiedźmin wybuchnie, wypali i jak zwykle każe jej wyciskać pompki do oporu - tu, w kabinie lokomotywki, albo obok, na podkładkach. Ale nie wybuchnął. Odwrócił się i ponownie zaczął oglądać skrzydła oblaźłej, zamkniętej bramy.

Cynthia pomyślała, że na miejscu Geralta by nie wytrzymała. Przynajmniej by wrzasnęła. A przedtem rzuciłaby czymkolwiek, co znalazłoby się pod ręką. Zresztą być może teraz potrafiłaby już zapanować nad gniewem. Jeśliby oczywiście przypomniawszy sobie na czas, że wiedźmini muszą być opanowani i beznamiętni. Ale nie zawsze o tym pamiętała. Chociaż z każdym dniem było coraz lepiej.

Minęło jeszcze kilka minut, które upłynęły na jałowym wyczekiwaniu.

„Ile to jeszcze ma trwać?” - pomyślała półorczyca z niezadowoleniem i w tym momencie Geralt otrząsnął się, nabrał powietrza i nie zwracając się konkretnie do niej, warknął:

- Trudno... Ni żywej duszy. No dobrze. Uczciwie poczekałem. Gdyby coś, wybaczenie, dobry żyjący, mam za mało czasu. Podopieczna! - ostatnie słowo adresował do Cynthii. - Wyskakuj z kabiny! Stań tam, z boku, i patrz, jak szturmują się zamkniętą bramę.

Uczennica, rzecz jasna, wykonała rozkaz. Jej złość i niezadowolenie błyskawicznie zniknęły, zamiast nich obudziła się ciekawość: co jeszcze za sztuczki z nieograniczonego wiedźmińskiego arsenału zechce zademonstrować jej Geralt?

A on włączył lokomotywce tylny bieg, odjechał ze sto metrów, a następnie przy przenikliwym gwizdzie rozpedził staruszkę. Odległość między maszyną a bramą zmniejszała się w zastraszającym tempie, jednak Geralt nawet nie myślał zmniejszać szybkości.

Cynthii zrobiło się zimno. Czyżby wiedźmin zamierzał staranować bramę? Ale jak on chce przezwyciężyć naturalny strach i instynkt samozachowawczy nawet oswojonego mechanizmu?

Na kilka sekund przed zderzeniem Geralt przeszedł z kabiny na platformę, potem opuścił nogę na drabinę, by skoczyć na bok od toru. Fiknął kozła, zrobił przewrót i wstał, jak gdyby skoki z jadącej lokomotywy były dla niego czymś najzupełniej zwyczajnym.

Tymczasem maszyna jak nie walnęła! Lewe skrzydło bramy zostało wyrwane z zawiasów i uderzywszy w parowóz, odleciało na bok. Prawe skrzydło najeżyło się prętami i przechyliło, drapiąc po lokomotywce. Zazgrzytał po żelaznym dachu drut kolczasty. Obok Cynthii upadł w trawę długi na łokieć pręt - niewiadomo dlaczego dziewczyna zwróciła uwagę, że całkiem odpadła z niego farba.



Maszyna przeskoczyła na teren zakładu i zniknęła im z oczu.

- Shahnush todd! - wyszeptała Cynthia.

Nagle zrobiło jej się ogromnie żal małej, posłusznej „czemezki”. A jednocześnie, jak części mozaiki, w jej głowie kilka myśli ułożyło się w prosty i chłodny wniosek: wiedźmini wykorzystują wszystko, co ich otacza, do osiągnięcia własnych celów, przy czym nie obchodzi ich otoczenie i nikogo ani niczego im nie żal.

- Gotowe - z zadowoleniem powiedział Geralt. - Zobacz, droga wolna!

Ich oczom ukazało się dziwnie przechylone prawe skrzydło w otworze bramy, jakimś cudem przytrzymywane jeszcze przez górny zawias, a zamiast lewej połowy wrót ziała pustka. Na szynach leżał podobny do gigantycznego jeża kłęb drutu.

- Ruszaj! - rozkazał wiedźmin.

Sam już spieszył do wyłomu.

Cynthia, w jednej chwili chłodna i obojętna, poszła za nim.

„Też muszę zostać taką - pomyślała zdecydowanie. - Obojętną i bezlitosną. Jeśli chcę pomścić Brid... A czy chcę?”

Jeszcze ze trzy tygodnie temu nie miała wątpliwości. A teraz zaczyna wątpić. Dziwna sprawa: właśnie tego uczył ją wiedźmin, być chłodną i bezlitosną. A doprowadził niemal do czegoś zupełnie przeciwnego.

Nie warto się okłamywać - dziewczyna rozumiała doskonale, że jeszcze trzy tygodnie temu nawet nie przyszłoby jej do głowy żałować lokomotywki. Choćby dlatego, że nie miała pojęcia, jak były zbudowane takie mechanizmy. A teraz wiedziała, choć ogólnie i powierzchownie, ale wiedziała. Czy wynika z tego, że wiedza prowadzi do miłosierdzia? Przecież to absurd! Jak wiedza o okrucieństwie może prowadzić do miłosierdzia?!

A jeśli może?...

- No, nie ociągaj się, wychowanko! Czekasz może, aż kurz osiadzie? Czy może, aż nadejdą ci z fabryki?

- Geralt - zaczęła Cynthia niemal rwącym się głosem - powiedz, nie było ci żal lokomotywki?

- Mi? - zdziwił się wiedźmin. - Nie. Współczucie szkodzi. Zapamiętaj to sobie.

Przy tym tak uważnie patrzył półorczycy w oczy, jakby chciał zagarnąć jej duszę i myśli. W tym spojrzeniu było coś określonego. Ale co? Akceptacja? Nadzieja, że uczennica prawidłowo rozumie nauki?

Sekundę później Cynthia zrozumiała.

Duma.

\* \* \*

W fabryce ktoś mieszkał: co rusz można było napotkać drobne ślady obecności nielicznych żyjących. Wbrew obawom Geralta nikt jednak nie zareagował na hałas, jaki powstał podczas forsowania bramy. A przynajmniej nikt im nie przeszkadzał w ciągu tych kilku minut, których wiedźmin i jego uczennica potrzebowali, aby czmychnąć na teren fabryki i biegiem przebyć przestrzeń między płotem a najbliższą halą. Geralt obawiał się tylko otwartych odcinków, między budynkami lub w ich wnętrzu było o wiele łatwiej ukryć się albo stawić opór niezadowolonym z

wtargnięcia gospodarzom.

Losem lokomotywki wiedźmin przestał się interesować z chwilą jej zderzenia z bramą - o ile w ogóle kiedykolwiek interesował się losem maszyn, które wykorzystywał. Inna sprawa, że w wyniku dzielnego taranowania parowozik nie został zbyt mocno uszkodzony. Miał tylko lekko powyginane poręcze na platformie przed kabiną - podstawowe uderzenie o bramę przyjęła na siebie łapa sprzęgu wystająca z przodu. Do tego kilka zadrapań na obudowie i zdarty przez drut kolczasty dach. Po przejechaniu przez bramę lokomotywka potoczyła się po szynach jeszcze ze sto metrów i stanęła. Gdy Geralt i Cynthia przebiegali obok niej, lekko drgnęła, jakby przestraszona, że znowu każą jej coś staranować, ale kiedy żyjący minęli ją, maszyna się uspokoiła. Najczęściej takie od dawna oswojone staruszki są bardzo uległe i posłuszne.

Wiedźmin i uczennica starali się iść przez fabrykę możliwie szybko i niezauważenie. Geralt prowadził, Cynthia z wysiłkiem dotrzymywała mu kroku. Udawało im się... prawie. Nie napotkali żyjących. A dokładnie, nie napotkaliby, gdyby wiedźminowi nie przyszło do głowy, by zajrzeć do stróżówki tuż przy wyjściu.

Ale jemu przyszło to do głowy.

Stróżówka była pusta. Duże oszklone okno patrzyło na lśniące niklowane kołowroty, pod oknem stał stół, na stole niedopita filiżanka herbaty. Na ścianie wisiał zegar, a pod zegarem coś, co przypominało telefon lub radiotelefon z niewielkim monitorem w górnej części. Monitor świecił, pokazując skrzywioną twarz jakiegoś żyjącego - mężczyzny w średnim wieku. Wiało od niego strachem. Usta mężczyzny poruszały się, jakby się modlił.

Sekundę później dziewczyna zrozumiała, że żyjący też ją widzi.

- Hej, ty - odezwał się Geralt tonem przypominającym zdziwienie. - Wideofon! Ale potrzebny w takiej dziurze!

- Wideofon? - spytała Cynthia z zaciekawieniem. - Co to takiego wideofon?

- To samo co telefon. Tylko że nie z przekazem samych głosów, ale i z obrazem rozmówców.

- A... - zrozumiała uczennica. - I coś takiego istnieje?

- Nie takie rzeczy bywają... - Wiedźmin wzruszył ramionami.

Cynthia znów spojrzała na monitor.

Twarz powiększyła się, jakby żyjący niemal wsadził nos w swój aparat. Teraz coś wykrzykiwał, ale wideofon nie wydał żadnego dźwięku.

Geralt przez kilka sekund odcyfrowywał napisy na przednim panelu aparatu, potem wcisnął szary przycisk w rogu i do stróżówki wdarł się paniczny głos żyjącego:

- ...omoc!!! Na pomoc!!! Jesteśmy uwięzieni!!!

- Witaj - z przerażającym spokojem pozdrowił go wiedźmin. - Przestań się wydzierać.

- Zginieemy!!! - wciąż krzyczał nieznajomy. - Ja wiem, to nie jest pokój, to komora gigantycznej prasy! W komorze jest cała moja rodzina. Ja jestem tutaj, w sterowni! Pomóżcie!

- Prasa? - spytał Geralt. - To ciekawe. A po co twoja rodzina weszła do komory prasy?

- Pomóżcie!!! - mężczyzna wciąż wrzeszczał. - Błagam was, pomóżcie nam!!! Nie mogę wyjść ze sterowni, bo zamek się zablokował, kiedy prasa zaczęła działać! Tam jest moja żona i dzieci. Oddam wszystko, tylko ich uratujcie!!!

- Czy naprawdę wszystko? - warknął Geralt. - Słuchaj, człowieku, popatrz na pulpit. Po lewej stronie z boku. Powinna tam być tabliczka. Co jest na niej napisane?

Mężczyzna zaciął się, przestał wrzeszczeć, posłusznie cofnął się o krok i schylił.

- GP-102! - przeczytał. - Fabryka „HydroPromAutomatyka”...

- Rozumem - skinął głową wiedźmin. - Sto drugi oznacza...

- Zróbcie coś!!! - mężczyzna znowu zaczął krzyczeć.

- A niby z jakiej racji? - spytał Geralt, nadal zachowując przerażający spokój.

- Co, jesteście bez serca? - człowieczek zaczął błagać. - Tam jest moja żona i siedmioro dzieci!

Najmłodsza ma zaledwie pół roku! Jest tam też pies!!! Oni wszyscy zginą!!!

- Coś podobnego? - westchnął ze smutkiem wiedźmin. - I jeszcze pies!

Cynthia bała się interweniować. Nie wierzyła, że jej nauczyciel zostawi mężczyznę i jego rodzinę w nieszczęściu.

- A czy masz czym zapłacić? - znowu beznamiętnie spytał Geralt. - Bo ja, jak wiesz, nie pracuję za darmo. Jestem wiedźminem.

Tamten zamilkł, spojrział na Geralt - na łysą głowę, tatuaż, na niemrużące się oczy.

- Wiedźmin - wymamrotał mężczyzna.

Na jego twarzy odbijała się wzmożona praca mózgu i cała gama sprzecznych uczuć. Z jednej strony radość i nadzieja, bo przecież nikt nie potrafi lepiej od wiedźminów okiełznać krnąbrnych maszyn takich jak prasa. Z drugiej zaś - naturalny strach i nieufność obywatela wobec zabójcy mechanicznych potworów, istoty dziwnej, nieprzyjemnej i niepojętej.

- Mam trochę pieniędzy... Ze dwa tysiące.

- Mało. Za mniej niż dwanaście ze sto drugim tłuc się nie będę, moje zdrowie jest ważniejsze.

- Odpracuję! - gorączkowo obiecał żyjący.

- Nie da rady. Zapłata z góry. Czy chociaż wiesz, co to za bestia ten sto drugi?

Zrozpaczony mężczyzna obejrzał się - Cynthia niewyraźnie rozróżniała za jego plecami przylegające do przezroczyściej ściany sylwetki.

- Pomóż, wiedźminie! Potem się rozliczymy!

Ale Geralt pozostał nieprzejednany i głuchy na jego błagania:

- Nie, szanowny. Nie pracuję na kredyt.

- Weź wszystko, co mam! - Człowiek w wideofonie prawie płakał. - Mam samochód, pieniądze, żona ma jakieś błyskotki... Weź wszystko! Tylko ich ocal!

- Powiadasz, że najmłodsze ma pół roku? - w zamyśleniu zapytał Geralt. - A pozostałe ile?

- Co za różnica?! - zawył żyjący. - Najstarsza ma dwanaście.

- A ten chłopiec ile ma? - nie ustępował wiedźmin. - Ten z brzegu.

- Dwa... z haczykiem.

- W sam raz - skinął głową Geralt. - Dobrze. Pomogę bez pieniędzy. Ale jeśli uda mi się wyłączyć prasę, oddasz mi to dziecko.

- Jak to? - Mężczyzna zeszywniał. - Co to znaczy »oddasz«?

- Znaczy tyle, co znaczy - odburknął nauczyciel Cynthii. - Nie bój się, nie zjem go. Dam mu tylko szansę zostać wiedźminem. Szansę niewielką, jedną na dziesięć. Ale jednak szansę.

- Wiedźminie, czyś ty zwariował? - Głos nieszczęśnika drżał. - Przecież to jest mój syn!!! Jakże mógłbym go komukolwiek oddać?

- Normalnie. Sprawisz sobie następnego, oczywiście jeśli twoja żona przeżyje. Zresztą i tak zostanie ci sześcioro. Decyduj, albo wszyscy zginą, albo za cenę syna ocalisz życie żony i pozostałych.

Wydawało się, że mężczyzna stracił mowę.

- Decyduj - chłodnym tonem doradził Geralt. - Ściana, a w zasadzie nie ściana, tylko tłok, porusza się. My tu gadamy, a ona się rusza, piędź po piędzi. Patrz, twoją najstarszą przesunęło już o metr.

- Wiedźminie - wyszeptał tamten przerażony - nie gub...

- Przecież nie gubię. - Geralt wzruszył ramionami. - To ty gubisz. I siebie, i swoją rodzinę. Ja proponuję ci transakcję, całkiem rozsądną transakcję. Ja ratuję życie ośmiu, twojego życia nie liczę. Życie jednej osoby z ośmiu zabieram do swoich celów. Pozostałe należą do was, życie i cieszyć się. Albo znów włączcie do prasy: wasze prawo. Według mnie, nie proszę o zbyt wiele.

Dziewczyna, nerwowo przełykając ślinę, słuchała pełnych rozpaczliwych błagań mężczyzny i niesamowitej argumentacji swego nauczyciela jeszcze przez kilka minut.

- A tak na marginesie - zauważył nagle wiedźmin - za chwilę będzie za późno na ratowanie kogokolwiek. Muszę jeszcze do was dobiec.

- My jesteśmy obok, za ścianą. Obok wejścia.

- No to zostaje jeszcze z dziesięć minut. O ile, rzecz jasna, sto drugiemu nie znudzi się poruszanie tłokiem w żółtym tempie, po milimetrze na sekundę.

Na żyjącego żal było patrzeć.

- Zgadza się - wyszeptał w poczuciu beznadziejności sytuacji.

- Trzeba tak było od razu - warknął Geralt. - Cynthia, idziemy!

Opuścili stróżówkę i podeszli do zamkniętych drzwi, o których wspominał mężczyzna w sterowni. Przybito do nich tabliczkę z napisem: GP-102, sterownia, a więc nie mogło być mowy o pomyłce. Drzwi nie były żelazne, a tylko obite blachą.

Wiedźmin ze spokojem zdjął strzelbę, przeładował i powiedział do uczennicy:

- Odsuń się. I zatkaj uszy.

Cynthia wykonała polecenie.

Usłyszała najpierw dźwięczne „Babach! Babach!”, a potem głucho „Bumm!”. To Geralt kopnął uszkodzony zamek podeszwą krasnoludzkiego buta. Drzwi nie wytrzymały i otworzyły się ze zgrzytem.

Sterownia, w niej biały jak kreda mężczyzna. Przezroczysta ściana i kilka sylwetek w półmroku. I niski, głuchy odgłos poruszającego się tłoka. Widok był do tego stopnia nierzeczywisty i przerażający, że Cynthia na kilka chwil zamarła.

Tak to wygląda, praca wiedźmina...

- Wychodź, durniu - burknął Geralt. - I co za diabeł popchnął was do komory...

- Dzieciaki weszły - wyszeptał mężczyzna. - Żona ze starszymi dziećmi chciała ich wyprowadzić, a ja nie zdążyłem, drzwi się zatrzasnęły.

- Nie zatrzasnęły się, a zablokowały - sprecyzował wiedźmin. - Jednocześnie z uruchomieniem tłoka.

Dziewczyna wysiłkiem woli przewyciężyła słabość. Pojawiła się w niej ciekawość, w jaki sposób jej nauczyciel zatrzyma sławetnego sto drugiego, maszynę wrośniętą w budynek. Straszliwy egzemplarz, skoro nawet Geralt boi się z nim walczyć.

Wiedźmin podszedł kilka kroków do pulpitu, odrzucił płaską pokrywę i rozgniół szkiełko nad czarnym przyciskiem. Cynthia zdążyła odczytać nie całkiem zrozumiały napis na pokrywie: „Wyłącznik awaryjny urządzenia hydraulicznego”.

- Krzyknij: „Hurra!” - poradził Geralt, naciskając przycisk. Odgłos tłoka umilkł, zrobiło się

cicho, aż dziewczyna dosłownie słyszała świszący oddech pechowego ojca - pracownika fabrycznego.

- Tak! - Wiedźmin obszedł pulpit i pociągnął do siebie klamkę jedynych drzwi obok przezroczystej ściany. Zamek dźwięcznie szczęknął, drzwi otworzyły się bezgłośnie - były grube prawie na łokieć jak w gigantycznym sejfie. Zanurkowawszy w szczelinę, Geralt otworzył drugie wejście prowadzące bezpośrednio do komory roboczej prasy. Kobieta zaczęła bezceremonialnie wypychać ze śmiertelnej pułapki dzieci, potem w szczelinę wślizgnął się rudy pies z obwisłymi uszami, a na końcu wyskoczyła z nich sama.

Rodzinnym uściskom towarzyszył płacz. Przez pół minuty nauczyciel Cynthii z pobłażaniem obserwował tę scenę, potem trącił rozklejonego tatusia.

- Wystarczy, jeszcze zdążycie się pościskać. Idziemy. Hej, mały! Chodź tu.

Chłopczyk, rozmazując łzy na brudnej twarzyczce, tulił się do matczynej spódnicy. Kobieta jedną ręką przyciskała do piersi zawiniątko z niemowlęciem, drugą obejmowała szyję męża. Dzieci skupiły się dokoła nich. Pies groźnie zawarczał, ale bał się zbliżyć do Geralta.

- Wiedźminie - wyszeptał robotnik fabryczny. - Weź pieniądze. Nie gub małego. Weź wszystko...

Geralt zmarszczył brwi ze złością.

- Zdaje się, że jesteśmy po słowie. Wiedźmini nie zmieniają decyzji. Oddaj go, przecież nie będziemy zaczynać jałowych dyskusji.

Wyciągnął rękę i złapał malca za kołnierz. Pies cofnął się i zawarczał głośnie. Ale nadal bał się zaatakować.

- Nie od-dam!!! - zaczęła lamentować matka.

Mężczyzna zbladł jeszcze bardziej i odepchnął Geralta.

- To ty tak? - zdziwił się wiedźmin i wystrzelił.

Na szczęście w sufit.

- Cynthia! Strzelba! - rzucił.

Broń sama skoczyła w ręce. Dziewczyna działała jak w transie.

- Wszyscy pod ścianę! - dźwięcznie krzyknęła.

Kobieta zeszywniała. Dzieci płakały - najbardziej te mniejsze. Pies zaczął ujadać. Geralt krótkim, celnym ciosem powalił robotnika na ziemię, kopnął dziesięcioletniego malca, który rzucił się ojcu na pomoc i chwycił dwulatka. Zapłatę za jeden wciśnięty przycisk...

- Wychodzimy! - zakomenderował.

Jego uczennica wyszła przez drzwi tyłem, potem w taki sam sposób przez korytarz. Sekundę później ze sterowni wyskoczył Geralt ze strzelbą w rękę i malcem pod pachą. Zatrzasnął za sobą drzwi.

- Do wyjścia! - rozkazał.

Cynthia posłusznie pobiegła obok stróżówki z wideofonem.

Z czworga oszklonych drzwi głównego budynku tylko jedno były otwarte, dlatego doszło przed nimi do małej przepychanki. Jednak dziewczyna szybko zrozumiała, że nikt ich nie ściga. Zresztą jakże pokojowo i nedorzecznie wyglądał tamten pechowy pracownik fabryczny w porównaniu z Geraltem, a nawet z Cynthią.

Malec pochlipywał. A w głowie przyszłej wiedźminki przy akompaniamencie pulsu krążyło jedno jedyne pytanie: „po co?”. Po co to wszystko?

Nie znalazła odpowiedzi.

Oddalili się od nieprzyjaznego terenu na dziesięć kilometrów. Jednak i tutejsze zabudowania wcale nie wyglądały lepiej - osiedla zrujnowanych parterowych domów z sypiącym się ze ścian tynkiem i zmurszałymi strzechami. Ponad wysokimi płotami wyrastała trawa, a nawet niewielkie drzewa. Zapadał mrok, ale Geralt dopiero tu zaczął rozglądać się za noclegiem. Przez cały czas nie uronił nawet słowa, nawet ani razu nie krzyknął na płaczącego malca. Ale pod koniec pierwszej godziny wyczerpującego marszu wyjął komórkę, wcisnął kilka przycisków i powiedział tylko jedno zdanie:

- Mam podrzutka, dwulatek. Niech ktoś wolny mnie znajdzie.

I zakończył połączenie, nie wysłuchując nawet odpowiedzi. Cynthii wydawało się, że dzwoni nie do Wesemira, a do kogoś innego.

Na nocleg zatrzymali się w domu, który wyglądał na nowszy niż inne. Furtka była zamknięta tylko na zasuwkę, a z czymś takim nawet półorczyca z dobrego domu nie miałaby najmniejszych problemów. Cynthia trzymała malca, a Geralt przeskoczył przez płot i otworzył od wewnątrz. Na zaśmieconym podwórku nie przystanęli nawet na chwilę. Geralt szybko uporał się z zamkiem w drzwiach i sprawdził dom, pokój po pokoju, pomieszczenie po pomieszczeniu.

Zatrzymali się w pokoju z kominkiem. Wiedźmin od razu rozpałił ogień, przyniósłszy z dworu jakieś zbutwiałe deski. Pały się źle i dymiły, a do tego wydzielały nieprzyjemny, obcy zapach - z pewnością były nasycone jakimiś chemikaliami. Ale nie mieli wyboru. Dziewczyna zajęła się kuchnią i dopiero gdy napełniony kociołek zaczął bulgotać w kominku, a malec po przebytych dniu zasnął obok na podścielonym kozuchu, półorczyca odważyła się zadać Geraltowi męczące ją pytanie:

- Dlaczego?

Wiedźmin spojrzał na nią posępnie. Właśnie posępnie - rzadki przypadek, kiedy jego twarz wyrażała jakiegokolwiek emocje.

- Co „dlaczego”?

- Dlaczego zabrałeś dziecko rodzicom? Dlaczego nie wzięłeś pieniędzy, jeśli dla ratowania czyjegoś życia nie możesz się wyrzec swojego idiotycznego kodeksu?

- Przy takich rodzicach malec umrze szybciej niż od prób farmaceutycznych - powiedział Geralt cicho. - Możesz uznać go za martwego. Przywróciłem go życiu, ale jego życie należy do mnie.

- Matka to matka - jeszcze ciszej zaproponowała Cynthia. - Jaka by nie była, dziecku zawsze najlepiej będzie z nią.

- To nie matka mnie niepokoi - wyjaśnił wiedźmin. - A nawet i nie to dziecko.

- A zatem co?

- Miasto. Tylko miasto i nic poza tym.

- A co się stanie miastu, jak wyciągniesz spod prasy dwuletniego malca i oddasz go matce?

- Miasto nie będzie miało kolejnego wiedźmina.

- A tam, nie będzie miało! On musiałby jeszcze wytrzymać wasze potworne próby! Ja wiem, przeżywa jeden na dziesięciu!

- To znaczy, że miasto będzie mieć o jedną dziesiątą wiedźmina mniej. Jeśli nie zaczniemy dobierać sobie zmienników, to kto obroni miasto? Kto jutro wyciągnie znów spod prasy matkę z jego braćmi i siostrami?

- Czy naprawdę nie będzie miał kto?

- Jeśli nie zatroszczymy się o to dziś, naprawdę. Wiedźminów jest coraz to mniej.

- Dlatego, że i potworów jest coraz mniej.

Geralt uśmiechnął się ze smutkiem.

- To tak się tylko wydaje. Potworów wcale nie jest mniej. Jest ich coraz więcej, tylko trudniej je wytropić. I trudniej zabić. To wszystko.

- A gdyby ten człowiek miał te dwanaście tysięcy? Zdarłbyś z niego kupę pieniędzy za rozbicie szybki i wciśnięcie przycisku?

- Ja biorę pieniądze nie za to, że wciskam przycisk. Biorę pieniądze za to, że wiem, jaki przycisk wcisnąć.

Cynthia nieoczekiwanie przeszła do następnego wątku tego samego tematu:

- Powiedz mi, Geralt, czy ciebie także nie zabrano od matki, którą spotkało nieszczęście? W charakterze zapłaty za uratowanie braci i sióstr?

- Nie.

- A jak zostałeś wiedźminem?

- Czy to ważne?

- Tak.

- A moim zdaniem nie. Zupełnie nieważne.

- Ważne! - upierała się dziewczyna.

Coś szczególnego zadźwięczało w jej głosie. Coś takiego, co skłoniło Geralta, by nie wykręcał się od odpowiedzi. Nie przemilczał jak zwykle, ale patrząc w bok, głuchym i rozdrażnionym głosem odpowiedział:

- Nie miałem rodziców. Przynajmniej ich nie pamiętam. Sigurd znalazł mnie na ulicy. Byłem włóczęgą. Obdartusem.

- W wieku dwóch lat? - z mimowolną ironią spytała Cynthia.

- Miałem ze cztery lata.

- No... cztery lata to trochę za późno na próbę wiedźmina!

- Wiem. Ale przeżyłem. Wtedy u nas nie najlepiej było z podrzutkami. Brano nawet tych, którzy mieli małe szanse przeżyć, na przykład wzięto mnie.

Cynthia pokręciła głową na znak protestu.

- Mimo wszystko... jest to okropne. Skazujecie na zgubę dziewięcioro wybranych dzieci, aby dziesiąte zostało wiedźminem!

- I uratowało setki, a nawet tysiące żyjących - szorstko zakończył Geralt. - Nie zapominaj o tym. I nie przypominaj mi niepotrzebnie, że powinienem ochraniać Wielki Kijów i spokój kijowian nie tylko w swoim imieniu, ale i w imieniu tych dziewięciorga, którzy nie przeżyli. Ja o tym pamiętam. Bardziej niż inni. I nie wylewam łez nad tymi, których już nie da się uratować. Po prostu pamiętam, że umarli po to, abym ja mógł przeżyć. I żeby przeżyło miasto.

- Ale przecież tego malca można jeszcze uratować! - wykrzyknęła dziewczyna.

- Uratowanie tego oznacza zabicie innego. Dość tego marudzenia, Cynthio. Jeśli jesteś wiedźminką, powinnaś to zrozumieć. A jeśli tego nie rozumiesz, wstań i odejdz. Na zawsze. I nie pomoże telefon do Wesemira, dlatego że Wesemir stanie po mojej stronie, niezależnie od sumy, jaką twoi bogaci krewni zapłaciliby Arzamasowi. Są rzeczy, których wiedźmini nie sprzedadzą nawet za bardzo duże pieniądze. Czy rozumiałaś? A teraz bądź tak dobra i pomieszaj zupę, bo się przypali.

Przez resztę wieczoru nie odezwała się ani słowem. Po upływie około godziny od momentu, gdy

położyła się spać, po męczących i dość chaotycznych rozmyślaniach półorczyca zrozumiała: Geralt ma rację. Na swój sposób. Na sposób wiedźmina.

Pojeła to jednak umysłem, nie sercem. I rozumiała jeszcze jedno: każdy wiedźmin, wybierając tę dziwną i ciężką drogę, powinien najpierw zabić swoje serce.

Sam. Dobrowolnie. Decyzją umysłu.

Nazajutrz rano zmusiła się do tego, aby w milczeniu i możliwie obojętnie przyglądać się, jak pod dom podjeżdża samochód terenowy, z którego wysiada dwóch mężczyzn - łysy, przypominający w czymś Geralta, w nieokreślonym wieku, i kulejący, siwy jak gołębek starzec. Łysy z pewnością był wiedźminem - jego czaszkę zdobił nie mniej przerażający tatuaż niż u Geralta. Wiedźmin miał na imię Eskel, starzec - Wladez. Z Eskelem Geralt przywitał się sucho, z czego Cynthia początkowo wywnioskowała, że stosunki między nimi były nie najlepsze, ale potem wiedźmini objęli się. Jakby jeden drugiego nie widział z dziesięć lat, a przedtem przeszli ramię w ramię przez ogień, wodę i mroczne tunele kijowskich podziemi. I nieraz jeden drugiemu ratował życie. Starcowi Geralt po prostu się uklonił. Prawie do samego wyszczerbionego asfaltu.

Niezależnie, co Geralt i Eskel przeżyli w przeszłości, rozmawiali ze sobą zadziwiająco niewiele.

- Czy jest czysty? - spytał Eskel.

- Absolutnie. Jego, a przy okazji jego mamuszkę, sześcioro braci i sióstr, a na dodatek obrzydliwego psa wyciągnąłem z komory sto drugiej prasy pracującej na sprężanie. Tu, niedaleko.

- Jak oni tam wleźli?

- A czort ich wie! Zapewne z głupoty. Ich ojczulek w tym czasie siedział w sterowni i gadał przez wideofon. Usłyszałem. Pieniędzy miał tylko dwa tysiące. Krótko mówiąc, utargowałem chłopca.

- I ojciec go oddał?

- Nie. Trzeba było odebrać.

- Ale bez trupów?

- Bez. Nawet psisko ocalało. A chłopiec wydaje się zdrowy i niewynędzniały, obejrzałem go. Reaguje normalnie.

- To dobrze. Gdzie on jest?

- Śpi w domu.

- Przynieś go.

Geralt obrócił się do Cynthii:

- Słyszałaś? Marsz!

Dziewczyna zmusiła się do zachowania spokoju - przynajmniej na zewnątrz. Ale kiedy niosła z pokoju do terenówki słodko posapującego i niczego niepodejrzewającego malca, jej serce ścisnęło żal.

Przecież nie jest jeszcze wiedźminką!

Zaniosła go i przekazała staremu Wladezowi. Po tym, jak zręcznie i umiejętnie starzec odebrał śpiące dziecko, Cynthia wywnioskowała, że często ma do czynienia z małymi dziećmi. Zrozumiała to zmysłem samicy, głębokim i prawie mistycznym. I od razu poczuła się trochę lżej.

- Dobra. - Eskel powściągliwie klepnął Geralta w ramię. - Bywaj.

- Bywaj, Eskelu. Do widzenia, Wladezie.

- Bądź zdrow, Geralcie.

Drzwiczki trzasnęły, silnik zawarczał. Jego dźwięk szybko roztopił się w porannej dali. Z jakichś powodów wiedźmin długo stał i patrzył w ślad za samochodem, który dawno odjechał. I milczał.



Jego uczennica także stała, patrzyła i milczała. A kiedy milczenie stało się nieznośne, spytała:

- Geralcie, a czy wolno interesować się dalszymi losami waszych... podrzutków? Losem, przykładowo, tego malca?

- Nie - odpowiedział nauczyciel już całkowicie obojętnym tonem.

- To znaczy, że nie dowiem się, czy przeżył próbę, czy też nie? Nie poznam nawet jego imienia?

Geralt nieznacznie wzruszył ramionami:

- Ty z pewnością się nie dowiesz. A ja być może spotkam go gdzieś w jakiejś koszmarnej norze.

Czasami wiedźmini pracują w parach. A co do imienia... on już nie ma imienia. Jutro będzie miał numer. A o imieniu myśleć mu jeszcze za wcześnie. Jego numeru także nie poznasz.

- Ty nie wierzysz, że zostanę wiedźminką?! - wybuchła Cynthia, ale przypomniała sobie o obojętności i spokoju, który należy zachować.

- Nie - odpowiedział Geralt bez śladu litości czy współczucia - nie wierzę.

- To dlaczego mnie uczysz?

- Dlatego - rzekł - że wiedźmini prawie nigdy nie czynią tak, jak im się chce. Oni czynią tak, jak trzeba.

- Komu trzeba?

- Miastu. Wystarczy tego gadania, wychowanko! Zajęcia czekają. Masz pięć minut, aby się umyć... Dziś zmieniamy ćwiczenia.

6.

Dosyć szybko Cynthia zrozumiała, że życie wiedźmina tak dalece odbiega od jej wcześniejszych romantycznych wyobrażeń, że nie można nazwać ich inaczej niż bredniami. Rutyna, codzienna rutyna, w tym długotrwałe przebywanie w sieci, gromadzenie ogromnej ilości informacji, nie zawsze ciekawych, do tego treningi aż do granic wytrzymałości. Treningi nie były daremne - dziewczyna czuła, jak jej ciało się wzmacnia z dnia na dzień, zwłaszcza ręce - były po prostu monotonne, dlatego początkowo myślała o nadchodzącym ranku z niechęcią i wrogością, a potem w ogóle przestała myśleć. Nauczyła się odłączać umysł, pozwalając działać mięśniom. A dokładniej, nawet nie to: nauczyła się zobojętnienia. Ciało z przyzwyczajenia wykonywało ćwiczenia, a umysł jakby ulatywał gdzieś w dal, podążał za myślą i rozpływał się w ponadziemskiej przestrzeni.

Cynthia rozmyślała o wielu rzeczach: o tym, jak zmieniła się ona sama i jej stosunek do świata. Jakże niepodobny był Geralt do ukształtowanego we wcześniejszych latach abstrakcyjnego portretu wiedźmina! Jakże złożone okazało się teraz życie wokół - o wiele bardziej skomplikowane, niż myślała kilka tygodni wcześniej, patrząc na świat z okien rodowej rezydencji. Na razie dziewczyna nie pozwalała sobie myśleć o jednym...

O tym, co zdarzy się wkrótce na Poligonie Matwiejewskim. A zdarzy się tam... To, że wiele, w to półorczyca nie wątpiła. Wątpiła teraz zupełnie w co innego. Czy naprawdę zechce się mścić? Jeszcze niedawno o wątpliwościach nie mogło być nawet mowy - jedynie posępne zdecydowanie, bez względu na okoliczności i niebezpieczeństwa. A teraz...

Wiedziała, że nie ustąpi. I zrobi wszystko, co przysięgła - nieważne, czy z pomocą Geralta, czy sama. Z pewnością zrobi, bo słów przysięgi nie rzuca się na wiatr.

Ale teraz Cynthia doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że kiedy dojdzie i wypełni wszystko, co zamierzała, nie wiadomo, czy odczuje z tego powodu radość. Niewzruszony spokój i opanowanie

wiedźmina okazały się zaraźliwe tym bardziej, że co i rusz przynosiły widoczne efekty. Hazard, adrenalina wrząca we krwi - wszystko to, oczywiście, jest szalenie przyjemne i podniecające. Ale Cynthia tylko wtedy osiągała swój cel mniejszym wysiłkiem i, co tu ukrywać, szybciej i skuteczniej, kiedy zachowywała spokój i opanowanie, a nie działała pod wpływem emocji.

Wykonała również z Geraltem pierwszą prawdziwą pracę - zajmowali się nie tylko treningami. Na prośbę gminy Pierwomajsk wyciągnęli z podziemnego garażu przerażającą zdziczałą ładowarkę samochodową i przepędzili ją za granice rejonu, oddając w ręce magistra osławianego Volva, który przypadkiem znalazł się w pobliżu z całą kolumną łowców maszyn.

Do miejsc, które w Wielkim Kijowie od dawna zwane są Nikołajewem, było już dość blisko, lecz wtedy monotonna wędrówka na północ znów została zakłócona, podobnie jak niedawno zakłóciła ją historia z chłopcem odebrany ojcu...

Przez pierwsze dni Cynthia czuła się nieswojo. Potem wrażenia trochę wyblakły, zostały wyparte przez nowe informacje z sieci i opowiadań Geralta - czego jak czego, ale nowych informacji im nie brakowało. „Zapewne to konieczne - powiedziała sobie półorczyca. - Dla wielu obyczajów techników wydają się dzikie i okrutne, ale przecież ktoś musi chronić miasto?”

I jeśli się nawet nie uspokoiła, to przynajmniej przestały ją męczyć koszmarne myśli. Postąpiła słusznie.

Tym razem zleceniodawca również sam ich znalazł. Geralt mówił, że coś takiego rzadko się zdarza, o wiele częściej wiedźmin sam musi szukać sobie roboty. A tu nagle przed obiadem, kiedy Cynthia i Geralt zamierzali już wyjść z sieci i zatroszczyć się o posiłek (zresztą dziewczyna szybko nauczyła się gotować, zdaniem nauczyciela - dosyć smacznie), za niskim plecionym płotkiem, szumnie nazywanym przez miejscowych parkanem, zawarczał silnik starego pick-upa marki Chorol, rudego od kurzu, rdzy i resztek farby. Wygramolił się z niego staruszek ork liczący nie mniej niż tysiąc lat, pomarszczony jak wyschnięty grzyb. Ubrany był w haftowaną koszulę, przepasane paskiem z materiału szarawary w błękitnym kolorze, na nogach miał ciężkie krasnoludzkie buty, na głowie słomkowy kapelusz, którego chyba kiedyś nie zdążyły zjeść konie.

- Czego chcecie, ojcze? - zapytała Cynthia, zobaczywszy go z ganku.

- Bądź zdrowa, córko - wymamrotał staruszek. - Przejeżdżał ci tędy mój syn z rana. Godo, że wiedźmina tu widział. Łysego takiego, z malunkiem na głowie. Dzie on?

- Tu jestem. - Geralt oderwał się od laptopa, wyręczając Cynthię z konieczności podjęcia decyzji, czy ujawnić się staruszkowi, czy nie.

Wiekowy ork z niedowierzaniem mrużył oczy pod kapeluszem i zapewne wygląd Geralta go zadowolił.

- Aha, bądź zdrowy, synku. Mam do ciebie sprawę. W sam raz dla twojej armaty. Armata, widzę, niczego sobie, sam kiedyś takiej używałem. Szkoda, ręka już nie ta. A i nie przystoi starym, dobrze mówię?

- Skąd można wiedzieć - wymijająco odparł Geralt, nawet nie zerkając na opartą o futrynę drzwi strzelbę.

- Mam sprawę, wiedźminie. Kłopoty, rozumiesz. Ja wiem, że bez pieniędzy nie przyjmujecie, ale od razu mówię, że pieniądze są. Co prawda nie hrywny, a ruble moskiewskie. Mogą być?

- Mogą być. - Geralt wzruszył ramionami. - Po jakim kursie?

- A jaki powiesz, taki wyliczymy. Oby tylko nie z sufitu, to jasne. Najlepiej, żeby zbliżony do krasnoludzkiego. A tam... kopiejka więcej, kopiejka mniej, co za różnica? Dobrze mówię?

- Wejdźcie - zaprosił wiedźmin i rzucił do Cynthii: - Przynies z domu jakiś taboret.

Dziewczyna posłusznie pograżyła się w panującym w domu półmroku. Kiedy wyskoczyła na ganek z ławeczką w rękach, staruszek i jej nauczyciel siedzieli już na stopniach schodów. Ork właśnie nabijał fajkę. Podniósł na Cynthię łzawe oczy i dobrotliwie machnął ręką:

- A zostaw, córko, taboretów! Na schodkach wygodniej. Siądźmy, zaraz lulkę zakurzymy... Palisz, wiedźminie?

- Nie - krótko odpowiedział Geralt, jak zwykle nie wdając się w rozmowach z obcymi w szczegóły i niczego nie wyjaśniając.

- Ja też nie palę - wtrąciła jego uczennica.

- No tak - staruszek zakaszał i schował kapciuch ozdobiony paciorkami w sposób typowy dla orków. - No dobrze, to ja sam...

Tytoń gościa pachniał tak, jakby dziadek dodał do niego tłuczonych skorpionów. Przedtem oczywiście wysuszonych.

- Mam prostą sprawę - powiedział. - Uprawiam tu z synami i wnukami ziemię. Mamy trochę pola, uprawiamy zboże, potem sprzedajemy. Świeżo zebrane z pola, nie to, co z zakurzonych magazynów. Ale przeszkadzają nam.

- Kto? - spytał Geralt, uważnie patrząc gdzieś w dal.

- Sam zobacz. - Staruszek pyknął z fajki i wyciągnął z szarawarów kilka kolorowych zdjęć doskonałej jakości. Cynthia ostrożnie zajrzała Geraltowi przez ramię.

Zdjęcia przedstawiały podwórko zadbanego gospodarstwa. Dokładniej, nie podwórko, ale plac wielkości boiska do piłki nożnej, tyle że nieporośnięty drobną trawą, a w większości obsadzony czymś wyższym, mniej więcej na wysokość pasa człowieka czy orka. Dziewczyna, która od dzieciństwa znała elfów myśliwych, doskonale wiedziała, że rośliny można samodzielnie sadzić, a potem je pielęgnować, dzięki czemu osiągają ogromne rozmiary. Obok domu widniała starannie wytyczona dróżka, altanka i fragment drewnianego płotu z idealnie dobranych deseczek. Całą pozostałą powierzchnię zajmowały rośliny.

Drugie zdjęcie przedstawiało to samo podwórze, tylko całkowicie splądrowane. W kadrze widniał leżący róg domu, zwalony płot, pokruszone płytki zamiast dróżki, wszędzie ślady gąsienic... A pole było jak wyprasowane żelazkiem - nigdzie nawet łodyżki. Pozostałe zdjęcia pokazywały zniszczenia w nieco innym ujęciu.

- Sądząc po śladach, buldożer - stwierdził Geralt. - Przy tym kopalniany, nie mniejszy. Dawno to było?

- Przedwczoraj. Zwróć też uwagę, że nie po raz pierwszy. Czwartą działkę już nam spaskudził, gad...

- A pozostałe dawno?

- W ostatnim tygodniu.

- Czy ślady są takie same? - spytał wiedźmin.

- Aha. Ma różne gąsienice, lewa z nacięciem, prawa bez. Specjalnie się przyglądałem, wszędzie jest tak.

Geralt spojrzał uważnie na orka - znajomość profesjonalnych sekretów i formuł u osób postronnych zdarzała się niezmiernie rzadko.

- No cóż - rzekł, zastanawiając się co najwyżej pięć sekund. - Biorę. Będzie to kosztowało... No, powiedzmy, czterdzieści tysięcy, jeśli rosyjskimi.

- Trzydzieści - ze spokojem kutego na cztery nogi besarabskiego kupca zaczął targ staruch.

Wiedźmin znów spojrzał na niego z uwagą. „No, maksymalnie trzydzieści pięć - pomyślał - jeśli uwzględnisz wahania kursu. Żeby wyszło równo pięć tysięcy hrywien”.

- Trzydzieści pięć - zaproponował. - I to jest ostatnie moje słowo.

- Niech będzie - westchnął staruszek, wyciągając brązową dłoń pokrytą gęstą siatką zmarszczek. Nie wiedzieć czemu przypominała kurzą łapkę.

Nauczyciel Cynthii uściskał ją, ale nie ruszył się z miejsca, na coś czekając.

Staruszek znów westchnął i po raz wtóry sięgnął do przepastnych kieszeni swoich spodni. Wyjął trzy paczki rosyjskich setek i jedną półrubłówek.

- Masz, trzymaj. Wiem, zawsze bierzecie z góry.

Geralt ze spokojem ściągnął gumkę z jednej z paczek i wprawnie przeliczył pieniądze. Suma się zgadzała.

- Jedziemy. Zbieraj się, dziewczyno.

Przygotowanie zajęło im pięć minut - zapakowanie laptopów do plecaków, sprawdzenie broni i zabranie prowiantu do osobnej torby.

Geralt usiadł w kabinie staruszka, Cynthia musiała wejść na skrzynię pick-upa. Podczas jazdy trzęsło niemiłosiernie, samochód był tak stary, że zawieszenie wyrobiło się całkowicie, ale jakoś trwało w jednym kawałku. Półorczykę wytrzęsło niemiłosiernie. Wiedźmin jechał w niewiele lepszych warunkach. Wysłuzone, wygniecione siedzenie wbijało się w tyłek przedpotopowymi sprężynami, trzęsło tak samo jak na skrzyni, a w dodatku w kabinie unosił się nieznośny smród benzyny i tytoniu.

- A co to za oreczka jest z tobą? - spytał starzec, dość sprawnie kierując autem po nierównej drodze. - Zdaje się, półkrwi?

- Uczennica - niechętnie odpowiedział Geralt.

- No popatrz! To teraz i dziewczyny biorą w wiedźmaki?

- Wątpię, czy kiedyś zostanie wiedźminką.

- To dlaczego ją uczysz?

Wiedźmin wzruszył ramionami:

- Płacą mi, to uczę. To łatwiejsze niż uganianie się za maszynami w starych kopalniach.

- Też prawda - zgodził się stary.

Teraz Geralt zauważył mimochodem, że z mowy starego orka jakoś niezauważenie zniknęły takie słowa mieszkańca prowincji, jak „taboretka”, „lulka”, „godo”... Ork wysławiał się już jak mieszkaniec samego centrum Wielkiego Kijowa, któremu przy tym nieobce są niektóre sekrety techniki.

„Coś tu jest nie tak - pomyślał wiedźmin. - Dziad coś kręci. Udaje prostaczka, ale po co to robi?”

Przez pewien czas Geralt zastanawiał się, czy nie podjechać do najbliższego kantoru prowadzonego przez krasnoludy i nie przelać pieniędzy na rachunek Arzamasu-16, ale intuicja podpowiedziała mu, aby się nie spieszył.

Intuicji, zwłaszcza niejednokrotnie sprawdzonej intuicji, należy zaufać. I Geralt zdał się na nią.

Choroł długo krążył po jakichś podejrzanych osiedlach, jeśli nawet zamieszkanym, to tylko przez rozbójników wszelkich ras i maści. Ale na szczęście ich cel znajdował się gdzie indziej - wkrótce

zobaczyli osiedla solidnych domów, które raczej można było nazwać twierdzami. Bardzo wysokie płoty, piętrowe, a nawet dwupiętrowe siedziby, olbrzymie działki...

- Jesteśmy na miejscu - powiedział w końcu tubylec i pick-up zatrzymał się przed bramą kolejnego dworu-

- twierdzy. A dokładniej przed tym, co zostało z bramy. A zostało, trzeba przyznać, niewiele: sama brama, zmięta niczym folia od czekolady, leżała na asfalcie. Ościeżnica z prawej strony była znacznie rozszerzona - buldożer walnął w nią najwyraźniej czerpakiem, przewracając kolumnę z zawiasami i część płotu. Teraz wszystko to w postaci rozbitych cegieł leżało dalej niż skrzydła. Podwójny ślad gąsienic prowadził do środka posesji, do kolejnych zniszczeń.

- Oho! - powiedziała Cynthia ze skrzyni. - To nie lokomotywka bramkę starano...

Geralt obrócił się gwałtownie. W jego oczach widać było wściekłość i uczennica natychmiast ugryzła się w język.

„Tfu, do diabła! - Była zła na siebie. - Znów plotę! A trzeba milczeć...”

Wiedźmin nie wyrzekł już ani słowa. Przeszedł się po podwórzu, obejrzał zniszczenia, potem podszedł do sprasowanego na płasko pola. Dotknął delikatnie okaleczoną łodygę, z jakichś powodów powąchał. Posepnie spojrział na starego.

A jednak Cynthia zdążyła już poznać nauczyciela. Zrozumiała, że Geralt się skoncentrował. Dla niego coś było w tym wszystkim nie tak. I skoro milczał, z pewnością nie będzie tłumaczyć przyczyn swojego niezadowolenia przy kliencie.

- Czego ode mnie oczekujecie? - sucho spytał starego.

- Wykończ buldożer. Tak mu dołoż, żeby już nie mógł ruszyć z miejsca, zmień go w martwą kupę żelastwa. I to wszystko. Nic dodać, nic ująć.

- Podejrzewam, że możecie mi nawet wskazać miejsce, gdzie się znajduje w tej chwili.

- Słusznie podejrzewasz - ork nawet się nie zająknął. - Pokażemy pięć osiedli, on gdzieś tam będzie.

- No dobrze. Pokażcie.

- Wyjmijcie swój komputer. - Gospodarz uśmiechnął się przebiegle. - I odpalcie go.

Geralt tak uczynił. Jego podejrzewania rosły z każdą sekundą. Jeśli stary ork tak znał niuanse zawodu wiedźmina, to dlaczego sam nie wykończył buldożera? Wspólnie z synami i wnukami. Zaoszczędziłby przy tym pięć tysięcy hrywien - albo trzydzieści pięć rosyjskich.

Mogło istnieć tylko jedno wytłumaczenie: chcą wyciągnąć kasztany z ogniska cudzymi rękami. Na przykład rękami wiedźmina, który w samą porę znalazł się niedaleko.

A czym zajmują się w tym i w podobnych domach-twierdzach, Geralt już się domyślił. Zresztą... jeśli buldożer rzeczywiście jest dziki - wiedźmin zabije go i spokojnie pójdzie w swoją stronę. Nie obchodzą go ciemne sprawy miejscowych żyjących. W ogóle nie obchodzą go wszystkie ciemne sprawy żyjących. Obchodzi go zabijanie potworów i ochrona miasta. Obojętne, czy przy tym będzie postępował dobrze czy źle. Miastu jest wszystko jedno, co ochroni je przed kolejną napaścią - dobro czy zło. Życie nie ma ulubionych barw. Istnieje tylko ich ciągła zmiana. I dopóki dobro przeplata się ze złem, miasto będzie żyć.

- To tu. - Ork obwiódł koślawym paznokciem rejon, gdzie mógł ukryć się dziki buldożer. Nie uszło uwadze Cynthii, że Geralt potem ukradkiem przetaił to miejsce na monitorze mankietem.

- Jasne. - Wiedźmin zamknął laptop i wsunął go do plecaka. - A jeśli buldożera tam nie ma?

- Jest tam. - Przebiegle zmrużył oczy ork. - Ręczę za to. Nie ma zresztą potrzeby go tropić,

popatrz na trasę!

Asfalt jeszcze do tej pory nie pokrył podwójnego łańcuszka śladów gąsienic. Takie ślady nie zabliznią się nawet po dwóch tygodniach, a co dopiero po kilku dniach.

„Rzeczywiście, trasa - pomyślała Cynthia, przyglądając się śladom. - Znajdziemy! Nawet ja znajdem, a co dopiero Geralt?”

- Myślę, że do południa go wytropimy, a wieczorem wykończymy - ze spokojem w głosie obiecał wiedźmin. - Jeśli oczywiście buldożer trzeba będzie zabić. Pozwolicie skorzystać z pick-upa?

- Nie pozwolę - równie niezmaconym głosem odmówił staruch. - Tylko ja nim jeżdżę. Idźcie pieszo, to niedaleko. Albo zdobądźcie sobie transport po drodze.

- Dobrze - nadspodziewanie łatwo zgodził się Geralt i skinął na Cynthię. - Idziemy.

I wyruszyli śladami maszyny. Opuścili podwórze, skręcili drogą na lewo i skierowali się akurat w stronę tych podejrzanych slamsów będących siedzibą różnego rodzaju rozbójników i innych mętów.

- No a teraz - warknął wiedźmin, kiedy odeszli już na odpowiednio dużą odległość - opowiedz mi, na kogo polujemy?

Dziewczyna jeszcze raz zerknęła na podwójne odciski gąsienic.

- No... to jest buldożer.

- A dlaczego, na przykład, nie koparka? - przerwał jej nauczyciel.

- Koparka nie przesłaby przez łuk, który jest na podwórzu - stwierdziła Cynthia pewnym tonem. - Czerpak by jej przeszkadzał. Drzewa naprzeciwko domu też są nietknięte. A dokładniej, gałęzie nad dróżką. To znaczy nad tym miejscem, gdzie była dróżka.

- Cieniutko - westchnął Geralt. - Ale ogólnie rzecz ujmując, prawidłowo. Prościej byłoby zacząć z innej beczki: na podwórku jest mnóstwo śladów lemiesza. Dobra, dalej.

- Kolejna jest szeroka, ponad dwa metry. Gąsienice też są szersze niż u zwykłego spychacza. Powiedziałaś, że to buldożer kopalniany, ale nie przerabialiśmy maszyn kopalnianych. Myślę, że to taki kolos, jakie widziałam pod Krzywym Rogiem. Bardziej podobna do wszędołaza z czerpakiem.

- Jak go załatwić?

Cynthia zastanawiała się kilka sekund.

- Myślę, że tak samo jak zwykły buldożer. Można unieruchomić gąsienice, na przykład je wybić. Chociaż u tego potwora, jak widzę, są bardzo masywne, granat może nie wziąć.

- Weźmie - zapewnił wiedźmin. - Granat może wziąć dużo. Co jeszcze?

- Silnik. Można popsuć silnik.

- A jak?

- No... - Dziewczyna usiłowała przypomnieć sobie, co tylko wiedziała o silnikach. - Wszystko wskazuje na to, że to silnik wysokoprężny, a więc strzał w gaźnik nie wchodzi w rachubę. Może po prostu granat pod maskę?

- Dobry sposób - zauważył Geralt. - Ale maska, po pierwsze, jest szczelnie zamknięta, jeśli w ogóle nie jest zaspawana, a po drugie, pod maskę trzeba się dostać. I co najważniejsze, nie mamy ani jednego granatu. Myśl dalej!

- Zbiornik paliwa. W maszynach budowlanych przeważnie jest na zewnątrz. W kopalnianych zapewne też.

- To zależy. A co zrobić ze zbiornikiem paliwa?

- Przedziurawić... jak najbliżej od ziemi.

- Nie przejdzie. Nawet jak przedziurawisz od spodu, zbiornik łatwo można zmienić. Buldożer zacznie szaleć już po tygodniu.

- To strzelić. Wybuchnie. Mało nie poka...

- Olej solarowy nie wybuchą od wystrzału - przerwał jej wiedźmin - tylko wskutek sprężenia.

- Tego nie wiem - szczerze przyznała Cynthia. - Jak mnie nauczysz, będę wiedziała.

Geralt ni to się zamyślił, ni po prostu zamilkł. Dziewczyna była przygotowana, że warknie albo w inny sposób okaże swoje niezadowolenie z braków w jej wiedzy, ale nie warknęła. Powiedział za to:

- Zobaczmy. I powinnaś wiedzieć, że rzadko kiedy maszynę można pokonać, zadając jej tylko ciosy.

- To znaczy? - nie rozumiała Cynthia.

- No, na początek ukradkiem wsypać jej do paliwa cukier. Do zbiornika. A dalej już zależy od okoliczności.

- A co stanie się z maszyną po wsypaniu cukru? - Dziewczyna nie kryła zdziwienia.

- Zgaśnie. Jeśli w ogóle odpali - warknął Geralt. - Ty słuchaj, ale rozglądaj się też na boki. Nie jesteśmy w Centrum...

Cynthia momentalnie wciągnęła głowę w ramiona i zrobiło się jej wstyd. Rzeczywiście nie było to Centrum. Nie był to też majątek rodowy. Jednak zbyt wcześnie uznała, że jest wiedźminką - to rozpuści język przy obcych, to po otwartym zbójnickim rejonie idzie, jakby to było nabrzeże w Odessie...

Uświadomiła sobie wyraźnie jak nigdy dotąd swoją słabość i prawie całkowitą bezsilność. Łatwo mają tylko ci, którzy wiedzą wszystko lub nie wiedzą nic, choć ci drudzy szybko znajdują śmierć. A jak posiadasz cząstkę wiedźmińskiej wiedzy, od razu zaczynasz rozumieć, jaka dzieli cię przepaść od kogoś takiego jak Geralt. I im więcej się uczysz, tym wyraźniej uświadamiasz sobie, jak głęboka i szeroka jest ta przepaść. Prawie bezgraniczna. Prawdziwa otchłań.

„Ale nawet te wszystkie myśli to jeszcze nie powód, aby się dekoncentrować - upominała Cynthia samą siebie. - Trzeba być czujną! Być przygotowaną na wszystko: na strzelaninę, walkę na noże, ucieczkę, ukrycie się!”

Zacząła iść ostrożniej, a Geralt przestał się jej czepiać i ciągle przepytawać tym protekcyjnym tonem.

Wytropili buldożer rzeczywiście około południa. Garbaty potwór brudnożółtej barwy przycisnął się w skąpym cieniu przy bramie jakiegoś niepozornego magazynu. Czerpak maszyny swobodnie sięgał dachu i prawdopodobnie mógł odchyłać się do tyłu, co czyniło przeciwnika niezwykle mobilnym - taki nie musi zawracać, aby użyć swej zębatej „łapy”.

Gdy tylko wiedźmin dojrzał cel, stał się skupiony, szybki i drapieżny. Oczywiście nie ruszyli dalej ulicą, na której stał buldożer. Najważniejsze jest własne bezpieczeństwo, rozumiała to nawet Cynthia. Cofnęli się nieco prostopadłą przecnicą i przez kolejną rozpadającą się bramę weszli, jak się okazało, na teren niewielkiego zakładu. Na szczęście nie spotkali na swej drodze ani żyjących, ani wrogich maszyn. Kiedy dostali się na tyły fabryczki, musieli jeszcze sforsować płot, a potem długo robić przejście w ogrodzeniu z drutu kolczastego. Za ogrodzeniem ich oczom ukazał się nieznaną teren - parterowe domy przypominające baraki, a wzdłuż ulicy, na której przycupnął buldożer, stał długi dwupiętrowy budynek. Od tyłu nie miał żadnych drzwi, brama i ich przeciwnik znajdowali się od frontu. Geralt skorzystał z otwartego lufcika w jednym z okien na parterze. Dostał się do środka, otworzył okno i pomógł wejść dziewczynie.

„Na treningach - pomyślała - nigdy mi nie pomagał. Co się z nim dzieje? Boi się, że zacznę hałasować, że znów zawiodę jak ostatnia oferma?”

I tak z punktu widzenia rasowego wiedźmina kimże ona jest, jak nie oferma?

Zrobiło się jej przykro. Niechby nie miała wiedzy na temat słabych punktów urządzeń kopalnianych, nie znała dobrze sekretów walki z maszynami, ale wejść przez otwarte okno na parterze była w stanie bez niczyjej pomocy. Tym bardziej po prawie półtoramiesięcznym intensywnym treningu, i to z tak wymagającym i bezwzględny nauczycielem jak Geralt.

Ale Cynthia nauczyła się już, że wiedźmin zawsze ma rację. Wszystko, co robi, rzeczywiście jest konieczne. Czy nie lepiej zatem pogodzić się z tym i przełknąć obrazę? Tym bardziej że Geralt miał jej obrażanie się gdzieś.

Niemal bezgłośnie wiedźmin otworzył zamek w drzwiach. Tymczasem dziewczyna rozglądała się wokół - pomieszczenie, do którego weszli, było zastawione stołami, a na jednej ze ścian widniała brązowa szkolna tablica.

Geralt omiótł spojrzeniem korytarz i rozkazał Cynthii ruchem ręki, aby na razie nie wchodziła. Pochylił się i prześlizgnął w stronę okna naprzeciw drzwi, do których się włamał. Ostrożnie, jak chomik z nory, zajrzał przez matową szybę. A potem przywołał uczennicę.

Dziewczyna zauważyła, że w ostatnim czasie wiedźmin przestał nazywać ją wychowanką. Czyżby miało to coś oznaczać?

Podkradła się do okna pośrodku długiego pustego korytarza.

Buldożer był stamtąd doskonale widoczny. Geralt długo mu się przyglądał, ponad godzinę. Cynthia straciła zainteresowanie już po dziesięciu minutach, ale nie okazywała znudzenia.

Po raz któryś z rzędu mogła się upewnić, że Geralt wiedział, co robi. Zamiast walczyć na ślepo z oszalałym potworem, czekał, i nie na darmo.

Po upływie godziny i kwadransa brama magazynu otworzyła się i ze środka wyskoczyło dwóch żyjących. Jeden z pewnością był człowiekiem, drugi półkrwi orkiem. Człowiek trzymał przy uchu słuchawkę telefonu, ale nie komórki - sądząc po rozmiarach i długiej antenie, był to radiotelefon. Geralt ostrzegawczo syknął. Dziewczyna również zamarła i patrzyła.

Prawie jednocześnie rozległ się i nasilił odgłos pracującego silnika - do bramy podjechała niewielka ciężarówka marki „Oczakow”. W całym Wielkim Kijowie było ich zatrzesienie, znała je nawet Cynthia, choć niezwykle rzadko jeździła innymi samochodami niż sportowe i limuzyny.

Dwaj żyjący nadal stali przy bramie plecami do buldożera, czekając, aż mała ciężarówka podjedzie bliżej.

Co najdziwniejsze, mechaniczny potwór wcale na to nie reagował. Dalej drzemał sobie w najlepsze. Nawet wtedy, kiedy ciężarówka, manewrując przed czerpakiem, ustawiła się tyłem do bramy.

- Geralt! - wyszeptała dziewczyna, gdy zrozumiała, co się dzieje. - Przecież on wcale nie jest dziki!

- Przecież widzę - odburknął wiedźmin.

Tymczasem ze skrzyni ciężarówki zaczęto wyładowywać niewielkie kartonowe pudełka z napisami po bokach. Geralt zmrużył oczy i poruszał ustami - czyżby czytał? Z takiej odległości jego uczennica nie mogła rozróżnić ani jednej litery.

- No - westchnął Geralt po kilku minutach. - Wszystko jasne.

- Co jest jasne? Przeczytałeś napis? I co tam jest napisane?



- Napisane jest „chlorowodorek ketaminy”. Czy wiesz, co to takiego?
- Wiem - zachmurzyła się Cynthia. - Można tym wywołać halucynacje.
- Prawidłowo! Mądra dziewczyna.

I obserwował dalej.

Ciężarówkę rozładowano bardzo szybko, zapewne nie była pełna. Oprócz kartonowych pudełek z ketaminą była tam jeszcze niewielka ilość podłużnych białych pakunków. Przez pewien czas kierowca oraz ci dwaj z magazynu palili i gadali dwa kroki od tego niby-potwora napadającego na posesję starego orka. Potem ciężarówka odjechała, a jeden z pozostałych żyjących wszedł po stopniach do kabiny buldożera. Pokręcił się tam, hałasując czymś, i równie niespiesznie zszedł na dół. Gestykulując i rozmawiając, człowiek i półork wrócili za bramę, po czym starannie ją zamknęli.

- Idziemy stąd... - nieoczekiwanie powiedział Geralt i pochylając się jak wcześniej, zniknął w drzwiach.

Wracali tą samą drogą, którą przedostali się do budynku. I do dzielnicy. Nie zajrzeli tylko na uliczkę z buldożerem.

Dopiero gdy odeszli na przyzwoitą odległość, Cynthia odważyła się zaspokoić swoją ciekawość:

- Jeśli dobrze zrozumiałam, nie będziemy ruszać buldożera?

- Nie będziemy - potwierdził wiedźmin.

- Dlaczego?

- Dlatego, że żaden z niego potwór. Zwykły oswojony buldożer, flegmatyczny jak wysterylizowany kot. Chcieli nas wyrolować, moja droga. Wciągnąć do porachunków.

- Czyich porachunków?

- Miejscowych bandytów, którzy zajmują się handlem narkotykami. Widziałaś, co hoduje u siebie na podwórzu ten staruch, który nas wynajął?

- Widziałam. Co to takiego?

Geralt popatrzył na nią spode łba.

- No tak. Zna się na ketaminie, a nie zna się na konopiach. To środek odurzający! Konopie. Rozumiesz?

- A! - zrozumiała dziewczyna. - Po prostu nigdy nie widziałam ich, jak rosną. Nam przynoszono zawsze już nabite łufki.

- No, no - powiedział wiedźmin. - No tak, złota młodzież, panowie życia... Jasne.

Cynthia zasepiła się i odwróciła. Ale gdy tylko Geralt otworzył usta i zaczął tłumaczyć jej, co to wszystko znaczy, wszystkie żale w mig zniknęły.

- Wszystko jasne jak słońce. Te orły, które były przy buldożerze, z pewnością handlują środkami farmaceutycznymi. Z kolei stary na swojej farmie hoduje konopie i tanio je sprzedaje. Konkuruje. Orły postanowiły przejechać się po nim buldożerem. A dziadek, nie w ciemną bitą, postanowił posłużyć się mną. Ale to jedynie półśrodek, oczywiście, że można ściągnąć nowy buldożer. Najprawdopodobniej stary chce zyskać na czasie. Zachować sadzonki, które nie zostały jeszcze zniszczone. Rozumiesz?

- Rozumiem - skinęła głową dziewczyna, ale wszystko się w niej gotowało. - A to gad! I co teraz?

- Nic. Nie jestem jego gorylem, nie będę sprawdzał, jak chroniony jest ten buldożer i jakimi strzelcami są tutejsze oprychy. Zwrócę szmal i niech spieprza.

Cynthia zauważyła, że gdy tylko rozmowa zeszła na temat bandytów handlujących narkotykami,

język wiedźmina stał się bardziej wulgarny, choć nie przekroczył pewnej granicy... „Szmal” zamiast „pieniądze”, „spieprza” zamiast „niech go diabli”. Zabawne.

- Zaczekaj no - przerwał jej rozmyślania Geralt. - Czy to nie są garaże?

- Nie wiem... - Dziewczyna przyjrzała się uważnie. - Są podobne?

- Podobne, dziecko, podobne. Co prawda nie do garaży twojej bogatej rodzinki, a do zwykłych miejskich garaży... Chodźmy.

Przy bramie wyrósł jak spod ziemi ponury wirg z berdanką.

- Witaj - swobodnie przywitał go wiedźmin. - Potrzebna bryka.

Wirg nie odpowiedział. Najpierw przyjrzał się Geraltowi, potem Cynthii.

- Ładna dziewczyna - powiedział zamiast „dzień dobry”, gapiąc się na półorczycę. - Nie chcesz do mnie na pół godzinki?

- Nie chcę - sucho odpowiedziała Cynthia. - A jak będziesz nalegał, odstrzelę ci jaja.

- Nie trzeba - westchnął wirg, rzucając szybkie spojrzenie na strzelbę dziewczyny, i obrócił się do Geralta. - „Czerkasy” cię urządza?

- jeśli nie półzdechłe i z pełnym bakiem, to urządza - powiedział Geralt. - Ile, jeśli rosyjskimi?

- Dziesięć paczek.

- Pocięło cię? - zdziwił się wiedźmin. - Dwie.

- Chyba oszalałeś! Osiem.

- Idziemy stąd. - Geralt odwrócił się i pociągnął uczennicę za rękaw.

- Hej, zaczekaj, zaczekaj! - zawołał wirg. - A ty dokąd? Pięć!

- Stopem mogę dojechać - rzucił Geralt przez ramię.

- Trzy?

Wiedźmin ani myślał się obrócić.

- Dobra, dwie! Bierz, shahnush todd, sknerusie!

Geralt zatrzymał się gwałtownie, odwrócił, spojrzał posepnie na wirga.

- Wyprowadzaj - rozkazał. - I pamiętaj... Kiedy jestem zły, biada tym, którzy są obok. Dziewczyna też dobrze strzela.

Cynthia jakby na potwierdzenie tych *słów* uśmiechnęła się pobłaźliwie i leniwie zakołysała lufą strzelby.

Wirg natychmiast skrył się gdzieś w czeluściach swojej twierdzy. Zamiast niego z wieżyczki nad bramą wyjrzał podrostek, też tej samej rasy. Nie miał broni. Z niedowierzaniem patrzył na przybyszy - nieprzerwanie, uważnie niczym sowa z dziupli. Potem brama się otworzyła i znajomy wirg wyprowadził na zewnątrz wspomnianą czerkaskę - niewielkie zwinne auto. Nikt nie nazwałby tego samochodu nowym, ale całkiem zajeżdżony też nie był. Wiedźmin obszedł wóz dookoła, wnikliwie przyjrzał się nabytkowi, z jakichś powodów kilka razy kopnął nogą w koła, usiadł za kierownicą, dodał gazu i wsłuchał się w pracę silnika.

- Dobra, ujdzie - burknął z zadowoleniem. - Wsiadaj, Cynthia.

Dziewczyna z chęcią otworzyła drzwi. Geralt odliczył dwa tysiące z otrzymanych od starca półrubłówek i podał wirgowi przez okno:

- Trzymaj. Bądź zdrow.

- Bywaj i ty... sknerusie. - Handlarz również nie należał do uprzejmych.

- Nie jestem chciwy - wyjaśnił mu wiedźmin. - Jestem oszczędny.

- Tu nikt nie jest chciwy. - Wirg wprawnie przeliczył pieniądze i wsunął je do kieszenie. -

Szczególnie miejscowy bonzo.

- Który to? Ten, który rozbija się buldożerem?

- Ten sam. Wiesz, jak nazywają go miejscowi?

- Jak?

- Spychol.

- Bardzo trafnie - stwierdził Geralt i wcisnął gaz do dechy. Auto zaryczało, zapiszczało oponami przy nawracaniu i pomknęło do przodu.

Do posesji starego orka, plantatora konopi, dojechali bardzo szybko. Tylko raz wiedźmin zatrzymał się przed jakimiś przydrożnymi krzakami - powiedział, że za potrzebą. Cynthia, która jeszcze na terenie zakładu zaczęła się martwić, co jeszcze złego z tej sprawy wyniknie, czekała na niego w samochodzie.

- Będziesz mi potrzebna - oświadczył Geralt, kiedy czerkaska umilkła. - Po pierwsze, usiądź za kierownicą. A po drugie, jeśli zacznie się strzelanina i pierwszym, który wyjdzie z tej bramy, nie będę ja, uciekaj bez namysłu. Jeśli zajdzie potrzeba, strzelaj do każdego, kto zechce cię zatrzymać.

- A ty?

- Ja sobie poradzę. A, jeszcze jedno... - powiedział wiedźmin i spojrzał jej prosto w oczy czarne jak dojrzałe oliwki. - Jeśli odjedziesz sama, nie idź na Poligon Matwiejewski. Lepiej udaj się do Wesemira.

- Co za głupoty opowiadasz! - Cynthia usiłowała ukryć niepokój. - Pojedziemy razem. I lepiej będzie, jak pójdę z tobą. Co dwie strzelby, to nie jedna.

Geralt nie zdążył odpowiedzieć - z bramy posesji wylał się tłum, z tuzin żyjących. Sami orkowie na czele ze znajomym już staruchem. Najmłodszy mógł mieć ze dwadzieścia lat, co w przypadku tej rasy oznaczało smarkatą młodość.

- Zaczyna się - warknął wiedźmin.

Wysiadł i skierował w stronę orków.

- No jak? - przyjaznym tonem zapytał ich prowodyr, staruch. - Poradziłeś sobie?

- Nie - chłodno odpowiedział Geralt. - Rezygnuję ze zlecenia. Oto pieniądze. - Wyciągnął do orka trzy paczki setek.

- Hmm - zdziwił się tamten. - Dlaczegoż to rezygnujesz? I, o ile sobie przypominam, dałem ci trochę więcej pieniędzy.

- Potrąciłem sobie za fałszywe wezwanie. - Geralt nie okazywał niepewności ani wątpliwości. - A rezygnuję dlatego, że mnie okłamałeś.

- Tak mówisz? - Staruch uśmiechnął się złym uśmiechem. - A w czym cię okłamałem?

- Buldożer, który wyrównał ci konopie, wcale nie jest dziki. To zwykły, oswojony buldożer, kierowali nim żyjący. Twoi konkurenci, aptekarze Spychola. Nie miej mi tego za złe, ale wiedźmini nie wtrącają się w takie sprawy. A zatem zabieraj swój szmal i żegnaj.

Geralt niedbałym ruchem cisnął pieniądze pod nogi orka.

W tej samej chwili, jak za skinieniem Wielkiego Technika, w rękach każdego z orków pojawiła się broń. U niektórych pistolety, u innych strzelby, jeszcze u innych obrzyny. U nieletniego - stary rewolwer. Tylko starzec miał puste dłonie.

- Dlaczego mnie obrażasz, co? - zapytał z wyrzutem. - Rzucasz pieniędzmi... Aj-aj-aj.

- A co jest nie tak? - Geralt pochylił w bok głowę i zmrużył oczy. - Chciałeś wyrolować wiedźmina. I myślisz, że po tym wszystkim będę przed tobą tańczyć?

- Możemy cię ukarać - przymilnie zaskrzypiał staruch. - Ty jesteś sam, nie licząc dziewczyny. A nas - zobacz tylko!

Cynthia nie widziała twarzy swego nauczyciela, ale gotowa była przysiąc, że teraz krzywo się uśmiechnął. Nadszedł czas na jego występ.

- Grozisz mi? - spokojnie zapytał Geralt. - Grozisz wiedźminowi? Bój się Boga, stary! Ci durnie mogą mieć jakieś nieuzasadnione nadzieje. Ale ty? Ty?!

- Ojcie! - nie wytrzymał ktoś w tłumie. - Zastrzelę go!

- No dawaj - prychnął Geralt. - Strzelaj, durniu. Zdechniecie wszyscy ku uciesze aptekarzy i samego Spychola.

- Nie strzelać! - metalicznym, niespodziewanie ostrym tonem zakomenderował przywódca tej rodzinnej bandy i uniósł kościstą rękę w ostrzegawczym geście. - Czort z tobą, wiedźminie. Zwróć resztę pieniędzy i wynoś się.

- Wszystko, co się należy, zwróciłem. Okłamałeś mnie, zabrałeś mi czas. Czas wiedźmina jest drogi. A kłamstwo wybaczę. Przynajmniej za pierwszym razem.

- Aaa!!! - wrzasnął nagle smarkacz z rewolwerem i strzelił. Geralt odrzuciło do tyłu, na plecy, na asfalt. Dosłownie w tej samej chwili smarkacz runął na ziemię z przestreloną głową - młoda, niedouczona wiedźminka domyśliła się, od kogo w pierwszej kolejności można oczekiwać niespodzianki, dlatego wycelowała zawczasu. I zaczęło się...

Cynthia strzelała szybko i chłodno. Bez złości, zacierzewienia. Czas stanął w miejscu. Były tylko czarne kreski tarcz, lufa strzelby i spust. Nie odczuwała ani strachu, ani bólu.

Ból i strach nadejdą później - tego była pewna - a na razie wszystko, co umiała sama, i wszystko, czego nauczył ją wiedźmin, materializowało się w postaci wylatujących z lufy opływowych kawałeczków metalu rozrywających cudze ciała.

Dopiero gdy wśród żywych pozostał tylko starzec i czterech orków, którzy zdążyli rzucić broń i podnieść ręce do góry, czas wznowił swój bieg.

Dziewczyna z trzaskiem przeładowała zamek, strzelba wypluła ostatnią łuskę.

- Cofnąć się wszyscy! - rozkazała z niesamowitym spokojem.

Orkowie usłuchali bez szemrania.

- Ręce za głowę, plecami do mnie!

Znów usłuchali.

- A teraz na asfalt, twarzą w dół!

Ulegli bez słowa, nawet stary.

Dopiero teraz Cynthia pozwoliła sobie spojrzeć kątem oka na Geralt.

Spodziewała się krwi, przestrelonej piersi, poczerniałej od wilgoci odzieży i różowych pęcherzy na niej.

Niczego takiego nie było. Wiedźmin siedział oparty plecami o czerkaskę i ścisnął w rękach strzelbę. Na jego kurtce, dokładnie na wysokości serca, widniała postrzępiona dziura, ale krwi nie było ani śladu.

- Zabierz broń i wrzuć ją do bagażnika. Albo nie, lepiej na tylne siedzenie. Potem usiądź za kierownicą - syknął Geralt. - Szybko!

Uczennica posłuchała bez słowa. Razem z obrzynami i pistoletami podniosła z ziemi wszystkie paczki setek.

- Pieniądze wyrzucić! - oschle rozkazał wiedźmin.

Po raz pierwszy Cynthia wykonała rozkaz, zanim go sobie uświadomiła. Paczki z powrotem powędrowały na asfalt, a dziewczyna biegiem rzuciła się do samochodu.

- Włączaj!

Silnik auta zawarczał, nim zdążyła usiąść za kierownicą. Widać maszyna była obyta z hukami wystrzałów, nie wyrwała jak głupia podczas walki, wytrzymała!

Poruszając się niczym robot albo inwalida, Geralt usiadł wreszcie na przednim siedzeniu i wystawił przez okno lufę strzelby.

- Jazda!

Cynthia wcisnęła gaz do dechy, wiedźmin aż jęknął. Dziewczyna w myślach skłęła samą siebie: z pewnością jest ranny!

Teraz starała się unikać ostrego manewrowania. Minęli kilka osiedli domów-twierdz, przemknęli obok niewielkiego parku i małego jeziora.

- W prawo! - zakomenderował Geralt, i jak zwykle miał rację. Po dziesięciu minutach wyjechali na trasę szybkiego ruchu.

- Jesteś ranny? - z niepokojem spytała Cynthia. - Mam cię opatrzyć?

Nigdy nie myślała, że będzie tak niepokoić się o mężczyznę. O całkiem obcego mężczyznę. Chociaż... czy teraz wiedźmin Geralt to obcy mężczyzna?

- Nie jestem ranny - warknął, marszcząc brwi i sycząc. - Co najwyżej stłuczenie.

- Ale trafili cię! Widziałam!

- Trafili - potwierdził Geralt. - Ale ja jestem mutantem, nie żyjącym. Mam mocne kości.

„Bredzi - jeszcze bardziej zaniepokoiła się dziewczyna. - Mamo kochana, co robić?”

Nie czuła zapachu krwi. Ale czy to coś znaczyło? Siedząc za kierownicą, nie mogła dokładnie obejrzeć rany. Dlatego zatrzymała się przed pierwszym przydrożnym motelem.

- Shahnush todd! - wyszeptał wiedźmin. - Boli jak diabli!

I zaczął rozpinąć najpierw kurtkę, potem koszulę - też z dziurą - pod którą była...

No tak, kamizelka kuloodporna! Wszystko stało się jasne.

- Tfu! - serio rozzłościła się Cynthia. - Ja omal nie oszalałam, a temu zachciewa się żartów! Też mi dowcipniś! Kiedy zdążyłeś ją nałożyć? Przecież cały dzień jesteśmy razem!

- Ojej, ojej!!! - stękał Geralt. - Chcesz wiedzieć? Wsiadłem z wozu wcale nie za potrzebą. Najpierw chciałem kamizelkę dać tobie. A potem zastanowiłem się i pomyślałem, że będzie lepiej, gdy ja ją nałożę. Jak widzisz, miałem rację... Au, au!...

Pod kamizelką widniał ogromny, fioletowy jak kałuża atramentu siniak. I dziewczyna złapała się na tym, że po tygodniach spędzonych u boku wiedźmina nauczyciela, teraz myśli o nim wyłącznie jak o krwiaku, nie o brzydkiej, szpecącej plamie. Dlatego natychmiast złapała za apteczkę. Oczywiście, za wiedźmińską. Geralt nie protestował, gdy Cynthia sięgnęła do jego plecaczka.

- Dlaczego powiedziałaś, abym wyrzuciła pieniądze? - spytała po dwóch minutach, smarując siniak, a raczej krwiak, zalecanym przez nauczyciela jaskrawozielonym świniństwem o nazwie „eliksir lambda”. - Dlaczego kazałeś zostawić je tym draniom?

- Bo to ich pieniądze - wyjaśnił Geralt. - Ja ich nie zarobiłem. A wiedźmini nie biorą cudzego. Nawet od drani. Tak to wygląda, rozumiesz...

Widok z mostu mimowolnie zauroczył Cynthię. Spokojna woda miała szmaragdową barwę, a wysoki brzeg, w kierunku którego jechali, tonął w zieleni. Po zatoce, wydymając ku niebu skośne trójkąty żagli, ślizgało się kilka jachtów.

Geralt dotknął ramienia dziewczyny i wskazał na lewo.

- Matwiejówka jest tam. Wzdłuż rzeki.

Cynthia posepnie skinęła, spoglądając na odległy brzeg. Okolony zgrabnymi świecami topoli przypominał gigantyczny grzebień.

Przez ostatnie kilka dni w półorczycy zrodziło się i dojrzało przecucie, że Geralt postanowił ją zostawić. Że dosyć ma niańczenia - co by nie mówić - protegowanej przez Wesemira wychowanki.

Dziewczyna myślała o tym, już gdy opuszczali teren opanowany przez klany narkotykowe przebiegłego starego orka i Spsychola. Tego dnia przejechali prawie sto kilometrów i spędzili noc pod samym Nikołajewem. Za to przez następny tydzień prawie nie ruszali się z miejsca. Geralt machnął nawet ręką na codzienne treningi i bez przerwy faszerował Cynthię coraz *t o* nową wiedźmińską wiedzą. Głowa dziewczyny aż pękała od przeciążenia. A rano przed odjazdem ledwie zasiadł do laptopa, przeciągle westchnął i rzekł nawet oschlej niż zazwyczaj:

- Starczy. Jedziemy, wychowanko.

Po raz pierwszy od kilku tygodni wymówił to słowo. Cynthia mimochodem pomyślała, czy nie po raz ostatni.

Minęli most. Przejechali przez uliczki zacisznego i czystutkiego rejonu zabudowanego niewielkimi, najwyżej trzypiętrowymi domami.

- W lewo - zakomenderował Geralt na kolejnym skrzyżowaniu.

Minęli kilka osiedli i czerkaska wjechała na kolejny most - wiedźmin powiedział, że nazywa się on Barbarzyński, a pierwszy to Ingulski.

Osiedla mieszkalne widzieli jeszcze przez kolejne piętnaście minut jazdy, a potem, gdy tylko samochód opuścił rondo z dziwacznym słupem pośrodku, domy się skończyły. Z prawej strony, z dala od drogi stały jeszcze jakiejś budowle, z lewej rozpościerało się gołe pole.

- Teraz stój - polecił wiedźmin i dziewczyna posłusznie skierowała samochód ku poboczu.

Geralt bez słowa wyszedł z samochodu. Cynthia za nim. Z nieokreśloną tęsknotą odwróciła się, dopiero teraz dostrzegła, że słup na rondzie wieńczy sympatyczny okręcik. Wyraźnie, niezwykle wyraźnie uświadomiła sobie, że jej życie osiągnęło jakiś ważny moment, kiedy każdy postępki, każda myśl i każde wypowiedziane słowo mogą mieć decydujące następstwa.

- To jest granica Poligonu Matwiejewskiego - oświadczył wiedźmin. - Tam, na lewo od trasy, ale czołgi przechodzą też na tę stronę. Przyprowaździłem cię tu... jak było umówione.

I zamilkł.

- I... co dalej? - głos dziewczyny nawet nie drgnął.

Sama nie mogła pojąć, skąd wzięła siły, aby zachować na zewnątrz niezmańony spokój i opanowanie.

- Cofam sobie pełnomocnictwa niańki, Cynthio - z powagą oświadczył Geralt. - Nie wiem, co zamierzasz tu robić, ale za wszystkie dalsze czyny od teraz będziesz odpowiedzialna tylko ty. Nikt więcej.

- A ty co masz zamiar robić? - na wszelki wypadek zapytała półorczyca.

- Wsiąść i odjechać.

- Dokąd?

Wiedźmin uważnie spojrzął jej w oczy.

- Widać źle cię uczyłem - wymamrotał. - Co za różnica dokąd? To nie twoja sprawa.

\* \* \*

Prawdę mówiąc, Geralt zamierzał pojechać prosto do Arzamasu-16 i odbyć poważną rozmowę z Wesemirem. Dowiedzieć się, dlaczego wlepili mu to dziwne nauczanie, całkowicie pozbawione perspektyw i sensu - jeśli nie liczyć honorarium, które Wesemir otrzymał niewątpliwie w całości.

- Do widzenia, GERALCIE - powiedziała Cynthia. Jej głos omal nie zadrżał i urwał się. - Dzięki za naukę.

- Żegnaj - krótko rzucił wiedźmin i usiadł za kierownicę.

Sucho trzasnęły drzwi i zawarczał silnik.

Przez kilka minut dziewczyna tępo patrzyła w ślad za odjeżdżającym samochodem. Potem westchnęła głęboko, zarzuciła plecak na ramię, poprawiła strzelbę i zdecydowanie przeszła przez drogę.

Poligon był porośnięty trawą - nieoczekiwanie dużo trawy, ale nie soczystej jak w rodzinnym majątku, a suchej, twardej, spalonej gorącym południowym słońcem. W oddali majaczyły jakieś niewyraźne pagórki i maleńka budka z widocznymi otwartymi drzwiami.

Pomiędzy kępami traw, na warstwie suchej ziemi, tu i ówdzie pojawiały się wyraźne ślady gąsienic. Co i rusz widniały niezbyt głębokie leje, tak po trzydziści centymetrów, niektóre całkiem świeże.

„Po co tu jestem? - pomyślała zagubiona Cynthia. - Czy jestem w stanie cokolwiek zmienić lub cofnąć? Czy to przywróci Brid do życia?”

Z nieprzyjemną pustką w sercu dziewczyna szła ku wzgórkom i budce. Była zmieszana, bo nie do końca wierzyła, że to wszystko dzieje się naprawdę. Że uparcie idzie do przodu właśnie ona - dziecko z zamożnej rodziny, od małego wychowana w otoczeniu niań i ochroniarzy, nauczycieli i takich samych dzieci z zamożnych rodzin. Blichtr, luksus. Jeszcze niedawno nie pozwalano jej samodzielnie zrobić jednego kroku, a jeśli nawet zdołała się jakoś wyrwać spod zniechęconej opieki, to tylko w towarzystwie sobie podobnych. Czego doświadczyła? Nudy na zajęciach drogich nauczycieli? Gorzkiego smaku narkotyków zmieszanych z tytoniem? Pierwszej miłości, nieposkromionej, zakazanej, zdobytej i natychmiast utraconej?

Brid, Brid... Dlaczego ukradły wtedy tego nieszczęsnego dziupa, dlaczego przekupiły chciwego konduktora w pociągu? Dla przygody?

Oto i one: przygody - śmierć pod gąsienicami, złamane serce i szok, że nawet ich, dzieci wspaniałych rodziców, może spotkać nieszczęście. Świadomość nieodwracalności wielu postępów. Świadomość straty i pierwsze myśli o samobójstwie, które na szczęście zastąpiła chęć zemsty.

Teraz podąża donikąd, samotnie, Bóg jeden wie gdzie, po dzikim poligonie ze strzelbą u boku i brzękiem wiedźmińskiej wiedzy w pamięci. Niech nawet ta wiedza będzie niepełna i powierzchowna! Czy Brid patrzy teraz na nią z nieba? Czy potępia ją? A może nawołuje do czynu?

Ale na kim się mścić? Na głupiej, zaślepionej maszynie, która nagle uciekła na wolność i zapędziła ich na pole, gdzie nie było żadnych kryjówek? Wiedźmin mówił, że nie ma sensu mścić się na maszynach. Miał rację. On zawsze miał rację. Przecież Cynthia mści się na sobie - na nikim więcej. Za to, że przeżyła. Za to, że mogła po śmierci Brid cokolwiek pragnąć, za to, że mogła chodzić, oddychać, śmiać się. Za to, że nie znalazła w sobie dość siły, aby umrzeć razem ze swoją

miłością. Tu, na Matwiejewskim Poligonie.

Często powtarzano jej, że młodość jest nierozważna. Że później, gdy czas pokryje pamięć mglistą zasłoną przeżytych lat, wszystko, co miało tu miejsce, wyda się naiwne, niemądre i niepotrzebne.

Bzdura! Uczucia, jakiegokolwiek uczucia nie mogą być daremne, a tym bardziej głupie, jeśli tylko są szczerze. A ona naprawdę kochała...

I oto Cynthia przyszła. W oczekiwaniu, że miejsce śmierci Brid wyostre jej tęsknotę i pragnienie zemsty. W oczekiwaniu, że oto jej serce przepłeni wicher uczuć i wspomnień.

Ale w sercu pozostała jedynie pustka. I oto dziecię wybranych stoi zupełnie samo na samym środku pustego poligonu, a wiatr pieści krótko ostrzyżone włosy. I nie ma nikogo, kto mógłby podpowiedzieć, podtrzymać...

Wzgórki okazały się przedpiersiem niewielkich okopów. Budka była pusta, jeśli nie liczyć zaschniętych ekskrementów pod jedną ze ścian.

„Jak znaleźć ten przeklęty czołg?” - pomyślała Cynthia zmartwiona.

\* \* \*

Wiatr beznamiętnie kołysał trawę.

A potem, ulegając nie wiadomo skąd zrodzonemu nagłemu impulsowi, półorczyca wyjęła komórkę i biegiem wróciła na drogę.

Stojąc już na poboczu, wystukała numer.

- Geralt? Tu Cynthia. Przyjedź po mnie, proszę.

- Dobrze - odpowiedział beznamiętnie.

Przez pełne dziesięć minut dziewczyna ze wszystkich sił starała się zachować w duszy pustkę i starannie odganiała od siebie myśli. Gdy wiedźmin podjechał, gwałtownie otworzyła drzwi i wsiadła do auta.

Geralt o nic nie pytał. Po prostu siedział, trzymając ręce na skórzanej kierownicy, i czekał.

- Miałeś rację, wiedźminie - głucho wyznała Cynthia. - Nie mam tu nic do roboty. Odwieź mnie, proszę, do domu, jeśli masz po drodze. Albo do Wesemira.

Powoli, jakby nie chcąc, Geralt obrócił do niej łysą, wytatuowaną głowę. I spojrzał uczennicy w oczy.

Jego spojrzenie bardzo rzadko wyrażało cokolwiek. Tym razem z pewnością wyrażało zrozumienie. I, jak się Cynthii wydało, akceptację.

A może jej się tylko wydawało...

Zawarczał silnik i czerkaska ruszyła na północ. Dziewczyna obojętnie patrzyła na przesuwane się za oknami drzewa.

Dopiero po godzinie, gdy poligon pozostał daleko za nimi i znów wzdłuż drogi ciągnęły się zwykłe miejskie osiedla, wiedźmin przerwał milczenie.

- Jak miał na imię? - spytał.

- Kto? - zwlekała z odpowiedzią Cynthia.

- Ten, kogo kochałaś. Ten, który zginął na Poligonie Matwiejewskim.

Dziewczyna spięła się, nachmurzyła, ale odpowiedziała:

- Nie on, lecz ona... Miała na imię Brid. Brigid Flawio Roksana Brown. Była półorczyką jak ja.

Geralt nie byłby sobą, gdyby okazał jakiegokolwiek uczucia - zdziwienie, zakłopotanie, zmieszanie. Nie okazał. Tylko rzekł cicho:



- Witaj w świecie dorosłych, dziewczynko.

Nie wiadomo, co tak wpłynęło na Cynthię - zmęczenie długim, intensywnym treningiem, szok po wizycie na Poligonie Matwiejewskim czy szklanka oranżady, do której wiedźmin ukradkiem wsypał jakiś swój specyfik. W każdym razie po pierwszym postoju i lekkiej przekąsce przeniosła się na tylne siedzenie, wcisnęła pod głowę kurtkę wiedźmina i zasnęła.

Spała długo.

Miała wrażenie, że we śnie gdzieś ją przenoszono, ale nie chciało jej się obudzić.

I spała tak, gdy Geralt mknął po tranzytowej trasie szybkiego ruchu, gdy opuszczał granice Wielkiego Kijowa, gdy wjeżdżał na teren Arzamasu-16. Kiedy podjechał pod znajomy do bólu budynek, najpierw uściskał Wesemira, następnie przywitał się z Eskelem, Chinfurtem i Oksenfoldem, Wlodezem i Folipem.

Śpiącą Cynthię wraz z Eskelem przeniósł do wolnego pokoju hotelowego.

„Niech śpi - myślał wiedźmin. - Sen i czas to najlepsi lekarze. Szczególnie gdy leczenia wymaga dusza”.

Wesemir nie protestował. Spojrzał w stalowe oczy Geralta, westchnął i uprzedzając jakiegokolwiek słowa, powiedział:

- Chodźmy do mojego gabinetu. Tam wszystko wytłumaczę.

W gabinecie Wesemira zmieniło się niewiele - no bo co miałyby się zmienić?

Setki zakurzonych tomów na półkach? Stary komputer na ogromnym, zawalonym najrozmaitszymi przedmiotami stole?

Stół wydawał się tak wieczny i niewzruszony, jak sam Wesemir.

- Siadaj - rzucił szef wiedźminów. W jego głosie nie było poczucia winy czy żalu. - A jak ty się czujesz?

- Normalnie - odpowiedział Geralt równie neutralnym tonem. - Nawet udało mi się załatwić parę innych spraw.

- Za chłopca osobne podziękowanie - skinął Wesemir. - A drugie?

- Dowiedziałem się, kto kieruje handlem narkotykami na południu. Nazywają go Spychol. Pierwomajsk, osiedle Wazelinowo. Trzeba by go przycisnąć, niech dostarcza leki i nam. Na pewno ma duży wybór.

- Dobrze, nadam sprawie bieg. Zuch z ciebie, Geralt.

Wiedźmin nie odpowiedział. Nie chciał mówić o starym orku, który hodował konopie. Arzamasowi konopie nie są do niczego potrzebne, a miejscowi żyjący sami niech decydują, czy będą się truć odurzającym zielskiem czy nie.

- Rozumiem, że przez ostatnie kilka miesięcy musiałeś zajmować się Bóg wie czym - zaczął tłumaczyć się Wesemir - ale uwierz, że to było konieczne.

- Dla kogo? - spytał Geralt. Zadał pytanie obojętnie, bez rozdrażnienia czy żalu. Żałować tego, co minęło, cóż może być bardziej jałowe i głupie?

- Dla nas wszystkich. Krewni Cynthii sporo odpalili za twoją działalność oświatową. Na najbliższe dziesięć lat Arzamas ma wszystkiego pod dostatkiem, nawet jeśli żaden wiedźmin nie zarobi ni kopiejki.

- Ho, ho! - zdumiał się Geralt. - Tak dużo? Nie spodziewałem się... słowo.

- Problem nawet nie w tej kwocie - dodał Wesemir. - Mamy teraz otwarty nieograniczony kredyt w „Obołoń-Stožary-Invest”. Jak powiedziałem, na dziesięć lat. Dzięki tobie.

- Stop! - Geralt wyciągnął dłonie do przodu. - Cofam wszystkie moje pytania. Po to warto było się męczyć... Mówiąc szczerze, to tak za bardzo się nie męczyłem.
- No i dobrze.
- A jak rodzicom Cynthii wpadło do głowy, by zrobić z niej wiedźminkę? Przecież to chory pomysł...
- Geralt, w wyższych kręgach są takie intrygi... Można zwariować. Chcieli po prostu, aby na jakiś czas zniknęła im z oczu. Zręcznie wykorzystując jej fascynacje.
- Moment. Ten typak, który mnie wynajął, longer, proponował, aby Cynthię sprzątnąć! Dawał nawet pieniądze.
- Wiem, Geralcie. Tego typka wzięto już pod lupę. Zlecił to dziadek Cynthii. Ma chyba kamień zamiast serca. Tu biznesy i reputacja, a tam córka fryzjerka, przy tym kurwa, i wnuczka mieszaniec, a do tego jeszcze lesbijka... Nie ma czego zazdrościć. Nic dziwnego, że chciał wyrwać chwasta.
- Geralt tylko głęboko westchnął.
- Trzeba by dziewczynę odwieźć do domu - powiedział i ziewnął. - Odwiozę, jeśli trzeba. Muszę się tylko przespać.
- Ona nie pojedzie - odpowiedział z przekonaniem Wesemir. - Nie zechce. Wiem to. Lepiej niech posiedzi tu kilka miesięcy. Pobędzie z chłopcami, niedługo mamy próby.
- No... ty wiesz lepiej. Dobrze, Wesemirze. Nie mam żadnych pytań. Idę spać.
- Do hotelu?
- Tak.
- I przechwytyjąc mimolotne spojrzenie szefa wiedźminów, dodał:
- Skończyłem już z niańczeniem.

urodzony w 1968 roku w (z czego jest dumny) rodzinie, która wydała na świat wielu malarzy-restauratorów Galerii Trietiakowskiej. W swoim życiorysie pisarz wyróżnia okres służby w wojsku, w oddziałach ciężkiej artylerii, oraz trzy lata studiów na wydziale dziennikarstwa Uniwersytetu Moskiewskiego. Rekordowe zaległości (16 przedmiotów) i chroniczna absencja na zajęciach spowodowały, że na trzecim roku zakończył naukę. Pracował jako copywriter, ale znalazł też czas, by bronić Białego Domu podczas próby przewrotu w Rosji w 1991 roku. Latem 1995 roku napisał jedno z istotniejszych dzieł swego życia - wypowiedzenie, i od tej chwili nie pracuje etatowo. Debiutował w 1997 roku psychologicznym thrillerem *Mastier sobak*, jest laureatem niemal wszystkich prestiżowych rosyjskich nagród, począwszy od „Strannika”, a skończywszy na tak egzotycznych laurach, jak Grand Prix konwentu „Fakon-2000”, który miał szczęście się nie odbyć. Jedyna powieść Diwowa, która nigdy do niczego nie była nominowana, to *Najlepsza załoga Słonecznego* (Fabryka Słów, 2007) - zdaniem autora tylko dlatego, że za dużo w niej słów powszechnie uznanych za nieprzyzwoite. Oleg Diwow opublikował 10 książek, w tym 8 powieści, a także kilka nowel i opowiadania, m.in. *K-10*, *Zdrajca*, *Paranoik Nikanor*, *Wriednaja profiessija*.

Oleg  
Diwow

Dynks Billy'ego

Przekład

Ewa i Eugeniusz Dębscy

Poniedziałek, dzień

Trzymaliśmy się naprawdę bohatercko; i ja, i Billy mamy siłę woli, że ho-ho, ale trzeciego dnia przypadkiem zobaczyłem w lustrze swoje odbicie.

Wyszedłszy z kibla, oderwałem jakoś partnera od kontuaru, a potem wyciągnąłem na ulicę. Tam Billy emu zrobiło się nieco lepiej, poznał mnie nawet i pyta:

- Dokąd się śpieszymy, Wanja? Smał mamy. Smału mamy od groma, żeby cię pogięło!

- Ale psychika wysiada - powiadam. - Możesz patrzeć na mnie bez bólu?

Billy mrugał dobrą minutę i tak mi na to:

- Ja tam się już przyzwyczałem, żeby cię pogięło.

Zartowniś! Ma siedem stóp wzrostu i jest czarny jak bryka w kolorze antracyt metalik - aż błyszczący. To raczej do niego człowiek się musi przyzwyczajać.

- Jasne. - Kiwam głową. - Ale już bez jaj, Billy, słuchaj i powaga. Intensywnie trzeźwiejemy, walimy w kimę, a jutro z rańska idziemy poddać się glinom. Kumasz?

- Ciągnij diesla! - odpowiada. - Nie wolno szybko trzeźwieć. Wiesz, jakie ja mam poalkoholowe lęki? Można się powiesić, żeby cię pogięło.

- Moje nie są lepsze - oponuję. - Standardowy zestaw. Egzystencjalne przerażenie, gorzka zaduma nad nieodwracalnością śmierci, dogłębne uświadomienie sobie bezsensu wszystkiego. Hej, Billy, partnerze ty mój! A co z naszą siłą woli?

- Mamy ją, że ho-ho, żeby cię pogięło! - melduje mi on, prostując ramiona.

- Czyli zdołamy przetrzymać przewidywane poniżenie z dumnie uniesionymi czołami. I w ogóle najlepsze wyjście z ciągu prowadzi przez pracoterapię.

- Chciałbym być na twoim miejscu - wzdycha Billy, znowu ponuro się garbiąc.

Nawet zapomniał o tym swoim ulubionym „pogięciu”.

A późnym rankiem w poniedziałek, capiąc okrutnie niespalonym alkoholem, wpadamy na posterunek i rozsuwając klatami różne takie tam drobiazgi, walimy prosto do szeryfa.

Ten szeroko się do nas uśmiecha.

- Czyżbyście zmądrzeli? - pyta.

- Krótko rzecz ujmując - mówię - panie Gibbson, czniam na lirykę. Dostaje nas pan do swojej dyspozycji na jeden tydzień. Po zakończeniu tego okresu zwalnia pan z aresztu nasze maszyny. My spadamy stąd pełnym gazem i nigdy, słyży pan, nigdy więcej tu nie wracamy. Proszę zapamiętać też, że ten układ jest kompletnie i całkowicie kwestią pańskiego sumienia.

- Jakiś pan nerwowy, Ivan - odzywa się szeryf.

- Wszędzie będę opowiadał, że pracujemy pod pałą. Wszędzie.

- Ivan, kochany - tak on do mnie zaczyna - to przecież nie jest tajemnicą. Miejscowi wiedzą, że potrzebuję waszego cudownego dynksa, ale odmówiliście mi, dlatego was przycisnąłem. Uwierzcie mi, że ludzie są po mojej stronie. Po stronie tego, kto broni interesów miasta i kto w ogóle... jest w majestacie prawa.

- Się jeszcze zobaczy, kto jest z prawa, a kto z lewa. Dobra, stoi?

- Dobra, ja nagrałem rozmowę - potwierdza szeryf.

- Ja też. I?...

- Czyli przyznaje pan, że pański partner, mister William Mbe... Mbu...

- Mbabete, William Mbabete. Owszem przyznaję, on ma ten, jak się pan wyraził, dynks.

Szeryf patrzy na Billy'ego, patrzy na mnie i nagle mówi:

- A nie łże pan, Ivan?

Ze zdziwienia chwytam stojącą na stole butelkę sodowej i wypijam ją duszkiem. Mój partner, który w ogóle z rana jest zawsze trochę przymulony, a na kacu ostatecznie traci refleks, wyrывa z mojej łapy puste naczynie i coś z wyrzutem syczy.

- Łżę, rzecz jasna - powiadam, chwyciwszy oddech. - Billy nie ma żadnego unikatowego artefaktu. Myśmy się tylko trochę powydurniali, a tubylcy te wygłupy źle zinterpretowali. Niepotrzebnie pan nas zatrzymał, Gibbson, tylko żeśmy wątroby sobie popsuli. To *co*, rozstaniemy się po przyjacielsku? Pozwoli nam pan odjechać po dobremu?

Teraz partner mnie odsuwa, zbliża się do stołu, zawisa nad szeryfem i chrypi przeraźliwie:

- Wypuść nas po dobremu, straszny biały człowieku, póki się nie zaczęło, żeby cię pogięło!

- Dobra - mówi glina. - Nie mam więcej pytań. Proszę siadać, zaraz zrobią wam kawy. Clarisso!

Proszę do mnie!

- Wody! - chrypi Billy. - Dużo zimnej wody! I kropelkę whisky.

Zjawia się Clarissa, taka standardowa amerykańska Barbie, aż się nie chce patrzeć. Pyszczek poprawiony, nóżki podrasowane, biust lada moment wystrzeli z bielizny. Musiała, przed korektą znaczy, być straszna jak grzech śmiertelny.

- Clarisso, bądź taka miła, podaj naszym gościom kawy. I zimnej wody.

Billy wyciąga długą swoją łapę i chwytając Barbicę za pupę.

- Pięć tysiaków za każdy półdupek, żeby cię pogięło! - oświadcza z niezachwianą pewnością.

Barbicę odwraca się i serwuje chuliganowi hak w oko. Z graby, proszę zauważyć. Wychowana czyli. Bo mogłaby i z obcasa.

- Wszystko moje, kretynie - oświadcza dziewczyna wypadającemu z fotela Billyemu. Ma cios, że ja dziękuję.

- Z przodu też? - głośno myśli mój partner, siedząc na wykładzinie i trzymając się za policzek. - A ty co, android czy jak?

- Szefie, czy mogę mu dołożyć jeszcze? - lodowatym głosem pyta Barbicę.

- Nie teraz, Clarisso, on jeszcze będzie potrzebny - uśmiecha się bardzo z czegoś zadowolony szeryf. - Proszę jednak o tę kawę.

Blond-bokserka unosi nos i wychodzi.

- Ona ma psychoblok? Jeśli tak, to prosimy o wybaczenie - mówię pojednawczo do gliny.

- Czy wyście w tych swoich stolicach do końca odpięli? - dziwi się ten bardzo przekonująco.

- Po prostu ja i mój partner jesteśmy ortodoksyjnymi naturalami i nie możemy ścierpieć liftowanych, ot i wszystko.

- No to tu macie raj. Ostatnia nasza liftowana w tym roku wyjechała z miasta. Sąsiedzi ją zaszczuli. A Clarissa dorabiała sobie jako modelka na studiach, jasne? Te robione przy niej wysiadają. Hej, mister Mbu... Williamie! Potrzebujesz apteczki?

Billy odejmuje rękę od twarzy i siada z powrotem w fotelu.

- ...żeby cię pogięło... - mamrocze szeryf w osłupieniu, wpatrując się w całą i nieuszkodzoną kość policzkową.

- To nie pański tekst - przypominam.

Wchodzi Barbie z tacą, ciska ją na biurko.

- Dziękuję ci, Clarisso - mówię - i proszę wybaczyć mojemu współnikowi. To nie było złośliwe.

My, proszę zrozumieć, odwykliliśmy od ludzi, którzy wyglądają bez korekty na sto tysięcy dolarów. Przecież dokoła sami liftowani.

- Potwory stołeczne! - prychna Barbie i trzaska drzwiami.

- Nie jesteśmy potworami - tłumaczę zamkniętym drzwicom. - Wręcz przeciwnie, i ja, i Billy jesteśmy bardzo niczego sobie, tylko musi zejść opuchlizna.

- Ona miała na myśli, że jesteście potworami moralnymi - wyjaśnia nam szeryf. - Proszę posłuchać, mister Kouznetsoff, weźmy tę kawę i chodźmy się trochę przejść. Musimy obgadać szczegóły. A pański kolega niech na razie tu... Odpocznie.

Glina ciągle przygląda się Billy'emu, mając nadzieję, że zobaczy, jak mu puchnie jego czarny jak sadza pysk. Ale niedoczekanie!

- A czy ja nie mógłbym też wyjść na chwilkę? - pyta mój partner. - Kompletnie zapomniałem, żeby cię pogięło, że muszę do sklepu.

Szeryf wysuwa szufladę biurka i wyjmuje butelkę „Jacka Danielsa”, w której coś nieśmiało bełta na dnie.

- I ani kropli więcej - oświadcza. - Bo przypomnę sobie, kto tu jest szefem od zabezpieczenia praworzędności!

- ...i jednocześnie wiodącym prym w kwestii bezprawnego zatrzymania środków transportu - wtrącam.

- Proszę nie robić z siebie durnia - mówi szeryf. - Wszystko odbyło się zgodnie z prawem. A potem wy wpadliście w ciąg. Póki nie wytrzeźwiejecie, nie dopuszczę was do kierowania pojazdami. Powód nieważny. Idziemy, Ivan. Mister Mbe... Williamie! Czuj się jak u siebie w domu, niczego sobie nie odmawiaj.

- W domu zwykle chodzę bez spodni... - zaczyna Billy.

- Zamknij się! - rzuca glina.

- Kumam - dopiero wtedy zgadza się mój partner.

Bierzemy z szeryfem po kawie i wychodzimy. Ukradkiem puszczam oko do kumpla. Wygląda on może i kiepsko, ale przebłyski rozumu już są widoczne. Odżywa nasz Billy. Clarisso, trzymaj się!

Przy bramce stoi ławeczka, drewniana, pomalowana farbą. Co za wiocha! Uwielbiam takie klimaty. Gliniarz siada, kucam obok niego.

- Czy on ten artefakt nosi na szyi? - pyta szeryf, siorbnąwszy kawy. - Tak po prostu?

- Yhy, na łańcuszku.

A kawa niezła, muszę przyznać.

- Co za wariactwo. A co to jest?

- Jeśli nie będziemy wchodzić w detale: meteoryt. Wszystkie te dynksy są meteorytami.

- A jak on go zdobył?

- Wydłubał z poszycia.

Szeryf kiwa głową.

- Proszę posłuchać, Ivan. Ja z wami gram w otwarte karty. Traktuję was jak partnerów. Nie narobiłem wam poważnych kłopotów, a wy, jak mi się zdaje, też raczej ich nie potrzebujecie. Ale... Dlaczego usiłujecie mnie pan wykiwać? Pański partner przecież, musi się pan zgodzić, jest lekko

mułowaty, co?

- Pan mnie załamuje - mówię. - Niezłe ma pan zdanie o człowieku, który bez zająknięcia może wypowiedzieć zwrot „lęki poalkoholowe”!

- Z pana jest spryciarz, Ivan! Miał pan na pewno tysiące okazji, by przywłaszczyć sobie artefakt. Czyli z jakiegoś powodu pasuje panu, żeby kamień nosił William i żeby wszyscy uważali, że artefakt do niego należy. Więc i ja chcę zajarzyć, gdzie jest pies pogrzebany. Przecież idziemy razem na poważną robotę.

Dopijam kawę i ciskam kubeczek do kosza. Kosz chrząka.

- Radziłbym panu, mister Gibbson - tak mówię - zarznąć się brzytwą Ockhama. Chyba zaszkodziła panu praca. Nie należy, niech to diabli, wszystkim o wszystko podejrzewać! Prowadzimy uczciwy biznes. I jesteśmy uczciwymi facetami. Owszem, Billy ma dynks, który wykorzystuje nie do końca zgodnie z przeznaczeniem. Ale po pierwsze, jego istnienie czyni z nas mistrzów w swoim zawodzie, a po drugie, kto tak naprawdę wie, do czego służy dynks... Pewnie do niczego. Przecież to kamień. Leciał sobie, nikogo nie zaczepiał, wcale nie chciał stuknąć w ten stateczek, on sam się przyplątał. W bazie został oderwany od poszycia, a Billy go wziął. On, ten kamyczek, go przyciągnął. Słyszał pan, że takie dynksy same wybierają sobie właścicieli?

- Nie mogę uwierzyć, że ten „żeby cię pogięło” jest astronautą.

- Billy był moim „prawym taboretym”.

- Że niby kim?

- Drugim pilotem. A ja byłem dowódcą okrętu zwiadu dalekosiężnego. Obu nas zwolniono z przyczyn medycznych. To łatwo sprawdzić. Zresztą pan już przecież sprawdził. Są jeszcze jakieś pytania?

- Nic nie sprawdzałem - cedzi zrzędliwym tonem szeryf.

- Kumam - mówię. - Przepraszam, nie pomyślałem. Oczywiście, krążą o nas legendy, ale my jesteśmy nieszkodliwi. Zwiad dalekosiężny oficjalnie nie istnieje. Ale... Proszę uważać, że zdradziłem panu tajemnicę państwową. Z czystej sympatii.

- „Żeby cię pogięło!” - przedrzeźnia szeryf.

Niezłe mu Billy mózg podeptał. W tym momencie odzywa się mój com na maksymalnym priorytecie.

- Hej, Wanja! - com woła mnie głosem Billy' ego. - Przepraszam, że ci przeszkadzam, ale tu jakieś, przepraszam za język, indywidualium pakuje się do mojej fury.

- Na karnym parkingu? - dziwi się glina. - Być nie może.

- No to się rusz i zobacz, żeby cię pogięło!

- Na moim karnym parkingu?!

- Ciągnij diesla! - radzi mu Billy.

Szeryf podrywa się raźnie i pędzi dokoła budynku, a ja za nim.

- To niemożliwe! - szeptem drze się stróż prawa. - A skąd on wie? Macie przecież zdezaktywowany alarm w wozie.

- Dotknął kamyka. Przecież ma z nim działać, więc się powoli podgrzewa.

- A pan, tak nawiasem mówiąc, po co ze mną? - syczy policjant. - Z powrotem! Sam sobie poradzę!

- Guzik prawda - odpowiadam. - Myśmy alarmy wyłączyli dla was, a nie dla złodziei. Ten głupek przecież gmera w zamku nie kluczem, tylko wytrychem, bo klucz, mam nadzieję, spoczywa w pańskim



sejfie.

- Oczywiście, że w sejfie!
- Czyli jak się bryce znudzi, to schwyta włamywacza. I tak, i tak będzie pan musiał mnie wezwać.
- Och, za co ta kara na moją głowę...
- Proszę nas puścić i po problemie.
- Ciii!

Szeryf przechodzi na krok skradający, wygląda zza węgła, usiłuje coś zobaczyć przez szczelną siatkę ogrodzenia karnego parkingu. Mamroce: „Ach, żeby cię...”. Bez trudu zdejmuje skraj siatki z narożnego słupa i nurkuje w powstałą dziurę.

W stolicy chyba bym ocipiał z powodu takiej naiwności. Tu zaś wprowadza mnie to w rozczulenie. Wsi spokojna...

Wśród miejscowych gruchotów jaskrawymi plamami rzucają się w oczy nasze zabaweczki, niebieściutka i czerwoniutka. I jakiś, za przeproszeniem, goryl w policyjnym mundurze usiłuje otworzyć w niebieściutkiej drzwi kierowcy. Szeryf, nieważne, że gruby, skrada się do goryla bezszelestnie i drapieźnie niczym wygłodzony lew. Goryl się poci, przeklina - otwarcie zamka „tepić-evo” zawsze jest udręką, a my przecież mamy wozy nie seryjne, tylko na zamówienie.

Szef tutejszych gliniarzy zatrzymuje się za plecami goryla, myśli i myśli, a potem po prostu serwuje mu potężnego kopa w zadek.

Tamten z dzikim rykiem przykleja się do drzwi. Najprawdopodobniej odruchowo wciska wytrych do oporu w zamek, ponieważ odzywa się antywłam.

Głośny trzask wyładowania elektrycznego. Goryl, wydawszy ni to chrapnięcie, ni to jęk, bezwładnie przywiera do szyby otoczony lekką błękitną mgiełką pola siłowego. Mija sekunda i glina-włamywacz wydaje z siebie całą kaskadę dźwięków. Nie tylko paszczą...

- Fu-uj... - Szeryf zaciska palcami nos.

Gorylowi leje się z portek.

Jego szef obrzuca szybkim spojrzeniem okna posterunku, te wychodzące na tyły budynku. Ludzi w oknach od groma. Tam chichoce Clarissa. A tu szczyrzy zęby Billy. Jest zadowolony z naszego antywłamu, lubi demonstrować go publiczności.

- No - powiadam - jestem całkowicie usatysfakcjonowany. Mogę złożyć pisemną rezygnację z pretensji. Możemy też obejść się zupełnie bez protokołów. Bo przecież, bydlę, miejscowych nie okrada?

- Okrada - wzdycha szeryf. - I to jak. Trafiały do mnie skargi, ale nie wierzyłem.

- No to pański problem. I proszę zawołać ludzi, zaraz wyłącze przechwycenie.

Przychodzi trójka potężnych glin, kryją uśmiechy, starają się wyglądać rzeczowo. Poczawszy zapach goryla, smutnieją. Po chwili namysłu pakują go do czarnego koronerskiego wora, ładują na wózek i tym sposobem wywożą do odmycia. Szeryf, przybity smutkiem, wlecze się do siebie. Sprawdzam zamek, ponownie aktywuję system i podążam za nieszczęśliwym stróżem prawa. Jako bezgłośny wyrzut sumienia.

- Ach, Marvin, Marvin - mamrocze szeryf. - Głupi bydlaku, taką mi świnię podłożyłeś...

- Jesteśmy jeszcze panu potrzebni? - pytam świętoszkowatym głosem.

- Brak słów, jak potrzebni, Ivan. Błagam, zostańcie.

Ale numer - glina, a głos jak u człowieka! Może rzeczywiście przytrafiło im się nieszczęście. Skoro tak i jeśli po dobremu, to należy pomóc.

Znowu com strzela najwyższym priorytetem. Johnson, bez dwóch zdań.

- Ivan, co jest grane? Zrozumiałem, że postanowiliście w tej dziurze zabalować przez wolne, ale dziś jest poniedziałek, nie sądzisz?

Przysiadam na ławeczce przed wejściem, kiwam do szeryfa, że niby zaraz dojdę.

- Żyjemy, szefie, bambetle bez zarzutu - melduję. - Ale jest problem. Proszę nas więcej nie wysyłać na prowincję, dobrze?

- Znowu?! - drze się Johnson.

- To nieumyślne - mówię. - W piątek, jak dostarczyliśmy ładunek, postanowiliśmy tu przenocować. I skierowaliśmy się do baru...

- Pijanice cholerne!

- Szefie, nie doszliśmy do baru. Jechał farmer pick-upem, z koła poszły mu śruby. I nic by się nie stało, bo co nas to w końcu, ale przy wystawie sklepu stały miejscowe dziewczyny. Billy złapał je w objęcia i uskoczył. Dziewczyny zaczęły wrzeszczeć na całe miasto, bo skąd miały wiedzieć, co jest grane, nie? A po sekundzie zza rogu wyjechał ten farmer. I dokładnie w tę wystawę - dup! Gdyby jechał prosto po ulicy i zboczył, to nikt by nie skumał, że my... Ale ponieważ on w tę witrynę zza rogu... Dla wszystkich stało się jasne, że to jakaś ciemna sprawka. Gliny nam się w gardła powczepiały. My, jak wiadomo, twarz-blacha. Tylko, szefie, oni chyba mają tu jakieś kłopoty, więc nas przydusili. Pomyślałem, pomyślałem i wynająłem im się na tydzień. Co prawda mieliśmy szansę na targowanie się, ale na jakieś trzy dni i tak ugrzęźliśmy.

- Nie ugrzęźliście! - zapewnia mnie Johnson. - Ja was wyciągnę. Zaraz poszukam Liebermanna i od razu startujemy. Liebermann gliny zmiele na hamburgery. Zaraz, a jakim sposobem was przydusili?

- Przegląd techniczny. Brak zgodności charakterystyk faktycznych z podanymi w dowodach.

- Jasne. Znowu Billy się wygadał.

- Co ma do tego Billy? Maszyny tą niezgodnością biją po oczach. Ostrzegałem. Ludzie ślepi nie są.

- Ale Billy się chwalił?

- Szefie, niech pan posłucha - mówię do niego. - Nie o to chodzi. Proszę o pozwolenie na pozostanie tu. Mają, jak mi się wydaje, poważne problemy. Gliny najpierw się stawiały, ale teraz nas proszą. Może zerkniemy, co i jak, co? Może trzeba ludziom pomóc w kłopotcie.

- Jak się wpakujecie w te kłopoty - ryczy Johnson - to do siebie miejcie pretensje! Mogę podłączyć do was Weilanda.

On tak zawsze, ten nasz Johnson. Bez pauzy między przeklinaniem a przejawem troski. Oszczędza czas.

- A Weiland to przyjaciel?

- Wdzięczny klient.

- Kumam - przytakuje. - I chyba kojarzę. To ten gość jak stary kowboj ze starego westernu, tak? - A usłyszawszy twierdzące chrząknięcie szefa, ciągnę: - Ten od obrazu Hogartha? Może się przydać, ale nie teraz. Na razie moim zdaniem jest OK.

- No to dlaczego zadziałał system ochronny?

Tfu, do licha! Jeśli powiem prawdę, że miejscowy glina dłubał w zamku, Johnson się zjeży i na pewno przyleci nas ratować. Z Liebermannem wyjętym z pochwy. Z mieczem karzącym policyjną korupcję i bezkarność.

- Dzieciaki się bawiły - mówię. - Nikt nie ucierpiał, konflikt zażegnany w zarodku.

- No, no - Johnson prycha z rozdrażnieniem i rozłącza się bez pożegnania.

Siedzę sobie na ławeczce i marzę. Myślę, jak by było fajnie siedzieć teraz przy sterach swojej maszyny, wyjść na trasę, dociągnąć do kurierskiej i spokojnie walić nad szerokimi pasmami pól, zielonymi lasami, wysokimi górami... I do domu. I do garażu. I wpaść do baru, i wypić dużo, dużo zimnego piwa. I położyć się spać. Obudzić się odświeżony, wypoczęty, wziąć nowy ładunek i sypanąć przez pół kraju - najlepiej tam, gdzie jest śnieg, jakoś się stęskniłem za śniegiem!

Poza tym chciałbym się ożenić. Ożenić i ustatkować. Pewnie na kacu takie myśli...

Clarissa bardzo by mi pasowała.

I jak na zamówienie właśnie do mnie podeszła.

- Mister Kouznetsoff, szeryf oczekuje pana.

Tak w ogóle to mógłby szeryf szarpnąć się na com, a nie wysyłać kuriera. A może z racji stanowiska nie powinien zaprzętać sobie łba duperelami?

- A czy to prawda, mister Kouznetsoff - pyta Barbie niby od niechcienia - że pański kolega ma Wszystkowidzący Kamień?

Fajna dziewczucha. Aż nie mogę uwierzyć, że naturalna. I ten nosek leciuteńko zadarty... Nosek, oczka... Mój typ. Biust nieco za duży, ale co zrobić - Południe. Za to nogi fenomenalne. Z niemal nieuchwytnym zakrzywieniem w łydce. Niby nie ma go, a jest. Takie nogi może zrobić jedynie baaardzo utalentowany korektor. Zazwyczaj nogi robi się proste jak wał Cardana. I od razu w image'u coś się nie zgadza. Czegoś brakuje, czegoś naturalnego. Czar pryska.

- Co? - zadaję przelotne pytanie.

- Źle się pan czuje, mister Kouznetsoff?

- Wręcz przeciwnie, kochana Clarisso. Patrzę na panią i robi mi się dobrze. I nie jestem żaden mister, tylko Wania.

- Wa-anja... - wypowiada z przydechem. Całe szczęście, że nie ma obok mnie Billy'ego. Już by zaczął rzeć historycznie i walić głową o ścianę. Wie, jak nienawidzę tego amerykańskiego „Wanja”, nawet on stara się nie mówić tak do mnie za często. I ciągle marzę, że spotkam dziewczynę, która wypowie to imię jak należy.

- Może lepiej jednak Ivan. Mówi pani, że czeka na mnie szeryf?

- Tak, mister... Ivan.

Przy drzwiach odwracam się na chwilę.

- Pytała mnie pani, co za rzecz posiada Bilty. Oczywiście, Clarisso, to jest Wszystkowidzący Kamień. I to działający. Wie pani przecież, jak Billy uratował siostry Hurt. Dlaczego więc pani pyta?

- To sprzyjający przypadek dla miasta, Ivan. - Barbie patrzy mi prosto w oczy. - Nawet nie marzyliśmy, żeby mieć do dyspozycji człowieka z takim artefaktem. Ale proszę się przygotować, szeryf najpierw zrobi wam test.

- Do licha, co wy tu macie za problem?!

- Jeśli szeryf uwierzy w artefakt, to wam powie.

Wzdycham. Wieś to wieś i wsią pogania. Prowincjuszy uważają za łatwowiernych gamoni tylko ci, co wyrosli w megapolisach. A wiejskie życie jest wielce mylące... Sam jestem ze wsi, to co mam nie wiedzieć. Billy i szeryf siedzą naprzeciwko siebie, mierzą się wzrokiem.

- Coście się tak nabzdyczyli - pytam - bracia w rozumie?

- Czekamy na pana - powiada glina. - Czy to z szefem pan rozmawiał?

- Boss daje nam *carte blanche*. Ale prosi, żebyśmy napomknęli pewnemu szeryfowi, że na etacie firmy znajduje się patentowany spec od poskramiania policjantów. Kumas? „Adwokat Liebermann” coś panu mówi?

- Słowo „adwokat” jest mi niewątpliwie znajome - kiwa głową glina. - A słowo „Liebermann” słyszę po raz pierwszy w życiu. Hm, co by to mogło znaczyć? Dobra, do rzeczy. Williamie, jak się pan czuje? Gotów „się pogiąć”?

Mój partner szczerzy się wrogo. Trochę go zasmuciły wydarzenia na parkingu. Billy tylko z wyglądu jest ofermą, w rzeczywistości to pedant, nie cierpi bałaganu i rys na karoserii. Aktualnie wini za wszystko szeryfa. Częściowo, jak myślę, ma rację.

- William jest gotów, ale dziś, jak to się mówi, na pół gazu - oceniam partnera. - A jutro najprawdopodobniej na full.

- Dziś nie zażądam niczego niemożliwego - obiecuje glina. - Przespacerujemy się trochę, zabawimy i możecie odpoczywać.

- „Zabawimy” - cedzi Billy. - Co to, za klaunów robimy?  
- No nie - uśmiecha się szeryf, wstając i poprawiając kaburę - klaunady mieliśmy aż nadto w weekend. Czegoś takiego tu dawno nie było, żeby dwu przyjezdnych wypilo cały bar.

Od razu zaczyna mnie swędzić nos.  
- Nie trzeba - mówię - drażnić ludzi jakimiś małostkowymi zaczepkami. Dobra, chodźmy, Billy, pokażemy, do czego jeszcze zdolni są przyjezdni.

- Ze startu stojącego do stu mil w cztery sekundy - ożywia się mój partner. - Hej, szeryfie, zakładamy się o dwie dychy, żeby cię pogięło? Tylko zwolnij główną ulicę na rozpędówkę.

- Ciągnij diesla! - ryczy glina.  
- O, widzisz, Wanja? Skumał.

Szeryf, mamrocąc coś o „kretyńskim stołecznym żargonie”, otwiera przed nami drzwi.  
Idziemy przez miasto, witamy się ze znajomymi i nieznanymi. Miejscowi to trzy i pół tysiąca ludzi, można sądzić, że wszyscy wszystkich znają. A jeśli nawet ktoś zapomniał czyjeś imię, to nie był powód, żeby się nie przywitać.

W naszej wsi panował taki sam obyczaj. Mimo że nie mieliśmy kanalizacji i wodociągu.  
Ale za to nasze domy wytrzymałyby zderzenie z czołgiem, nie to, co tutejsze, obok których człowiek się boi zaparkować brykę, żeby rodzina nie została bez dachu nad głową. Co prawda tu jest ciepło. Jednak i tak ciągle się dziwię, jak oni mogą żyć w tej dykcie.

Na szczęście ludzie jako tacy mili. Zwłaszcza jak się ich porówna z megapolistami, którzy mają uśmiechy jakby przyklejone i fałszywe na wskroś. Tu się uśmiechają też często, ale widać, że z potrzeby ducha.

Ja od razu rozpoznaję takie rzeczy.  
Domek jest białutki, bielusieńki, typowe lokum niemłodej i niepijącej lady - od razu dociera do mnie: tu zmierzamy. Szeryf tylko dotknął dzwonka, a drzwi już otwarte na oścież.

- Dzień dobry, młodzieży! - cieszy się pulchniutka damulka około pięćdziesiątki, cała w różach. - Dzień dobry, szeryfie!

- My służbowo, missis Palmer. - Glina zdejmuje czapkę, przyglądza rzadkie włosy.  
- Ale najpierw napijcie się zimnej lemoniady!  
Samotna paniusia i nie tak zwyczajnie samotna.

Dom jak dom, wewnątrz jeszcze bardziej schludny niż z zewnątrz, ale cały przesączony

poczuciem straty. Ktoś odszedł stąd z zamiarem niewracania.

Do diabła, po co ja siebie podkręcam?! To Billy robi w naszej parze za bohatera. To na jego artefakt złożono zapotrzebowanie.

Lemoniada jest naturalna i smaczna.

Rozsiadamy się w salonie, każdy na przydzielonym mu fotelu. Damulka przed nami na kanapie, składa pulchne rączki na kolanach, przygotowuje się do skubania chusteczki.

- Och, mogę popatrzeć?

Billy zdejmuje z szyi łańcuszek.

- Oczywiście, ma'am.

- Nie, nie, proszę pana, ja tylko popatrzę. A więc taki on jest... Dziękuję.

Mój partner zaciska kamień w rękę. Malutki czarny kamyczek. Czy jest w mieście choć jedna osoba, która o nim nie słyszała? Wątpię. W zasadzie o magicznych niebiańskich kamieniach każdy coś słyszał. To był popularny temat dobre dziesięć lat temu. Teraz trochę ucichło. Pilotowana astronautyka zgasła jak zdmuchnięta świeca, w kosmosie działają wyłącznie automaty. Żywych astronautów jest niewielu, a możliwość spotkania z nosicielem artefaktu podąża ku zeru, nie mówiąc już o szansie na sprawdzenie jego cudownych właściwości. Gdybyśmy hordami szwendali się po podwórkach, to owszem, temat żyłby. A tak... Iluż ludzi uszczęśliwił Billy? Setkę? Dwie?

Nie licząc oczywiście tych, od zderzenia z którymi niemal codziennie uchyla się na trasie.

- Proszę opowiedzieć, missis Palmer - prosi szeryf.

No proszę, już tarmosi chusteczkę!

- Rozumiecie, mój Ronnie... Mój synek. Jest brokerem w Chicago. Wcześniej dość często rozmawiał ze mną...

Kłamie. Nie często. Bardzo rzadko.

- ...a od dwóch miesięcy nie mogę się z nim skontaktować. Jego com został zablokowany. Powiedziano mi, że pod tym adresem, jaki miałam, Ronnie nie mieszka. Bardzo się niepokoję... Czy mam pokazać jego zdjęcie? Och, nie domyśliłam się, już niosę!

- Nie trzeba - oschłym tonem rzuca Billy.

Co prawda lekko zaklinował, ale to dla niego za mało, więc nie oczekujcie dziś od mojego partnera zrozumienia i uczuciowości.

- Nie trzeba? - pyta zdziwiona damulka.

Żeby tylko Billy nie doprowadził jej do łez! Chusteczka już zgnieciona w kulkę.

- Proszę wywołać w pamięci obraz Ronniego, proszę pani. To znacznie lepsze od zdjęcia. Proszę myśleć o synu. Może pani zamknąć oczy.

- Już, już...

Mój partner też zamyka oczy i mocniej zaciska pięść z kamieniem.

Szeryf patrzy na Billy ego tak, jakby gotów był go zastrzelić przy pierwszym gwałtownym ruchu.

Zwisający z pięści łańcuszek lekko się kiwa. Tam i z powrotem. Tam i z powrotem. Żebym się tylko nie zhipnotyzował. W końcu też jestem na kacu.

Billy robi mocny wydech i otwiera oczy. Rzuca krótkie spojrzenie na przyczajonego glinę.

- A co się pan - mówi do niego - panie Gibbson, tak natężył? Natężanie to moje zajęcie. A pańskie to innych natęzać.

Ten już otwiera usta, ale go uprzedzam:

- Nie rób scen, Billy, bądź miły i nie przeginaj.

- Skumałem - kiwa głową. - Co mam pani powiedzieć, pani Palmer? Nic się strasznego nie stało. Ale moja informacja może panią zdziwić.

- Mój chłopiec... Jest zdrowy?

- Bardziej od nas. Proszę sobie przypomnieć, czy Ronnie nigdy nie mówił pani, że marzy mu się kariera wojskowego?

Szeryf już nie jest gotów zastrzelić Bill'ego. Usiłuje zestawić dwa obrazy - tego, co to „ciągnij diesla”, i tego, co to wyraża się gramatycznie.

Teraz mój partner nawet postawę ma inną. Siedzi jak arystokrata, czarny gamoń. Jak jakiś kacyk afrykański, monarcha niewielkiego, ale niebezpiecznego ludu.

- Wojskowy... - damulka szeptem i błędnie.

- O ile dobrze zrozumiałem, proszę pani, com pani syna został zablokowany nieprzypadkowo. Ronnie jest teraz w jakimś tajnym obozie. To bardzo mi przypomina wstępne testy formacji specjalnego przeznaczenia. Tak więc proszę się uzbroić w cierpliwość, jeszcze przez miesiąc nie będzie się odzywał. Jeśli oczywiście wcześniej nie odpadnie. Ale takie mam wrażenie, że pani syn jest zdecydowany wytrzymać do końca. To twardy chłopak.

- Oddziały specjalne... O Boże! Czyli tam biorą byle kogo?

- Przepraszam, ma'am, ale pani syn nie jest byle kim. On chce być w piechocie morskiej.

Damulkę zaraz trafi apopleksja. W przenośni. Bo fizycznie to ma zdrowie za dwóch.

- No to my sobie już pójdziemy, missis Palmer - szybko rzuca szeryf. - Miejmy nadzieję, że wszystko ma się tak, jak powiedział William. Cieszę się za Ronniego, cieszę się za panią, i zapewniam, sprawdzę te dane oficjalnymi kanałami.

A sam szarpie mnie za rękaw.

Billy wstaje i bardzo uroczyście kłania się missis Palmer.

Ta zaś skubie chusteczkę i mamroce: „Ronnie, mój Ronnie, jak mogłeś tak zdenerwować mamusię...”.

Glina niemal wywleka nas z domu na werandę.

- Ufff! Zdażyliśmy zwiąć. Bo zaraz się zaczniesz...

Zza drzwi dobiega nas ciche, ale przekonujące wycie.

- Idziemy, idziemy! - rozkazuje szeryf, spychając nas z werandy.

Wycie wchodzi na wyższe obroty.

- Dziękuję ci, Williamie - mówi policjant, wyciągając dłoń do Billy'ego. - I przepraszam za ten niewielki sprawdzian. Po prostu musiałem, rozumiecie? No? Zgoda? Bo wszystko się zgadza: Ronnie nigdy nie pracował jako broker, jest kapralem piechoty morskiej i bardzo dobrze się czuje.

Mojemu partnerowi ciągle jeszcze łańcuszek zwisa z pięści. I tę pięść podnosi do fizys szeryfa. Bez groźby. Po prostu pcha mu pięść w nos.

- A ta Palmer, kretynka malowana... - glina przerywa w pół słowa i zamiera z otwartymi ustami.

Zaraz Billy sypnie mu z garści za „niewielki sprawdzian”.

- Pan, panie Gibbson - mówi ten jednak, rozciągając słowa i patrząc na wylot przez szeryfa - zawsze był kochliwy. Ale oprócz tego był pan niepoprawnym romantykiem. Dlatego nigdy nie zdradził pan żadnej ze swych kobiet...

Zawisa nad nami męcząca pauza.

A w białutkim domku wycie przybiera na sile i już jakby przechodzi w ryk. Zaraz zacznie się histeria.

- I żony pan nie zdradza, nawet kiedy ma pan na to wielką ochotę...

Policjantowi spod daszka czapki spływa obfity pot. Szeryf strasznie, aż do spazmów boi się tego, co Billy może powiedzieć dalej. Przecież skłamię, zaraza, i nie sprawdzisz tego. A jak nawet nie skłamię - nie udowodnisz. I męcz się potem, człowieku, do końca swoich dni, aż do pośmiertnego zeszywnienia.

Billy wolno, bardzo wolno rozciąga gębę w uśmiechu.

- Tak to, szeryfie! - oświadcza tonem zwycięzcy, cofa pięść i wiesza kamień na szyi.

Wsadza ręce do kieszeni, po czym odchodzi, kierując się do centrum miasta.

Glinę łapie nerwowo tik. Drga mu policzek.

- Ulżyć panu? - pytam.

Szeryf chrypi, kaszle i w końcu pyta, nie patrząc mi w oczy:

- Jak ulżyć?

- Billy nie może wycząć tego, do czego czynił aluzje. Z łatwością określi, gdzie w tej chwili jest pańska żona albo jak się czują pańskie poprzednie sympatie. Ale przebadać je na okoliczność niewierności - guza. To nie jego *emploi*.

Policjant zerka na mnie z niedowierzaniem.

- To jest Wszystkowidzący Kamień - wyjaśniam. - Zwyczajnie Wszystkowidzący. Nie mylić z Wszystkowiedzącym.

- A taki też jest?!

- Ivan! - ryczy Billy z daleka. - Żeby cię pogięło, idziesz czy nie?

- Informacja nie zanika, mister Gibbson. Wszystkie nasze postęпки pozostawiają ślady. Ale to jest poza kompetencjami Billy'ego. On tylko widzi to, co jest teraz i tutaj.

- No to jak odkrył moją przeszłość?

- Bez trudu. Przecież ona jest odbita w panu, panie Gibbson.

Szeryf zastanawia się.

- Kuma pan? - ciągnę. - No to świetnie. A my z partnerem powinniśmy walnąć po kufelku zimnego piwa. Proszę się nie obawiać, wyszliśmy z ciągu. Gdzie mieszkamy, pan wie.

Wraca mój partner. Kładzie mi rękę na ramieniu. I mówi do policjanta, mierząc go z góry na dół:

- Bez paniki, szeryfie. Wszystko będzie załatwione profesjonalnie. Już ci wybaczyłem. I nawet Marvin, gnoja śmierdzącego, ci wybaczyłem. Skoro mamy pracować razem, to nie możemy się kłócić. Ludzie dobrej woli muszą trzymać sztamę. Muszą być jedną drużyną, żeby cię pogięło! Kumas? Ale jeśli jeszcze raz ktoś dotknie maszyny, pociągnie diesla na maksa. Wtedy już mi nie przeszkodzisz. Idziemy, Wanja!

Billy mnie odciąga, a glina zostaje na chodniku, zastanawiając się, czy nie popełnił aby strasznego błędu, zatrzymawszy nas w mieście.

Czuję to w czubku głowy.

I to, że porucznikowi cholernie potrzebna jest pomoc w jakimś od dawna stojącym w ślepej uliczce śledztwie - też czuję.

- Teraz po piwku i na obiadek - marzycielskim tonem oświadcza mój kumpel. - Nawet mi się tu podoba. Fajne miasteczko i ludziska prześmieszni.

- Tylko trochę gorąco.

- Mi się podoba.

- Nie wątpię. Billy, wiesz *co*, może weźmy Afrykę, jak się napatoczy cargo. Raz, co?

- Gówno tam. - Kręci głową. - Przecież się dogadaliśmy. Ja mam delikatną psychikę, łatwo mnie zranić. Nie dam rady patrzeć na burdel, w którym żyje naród moich przodków.

- A ja to mogę?

- Ty masz swój kretyński rosyjski stereotyp. Ach, ta nieszczęsna Rosja, jak w niej jest źle! Kochacie robić z siebie biedaków. Nie zauważyłem jakoś, żeby tam było źle. Żarcia od zasrania, dokoła blondynki i mercedesy. O, w mojej historycznej ojczyźnie to dupa blada!

- W Namibii, jak mi się zdaje, merców jest więcej niż w Rosji...

- Hej, mister! Mogę pana prosić na chwilkę?

Dwa szkraby po dziesięć lat, obaj w tiszertach z napisami „Uliczny ścigacz”. Wszystko jasne.

- Mister, myśmy się założyli... Pan ma Lockheeda Albatrosa T5?

- Nawet dwa, synu. - Billy uśmiecha się na całą klawiaturę.

- „Te-piątka” może wyjść w przestrzeń kosmiczną?

- Coś ty, przyjacielu! „Teczka” ma pułap dwadzieścia mil. I szczerze mówiąc, jest mało sterowna już na osiemnastu. Majta się jak mydło w wannie.

- Mówiłem! - triumfuje jeden ze szkrabów.

Drugi opuszcza spojrzenie.

- „Te-piątką” nie należy wspinać się tak wysoko - wyjaśnia mój partner. - To jest maszyna na trasę. Świetna maszyna, bardzo szybka.

- Dziękuję, mister.

Idziemy swoim szlakiem, chłopcy z tyłu wymieniają kuksańce. Zaczął - wiadomo, ten co przegrał.

- Szczery facet z ciebie, Billy - mówię. - Do bólu.

- Chłopca interesował pułap T5. Podałem mu informację.

- A jakby zapytał: „Mister, a jaki jest pułap pańskiej »teczki«,„?

- To bym mu powiedział: „Chłopcze, ja mam nie standardową »teczkę«, a »T5 Evolution«,„...

- A gdyby on...

- Wanja, dlaczego jesteś taki upierdliwy?

- Po prostu gadam sobie - mówię. - Chcę się przestawić. Rozumiesz, tam, w barze, pod kontuarem stoi baryłeczka schłodzonego jasnego piwa. I wzywa mnie. Krzyczy: „Wania, biegnij szybciej, wypij mnie!”. Żeby nie zwariować od jej wrzasków, tworzę zakłócenia.

- A mnie się strasznie chce - wzdycha Billy - za kierownicę. I na trasę.

Tak, za kierownicę i na trasę... Patrzą w niebo i nagle dociera do mnie: od kilku lat nie widziałem Ziemi.

Kiedy człowiek długo nie widzi Ziemi z boku, zaczyna mieć do niej nieodpowiedni stosunek. Odnosi się do niej jak do jakiegoś zwyczajnego lądu, który można deptać stopami. A Ziemia przecież jest żywa. Przez pewien czas marzyłem, że wszystkich idiotów, którzy rządzą tu wojny i inne świństwa, wyciągnę na sto mil w górę i zmuszę do uświadomienia sobie, gdzie tak naprawdę żyją. I jak ostrożnie należy się tu zachowywać.

Dopiero po latach zrozumiałem, że między nimi i nami jest zasadnicza różnica. Można im pokazywać wszystko, co się żywnie podoba.

A do nich po prostu nie dociera.

Przypominam sobie to moje smutne odkrycie i duszę przepelnia mi smutek, ale od razu mówię



sobie: „Ivan, to są tylko poalkoholowe lęki”.

A tu się bar po drodze napatoczył.

I z baru wychodzi, niepewnie krocząc, miejscowy menel, widzi nas i drze się na całą ulicę:

- Billy, mordo stara, żeby cię pogięło! Zapytaj kamyczka, z jakim wynikiem Byki w tym tygodniu potną Gigantów!

- Ciągnij diesla! - radzi mu mój partner.

Jak wielu wysokich mężczyzn nie znosi koszykówki.

Poniedziałek wieczorem

Ulokowano nas u babci Hurt. Ojciec uratowanych dziewczynek od razu tak zaordynował: „Chłopy, sprzedam dla was ostatnie spodnie, ale do swojego domu was nie wpuszczę. Sami widzicie - dziewczyny mam jak maliny, seks im z uszu tryska. Zakochają się w przybyszach i uciekną. Czy mi to do szczęścia potrzebne?”.

Szczerze mówiąc, dziewczyny były takie sobie, ale oczkami do nas strzelały całymi seriami, dlatego z Billy'm żeśmy zgodnie ustalili: tacy goście jak my nie są Hurtowi do szczęścia potrzebni.

A babcia Hurt okazała się skarbem. Urządziła nas, nakarmiła, ułożyła do snu, niemal bajeczkę na dobranoc opowiedziała. A wszystko z godnością, bez zbędnej krzątaniny i głupiego przymilania. Aż się na lirykę przestroilem - nagle pomyślałem sobie, że kawaler w średnim wieku to czasem okrutnie jest łasy na ciepło matczynej dłoni. Billy też powiedział: „Oj, mama mi się przypomniała!”.

Ale najpierw był wieczór trudnego dnia - poniedziałku.

Przyszliśmy z baru leciutko weseli, mając nadzieję wrębać smaczny obiad i się wyluzować. Jeszcze w domu ściągnąłem sobie nowy katalog tuningowy, ale ciągle nie miałem czasu pobuszować po nim po ludzku. Mój com twierdził jednak, że już z piątku na sobotę przejrzałem katalog od dechy do dechy, a następnej nocy usiłowałem nawet coś zamówić, tylko nie potrafiłem prawidłowo wprowadzić pinu karty. Nic takiego sobie nie przypominałem.

Billy zamierzał wywiedzieć się u babci, gdzie tu imprezuje młodzież, pójść tam, przypadkowo spotkać Clarissę i jak należy zawrócić jej w głowie.

„Uważaj, bo ci wpieprzą!” - zauważyłem, ale mój partner tylko prychnął.

W takim oto błogim nastroju usiedliśmy do babcinego stołu łamiącego się od potraw i wszystko było wspaniale, póki jedno rzucone od niechcienia zdanie nie obudziło mojej czujności.

- Czyli Ronnie Palmer jednak poszedł do wojska... - bąknęła babcia.

A ja zrozumiałem: zaraz się zacznie.

Goście ruszyli ławicą, zaledwie wstaliśmy od stołu. Babcia bardzo zręcznie namówiła nas, żebyśmy wypili sobie kawki w salonie. A tam już jakoś tak naturalnie znalazł się i stary Jack, i chichotka Molly, i wdowa Kramer, i hałaśliwa rodzinka Roadsów, i emerytowany pułkownik Mówcie-Do-Mnie-Po-Prostu-Pułkowniku, i jeszcze od groma sąsiadów.

Wszyscy oni, rzecz jasna, po prostu przechodzili obok i postanowili wpaść, ot tak sobie.

Poza tymi, co tradycyjnie w poniedziałki wymieniali się z babcią przepisami kulinarnymi.

I tymi, co zawsze w poniedziałki potrzebowali jej konsultacji w sprawie nawożenia roślin ozdobnych.

To oczywiście z łatwością można było załatwić przez com - poza zjedzeniem placka, rzecz jasna - ale tu się tego tak nie załatwiało. Tu się chodziło w odwiedzinach.

Odniosłem wrażenie, że tak naprawdę sprawę do babci miał tylko stary Abe Pewsner: potrzebował lutownicy. Otrzymałszy sprzęt, usiłował nawet zwiać, ale pochwycono dziadka i usadzono do konsumpcji ciasta.

Rozmowa płynęła od tematu do tematu i nijak nie mogła zacumować przy wątku interesującym wszystkich. W końcu Billy, którego nieubłagane ciągnęło w okolice rozrywek młodzieżowych, ciężko westchnął i wyczekawszy na krótką pauzę, oświadczył:

- Nawiasem mówiąc, przyjaciele moi, skoro już tu wszyscy jesteście, może mógłbym jakoś odwdzięczyć się temu miastu za gościnność?

Sformułowanie to, po mojemu, nie było najszcześniejsze, wszyscy przecież wiedzieli, że szeryf zatrzymał nam maszyny. I w jakim celu - też wiedzieli.

Ale Billy nie dał miejscowym czasu na wstyd. Po prostu zdjął kamień z szyi, zacisnął go w garści i zapytał:

- Przecież chciałby pan wyjaśnić jedną rzecz, szanowny pułkowniku, czyż nie? To może ukryjmy się w kuchni, żeby nam nikt nie przeszkadzał.

I się zaczęło. Billy tylko wysuwał głowę przez szparę w drzwiach i mówił: „Dobra, missis Kramer, nie jestem ślepy, coś pani zgubiła i nie może znaleźć... Wchodź, Molly, wróżka ze mnie kiepska, ale kamień podpowie, do kogo rwie się twoje serce... Jack, opisz mi swojego tradera, zastanowimy się, czy można mu ufać... Abe, jesteś pewien, że stara matczyzna płyta główna domaga się kontaktu z lutownicą?”

W salonie babci było coraz weselej i jakoś po domowemu. Goście okazali się nad podziw miłymi ludźmi, nawet pułkownik (nie trawię zimnokrwistych zabójców, również emerytowanych). Wszyscy oni żyli sobie w przyjaźni i kochali swoją miejscinę. Na dodatek starsze pokolenie - jak by to ładnie powiedzieć?... - było opasane, i to na krzyż, na poły zetłalymi więzami miłosnych zaszłości, biznesowych kontaktów, zawiści, kłamstw i obłudy. W ich przeszłości nie brakowało takich rzeczy jak seks, pijaństwa, rozliczenia na pięści i na sali sądowej. Ale nie zacinali się w złości, a pamiętali tylko dobre rzeczy. Pewnie dlatego, że miasteczko było małe i jeśli ktoś nie potrafił ludziom wybaczać, to tylko sam zatruwał sobie życie.

Podobali mi się. Oni i ich miasteczko.

Nie, nie pałałem żądzą pozostania tu na długo. Mam nieco inne priorytety, a starość w ogóle zamierzam powitać w ojczyźnie. Nawet gdyby weszła tu Clarissa i powiedziała: „Ivan, jestem twoja na wieki!” - musiałaby się pogodzić z moim wyborem. Ale... Dziś było mi tu ciepło. W żadnym megapolisie nie znajdziesz takiej niefalshywej kompanii. W megapolisach każdy żyje dla siebie, czyli w każdej sekundzie może pokazać kły.

- A tobie co zginęło, maleńka?

Jakbym się ocknął. Billy siedział w kucki przed maleńką Roads i uśmiechał się do niej najlepszym ze swoich firmowych uśmiechów.

Dziewczynka miała jakieś siedem lat i bała się. W jej duszy osiadł głęboki infernalny lęk. Narzucony lęk. A wszystko przez przyjaciela, z którym mała była bardzo zżyta. Ten przyjaciel nagle zginął fatalnie i zdążył przerzucić na nią fantom śmiertelnego przerażenia.

- Zaginął nasz pies - odpowiedział za córkę czerwonolicy tata Roads. - Jej pupil. Wszędzie go ze sobą brała jak najukochańszą zabawkę. Stary pies, irlandzki terier. Tak się też wabił: Terry. Wybraliśmy się na piknik i Terry zwał do lasu. Był już ślepowy, pewnie po prostu się zgubił i umarł.

- A co wy tam macie? - zapytał Billy, patrząc ponad głowami.

Dodam: patrząc dokładnie na północ. Poczuję, że teraz, po raz pierwszy tego wieczora, Billy działa naprawdę.

- Tak, to było dokładnie tam - przytaknął tata Roads i zaczął dziwnie często mrugać. - To północny las, do niego się nie chodzi. To znaczy, źle się wyraziłem, nawet bardzo się chodzi, i na grzyby, i na pikniki miejsce wspaniałe. Ale tylko z brzegu. Jeśli się ktoś zagłębi, to mniej więcej milę dalej las rzednie, a zaczynają się bagna. Tam kiedyś był kopany torf, potem zaniechano tego. Nikomu się nie chciało bagien osuszać, bo i niby po co.

- Pokażcie mi Terry'ego - powiedział Billy.

Łańcuszek zwisający z jego garści znowu się rozkołysał. Tam i z powrotem. Wiecznie się tak kiwa. Słabiutka motoryka. Myślałby ktoś, że ręka jest nieruchoma, ale tak naprawdę to ona się ciut-ciut porusza.

- Aha-a... - mruknął mój partner. - Malutka, a teraz ty. Proszę cię, żebyś sobie przypomniała Terry'ego. Zamknij oczka i przypomnij go sobie.

Potrzebował dużo czasu, znacznie więcej niż zazwyczaj. Jak należało oczekiwać, po pół minucie dziewczynka się rozplakała.

- Przepraszam - powiedział Billy. - Słowo honoru, bardzo żałuję, ale nie ma innej metody.

- To nic - skłamał tata Roads.

W rzeczywistości już żałował, że tu przyszedł. I wahał się między chęcią odprowadzenia rodziny do domu a kuszącą ochotą przylutowania mojemu partnerowi w oko.

Córka Roads'a siedziała na kolanach mamy, przycisnąwszy policzek do jej piersi. Płakała cichutko i żałośnie. Bardzo po dorosłemu.

- Posłuchaj, kochanie. - Billy pochylił się do dziewczynki. - Myślę, że już się domyśliłaś, że Terry umarł. Ale chcę ci powiedzieć, że umarł lekko i promieniście. Po prostu położył się pod drzewem i zasnął. I nie obudził się. Przecież był już bardzo stary. I umarł ze starości.

Mała wolno odwróciła do niemu mokrą twarzączkę.

- Naprawdę? - zapytała.

- Naprawdę - skinął głową Billy.

- Słowo honoru?

- Słowo honoru.

- A czy my go znajdziemy? Terry'ego trzeba pochować.

- Sądzę, że to się nie uda, bączku. Mój kamień nie może podpowiedzieć, gdzie dokładnie zasnął Terry. On mi tylko podpowiedział, co się stało i jak to się stało.

Dziewczynka westchnęła i znowu ukryła twarz na piersi mamy.

- Przepraszam - powtórzył Billy.

Na tatę Roads'a starał się nie patrzeć.

W tym momencie ulicę zalał charakterystyczny niski warkot, a pod same drzwi podjechało coś potężnego, przy tym wcale nietaniego.

- Czyżby młody Weiland? - zdziwiła się babcia i poszła otworzyć.

Do drzwi już ktoś dzwonił. Mój partner z wyraźną ulgą usiadł wygodnie i wyprostował ramiona.

- Tylko bez ekscesów - poprosiłem.

- Ale on łaknie kłopotów! - oświadczył Billy. - Młody, bogaty, pijany i w corvecie. Czego może szukać poza kłopotami na swoją dupę? Przepraszam panie, wyrwało mi się.

- Wszystko się zgadza, Williamie. Bardzo trafna charakterystyka - powiedziała wdowa Kramer.

- Tak jest - skinął głową pułkownik.

I nawet papa Roads burknął coś twierdzącego.

- No, gdzie ten nasz jasnowidz? - doleciało nas od progu.

- Jedź lepiej do domu, chłopcze - odpowiedziała babcia.

- A może potrzebuję pomocy? Przecież nie odmówi pomocy człowiekowi!

- Potrzebujesz nie pomocy, a dwu tabletek alka-seltzer przed snem. Sprawdzony patent. Rano będziesz jak motylek.

- To jest po prostu nie po chrześcijańsku, ma'am, przeganiać tak od progu znużonego wędrowca...

Podszedłem do drzwi salonu. Na progu domu stał młody okaz w wymiętym drogim garniturze. Z powodu rozczochranych włosów wyglądał jak ktoś z bohemy. Ale tylko na pierwszy rzut oka.

- Mój przyjaciel jest zmęczony i nie będzie mógł pomóc panu - powiedziałem. - Przykro mi. Proszę przyjść jutro.

Chłopak był podobny do ojca, ale u tamtego nie zauważyłem takiego bezczelnego uśmiešku. Takiego czegoś na twarzy Weilanda nawet nie mogłem sobie wyobrazić.

Za plecami młodzieńca stała niebieska corvetta wyprofilowana aerodynamicznie aż do przesady. Pechowa maszynka. Zwykle na takich wyfiutowanych furach wożą się ci, co nie potrafią sensownie nimi kierować.

- Niech się choćby pokaże - zażądał chłopak. - Skoro nie wpuszcza się mnie do domu.

- Oto ja - oznajmił Billy za moimi plecami.

- Aha! - ucieszył się chłopak. - Cześć! Mam dla ciebie propozycję. Wyjdź, co?

- Gregu Weilandzie! - podniosła nieco głos babcia Hurt.

- Wszystko w porządku, ma'am Hurt, przecież pani mnie zna!

- Znam cię - skinęła głową. - Dlatego wszystkie propozycje tylko przy świadkach.

Plecami wyczuwałem, jak w salonie denerwuje się pułkownik. Chociaż spróchniały z niego pniak, mógłby położyć Grega jednym pstryknięciem. Zresztą każdy z tych staruchów wygrałby ze szczeniakiem. Nawet Abe, czy to z lutownicą, czy bez. To wszystko były szczątki umierającej Ameryki, kraju-legendy, gdzie kowbojskie buty nosiło się nie dla szpanu.

A jednak wszyscy oni się denerwowali. Przerazały ich pieniądze Weilandów.

Dwie rzeczy doprowadzały mnie do szału: jedna w ojczyźnie, a jedna tu. Rosja nienawidziła cudzego bogactwa. Ameryka się go bała.

- No, w sumie - zaczął Greg - myśmy tu z chłopakami postanowili się pościgać...

- Czy ja wyglądam na miłośnika ulicznych wyścigów? - spytał Billy.

- Masz niezłą brykę.

- Stoi na karnym parkingu. Do widzenia, młodzieńcze. Przekaż ojcu ukłony. Miło było mieć z nim do czynienia.

- Jasne. Ten się zeszczął. A ty? - Greg przeniósł szkliste spojrzenie na mnie.

- Ja też nie ścigam się z amatorami - wypaliłem cholera wie po co. - I moja bryka też jest na karnym parkingu.

- Oczywiście, jestem amatorem - skromnie bąknął chłopak. - Ale wystarczy, bym kiwnął palcem, i wasze fury będą wolne. Natychmiast. Jedźmy, odbierzemy je.

- Zamierzamy dziś wieczorem odpocząć - powiedziałem, starannie udając układność. - Dlatego, z całym szacunkiem, ale prosimy o wybaczenie.

- Hm... Dobra, jedziemy, odbierzecie fury po prostu dla siebie. Po prostu odbierzecie. Przecież to

głupie zostawiać wozy glinom.

- Dziękujemy za troskę, Greg, ale wszystko jest w jak najlepszym porządku. Niech sobie maszyny tam stoją. Pod ochroną.

- Kpicie ze mnie, tak? - z nadzieją w głosie zapytał młodzieniec.

- Dobra, znudziło mi się - oświadczyła babcia Hurt. - Wytrzeźwiej, chłopcze!

I mocno dźgnęła Grega łokciem w pierś.

A on tyłem zeskoczył z werandy i zachwiał się, usiłując utrzymać równowagę. Babcia zatrzasnęła drzwi, po czym odwróciła się do mnie i Billy'ego.

- Nie zgadzajcie się na żadną jego propozycję - powiedziała z powagą. - Greg to zepsuty chłopak, w głowie ma tylko podłość. Co poniekąd już zostali bez maszyn, zgodziwszy się na jego namowy. Co poniekąd trafili do szpitala.

Na ulicy ryknęła turbina. Dom zadygotał. Dupek Greg dał nam do zrozumienia, co o nas myśli - zawrócił w miejscu corvette, poderwał ją i wystrzelił nad domem. Debiłło. Nieważne, że złamał przepisy, a przepisy bezpieczeństwa w szczególności. Po prostu w kulturalnym towarzystwie taki manewr jest równoważny splunięciu w twarz. Za przelot nad głową biją po pysku, jak dorwą.

- Nie ścigamy się z amatorami, ma'am - powtórzyłem. - A jeśli mam być szczerzy, to z zawodowcami też nie. Nasz biznes to szybkość i niezawodność. Nie ma tu miejsca na zabawy.

- Ale za ostrzeżenie dziękujemy - dodał Billy. - Wanja, pozwól na chwilkę. Chcę cię o coś spytać.

W kuchni mój partner otworzył lodówkę, ale wyjął z niej nie piwo, jak oczekiwałem, tylko mineralną.

- Ależ miałem ochotę dać mu w łeb! - przyznał się, zrywając kapsel. - Zjawia ci się takie rozumiesz... indywiduum, żeby cię pogięło. Ach, zimniutka...

- Gorąco ci się zrobiło?

- To też. Wanja, nie podoba mi się historia z psem. Do dupy miał śmierć. W dzikim przerażeniu.

- Wiem. Na córce Roadsów wisi fantom, dojrzałem go.

- Można to zdjąć? Szkoda tej małej aż strach. To i tak dziewczynka z problemami, tylko jej dodatkowej traumy brakuje.

- Zobaczę, Bill. Do diabła, co za licho siedzi w tym ichnim bagnie? Jeśli się tego nie wyjaśni, to dziewczynek z problemami będzie pełno w mieście.

- Owszem - zgodził się mój partner. - Kryje się tam jakieś gówno śmierdzące jak rzadko. Aż mi ciarki chodzą po skórze. Ciekawe, szeryf w bagno chce nas zapędzić? Może zapytamy go od razu, teraz i zaraz?

- Wieczór mamy i tak beznadziejnie spieprzony!

- Czyli należy go beznadziejnie spieprzyć jakiemuś fajnemu człowiekowi!

- A może najpierw się przespać?

Billy zmarszczył czoło, pomyślał i powiedział:

- Niegłupie. Jak usłyszysz, że skrzypi łóżko, nie przestrasz się: po prostu śni mi się Clarissa.

Kiedy wyszliśmy z kuchni, salon był już pusty i babcia Hurt sprzątała ze stołu. Rzuciliśmy się jej do pomocy.

- Dziękuję, chłopcy - powiedziała. - Goście rozeszli się, kiedy was nie było. Przepraszam was za ten spód, ale nie mogłam ich wyrzucić. Nic tylko daj im jasnowidza z Wszystkowidzącym Kamieniem.

- To mój krzyż - westchnął mój partner - i nieść go na swoim umęczonym garbie zamierzam z pokorą. Zresztą przeciw czemu się buntować mnie, grzesznikowi? Kim byłem, póki nie trafił w moje niegodne ręce ów kosmiczny głaz? Zwyczajnym człowiekiem pracy. A teraz jestem ho-ho! Wielki czarny mag William Mbabete, żeby cię pogięło! Przepraszam, ma'am, wyrwało mi się.

- Niech się wrywa, nie należy tłamsić w sobie. Jestem z zawodu nauczycielką - oświadczyła babcia, ładując naczynia do zmywarki. - Nie takie się słyszało. A i małżonek mój, niech mu ziemia lekką będzie, szanował mocne słowa.

- Północny las zawsze cieszył się złą sławą? - zapytał niespodziewanie Billy.

Babci palec zawisł nad przyciskiem programatora.

- Nie-e - zaprzeczyła przeciągle. - Nie. Za mojej pamięci nikt w bagnie nawet nie utonął. Chociaż po lesie łazili ludzie, często mocno pijani. Tam jest dużo grzybów i w pobliżu znajduje się tradycyjne miejsce piknikowe. Ale do bagna po prostu nikt się nie zbliżał, bo i co tam można robić, a poza tym moskitów straszliwe ilości. Ale w ostatnich czasach...

- Zniknął nie tylko pies? - podsunąłem z zamierającym sercem.

Bardzo chciałem się pomylić.

- Sądzę, że szeryf z tego powodu tak się wczepił w Williama - powiedziała babcia. - Pies... Od psa się

zaczęło. Następnego dnia w lesie zaginęła dziewczynka. Jedenaście lat. Miła taka dziewczuszka, Sara Sayer, znałam ją.

- Ale dziecko nie może zaginać! - niemal krzyknął Billy.

- Może, jeśli jego dziecięca bransoletka się nie odzywa.

Mój partner jak stał, tak usiadł.

- To też był piknik? - zapytałem, starając się nie poddawać uczuciom.

- Nie-e, to bardziej skomplikowane. Sara była uważana za nieco dziwne dziecko, rodzice nawet poszli z nią do psychiatry, ale ten powiedział, że wszystko mieści się w granicach normy. To była dość zamknięta w sobie dziewczynka, w wolnym czasie oddawała się zajęciu uważanemu tu za pustą rozrywkę. A mógł z niej wyrosnąć wspaniały ekolog. Już we wczesnym dzieciństwie ujawniła się u niej „zielona ręka”. Słyszeliście o czymś takim? Tak się mówi o tych, co potrafią znaleźć wspólny język z przyrodą. Sara hodowała drobne zwierzaki, wspaniale znała się na kwiatach i ziołach, nawet mnie czasem doradzała. Widzieliście mój sad? I dużo chodziła po okolicy. Czasem znikwała w lesie na długo. Nikogo to nie niepokoiło, przecież my tu żyjemy w sumie po wiejsku. Każdy uczeń zna każdą ścieżkę w promieniu pięciu albo i dziesięciu mil. A te bransolety... Osłabiają czujność, rodzice wyzbywają się niepokojem...

Oczywiście, w dziecięcej bransoletce poza nawigatorem i minicomem jeszcze jest cały kompleks diagnostyczny i boja SOS. A dziecięca to ona jest tylko z nazwy, w rzeczywistości to wojskowa bransoletka. Cała różnica polega na tym, że z żołnierza może ją zdjąć wyłącznie dowódca, a z dziecka matka lub ojciec. Pewnie, chcąc nie chcąc, zapomina się o pilnowaniu bachora. Wkrótce takie nieprzystosowane pokolenie wyrośnie, że się zdziwimy - same Gregi Weilandy w szerokim wyborze.

Jeśli bransoletka milczy, to najprawdopodobniej jest zniszczona. Nie da rady zgnieść jej butem, młotkiem nie da się rozwalić. Wyobraziłem sobie niedźwiedzie szczęki zaciskające się na szczupłym przegubie. Biedna dziewczynka!

- Ciekawe - mruknął Billy. - Pies miał bojkę? Zapomniałem zapytać.

- Słyszałam, że miał. I też nie odpowiada.

- Jak się dowiedzieliście, że dziewczynka zaginęła akurat w północnym lesie?

- Jej rower leżał pod drzewami. I matka to potwierdziła. Las został przeczesany bardzo starannie.

Przeszukano bagno z powietrza, ale ani śladu. To się stało... Dziś był dziewiąty dzień.

Wymieniliśmy z Billym spojrzenia i zrobiło mi się trochę głupio. Już trzecią dobę jesteśmy tu jak na wczasach, a Sara... Dobra, to gadanie głupiego. Szeryf nie ma nadziei na znalezienie jej żywej. Dlatego nie mobilizował nas od razu, bez przymuszania. Szuka ciała. Albo myśli, że dzieciak zwiął?

- Dzieci czasem uciekają z domu - powiedziałem. - Mądra, zamknięta w sobie dziewczynka, o której prywatnym życiu niewiele wiadomo... Mogła mieć najbardziej nieprawdopodobne powody do zainscenizowania swojej śmierci.

- Napiję się, chłopcy, jeszcze kawy - powiedziała babcia. - Was też liczyć? A wy w tym czasie wyobraźcie sobie, jak jedenastoletnie dziecko może zablokować swoją bransoletkę. Nie każdy dorosły sobie z tym poradzi.

- Nie wygłupiaj się, Wanja, żeby cię pogięło - poradził Billy. - Szeryf jest przekonany, że Sara zginęła. Całe miasto jest o tym przekonane. W innym przypadku już w sobotę popędziliby nas na poszukiwania. A ty sam wiesz, że w bagnie siedzi jakieś gówno.

- Jeśli nad bagnem odbyły się loty, to zostało przeskanowane na wylot - siedłem w zaparte. - A właśnie, ma'am Hurt, kto się tym zajmował?

- Najpierw gliny, potem ratownicy.

- Słyszałeś, Billy? Nadal jesteś przekonany, że w bagnie coś siedzi, partnerze?

- Na sto z hakiem. A ty nie?

- Na dwieście - przyznałem ponuro. - Niech to diabli, to jest zgniła, śmierdząca, obrzydliwa sprawa.

- Dobrze pani pamięta Sarę Sayer, ma'am?

- Tak, Williamie. - Babcia z gotowością odwróciła się do Billy'ego.

- Nie, nie trzeba - machnął ręką mój partner. - Dziewczynka jest martwa. Nie widać jej i nie słychać. Będziemy szukali jutro. Nie jestem dziś w dobrej formie, a i późno się zrobiło.

- Nie trzymasz kamienia w ręku, Williamie - zauważyła babcia. - Czyli kiedy masz go na szyi, też czujesz z nim kontakt?

- Oczywiście, ma'am. Biorę kamień do ręki, żeby wielki czarny mag William Mbabete robił większe wrażenie. Gdybym nie był w stałym kontakcie... Przecież pani wie, co się wydarzyło w piątek. A kamień wisiał na swoim zwykłym miejscu. Przepraszam za to przypominanie, ale to dobry przykład... Żywy i wypukły.

Przypomniałem sobie wypukłości panien Hurt i mało co się nie oblizałem. Z pyszczkami dziewczyny fartu nie miały, ale cała reszta wyrosła im w pierwszym gatunku.

Babcia podała kawę Billy'emu, a ja nagle pojąłem, że patrzy na niego ze współczuciem.

- Biedny Williamie - powiedziała. - Pan rzeczywiście niesie to na sobie, jak... jak...

- Jak krzyż - z łatwością dokończył mój partner. - A co ja poradzę? Co mam zrobić? Dostałem, to niosę... Wanja, czego ty tam szukasz z takim zapalem?

Przypiąłem z powrotem com na rękę.

- Sprawdziłem częstotliwości, czy jakimś urządzeniem można zagłuszyć SOS bojki dzieci i psów.

- Nie można - pokręcił głową Billy.

- Masz rację, to był głupi pomysł. Te częstotliwości niby może udawać każdy silnik z

niesprawnym dławikiem hałasu. Ale takie чудо hurczałoby na cały okręg. Od razu zostałoby wykryte.

- Ależ z ciebie detektyw. Kto mieszka w bagnie?

- Pijawki i moskity. I jutro cię pożrą.

- Ciągnij diesla! - poderwał się mój partner.

Jak wielu wysokich silnych mężczyzn wyrosłych na asfalcie Billy nie znosi żadnej kłuszącej żywności.

Wtorek rano

Schodzimy, ziewając, z piętra, a w salonie siedzi sobie szeryf. Popija babciną kawę.

- A gdzie Clarissa? - pyta go Billy.

Zaskoczony gлина dławii się kawą, wylewa sobie na spodnie, kaszle i wytrzeszcza oczy.

Babcia wali go otwartą dłonią w plecy.

- Dziękuję, ma'am... - chrypi szeryf. Łapie serwetkę, usiłuje nią zetrzeć kawę ze spodni.

Grzecznie mamrocę „dzień dobry” i przysiadam się do jajecznicy z bekonem.

- Jeśli ta informacja jest panu, drogi Williamie, niezbędna do życia - mówi nasz gлина, nieprzyjaźnie patrząc na Billy ego - to melduję: Clarissa jest w biurze, pracuje nad dokumentacją. Czym się będzie zajmowała potem, nie wiem. Co jadła na śniadanie, nie wiem. Jakiego koloru nosi figi, nie wiem. Z kim ma aktualnie romans, też nie wiem. Są pytania?

- Nie ma aktualnie romansu - wyjaśnia babcia Hurt. - Dziewczyna postanowiła wziąć time-out.

Policjant patrzy na nią z rozdrażnieniem, a Billy zadowolony zaciera łapy. I od razu chwytając talerz z jajecznicą, żeby nikt sobie czegoś nie pomyślał.

Ale wszyscy myślą właśnie to.

- Szeryfie - odzywam się, żeby zakończyć drażliwy temat. - Mogę zadać panu intymne pytanie?

- Nie zauważyłem, żeby miał pan jakieś inne.

- Gdyby tak zwrócił się do pana Greg Weiland, z tych Weilandów, i poprosił o zwolnienie z aresztu pary maszyn. Co by pan zrobił?

- Potrzebujecie maszyn?

Nasz szeryf grzebie w kieszeni i wyklada na stół kluczyki. W zasadzie nie potrzebujemy ich, żeby zabrać maszyny. Kluczyki możemy rozdawać glinom choćby i na całej trasie. Tyle że potem lepiej jednak jest zmienić kod dostępu. Kluczyki to taki tam sympatyczny rudymet, danina składana tradycji. Oznaka władzy nad techniką.

- Tyle na temat zaufania między ludźmi dobrej woli, kumaszu? - zwraca się szeryf do Billy'ego.

- Odpowiedz Wanji! - mówi mój partner: - Żeby cię pogięło.

- Dobrze, odpowiem. Zaproponowałbym huncwotowi Gregowi, żeby pociągnął diesla. A o co chodzi?

Do drzwi ktoś dzwoni. Babcia, wzruszywszy zdziwiona ramionami, idzie otworzyć.

- O to - wyjaśnia Billy, przeżuując - że wczora z wieczora ten obibok proponował nam odbiór maszyn z twojego parkingu. Bo, widzisz, nie miał z kim się ścigać, żeby go pogięło.

- I proponował bardzo przekonująco - dodaję.

- Nie znoszę korupcji żadnego rodzaju - oznajmia twardo mój kumpel - a policyjnej korupcji zwłaszcza. Bo jeśli nie można ufać glinom, to komu w ogóle można, żeby cię pogięło?!

Szeryf siedzi załamany, jakby jego miłość własną ktoś zanurzył w bagnie.



A do salonu wchodzi stary Weiland. Brzęcząc ostrogami i niedbale wymachując pięciogalonowym kapeluszem.

- Dzień dobry, szeryfie - mówi. - Dzień dobry, panowie. Williamie! Ivanie!

Ręka starego jest sucha i mocna. Jak i cała reszta Weilanda.

Babcia nalewa mu kawy, on z przyjemnością pije. I od razu byka za rogi:

- Williamie, słyszałem, że pan tu prowadzi, figuralnie się wyrażając, prywatną praktykę. Czyli mogę prosić o przysługę, co?

- To nie problem, sir.

W odróżnieniu od Grega ten Weiland przypadł Billy'emu do gustu. I mnie też. Jest coś sympatycznego w wielkim finansiście, który pewnego dnia przekazuje cały biznes starszemu z synów, a sam wraca na rancho, z którego pochodzi. I ciesząc się życiem, hoduje bydło.

Gdyby jeszcze wciągnął do interesu młodszego syna albo przynajmniej rznął mu tyłek raz w tygodniu swoim ciężkim pasem - skarbem bym go nazwał, tego Weilanda!

- Poczekam na ulicy. - Szeryf tymczasem wstaje.

- Ależ co pan, Gibbson?! - uśmiecha się Weiland. - Żadnych sekretów. Proszę zostać, to może być dla pana ciekawe. To właściwie, hm... Pewne dziwactwo niemłodego kolekcjonera. Chłopcy, to dotyczy tego Hogartha, coście mi go przywieźli.

- Świetny Hogarth - potwierdzam. - Niemal jak prawdziwy.

Teraz przyszła kolej na starego, żeby się zadławić kawą, ale on wcześniej odstawił filiżankę na stół.

- Przepraszam?...

- Nie, nie, sir. Ja aż tak się na malarstwie nie znam. Chciałem powiedzieć, że pański Hogarth sprawia wrażenie autentyku. Naprawdę jest cholernie dobry. Aż zazdroszczę.

- Musi pan ciężiej pracować, Ivan - radzi Weiland. - Wtedy na starość będzie pan mógł sobie pozwolić na taki obrazek nad łóżkiem.

- Harujemy jak dwa centaury - zapewnia go Billy, odsuwając pusty talerz i zdejmując kamień z szyi. - Kiedy się wzbogacimy, ja powieszę nad swoim łóżkiem „Czarny kwadrat”, a Wanja „Biały”.

Stary kowboj rechoce zadowolony. Szeryf drapie się po czubku głowy.

- No to jak z tym Hogarthem? - pyta Billy, rytualnie kołyszając łańcuszkiem.

- No właśnie patrzę na niego, czwarty dzień się gapię i usiłuję zrozumieć, gdzie zostałem wykiwany. Że to nie jest kopia, nawet autorska, jestem pewny. Mojego agenta nie tak łatwo wykiwać. Czyli rzecz w kwocie. Możecie to wyjaśnić? Przynajmniej rząd cyfr?

- Dawno pan pracuje z tym agentem, sir?

- Dobrze dziesięć lat. Proszę, oto on. - Weiland patrzy Billy'emu w oczy.

Billy kiwa łańcuszkiem.

- A dokładniej? I nie tak ostro, proszę się nie natężyć.

Były finansista zamyka oczy.

- Hy! - Mój partner dziwnie hymka. - Hy! Hy-hy-hy!

- Co to znaczy? - dziwi się Weiland, otwierając jedno oko.

- Ale jaja! Nie, no sir, proszę nie zwracać uwagi, wszystko w porządku. Tak więc mogę zameldować... Hogarth jest autentyczny. To znaczy i agent, i sprzedający są przekonani o jego autentyczności. Ale cenę dla pana zawyżyli... Tak, tak... Gdzieś w granicach stu tysięcy. Współczuję, zwłaszcza że pomysł wyszedł od agenta.

- S-sukin-s-syn! - syczy stary.

- Nadwyżką podzielili się ze sprzedającym. Hy! Przepraszam, sir, po prostu pański agent jest teraz na kobiecie. A większość ludzi, nawiasem mówiąc, dopiero zaczyna dzień roboczy! Chce pan, żebym w ramach zemsty popsuł mu całą miłość?

- Pewnie, że bym chciał! Żeby mu tak wszystko uszło! A uda się?

- Samo opadnie. Rozumie pan, sir, żeby kamień szczytał z kogoś taką informację jak cyfry i imiona, człowiek musi ją sobie przypomnieć. Kamień popchnął pańskiego agenta w odpowiednim kierunku i ten zaczął wspominać, wspominać... Teraz już wspomina sam z siebie, nie może się powstrzymać. I zżerają go nerwy, bo ma nieczyste sumienie. Boi się pana. Denerwuje się. Boi się... Koniec, opadło! Opa-ad-ło! Hy-hy-hy! Ciągnij diesla, aferzysto nieszczęsny!

Zaczyna się rzenie. Weiland i Billy są szczęśliwi jak dzieci.

Tylko szeryf z niewiadomego powodu denerwuje się i czegoś lęka.

- Dobrze mu tak! - wrzeszczy zadowolony rancher, trącając swojego partnera kułakiem.

- Żaden problem, żeby cię pogięło!

- Dobrze. - Weiland się uspokaja. - Co za ulga! Nie znoszę takich niejasnych sytuacji. Williamie, poproszę o pański com. Sumę poda pan sam.

- Wykluczone, sir. - Billy macha dłonią. - Już pana i tak skubnęli. A poza tym jest pan naszym klientem.

- Jak chcecie - zgadza się stary. Czuję, że takiej właśnie odpowiedzi oczekiwał. - Jestem pańskim dłużnikiem.

- Jeśli można, intymne pytanie, sir? - wtrącam.

Weiland unosi brwi.

- Ivan innych pytań nie zadaje - wyjaśnia szeryf.

- Jak mniemam, Greg lubi uliczne wyścigi?

- Mój Greg? O, do diaska! Czepiał się i was o to?! - Kowboj krzywi gębę, jakby go rozboleł żołądek. Rzeczywiście jest mu wstyd. - Znalazł sobie rywala, idiota! Proszę mi wybaczyć, Ivan, to moja wina. Rozpuściłem chłopaka. A przyhamować nie wystarcza mi siły, sam w młodości lubiłem szybką jazdę... Mam teraz przynajmniej co wspominać! Powiem mu. Już się do was nawet nie zbliży. Zresztą sam by się nie ośmielił, gdyby wiedział, kim jesteście!

- Chciałem tylko pana uprzedzić, sir, że mnie i Bill'ego niemal nie da się namówić do wyścigów. Ale jeśli już, to nie pojedziemy za pieniądze. Gotów jest pan podarować Gregowi nową corvette?

Weiland mruży oczy. Stary lubi hazard. Ciągle jeszcze lubi.

- Podaruję mu opakowanie pampersów! - śmieje się. - A tak serio: możecie postawić T5 Evo przeciwko corvette? Na trasie czasem dzieją się dziwne rzeczy.

- Nie takie, żeby corvetta mnie zjadła.

- Wanja! Wanja! - prosi Billy.

W drzwiach do kuchni stoi babcia Hurt i z wyrzutem kręci głową.

- Corvetta Grega nie jest taka całkiem zwyczajna - zauważa Weiland.

- Evo Ivana też nie - włącza się do dyskusji szeryf. - To jest bestia, której w ogóle nie wolno wypuszczać na publiczne trasy. Stop! Dżentelmeni, wyłączcie silniki! Bo wszystkich zapędzę na karny parking. A tam możecie sobie mierzyć wyloty do upadłego.

- A propos karnego parkingu, jak się czuje Marvin? - złośliwie pyta stary kowboj.

Nie minęła doba, a wszyscy wiedzą wszystko. Serio, co byście nie powiedzieli - wieś to fajna

rzecz. Szczególnie jeśli ma wygląd przytulnego amerykańskiego miasteczka z kanalizacją i wodociągami. Rosjan zawsze przyciągał ten styl, częściowo nawet kopiują go teraz, ale Ameryka jednak szlifuje go od czterech wieków.

- Marvin będzie żyć, ale bez munduru - mówi szeryf. - I pojedzie sobie stąd daleko. Popatrz na świat.

- I zgadza się?

- Pakuje manele i płacze.

- Zuch Gibbson! - Weiland kiwa głową z zadowoleniem. - Do czarta z Marvinem, nie potrzebujemy tu takich. Jestem pewien, że burmistrz zaaprobuje tę decyzję, kiedy wróci z urlopu. Napomknę mu o tym. Dobra, panowie, dziękuję za wesoły poranek, jadę do siebie. Pukajcie na com, jakby co. Wspaniała kawa, missis Hurt.

Znowu brzęczą ostrogi.

- Czy on naprawdę jeździ na koniu? - pytam, kiedy za starym zamykają się drzwi. - Czy to tylko kostium: jeszcze jeden kaprys niemłodego kolekcjonera?

- Proszę wyrzucić przez okno - proponuje glina.

Rzucamy się z Billym do okna i widzimy, jak na gniadym rumaku odjeżdża w dal samotny rewolwerowiec, co to najlepsze strzały ma za sobą.

- Mocny facet - kiwa głową mój partner. - Nigdy wcześniej nie widziałem człowieka, któremu wszystko na tym świecie aż tak zwisa.

Sądzę, że można by zaproponować jeszcze kilka kandydatur, ale rozumiem - Billy ma rację. Taki na przykład Johnson. Zawsze w środku był wolnym człowiekiem i naramienniki mu nie przeszkadzały, ale wystarczyło, żeby facet zajął się tłuczeniem kapuchy - koniec, jakby go ktoś podmienił. Albo nasz admirał! Całkowicie poważnie proponował zbombardowanie obcej bazy na Callisto, motywując to tym, że skoro w jej istnienie i tak nikt nie wierzy, to po kiego ma tam sterczeć. Ale czy on kiedyś był wolny w swoim wyborze? Zawsze skuwała mu ręce i nogi odpowiedzialność za załogi i okręty floty.

Weiland na tle tych bezdyskusyjnych bohaterów wygląda na cholernie niezawistego.

Tymczasem szeryf odpina z pasa com, rozciąga na stole elastyczną klawiaturę, jeździ po niej palcem. Nad blatem zawisa mapa okolicy.

- Missis Hurt wszystko wam wyłożyła - mówi policjant niezbyt głośno. - Ja podaję szczegóły. Ale najpierw: co wy na to?

- Nic. - Billy bierze ze stołu pojemnik i usiłuje wytrząsnąć z niego ostatnie krople do swojej filiżanki.

- Chwileczkę, Williamie! - rozlega się z kuchni.

- Dziękuję, ma'am. Nic nie powiem, szeryfie. Sara poszła do lasu i nie wyszła z niego. Jest tam i teraz i sądzę, że zginęła. To wszystko.

- Dobrze, że przynajmniej potwierdzacie oficjalną wersję. Już mi lżej na duszy. A sprecyzować?

- Tylko jeśli przepytamy bliskiego krewnego dziewczynki. Najlepiej matkę. Ale to przecież najczystszej wody sadyzm, żeby cię pogięło!

- Jak wykazuje doświadczenie, rodzice są gotowi na wszystko, byle wiedzieć, co się stało dziecku. Sayerowie są przekonani, że dziewczynka żyje. To jedyni ludzie w mieście, którzy milczenie bransolety interpretują dokładnie odwrotnie.

- Ciekawe - mówię. - No to dlaczego do tej pory jeszcze ich tu nie ma?

- Ojciec Sary jest dość znanym uczonym. Fizykiem. Słyszając o Wszystkowidzącym Kamieniu, tylko zaklął. No, można go zrozumieć. Tydzień laził po lesie, latał nad bagnem, utopił tam maszynę, ledwo ją wyciągnęliśmy. Jest wykończony. Teraz pojechał po jakiś superdetektor, który jest czulszy od naszych skanerów. Sądzi, że Sara leży gdzieś w lesie na poły żywa, ze złamaną nogą.

- I złamaną bransoletką?

- Tak właśnie powiedział: wszystko się kiedyś psuje.

- A ja mam gdzieś! - agresywnie rzuca Billy.

- O czym pan mówi?

- Mam gdzieś, że on nie wierzy w kamień, że nie wierzy we mnie. Dziewczynka poszła na północ i zaginęła. Nie widzę jej i nie słyszę, ani żywej, ani martwej. Tak nie powinno być. Mnie się to nie podoba, żeby cię pogięło. Dawaj mapę w większej skali, szeryfie. I opowiadaj o bagnie.

Glina posłusznie zoomuje obraz.

- Miejscomi już zapomnieli - tłumaczy - a jeszcze pół wieku temu w tej strefie był wydobywany torf. Dlatego topiel nie jest jednorodna. Jest tam kupa zabagnionych dziur różnej głębokości i stosunkowo suche placki między nimi. Widzicie to? Cała wyspa! Na niej są ruiny, to był obóz kopaczy torfu. Nic szczególnego, kupa zgniłych bali.

- Penetrowaliście?

- Ratownicy sprawdzili ruiny bardzo starannie - uchylił się od odpowiedzi policjant.

- Pytam, czy ktoś tam był osobiście?

- Zjechał jeden ratownik, obejrzał bale, nic nie znalazł. W sumie z tak szczegółową mapą, jaką otrzymaliśmy w wyniku poszukiwań, to ja bym nawet zaryzykował przejście przez bagno piechotą na drugą stronę. Tylko nie ma to żadnego sensu, skorośmy nie znaleźli dziewczynki z powietrza. Pchnąć wam mapę?

- Dawaj, przyda się. - Billy przysuwa swój com, ja też.

- Od razu ostrzegam, że brałem ze sobą na poszukiwania dziecięcą bransoletkę - ciągnie szeryf. - Działała bez zakłóceń. Co do pola elektromagnetycznego, to bagno jest martwe. Nie odnotowaliśmy też zwierząt większych od szczura wodnego.

- Ale i tak jakieś gówno tam siedzi - mówi mój partner. - Dobra, poznasz nas z mamą Sary?

- A co mi innego zostało? - wzdycha glina. - Będę musiał. To na mnie wisi dziecko zaginione bez wieści. Słowo honoru, już lepszy byłby trup!

Dom Sayerów stoi na uboczu. To długi przysadzisty budynek, połowa dachu jest gęsto porośnięta antenami, drugą połowę zajmuje parking z bojkami nocnego cumowania. Aktualnie pusty.

Dokoła bujnie kwitną różne duperele, posadzone na pierwszy rzut oka w chaotycznym bezładzie.

- Poczekajcie na razie w wozie - mówi szeryf i ginie w zaroślach.

Billy nieruchomo patrzy na północ: półtorej mili otwartej przestrzeni, a dalej ten osławiony las.

- Coś cię gniece? - pytam. - Mnie jakby coś śwędziało.

- Tam to jest - cedzi mój partner przez zęby.

- Pewnie kasać będzie! - rzucam chwacko.

- Potrzebujemy luf - Billy na to. - Zastrzelę to gówno, żeby je pogięło.

- Dobry pomysł. Wytrząśniemy z szeryfa?

- A co on nam da? Parę gładkolufówek? Swoje weźmiemy.

- Zgłupiałeś? Ależ my... Ależ on... A żeby cię! - na chwilę tracę dar mowy.

- Ze śrutówką w bagno nie poleżę - mówi mój kumpel.

Jak już Billy odmawia, to odmawia, że proszę siadać. Śmiało można iść poszukać sobie diesla.

Niemal jestem pewien, że przodkiem mojego kumpla był afrykański monarcha. Zwyczajni ludzie nie potrafią tak twardo stawiać na swoim. Kiedy Billy latał jako mój „prawy taboret”, tylko subordynacja nas ratowała. Teraz też jestem formalnie jego dowódcą, ale to raczej oznacza, że właśnie na moją głowę spadają największe i najtwardsze szyszki.

Na szczęście, znalazłszy się w ślepej uliczce, wyzwalam w sobie dziesięć razy więcej sprytu, niż go posiadam w normalnych warunkach. Tak samo i teraz błyskawicznie znajduję rozwiązanie problemu:

- Tak czy siak musimy iść do lasu pieszo i bez eskorty. Szeryfa pošlemy na posterunek, niech tam siedzi i czeka na wezwanie, żeby w razie potrzeby walił do nas z ludźmi. Do asekuracji ściągniemy tu moją „teczkę”. I spokojniutko weźmiemy sobie z bagażnika lufy.

- No i widzisz - uśmiecha się Billy. - Po coś się denerwował, żeby cię pogięło?

- Jakoś mi głupio - odpowiadam - łązić po spokojnym amerykańskim zadupiu z armatą nieistniejącą w przyrodzie.

- A ganiać na maszynie, której nie ma w przyrodzie to nie głupio? Powiem ci nawet, że naciągniemy na siebie kombinezony - obiecuje mój partner. - Nie będę żarłem dla moskitów. I pijawek.

- Diabli i cholera! Przecież jak zobaczą, zadręczą pytaniami. Pół miasta będzie na nas ślepiło przez lornetki. Z każdego możliwego dachu!

- A niech sobie nawet ślepią przez teleskopy! Boisz się zadziwić ten kraj, Wanja? Nie bój się. Ameryka odzwyczaiła się od dziwienia. Oto po mieście spaceruje czarny mag Billy Mbabete, wymachując Wszystkowidzącym Kamieniem, a publika go tylko oklaskuje, żeby ją pogięło! I czeka, nie może się doczekać, kiedy pokażę jej swój kamyczek! Wszystko jest okejowo, Wanja! Kumasz?

- Billy, dlaczego jesteś taki upierdliwy, co?

Gadam, gadam, i od tego gadania czuję się lepiej. Sama myśl o etatowej armacie, we władaniu którą zostałem niezłe wyćwiczony, dodaje mi odwagi. Zazwyczaj mój instynkt samozachowawczy jest silny jak cholera. Mocniejszy od siły woli. Dlatego dowódcami załóg byli tacy jak ja, a nie tacy jak mój kumpel.

Zresztą co do pilotażu, to też Billy'ego zakasuję. Z wysiłkiem, ale zakasuję.

Pojawia się szeryf. Spocony i rozczochrany. Stuka w szybę okna.

- Idziemy - mówi. - Missis Sayer jest gotowa porozmawiać.

- Mam nadzieję, że przynajmniej ona nie jest znanym fizykiem? - pyta mój kumpel, wyłażąc z klimatyzowanego chłodu na pałac słońce.

- Nieznanym - prycha glina. - Zwyczajnym fizykiem, takie mężowskie przynieś-wynieś-pozamiataj. I też nie jest zachwycona pomysłem wciągnięcia was do poszukiwań. Ale przede wszystkim jest matką i udało mi się ją zagadać.

- Co za życie... Ciągnij diesla... - mruczy Billy.

Jak wielu mocnych mężczyzn sfiksowanych na punkcie romantyzmu kosmicznych dali mój partner nie znosi ludzi, którzy nie wierzą w cuda.

Wtorek przed południem

Poza przedpokój nie zostaliśmy wpuszczeni.

- Tak? - zapytała missis Sayer.

Wyglądała na czterdzieści lat i nie sprawiała wrażenia kobiety, której zaginęła córka. Raczej kobiety, która od dziesięciu dób trwa w nieprzerwanej histerii.

Była rozczochna, bosa i odziana w jakieś bezkształtne wory.

Od razu nie przypadliśmy jej do gustu.

- Proszę pokazać mi Sarę - poprosił Billy.

- Co?

Nie wiem, jak szeryf ją ugadywał, ale na nasz widok missis Sayer najwyraźniej straciła chęć współpracy. Sądzę, że w tej chwili skręcałoby ją na widok każdego człowieka zadowolonego z życia.

Mój partner pod spojrzeniem kobiety przygarbił się i schował ręce do kieszeni. Nawet nie przyszło mu do głowy zdjąć z szyi kamień. Tutaj ten numer pod publiczność mógłby tylko przynieść szkodę.

Dosłownie słyszałem, jak Billy przebiera w umyśle słowa. Jeden nietrafiony zwrot, nawet intonacja mogła sprowokować wybuch missis Sayer. Nieszczęsna tylko czekała, aby wylać na kogoś swoją złość. Miasto pochowało jej córkę i zapomniało, szeryf poszedł szukać w najlepszym przypadku ciała, a tu zaraz potem pojawiliśmy się my, nie miejscowi - możemy oberwać po łbie za wszystkich.

- Missis Sayer, wyjaśniłem pani... - zaczął policjant.

Trzeba było jakoś wleźć klinem w tę sytuację. I to szybko.

Kiwnąłem się, burknąłem: „Och, diabli...”, przewróciłem oczami, po czym ciężko oparłem się o ścianę. Kobieta popatrzyła na mnie zdziwiona. Na mgnienie oka otworzyła się i na tym ją złapałem. Wziąłem na litość.

- Dawaj, Billy - szepnąłem.

Kumpel zrobił krok w kierunku znieruchomiałej missis Sayer, chwycił ją za ręce, położył obie jej dłonie na swoich skroniach.

Za moimi plecami szeryf wycofywał się do wyjścia.

Czas był jak z dobrze przeżutej gumy. Gdzieś w salonie tiknął jeden raz antyczny zegar. Dziadek obecnej pani domu kupił go kiedyś na garażowej wyprzedaży.

A missis Sayer była nieszczęśliwa. Nie podobała jej się rola cienia fartownego męża. I rola posłusznej żony. I rola matki dziwnej dziewczynki. Te trzy postacie utwierdzały ją w przekonaniu, że jest niepełnowartościową osobą. Inne kobiety potrafiły zrealizować się w zawodzie, znaleźć sobie miłych, kochających dom mężów i rosły im normalne dzieci. A Vera Sayer nie miała takiego szczęścia. I nic nie potrafiła zmienić.

Potem odkryła dla siebie furtkę - uwierzyła, że jej córka nie ma odchylenia od normy, a rzadki dar. Na nowo zaprzyjaźniła się z małą. I odtąd było już jej lżej.

Marzyła o wyjeździe do wielkiego miasta. Tam wszystko by się udało.

Dziewczynkę oczywiście zabrałaby ze sobą.

A teraz zabrakło jej nawet dziecka.

- U-u - wymamrotał Billy. - U-uciekamy.

Już stał obok, trzymając mnie pod rękę.

- Źle się pan czuje... Wania? - zapytała Vera Sayer.

W końcu jakaś Amerykanka wymówiła moje imię prawidłowo.

- Dziękuję, ale proszę się nie niepokoić, missis Sayer. Aklimatyzacja. Cały ubiegły tydzień sterczałem w Anchorage. A tu taki upał... Do widzenia, missis Sayer.

Wypadliśmy z domu, zataczając się i sapiąc.

Przy wozie cierpiał szeryf. Z marszu rzygnąłem mu pod nogi - taki przyjacielski gest.

Glina od razu się pozbierał, wskoczył do środka i przyniósł z lodówki butelkę zimnej wody.

- Mamy kontakt? - zapytałem Billy'ego.

- Pij - powiedział mój partner. - Niezły kawał duszy ci wyżarła, żeby ją pogięło. Mamy kontakt, mamy. Szeryfie, mapę!

Przepłukałem usta, napiłem się i cisnąłem pustą butelkę w kwietnik.

Tak naprawdę, to z przyjemnością walnąbym nią w okna domu Sayerów. I mam w nosie, że ludziom przytrafiło się nieszczęście. Kiedy cię, człowieku, ktoś wyżre aż do podziałki zero, odczuwasz zwierzęcą wręcz złość. Teraz miałem ochotę przynajmniej zgwałcić tę kobietę za to, co sam narobiłem. Taka jakaś dziwna działa logika.

Nikt mnie nie prosił, bym się otworzył przed Verą Sayer i sycił jej postrzępioną duszę swoją energią. Ale w chwili przebicia świadomości zobaczyłem, do jakiego stopnia ta biedna kobieta jest stłamszona i nieszczęśliwa. Zrobiło mi się jej żal aż do bólu i pozwoliłem jej wziąć tyle moich sił, ile potrzebuje.

No to sobie capnęła!

Nie będę zdziwiony, jeśli dziś Verze przyśni się, że jej reaktor marszowy ma przeciek, i w środku nocy ryknie mężowi do ucha: „Dyspozytor, szlag by cię trafił, daj mi pas! Jestem na wymuszonym, niebezpieczeństwo skażenia, kto się nie ukrył, sam sobie winien!!!”.

Ale będzie śmiesznie...

Nad maską wozu pojawiła się mapa.

- Tu. - Billy tknął palcem niemal w sam środek bagna. - W promieniu stu, może stu pięćdziesięciu jardów.

- Żyje? - zapytałem.

- Nie sądzę, ponieważ nie mogłem wziąć namiaru. Wychwyciłem tylko ostatnią zmianę kursu i oszacowałem fizyczne możliwości dziewczynki. Najważniejsze, że gdzie indziej być nie może. Albo jest tu, albo ja nic nie rozumiem. Nie mogła przecież zapaść się pod ziemię prosto do Afryki, żeby ją pogięło!

- Clarisso? - Porucznik wsadził nos w com. - Uruchom ratownika! Podaję namiary...

- A ja pójde - powiedziałem - poobejmuję się z tą młodą jabłonką.

- Z gruszą - poprawił mnie Billy.

- Pieprzony pedant - rzuciłem i poszedłem obejmować drzewko, starając się nie myśleć o tym, co z niego zostanie po tych czułościach.

Zresztą to przecież była tylko grusza. Albo jabłoń.

W głowie wszystko mi się mieszało. Nigdy z żadnym człowiekiem nie byłem mentalnie tak blisko jak z Verą Sayer. A w jej wnętrzu kłębił się potężny wir emocji. Zawsze. Namiętna istota, która zasuszyła siebie w darze mężowi. Tak wychowali ją rodzice. Więc od dziecka łamała siebie dla wygody innych. Jej własna córka miała dla niej za to tyle samo litości, co pogardy.

- Myśmy dwukrotnie zbadali ten sektor - zauważył szeryf.

- A co to mnie, żeby cię pogięło?!

Vera miała trzydzieści osiem lat. Dużo czytała. Zastanawiała się, czy nie zmienić zawodu. Słaby

był z niej badacz, ale zręczny programista. Nieźle prowadziła. Gotowała średnio. Miała jednak znakomitą młodzieńczą figurę. Tfu!

- Nad bagnem kotłują się opary, ale nie powinny aż tak zniekształcać... - mamrotał porucznik. - Namierzylibyśmy ciało wizualnie.

- Jakie ciało?! Przecież ganialiście nad samą powierzchnią, dupki wołowe, i wszystko przemłóciliście wydechem! Po dziewczynce pewnie tylko tenisówki zostały, żeby cię pogięło!

- Ale skanery...

- Nóżkami trzeba było, drepu-drep! Na brzuchu pełzać! Kumasz?!

Nad nami coś zaszeleściło, w stronę lasu pomknęły dwie maszyny. Prowadził patrolowiec, za nim duża otwarta platforma ratownicza.

Ja tymczasem siedziałem na trawie oparty plecami o pień drzewa, pompowałem zeń energię i marzyłem o tym, by ratownikom się powiodło. Wtedy można będzie dać stąd dyla i zapomnieć o wszystkim. Niech wyciągną z tego lasu Sarę, możliwie żywą, i pojedziemy sobie. I będę miał w nosie, kto się kryje w bagnie.

- Wanja, dychasz? - zapytał Billy, stając nade mną i podając mi butelkę. - Masz, wypij jeszcze wody.

- Dycham - powiedziałem, przysysając się do szyjki.

- Po coś jej pozwolił?

- Vera jest cholernie nieszczęśliwa.

- Jaka Vera? - zdziwił się mój niedomyślny partner. - A, ta! No tak, teraz pewnie ją znasz jak siebie samego.

- Lepiej niż ty Sarę. Zresztą Sarę też znam. Ciekawa dziewczynka. Ma wrodzony dar, znacznie potężniejszy od naszych nabytych.

- No jak z tą Verą? - puścił do mnie oko Billy. - Przyjmuje gości pod nieobecność męża? Daje im... Wiedzę? Przecież męża już od dawna ma powyżej uszu. Nic osobistego, to tylko bałwan co się zowie, żeby go pogięło.

- Może to i niezły gość. - Wyciągnąłem rękę, kumpel pomógł mi wstać. - Po prostu rodzina jest na drugim miejscu, po pracy.

- No to jak z tą Verą? - powtórzył Billy.

- Odczep się, co?

- Zazdrość - stwierdził. - Zazdrościsz farmerom z czerwonymi szyjami, którzy łapią ją spracowanymi łapami za delikatną pupkę i pakują aż po migdały...

- Ciągnij diesla!!!

- Chodź no, Wanja, ustabilizuję cię - powiedział Billy. - Chodź tu, żeby cię pogięło, póki jeszcze nie zwariowałeś.

Podszedłem do mojego kumpla, a on mnie objął. Z boku musiało to wyglądać komicznie, a nawet nieobyčajnie. Dobrze, że przed szeryfem kryły nas w tej chwili gęste zarośla wyhodowane tu przez Sarę.

- Ale twarz ta panusia ma robioną - nie wytrzymał Billy. Zawsze musiał zepsuć!

- Tylko koniuszek nosa i trochę kości policzkowe...

- Nie rób tak nigdy więcej, Wanja. Nigdy się nie otwieraj. Za dobry jesteś. Nie możesz współczuć ludziom, którym przytrafiło się nieszczęście.

- No to komu mogę współczuć? - zdziwiłem się.



- Mi - zaproponował mój partner zupełnie serio. - No, jak się czujesz? Mózg na swoim miejscu? Odkleiłem się od Billy'ego, podreptałem w miejscu, pokręciłem głową.

- Dzięki. Jak nowy. Mógłbym w tej chwili na trasę. Jesteś geniuszem.

- Jestem ostrożny. Za nic nie dałbym się podładować babie będącej w przedłużonej hysterii. Nawet podładować, żeby cię pogięło! A ty się cały otworzyłeś! Nie rozumiem. Słuchaj, Wanja, ty się może w niej zakochałeś? Od pierwszego wejrzenia? Po cholere ci to?

- ...A z tymi farmerami to pudło, ona tylko czasem sobie to wyobraża - palnąłem.

- Wiem - prychnął mój partner. - Komu ty to wyjaśniasz, żeby cię pogięło!

Zza krzewów dobiegły nas głośnie przekleństwa. Szeryf trzymał łączność z ratownikami.

- Zaraz nas zawoła. - Billy spuścił nos na kwintę.

- Hej, wy tam dwaj! - ryknął glina.

- Ty będziesz z nim rozmawiał - poprosił mnie kumpel.

Ramię w ramię przebiliśmy się przez krzaki i stanęliśmy przed szeryfem.

Ten nabrał w płuca dużo powietrza, zamierzając nas opieprzyć, ale przyjrząwszy się, tylko westchnął.

Staliśmy z kamiennymi twarzami, pierś do przodu, ręce po szwach. Tak jak staliśmy niegdyś przed komisją dyscyplinarną - mieliśmy taki pieprzony epizod w życiorysie. Przed Johnsonem też, zdarzało się, stawaliśmy na baczność jak mur. I admirał o nasze milczenie pozdzierał sobie struny głosowe.

Co prawda wtedy ramię w ramię stało sześciu, cała załoga...

Nie ma sensu na nas krzyczeć. Znamy się na swojej robocie. Jeśli na czymś się skuliśmy, to musiał to być wynik czyjegoś błędu albo fałszywych danych. Mogło też być źle postawione zadanie lub misja - z definicji - przekraczała nasze możliwości.

Szeryf zdjął czapkę, oparł się tyłkiem o wóz i powiedział cicho:

- Ni cholery tam nie ma.

Podszedłem, oparłem się o furę obok niego.

- Macie przynajmniej wyobrażenie, jak mnie rąbią? - ponuro zapytał glina. - Od dziesięciu dób cały okrąg wrze. Nie ma dziewczynki. Wyparowała. A kto winien? Gibbson oczywiście. Wiejski dupek. Przegapił, nie upilnował. Dlaczego, jak myślicie, burmistrz nie wraca z urlopu? Czeka, bydlę, jak się sprawa zakończy...

Policjant był w fatalnym stanie. Już mu donieśli, że po wczorajszym „seansie magii” wdowa Kramer znalazła swoje soczewki kontaktowe, Abe naprawił swój wymizerowany komputer, Molly w końcu wychodzi za mąż, a stary Jack dobrze opylił swoje akcje. I pułkownik, pobrząkując medalami, z jakiegoś powodu wybrał się do Waszyngtonu.

Dzięki komu? To szeryf pierwszy uwierzył w Billy'ego, bez dowodów.

Ale Billy zawiódł. Właśnie jego.

- A co pan ma na łańcuszku, Ivan? - zapytał glina, żeby tylko zapytać. Nie bardzo go to interesowało.

Wyjąłem spod kołnierzyka ostrą kamienną drzazgę oprawioną w srebro.

- Też leciał sobie i wbił się w statek?

- Nie. To odłamek dużego meteorytu, który rozwalił nasz okręt flagowy. Obrona nie dała rady. Straciliśmy dziesięciu ludzi, wtedy też zginął admirał.

- Współczuję - niezbyt szczerze burknął szeryf. - A jakie ma możliwości pański odłamek?

- Nazywam go Kamieniem Szczerości. Deszyfruje emocje. Opowiada o ludziach prawdę. Czasem taką, jakiej ludzie sami o sobie nie znają.

- Niech opowie panu, jak nienawidzę Sary Sayer - zaproponował policjant. - Szczerze.

Obok nas przemknęła i poleciała w stronę miasta maszyna patrolowa. Za nią kuśtykała platforma ratownicza. Jakiś typ przechylił się przez burtę, wyciągnął rękę w naszą stronę i pokazał wyprostowany środkowy palec.

Szeryf odprowadził ratowników ponurym spojrzeniem.

- I tak mam co dzień... - jęknął. - To co, ruszamy coś przekąsić? Akurat czas na lunch. Może nam się trochę humor poprawi.

Billy potrząsnął głową jak wychodzący z wody pies.

- Nie chcę przekąski! - oświadczył. - Wszyscy tam mnie będą wytykali palcami.

- Środkowymi - dodałem. - Lepiej popracujemy trochę. Niewielka wyprawa do lasu. Na własne oczy ocenimy co i jak.

- Jesteś w formie, Wanja?

- A ty?

- Dowodzisz.

Policjant ożywił się nieco. Widać nie sądził, że jeszcze cokolwiek zrobimy.

- Wsparcie?... - zapytał z gotowością. - Zamawiajcie. Policji jeszcze środkowych palców nie pokazują. Chociaż niedługo zaczną. Ale co damy radę, zabezpieczymy.

Zastanawiałem się minutę.

- Po pierwsze, potrzebny mi do wieczora jeden z waszych miejscowych rezerwowych korytarzy, i to wysoko. Dwa tysiące stóp. Po drugie, strefa lasu w promieniu dwóch mil dokoła ma być dziś zamknięta dla lotów. Niech miejski dyspozytor transportowy się tym zajmie. Po trzecie, proszę spowodować, żeby do lasu nikt nie włąził też pieszo...

- Zamknąłem las dla cywili, nawet Sayer tam nie wejdzie bez pozwolenia. Tym możecie się nie przejmować.

- ...I w końcu niech nam rzeczywiście ktoś przywiezie tu coś do zszamania.

- Clarissa! - przypomniał sobie Billy i aż podskoczył.

- Ciągnij diesla! - od razu wyszczerzył się szeryf.

- Poruczniku, co pan tak jak pies ogrodnika? Ani sam, ani nam, żeby cię pogięło!

- Porwiesz Clarissę, dogonię i uszy pourydam, jarzysz?

- Najpierw byś musiał dogonić! - roześmiał się mój partner. - Dlaczego wy tu, miejscowi, tak się boicie, że kogoś skusimy urokami miejskiego życia? Może już czujecie, że tu jest kijowo, co? Może już wam czegoś brakuje? Clarissa skończyła akademię w wielkim mieście. Ale wróciła tu, żeby cię pogięło!

Glina podrapał się za uchem i rzucił oschle:

- Rezerwowy korytarz! Lunch. Co jeszcze?

- Jedna załoga patrolowa na wszelki wypadek. Niech siedzi w maszynie, ale bez wezwania niech się nie rusza. Uzgadniamy częstotliwości?

- Piąty przycisk. - Szeryf zgarnął z maski wozu swój com. To ustrojstwo było ciężkie jak cegła, niczym zresztą cała policyjna elektronika. Chyba żeby można było w czerep komuś przyłożyć... Nienadaremnie porucznik tachał go na pasie, a nie jak cywile - na rękę.

- Piąta linia... Gotowe.

- Będę stale nasłuchiwał jednym uchem - obiecał policjant. - Poczekajcie, a buty gumowe? Siatki przeciw moskitom? Repelenty? Czy może wasze kamienie odpędzają też owady? Zapomnieliście, gdzie się pakujecie, szpanerzy z miasta, he, he?

- Nie potrzebujemy - machnąłem ręką. - Jakoś sobie poradzimy własnymi środkami. Proszę wezwać dyspozytora, ja tu swoją „teczkę” będę ścigał.

- Wsiadajcie, pojedziemy.

- Po co? Sama tu przyleci.

Porucznik chciał powiedzieć coś groźnie i wieloznacznie, ale wykrztusił tylko dwa słowa: „wpierniczyli” i „samobójstwo”.

Ale dyspozytora powiadomił.

Kiedy nad miastem pojawiła się moja czerwoniutka, poczułem klucie w sercu. Tak się za nią stęskniłem!

- Moje serduszko... - zagruchał Billy.

Lockheed Albatros T5 - jedna z najbardziej udanych maszyn, a w sensie designerskim - moim zdaniem - najbardziej udana. Już myślałem, że nikt nie zrobi ładniejszej bryki niż ta zwykła „teczka”, póki nie zobaczyłem modelu T5 Evolution. Mojej radości i mojej dumy!

Większość środków transportu nowego pokolenia ma dizajn nie do końca wyważony. Albo leci sobie po niebie samochodzik, albo samolocik z za węgła się wytacza. Tak chcą klienci. Oni chcą rozpoznawalną markę. Corvette musi być płaska i trochę kanciasta, mustang bez fałszywego grilla nie jest mustangiem. Volvo - z lekka przylizana cegła, mercedes - opływowa walizka. Jeśli fruwa sobie wesoły duperszycik - musi Japończyk. A jeśli posuwa coś złowrogiego, żelaznego, przypominającego szturmowiec - na pewniaka made in Russia.

„Teczka” jest jedyna w swoim rodzaju, niepowtarzalna, niczego nie naśladuje. To wydłużona kropka z dwoma niewielkimi kilami z tyłu i zgrabniutki skrzydełkami z boku. T5 Evo, w odróżnieniu od modelu standardowego, jest nieco bardziej spłaszczona i wygląda na mocniejszą.

- Cudo - powiedział Billy. - Niech pan przyzna, szeryfie, żeby cię pogięło!

Moja purpurowa kropelka, cicho szeleszcząc, opadła, wypuściła podwozie i wylądowała precyzyjnie dziesięć jardów od nas. Z bliska, oczywiście, było widać, że to nie Evo, a raczej Evo do kwadratu. Pewne elementy sekcji napędowej jakby się straszły. Bezczelnie. I faktura powierzchni biła po oczach. I lekka wypukłość na części siłowej. Kile i skrzydła kazałem jej zostawić, nie wiadomo, może przyda się te kilka sekund czasu.

Żadnych podrasowań nie kryłem zresztą przed Johnsonem i choć to szef, jednak się nie burzył.

- Stylowa maszyna, nie przeczę - przyznał szeryf. - Powiedzcie mi tylko, kto ten... ten gwiazdłot certyfikował na publiczne trasy?

- Nie przekraczamy prędkości! - skrzywił się policjant. - Mandaty by nas zrujnowały, żeby cię pogięło!

- No to jakim cudem dotarliście tu w trzy godziny? Weiland się chwalił.

- No to sobie pomnóż dozwoloną prędkość przez trzy. Kumasz?

- To niemożliwe! - poderwał się policjant. - A strefy przestrojenia? Tam strumień ledwo pełźnie!

- A my je tak! - Billy pokazał ręką, jak my je. Przypominało to błyskawiczny ruch węża.

Szeryf poruszył wargami. Poprawił kaburę. Zdjął i nałożył czapkę. Splunął.

Niełatwo było mu znaleźć z nami wspólny język.

Otworzyłem bagażnik i trzepnąłem dłonią w pokrywę sejfu. Ten posłusznie szcęknął ryglami w

odpowiedzi. Rozpoznał gospodarza.

- Ale pytam: jak zdobyliście certyfikaty? - nie mógł się uspokoić policjant. - Ja nikomu nie powiem. Po prostu jestem ciekaw.

- Houston, Houston mamy problem - powiedział mój partner.

- Co?

- Tekst kodowy. Pukasz na pewien tajny com i mówisz: „Houston, mamy problem”. I problem się rozwiązuje. Kumasz?

Glina przypomniał sobie, czym się zajmowali przed służbą kurierską, i zrozumiał, że nie ma żadnych atutów. Nie sądził też, by Billy się z niego naigrawał. I słusznie, bo Billy się nie naigrawał. On w ogóle stara się nie kłamać. Zawsze go za kłamstwa objeżdżam.

- Masz szczęście, że nie poznałeś naszego Johnsona - ni to obiecał, ni to zagroził mój partner.

- Dzięki. Mam dość was dwóch. Przyleciało, jak rozumiem, pozdrowienie od NASA! Jakąś mieszanką żelazka ze spawarką... Aż się boję zapytać, ile machów to robi.

- Wystarczająco dużo - rzekł z naciskiem Billy.

- A wiecie co? - powiedział nagle szeryf. - Jestem co prawda gliną i nienawidzę ulicznych wyścigów, ale jeśli Greg Weiland namówi was na ganieanie gdzieś poza miastem, to, tak sądzę, popatrzę na to przez palce. Już znudziło mi się wypisywanie Gregowi mandatów za niebezpieczną jazdę. Niech pospaceruje bez maszyny. W pampersach.

- Słyszysz, Wanja! Skumał!

Wyjrzałem zza klapy bagażnika. Na progu domu stała i przyglądała się naszej „teczce” Vera Sayer.

Zmieniła ubranie. Zamiast bezkształtnej szmaty miała na sobie błękitne jeansy i świecąca białą bluzkę z kołnierzykiem. Ciemnoblonde włosy związała w ogon, a to jej bardzo pasowało.

Tylko ciągle była boso. Wiedziała, że ma ładne stopy i - niech to diabli! - nagle znowu chciała się podobać.

Bezwiednie posłałem jej uśmiech.

- Wanja, nie rób jaj - szepnął Billy. - Babka ma męża, żeby cię pogięło. Aktualnie lekko odbiła jej szajba, zaginęła jej córka, zapomniałeś?

- Znowu chce żyć - rzuciłem przez ramię.

- Chłopcy! - zawołała Vera. - Nie czas na małą przekąskę? Wejdz, Wania, proszę. I panowie też.

Przygotowałam lunch.

- Proszę o wybaczenie, ma'am, ale ja muszę na posterunek! - odkrzyknął, podrywając się, szeryf.

- Ivan, jesteście dogadani, tak? No to powodzenia!

- Nie zapomnij przysłać Clarissy! - krzyknął do niego mój partner. - Pamiętaj, obiecałeś, że przeciwiczy nas we wkładaniu i zdejmowaniu gumowych butów?

Glina pozwolił sobie na kpiącą ripostę. Wysunął głowę przez okienko i palnął:

- Przez takich, za przeproszeniem, astronautów nikt nie wierzy, że Ameryka pierwsza wylądowała na Księżycu!

Billy zacisnął pięści. Jego czarne oblicze w mgnieniu oka zrobiło się fioletowe.

W ostatnim ułamku sekundy zdążyłem zakłócić mu dostrojenie. Niewidzialna fala, która miała huknąć szeryfa w łeb niczym młotem, tylko cisnęła nim o fotel i zmusiła do panicznego startu na pełnym gazie.

- Ciągnij diesla! - syknął mój partner.

Jak wielu profesjonalnych astronautów Billy nie znosi ludzi gadających o lądowaniu Amerykanów na Księżycu.

Wtorek po południu

- Kokietowała cię! - mówi Billy, naciągając kombinezon. - Wanja, błagam, nie poddawaj się temu. Ta panusia nie jest do końca normalna. A ty nie jesteś w stanie patrzeć na nią krytycznie. Cholerny „kondom”!

„Kondom” to nieformalna nazwa uniwersalnego kombinezonu ochronnego. Mój partner jest wysoki i naciąganie kombinezonu kosztuje go wiele nerwów.

Ale co mi tam! Vera ma cudowne oczy. I uśmiech. Nie uśmiecha się na razie, ale ja to dobrze wiem.

Wiem o niej wszystko. Jest kobietą jakich wiele. Kobietą do szpiku kości. To mi się właśnie podoba.

Billy znowu mędzi. Zawsze staje się mędlawy jak teściowa, kiedy chce mnie odciągnąć od czegoś, co sam wcześniej wymyślił. On ani razu nie zawiódł, w każdym razie umyślnie, i jest przekonany, że to mu daje prawo do bycia głosem mojego sumienia.

Jeśli sądzić po naukach partnera, mam schizofreniczne sumienie. A Billy sam jest amoralny, rozpustny i społecznie niebezpieczny.

Teraz jest także nieufny i niespokojny. Jak zawsze kiedy na horyzoncie widnieje niewiadome. Na szczęście po komendzie „start” potrafi błyskawicznie się pozbierać.

Wyjmuję z sejfu broń, sprawdzam ładunek. Ręce same wykonują odpowiednie ruchy, treningi nie poszły na marne.

Mój partner przykuca, macha kończynami, skacze dokoła maszyny, rozciągając zleżały „kondom”. Tym ćwiczeniom fizycznym towarzyszy lawina przekleństw i skarg.

Przekonuję siebie, że jestem rozsądny i opanowany. W rzeczywistości chcę Very Sayer, jakkolwiek bluźnierczo by to nie brzmiało w tej chwili. Poza tym zamierzam uratować jej córkę. Znaleźć żywą. Odwiedziwszy duszę Very, zaraziłem się *jej* emocjami.

Billy denerwuje się, ja przeżywam. Tylko czerwoniutka „teczka”, moje cudeńko, mój skarb, spokojnie czeka na polecenia. Czasem wydaje mi się, że przez jej przypominające kroplę wody ciało przebiega drżenie. Jakby poruszała bokami, przewidując skok w niebo.

A zarośla dokoła domu Sayerów tęsknią do swojej małej gospodyni.

- Gotów? - pytam partnera.

Ten podchodzi i bierze ode mnie „zbroję” - lekką kamizelkę pancerną z kieszeniami naszpikowanymi narzędziami i akcesoriami. Pomagam mu ją założyć. On waży w rękę armatę, trzaska bezpiecznikiem, patrzy, mrużąc oczy, w okienko ładownicy.

- Stawiam armatę w tryb shockera, Billy. Ty w tryb trafienia pociskiem, ale bez komendy nie strzelasz. Stoi?

- Czarny mag Billy Mbabete nie zawiedzie, dowódco! Albowiem rzekł mądry wódz, szeryf Gibbson: „Billy ma dynks”!

- Luzuj, chłopie! I nie wymachuj lufą, ludzie na nas patrzą. Kiedy wejdziemy między drzewa, będziemy trzymali armaty w pogotowiu bojowym, na razie schowaj.

- Przepraszam. - Mój partner jednym ruchem wkłada broń w pochwę na plecach.

- Sprawdzamy zabezpieczenia!

Naciągamy kaptury i spuszczaamy na twarze maski. Mam dobry przegląd, powietrze podawane sprawnie. Mogę tonąć w bagnie. Trzy godziny przetrzymam sam.

- Dawno już... Co nie, Billy?

- I to jak, dowódco. Dobra, u mnie wszystko działa.

Ileż to już lat nie słyszałem od niego „dowódco”? Dużo.

- Zdejmujemy maski. No to?

Trzask! Przybijamy piątki.

- Jedziemy.

Vera Sayer stoi na werandzie oparta plecami o framugę i odprowadza nas wzrokiem. Lekki wiaterek porusza jej krótką grzywkę. Nie odwracając się, na moment podnosi rękę i natychmiast każe sobie zapomnieć o istnieniu Very. Od tej sekundy ważne jest tylko istnienie naszej pary: Billy ego i mnie. Oczywiście, w szóstkę by się szło lepiej. Ale z załogi zwiadowcy zostaliśmy tylko my dwaj.

Zdażyłem jednak poczuć, jak Vera pomachała mi w odpowiedzi.

Półtorej mili przez pole. Akurat, żeby odnowić współgranie z kombinezonem i przygotować umysły do aktywnych poszukiwań.

- Jak nawiew, Billy?

- Wspaniale, nawet powiedziałbym: za zimno. Po coś jej nakłamał o Anchorage, Wanja? Ona wie, że byliśmy na Alasce, ale rok temu.

- Powiedziałem pierwsze, co mi przyszło do głowy. I zapomnij o niej. Pracujemy.

- A ona to odebrała jako wzruszający przejaw troski! Ech, Wanja... - Mój partner gwałtownie zmienia ton. - Koniec, zapominałem o niej. Jaki obieramy azymut: na przewidywaną lokalizację dziewczynki czy na gówno z bagien? Jeśli chodzi o gówno, to mam coś na kształt namiaru.

- Ja też. Do diabła, co może być tak obcego w zwyczajnym amerykańskim bagnie?

- Amerykański potwór. Reliktowy endemit. No to gdzie idziemy? Między tymi punktami mamy milę, przez bagno to nie tak znowu blisko.

- Chodźmy w gościnę do gówna - decyduję. - I tak, i tak musimy coś z tym zrobić. I nie zgadujemy, co nas czeka.

Billy skręca w lewo.

Przez kilka minut tupiemy w milczeniu. Las się zbliża. I nagle mój com przymilnie pyta głosem szeryfa:

- A co wy tam, chłopaki, macie w tych plecakach?

Zaskoczony omal nie podskoczyłem.

- Jakie plecaki? - dziwi się mój partner.

- No te garby na plecach. Wydaje mi się, że sterczą wam stamtąd kolby.

- A co, może już nie wolno nosić armaty zwyczajnemu amerykańskiemu podatnikowi, żeby cię pogięło? - zaczyna szydzić Billy.

- Można, jeśli armata jest identyfikowalna.

- No to popatrz przez swój teleskop, jaki mam tam numer!

Ci dwaj ze swoimi polemikami dotąd nieźle mnie bawili, ale nie teraz.

- Gibbson - mówię ponuro. - Ciągnij diesla. Nie przeszkadzaj.

Szeryf sapie i rozłącza się. A my wchodzimy do zagajnika. Tu i tam widnieją ślady ognisk. Ale

ani jednej pustej butelki, ani skrawka opakowania. Miejscowi dbają o przyrodę.

Namiar na obce ciało w bagnie jest coraz dokładniejszy. Ciało... Właśnie - ciało!

- Billy, to się porusza.

- A ty co myślałeś?...

Jestem zimny jak lód, ale w głębi duszy trochę się boję. Co mi to przypomina?... Usiłuję wymacać emocje istoty. Wszystko, co żyje, odczuwa strach albo zadowolenie, zimno, ciepło, głód, sytość. Nie może być emocjonalnie wyługowane. Nawet jeśli czuje się komfortowo - to właśnie czuje się komfortowo, do licha! A ja mogę to wychwycić, rozszyfrować, zrozumieć. Jednak ta istota nic nie odczuwa! Cholera, czy mogę to z czymś porównać? Z czymś mogę. Ale nie pamiętam. Zapomniałem. Może umyślnie? Zaczynają dokuczać meszki. Billy złości się, ale czeka na polecenie.

- Maski włóż. Broń w pogotowie ogniowe.

- Wykonuję.

Istota w bagnie jest czymś zajęta. Przypomina amebę przebierającą nibynóżkami. Musimy zadbać, żeby nas nie namierzyła. Kto wie, do czego to jest zdolne.

- Billy, nie ma nas.

- Zrozumiałem, dowódco.

Rozpuszczamy się w otaczającym świecie. Trudno to przekazać słowami, ale przestajemy emitować myśli. Jeśli teraz z gęstwiny wyjdzie niedźwiedź, poczuje moją woń, ale nic nie zobaczy, póki nie nadepnę mu na łapę.

- Czy to pojedynczy organizm, Billy, czy konglomerat?

- A skąd mam wiedzieć?

- Coś jak ul, nie wydaje ci się?

- Ciszej, dowódco. Za głośno myślisz.

Las gęstnieje, przemykamy między gałęziami. Włączam wzmacniacz dźwięków i tonę w brzęczeniu owadów, szczebiocie ptaków, krzątaniu myszy. Bez sensu. Słuchać należy sercem.

- Żeby cię pogięło... - mruczy mój partner.

- Tracisz go?

- Tak, kurna, tak!

- Ja też.

Ślad, jaki zostawia istota na informacyjnej mapie świata, rozplywa się, topnieje. Mam tylko jedno wytłumaczenie - obcy jakimś cudem nas wyczuł.

Obcy. Obcy. Znam go?

- Nie pobiegniemy? - pyta z nadzieją Billy. Nie chce mu się biegać po lesie.

Holograficzna mapa strefy poszukiwań znajduje się na moim rękawie. Szacuję - mamy jeszcze dobre pięć minut marszu do granicy bagna i potem długie, długie kręcenie się po wąskich przesmykach. Szybkość poruszania nic nam nie da. Ważniejsza jest precyzja.

- Nie biegniemy. Gibbson! Kto lata dokoła lasu?

- Nikt... Powietrze czyste, Ivan. A co się stało?

- Nic, taka wersja.

Istota przestaje się mościć, zamiera, „widzę” ją ledwo-ledwo. Zanurza się w topieli. Fizycznie! Zapada się!

- Nurkuje, gównu jedno - szeptem Billy.

Odruchowo przyspieszam. Rozumiem, że to nic nie zmieni, ale i tak idę szybciej. Między

drzewami pojawiają się prześwity. Po chwili jesteśmy już na skraju bagna. Zdejmuję broń, odbezpieczam. To też pusty gest, ale ciało samo tak decyduje. Zatrzymuję się za jednym z ostatnich drzew przed trzęsawiskiem i ostrożnie wyglądam. Instynkty, niech je licho! Trudno z nimi walczyć. Niebezpieczeństwa niby nie ma. Ale żyć się jednak chce.

Odkrycie numer jeden: amerykańskie bagno jest podobne do rosyjskiego. Odkrycie numer dwa: jestem durniem, trzeba było wyrąbać parę drągów jeszcze w zagajniku, żeby teraz nie hałasować. I odkrycie numer trzy: odgłosy ustały. Istota się rozmyła. Zniknęła. Siedzi w największej i najgłębszej z bagiennych dziur i cała nadzieja w tym, że nie zaryzykuje przejścia do sąsiedniej. A jeśli tak? Patrę na mapę. Dziury komunikują się przetokami jedna z drugą. Pech.

I jeszcze jeden problem - dlaczego istota się przyczaiła? Może się nas boi? A może, zacierając łapy, czeka na następną zdobycz? Billy zachowuje postawę „myślociszy, ale jestem pewien, że chodzi mu po głowie to samo.

Wychodzę zza drzewa. Z lewej ode mnie mój partner na ugiętych nogach skrada się do bagna, kręcąc głową i bronią z jednej strony w drugą. Chcę mu powiedzieć „kończ ten cyrk”, ale Billy już sam z rozczarowaniem prostuje się i opuszcza lufę.

- *Finita la comedia*, żeby cię pogięło! - oświadcza. - Elvis opuścił budynek.

Kontakt utracony całkowicie. Wpatruję się w bagno. Bulgoce wszystkimi odcieniami zieleni. Wątle krzaczki na kępach, kałuże w obramowaniu niewysokiej turzycy, równe odcinki pokryte mchem - właśnie największa topiel. Z rzadka trafiają się omszałe pnie drzew. Aż strach myśleć, ile mają lat - rąbali je kopacze torfu. W powietrzu lekka mgiełka. I co teraz? Teraz to, co najmniej przyjemne. Trzeba wleźć do środka trzęsawiska, gdzie kryje się nasz klient, i spróbować doprowadzić jego legowisko do wrzenia. Może nie będzie chciał się gotować i wyskoczy. Innych wariantów nie widzę.

- Dowódcu, hej, dowódcu, nie wydaje ci się, że jest nas za mało do realizacji postawionego zadania?

- Chcesz puknąć do Johnsona i poprosić, żeby zrzucił w bagno Liebermanna?

- ...I wymrze wszystko żywe! Świetny pomysł, żeby cię pogięło. Rozumiesz, tak sobie myślę: jeśli ten stwór połknął Sarę i nie zadławił się, to co mu szkodzi przekąsić też parę pewnych siebie idiotów?

- Nie jesteśmy pewni siebie. - Przystawiam sterownik ognia w tryb „cięcie” i wypatruję odpowiednich drzewek. - Będziemy bardzo uważni i strasznie ostrożni.

Szybko ścinam i oczyszczam z gałęzi parę osin, czy jak tam się one nazywają. Otrzymuję parę trwałych siedmiostopowych żerdzi.

- Trzymaj sondę - mówię. - Nie chodziłeś wcześniej po bagnach? Dźgasz przed sobą tą tyką. Szukasz, gdzie twardszy grunt. Jeśli się zapadniesz, kładź ją poziomo, a sam brzuchem na niej.

Billy waży drąg w rękę, wzdycha. Tak w ogóle, to on kocha przyrodę. Ale przecież nie taką dziką, jaką mamy w tej chwili przed sobą.

Wyciągam z kieszeni elastyczny rzemień, przypinam do broni i wieszam armatę pod pachą. Na otwór wylotowy nakładam specjalny kołpak - coś jak prezerwatywę, tyle że trwalszy. Nie jesteśmy piechotą morską, do naszego kompletu bojowego prezerwatywy nie wchodzi. Wiele było żartów z tego powodu, na szczęście piechota morską ich nie słyszała.

- Chłopcy, co tam u was? - pyta com głosem zdenerwowanego szeryfa.



- Idziemy się topić - odpowiadam.

Sprawdzam mapę, wytyczam trasę i włączę na najbliższą kępę.

Marsz tak naprawdę nie sprawia większych trudności, więcej sił tracę na rozglądanie się i wsłuchiwanie. Jeśli wzmacniacz dźwięków nie kłamie, bagno żyje obfitym wewnętrznym życiem. Ale ciamkanie pod stopami wali po uszach, dlatego co chwilę włączam i wyłączam wzmacniacz. Mój partner sapie za mną.

- Hej, szeryfie, a żmije tu są? - pyta nagle.

- Powinny być. Jakże bez żmij?

- Uprzedzić należało, żeby cię pogięło... Duże?

- No... Średnie. Może z dziesięć stóp.

Billy staje jak wryty.

- Gibbson - mówię. - Ty się u mnie doigrasz. Nie czytałeś może takiej powieści kryminalnej „Napad adwokatów na posterunek policji”? No to sobie poszukaj, poczytaj i niech dotrze... Billy, gdzie jesteś?

- Żartowałem? - pyta ten słabym głosem.

- Williamie, żartowałem! - zapewnia szeryf. - Żmije są, ale malutkie, góra trzy stopy...

- Żmija kombezu nie przebije - uspokajam partnera. - Nawet wilk go nie przegryzie. Poza tym żmije nie atakują ludzi bez absolutnej konieczności. Chyba że w okresie godowym. Idziemy, Billy.

- A kiedy mają okres godowy?

- Nie dziś!!! Za mną!

- Tak jest, dowódco.

Tam i siam nad bagnem fruwają motyle i ważki. A tu, proszę, wyraźny ślad żmii w rzęsie na powierzchni niewielkiego stawu. Żmija rzeczywiście niewielka, o kant dupy... Grunt pod stopami twardnieje, przestaję sondować drogę żerdzią i niosę ją tylko przed sobą. Teraz będziemy szli szybciej. Potem wolniej. I tak jeszcze dwie albo i trzy godziny.

Gdzieś tam krzewy są pokancerowane wydechami nisko latających maszyn, ale samo bagno zdążyło się już dawno zaciągnąć. Billy ma rację, że wszystko tu zostało przemieszane i przekitwaszone. Nie znajdziemy ciała z uszkodzoną bransoletką. Zerowynikowa misja, od pierwszej chwili bezsensowna. Zawrócić czy jak? A bagiennym monstrum niech się ekolodzy zajmują. Chociaż porucznik nie ma dowodów, żeby wezwać tu jakąś komisję. A szlag zresztą z tym monstrum! Komu ono przeszkadza? Nie wierzę, żeby to coś zjadło dziewczynkę. Psa - może.

„Nie wierzę, ponieważ nie wierzy matka dziewczynki” - upominam sam siebie.

Jakie ona ma piękne oczy... Sara ma oczy po ojcu - poważne, uważne. A Vera - otwarte na oścież. Jak i duszę.

- Znowu o niej myślisz - przytomnie zauważa mój partner.

Odwracam głowę i pokazuję na com. Billy puka się w kaptur, że niby jego wina - zapomniał, że jesteśmy na podsłuchu.

Znowu grząski odcinek - wykorzystuję tyczkę, wyszukując bezpieczną drogę. Gdzieś tam musimy iść po kolana w mętnej brei. Potem natrafiamy na ogromny staw. Na mapie widnieje obejście, w rzeczywistości jest to gęstwina krzewów. Wypalić przesiekę? Nie, utoniemy w dymie i jasno, w całym tego słowa znaczeniu, pokażemy, jaką bronią dysponujemy. Rozkazuję partnerowi, żeby mnie osłaniał, sam odpinam od pasa składaną siekierkę i zaczynam rąbać. Po kilku minutach już niczego nie słyszę - wszystkie dźwięki zagłusza mój głośny oddech. Tyle tylko radości, że Billy nie

słucha uszami. Ale przed bezgłośnym, w każdym wiesieniu bezgłośnym monstrum, to nie ratuje. Może właśnie cichutko się skrada?...

Dlaczego, do licha, tak mnie to przeraża?! Trzymam w ręku plazmowy karabin, który może zatrzymać czołg! Pewnie chodzi o innościobność istoty. Jest obca, obca... Żeby tak wiedzieć, skąd się zwała. Zwała. Hm...

Wyłączę z zarośli i znowu z kępki na kępkę. To już finiszowa prosta, na horyzoncie widnieje kupa bierwion. Wyspa, baza kopaczy. Tam urządzimy postój i stamtąd zaczniemy polowanie.

Powrót tylko lotem!

Żadnych śladów dziewczynki. Żebyż choć paperek po cukierku! Ale Sara, po pierwsze, była nie z tych, co śmieją na łonie natury, a po drugie, ten paperek dawno już by zwały wydechy pieprzonych pojazdów ratowników. Cholerna technika! Ubóstwiam maszyny, ale z głowy nie wychodzi mi myśl, że jeszcze sto lat temu - ze znacznie wyższym współczynnikiem efektywności działania - przez bagno przesłaby tyraliera miejscowych facetów. Z powietrza nie da się zobaczyć drobnych szczegółów, które doświadczonemu wieśniakowi mogą wiele powiedzieć. Tu złamana gałązka, tam jakieś charakterystyczne wgłębienie... Zatrzymuję się.

- Billy, popatrz tu.

Sparciały, zgniły pniak. Na nim trzy strzałki narysowane markerem. Jedna wskazuje do tyłu, mniej więcej tam omijaliśmy staw. Druga na wyspę z ruinami. Trzecia w bok. W tę stronę, gdzie namierzyliśmy monstrum.

Bezradnie patrzę za siebie, na zarośla, przez które się przebijałem. Dziewczynka mogła, pochyliwszy się, przemknąć dołem. Wracać i poszukać śladów? Sam je zdeptałem.

Mój partner przygląda się pniakowi, niemal go obwąchuje. Potem włącza mapę i daje maksymalne powiększenie. Słońce przeszkadza, psuje ostrość.

- Zrób cień, dowódco.

Obracam się plecami do słońca. Billy rzuca mi mapę na pierś i wpija się w nią oczami.

- Nie-e - mówi w końcu. - To nie jest rozwiązanie. Pniak jest, strzałek nie widać.

- Znaleźliście coś? - pyta zaintrygowany szeryf.

- Kiedy była wykonana mapa bagna?

- Dokładnie tydzień temu.

- Nanosiliście jakieś zmiany? No to popatrz na to miejsce... - dyktuję współrzędne. - Tu jest pniak. Potrzebne mi zdjęcie, możliwie duże i dokładne.

- Zaraz uruchomię wydział ekspertyz, oni mają dobrą grafikę. A co tam jest na tym pniaku?

- Odcisk buta Neila Armstronga - mówi Billy. - Malutki krok jednego człowieka.

- Pokażcie... - jęczy policjant.

- Pracuj, biały chłopiec, słońce jeszcze wysoko! - mściwie radzi mój partner.

Stoimy i milcząc, patrzymy na siebie czarnymi światłofiltrami masek. Nie wiadomo dlaczego już się nie boimy ani bagna, ani straszego gówna z kłami.

- Mogłaby zostawić autograf - zauważa Billy.

- Strzałki nie zostały narysowane dla ratowników. Miała ich w nosie. Zapomniałeś, co mówili o Sarze? Genialna dziewczynka z „zieloną ręką”, którą nawet rodzice uważali za lekko szurniętą? Las, bagno to jej, jak to się mówi, „sekretna komnata”. Ona zostawia znaki tylko dla siebie. Diabli, dlaczego nie podszedłem bliżej do któregoś z pniaków, na które trafialiśmy po drodze?! Było tego ze trzy - cztery sztuki. Na pewno na każdym z nich jest znak...

Billy mamroce coś i patrzy na tę strzałkę, która prowadzi do legowiska monstrem. Kierunek wskazany jest bardzo dokładnie.

- No, macie swój pniak - mówi szeryf.

- Dawaj tu obraz!

Rozkazuję tak ostro, że glina, który bardzo chce powiedzieć: „Tylko na wymianę z waszym”, błyskawicznie go przesyła.

No i jest pniak. Bez znaków. Porównuję obrazek z rzeczywistością i widzę: wierzch naszego pniaka jest lekko oczyszczony, jakby w pośpiechu przetarty rękawem.

- Teraz patrz, co mamy teraz.

Naprowadzam obiektyw na pień. W słuchawkach słyszę zespołowe westchnienie - dokoła szeryfa pewnie sterczy cały posterunek.

- Nie mogła zostawić podpisu, żeby ją! - ryczy podniecony glina.

Billy hymka ze zrozumieniem.

- Lewa strzałka wskazuje lokalizację istoty, którą namierzyliśmy - wyjaśniam.

- Tak więc - podsumowuje policjant - co my tu mamy? Nie później niż siedem dni temu ktoś pomalował ten pień markerem. Czego to dowodzi? Niczego. Co ja mogę zrobić? Wyłączyć z listy podejrzewanych ratowników i Sayera. Sądzę, że pięć minut mi wystarczy. Odpoczywajcie na razie.

- Znajdźcie wzorzec pisma Sary - radzi mój partner. - To tylko strzałki oczywiście, ale może?...

- Dzisiejsze dzieci nie mają charakteru pisma - rzuca szeryf. - Ale spróbuję.

- Charakter pisma zawsze jakiś jest, czy to tu, czy w Afryce - mamroce lekko skonfundowany Billy.

Tu się z nim zgadzam. Dzieci nie mają już powodu do wyrabiania sobie charakteru pisma, uczy się je pisać ręcznie tylko tak, na wszelki wypadek. Ale bachory nadal rysują markerami i coś tam paćkają na papierowych bożonarodzeniowych kartkach. Potrafią się podpisać. Tak więc jakiś haczyk jest. Chociaż... To tylko strzałki, oczywiście.

Mój partner chodzi dokoła pieńka.

Stoję i walczę ze sobą: kazać mu przestać czy niech tropi.

Billy siada na pniaku. Nie tak półdupkiem, gdzie tam - całym zadem! Rozwala pień do spodu, spada na plecy i leży, zadarłszy do góry długie nogi.

Diabli wiedzą, czego oczekuje ode mnie, ale ja milczę. Potem wyłączam na comie piątą linię - tak, żeby to widział. Partner powtarza mój ruch.

- Słowo honoru - mamroce. - Nie mam pojęcia, co zrobiłem i dlaczego! Słowo honoru, Wanja, żeby mnie pogięło!

- Zniszczyłeś materialny dowód rzeczowy, ot co. Spowodowałeś, że wizerunek przestał być dowodem w sądzie. Bez tego pniaka to tylko obrazek. Wstawaj, przygłupie!

W zasadzie to powinienem wpaść w szal. Ale jakoś mi się nie chce... Okay, może pchnęła Billygo tyłkiem w pniak wola Kosmicznego Umysłu, może głupota własna. To co mam teraz zrobić, udzielić mu nagany? A właśnie, to jest pomysł!

- Wstawaj, sieroto - powiadam. - I nie gadaj o tym, co zrobiłeś. Udzielam ci nagany dyscyplinarnej: pojedziesz moją „teczką” do myjni. Kumas? Uważaj, wciskam piąty przycisk z powrotem.

Mój partner wstaje, otrząsa się, patrzy na pniak, ze skrucą kręci głową. Ale nie czuję, żeby się jakoś mocno wstydził.

Czasem robimy coś niewytłumaczalnego. Od chwili, kiedy znaleźliśmy i nałożyliśmy na szyje te kamyczki - zdarza się nam coś takiego. Co prawda rzadko, ale zawsze potem okazuje się, że miało to jakiś sens. Robimy coś, co zadziwia nas samych. I zawsze jest to coś w rodzaju jasnowidzenia.

Pamiętam, Billy wywołał kiedyś kompletnie niepotrzebną bójkę. Pierwszy i jedyny raz w życiu. Chłopaka, którego znokautował, w szpitalu włożyli do tomografu i znaleźli guz, który - gdyby nie ta przypadkowa diagnoza - po roku byłby już nieuleczalny.

Albo inny przykład: Billy włamał się do wozu. Szedł sobie wieczorem po mieście niemal trzeźwy, a mimo to w ciemnym zaułku włamał się do czyjegoś forda i gołymi rękami podłączył z powrotem odcięty autopilot. No, może trochę koloryzuję: nie gołymi rękami, bo tacy jak my zawsze mają w kieszeni śrubokręt. A następnego dnia tym fordem ucieka z miejsca przestępstwa kidnapera. Policja przy pomocy autopilota zmusza go do lądowania i chwyta na gorącym uczynku. Ofiara nawet nie zdążyła się wystraszyć. Taki traf! A później możesz sobie chodzić, człowieku, i udowodniać glinom, że powinni ci coś postawić...

A ja kiedyś byłem na trasie i nagle poprosiłem o przymusowe lądowanie w szczerym polu. Kompletnie bez powodu. Przekazałem ładunek Billy emu, a sam tam zostałem. Dwie doby jak dureń przesiedziałem na poboczu polnej drogi, rozkoszowałem się pszenicą, a cały Nienaruszalny Zapas zżarłem. Potem przyjechała farmerka w zardzewiałym pick-upie. Kropka w kropkę moja mama w młodości, tyle tylko, że miała włosy ciemnoblonde. Zatrzymała się i patrzy. Uśmiecha się. A ja tak kopnąłem w gaz, że omal w kosmos nie wyskoczyłem, tyle mnie widzieli...

- Hej, chłopaki! - szepce com. - Co się tam dzieje?

- Clarisso... - zaczyna topniejący w oczach Billy.

- Tylko chciałem życzyć wam powodzenia. Koniec, idę. Na razie!

No i proszę, a było „potwory stołeczne”! Szeryf ma rację, że się martwi o swoją Barbie. Nie o stolicę chodzi. O nas z Billym. „Mamy jeszcze ładunki w ładownicach!”, jak mawiał admirał, niech mu ziemia lekką będzie.

- Dobra, chłopaki - to już nasz glina. - Żadna z przepytanych osób tych strzałek nie rysowała. Może to Sara. Ekspertyza grafologiczna będzie możliwa, gdy missis Sayer znajdzie odpowiedni materiał porównawczy. Dokąd się teraz kierujecie?

- Najpierw na wyspę, tam odpoczniemy i do naszego potwora w gościnę!

- No nie wiem... - waha się szeryf. - Ivan, byliśmy nad tamtym miejscem niejeden raz. Zabagnione jezioro. Same wodorosty i gruby kożuch mułu.

- Dziękuję, widziałem mapę.

- Mogę wyrzucić swoich ludzi na brzeg! - decyduje się policjant.

- Niech pan poczeka, szeryfie - mówię do niego. - Fajny z pana facet, oczywiście, ale w jaki sposób mogą nam tam pomóc pańscy ludzie?

- A co wy zamierzacie zrobić we dwóch?

- Podnosić temperaturę jeziora. Jeśli trzeba będzie, to zagotujemy je. Masz coś przeciwko?

Glina usiłuje zrozumieć komunikat. Pracy umysłowej towarzyszy sapanie i stękanie.

- „A co wy tam, chłopaki, macie w tych plecakach?” - przedrzeźnia go Billy.

Szeryf cicho jęczy. Nie podoba mu się, że ktoś na jego terenie zamierza zagotować jezioro. Z fizyczną możliwością gotowania nie polemizuje. W tej chwili jest gotów uwierzyć, że w bagażniku „teczki” leży głowica jądrowa. Albo Święty Graal. Biedny glina! Wykończyliśmy go.

- Na to nie mogę pójść... - oświadcza głosem człowieka pozbawionego nadziei.

- Gibbson - przekonuję - nie panikuj. Bądź przyjacielem, zabierz z linii wszystkie zbędne uszy. Na minutkę.

Ten coś mruczy, pstryka klawiszami, słyszę tupot mnóstwa nóg. Rozlega się przygluszony chichot.

- Zrobione - sapie wreszcie. I pyta tak, jakby mu już było wszystko jedno: - Kim wy jesteście, chłopaki?

- Firmą ze wspaniałą reputacją. „Kurierska Służba Johnsona”. Przewozimy szczególnie cenne ładunki. Znają nas na wszystkich kontynentach. I nic więcej, szeryfie. Po prostu prywatna spółka. Ale jeśli Ameryka zechce wojować, powiedzmy, z Rosją, to my nie podlegamy mobilizacji. Ani my, ani nasz sprzęt. Kumasz? Ciebie powołają. A my na hasło „wojna” włączymy do bunkra i czekamy, aż ten burdel się skończy.

- A Ameryka będzie walczyła z Rosjanami? - mamroce glina.

Billy kręci palcem przy skroni.

- Po mojemu, Gibbson - powiadam - chyba cię wykończyliśmy!

- Tak sędzę - z łatwością zgadza się szeryf. - Ni cholery nie rozumiem. Żebyście już się stąd wynieśli, to by było fajnie. Tylko znajdźcie mi przedtem coś przekonującego.

- Nie ma sprawy! Decyduj: potrzebujesz zgody szefostwa na naszą tu wojenkę czy załatwimy co trzeba po cichu? Ponieważ ja jestem tylko cichym wykonawcą. I mogę wyjść na policję stanową tylko poprzez mojego bossa. A Johnson sankcję będzie załatwiał... przez samą wierchuszkę. Pół godziny i o wszystkim, co się tu wydarzyło, będą wiedziały specsłużby. Wszyscy oczywiście tu runą. Postawią na głowie całe twoje miasto, zadepczą las, wywrócą do góry dnem bagno i na pewno rozzłoszczą Weilandą. Nie dowiesz się nigdy, co siedzi w bagnie. Nie znajdą też nawet strzępka po Sarze. Potem oni nagle odjadą, a ty zostaniesz. I będziesz zazdrościł Marvinowi. Jeśli nie żal ci siebie, to pożałuj missis Sayer.

- Johnson też przyjedzie, jak go znam, a znam - dodaje mój partner. - Ma Liebermanna i nie zawaha się go użyć. Zapewniam cię, kto jak kto, ale ci dwaj są ci tu kompletnie niepotrzebni.

Szeryf zastanawia się. Waży ponure perspektywy.

- Powinienem był was zaprzysiąc - mówi w końcu. - Nie pomyślałem.

- Wyluzuj. My mamy takie dostępy, że żadna przysięga nie jest potrzebna.

- Na lokalną ekologiczną katastrofę też macie zezwolenie?! - wybucha policjant. - Może jeszcze walają się wam po kieszeniach licencje na zabijanie?

- Ciągnij diesla! - odpowiada z dumą Billy.

Jak każdy mężczyzna, który złożył przysięgę na wierność całej ludzkości - a jest ich bardzo niewielu - mój kumpel nie znosi, kiedy go porównują z agentem 007.

Wtorek wieczorem

- Bardzo bylibyśmy wdzięczni, Vero, gdyby nas pani poląła wodą - powiedziałem.

Byliśmy tak usmarowani, że nie zdecydowałem się wleźć do środka maszyny. Nie wpuściłem też Billy ego. Kiedy nad bagnem błysnęła czyściutkimi bokami purpurowa „teczka”, popatrzyłem na siebie, obejrzałem partnera i oświadczyłem: „Pojedziemy wierzchem”.

Billy był tak zmordowany, że tylko zaklął. Usiedliśmy każdy na swoim kilu i poleciliśmy na ogonie „teczki”.

Miasto ocipiało.

I tak w napięciu śledziło nasze poczynania, ale w tym momencie na wszystkich poddaszach otworzyły się okna, a na każdym płaskim dachu stanął człowiek z lornetką. Nie byłem też zbyt zdziwiony, kiedy wyczułem czyjeś zainteresowanie od strony rancho Weilanda. To stary wlaź na wieżę wodociągową i stamtąd gapił się przez archaiczną stereolunetę.

A mój partner oczywiście zapomniał schować armatę za plecami.

Wyobraziłem sobie nagłówek w wiadomościach: „Chłopaki z NASA mają blastery Alienów”, i pomyślałem nie bez sadystycznego zadowolenia - niech się NASA tłumaczy. Dla niej to nic nowego.

Parking na dachu domu Sayerów był pusty i ucieszyłem się, choć to grzech, że mister Sayer jeszcze nie przybył. Nie pałałem żądzą zobaczenia go. Po co mi facet, który nie wierzy w cuda, zimny jak lód w stosunku do żony i uważający siebie za pępek świata? Co to ja - mało takich widziałem?

Vera stała na werandzie.

Billy, wypisz, wymaluj bagienna kikimora, zlaź z kila i usiłował strząsnąć z maszyny wodorosty, które podczas lotu odpadły mu z tyłka i zapaćkały karoserię.

- Nie zdejmuj maski - zarządziłem. - Zaraz poprosimy o kąpiel alarmową.

- Chodźmy za dom - powiedziała Vera.

Wpierw nałożyła fartuch i gumowe rękawice. Aż miło było na nią patrzeć!

Na początku po prostu obracaliśmy się pod strugą wody z ogrodowego węża, potem skoczyłem po szampon i szczotkę. Przydał się w końcu zestaw dezaktywujący, dobrze, że nie wedle przeznaczenia. Na podwórku powstała spora kałuża, w której pływał błotny kozuch z białymi strzępami mydlanej piany.

Vera podeszła do swojej misji niezwykle serio. Polewając nas, marszczyła brwi i zaciskała wargi, a nawet usiłowała komenderować surowym głosem. Billy tarł mnie szczotką i co i rusz nerwowo chichotał. Może dlatego, że wyobraziłem sobie, jak by było cudownie obejmować się z missis Sayer pod prysznicem?

Trudno, nic nie mogłem na to poradzić, takie miałem myśli.

- Nurkowaliście? - zapytała Vera, gdy zdecydowałem, że już wystarczy, i zdjęliśmy maski.

- Wanja nurkował - poinformował ją mój partner. - Ja się topiłem. A on nurkował po mnie.

- Wasze... skafandry można powiesić, żeby wyschły tu na sznurku. Proszę się ich pozbyć i idziemy do stołu.

- Dziękujemy. Mamy suszarkę do kombinezonów, działa znakomicie, błyskawicznie. A co do stołu... Nie chcielibyśmy, żeby babcia Hurt się obraziła. Miasto jest podniecone i zapewne missis Hurt doczekać się nie może raportu o naszej ekspedycji. Żeby potem sto razy opowiedzieć tę straszną historię. Vero... - zawahałem się. - Jeśli pani pozwoli...

Billy odszedł na bok i tam delikatnie, cichutko jak myszka ściągał swój kombinezon. Zwykle, wylazłszy z „kondomu”, na czym świat stoi przeklina ten genialny wynalazek - jeszcze mocniej niż gdy go wkłada. A tu cisza.

- Jeśli pani pozwoli - znalazłem w końcu odpowiednie słowa - nie powiem pani nic ponad to, co już pani wie od szeryfa. Sara zostawiła znaki co najmniej sześć dni temu. I w środku bagna coś dziwnego dzieje się z elektroniką. Na razie to wszystko. Jutro pójdziemy znowu.

W tym czasie Billy świdrował mój tył głowy spojrzeniem. Jak wiertarką.

- Nie chce pan czynić mi nadziei na próżno, Wania - powiedziała Vera. - Dziękuję. Dziękuję wam już choćby za to, że dziś tam poszliście. Nikt poza wami nie odważył się iść przez bagno na piechotę. Najpierw się bali, a potem tak się zawstydzili tego lęku, że pochowali głowy w piasek. Przez

wszystkie te dni odwiedzały mnie tylko trzy osoby - szeryf, babcia Hurt i... stary Weiland. Dziwi to was?

- To są ludzie godni szacunku, missis Sayer - powiedział mój partner. - Dlaczego więc mielibyśmy się dziwić? Proszę nam wybaczyć, że nie zaczęliśmy od razu w sobotę. Zachowaliśmy się jak kompletni idioci. Jak prawdziwi stołeczni szpanerzy.

Ale Billy kompletnie Vero nie interesował. Tak się zdarza z powodu wymuszonego mentalnego sondowania. Nie pamiętała, co z nią zrobił mój partner, ale instynktownie zamykała się przed nim. Patrzyła tylko na mnie.

- Teraz rozumiem, dlaczego miasto było takie przestraszone i skonfundowane, Vero. Przez trzy dni nie wiedzieli, jak nas zahaczyć. Proszę im wybaczyć, jeśli pani może. I nam, żeśmy się od razu nie połapali.

- Ci... Oni od samego początku postawili krzyżyk na Sarze - powiedziała missis Sayer. - Dla nich jak nie ma bransoletki, to nie ma i dziecka. To nic, Sara wytrzyma, ona się czuje w lesie jak w domu. Na bagnie też. Wiem to. Nie puszczałam jej tam bez kamizelki ratunkowej i trzymałam w pogotowiu maszynę, żeby wyciągnąć głuptasa z bagna. Dwa razy tonęła. Potem jej się to znudziło i przestała tonąć. Czy według was jestem szalona?

- A co innego mogła pani zrobić? - prychnął Billy. - Dzieci, dzieci, dzieci, żeby mnie pogięło...

- Według mnie pani jest wspaniała, Vero - powiedziałem.

Nad nami zawisła niezręczna pauza. Tworzył ją mój partner.

- A ja skoczę po suszarkę - zdecydował wreszcie. - Wanja, zdejmuj te manele.

Rozpiąłem kombinezon. A moja missis Sayer stała, ciągle jeszcze w fartuchu i rękawiczkach, i patrzyła jak się rozbieram.

Pod kombinezonem mam specjalny trykot. Przysięgam - na tyle straciłem głowę, że nie wstydziłbym się nawet stanąć nagi przed Verą, ale teraz to wyraźnie był nie ten moment.

Przecież ona wiedziała, jaki jestem bez ubrania. A ja wiedziałem o niej jeszcze więcej.

Boże, co też ja tu nawyczyniałem, ależ historia!

- Ekologiczny college w Baltimore jest gotów przyjąć Sarę już tej jesieni mimo jej wieku - powiedziała missis Sayer. - Ona sama się z nimi dogadała. Postawiła mnie przed faktem dokonanym.

- Pojedzie pani z nią?

- Na jakiś czas. Pół roku, może rok. Zobaczymy.

Rozmawialiśmy tak, jakby dziewczynka była żywa.

Wczoraj Sara była żywa na pewno.

Małe egoistyczne ścierwo...

Złapię - zabiję! Jak swoje.

Na samą myśl, że jedenastoletnia dziewczynka, niech nawet bardzo samodzielna, przesiedzi jeszcze jedną noc w bagnie, gotów byłem wyrwać sobie wszystkie włosy.

- Vero, proszę tak na mnie nie patrzeć - poprosiłem, wieszając kombinezon na sznurku. - Muszę się przebrać, zaraz wracam.

- Pan mnie nie zrozumiał, Ivan - rzekła nagle innym, takim obsuniętym głosem. - Nie oczekuję od was nowin. Skoro już zdecydowaliście... Po prostu na was patrzę. Pan jest inny. Jest pan jedynym człowiekiem, który zechciał mi pomóc. Szeryf trzęsie się o swoją reputację. Weiland spełnia sąsiedzki obowiązek, babcia Hurt jest po prostu dobrą staruszką... Nie wierzę, że ratownicy chodzili po bagnie, Ivan. Po co im to? Wszyscy ślepo wierzą w technikę i boją się pobrudzić. Nawet mój mąż ani razu nie postawił swojej stopy na tamtej ziemi. I mnie nie pozwolił tam iść.

- Jaka tam ziemia! Trzęsawisko... A pani?...

- Kilka razy odprowadzałam Sarę kawałek. Po prostu żeby zobaczyć, jak ona zręcznie przemieszcza się po tych kępach. A kiedy wracała, upijałam się i tłukłam naczynia. Sama, w kuchni. Potem jakby się przyzwyczaiłam. Nie ma pan mi za złe, że to opowiadam?

- A pani nie ma mi za złe, że jestem bez kapelusza?

- Proszę iść się ubrać. - Vera zwolniła mnie cesarskim gestem, popatrzyła na swoją rękę w gumowej rękawicy i roześmiała się. Po raz pierwszy. Niemal zemdlałem. Chyba się rozplątałem w głupim uśmiechu.

Billy ciągle nie przychodził z suszarką. Miałem stracha, że śmiech Very zmieni się w histerię - ale nie. Histerii już więcej nie będzie. Kłamię, będzie jeszcze jedna, kiedy przyprowadzimy Sarę.

Jeśli.

- Proszę zostać na obiedzie, Wania. Wkrótce wróci mój mąż, opowiecie mu, jak lataliście do odległych planet. Pracował dla NASA w swoim czasie. Mnie też to interesuje. A babcia Hurt poczeka. Ona potrafi czekać. Tu wszystkie kobiety to potrafią. Nic innego im nie pozostaje.

- Nie lataliśmy daleko, Vero. I nie jesteśmy z NASA.

Zrobiło mi się bardzo przykro, jak nigdy dotąd, że nie dotarliśmy do jakichś ważnych planet. Dla niej przedarłbym się na Alfę Centauri. Nieważne, jakim sposobem. Nawet siłą woli.

- Zasmuciłam pana, Ivan. - Skinęła głową do swoich myśli missis Sayer. - Czy to... To nie jest tajemnica?

- Nikt w to nie uwierzy - powiedziałem. - Musi pani znać to uczucie, kiedy nikt człowiekowi nie wierzy.



I poszedłem się przebierać.

Mój partner działał suszarką na całego, trzymając kombinezon w wyciągniętej ręce.

- Usta ma małe - uszczęśliwił mnie cenną obserwacją. - Wargi pulchniutkie, seksowne, tak, usteczka naprawdę całkiem, całkiem. Szeroko się nie otworzy. Przygotuj się, żeby cię pogięło. Coś tak skisł, Romeo? Co z tego, że nie dotarliśmy do Jowisza? Kto winien, żeby cię pogięło?

- A w oko chcesz? - spytałem, zapinając jeansy.

- Nigdy nie byłem świadkiem na ślubie - oświadczył Billy, patrząc gdzieś w bok. - Teraz śluby to taka rzadkość... Nawet wśród naturali. A przecież ja i ty jesteśmy najnaturalniejsi z naturali, co, Wanja?

- W Rosji zenią się ciągle i na okrągło. Mogę i tobie coś załatwić.

- Dzięki, nie potrzebuję. Słyszałem o rosyjskich weselach. Ja tyle nie wypiję. A i jakieś to niehigieniczne: ciepłą wodę z zapoconego pantofelka narzeczonej... Kiedy zaczniemy psuć kombinezony?

Przygryzłem wargi. Kombinezonów było mi bardzo szkoda. Pewnie, to tylko biomateriał do rozhodowania i Billy ma w bagażniku drugi komplet, ale kiedy sobie wyobraziłem barbarzyńską operację wydlubowania całego - całego! - elektronicznego oprzyrządowania, tego elektronicznego farszu z naszego roboczego ubrania... No i ta dwugodzinna dłubanina.

- A może kupmy jakieś wędkarskie manele? - zaproponowałem niezbyt pewnie. - W sklepie widziałem znakomite wodery. Są kurtki, siatki na moskity... Obsmarujemy się repelentem...

- To jest, oczywiście, ale „kondom” to „kondom”. - Mój partner pomachał kombinezonem w powietrzu. - Nie ma nic lepszego do łożenia po bagnie. I buty wędkarskie nie podskoczą do naszych. Poza tym jest „dychawica”. Już wymyśliłem, jak można wypruć z niej automat startowy. Będę włączał ręcznie, jeśli znowu wpadnę do jeziora.

- Lepiej już nie wpadaj. Wiesz, jak się przestraszyłem?

- Wiem, dowódco! - Billy mocno klepnął mnie w ramię. - Jasna sprawa, że niepotrzebnie po mnie skoczyłeś, ale i tak jestem ci wdzięczny. Dawaj tu swoją gumę, wysuszę ci. I zapytaj missis Sayer, gdzie tu w mieście jest przyzwoita myjnia. Nie zapomniałem o upomnieniu dyscyplinarnym!

Vera siedziała na werandzie i patrzyła na las. Nienawidziła go - codziennie odbierającego jej córkę. Ale wybaczała mu, ponieważ córce był potrzebny. Mimo wszystko dzieci, to autentyczny koszmar. Nigdy nie wiesz, kiedy cię wystawią. Wystarczą mi moi bratankowie. Niby normalne łobuziaki - maszyny, sport, broń, dziewczyny, niewinne sieciowe rozrywki. Potem - dup! Wpadają na hakerskim ataku i to na takim poziomie, że wujek astronauta ledwo zdołał wyciągnąć ich z kanału. Musiałem swoim kamyczkiem pomachać pewnym osobom przed nosem.

- Domyślcie się, kto tam jest?

- Pięćdziesiąt na pięćdziesiąt. - Usiadłem obok missis Sayer.

Nieco bliżej niż należało.

Nie odsunęła się, wręcz przeciwnie - chciała, żebym był tuż obok. Chciała i bała się przyznać do tego nawet samej sobie.

- Vero, dlaczego szeryf nie powiedział mi, że Sara wzięła ze sobą wojskowy zestaw żywieniowy? Przecież o tym wiedział. I w ogóle, masę rzeczy dowiedziałem się dopiero od pani.

- Gibbson już ją pochował - westchnęła. - Wszyscy poza mną ją pogrzebali, gdy tylko wyłączyła się bransoleta. Dla nich to prostsze rozwiązanie i przyjemniej się z tym żyje. To nie jest okrucieństwo, oni i do siebie odnoszą się... czysto mechanicznie.

Przypomniałem sobie uwagę babci Hurt o tym, że dziecięce bransoletki psują rodziców, i skinąłem głową z gorzkim zrozumieniem. Starzy dobrze myślą, tylko nie potrafią tego zwerbalizować. Świat zmienił się jakościowo. Dla przeważającej większości rodziców na Ziemi nastąpiła bardzo przezroczyta, lekka, komfortowa epoka. Nie trzeba myśleć. Na każdą okoliczność znaleźć można gotowe schematy zachowania. Boli - połknij tabletkę. Nie ma dyplomu - oczywiście, dureń. Zepsuło się - wyrzuć. Nie ma sygnału - nie istnieje. Zniknął bez śladu - umarł.

W wojsku wykładano nam całkiem inną psychologię. Póki nie zobaczyłeś ciała - szukaj, uważaj człowieka za żywego i potrzebującego pomocy. Ale szczerze mówiąc, każdy z nas kosztował supermocarstwa takie pieniądze, że inaczej nie mogły kombinować.

- ...A do noszenia zestawu ja ją zmusiłam.

Sara oszczędzała jedzenie, ale już się jej kończyły tabletki do oczyszczania wody. Będzie śmiesznie, jeśli jutro najspokojniej w świecie wyjdzie sobie z lasu.

„Nie oszukuj się - powiedziałem sobie - nie oszukuj. Sara to oczywiście gówniara, ale gdyby potrafiła wyjść, toby wyszła. Dziewczynka kocha matkę, może specyficznym, ale mocnym uczuciem. A ty po prostu nie chcesz włączyć do trzęsawiska bez broni. »Teczka« potrzebuje trzydziestu sekund, by doskoczyć do ciebie, ale te pół minuty może być najdłuższe w twoim życiu.

No i trzeba będzie wytłumaczyć, jak wezwalesz maszynę, skoro nie masz coma. A tam, kicham! Powiem im, żeby poszli pociągnąć diesla, i kropka. I pójdą, zawsze idą.

Od czasu, kiedy stałeś się Człowiekiem-Z-Magicznym-Kamieniem.

Billy ma dynks. Czarodziej i czarny mag William Mbabete. Jak miło!

Johnson też ma dynks. Ostra kamienna drzazga, nieco większa od twojej, z tego samego meteorytu. Johnson opakował ją w złoto. Kocha złoto.

Tak, on chciał zawładnąć też tym odłamkiem, który przeszedł na wylot przez głowę nawigatora okrętu flagowego, ale mu go nie dali, powiedzieli, że to dowód rzeczowy. I jeszcze nazwali Johnsona nekrofilem. A ten powiada: »Czy ja jestem winien, że właśnie ten kamień mnie przyciąga?«.

One naprawdę same wybierają sobie gospodarzy...».

A Vera patrzyła na mnie. Badała mój profil.

- Mam takie wrażenie, Wania, jakbym znała pana od bardzo dawna.

- To się zdarza.

- Tak, zdarza, kiedy... - zamilkła, nie ryzykując dalszego ciągu. Bała się, że coś palnie. W złym czasie i złym miejscu.

- Stykał się już pan z tym, Ivan?

Teraz pyta mnie o to, co siedzi w bagnie.

- Vero, proszę mnie nie szarpać na próżno. Przecież powiedziałem: pięćdziesiąt na pięćdziesiąt.

- Jak to jest niebezpieczne?

Do wczorajszego dnia to nie zabiło Sary.

- Nie atakuje pierwsze... - Wstałem. - Wie pani co, Vero, pójdę sobie. Im dłużej siedzę obok pani, tym bardziej chce mi się skończyć wszystko możliwie szybko. Muszę przygotować sprzęt i porządnie się wyspać. Myślę, że babcia Hurt obejdzie się bez bajki na dobranoc.

- Wanja! - zawołał Billy. - No to gdzie jest najlepsza myjnia?

- Najdroższa jest pod estakadą szlaku - powiedziała cicho Vera. - Najlepsza na południowym wylocie z miasta. Tam myją wozy na kołach i to po staremu, ręcznie. Ale pańską ślicznotkę na pewno też wezmą.

- Dziękuję! - krzyknął mój partner. - Wanja, ja miгіem!

Vera popatrzyła na mnie. Wzięłem ją za rękę. I opowiedziałem wszystko, co wiedziałem...

\* \* \*

...Do wyspy dotarliśmy wściekli jak stado diabłów, ponieważ Billy po drodze nadepnął na węża. Wyszarpnąłem biednego gada spod nóg partnera, a ten z wdzięczności mnie sfekalizował. Straszny czarny mag William Mbabete wodził lufą na wszystkie strony i mamrotał przekleństwa.

Obiecana „sterta zgniłych bali” okazała się kupą budowlanych belek i paneli ściennych. Wszystko to nie tak znowu bardzo zgniło - w swoim czasie zostało mocno nasączone chemią ochronną. Plastikowy dach widocznie kopacze zabrali ze sobą.

Ruiny wyglądały paskudnie - wszędzie widać było świeże złamania i zwęglenia. Nieźle tu sobie polatał jakiś mądrala.

- Operacja ratunkowa typu „ciągnij diesla, nieboszczyku”! - powiedział mój partner. - Mam nadzieję, że nie będę musiał zażyć ich ratunku, bo prędzej spalą mnie, niż zauważą, dupki!

- To gliny na koszącym. Albo Sayer. Platformy ratowników mają bardzo łagodny wydech. Poza tym ratownicy wedle instrukcji nie mają prawa zawisać nad takimi obiektami. Muszą wylądować obok, wysiąść i sprawdzić, czy nie ma w ruinach człowieka.

- Mają w nosie instrukcje... - Billy przykucnął i zajrzał do wnętrza sterty. - Tędy można się przeczołgać, Wanja.

Włączył latarkę podlufową i poświecił.

- Nie ma tam ni cholery...

Wstał i zaczął krążyć dokoła sterty, zaglądnając do każdej szczeliny, przez którą mogłoby przeniknąć dziecko.

Wyobraziłem sobie, jak to samo robi ratownik. Mężczyzna z latarką przekonany, że dziewczynki pod tą stertą bali nie ma i być nie może - przecież oni wszystko przeskanowali na wylot z wynikiem zerowym.

- Nie dotykaj niczego rękami - powiedziałem i poszedłem od ruin w stronę brzegu wyspy.

Krzaczki, drzewka, krzaczki, drzewka. Sara jest dziewczynką skrytą niczym małe zwierzątko. Poza tym jest dziewczynką akuratką, nawet pedantyczną, nie to co Billy.

Wypatrzyłem krzaki z największymi liśćmi i wlałem w nie. Znalezisko odkryłem po około trzech minutach. Kiedyś było to kupką fekaliów delikatnie przysypanych ziemią. Niełatwa jest praca tropiciela. Mocno pożałowałem, że nie znam się na ludzkich wydzielinach. Jak odróżnić kał dziewczynki od kupy ratownika? Według wielkości? Wszystko się rozłożyło - wilgoć i upał. Zresztą... A gdyby tak poszukać świeżych dziewczęcych odchodów? Ech, dlaczego nie jestem psem?

Wyczuwszy mój myśliwski zapach, przyleciał Billy. Po kilku minutach znaleźliśmy miejsce, nad którym leniwie roiły się muchy.

- Po raz pierwszy żałuję, że nie znam się na gównie - przyznał mój partner. - Z uwzględnieniem temperatury i wilgotności... Cholera ją wie, Wanja.

- Ale za to wiemy już, że tu jest jej baza. Chodźmy, poprzierzucamy bale.

- Żeby cię... - Billy gwałtownie odwrócił się twarzą do niewidocznego stąd miasta.

Waliła do nas na boosterze maszyna patrolowa. Dopiero co wystartowała z dachu posterunku.

- Gibbson, co jest, u diabła?... Gibbson! - wrzasnąłem w com.

- To dobre! - powiedział mój partner. - Zręcznie. Była łączność i nagle ciągnij diesla.

Zauważyłeś coś?

Nie umawiając się, stanęliśmy plecami do siebie i unieśliśmy lufy.

- Ani pstryczka, ani szelestu. Po prostu ktoś oczyścił częstotliwość. I com nawet nie pisał. Kto potrafi tak zagłuszać, dowódco? Co mi to przypomina?

- Zaraz będzie łączność - obiecałem mu. - Jak tylko patrol wyskoczy zza lasu. A co ci to przypomina, wiem. I ty też już się domyśliłeś.

Oczywiście, że się domyślił. I zareagował jak typowy astronauta.

- Powystrzelam gadów - obiecał. - W końcu. Czyżby, kurde? Wpadliście, gołębiczki. Wdupiliście się. A-a-ach... Aż mi się nie chce wierzyć. Spełniło się marzenie, co, dowódco, żeby cię pogięło? Bokiem wam to wyjdzie. Bo to jest, piździelce skośnookie, nie topienie terierów w bagnie i czadzenie w mózgu dziewczynki. Wpakowaliście się na parę drapieźników!

Zapomniałem już, jaką głównianą prędkością dysponują policyjne maszyny. Kiedy człowiek sam gania niby jakiś James Bond na podrasowanej „teczce”, odbiera świat przez pryzmat jej unikatowych możliwości. Wydaje ci się, że „skok i na miejscu” to norma.

- A dlaczego oni nie zdechli? - zamyślił się na głos Billy. - Powinni przecież byli zdechnąć, jeśli mocno wylądowali. Czyli co: nie oni?

- Ja też tak sądzę.

- Ale kto w takim razie siedzi w bagnie, żeby go pogięło?... Nie zwierzę przecież. Według nas to jest to coś technicznego, dowódco! Spadła z orbity sekretna broń ruskich? Do tego stopnia tajna, że sami o niej zapomnieli? Bzdura.

- Miejmy nadzieję, że nie automat. Jeśli to coś technicznego i ma operatora, to go złapiemy i wszystkiego się dowiemy... O, patrol się zjawił, nie omieszkał!

Ponad ścianą lasu przeskoczyła migająca kogutami plamka i runęła w naszą stronę.

- ...pcy, gdzie jesteście, chłopcy, odpowiedzcie, porucznik Gibbson wzywa Ivana, gdzie jesteście, chłopaki... - rozległo się w słuchawkach.

- Zawołaj Clarissę! - zażądał mój partner.

- Co?... Och, Ivan! Jesteście cali?

- Samopoczucie w normie. Wracaj z patrolem do siebie.

- Poczekajcie. Zaraz... Och, was jakby ktoś wyłączył!

- Dawno?

- Kiedy doszliście do wyspy. Nie od razu skumałem, co się wydarzyło. Krzyczałem, wrzeszczałem, potem patrzę: wasze metki zniknęły z mapy! A częstotliwości przecież nie są zagłuszone. Takie wrażenie, jakby was ktoś starł. Chłopaki, och, chłopaki... Ivan! Wsiadajcie do maszyny. Niech to szlag. Wracajcie.

- Odwołaj maszynę, Gibbson.

Patrolowiec wykręcił nad bagnem szeroki łuk i zniknął, z „ryja” dotarło do nas coś krótkiego i wyrazistego.

- Ciągnij diesla! - wrzasnął Billy na pożegnanie. - Szeryfie, dlaczego twoje dupki przeklinają? To jest naruszenie dyscypliny. Złóż skargę.

- Pewnie się boją - powiedział nasz glina. - O was, nawiasem mówiąc.

- O siebie się boją, żeby cię pogięło! Czują, jakie tu się rozpęta piekło, jeśli nas porwą zielone ludziki. A na mnie napadła żmija, kumasza? Jak mi się nie wczepi w nogę...

- Słyszałem, gdzie ci się wczepiła - powiedział szeryf. - Łączność zanikła później. Ivan! Nie

podoba mi się to, co się tam dzieje. To mi wygląda na zagrożenie.

- Jak chcesz, to palnę w powietrze z połowy mocy - zaproponował Billy. - Może dotrze do ciebie, kto tu stanowi realne zagrożenie.

Tak właśnie mój partner zwykle dodaje sobie odwagi. Naprawdę miał ochotę palnąć w powietrze. Po prostu, żeby odegnąć wszystko i zewsząd.

- Gibbson, bez paniki - zacząłem. - Zrobimy tak: ty tam nie milcz, tylko posadź człowieka, który ma raz na minutę dać głos...

- Clarissę! - palnął od razu Billy.

- ...żebyśmy wiedzieli, że mamy łączność. Kiedy się zerwie, nic nie rób. Kompletnie nic. Jeśli będzie z nami kiepsko, damy znak. To będzie słup pomarańczowego płomienia, zobaczysz go na pewno. Na błyski i odbicia nie zwracaj uwagi, zgoda? A jeśli zobaczysz słup...

- To startować wszystkimi maszynami i walić do was? - zapytał szeryf głosem człowieka, który dostał wyrok: lizanie rozżarzonych patelni.

- W żadnym wypadku. Tylko jedna maszyna i to ostrożniuteńko. Niech tu... się rozejrzy. A ty weźmiesz moją wizytówkę, tam jest numer comu Johnsona. On zorganizuje całą resztę.

- Wolę zabrać was stamtąd od razu! - oświadczył twardo nasz glina.

- To przesadna asekuracja - powiedziałem. - Wszystko będzie w porządku. Bywaj, szeryfie, przystępujemy do badania wyspy. Na razie.

- Powodzenia, psychole - wycedził.

Trąciłem Billy'ego łokciem i przyłożyłem palec do warg, znaczy do miejsca, gdzie zwykle je mam, kiedy nie nałożę maski. Mój partner skinął głową. Nieumotywowane zniszczenie pnia ze znakami mocno go rąbnęło. Przypomniawszy sobie o swoich „jasnowidzkich wyczynach” i już nie odbierał zniknięcia Sary jako lokalnego problemu. Kryło się tu coś poważniejszego. Możliwe, że dotyczącego nas i tylko nas.

Podeszliśmy do ruin i zaczęliśmy przekładać bale.

Cholernie ciężkie zajęcie.

- Ivan... William... - rozległo się w słuchawkach.

- Clarisso... - zagruchał Billy. - Jakże się cieszę, że panią słyszę!

- Denerwujemy się przez was, bohaterzy.

Było to powiedziane ciepło. I „was” oznaczało „mnie”.

Następne dziesięć minut mój partner bez przerwy gaworzył. Opowiadał Clarissie, jak tu gorąco, duszno i strasznie. Opisał w detalach atak żmii („Jakieś siedem stóp, no, może sześć, i zęby jak u owczarka!”). Zauważył mimochodem, że coś takiego nie przydarzyło mu się nawet na Tytanie („A jest to najgorsze miejsce w Układzie Słonecznym, zapewniam panią, Clarisso!”). Przypomniawszy od niechcienia, jak ścisnął mu dłoń sekretarz generalny Narodów Zjednoczonych. Obiecał zawieźć dziewczynę na Księżyc i powozić wierzchem na radzieckim łunochodzie („Do tej pory jak nowy, taki fajny!”). Reszty tego bredzenia nie zapamiętałem.

Musiałem mu przyznać jedno - mimo gadulstwa znakomicie pomagał mi odrzucać panele ściennie i przesuwać bele konstrukcji. Potem znalazłem czarny plastikowy worek. Był bardzo przemyślnie ukryty, nawet gdyby ktoś wlaźł do wnętrza stosu bierwion, odkryłby go, dopiero uderzywszy weń nosem.

- Przepraszam, Clarisso, jestem potrzebny dowódcy - powiedział Billy. - Proszę wywoływać nas co minutę. Pani głos to najprzyjemniejsza rzecz, jaką usłyszałem tego francowatego dnia.

- Nie licząc, rzecz jasna, chrzęstu, z jakim pękł czerep anakondy w twojej ręce! - przypomniałem.

- O tak! - zawołał mój partner i pokazał mi pięść.

Worek był mocny, pojemny i hermetyczny. Och, nie jesteś głupia, mała Saro! Otworzyłem klapę i znalazłem wewnątrz... Czego tylko ja tam nie znalazłem!

Różne turystyczne manele, łącznie z karimatą, podgrzewaczem i składaną mikrofalą. Coś, co nazwałbym „przenośnym laboratorium chemicznym”. Mnóstwo sond i próbników, słoiczków i pojemniczków. Poza tym paczka z czystą bielizną. Paczka z brudną bielizną. Paczka ze śmieciami. Ale oto czego tam nie było - latarki, noża, baterii, jedzenia i lekarstw. No i nie było niczego do pisania - dziecko pewnie stukało bezpośrednio na comie albo i od razu przerzucało infę do Sieci.

Nie było też czerwonego markera.

- Co to? - zapytał Billy.

„To” było starannie zapakowaną w pojemniczek na próbki psią bojką. Z wygrawerowanym napisem „Terry” i adresem Roadsów.

Oddałem boję partnerowi, a sam zabrałem się do badania śmieci.

„William... Ivan...” - wołała nas co minutę Clarissa i co minutę Billy odpowiadał jej: „Jestem”.

Śmieci niemal od razu dały odpowiedź na pytanie, co dziewczynka jadła. Zobaczyłem opakowanie po standardowej racji wojskowej, a w niej puste kasety. Dwie, trzy, sześć... Sześć zużytych dobowych zestawów z dziesięciu. Ale kiedy zostały otwarte i w jakiej kolejności zużyte, nie mogłem, rzecz jasna, określić. Ciekawa sprawa była z tabletkami do odkażania wody. Można stosunkowo łatwo ograniczyć sobie jedzenie, ale żeby zaoszczędzić tabletki i nie zatruć się, należy dysponować sporym i - w jej przypadku - cudzym doświadczeniem. Ktoś, kto przeżył w ekstremalnych warunkach, musiał jej opowiedzieć, jaki musi być stosunek ilości reagentu do ilości cieczy. Do jakiej wody od biedy wystarczy ćwierć tabletki, a do jakiej mało nawet półtorej. Z Sieci takie infy są wycinane bezlitośnie, bo i po co tam mają być? Nie ma na Ziemi miejsca, do którego ratownicy nie dotarliby w ciągu doby. A przez dziesięć dób przeczesałoby gęstym grzebieniem nawet źródła Amazonki. Tu też niby przeczesał, pewnie. No, starczy tej literatury!

Sara nie mogła zaoszczędzić tabletek. Wrzucała je zgodnie z przepisem do standardowej manierki i zużyła już dziewięć norm. W taki upał dzieci piją nie mniej niż dorośli, może nawet więcej.

Wracała tu, do swojej bazy, codziennie - i odchodziła znowu. Do rodzinnego domu mogłaby dobiec stąd w trzy godziny, góra! Ale nie pobiegła tam. Dlaczego?

Tabletki i racje nosiła ze sobą. Czyli była niezależna od bazy.

Co w takim wypadku ją tu trzymało?

Woda wokół wyspy kiepska. W jeziorze, gdzie siedzi monstrum, pewnie jest czystsza. Piec? Wojskowe samopodgrzewające się racje - świństwo. No, podgrzane w mikrofalach - jak cię mogę. Ale to nie mogło być przeszkodą dla tej małej. Co w takim razie było? Zmiana bielizny? Fizjologia? Dlaczego nie mogła załatwiać się tam... Tam, dokąd chodziła? Pewnie tam nie było warunków. A gdzie nie ma warunków?

- Ciekawa sprawa - powiedział Billy, podając mi rozebraną boję.

Jej krucha elektronika wyglądała dziwnie. Niech to diabli, była spieczona! Jakby się znalazła... Popatrzyłem na mikrofalę. Nie, oczywiście, że nie...

- Potrafiłbyś tak? - zapytałem.

- Teoretycznie? Pewnie tak, jakbym ześwirował. W ataku szału. Przecież nie jestem takim Żelaznym Johnem, jak co poniektórzy, żeby cię... pogięło. No to co wymyśliłeś, dowódco?

- Słuchaj.

Partner przylgnął do mnie ramieniem, a ja pokazałem, pokazałem w wyobraźni, swoje domysły.

- Logiczne - przyznał Billy. - No to wszystko jasne, żeby cię pogięło. Znaczący, wszystko jasne, ale nic z tego nie rozumiem. Wychodzi teraz na jaw trudne dzieciństwo spędzone przeze mnie na stacji benzynowej.

Zacząłem pakować z powrotem śmieci do torby.

Tak więc Sara Sayer, dziewczynka z „zieloną ręką”... Hoduje wymierające rośliny, Igną do niej wszelkie stworzenia pozbawione mowy. Dorośli uważają ją za dziwną, rówieśnicy też, a małe dzieci - wcale nie wszystkie. Na przykład malutką Roads Sara nauczyła hodować kwiaty. I dowiedziawszy się, że zaginął jej ulubiony terier, poszła do lasu na poszukiwania. Nie wpadła nawet do domu, rower porzuciła pod drzewami. Dopiero wieczorem odkryto jej zaginięcie i wtedy okazało się, że jej dziecięca bransoletka milczy. Więcej już nikt Sary nie widział.

Mała odkryła coś na bagnach. I albo zaciekle oddała się badaniu tego czegoś, albo też znalezisko oddało się badaniu dziewczynki. Nie mniej zaciekle.

Żeby odpędzić ponure myśli, powtarzałem sobie, że „kontaktowcy” - niby że komunikujący się z Obcymi - to frustraci albo i psychole. Zielone ludziki - żeby wyzdychali ufolodzy i inni fantaści! - mają Ziemię kompletnie w zadku.

No to jaka cholera się wtedy na nas zwała?

Zegarek wskazywał piątą po południu. Przyjdzie dzisiaj? Coś mi podpowiadało: nie. Przyjdzie jutro? Liczyć na to nie miałem prawa. Na bagnach każda minuta może być ostatnia. Poślisz się i już jesteś po pas w trzęsawisku. Im bardziej się szamoczesz, tym szybciej cię zasysa. To byłby koszmar, gdybyśmy tak sobie siedzieli na balach, a milę od nas tonęła Sara. Nawet nie wiem, czy poczulibyśmy jej bezgłosny, paniczny krzyk. Tu nie tylko elektronika wysiada!

To ostatnie stało się jasne dopiero teraz. Przecież tylu ludzi latało nad topielą przez cały tydzień! Powinni byli zobaczyć cokolwiek podejrzanego, ale nie. Czyli wygląda, że tylko Billy i ja jesteśmy efektywnymi ratownikami.

„Musimy, znaczący się, ruszać - uznałem. - Żeby nie było potem wstyd. No i Vera... Znowu o niej myślę!”

Wepchnąłem manele naszego młodego ekologa do worka, zamknąłem go i położyłem na miejsce. Gestem pokazałem partnerowi, że należy przywrócić *status quo*. Billy zasapał z dezaprobatą, ale bluzgać nie zaczął. Jakoś tam przywróciliśmy ruinom ich poprzedni wygląd i ciężko dysząc, poleżaliśmy w bagno.

Według czerwonej strzałki.

Do zarośniętego jeziora dotarliśmy dopiero po półtorej godziny. Przed nami wyrosła ściana trzciny, zza której nie dochodził żaden dźwięk. Nadal nie mogłem wymacać wewnętrznym okiem bagiennego monstrum - jak się wcześniej zatajniał, tak dalej siedział cichutko. Zagrożenia ze strony jeziora też nie wyczuwałem. Łączność działała bez zastrzeżeń. Usiłowaliśmy znaleźć do jędy do wody. Ale czy źle patrzyliśmy, czy Sara zachodziła z drugiej strony, czy może już mieliśmy dość tego wszystkiego... Tak czy inaczej, kiedy Billy wyraziście potrząsnął swoją armatą, skinąłem głową.

Mój partner włączył cięcie, ustawił długość płomienia na dwie stopy, wziął armatę w jedną rękę i zaczął wymachiwać lufą jak maczetą. Otoczywszy się kłębamii dymu i pary, ruszył w stronę jeziora i po minucie straciłem go z oczu. Leciały tylko strzepy z mętnego obłoku - Billy nie starał się za bardzo i czasem zahaczał plazmowym żądłem również mokry grunt. Był już zmęczony i zły. Marzył, żeby

przyciąć komuś rogi. Szedłem więc za nim i myślałem, czy nie napomknąć partnerowi, aby machał ostrożniej. Dla zbiorników wodnych powstających w miejscu wydobycia torfu charakterystyczne są spadziste brzegi...

W tym momencie Billy'emu skończył się brzeg pod nogami.

- Yyyy... - zaczął.

Bałem się rzucić się do przodu i chwycić partnera za pas - odruchowo wduślił przycisk spustu. Nie pozostało mi nic innego, jak czekać, aż tonący sam się jakoś sensownie ustawi. Na przykład upadnie na plecy, wyłączy giwerę i odpełźnie.

Ale Billy ustawił się głową w dół. Z głośnym niecenzuralnym wrzaskiem i ogłuszającym syczeniem runął do jeziora, wzbijając w powietrze ogromny słup pary. Woda bulgotała i wrzała dokoła mojego partnera.

- Napadli na nich! - pisnęła Clarissa, ale tak, że omal nie wyskoczyłem ze słuchawek.

- Cicho! - rozkazałem. - To tylko William. Wielki i potworny. Zawsze tak drze mordę, kiedy wpada do bagna.

Czułem się dość swobodnie. Monstrum, jeśli jeszcze tu było, w żaden sposób nie zareagowało na występ Billy'ego. A on rozłożył się na niewielkiej głębokości i w tym położeniu wolno go zasysał przydenny muł. Kombinezon przeszedł w tryb autonomiczny, „dychawica” działała jak należy.

Mój partner bardzo chciał, żebym go możliwie szybko wyciągnął. Jezioro przeciwnie - mlaszcząc z uczuciem, połykało zdobycz. Para rozwiała się, nad miejscem upadku Billy ego wypływały i pękały ogromne pęcherze. Dalej rozpościerała się zielona gładź ozdobiona wysepkami pływających roślin. Ani jednego czystego miejsca, sama rzęsa.

Włożyłem broń do kabury na plecach i zrzuciłem wraz z nią kamizelkę. Popuściłem wszystkie zapięcia na kombinezonie. Wyjąłem parę pasów asekuracyjnych. Zdjąłem maskę, żeby pomóc sobie zębami - musiałem mocno pozaciągnąć pasy pod pachami. Potem uszczelniłem kombinezon, odpałem „dychawicę”, niezręcznie przeżegnałem się i zanurkowałem.

Już po tym, jak zerwałem wentyl na zbiorniku z powietrzem, poczułem, że popełniam jakiś głupi błąd. Ale było za późno.

Zwaliłem się partnerowi na plecy, objąłem go rękami i w tym momencie mój kombinezon nadał się jak balon. Najpierw obaj zatonęliśmy w mule, ale po kilku sekundach zaczęło nas wyciągać na górę. Już nie mogłem obejmować Billy ego, próbowałem tylko jak najmocniej wpić się palcami pod jego pas.

Sprawca zamieszania, rzecz jasna, też trochę podmuchał swój kombinezon, inaczej nieźle by go zassało, ale któryś z nas musiał zachować mobilność. Billy odpadał, bo raczej by się zadławił, niż zostawił na dnie mienie państwowe. Czy to groszową kamizelką pancerną, czy plazmowy karabin wart pół miliona.

Po minucie sytuacja stała się następująca - ja, sypiąc na partnera najgorszymi bluzgami, bełtałem się na powierzchni jeziora, a on, nerwowo chichocząc, siedział na brzegu.

- Gdzie jesteś, dowódco? - zapytał. - Aha, widzę. Nie rzucaj się.

„Gdzie jesteś?” - dobre pytanie. Znajdowałem się, mówiąc obrazowo, na dole rozdmuchanego jak balon kombinezonu.

- Nie próbuj dziurawić „kondoma”, durniu! - wrzasnąłem. - Przecież nie trafię ani w spodnie, ani w rękaw! Utonę w cztery dupy!

- Spokojnie, dowódco. Już za chwilę zaczepię twój aerostat kotwą, podciągnę cię do brzegu i



spróbuję coś na tobie rozpiąć.

Po pięciu minutach siedzieliśmy na brzegu już obaj, szczelnie pokryci mułem, i usiłowaliśmy odetchnąć po niedawnych przeżyciach. W słuchawkach szebiotała zachwycona Clarissa i przeklinał szeryf.

- Wykopaliliśmy się, żeby cię pogięło - powiedział Billy. - Dowódco, proszę o pozwolenie zadania pytania głupiego i nie na miejscu. Po kiego wała zanurkowałeś?

- Po ciebie.

- Nie mam więcej pytań - skinął głową mój partner.

Trudno byłoby znaleźć bardziej kretyński sposób na wyciągnięcie Billy ego niż ten, który ja wymyśliłem. Przez jakiś czas byliśmy kompletnie bezbronni, na szczęście albo swoimi wyczynami zastraszyliśmy monstrum, albo ono, nie będąc głupie, po cichu umknęło z jeziora.

Sam bym umknął po upadku takich potworów.

A przecież wystarczyło podciągnąć tu „teczkę”, wysunąć manipulator i poszukać na dnie. Mojemu partnerowi nic by się nie stało. Nawet jeśli woda lodowata, to kombinezon ma ogrzewanie... Ale ja, znając czujny charakter monstrum, zakazałem sobie myśleć o maszynie. Miałem nadzieję, że lada moment znowu zaniknie łączność i nieznane skoczy na nas, kłapiąc zębiskami.

Billy zagapił się na przeciwległy brzeg jeziora.

- Co? - zapytałem.

- Zrób powiększenie do maksimum. Bliżej przy tamtym brzegu powierzchnia jest inna niż tu.

Podkręciłem soczewki swojej maski i zobaczyłem, że partner ma rację. Rzęsa tam, gdzie on pokazywał, wyglądała na nie tak zwartą. Wstałem i rozmasałem spojrzenie. Tak jest! Przy tamtym brzegu na powierzchni jeziora była plama. Wielka jak cholera. Jakby tam coś regularnie wypływało, poruszając rzęsą, nie dając jej zaciągnąć lustra wody.

- Mimo wszystko zaliczamy trafienie - powiedział Billy. - Jest tutaj. Nawiasem mówiąc, to i zarośla na tamtym brzegu nie są takie zwarte. Mam propozycję, dowódco. Nie leźmy dzisiaj na tamtą stronę! Jestem zmęczony. W każdym znaczeniu tego słowa. A i tobie też przyda się regeneracja.

Wstałem i w myśli zawołałem Sarę. Z jakiegoś powodu wcześniej nie przychodziło mi to do głowy. W ogóle jakoś głupio się teraz zachowywałem i przez cały dzień właściwie nie zrobiłem nic konstruktywnego. Starzeję się, to pewne. Trzeba było przez cały czas przywoływać małą. Starac się złapać moment, kiedy niewidzialne drzwi odgradzające dziewczynkę od świata otworzą się na chwilę. Przecież czasami się otwierają. Dziewczynka natychmiast poczuje neodpartą chęć wyrzenia na świat. I wyjrzy, jeśli tylko będzie mogła. A wtedy już jej nie stracę.

- Bez sensu, dowódco. - Mój partner splunął. - Bariera. Klient wie, że tu jesteśmy. Wyczuwa elektronikę. Dowolne ogniwa. Jak mogłem od razu się nie domyślić... Tu należy przyjść bez ładunków. Nawet luf nie możemy wziąć, ot bieda, żeby cię pogięło. Gołymi rękami będziemy dziewczynkę wydłubywali.

- Myślisz, że ona tam jest? - Wskazałem palcem plamę na jeziorze.

- A istnieją inne warianty? Pewnie, że tam. Gotów jestem założyć się o dwa dychulce. Przecież ona nie jest normalna, czego innego możesz oczekiwać?

Billy mówił z taką pewnością i z takim nieudawanym smutkiem, że aż mi ciarki po plecach przeszły. Nagle zapragnąłem zobaczyć Johnsona tu, teraz, na brzegu. Niech on wsadzi rękę do wody, wyciągnie monstrum za skórę na karku i wpieprzy mu dla przykładu.

Partner przyjrzał mi się, wstał i trącił mnie łokciem.

- Nawet nie myśl - powiedział. - Damy radę. Ty tego... No, wiem, że wiesz.

- Dobra, idę po diesla.

Jak wielu wojskowych Billy nie znosi, kiedy jego dowódca ma atak słabizny.

Środa rano

Budzę się i myślę: „Dlaczegoż to ten Billy jest taki szczęśliwy?”.

Partner mój stoi na środku pokoju na głowie i drapie piętę jedną o drugą. Jeszcze nie jest do końca ubrany, ale za to umyty, ogolony, pachnie drogą wodą kolońską.

- Dzień dobry, dowódco - mówi. - Słuchaj, tak sobie pomyślałem.. Jeśli dziś zakończymy tu sprawę, Johnson nie będzie musiał o tym od razu koniecznie wiedzieć?

Diabli by to wzięli, jeszcze wczoraj wieczorem jego czarna fizys była niemal szara i odzwierciedlała smutek całej ludzkości. A dziś z rana ten radosny antracytowy pysk wyraża pełną gotowość zakończenia sprawy jednym strzałem. Zawsze taki jest ten nasz Billy, kiedy wytrzeźwieje, wyśpi się i podpompuje swoje zasoby energetyczne do normy.

- Kto wie, co wie Johnson? - odpowiadam pytaniem retorycznym.

Mój partner chmurzy się. W położeniu do góry nogami wygląda to zabawnie.

- Przypuśćmy, że wstrzymam raport - precyzuję. - Ale jeśli boss śledzi nasze poczynania, to może wypaść nieładnie.

Billy przenosi się ze stania na głowie do normalnej pozycji. Myśli o Johnsonie. Ocenia szanse. Boss poza nami ma jeszcze sześć par takich kurierów. Gdzie teraz są koledzy i przyjaciele, czego potrzebują... O, mój czarnolicy partner już się nimi zainteresował! Jeszcze moment i zaczną niuchać, jakie prowadzą sprawy. Chłopaki wyczują jego zainteresowanie, nie pozostaną dłużni, przesondują nas. Tę niepotrzebną aktywność wyczuje z kolei Johnson i zaczną się zastanawiać - po co to. Prześledzi łańcuszek, wyczał tego, co zaczął.

Wreszcie Billy zezuje na mnie i wzdycha. Sam doszedł do tego samego wniosku.

- Co ci? - pytam.

- Zobacysz - odpowiada zagadkowo i słodko mruży oczy.

Wstaję i idę pod prysznic. Po drodze usiłuję przeskanować w myślach miasto. Udaje mi się, ale niestety za dużo hałasu. Tu wszyscy pamiętają o naszej obecności i myślą o nas tak czy siak. Nic konkretnego nie mogę wyłapać.

Za to po takiej gimnastyce jestem pewien, że naprawdę wytrzeźwiałem do końca i nieźle odpocząłem. Mój dar w końcu pracuje pełną mocą. Nie, to nie tak. Rzecz nie w mocy, nie w sile... Pojawiła się precyzja i subtelność. Wczoraj mogłem odpędzić od siebie człowieka siłą woli, a dziś - poproszę, by zrobił, co każe.

Nie „odłączam” się od miasta i po kilku minutach zaczynam rozróżniać odcienie. Na mapie w mojej głowie zapalają się światełka silnych emocji. Miłość, nienawiść, ból, strach. Mało strachu, to świetnie. Mało nienawiści. Wszędzie cieszą się dzieci. Dzieci radują się jak jaskrawe ogniki. A oto czarna plamka, ale próbuję jej nie zauważać. Nie mogę teraz zająć się malutką Roads, to mnie wykończy.

Taaak, a to kto? Znajoma sylwetka. Czyżby Clarissa? Cała w wątpliwościach i tęsknocie. Zapamiętamy to sobie. A to...

A to Vera, stojąc pod prysznicem, głaszcze się i marzy o mnie.

Czuję, jak krew napływa mi do twarzy. I nie tylko.

Myślałem, że wystraszyłem ją wczoraj i obraziłem. Jak by się kobieta nie odnosiła do swojego męża, on zawsze jest jej własnością, niech nawet odrobinę. A ja na tę własność urządziłem najazd. I nie wiadomo, jak się sprawy potoczą dalej. Miał rację Billy co do pana Sayera. Może to i znaczący uczony, ale jako człowiek - dupek samolubny i samowystarczający. Po cholere tacy jak on w ogóle obudowują się rodzinami, nigdy nie zrozumie. Żonie pół życia spieprzył, córkę wychował niemal na autystyczkę. Zacząłem lepiej rozumieć Sarę, zobaczywszy jej ojca. Wcześniej niektóre cechy charakteru dziewczynki wydawały mi się paradoksalne. A teraz wiele się wyjaśniło. I współczucie do nieszczęsnego tatunia stopniało do zera.

Dobrze, że Vera się nie obraziła.

Niepotrzebnie spuściłem Sayera z werandy. Chociaż - niech mi to udowodni! Sam upadł. I pierwszy zaczął. „Kim są, co się dzieje, kto pozwolił, jak się odważyli, spadajcie w diabły, nikt was nie zapraszał, dlaczego zamknięta przestrzeń powietrzna...” Bo on unikatowy detektor przywiózł - widzicie go! U nas taki już dziesięć lat temu był używany do operacji ratowniczych. A jak się okazało, że guzik wart, przekalibrowaliśmy go dla jaj na wykrywacz spirytu. Biegaliśmy po bazie, biegali, potem się nam znudziło. Potem Billy się lekko nateżył i technicy sami kanister przynieśli.

Zobaczmy, co Sayer zaśpiewa, kiedy zobaczy, że jego detektor się sfajczył. Inna sprawa, że ja też spaliłem sobie przy tym trochę nerwów, ale to było cholernie kuszące. Billy się porechotał. Powiedział: „Wanja, przestań się bawić w kierowcę, zatrudnij się jako przemysłowy dywersant, będziesz opływał w bogactwo”.

Ale on mi zazdrości. Bo ja umiem psuć nie tylko sprzęt...

A w ogóle, ludziska, nie pakujcie się w cudze problemy. Zwłaszcza rodzinne. Wyciągniemy Sarę, rzuci się tatusiowi na szyję...

Jeśli wyciągniemy...

Z tą konstruktywną myślą wracam do pokoju, a tam mój partner wierci się przed lustrem. To rozepnie guzik koszuli, to zapnie.

- Tak lepiej? - pyta. - Czy tak?

Sfiksował.

I nagle słyszę - do drzwi dzwoni Clarissa.

- Jarzę - mówię. - Dlaczego nie możesz poprosić Johnsona o tydzień urlopu?

- A może się jej nie spodobam, e-e... Podczas bliskiego kontaktu trzeciego stopnia? - zaczyna się łamać Billy. - I co ja wtedy z urlopem zrobię?

- Co za merkantylna i wyrachowana cholera z ciebie, nie mam słów. Typowy Amerykanin.

- Życie mnie nauczyło. Kiedy przez całe dzieciństwo biega się z pistoletem dystrybutora, żeby cię pogięło...

Stara śpiewka. Nosi tytuł: „Ach, ja biedny czarny chłopiec”. Ja, wiecie państwo, też nie wyrosłem w pałacu. Mama nauczycielka, ojciec był nawigatorem na aerobusie. A Billy, nawiasem mówiąc, miał dwóch braci, tak więc nie musiał sam biegać z pistoletem po stacji benzynowej. I obsługiwali, hop-siup, sam antykwariat. To nie to, co teraz - bierze się taki element paliwowy, targa do naładowania i kto na oczy widzi benzynę czy inną ropę? Kto w ogóle był na takiej prawdziwej stacji benzynowej? Billy sam się chwalił, że pierwsze chesne zapłacił z napiwków. Jak sobie człowiek wyobrazi te napiwki, to się można śliną zachłysnąć.

- Chłopcy! Do stołu!

Schodzimy na dół, w jadalni Clarissa z babcią Hurt cicho sobie szczebiocą jak dwie koleżanki-rówieśniczki. Zaiste dobry dzień. I zero problemów. Wszystkie problemy dopiero po śniadaniu.

Nasza Barbie intensywnie się przygląda, jak Billy je. Próbuję nie parsknąć śmiechem. Babcia Hurt przestała już się dąsać. Zobaczywszy wczoraj nasze wymizerowane oblicza, zaczęła kwoczyć nad swoimi dwoma bohaterami jak nioska. A w dowód wdzięczności my do niej ani słowa o koszmarze z torfowego bagna.

Co prawda, jeśli dobrze usłyszałem z piętra, późnym wieczorem babcia połączyła się z Verą i rozmawiały sobie dość długo. A w jakim stopniu zostało o naszych wyczynach poinformowane miasto i w jakim tonie - możemy tylko się domyślać.

A to, że nurkowaliśmy w bagnie, i tak wszyscy wiedzą. Na pewno bardzo to rozeźliło gliny i ratowników, ale mogło podnieść nasze akcje u reszty ludności.

- Clarisso, jak samopoczucie szeryfa Gibbsona? Już się odprężył po wczorajszym? - Clarissa przenosi roztargnione spojrzenie z Billy'ego na mnie i nie bez wysiłku wraca do rzeczywistości.

- U szeryfa teraz jest mister Sayer. Żąda, by mu otworzono „powietrze” nad bagnem. Żrą się już bitą godzinę. Dlatego szeryf nie przyjechał po was. A właśnie! Sayer już zdążył odwiedzić sędziego. Usiłował mu wsunąć jakieś dziwne oświadczenie. Tyczące was.

- Gotów jestem się założyć, że szyje nam oszustwo - mówi mój partner. - Wygodny paragraf na wszelkie okoliczności życia.

- Proszę się nie niepokoić, sędzia obiecał Sayerowi, że sprawdzi to na okoliczność precedensów. Co oznacza w przekładzie na angielski, że będzie zwlekał, aż się wszystkim znudzi. Musicie potem wpaść do sędziego. To cudowny staruch, tyle że pijący.

- Pani pójdzie z nami, nieprawdaż? - grucha Billy.

- Przepraszam. - Wstaję od stołu, odchodzę na bok, wciskam piąty przycisk na comie i żądam prywatnego kontaktu.

- Czego? - warczy szeryf.

- Gibbson, Sayer jest u ciebie?

- Czego?

- Powiedz, żeby ten mądrała pokazał ci swój detektor. Sprawny, słyszysz? Niech go włączy i spróbuje znaleźć choćby jedną żywą istotę. Na dowolnym dystansie. Gwarantuję, że natychmiast się od ciebie odcepi i długo nie wróci. Może nigdy.

- No, no...

Rozłączył się.

Nie pamiętam, żebym słyszał czy widział naszego glinę tak wściekłego. Biedak jest w szale. Musiał go nieźle pokąsać ten Sayer.

Wracam - do stołu, piję kawę, leniwie słucham, jak Billy flirtuje z Clarissą, myślę o dzisiejszych poszukiwaniach. Nie kryję, mam stracha... I nagle drzwi wejściowe otwierają się bez dzwonka. Do jadalni wchodzi krokiem niemal marszowym mister Hurt i papa Roads. Żli i skoncentrowani.

- Dzień dobry, mam - mówi Hurt. - Cześć, Clarisso, witajcie, chłopaki. Czyli tak: my tu się naradziliśmy z ludźmi i zdecydowaliśmy. Ivan, dziesięć maszyn i około trzydziestu ludzi do waszej dyspozycji. Maszyny, ma się rozumieć, same „latawce”, łącznie z dwoma truckami po pięć ton. Ludzie wyposażeni w odpowiedni sposób. Tyle!

- Żeby cię pogięło... - Billy w lekkim oszołomieniu kręci głową.

Czuję, że chciałby dodać: „A gdzieście byli wcześniej?”, ale powstrzymuje się, przecież to

niesprawiedliwe. Gliny i ratownicy przekonali miejscowych, że nie są potrzebni. Właściwie to rzeczywiście nie byli. Teraz też, mam nadzieję. Ale sam zryw robi wrażenie, aż ciarki przechodzą. Rozruszaliśmy miasto. Przypomniało sobie, po co od wieków ludzie trzymali się kupy.

W takim momencie człowiek rozumie - jak nadejdzie bieda, pokażemy jej kły i pazury. I chce się wytargać za uszy intelektualistów mędzających, że naród spłycał, że zaginał w odmętach alienacji czy innej tam globalnej wioski. Diabli by wzięli, należy jakoś ładnie na to zareagować!

Wstaję. Wyprowadzam z coma na rękaw służbową legitymację. Dzielni członkowie pospolitego ruszenia, popatrzawszy na moje logo, podrywają się i płoną. Urzeczywistniłem ich najskrytsze nadzieje i to z nadmiarem.

- Panowie - mówię - jestem majorem operacyjnej rezerwy Zjednoczonych Sił Zbrojnych, Iwan Kuzniecowa. To jest kapitan William Mbabete. Po pierwsze, dziękujemy za gotowość współpracy i okazaną inicjatywę. Po drugie... Przyjaciele, domyślcie się, że dziś podejmiemy drugą próbę poszukiwania. Mamy nową roboczą hipotezę i liczymy na pozytywny wynik akcji. W najlepszym wariacie nie będziemy potrzebowali żadnej pomocy ani w ludziach, ani w sprzęcie. Ale należy też pamiętać, że sytuacja może przekształcić się w kompletnie niestandardową. Dlatego umówimy się tak... Kto u państwa dowodzi? Znakomicie, mister Hurt. Pańska grupa powinna być gotowa, aby w czasie godziny przybyć na jeden z dwu punktów zbornych. Przesyłam panu mapę. Jest? Punkt zbiorczy. A - tu, na skraju lasu. Punkt zborny B - wyspa z ruinami. Pański numer już u siebie mam... Tak, mam. A w razie wywołania przemieszczanie do punktów zbornych w przedziale dolnego rezerwowego korytarza, ogólna częstotliwość robocza: szósty przycisk...

Plecami odczuwam, jak Clarissa omdlewa. Billy nagle zawstydził się, wbił spojrzenie w pustą filizankę. Proszę, jacy to my jesteśmy! Stare konie, ale bruzdy nie psujemy i orzemy głęboko. Ciągle jeszcze operacyjna rezerwa ZSZ. Do sześćdziesiątki będziemy tam sterczeć, wała, nie zادةpcze nas gówniarzeria śmigła!

Już jesteśmy unikatami. Psychole z dalekiego zwiadu. Wszyscy jak jeden z kamyczkami na szyjach. Piętnastu ludzi. Albo już nie całkiem ludzi...

Pozostałych osiemdziesięciu nie przeżyło. Jedni bohatersko zginęli w kosmosie, inni inaczej... Umarli niby zwyczajnie.

- Dziękujemy, mister Kouznetsoff - mówi Hurt.

- To my wam dziękujemy!

- Nie, my. Dobra, idziemy. Do kontaktu na łączach.

- Placka sobie weźcie na drogę! - zaczyna krzątać się babcia.

Hurt czerwienieje, ale szepczę do niego: „Weź placek, nie rób mamie przykrości!”. On w śmiech. I robi się rodzinnie i przyjaźnie.

Wszyscy razem zaczynamy gadać coś głupiego, potem goście robią pa, pa i znikają. A mnie ogarnia jakiś dziwny stan... Jest mi lżej. Zwyczajnie lżej żyć na tym świecie.

Już nie jestem w obcym miasteczku. Ciągle jeszcze może się zdarzyć, że sypnę stąd, błyskając piętami i przeklinając. Ale będzie to już tylko mój problem. Bo miasteczko mnie przyjęło. No i rzeczywiście chyba wpadnę do sędziego. Serce mi mówi, że bez niego się tu nie obeszło.

- Ale jesteście numeranci! - wzdycha zachwycona Clarissa. - Major i kapitan ZSZ. Dlaczego o tym nie powiedzieliście?

- Wolimy - odzywa się Billy - żeby nas oceniano ze względu na nasze cechy osobiste. Ja, na ten przykład, mam bogate życie wewnętrzne. A Wanja jest po prostu wspaniałym facetem. Hej,

dowódczo! Ruszamy?

- Niech wam Bóg pomoże - mówi na pożegnanie babcia Hurt.

- Na trzeźwo, chłopaki, to jesteście szalenie mili - komunikuje Clarissa.

Mój partner natychmiast bierze ją pod rękę.

Na ulicy chciał mi powiedzieć: „Daj poprowadzić!”, ale nie *zdażył* - sam włączę na tylne siedzenie. Zauważam, że pierwsze co robi Clarissa, to zapina pasy. Zuch. Co prawda to glina, oni są tak wytresowani, ale widziałem też sporo glin, którym tresura nie pomogła.

Potem nasza Barbie ocenia wyposażenie. Pewnie, że musi to ją interesować, zwykły śmiertelnik częściej siedzi w rolls-roysie niż w T5 Evo. Ale tu u mnie, szczerze mówiąc, patrzeć nie ma na co. Umyślnie zamówiłem pluszowo-czarną tapicerkę. Dizajner chciał gdzieś tam dać nieco srebrnego metalu, i może wyszłoby ładnie, ale się zaparłem.

Niebieściutka bryczka Billy ego ma wewnątrz w stylu australijsko-aborygeńskim. Totemy, amulety, symboliczne obrazki. Nasza firma z rzadka wozi pasażerów, ale nie ja i mój partner. Pewnego razu do niebieściutkiej zapakowano rządowego kuriera, a ten wziął i palnął: „Ale numer! Czy to magia voodoo?”. Billy mu po drodze takich rzeczy nagadał o zaklęciach, urokach, odczynianiu, krwawych ofiarach i rytualnej defloracji, że Johnson całą firmę pozbawił premii.

- Clarisso, mamy jeszcze około godziny wolnego - zachęca mój kumpel - póki się śniadanie nie uleży. To dokąd sypniemy? Na Księżyc?

- Na Księżyc! - chichoce Barbie.

Billy miękko rusza i płynie w stronę posterunku. Żeby tylko nie nadzieć się na Sayera. Nie, chyba już zwiął do domu. A mnie cały czas świerzbi i świerzbi od środka... Co to znaczy: na Księżyc? Szkoda, że nie ma obok Very.

- Poczekaj chwilę - powiadam.

Clarissa ze zdziwieniem patrzy na mojego partnera. A ten kiwa głową i jedziemy dalej.

Szukam w przestrzeni indywidualnego wizerunku Sayera. Mam! Nawet lepiej wyszło, niż przypuszczałem. Mister Sayer jest w powietrzu. I błyskawicznie oddala się od miasta. Nie inaczej, tylko pędzi naprawiać detektor.

- Hej, kierowco! Kręć do domu Sayerów.

- Już się robi, sir! - woła rozpromieniony Billy.

Nie musi nawet zerkać w moje myśli, wszystko skapował z intonacji.

- Nie za gwałtownie! - ledwo zdążam powiedzieć.

- O-o-o... - również ledwo zdąża zareagować Clarissa.

Dopiero co zjedliśmy, a mojego partnera już wściekle swędzą łapy, żeby zrobić coś głupiego - wystarczy przypomnieć pilotowi o rozsądku... Billy wznosi czerwoniutką płynnę nad ulicę. Ale płynnę w wykonaniu T5 mocno różni się od normy. Lekkość oderwania jest nieopisywalna. Gdy wsiądziesz do takiej maszyny pierwszy raz, poczujesz jaka moc ciągnie ją w niebo i wyobrazisz sobie, jaka to mała cząstka tej mocy, która drzemie jeszcze w trzewiach mojej „teczki”...

Pamiętam, że jak pierwszy raz poleciałem jako „tobołek” na myśliwcu typu spark, kotłowała mi się w głowie jedna myśl: „Po co mu tyle?”.

I wtedy instruktor pokazał mi po co. Co prawda nie walałem się później na trawie jak co poniektórzy, ale przez cały dzień myślałem do tyłu. A potem... Wiele się zdarzyło potem. I oto mam „teczkę”. Nie gwiazdolot, pewnie. Ale godna osłoda *samotnej* dojrzałości. Idealny prezent losu dla czterdziestoletniego kawalera z tajemniczym życiorysem.

- Chłopaki... - mruczy nasza Barbie. - Może na Księżyc nie dziś, co? Jakoś nie jestem gotowa.

- Na Księżyc nie polecimy - uspokajam ją. - Ale dawno nie widziałem Ziemi. Stęskniłem się. Pani też się to przyda. Proszę mi uwierzyć, Clarisso, to powinien zobaczyć raz w życiu każdy porządny człowiek. Podskoczmy, nacieszymy oko i wracamy do domu.

- Będziemy mieli nieprzyjemności! - cieszy się Billy.

- Akurat tam!

- Chłopaki... - Clarissie już przeszła ochota do żartów.

Mój partner opuszcza maszynę przy domu Sayerów. Na werandzie stoi Vera. Czeka na mnie. A jak ma nie czekać, skoro ona i ja to już praktycznie jedna dusza.

Kto mi wyjaśni, dlaczego to takie ważne - pokazać Verze Ziemię? Irracjonalny poryw. Czyli ciągnie mnie za kołnierz przecucie. Nie pozostaje nic innego, jak się wyluzować i sączyć przyjemność. Przecucie wie lepiej.

- Billy - mówię. - Wprowadź nasz kod, poproś o zezwolenie na wysokościowe skanowanie tej okolicy. Podstawa: poszukiwanie osoby cywilnej na prośbę miejscowych władz. Pchnij kopię do Johnsona na wszelki wypadek. A gdybyśmy przypadkiem wyskoczyli z atmosfery, cóż, zdarza się. Na naszym miejscu każdy by wyskoczył. Czy kogoś za to ukarano?

- Żeby mnie pogięło, że też sam się nie domyśliłem...

Wychodzę z wozu. Za mną Billy mamroce: „...płynniutko na dwieście mil się wzniesiemy, to jest całkowicie bezpieczne, ani przeciążenia nie będzie, ani nieważkości, słowo daję!”.

Missis Sayer patrzy mi w oczy, a ja myślę: „Jakie to wszystko głupie - zaginęło *jej* dziecko, a ja *jej* zaraz zaproponuję przejażdżkę swoją maszynką”.

- Vero - mówię - chcę pani pokazać Ziemię. Nie wiem dlaczego, ale to dla mnie ważne, żeby pani ją zobaczyła, zanim wleziemy z Billym w bagno. To nie potrwa długo.

- Dobrze - odpowiada spokojnie. - Tylko włożę buty.

- Nie trzeba - ja na to. - Mnie się tak bardziej podoba. I potem opowie pani znajomym, że była w kosmosie boso.

- Nie opowiem. - Uśmiecha się łagodnie. - To zostanie tylko między nami.

- Przepraszam, ale tam jest jeszcze Billy i Clarissa.

- Czy muszę się ich wstydzić?

„Teczka” opuszcza przednią szybę.

- Dowódco! - woła mój partner. - Mamy zgodę. Johnson pyta, jak sprawy, powiedziałem, że wszystko okejowo. Coś zwąchał, stary smok, ale na razie przesadnie się nie denerwuje.

- No to jedziemy!

Rzucam mentalnie spojrzenie na bagno. Klient ma się dobrze. Ameba na całego przebiera nibynózkami. Sary nie widzę. Ale na to nie miałem nadziei. Wszystko jest rozmazane i niezrozumiałe. Trzeba będzie wpakować się z rękami i nogami w tę tajemnicę. Głową do przodu.

Ledwo zdążyliśmy wsiąść, a tu przy werandzie z piskiem i zgrzytem hamuje szeryf.

- Hej, wy dokąd?! - wrzeszczy za odlatującą „teczką”. - Wracajcie! Mam do was parę pytań! Co wy mi tu, w kichę waszą mać, organizujecie Gwardię Narodową?!

Billy wysuwa przez okno rękę z wysuniętym środkowym palcem.

- Chłopcy! - wydiera się porucznik. - Lądujcie na chwilkę! Pogadamy!

Mój partner odpina pas i wysuwa się z okna. Gdzie przed chwilą widziałem jego głowę, teraz widzę wielki tyłek. „Teczka” wykręca nad domem spiralę, pilot sterczy na zewnątrz i rżnie głupa.

Przedszkole szaleje. Nie znoszę takich numerów.

- Kabel-masz-odłą-czony! - drze się Billy. - Wstępna!... Przejściowa!... Główna!... Ciągnij diesla!!!

I daje po gazie.

Jak wielu silnych mężczyzn, którzy już dawno udowodnili sobie to, co chcieli udowodnić, mój kumpel nie znosi, kiedy ktoś usiłuje zepsuć mu święto.

Środa przed południem

Oczy Clarissy były jak denka szklanek. Odwieźliśmy dziewczynę calutką i zdrową do kierownictwa i zapakowaliśmy do wozu patrolowego.

Na pożegnanie nasza Barbie serdecznie wyczałowała Billy'ego.

- Zabić was to mało... - jęknął szeryf. - Dokąd z nią teraz? Do domu chyba tylko... Czy to się tak świruje od nieważkości?

- Od nieważkości to się świruje tak, że aż człowieka mdli z zachwytu.

Glina wyczuł sarkazm.

- Wiem, głupi nie jestem.

Ale my wiedzieliśmy, że nie ma o tym pojęcia, choć głupi faktycznie nie jest.

Vera Sayer siedziała na werandzie, opierając głowę na rękach, i o czymś rozmyślała. Fizycznie wszystko było w porządku. Nie wzięlibyśmy przecież na orbitę ludzi, którym mogłoby zaszkodzić mikre przyspieszenie. Takich zresztą coraz trudniej znaleźć, dzisiaj wielu prowadzi „latawce”, przyzwyczajali się. Clarissa była tylko upojona mocnymi emocjami. Zwaliała się na nią Ziemia.

Szeryf łąził dokoła „teczki”, badając zacieki na poszyciu. Znowu trzeba będzie ją umyć. I jak tylko załatwimy wszystko tutaj, damę maszynkę na pełną diagnostykę, ze szczególnym uwzględnieniem sekcji silnikowej. Mimo wszystko „teczka” to nie planetolot. Ale taką miałem ochotę...

Wlazłem do bagażnika, otworzyłem sejf. Wyjeliśmy manele, po czym zaczęliśmy się ubierać. W mojej duszy było pusto i czysto. Jakbym się na nowo urodził. Idealny stan do poważnej pracy.

Podszedł mój partner, zaczął w milczeniu pakować się w kombinezon. Znudzony łożeniem dokoła glina stanął obok mnie i chciwie wbił oczy w sterzące z bagażnika lufy.

- Może pan potrzymać - pozwoliłem. - Nazywa się toto karabin plazmowy. Czytał pan o czymś takim?

- Sądziłem, że one są w fazie projektowania. - Szeryf ostrożnie wziął do ręki moją armatę. - Oho, ciężki!

- Nie on jest ciężki, tylko ty przy papierkowej pracy straciłeś formę.

Nasz glina przymierzył się do karabinu, pokręcił tak i siak, znalazł przełącznik ognia i popatrzył na mnie pytająco.

- Shocker, tryb cięcia, trzy poziomy mocy rażenia. Jest też tryb spawania, ale spawa kiepsko, wszystko się pali.

- Taaa! - podsumował głęboko szeryf. - Żeby taka technika służyła celom pokojowym...

- A my się czym zajmujemy, żeby cię pogięło? - leniwie zapytał Billy, zapinając klipsy na butach. - Podżeganiem do wojny?

- Ludzi bałamucicie. Dobra, dobra, pomińmy... Ivan, jak panu udało się zepsuć detektor Sayera? Przecież nie wypuszczał go z rąk.



- Chcesz, to ci załatwię twój com - zaproponowałem. - Wzrokiem.

Policjant odruchowo nakrył urządzenie dłonią.

- To ci zagadka - powiedział. - Niby jesteście fajne chłopaki, a mam was już powyżej uszu.

Ciągle robicie problemy.

- Jak będziesz się źle zachowywał, to w ogóle na zawsze tu zostaniemy - zagroził mój partner. -

Ożenimy się, napłodzimy dzieci, takich samych nienormalnych. I wymalujemy w pstre kolory prowincjonalną powszedniość! Czego się śmiejesz, żeby cię pogięło? Powaga. Mam tu już narzeczoną.

- Czy wasze zdolności są przekazywane genetycznie? - zapytał szeryf niewinnym głosem.

Wymieniliśmy z Billym spojrzenia.

- Chcesz, to wierz, nie chcesz, nie wierz, ale to jest tajemnica wojskowa - oznajmiłem. - Nie zadawaj głupich pytań, dobrze? I tak wyciągnąłeś z nas tyle infy, że będziemy musieli położyć na ciebie kabelka w wyższych instancjach. Wyluzuj, to nie będzie bolało.

- Już się przestraszyłem - rzucił nasz glina. - Całe gacie mam mokre.

- Nie, mister Gibbson, sir - pokręcił głową mój kumpel. - Mokro to ty będziesz miał po obiedzie, żeby cię pogięło.

Zerknąłem na Billy'ego. Wypowiedział te słowa dziwnie obcym głosem, patrząc ponad głowami szeryfa i moją w stronę lasu.

- A może się uda! - dodał.

- Żeby was! - ryknął policjant. - W nosie mam, uda się czy się nie uda! Już jestem przez was na całe życie skancerowany! Jak każecie w portki walić, nawalę! Tylko mi przynieście jakiś wynik, w kiszkę mać!

- Szeryfie - odezwała się cicho Vera - może puszkę zimnego piwa?

Zasromany wystawił łeb zza maszyny i wymamrotał:

- Tak, ma'am, jeśli nie sprawi to pani kłopotu, będę wielce zobowiązany...

Billy, przygryzając wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem, odwrócił się do gliniarza plecami, wziął swoją broń, potrzymał chwilę w ręku... I pytająco popatrzył na mnie.

- A ty zapomniałeś zdjąć com - odparowałem.

Tak naprawdę to ja też zapomniałem zdjąć com. I armaty wyjąłem z sejfu bez namysłu. Żeby włożyć je z powrotem, musiałem dość mocno siebie przekonywać.

- Jestem teraz jak nagi - poskarżył mi się partner. - A wiesz co, dowódcu, weź ty nas przeleć. Jeśli się uda.

Skoncentrowałem się, zadarłem głowę do nieba i spróbowałem zobaczyć siebie i Billy'ego z boku. To jest jedna z głupszych rzeczy - przyjrzeć się sobie w sposób wymuszony. Przecież i tak wyczuwałem każde zakłócenie, więc po co miałem jeszcze umyślnie ich szukać? Zakłócona łączność ogniów wbudowanych w kombinezony i tak wydzieriała się na całego. Oczywiście, że ten ryk o awarii zabijał pozostałe sygnały popsutych „kondomów”.

Z mojego punktu widzenia też wyglądaliśmy na nagich.

W bagażniku brzęczał i podskakiwał com. Czegoś chciał od nas Johnson.

- Nie odbieraj - poradził Billy.

Spojrzałem na niego wyraziście i polazłem do bagażnika. Nie powinienem był, zwłaszcza jako przełożony partnera, ignorować wywołania bossa. W żadnych okolicznościach.

Johnson zażądał priva. Polazłem na podwórko i odpiąłem od comu słuchaweczkę.

- Cicho! - powiedział mi szef zamiast powitania.

- Tak, tak!

- Ta dziewczynka, której szukasz, ona jest z lekka zaburzona? „Zielona ręka” o ogromnej mocy, dwa ekologiczne college się o nią pobili, tak?

I pomyśleć, że przekonaliśmy Johnsona - a przynajmniej tak mi się zdawało - jak to sami we dwóch świetnie sobie poradzimy.

- Nie obrażaj się, Wanja. Nie pakuję się w wasze sprawy, bo tak mi się podoba. Ojciec dziewczynki narobił syfu, wymalował na ciebie skargę do federali i zaczęło się.

- Ojca można zrozumieć. Ja bym na jego miejscu...

- Też byś śledczego ugryzł w palec?

Po raz pierwszy odrobinę zacząłem współczuć papie Sayerowi. I poczułem nawet coś jakby lekkie zawstydzenie. Przecież to ja z Billym doprowadziliśmy faceta do wrzenia.

- Po prostu ty jeszcze nie masz dzieci - zaczął mi tłumaczyć szef, po swojemu interpretując moje milczenie. - Jak spłodzisz, skumasz! Mózg się topi, jak dziecku dzieje się krzywda... Dobra, zapomnij o tym. Ojca fedzie przepytują raczej jako podejrzanego. On ci nie będzie bruździł.

- I co teraz będzie?

- Pauza będzie. Sprawa zaginionej dziewczynki jest bardzo dziwna, ponieważ szarpią ją w swoje strony trzy różne firmy. Wszyscy chcą coś wyciągnąć z bagna. Jedni amerykańskiego dinozaura, inni tajną ruską broń, jeszcze inni statek Alienów. Ale do jutra nikt się nie ruszy z miejsca. Przy tym wszyscy oni są pieprzonymi teoretykami. A ty jesteś praktyk, specjalista, i już siedzisz w centrum wydarzeń.

- Jeśli jest jakieś wydarzenie - wtrąciłem.

- Nie kryguy się. Sprawdziłem: do bagna nic nie spadało, nic nie lądowało. Głuche miejsce. Tylko zwariowana dziewczuszka z bransoletą. I dziesięć dób tam coś wygrzebuje. Jest kontakt czy nie, ciebie pytam?

Johnson wiedział dużo, za dużo, i to mi się nie podobało.

- Z tymi, których spotykaliśmy wcześniej, kontakt jest niemożliwy z definicji - zacząłem. - A jeśli tam się wydziela bagieny gaz i dziewczynka po prostu dostała kopa?

- Nie ma gazu. I kopnęło nie dziewczuszkę, a ciebie. Kto w mieście się zakotwiczył, chociaż mógł się stłenić? Kto zaczął rozwiązywać cudze problemy? Miejscowych podburzył? Policję zastraszył? Ojca dziewczynki odsunął od poszukiwań? No właśnie! A na orbitę kto skakał? Po co, możesz mi powiedzieć?

- Kobitki woziłem - odpowiedziałem szczerze.

Mój pryncypał zamilkł. Potem się ucieszył.

- Co było do udowodnienia! - zawołał. - Tak to jest, kiedy nasi ludzie się zawieszają, Wanja... Czyli coś wyczuwają tyłkiem. W sumie, proszę słuchać rozkazów, majorze Kouznetsoff. Twoja załoga została przeniesiona z rezerwy do sił operacyjnych. Idzie do ciebie wsparcie w postaci Mastersa i Pawłowskiego...

- Dlaczego właśnie oni?

- Nie podlega dyskusji. Za sześć godzin podprowadzą do miasta transportowiec z konwojem i niezbędnym sprzętem. Jeśli znajdziesz w bagnie coś, co nas interesuje, natychmiast ogłoś, że to własność ZSZ, bierz pod ochronę, ładuj i kieruj do bazy Right-Patterson. Dziewczynkę też, żywą czy martwą. Jeśli matka będzie nalegała, bierz obie. Wszelki opór tubylców duś w zarodku. W miarę

możliwości delikatnie, swoimi... osobistymi zasobami. Kumasz? Powtórz.

- Czyj to rozkaz? - zapytałem. - I co mam zrobić, jeśli w bagnie mieszka sobie dinozaur?

- Zgłupiał pan, majorze? - szczerze zdziwił się Johnson. - Przypomnę, jest pan na służbie. Rozkaz sztabu ZSZ. Przekazany do wykonawcy w części wykonawcy dotyczącej. A dinozaura nawet za friko nie potrzebujemy. Możesz wybić mu dwa zęby sobie na pamiątkę i niech sobie dalej tam mieszka. Nie, trzy zęby! Jeden dla mnie.

- Rozumiem, panie pułkowniku. Wszystko, co dotyczy ZSZ, wywieźć do Patterson, dziewczynkę też, i wybić komuś ząb.

- Za dużo gadacie - dodał jeszcze szef. - Dobra, Wanja, działaj mądrze, oszczędzaj siebie, kontroluj swojego zasańca. I wewnętrznego swojego zasańca też kontroluj. Jakby co, pukaj do mnie. Powodzenia!

- Pocałuj mnie w dupę! - syknąłem, gdy Johnson się rozłączył.

Com natychmiast zadygotał ponownie.

- Major Kouznetsoff otrzymuje upomnienie za wulgarną propozycję skierowaną do starszego stopniem - powiedział pułkownik. - W sumie, majorze, ZSZ pokładają w was nadzieję. Działajcie. Na razie, do następnej łączności.

Wolno, bardzo wolno wsunąłem słuchawkę do gniazda w boku coma. Nie chciało mi się odwracać.

- Ivan - powiedziała Vera do moich pleców. - Cokolwiek by się nie wydarzyło w przyszłości...

Trudno było jej mówić dalej, całe jej życiowe doświadczenie buntowało się przeciwko temu. Przez piętnaście lat grała rolę przykładnej żony.

Odwróciłem się, może zbyt gwałtownie. I pewnie miałem na twarzy wypisaną złość.

A ona położyła mi ręce na ramionach.

- Nie zapomnę cię - powiedziała.

Różne kobiety w różnym czasie patrzyły na mnie w ten sposób. Ale żadne z podobnych spojrzeń nie wywoływało we mnie tak wielkiej eksplozji czułości. Co za bzdura! Przecież złączył nas wypadek przy pracy, nic więcej. Z woli przypadku zetknęliśmy się duszami. To było jak przetaczanie krwi.

Tylko że krew nie splata losów.

- Kocham cię - powiedziałem bezradnie.

Całowaliśmy się na podwórku. Mocno objąwszy się, zamknąwszy oczy, straciwszy poczucie czasu.

Kobieta, której dziecko zaginęło, i mężczyzna, któremu kazano zabrać dziecko kobiecie. Jeśli to dziecko żyje.

- Pokazałeś mi Ziemię... - szepnęła Vera. - Chcesz mnie do czegoś przygotować. Sam nie wiesz do czego, prawda? Nie denerwuj się. Wiem, że nie wyrządzisz Sarze krzywdy. A za Ziemię dziękuję. Jest piękna. Jest błękitna.

„A to nie jest jej tekst” - pomyślałem. O Ziemi tak powiedział Gagarin. A ja przez całe dzieciństwo powtarzałem w duchu te jego słowa, marząc o tym, że też popatrzę kiedyś z góry na naszą planetę. I kiedy po raz pierwszy tego doświadczyłem, powtórzyłem te słowa jeszcze raz, bo nikt dokładniej niż Gagarin tego nie ujął. Teraz Vera użyła *nie moich* słów zaczerpniętych z *mojej* świadomości. Tyle że ja wiedziałem to na pewno, a ona tylko się domyślała. Jeszcze długo będzie mówiła obcym głosem, potykała się o echa obcej wiedzy i obcych odczuć. To niedobrze, nie tak

powinno być. Wbrew swojej woli jest teraz moja.

Ale przecież i ja - jej!!!

Mogłem walić głową w ścianę. Dobrze, że ściany są tu cienkie, niemal ze sklejki. Ale mógłbym tym sposobem rozwalić dom.

„Ocknij się, majorze!”

Guzik się ocknę. Żadna kobieta nie kochała mnie z takim samozaparciem. Nie pragnęła mnie tak rozpaczliwie. Wyobraziłem sobie, co to będzie w łóżku, i nawet się lekko przestraszyłem.

Kiedyś będę musiał wyjaśnić Verze, dlaczego tak nas trzepnęło o siebie i rozsmarowało. A ona powie: „No i świetnie. Udało się”.

Czy to będzie normalne?

- Czas iść, Vero.

- Idź, Wanieczka. I wracaj do mnie.

Zamarłem i umarłem. Zamiast pocałunku na pożegnanie poklepałem ją po ramieniu. Ładujcie mnie do transportowca i wieźcie na Patterson. Nazywajcie mnie po prostu Obcoplanetarny Potwór. Nienadaremnie przeżyłem po tym, jak kosmos mnie połamał. Nie jestem człowiekiem. Przecież ludzie nie wariują tylko dlatego, że ktoś wypowiedział ich imię bez akcentu.

A może to właśnie jest „miłość”?

Przy maszynie cierpiał Billy. Wahał się - ma mnie przydusić czy zadusić w objęciach...

Obok na trawie smucił się szeryf.

- Co mu zrobiłeś? - zapytałem z miejsca, żeby przejąć inicjatywę.

- Dałem mu potrzymać kamyczek. Żeby zapobiec rozprzestrzenianiu się plotek rzucających cień na nasze uczciwe nazwiska, żeby cię pogięło. Bo zacnie gadać, że jesteśmy espami, postrzegamy pozazmysłowo nawet majtki Clarissy, a kamyczki to tylko dla zmyłki. Niech wie, jakim mocnym dynksem jest Wszystkowidzący Kamień!

Policjantowi zwisał z garści znajomy łańcuszek i kiwał się miarowo.

- Patrz, jakie zanurzenie w mroku, Wanja! Hy, hy! Do trzech razy możesz zgadywać, kogo w tej chwili nasz dzielny glina podgląda. Podpowiadam: nie małżonkę.

Stróż prawa tymczasem medytował. Zrósł się z kamieniem. Uwierzył weń do końca.

- Zręcznie! - Byłem szczerze zachwycony pomysłem partnera.

- A co u ciebie? - zapytał znaczącym tonem mój doktor Watson.

- Na razie jestem majorem sił operacyjnych ZSZ. A ty kapitanem. Operacyjnych sił, przypominam, jeśli ktoś nie dosłyszał.

- Ojoj, mamó! - Billy zaczął się miotać i chwycić moje spojrzenie.

„Otworzyłem” się i przekazałem ostatnie nowiny od Johnsona.

- Ojoj, mamó... - powtórzył mój partner. - No, Sayer... Nawarzyłeś piwa! Zemścił się, ścierwo, sam tego nie wiedząc. A my będziemy się tłumaczyć. Żeby cię pogięło! Masters i Pawlowski lecą transporterem, dobrze widziałem? Jak nie urok to sraczka. Przecież to ciągnij diesla w najczystszej postaci.

- I w najwyższej kaloryczności - zgodziłem się. Johnson nie był durniem, kontrolerów znalazł, co się zowie. - Chciałeś chyba dać po pysku Mastersowi? Czy może się mylę?

Billy westchnął spazmatycznie, pochylił się do szeryfa, rozwarł jego palce, zabrał kamień i powiesił sobie na szyi. Glina nie zareagował.

- A nasz klient się przemieszcza - zauważył mój partner. - Niepewnie trochę, skokami w stronę

wyspy. Jakby umyślnie, żeby go można było zabrać z suchego miejsca, żeby go pogięło.

- Diabli... Mamy sześć godzin do przybycia transportu. Jeszcze nie wiemy, z czym mamy do czynienia, a już kazano nam to ładować i wywozić. Będę zaraz miał atak nostalgii. Właśnie takie mi dawano zadania, kiedy byłem porucznikiem: idź, znajdź, przynieś... Coś może rozumiesz?

- Rozumiem jedno, dowódco: czasu mamy tyci-tyci! Potem zjawią się te dwa indywiduumy i pozbawią nas kompletnie swobody manewru. Dlaczego więc nie biegniemy?

- W „kondomach” z uszkodzoną klimą?

- Rozpięci i bez masek. Polecę jak wicher, ani jeden moskit mnie nie dogoni, żeby cię pogięło.

I pobiegliśmy.

Mój długonogi partner, rzecz jasna, mnie wyprzedził. Na skraju lasu, ledwo dysząc, krzyknąłem do niego:

- Zapomniałeś o szeryfie! Kamień zabrałeś, ale nie wyprowadziłeś go z transu! Kuty asie! Siedzi tam biedak i myśli, że ciągle z kamieniem. Zwolnij go!

Billy odwrócił się, zrobił straszliwą minę, postukał się pięścią po głowie i twierdząco machnął ręką.

„Biedny glina” - pomyślałem. Dlatego wczoraj się sypnął, chociaż nikt go za język nie ciągnął - że niby nie wie, jakiego koloru figi nosi Clarissa. Znaczące przejęzyczenie.

Żeby tylko teraz nie padł mu rozum, kiedy zrozumie, że obok niego znajduje się taka ślicznotka - na służbie i w ogóle bez fig.

Otrzymałszy dostęp do prywatnej infy, ludzie zajmują się głupotami do potęgi. Chociaż może to zależy... Przecież szeryf nie będzie przy pomocy magicznego dynksa wyszukiwał jakichś drobnych złodziejasków. Tym tematem nazbyt objadł się w pracy. Co innego bielizna pomocnicy. To jest ciekawe! Niebanalne i świeże.

Przy okazji o świeżości - Clarissa chodziła bez fig z powodu upałów.

Z tą myślą bardziej rozpiąłem kombinezon. Grzało na całego, a na bagnie dodatkowo jeszcze panowała duchota. Przede mną Billy wyszarpnął z pochwy siekierkę, mimochodem *ściął* drzewko, wsunął sobie pod pachę i pobiegł dalej, pozbawiając je w biegu gałęzi. Zawsze szybko wszystko łapał. Wybrał na tyczkę dobrą osinę czy jak jej tam. Nie za cienką i nie za grubą.

Po kępkach skakaliśmy zwawo jak para cyrkowych linoskoczków. Przyjemnie było uświadamiać sobie, że jestem jeszcze w znakomitej formie, ale denerwował mnie pośpiech w takim niebezpiecznym miejscu. Kiedy praca wiąże się z ryzykiem, nie chce się ryzykować bez powodu.

Biegłem i myślałem, czy to z własnej inicjatywy Johnson kazał nam się śpieszyć, czy sztab ZSZ tak go ponaglił? Z całej drużyny „Kurierskiej Służby Johnsona” boss słał nam w ramach posiłków i jakoby do pomocy jedyną parę, z którą nie żyliśmy w zgodzie. Kompletnie. Organicznie. Mdlilo nas z ich powodu. Jakby Mastersa i Pawlowskiego inicjował inny kosmos. Albo nie podłączyli się do końca. W ogóle nie byli w firmie lubiani.

A szef nigdy nic nie robił bez powodu. Szczególnie dotyczyło to kompletowania pododdziałów. Jeśli podsuwa ci do wykonania zadania osobistego wroga, rozumie się, że wróg albo uratuje ciebie, albo uratuje zadanie przed tobą. Nie wiadomo, co gorsze...

Johnson był naszym strategiem, jasnowidzem jasnowidzów. Takich jak ja i Billy raz na jakiś czas przepowiednie wiodły na manowce, boss świadomie patrzył w przyszłość. Nie mówił jednak podwładnym, jakie warianty tam widział. I nikt nie wie, co meldował górze.

Ze swojej, a może nie ze swojej woli, wpędził nas w sztucznie wywołany niedoczas. Skacząc z

kępy na kępę, hołubiłem plany brzydkiej zemsty, małutkiej, ale takiej, żeby szef skumał.

Na przykład, lądując pod biurem, źle obliczę prędkość i dam pełny ciąg wsteczny nad parkingiem... Najważniejsze nie myśleć o tym, bo Johnson zobaczy ten numer. A mandat za akustyczne zanieczyszczanie chętnie zapłacę.

Nowe szkła w gabinecie bossa też mogą wstawić na mój rachunek. Za to ile radochy...

Wczorajszy wąż bezczelnie opalał się dokładnie w tym samym miejscu. Słyszając tupot nóg Bill'yego, podniósł głowę.

Mój partner zrećcznie podrzucił węża tyczką i cisnął w bagno.

- Jakby cię widziała Sara... - skomentowałem.
- Oszczędzaj oddech, dowódcu.
- Zakapowałaby cię do komisji do spraw zwierząt...
- Sama głupia!

Nasz „klient” kręcił się przed nami, w okolicach wyspy. Nie wyczuł nas, ale i my, jak i wcześniej nic konkretnego nie mogliśmy o nim powiedzieć. Tyle że rosło w nas przekonanie, że jest to konglomerat słabiutkich rozumów, forma ula. Wychodziło, że Johnson wszystko wyliczył prawidłowo. Moje stare przypuszczenia też były słuszne. Mogłem go z Billym zneutralizować, capnąć, zapakować i załadować.

Ale szef nie uwzględnił czynnika Sary. Czynnika radykalnie zmieniającego *modus operandi* „klienta”. Czynnika, który jeszcze wiele rzeczy postawi na głowie. I wielu na uszach.

Johnson po prostu nie znał Sary.

A ja prawie ją znałem.

Przebiliśmy się przez krzewy nad stawem, minęliśmy resztki pniaka i nagle mój partner zapytał, sapiąc:

- Widzisz, dowódcu?
- Tak!
- Czy to co ja... żeby cię pogięło?! Znowu nas wykiwali.
- Namierzają nas. Billy, zwalniamy tempo. Więcej nie dam rady. Muszę złapać oddech. Wszystko w normie, Billy...

Przed nami, na skraju wyspy z ruinami, jaskrawo błyszcząca srebrnym metalikiem okrągła plama. Oczami ją widzieliśmy. Ale tylko oczami. W ciągu niecałej sekundy mentalny sygnał „ula” zwinął się, „zakokonił”, zniknął.

- To jest kontakt wizualny, Billy. Nieczysto szliśmy przez krzaki. W naszą stronę ktoś zwyczajnie zerknął i zobaczył. Dawaj, walimy do przodu. Nigdzie nie ucieknie. Doczeka się.

W cichnym sygnale dojrzałem odcień rozpoznawania. Uznano nas na równych sobie. Zainteresowano się nami. I niech mnie diabli, jeśli „ul” nie oceniał nas całkowicie ludzkim systemem! Czy to Sara tym kierowała, czy może tylko bardzo silnie wpłynęła na zachowanie konglomeratu? Najpierw dziko się wystraszyła, widząc, że ktoś zobaczył „talerz”. Potem zrozumiała: nie jesteśmy podobni do zwyczajnych ludzi. I dokonała wyboru - najpierw pogadamy.

Mam nadzieję, że w wyniku rozmowy nie będzie usiłowała poszczuć nas swoim „ulem”. Te dranie mają czerepy twarde strasznie, objemy sobie o nie nogi. I ręce.

- Dziewczę żyje - uznał przytomnie mój partner.

- A wątpię?
- Chętnie bym ją desantował w bagno z krokodylami!
- Lepiej napuśćmy ją na stonkę.
- A najlepiej kilka pasów na goły tyłek! - podsumował Billy.

To moja zasługa. Normalny Amerykanin samą myśl o tym, że niepełnoletniemu można spuścić manto, uznaje za szaleństwo. Choć szaleństwo bardzo kuszące. Rosjanie odwrotnie. Pomysł, żeby sypanąć przesadnie rozbawionemu potomstwu z pasa, nikogo nie dziwi. Ale u nas dzieci biją, o ile wiem, coraz mniej, a u nich - coraz więcej.

W wyniku tego mamy dwa narody z jednakowymi pretensjami do dominacji w świecie i Prawidłowego Rozumienia Wszystkiego. Narody lustrzane, narody - przeciwwagi. Czasem mi się wydaje, że reszta świata uważa Amerykanów i Rosjan za durni całkowicie słusznie. Na szczęście jesteśmy durniami tępymi i złośliwymi. W innym przypadku wszyscy by nas palcami wytykali. Środkowymi.

Plama na skraju wyspy rosła w oczach, w miarę jak się do niej zbliżaliśmy. Miała już jakieś sto stóp średnicy. Standardowy aparat małego tonażu.

„Po kiego licha tu go przyniosło?!” - pomyślałem. A poczułem, że we wnętrzu wszystko mi wrze. Tak jak rano, kiedy miałem ochotę wyskoczyć z atmosfery.

Czyżbyśmy mieli kontakt? Przez jakiś durny przypadek? Wedle oficjalnej wersji, Ziemia jest dla nich czymś w rodzaju stacji paliwowej. Majtają się tu nad „punktami mocy”, ciągną energię. My, ludzie-człowieczki, nie jesteśmy im potrzebni.

A tak chcemy być!

Poza tym my - wąski krąg wtajemniczonych - marzymy, żeby wpieprzyć im za całokształt, aż strzępy polecą. Za wszystko. W pierwszej kolejności za to, że nas zamknęli w granicach księżycowej orbity. Może rzeczywiście chcą dobrze... Nie mogą nie wiedzieć, że ludzie umierają w kosmosie. Ale przecież nie wszyscy, niektórzy przeżywają! Ja i Billy na ten przykład! I nawet jeśli opowiemy ludzkości całą prawdę o śmiertelnym ryzyku czekającym pół miliona kilometrów od Ziemi - znajdują się tysiące ochotników. Takie podanie szczerzej prawdy byłoby straszne, absolutnie niepoprawne politycznie, nieludzkie. Przecież wyżyje najwyżej trzydzieści procent badaczy, ale za to pojawi się wystarczająco dużo materiału, żeby w końcu dowiedzieć się, z czym mamy do czynienia i w jaki właściwie sposób zmieni to nas. Na horyzoncie załśni nadzieja.

Przecież, pomijając obecną niby-równowagę, póki ludzkość jest sztucznie uziemiona, niebezpieczeństwo wojny światowej nie zostało zażegnane. Musimy latać. Bo inaczej się pozabijamy...

Oddech mi się wyrównał, nerwy się uspokoiły, do wyspy podszedłem z zimną głową. Co prawda płynął z niej pot. Zyskaliśmy trochę czasu, wykonawszy przebieżkę w upale, i złapaliśmy jednak tego swojego „klienta”. Fizycznie byłem skatowany nieadekwatnie, ale dobra, najważniejsze, że go mieliśmy.

Najechawszy skrajem na brzeg wyspy, w bagnie leżał nieco przekrzywiony latający talerz. Podwozie ładownicze było schowane, luki zamknięte. Sądząc po śladach w rżęsie, aparat dotarł tu, głównie płynąc. Chociaż kilka krótkich lotów też mu wyszło.

Billy zrzucił górę kombinezonu, zdjął tiszert i wyżał go z głośnym pluskiem. Pokręcił koszulką nad głową, rozpędzając meszki. Znowu się ubrał. Podszedł do talerza. Serdecznie wyrznął z buta w srebrzystą burtę. I wrzasnął z całej siły, aż nad bagnem obudziło się echo:

- Sara, otwieraj!!! Mosiek przyszedł!!!

A mówią, że to my, Rosjanie, wyssaliśmy antysemityzm z mlekiem matki... Zwaliłem się tyłkiem na trawę i wyciągnąłem zza kołnierza ustnik manierki. Nie miałem ani sił, ani ochoty komentować zaczepki partnera.

- A możesz ciszej, Mosiek? - zapytał zza krzaków dziewczęcy głosik, upiornie poważny, nawet ponury.

- Ciągnij diesla - poradził mój kumpel.

Jak wielu dorosłych, ale nieco infantylnych mężczyzn, Billy nie znosi, kiedy go proszą, żeby zachowywał się ciszej.

Środa po południu

Billy stoi nabzdyczony, podparł się rękami pod boki i nie jest mi łatwo zmusić go, by trochę wyluzował i usiadł. Najważniejsze teraz to sprawiać wrażenie, że wszystko jest w porządku. Nie możemy przeprowadzić mentalnego przesłuchania, a to oznacza, że musimy oplatać dziewczynkę pajęczyną słów.

- Sara, wybacz, że my tak bez zaproszenia, ale sama rozumiesz, mama się denerwuje.

Nie wolno wzbudzić strachu. Najmniejszej agresji w spojrzeniu ani nawet w myślach. Ona wiedziała, że ktoś po nią przyjdzie. A my - że niby wcale nie. My tylko w gości.

- Jestem Ivan. A to William. Nie chce ci się pić?

Wsuwam rękę za pazuchę, otwieram manierkę.

- A dlaczego on powiedział, że nazywa się Mosiek?

- To taki żart. Podrośniesz, zrozumiesz.

Dziewczynka, nie spiesząc się, podchodzi do mnie i bierze manierkę.

Karykaturalna świta Sary kuśtyka w ślad za nią. Wyglądają razem jak strasznie brudna Królowna Śnieżka i siedmiu krasnoludków w srebrzystych kombinezonach.

Wewnątrz jestem pusty, czysty, równiutki jak murawa na boisku piłkarskim. I tylko dwa uczucia - spokojne zainteresowanie oraz chęć niesienia pomocy. Innych nie było nigdy. W życiu nikogo nie nienawidziłem.

Szczególnie nie miałem nic do takich stworów. Nie nienawidziłem ich do tego stopnia, że nawet nie mogą sobie tego wyobrazić.

Nawiasem mówiąc, rzeczywiście nie mogą, bo im emocje są niedostępne. W ich prymitywnych mózdkach, rozciągniętych cienką błoną na kostnych półkulach pod czaszką, siedliska dla nieświadomości nie przewidziano.

Bezduśne stwory, nieszczęsne bioroboty. Właściwie co one są winne? Nasze pretensje należy kierować do ich właścicieli.

Billy chyba zaraz pęknie z miłości do tych ułomnych Alienów. Niepotrzebnie tak szarżuje.

Sara pije z mojej manierki. Za plecami dziewczynki stoi w półokręgu siedem osobników wzrostu od trzech do pięciu stóp. Długie ręce, krótkie nogi, białe w ramiona hełmy kombinezonów, ciemne okulary-światłofiltery, takie jak na naszych maskach ochronnych.

Pozabijałbym.

Nad nami wisi lekkie napięcie, takie zabawowe, jak zwykle kiedy stykają się równi przeciwnicy i szacują - może by się zetrzeć?



Poza tym w powietrzu roją się krwiożercze owady. Ja i Billy odruchowo odganiamy się od nich rękami. A brudny pyszczek Sary oczywiście jest wysmarowany repelentem.

Buzia dość sympatyczna, ale za wiele w niej z papy Sayera. Mała nie będzie królową balu maturalnego. Domyśla się tego, ale jest jej to obojętne. Dawno już odseparowała siebie od gatunku ludzkiego i nie ma w tym jej winy, albowiem to gatunek zaczął pierwszy.

Chociaż kiedy za kilka lat rozhulają się w niej hormony, Sara - to nieuniknione - popłacze w poduszkę, że przystojni durnie wołają ładne kretynki. A lifting twarzy przed dwudziestym pierwszym rokiem można zrobić tylko na podstawie zaświadczenia komisji lekarskiej. No i słusznie, tak nawiasem mówiąc.

O czym ja myślę, diabli nadali?! Chyba mam tu coś do zrobienia...

- Przecież wy nie jesteście ludźmi - mówi Sara.

Nie pyta, stwierdza.

- Niezły tekst, żeby cię pogięło! - zachwyca się Billy. - Słuchaj, twój czerwony marker jeszcze działa?

- Po co ci? - dziwi się dziewczynka.

Mój kumpel zahaczył ją, zadziwił, tak trzymaj, partnerze!

- Chcę napisać na tym dynksie: „Tu był Billy”.

Dziewczynka na koszulę ma nałożoną turystyczną kamizelkę całą pokrytą kieszeniami. Wyjmuje skądś zza pleców czerwony cylinderek i rzuca Billy'emu ze słowami:

- Trzymaj... Mosiek!

Srebrzyste gnomy stoją nieruchomo. Staram się ich nie zauważać, bardzo się staram, chociaż drażnią mnie niewiarygodnie. Psy mają dusze. One nie.

Przemilczywszy „Moška”, mój partner odwraca się do srebrzystego talerza i w skupieniu na nim pisze.

- Jesteśmy oczywiście ludźmi, Saro - mówię. - Takimi jak ty. Tyle że nie do końca zwykłymi ludźmi. Twoje zdolności są wrodzone, a my swoje nabyliśmy w kosmosie. Byliśmy astronautami.

Usiłuję delikatnie przesondować tę małą, dostroić się do jej emocjonalnej fali, ale nic mi z tego nie wychodzi. Siódemka gnomów nakryła nas kołpakiem. Dobra, dzięki i za to, że widzimy się w całej naszej ponadludzkiej niezwykłości.

Dziewczynka nie steruje nimi. Ale oni zależą od niej. To mi podszeptuje Billy.

- Chciałbym ci zadać kilka pytań, Saro. Pierwsze i najważniejsze: czy zamierzasz jakoś pokazać się mamie?

- Ależ ja bym już dawno do niej poleciała! - niemal krzyczy nasza zguba. - Ale ciągle mi przeszkadzali! Ciągle ktoś tu się szwendał!

- Ludzie są zaniepokojeni - tłumaczę spokojnie. - Całe miasto jest podminowane z twojego powodu.

Sara zamierza wrzeszczeć... I milknie. Wie, że przecież nie kłamię.

- Mają mnie w nosie... - mówi niezbyt pewnie, kryjąc spojrzenie.

- Dobra, niech ci będzie, ale nie całe miasto. Trzydziestu ochotników jest gotowych wleźć do bagna nawet w tej chwili.

- A gdzie byli wcześniej? Tylko gliny tu latały i ratownicy. I... ojciec.

- No i sama sobie odpowiedziałaś. Po prostu nikt ich tu nie puszczał. A teraz Hurt i Roads mają dosyć, zebrali ludzi...

- A jak tam Mary-Ann?

Tak, Sara kocha córkę Roads. Brakowało jej tego okruszka i czuje się wobec niej winna.

- Nakłamałem Mary-Ann jak nie wiem co - mówi Billy, odrywając się od swoich artystycznych malunków na talerzu. - Powiedziałem, że pies zabłądził w lesie i spokojnie umarł ze starości pod wonną leliją. Tfu, przepraszam. Wonna lelija to jeszcze jeden głupi żart dorosłych.

Mała siada przede mną na trawie. Nogawka spodni nad wysokim butem podjeżdża do góry, widzę jej strasznie brudne nogi. I nagle uświadamiam sobie, jak ona jest zmęczona. Dziesięć dób na bezpośrednim energetycznym zasilaniu obcych istot. Zdrowa na pewno jest jak rydz, ale jej sferę emocjonalną wycisnęli jak cytrynę.

- Terry zaatakował malców. Oni go... utopili.

- Wyjaśnij mi to - proszę. - Terry to był terier irlandzki. Ta rasa wyróżnia się wybitnym uporem, ale mając tyle lat, nie mógł po prostu zejść tak daleko w bagno.

Sara zezuje na mnie z zainteresowaniem. Duży plus dla mnie za psa. Mam nadzieję, że nie będziemy gadali o ptaszkach. W ptaszkach jestem dupa wołowa.

- Oni spadli tam. - Dziewczynka wskazuje kierunek brudnym palcem z obgryzionym paznokciem. - Na sam brzeg. To ja przeciągnęłam statek do jeziora. Przypadkowo. Chciałam go ukryć i jakoś mi to samo wyszło. Nie uwierzycie mi, ale dopiero teraz nauczyłam się nim sterować, a wtedy hop! Po prostu bardzo chciałam.

- Wewnątrz statku jest takie coś - rysuję w powietrzu łuk - z występami na brzegach. Wsunęłaś tam głowę?...

- Nie, tam jest kopała. Kołpak.

- Bałaś się? - pyta Billy.

- Nieee. Było mi bardzo żal maluchów, oni umierali. Teraz będą żyć. Polecą ze mną. Właśnie prowadziłam ich, by pokazać im kwiaty. Tu, na skraju wyspy rosną bardzo piękne. Chciałam, żeby malcy zobaczyli siebie. Oni są właśnie tacy.

„Kwiatuszki” w srebrzystych kombinezonach ciągle stoją półkolem. Z rzadka poruszają lekko długimi palcami na długich rękach.

- Dokąd zamierzasz polecieć? - rzucam ot tak, udając, że mnie to niezbyt interesuje.

- Do nich do domu. Najpierw oczywiście wpadnę pożegnać się z mamą. Tak mi głupio! Ale nie mogłam inaczej, rozumiecie? Znalazłam ich, a oni umierali. I potem tak jakoś wszystko samo wyszło. Malców nie można zostawić dłużej niż na parę godzin. Raz usiłowałam pobiec do domu, ale w ostatniej chwili zrozumiałam, że ich tracę, i wróciłam. Myślicie, że nie chciałam zobaczyć mamy? Jeszcze jak chciałam! Ale malcy potrzebują stałej troski, oni są tacy delikatni...

Baaardzo delikatni, zaiste - skóry skalpelem nie przetniesz. To nie to, co myślisz, dziecino, włączył się ich program autodestrukcji.

- Ich było więcej niż siedmiu, prawda?

- Tak, pochowałam w jeziorze sześciu. I pilota. W ogóle spadli, bo umarł pilot. I sześciu ja straciłam. To smutne. Ja po prostu na początku nie wiedziałam, jak należy się z nimi obchodzić. Dobrze, że mamy podobne powietrze. Bo by wszystkie maluchy umarły. Jedzenie też im się wkrótce skończy, trzeba lecieć, inaczej nie zdążymy. Oni... Jak pan ma na imię, przepraszam?

- Ivan.

- Nie tak ma pan na imię.

Billy kilka razy ostrożnie stuka głową o burtę talerza.

- Co ci, Mosiek? - pyta Sara z pewnym obrzydzeniem.

- To nerwowe, Sarciu, aniołku mój. Nie zwracaj uwagi, żeby cię pogięło!

- Nie jestem twoim aniołem, Mosiek - mówi poważnie dziewczynka. - Jestem ich aniołem. Oni są moi, a ja za nich odpowiadam. Nie można ich porzucić. O! Rozumiecie?!

- A kto ci, skarbie, powiedział, że zamierzamy ci przeszkodzić? - dziwi się mój partner. - Gdybyśmy chcieli, to już dawno byśmy przeszkodzili. Masz, zabieraj swój tani marker, przyda się...

- Nazywam się Iwan - tym razem wymawiam swoje imię po rosyjsku.

Sara spopiela Billy ego wzrokiem, ale udaje mi się wklinować w ich dialog. Mój partner już zamierzał powiedzieć, gdzie Sara może sobie wsadzić marker. Utalentowanego mam kumpla, ale wiecznie przegina pałę. A spektakl „Dobry policjant i zły policjant” z takimi mądrutkami dziewczuszkami trzeba odgrywać subtelnie.

Zresztą łapię się na myśli, że od dawna już nie gram. I nawet „kwiatuszki” Sary nie wywołują we mnie takiego obrzydzenia.

Mała patrzy na mnie. Pochyliła głowę na bok. W tym prostym ruchu jest tyle z jej matki, że czuję, jak omywa mnie ciepła fala.

- Ivan, dawno znasz moją mamę?

Billy znowu stuka głową o talerz.

- Mili moi, ja się przejdę, co?

- Idź, Mosiek - pozwala Sara. - Daleko nie odchodź, bo znowu wpadniesz do wody.

Mój partner głucho ryczy, oddalając się ku ruinom, i po chwili już leży tam na belkach, założywszy ręce za głowę.

- Znam twoją mamę od dwóch dni, Saro. Czy to ważne?

- Tak, Ivanie, to... Bardzo interesujące.

- Posłuchaj mnie, dziecko. Chcę, żeby między nami była pełna jasność. Zgodziliśmy się z Billym szukać cię dobrowolnie. Poprosił nas o to szeryf Gibbson...

- Ten gnojek potrafi prosić?

- Jesteś dobra, Saro - mówię. - Dobrze wychowana i układna.

- Tak! - śmieje się. - Taka jestem. A Gibbson to tłusty gnojek!

Ma cudowny śmiech. Odcień śmiechu Very. Czystego i beztroskiego - ja takiego jeszcze nie słyszałem, ale mam nadzieję usłyszeć.

- Wpadliśmy do miasta w interesach. I zgodziliśmy się pomóc w poszukiwaniach. Tak poznałem twoją mamę... Saro, nie przerywaj! Daj mi dopowiedzieć.

- Pan mi się podoba, Ivan. Wcale nie mam nic przeciwko temu, że zakochał się pan w mojej mamie. Ona jest dobra, tylko nieszczęśliwa. Jest samotna.

Muszę wykonać kilka głębokich wdechów i wydechów. Potem pytam:

- Mogę teraz ja stuknąć głową o twój latający talerz?

- Czy to nerwowe? - Sara znowu się śmieje. Jakże straszliwie tęskniła za kontaktem! A teraz na dodatek siedzi przed nią taki jak ona nienormalny esp. Prezent od losu, człowiek, który wszystko rozumie.

Chociaż Billy podoba jej się bardziej. Sara czuje, jaki to jajarz. Wykończy go teraz tym „Mośkiem”. Ale mój partner też ma w kieszeni kilka ripost. Trafił swój na swego. Nie na długo.

O czym ja myślę, niech mnie diabli?! Dusza mi się drze na kawałki. Nie dziwota, gram jednocześnie w kilka gier - okłamuję Sarę, ZSZ i siebie. Udaję, że ostateczna decyzja należy do dziewczynki.

A dlaczego by nie?

- Dobra, Saro. Posłuchaj mnie teraz. Zaczęliśmy szukać cię jako osoby prywatne, pomagające miejscowej policji. Ale twoje zniknięcie było tak tajemnicze, że zabrały się za nie służby specjalne. A Billy i ja jesteśmy oficerami Zjednoczonych Sił Zbrojnych. Słyszałaś o ZSZ? Dobrze, mądra dziewczynka. Ale pozwól, że ci wyjaśnię, co to oznacza dla ciebie i twoich podopiecznych. To gorzej, niż gdyby zainteresował się wami rząd Ameryki i najbardziej tajne jego agencje. Zanim w Białym Domu zdecydują, jak się z tobą obchodzić, zdążysz dziesięć razy dolecieć do Mgławicy Andromedy i z powrotem. Ale dla ZSZ kosmos to chleb powszedni. Dlatego ZSZ tak wczepiło się w ciebie. Saro, wpakowałaś się w sferę życiowych interesów nie jednego kraju, a całej Ziemi.

- Ziemia mnie nie wypuści?

- Zgadłaś. Dopiero co otrzymaliśmy rozkaz, by dostarczyć statek, załogę i ciebie do bazy Right-Patterson. Leci tu już transporter z ochroną.

Dziewczynka opiera ręce o ziemię, żeby się poderwać, po półokręgu jej świty przebiega krótka fala zaniepokojenia.

Billy leniwie unosi głowę, potem znowu się kładzie.

Jak to on powiedział wczoraj - „trafiliście na drapieźców”? Właśnie. Królowa Śnieżka i siedmiu krasnoludków mogą się z nami bić. Fizycznie. I tylko. Co prawda w talerzu powinna być armata świetlna, ale póki to bractwo siedzi na zewnątrz, guzik im wyjdzie.

- Dlaczego wy... nie wykonujecie tego rozkazu?

- Bo ty się nam podobasz! - krzyczy Billy.

- Podobasz - powtarzam.

To jest argument nie do odparcia. Można przy jego pomocy wprowadzić w stupor dorosłego, a co dopiero jedenastoletnią dziewczynkę, mimo że to mądrała i już prawie studentka.

- Masz do dyspozycji cztery i pół godziny, Saro. Nawet mniej, cztery. Potem do miasta przyjadą nasi koledzy, słynący z tego, że wykonują każde polecenie i to zawsze. To też szczególnie ludzie. Nie dasz im rady. Teraz odpowiedz mi na proste pytania: jesteś pewna, że należy lecieć? Dokąd? Jak daleko? Po co? I jak cię przyjmą w końcowym punkcie trasy?

Sara znowu siada.

- Powinnaś coś zjeść - mówię. - I umyć się.

- Wtedy zachce mi się spać.

- Wyspać się też powinnaś.

- Wyśpię się za tydzień. Jak dolecę. Co tak na mnie patrzycie? Chcecie powiedzieć: szalona dziewczynka? No to powiedzcie. Wszyscy to mówią, nawet czasem mama. Przywykłam. Iwanie, muszę lecieć. Inaczej oni umrą. Jak mnie przywitają, nie mam pojęcia. Ale odwiozę maluchy do domu!

Mój partner ziewa znudzony. Już wie wszystko - co powiem ja, co odpowie mała i tak dalej, i temu podobne. Ma chłop szczęście, że to nie on prowadzi pertraktację.

To, że nas wsadzą za niewykonanie rozkazu, i to na pewno, Billy'ego nie obchodzi. Po prostu nie wierzy, że ktoś może go wpakować do pudła. Rosyjskie przysłowie „nie zarzekaj się więzienia i z torbą proszenia” dla niego jest pustym zestawem dźwięków. Chociaż jeszcze wczoraj, jeśli myśleć

historycznie, tutaj takich czarniutkich jak on wieszali. Tacy białutcy jak ja. Bez sądu i dochodzenia. Trzeba będzie mu o tym przypomnieć, bo kompletnie stracił swoją pamięć genetyczną. Wala się na ziemi, proszę was, ziewa! Coś mu tu za dobrze, negrowi!

- Dlaczego nagle się rozzłościłeś, Iwanie?

- Twoje maluchy, Saro, mają właścicieli. Porównałaś ich do kwiatów, to teraz pomyśl o ogrodnikach. Oni zamknęli dla nas daleki kosmos. Nigdy nie zastanawiałaś się, dlaczego na Księżycu tylko roboty coś majstrują, zbierając paliwo, chociaż ludzie są elastyczniejsi, bardziej pomysłowi i mogliby zdobyć kilka razy więcej paliwa? No i ludzie naprawdę chcą latać, a maszynom wszystko jedno?

Sara kręci głową.

- Takie oto latające talerzyki - kiwam głową w stronę statku - paliły elektronikę w naszych automatycznych sondach zwiadowczych. Potem zaczęły robić to samo ze statkami załogowymi. Zmusiły nas do zwinięcia pilotowanej astronautyki do poziomu przedostatniego wieku. Że niby siedźcie sobie, dzieciaczki, na orbitalnych platformach i nigdzie dalej nosa nie wysuwajcie. Nie dotarliśmy nawet do Jowisza. Istnieją tysiące wariantów odpowiedzi na pytanie, dlaczego nas, Ziemian, trzyma się w obórcie. Mnie odpowiada jeden, najprawdopodobniejszy. Widzisz, ludzkie nieświadome...

- Znam *to* słowo, Iwan.

- Wierzę. Posłuchaj, otwórz się odrobinę. Znudziło mi się mleć ozorem. Pokażę ci problem. Tym sposobem głębiej go zrozumiesz.

Srebrzysty półokrąg cicho szeleści. I bariera odcinająca Sarę ode mnie staje się cieńsza. Odrobinę.

Patrz, Saro. Oto, co jest.

Wyrwawszy się poza granice Ziemi, człowiek zaczyna wpływać na przestrzeń. Nieświadomie. Coś zmienia dokoła siebie. To jest dramat pierwszych księżycowych ekspedycji. Diabli wiedzą, gdzie ich nosiło. Dlatego powstało tyle pytań, na które nie znaleziono odpowiedzi, i Ameryka uznała, że ktoś ją kiwa. Niektórzy z programu „Apollo” naprawdę byli na Księżycu. A inni - na jakimś innym księżycu.

Ale najważniejsze jest dalej. Dalej od Ziemi. Im głębiej wnikamy w kosmos, tym silniej wpływa on na nas. Zmieniamy się więc my sami. I pojawiają się tacy jak ja, jak Billy. Ci, co noszą na szyjach odłamki meteorytów, kryjąc pod nimi nabyte talenty.

Ci, co przeżyli. Pozostali wymarli. Większość. Ale tak czy inaczej współdziałamy z kosmosem i to nie pasuje właścicielom maluchów. Ziemianie są zdolni przekształcić się w jeszcze jedną rasę zdobywców gwiazd, eksplorować przestrzeń na podobnych zasadach jak tamci. Tyle że z lepszym skutkiem. Człowiek pomyśli i skoczy o kilka parseków... Niezbyt udane określenie - „zdobywca gwiazd”. Kosmos wcale nie jest pustką z gwiazdami. Kosmos jest żywy. I my nauczylibyśmy się żyć w nim, żyć z nim. Ale ktoś nam przeszkadza.

Tak to wygląda, Saro. Oto, w co się wpakowałaś. Teraz się zastanów. Pokazałem ci wszystko. I oczywiście władowałem w swoje widzenie problemu cały ból, gorycz i złość, jakie nagromadziły się we mnie przez niemal dwadzieścia lat, w ciągu których Iwan Kuzniecowa był związany z programem dalekiego zwiadu ZSZ.

Bardzo żałuję, Saro, ale mamy poważne powody, by nienawidzić właścicieli twoich maluchów, prawdziwych gospodarzy znanej części Wszechświata. My, Ziemianie. I ty - jedna z nas.

- Billy! Dość tego ziewania! Znudziło mi się, słowo honoru!

- Jarzę, dowódco, żeby cię pogięło!

Dziewczynka patrzy tak, jakby chciała wywrócić mi duszę na lewą stronę i obejrzeć jej szwy.

- Oni czasem są bardzo okrutni, Saro. - Chciałbym już milczeć, ale nie mogę. - Okrutni i przebiegli. Na naszym okręcie flagowym rozbili ochronę przeciwmeteorytową. Tacy właśnie malusi na sympatycznym latającym spodeczku. Przelecieli obok i gotowe. Statek nie dał rady uchylić się na czas przed atakiem meteorytów. Zginęło dziesięciu ludzi. I spróbuj teraz udowodnić, że przyczyna ich śmierci nie była całkiem naturalna. Wesoło, co? Jesteśmy dla nich niczym. Jeśli uznają to za potrzebne, będą nas zabijali tysiącami. A ty wybierasz się prosto im w paszczę. Z siedmioma biorobotami, których właściciele już dawno o nich zapomnieli!

Mała patrzy na swój orszak. Srebrzyste krasnoludki stoją jak wryte. One są teraz jej. Umrą bez niej.

Myśl, Saro. Kumaj.

- Jakże wy ich musicie nienawidzić... - szeptem dziewczynka. - Biedny Iwan. Wybacz. Ja... - jej głos krzepnie. - Ja wszystkiego się dowiem, wszystko zrozumie! Przysięgam! Sam widzisz, że potrafię dogadywać się z tym, co żywe. A ich właściciele, ogrodnicy, przecież nie są martwi. Uwierz, mnie się to uda. Wrócę i wszystko wam opowiem.

- Czyli lecisz, idiotko?

Mówię to delikatnie i ze smutkiem. Ani grama fałszu. Rzeczywiście tak to odczuwam.

Zginie. A nas wsadzą do pierdła.

Sara przysuwa się i czule głaszcze mnie po policzku brudną łapką. Cała jej osławiona zdolność dogadywania się, zassana od tych maluchów czerpiących energię z bezdennej astralnej studni, skierowana jest na to, by pocieszyć biednego Ivana. To bardzo wzruszające, ale kompletnie bez sensu.

Zawaliłem tę grę. Mała odleci. Wierzy, że oplakuję ją teraz, ale to nie wpływa na jej wybór. W końcu trafiła na zadanie, którego skala skołuje głowę każdemu dziecku.

Uparte dziewczuszyko niemożebnie! Wykapany ojciec.

Odsuwam się, wstaję, chowam ręce za plecy i do bólu zaciskam pięści. Cholernie mam ochotę walnąć Sarę w głowę, przerzucić przez ramię i wywołać „teczkę”. A ze srebrzystymi krasnalami niech się bije Billy.

To moje tchórzostwo nazywa się zdrowy rozsądek.

Mój partner jednym skokiem staje na równe nogi. Niektóre z maluchów zaniepokojone odwracają się ku niemu.

- Sara, szybko! - krzyczy Billy. - Zdejmij tę pieprzoną osłonę! Muszę wyrzeć!

Dziewczynka posłusznie wyciąga ręce do świty. I zwala się na mnie świat.

Dopiero teraz uprzytomniam sobie, w jakiej kompletnej głuchocie trwaliśmy pogrążeni tu, na wyspie, pod energetycznym kołpakiem wzniesionym przez podopiecznych Sary. Byłem skoncentrowany na małej, a świat przecież nie zniknął, tylko żył za barierą.

I wiele się w nim zmieniło.

- Dur-r-rnie! - ryczy Billy. - Czy tak się postępuje?!

„Wsiadam” na falę partnera, słyszę, co on tak naprawdę mówi, widzę, z jakiego powodu, i też nabieram ochoty powiedzieć kilka gorących słów.

Słowa są rosyjskie, dlatego wyrzucam je z siebie bez skrępowania. Na głos.

Dureń i karierowicz Masters, wiecznie gotowy nie tyle wykonać rozkaz, co wykonać z nadmiarem, pędzi swój transport rezerwowym korytarzem. Pędzi jak psychol. Jego latający kalosz tak natęża brzuszysko, jakby zamierzał urodzić malutki samolocik ogonem do przodu. Myśliwce eskorty majtają się nieopodal wystraszone. Ich piloci widzą, że transport bije światowy rekord prędkości, ale przecież tam siedzi Masters, cały pułkownik ZSZ, rasowy kosmiczny wilk, sto pistoletów od dystrybutorów mu w ryj i admirałska kotwica w ucho!

Będzie tu za godzinę z hakiem.

I do tego z trzech stron pędzą w kierunku miasta spocone, zwarte grupy maszyn. Wszystkie w tym samym celu. Federaty, specoddział Pentagonu i, niech ja skonam, CNN! Masters ich wyprzedzi, oczywiście. O całą godzinę. Jeśli się nie rozwali.

Ścierwojady!

Jeden wyczuł zdobycz i zaraz za nim runęło całe stado. Jak miało nie runąć, skoro ciężka maszyna ZSZ pokazuje Ameryce, jak wyglądał przelot tunguskiego meteorytu?!

Nawet nie interesuje mnie, dlaczego Johnson pozwolił Mastersowi na taki barwny show. Po prostu jest mi przykro.

Dobra, ja wam, kute asy, urządę wyścigi po cuchnące ścierwo!

- Johnson, gnoju! - krzyczę. - Widzisz to? Po co?! Dlaczego mu pozwoliłeś? Hej, pułkowniku! Możesz uważać moje słowa za podanie się do dymisji! I oświadczenie o samowolnym odejściu!

Mała mruga oczami, nic nie rozumiejąc. Widzi przecież, że nie mam comu. Billy bezdźwięcznie klaszcze.

- Hurt! Alarm! Wszyscy ludzie i sprzęt do punktu A. I czekać na polecenia!

Dziewczynka otwiera za zdumienia usta. To nic, żeby tylko Hurt nie zastanawiał się, a działał.

- Saro! Kto tu gadał, że potrafi sterować tą furmanką? Udowodnij to! Leć do mamy, szybko! Załoga, na pokład! Dawaj, dawaj, tyłki w troki, ruchy, ruchy, dupki skośnookie! Maluchy kupą rzucają się do talerza. Tylko dziewczynka stoi jak wkopana w ziemię. A winien jestem ja, cóż... „Potrafię się dogadywać”? Kiedy mnie ktoś podkreśli jak należy!

- Saro Sayer! Za sześćdziesiąt minut wyruszasz. Albo do bazy Right-Patterson, albo do diabła w kosmos. Wybieraj. A teraz pełnym gazem do mamy! My za tobą.

Dziewczynka wolno kiwa głową, potem ogląda się w stronę domu. No tak, stamtąd nadlatuje jeszcze jedna piekielna maszyna.

„Teczka” na boosterze brzmi niezwykajnie, nie? Ni to z chrzęstem, ni to z trzaskiem skacze ku nam zza lasu purpurowa kropla. Latający talerz może oczywiście latać szybciej. Ale jego ewolucje wyglądają jakoś niepoważnie. Może są i straszne, ale nieprzekonujące. Co innego, jak na człowieka pikuje T5 Evo. Nawet jeśli nie chcesz, to się skitrasz. Pociągu pancernego nie zatrzymasz.

- Saro - mówię czule. - Mam cię kopniakami przegonić na pokład? Czy lecisz z nami?

- Tak jest, sir! - skanduje dziewczynka, biegnie do talerza i nurkuje w luku, który pojawił się w burcie niewiadomym sposobem.

- Szkoda - mamroce Billy. - Bardzo szkoda, żeby cię pogięło. Dlaczego nie walnąłeś dziewczyska w czachę? Przecież chciałeś! A ja bym tym skośnookim ręce z nogami posplatał.

Oddalibyśmy całe to towarzyszo Mastersowi, podpisałby odbiór i po sprawie...

Rozkazuję „teczce”, by wykrciła i lądowała. Latający talerz leży w bagnie jak zdechły.

„Żeby cię połamało - myślę - żebyś pękł na dwie połowy, żeby ci na rufie zawisł bagienny potwór i nie wypuścił z objęć!”

- Jeśli Sara cię znieawidzi, Vera nie przestanie cię kochać - mędzi mój partner. - Ale jeśli Sara naprawdę odleci... Wyobrażasz sobie choćby przez chwilę, czym to się wtedy skończy? Och, do jakiego boga mam się modlić; żeby ten kosmiczny złom się rozpieprzył? Wanja, wymyśl coś, żeby cię pogięło! I wypuścić Sarę głupio, i oddać naszym nieładnie. Co powiesz, he?

„Teczka” otwiera drzwi.

A talerz z nienaturalną łatwością podrywa się z bagna. Jak podwieszony na niteczce mknie lotem koszącym w stronę domu Sayerów.

- Ciągnij diesla, Mosiek! - rzucam z przekonaniem.

Jak każdy normalny człowiek Billy nie znosi wybierania jednego niedobrego rozwiązania z dwu złych.

Środa, ostatnia godzina

Obok domu Sayerów działy się rzeczy potworne. Stały tu trzy patrolowce. I tutejsze pospolite ruszenie w pełnym składzie zważyło się z punktu zbornego A - nie ma to jak iść na wojnę z cywilami, co?! Zwyczajnych gapiów też przyłaziło do cholery.

Na parkingu na dachu połyskiwał błyszczącą powierzchnią latający talerz. Dom, przykryty stustopowym dyskiem, wyglądał jak lokum Aliena.

A na werandzie stała na szeroko rozstawionych nogach Clarissa - w granatowym patrolowym mundurze. W czapce nasuniętej na oczy. Z pistoletem w kaburze. I ogromnym gumostrzałem do tłumienia masowych rozruchów na ramieniu.

Straciłem dar mowy na dobre trzydzieści sekund.

Billy to w ogóle, jak z „teczki” wysiadł i zobaczył swoją Barbie, tak zważył się z powrotem.

Podbiegł do nas szeryf.

- Płyn, Gibson - powiedziałem do niego. - Mój partner już z miasta nie wyjedzie. Na ślub przyjdiesz?

- A ciągnij sobie diesla, majorze! Nie mam ochoty na żarty. Wali do nas policja z okręgu, policja stanowa i miejscowy oddział FBI. Zaraz się zacnie!

- Wyluzuj, ja się nimi zajmę. Bez sprzeciwów! Ty masz na głowie porządek publiczny.

- Taaa... - wycedził glina. - Około trzystu gapiów, a moich ludzi dziesięciu. I tłum ciągle rośnie.

- Zabezpiecz strefę wokół domu. Na to ci ludzi wystarczy. Gwarantuję, że za godzinę nie będzie tu już nic ciekawego.

- Kompletnie nic? - prychnął szeryf.

- Zniknie źródło niepokojów. Ciesz się, Gibson, od ciebie już nic nie zależy.

- Ale oberwę jak zwykle ja! - podsumował policjant i ruszył zajmować się porządkiem publicznym.

- Za co? - rzuciłem za nim. - Przecież to ty znalazłeś Sarę.

- Ja?!

- Oczywiście. Zorganizowałeś udane poszukiwania.



Szeryf nie odwrócił się, ale nawet jego plecy zaczęły wyglądać jakoś różnie.

Billy nie bez problemów wysiadł z „teczki”.

- Podobam się jej - powiedział, pożerając oczami Clarissę.

- Wszystkim się podobasz. Stój tu, nic nie rób, bądź gotów do blokowania Mastersa, jeśli nie uda się uwolnić Sary. I poza tym... Możemy trafić przed trybunał za niepodporządkowanie się poleceniom, rozumiesz? Myśl, jak kłamać śledczemu.

- Zahipnotyzowali nas skośnoocy, zzz.

- To już jakiś pomysł.

Odszukałem w tłumie Hurta i Roads.

- My tego... - powiedział Hurt. - Pomyśleliśmy, że może lepiej tu, panie majorze, sir. Zuchy z was, żeście Sarę znaleźli!

- Następnym razem nie myślcie, a wykonujcie rozkazy, jasne? Mister Hurt, dla pana mam dwa zadania. Pierwsze: powinien pan być gotów na moją komendę całą grupą wznieść się na trzysta stóp nad domem i wisieć tam, póki nie skończy się paliwo. Osłonicie obiekt przed próbą przejścia od góry. Wiem, że wasze maszyny nie są przeznaczone do takiego celu, będzie je mocno telepało, ale trzymajcie się. Kumas? Teraz zadanie drugie. Proszę wytypować pewnego człowieka, który wykona co następuje: za godzinę ma tu być biotoaleta z zapasem chemii na miesiąc, wojskowe albo policyjne racje na tyleż i dwadzieścia galonów wody pitnej. Pieniądze zwrócę.

- Toaleta, można uważać, już jest, zdejmujemy z ciężarówki. Pozostałe rzeczy będą migiem, panie majorze, sir!

- Po prostu Ivan.

Rozejrzałem się. Bardzo nie chciałem wciągać miejscowych w wewnętrzny spór ZSZ, ale miałem silne przeczucie, że albo Sara się nie wyrobi, albo Masters doda jeszcze gazu. Na pokładzie jego kalosza leciało dziesięciu techników i tyle samo ochroniarzy. Ochrona była zresztą czysto nominalna, Masters i Pawlowski sami są bronią masowego rażenia. Ale właśnie bronią. Ogłuszyć, zastraszyć, zdeptać - to ich *emploi*. Nie potrafią, a może i nie chcą pracować z ludźmi tak subtelnie jak my. To wiedziałem na sto procent, nie byłem tylko pewien, czy są wystarczająco głupi, by strącić dziesięć cywilnych maszyn? Z wysokości stu metrów i to na dom mieszkalny, na policjantów, na tłum dokoła?

Bo zaczepić talerz Masters może, tylko wisząc nad nim.

Gliny już otoczyły dom żółtą taśmą na kołkach. Podszedłem do szeryfa.

- Jeśli nad domem zawisną cywilne maszyny, nie wtrącaj się. Stój, gdzie stoisz. Nikogo nie słuchaj. Wszystkich wysyłaj do diabła. To twoje miasto, twoi ludzie, twoja dziewczuszka. Wojskowi, nawet ZSZ, nic nie mogą ci zrobić. Niech najpierw zwrócą się do sądu. Aha, i ten ładny talerz latający, zupełnie nowiutki, z minimalnym przebiegiem, też jest twój. Kumas?

Nasz glina kiwał głową jak nakręcony. Nie miałem czasu i sił go przekonywać - po prostu napierałem i przygniatałem.

Na werandzie ciężko dyszała Clarissa. Idiota Billy chciał ją tak, że można było od niego zapalać bengalskie ognie. Wróciłem do „teczki”:

- Trochę mnie martwi mieszanka do oddychania wewnątrz talerza - powiedział mój partner. - Powietrze jest podobne do naszego, ale jednak... Jak chcesz, to wymontuję z maszyny zapasowy regeneratory i „dychawicę”. Dla mnie to pół godziny roboty.

- Myślałem, że co innego cię martwi, ty nasz ogierze seksualny.

- Jestem naturą wszechstronną, żeby cię pogięło.

- Dawaj, pomogę ci odkręcać śruby.

I zaczęliśmy wykręcać z czerwoniutkiej system awaryjnego zabezpieczenia życia. Na kwadrans z przyjemnością oderwałem się od tego szaleństwa dokoła nas.

Potem ktoś mnie delikatnie poklepał po tyłku.

- Mm? - zapytałem, wysuwając się z wnętrza maszyny.

W zębach trzymałem kabel zasilania.

- Iwan, to wszystko serio? - zapytała Vera. - Z jej głową wszystko w porządku? A może to ty przegrzałeś się na bagnach?

Missis Sayer wyglądała ekstremalnie agresywnie, od razu przypomniałem sobie nasze pierwsze spotkanie.

- Masz na dachu zaparkowany talerz latający z siedmioma przybyszami z innej planety w środku - powiedziałem oschłym tonem. - A twoją córkę nasi zamierzają zamknąć w Hangarze 18\*. Jeśli bardzo poprosisz, zamkną cię razem z nią. To jest ślepa uliczka dla wszystkich, ale bardzo wygodna i względnie bezpieczna. Sara popłacze trochę, potem się pogodzi. Tobie będzie nudno, ale się przyzwyczaisz.

- Mów dalej - powiedziała Vera.

Zwariować można - ona chciała mi dać po pysku! Otrzymawszy z powrotem córkę, wyraźnie się zmieniła. Jej światek znowu przybrał pewną stabilność i jedyne, co należało z niego usunąć, to problem wyboru.

- Żaden normalny człowiek nie da sobie rady z pilotowaniem tego pojazdu. Zwariuje, zajmąwszy miejsce pilota. Ja bym spróbował, ale się boję, jeśli mam być szczerzy. A Sara to pojęła bez trudu, dla niej to fraszka. Jestem pewien, że ona po prostu skoczy tam i z powrotem.

- Tam, czyli dokąd?! - krzyknęła missis Sayer.

- Tam to tam! - oświadczył z wnętrza maszyny Billy.

- Vero, przez jedenaście lat robiłaś wszystko, żeby dziewczynka dorastała szczęśliwa. No to w czym teraz problem? Miejsce, do którego się wybiera, nie jest raczej bardziej niebezpieczne od bagna.

- Nie traciłeś nigdy dziecka - powiedziała z rezygnacją. - Nie zrozumiesz tego. Chociaż... Niech cię szlag, Iwan! Ty wszystko rozumiesz. Twoje spojrzenie dalej mam w sobie. Nie wiem jak, ale odczuwasz to samo, co i ja. I mimo wszystko popychasz Sarę do tego szaleństwa? Masz nadzieję, że ona dokona tego, czego nie mogłeś ty?! Astronauta... Nie zwrócisz mi Sary po raz drugi. Tam, dokąd ją wysyłasz, dla ciebie nie ma drogi.

Vera chwyciła mnie mocno za klapy kombinezonu i potrząsnęła mną jak lalką. Nie wiedziała, czy ma mnie żałować, czy zniechęcić. Albo pocałować, albo zabić.

- To podłe, Wania - podsumowała.

Odwróciła się i weszła do domu.

- Ciągniemy diesla? - zaproponował mój partner.

Cisnąłem kabel i usiadłem na wydeptanej trawie. Zamknąłem oczy. Pomyślałem o ludziach dokoła. Wsłuchałem się w nich. Nic dziwnego, wszyscy chcieli, żeby Sara odleciała. Przecież to takie wydarzenie... Takie... Takie!

Przecież to nie ich córka.

Też mi coś - wsiadła do talerza i ruszyła w kosmos. Skoczyła, wróciła. Przywiozła prezenty -

temu barometr w kształcie latającego spodka, innym ciupagę z napisem „Olympus Mons - pamiątka z Marsa”... Tylko troje ludzi patrzyło na sprawę trzeźwo: ja, Billy i Vera. Mój partner przejmował się losem dziewczynki, ale był też ciekaw, czym to się skończy. Własną matkę wsadziłby do talerza. Ja zresztą też. Byliśmy gotowi walczyć o drogę do gwiazd praktycznie na wszelkie sposoby. Wolność i otwarta perspektywa dla ludzkości - sami niemal staliśmy się ofiarami tych marzeń. I dlatego mieliśmy osobiste porachunki z gospodarzami Wszechświata.

Ale czy zaryzykowałibyśmy życie własnych dzieci? A skąd ja mogłem to wiedzieć?! Przecież choć byliśmy z Sarą jedną duszą, jednym umysłem, to jednak nie jest ona naszą córką.

Jak trafnie powiedział Johnson, żeby zdechł, „spłodzisz, skumasz”.

- Chcesz, to nacisnę na Verę? - zaproponował Billy. - Leciutko. Nawet nie nacisnę, tylko ustabilizuję jej psychikę.

- Nawet o tym nie myśl. Stracisz przyjaciela. Odkręcaj te śruby.

- Tylko zapytałem - nadał się partner.

- Niech wszystko się toczy swoim trybem. To los, kumasz?

- Ooo, zaczęły się rosyjskie duperale! - prychnął Billy. - Dusza, przeznaczenie, los... Los rockendrolos! Chodź tu, Dostojewski, żeby cię pogięło, pociągnij ten przewód, mam zajęte ręce.

Szarpnąłem przewód. Wstałem, zrobiłem kilka kroków w kierunku werandy. Wróciłem. Tłum dokoła domu poruszył się. Ci wszyscy ludzie czuli przede mną jakiś dziwny lęk, choć sobie tego nie uświadamiali. Do domu Sayerów licho przyniosło dobre pięćset osób. Jednym spojrzeniem mogłem spowodować, że rzucą się do ucieczki.

Przez policyjną taśmę przelazł Hurt. Za nim ciągnęło kilku mężczyzn, niosąc pudła i butelki.

- Gotowe, Ivan. - Tam macie drabinę, wrzucie to wszystko na dach. Clarisso, przepuść ich z łaski swojej!

W domu panowała cisza. Sara, wykąpana i wyczesana, zmiatała aż miło pożywny obiad. Vera patrzyła w milczeniu, jak dziewczynka je.

- Masters będzie tu za dwadzieścia minut - przypomniał mój partner.

- Wiem. Śledzę go.

- Nie zdążymy. Sara jeszcze przez godzinę będzie się szamotała z matką.

- W nosie mam. Lepiej sprawdź moje odczucia: czy to kiks, czy naprawdę Johnson tu leci? Kto to pędzi tu w naszym starym „Gryfie”, aż się skrzydła wyginają?

Billy wyszarpnął z wnętrza „teczki” pudło regeneratora i cisnął nim o ziemię. Otrząsnął zakurzone rękawy.

- Masz rację - przyznał. - Szybko wali, wkrótce tu będzie. Wanja, jeszcze majta mi się po głowie jedna duperela. Sara ma inny marker.

Nie od razu zrozumiałem, o czym mówi.

- Ona ma marker cienki, żeby cię pogięło! A strzałki na pniaku zostały namalowane grubym. Kto?

- Japoński wywiad. Co się tak na mnie gapisz, czy ja znam na to odpowiedź?

Kumpel podrapał się po czubku głowy i powiedział:

- No to pomóż mi zanieść to pudło.

Na dachu przede wszystkim popatrzyłem do góry. Burtę talerza ozdobił napis: „Bij Obcych, ratuj Galaktykę!”. Rzeczywiście mój partner wykonał go cienkim pisakiem.

Na dole wszystko było po staremu, tylko Clarissie znudziło się targanie „gumowca” i położyła broń na poręczu werandy. Lufą w kierunku tłumu.

- No? - zagadnęła do nas.  
- Co pani robi dziś wieczorem, oficerze? - spytał Billy.

- Liczę trupy, kochany.

- Idę sobie stąd - zdecydował mój partner.

- A co pan robi dziś wieczorem, oficerze?

- Jeśli nie zabiorą mnie do aresztu koszarowego, to będę tam, gdzie mnie zawołasz.

- Zobaczymy, jak się będziesz prowadził! - Barbie chytrze zmrużyła oczy pod daszkiem czapki. -

Jak zacznę strzelać, nie trzymaj tak ust otwartych, bo ci pocisk wleci.

- Gruchajcie sobie, gołąbeczki - uśmiechnąłem się i odszedłem od werandy.

- Żarty żartami, Clarisso, ale może się tak zdarzyć, że więcej się nie zobaczymy - powiedział

Billy. - Chcę, żebyś wiedziała. Jesteś najlepsza.

- Jesteś kochany - powiedziała. - Uważaj na siebie.

- Nie uwierzyła - poskarżył się partner, kiedy mnie dogonił. - Dlaczego, kiedy jestem poważny, nikt mi nie wierzy, żeby cię pogięło?!

Otworzyłem bagażnik, wyjąłem z sejfu com, nałożyłem na przegub. Urządzenie od razu zaczęło podrygiwać, jakby tylko na to czekało.

- Podpułkownik Masters. Będę u was za dziesięć minut. Czy obiekt jest gotów do załadunku?

- Nie.

Obejrzałem się i przywołałem ruchem ręki szeryfa.

- Ale obiekt jest, przecież go widzę - zdziwił się Masters. - Dlaczego nie jest gotów? I po cholere ustawiliście go na dachu?!

- Sam tam wylądował.

- Kouznetsoff, ja ciebie nie rozumiem. Proszę złożyć meldunek o sytuacji.

Glina podbiegł i nastawił ucha.

- Posłuchaj, Masters, dokąd ty się tak spieszysz? - zapytałem. - Johnson dał mi sześć godzin. Zostało mi trzy i pół.

- Wybacz, ale mam inne rozkazy, Ivan. Mam załadować obiekt, gdy tylko będzie gotowy.

- Mówię ci, że nie jest gotowy! I bez nadgorliwości, tam w środku siedzi siedmiu skośnookich. Jak łupną w twój kalosz, to kto będzie odłamki zbierał, ja?

- Bez pilota nie łupną - powiedział podpułkownik. - Myślisz, że nie wiem, co jest grane? A właśnie, gdzie ta nienormalna dziewczucha?

- Dziewczynka jest kompletnie niegotowa. Wcale.

- Dobra, Ivan, nie bądź taki chciwy. Podzielmy się zdobyczą. Zabiorę z dachu obiekt i walę na Patterson. A ty za mną dostarczysz wariatkę. Nie próbuj zagarnąć całej sławy dla siebie. I tak jesteś bohaterem. A jeśli nie jesteś ślepym bohaterem, to powinieneś zobaczyć: mam na ogonie kilku konkurentów. Każdy z nich ściska w łapie oficjalny kwit, w którym stoi, że obiekt należy do niego.

Popatrzyłem na szeryfa. Ten pokazał środkowy palec.

- A miejscowe władze są przekonane, że obiekt jednak należy do nich - oświadczyłem. - I wzięły go pod ochronę.

- Cooo? - jęknął Masters. - Czy oni też sfiksowali jak to ich dziewczuszyko?

- Obiekt został znaleziony na terenie municypalnym! - wyrzeźbił prawniczym głosem glina. - Czyli należy do miasta! Jeśli macie coś przeciwko, proszę się zwrócić do sądu.

- I ciągnij diesla... - szeptem podpowiedział Billy.

- I ciągnij diesla!

- Co to za fiut? - spytał zdziwiony podpułkownik.

- To policja, sir. Szeryf Gibbson. Pytania? Skargi?

- Nie inaczej, tylko oczadzieliście od bagienno go gazu - uznał Masters. - Dobra, ja wam zaraz przewietrzę mózgi. Koniec, kretyni!

Nasz wspólnik policjant popatrzył na mnie zwycięsko. Pomyślałem nawet - wczepi się teraz w latający talerz, niech ktoś spróbuje mu go odebrać. Zaciągnie na karny parking, guza ktoś mu odbierze. Zresztą można podłączyć do rozwiązania tego problemu niejakiego Grega Weilanda.

- Zapamiętaj wersję, której masz się trzymać - powiedziałem do szeryfa. - Jeśli nas pokonają, wszystko zwał na zielone ludziki. Że zahipnotyzowali cię, że niczego nie kapowałeś. Zresztą co cię będą uczył! Jesteś gliną, łąć umiesz.

- Bronię interesów miasta! - oświadczył Gibbson.

I poszedł dowodzić.

- Dlaczego Sara nazywa go gnojkiem? - zamyślił się mój partner. - Żebyśmy tak mieli więcej takich glin, może by i jakiś porządek nastał, żeby cię pogięło. Cudo nie oficer. No i przykładowy mąż, żony nie zdradził ani razu...

- Skocz do Hurta - poprosiłem. - Wytlumacz mu, jak mają urządzić barykadę nad domem. I ludzie do maszyn!

- Potłuką się, sieroty - powiedział smutno Billy. - Masters poruszy sterem i zdmuchnie ich.

- I nie będzie już podpułkownikiem.

Billy prychnął. Nie wierzył w rozsądek Mastersa. Nasz kolega słynął z samozaparć. Gdy kiedyś miał do wyboru: katapultować się lub otrzymać kapitańskie gwiazdki, wykonał lądowanie na twardo, ale maszyny nie porzucił. Ten bezsensowny wyczyn spowodował, o ironio, że uznano go za niezrównoważonego i wstrzymano mu gwiazdki na rok. Mnie się zdawało, że Masters wyciągnął z tego jakieś wnioski. Mój partner był przeciwnego zdania.

Podszedłem do ganku i stanąłem w cieniu rzucanym przez srebrny dysk. Latający talerz zawisł nade mną lekki jak zabawka. Wydawało się, że jeśli spadnie, to będę w stanie utrzymać go w rękach i wrzucić z powrotem na dach.

Bardzo ciągnęło mnie do domu. Ale tam Vera z córką siedziały na kanapie w salonie, trzymając się za ręce, i milczały.

- Zaraz się zaczniesz? - zapytała Clarissa.

Wzięła do ręki swój koszmarny gumostrzał i zaczęła odkręcać ogranicznik z lufy. Fachowo. Zręcznie.

- Bez tej nasadki znacznie bardziej boli - wyjaśniła. - Tyle że kopie, zaraza... Lufę mam polerowaną i wszystkie otwory zaspawane.

- Diabli by wzięli - burknąłem. - A Billy zamierzał się z tobą ożenić... Och, przepraszam, palnąłem, nie pomyślałem.

- Zobaczymy, czy zasłuży - powiedziała Barbie.

Nagle poczułem, że nie jestem tu już dłużej potrzebny.

Wszystko, co ode mnie zależało, wykonałem. Przez kilka godzin Gibbson i jego kompania utrzymują się sami. Ani Masters, ani fedzie, ani Pentagon nie przejmą talerza, póki nie okażą wystarczająco przekonującego dokumentu. Pobrękiwanie bronią, zdarte gardła, przysięgi i zapewnienia, że wszystko się potem załatwi z wsteczną datą, nie pomogą. A potem przyleci CNN, a

pod jego szklanym wzrokiem wszyscy zawsze starają się być mili i politycznie poprawni.

Tracić miejscowych w psychikę Masters na pewno się nie ośmieli. Aż takim durniem nie jest. Za dużo byłoby ofiar.

W sumie Sara będzie miała czas zrozumieć, dokąd się wybiera i czy w ogóle leci. Sterowanie talerzem opanowała całkiem, całkiem, proszę, jak wylądowała na dachu!

Polazłem za „teczkę”, przycupnąłem na stopniu. Pogłaskałem maszynę po brudnym, ciepłym boku.  
- Wkrótce wracamy do domu, radości moja. Zarządzimy ci diagnostykę, zmienimy co nieco w silnikowym, będziesz jak nowiutka...

Bzdury! Johnson rzuci kilka słów i transporter zabierze mnie z Billym do wojskowego więzienia. To się Masters ucieszy! A do czerwoniutkiej i niebiesciutkiej „teczki” wsiądzie kto inny.

Stop! Chwyciłem com. Co to elektroniczne cudo ściągnęło automatycznie? Spalić je, natychmiast! Czy poczekać? Dobra, na razie popatrzmy. Pliki, pliki... Rozkaz, gdzie jest rozkaz?! O przeniesieniu majora Kouznetsoffa z rezerwy do operacyjnej. Gdzie ten rozkaz?! Nie ma? Będę zaprzeczał! Będę mówił tylko w obecności adwoy kata! Nie złożę zeznań, które mogłyby być wykorzystane przeciwko mnie! Udam, że jestem taki Głupi Iwanuszka jak z bajki. Popłaczą się, a w nic mnie nie wrobią...

„Teczkę” jednak zabiorą, gnoje.

- Co ci tak włosy dęba stanęły, żeby cię pogięło? - zapytał Billy.

- Czy tobie Johnson wysłał rozkaz o przeniesieniu do czynnej?

- Zaraz popatrzę.

- Dawaj tu!

Wczepiłem się partnerowi w rękaw, szarpiąc com. Billy z łatwością strząsnął mnie z siebie.

- Spokojnie, Wanja. No, nie ma rozkazu. Nie widzę. I co? Myślisz, że nie wsadzą nas?

- Zabiję Johnsona! Zadręcę! Całą jego bródkę po jednym włosku mu wyskubię. Billy, wystawili nas. Nie wiem jak, ale wpakowali w gówno. Diabli by to...

- Oto on - powiedział mój partner, patrząc w niebo. - Indywiduum.

Ludzie Hurta zaczęli wzbijać się w powietrze. Cywilne maszyny są dość ciche, ale gdy jednocześnie startuje dziesiątka, ziemia drży.

A na skraj miasta opadał ogromny transporter. Myśliwce po jego bokach wyglądały jak muchy eskortujące słonia.

Zerwał się wiatr. Dwie ciężarówki i osiem osobowych maszyn zawisło nad domem, tworząc dość precyzyjną szachownicę. Masters widział, że majta nimi haniebnie. Ale tłum radośnie ich oklaskiwał.

Jeden z patrolowych wozów zrobił świecę i zawisł dwieście metrów nad zasłoną. Miał uruchomione koguty i wyjca.

- Ładnie - ocenił Billy, patrząc w niebo. - Ale niepotrzebnie. Zaraz oberwie od podpułkownika, wał mu w ryj.

Skinąłem głową. Po kilku sekundach Masters zrobił to, czego od niego oczekiwaliśmy. Przelecieć nad domem się nie ośmielił. Ale sterami poruszył. Lekko przechylił swój kalosz na bok, a patrolowiec został zwyczajnie zdmuchnięty. Cudem tylko nie runął w niekontrolowany korkociąg. Udało mu się wyrównać i wyhamować jakieś tysiąc stóp od domu. Tam opadł na podwozie, i to tak twardo, że z kół odleciały dekle.

Zasłoną zakołysało niebezpiecznie, jednak się utrzymała.

Panował potworny hałas, ale mimo to słyszałem, jak szeryf przeklina.

Masters wylądował kaloszem w polu. Nagle wszystko zrobiło się małe: dom, talerz na dachu, tłum, my sami. Pomyślałem, że zaraz ten kaszalot wysunie język i połknie od razu pół miasta.

Myśliwce ustawiły się szerokim półokręgiem i zaczęły napierać na psychikę. Próbowałem o nich zapomnieć.

Tymczasem z kalosza wyskoczyło kilka mikroskopijnych postaci. Jedna po chwili wahania oddzieliła się od pozostałych i pobięła w naszym kierunku.

Z werandy zeszła Clarissa. Rozcięła sobą tłum, po czym ruszyła na spotkanie gościa. Gumostrzał wisiał jej na ramieniu lufą do przodu.

- Idziemy - powiedziałem. - To Pawlowski. Posłuchamy, co powie.

Billy niepewnie zerknął na zaporę. Niby trzymała się równo. Powisi jeszcze chwilę - tubylcy mają mocne łapy, przez pół godziny utrzymają stery. Osłony usunąć nie można, bo Masters od razu skoczy. A to, że od takiego manewru rozpadnie się dom, dojdzie do niego po fakcie.

„Jakby tak posadzić ze dwudziestu miejscowych chłopca na górze talerza? - zastanawiałem się. - Ale jest zbyt śliski, spadną”.

Vera z Sarą cały czas milczały. Tylko nie trzymały się już za ręce, a obejmowały się.

Poszliśmy w pole. Tłum odprowadzał nas współczującymi spojrzeniami. Ktoś krzyknął coś pokrępowanego, ale słów nie dało się zrozumieć.

W uszach brzmiał równy, ciężki warkot czasem zakłócany gwałtownym wizgiem, kiedy obok przemykały myśliwce.

Tłum nam kibicował. Całe pięćset dusz, które chciały, „żebyśmy im pokazali”.

Potem gapie zarechotali jak na komendę.

W polu nieszczęsny Pawlowski stał przed Clarissą z podniesionymi rękami. Pewnie coś nie tak palnął. Przyspieszyliśmy.

- Ivan! - jęknął Pawlowski już z daleka. - Zabierz ode mnie tę szurniętą... Przepraszam, tego oficera! Dopóki nie wypalę jej mózgu.

- Nawet nie próbuj - powiedziałem. - Blokujemy cię.

- Czyli wy naprawdę jesteście z nimi... - Pawlowski z wrażenia aż opuścił ręce, ale od razu załapał paskudnego szturchańca lufą pod żebra.

- Oficerze, możemy porozmawiać? - zapytał Billy.

Clarissa z widocznym niezadowoleniem odeszła na bok. Miotacz trzymała jednak w pogotowiu.

- To ci babka! - jęknął Pawlowski, pocierając brzuch. Szczupły i jasnowłosy nie wyglądał na niebezpiecznego. - Lalunia, że oszaleć! Najciekawsze, że tylko zapytałem, co robi dziś wieczorem... Ciekawe, mężatka?

- Tak - warknął mój partner. - Ze mną. Czego pan tu szuka, kapitanie?

- Masters chce wiedzieć, czy postanowiliście przekazać obiekt fedziom? Czy Pentagonowi? Czy marzycie może o wszechświatowej sławie? Chłopaki, opamiętajcie się! Przecież z was wyprują flaki. To jest zdrada w najczystszej postaci.

- My potrzebujemy tylko odrobiny czasu - powiedziałem.

- Ivan, błagam, zapomnijmy o wszystkim. Załadujmy obiekt i wiejmy. Będziemy udawali, że nic się nie stało. Masters daje słowo.

I tu popełniłem błąd.

- Posłuchaj mnie. Nigdy nie chciałeś nawiązać kontaktu? - zapytałem. - Z właścicielami

skośnookich, co? Po raz pierwszy możemy się czegoś dowiedzieć. Dajmy Sarze szansę...

Wtedy kapitan uderzył pierwszy. Mglenie oka później dołączył do niego Masters. Świat przewrócił się i runął mi na głowę.

Padając, zrobiłem najważniejsze - zwarłem atak na siebie. Bezrozumna, okrutna moc tych dwóch chlusnęła we mnie, paląc i wywracając na nice wnętrzności.

Widziałem, że Billy przykucnął, rozrzuciwszy długie ręce, i świat przewrócił się jeszcze kilka razy. Potem zobaczyłem, jak Pawłowski robi fikoła i jak wywracają się postacie przy transportowcu. A sam kalosz wlatuje w górę.

- Opamiętajcie się! - jęknąłem.

Najpierw runął transporter.

Potem zwałił się na mnie myśliwiec.

Zdażyłem w myśli powiedzieć: „Żegnaj, Vero, wybac mi wszystko”. A myśliwiec zrobił unik i grzmotnął na brzuch nieopodal. Z kabiny wypadł pilot, podniósł się na czworakach i zaczął rzygać, z wyrzutem patrząc w moją stronę. A tu tak naprawdę to wszyscy byli na czworakach, wszystkich mdliło i wszyscy byli nie wiadomo dlaczego wściekli na mnie.

I tylko czarny mag William Mbabete, wielki i potworny, wznosił się nad tym wszechświatowym burdelem.

- Ale dałeś czadu, Wanja, żeby cię pogięło - pokiwał głową z uznaniem.

Uznałem, że mogę poeksperymentować i spróbować wstać. Ale od razu poczułem do siebie taką odrazę, że mnie też zemdliło.

Obok przeszła Clarissa, wlokąc gumostrzał za pasek. Kilka razy trąciła nogą leżące bezwładnie ciało Pawłowskiego, potem zawołała do pilota: „Ty tam, w porządku?”. Pilot machnął ręką i się położył. Clarissa stanęła nade mną.

- Potwór z ciebie, Ivan - powiedziała. - Ja się ciebie nie boję, ale Vero mi żal. Wstawaj, idziemy.

- Co ja takiego zrobiłem? - jęknąłem, gdy ona i Billy chwycili mnie pod ręce.

- Zwaliliś wszystkie maszyny, popsułeś je w trzy dupy - zaczął wyliczać mój partner. -

Wszystkich ustawiliś kolankowo-łokciowo... I wszystkim dałeś skumać.

Z wysiłkiem rozejrzałem się wokół. W niebie nie było ani jednej maszyny - wszystkie leżały na ziemi porzrucane, najczęściej pokiereszowane. Publiczność siedziała na trawie zarzygana i smutna. Niektórzy płakali.

Z domu wybiegła ku nam Sara, śmiesznie podrzucając nogi. Pewnie, przecież przez całe dziesięć dób kicała po kępkach...

Dziewczynka rzuciła mi się na szyję, a tych dwoje mądrali akurat puściło mnie, więc padłem znowu.

- Do widzenia, Ivan - powiedziała Sara. - Jesteś wspaniały. Wszystko zrobię i wrócę. Na razie!

Pilnuj mamy!

Cmoknąwszy w policzek, zlazła ze mnie i uciekła.

- Billy! Bądź przyjacielem, pomóż jej się załadować i wytłumacz, jak ma stroić „dychawicę”.

- Wykonane, dowódco. Szkoda, że załatwiłeś jej bransoletkę. Wypaliłeś wszystko na milę dokoła.

Jęknąłem. Było mi wstyd.

Clarissa przykucnęła obok mnie, skrzyżowała nogi i ułożyła gumostrzał na kolanach. Zdjęła czapkę, otarła czoło rękawem.



- Co ja zrobiłem? - zapytałem szeptem, patrząc w niebo.

- Ogólnie, Ivan, poprosiłeś, żeby się wszyscy grzecznie zachowywali. Bo jesteś dobry. A jeśli będziemy się zachowywali niewłaściwie, to się rozzłościś.

- To wszystko?!

- To wersja skrócona.

- A bardziej szczegółowo?

- No... Chcesz, to ci powiem, co zrobił z tobą kosmos. O tym, jak źle się czujesz z tego powodu, że Obcy nie dopuszczają Ziemiaków do gwiazd. I jak kochałeś swoją mamę. I dlaczego zakochałeś się w Verze. Co wiesz i co myślisz o nas. Ivan, my teraz też ciebie znamy! Nie zmusiłeś nas, żebyśmy się tobie podporządkowali. Ty nas przekonałeś. W ułamku sekundy. Bardzo się przejęliśmy i tobą, i całą ludzkością. Świnia z ciebie, Ivan...

Znowu podniosłem się na czworakach. Potem na kolana. Wyprostowałem się. I zacząłem kuśtykać w kierunku domu. Rozpierało mnie od wnętrza, chwilami czułem, że pęknę.

- Mam nadzieję, że nie zabiłam tego waszego miłutkiego blondyneczka - powiedziała niezbyt wyraźnie Clarissa.

Szedłem, a ludzie odpełzali z mojej drogi. Nie wszyscy. Szeryf na przykład uśmiechnął się do mnie. A ktoś inny pomachał mi ręką. Niektórzy wstawali, otrząsali się, podchodzili i poklepywali po ramieniu, mamrotali niezrozumiale coś krzepiącego. Potem znalazłem się w środku tłumu - początkowo niewielkiego, potem coraz gęstszy i gęstszy... Przestałem w tym momencie powstrzymywać wewnętrzne ciśnienie, burknąłem „przepraszam” i pękłem.

I upadłem znowu.

Ocknąłem się na werandzie, w plecionym fotelu, miałem w ręku kubek z gorącą słodką kawą, a obok mnie siedział uśmiechnięty Billy.

- Lepiej? - zapytał. - Pomogłem ci to zrzucić. Teraz chyba już jesteś w normie. Ściągnąłeś na siebie, przyjacielu mój, Wanja, żeby cię pogięło, całe uderzenie Mastersa i Pawlowskiego. A potem zassałeś całą ich rezerwę. Dziwne, że obaj nie zdechli. Tym bardziej że Clarissa wpakowała w Pawlowskiego niemal pół magazynka. Przypomina teraz chodzącego siniaka. Dokładniej: leżącego.

Zrozumiałem już, skąd się wzięła moja ekstremalna moc - przekierowałem atak. Puściłem go, że tak powiem, na szlachetny cel. Dobrze, że nie odleciałem w kosmos. Fajnie bym wyglądał bez skafandra gdzieś na środku Mlecznej Drogi. Zresztą w skafandrze też.

- Dziękuję za wsparcie, Billy. Kiedy ściągałem atak na siebie, myślałem, że ty zrobisz resztę.

- Wiesz co, dowódco, ja też tak myślałem! Ale zdążyłem tylko przydusić ochronę kalosza, żeby ze strachu nie zaczęła grać do ludzi. A potem to już ty.

Przyjrzałem się partnerowi. Coś było nie tak z jego wyglądem.

- Zerwał ci się łańcuszek? - zrozumiałem wreszcie, czego mu brakowało.

- Oddałem kamień Sarze na pamiątkę. Według mnie wyszło to bardzo symbolicznie. Czarny mag William Mbabete podarował swój magiczny dynks malutkiej białej wiedźmie. Ładne, żeby cię pogięło!

Poderwałem się, wylewając kawę. Zbiegłem z werandy. Cienia nad głową nie było. Zniknęła srebrzysta burta. Mała odleciała.

- Wybacz, Wanja, ale ty się tu walałeś dobre dwadzieścia minut. Sara nie mogła czekać. Zbliży się cały tłum polujących na jej duszę, oby się dieslem zachłysłeni. Wiem, że ty byś i im.. dał pokumać. Ale tak działając, można sobie krzywdę zrobić.

Popatrzyłem na czerwoną „teczkę”. Dziwne, ale wcale mi nie było wstyd, że moja ukochana maszynka ma pewnie przepalone wszystkie ogniwa. Tylko jak mogłem uwolnić Sarę bez pożegnania?!

- Nie smuć się, dowódcu. Ona przecież dała ci buzi na do widzenia. I jestem pewien, że dziewczucha wróci. A my będziemy czekali.

- Jak tu cicho - powiedziałem. - W końcu jest cicho.

- A co ma hałasować, dowódcu, żeby cię pogięło? Rozniosłeś tu wszystko.

Jakby na złość, w niebie rozległ się potężny ryk. Nad polem przeleciała niebieska corvetta. Wykreśliła pętlę i wychodząc z niej - wylądowała. Cmok! I stoi na podwoziu jak przyssana.

Co prawda po sekundzie przechyliła się na bok, ponieważ wydech wygrzebał pod nią niezłą brudę.

- Odebrałbym kołesinowi prawo jazdy - ocenił Billy. - I przylał na goły tyłek.

- Spróbuj - usłyszałem naraz głos szeryfa.

Jak się tu podkradł? Nie zauważyłem. Moje nadnaturalne zdolności odmawiały współpracy. Potrzebowałem tygodnia odpoczynku, a przedtem mocnego, długiego snu.

- Coś z nami nietęgo, żeby cię pogięło - powiedział mój partner. - To nie Greg.

Z corvetty wylazł stary Weiland.

- Coście zrobili z moją własnością, gamonie?! - wrzasnął.

Jak nie urok to sraczka. Ja na wszelki wypadek usiadłem z powrotem w fotelu. Bo jeszcze znowu bym upadł, a to by nie wyglądało ładnie. Bez szacunku dla miliardera, któremu coś niechcący rąbnęliśmy.

- Z całym szacunkiem, panie Weiland, sir... - zaczął glina.

- Wyluzuj, Gibson. - Stary kowboj wszedł na werandę. - I zmień spodnie. Czołem, chłopaki.

Wszystko widziałem. Jesteście hero, niech was licho! Sara znaczy się odleciała... A gdzie pani Sayer?

Billy wskazał palcem za siebie. Weiland delikatnie zapukał we framugę i zniknął we wnętrzu.

- Jeszcze ktoś - powiedział szeryf, patrząc w dal spod dłoni ułożonej w daszek. Czapkę widocznie gdzieś zgubił. A co do spodni, to Weiland miał rację.

Tym razem nad głową nie było ryku i charczenia. Z głuchym, mocnym hałasem przed domem opadł perłowy „Podwójny Gryf”. Otworzyły się drzwi i na zbrukaną ziemię zstąpił królewską stopą człowiek w pozlacanej todze. Przenikliwe niebieskie oczy, siwa rozwiana grzywa i wspaniała asyryjska broda. Piękny mężczyzna.

Za nim wyturlał się jak kulka osobnik grubiotki i okrągłutki.

- Są problemy, oficerze? - zapytał, podejrzliwie oglądając naszego glinę od stóp do głów.

- Żadnych - powiedział szeryf.

Podeszła Clarissa i jakby niechcący wycelowała w grubaska lufę gumostrzału.

Tłuścioch delikatnie, jednym paluszkciem przesunął lufę.

Wyzłocony facet przyjrzał się leniwie Gibsonowi, z zainteresowaniem Clarissie i znowu skierował wzrok na mnie oraz Billy'ego.

- Aha! - wykrzyknął Weiland, pojawiając się na werandzie. - No to witamy, witamy... Bardzo rad ze spotkania.

- Johnson Bar-Mattay - przedstawił się wyzłocony, wyciągając do niego dłoń gęsto ozdobioną pierścieniami i sygnetami. - Po prostu Johnson, bo może pan sobie język połamać. Wyrazy szacunku,

panie Weiland. I proszę pozwolić, że przedstawię panu Liebermanna.

- Ach, to jest ten Liebermann?

- Ten. Cały na pańskie usługi.

Niemal mnie zemdliło z powodu tej wymiany grzeczności. Na szczęście miliarder, wierny swojej postawie, od razu skierował rozmowę na odpowiednie tory.

- Rozmawiajmy otwarcie, pułkowniku - powiedział. - To, co tu urządzili pańscy podwładni, nie da się opisać żadnymi słowy. Miasto zostało moralnie i fizycznie sponiewierane, życie setek ludzi było zagrożone. Proszę popatrzeć choćby na szeryfa, w jakim on znajduje się stanie. Nie wstyd panu? Ale ja, jako przewodniczący rady nadzorczej, gotów jestem przymknąć oczy na ten tu burdel. Natomiast inną sprawą jest moja prywatna własność. Usilnie proszę ZSZ o zaniechanie wszelkich zakusów na nią.

Johnson wyraziście popatrzył na mnie ponad ramieniem Weilanda. W odpowiedzi pokazałem środkowy palec. Stary kowboj, odwróciwszy się, zobaczył mój gest i skinął zadowolony głową.

- Akurat do tych dwóch, pułkowniku, nie mamy pretensji. Wręcz przeciwnie, Ivana i Williama należałoby nagrodzić... Więc jak będzie z moim urządzeniem? Zostawicie je w spokoju?

- A od kiedy ono jest pańskie?

- Od czasu, jak zostało znalezione na mojej ziemi. Nasz szef popatrzył na Liebermanna. Ten zrobił wielkie oczy.

- Rok temu odkupiłem od miasta to bagno - oświadczył Weiland. Nie wytrzymał i dodał: - Mokre i śmierdzące. I tak nikomu nie było potrzebne. A dla mnie to pamiątka po ukochanym dziadku.

Nie wiem, wymyślił tego dziadka czy nie, ale na to, że kupił to bagno dobę albo i kilka godzin temu, mógłbym postawić moją „teczkę”.

- Dziadek pół życia spędził na kopaniu torfu. Starutki, słaby, obsypany wrzodami niańczył mnie i opowiadał o ciężkim losie proletariusza - szydził miliarder. - Te wieczorne rozmowy pod dziurawym dachem mojego ubogiego domu przy mętnym świetle naftowej lampy... Kurde, po co to ja tak kłamię? W sumie to właśnie dziadek przekonał mnie, że powinienem iść na studia. Wszystko mu zawdzięczam. Tak więc na znak uznania dla niego kupiłem bagno. Zamierzam urządzić tam skromne centrum pamięci.

- Panie Weiland - rzekł podobnym tonem Johnson. - Nie znajduję słów.

I pokłonił się w pas.

- Dziękuję, jestem wzruszony. Czy mam to przełożyć na angielski? - zapytał stary kowboj. - Od miasta byście ten dynks wyszarpali. Ode mnie nie.

- A właśnie, gdzie jest aktualnie obiekt?

- Sara go wzięła, żeby sobie polatać. Zna pan Sarę?

- Na jakiej podstawie? - poderwał się Liebermann.

- Na podstawie upoważnienia, które wręczyłem jej matce jako opiekunce dziewczynki. Powiedziane tam jest, że czynię Sarę dozgonnym opiekunem tego dyn... obiektu. I ma prawo dysponować nim jak chce.

- Jest za młoda, żeby kierować środkami transportu!

- Liebermann - upomniał go Johnson. - Zamknij się. Idź tam, do tego kalosza, oszacuj szkody i znajdź winnego. Sugeruję: ten piździelec Masters już od dawna sam się o to prosił.

Adwokat zachrumkał i posłusznie poszedł na pole.

- Szeryfie i pani, miss... Cieszę się, że mogłem państwa poznać.

Glina i Barbie wykonali zgrabne zwroty i oddalili się za dom. Clarissa pomachała do Billy'ego, ten posłał jej dłonią buziaka.

- Tu też już zdążył... - mruknął Johnson, Który-Wszystko-Wie. - Czyli tak, panie Weiland... Według mnie wszystko jest w porządku. Jeśli nie ma pan nic przeciwko, to zostanę tu jakiś czas. Za jakiś kwadrans na miasto runie kilka służb specjalnych, a pan, jak sędzę, nie chce się z nimi tarmosić, prawda? CNN już zawróciłem i tych też zawrócę. To niewielka, że tak powiem, przysługa z wdzięczności za wyrozumiałość i współpracę. Teraz co do Sary: ZSZ nie będzie rościło do niej żadnych pretensji, wręcz przeciwnie, jesteśmy gotowi jej bronić. W zamian za wspólne prace badawcze. Zapewniam, że ona sama będzie zadowolona.

Stary miliarder popatrzył w niebo.

- Sądzi pan, że wróci, pułkowniku?

- Mam nadzieję. Marzyłem o czymś takim przez całe życie. Co mi jeszcze zostało poza nadzieją? I proszę nie nazywać mnie pułkownikiem. Po prostu Johnson. A przy okazji, „Kurierska Służba Johnsona” zawsze jest do pańskich usług.

- Coś pan posmutniał, Johnson.

- Zmęczony jestem. Miałem kilka trudnych dni. Do widzenia, panie Weiland. Przysięgam, że więcej problemów nie będzie.

- Proszę nagrodzić chłopaków - przypomniał mu o nas stary i potupał do swojej przechylonej corvetty.

- Obejdzie się bez nagród - powiedział Johnson, kiedy kowboj odszedł nieco dalej. - Pieniążki lubią, jak jeden je liczy.

Wszedł na werandę. Nie wstaliśmy mu na spotkanie.

- Teraz tak, ty i ty. Na razie odpoczywajcie, a w poniedziałek oczekuję was obu w biurze. Praca czeka. I nie wpakujcie się w coś znowu. Nie wiadomo, co jeszcze wylezie z bagna Weilanda.

Dziwne, ale chęć wyskubania Johnsonowi brody, jeszcze chwilę temu nader mocna, nagle zanikła.

- Chyba załatwiłem służbowy wóz - przyznałem się.

- Wcale nie jesteś taki as, Wanja. Twojej „teczce” nic się nie stało. I dlaczego mnie to nie dziwi, co?... Całkowicie sprawna maszyna rozładowana niemal do zera i bez awaryjnej „dychawicy”, o ile dobrze myślę. Ale kalosza zabiłeś na śmierć. I myśliwce. Dobrze, że nie są na naszym stanie. Ciebie, Wanja, powinienem wysłać na produkcję. Zamiast robota spawalniczego byś pracował... Billy! Widzę, że straciłeś swój Wszystkowidzący Kamień? Niech tam, mam dziś dobry dzień. Przyjedziesz do biura, poszperasz w mojej kolekcji, może jakiś odłamek zainteresuje się tobą. Bo to by było nieładnie: mag i bez amuletu. Nie próbuj pokazywać tu dziewczuchom sztuczek bez artefaktów! A właśnie, co to za zarąbista ślicznotka tu była, hę? Ta w mundurze? Chłopaki, nie żeńcie mi się tu, nie róbcie mi tego!

- Pułkowniku Bar-Mattay - rzekł naraz superoficjalnie Billy. - Kapitan Mbabete prosi o pozwolenie zadania pytania. Dlaczego pan wydał rozkaz ustnie, a potwierdzenia nie przysłał?

Ryknęło, zaburczało, huknęło. Niebieska corvetta, zdzierając sobie lakier, wydarła się z wykrotu, wykonała ostry wiraż - ogłuchliśmy na chwilę - i wyrwała do góry.

- Niezły dziadek jest - oszacował go Johnson. - Hm, o czym myśmy, Billy? Co to był za rozkaz?

Muszę popatrzeć, nie pamiętam. Coś ci się pomyliło, kapitanie. Jaki to niby miał być rozkaz?...

- Czyli jesteśmy w rezerwie?

- Ależ wszyscy jesteśmy w rezerwie! Ty w rezerwie, ja w rezerwie...

„Kiedy rezerwa szła do cywila, niejedna panna płakała” - przydałoby się zanucić, ale byłem na to zbyt zmęczony.

- No to ciągnij diesla, Johnson!!! - krzyknął za to mój świeżutki partner. - Wał ci w zad! I galon piany w ryj dłubany! I jenot kanadyjski, przejechany przez czołg rosyjski, zgniły i śmierdzący na twój frak od złota kapiący!

- Fu-uj... - Boss pomachał ręką przed twarzą. - Przyjdiesz do pracy w poniedziałek?

- Tak, żeby cię pogięło, tak!

- Po co, Johnson? - zapytałem. - Odpowiedz, po cholere ci były te szalone wyścigi? I po cholere urządziłeś nasze starcie z Masterem?

Szef wczepił się we mnie swoimi błękitnymi oczami, pomrukał długimi rzęsami i powiedział:

- Rzeczywiście jesteś aktualnie do niczego, Wanja. Musisz wypocząć. Chodzi o dziewczynki. Małe dziewczynki. Za bardzo się nimi przejmujesz. Pewnie niezrealizowane ojcostwo. To nic, sam spłodzisz, skumasz. Nawiasem mówiąc, nie zapomnij o Mary-Ann Roads. Jak rozumiem, to właśnie ona nawarzyła nam takiej smacznej kaszki. Jak już dojdiesz ze sobą do ładu, zaproś Roadsów w gościnę na jeden dzionek i pomóż tej małej uwolnić się od strachu. Tobie się uda. Zgoda? No to świetnie. Do zobaczenia w poniedziałek, panowie! Idę kiwać konkurentów.

Odwrócił się do „Gryfa”.

Billy wstał.

- Przejdę do miasta albo co - burknął, prostując kolana. - Pieszko. Zabiorę maszynę z parkingu, wezmę prysznic, do Clarissy zajrzę, zapytam, jak się sprawy mają... Wiesz, Wanja, co do „starcia” to nie miałeś racji. Johnson po prostu nas poganiał. Raczej nie przypuszczał, że Masters urządzi tu lokalny konflikt.

- Yhy, po prostu chciał wypchnąć Sarę z Ziemi bez zwłoki i bez względu na cenę. Nas z kolei mocno związać z dziewczynką. Przecież jesteśmy jej obrońcami. A to... - pokazałem ręką pobojuwisko - nic takiego, koszt własny, co nie? Wszystko miał wyliczone. Nawet zjawiał się wcześniej na bagnie i zostawił strzałki na pniu. Żeby tam złączyły się linie kilku losów, a jednego z nas przy tym pniu pokreśliło! A myśmy uwierzyli, że to naprawdę unikatowa misja! Mądrutki Johnson! Jednak tego pobojuwiska mu nie wybaczę. Mogli tu zginąć ludzie. Dużo ludzi. I my też. I Clarissa cudem nie załapała się na kulę od ochrony. Odpowiedz mi, Billy, czarny magu bez dynksa, czy to wszystko było tego warte?

- Wania! - rozległo się w drzwiach. - Jesteś zmęczony. Chodź spać. Posłałam ci już. Czy najpierw chcesz coś zjeść?

Mój partner podrapał się po głowie.

- Nasza misja naprawdę była wyjątkowa, żeby cię pogięło - powiedział. - I mam nadzieję, że cały ten ambaras był tego wart. A ty... odpoczywaj. I nie dręcz się już pytaniami, na które nie ma odpowiedzi. Missis Sayer, do widzenia, do jutra.

- Bądź możliwie wcześniej - przykazała mu Vera. - Jeśli Wania będzie mógł prowadzić wóz, to wyjedziemy stąd przed obiadem. Nie mamy tu już nic do roboty. A Sara, gdy wróci, od razu wyczuje, gdzie jesteśmy. Mam rację, Wania?

Przycupnęła obok i przytuliła czoło do mojego policzka.

Billy zaczerpnął powietrza, ale go wyprzedziłem:

- Ciągnij diesla! - powiedziałem.

Jak wielu dorosłych mężczyzn Billy wstydzi się, że jest sentymentalny. Stąd jego prostackie kpiny i szyderstwa. Ale jako mój partner dobrze wie, jak tego nie znoszę.

urodzona we Lwowie, tam też dorastała. Po ukończeniu miejscowej politechniki w 1988 roku przeniosła się do Sankt Petersburga. W 1991 roku zaczęła zajmować się dziennikarstwem. Mając kilkuletnią akredytację w prawodawczych instancjach Sankt Petersburga, dobrze poznała drugą stronę życia politycznego współczesnej Rosji.

Obecnie współpracuje z szeregiem dużych rosyjskich gazet oraz czasopism, specjalizując się w wywiadach z działaczami kultury i w analizie historycznej.

Pierwsza książka Wiery Kamszy, *Tiomnaja zwiezda*, napisana w stylu klasycznej fantasy z elementami parodii, wyszła w 2001 roku i od razu zwróciła na autorkę uwagę czytelników. Powieść ta stała się początkiem cyklu *Chroniki Arcii* opartego na wydarzeniach z angielskiej Wojny Róż. W 2004 roku Wiera Kamsza opublikowała *Czerwień na czerwieni* (wyd. pol.: Wyd. Dolnośląskie, 2006), którą otworzyła nowy cykl: *Odblaski Eterny*. W Rosji wyszły już cztery książki cyklu, który można określić jako historyczną fantasy, a szczególną uwagę zwraca drobiazgowo wykorzystanie wszystkich realiów wymyślonego świata. Krytycy często nazywają autorkę kontynuatorką tradycji Dumasa i Sienkiewicza. Wiera Kamsza zresztą nie kryje, że Henryk Sienkiewicz jest od zawsze jednym z jej ulubionych autorów. Oprócz powieści autorka napisała szereg opowiadań, które ukazywały się i ukazują w zbiorach fantasy, także w I tomie naszego almanachu: *Mroczny Bies* (Fabryka Słów, 2006).

Prezentowana nowela *Płomień Eterny* jest wprowadzeniem do cyklu *Odblaski Eterny*.

Wiera  
Katusza

Płomień Eterny

Przekład  
Ewa i Eugeniusz Dębscy



## Część I

### Pułapka Losu

Unosząc ręce ucięte  
i wianki kwiatów na fali,  
posepne morze złorzeczeń  
huczało, nie wiem gdzie, w dali.  
A niebo biło ciosami  
w porywisty poszum lasu.  
I ciągle krzyczały światła  
pośród wysokich tarasów.

Federico Garcia Lorca \*

## 1. Mistrz

- Mój epiarcho\*, wyciągnij rękę z pędzlem i zauważ, jak się mają do siebie części twarzy, a potem odmierz taki sam stosunek na rysunku. - Diamni Koro, mocno zbudowany młody człowiek, z aprobatą uśmiechnął się do szczuplutkiego młodzieńca, niemal wyrostka jeszcze. - To nie jest trudne.

- Nietrudne, ale mnie się to nigdy nie uda. - Młodzieniec starannie odłożył pędzel. - W ogóle nic mi nie wychodzi. W niczym i z nikim. Nawet nie mogę zmusić ciebie, żebyś mi mówił po imieniu.

- Wybacz, Ernani. - Malarz westchnął ze skruczą i nagle wybuchnął śmiechem, a jego popolite na pierwszy rzut oka oblicze od razu stało się niezwykle ujmujące. - Wybacz, ale jestem prostym człowiekiem, a ty epiarchą z Domu Rakanów. Przez coś takiego, wiesz, nie jest łatwo przeskoczyć.

- Rozumiem - skinął głową Ernani - w innej rodzinie, tam moja nieudolność nie biłaby tak po oczach. Dobrze, że jestem młodszy, byłbym obrzydliwym anaksem\*.

Diamni nie odpowiedział. Oczywiście, Ernani Rakan nigdy nie stałby się wojownikiem, z jego chorobą było to po prostu niemożliwe, ale dobry anaks wcale nie musi własnoręcznie machać mieczem. Pod rządami dobrego anaksa nie ma wojen, powstań i ludzie cenią nie broń, a rzeźby i obrazy. Szczerze mówiąc, najjaśniejszy uczeń podobał się nauczycielowi znacznie bardziej niż jego bracia. Szkoda, że Ernani nigdy nie będzie malował lepiej niż znośnie, ponieważ dla biedaka malarstwo jest tylko sposobem wypełnienia nudy wymuszonego wolnego czasu.

Anaks Anesti, który niedawno zginął podczas polowania, zlecił naukę malowania dlatego, że wielki Lentiro Sollega od dziecka zmagał się z tą samą chorobą, co epiarcha. Sollega pokonał niemoc, ale bycie kaleką to jeszcze za mało, by stać się wielkim mistrzem - trzeba, abyś cały świat skupił na koniuszku twojego pędzla. Tymczasem Ernaniemu brakuje skupienia, bo ciągnie go do wielkiego świata, który się od niego odwraca. Marzy o militarnych wyczynach, polowaniach, tańcach, pięknych dziewczynach. Oczywiście, młodzieńcowi nie grozi samotność, ale jest on wystarczająco mądry, by wiedzieć, że cenią go jako brata anaksa, a nie jako jego samego.

- Mój epiarcho... Ernani, wracaj z niebios na ziemię, wkrótce się ściemni, a przy świecach cienie kładą się zupełnie inaczej!

- A czy to jakaś różnica, jak się kładą!

W dużych szarych oczach błysnęła iskra szaleństwa, co spowodowało, że młodzian stał się podobny do swojego braciszka Rinaldiego, żeby nie wspomnieć imienia jego przed nocą! Niestety, Ernani wielbił epiarchę-następcę tronu. Właśnie takim beztroskim, wesołym i wybuchowym powinien być - jego zdaniem - prawdziwy mężczyzna.

Na nieszczęście Rinaldi był dobrym bratem, dobrym w tym sensie, że odwiedzał kalekę częściej niż zajęty sprawami państwowymi Eridani. Inna sprawa, że po rozmowie o pojedynkach, polowaniach i miłosnych podbojach młodzieniec czuł się jeszcze bardziej nieszczęśliwy. Diamni kilka razy usiłował szczerze porozmawiać z Rinaldim, ale w ostatniej chwili tracił odwagę. Średni z braci Rakanów nie należał do tych, którzy będą słuchać biednego pacykarza, a narażać się na grubiańskie uwagi artysta nie lubił i nie chciał.

- Ernani, jeśli chcesz nauczyć się malować...

- Wcale nie chcę - z zaskakującą złością przerwał uczeń. - Kazał mi Anesti, ale nic mi nie wychodzi! I nie wyjdzie, ponieważ nie chcę.

- Powiedz o tym braciom.

- Po co? - Uczeń zacisnął wargi. - Przyślą mi wtedy mnicha-pocieszyciela albo pisarczyka, albo geometrę. Albo jeszcze kogoś innego, byleby mnie czymś zająć, i będzie jeszcze gorzej. Z tobą mogę przynajmniej nie kłamać. Ale lepiej będzie, jeśli to ty będziesz malował, a ja tylko się przyglądał.

- Ernani, płacą mi nie za to, bym malował.

- Płacą ci za to, żebym nie łąził po ścianach. - Młody epiarcha odrzucił z czoła złocistokasztanowy lok. - I to ci dobrze wychodzi. Z tobą jest mi lżej niż bez ciebie i mam oczy. Jesteś urodzonym malarzem, ale nie lubisz życia na dworze.

- Tak sądzisz?

- Tak, gdyby było inaczej, to ludzie na twoich obrazkach byliby lepsi, a tak... Kiedy patrzę na ich portrety, zaczynam się bać... nawet Eridaniego. Z Beatrice, która przecież nawet muchy nie skrzywdzi, zrobiłaś jakąś hienę, a z Rinaldiego leoparda.

- Twój brat naprawdę przypomina leoparda - uśmiechnął się malarz.

- Przypomina. - Ernani dotknął pojednawczo ręki Diarniego. - Co do Rinaldiego masz rację i co do starego Borrasci też, ale pozostali...

- Pozostałych poprawię. Sam nie wiem, dlaczego tak mi to wychodzi. Pewnie rzeczywiście kiepsko się czuję wśród szlachetnych.

- Po prostu jesteś bardzo dumny - pokiwał głową epiarcha - i wydaje ci się, że oni patrzą na ciebie nieżyczliwie. A przecież takiemu Rinaldiemu wszystko jedno, czyim jesteś krewniakiem. On albo kogoś lubi, albo nie lubi.

- Mnie nie lubi.

- Ty go jeszcze bardziej. A szkoda.

Malarz tylko wzruszył ramionami. Rzeczywiście nie lubił Rinaldiego z jego urodą, bezczelnością i pogardą dla wszystkiego, co tyczyło innych spraw niż jego własne. Eridani przynajmniej żyje dla Kertiany, a następca... Diarni w duchu poprosił Abweniuszy \*, by władca w końcu ożenił się i miał potomstwo, ponieważ zostawiać państwo Rinaldiemu jest rzeczą niebezpieczną, a los Anesty pokazuje, że fatum czyha na anaksów dokładnie tak samo jak i na zwykłych śmiertelników. O ile oczywiście to było fatum...

- Kiedy Eridani się ożeni?

- W przyszłym roku - zapewnił go epiarcha. - Jesienią. Rakanowie zawsze żenią się jesienią, ale kim jest wybranka, na razie nie wiadomo.

Następnej jesieni... A następca pojawi się, w najlepszym przypadku, po kolejnym roku! Gdyby Diarniego Koro zapytano o zdanie, to poradziłby anaksowi zamknąć na ten okres pięknia Rinaldiego w jakiejś odległej twierdzy i kazać go pilnować setce strażników. Ale Eridani Rakan nie miał w zwyczaju radzić się malarzy.

## 2. Epiarcha

Diarni pozbiierał swoje pędzle i zniknął. Szczęśliwy był ten malarz, po trzykroć szczęśliwy - ponieważ urodził się zdrowy, ponieważ do szaleństwa kochał swoje zajęcie i ponieważ nie należał do rodziny anaksów z jej tajemnicami oraz troskami. Ernani Rakan westchnął i postarał się

skoncentrować na gipsowym odlewie. Doskonale w swojej regularności oblicze z pustymi białymi oczyma niepokoiło, aż przechodziły ciarki. Dla Diamniego Astrap był tylko dobrą kopią starej rzeźby, dla Ernaniego Rakana - przypomnieniem tej starej potworności, która nadal spała w jego krwi.

Epiarcha przywołał na pomoc całą swoją wolę i zaczął rysować. Na czystej karcie stopniowo pojawiała się bezoka głowa otoczona przypominającymi żmije lokami i nagle Ernani odkrył błąd. Diamni tysiące razy tłumaczył mu, jak należy rozmieszczać rysunek, ale w wykonaniu młodego ucznia wizerunek zawsze przesunął się do górnego lewego rogu. Co powinien z tym począć - próbować poprawić, zostawić jak jest, czy zacząć od nowa? Zdecydował, że spróbuje mimo wszystko dokończyć pracę. Ślepe oczy drażniły, więc Ernani - ku własnemu zdziwieniu - najpierw narysował źrenice, a potem rzęsy. Twarz na papierze przestała być tak odpychająca i uczeń mistrza Diamniego, przygryzłszy wargi, zaczął przerabiać boga na człowieka.

- Z jakiej to radości zabrałeś się za moją osobę? - usłyszał nagle.

Zaskoczony epiarcha drgnął, upuścił węgiel. Za jego ramieniem stał Rinaldi.

- Nie zauważyłem, jak wszedłeś.

- Nie dziwię się, jesteś taki pochłonięty sztuką. Nie myślałem, że to zaraźliwe, nie wyglądało, byś był gotów oddać duszę za udany obrazek.

Dziwne, na rysunku rzeczywiście widniał Rinaldi i nikt inny. Niewątpliwie rzeźbiarz tworzący Astrapa wziął za wzór któregoś z Rakanów - kto jak nie oni ma przypominać ich nieśmiertelnych prarodziców, gdy przyjmowali ludzkie postacie.

- Hej, zamyśliłeś się. - Rinaldi pociągnął brata za ucho. - Powiedz przynajmniej, nad czym.

- Nad Nieobecnymi - przyznał się młodzieniec. - Wiesz... Rysowaliśmy gipsową głowę, potem nie wiem dlaczego przerobiłem ją na żywą i wyszło, że to ty.

- Chcesz powiedzieć, że jestem podobny do tego potwora? - Epiarcha-następca wskazał głową ustawioną na postumencie rzeźbę. - Gdyby tak było, żadna kobieta nie tylko spać ze mną, ale nawet rozmawiać by nie chciała. I w ogóle nie chce mi się wierzyć w nasze boskie pochodzenie.

- Dlaczego?

- Dlatego, że w takim przypadku nasi kochani przodkowie obeszliby się bez armii i dowódców. Nie przeczę, Rakanowie byli wielkimi zdobywcami, ale i ludźmi, a co do reszty: bajki, choć pożyteczne.

- Pierścienie Galtar, Cytadela, Labirynt - to nie bajki!

Rinaldi zamyślił się, przechyliwszy głowę na lewe ramię. Był zdrowym, silnym i oszałamiająco pięknym mężczyzną, ale groźnej wielkości i obojętności otaczającej Nieobecnego w nim nie było.

- Ci, co wszystko to zbudowali, naprawdę dysponowali mocą, o jakiej nam, dzisiejszym, nawet się nie śniło - powiedział po chwili niezwykle poważnym tonem. - Anaksowie się puszą i udają następców Nieobecnych. Póki Kertiana jest silna, nie jest to trudne, ale niech tylko raz palną jakieś głupstwo i wszystko poleci w Koty Zmierzchu. Jeśli lud zrozumie, że przez dwa tysiące lat rządili nim kłamcy, którzy mogą spalić dom, ale nie miasto, zmiecie nas jak okruchy ze stołu. I słusznie zrobi! Ty nie opuszczasz Cytadeli, a ja często bywam w mieście.

Brat zuchowato puścił oko do Ernaniego i ten poczuł, że się czerwieni. Rinaldi zmieniał kobiety jak koszule i nie gardził wychodzeniem na poszukiwanie przygód w odzieniu prostego człowieka, w pelerynie z kapturem, który szczelnie zakrywał jego oblicze. Najstarszy z ich trójki, Eridani, usiłował utemperować następcę, ale ten tylko się śmiał i machał ręką. W końcu Rinaldi obiecał anaksowi, że

nie będzie tykał żon i córek eoriuszy\*, ale ani Eridani, ani Ernani nie do końca wierzyli, że spełni tę obietnicę.

- Erno! - Rinaldi znowu się roześmiał. - Przestań myśleć o kobietach, one nie są tego warte! Ja, jak pewnie wiesz, często szlajam się po tawernach i placach. W ostatnim czasie Galtary są dosłownie zalewane przez esperatyńskich kaznodziejów.

- Esperatyści? - Młodzieniec podniósł głowę i wpatrzył się w brata. - Kim oni są?

- Zapytaj przy okazji swojego mistrza. On, jak myślę, może cię w tym oświecić.

- Rino, znowu się ze mną drażnisz. Skoro zacząłeś, kończ.

- Esperatyści to taki lud. Uważają, że nasz świat i jeszcze kupę innych ulepił ktoś, kogo nazywają Stwórcą, choć nie wyobrażam sobie, po co by mu to było. Stworzył i odszedł, ale wróci. Kiedyś. Może jutro, a może za tysiąc lat. Dobrych nagrodi, złych ukarze. Dobrzy to, rozumie się, ci, co słuchają kaznodziejów.

- A co z Nieobecnyimi?

- A to nie są bogowie, tylko demony, które przejęły władzę, gdy Stwórca się odwrócił, a potem posłyszały, że wraca, i uciekły.

- Jakaś głupota...

- Głupota - zgodził się Rinaldi - ale ludowi się podoba. Jeśli Eridani nie pokaże, kto tu rządzi, to za dziesięć lat esperatyści wezmą naszą boskość na ząb.

- Niech spróbują! Dowiedzą się, co to Moc Rakanów.

- Serio tak sądzisz? No to powiedz mi, po co ściągano starucha Borrascę z młodej żonki i wysyłano za góry i lasy na jakiegoś tam samozwańca, skoro można było wywołać Zwierza? Po co żywi się podsłuchiwczy i strażników, jeśli wystarczyłoby popatrzeć w zwierciadło albo spalić na tacy pęczek ziela?

- Rakanowie mogą używać Mocy tylko wtedy, gdy idzie o życie lub śmierć Kertiany!

- Odchodzący w Zmierzch! - Rinaldi chwycił brata na rękę, przeniósł przez cały pokój, posadził na szerokim parapecie i usiadł obok. - Myślisz, że anaksowie przejmowałiby się takim głupstwem? Gdyby naprawdę mieli tak potężną władzę, uruchamialiby Moc, czy trzeba czy nie, a mnisi i pisarze tłumaczyliby za każdym razem, że bez tego Kertiana zginęłaby, wymarła, rozsypała się w pył i spłonęła fioletowym ogniem.

- Rino - młodszy epiarcha patrzył na starszego z przerażeniem i zachwytem - przecież nie będziesz zaprzeczał istnieniu Pierwotnych Stworów, Pułapek Losu, anaksańskich insygniów, znaków Domów?

- Nie, oczywiście że nie, ale jeśli masz kota, nie należy robić z niego leoparda. Coś tam magia na pewno może, eoriusze rzeczywiście mają do niej większe zdolności niż prości ludzie. Lecz choć Rakanowie są najsilniejszymi z eoriuszy, wojny wygrywa się mieczami, a świat podbija złotem. Nie należy uważać siebie za silniejszego, niż się jest naprawdę.

- Powiedz to Eridanemu - roześmiał się Ernani.

- Po co? Na widok puszenia się naszego brata i tak mnie szczęki bołą. Jak będzie trzeba, rzuci nas na pożarcie Pierwotnym Stworom czy kto tam naprawdę siedzi w katakumbach, ale nie przyzna, że jego wspaniałe relikwie są tylko przedmiotami, niech nawet i magicznymi, ale żadnej boskości mu nie przydają. Nasz anaks zbyt poważnie odnosi się do przekazanych mu przez przodków zabawek.

- Ciągle jeszcze jesteś zły?

- Jestem - przytaknął Rinaldi. - Majtam się w Galtarach, podczas gdy inni walczą! Ja bym za to

Borrascę i Eridaniego zabił. Bo oni, proszę ciebie, wyobrazili sobie, że następcę należy trzymać w kufrze. Można pomyśleć, że Eridani jest eunuchem, a ja ostatnim z rodu.

- No, póki Erio się nie ożeni, nie powinieneś ryzykować.

- Dzięki ci, bracie. Ty jesteś prawdziwym Rakanem. Kiedy pojawią się następcy, będę już mógł pozwolić się zabić, ale nie wcześniej. A jeśli mi coś na głowę spadnie albo czyjś oszalały mąż mnie otruje, to co?

- Przecież nie wierzysz w fatum.

- Nie wierzę. Bo co to za podły obyczaj wszystkich przedwcześnie grzebać? Dlaczego mielibyśmy wszyscy trzej nagle umrzeć? A jeśli nawet umrzemy, to co nam do tego, co będzie potem? A niech nawet koniec świata!

### 3. Mistrz

Gdy Diarni Koro przestąpił próg mozaikowego domku w Mieście Wiatru, było jeszcze wcześnie. Wielki Lentiro Sollega, ciemnowłosa mężczyzna około pięćdziesiątki, w zamyśleniu przyglądał się szkicowi przedstawiającemu czterech wspaniałych mężów w lśniącym rynsztunku i rozwianych pelerynach.

- Co o tym myślisz? - podał szkic swemu dawnemu uczniowi.

- Niezła robota.

- Właśnie, niezła. Z Wagniki wyjdzie dobry rzemieślnik, ale mistrzem nigdy nie będzie. Nigdy.

Czy coś cię martwi?

- Tak, mistrzu. Jestem złym nauczycielem, zawsze to wiedziałem. Chcę malować, a nie siedzieć w Cytadeli z epiarchą, którego kompletnie nie obchodzi malarstwo. Pomyliłeś się co do mnie...

- Raczej nie. - Lentiro Sollega uśmiechnął się szelmowsko. - Chłopiec nie chce malować, ma prawo. I kto powiedział, że posłałem cię do Ernaniego Rakana, byś go uczył malarstwa? Posłałem cię, Diarni, byś go uczył życia. Bo jego... - słynny malarz pomachał przed nosem Diarniego nieszczęsnym szkicem ucznia - ...poślę co najwyżej na targowisko po placki.

- A co, zepsuł się piec? - W głosie Diarniego rozbrzmiał niepokój. - To ja zaraz skoczę...

- Uspokój się - Lentiro z wyrzutem pokręcił głową. - I nie kręć się jak kwoka. Z piecem wszystko dobrze.

- No to po co iść po placki?

- Właśnie, że nie trzeba. Ciągłe brak ci poczucia humoru. Nie można być przesadnie poważnym, o ile, rzecz jasna, nie jesteś anaksem czy mnichem-abweniatem\*. Czyli co, chcesz zrezygnować z lekcji?

- Tak, ale Ernani... Prosi, żebym został, ale nie chce malować.

- No to zostań i maluj sam. Lubisz Rakanów?

- Eridaniego widziałem z bliska tylko kilka razy. Wygląda na władczy, silnego i bardzo zmęczonego. Wydaje mi się, że anaks jest człowiekiem sprawiedliwym, bardzo poważnie traktującym swoje obowiązki. Rinaldi jest brutalny, lubieżny, lekkomyślny i okrutny. Ernani zaś to bardzo miły młodzian, niestety zakochany w swoim narwanym braciszku.

- I ci ludzie są tarczą Kertiany na przełomie epok. - Słynny malarz potarł nasadę nosa. - Miłośnik prawa, trzpiot i kaleka. Może to być zarówno bardzo dobre, jak i bardzo złe. Musisz ich rysować, malować aż do ogłupienia. Modele są głupi i arogancy, miałeś szczęście znaleźć się w centrum

prawdziwych namiętności. W Cytadeli powinno mieszać się wszystko: zdrada, wierność, chęć, cnota, dobro, zło, piękno, brzydota... Tak, Diamni, miałeś szczęście! Chciałbym móc poobserwować anaksa, jego braci, wysokich eoriuszy, strażników, sługi, mnichów. Jeśli powierzą mi zdobienie nowej świątyni, będę potrzebował twoich szkiców. Nawet tych, które uznasz za nieudane.

- Mistrzu... Skąd wiesz, co mi się nie podoba? Prawdę ludzie gadają, że Lentiro Sollega jest jasnowidzem!

- Nie, tylko siedzącym w zamknięciu. Zasuń firany i odsłoń płótno. Chcę poznać twoją opinię.

- To... To jest to?!

- Możliwe... Jeszcze nie jestem pewien. Jesteś pierwszy, komu to pokazuję.

On jest pierwszy! Pierwszy! Diamni z bijącym sercem rozsunął szare płócienne zasłony. Ten obraz mistrz zaczął półtora roku temu i stał się on jego życiem. O czym by nie mówił Lentiro, co by nie robił, myślał o swoim dziecku, i oto dziś zdecydował się pokazać je uczniowi, przekonać się, że powiedział dokładnie to, co chciał.

Młody malarz w myślach policzył do czterdziestu, podniósł wzrok i napotkał spojrzenie Nieobecnych Bogów, właściwie - Odchodzących. Ale jakże różnili się oni od po tysiackroć powtarzanych grup zdobiących świątynie i bogate domy, jakże bezmyślną okazała się próba Wagniki przekazania wielkości i mocy poprzez napuszony pozę i bijące w oczy lśnienie. Lentiro postąpił inaczej, jak zresztą zawsze!

Czterech jeszcze niestarych mężczyzn stało na szczycie góry i spoglądało w dół. Żegnali się, odchodzili na zawsze, zostawiając to, co było im drogie. Tak musiało być, to był ich obowiązek i ich los, ale jakże cierpieli, odrywając się od tego, co tworzyło sens ich istnienia.

Lentiro nie zgrzeszył przeciwko kanonowi, obdarzając Nieobecnych wszystkimi tradycyjnymi atrybutami i powierzchownością kertiańskich eoriuszy z odpowiednich Domów. Astrap był wysoki, szczupły, złotowłosy i brązowooki, u jego stóp leżał leopard, a za plecami mieniła się purpurowa peleryna ze złotymi błyskawicami. Na ramieniu Anema siedziała jaskółka, biel jej skrzydeł niemal oślepiała na tle czarnej grzywy pana Wiatrów. Obok znieruchomiał Władca Skały - Lit. W jasnoszarych oczach Odchodzącego widniała męka i beznadzieja, silna dłoń bezmyślnie zacisnęła się na obroży ogromnego psa, ciemnoblonde włosy plątał wiejący w twarz wiatr. Ostatni z braci, Władca Fali - Und, odsunął się od pozostałych i stał na samym skraju skały. Błada twarz obramowana kasztanowymi lokami, duże zielone oczy, zagadkowe i głębokie jak samo morze. Und wyglądał na kompletnie spokojnego i nawet na jego ustach gościł uśmiech, ale mistrzowi Lentiro udało się oddać ogromny ból rozdzierający serce boga. Ból nie do wytrzymania nawet w porównaniu z tym, jaki odczuwali jego bracia.

- Przecież jednak zostawił ją - cicho powiedział Diamni. - Zostawił, mimo że pokochał z całej duszy. Mnisi nie wybaczą ci, mistrzu, tego obrazu.

- A niech ich! - machnął ręką Sollega. - Tylko dlaczego ty zaliczyłeś mnie do heretyków? Pokazałem wszystko, jak powinien to zrobić prawdziwy abweniat.

- Mistrz kręci. - Koro, dotąd sparaliżowany zachwytem, otrząsnął się nieco i uśmiechnął. - I znakomicie wie, co robi. Trzech żegna się z Kertianą, czwarty ze swą miłością, którą zabiera ze sobą w wieczność. Trzej mają nadzieję na powrót, czwarty wie, że jeśli odejdzie, to wracać nie będzie dokąd. Trzech spełnia swój dług, czwarty zdradza. Zdradza, odchodząc, i zdradzi, jeśli zostanie. I mimo wszystko - odchodzi...

- Tak - skinął głową Sollega - wszystko właściwie zrozumiałeś. Odszedł, ona została i nikt nie

wie, czy mogła umrzeć, czy miłość boga podarowała jej wieczny ból. Jej ślady zatarły się, a jej łyzy wyschły. Wiadomo, że nie mogła urodzić Undowi dziecka, i musiał, ulegając naleganiom braci, musiał wziąć inną kobietę, od której właśnie począł się Dom Fali. Namalowałem Odchodzących, a jeśli jeszcze zdołam namalować Pozostawioną, to mój dług w tym świecie zostanie spełniony.

- Nie mów tak!

- Dlaczego? Każdy z nas przychodzi na ziemię po coś, po prostu wielu się nad tym nie zastanawia i przez całe życie płyną z prądem. - W oczach artysty błysnęła chytryść. - Czyli podoba ci się?

- Mistrzu! Jeszcze pytasz?

- Oczywiście, że pytam. Jestem próżny jak wszyscy malarze, po prostu niektórzy uważają, że należy to ukrywać. Myślę, że zasłużyliśmy, aby wypić po dzbanku dobrego wina, tylko całe nieszczęście w tym, że z łaski tego wstrętnego lekarza nie trzymam w domu ani kropli. Uciekam od pokusy, wiesz, ale dziś mi wolno wszystko. Więcej: co tam wolno, trzeba! Krótko rzecz ujmując, uczniu: pójdziesz do najlepszej tawerny i zdobędziesz tam najlepsze wino, zapalimy światło i urządzimy sobie święto.

Diamni rozplątał się w beztroskim uśmiechu, radość nauczyciela zaraziła i jego. Ależ wspaniały to obraz! Nieobecni Bogowie, jaki obraz!

#### 4. Mistrz

Najlepsze wino w Galtarach podawano w „Białej Jaskółce”. Znajdowała się dość daleko od domu mistrza, ale otwarta była okrągłą dobę, a jej właściciel, jak i wszyscy mieszkańcy miasta, szczęśliwy był, mogąc usłużyć mistrzowi Lentiro. Diamni omal nie opowiedział właścicielowi o obrazie, ale się powstrzymał. Po pierwsze, „Odchodzący” jeszcze nie byli ukończeni - brakowało nieba i nie fruwała na nim szara czajka Unda, a po drugie, młody malarz wcale nie był pewien, czy mnisi będą szczęśliwi, widząc Abweniuszy tak przedstawionych. Najlepiej, jeśli pierwsi zobaczą obraz bracia Rakanowie. Jeśli dzieło spodoba się anaksowi, nikt nie będzie miał odwagi wyskoczyć z przeciwnym słowem.

Od rozmyślań o Lentiro oraz jego dziele oderwały malarza dźwięki fujarek i walenie w bębny. Diamni nie zauważył, jak doszedł do świątyni Wiatru, gdzie musiał się zatrzymać, przepuszczając procesję. Malarz wiedział od Ernaniego, że Beatrice Borrasca, małżonka stratega Loria co wieczór modli się o zdrowie małżonka, który wyruszył na wojnę, i o zwycięstwo dla jego miecza. Beatrice z jakiegoś powodu upodobała sobie rozmowę z niebiosami w Mieście Wiatru, chociaż w Cytadeli była też wspólna świątynia Nieobecnych i kaplice Astrapa, Anema, Unda i Lita. Malarz chwycił wygodniej w garść oplecioną sznurami baryłkę i - nie mając nic lepszego do roboty - zaczął przyglądać się orszakowi, który miał trzykrotnie okrążyć świątynię.

Na czele szli Beatrice i towarzyszący jej Rinaldi Rakan. Twarzyczka eoriuszki płonęła zachwytem i nadzieją, epiarcha wyraźnie się nudził. Diamni słyszał, że Rinaldi nie znosi mnichów i swoich obowiązków następcy tronu, a tu biedak musiał z poważną miną spacerować dokoła świątyni. Malarz wycofał się w cień - wpaść w oko epiarsze, kiedy jest zły, nie było rzeczą najmądrzejszą - i tak wybuchowy i gwałtowny, zmieniał się w prawdziwego demona. Czy wiedział o tym esperatyński kaznodzieja, który nagle wyskoczył tuż przed nosem Beatrice - pozostało tajemnicą.

Młoda kobieta odskoczyła i znieruchomiała, wytrzeszczając i tak już duże oczy. Esperatysta wyciągnął chudą, pokrytą wrzodami rękę, kierując ją gdzieś między epiarchę i eoriuszkę, po czym



rozdarł się:

- Widzę cię na wylot, potomku Nieszczęścia! Nosisz w sobie Zło! Kajaj się! Stwórca wszystko o wszystkich wie! Nic się przed nim nie ukryje! Cokolwiek uczyni i wymyśli śmiertelnik, jeśli nie jest szczerzy przed Stwórcą i sługami Jego, nie doczeka się on łaski po śmierci. Całe zło świata pochodzi z kłamstw przed obliczem Jego!

Zapamiętałe wrzaski wprawiały w oszołomienie. Sensu w wykrzykiwanych oskarżeniach i pogrózkach było niewiele, ale ludzie wolno odsuwali się od szalejącego kaznodziei i znieruchomiałych przy wejściu do świątyni mężczyzny i kobiety. Mnisi stchórzyli, a Beatrice chodziła bez ochrony i świty, jakby nie była żoną przywódcy Wysokiego Domu i pierwszego dowódcy Złotej Anaksji, zresztą, co by poradziła ochrona! W takich przypadkach ktoś musi wydać rozkaz lub zrobić coś samemu.

- Dla Niego twoje łgarstwa są łupinami! - darł się wniebogłose kaznodzieja, wskazując palcem coś przed sobą. - Twoje serce jest czarniejsze od nocy. Jesteś złem i naczyniem Zła! Jesteś przekleństwem Kertiany, jesteś...

Rinaldi rzucił się do przodu, chwycił wąż, wijące się ciało, podniósł nad głową i z całej siły odrzucił z drogi. Opętany esperatysta, rozpaczliwie wrzeszcząc, przeleciał nad wywróconym wózkiem, wyrznął w róg budynku i zamilkł z roztrzaskanym czerepem. Dławił wyraźnie widział obrzydliwe tłuste bryzgi i ciemną krew. Jakiej trzeba użyć siły, żeby zrobić coś takiego! I czy tylko o siłę chodzi? Malarz pośpiesznie przeniósł wzrok na epiarchę. Ten stał całkowicie nieruchomo, lekko wystawiwszy przed siebie lewą nogę, ze skrzyżowanymi na piersi rękoma. Nadleciał wiaterek i poruszył jasne włosy Rinaldiego, przypominając o tym, że to człowiek z krwi i kości, a nie posąg i nie obraz. Wstrząśnięty plac milczał. Następca tronu bardzo wolno zmierzył spojrzeniem znieruchomiałych galtarczyków, uśmiechnął się niemiło i odwrócił do drżącej Beatrice.

Malarz nie mógł słyszeć, co ta para mówi do siebie, a i - szczerze mówiąc - nie chciał słyszeć. Kaznodzieja był obrzydliwy, Rinaldi Rakan - straszny. Szalony esperatysta miał rację co do jednego - epiarcha to zło. Aż strach było pomyśleć, co się stanie ze Złotymi Ziemiami, z całą Kertianą, jeśli Eridani zejdzie, nie zostawiwszy potomstwa, a wieniec i Moc przypadną bratu.

## 5. Epiarcha

O zniknięciu Beatrice Borrasci Ernani dowiedział się od najstarszego brata. Eridani, w swojej czterokolorowej pelerynie przypominający ogromny okręt bojowy, wszedł do pokoju akurat wtedy, gdy obaj z Rinaldim śmiali się z wierszy Nomiritana, który opisał wojnę kotów z psami, jakby to byli ludzie.

Posępnie przywitawszy się, anaks zamknął za sobą drzwi i spojrzał na Rinaldiego:

- Powiedziano mi, że jesteś tu.

- I wyjątkowo nie zełgali. Posłuchaj tylko, co prawi kot:

Gardzę waszym skomlącym, zebraczym plemieniem!

Jak można lizać rękę, co tłucze rzemieniem?

Gdy ktoś z was mówi „szczęście”, na myśli ma jeno kość.

A pies mu odpowiada:

Ach, wy godne pogardy, miauczące łajdaki,  
Umiecie tylko łapać myszy albo ptaki!  
Nie wiecie, czym jest służba ani... wrrr!... powinność.

- Przestań. - Ciemne brwi Eridaniego zbiegły się nad nasadą nosa. - O Nomiritanie pogadamy później, chociaż nie sądzę, byś wyrządzał Erno przysługę, serwując mu takie wierszydła.

- No przestań. - Ernani uśmiechnął się przepraszająco. - To takie zajmujące.

- Powiedziałem! O kotach i pismakach potem. Rinaldi, gdzie jest Beatrice Borrasca?

- Beatrice? - powtórzył Rino. - A skąd niby mam wiedzieć? Pewnie w swojej willi.

- Nie ma jej tam. Wraz z woźnicą i dwiema służkami wyjechała z niej wczoraj rano. Siostra Loria uważa, że do świątyni. Gdy jednak do wieczora nie wróciła, w willi uznano, że została w Cytadeli albo miejskim domu, ale nie pojawiła się ani tam, ani tam.

- Czyli staruszek dostał rogów - pokręcił głową Rinaldi. - Cóż, tego należało oczekiwać. Żeni się, mając pięćdziesiąt lat z hakiem, z siedemnastoletnią kobietą i na dodatek idzie na wojnę. To więcej niż głupota.

- Rino! - Eridani powstrzymywał się resztkami sił. - Jeśli coś wiesz, powiedz. Lorio był przekonany, że zostawia żonę pod niezawodną opieką, co mu powiemy? Beatrice nie jest z tych, co uciekają z kochankami, kto jak kto, ale ty powinieneś to wiedzieć!

- Owszem, nie jestem w jej guście - ziewnął Rinaldi - z wzajemnością.

- Rinaldi, raz i na zawsze przysięgłem, że nie będę zaprzątał sobie głowy twoimi wyczynami...

- Za co ci ogromnie dziękuję! - Brat wykonał głęboki i zgrabny ukłon.

- Przestań pajacować. - Na kościach policzkowych anaksa poruszyły się mięśnie. - Wiem, że przedostałeś się do sypialni Beatrice, a ona cię przepędziła. Za jakimi kotami gonileś, żeś się tam znalazł? Coś tam robił?

- Nic. - Epiarcha wzruszył ramionami. - Pewnie powinienem dodać „na szczęście”, ale Beatrice w nocnej koszuli wygląda jeszcze gorzej niżli w sukni. Oglądać jej nagiej wcale mi się, powiedzmy sobie szczerze, nie chciało. Kobiety powinno być dużo i powinno być na niej miękko! To ty lubisz spać na tarkach.

- Rinaldi!

- Pytałeś, odpowiedziałem.

- Nie prosiłem cię o ocenę wierności eoriuszki Borrasci. Co robiłeś w jej sypialni?

- Zamierzałem ją ratować. Przekazano mi list z jej podpisem i jej pieczęcią. Że niby polują na nią esperatyści, że nie wie, co ma robić, podejrzewa, że to któryś z krewniaków Loria, że nie może wszystkiego napisać i prosi, żebym po północy przedostał się do jej sypialni. Obiecała zostawić okno otwarte. I tak, nawiasem mówiąc, było.

- List zachowałeś?

- Nie, podarłem go.

- Zawsze tak postępujesz?

- Niemal...

To była prawda. Rinaldi nie przechowywał listów, może dlatego, że zbyt często zmieniał kochanki. Nie kłamał też, kiedy mówił o swoich gustach, zawsze lubował się w czarnowłosych zadzierzystych ślicznotkach o obfitych biustach i pełnych biodrach. Krucha, chorowita Beatrice ze swoimi lnianymi włosami i promienistymi błękitnymi oczami nie mogłaby zwrócić jego uwagi. Widocznie Eridani pomyślał o tym samym, ponieważ na jego obliczu odmalowała się ulga.

- Co za szczęście, że Lorio nie ożenił się z krową, bo nikt by ci nie uwierzył. - Uśmiech anaksa zniknął tak samo szybko, jak się pojawił. - Cóż, będziemy musieli teraz przeszukać wszystkie esperatyńskie spelunki i przepytac służbę. Jeśli listu nie napisała Beatrice, to musiał ktoś z jej otoczenia...

- Niech przy okazji poszukają i Ginda, ten obibok gdzieś zwiął. Pewnie uczeplił się jakiejś suki.

- Twój pies stara się iść śladem pana, tylko tyle.

- Też prawda. - Następca tronu zmrużył oczy. - Esperatyści esperatystami, ale Borrasca drugi raz się nie ożeni. Nie można zapominać o możliwych następcach, Dom Wiatru - rzecz łakoma.

- Rinaldi, skoro już zacząłeś o żonach... Powinieneś się ożenić jednocześnie ze mną.

- Skoro powinienem to się ożenię, ale... - epiarcha podniósł ostrzegawczo palec - ...po pierwsze, nie z tarką, jakkolwiek godną by nie była, a po drugie, moja przyszła szlachetna małżonka powinna od razu zrozumieć, że poza obowiązkami małżeńskimi nie powinna na nic szczególnego liczyć.

- Kocur nienasycony! - Anaks przyjaźnie trącił brata w ramię. - Kiedy ty się w końcu ustatkujesz?

- Kocury już takie są, i to na zawsze - z dumą oświadczył Rinaldi, wertując utwór Nomiritana. - *O! Uważasz, że li tylko na wiosnę kochamy? Czy koty to rolnicy z pługiem i widłami? Jesień, lato czy zima - my na siew gotowi...* Mmm... to, co idzie dalej, rzeczywiście nie nadaje się do czytania na głos przy anaksach i cnotliwych młodzieńcach.

## 6. Mistrz

Pierwszym odruchem Diamniego Koro było zabranie Ernaniego z przylegającego do Wietrznej Wieży placu, na którym malarz i jego uczeń szkicowali stare cyprysy. Prawdę rzekłszy - Diamni rysował, a Ernani siedział obok i o czymś rozmyślał.

Dziwne, ale pochłonięty pracą malarz pierwszy poczuł dziwne napięcie. Właśnie w tym momencie należało wstać i odejść z epiarchą, ale przegapił tę chwilę, a potem zrobiło się za późno - z Wietrznej Wieży wyszła, żeby nie powiedzieć wypadła, naga kobieta, wyraźnie brzemienna, za którą podążało kilkadziesiąt osób. Mistrz poderwał się zaskoczony, upuszczając deseczkę do rozcierania farb, a kobieta dziwnie lekkim i szybkim jak na jej stan krokiem minęła znajdujących się na placu osłupiałych ludzi, stanęła na ciemnoszarej płycie, na której wyrzeźbiony był znak Anema, i wtedy malarz ją rozpoznał. Zaginiona na początku ubiegłej jesieni Beatrice Borrasca, ale - na dzieci Zmierzchu - co się z nią stało!

Eoriuszka była blada i chuda jak po długotrwałej chorobie. Jej i bez tego mała twarzyczka zrobiła się zupełnie malutka, kompletnie pozbawiona krwi, a otoczone czarnymi kręgami oczy płonęły jakimś namiętym szalonym ogniem.

Diamni był sierotą i nigdy nie miał do czynienia z brzemiennymi kobietami, ale nawet on widział, że Beatrice wkrótce urodzi. Malarz nie od razu zrozumiał, że dziecko eoriuszki może mieć dowolnego ojca poza Loriem Borrascą, który opuścił Galary ubiegłego lata. Mistrz Koro

oszołomiony wpatrywał się w znieruchomiałą na szarym kamieniu postać z ogromnym brzuchem, obawiając się najgorszego. Mimo przeczucia nieszczęścia, pozostał malarzem - rad by był tego nie widzieć, ale oko odruchowo odnotowywało sińce na policzkach, rękach i biodrach, jakieś znaki przypominające źle zagojone ukąszenia psów, ślady więzów na przedramionach i szyi. Lniane włosy Beatrice, wcześniej przedmiot zawiści mnóstwa szlachetnych niewiast, były rozczochrane i splątane, a nabrzmiące sutki na śnieżnych piersiach przypominały krwawe rany.

Wietrzny Plac błyskawicznie zapełniał się służbą, wolnymi od obowiązku strażnikami, eoriuszami, którzy przypadkowo znaleźli się w pobliżu placu, i abweniuszami. Należało przypuszczać, że skoro żona Borrasci w takiej postaci przemaszerowała przez dolne miasto, walił za nią cały tłum, dobrze, że do Cytadeli mogą wchodzić tylko wysoko urodzeni, wojowie i słudzy. Mimo to ludzi zebrało się mnóstwo. Diamni z okrutną przyjemnością rozpędziłyby ciekawskich batem dla bydła, ale był tylko malarzem bez rodu, którego zatrudniono do rozweselenia kaleki-epiarchy, i mógł tylko dziwić się ludzkiej bezduszości.

A Beatrice, jak się wydawało, miała za nic cudze spojrzenia. Patrząc na tę kobietę skamieniałą na płycie ozdobionej symbolem Anema, Diamni był coraz bardziej pewien, że eoriuszka oszalała. Należało ją stąd odprowadzić. Nieważne, kim był ojciec jej dziecka, teraz to nie było ważne. Chyba powiedział to na głos, ponieważ Ernani ścisnął dłoń malarza i wyszeptał:

- Ona jest tu z mocy Prawa Wiatru.

- Zwyczaj? - Artysta pomyślał nagle, zupełnie nie na temat, że młodzian, pewnie po raz pierwszy widzi nagą kobietę.

- Jeśli należący do Domu Wiatru przychodzi na Wietrzny Plac i staje na płycie z symbolem Anema, oznacza to, że żąda ochrony abweniarchy i sądu anaksa.

Oczywiście! W Cytadeli są cztery wieże i cztery place, na środku każdej jest płyta z symbolem. Dlaczego nigdy wcześniej nie zastanawiał się, po co to wszystko. Starożytni nic nie robili ot tak sobie, ale co się stało z Beatrice? Jest brzemienna i to nie z mężem. Lorio wraca do domu z kolejnym zwycięstwem dopiero za kilka dni. Co za nowiny czekają na niego!

Dźwięki fujarki obwieściły nadejście abweniarchy, którego pałac znajdował się po drugiej stronie Wietrznego Placu. Bogopamiętny\* wolno i dostojnie przeciął plac i stanął oparty na pastorałe przed nieruchomością tkwiącą w miejscu kobietą.

- W imieniu Nieobecnych, córko Anema. Czy prosisz o łaskę czy o sprawiedliwość?

- O sprawiedliwość - wykrzyknęła Beatrice - i wraz ze mną oczekują jej mieszkańcy Galar stojący przy górnym Pierścieniu! Bogopamiętny, nie sądziłam, że pod niebem może istnieć takie zło, ale ono istnieje, ono przechadza się, śmieje się, depcze to, co najświętsze, co kryje się w naszych duszach...

- Uspokój się, córko Anema - abweniarcha mówił bardzo wolno i bardzo czule. To był mądry i doświadczony mężczyzna, a Beatrice nie była pierwszą szaloną, którą przyszło mu uspokajać.

- Nie zaznam spokoju, póki ten człowiek... Nie, bogopamiętny, to nie człowiek... Ludzie i nawet zwierzęta nie mogą być takimi. On musi zostać ukarany - głos kobiety zadrżał. - Zaklinam na imię Pozostawionej i jej łez, on nie może ujść karze!

- Anaksa jest sprawiedliwy - łagodnie powiedział bogopamiętny - a słudzy Nieobecnych miłośni. Kim jest krzywdziciel i co on uczynił?

- Mój krzywdziciel? - Ogromne oczy stały się jeszcze większe, jakby kobieta pierwszy raz słyszała to słowo. - Mój krzywdziciel? Ubiegłego lata udałam się do świątyni Anema. Codziennie

błagałam Nieobecnych o łaskę dla mojego męża, ale nie dotarłam do świątyni ani do miasta. Porwał mnie Rinaldi Rakan i zamknął w miejscu, o którym wiedzieli tylko on i jego słudzy! Moich towarzyszy, poza woźnicą, współnikiem epiarchy, zabito, a epiarcha... Błagałam go, by mnie wypuścił, mówiłam mu o honorze eoriuszy, o tym, jak kocha go mój małżonek, ale Rinaldi myślał tylko o zemście. Odmówiłam mu swojej miłości, więc postanowił wziąć mnie siłą. I wziął... Przychodził codziennie, póki nie przekonał się, że poczęłam. Wtedy oddał mnie swoim sługom i swojemu psu, a sam się przyglądał... Wraz ze swoją nową kobietą. Patrzył i śmiał się. Potem to mu się znudziło, więc kazał mnie zabić, ale dwaj jego słudzy i... I Wasilika... Oni okazali się dobrymi ludźmi. Bali się Rinaldiego, ale nie mogli pogodzić się z mordem... Otruli psa i pomogli mi w ucieczce. Są gotowi potwierdzić, że nie kłamię, jeśli weźmie się ich w obronę przed... przed...

- Słyszałem twoje oskarżenia, córko Anema - głos bogopamiętnego ciągle był łagodny, ale tylko głos, nie oczy.

- Ja też słyszałem. - Diamni nie pojął, skąd pojawił się Eridani i gdzie stał. Opalona twarz anaksa wyglądała jak maska. Zrzucił pelerynę i podał jednemu z żołnierzy. - Będę z tobą rozmawiał, eoriuszko Borrasca, ale dopiero gdy się okryjesz.

Beatrice drgnęła, gdy na jej ramionach legła czterobarwna peleryna. Eridani był wysoki nawet jak na mężczyznę z rodu Rakanów, żona Loria nie sięgała mu nawet do ramienia. Peleryna nie tylko okryła kobietę od głowy do stóp, ale legła uroczystymi fałdami na kamieniach placu. Okrywszy swoją nagość, Beatrice straciła całe zdecydowanie i zaciekłość. Poznaczone licznymi sińcami ręce wczepiły się w gruby materiał, nieprawdopodobnie ogromne oczy błagalnie patrzyły na Eridaniego.

- Tak więc - wolno i wyraźnie powiedział ten - oskarżasz mojego brata Rinaldiego o porwanie i gwałt?

Beatrice opuściła głowę, splątane lniane loki niemal całkowicie zakryły jej twarz.

- Tak czy nie? - głos brzmiał beznamietnie, ale Diamni nie wątpił, że gdyby to było w mocy anaksa, kobieta nie dotarłaby do Cytadeli.

- Tak - wyszeptała. - To prawda.

- Przeprowadźcie następcę - zarządził Eridani i zamilkł. Milczeli wszyscy: słudzy, strażnicy, eoriusze. Diamni na zawsze zapamiętał tę scenę - posępna Wietrzna Wieża, część błyszczącej w słońcu ściany, wiekowe cyprysy zagadkowe i czujne jak koty i malutka rozczochrana kobieta w bardzo długiej pelerynie. Malarz widział, że Beatrice trzyma się ostatkiem sił, chudziutka twarzyczka była jak alabastrowa maska, usta zsiniały, a purpurowe plamy na bladym policzku wyglądały bezsensownie niczym plamy farby.

Oczekiwanie nie trwało długo - epiarcha należał do tych, których najtrudniej znaleźć w łóżku nocą, a najprościej późnym rankiem. Widocznie żołnierz, który ruszył po Rinaldiego, opowiedział mu, po co wzywa go anaksa, ponieważ na pięknym obliczu nie malowało się *ani* zdumienie, ani współczucie, ani lęk. Tylko obrzydzenie.

- Mój anaksa chciał mnie widzieć.

- Tak. Eoriuszka Borrasca oskarża Rinaldiego Rakana o gwałt. Co odpowie oskarżony?

- Kłamstwo. - Epiarcha uśmiechnął się i to zrobiło na Diamnim szczególnie ohydne wrażenie. - Ślicznotka spędziła zimę z pożytkiem i zadowoleniem, potem przypomniała sobie, że ma małżonka i wystraszyła się.

- Rinaldi! - Rozpaczliwy krzyk Beatrice spowodował, że malarz drgnął. - Czy w tobie nie zostało już nic z człowieka?!

- Kto wie, ale moja dusza nie ma nic wspólnego z twoim brzuchem, eoriuszko. - Następca odwrócił się do Eridaniego. - Przysięgam, że ona jest szalona albo myli tropy, a jej tak zwani świadkowie są albo podkupieni, albo zastraszeni.

- W tym niejaka Wasilika?

- Wasilika? - Rinaldi uniósł brwi. - Ach, Wasilika... Pieprzyk w kształcie półksiężyca pod lewą pierś i czarne włosy do kolan... Tu mamy do czynienia nie ze strachem, a ze złotem. Jeśli moja kochanka postanowiła mnie przehandlować, to pewnie dobrze na tym zarobiła.

- Eoriuszka twierdzi, że Rinaldi Rakan oddał ją najpierw swoim sługom, potem swojemu psu. - Anaks mówił o bracie tak, jakby go tu nie było. Musiało to coś oznaczać, ale Diamni nie wiedział co.

- I co powiedział pies?

- Pies nie żyje. Żeby eoriuszka mogła uciec, jeden ze współczujących *jej* sług podał mu truciznę.

- Czyli Gindo najpierw został ukradziony, a potem otruty, żeby wzmocnić prawdopodobieństwo. Biedak... O ile był to, rzecz jasna, Gindo.

- Rinaldi Rakan nie przyznaje się do winy?

- Nie!

- Beatrice Borrasca nie odstępkuje od oskarżenia?

- Mój anaksie! To uczynił on... On...

- Proszę wypowiedzieć imię.

- Rinaldi Rakan, brat i następca mojego anaksa.

- Co powie abweniarcha?

Bogopamiętny nie spieszył się z odpowiedzią, tylko z mądrą miną patrzył w niebo. Nikt go nie poganiał - wszak to sprawiedliwy i miłosierny sędzia!

Diamni Koro nie kochał abweniatów przede wszystkim dlatego, że ci żądali malowania świątyń wedle raz i na zawsze zaprowadzonego zwyczaju. Mało tego, że potrzebni im byli groźni, otoczeni lśnieniem, pobrzękujący bronią tępacy, to jeszcze musieli być przedstawiani w ciągle takich samych głupich i napuszonych pozach. Tego uczeń wielkiego Lentira wybaczyć nie mógł.

Co zaś do samej istoty tej religii, to ona malarza nie interesowała. Bogowie odeszli, obiecali wrócić, ale nie wrócili. Ktoś tam na nich czeka, a ktoś inny, jak sam Diamni i jego nauczyciel, wspaniale się bez nich obchodzi, robiąc to, co kocha. Co prawda, gdyby ktoś zmusił mistrza Koro do wyboru między abweniuszami i esperatystami, to nie miałby wahań. Brudni, pokryci wrzodami fanatycy, żądający kajania się przy świadkach i pełzania na brzuchu przed kimś niewidzialnym, wzbudzali w malarzu wstręt. Już lepsi starzy i znani bogowie, zwłaszcza że odeszli.

Abweniarcha w końcu coś wymyślił. Diamni miał wrażenie, że jest bardzo z siebie zadowolony. Piękna, zadbana dłoń uniosła się w rytualnym geście.

- Niech Beatrice Borrasca wejdzie na Wzgórze Abweniuszy. Jeśli jej dziecko jest z rodu Rakanów, Nieobecni je uznają, jeśli nie, nie ma o czym mówić.

To ci bogopamiętny! Co za zuch! Słusznie! Żony anaksów, oczekując dziecka, przechodzą próbę, przecież Rakan może przekazywać Moc, którą włada, tylko mężczyźnie swojej krwi. Jeśli Rinaldi jest niewinny, Abweniusze odepchną Beatrice i jej dziecię.

- Czy eoriuszka jest gotowa wejść na wzgórze? - Błękitne oczy Eridaniego nie obiecywały niczego dobrego.

- Tak.

- Cóż... - Eridani zimno popatrzył na owiniętą czterobarwną peleryną kobietę i jeszcze zimniej na

brata - ...niech tak będzie. Jutro rano eoriuszka Beatrice Borrasca wejdzie na Wzgórze Abweniuszy, by udowodnić słusność swoich słów. Jeśli oskarżenie potwierdzi się, epiarcha-następca stanie przed sądem wysokich eoriuszy. Jeśli nie, sędzić będą oskarżycielkę, o ile nie udowodni ona, że została zmuszona do pomówienia brata anaksa i nie poda imion tych, co ją zmusili. Zanim ja daną mi władzą obudzę moce Nieobecnych, oskarżycielka może wycofać się ze swojego słowa, a oskarżony przyznać się do winy, przez co nabywają prawa do własnoręcznego zakończenia swojego żywota. A teraz straż odprowadzi eoriuszkę Borrascę do zamkniętej lektyki i towarzyszyć jej będzie do miejskiego domu jej małżonka, a epiarcha-następca uda się do swoich komnat, gdzie pozostanie do jutra. I niech oświecą Abweniusze to z nich, które łże.

Rinaldi wzruszył ramionami i lekkim, swobodnym krokiem poszedł w stronę pałacu. Tłum rozstępował się przed nim jak przed trędowatym, ale epiarcha, wydawało się, nie zauważał tego. Czterech żołnierzy posłusznych spojrzeniu anaksa podeszło do Beatrice. Między roslymi, opalonymi mężczyznami, wydała się Diamniemu zupełnie malutka. Nieujarzmiony, jakby spalający ją od wewnątrz płomień zgasł, pozostał strach i brak nadziei. Biedna dziewczynka, strach pomyśleć, co musiała znieść, jeśli zdecydowała się opowiedzieć o swojej hańbie publicznie i zażądać sądu.

- Żołnierze - głos anaksa pozostawał obojętny i zimny - odpowiadacie za bezpieczeństwo oskarżycielki głową. Jutro w towarzystwie eoriuszy Domu Wiatru powinna pojawić się na Wzgórzu Abweniuszy, żeby potwierdzić lub odrzucić, co powiedziane.

To też obyczaj, czy Eridani obawia się o życie Beatrice? Mistrz Koro nie wnikał w sekrety Cytadeli i nie wiedział o wielu sprawach oczywistych dla eoriuszy oraz wyrosłych wśród nich sług czy żołnierzy. Zwykle Diamni pytał swojego ucznia, a ten chętnie objaśniał mu wszystko, jednak teraz na młodzieńca strach było patrzeć. Artysta nigdy nie kochał następcy tronu i nie ufał mu, a po przypadku pod bramą świątyni Anema nawet zaczął bać się Rinaldiego. Teraz życie potwierdziło słusność jego obaw, ale malarz wiele by dał, żeby się mylić.

- Diamni - uczeń usiłował się uśmiechnąć - jutro wszystko będzie już jasne.

- Na pewno, Ernani.

Wyjaśni się już tej nocy. Anaks jest dobrym bratem, zbyt dobrym jak na władcę ogromnego kraju i na pewno już wszystko rozumie, dlatego odłożył badanie do jutra. W nocy Rinaldi zniknie z Galtar i będzie można tylko modlić się do Abweniuszy, by niegodziwiec skrzył kark albo uciekł za Zalew Euryjski do tamtejszych dzikich jeźdźców. Pozbawić epiarchę tytułu następcy może tylko anaks z wyroku najwyższych eoriuszy, i to z wyroku wydanego w obecności oskarżonego. Uciekwszy, Rinaldi pozostanie więc następcą brata. Jeśli Eridani uda się w Zmierzch albo go tam wyślą, władza - zgodnie z prawem - przejdzie w ręce gwałciciela i łgarza.

Po ludzku postępek anaksa jest zrozumiały, ale jego obowiązkiem jest ukarać przestępcę właśnie dlatego, że ten ma prawo do tronu. Gdyby Rinaldi był uczciwym człowiekiem, to wykorzystałby dany mu czas, aby skończyć ze sobą. Tyle że to bzdura! Gdyby był godnym człowiekiem, to nie katowałby kobiety, której wina polegała na tym, że go odrzuciła.

- Diamni... ja... Ja muszę porozmawiać z Rinaldim. Jeśli on nie przyjdzie do mnie wieczorem, to ja sam do niego pójde, kiedy wszyscy zasną.

- Oczywiście, Ernani. Twoje uczucia czynią ci honor.

Przyjdiesz i natkniesz się, chłopcze, na zamknięte drzwi i tam w końcu zrozumiesz, kogo uwielbiałeś przez tyle lat.

## 7. Epiarcha

W komnatach Rinaldiego było ciemno i cicho i Ernani pomyślał, że jeśli brat jest winny, to już go nie ma ani w Cytadeli, ani w Galtarach. Młodszy epiarcha przemierzył jednak milczącą amfiladę. Rinaldi zawsze lubował się w zwierciadłach, ale w ciemnościach patrzące na siebie głębokie szkła sprawiały ponure wrażenie, Ernaniemu wydawało się, że stoi na skrzyżowaniu wiodących w nieskończoność korytarzy, po których donikąd biegną ciemne postacie ze świeczkami w ręku. To było przerażające, młodzieniec czuł na sobie czyjeś spojrzenia, za jego ramieniem stał ktoś milczący, obcy i niedobry, i coraz trudniej było przekonać siebie, że wszystko to jest zwyczajnym lękiem człowieka przed nocą i pustką. Zbyt silne było wrażenie obcości w cichych, jakby wymarłych komnatach. Rinaldi uciekł, pozostała pustka i coś, co nie ma nazwy.

Młodzian najszybciej jak mógł ruszył z powrotem, gdzie było światło i żywi ludzie, a nie pełne widm lustra. W swoich komnatach zrobiło mu się wstyd własnego strachu - nie dość, że jest kaleką, to na dodatek jest tchórzem! Przestraszyć się ciszy i powieszonych naprzeciwko siebie ołowianych szkieł, obok których przechodził dziesiątki razy?! W bezludnych pokojach epiarchy nie było nic zagadkowego, po prostu Eridani usunął strażę, dając Rinaldiemu szansę na ratowanie skóry. Złote Ziemie są wielkie, ale za Zalewem leżą już Ziemie Purpurowe. Tam ludzie rządzą się innymi prawami i płynnie inne życie. Czarnoocy, smagli Moryskowie cenią w innych nie honor, a zrzeczność, siłę i odwagę, Rinaldi z nimi dogada się bez trudu. Ernani z całej duszy pragnął, by brat został niewinny, ale nie miał nadziei i Eridani też, w przeciwnym przypadku nie odkładałby próby do jutra. Przez noc można odjechać daleko, a niezauważalnie wymykać się z Cytadeli Rino potrafił zawsze.

Epiarcha podszedł do zawalonego zwojami i rysunkami stołu i napotkał spojrzenie Władcy Wiatrów - spojrzenie Rinaldiego. Brat nie uznał za potrzebne i możliwe wpaść się pożegnać, widocznie chciał uniknąć nieuchronnej przy tej okazji rozmowy o Beatrice. Ale też jak mógł tak postąpić z kobietą, z żoną człowieka, któremu wszyscy oni tak wiele zawdzięczają?! Jeśliby nie miecz Loria, Złota Anaksja już by się podzieliła albo Eridani byłby zmuszony wezwać Zwierza, o ile leży to w jego władzy. Słowa Rinaldiego o Mocy Rakanów zbytnio przypominały prawdę...

Ernani wziął do ręki szkic i podniósł do oczu - czyżby już mieli się nie zobaczyć? Wieczna rozłąka z żywym człowiekiem może być gorsza od pożegnania z martwym. Młodzieniec uważał postępek brata za ohydny, ale za bardzo był przywiązany do Rina, by czekać na triumf sprawiedliwości. Gdyby na miejscu następcy był dowolny inny eoriusz, Ernani bez wahania żądałby dla niego najstraszliwszej kary, ale Rinaldi! Młodszy z epiarchów Rakanów siedział w tej rozterce do rana, albo znowu wpatrując się w wesole i zuchwałe oblicze, albo usiłując czytać o wojnie psów z kotami, ale przyniesiona przez brata książka paliła dłonie i już nie śmieszyła zupełnie. Czyżby Rinowi tak podobał się poemat Nomiritana, dlatego że władca kotów Leofor Żmijoogoni mówił to, o czym sam myślał? Kot szydził z psiej wierności i honoru, myślał tylko o kotach i wojnie i urządził podle intrygi wycelowane w tych, którzy go zaczepiali. Leofor wciągnął w myśliwską pułapkę lisicę, która odmówiła mu miłości i skierował na jej samca myśliwych! Ernani poczuł wstyd, kiedy przypominał sobie, jak z Rinaldim śmiali się z tej sceny, ale czy brat postąpił z Beatrice inaczej?

Młodzian odrzucił nagle obrzydłą mu książkę. Eridani ma rację, należy jej zakazać! Ale mimo wszystko dobrze, że Rinaldi się uratował, może w odległych ziemiach zmieni się na lepsze... Epiarcha popatrzył przez okno, potem na klepsydrę. Czas się zbierać! Najważniejsze to nie dać po



sobie poznać, że wie o zniknięciu brata. On wiecnie się spóźnia, trzeba przeciągać czas, namawiać, by zaczekano na niego. Im później będzie wysłany pościg, tym więcej szans ma Rinaldi na ucieczkę. Ernani pospiesznie przebrał się - nie znosił, gdy dotykali go służący, i posłał umyślnego po mistrza Koro, którego pomoc nie była dlań poniżająca. Malarz pojawił się błyskawicznie, widocznie też nie spał. Diamni wyglądał na skrępowanego i epiarcha rozumiał dlaczego - nauczyciel nie przepadał za Rinaldim i nie ukrywał tego, ale kiedy jego uczucia i przeczucia zostały potwierdzone w tak potworny sposób, poczuł się jak zwiastun nieszczęścia.

- Tylko mi nie mów, że ci bardzo żal. - Epiarcha przywołał na twarz wymuszony uśmiech. - Po prostu pomóż mi dotrzeć na miejsce.

- Z chęcią, mój ep... - Malarz urwał w pół słowa. - Oczywiście, Ernani, pomogę ci. Dawno marzyłem o tym, by przyjrzeć się obeliskowi z bliska, a potem go naszkicować. To przecież strasznie stare miejsce.

- Tak, uważa się, że najpierw pojawili się oni, potem Cytadela i Pierścienie i już na końcu Wieże...

Szli, rozmawiając o starożytnych Galtarach i ich nieprzystępnych murach-pierścieniach zbudowanych nie z kamienia, a jakby wyrosłych z ziemi. Ernani opowiadał o Cytadeli, w której żyją eoriusze i o podziemnych labiryntach, a Diamni usiłował zrozumieć, dlaczego zasiedlone przez prosty lud dolne miasto podzielone jest na cztery części murami nie mniej grubymi i wysokimi niż zewnętrzny Pierścień. Przez to trafić z Miasta Wiatru do Miasta Błyskawicy można było tylko, przechodząc przez zewnętrzny lub wewnętrzny Pierścień, ale nie po linii prostej. Mistrz i epiarcha zastanawiali się, komu mogły być potrzebne wieże bez wejść i wyjść i co oznaczają symbole wybite na obeliskach wzniesionych w niepamiętnych czasach na szczycie wzgórza. Rozmawiali o wszystkim, ale nie o tym nieprzyjemnym i ciężkim, co nieuchronnie jednak się zbliżało. Rinaldi zniknął, a jego hańba legnie na barkach braci. Dom Wiatru nie wybaczy anaksowi ucieczki gwałciciela.

Na czterech pasmach schodów łagodnie wiodących na szczyt wzgórza stali strażnicy w anaksjańskich barwach, a bliżej szczytu na okrągłym tarasie oczekiwali przywódcy Domów Błyskawicy i Skały. Ciemnowłosey Enio Marikjare w purpurowej, haftowanej w złote błyskawice pelerynie wyglądał na zdumionego i wzburzonego, leciwy Władca Skały posepnie patrzył w ziemię.

- Dziwna sprawa. - Diamni, jak umiał, starał się oderwać ucznia od nieprzyjemnych myśli i Ernani był mu za to wdzięczny. - Dziwne, jak się wszystko pomieszało! Niegdyś dzieci Astrapa były jasnowłose i brązowookie, a Władcy Skały mieli szare oczy i ciemne włosy, a co teraz? Marikjare jest ciemnooki i ciemnowłosey, stary Nadorea ciemnoblondey, a ty bardziej przypominasz potomka Unda niż obecna głowa Domu.

O Władcy Wiatru nie zostało wypowiedziane ani jedno słowo. Diamni nie wątpił w winę Rinaldiego i nie chciał rozdrapywać ran, ale Ernani Rakan musiał walczyć do końca. Powinien mówić o Domu Wiatru i o bracie, który jak zwykle zasnął, ale lada moment się pojawi.

- Przecież wiesz... - Najważniejsze to nie milczeć, nie milczeć i nie patrzeć w stronę obelisku Anema, skąd powinna pojawić się Beatrice. - Rakanowie są podobni do wszystkich Nieobecnych razem wziętych i do nikogo w szczególności. Do siebie w rodzinie też nie jesteśmy podobni. Rinaldi ma twarz Astrapa i oczy Unda, Anesti z oblicza przypominał Unda, ale był przysadzisty jak Lit i błękitnooki, a Eridani jest wykapanym Anemem, jak go przedstawiają. Natomiast o Loriu Borrascie nie powiesz nawet, że jest eoriuszem, chociaż jego matka była siostrą naszego dziadka. Zresztą skąd możemy wiedzieć, do kogo byli podobni Nieobecni? Rinaldi mówił...

- Wiele rzeczy mówiłem. - Rinaldi Rakan w dworskich szatach stanął za plecami Ernanięgo i uśmiechnął się. Jasne włosy następcy ozdobił uroczysty diadem, ale w ręku epiarcha trzymał skórzany deszczowy kołpak pełen dojrzałych czereśni.

- Rino! - Ernani nie wiedział, co powiedzieć. - Ty... Ty tu?!

- A gdzie mam być? - Brat włożył do ust kilka czereśni i podał kołpak Diamniemu. - Częstuj się, mistrzu. W końcu to wszystko przeze mnie, nie wypada się spóźniać.

- Wpadłem do ciebie w nocy... Nie było cię. Nikogo nie było.

- Wyszedłem do miasta, miałem ochotę po wczorajszym trochę się rozerwać. A ty co, pewnie pomyślałeś, że zwiąłem?

- Coś ty... - Ernani zmieszał się. - Ja...

- Ty? - zapytał Rinaldi, patrząc z naciskiem na brata.

- Tak - ledwo słyszalnie przyznał młodszy epiarcha - tak myślałem. Eridani usunął strażników, przeniósł próbę na rano... i ci świadkowie, i pies...

- Ile razy mam powtarzać, że to nie Gindo! Podobny, bardzo podobny, ale nie on. A poza tym Gindo zaginał pół roku temu, mógł od dawna być w nie wiadomo czyich rękach... Jakkolwiek się sprawy potoczą, żal mi Loria, niezły prezencik tu na niego czeka!

„Niezły prezencik”... Borrasca nie przeżyje zdrady żony. Czyżby to wszystko kłamstwo i Rinaldi byt niewinny? Na to wygląda, winni tak się nie zachowują.

- Wybacz, ja myślałem...

- To oznaka szlchetnego pochodzenia, braciszku - wzruszył ramionami Rinaldi. - Eoriusze skłonni są wierzyć w każdą ohydę wypowiedzianą o innym, ale strasznie się burzą, kiedy o święństwo oskarża się ich. O, mamy i oskarżycielkę! Dziś wygląda lepiej. Mimo wszystko niektóre kobiety nie powinny się rozbierać.

Beatrice Borrasca w towarzystwie krewnych Loria weszła na taras. Miała na sobie obszerną, szczelnie osłaniającą ciało suknię bez pasa w barwach Domu Wiatru - niebieskiej i białej, podkreślającej i tak nienaturalną bladość kobiety. Jej lniane warkocze zostały ułożone w srebrzystej siatce i to była jedyna ozdoba, na którą sobie pozwoliła. Otoczone ciemnymi kręgami oczy eoriuszki patrzyły gdzieś ponad głowami ludzi - czy to na obelisk Anema, czy zwyczajnie w niebo. Nie chciało się wierzyć, że ta udręczona dziewczyna mogła nago, z rozwianym włosom przejść przez całe miasto i zażądać sądu nad gwałcicielem. A jeszcze mniej - że jest zdolna do kłamstwa. Czyżby naprawdę esperatyści? Postanowili zemścić się za swojego kaznodzieję i zhańbić człowieka, który go zabił? Ale teraz Beatrice nic nie grozi, dlaczego nie miałyby powiedzieć prawdy?

Anaks może obronić kobietę, która go o to prosi. A Lorio wolałby, żeby zhańbili jego żonę wrogowie, a nie epiarcha, którego on sam uczył władania mieczem. O ile oczywiście można w tym przypadku mówić, kto co woli...

Dźwięki fujarki i bębna obwieściły przybycie anaksa i abweniarchy, za którym szły trzy ciężarne kobiety - jedna eoriuszka i dwie z prostego ludu. Przy pasie Eridanięgo widniał uroczysty miecz Rakanów; zazwyczaj brat nosił przy sobie inną broń wykutą przez najlepszych kowali Galtar, a ten, szeroki i krótki, wisiał w sali tronowej. Tam też przechowywany był wieniec i berło z migocącym fioletowym kamieniem, które anaks ścisnął w dłoni. Relikwie panów Złotych Ziemi spokojnie spały przez wieki, kryjąc w sobie Moc, ale dziś zobaczyły światło dzienne.

Władca obrzucił pochmurnym spojrzeniem głowy Wysokich Domów, oskarżycielkę i braci, na widok Rinaldiego ciężkie powieki wyraźnie drgnęły - Eridani był zadziwiony, ale zawsze potrafił

ukrywać swoje uczucia. Pod uważnym, badawczym spojrzeniem brata anaks zaczął się jednak bać. A najmłodszy z Rakanów ponownie poczuł się tak, jakby znów stał na skrzyżowaniu korytarzy z ogarkiem świecy w ręku, a w cztery strony od niego ciągnęły się nieskończenie długie przejścia i tylko jedno prowadziło do światła.

- Eoriuszko Beatrice! - Młodszy epiarcha oczekiwał tych słów, jednakże i tak drgnął. - Czy potwierdzasz swoje oskarżenie? Jeśli siłą lub oszustwem zmuszono cię do wejścia do cudzego łóżka i oskarżenia niewinnego, to wybaczymy ci ten grzech zamierzony i niezamierzony w zamian za imię prawdziwych winowajców.

- Mój anaksie - Beatrice zaczęła bardzo cicho, ale potem podniosła głos - potwierdzam swoje oskarżenie. Potwierdzam, że epiarcha Rinaldi z rodu Rakanów porwał mnie i przetrzymywał w swojej kryjówce. Potwierdzam, że siłą zawładnął mną i brał mnie ponownie i ponownie, póki nie nabrał pewności, że jestem brzemienna. Potwierdzam, że ojcem dziecka, które noszę, jest epiarcha Rinaldi... Ja... Ja rozumiem, jaki ból sprawię swojemu małżonkowi i tobie, mój anaksie. Wyrzekłabym się swoich słów, gdyby Rinaldi Rakan nie był następcą tronu, ale... Człowiek, który postąpił... uczynił to ze mną, jest zdolny do wszystkiego. On nie może pozostawać na wolności. Nie może nosić tytułu następcy... I dlatego oskarżam go! Jestem gotowa przejść próbę, albowiem mówię prawdę, klnę się na Unda i Anema!

- Bracie nasz, Rinaldi! - Eridani mówił nieco wolniej niż zazwyczaj, Ernani uświadomił sobie, że każde słowo przychodzi mu z trudem. - Czy nadal nalegasz na próbę, czy może uznajesz słuszność oskarżenia?

- Ogromnie mi żal Loria Borraski - w głosie Rinaldiego brakowało zwykłej dla niego ironii - ale nie zamierzam składać honoru w ofierze, tylko by go uspokoić. Nie tknąłem tej kobiety ani z jej woli, ani przeciw niej.

- Usłyszałem. Cóż, bogowie odeszli, ale ich moc i ich krew jest z nami i w nas. Oni udzielą nam odpowiedzi, prawdziwej i jedynej. Bracia moi, idźcie za mną!

Anaks zaczął wolno wspinać się po płaskich schodach. Rinaldi mocno chwycił Ernaniego za łokieć i ruszył za bratem. Młodzieniec kuśtykał, opierając się na silnej ręce Rina, a obok nich szedł ten niewidzialny i nieobojętny, który pętał się w nocy po pokojach następcy. Ernani czuł jego obecność, ale nie odważył się przerwać rozpoczętego rytuału, a poza tym wszystko było raczej grą wybujałej fantazji, w przeciwnym przypadku bracia też by coś wyczuli.

Schody skończyły się i następcy Nieobecnych weszli na Wzgórze Abwenuszy. Płaski, jakby ścięty nożem szczyt był wyłożony czworobocznymi kamiennymi płytami zmieniającymi kolor w zależności od oświetlenia. W rogach placu wznosiły się cztery stele przypominające postawione na sztorc kamienne miecze, na ostrzach których wybite były symbole Nieobecnych Bogów. Abwenusze ciągle jeszcze nie mogli zdecydować, czy są to wypisane w nieznanym języku imiona Nieobecnych, czy znaki wybranych przez nich żywiołów.

Uważano, że właśnie ze Szczytu Mieczy Nieobecni ostatni raz spoglądali na pozostawiane przez nich Galtary, i w dół, gdzie u podnóża wzniesienia była słynna Droga w Jedną Stronę - wejście do niekończących się podziemnych labiryntów. Tylko za pozwoleniem anaksa i w jego obecności eoriusze mogli wchodzić na Szczyt Mieczy i tylko anaks mógł otworzyć drzwi do tajemniczych podziemi.

Eridani miarowym krokiem wyszedł na środek placu, gestem wskazując braciom miejsce za sobą. To było niepisane prawo - kiedy głowa Domu Rakanów wywołuje Moc, mężczyźni ich krwi znajdują

się obok i tylko anaks wie po co. Eridani wznosił oczy ku niebu i jakby skamieniał. Nie wykonywał żadnych gestów, jakie zwykle wykonują magowie - nie kreślił skomplikowanych figur, nie wymachiwał pastorałem, nie wykrzykiwał niezrozumiałych słów, nie rozchlaprywał eliksirów, a po prostu stał i czekał na odpowiedź. I odpowiedź nadeszła. Znaki na ostrzach mieczy zaczęły świecić, najpierw słabo, potem coraz silniej. Wyglądały, jakby oddzieliły się od kamienia, jakby już nie były wykute, ale utkane z promieni.

Zmieniły się i same miecze - teraz były jak odlane ze złota, ale w miarę przybierania przez ostrza złotego lśnienia, dokładało się jeszcze purpurowe światło, przywodzące na myśl krew albo odbłaski Zmierzchu, w który odeszli obrońcy Kertiany. Eridani uniósł berło i mocno wbił je w płytę u swoich stóp. Metalowy trzpień wszedł w kamień jak w masło, zapłonął wprawiony w głowicę kryształ, pociągnęły do niego oderwane od mieczy purpurowe promienie. Ernani nawet nie zdążył mrugnąć okiem, jak powstała z nich krwawa ścieżka prowadząca od nóg anaksa ku schodom.

- Kobiety! - Ernani widział tylko plecy brata, a jego głos był beznamiętny. - Wejdźcie i przejdźcie drogą Zmierzchu.

Pierwsza na ścieżkę wkroczyła rudowłosa piękność; Ernani znał ją - żona jednego z wasali Domu Błyskawicy. Promień spływający z klingi Astrapa i zielone lśnienie Unda, które pojawiło się chwilę potem, otoczyły przyszlą matkę czułą aureolą. Kobieta, mimo że brzemienna, poruszała się z gracją i miękko niczym kotka. Należała do Domu Fali i mimo swojego wesołego charakteru była wierna swojemu mężowi. Jej towarzyszki nie mogły przeniknąć przez niewidzialną barierę - były służkami i oczekiwały dzieci od mężów również z prostego ludu - wejście na wzgórze Abweniuszy było dla nich zakazane. Beatrice stanęła w kręgu stelli ostatnia, trzy jej poprzedniczki tylko udowodniły, że Nieobecni odpowiedzieli na wezwanie anaksa, prawdziwa próba zaczęła się dopiero teraz.

Ernani z bijącym sercem patrzył na błękitną postać, której ogromny brzuch wywoływał dziwnie niedorzeczną czułość. Eoriuszka Borrasca weszła na drżącą płomienną ścieżkę i nic się nie stało. To nie zdziwiło młodzieńca - Borrasca pojął za żonę dziewczynę, w której nie było krwi Abweniuszy, ale poczęła od eoriusza i tylko dlatego mogła wejść na Szczyt Mieczy. Od eoriusza, ale którego?!

Kobieta zrobiła krok, drugi, trzeci. Kimże jest ojciec? Kim?!

Cztery świetlne klingi skłoniły się ku sobie i zetknęły ostrza nad głową oskarżającej, splecione teraz na podobieństwo jakiegoś ognistego wieńca. Niebieskie światło Anema przechodziło w srebro Lita, a czerwone złoto Astrapa - w szmaragd Unda.

Wszyscy Nieobecni przyznali się do dziecka eoriuszki i to wyjaśniało wszystko: Beatrice Borrasca nosiła pod sercem potomka Rakana.

Eridani błyskawicznym gestem wyszarpnął berło z kamienia i wszystko zgasło. Kobieta udowodniła swoją rację i swoją niewinność. Anaks, nie mówiąc ani słowa, pochwycił pod rękę Ernaniego, po czym poprowadził za sobą, nawet nie popatrzawszy na Rinaldiego, który kroczył tuż za nimi. Młodszy epiarcha był mu za to wdzięczny, opierać się na dłoni gwałciciela i krzywoprzysięzcy nie potrafiłby.

Odezwał się dopiero, gdy dotarli do dolnego tarasu.

- Rinaldi... - nigdy wcześniej starszy brat nie wydawał się być tak zmęczony - ...miałeś całą noc, dlaczego nie... Teraz muszę oddać cię pod sąd eoriuszy.

Eridani westchnął i - wciąż jeszcze nie wypuszczając ramienia Ernaniego - zupełnie innym głosem, pewnym i władcym, rzekł:

- Straże, wzięć go. W kajdany!

## 8. Mistrz

Rinaldi jak nigdy przypominał leoparda otoczonego przez myśliwych - śmiertelnie niebezpieczny i nieprawdopodobnie piękny. Diamni rozumiał, że pozwolił, by owładnęły nim natchnienie i zachwyty, i że jest to co najmniej niewłaściwe, ale nie potrafił nad sobą zapanować. Jutro będzie mu żal Ernaniego, Beatrice, jej siwego męża, jutro przypomni sobie szczegóły tego, co usłyszał, i wzdrygnie się z powodu podłości i złości, do której może zejść istota ludzka, ale to potem, a teraz będzie malował, malował i malował.

Artysta nie spuszczał spojrzenia z podsądnego, chwytając każdy jego gest, każdy wyraz twarzy, każdy zwrot głowy. Do nowej świątyni Lentiro będzie potrzebował wodza słonecznych demonów, a lepszego modelu nie ma. Więcej, w głębi duszy Diamni już zdecydował się na własny obraz. Będzie na nim uwięziony demon stojący przed Czterema. Mistrz Koro, jak prawdziwy uczeń wielkiego Sollegi, odejdzie od zwyczajowej abweniańskiej kompozycji i nie będzie malował zwycięzców - ich obecność powinna być wyczuwalna, ale nic więcej. Jediną postacią namalowaną w najdrobniejszych szczegółach, aż do rzęsy, która wypadłszy, przykleiła się do policzka, będzie Wróg. Będzie zły, dumny, uparty, nienawidzący i zwyciężony. Właśnie zwyciężony! Ci, co popatrzą na obraz, będą musieli zrozumieć, że z taką istotą, która zhańbiła całą swoją doskonałość, skończyło się wszystko na zawsze i że zasługuje ona na swój los mimo urody i potęgi. Można jej współczuć, ale nie wolno jej wybaczać i nie wolno się nią zachwycać. Widz powinien poczuć się takim samym wojownikiem i takim samym sędzią jak każdy z braci Abweniuszy, co to najpierw zatrzymali najazd i uratowali Kertianę, a dopiero potem zgodzili się nią rządzić.

Malarz szkicował, a sąd trwał. Anaks o coś pytał kruchą kobietę w niebieskiej sukni, coś mówili jacyś ludzie, pewnie świadkowie, bardzo długo perorował wysoko postawiony abweniat, któremu Diamni był szczerze wdzięczny, ponieważ jego przemowa wywoływała u Rinaldiego śmiech. Jakże on się śmiał! Artysta żałował tylko, że nie jest w stanie zatrzymać chwili - śmiejący się Wróg byłby prawdziwym arcydziełem! A może powinien namalować kilka obrazów opowiadających o sędzie Abweniuszy nad pychą, okrucieństwem, podłością i zawiścią, pokazując, że są rzeczy, których nie wolno wybaczać i o których nie wolno zapominać. Demon może odrodzić się w każdym z nas i żeby do tego nie doszło, należy poznać podstawy zła.

Trzy dni przeleciały niezauważalnie, Diamni niemal nie spał, jadł tylko to, co podsunęto mu pod sam nos, ale energia wprost zeń tryskała. Każdego dnia po wyjściu z Komnat Sprawiedliwości malarz pędził do siebie, błogosławiąc los pozwalający mu mieszkać w Cytadeli i nie marnować czasu na drogę do Miasta Wiatru. Szybko zmieniawszy ubranie, Diamni rzucał się do swoich szkiców, odtwarzając z pamięci wszystko to, czego nie zdążył narysować na miejscu. Sterta prac rosła, ale malarzowi ciągle było mało. Gdy wypytywano go, co się dzieje za masywnymi drzwiami zdobionymi znakami czterech żywiołów, odpowiadał monosylabami, że poszlaki są nie do obalenia, ale Rinaldi Rakan zaprzecza swojej winie. Szczegółów mistrz Koro niemal nie pamiętał, to znaczy nie pamiętał, kto i co mówił, za to był w stanie złożyć wyczerpujące sprawozdanie z każdego gestu czy spojrzenia oskarżonego. Oczywiście, należałoby naszkicować również anaksa i Beatrice z mężem! Diamni próbował to zrobić, ale w tym czasie Rinaldi uśmiechał się krzywo albo odrzucał głowę do tyłu i malarz zapominał o zbezczeszczonej kobiecie oraz o jakby zgasłym strategu.

Mistrz Koroocknął się dopiero trzeciego dnia pod wieczór, kiedy proces dobiegł końca. Sąd

eoriuszy uznał Rinaldiego Rakaną za winnego gwałtu na małżonce przywódcy Domu Wiatru, kłamstwa przed obliczem Wysokich Domów, anaksa i Nieobecnych. W imieniu Skały, Fali, Wiatru i Błyskawicy gwałciciel został skazany na śmierć. Oznaczało to walkę osądzonego z eoriuszami tak długą, aż któryś z Nieobecnych nie położy kresu ziemskiego żywota przestępcy. Prawo do rozpoczęcia śmiertelnego pojedynku przypadło Loriowi Borrascie.

- To koniec - syknął siedzący obok Kora grubas abweniat - nie te lata, a i przeciwnik, że tylko się powiesić.

Mnich miał rację, wystarczyło popatrzeć na Rinaldiego płonącego wyzwaniem i żądzą walki, żeby zrozumieć - znieważony umrze wcześniej niż znieważający. Malarz przypomniał sobie scenę pod świątynią, kiedy następca wykończył esperatyńskiego kaznodzieję. Z taką siłą i dumą epiarcha położył dziesięciu niewinnych ludzi, zanim zmęczy się i popełni błąd. Głupie prawo skazujące na śmierć nie tylko winnego, ale i niewinnych. Jakby Borrasca i jego żona mieli mało zmartwień!

Komnatę Sprawiedliwości zalała cisza. Mistrz Koro na wieki zapamiętał słoneczne promienie uderzające w szkła witraży, nieprawdopodobnie wysoką salę wyłożoną ciemnym rzeźbionym dębem, poczucie nieodwracalności nieszczęścia. Beatrice wyglądała jak blade północne widmo wywołane przez bezlitosnego zaklinacza wśród białego dnia. Borrasca prezentował się niewiele lepiej, chociaż twarz miał przepelnioną zdecydowaniem. Jego przyszły zabójca był spokojny, tylko wściekle płonęły szmaragdowe oczy. Diamni odruchowo przypomniał sobie „Odchodzących” mistrza Sollegi: na jego obrazie Władca Fali miał takie same oczy jak Rinaldi Rakan - ogromne, szeroko rozstawione, barwą przypominające najlepsze kenallijskie szmaragdy. Ale czy spojrzenie Nieobecnego Boga, przepelnione miłością i goryczą, można było nazwać spojrzeniem zaszczutego leoparda?! Nie! Nasze ciała, doskonałe czy zniekształcone, są tylko naczyniami dla naszych dusz.

Głucho odezwał się dzwon i znowu nastała cisza. Wstał anaksa. Według prawa, ogłaszając wyrok śmierci, władca Rakan powinien był zdjąć wieniec. Ale Eridani nie uczynił tego.

Diamni bardzo pragnął naszkicować najstarszego z braci, ale to było niemożliwe - wyroku wysłuchują na stojąco wszyscy, i sędziowie, i osądzony, i ci, którym pozwolono być obecnym na święcie sprawiedliwości.

- Eoriusze! - Mocny i spokojny głos Eridaniego jakby odbijał się od wysokiego sklepienia i naprawdę brzmiał jak głos wyższej woli. - Wasza decyzja jest sprawiedliwa. Przytoczone dowody są nie do podważenia. Rinaldi z Domu Rakanów zasługuje na straszliwą karę, ale on nie jest zwyczajnym eoriuszem. Jest następcą tronu i potomkiem w linii prostej wszystkich Nieobecnych Bogów. Odmawiając przyznania się do swojej winy przed obliczem śmiertelnych sędziów, oddał się sądowi wyższemu. Zatem niech zdecydują o jego losie Władcy Skały i Wiatru, Fali i Błyskawicy. Jutro Rinaldi Rakan, skuty i nagi, zejdzie do Labiryntu. Ja, anaksa Złotych Ziem, Eridani z rodu Rakanów, zamknę Pułapkę Losu i niech się stanie wola Nieobecnych.

Beatrice Borrasca zakrzyknęła i objęła za szyję swojego męża, po raz pierwszy w tych straszliwych dniach okazując swoje uczucia. Ernani poderwał się i od razu opadł z powrotem jak pchnięty przez kogoś niewidzialnego. Enio Marikjare wykonał znak odwracający zło, ktoś za Diamnim histerycznie zachichotał.

- Niech się stanie - rzekł abweniarcha, wznosząc ku niebiosom zadbane ręce. - Niech zostanie Rinaldi wrzucony do Labiryntu i niech się tam zdecyduje los jego, a my tylko modlimy się do Nieobecnych o powrót i miłość.

- Nie wymodlicie jej!

Malarz obejrzał się i zobaczył stojącego Rinaldiego. Lodowa posągowość zniknęła, teraz skazaniec przypominał ożywioną błyskawicę. Zazwyczaj nienawiść zniekształca, ale epiarcha-następca był piękny nawet w nienawiści.

- Ty! - W Komnacie Sprawiedliwości znajdowało się około dwustu ludzi, ale epiarcha widział tylko anaksa. - Mój bracie z krwi, bądźże przeklęty tą samą krwią i moją niewinnością do ostatniego swojego potomka! Niech twój ostatni potomek po czterokroć przejdzie to, co ja z twojej łaski przechodzę. Będzie mu trudniej niż mnie, bo na nim zawisną wszystkie nieszczęścia i podłości wszystkich jego przodków, poczynając od ciebie. On odpowie za wszystkich, słyszysz, przeklęty anaksie?! Niewinni będą płacić za winnych i nie uda im się rozliczyć. A ja powrócę i popatrzę, jak przeklinają tych, którym zawdzięczają swój los. Niechże spadną te przekleństwa na twą duszę, Eridani Rakanie, gdziekolwiek ona jest, na twoją duszę i dusze twoich współników!

Twarz anaksa drgnęła, ale nie zdążył odpowiedzieć bratu. Gwałtowny podmuch wiatru otworzył jedno z ozdobionych kolorowym witrażem okien, ukazując kawałek niebieskoczarnego przedburzowego nieba. Mimo ciężko i nisko wiszących chmur Cytadelę zalewało bezlitosne jaskrawe światło, widniejący w otworze okiennym kawałek muru i część Wieży Wiatru wydawały się oślepiająco białe. Po pierwszym podmuchu wiatru drugiego już nie było, wręcz przeciwnie - na Cytadelę zwała się dławiąca, potworna cisza, a potem do Sali Sprawiedliwości wolno i dostojnie wpłynęła purpurowa ognista kula wielkości kota. Powisiawszy chwilę nad sędziowskim stołem, pewnie ruszyła do Rinaldiego, stopniowo zmieniając barwę: z czerwieni zachodzącego słońca, przez pomarańczową, żółtą, by na końcu zzielenieć.

Kiedy zrównała się z twarzą osądzanego, świeciła już taką samą tajemniczą głęboką zielenią, co i spojrzenie następcy. Zgęstek szmaragdowego ognia jakiś czas wisiał w odległości dwóch dłoni od twarzy Rinaldiego, jakby patrząc mu w oczy, potem zamigotał, rozpadł się na tysiące iskier i zniknął. Epiarcha zarechotał, a w tej samej chwili na zewnątrz rozległ się ogłuszający odgłos gromu i lunęła gęsta ulewa.

To był przypadek! Służba źle zamknęła okno, a podmuch wiatru... Podmuch wiatru? Czy to nie ten aby wiatr, który pomógł Rinaldiemu odrzucić esperatyńskiego fanatyka na niemożliwą dla człowieka odległość i targał czuprynę epiarchy, gdy nawet lekkie dziewczęce wstążki na ogrodzeniu świątyni wisiały kompletnie bez życia. Diamni jakby na jawie zobaczył tę scenę - znieruchomiały plac, nieruchomy, przedwieczorny upał i falująca złocista grzywa. Rakanowie są obdarzeni mocą idącą od Nieobecnych. Powiadają, że podlega ona tylko anaksowi, ale czy tak jest naprawdę?

Skazańca wyprowadzono.

Szedł spokojnym, nieco zmęczonym krokiem niczym żołnierz, który spełnił swe zadanie. Kiedy on i jego strażnicy zniknęli z oczu, wszystko nagle zostało wprawione w ruch. Komnata Sprawiedliwości gwałtownie pustoszała. Ludzie rozbiegali się, usiłując nie patrzeć sobie w oczy i nie zauważając biczącego wszystkich deszczu. Diamni postępował jak inni. Powinien był odnaleźć Ernanię, ale rzucił się biegiem do domu. Miał świadomość, że postępuje nikczemnie i tchórzliwie, ale za bardzo był wystraszony i przybity, by stanowić podporę dla kogoś innego.

Labirynt! Podziemia zaczynające się pod miastem i prowadzące w głąb ziemi, dokąd - według podań - Nieobecni zapędzili Pierwotne Stwory - złośliwych, na poły rozumnych i nienasyconych pierwszych mieszkańców tego świata. Gdzieś w podziemnej pajęczynie ukryta jest świątynia Abweniuszy, gdzie do tej pory płonie płomień zasilający Moc Rakanów i podtrzymujący mury Cytadeli oraz Pierścieni Galtar. Będą one trwałe, póki płonie ogień, a póki trwają one, trwa i

Kertiana.

W podziemnych przejściach i galeriach trwa epoka Abweniuszy, kabitelscy heretycy twierdzą, że do tej pory krąży tam ukochana Władcy Fali, oczekując jego powrotu. Na górze minęły tysiąclecia, a dla niej on odszedł wczoraj. W Galtarach opowiadają, że w Labiryncie dzieją się rzeczy dziwne i straszne.

Bardzo długo wejścia do podziemi były otwarte, jednak ludzie przy zdrowych zmysłach i dobrej pamięci nie wchodzili tam, ale im odleglejsze stawały się czasy Abweniuszy, tym odważniejsi i bezczelniejsi stawali się śmiertelni. Poszukiwacze skarbów, przestępcy, nieszczęśliwie zakochani zaczęli wchodzić do pieczar i nikt ich już potem więcej nie widział. Za to za każdym razem, kiedy w Labiryncie ginął człowiek, w Kertianie pojawiał się nowy potwór. Albo podziemie, zabierając jednych, oddawało górnemu światu innych, albo schodzący w dół zmieniali swoją istotę, stając się czymś na podobieństwo Pierwotnych Stworów.

Sześćset lat temu mag-anaks Tairani Rakan z ogromnym trudem wytropił i zniszczył wilkołaka-zabójcę, który wyrwał się z podziemia. Już po zwycięstwie Tairani stworzył Pułapki Losu, magiczne zamki podległe tylko temu, kto je zamknął, i zmieniające każdego, kto ich dotknął choćby tylko przez pojęcie peleryny - w żywy posąg.

Anaks własnoręcznie pozamykał wszystkie wejścia do labiryntów. Od tego czasu do podziemi z własnej woli nie zapuszczał się nikt, ale dwukrotnie drogą w jedną stronę odchodzili członkowie rodu Rakanów oskarżeni o zdradę państwową i nieuznający swojej winy. Teraz nastał czas Rinaldiego. Straszliwy los, ale zasłużony. Zginie tylko przestępca, a stary Borrasca i inni eoriusze ocaleją. Eridani postąpił mądrze i sprawiedliwie, decydując w taki sposób o losie brata, ale jakże musiało go to boleć. Oczywiście, świadomość własnej racji i czystego sumienia podtrzymuje go na duchu, jednak mimo to Diamni za nic na świecie nie chciałby być na miejscu anaksa.

Jak zawsze, gdy na duszy było mu szczególnie ciężko, młody artysta postanowił odwiedzić mistrza Lentira. Musi pokazać mu szkice, zasięgnąć rady co do obrazu, popatrzeć, jak posuwają się „Odchodzący”... I tak w końcu nie jest dziś w stanie samotnie siedzieć w swoich pokojach, a tym bardziej nie ma siły na oglądanie Ernanięgo. Tak, to tchórzostwo, ale malarz nie musi być przykładem odwagi i miłosierdzia, nie jest wojownikiem i nie jest abweniańskim pocieszycielem. Diamni pospiesznie pozbierał zgromadzone w ciągu kilku ostatnich dni rysunki, narzucił pelerynę i opuścił Cytadelę.

Miasto sprawiało wrażenie zaniepokojonego i pobudzonego jak zdziczały kot. Nieliczni przechodnie pospiesznie przemierzali ulice w swoich sprawach, starając się trzymać blisko murów domostw. Galtarczycy już wiedzieli o wyroku i przekleństwie, opanował ich nietrudny do zrozumienia lęk - w Labiryncie czaiła się groza, ruszać ją było niebezpiecznie.

Mistrz też już wszystko wiedział. Widocznie nie zawiodła gorliwa służąca opowiadająca wszystkie nowiny, niemal zanim się jeszcze zrodziły.

- Nie podobasz mi się. - Stary malarz uważnie spojrział na swego dawnego ucznia. - Co prawda dziś nikt mi się nie podoba, nawet ja sam. Chyba będziemy musieli dziś znowu pić wino. Tym razem dla kurażu.

- Jestem gotów - zmusił się do uśmiechu Diamni i pospiesznie dodał: - Przyniosłem szkice... Mam ich dużo, nie zdążyłem powybierać...

- Chciałeś jak najszybciej uciec z Cytadeli? - Sollega jak zwykle trafił w punkt, i też jak zwykle nie zauważył tego. - No to dawaj! Im więcej rysunków, tym lepiej. Rysujesz lepiej niż wybierasz.



Diamni podał mu w milczeniu szkice i cicho usiadł obok. Serce malarza tłukło się w piersi, tak działa się zawsze, kiedy Lentiro oglądał jego prace. Jaki będzie wyrok? Koro miał nadzieję na pochwały i bał się złej oceny. Wiedział, że jeśli Mistrz powie „źle”, obraz nie powstanie, choćby wszyscy pozostali artyści świata mówili „dobrze”. Sollega ma zawsze rację, w tę prawdę Diamni nie zwątpiłby nawet przed sądem Nieobecnych.

Młody człowiek z niepokojem wpatrywał się w twarz mistrza, a ten uważnie i niespiesznie badał rysunek po rysunku. Patrzył, czasem wracał do poprzedniego, znowu patrzył, wyszukiwał z pliku szkiców jakiś jeden już obejrzany. Diamni poczuł ulgę: jeśli Sollega coś odrzucał, to czynił to od razu i nigdy jeszcze nie przyglądał się szkicom swojego ucznia tak długo. Czyli „Demon” powstanie! I wizerunki przy wejściu do nowej świątyni też.

Malarz, wstrzymując oddech, oczekiwał werdyktu mistrza, niemal nie wątpiąc, że za chwilę stanie się najszczęśliwszym ze śmiertelników i czując jednocześnie obawę, że coś pójdzie nie tak. Lęki i współczucie zniknęły, pozostała sztuka i nienamalowany obraz. W końcu Lentiro odłożył szkice.

- Godne. - Jaką dziwną minę miał ten wielki artysta! - Bardzo godne.

- Dziękuję, mistrzu.

- To ja powinienem ci dziękować. Tyś nie tyle zwyczajnie się przyglądał, co czułeś sercem. Tak więc Rinaldi Rakan został osądzony?

- Tak.

- Diamni... - coś w głosie Lentiro spowodowało, że młody człowiek zrobił się czujny - ...ręczysz za dokładność? Spędziłeś te dni w komnacie sądu, a nie w karczmie? Rysowałeś, co widziały twoje oczy, czy to, co słyszały twoje uszy?

- Klnę się na Wieczność! - Koro nie zrozumiał, o co chodzi. - Siedziałem bardzo blisko, światło padało na oskarżonego. On ma wspaniałe oblicze! Właśnie tak musi wyglądać Wróg: jest piękny i jednocześnie przerażający, kłamliwy i *okrutny*. Spieszyłem się, żeby zdążyć... Szczęście, że Rinaldi zachowywał ciągle tę samą postawę. Nigdy nie miałem takiego modelu.

- Mój chłopcze - stary malarz nakrył dłoń ucznia swoją - nie wątpię ani w twoją uczciwość, ani w mistrzostwo, ale zanim powiem ci, co powiem, muszę się upewnić, że nikt na ciebie nie wpływał. Mam na myśli tych, co byli po stronie Rinaldiego.

- Ależ po jego stronie nie było nikogo i nie mogło być.

- Mylisz się, chłopcze. Ty byłeś po jego stronie.

Mistrz nie może się mylić, ale... Nieobecni w Zmierzchu, co takiego powiedział Lentiro? Jak on, Diamni Koro, może być po stronie gwałciciela?! Czy może mistrz uważa, że namalowane oblicze jest zbyt doskonale, ale Rinaldi naprawdę jest nieludzko piękny!

- Mistrzu, ja... Ja wszystko odwzorowałem wiernie. On naprawdę ma absolutnie doskonałe rysy, nie pochlebiam mu w szkicach.

- Wierzę, ale mówię nie o zewnętrznym pięknie, choć i tym ten człowiek jest obdarzony w pełnej mierze. On jest niewinny, Diamni. Dla mnie jest to tak oczywiste, jak to, że jest piękny. Twój umysł przebywał w niewoli, ale twoje oko i twoja ręka nie zawiodły. Przyjrzyj się raz jeszcze jego twarzy, tej, którą narysowałeś. Przyjrzyj się uważnie! Wyrzuć z głowy wszystko poza tym, co widzisz. Daję ci pięć minut! - Mistrz odwrócił klepsydrę. - Potem pogadamy jeszcze.

Diamni skinął głową, wiedząc, co jego mentor miał na myśli. Sollega nauczył go patrzeć, odrzucił więc zbędne uprzedzenia, wpił się wzrokiem w porozkładane na stole rysunki.

Doskonała twarz obramowana jasnymi, lekko falującymi włosami... En face, profil, pół obrotu, trzy czwarte. Zuchwały uśmiech, prosty podbródek, nieco zapadnięte policzki, precyzyjna linia kości policzkowych, szeroko rozstawione oczy, oczy... zdziwionego dziecka! On nie wierzy w to, co się z nim dzieje, nawet nie „nie wierzy”, a nie rozumie, jak się tu znalazł i co się dzieje. Dlaczego nikt nie wierzy, dlaczego nie wierzą mu ci, którzy znają go od urodzenia...

- Czas minął, Diamni. - Stary malarz uważnie wpatrywał się w swojego ucznia. Jeśli mistrz Koro kiedykolwiek odważy się namalować alegorię Sumienia, to będzie nią zmęczony stary człowiek ze spojrzeniem nauczyciela. - Co teraz powiesz?

- Jest niewinny. On nic nie rozumie i boi się, choć nie daje tego po sobie poznać.

- Tak, biedak umrze z dumnie uniesioną głową, obrzuciwszy swoich sędziów wszelakimi inwektywami. I umrze niewinny. Szkoda. On ma złote serce, ten epiarcha. Diamni, nie wolno go porzucać, to by było bezbożne!

- Mistrzu, ale co my możemy?! Jutro zamkną go w katakumbach, skąd się nie wydostanie.

- Rinaldi jest zdrow i silny, więc jeśli będzie wiedział, dokąd ma iść, wyjdzie. Albo zginie, ale to i tak lepsze niż powolne umieranie, wiedząc, że się jest przeklętym i opuszczonym przez wszystkich. Musisz z nim porozmawiać sam na sam. Poproś Ernaniego. Powiedz... Powiedz, że musisz dokończyć obraz.

## 9. Epiarcha

Każdy z dwustu dwudziestu sześciu stopni Wieży Wiatru sam z siebie już był torturą, ale Ernani pokonał je. Oczywiście mógł rozkazać przyprowadzić Rinaldiego do siebie, ale młodszy z epiarchów Rakanów nie był pewien, czy strażnicy usłuchają jego rozkazu. Raczej pobiegną pytać o pozwolenie Eridaniego, zaś ten... Ten za bardzo stał się anaksem, nie pozwoli na widzenie z więźniem sam na sam, a Ernani nigdy nie zaśnie spokojnie, wiedząc, że brat umarł w Labiryncie pod Galarami. Nieobecni, dlaczego Rinaldi zapieka się w swojej nienawiści?! Tego, co było, już się nie odwróci, ale skrucha i wybaczenie oświeśla drogę odchodzącym w mrok.

Gdy ktoś się przyzna i okaże skruchę, pozwalają mu skończyć ze sobą, ale Rinaldi odrzucił tę łaskę. Ernani znał upór brata i wiedział, co powinien zrobić. Szpilka z trucizną! Jedno ukłucie i Rinaldi będzie wolny od sądu ziemskiego. Oczywiście, Eridani domyśli się, domyślą się również inni, ale więzy krwi zobowiązują i w końcu Ernani nie jest anaksem, a tylko młodszym bratem, kaleką... Jak można go ukarać?

Straże przy drzwiach, jeśli nawet zdziwiły się na widok epiarchy, to nie okazały tego. Wszystko się wyjaśniło, gdy wysoki jasnowłosy zbrojny, zamiast sięgnąć do kluczy, zastukał w obite miedzią drzwi. Dozorcy więźnia znajdowali się nie tylko na zewnątrz, ale również wewnątrz - posępny wojownik i mnich-pocieszyciel z obłudnym obliczem.

- Mój epiarcho! - niemal wykrzyknął ten na widok wchodzącego.

- Tak, to ja - powiedział, siląc się na władczy ton, Ernani. Dostrzegł, że Rinaldi spał odwrócony do drzwi plecami, a może wcale nie spał, tylko udawał. - Zostawcie nas!

- To niemożliwe. Przy osądzonym przez dzień i noc musi się znajdować co najmniej dwóch ludzi. Mogę odesłać strażnika, ale sam zostanę.

- Odejdiesz! - Najmłodszy z Rakanów mówił gwałtownie jak jego bracia, ale na mnicha-pocieszyciela to nie działało.

- Nie, mój epiarcho. Mój obowiązek wobec Nieobecnych bogów i mojego anaksa każe mi zostać.

- Chcę porozmawiać z bratem sam na sam i będę z nim rozmawiał w samotności. To rozkaz anaksa. Jeśli chcesz, to wyślij do mojego najjaśniejszego brata strażnika, ja poczekam.

Ernani Rakan nigdy nie kłamał, to wiedzieli wszyscy. A i komu mogło przyjść do głowy, że pozwolenia nie otrzymał? Eridani mógł okazać uczucie bratu-przestępcy, ale że anaksowi nie wypada rozmawiać ze skazanym, to młodszy epiarcho...

Pocieszyciel skłonił się:

- Będzie tak, jak życzy sobie mój anaks. Opuszczamy was.

- Czekajcie za drzwiami - rzucił młodzieniec. - Nasza rozmowa długo nie potrwa.

Straż nie powinna opuszczać wieży, istniała wszak niewielka możliwość, że oszustwo się wyda, zanim... Ręka Ernaniego odruchowo dotknęła kołnierza, który zdobiła szpilka w kształcie obsypanej purpurowymi drobinami srebrnej róży. Nie należy przyciągać uwagi.

Ciężkie drzwi zatrzasnęły się. Bracia zostali sami. Rinaldi już nie leżał, a siedział, przytrzymując rękami okowy.

- Rinaldi...

- Tak? - Czujne, wyczekujące spojrzenie. Wcześniej tak nie patrzył.

- Ja... ja przyszedłem...

- Cieszę się, że cię widzę. Co więc kazał ci przekazać mój ukoronowany brat?

- Nic. Skłamałem, żeby oni sobie poszli.

- Skłamałeś?! - Oczy Rinaldiego zapłonęły, szarpnął się do przodu, ale łańcuchy trzymały mocno.

- Musiałem cię zobaczyć. - Ernani najszybciej jak potrafił przykuśtykał do więźnia i usiadł obok niego, niechcący dotknąwszy zimnego żelaza. - Jakie to ciężkie... Po co?

- Widać tak trzeba. - Starszy epiarcho uśmiechnął się samymi ustami. - Im cięższe oskarżenie, tym grubsze okowy. To nic, przed egzekucją nałożą inne, lżejsze.

- Rino... - Młodzieniec zamilkł, ale po chwili ciągnął dość pewnym głosem: - Wiesz, że jestem kaleką... Nie chciałem żyć w takim cielem...

- Głupoty! - Akwamarynowe oczy błysnęły gniewem. - Życie jest piękne, nawet jeśli jest nie do zniesienia!

- Ty nie możesz tego zrozumieć...

- No pewnie - potwierdził więzień.

- Kpisz sobie ze mnie.

- Kpię i będę kpił! Na złość wszystkim. Ale przerwałem ci... Dzieje się coś niedobrego?

- Ze mną? Rinaldi... Czy ty nie rozumiesz, co cię czeka?

- Czekają mnie katakumby - spokojnie odparł epiarcho. - Mrok, chłód, być może potwory i pewna śmierć. Wszystko świetnie rozumiem, ale to nie powód do szlochów.

- Dlaczego się nie przyznasz, dlaczego?!

- Przekleństwo! Bo nie dotknąłem tej szmaty! Co byłbym wart, gdybym wziął na siebie jej wyskoki!

- Beatrice nie jest szmatą! Była torturowana, dręczona...

- No to szlochaj sobie z tego powodu, a czego chcesz ode mnie?

Czego on chce? Prawdy! Niech się przyzna do tego, co zrobił, od razu wszystkim ulży - Eridanemu, Borrascie, wszystkim eoriuszom.

- Rino, ja ciebie rozumiem. Ty... ty najpierw nie chciałeś zrobić nic złego, po prostu jesteś zły na

starucha, że cię nie wziął ze sobą. Bo nie znosisz, kiedy ktoś się z tobą nie zgadza.

- Prawda. - Brat znowu się uśmiechał. - Nie znoszę.

- No i widzisz? Kiedy Beatrice ci odmówiła, ona... Ona pewnie powiedziała coś strasznego, obraźliwego i to cię rozjuszyło. Tak jak z tym kaznodzieją, pamiętasz, jak mi opowiadałeś?

- Pamiętam. - Spojrzenie więźnia przypominało lód. - Co było, to było. Słusznie uczyniłem, że wykończyłem tego świętoszka, ale żony Borraski nie tknąłem.

- Dlaczego kłamiesz? - zawołał młodzieniec. - Przyszedłem ci pomóc, a ty...

- Znamy się od siedemnastu lat, Ernani z rodu Rakanów. Jeśli jednak wierzysz w moją winę, to nie mamy o czym rozmawiać...

- Rinaldi, jak mam nie wierzyć? Jak?! Ani jedno twoje słowo się nie potwierdziło, oskarża cię nie tylko Beatrice, ale i jej słudzy, twoja przyjaciółka, nawet twoja krew!

- Jak masz nie wierzyć? - Brat jak nigdy dotąd przypominał leoparda. - Wygląda, że nijak. Chociaż ja nigdy bym nie uwierzył, gdyby ktoś oskarżył cię o to, że chcesz wykończyć mnie i Eridaniego i zawładnąć tronem! Nie uwierzyłbym, nawet gdyby rozwarły się niebiosa i wrócili Nieobecni.

- Jak możesz tak mówić!

- Tak jak i ty, Ernani! - Rinaldi machnął ręką, głucho i ironicznie zabrzączał łańcuch. - Wierzysz, że pół roku gwałciłem żonę starego Borraski, którego my wszyscy uważamy za rodzinę. Dlaczego nie miałbym uwierzyć, że zamierzasz otruć mnie i Eridaniego? Nie jestem na tyle dobrym człowiekiem, bracie, żeby dla twojego spokoju przyznać się do podłości, której nie wyrządziłem.

- Dla mojego spokoju?! - Młodzieniec pochylił się w kierunku brata. - Spokoju?

- Oczywiście. Żebyś mógł z czystym sumieniem odprowadzić mnie do pieczar, albowiem jest to sprawiedliwe, a potem byś mógł zacząć mnie oplakiwać, albowiem jestem twoim bratem. Czy nie tak?

- Zwariowałeś!

- Wręcz przeciwnie, nigdy nie byłem zdrowszy na umyśle niż teraz. Eridaniego rozdyma poczucie własnej słuszności. A jakże, przecież osądził własną krew! Wielki anaks! Sprawiedliwy anaks! Nieprzekupny anaks! A ty bardzo chcesz stać się ogólnym pocieszycielem, ale ja ani od ciebie, ani od Eridaniego nie potrzebuję niczego! Słyszysz? Niczego! Ani nauk, ani wybaczenia. A wam też nie wybaczę.

- Rinaldi, dlaczego tak do mnie mówisz? Chcę ci pomóc...

- A jak mam z tobą rozmawiać?

- No to lepiej już sobie pójdę...

- Rzeczywiście, lepiej, żebyś sobie poszedł... - zgodził się więzień. - Mdli mnie w twojej obecności, a kajać się nie zamierzam. Nie mam powodu, rozumiesz to?

Ernani poderwał się i zaczął walić pięściami w drzwi. Otwarto je w mgnieniu oka. Podśluchiwali? Raczej nie. Za grube dechy i za dużo ludzi.

- Mój epiarcho - pocieszyciel zwracał się do Ernaniego jak do następcy - czy mój epiarcha już odchodzi?

- Tak - zadarł do góry podbródek młodzian. - Powiedziałem, co miałem powiedzieć.

A co miał zrobić? Wyszarpać z Rina przyznanie? Komu to potrzebne? Brat ma rację, to potrzebne jest żyjącym, by żyć. Rinaldi jest winien, co do tego nie ma wątpliwości, dlaczego więc atakuje, zamiast się bronić? Brat umrze w korytarzach Labiryntu, umrze straszliwą śmiercią, ale sam jest

sobie winien. Skąd w nim tyle złości, kłamstwa, pogardy do wszystkiego, co święte, no skąd?!

- Mój epiarcho, może pomogę ci zejść?

- Nie. Poradzę sobie.

I zszedł sam, chociaż dwa razy potknął się, omal nie upadł, tak niewygodne i wąskie były schody. Opowiedzieć Eridanemu o spotkaniu? Po co? Chociaż jeśli prawda tak czy inaczej wyjdzie na jaw, to nie będzie mataczyć, po prostu nie powie o szpilce z różą. W końcu może się przydać jeszcze władcy, a Rinaldi sam wybrał sobie swój los. Nie da się go uratować...

Eridani wszystko zrozumiał wcześniej, dlatego powiedział, że Rino jest stracony dla wszystkich. Biała jaskółka niczym błyskawica przecięła niebo. Biała jaskółka... Symbol Wiatru, herb rodu Borrasca, znak tego, że wszystko jest w porządku, ale jakże - mimo to - jest strasznie!

Ernani zawsze kochał Rinaldiego bardziej niż najstarszego brata, ale on jest anaksem. Powinien myśleć o rzeczach wyższych, nieważne czy to boli.

Kiedy w Rinaldim zamieszkał ten demon? Wcześniej brat ani nie kłamał, ani nie był zły czy okrutny. Czyżby miał rację kaznodzieja, mówiąc, że całe zło świata rodzi się z pychy i niechęci do otwarcia swojego serca przed Stwórcą? Przed Stwórcą czy Nieobecnymi Bogami? Czy to takie ważne przed kim? Najważniejsze jest to zło, które nosimy w sobie. Biedny Rinaldi, jaki straszny koniec...

## 10. Mistrz

Diamni czuł się jak niegodziwiec. Ernani w ostatnim czasie wyglądał jak własny *cień* i malarz wiedział, że jego prośba będzie dla młodziana nowym ciosem.

Sumienie wymagało, by powiedział prawdę, ale mistrz miał rację - jeśli Ernani zwątpi w niewinność Rinaldiego, a ten i tak zginie, to najmłodszy z braci Rakanów może tego nie przeżyć. Co innego wyrwać ze swego serca przywiązanie do przestępcy, co innego wiedzieć, że zginął niewinny człowiek, i nic nie przedsięwziąć, by mu pomóc. Rinaldiego mogła uratować tylko tajemnica, a galtarskie mury miały zbyt wiele uszu. Malarz odrzucił wszelkie wahania i zastukał do drzwi epiarchy.

Ernani siedział przy oknie, na kolanach trzymał otwartą księgę, ale wątpliwe, by myślał o tym, co tam było napisane. Słyszając skrzypienie drzwi, odwrócił się i szeroko otworzył oczy. Jakże był w tej chwili podobny do Rinaldiego! Ta sama wrodzona gracia i rezygnacja.

- Diamni... Myślałem, że dziś lekcji nie będzie.

- Bo i nie będzie. - Malarz, podporządkowując się niewypowiedzianej prośbie, usiadł naprzeciwko swojego ucznia. - Ale przyszedłem w związku z malarstwem.

- Tak? - O Dzieci Zmierzchu, jakież brak nadziei w tym głosie! Biedak byłby szczęśliwy, gdyby poznał prawdę, ale ten, który zastawił na Rinaldiego pułapkę, wiedział wszystko o tym, co dzieje się w pałacu. Nie wolno ryzykować. Dla dobra osądzonego i dobra jego nieszczęsnych braci. Ten, kto słucha, o ile - rzecz jasna - słucha, nie powinien wątpić w to, że Diamni Koro myśli tylko o obrazie, na którym Rinaldiemu sądzone jest przedstawiać demona.

Przekleństwo! Przecież tak to było, jeszcze wczoraj nie myślał o ludziach, o cudzym poranionym życiu, a tylko o tym, by pozbierać cudzy ból i utkać z niego wzór godny wieczności.

- Słucham, Diamni. - Jutro chłopiec stanie się następcą Eridaniego i będzie nim, póki anaks nie spłodzi prawowitego potomstwa.

- Ernani, mam nadzieję, że mnie zrozumiesz. Może uznasz mnie za szaleńca, ale zrozumiesz. Dla mnie najważniejsza rzecz w moim życiu to moja sztuka. Świat, miłość, wojna - dla innych. Ja żyję tylko tym, co przenoszę na swoje płótna.

Tak było, ale tak już nie będzie. Całe jego minione życie widział teraz jako sen i tchórzostwo. Nie wolno żyć wymysłem, mirażem, nie zauważając obcego bólu, zamykając oczy na niesprawiedliwość i kłamstwo!

- Tak, wiem. W czym mogę ci pomóc?

- Nie zdążyłem skończyć szkicu. Sąd trwał za krótko...

Za krótko?! Nieobecni Bogowie, o czym on gada?! Jeśli Rinaldi zginie, to on, Diamni Koro, straci nie tylko obcego człowieka, ale i tego chłopca. Ernani nie wybaczy mu obojętności.

- Ja... Nie rozumiem cię.

- „Pyszny” stałby się moim najlepszym płótnem, gdybym zdążył naszkicować twarz Rinaldiego w ujęciu trzy czwarte. Najpierw sądziłem, że najlepiej będzie pokazać go en face i umieścić w centrum kompozycji, ale wczoraj, wróciwszy do domu, zrozumiałem, jak się myliłem. To odkrycie przewróciło całe moje życie.

Bogowie, okazuje się, że można mówić prawdę i potwornie przy tym łgać! Wczorajszy wieczór rzeczywiście wszystko odmienił. Zwariowany malarz umarł i nawet Abweniusze nie wiedzą, kto się urodził.

Diamni obojętnie popatrzył w oczy ucznia i skończył:

- Ernani, muszę zobaczyć epiarchę Rinaldiego i naszkicować jego twarz w ujęciu trzy czwarte.

- Ty... Chcesz wejść do wieży i... szkicować mojego brata?

- O tak! - Diamni aż się pochylił do przodu. - Przecież jutro już będzie za późno.

- Jutro będzie za późno - wolno powtórzył Ernani. - Tak... Jutro będzie za późno. Nigdy nie nauczę się malować, ponieważ... Ponieważ nie potrafię zamienić życia na płótno. Jestem żywy, może i chory, może i słaby, ale żywy, a ty nie...

- Możliwe. - Niech Ernani go znenawidzi, ale Diamni wywalczy widzenie! - Ale żywi stają się martwymi, a sztuka jest wieczna.

Młodzieniec nie odpowiedział, w milczeniu przyglądając się malarzowi, jakby go widział po raz pierwszy w życiu. Za drzwiami rozległ się hałas, chyba ktoś uderzył kamieniem w drewno, skrzypnęły drzwi. Ktoś przyszedł, a sprawa nie została załatwiona. Teraz Ernani skorzysta z okazji, żeby przerwać tę trudną rozmowę. Czyżby nadeszła chwila, kiedy konieczne będzie powiedzenie prawdy? Widocznie tak. Wróci za chwilę i powie wszystko...

- Muszę porozmawiać z tobą, bracie. - Eridani Rakan stał na progu, a stuknięcie... Strażnicy uderzyli drzewcami włóczni w podłogę, witając anaksa.

- Dobrze. - Chudziutki jasnooki chłopiec, który za chwilę stanie się następcą tronu, wstał z szacunkiem. - Jestem gotów. Diamni prosił o pozwolenie na odwiedzin... musi skończyć obraz.

- Jaki?

- „Pyszny”.

- Cóż, ma rację - usta Eridaniego zacisnęły się - będziesz musiał uczyć się braku litości, Erno. Dla anaksa, jeśli jest prawdziwym anaksem, jak i dla malarza, jeśli jest prawdziwym malarzem, istnieje tylko jedna najważniejsza rzecz. Dla anaksa to państwo, dla malarza obraz. Mistrzu, to, czego

potrzebujesz, by malować, masz przy sobie?

- Tak, mój anaksie.

- Ile czasu będziesz potrzebował?

Pięć minut, by powiedzieć prawdę, i półtorej godziny, by ją ukryć.

- Co najmniej trzy godziny, panie.

- Będziesz je miał. Możesz tam iść od razu. Kannio!

Na progu pojawił się młody człowiek podobny do wilczarza.

- Odprowadź mistrza Diamniego do epiarchy Rinaldiego. Będzie go malował.

Diamni nigdy wcześniej nie widział więzienia, ale wyobraźnia malarza usłużnie podsuwała widok mrocznej piwnicy, stertę zgniłej słomy w kącie, niskie, wilgotne sklepienia, na których jedna po drugiej puchną i spadają w dół krople wody, przekreślone kratą okienko pod samym sufitem. Koro szykował się do zejścia w dół, a został poprowadzony do góry. Skazanego osadzono w Wietrznej Wieży - jeszcze jedno przypomnienie grzechu, wszak zbeczcześciwszy Beatrice, Rinaldi obraził cały Dom Wiatru.

Schody nie miały końca, wąskie stopnie wirowały i kręciły się, nogi ledwie przestępowały z jednego na drugi. W końcu doszli. Jeszcze jedno rozczarowanie! Strażnik wcale nie dzwonił kluczami, otwierając zamki i odsuwając zasuwę, a tylko zaczął bębnić w okute miedzią ciężkie drzwi, które natychmiast otworzyły się, a na progu wyrósł posepny mnich z wysokim czołem, bardziej przypominający uczonego niż kata.

- Oto - oznajmił strażnik - malarz... Przysłali... Demona malować.

- Witam mistrza! - Mnich zachowywał się z szacunkiem i obojętnie. - Mam nadzieję, że ci wystarczy światła.

Taka wieża byłaby marzeniem każdego malarza. Ośmiokątna komnata z ośmioma oknami, przez które wlewało się jaskrawe letnie światło. Ani wilgoci, ani krat, ani żalostnego ogarka świecy. Okowy co prawda były. Widocznie strażnicy obawiali się, że więzień popełni samobójstwo, i podjęli wszelkie kroki, by tego uniknąć.

Rinaldi pólleżał na kopcu przykrytego owczymi skórami siana na środku pomieszczenia, ręce, nogi i gardło epiarchy obejmowały żelazne obręcze, do których umocowane były łańcuchy prowadzące do wkręconych w podłogę pierścieni. Więzień mógł leżeć, siedzieć, nawet klęknąć, ale nie mógłby rozbić sobie głowy o podłogę czy ścianę, ani wyskoczyć przez okno. Ale i tego było mało! Skazanego pozbawiono nawet samotności - w komnacie poza pocieszycielem z wysokim czołem znajdował się strażnik - potężne chłopisko, wyraźnie nudzące się przy południowym oknie.

- To jest mistrz Diamni - widocznie mnich uznał, za stosowne wyjaśnić Rinaldiemu pojawienie się nowej postaci - będzie malować. Na rozkaz anaksa.

Tak, będzie malował i namaluje, bo inaczej zaczną go podejrzewać o oszustwo. Ale nie tylko dlatego! Jeśli Rinaldiego nie uda się uratować, przynajmniej biedaka nie zapomną! Sędziowie sądzą, że malarz maluje demona, a on... Nieobecni w Zmierzchu, jak nazwać ten obraz? „Rozpacz”? „Niesprawiedliwość”? „Samotność”?

- Mistrzu Koro, wybierz sobie miejsce, gdzie chcesz usiąść. On - mnich wskazał głową więźnia - ci nie pomoże.

Gdyby Diamni naprawdę przyszedł tylko malować, to usiadłby przy północnym oknie i stworzył wstrząsający obraz, ale myślał o czymś innym. Jak usunąć strażników, jak powiedzieć skutemu młodzieńcowi, że jest jego przyjacielem, a nie bezlitosnym potworem, który zamiast serca ma paletę

do rozcierania farb?

- Mój epiarcho, proszę cię o zezwolenie.

Rinaldi wolno - przeszkadzała mu obroża - odwrócił się do malarza.

- Maluj, jeśli ci to do czegoś potrzebne. Mam pozostać w tej pozycji czy odwrócić się?

- Trochę się odwrócić.. O tak... Teraz światło pada idealnie, a ja muszę podkreślić linię kości policzkowych. Masz doskonałe rysy, mój epiarcho.

- Tak, kiedyś byłem z nich zadowolony. - W szeroko rozstawionych jasnych oczach nie widać było ani strachu, ani współczucia, ani nadziei. Rinaldi już przekroczył tę rubież, która oddziela żywych od martwych. Po wściekłości, tak zdumiewającej dla Diamniego, nie pozostał nawet ślad, ogień zgasł, został popiół - lekki, srebrzysty popiół, który rozwieje wiatr...

Nie było już raczej o czym mówić. Diamni uklonił się lekko i usiadł na zaproponowanym przez pocieszyciela taborecie. Usiądzie i będzie szkicował, a potem jak się uda. Malarz rozłożył swoje skarby, wybrał odpowiedni grafit. Przez okno wleciała mucha, wykonała kilka okrążeń i poleciała w kierunku strażnika - widocznie tam poczuła poczęstunek. A Rinaldi jak? Dają mu jeść czy ma spędzić swój ostatni dzień, modląc się i poszcząc? Woda jest... Czy nie mogli dać mu wina? Czy nie mogli pozwolić umrzeć mu z mieczem w dłoni czy po prostu - zwyczajnie umrzeć? Trucizna też może być miłością.

Diamni rysował, epiarcha pólleżał, patrząc albo w niebo, albo w nic. Wychowanek mistrza Sollegi nigdy nie miał takiego modelu - doskonała uroda i kompletna nieruchomość. Rinaldi już umarł, umarł wczoraj, kiedy od niego odwrócili się bracia, eoriusze, kochanka. Artysta był świadkiem agonii - niepotrzebnie zakuto więźnia, jest nieszkodliwy, ponieważ niczego już nie chce - ani żyć, ani mścić się.

Węgiel fruwał nad białą kartką, dziesiątą czy dwunastą z kolei. Strumień światła przesunął się lekko, ale to wyszło na dobre. Co robić, jak spełnić swoją misję?

Jakiś ruch z tyłu. Mnich! Nie wolno pokazać, że się myśli o czymś więcej niż tylko o rysowaniu... Czyżby już się kończył jego czas?

- Mistrzu Diamni. Przy więźniu muszą być co najmniej dwie osoby. Ja muszę, ghm... Wyjść na kilka minut. Nie będę wołał strażnika, jeśli posiedzisz tu jeszcze pół godziny.

- Co? - Chyba przesadził, ale skąd niby pocieszyciel ma wiedzieć, jak zwykle zachowuje się mistrz Koro. - Coś mówiłeś?

- Czy będziesz tu jeszcze jakiś czas?

- Tak, tak, oczywiście... Mam jeszcze tyle... - mamrotał w roztargnieniu malarz, nie odrywając spojrzenia od rysunku. Strażnika można uderzyć, nawet nie zrozumie, co się stało. Ile więc mają czasu? Raczej nie więcej niż dwadzieścia minut, ale też i nie mniej niż dziesięć.

Skrzypnęły drzwi. Wspaniałe grube drzwi, okute miedzią, pozbawione okienka... Diamni upuścił węgiel i pochyliwszy się, zerknął na strażnika. Ten drzemał oparty o ścianę. Usta rozchylił, po ręce spaceruje gość - mucha.

- Strażnik... Czy strażnik raczy... - zaczął malarz. Jeśli nie odpowie, znaczy, że nie usłyszy również ich rozmowy, a jeśli odpowie... Cóż, skromny artysta ma w kieszeni zawinięty w wołok kamień, chociaż bardzo by nie chciał...

Nie raczył. Śpi. Chwała Nieobecny, śpi! Jeśli się obudzi, to... To Diamni poprawił skóry, na których leżał model.

- Mój epiarcho... - Ten nawet nie poruszył się. - Mój epiarcho, strażnik śpi... A ja... Ja wiem, że



jesteś niewinny.

- Wiesz? Skąd?! - Rinaldi gwałtownie szarpnął głową. To był tak piękny ruch, że ręka malarza odruchowo poruszyła się, chcąc wykonać kilka kresek, ale Diamni pamiętał, po co tu przyszedł. Rzucił się do więźnia.

- Od ciebie samego. - Uklęknął i zaczął poprawiać skóry. - Rysowałem przez trzy dni w sądzie... Jak i wszyscy wierzyłem w twoją winę. Poszlaki były nie do podważenia, ale moje ręce zrobiły, co do nich należało. Dziś pokazałem swoje szkice mistrzowi, a ten powiedział, że jesteś niewinny. Pomyślałem, że źle usłyszałem, ale mistrz kazał mi patrzeć na twoje oblicze przez pięć minut. Kiedy odwrócił klepsydrę, zrozumiałem, że ma on rację. Mój epiarcho, nie jesteś gwałcicielem ani katem... Nie wiem, jak to się stało, że wszystko wskazuje na ciebie, ale to kłamstwo.

- Dokończ swój obraz. - Więzień odrzucił ręką złocisty lok, brzęknęły kajdany. - Może ktoś kiedyś, patrząc nań, zwątpi w moją winę.

Diamni zacisnął zęby. Nie był twardym żołnierzem, a Sollega nigdy nie sztorcował ucznia, kiedy w jego oczach pojawiały się łzy.

- Mamy mało czasu, zaraz wróci mnich... Mój epiarcho, możesz się uratować. Pienista Rzeka zaczyna się w katakumbach. Jesteś wyśmienitym pływakiem, wiem to... Wypłyniesz.

- Z tym? - Rinaldi nieco uniośł skute ręce.

- Nie przerywaj. Jutro, kiedy zamkną zamek... Odejdź, by nie widziano cię z zewnątrz i czekaj... W nocy przyjdę. Przyniosę kindżał i wytrychy. Odzieży nie będzie, bo jeśli dotknie krat... Zresztą po co pływakowi odzienie? Spotkam cię, epiarcho, przy wodospadzie i przyniosę wszystko, co należy. Będę czekał przez dziesięć dni...

Ledwo zdążył wrócić na swoje miejsce, pojawił się mnich z wysokim czołem, który wyraźnie nigdzie się nie spieszył. Diamni drgnął niby zaskoczony i znowu zaczął kreślić węglem. Poczyszyciel zrugął gwardzistę za lenistwo, po czym zamilkł. Rinaldi ciągle patrzył w przestrzeń. O czym myślał? Diamni chciał wierzyć, że o wolności, Jeśli epiarcha pokona swoją *rozpacz*, to wypłynie.

## 11. Epiarcha

Puchar ze środkiem nasennym stał na stole, Ernani Rakan siedział obok wpatrzony w wykwintny przedmiot. Złoto, rubiny, brylanty... Komu to potrzebne? Epiarcha wstał i pokuśtykał do okna, za którym szalał pełny księżyc. Na ogród pewnie padają pasma srebrzystego światła, pachną kwitnące akacje i słysząc śpiew słowików. Noc życia i cudzej miłości, kiedy szczególnie ciężko żyć ze świadomością swojego kalectwa i swojej bezsilności.

W księżycowe noce Ernani często ulegał atakom smutku, ale tak źle jeszcze się w życiu nie czuł. Nawet wtedy, kiedy mu powiedziano, że Laissa Makara będzie żoną Władcy Fali. W końcu małżeństwa między Wysokimi Domami nigdy nie były zawierane z miłości, obowiązek jest obowiązkiem. Laissa nie kochała, była tylko posłuszna woli rodziców, ale i tak związek ten wydał się Ernaniemu strasznym nieszczęściem, chociaż wtedy jeszcze żył Anesti, a Rinaldi nie okrył się hańbą i nie zapiekł w złości. Wcale nie wiedział, że uratował młodszego brata...

Gdyby tej samej odległej jesiennej nocy Rinaldi nie wybierał się na kolejną schadzki i nie przyszedł tu, do tej sypialni, Ernani użyłby z takim trudem zdobytej trucizny. Młodzieniec wziął do ręki obsypaną jej drobinami szpilkę. Wśród srebrnych płatków krył się mały trzpień, wystarczyło nacisnąć, by z łodygi wyskoczył zatruty kolec. Lekka, łatwa, czysta śmierć... Tymczasem biedny Rino

będzie umierał długo i okropnie, nawet jeśli gadanie o Pierwotnych Stworach nie jest niczym innym jak bajaniem.

- Nie śpisz? - Eridani w ciemnym płaszczu i miękkich butach bez obcasów stał na progu. - Ja też nie mogę zasnąć. Posłałem ci środek nasenny...

- Tu jest. - Ernani wskazał na stół. - Nie wypilem.

- Dlaczego?

- Nie wiem... Może dlatego, że to tchórzostwo.

- To nie jest tchórzostwo. To, że tobie jest źle, nie polepszy nikomu humoru. Ani Beatrice, ani - anaks zająknął się - Rinaldiemu, ani Borrascie, ani mnie. Trzeba tę noc przeżyć, tak samo jak jutrzejszy dzień, a potem iść do przodu i robić to, czego za nas nie zrobi nikt. Erno, stajesz się, a tak naprawdę stałeś się już następcą. Powinieneś być twardy nie tylko duchem, bo z tym wszystko u ciebie w porządku, ale i ciałem. Musisz się wyspać, niech nawet z pomocą ziela! Nie bój się, nie pozwolę ci się do niego przyzwyczaić, ale dziś to niezbędne. Siedź, podam ci.

Władca Kertiany, miękko stąpając, podszedł do stołu, wziął puchar i ostrożnie - jakby od tego, czy wyleje się lek, coś zależało - przyniósł bratu. Ernani posłusznie osuszył czarę. Napój miał w sobie lekką goryczkę, ale był bardzo przyjemny w smaku.

- Posiedzę z tobą, póki nie zaśniesz. - Starszy brat wziął młodszego za rękę. - Szkoda, że nie jestem żonaty. Nocna samotność jest czasem nie do zniesienia.

- Rozmawiałem z Rinaldim - nieoczekiwanie dla samego siebie przyznał się Ernani. - Musiałem to zrobić.

- Widzę, że ci się nie udało - westchnął Eridani. - Tak samo jak i mnie... Ale jak to zrobiłeś?

- Powołałem się na twoje pozwolenie, a oni nie ośmielili się mnie sprawdzić.

- Zuch! - Anaks mocno ścisnął ramię następcy. - Jeśli trzeba, potrafisz i myśleć, i działać.

Przynajmniej tyle radości w te podłe dni. A on nie przyznał się?

- Nie.

- Nie wierzysz mu?

- Jak mogę? - Oczy młodzieńca wypełniły łzy. - I poza tym... Tyle w nim złości.

- Tak, też to zauważyłem - westchnął władca. - Jestem winny. Trzeba było puścić go na tę wojnę.

Rino mógłby zginać, ale okryty chwałą...

- Eridani, a może rzucono na niego czar? Może opętał go demon?

- Nie. Niestety, nie. Rinaldi przeszedł próbę przy ołtarzu Nieobecnych. - Anaks zamilkł, patrząc w nocne niebo. Lśniący dysk księżyca przeciął czarny cień. Nietoperz.

- Rinaldi to nasz ból, bracie, ale to ludzki ból i ludzka strata. Ta złość w oczach Rino, skąd się wzięła? Przecież nigdy nie był okrutny...

Tak, nigdy nie był zły, zawistny, mściwy. Wybuchowy i nieokiełznany, gwałtowny - tak, ale dobry i zupełnie niepamiętliwy. Poprzedni Rinaldi nigdy nie dręczyłby przez pół roku kobiety, nie zacierałby śladów, nie przeklinałby swojego świata i swojej krwi.

- Ernani - głos brata brzmiał dziwnie niepewnie - nie masz poczucia, że to, co się dzieje, to coś nieodwracalnego? Nie boisz się? Nie czujesz nic? Nie wydaje ci się, że zbliża się do nas coś niewyjaśnionego, silnego, niezrozumiałego?

- Erio, przecież jesteś Rakanem, anaksem. Mocą Nieobecnych powinieneś posiadać dar jasnowidzenia. Czy... Czy może to nieprawda?

- Trudno powiedzieć - zamyślił się władca. - Wiesz, przyszłości nie znają nawet Nieobecni, bo

ona się przez cały czas zmienia. Jest los, jest przypadek, jest wyższa wola, jest wola śmiertelników i one albo łączą się ze sobą, albo sobie przeczą. Czasem zwyciężają bogowie, czasem los, a czasem śmiertelnicy. Mogę widzieć i widzę, co może się stać, ale czy się stanie? I co oznaczają posyłane mi widzenia? Pewnego razu śnił mi się Rinaldi, obok niego była czarnowłosa kobieta z niebieskimi oczyma, całowali się. Kobieta śmiała się, a ja wiedziałem, że to Śmierć, nasza śmierć, ale tam, we śnie, nic nie mogłem zrobić. Nie puściłem Rinaldiego z Borrascą, a on znalazł swoją śmierć tu, i to jak straszliwą! A ubiegłej nocy widziałem, jak z głębin wynurzają się starożytne potwory. Nie zapamiętałem dokładnie, jak wyglądały, pamiętam tylko dym, krzyki przerażenia, miotających się ludzi. Nie wiem, co to oznacza. Może należy odwołać kaźń Rinaldiego, ale skazały go Wysokie Domy i Nieobecni Bogowie. On już nie jest w mojej władzy. A może nieszczęście wydarzy się, jeśli złamię wolę i prawo i ulżę losowi brata? Nie wiem nic, Ernani. Przekleństwo! To najgorsze: nie wiedzieć, co należy zrobić... A ty, widzę, zasypiasz, to dobrze. Jutro czeka cię ciężki dzień. - Anaks z łatwością wziął brata na ręce i przeniósł na łóżko. - Zapomnij, co ci mówiłem. Musimy być silni i pewni siebie, przecież jesteśmy Rakanami, jesteśmy następcami Nieobecnych. I musimy utrzymać Kertianę. Za każdą cenę...

Za każdą cenę... Księżyc za oknem podzielił się na cztery części, głos brata przeszedł w niezrozumiałe, dobiegające z daleka buczenie, w powietrzu powiało dymną jesienną goryczą. Skąd? Czy to nasenne ziele ma taki mocny zapach? Nietoperz wpadł przez otwarte okno, przemknął tuż nad twarzą, przejechał lodowatym skrzydłem po policzku. Dlaczego policzek jest taki zimny? Skąd na początku lata śnieg, a przecież krąży i leci w dół, a przez zasłonę śniegu patrzą ogromne niebieskie oczy Śmierci.

Ernani usiłował się podnieść, jednak głowa była zbyt ciężka. Młodzieniec opadł na poduszkę, podstawił twarz pod niepojętą letnią zamieć. Niebieskie oczy zniknęły, ale kobieta w komnacie była - wysoka, piękna, ze wspaniałą grzywą rudych włosów. Biel gibkiej wysokiej szyi podkreślała złota obręcz zdobiona również złotymi, lśniącymi kamieniami. Takie same klejnoty płonęły na szerokich kutyh bransoletach. Ernani zapamiętał tylko ich blask oraz coś purpurowego i lejącego się.

Kobieta pochyliła głowę nad leżącym, w zamyśleniu nią pokiwała. Jej złocistobrazowe obojętne oczy przypominały drogocenne kamienie. Była obca, wszystkowiedząca i nieprawdopodobnie piękna. Nieznajoma przechwyciła zdziwione spojrzenie, lekko dotknęła policzka młodzieńca i wszystko zniknęło. Była snem, takim samym snem jak pęknięty księżyc i niebieskie oczy śmierci, ale każdy sen ma swój koniec.

Ernaniego obudził sługa.

Przez otwarte okno wpadało *słoneczne* światło, młodzieniec radośnie uśmiechnął się do nowego dnia i dopiero wtedy przypomniał sobie, że będzie to najstraszliwszy dzień w jego życiu.

- Mój epiarcho. - Służący był pełen szacunku, ale to nie przynosiło ulgi. - Anaks czeka. Egzekucja ma się odbyć w samo południe. Trzeba się spieszyć.

## 12. Mistrz

Rinaldi dumnie niósł złotowłosą głowę, patrząc prosto przed siebie. Wydawało się, że pomiędzy ponurymi strażnikami stąpa *ożywiony posąg*. Diamni oddałby wszystko na świecie, żeby wiedzieć, co dzieje się w duszy epiarchy. W jego własnej było obrzydliwie, ale malarz zmuszał swoje ręce do szkicowania i szkicował, co widział. Eridaniego, wspaniałego i groźnego w wieńcu Rakanów, z

rodzinnym mieczem u pasa, siwego Borrascę przepelnionego slusznym gniewem, jego smutną i dumną żonę, patrzącego w ziemię Ernanię, któremu za kilka minut przypadnie godność następcy tronu. Chłopiec, jeśli wierzyć lekarzom, nigdy nie stanie się mężczyzną w pełnym znaczeniu tego słowa, tak więc przedłużyć ród Rakanów może tylko Eridani. O ile zdąży.

Diamni usiłował uwolnić swój umysł od głupich myśli i nie potrafił. Najbardziej na świecie malarzowi chciało się cisnąć deskę z przyszpilonym do niej rysunkiem i uciekać od milczącego wspaniałego koszmaru, ale nie miał do tego prawa. Mistrz Koro - obojętny, stojący na uboczu obserwator, przejmujący się tylko przyszłym obrazem, w nosie ma modeli!

Siedział więc i rysował, doskwierał upał, ale artysta czuł, że lewa ręka mu zlodowaciała. To był wymysł, złudzenie, bo przecież gdyby tak było, to przy wejściu do katakumb nie rosłyby bez, wcale nie gorszy niż rosnący gdzie indziej. Jeśli nie wymarza bez, to nic też się nie stanie malarzowi, natomiast co będzie czuł Rinaldi, gdy żywcem zagonią go do podziemnej pieczary?! Dlaczegoż nie można zostawić człowiekowi choćby ubrania, co za podłość!

Skazaniec był już blisko. Zdjęto z niego niepozwalające się poruszać kajdany, zostawiono tylko łańcuchy na rękach i nogach i Rinaldi jakimś cudem szedł wyprostowany. Ciepły wiatr rozwiewał złociste włosy, rzucał w wiry białe oraz fioletowe płatki bzu, obsypując nimi ludzi, którzy przyszli na plac wybrukowany czworokątnymi śnieżnobiałymi płytami. Kamienni bogowie, zapomniawszy o Kertianie, obojętnie spoglądali, jak w ich imieniu dokonuje się niesprawiedliwy osąd. Świeciło słońce, nisko przelatwały jaskółki, zapowiadając deszcz, na białych kamieniach pląsały koronkowe cienie. W taki dzień odejście na wieki w czarną, zimną dziurę było szczególnie ciężkie.

Więzień zrównał się z malarzem i Diamni zdołał przechwycić jego spojrzenie. Mistrz był przekonany, że w akwamarynowej głębi mignęła i zgasła ciepła iskierka, a może to tylko podpowiedziała mu jego własna nadzieja. Spuścił głowę i wrócił do rysowania - jest pogrążony w pracy, nic mu do Rinaldiego Rakana, rysuje demona i już jest dumny ze swojego wielkiego obrazu, obrazu, który wzniesie Diamniego Koro nawet ponad samego Sollegę. Chyba za mocno nacisnął węgiel, ten pękł, malarz odrzucił odłamek, chwycił inny... Akurat na czas!

- Mistrzu, będzie ci stąd źle widać. - Sługa Eridaniego uznał, że powinien opiekować się malarzem, którego swoją przyjaźnią zaszczycał sam anaks. Człowiek-pies miał rację - z miejsca, gdzie siedział Diamni, artysta nie zdoła dostrzec tego, co będzie się działo przy wejściu do katakumb. Przekleństwo, jakże się nie chce iść i patrzeć, ale trzeba!

Malarz pospiesznie poderwał się, mamrocąc słowa wdzięczności. Sługa zręcznie pochwycił trójnog, po czym zgarbiwszy się, by nie zasłaniać innym, obaj przebiegli na przeciwległy skraj placu. Stąd rzeczywiście rozpościerał się znakomity widok na czarny, zaokrąglony od góry otwór i rozwarte na obie strony skrzydła bramy - ramy z brązu wypełnionej brązowymi prętami, między którymi mógłby przeskoczyć co najwyżej utuczony kot. Przez te szczeliny przejdzie nie tylko miecz, ale też inne przedmioty. Na przykład sandały i manierka. Byle tylko w nocy nie wystawili tu straży, ale nie powinni - Pułapki Losu nie wypuszczą swej ofiary.

Strażnicy zmusili Rinaldiego, by odwrócił się twarzą do braci, Beatrice, przywódców Wysokich Domów. Władcy Skały i Błyskawicy opuścili głowy, Władca Fali patrzył prosto przed siebie, ale czy na skazanego, czy ponad jego głowę - z miejsca, gdzie znajdował się Diamni, nie było widać. Natomiast malarz widział znakomicie skamieniałe oblicze Borraski, dziś tytuł Władcy Skały pasowałby do starego o wiele bardziej niż do Hektora Nadorei. Gdyby Rinaldi był winien, nie wytrzymałby spojrzenia wojownika, ale epiarcha oczu nie spuścił. Wytrzymał również Diamni,

choć miał wielką ochotę zasłonić twarz rękami. Niestety! Jego obowiązek to gapić się na skazanego, więc gapił się, a liktor odczytywał wyrok. Bezlitosne, bezsensowne w swej złożoności słowa rozbrzmiewały nad placem znieruchomiałym pod pogodnym letnim niebem. Nasilający się wiatr ciskał garściami białych płatków, darując oszalałym śmiertelnikom aromat kwitnących akacji i spóźnionego bzu. Kwiaty były przepełnione miłością i radością, ludzie - nienawiścią i złością.

Mistrz Sollega mógłby to namalować - wyczekująca cudzej śmierci ludzka horda, biało-fioletowe kwieciste morze i samotny skuty więzień. Sollega by potrafił, Koro nie da rady, w ogóle nie miał pewności, czy kiedy wszystko to się skończy, znowu chwyci za pędzel.

- ...W swej ostatniej godzinie - liktor w końcu przedarł się przez zarośla słów - zanim zostaniesz sam na sam ze swoimi czynami, pokajaj się przed skrzywdzonymi przez ciebie, padnij przed nimi na kolana i błagaj o wybaczenie.

Usta Rinaldiego poruszyły się w słabym uśmiechu.

- Nie mam powodu się kajać. Jestem niewinny, ale nie mogę tego udowodnić. Nie wierzycie mi, cóż, to wasze prawo. Żegnajcie! Jesteście wolni ode mnie, a ja od was.

Czwórka strażników zrobiła krok do przodu. Zgodnie ze starożytnym rytuałem powinni byli zerwać z osądnionego pelerynę, chwycić go pod rękę i nagiego cisnąć w otwór pieczary. Uczciwie zamierzali wypełnić swój obowiązek i zapewne wykonaliby, gdyby podeszli od tyłu. Na ich nieszczęście obyczaj wymagał czego innego. Rinaldi był skuty, ale spojrzenie też może być bronią. Wojownicy odruchowo cofnęli się przed akwamarynową błyskawicą, a epiarcha, jakimś niewyobrażalnym sposobem wykręciwszy ciało, sam zrzucił swoją pogrzebową pelerynę, odwrócił się i zanim strażnicy oraz widzowie doszli do siebie, wszedł w czarny otwór.

- Zamknąć kratę! - Słowa Eridaniego były ciężkie jak kamienie.

Wykonawcy rozkazu odzyskali wolę, skoczyli do wierzei. Gdy te zetknęły się, w paszczy katakumb nie było już widać nikogo. Rinaldi odszedł w mrok, nie patrząc za siebie i nie czekając, kiedy za jego plecami zatrzaśnie się Pułapka Losu.

## Część II

### Strażnik Zmierzchu

Krzyknę... Krzyknę, ale któż pomoże,  
Żeby dusza moja ocalała?  
Waż jedynie skórę zrzucić może,  
My zmieniamy dusze, a nie ciała.

Mikołaj Gumilow\*

## 1. Mistrz

Przeklętą kratę otaczała fioletowa poświata ledwie widoczna w zimnych promieniach księżyca. Diamni nasłuchiwał chwilę - nikt za nim nie szedł. Malarz uśmiechnął się niewesoło z powodu własnej ostrożności - straży na Wzgórzu Abweniuszy nigdy nie było, to miejsce broniło samo siebie, a pilnowanie kraty zamkniętej Pułapką Losu? To kompletna głupota! Nikt postronny na pewno z własnej woli nie pojawiłby się przy wejściu do Labiryntu, i to jeszcze w noc po wykonaniu wyroku. Nie, nie ma się czego obawiać, w każdym razie nie ze strony śmiertelników.

Mistrz zerknął na niebo - północ dawno minęła, ale do świtu jeszcze kawał czasu - najbardziej senna godzina. Najlepszy czas na schadzki, tylko czy Rinaldi tu jest? Doczekał się czy zdecydował, że nowy pupil anaksa zapomniał o swojej obietnicy albo stchórzył?

Księżyc świecił malarzowi w plecy, przeciągał ciekawskie promienie w głąb tunelu. Noc nie była szczególnie ciemna, chociaż najciemniejszej nocy nie można porównać z ciemnością podziemi. Rinaldi, choć odważny do szaleństwa, nie lubił jaskiń, co malarz wiedział od Ernanięgo. Nie lubił i z woli kosmicznej złośliwości trafił do najgorszej z nich! Diamni zbliżył się do otworu, tak że między nim a zaklętą kratą pozostała odległość dłoni. Odległość między życiem i losem po stokroć gorszym od śmierci.

- Epiarcho... Mój epiarcho, jesteś tam?

- Przyszedłeś?

Błada, pocięta cieniami twarz, błyszczące w księżycowym świetle oczy. Jakże on mimo wszystko przypomina schwytanego leoparda!

- Jakże mogłem nie przyjść?

- Tak samo jak pozostali - w głosie epiarchy rozbrzmiewała gorzka ironia. - Szukałem dla siebie druhów wśród wojowników i eoriuszy, miałem trzech braci, dziesiątki kochanek i setki przyjaciół aż do grobowej deski, a gdy doszło co do czego, nie znalazł się tu ani jeden z nich. Chociaż Anesti uwierzyłby mi, przysięgam, że uwierzyłby! Ale Anesti jest martwy, a Eridani oszalał z poczucia własnej sprawiedliwości...

- Nie trzeba o tym myśleć. - Malarz pospiesznie otworzył swoją skrzyneczkę. - Oto złodziejski kindżał. W jego rękojeści jest wytrych. Czy mój epiarcha potrafi otwierać zamki?

- Spróbuję.

- Poczekam.

Rinaldi męczył się długo, bardzo długo. Diamni zdążył przekląć wszystko na tym świecie i pomodlić się do wszystkich bogów i świętych. Jeżeli epiarcha nie zdoła zdjąć kajdan, to nie poradzi sobie z prądem podziemnej rzeki. - Gotowe. - Skazaniec roześmiał się sztucznie. - Nie sądziłem, że tak trudno jest być złodziejem.

- Dla takich jak epiarcha...

Oczy Rinaldiego błysnęły dziwnym zielonkawofioletowym ogniem, którego malarz nigdy nie zauważał u ludzi. Tylko u kotów. Podobny blask czasem pojawiał się także na szyjach siwych gołębi, kiedy spacerowały po oświetlonym słońcem podwórku. Widocznie chodziło tu o promienie księżyca, które przemieszały się z przeklętym lśnieniem otaczającym kratę...

- Mistrzu Koro! Nie mam nikogo prócz ciebie i twojego nauczyciela. Bądź mi bratem. O ile, rzecz jasna, nie masz nic przeciwko temu, by być bratem gwałciciela.

- Jestem szczęśliwym człowiekiem - rzekł zamyślony artysta. - Nie znam swoich rodziców, ale Abweniusze najpierw zesłali mi wielkiego ojca, teraz najszlachetniejszego z braci. A mistrz Lentiro... powiedział, że masz złote serce i stalową wolę. Wrócisz, jeszcze się ze sobą spotkacie.

- Przekaż moje wyrazy wdzięczności wielkiemu Solledze. Jeśli potrafisz znaleźć słowa... Bo ja ich nie znajduję. Albo namaluj.

- Mistrz wszystko zrozumie... Ale pamiętaj, będziesz musiał pozować długo i dużo. Nie puścimy cię ot tak, po prostu.

- Cały malarz! - Rinaldi z gotowością podchwycił niezbyt wydumany żart i pociągnął go: - żeby mieć modela, gotów jest sprzeciwić się woli anaksa i wszystkich Abweniuszy...

- A jak myślałeś?! Sztuka ponad wszystko! Trzymaj! Najpierw miecz. Ostrożnie!

- Na pewno nie dotknę Pułapki Losu, jestem ostrożny jak kot w spiżarni. Nigdy nie chciałem zostać posągiem, teraz tym bardziej.

- Pochwa... Pęk łuczywa. Owinąłem go liną, może się przydać, nigdy nie wiadomo... Sandały... Jeszcze trochę łuczywa... W pierścieniu masz truciznę... Mam nadzieję, że się nie przyda... Strzały... Drugi kindżał... pas, ale ostrożnie, może zahaczyć o kratę...

- Dam sobie radę bez pasa. Już owinąłem się łańcuchem. Bardzo wygodny, a truciznę zabierz z powrotem. Nie będzie mi potrzebna.

- Masz rację... Manierka... Druga... Olej... Natrzyj się nim, to nie będzie tak zimno...

- Ha! Jestem bogaczem! Do pełnego szczęścia brak mi tylko odzienia, ale raczej po podziemiach nie łążą stada świątobliwych eoriuszy, a zimno jakoś przetrzymam.

- A to najważniejsze. Mistrz Lentiro przez dwa dni przypominał sobie, co wiadomo o katakumbach i podziemnych rzekach. Tu są znaki, które mogą ci wskazać drogę. Nauczyciel jest pewien, że gdy tylko znajdziesz strumień, to wszystko będzie dobrze.

- Czyli znajdę. Diamni, wydostanę się stąd... Póki czekałem na ciebie, rozmyślałem. Wygląda, że po raz pierwszy w życiu. Byłem durniem i obibokiem, ale tak naprawdę to nikomu nie wyrządziłem krzywdy, przysięgam... Nawet kobietom. Spałem z nimi, ale nie oszukiwałem ich. One wiedziały, czego mogą ode mnie oczekiwać, a o ożenku bez pozwolenia brata i eoriuszy następcy nawet nie ma co myśleć. To nie było tajemnicą... Diamni, to, co ze mną zrobiono, to nie zemsta. Ostrze wymierzone jest nie we mnie, a w brata. Eridani jest najpierw anaksem, a dopiero potem sobą, ale on mnie kocha. Zrobił wszystko, żeby mnie wyciągnąć, a ja sam wszystko to zepsułem. Rozumiesz, brat sądził, że jestem winien, ale i tak chciał mnie uratować, a ja... ja przecież najlepiej wiem, że nie tknąłem tej dziewczki! Omal nie uznałem, że wciągnęła mnie do łóża w czasie maskarady, ale to nie była ona! A ja, nawet gdybym był straszliwie pijany, nie związałbym się z takim badylem. Nie wiem, co wydarzyło się na Wzgórzu Abweniuszy, ale bez magii się nie obeszło. To jest spisek przeciwko Eridanemu, a nie przeciwko mnie. Diamni, jeśli nie wrócę... Postaraj się pomóc moim braciom, zwłaszcza Ernaniemu, bo teraz on jest następcą.

- Obiecuję - zapewnił go malarz - i wszystko opowiem mistrzowi. On rozwiąże tę zagadkę, ale ty się wydostaniesz. I nie waz się myśleć o czymś innym. Od jutrzejszego dnia czekam na ciebie przy wodospadzie.

- Daj mi dłoń!

- Zwariowałeś! Krata...

- Co tam krata... Masz szczupłe palce. I ja też.

Nie był to uścisk dłoni w zwykłym znaczeniu tego słowa. Tylko dotknięcie, ostatnie ciepło przed odejściem w mogilny chłód. Palce Rinaldiego były gorące i suche. Żeby tylko odnalazł podziemną rzekę...

O tym, że woda może wypełniać cały tunel, Diamni starał się nie myśleć, ale i tak inna droga na zewnątrz nie istniała.

- Idę. - Epiarcha puścił palce Diamniego i uśmiechnął się z przymusem.

- Rinaldi, bądź ostrożny, nie spiesz się. Dobrze przypatrz się zwojowi.

- Oczywiście, że się przyjrzę. Nieobecni w Zmierzchu! Za kogo wy mnie macie? Nie jestem szalony, ja chcę żyć!

- Jeśli na tym świecie żyje jeszcze sprawiedliwość, to wydostaniesz się na wolność.

- Jeśli nie żyje, to też wrócę. Na złość wszystkim!

Epiarcha machnął ręką, odwrócił się i szybko pomaszerował w głąb galerii. Z wysiłkiem nie spojrzął za siebie, skręcając za węgiel.

Obejrzyć się - to zły omen.

## 2. Epiarcha

Strach gnieździł się nie w pustych komnatach Rinaldiego i nie w odbijających się wzajemnie zwierciadłach, strach żył w duszy. Ernani Rakan miał tego pełną świadomość. Młodzieniec bał się w swojej własnej sypialni, która dotąd zawsze była pewnym schronieniem. Świeżo upieczonego epiarchę-następcę tronu ochraniała liczna straż, Cytadelę wypełniały rzesze ludzi, mimo nocnej pory przez otwarte okna docierały tu to miarowe kroki dokonującej obchodu straży, to stukot otwieranych drzwi i szybki tupot kolejnego gońca - Eridani zawsze przesiadywał do późna w nocy, a teraz szczególnie trudno było mu zasnąć. Abweniacy twierdzą, że czyste sumienie pomaga pokonać każdy ból. Niechby teraz zamienili się z anaksem, który wydał wyrok na własnego brata!

Epiarcha-następca dokuśtykał do stołu i zapalił lampkę. Olej wesoło zapłonął w zdobionym złotymi figurkami naczyniu, drżący płomyk oświetlił porozrzucone księgi, niedokończone rysunki, jaspisowy kałamarz.

Mówią, że podziemia są połączone z czterema samotnymi wieżami strzegącymi Galtar, do których nie ma innego wejścia - żadnych drzwi ani wrót. Mówią, że głęboko w dole, w otoczonych niegasnącym zimnym płomieniem pieczarach śpią przypominającym śmierć snem Pierwotne Stwory i strzegąc ich spokoju, po niekończących się galeriach krąży niebieskooka siostra Śmierci. Mówią, że w samym sercu Labiryntu jest tajna świątynia Abweniuszy, z której można się do nich odezwać. Mówią, że odchodząc, bogowie zatrzymali czas w leżących pod miastem katakumbach i ten, kto wejdzie tam, staje się nieśmiertelny, ale też nigdy nie dotrze do wyjścia. Mówią, że do tej pory w podziemiach szłocha śmiertelna ukochana Unda, która dowiedziała się o jego odejściu, i spotkanie z nią oznacza szaleństwo. Ludzie wiele rzeczy mówią...

Za drzwiami coś dwa razy brzęknęło. Ach tak, zmieniają się straż! Czyli jest czwarta rano. Ernani westchnął i przysunął do siebie stare rysunki. Ostatnie z nich miały nie więcej niż tydzień, ale były stare, ponieważ leżało na nich piętno minionego życia, które zakończyło się suchym szczękiem Pułapki Losu.

Patrząc na swoje wytarte malunki i lekkie, energiczne szkice mistrza, epiarcha-następca któryś już



kolejny raz pozazdrościł Diarniemu. Gdybyż i on tak potrafił - myśleć tylko o malarstwie! Chociaż teraz nie ma prawa nawet do tego - Eridanemu pozostał tylko jeden brat, czyli lekcje z mistrzem się skończyły, młodzieniec powinien wiedzieć, co się dzieje w Kertianie, a przecież od urodzenia był trzymany jak w domku dla lalek. Musi się wielu rzeczy nauczyć, czasu na malarstwo nie zostanie. Może to i lepiej - po tym, jak Diarni, krusząc z podniecenia węgiel, szkicował każdą, Ernaniemu odechciało się widzieć go przy sobie. Inna sprawa, że mistrz przynajmniej nie udawał, a przecież wszyscy pozostali...

Następca westchnął i żeby czymś się zająć, narysował dwie postacie - ojca i matkę, a pod nimi jeszcze cztery, z których dwie starannie przekreślił, a potem zmiął rysunek, by z całej siły cisnąć go w kąt.

Najbardziej chciałby cofnąć, zatrzymać czas, żeby ranek pod Wietrzną Wieżą nigdy nie nastąpił. Żeby nie było ciemnych kudłatych cyprysów, przemykającej pod arkadami białej ostroskrzydłej jaskółki, poczucia niezrozumiałego niepokoju, wybiegającej z za węgła Beatrice. Ernani nagle chwycił inną kartkę. Naszkicował kobiecą postać z cienkimi nogami i rękami, z brzydki wypchanym brzuchem, tak niepodobną do wspaniałych posągów, które niegdyś rysował. Tam nagość była piękna i wywoływała zachwyt, a Beatrice tylko litość i obrzydzenie... To było szkaradne, niesłuszne, obrzydliwe i niezapomniane!

Drugi szkic młodzian spalił - nie chciał, by ktokolwiek zobaczył to, co mu wyszło. Kiedy po nieszczęsnym rysunku został tylko popiół, Ernani przypomniał sobie, że tworzyć i niszczyć wizerunki kogokolwiek uważane jest za przestępstwo, ponieważ szkodzi rysowanej osobie. Epiarcha-następca, paląc wizerunek Beatrice, nie myślał o tym, to stało się samo. Ale dobrze przecież by było, gdyby Lorio Borrasca nie przywoził do Galtar malutkiej, cichej żony z lnianymi warkoczami...

Znowu brzęknięcie, skrzypienie drzwi, znajome ciężkie kroki.

- Zobaczyłem u ciebie światło.

- Nie mogę zasnąć.

Jak dobrze, że zdążył spalić rysunek!

- Ja też. - Anaks zapalił jeszcze dwa kaganki i usiadł na brzegu stołu. - Druga noc jest jeszcze gorsza od pierwszej... Ciężko mi... Jeszcze ciężiej niż wtedy...

Brat nie sprecyzował, co miał na myśli, ale Ernani zrozumiał - brat mówi o Anestim. Kiedy ten zginął, wszystkich ich ogarnął ból, ale śmierć Anestiego była po prostu śmiercią, choć głupią i nieoczekiwaną. Anaks sprawiedliwie cieszył się opinią wspaniałego jeźdźca, rywalizować z nim mógł co najwyżej Rinaldi, ale tym razem ich najstarszy brat nie opanował oszalałej nagle klaczy i razem z nią runął z urwiska na oczach licznej świty. W czasie zimowych deszczy woda w Jeziorze Byka stoi wysoko... Ernani nigdy nie opuszczał Cytadeli, ale z obcych opowieści wiedział, że Rinaldi w ubraniu skoczył po Anestiego. Sądzone, że zginęli obaj, jednak Rino zdołał wypłynąć i wyciągnąć ciało anaksa.

- Rinaldi zawsze rzucał się na pomoc. - Najwyraźniej i on, i Eridani przypomnieli sobie to samo. - Nie rozumiem, co się z nim stało. Pewnie między nim a Beatrice zaszło coś, o czym my nie mamy pojęcia.

- Też tak sędzę, ale myślę, że tego już się nie da naprawić. Erno, skąd u Rina tyle złości? Jakkolwiek to straszne, ale przyznaję, że byłbym spokojniejszy, gdybym wiedział, że nie żyje. - Eridani wstał gwałtownie, szybkim krokiem przeciął komnatę, odwrócił się i stał oparty o ścianę. - Wierzysz w to, co się mówi o Labiryncie?

- O stworach?

- Nie, o zamkniętej tam śmierci, z którą można się dogadać.

- O czymś takim nie słyszałem, ale przecież... Rino nie jest pierwszy.

- Nie porównuj tych starożytnych epiarchów z Rinaldim! Przejrzałem kroniki z tamtego okresu: obaj osądzeni i skazani byli żalonymi ludzikiemami, niezdolnymi ani do prawdziwej nienawiści, ani do wytrwałej walki. Bardzo się boję, Erno, bardzo. Chciałem uratować starego Borrascę i jeszcze dobrą dziesiątkę innych, których Rino, gdyby dostał ode mnie miecz, wykończyłby bez namysłu. Wydawało mi się, że wysyłając go do podziemi, wybieram mniejsze zło, a teraz nie mogę pozbyć się myśli, że straszliwie zblądziłem.

Zblądził, ale w czym? W tym, że nie dobił skazanego, czy w tym, że w ogóle go skazał? Ernani wiedział, że nigdy nie zapomni drapieżnego blasku Pułapki Losu, martwego ognia ogarniającego kratę, słów brata-anaksa: *My, Eridani Rakan, władca Kertiany, następca Abweniuszy i wykonawca ich woli mówimy: „Nasz brat i następca tronu, Rinaldi Rakan, opuścił nas, od tej chwili jego los nie w naszych znajduje się rękach. Od dziś naszym następcą staje się nasz brat Ernani...”*. A Ernani nie chce być następcą i nie może być anaksem, bo przecież Eridani będzie miał synów, mnóstwo synów!

- Mój anaksie! - Do sypialni wpadł wojownik z trwogą wymalowaną na obliczu. - Co za szczęście, że tu jesteś!

- Co się stało, Chaini?

Chaini! Chaini z Domu Skały, zawsze taki spokojny i opanowany... Czyżby to naprawdę był on? Z trzęsącymi się wargami i kredową twarzą?

- Pierwotne Stwory! Wydostały się na zewnątrz przez świątynię Wiatru. Płaczą i pożerają ludzi.

- Spokojnie, Chaini! Spokojnie! - Anaks rzucił szybkie spojrzenie na brata, a Ernani wyczytał w nim: „no i mamy!”. Jednakże teraz, kiedy już nieszczęście ich dosięgło, Eridani z miejsca stał się spokojny i pewny siebie. Już nie miał wątpliwości i nie targał nim żal i poczucie wyrządzonej być może krzywdy. - Odszukaj Loria Borrascę, gdziekolwiek się znajduje, zbierz drużynę eoriuszy. Wszystkie cztery znaki! Zaraz tam będę.

Wojownik skinął głową z miną budzącego się z koszmaru człowieka i pobiegł wykonać rozkaz.

- Ernani - ciężka ręka legła na ramieniu brata - to, czego się obawiałem, stało się, i to ja muszę to naprawić. Zresztą nikt inny nie da rady: to jest zadanie anaksa. Galtary pozostawiam pod twoją opieką. Owszem, mało wiesz i wielu rzeczy nie rozumiesz, ale jesteś Rakanem. Powinieneś bez względu na wszystko zachować spokój i udawać, że trzymasz los pewną ręką w uździenicy. Resztę zrobią Lorio i bogopamiętny. Nigdy za nim nie przepadałem, ale to silny człowiek i oddany Kertianie mocniej niż Nieobecny.

- A ty?

- Ja zejść do Labiryntu i zamknę przed potworami wyjście na zewnątrz. Wiem, jak to należy zrobić.

- Ale to... to jest niebezpieczne!

- Niemal wszystko jest niebezpieczne! Pierwotne Stwory są... - Eridani przerwał w pół słowa i gwałtownie objął brata. - Nie obawiaj się! Moc Abweniuszy już zaganiała ich w dół, zagoni znowu. Do widzenia, Erno, i pamiętaj: nie bój się niczego! Zachowuj spokój, słuchaj rad Borraski i abweniarchy, ale nie pytaj ich o zdanie przy postronnych. Dla wszystkich ty rządysz Galarami. Ty i nikt inny. A ja wkrótce wrócę.

### 3. Mistrz

Pienista Rzeka z wyciem wypadła z podziemi, wypełniając bezdenną kamienną czaszę, i nieco uspokoiwszy się, pędziła dalej na spotkanie z odległym jeszcze Eurem. Okolica była piękna, choć trochę bezludna - źródła Pienistej znajdowały się w Skałach Astrapa, które w czasie burz przyciągały błyskawice. Straszliwe historie o zabitych niebiańskimi strzałami i trudna, kamienista droga niezawodnie chroniły okolicę przed ciekawskimi spojrzeniami. Nikt przy zdrowych zmysłach tu nie chodził, ale czyż wszyscy malarze nie są nieco szaleni? Diamni uśmiechnął się, wyobrażając sobie fizjonomię strażnika, który zaofiarował mu swoje usługi jako przewodnik, gdyby się dowiedział, co tak naprawdę wymyślił mistrz Koro.

Kiedyż wreszcie pojawi się Rinaldi? Od Cytadeli do Pienistej Rzeki po prostej nie jest wcale tak daleko. Ale kto wie, jak kręte są podziemne drogi...

Diamni ponuro zagapił się w strumień, nad którym wyzywająco lśniła tęcza! Ładna, może nawet przesadnie. Wodospad mógłby być niżej, a prąd wolniejszy i jeszcze te głązy! Ładnie by wyglądały na obrazie, ale jeśli ktoś się o nie uderzy... Malarz obsztorcował siebie w myślach - po co samemu wymyślać sobie różne strachy, i zadumał się nad zagadką Beatrice.

W poprzednich dniach nie było czasu na rozmyślania, w poprzednich dniach spieszył się, rysował, kłamał, udawał zwariowanego artystę... Teraz miał czas na przypomnienie sobie wszystkich szczegółów i próbę odpowiedzi na trzy pytania: „po co?”, „kto?” i „jak?”.

Rinaldi był przekonany, że cios wymierzono nie w niego osobiście, a we wszystkich Rakanów. Cóż, to miało sens - szczególnie, jeśli człowiek przypomni sobie dziwną śmierć Anestiego - ale nie można odrzucić i innych wariantów. Czy Beatrice zna prawdę? Jakim cudem odważyła się wejść na Wzgórze Abweniuszy? Nie wątpiła, że Nieobecni uznają jej dziecko? Dlaczego?

Pędzel Diamniego robił swoje, przywołując do życia bliźniaczkę opasanej tęczą szalejącej rzeki, ale w głowie malarza wirowały, zmieniając się i mieszając, twarze żywych i umarłych, wypowiedziane słowa, przypadkowo uchwycone spojrzenia.

Anaks Anesti - średniego wzrostu, barczysty, umięśniony, z kasztanowymi włosami i błękitnymi oczami. Wspaniały wojownik, dowódca z ogromnymi perspektywami, ukochany brat. Właśnie on wymyślił, że Ernani powinien zająć się malarstwem. Kto wtedy mógł przewidzieć, że młodzietki kaleka pewnego wstrętnego dnia zostanie epiarchą-następcą?

Zaczęli się zajmować malarstwem pod koniec jesieni i wtedy też Lorio Borrasca przywiózł z kolejnej wyprawy młodą żonę. Beatrice nie należała do żadnego z Wysokich Domów, ale Lorio był Władcą Wiatrów i sprzeciwić się jego wyborowi mógł tylko anaks. Anesti jednak nie uczynił tego, choć eoriusze byli oburzeni, a najgłośniej pomstował epiarcha-następca. Trzy miesiące później władca zginął podczas zimowego polowania.

Anesti, który jeździł wierzchem jak bóg, nie zapanował nad koniem, gdy ten oszalał na skraju urwiska. I na dodatek zerwały się wodze! Przypadek? Wtedy nikt w to nie wątpił, przecież nie jest w ludzkiej mocy przygotować taki zbieg okoliczności. A jeszcze trudniej byłoby sprawić, żeby Nieobecni uznali za Rakana dziecko innej krwi. Tym niemniej komuś się to udało - Rinaldi jest niewinny, a wieniec Abweniuszy nad głową eoriuszki widzieli mimo to wszyscy.

Beatrice była przekonana, że spał z nią nie kto inny jak Rinaldi. Czyli sobowtór? Sobowtór z krwią Rakanów? Nieślubny brat? Niemożliwe! Głowa Domu wie o swojej krwi wszystko. Anesti,

jak to jest we zwyczaju, przekazał Eridaniemu Testament Anaksów i władca powinien był wyczuć, że poza nim i dwoma braćmi żyje jeszcze ktoś. Niemożliwe, po prostu niemożliwe, by Eridani to przegapił. Ale skoro w to nie można uwierzyć, to w co można?

Diamni, co nigdy wcześniej mu się nie zdarzyło, odłożył pędzel, tak jak po posiłku odkłada się niepotrzebną już łyżkę lub odstawia pusty kielich. Tęcza nad rzeką załśniła nieprawdopodobnymi barwami, ale malarz tego nie zauważał.

Eridani nie wątpił w winę swego brata. Nic dziwnego - anaks słucha rozumu, a nie serca. Logika anaksa jest prosta - Rakanów jest trzech - on sam, kaleka Ernani i Rinaldi. Rinaldi, który z byle powodu chwytą za miecz, pije, żyje rozpustnie, ma w nosie wszystkie sprawy państwowe.

A jednak mądry anaks pomylił się dwukrotnie. Raz, gdy zapomniawszy o losie Anestiego, stał się jedynym strażnikiem tajemnicy Rakanów, i drugi raz, gdy uznał winę Rinaldiego. Kto jak kto, ale on powinien znać swojego brata!

Nieobecni w Zmierzchu, łatwo jest myśleć o czymś już po fakcie! Czy on, Diamni Koro, jest lepszy od innych? Gdyby nie mistrz, to tej chwili widziałby w skazanym epiarsze wcielenie pychy i złości. Tylko jeden człowiek w całych Galtarach wyczuł prawdę.

Przeklęty zamek został nazwany zadziwiająco dokładnie - Rinaldi wpadł w Pułapkę, a wraz z nim wpadli i jego bracia, i cała Kertiana. Teraz z rodu, na którym trzyma się wszystko, ocalał tylko bezdzietny Eridani i chory chłopiec. Kto podniesie miecz Abweniuszy, gdy upadnie dynastia anaksów? Coś o tym mówi się w Słowie Nieobecnych, coś nader mglistego...

Władza Rakanów wydawała się trwałą i wieczną, ale rzeka zanika, pozostał cienki strumyk. Ciekawe, Eridani przekazał Ernaniemu Testament czy nadal wyczekuje? Eridani... Zamyślony malarz przez chwilę miał wrażenie, jakby naprawdę stanął przed nim potężny czarnowłosy mężczyzna z przenikliwymi błękitnymi oczami. Jeśli Rinaldi przypominał złocistego leoparda, to jego brat zdawał się być bojowym rumakiem.

Artysta drgnął, przypomniawszy sobie, jak po egzekucji nad nim, starannie rysującym przesłoniętą kratą gardziel pieczary, zawisł ogromny cień.

*- Znasz się na swojej robocie, malarzu!*

*Diamni pospiesznie poderwał się, nerwowo mrugając. Po pierwsze, rzeczywiście zaskoczyły go słowa anaksa, a po drugie, nie zawadzi jeszcze raz pokazać, że się żyje w innym świecie.*

*- Niechcący obserwowałem cię dziś. - Spojrzenie władcy kłuło nie mniej boleśnie niż ostrze sztyletu, ale mistrzowi Koro udało się nie spuścić wzroku. Był ostatnią nadzieją Rinaldiego i nie mógł go zawieść. - I widzę, że służysz tylko swojej sztuce, to dobrze. Mój brat i następca zaniechał lekcji malowania i ma rację. Malarstwo wypija duszę malarza, zaś dusza anaksa należy do jego poddanych. Ale ja cię nie zwalniam. Będiesz moim malarzem.*

*- Dziękuję mojemu anaksowi. - Diamni ukląkł. - Ale jeszcze nie opanowałem wszystkich tajników zawodu i jestem uczniem wielkiego Sollegi.*

*- Mistrz przeniesie się do Cytadeli, będę rad, okazując mu gościnę. Zamierzam zlecić wam obu ozdobienie świątyni, której budowa zostanie rozpoczęta w Dniu Jesiennego Słońca.*

*Nowa świątynia... Marzenie każdego malarza - wiedzieć, że ich dzieło przeżyje wieki i stanie się własnością setek tysięcy ludzi, ale najpierw Rinaldi...*

*- Jestem szczęśliwy... To jest... - Artysta przygryzł wargę, gorączkowo wyszukując odpowiednich słów, ale te nie były potrzebne - anaks krótko skinął głową i odszedł, a na Diamniego runął „pies”.*

- *Od razu wiedziałem, że jesteś mistrzem, co się zowie!* - *Słuchając go, Koro miał wrażenie, że wojownik naprawdę zaraz zacznie majtać ogonem!*

Malarz uśmiechnął się. „Pies” był z jednej strony śmieszny, rozculający, z drugiej straszny. Trzeba będzie potem naszkicować jego portret, a najlepiej od razu zrobić obu - pana i psa... Diamni przymknął powieki, usiłując wyobrazić sobie przyszły obraz, gdy nagle zrozumiał wszystko, a zrozumiawszy, chwycił czysty arkusz papieru i gorączkowo zaczął rysować. Nie myślał, całkowicie oddawszy się swojej pamięci i temu czemuś niewyraźnemu, co tworzy samo sedno, samą istotę malarza. Kiedy rysunki zostały skończone, uczeń Lentira Sollegi rozłożył je na trawie i wpatrzył się w twarz - męską i kobiecą. Jakie to wszystko proste! I jakie obrzydliwe...

Diamni Koro z westchnieniem popatrzył w stronę Galtar. Co za dziwne *opary nad* miastem, czy może to po spacerze do Labiryntu wszędzie widzi fioletowy poblask? W mieście coś się dzieje? Bunt? Pożar? Co z mistrzem? Z Ernanim?

Jeśli z tymi, których tam zostawił, coś się stanie, nigdy sobie tego nie wybaczy. Może to nieważne - odejdzie czy zostanie, i tak, i tak będzie zdrajcą. Odwieczny dylemat, wybór między obowiązkiem i obowiązkiem. Który porzucić? Kogo zdradzić? Und zdradził miłość, a Diamni zdradza mistrza i ucznia, bo nie może być inaczej. Dokoła Ernaniego są tłumy sług i wojowników, mistrza Sollegę uwielbiają całe Galtary, a Rinaldi, żywy czy martwy, nie ma nikogo poza skromnym malarzem, więc Koro nie odejdzie, choćby całe niebo zważyło się na ziemię, choćby zawrzały morza i popłynęły krwawe deszcze.

#### 4. Epiarcha

Cytadelę łączyły z podwójnym Pierścieniem zewnętrznej twierdzy potężne mury dzielące miasto na cztery części - Błyskawicy, Fali, Wiatru i Skały. Pozwalało to bez przeszkód przenosić wojsko z umocnień zewnętrznych do wewnętrznych, cokolwiek by się nie działo w samych Galtarach. Wcześniej Ernani sądził, że Abweniusze, budując stolicę, przesadzili - co poza zdradą mogło zagrażać wzniesionym przez mieszkańców niebios murom? Nieraz ludzie sarkali, że w Galtarach nie ma zwyczajnych bram i że są zmuszeni do korzystania z drewnianych pomostów.

Epiarcha-następca uważnie przyglądał się wykonanej w czasach jego pradziada Eridaniego VIII makiecie Galtar. Ówcześni mistrzowie starannie odtworzyli w każdym szczególe pajęczynę ulic i pszczele komórki domów, nie zapomniawszy nawet o malutkich, mniejszych od paznokcia powozach. Przez minione sto lat z hakiem Cytadela i przylegające do niej kwartały niemal się nie zmieniły, ale w pobliżu Zewnętrznego Pierścienia przybyło sporo nowych budynków. Miasto rosło, jeszcze trochę i Galtarom zrobi się ciasno w wyznaczonych przez Abweniuszy granicach.

Ernani usiłował myśleć o wszystkim, tylko nie o tym, co się dzieje w Miastach Fali i Wiatru. Młodzieniec jak nigdy dotąd mocno odczuwał swoje kalectwo. Nie mógł zobaczyć wszystkiego swoimi oczami, a co może być gorszego niż oczekiwanie i zaspokajanie się meldunkami? Galtarami tak naprawdę dowodzili Lorio Borrasca i abweniarcha, Ernani po prostu im nie przeszkadzał. Z epiarchy-następcy było tyleż pożytku, co z Beatrice, która stanowczo odmówiła opuszczenia stolicy, jako jedyna sprzeciwiając się człowiekowi, bez którego miasto już by zginęło. Owinięta w ciemnoniebieskie szaty kobieta, mimo ciąży krucha i młoda, w milczeniu siedziała przy oknie, wpatrując się bezdennymi oczami w niebo albo niebieskie, albo czarne, albo krwawoczerwone. Gdyby nie pamięć o bracie, Ernaniego cieszyłoby jej towarzystwo - oboje jednakowo samotni,

opuszczeni, bezradni, ale nie bezużyteczni. To, że epiarcha-następca i żona Loria Borraski pozostają w Cytadeli, pomagało utrzymać porządek i wzbudzało nadzieję.

Młodszy z braci Rakanów nic nie wiedział i nie umiał, ale w czasie nieobecności Eridaniego on był głową państwa i to jego, wedle uświęconego wiekami obyczaju, powiadamiano o każdym drobiazgu jako powiernika tronu. Gońcy przybiegali jeden po drugim. Nowiny były złe, choć nie tak tragiczne jak rankiem trzeciego dnia, kiedy do sypialni epiarchy-następcy wdarł się Chaini z Domu Skąły.

Nie wiadomo, dlaczego potwory pojawiły się tylko w dwu z czterech dzielnic, nie było ich również w Cytadeli - widocznie nie znalazły tu drogi. Stwory przerażały siłą i żarłocznością, ale nawet one po jakimś czasie stawały się nasycone. Wtedy można je było zabić, choć nie tak łatwo: za każdą zabita bestię Borrasca płacił dziesiątkami żywotów. Dowódca zdecydował, co najpierw wydało się Ernaniemu błędem, o wyprowadzeniu z miast ludzi, po czym zburzył pomosty i pozostawił ryczące potwory wśród wzniesionych przez Abweniuszy murów, mając nadzieję, że Cytadela oraz Miasta Błyskawicy i Skąły pozostaną dla nich niedostępne.

Na szczęście Pierwotne Stwory bały się zbliżać do umocnień zbudowanych przez Nieobecnych bliżej niż na dwie długości kopii, choć światło słoneczne bestii niestety nie przerażało, co było dość dziwne jak na istoty z podziemi. Monstra, jak opowiadali świadkowie, miały ogromne liliowe oczy, z których wypływały powoli łzy. Człowiek, przypadkowo przechwyciwszy przepelnioną tysiącletnią krzywdą spojrzenie, nieruchomiał, a wtedy potwór go pożerał, po czym ruszał dalej. Niektóre, nasyciwszy się, wszczynały zabawy i bójki. Wtedy zabawiające się bestie burzyły i rozwalaly wszystko na swojej drodze. Ale najgorsze było i tak wiszące nad Galtarami przerażenie.

Ernani miał słabe pojęcie o tym, co czyniono w jego imieniu, ale ufał Loriowi Borrascie całkowicie i bez cienia wątpliwości. Abweniarsze nie wierzył kompletnie, ale Borrasca twierdził, że bez pomocy bogopamiętnego nie udałoby się zapanować - nie, nie nad monstrami! - nad ludźmi, którzy oszalałszy ze strachu, stawali się gorsi od wszelakich potworów. Liliwookie bestie mogły zjeść dziesięciu, dwudziestu, trzydziestu ludzi i na jakiś czas się uspokajały, a szalone tłumy zadeptywały setki, *jeśli* nie tysiące sobie podobnych. Lorio rozkazał zabijać każdego, kto szukając dla siebie ratunku, szedł po ciałach kobiet, dzieci, starców. To pomogło. Wojownicy i abweniacy jakoś zmieniali oszalałe stada w przerażone i skonfundowane, ale jednak ludzkie gromady.

Oddziały Borraski i eoriuszowskie drużyny już trzecią dobę ściągały potwory na siebie, a mnisi i miejska straż wyprowadzały galtarczyków za mury stolicy. Abweniarcha przeforsował ten pomysł, ponieważ gdyby potwory przedarły się do przeludnionych kwartałów, panika zabiłaby tych, co uniknęli szponów i kłów. Teraz wychudzony, blady jak brzuch żaby bogopamiętny poszedł - żeby nie powiedzieć: wypełził odpocząć, bo za kilka godzin znowu miał zejść do piekła, w jakie zmieniły się Miasta Fali i Wiatru.

Epiarcha-następca też mógł odejść, tak samo jak i Beatrice, ale nie robili tego, siedzieli i czekali na wieści od Borraski i Eridaniego. Z miasta donoszono o trwających potyczkach, Labirynt milczał. Ernani przeganiał od siebie myśl o śmierci swojego ostatniego brata i o losie Diamnego Koro oraz jego nauczyciela - stary malarz mieszkał przecież tak blisko świątyni, przez piwnice której wyrwały się monstra...

- Mój epiarcho - głosik Beatrice drżał - dlaczego... Dlaczego tak długo?

- Co chce powiedzieć moja eoriuszka?

Pewnie nic znaczącego, po prostu nie może już dłużej milczeć. Beatrice jest kobietą, oczekuje

dziecka, jej słabość jest wybaczalna, może się więc bać, płakać, wygadywać głupstwa, a on powinien być twardy i pewny siebie. Epiarcha-następca nie może wątpić w zwycięstwo!

- Ja... Ja mam na myśli swojego anaksa. Tak długo...

- W Labiryncie czas płynie inaczej. - Ernani nie tyle kłamał, co po prostu ze znanych sobie plotek wybrał tę najbardziej pocieszającą. - Tam minęło dopiero... Tak, tam minęły dopiero dwie czy trzy godziny. Wkrótce Eridani zrobi to co należy i wróci, potwory też wrócą do siebie i już nigdy nie wypełzną, i...

- Mój epiarcha uważa mnie za malutkiego głuptasa? - W błękitnych oczach pojawiła się gorycz. - Może nie mam wiele lat, ale przeżyłam... Przeżyłam tyle i takich rzeczy, że mogę wytrzymać każdą prawdę.

- Nie łżę - szybko powiedział Ernani. - W kronikach napisane jest, że w Labiryncie czas płynie inaczej, a ja wierzę tym księgom. I wierzę w swojego brata. Eridani wiedział, co robił, kiedy schodził w dół, i na pewno wróci.

- Tak - pokornie skinęła głową Beatrice.

Płonący przez chwilę w jej oczach ogień zgasł, przed epiarchą znowu siedziała cicha, przestraszona dziewczynka. Eoriuszka Borrasca choć może i była starsza od Ernaniego o trzy lata, wydawała się jego rówieśnicą.

- Tak, mój epiarcha ma rację... Mój anaks wie, co robi. Wróci, a potwory znikną... Ale dlaczego tak długo, tak długo?

- Może eoriuszka wypije sennego wywaru?

- Nie! I tak wkrótce nadejdzie świt.

Nie to nie, nie będzie jej namawiał. Niech siedzi i czeka, skoro tak jest jej łatwiej. Eridani nie powiedział, kiedy wróci. Przy pożegnaniu młodzieniec myślał, że brat mówił o godzinach, ale „wkrótce” może oznaczać zarówno godzinę, jak dzień lub tydzień.

A może spotkał w podziemiach Rinaldiego? Może ten w końcu zrozumiał, co zrobił, i bracia wrócą razem. Można odkupić każdą winę. Jeśli opamiętał się, to należy mu wybaczyć. Przecież nie może on życzyć zguby całym Galtarom, nawet jeśli jakimś sposobem obudził potwory. Nie miał pojęcia, co może z tego wyniknąć, w ogóle nigdy nie zastanawiał się nad konsekwencjami swoich czynów.

Anesti wiecznie marudził, że Rino nigdy nie wydorosłeje, a ten wykpiwał się, mówiąc, że Eridani urodził się stary, dlatego on będzie musiał do śmierci być młodym.

Stukanie do drzwi i dzwonienie halabard obwieściły przybycie kolejnego gońca.

- Mój epiarcho... - Wojownik zataczał się jak pijany. - Mój epiarcho... One odchodzą, odchodzą...

- Co? Chcesz powiedzieć, że ludzie zostali wyprowadzeni?

- Nie. - Goniec był tak podniecony, że zapomniał nawet, że rozmawia z powiernikiem tronu. - Potwory! Uciekają z powrotem, do pieczary... To cud, mój epiarcho! Cud!

Naprawdę cud! A ma ten cud na imię Eridani.

- No i widzisz? - Ernani uśmiechnął się do Beatrice. - Lęk eoriuszki był bez przyczyny. Eridani nie mógł przegrać. Wkrótce wróci, a jeszcze wcześniej zobaczymy twojego małżonka. Może więc jednak eoriuszka uda się teraz na spoczynek?

- Nie. - Czy kobiety przypominały kawałki przesytego słońcem nieba, brakowało tylko białych jaskółek. - Poczekam...

## 5. Mistrz

Im dłużej malarz wpatrywał się w szalejący strumień, tym mniej pozostawało w nim nadziei. Rinaldi pływa jak wydra, ale w górnym biegu Pienistej nie ma nawet wydr, no i do rzeki trzeba jeszcze jakoś dotrzeć.

Kończyła się trzecia doba oczekiwania, były to najcięższe dni i noce w życiu mistrza Koro. Jedyne, co mógł zrobić dla przyjaciela, to czekać tyle, ile obiecał, i dodatkowo trzy dni. Więc czekał. Rinaldi został zdradzony potwornie, straszliwie i wstrętnie i właśnie dlatego Diamni nigdzie nie odejdzie. Artysta topił swoją rozpacz w pracy, ale malował nie rzekę i tęczę, a „Więżnia”. To była jego odpowiedź rzucona podłosci, świętoszkowatości, obłudzie. Nie może ukarać winnych mieczem, ale może wywołać ich do odpowiedzi pędzlem! Malował jak szalony, odrywając się od pracy tylko w nocy, i wtedy widział dziwną liliową poświatę tam, gdzie znajdowały się Galtary.

Diamni czekał, kiedy konie przestały jeść trawę i pić wodę. Cekał, gdy skały przy źródle Pienistej zaczęły jęczeć i drżeć jak żywe istoty. Cekał, kiedy liliowe błyskawice przecięły obsypaną gwiazdami czarną kopułę nieba, choć nie było na nim ani jednej chmurki. Cekał nawet, gdy o świcie wzeszły cztery zakrwawione słońca, zza których wysunęły się olbrzymie świecące miecze, a zetknąwszy ostrza, zrodziły piąte źródło światła - czarne, otoczone purpurową koroną. Trwało to nie dłużej niż mgnienie oka, po czym słońce stało się zwyczajnym słońcem, konie przypadły do lodowatej wody, skały przestały jęczeć i tylko niebo pozostało purpurowe, ale od zwyczajnej zorzy. Zapowiadał się wietrzny dzień, ale na razie było cicho.

Malarz, kierując się jakimś niezrozumiałym przeczuciem, najpierw poszedł, potem pobiegł w kierunku wodospadu i znieruchomiał przed szalejącą wodą zmienioną przez świt w krew. Diamni wpatrywał się w czerwono-czarne głębiny, usiłując zapanować nad waleniem serca. Ciekawe, czy już zwariował, czy dopiero wariuje? W szalejącej toni mignęło i znikło coś ciemnego. Oczywiście, że mu się tylko zdawało, ale mistrz Koro aż podskoczył z miejsca. Teraz pędził w kierunku podnóża wodospadu, w biegu zrywając kurtkę. To było złudzenie, złudzenie, Diamni zwariował! Ale na myślenie nie miał czasu, więc skoczył. Lodowata woda aż parzyła, ale jakie to miało znaczenie?! To by było za dobrze, za dobrze, aby było prawdą, przecież minęły trzy dni, całe trzy dni...

Podniósł nieruchome i ciężkie ciało Rinaldiego. Martwy czy tylko nieprzytomny? Jakkolwiek i cokolwiek się stało, obaj spełnili dane sobie obietnice - jeden wrócił, drugi się doczekał.

Diamni wyciągnął swoją zdobycz na brzeg i wpił zdziwione spojrzenie w miecz, na rękojeści którego zacisnęła się dłoń epiarchy. Miecz Rakanów! Skąd? Mistrz Koro usiłował rozewrzeć palce Rina, ale nie dał rady. Dobra, sprawa miecza wyjaśni się potem!

Malarz pobieżnie zbadał druha i odetchnął z ulgą. Zdażył na czas - Rinaldi nie zachłysnął się, biedak stuknął głową o kamienie najwyżej kilka sekund przed wyłowieniem go. Abwienusze są miłosierni - kości całe, a sińce i szybko rosnący guz na czole to głupstwa. Trochę niżej i uderzyłby się w skroń, ale los chyba sam miał już dość swoich podłosci. Byle Rinaldi nie zaczął gorączkować z przeziębienia! Woda lodowata, nikt nie wie, ile musiał w niej płynąć... Koro rzucił się po peleryny i wino. Kiedy wrócił, Rinaldi siedział na trawie, bezrozumnym wzrokiem patrząc na leżący przed nim miecz.



- Rino! - Diamni nie od razu zrozumiał, jak zawołał epiarchę. Chyba Rinaldi Rakan naprawdę stał mu się bratem.

- Oto... Doczekałeś się...

- Obiecałem przecież! Wypij i połóż się... Poczekaj, podłożę ci pelerynę.

- Poczekaj... Coś mi się stało w głowę... Zimno. Co się stało?

- Wodospad, oto, co się stało. Pij, słuchaj, co ci mówię!

- Która godzina?

- Rano. Ósma pewnie. - Malarz podniósł do sinych warg manierkę. - Łaziłeś po pieczarach trzy doby. Za długo.

- Wybacz.

- O, jeszcze żartuje!

- Tak wyszło.

- Najważniejsze, że się wydostałeś. Teraz kładź się i spróbuj zasnąć. Do wieczora mamy masę czasu.

- Nie będę spał - błysnął oczami Rinaldi. - Skąd ten miecz?

- Mnie się pytasz? Gdy cię wyciągnąłem, miałeś go w rękę. Trzeba było widzieć, jak się w niego wczepiłeś. Nie mam pojęcia, jak zdołałeś z nim wypłynąć.

- Ja też sobie nie wyobrażam. - Epiarcha sięgnął do rękojeści i skrzywił się z bólu. - I jeszcze bardziej nie wyobrażam sobie, skąd go wziętem.

- Może się połóż? - Mistrz Koro zerknął na Rinaldiego z nadzieją, ale ten uparcie zacisnął usta.

- Nie. Obiecałeś przynieść ubranie.

- I przyniosłem, ale...

- Diamni, znudziła mi się rola starożytnego bohatera, co to dokonywał niezwykłych czynów, jak go matka urodziła. Twój obóz jest daleko stąd?

- Niezbyt.

- No to chodźmy. - Epiarcha, nie czekając na pomoc, usiłował wstać. Dziwne, ale udało mu się to.

- Idziemy - pokornie zgodził się malarz, rozumiejąc, że sprzeczką z nowo nabytym bratem nie ma sensu. - Jesteś uparty jak osioł mistrza Sollegi!

- Osioł?! - Rinaldi przygryzł wargi, odwrócił się i przyjrzał sińcom na swoich bokach. - Oszczerstwo. Jestem wykapanym leopardem.

- Nie tylko - bezlitośnie zakończył artysta. - Sądząc po tym, co masz na czole, to jesteś też jednorożcem. Ale przede wszystkim osłem.

- Dziwne. Musisz to namalować.

- Koniecznie.

Żeby tylko nie przypomniał sobie Beatrice! Diamni nie był jeszcze gotowy do rozmowy o swoim odkryciu, a poza tym mógł się mylić. Musi najpierw poradzić się mistrza. Jeśli ma rację, to Lentiro znajdzie odpowiednie słowa, o ile w ogóle takowe istnieją...

- Ostrożnie!

W odpowiedzi Rinaldi tylko błysnął oczami. To, że ocalał, wcale nie było cudem - ten człowiek po prostu nie wiedział, co to znaczy się poddać. Dlatego przeżył tam, gdzie nie przeżyłby nikt inny.

Dotarli do obozu, choć Diamni widział, ile kosztuje uparciucha każdy krok. A będzie jeszcze gorzej, bo ból dopiero się rozpala.

- Co będziemy robić?
- Chciałeś się chyba ubrać?
- I wypić.

Nie, no jest niepoprawny i chwała za to Abweniuszom!

- Możesz nawet się upić. Zasłużyłeś na to.

- Nie wiem. - W kocich oczach pojawiła się dziwna rozterka. - Rozumiesz, pamiętam naszą rozmowę przy wejściu. Pamiętam, jak szedłem, jak głupio skręciłem na schody tak kusząco prowadzące do góry. A tam naprawdę było wyjście... Żebyż koty rozdarły mojego przodka z jego zamkami! - Rinaldi zacisnął pięści i skrzywił się z bólu. - Jeśli coś należy zniszczyć, to te Pułapki!

- Wypij. Ja też się napiję. - Normalnie Diamni nie przepadał za winem, ale mistrz Sollega powiedziałaby, że teraz po prostu koniecznie należy się napić. - I zapomnij.

- I tak zapomniałem niemal wszystko. - Rinaldi szybko łyknął z manierki. - Ale wyjście pamiętam. Z sufitu sączyła się woda, a w niej było coś jak kreda... I te postacie przy kracie. Na wierzchu biała skorupa, a w środku... - Rinaldi jednym tchem dopił resztę. - Wewnątrz one! Nie wiem, co oni zrobili i ile żyli, ale lepiej dwadzieścia razy spłonąć żywcem, niż coś takiego... Cisnąłem łuczywo i uciekłem. Potem pojawiło się światło, nawet nie światło, tylko jakiś zmierzch. Poszedłem przez świecący korytarz i trafiłem na freski. Szkoda, że ich nie widziałeś.

- Freski? - Żeby tylko nie zaczął mówić o Beatrice i braciach! - To ci historia... I co na nich było?

- Kobieta. Ta sama kobieta powtarzająca się tysiące razy. Miałem wrażenie, że idzie obok mnie. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale to cud!

- Znalazłeś kobietę nawet w labiryncie - pokręcił głową malarz.

- Nie, zgubiłem. Miała niebieskie oczy, Diamni. Niebieskie oczy i czarne źrenice, i jej życie było jednym wielkim bólem.

- Dziwne. - Dobrze, że mówi o freskach! Niech mówi o czymkolwiek, byle nie o tym, z powodu czego wpadł w potrzask. - Znam ten motyw. Poszukującą niebieskooką kobietę wcześniej malowano w pogrzebowych świątyniach, potem abweniaci pomyśleli i zdecydowali, że to niesłuszne podejście. Teraz ten motyw zachował się tylko w Kabiteli. Widocznie w podziemiach kiedyś musiała być świątynia. Dziwne, że nie natknąłeś się na nią.

- Może się i natknąłem - teraz Rinaldi mówił wolno i cicho, wino i zmęczenie zrobiły swoje. - Wiesz... Nic więcej nie pamiętam, tylko woń dymu... Ohydnie słodki... Pewnie poszedłem tam, albo... Lubię zapach dymu, ale ten... Obrzydlistwo... A potem zrobiło mi się zimno, otworzyłem oczy i zobaczyłem niebo... A w ręku miałem miecz... Skąd? Diamni, skąd ja mam miecz Eridaniego?

Mistrz Koro uśmiechnął się, nakrył przyjaciela peleryną i zerknął na niebo. Zasnął, chwała Nieobecny! Nie było jeszcze południa, mają kupę czasu. To, co się wydarzyło, było cudem, przypominało dziecinną bajkę ze szczęśliwym zakończeniem, kiedy najpierw wszystko idzie źle, a potem dobrze. Rinaldi się odnalazł żywy i zdrowy, świeci słońce, świergocą ptaki, fioletowa mgła nad Galarami też zniknęła. Malarz poszedł zobaczyć, co z końmi, wypłukał pustą manierkę, przymierzał się już, żeby coś upichcić, ale pojął, że też powinien trochę odetchnąć. Zmęczenie gromadzące się od dnia próby w końcu dało o sobie znać. Diamni Koro legł na trawie i po krótkiej chwili mocno spał.

Rinaldi Rakan chyba po raz pierwszy w życiu rozkoszował się widokiem obłoków. Wcześniej nie przyszło mu do głowy, żeby leżeć w trawie i patrzeć w niebo. Wcześniej w ogóle był głupcem. Dziwne, że nie czuje się szczęśliwy, przecież żyje i jest wolny, tylko z pamięcią coś nie tak. Chyba jednak walnął w coś głową, kiedy pokonywał rzekę.

Epiarcha przewrócił się na brzuch, zabolalo, ale bywało i gorzej. Zarówno wtedy, gdy stary Borrasca uczył jego, Anestiego i Eridaniego walki na miecze, jak i po bitwie pod Wesperydami - wtedy wszyscy myśleli, że już po nim. Ale nie, wydobrzył, teraz też wydobrzyje.

Ból to drobiazg, ale pamięć... Co mu się przydarzyło w pieczarach? Bo przecież coś się przydarzyło... Skąd ma miecz Eridaniego? Gdzie się podział jego własny? Trzymać w garści rodowy miecz Rakanów to oczywiście nie byle co, ale walczyć nim to to samo, co harcować na krowie.

Epiarcha zebrał siły i wstał - omal nie wrzasnął, ale powstrzymał się jakoś, nie chcąc budzić Diamniego. Potłuczone i poobijane ciało bolało niemiłosiernie, ale Rinaldi nie byłby Rinaldim, gdyby leżał plackiem, bojąc się każdego ruchu ręką czy nogą. Zawsze wychodził niebezpieczeństwu naprzeciw, a ból to tylko rodzaj niebezpieczeństwa.

Zdobywszy się na jeszcze jeden wysiłek, zgiął plecy i podniósł miecz. Nieźle musiał wyglądać, kiedy Diamni wyciągał go z wody. Nagi, potłuczony, ale z mieczem. Rinaldi uważnie obejrzał szeroką głownię, zdobioną fioletowymi kamieniami rękojeść, przyjrzał się jakimś ni to wzorom, ni to runom. Czy naprawdę ma miecz Eridaniego, czy tylko jakaś kopię? Szkoda, że nie chciało mu się przyjrzeć rodzinnym relikwiom, kiedy miał taką możliwość. Słynne w całej Kertianie miecz, berło i korona nie wzbudzały w trzecim synu Amiretaniego Rakana żadnej ciekawości. Dobra, zobaczymy! Skoro tak wczepił się w to żelastwo, musiała w tym tkwić jakaś mądra myśl. Zaiste, wędrówka po Labiryncie i uderzenie w głowę mogły ci, mój drogi, przynieść pożytek. Ale tam było jeszcze coś innego, coś niezwykle ważnego, coś najważniejszego w jego życiu.

Milczenie stało się nieznośne, epiarcha zawołał Diamniego, ale ten nie odpowiedział - spał. Rinaldi podszedł do jedyne go swojego przyjaciela i nie wypuszczając miecza z ręki, przykucnął. Mistrz Koro oddychał równo i uśmiechał się do swojego snu. Musiał być w tej chwili szczęśliwy, i epiarcha zawstydział się, że chciał go obudzić w takiej chwili dla jakiegoś głupstwa.

Popatrzył w zamyśleniu w stronę Galtar - w nocy udadzą się do domu mistrza Sollegi i wszystko obgadają. Trzeba uciekać, ale dokąd? Najrozsądniej byłoby udać się do Purpurowych Ziem. Szadowie nie wydadzą go nigdy i nikomu, ale Rinaldi aż do bólu nie chciał opuszczać Kertiany. Oczywiście, Diamni ma rację, że to w jego stylu siedzieć w domu jakiegoś kaleki-malarza i czekać na zbawienie.

Dobrze by było porozmawiać z Eridanim, ale to niemożliwe. Brat usiłował go uratować, ale tylko dlatego, że łączyły ich więzy krwi. Nie wątpił w winę Rinaldiego i za bardzo pogrzył się w tym, co uważał za obowiązek anaksa. Może nawet wysłać brata z powrotem do katakumb. Do Eridaniego można pójść, dopiero jak się będzie miało niezbite dowody swojej niewinności. Ale gdzie one są?

Epiarcha znowu popatrzył na bawiącego w rajskich ogrodach malarza. To niedobrze, ale obudzi go, bo już nie ma siły samotnie walczyć z całym tym szaleństwem. Trącił lekko druha, ale ten nie zamierzał otworzyć oczu. Rinaldi mocniej zacisnął palce na ramieniu malarza - znowu nic.

- Diamni! - Teraz potrząsał mistrzem z całej siły. - Diamni, obudź się! Na Płomienie Zmierzchu, co się z tobą dzieje?!

- Zostaw go! - usłyszał kobiecy głos piękny i obojętny - tak przemawiałaaby róża. Rinaldi drgnął i podniósł głowę. Tak pięknej kobiety jeszcze nie spotkał - wysoka, o stromej piersi i krągłych biodrach, ze szczupłą talią i wspaniałą rudą grzywą. Cała była owinięta w mieniący się purpurowy jedwab. Złota obręcz na szyi, masywne bransolety na śnieżnobiałych pulchnych rękach, kuty złoty pas... Zadziwiające stworzenie i... takie nie na miejscu! Kilka lat temu Rinaldi gościł u starego Nadorei. Jego córka uwielbiała wspaniałe zamorskie ptaki, ale pewnego dnia ktoś utworzył klatkę i różnokolorowi jeńcy odlecieli. Dziwacznie wyglądali na porośniętym mchem dachu. Rudy gość wyglądał tak samo dziwnie.

- Kim jesteś, pani? - Mimo nieprawdopodobnej urody, a może właśnie przez nią, nieznajoma wywoływała nie tyle zachwyt, co niepokój. - Wiesz, co się dzieje z moim druhem?

- Śpi. - Bursztynowe oczy kobiety obojętnie przemknęły po malarzu. - I widzi najpiękniejszy sen w swoim życiu. Nie trzeba go budzić, Rinaldi Rakanie, on nie obudzi się, póki nie odejdę albo nie odejdziemy. Nie bój się, nic złego mu się nie stanie. Przeciwnie! Dla malarza nie ma większego szczęścia niż oglądanie, niech nawet we śnie, Eterny. Ale chyba pytałeś, kim jestem?

- Pytałem. - Epiarcha nie chciał wiedzieć, kim jest, po co przyszła, skąd zna jego imię, ale nie mógł się już wycofać.

- Jestem Ada - powiedziała piękność, jakby to coś wyjaśniało. - Przyszłam po ciebie.

- Nie przypominasz śmierci. - Rinaldi zmusił się do uśmiechu.

- Śmierć ma tysiące twarzy. - Kobieta uśmiechnęła się, jej wargi, duże i namiętne, miały jasnopurpurowy kolor. - Ale ja nie jestem śmiercią. Zabijam tylko wtedy, kiedy mi się przeszkadza. Tobie śmierć z mojej ręki nie grozi, a jeśli odejdiesz ze mną, śmierć dogoni cię nieprędko.

- Czyli ja ci nie przeszkadzam? - Dziwna rozmowa, dziwne imiona... Ada... Co to jest? Imię?

- Ada to imię?

- Och, nie... Nie mam imienia i jeśli pójdziesz ze mną, to też nie będziesz go miał.

- Po co mam iść z tobą? I dokąd?

- Do Eterny. - Piękność uśmiechnęła się, kamienie jej ozdób błysnęły południowym słońcem. - W każdym razie na początku. A po co... Są co najmniej trzy powody, i podam ci je. - Uśmiechnęła się znowu. - Stopniowo...

Na okolicę opadł wieczór, wysokie niebo mieniło się purpurą i złotem, dokładnie jak suknia nieznajomej, odurzająco pachniały dzikie róże i jaśmin. Kobieta zerwała kwiatek i roześmiała się, ale Rinaldi uznał za stosowne nie zauważać, jak cienka tkanina spelza ze śnieżnobiałego ramienia. Ada była obca i - epiarcha z jakiegoś powodu nie wątpił w to - niebezpieczna. Na wszelki wypadek wstał, wtedy ból przeszył ciało. Musiało się to odbić na jego twarzy, bo kobieta też wstała, zmrużyła oczy i zrobiła niedbały gest ręką. Rinaldiemu wydało się, że patrzy na świat przez jęczyczki fioletowego płomienia, potem lśnienie zgasło, a z nim zniknął również ból. Cały. Całkowicie. Jakby go nigdy nie było.

Epiarcha odruchowo zerknął na przedramię, które bolało go najbardziej, i ze zdziwieniem zobaczył, że ubranie, które z takim trudem naciągnął nań Diarni, zniknęło, jakby nie istniało. Znowu był jak go matka urodziła, tym razem z łaski rudowłosego niepojętego stwora.

- Do twarzy ci, kiedy się złościś. - Ada badała go z wyraźną aprobatą, żeby nie powiedzieć więcej. - Jesteś urodzony do wieczności, czas nie powinien szpeci tak doskonałego piękna.

- Co zrobiłaś z moim odzieniem?

- A nie chcesz zapytać, co zrobiłam z twoim bólem? Spaliłam i jedno, i drugie.

Podeszła bliżej, teraz purpurowe usta i złote oczy znajdowały się przy samej twarzy Rinaldiego. W jej urodzie nie było ani jednej skazy, ale nie stawała się przez to obiektem pożądania... Albo niemal się nie stawała.

- Żyłeś obcym życiem i w obcym świecie. - Włosy nieznajomej lekko świeciły, a może to świeciły wtopione w złoto kamienie. - Ale szczerłość za szczerłość. Chyba nie mam się czego wstydzić.

Złoty blask przybrał na sile, a potem zniknął. Białe ręce objęły szyję Rinaldiego gorącym, płonącym pierścieniem. W pierwszej chwili nie zauważył, że purpurowe szaty Ady zniknęły. Ciało epiarchy okazało się rozsądniejsze od jego rozumu i odpowiedziało na czułość natychmiast i wściekle.

Rudy stwór wytrząsnął z niego więcej niż wszystkie inne kobiety wcześniej razem wzięte. To, co robił z tą wiedźmą, to, co ona robiła z nim, było szaleństwem. Mężczyzna i kobieta odrywali się od siebie tylko po to, by w mgnieniu oka znowu stać się jedną, pijaną i przepełnioną siłą i uczuciami istotą. Obok ryczał strumień, potem chyba zaczął śpiewać słowik. Rinaldi stracił świadomość, ile razy i kto był na górze, kto na kogo rzucał się pierwszy po kilku chwilach odpoczynku, co i kto mówił. Tylko raz, kiedy leżał na plecach, trzymając w górze dłonie, których dotykały ciężkie piersi, wydawało mu się, że widzi niebieskie bezdenne spojrzenie, ale potem znowu pochwyciła go i poniosła fala pachnącego jaśminami i różami złotego szaleństwa.

Oderwali się od siebie dopiero wtedy, gdy niebo na wschodzie rozkwitło bżowymi rozbłyskami. Ada leżała na plecach, mrużąc ogromne złote oczy, piękna, szczerza i bezwstydna jak wiosenna kotka - gładka biała skóra, błąkający się po wargach uśmiech, rozrzucone włosy splecione z dojrzewającą jedwabistą trawą.

- Oto był i pierwszy powód. - Wzięła jego dłoń i położyła sobie na piersi. Rinaldiemu zawsze podobały się takie kobiety o pełnych piersiach i krągłych biodrach, wybaczał im nawet rozmyte talie i przypominające poduszki brzuchy, ale rudy stwór zbudowany był z samych zalet.

- Pierwszy powód?

- Pierwszy powód to ja i moje siostry, i Eterna. A raczej Eterna, ja i moje siostry. To bardzo długie życie i wieczna młodość, Rinaldi Rakanie. Wszystko, co ci się kiedyś podobało, ale silniejsze, barwniejsze, bardziej niepowtarzalne. Miałeś wiele kochanek, epiarcho. Powiedz, czy choćby z jedną z nich przeżyłeś to, co ze mną?

- Nie. - Rinaldi zawsze był szczerzy z kobietami. - Nie przeżyłem i... nie jestem pewien, czy chciałbym to powtórzyć.

- Cóż... - Ada usiadła, objąwszy kolana. - To pogadajmy o czymś innym.

Przecząc samej sobie, piękność zamilkła, zapatrzywszy się na fioletowiejące niebo. Rinaldi odruchowo prześledził wzrokiem spojrzenie swojej dziwnej kochanki, a kiedy znowu popatrzył na nią, ta miała już na sobie haftowane srebrem lazururowe jedwabie. Rinaldiemu nie było tak łatwo - musiał wstać i wyjąć z sakwy pelerynę, czując na sobie złociste spojrzenie, jednocześnie ironiczne i czule. Ada wcale nie miała nic przeciwko temu, by postąpić z wieczorną szatą tak jak z poranną, i on sam... Nie, nie teraz. Może po rozmowie, a może nigdy, ale nie teraz! Nie chciał być niewolnikiem własnego ciała i tym bardziej przyznać się do tego rudemu stworowi.

- Tak więc... - kobieta nie kryła uśmiechu - ...jesteś gotów wysłuchać drugiego powodu?

- *Mów,*

- Proszę bardzo. Urodziłeś się w jednym ze światów Wielkiego Łącucha i uważasz go za jedyny,

ale są ich tysiące. Twoja Kertiana jest tylko jednym z wielu. Wy, dzieci jednego jedyne go świata, przypominacie człowieka, który urodził się, wyrósł i całe swoje życie przeżył w zamkniętej komnacie, nie wiedząc, co się dzieje za jej murami. Ale jeśli się wie, gdzie są drzwi i ma się do nich klucze, można chodzić z komnaty do komnaty, jak to robimy my...

Ada zamilkła, oczekując ni to pytań, ni to okrzyków niedowierzania, ale Rinaldi od razu zrozumiał, że nie kłamie. Była obca i przyszła z daleka, ale nie należała do Kertiany z jej błękitnym niebem i zieloną trawą, choć wydawała się kobietą. Wydawała się, ale czy była?

- Chodźcie po tym domu, jak rozumiem, ale czy wychodzicie na ulicę?

- Szybko wszystko łapiesz. - Rudowłosa w zamyśleniu dotknęła jednej ze swych bransoletek. -

Nienadaremnie zatrzymałam się w tym świecie. Jesteś potrzebny Eternie...

- Nie odpowiedział mi.

- Podoba mi się twoja niecierpliwość... I ty też mi się podobasz.

Spojrzenie kobiety było bardziej niż szczere, chciała tego, co i on sam, ale Rinaldi postanowił, że dowie się wszystkiego. Ada oblizwała usta, po czym obdarzyła epiarchę wspaniałym uśmiechem.

- Wyobraź sobie zamek, w którym każda komnata jest światem. Gdzieś tam mieszkają istoty rozumne, jedne z duszą, inne nie, ale rozumne. Inne komnaty są puste albo zasiedlone przez bezmózgie stwory. Za murami zamku dziedziniec otoczony fosą, a za fosą wrogowie. Nie powiem, że są złem. Tam, skąd pochodzą, uważane są zapewne za dobro, ale naszemu zamkowi z wszystkimi jego mieszkańcami niosą zgubę. Nie śmierć, a zgubę, bez życia po śmierci i nadziei na odrodzenie. I dlatego na tym murze, który nazywamy Rubieżą, toczy się nieustająca walka. Prowadzą ją wojownicy Eterny. Są oni wiecznie młodzi i niemal nieśmiertelni. Niemal, ponieważ można ich zabić i czasem to się zdarza. Zabitych należy zamienić, a żywi muszą co jakiś czas odpocząć, i my, Ady, wędrujemy po zamieszkanym świecie w poszukiwaniu tych, którzy mogą stać się obrońcami Rubieży. Zobaczyłam ciebie i zrozumiałam, że jesteś stworzony do wiecznej walki przerywanej ucztami i miłością. Jesteś zrodzony w świecie śmiertelnych, ale twoja krew należy do Eterny i to jest mój drugi powód. Będziesz miał wrogów i towarzyszy, o których marzy każdy wojownik. Twój miecz będzie decydował: ma żyć czy nie ten Łańcuch Światów, wśród których znajduje się również twoja Kertiana ze wszystkim i wszystkimi, którzy są ci drodzy, a potem ich potomkami. Wojowie Rubieży, odparłszy atak, wypoczywają w pałacach Eterny. Żeby pojąć, jak ona jest piękna, popatrz na twarz swojego druha. Pozwoliłam jego duszy zerknąć do pałacu Archonta i pospacerować po Polanach Młodości. Obrońców Eterny czekają uczyty, miłość moich przyjaciółek i... - Ada roześmiała się - ...moja miłość. Tam nie będziemy już obcymi dla siebie, staniesz się tak samo silny i wolny jak ja. Odejdiesz więc ze mną?

Gdybyż ona przyszła wcześniej, niechby w dniu, kiedy Beatrice oskarżyła go o gwałt! Nie zastanawiając się, odszedłby z istotą o białej piersi, z ognistą pięknnością, stałby na Rubieży, ucztował z towarzyszymi, kochał nieśmiertelne, a potem wracał do boju i nie życzyłby sobie innego losu. Ale po co mówić o tym, co spłonęło! Jest związany z Kertianą swoją hańbą, jest także związany przyjaźnią z Diamnim oraz nieznanym jeszcze Sollegą. Nie może porzucić tego i zniknąć, nie odzyskawszy dobrego imienia i nie rozwiązawszy zagadki swojego nieszczęścia.

A może pułapka, w którą wpadł, to tylko początek podobnych sobie i może w każdej będzie się tłukła żywa istota, niewinna, ale osądzona przez najbliższych. Nie, musi zostać dla Eridaniego, przeciw któremu ktoś knuje tu intrygi, dla małego Ernaniego...

- Masz rację, rzeczywiście jestem stworzony do życia, jakie mi opisałaś, ale zostanę.

- Dla niego? - Kobieta wskazała ruchem brody ciągle jeszcze uśmiechającego się Diamniego. - Czy dla braci?

- Dla wszystkich i siebie. Wybacz, ale są rzeczy, które można zrozumieć, tylko wypróbowałeś je na własnej skórze. Jeśli odejdę, to będę sobą gardził. Eternie raczej nie jest potrzebny taki obrońca.

- Czyli zostajesz?

- Tak. Może potem, kiedy...

- Nie będzie „potem”, Rinaldi Rakanie. - Ada już się nie uśmiechała. - Odejdę i nigdy już nie wrócę. Eterna wyciąga dłoń do śmiertelnego tylko raz, ale zanim ostatni raz powiesz „nie”, musisz dowiedzieć się jeszcze czegoś. Jesteś niewinny, nie popełniłeś tej zbrodni, o którą *cię* oskarżono, ale masz na swoich rękach krew *swojego* brata Eridaniego. Oczywiście miałeś swoje racje, zabijając go...

- Żartujesz?

- Wcale nie... Skąd byś wziął miecz Rakanów? Chcesz znać prawdę?

- Mów!

- Eridani Rakan był kochankiem Beatrice Borraski. Kiedy poczęła, postanowili zachować dziecko i cześć eoriuszki, i miecz Loria. Teraz rozumiesz, co się stało?

Nie zrozumiał tego wcześniej tylko dlatego, że Eridani jest jego bratem. Kochał go, kochał i nie był w stanie myśleć o nim źle. Ale to prawda, prawda, niech będzie przeklęty ten rudy potwór na wieki wieków!

- Próba!

- Tak. Chcąc mieć czyste sumienie, Eridani zaproponował ci ucieczkę. Nie skorzystałeś i od tej chwili wszystko było już zdecydowane. Abwenusze uznali dziecko-Rakana, dziecko anaksa, twojego bratanka... Następnie odbył się sąd i wyrok. Eridani nie mógł pozwolić ci zabić połowy swoich stronników i przede wszystkim Loria. Przecież nie ma innego dowódcy. Cisnął więc ciebie do pieczary, ale jakoś po swojemu kochał cię i wszedł za tobą. Nie powinien był mówić ci prawdy...

- Powiedział? Powiedział?

- Tak! I zabiłeś go, i zabrałeś jego miecz.

- To nie tak! To być nie może!

- Może i było. Chciałeś prawdy? Oto ją masz. Zabiłeś Eridaniego i jego krew, krew Rakana, zbudziła Pierwotne Stwory, które wyrwały się na wolność przez świątynię w Mieście Wiatru. Zapędziłam je z powrotem, ale już było za późno. Zginęło kilka tysięcy ludzi, w tym Lentiro Sollega. Ludzie związali twoją egzekucję z pojawieniem się potworów i zniknięciem anaksa. I słusznie związali. Teraz dla mieszkańców Kertiany jesteś nie tylko gwałcicielem, jesteś zabójcą nienawidzącym wszystkiego, co żyje, i z tej nienawiści wypuściłeś na bezbronne miasto potwory, które twój brat, złożyłwszy siebie w ofierze, zapędził z powrotem. To nie do końca jest prawdą, ale też i nie do końca kłamstwem.

- Nie pamiętam... - Nie pamięta, ale miecz jest tu! Nie pamięta, bo uderzył się w głowę czy dlatego, że chciał zapomnieć? Wcześniej też zdarzało mu się zapomnieć o czymś nieprzyjemnym.

- Nie pamiętasz, ponieważ się boisz. - Albo Ada potrafiła czytać w myślach, albo miał to wypisane na twarzy. - Teraz anaksem jest twój najmłodszy brat, ale krajem rządzi Lorio Borrasca. Ciągle jeszcze chcesz wrócić do zrujnowanego w połowie miasta? Chcesz, aby Diamni dowiedział się, że stałeś się powodem śmierci jego Mistrza i mnóstwa innych ludzi? Chcesz udowodnić swoją

niewinność? Możesz tylko udowodnić winę Beatrice Borraski i tym samym zabić ostatniego człowieka zdolnego do uratowania Złotej Anaksji. Czy może chcesz objąć tron? Jeśli wykorzystasz Moc, uda ci się to. Chcesz, to ci powiem, jak to należy zrobić.

- Nie! - Rinaldi wstał. - Rzeczywiście nie ma dla mnie miejsca w Kertianie. Wybrałbym śmierć, ale to zbyt słaba kara za to, co uczyniłem. Omal nie doprowadziłem do zguby swojego świata tu, będę go więc bronił na twojej Rubieży.

- Rubież będzie też twoja. - Ada podeszła do śpiącego malarza i położyła mu rękę na czole. - Diamni Koro zapomni wszystko, co związane jest z tobą, i wróci do Galtar. Widział Eternę. Jeśli jest prawdziwym malarzem, namaluje ją i to będzie największym jego szczęściem i najwyższą nagrodą. Jesteś gotów?

Czy on jest gotów? Rinaldi z rodu Rakanów rozejrzał się po polanie na brzegu lodowatego zielonkawego jeziora, rzucił okiem na pienistą grzywę strumienia, obsypane kwieciami krzewy, pomietą trawę. Trudniej było pożegnać się z Diamnim. Epiarcha oddałby wszystko, gdyby cokolwiek miał, żeby móc jeszcze raz porozmawiać z malarzem, żeby wyjaśnić - wszystko wyszło przypadkiem, a on nie wiedział, do czego może doprowadzić jego postępek, wszystkiemu jest winien porywczy charakter i przeżyty koszmar... Ale jakież on miał prawo włożyć swoje nieszczęście i swoją winę na barki przyjaciela? Diamni nie powinien wiedzieć, że szlachetny uczynek stał się powodem śmierci jego przybranego ojca i nauczyciela.

Epiarcha zmusił się, by wstać. Miał w tym świecie tylko jeszcze jedną rzecz do zrobienia. Ostatnią. Chwycił miecz Eridaniego, podszedł do pieczary, z której chlustała woda i włożył ostrze w szczelinę między dwa głazy. Niech myślą, że wyniosła go tu woda. Miecz Rakanów należy do Kertiany. Kiedy Diamni się obudzi, zobaczy go i zwróci Ernaniemu, ostatniemu z braci, żyjącemu, ponieważ on, Rinaldi, też umarł, dowiedziawszy się prawdy o sobie. Odwrócił się do niekryjącej radości Ady.

- Jestem gotów. Nie będziemy zwlekali.

## 7. Epiarcha

Lorio kazał podać śniadanie do sali Litid, z której nie wychodzili przez te wszystkie szalone dni. Epiarcha-następca coś jadł i coś pił tylko po to, by Borrasca kolejny raz nie przypominał mu, co i komu jest winien. Po śniadaniu kolejny raz usiłowali obaj namówić Beatrice, by udała się na spoczynek, ale ta tylko pokiwała głową, więc zostawili ją w spokoju. Następnie zabrali się do zajęć. Codzienne sprawy, którymi anaks zajmuje się znacznie częściej niż wypowiedaniem wojen i wykrywaniem spisków. Pieniądze, drogi, pomoc dla rodzin zabitych, odtworzenie zniszczonych domostw, rozdawanie chleba i wina... Słońce sięgnęło zenitu, cienie czarne i krótkie przywierały do rzucających je przedmiotów, jak wystraszone szczeniaki przywierają do nóg pana. Słońce, ptaki, kwitnące drzewa, obłoki na wysokim niebie jakże są okrutne w swojej obojętnej radości! To było życie, pozornie tak nieosiągalnie piękne, kiedy Miasto Wiatru i Miasto Fali były niszczone przez Pierwotne Stwory i oszalałych ludzi.

Straszliwe dni odeszły. Galtary nie tak szybko zaleczą otrzymane rany, ale Cytadela już wyglądała normalnie i ta zwyczajność wydawała się niemal policzkiem. Epiarcha-następca rozumiał, że należy dziękować Abweniuszom, że wszystko skończyło się tak, a nie inaczej, ale powszednia krzątania każdym drobiazgiem przypominała mu braci i to, że jeśli Eridani nie wróci, Ernani Rakan



będzie musiał stać się tym, kim stać się nie może.

Znowu zmuszano go do jedzenia i młodzieniec znowu nie byłoby w stanie powiedzieć, co zostało podane na obiad. Po południowym posiłku Borrasca pojechał do miasta i nastąpiła cisza zakłócana tylko gruchaniem puchatonogich liwkadzkich gołębi, rozkoszujących się wypoczynkiem na oświetlonym słońcem karniszu. Ernani siedział w fotelu należącym do Eridaniego, a Beatrice zajęła miejsce Rinaldiego. Kobieta raczej nie była tego świadoma, chociaż - co to znaczy miejsce... Przez okno wleciał motyl - wielki, żółto-czarny, z dziwnymi ostrymi odrostami na dolnej parze skrzydeł. Albo paż królowej, albo żeglarz, bardzo są do siebie podobne. Diarni by wiedział, Diarni dobrze się zna na kwiatach, ziołach, ptakach. Żeby tylko przeżył... Miasto Wiatru zostało najmocniej pokrzywdzone, a kiedy straż zastukała do domu Lentira Sollegi, odpowiedziała im ciemność i martwa cisza...

- Która godzina? - ledwo słyszalnie zapytała Beatrice.

- Druga po południu. Twój mąż wróci, ale czy nie lepiej, byś...

- Nie. - Błękitne oczy błysnęły, przypomniałszy o tym, że epiarcha rozmawia z nieokiełznaną eoriuszką, która w słusznym gniewie przeszła przez skamieniałe ze zdziwienia Galtary, by zażądać sądu nad gwałcicielem. - Zostanę.

Ernani nie sprzeczał się - nie miał ani sił, ani ochoty. Oboje pragnęli poznać prawdę, jakakolwiek by była, właściwie już ją znali, ale nie chcieli się z nią pogodzić.

Wrócił Lorio, powiedział, co się dzieje w Galtarach. Miasto Wiatru i Miasto Fali leczą rany, abweniaci i strażnicy chodzą po domach - pierwsi pocieszają i leczą, drudzy odcinają ręce i głowy maruderom i zabójcom. Chleba, mięsa i owoców wystarcza.

Młodzieniec nie pytał o braci - przecież gdyby Borrasca cokolwiek wiedział, powiedziałby, ale Beatrice była kobietą i nie wytrzymała:

- Twoi ludzie są przy wszystkich wyjściach? - Głos eoriuszki zdradzał troskę i nadzieję.

- Oczywiście - wymamrotał Lorio i od razu zaczął mówić o czymś innym: - Pierwsza dobra wiadomość po złych, mój epiarcho. Malarz Lentiro jest żywy i zdrowy. Możesz sobie wyobrazić? Mistrz przepędził sługi, jak często to robił, zamknął się w izbie na poddaszu i pracował. Wielki Sollega nawet nie wiedział, co się działo w mieście! Mistrza Kora nie było w Galtarach. Nauczyciel wysłał go, by namalował wodę i skały, tak więc na pewno żyje.

Czyli, choć jedna osoba z tych, które są Ernaniemu drogie, ocalała. Diarni malował braci wiele razy, niech namaluje portret, na którym wszyscy są szczęśliwi i weseli. Teraz sprzeczka z nauczycielem wydała się epiarsze nic nieznaczącą i po dziecinnemu głupią. W ostatnim czasie wszyscy oni nie przypominali samych siebie, wszyscy umykali przed prawdą, kto gdzie dał radę. Nic więc dziwnego, że malarz usiłował zasłonić się swoją sztuką.

Diarni opowiadał o obrazie, który jego nauczyciel niemal zakończył i miał go pokazać najpierw Eridanemu i Rinaldiemu. Teraz „Odchodzących” zobaczy tylko Ernani. Oczywiście Lorio nie odmówi i będzie towarzyszył następcy, ale stratega nigdy nie interesowała „bazgranina”.

- Mój epiarcho... - Borrasca z niepokojem obserwował następcę, który bardzo bał się zostać anaksem i niemal nie wątpił już, że nim został. - Musisz odpocząć.

- Nie będę pił sennego ziele, a bez niego nie zasnę. Pójdę spać, gdy już nie zostanie żaden cień nadziei.

Lorio skinął głową i odszedł. Poszeptał o czymś z Beatrice, najpewniej na ten sam temat, ponieważ eoriuszka pokręciła głową i odchyliła na rzeźbione oparcie. Znowu przychodzili jacyś

ludzie - pytali, prosili, meldowali. Przybyli witali epiarchę-następcę, a on odpowiadał i odsyłał ich do Borraski. Albo do abweniarchy.

Zalewała się łzami kobieta z Domu Fali, niemająca żadnych wiadomości o synach. Zatroškany skarbnik wyjaśniał, ile będzie kosztował remont pomostów. Zarządca kuchni uzgadniał, kiedy zaczną się uczyty pogrzebowe.

- Mój epiarcho... - Wysoki, jasnowłosy żołnierz przypominający jakoś Rinaldiego pochylił głowę i przyłożył rękę do serca. - Przybył mistrz Koro. Przyniósł miecz anaksa.

- Niech wejdzie! - Miecz Eridaniego? Skąd? Jak Diamni wszedł w jego posiadanie?

- Na miłość Anema, co z anaksem?! - Beatrice poderwała się, ale napotkawszy zatroskane spojrzenie męża, znowu opadła w rzeźbiony fotel. Na jego oparciu wyrzeźbione były leopardy idące w rzędzie jeden za drugim. Naprawdę leopardy tak nie chodzą, są samotnikami...

- Mój epiarcho... - Diamni ukląkł. Policzki malarza pokrywała krótka szczecina, oczy miał zapadnięte. - Spędziłem ostatnie dni przy źródle Pienistej Rzeki, rysując szkice potrzebne do zdobienia świątyni. Tego ranka zobaczyłem przy wylocie z pieczary miecz. Widocznie wyniosła go woda...

Artysta rozwinął płaszcz, nieposkromionym światłem błysnął wprawiony w rękojeść kamień, fioletowy i zły jak oko Pierwotnego Stwora. Pienista Rzeka bierze swój początek w pieczarach, na pewno łączą się one jakoś z Labiryntem. Nikt o tym nie myślał, ponieważ tą drogą wyjść się nie da, a tym bardziej wejść, ale Abweniusze widać uznali, że nie potrzebują miecza, zabrali tylko życia. Najpierw jedno, potem mnóstwo.

- Co z Eri... Co z anaksem? - Beatrice nie była nawet blada... Ernani nie zaryzykowałby doboru słowa, które zdołałoby opisać oblicze eoriuszki. Nie lęk, nie ból, nie cierpienie, nie rozpacz - wszystko to było zbyt płaskie i małe.

- To ja... - Wątła kobieta poderwała się, by biec dokądś, ale Lorio schwytał ją w objęcia. - To ja jestem wszystkiemu winna... To ja powinnam była umrzeć, wtedy anaksa byłby żywy... Wszyscy by żyli!

- Uspokój się, kochanie. - Siwy strateg czule, ale mocno przytulił wrywającą się żonę do piersi. - To kazał ci honor... Niczego już się nie zmieni!... Pomyśl o dziecku.

- O dziecku?! - Tego krzyku Ernani nigdy nie zapomni. - O dziecku?!

- Dziecko nic nie jest winne - z mocą powiedział Lorio Borrasca. - Nie będę odbierał mu imienia. Abweniusze są litościwi, nasz syn nie będzie przypominał ojca, a jego brata.

- Mój syn będzie przypominał anaksa - Beatrice szeptała niczym we śnie. - Eridaniego Rakana... Tak... Spróbuję... Spróbuję żyć! Nie opuszczaj mnie, nas... Proszę. Tylko nie opuszczaj... Jestem tak winna...

- Nie masz na sumieniu żadnej winy. - Lorio czule pocałował żonę w czoło jak małą dziewczynkę. - Mój epia... Mój anaksie! Pozwól, że odprowadzę eoriuszkę. A ja zaraz wrócę.

- Eoriuszu Borrasco... Mój Lorio, jesteś wolny do rana. Eoriuszka Borrasca potrzebuje cię bardziej niż ktokolwiek inny. Zostań z nią tyle, ile tylko będzie potrzebne. A ja... - Ernani zerknął na miecz, który ciągle trzymał malarz. - Muszę porozmawiać z mistrzem Koro.

- Dziękuję mojemu anakswi. - Dowódca objął drżącą Beatrice i wyprowadził, niemal wyniósł z komnaty. Stuknęły drzewce halabard strażników, skrzypnęły drzwi. Zostali we dwóch - malarz i jego

uczeń, anaks i człowiek z ludu, który przyniósł miecz zaginionego władcy.

- Diarni... - Ernani popatrzył artyście w oczy - ...powiedziałeś mi wszystko, co wiesz?

## 8. Mistrz

- Diarni, powiedziałeś mi wszystko, co wiesz? - Szare oczy epiarchy patrzyły surowo i dorośle.

Jakże zmienił się młodzieniec w ciągu kilku dni! Zresztą czy tylko on jeden? Wszyscy stali się starsi nie o lata, a o wieki.

- Mój anaksie...

- Diarni. Teraz zdecyduj się raz i na zawsze. Albo mistrz Koro opowie wszystko, co wie o mieczu Rakanów anaksowi Kertiany i wróci do swoich obrazów. Albo Diarni zostanie z przyjacielem i pomoże mu nieść to, czego on sam nie da rady.

Malarz milczał, wpatrując się w oblicze, z którego jakby wyszło młodość. Gładkie policzki jeszcze nietknięte przez brzytwę, lekkie kasztanowe włosy, pulchne dziecięce wargi i przepełnione stuletnią goryczą oczy. Anaks czekał na odpowiedź i malarz po prostu powiedział:

- Ernani, zostaję.

- Dziękuję. - Chory chłopiec, który został władcą ogromnej rozdieranej buntami Kertiany, uśmiechnął się. - Pomóż mi w takim razie przejść do okna i usiądź obok. A miecz... Połóż go tak, bym go nie widział. Odczuwam strach, patrząc nań.

Strach? Dlaczego? Co takiego jest w tym dość niedbale wykutym przedmiocie? A może wyczuć to potrafi tylko Rakan? Diarni znowu zawiązał broń w pelerynę, położył na fotel z idącymi rzędem leopardami, przeprowadził młodego anaksa przez komnatę, pomógł mu usiąść i sam przycupnął obok. Powiedzieć czy nie? Martwi już nie wrócą, a prawda może przynieść cierpienie. Czy ta prawda jest potrzebna Ernaniemu, Loriowi, jeszcze nienarodzonemu dziecku, tysiącom mieszkańców Galtar?

- Zostałem zupełnie sam. - Młody władca nie skarżył się, po prostu powiedział, jak się sprawy mają. - Jestem anaksem, ale nie dam rady. Eridani nic mi nie opowiedział, za bardzo się spieszył. Moc Rakanów została utracona, a bez niej nie sposób utrzymać Kertiany. Póki żyje Lorio, póki nikt nie wie, że na tronie jest puste miejsce i to kalekie, będą się nas bali, ale potem, za dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści lat?

- Przestać jęczeć! - Malarz sam nie od razu uświadomił sobie, że krzyczy na anaksa tak samo, jak na niego krzyczał Lentiro Sollega. - Jeśli masz sprawny umysł, nie musisz używać pięści. Skoro poza tobą nie może nikt, to znaczy, że ty możesz. Ponieważ powinieneś!

- Wybacz! - Ernani z pełnym winy uśmiechem szarpnął artystę za rękaw. To był jego stary żart, chwala Abweniuszom, że przypomniał sobie o nim. - Wszystko rozumiem. Co wieczór będziemy się zamykali przed wszystkimi, ja będę marudził, a ty mnie sztorcował.

- Jeśli to komuś się na coś przyda, jestem gotów. - Diarni wpatrzył się w twarz młodego władcy i zdecydował się. Chłopiec ma prawo do prawdy i wystarczy mu sił, by ją znieść. - Ernani - głos malarza drgnął, mimo że bardzo się starał zachować spokój - muszę ci coś powiedzieć. Najpierw cię zabolę, potem jednak nadejdzie ulga. Jeden z twoich braci naprawdę był nikczemnikiem, ale nie Rinaldi, a Eridani.

- Wiem - cicho odparł anaks.

- Wiesz?! Od kiedy?

- Wszystko pojąłem, gdy przyniosłeś mi miecz. Eridani jest ojcem dziecka Beatrice. To chciałeś

mi powiedzieć?

- Tak. Ale to nie wszystko. Mistrz Lentiro...

- Żyje i ma się dobrze.

- Wiem. Szedłem tu przez Miasto Wiatru. Ernani, okłamałem cię. Walczyłem o spotkanie z Rinaldim nie po to, by go namalować, chociaż malowałem też. Byłem przekonany o jego niewinności i usiłowałem go uratować.

- Ale co mogłeś zrobić?!

- Mało, ale powiedziałem mu, że my z nauczycielem mu wierzymy, i przekazałem twojemu bratu broń, sandały i wytrychy.

- Przekazałeś?! - Wychylił się do przodu Ernani. - Podeszedłeś do kraty?

- Tak. Rinaldi uwolnił się od okowów... Nie wiem, co było z nim potem, czekałem na niego nad Pienistą Rzeką. Mistrz Lentiro mówił, że jej źródła są gdzieś w Labiryncie. Mieliśmy nadzieję, że Rinaldi wypłynie, ale znalazłem tylko miecz Eridaniego. Teraz wiesz wszystko. Chociaż nie... Kiedy Rinaldi odchodził w Labirynt, prosił mnie, bym został jego bratem. Nie mogę w żaden sposób potwierdzić tych słów, ale byłem szczęśliwy i dumny. I nie dlatego, że jestem znajdą, a Rinaldi należy do Domu Rakanów. On... Trudno mi o tym mówić i jeszcze trudniej słuchać, jak przeklina się jego imię. Nie wiem, co się stało w Labiryncie, ale nie wątpię, że miasto uratował Rinaldi!

- W tobie Rino znalazł lepszego brata niż mu byłem ja. - Ernani odwrócił się do okna. Diamni cicho usiadł na ławie pod ścianą. Są takie chwile, których nie wolno spłoszyć. W powietrzu mignęło coś złocistego. Motyl... Paż królowej... - Diamni - głos młodego anaksa był napięty jak struna, która za chwilę może pęknąć - wiem, co zrobić. Przywołaj dyżurnego eoriusza!

Malarz wykonał polecenie, nie rozumiejąc, co zamyślił anaks. Ozdobione wykutymi w brązie śmiejącymi się twarzami drzwi otworzyły się z trudem, ale stojący na straży halabardnicy nawet nie obrócili głów - oni mają patrzeć przed siebie, na tych, co wchodzą. Z kolei dyżurny eoriusz w pelerynie ze znakiem Unda pojawił się na progu natychmiast, za jego plecami widniały postacie dwóch uzbrojonych w miecze żołnierzy.

- Wejdz - drewnianym głosem rzucił Ernani. Strażnicy rozsunęli halabardy, wchodzący pochylił głowę i przyłożył rękę do serca.

- Mój anaksie.

Wiadomość o znalezionym mieczu zapewne już rozniosła się po pałacu i dla jego mieszkańców stała się świadectwem śmierci Eridaniego. Dobrze by było, gdyby to była prawda!

- Eoriuszu - Eridani nie zapomniał o tytule - potrzebny mi abweniarcha.

- Słucham anaksa.

Młody człowiek w lazuruwej pelerynie wyszedł i w tym momencie Diamni przypomniał go sobie. To on spuścił oczy w czasie egzekucji, czyli żyje w nim i sumienie i współczucie. Trzeba to powiedzieć Ernaniemu, niech ten eoriusz wejdzie do grona jego zaufanych ludzi. Malarz zamknął drzwi i odwrócił się do byłego ucznia.

- Co zamyśliłeś?

- Galtary muszą znać prawdę.

Czyli Rinaldi będzie usprawiedliwiony. Pośmiertnie...

- Dlaczego milczysz? - zapytał anaks.

- Nie wiem. Jeśli stamtąd można zobaczyć, co się dzieje tu, więc jeśli tam jest to ważne, Rinaldi będzie rad. Nie z powodu okrzyków na ulicach, a dlatego że jednego prawdziwego brata jednak ma.

- Wierzysz w życie wieczne?

- Chcę wierzyć, a czy wierzę, nie wiem sam.

Milczeli chwilę, potem Ernani zapytał, jak się nazywa fruwać po komnacie motyl. Diamni odpowiedział, znowu zapadła cisza. Obaj dobrze znali swoje myśli, nie musieli rozmawiać. Abweniarcha pojawił się niespodziewanie, choć anaks i malarz czekali przecież na niego. Już wiedział wszystko, to znaczy nie wszystko, a to, co wiedzieli wszyscy.

- Mój anaksie, abweniacy oplakują twoją stratę i radują się z twojego panowania!

Słowa, zwyczajne rytualne słowa, ale jak znacząco wypowiedziane!

- Słowa bogopamiętnego niosą nadzieję.

Jeszcze jedna rytualna wypowiedź.

- Wiem, że mój brat Rinaldi jest niewinny, i chcę, by wiedzieli o tym wszyscy - Ernani nie zwlekał i nie kołował.

- Te słowa czynią honor bratu. - Abweniarcha westchnął. - Ale nie anaksowi.

- Co?! - Oczy Ernaniego błysnęły nie gorzej niż oczy Rinaldiego.

- Mój anaksie - bogopamiętny porzucił znaczący i błogosławiony ton, widocznie rozumiejąc, że tu i teraz jest nie na miejscu - będziesz zdziwiony, ale niewinność Rinaldiego była dla mnie oczywista już w dniu Próby. Tak samo jak wina Eridaniego.

- I ty pozwoliłeś... dopuściłeś...

- Tak. Wtedy uważałem to za słuszne. Kertiana przeżywa nie najlepsze czasy, Ernani z Domu Rakanów. A ci, co się znaleźli na szczycie władzy, powinni myśleć przede wszystkim o swoich obowiązkach, a dopiero potem o swoim sumieniu. Eridani zapowiadał się na dobrego anaksa i stałby się nim, gdyby więcej myślał o Abweniuszach. Nie patrz tak na mnie, mistrzu Koro. Ja, jak i moi pomocnicy, powinniśmy wygłaszać ładne słowa i wygłaszamy je, ale teraz mówię o prawach, przekraczanie których jest niebezpieczne. Mój anaksie, wiesz, że Eridani zabił młodszego brata, ale raczej nie domyśliłeś się, że śmierć Anestiego również obarcza jego sumienie. Pożądał władzy i był przekonany, że będzie najlepszym anaksem z całej rodziny. Ciebie w ogóle nie brał pod uwagę, ale Anesti był najstarszy, a Rinaldi zbyt silny i nieprzewidywalny.

- Czyli... - Diamni zapomniał, że jest człowiekiem z ludu - ...rzecz nie leży w Beatrice?

- Nie, rozpustnica była tylko orężem. Ona naprawdę kochała anaksa ponad obowiązek i honor, a on wykorzystał to w swojej grze, chociaż ciało Beatrice wzbudzało jego pożądanie.

- Dlaczego milczałeś wcześniej? Dlaczego mówisz to teraz?

- Dlatego, że stałeś się anaksem i teraz musisz wybrać między spokojnym sumieniem a spokojem kraju. Jeśli rozkażesz, abweniacy we wszystkich świątyniach ogłoszą, że Rinaldi Rakan zginął niewinny, a zaginiony Eridani jest bratobójcą, krzywoprzysięzcą i chciwcem, którego czyny ściągnęły na Galtary gniew Abweniuszy, a Beatrice Borrasca jest jego kochanką i współniczką. Chcesz tego?

- Nie! - wykrzyknął Ernani. - Chciałem jedynie oczyścić imię brata.

- Ale musiałbyś opowiedzieć prawdę o Eridanim i Beatrice. Wiesz, do czego to doprowadzi?

Ernani nie powiedział „tak” ani „nie”, tylko patrzył na bogopamiętnego.

- To doprowadzi do tego, że Beatrice rozszarpia na strzępy matki i żony ofiar ostatnich dni. Jeśli nie uratuje jej mąż, który najpierw musi sam znieść te wieści. Zniesie?

Młody władca wolno pokręcił głową.

- Czyli stracisz wodza, na którego mieczu trzyma się Złota Anaksja. Nawet jeśli Lorio nie umrze, to załamie się. Nie potrafisz przywołać Mocy, nie możesz prowadzić armii, nie zechcesz rzucać

wojów na zbuntowaną czerń, a czerń się zbuntuje, gdy esperatyści doleją oliwy do ognia. Oto do czego doprowadzi sprawiedliwość wobec martwego człowieka.

- Dlaczego więc nie uratowałeś go, kiedy jeszcze był czas?

- Pomyliłem się - bardzo spokojnie odpowiedział abweniarcha. - Uważałem Rinaldiego za zbyt nieprzewidywalnego i niebezpiecznego. Był jedynym z braci, który bawił się Mocą Rakanów, nic o niej nie wiedząc i nawet nie domyślając się, co robi. Ale anaks wiedział, do czego jest zdolny jego brat. Każdy sądzi po sobie, więc skoro Eridani uknuł śmierć Anestiego, to oczekiwał tego samego ze strony Rinaldiego. Uwierzyć, że ktoś nie pożąda władzy, anaks nie potrafił.

- Ale ciągle nie mówisz, dlaczego nie uratowałeś go.

- Dlatego, że Rinaldi był wspaniałym człowiekiem, ale żadnym następcą! Uważałem, że Eridani może uratować mocarstwo, niechby nawet przy pomocy podłości, a szczerłość Rinaldiego zgubi je na pewno. Już przyznałem, że byłem w błędzie. Ale teraz należy myśleć o tym, co będzie, a nie szukać winnych.

- Nie szukam winnych, chcę obronić niewinnego.

- Niewinnego? Co wiesz o Mocy Rakanów? - Pytanie zabrzmiało władczo i nieoczekiwanie.

- Mało - pokręcił głową Ernani. - Eridani nie zdążył mi nic powiedzieć.

- Nie „nie zdążył”, a nie zechciał. Uważał, że póki następca nie posiadał wiedzy, nie jest niebezpieczny. Toteż było błędem. Pierwotne Stwory obudziło przekleństwo Rinaldiego. Gdyby biedak był winny, nic by się nie stało, ale był niewinny w obliczu Abweniuszy, i ci odpowiedzieli. Zgubę Galtar mogła powstrzymać tylko krew prawdziwego winnego. Tak zatem się stało. Labirynt zwrócił miecz Rakanom, czyli grzech został odkupiony. Trzeba żyć dalej. Gdyby Rinaldi Rakan przeżył, pierwszy nalegałbym na rozgłoszenie prawdy, ale on zginął. Zostałeś ty i Lorio. Chcesz też jego zguby?

Abweniarcha miał rację, ale jakże obrzydliwa była jego racja! Ernani podniósł udręczone spojrzenie.

- Diamni, Rino nazwał cię swoim bratem. Co powiesz?

Co on może powiedzieć?! Niech będzie przeklęta władza, wybór, konieczność decydowania... Ratując życie Rinaldiego, gotów był sam złożyć głowę na pniu. Mógł niechcący dotknąć zaczarowanej kraty i stać się żywym posągiem, ale nie było w nim wahania, a teraz nie wie, co ma powiedzieć. Sprawiedliwość dla jednego, tego, którego kochasz, a jednocześnie krzywda tysięcy innych... Oto oni, „Odchodzący” mistrza Sollega... Oto, o czym krzyczy spojrzenie Unda zdradzającego swoją miłość, żeby nie zdradzić swojego obowiązku wobec żyjących i tych, którzy dopiero się urodzą.

- Gdyby Rinaldi żył, oddałby swój honor za życie Galtar i Złotą Anaksję. Powinniśmy ukryć prawdę, choćby nawet na jakiś czas...

- Na jakiś czas. - Ernani wychylił się do przodu, oblicze jego pojaśniało. - Właśnie! Na czas, kiedy wszystko się poukłada...

- Raczej takie czasy nie nadejdą. - Abweniarcha nie znał litości. - Ale teraz rzeczywiście mamy czas grzebania swoich martwych. Ernani Rakanie, przez całe życie służyłem nie Abweniuszom, którzy odeszli i nikt nie wie, czy powrócą. Służyłem i służę Złotej Anaksji. To, co ci powiem, chciałem powiedzieć Eridanemu i miałem nadzieję, że on to zrozumie. Ale to, co dla anaksa władającego Mocą było jedną z możliwych ścieżek, dla ciebie stało się jedyną możliwą. Musisz zrezygnować z Mocy Rakanów i wiary w Abweniuszy, musisz zostawić Galtary z ich widmami i

zbudować nowe państwo, które opiera się nie na pozostawionej w testamencie magii, a na rozumie, mieczu i złocie.

- Jakże mogę porzucić coś, czego nie mam? - Młody anaks był wstrząśnięty. - I jak ty, właśnie ty, możesz mówić o zmianie wiary?

- Nie masz nawet siedemnastu lat. Kiedy będziesz miał sześćdziesiąt sześć, przestaniesz się dziwić. Odrzucisz Moc Rakanów właśnie dlatego, że nią nie władasz. Wszyscy, słyszysz?, wszyscy powinni wiedzieć, że Ernani Rakan może wywołać Zwierza, może władać żywiołami i widzieć przyszłość, ale nie chce. Ale zapędzony w kąt, zada cios, i to taki, po którym nikt się nie otrząśnie. Przeżyty przez Galtary koszmar odrodził wiarę w Pierwotne Stwory i Moc Rakanów. Rinaldi obudził potwory, Eridani zapędził je z powrotem w mrok.

- Jestem kiepskim kłamcą. Czym objaśnię niechęć do życia wedle starych obyczajów? Przecież są święta, obyczaje, kiedy anaks...

- Właśnie dlatego przestaniesz być anaksem, a nazwiesz się inaczej. Cesarzem, imperatorem, bazyleusem... Ładnych słów jest wiele. A nowa wiara zabrania ci korzystania z Mocy. Będziesz musiał stać się esperatystą. Ci wariaci nazywają Abweniuszy demonami, nic więc dziwnego, że po przejściu na nową wiarę nie będziesz chciał czerpać ze źródła Zła.

- Esperatyści? - Przed oczy Diamniego wypłynął pokryty krostami szaleniec, który rzucił się na Rinaldiego, chociaż... chociaż jego wrzaski o złu mogły dotyczyć Beatrice. Czyżby esperatysta to wyczuł?

- Mistrz Koro nie poważa esperatystów? - Uniósł brew abweniarcha. - Uwierzcie mi, ja też ich nie kocham, w każdym razie obecnych. Ale wyślę do nich siedmiu bardzo mądrych młodych ludzi, wyposażywszy ich w pewne sekrety, oczywiście każdy pozna tylko jakiś fragment. Po kilku latach nie poznacie esperatystów, a o tobie, anaksie, rozpuszczę słuchy, że tak jesteś wstrząśnięty siłą odsłoniętej przed tobą Mocy, że przysięgłeś nie budzić jej bez naprawdę koniecznej ku temu potrzeby. Potem słuchy staną się konkretniejsze, ludzie zaczną gadać, że jesteś tajnym zwolennikiem esperatyzmu...

- Czyń, jak uważasz... - głos Ernaniego brzmiał martwo. - Masz rację. Nie wiem, co bym zrobił, gdybym dysponował Mocą. Może naprawdę bym z niej zrezygnował...

- Musisz odpocząć - bez wahania oświadczył bogopamiętny. - Anaks musi troszczyć się o swoje ciało.

- Odpocznę - tak samo beznamiętnie obiecał młody władca.

Abweniarcha wstał i wyszedł. Stuknięcie drzwi, głosy strażników, szelest liści za oknem...

- Rinaldiego ponownie zamordowano. - Ernani dokuśtykał do okna i zatrzaskał je. - Zdradzono i zamordowano. Tym razem ja i ty. Jego bracia!

- Mój anaksie... Ernani... Nie mów teraz nic. Jutro Lentiro Sollega pokaże ci „Odchodzących”... Nie powiem, że zrobi ci się lżej na sercu, ale zrozumiesz, że inaczej się nie da...

## 9. Rinaldi

- *Ciągle trwasz w swojej decyzji?*

- Tak.

- *Jesteś gotów odrzucić swoje imię, swoją pamięć, swoje jestestwo?*

- Tak.

- *Przysięgasz wierność Eternie? Czy jesteś gotów do walki? Czy uznajesz władzę Archonta?*

- Tak.

- *Wejdz.*

Czarne i purpurowe... Pokryty posiwiałą trawą step, kłębiące się obłoki, niespokojnie krzyczące ptaki, prowadząca do rozżarzonej przepaści droga. Odchodzi w Zmierzch, ponieważ nie ma więcej dokąd pójść. Wszystko skończone, był, teraz go nie ma.

- *Masz prawo do swojej ostatniej prawdy. Chcesz poznać przeszłość, zanim przestanie być twoją?*

- Tak.

- *Otrzymasz odpowiedź. Pytaj.*

- Jak umarł mój brat i mistrz Sollega?

- *Twoi bracia. Anestiego Rakana zabił Eridani Rakan. Eridaniego Rakana zabiłeś ty. Mistrz Sollega żyje.*

- Czyli Ada łąła?

- Tak.

- Dlaczego?

- *Wybrała ciebie. Dla Eterny i dla siebie. Gdybyś poznał prawdę, nie poszedłbyś z nią.*

- Co jeszcze było kłamstwem?

- *Wiele.*

- Chcę znać prawdę.

- *Pytaj.*

O co? O Ernaniego? O freski w pieczarach? O to, co zapomniał?

- Co się stało z Galtarami?

- *Twój brat, wykorzystawszy przekazaną mu Moc, wypędził na zewnątrz podziemne potwory.*

- Po co?

- *Żeby potem je przegonić. Władza Rakanów słabła, Eridani postanowił odrodzić blask Złotej Anaksji. Do tego potrzebny mu był lęk. Potrzebny był mu Zwierz Rakanów, żeby najpierw zniszczyć potwory, a potem złączyć w jedno Złote Ziemię i położyć kres powstaniom i wojnom. Ale z woli Nieobecnych tworzący Zwierza płaci za to swoim życiem. Eridani wymyślił, jak obejść zakaz, zapłaciwszy za to życiem brata. Nie wiedział, że pozbyłeś się okowów. Zabiłeś Eridaniego i potwory wróciły do pieczar. Co jeszcze chcesz wiedzieć?*

- Co się stało z Ernanim i Diamnim?

- *Ernani jest anaksem. Diamni Koro jest przy nim. Nie myśl o nich. Jesteś dla nich martwy.*

- Fresk w pieczarze... Kim ona jest?

- *Już i tak wiesz zbyt wiele.*

- Kim ona jest?!

- *Wystarczy. Nie do niej należysz, a do Eterny!*

- Muszę... Muszę wrócić!

- *Za późno! Los Kertiany nie powinien ci więcej zaprzętać głowy. Eterna bierze twoją pamięć i daje ci swoją. Eterna bierze twoje życie i daje ci wieczność. Eterna bierze twój ból i daje ci radość. Należysz do Eterny, tylko do Eterny! Nie masz imienia. Nie masz przeszłości. Nie masz niczego poza Eterną! Jesteś Strażnikiem Zmierzchu] Wybrałeś swoją drogę.*

- Nie! Niech będzie przeklęte wszystko, ale nie!



Szarpnął się z szaleńczą siłą uwięzionego w pułapce zwierzęcia, ale Eterna trzymała mocno. Ryk płomienia i dźwięk tysiąca pękających strun były ostatnimi dźwiękami, jakie usłyszał Rinaldi Rakan, trzeci syn kertiańskiego anaksa, dobrowolnie podążający za Adą, która go wybrała. Ogniste skrzydła zamknęły się, odcinając epiarchę od minionego życia, od nieudanej śmierci, od niego samego. To był koniec. I był to początek.

...Nie miał ani imienia, ani przeszłości. Jego nogi pieściły pachnące gorzko kwiaty, a nad głową szybko płynęły przypominające okręty obłoki.

- Czekałam na ciebie, Strażniku Zmierzchu. - Rudowłosa piękność uśmiechnęła się na powitanie. Wiedział, że to Ada, teraz wiele rzeczy wiedział. Znał imiona wygasłych gwiazd, stare proroctwa, minione potyczki, prawa Eterny, pieśni Rubieży - wszystko to stało się obecnie jego częścią. Mógł otwierać drzwi między światami, bawić się błyskawicami i falami, zabijać spojrzeniem, słyszeć obcych, poznawać swoich. Nie był nieśmiertelny, ale zabicie go wymagało niewyobrażalnego trudu. Czas opływał Strażnika Zmierzchu, nie wyrządzając mu szkody, czekały nań bitwy i święta, niekończące się bitwy i święta...

- O czym myślisz? - zapytała Ada i roześmiała się.

Nadleciał wiatr i rozwiał rude kędziory, woń kwiatów

stała się jeszcze mocniejsza i bardziej gorzka. W Eternie panowała wiosna, ale fioletowe dzwoneczki pachniały jesienią.

O czym myślisz? Rzeczywiście - o czym? Wszystko już zostało zdecydowane raz i na zawsze. Wybrał swój los i nie powinien tego żałować, oglądać się, tym bardziej że nie ma na co się oglądać. Rano pójdzie na Rubież, ale ta noc należy do niego. Ada go chce i jest piękna, bardzo piękna... Strażnik Zmierzchu sam zdziwił się złości, z jaką szarpnął purpurowy jedwab.

## Epilog

A życie i śmierć

Jeszcze nie rozliczyły się ze sobą...

Bułat Okudżawa\*

Mistrz Diamni Koro umierał. Żeby konającemu nie przeszkadzał stukot podkutych ćwiekami butów, pod oknami komnat, które zajmował malarz, rozrzucano słomę. Za drzwiami sypialni tłoczyli się uczniowie, jedni ze szczerym, inni z udawanym niepokojem wpatrujący się w poważne i milczące oblicza lekarzy.

Co dwie godziny przybiegali gońcy od imperatora, a pod wieczór władca Kertiany przybył we własnej osobie. Wraz z Esperadorem Tankredem, jeszcze niestarym, ale już kompletnie siwym mężczyzną z jasnobłękitnymi przenikliwymi oczami.

Imperator i jego towarzysz weszli do domu, a liczna świta została pod drzwiami. Dworacy najpierw z odpowiednim do sytuacji wyrazem twarzy stali nieruchomo, potem zaczęli przestępować z nogi na nogę, wreszcie szeptać, a najodważniejsi zaryzykowali oparcie się o ścianę. Czas płynął, a władcy Złotego Imperium nie było i nie było. Kiedy rude wieczorne słońce utonęło w wodach Danaru i nad Kabitelą zgęstniał zmierzch, pojawił się Esperador i pospiesznie ruszył na wieczorną modlitwę. Władca został z umierającym. To był niesłychany wręcz honor!

Odważny, czasem okrutny imperator Anesti żelazną ręką przekuwał w życie to, co rozpoczął jego ojciec Ernani. To, że docenił mistrza Koro, wiedzieli wszyscy, ale nikt nie mógł przypuścić, że władca, mało przypominający swego chorowitego, choć silnego duchem ojca, tak wyróżni umierającego starca. Przed północą Anesti wyszedł, rzuciwszy do zrywających się na równe nogi sług i lekarzy, że chory zasnął i nie należy go niepokoić. Nikt nigdy nie widział, by oczy monarchy kiedykolwiek tak mocno błyszczały - to właśnie świta przekazywała sobie szeptem.

Około pierwszej w nocy chory ocknął się i zażądał, by zaniecono go na górne piętro, do jego pracowni, i pozostawiono samego. Słudzy i lekarze nie odważyli się spierać z pupilem imperatora. Na żądanie mistrza zapalono mnóstwo świec, po czym rozsunięto szczelną zasłonę zakrywającą ogromne płótno, nad którym Koro pracował od chwili, gdy wszedł do swych komnat w nowym imperatorskim pałacu. Dzieło oglądali tylko nieliczni wybrani, oko pozostałych widziało tylko szarą, wysmarowaną farbami zasłonę, której dotykanie było surowo zakazane. Słudzy chcieli zobaczyć tajemniczy obraz, ale posłuszni woli starca pospiesznie pożegnali się i odeszli. Stary malarz został sam na sam ze swoim dzieckiem.

Siedząc w wysokim rzeźbionym fotelu, którego oparcie zdobił łańcuch idących jeden za drugim leopardów, Diamni Koro wpatrywał się w to, co przez ponad czterdzieści lat było sensem jego życia. Uczeń wielkiego Sollegi nie wiedział, skąd i jak przyszedł mu do głowy ten właśnie temat, ale pomysł nie dawał artyście spokoju ani w dzień, ani w nocy. I oto na specjalnie utkany płótnie powstały nigdy niewidziane w Kertianie komnaty. Ogromne okna wychodziły na zachód. Przy długich, bogato zastawionych stołach ucztowali mężczyźni i kobiety i wszyscy oni byli

nieprawdopodobnie, nieludzko piękni. Na odzianych w czerń i purpurę mężczyznach widniał dziwny rysunek, którego nikt nigdy nie używał, najwidoczniej musiała więc wykuć go wyobraźnia malarza. Kobiety odziane były w cieniutkie jedwabie w najbardziej wyszukanych i delikatnych barwach, a na łabędzich szyjach i pięknych rękach błyszcząły dziwne złocistopurpurowe i fioletowe kamienie. Namalowane tu postacie wydawały się tak żywe, silne, obdarzone czymś, co śmiertelnym nie było dane. Cieszyła je każda chwila ich uczyty, ich święta, jakby w głowach wciąż mieli jakąś wojnę, na którą przyjdzie im wrócić.

Obraz wydawał się skończony, ale mistrza nie zadowalał. Lewy kąt wciąż był - jego zdaniem - nieudany. Tam przy stole siedział jasnowłosy wojownik, jedyny, który nie pił i nie śmiał się. Wszechobecna wesołość ciążyła mu, choć raczej sam nie wiedział dlaczego. A tym bardziej Diamni Koro nie byłby w stanie wyjaśnić, z jakiej przyczyny namalował Rinaldiego Rakana w taki właśnie sposób. Kiedy mistrz zaczynał swoją „Ucztę”, chciał, aby zabity epiarcha był szczęśliwy przynajmniej na obrazie, jednak przybrany brat znowu objawił swoją krnąbrność. Nie chciał ani się śmiać, ani pić, ani obejmować wspaniałych piękności.

Na ramieniu Rinaldiego spoczywała ręka rudowłosej kobiety w ognistych jedwabiach ledwie osłaniających cudowną pierś, ale szmaragdowe spojrzenie nieżyjącego epiarchy utkwione było gdzieś w przestrzeni. O czym myślał? Czego pragnął? I czego chce on, Diamni Koro?

Malarz westchnął i niemal krzyknął, gdy pierś i plecy przeszła mu strzała bólu. To głupstwo, ważne, że musi odgadnąć, czego tu brakuje! Każdy, kto widział „Ucztę Wiecznych”, twierdził, że nic doskonalszego spod ręki mistrza nie wyszło. Nawet Esperador, choć jego zdaniem obrazu nie powinno oglądać spóółstwo, nazwał go największym przejawem ludzkiego geniuszu. I tylko Diamni był niezadowolony, dlatego kazał zanieść „Ucztę” do pracowni. Życie dobiegało końca, a mistrz Koro nie mógł odejść, nie dokończywszy swojego najważniejszego dzieła.

Za oknem błękitniało nocne niebo, przypominające porzucone Galtary i jednocześnie zupełnie do nich niepodobne, spadały gwiazdy, śpiewały cykady, dojrzewały jabłka, nad polanami lewkonii krążyły nocne motyle. Ten świat był piękny, Koro nie chciał go zostawiać, ale i tak przeżył bardzo, bardzo długie życie. Wszystko, wśród czego dorastał, w co wierzył, zniknęło. Umierał w innym kraju, w innym mieście, w innej wierze, przeżywszy wszystkich, których znał w młodości. Pozostała mu tylko pamięć i obraz. Cóż więc powinno tam być? Na zapomnianych dziś Abweniuszy, co?!

Płomień? Wlatujący przez okno ptak? Posąg? *Jeszcze* jedno okno, przez które widać wodospad? Nie, nie to! Mistrz próbował i ognia, i kwiatów, i postaci, ale wszystko to tylko przeszkadzało! Zostawić tak jak jest?...

Diamni w napięciu wpatrywał się w obraz i nie widział, jak słup księżycowego światła zadrżał i wygiął się, stopniowo przyjmując zarys wysokiej, ale kruchej ludzkiej postaci. Lekka i nieuchwytna stopniowo obrastała ciałem. Po chwili miała już kruczoczarne warkocze, delikatne duże usta, ogromne niebieskie oczy pod ciemnymi łukami brwi, szczupłe dłonie z długimi palcami, ale mimo to kobieta wydawała się być niedostępna i odległa jak odbicie w starym mętnym zwierciadle albo w nocnym oknie.

Mistrz nie widział dziwnego gościa, ale jej sobowtór wolno i nieodwracalnie wstępował na obraz - lekki cień, odbicie na srebrzystym, lustrzanym kamieniu. To było to, czego tak długo szukał! Kobieta-fresk, kobieta-widmo, kobieta-pamięć, której nie ma i nie może być w tej przepełnionej radością sali, a która tym niemniej istnieje. Istnieje w sercu Rinaldiego Rakana, przyjaciela i brata Diamniego Kora, Rina, który zginął w galtarskich podziemiach ponad pół wieku temu!

Przez mgnienie oka stary malarz żałował wymyślonej przez siebie rudowłosej kobiety, takiej pięknej i takiej niepotrzebnej. Ona łączyła do Rinaldiego, ale on należy do innej, nieuchwytniej i nietrwalej, z niebieskimi niespokojnymi oczami. On należy do swojego świata i siebie samego i wcześniej czy później odnajdzie drogę do domu, nawet jeśli będzie musiał przejść przez piekło i wrócić na cmentarz. Właśnie dlatego Rino żyje, jedyny ze wszystkich zebranych w tej zalanej światłem zmierzchu komnacie. Żyje, ponieważ nie zaznał spokoju, nie zapomniał o tym, co to ból, nie zapomniał tęsknoty za niespełnionym.

Malarzowi wydało się, że śpi i widzi sen, w którym znalazł to, czego tak długo z takim wysiłkiem szukał. Najbardziej na świecie Diamni bał się, że umrze, śpiąc, albo zapomni o swoim widzeniu. Teraz nie odrywał wzroku od obrazu, a kobieta-odbicie znajdowała się już obok niego. Przez jakiś czas niebieskooka nieznajoma w milczeniu stała za fotelem artysty, potem świecąca, na poły przezroczysta ręka czule dotknęła włosów malarza. Kobieta pochyliła się i pocałowała go w czoło, po czym zniknęła.

Pozostał *jej* wizerunek na obrazie, przed którym siedział martwy mistrz. Praca dokończona - Diamni Koro był wolny.

urodzona w 1972 roku w Leningradzie. Ukończyła Państwową Akademię Medyczną (specjalność endokrynologia), po czym przez kilka lat pracowała jako lekarz. Fantastykę pisze od 1989 roku. Debiutowała w 1999 opowiadaniem *Pozwól mi odejść!* Od 2000 roku zawodowo zajmuje się fantastyką. Równolegle pod pseudonimem publikuje książki popularnonaukowe o cukrzycy i - już pod swoim nazwiskiem - o wczesnym rozwoju dzieci. Napisała trzy zbiory prozy. Jest również autorką przewodnika po petersburskich pałacach, ma na koncie szereg przekładów fantastyki niemieckojęzycznej (Herbert Franke, Andreas Eschbach). Zdobyła nagrodę „Drzwi do lata” przyznawaną na podsumowanie sezonu twórczego w Studium Akademii Fantastyki przy Związku Literatów Sankt Petersburga. Prywatnie żona Antona Pierwuszyna znanego już polskiemu czytelnikowi m.in. z I tomu almanachu rosyjskiej fantastyki *Mroczny Bies* (Fabryka Słów, 2006).

Prezentowana *Czarna msza Arkanaru* pochodzi ze zbioru opowiadań różnych autorów nawiązujących do wątków powieści Arkadija i Borysa Strugackich, znanych od lat również polskim czytelnikom.

Jelena  
Pierwuszyna

Czarna msza  
Arkanaru

Przekład

Ewa i Eugeniusz Dębscy

Trzy drzwiach  
Zwierzaki stały.  
Jak się ja głaskało,  
To uciekały...

(Wierszyk dorastającego chłopczyka)

1.

Podczas gdy don Rumata Estoryjski usiłował wywołać awanturę (po raz siódmy i zapewne nie ostatni w tej podróży), Kuin, wnuk alchemika z ulicy Blaszaney, uznał, że najwyższy czas wziąć nogi za pas. Uwolnił stopę z zimnego strzemienia i myknął w krzaki: wynurzył się z obłoku woni mokrej skóry, końskiego potu, nieznanych maści (ciekawe, po co one szlachetnemu donowi - niby żadne brudne plotki o nim nie krążą, a może u południowców takie wynaturzenia są naturalne?) i zanurzył się w świecie zbutwiałych liści, drżących na wietrze nagich drzew, strachliwych nocnych ptaków. Tak poprzednie życie zatrzasnęło za *jego* plecami swoje podwoje jak niedopisana, porzucona w pośpiechu księga. Przytulił twarz do ciemnego pnia drzewa i przez kilka chwil płakał. Nawet nie tyle z poniżenia (łzy czegoś takiego nie zmywają), powodem było po prostu bezgraniczne zmęczenie. Potem otworzył torbę i wyciągnął ukradzioną dziś z pracowni Świętą Księgę. Zamówiła ją donna Sandra, miała już wczoraj dostać opasły tom do swych rąk, ale nie sądzono jej było. Błysnęły złotem i krwawym cynobrem miniatury, Kuin szarpnął do siebie okładkę, z trudem oderwał pół tuzina kart, cisnął je na ziemię - w mech i mokre listowie - przydusił obcasem, po czym wyszeptał:

- Wyrzekam się Ciebie, Stwórco mój i Władco wszystkiego, i miłości Twej, i wszystkich świętych tajemnic, i świętych Twych, i Kościoła, i Władz, i Tronów, i życia wiecznego, pozagrobowego...

Język plątał słowa, te grzęzły w krtani, jakby bały się pojawiać w bożym świecie, ale Kuin darł z całej mocy oporny pergamin, pochlipywał i wyrzucał z siebie już na cały głos:

- I obiecuję Ci, że będę dokonywał tyle zła, ile tylko zdołam, i że doprowadzę wszystkich do dokonywania zła.

Wściekły grzmot rozbrzmiał ponad lasem. Jęknąwszy, pochyliły się drzewa. Milczący gigant maszerował po ich wierzchołkach. Blisko, coraz bliżej. Kuin wyraźnie słyszał jego oddech, ale już nie zostało mu sił, żeby się wystraszyć. Kopista zdarł krzyż, który nosił od zawsze - od dnia chrztu, splunął nań, rzucił na ziemię i znieruchomiał gotowy napotkać ogniste spojrzenie swego zazdrosnego Boga.

Ale czas płynął odmierzany mgnieniami, a wielkolud, ciągle wzdychając z urazą, krążył gdzieś dokoła, potem cicho, niemal zawstydzony, powiercił się i umilkł, zaś Kuin zrozumiał, że Pan nie uznał jego odstępstwa za jakąś wielką stratę.

Kopista znowu otworzył torbę, przemknął opuszkami palców po stronach innych ksiąg - jego wspaniałych córek, jego jedynych spadkobierczyń. Wychowywał je, rozpieszczał i otaczał opieką

przez całe lata, marzył, że zobaczą cały świat, że staną się ukochanymi przyjaciółkami godnych ludzi, że nigdy nie zaznają smutku. I oto teraz zmuszony był je opuścić. Stały się zbyt niebezpiecznymi towarzyszkami podróży, a odwieczny przeciwnik Pana jest nie mniej niż On sam zazdrosny i kocha, gdy mu się oddaje coś najdroższego. Kuin pożegnał księgi, szepcząc:

- Jak wy nie wróćcie do mnie, tak niech i moja dusza nigdy nie powróci na niebiosa.

Potem powiesił torbę na sęku i nie oglądając się, pomaszerował w głąb lasu.

2.

Zawsze chadzał po krawędzi. Nie da się inaczej, kiedy człowiek ma do czynienia z książkami. Nawet jeśli się tylko je przepisuje, nawet jeśli są to tylko te dozwolone przez Świętą Macierz. Każdy księgarz zawsze jest trochę czarnoksięgarzem, nawet jeśli ani jedna buntownicza myśl nie wpada mu do głowy. W każdej „mówiącej stronicy” zawsze jest trochę magii.

Nie założył nawet rodziny, żeby w razie czego bez obciążenia móc w każdej chwili uciec. I miał rację. A wszystko zaczęło się od sąsiada, który uznał, że jego ogród jest za mały. Chciał wybudować altanę na brzegu rzeki, posadzić wokół wonne kwiecie i wieczorami przesiadywać sobie w tej altanie z przyjaciółmi przy szklaneczce wina, patrzeć, jak słońce osiada za wierzchołkami odległych gór. Ale na rzekę wychodził jak na złość dom Kuina. Sąsiad zatem podjął działania.

A może altanka to tylko był pretekst, zaś dostępu do rzeki potrzebował w innym celu? I kopista stał się ofiarą nie tyle sąsiedzkiej miłości do piękna, co jakichś bandyckich zamysłów? Kto to teraz wie?

Pewnie nie wie nawet służąca pazernego sąsiada, która romansowała z czeladnikiem Kuina. To od niej dowiedzieli się o nadchodzącym szybko zagrożeniu. I skromny przepis wacz ksiąg, kompletnie niespodziewanie dla samego siebie nawet, rozjuszył się. Pakując w bałaganie manele, mamrotał pod nosem jak szalony: „Nie jestem krową, żeby dać się prowadzić na rzeź. Nie jestem krową, żeby dać się prowadzić na rzeź. Po licho mi takie życie, żebym się cały czas czegoś bał?”.

O jakie dokładnie przestępstwo oskarżył go sąsiad, Kuin nie miał pojęcia. Żeby się dowiedzieć, musiałby zostać w mieście, czekać na Szarych Braci - oni by mu wszystko objaśnili dokładnie. Ale chociaż był mocny w słowach, to życie było mu droższe. Tylko - na Boga! - NIE TAKIE.

Wtedy, gdy pakował się w pośpiechu, wypłynęły z zakamarków pamięci wszystkie te ostrożne szepciki, wszystkie słodkie obietnice pijaniutkiego kapłana z karczmy. Zaś kiedy już za miejskimi murami zobaczył czarny słup dymu nad swoją pracownią, podjął decyzję.

3.

Pusta, porzucona świątynia tonęła w mgle. Kuin ostrożnie otworzył przekrzywione drzwi i poczuł na twarzy żar ogniska. To nie było jeszcze piekło - po prostu ogień rozpalony na środku kaplicy, dokoła którego krzątała się szóstka ludzi. Starutki siwobrody kapłan, dwaj czeladnicy z miasta, wędrowny student z kompletnie przepitą fizys, młodzutki mnich w szarej sutannie oraz szlachetna donna w purpurowym pluszowym płaszczu, który chwilami rozchyłał się, obnażając malutką, smukłą nóżkę. I kopista już wiedział, że pod płaszczem nie ma nic.

- No to jesteśmy wszyscy, dzieciaczki moje - zagruchał kapłan, widząc przybyłego. - Wspaniale. Nocka dzisiaj dobra, trza by ją na chwałę naszego Gospodarza poświęcić. A może z wdzięczności



ogrzeje nas, gołąbeczki bezdomne.

Kuin skrzywił się odruchowo. Nie potrzebował ani gruchania, ani pocieszenia, chciał zobaczyć krew Szarych Braci. Tych, co mu wczoraj spalili jego warsztat.

Na znak kapłana wszyscy poza kobietą zdjęli odzienie i stanęli dokoła ogniska. Wtedy staruch też zrzucił sutannę, wskoczył nagi na ołtarz i kreśląc lewą nogą znaki krzyża, zaczął mamrotać pod nosem modlitwy od tyłu do przodu.

Mężczyźni, klepiąc się po udach, wtórowali mu: „Nema! Nema!”. Studencina wyciągnął piszczałkę i zaczął wykonywać jakąś knajpianą piosnkę.

Duchowny, uniósłszy ręce ku niebu, wykrzyknął:

- Przyjdźże ku mnie, narzeczono ma nierzeczona, kobyłko krągłozada, szparko nienasycona, gołąbko bezgrzeszna! Pokaż nam dziurkę swą, przez którą zbawienie rodzi się dusz naszych!

Dama, zrzuciwszy płaszcz, weszła na ołtarz. I w tym momencie kopista rozpoznał ją. Donna Okana! Szlachcianka, którą widział wcześniej na ulicach stolicy w lektyce dona Reby albo w jej osobistym *porte-chaise* woniejącym imbirem i piżmem. Widziała mu się wtedy czymś na podobieństwo jeszcze jednej książkowej miniatury: „Grzesznica dosiadająca Grzechu”. Grzechem był, rzecz jasna, don Reba.

Ale teraz błyski ognia przyłgnęły do jej obnażonego pięknego ciała, wyciągnęły z mroku dziecięco kruche szyję i ramiona, płynne krzywizny pleców, wspaniałe pośladki i Kuin - jakkolwiek zabrzmiałoby to śmiesznie - zrozumiał, że oto jest człowiek.

Kapłan czule, niemal po ojcowsku delikatnie przejechał palcami po jej policzku aż do piersi, ułożył kobietę na ołtarzu, opadł na kolana i wszedł w nią. Donna Okana zwarła na nim swe biodra, rozrzuciła ręce jak wlatujący ptak, oparła się dłońmi o nierówne kamienie ołtarza.

Studencik rzucił w ogień wiązkę chrustu, języki płomieni wzbiły się w górę, drżące purpurowe światło zaczęło skakać po ścianach świątyni, wreszcie osiadło na obnażonych ciałach i kopista poczuł, że dzieje się z nim coś dziwnego.

Nie to, żeby widok go nie podniecał, nie. Ale poza normalnym napięciem w podbrzuszu poczuł nagle niezrozumiały zachwyt, czułość dla tej kobiety, miłość do jej hojnej i bezbronnej urody. Wydawało mu się, że ciało donny Okany bezgłośnie mówi: „Owszem, jestem tylko workiem z mięsa i kości obciążniętych skórą. Brudzę siebie potem, tłuszczem i odchodami, zbliżam się do śmierci co mgnienie oka. Ale też śmiem być piękną, śmiem rozkoszować się i darować rozkosz, i nie myśleć o robakach, które niecierpliwie mnie oczekują”. I Kuin kochał ją z takim samym drżeniem i rozpaczą, jak kochał swoje porzucone z zemsty księgi. Pomyślał wtedy: „Bóg kocha ludzi, dlatego że sam ich stworzył. Szatan - po prostu dlatego, że oni istnieją”.

Dwaj czeladnicy z przeciągłym wyciem złamali jeszcze jedno z przykazań Pana. Studencik, rechocąc i czkając, udzielał rad im i złączonej parce. Mnich albo z przyzwyczajenia mamrotał modlitwy, albo łamiącym się głosem wykrzykiwał straszliwe bluźnierstwa.

W końcu donna Okana głucho jęknęła i wygięła się jak cienki żywy most nad otchłanią śmierci. Duchowny na krótko przyłgnął znowu do jej piersi i brzucha, potem, zeskoczywszy na podłogę, narzucił na siebie sutannę.

Kobieta wyjęła spod ołtarza miedzianą tacę z małymi czarnymi piramidkami i zaczęła roznosić ten poczęstunek między zebranymi, którzy nagle przycichli. Mężczyźni, kłaniając się bezgłośnie, przyjmowali diabelską komunię i na znak wdzięczności całowali donnę w tyłek. Dla tych czarnych opłatków przyszli tu, przełamując strach przed Szarym Bractwem, dla nich przetrzymali torturę

pożądania. Jeśli taki opłatek człowiek zanurzy w krwi czarnego koguta, a później podczas pełni zakopie na rozstajach, spełni się każde jego życzenie. Każdy obdarowany, podziękowawszy Gospodarzowi oraz jego sługom, w milczeniu podnosił z podłogi swe odzienie i zniknął.

Na końcu donna Okana podeszła do Kuina. Ten już chciał powiedzieć, że czarny opłatek to dla niego za mało, że jest gotów zapłacić za bardziej niebezpieczny, ale szybko działający czar, lecz nagle zobaczył, co mu podaje.

To był zmatowiały ołowiany krążek wielkości dłoni. Na jego powierzchni można jeszcze było zobaczyć stary wzór: dziwnie wygiętą literę A. Kopista widział takie w inkunabułach i... chyba jeszcze gdzieś. „W dotyku krążek będzie ciepły” - Kuin wiedział to, zanim jeszcze wyciągnął rękę. Ostrożnie wziął go z tacy. Drugą stronę tarczy pokrywały drobne włoski, które natychmiast zdrząły i zaczęły czepiać się palców jak stęsknione szczenięta. Nie wiadomo dlaczego kopista zdrzął.

- A to tu - powiedziała czule donna Okana i przyłożyła krążek do prawego łokcia Kuina.

Jego oczy wywróciły się, ciało wygięło w łuk. Chwilę potem mężczyzna upadł na podłogę i zadygotał w konwulsjach.

Podskoczył kapłan, natychmiast ułożył głowę kopisty sobie na kolanach, sztyletem rozwarł mu zęby i paskiem sutanny docisnął język. Donna Okana podłożyła pod ramiona Kuina swój płaszcz i zniknęła w konfesjonale.

Wkrótce atak skończył się, struga moczu trysnęła na podłogę, zaś kopista nagle zmiękł niczym pusty worek. Otworzył oczy, usiadł, potrząsnął głową.

- Gdzie to mnie zaniósło? - zapytał, zlizując krew z pokąsanych warg.

- Królestwo Arkanaru, Czkający Las - odpowiedział kapłan.

- Do diabła ze szczegółami - przerwał mu Kuin. - Zaklinam was na zbawienie waszej duszy, powiedzcie: czy to nie Ziemia?

- Co za młodzież teraz mamy! - mruknął staruch w sutannie. - Ani kroku nie zrobi bez dowcipu z taaaką brodą.

4.

O świcie były kopista i piękna dama szli ku drodze, co i rusz przeklinając i potykając się w mokrej trawie.

Kuin ledwo powłóczył nogami pogrążony w niewesołych rozmyślaniach, jak należałoby się wycwanić i wykonać zadanie fałszywego kapłana: zgromadzić możliwie dużo próbek dla genetycznego banku globu. Piękna dama ma dobrze, może zbierać spermę bez trudu i nie bez przyjemności, a jak ma sobie poradzić facet? Zająć się sutenerstwem czy jak? Czy zgodzić się do cechu cyrulików na czeladnika? Ale nie wezmą! Chyba żeby córkę mistrza posiąść... A ma on córkę tak w ogóle?

- Czym się tak zatroskałeś, przyjacielu mój? - łagodnie zapytała donna. - Arkana przestała być ci miłą?

- Nie, dlaczego? - zaprotestował jej towarzysz. - Miasto jak miasto, przyzwyczaiłem się do niego, szkoda by było je opuścić. A najgorsze jest to, że mógłbym już ciebie nie zobaczyć.

- Czy to może flirt?

- To szczery, bezczelny i niczym niemaskowany zachwył.

I w tym momencie ich kurtuazyjną rozmowę przerwał ryk obudzonego za lasem olbrzyma. Wzbiły

się w powietrze i zawirowały nad ziemią martwe liście, a w plecy idących uderzył zimny wiatr.

Były kopista pociągnął kobietę z pustego pola pod korony drzew, zasłonił przed rozszalałym z nagłą żywiołem. Ryk zbliżał się, wkrótce usłyszeli też metaliczny łoskot, jakby olbrzym wyciągał i wkładał z powrotem do pochwy zardzewiały miecz.

Ale tym razem Kuin dzięki swojej nowej pamięci rozpoznał dźwięki i spokojnie odprowadził wzrokiem przelatującego nad lasem stalowego potwora.

- Ziemianie? - zapytała donna Okana drżącym głosem.

- Nie bój się, nie widzieli nas - odpowiedział były kopista.

Przypomniawszy sobie, jak poprzedniej nocy uznał śmigłowca za Pana Boga, przypomniał sobie swoje przerażenie i rozpacz... Teraz cicho roześmiał się i pogłaskał kobietę po wilgotnych włosach, dotknął palcem dołeczka na karku.

- Czemu ci tak wesoło? - zapytała.

- Ot tak, bez powodu. Po prostu zrozumiałem, co powinienem teraz robić.

- Tak? - Donna Okana stanęła na palcach i leciutko ukąsiła go w płatek ucha. - W takim razie jesteś cholernie domyślnym facetem!

5.

- Wkrótce umrę - powiedział medyk Budach. Jego wygląd przeczył jednak słowom: oblicze zaróżowiło się z powodu ciepła i wypitego wina, oczy błyszcząły. I tylko obrzmiałe dolne powieki zdradzały śmiertelnie chorego człowieka.

Przechwycił spojrzenie Kuina i skinął głową.

- W dzień opuchlizna się zmniejsza, ale rano mam takie świńskie ryło, że aż się patrzeć nie chce. Jakbym pił od jesieni na umór. A piguły już mi nie pomagają. Na jeden dzień, na dwa woda spływa, a potem wszystko od nowa. Twój dziadek, alchemik, nie zostawił przypadkiem jakiegoś przepisu na tę dolegliwość?

- Niestety nie.

„Znam przepis - myślał były kopista. - Przy niewydolności nerek czy to dwa wieki temu, czy teraz, czy nawet za dwa wieki będzie jeden sposób leczenia: dializa. Ale jeśli pan Budach zostanie wysłany na dializę na Ziemię, to cała komisja do spraw kontaktów zacznie podskakiwać jak diabli na gorącej patelni. A ja bez trudu wyobrażę sobie, kto będzie pod tą patelnią rozpalał ogień”.

- Wstrętne zajęcie: umieranie - rzekł chory medyk w zamyśleniu. - Niby już nie mam czego żałować i ucieknę w końcu od ciągłego szpiegowania, a jednak smutno. Przepraszam, że tak jęczę jak nienasmarowane koło. Sam się tym brzydzę.

- Nie szkodzi. Z tego powodu tu przyszedłem. A dziadek? Dziadek pewnie powiedziałby: „Całe nasze życie przypomina tę karcznię. Wpadamy tu na krótko, żeby jakoś spędzić wieczór. Siedzimy, sączymy wino i piwo, rozglądamy się. Jakiś pijak usiłował sprowokować nas do bójki, potem się odczepił. Milutka służka strzela ku nam oczkami. Można dać pijakowi w pysk, można przespać się ze służką, ale to wszystko drobiazgi, piana w kuflu. Przed wyjściem trzeba będzie zapłacić, bo przecież jesteśmy przyzwoitymi ludźmi. A jeśli to zajęcie jeszcze nam nie zbrzydło, można się przenieść do innej karczmy”.

- Dobrze by było, gdyby tak było, Kuinie. Jak mawiał pewien mój znajomek: „Dlatego tak mocno wczepiamy się w życie, ponieważ nie wiemy, dokąd trafimy po śmierci”.

- W mieście jest dużo karczem - powiedział z niezachwianą pewnością w głosie były kopista.

„No i kontakt nawiązany - pomyślał. - Wątki, ale wystarczający. Można ssać krew”.

Karczma „Złota Kurka” miała się znakomicie. Dlatego karczmarz nie oszczędzał na drwach i palił jak na zimę przystało, ostro. A za oknem szalała kapryśna i uparta wiosna metropolii. Niebo przemierzały cienkie szare obłoczki, pomrugiwało blade słoneczko, mlaskała pod kopytami i butami młoda ziemia. Na progu stała Lison - tutejsza służka, która właśnie wróciła z jajkami i przyprawami dla jakiegoś upierdliwego smakosza, co to sobie zażyczył kurę w soańskim sosie. W jasnych włosach dziewczyny skrzyły się krople wody - widocznie gdzieś wpadła pod topniejące sople.

Kuin, zerknąwszy na Lison, uśmiechnął się. Nie dalej jak wczorajszej nocy przygotował dla niej ziele kochania na krwi i ślinie, za które dziewczyna hojnie zapłaciła mu „drobiażdżkiem, jaki podarowała jej matuś”. Teraz kropelka krwi ze szczupłego paluszka służki wędrowała po żyłach Kuina. Czujki detonatora już zabrały się za rozszyfrowywanie kodu genetycznego i molekuł pamięci i były kopista, a teraz czarny mag, znał wszystkie myśli dziewczyny. Myśli mu się podobały.

Lison zauważyła, że Kuin patrzy na nią, podeszła więc do stołu, przy którym siedział razem z Budachem.

- Rano, panie, zostawiono tu coś dla ciebie - powiedziała, dygając.

Były kopista wziął z jej rąk koszyk, pogłaskał dziewczynę po policzku i odwrócił się do kompana.

- Rodzina nie zostawia mnie bez wsparcia - wyjaśnił. - Ale nie dosłuchałem pana, przepraszam.

- Bo ja nawet nie wiem, z jakiej strony mam podejść ze swoją prośbą. - Medyk zamilkł, nabrawszy pełną pierś powietrza. - Nienawidzę ich - zaczął. - Całą swą skórą nienawidzę, wszystkimi trzewiami, żyłami... I boję się. Po nocach śni mi się, że znowu jestem tam, w tej piwnicy. I kiedy się budzę, najpierw nie potrafię zrozumieć: skończyło się to wszystko czy jeszcze nie. On mówi: „Piszcie! Wasza wiedza potrzebna jest tym ludziom!”. A ja wiem, że ma rację, ale i tak nie mogę. Nie zostało mi w głowie nic poza nienawiścią. I przez cały czas żyję w lęku, że pewnego razu znowu ocknę się w piwnicy.

Tymczasem Kuin zajrzał do koszyka. Naprawdę była w nim żywność: krajanka sera, małe pęto krwawych kiszek i drewniane puderko z proszkiem z kory brązowego drzewa. Były kopista wrzucił szczyptę proszku do swojego wina, zaproponował również Budachowi, ale ten odmówił.

- Dobrze - powiedział Kuin. - Oni pomrą. Szybko i łatwo, ale przed wami. I nie będą już nikogo torturować.

- Jak to zrobicie? - zapytał opuchnięty mężczyzna.

Były kopista wzruszył ramionami.

- Jak zwykle. Woskowe figurki. Ale będę potrzebował waszej krwi, włosów i paznokci.

- Moich? Czyż...

- Przecież przed chwilą było powiedziane, że nienawidzicie ich całą skórą, wszystkimi żyłami. To mi wystarczy. A gdzie miałbym zdobyć krew stołecznych katów? Proszę mi powiedzieć.

- Dobrze - rzekł Budach. - Przyniosę wszystko. Jutro?

- Tak. Tutaj o tej samej porze.

- Dobrze.

Chory wstał, wziął z ławy płaszcz i ruszył do drzwi. Kuinowi wystarczyło, że zobaczył, jak tamten się podnosi: nie prostując pleców, szczczędząc nerki, wystarczyło, że usłyszał jego szuranie stóp, a już potrafił określić, ile pożyje jeszcze medyk. Pół roku, góra rok. I co najbardziej

niesprawiedliwe, Budach nawet się nie dowie, że posiadał nieśmiertelność w genetycznym banku Wędrowców.

Czujki tymczasem rozszyfrowały molekuly pamięci domieszane do brązowego proszku. I czarny mag przeczytał posłanie z Arkanaru: „Donna Okana zabita z rozkazu dona Reby. Powód - miłosne spotkanie donny Okany z donem Rumatą Estorsyjkim”.

Teraz przyszła kolej Kuina, by zgrzytał zębami z bezsilnej złości. Głupia śmierć. niesprawiedliwa. Bez-sen-sow-na. Ona żyła w takim lęku przed Ziemianami, że wdała się w konszachty z nimi na złość sobie i wszystkim dokoła. Chciała zdobyć ich spermę, ich kod genetyczny. Głupia, odważna dziewczyna. Uparta. Don Rumata i don Reba jak dwa niezgrabne słonie rozdeptali ją. A pamięć tych wszystkich żywotów, które zdołała zebrać na tej planecie, zginęła wraz z nią i nie ma gdzie szukać winnych. Wszyscy jakoś mają rację, wszyscy ślepi, wszyscy durnie!

Kuin nagle zrozumiał, że spełni obietnicę złożoną Budachowi. Jeszcze nie wie jak, ale spełni. To nie ziele kochania Lison, zwłaszcza że dziewczyna nie potrzebuje żadnego miłosnego naparu - przekonał się o tym zeszłej nocy. O nie, kaci z Szarego Bractwa rzeczywiście umrą! Nie bardzo wiedział dlaczego, ale wiedział, że wymagają tego moralne zasady. A on, stając się z zahukanego kopisty synem potężnej międzygwiazdnej cywilizacji, szybko przywykł *do* przyklaskiwania swoim zasadom moralnym.

6.

Capnęli go tegoż wieczora w zaułku Kapeluszników. Kuin wyszedł na spacer rozpedzić ponure myśli, ale wracając do domu, natknął się na trzech złodziei: dwóch chłopaków odzianych jak pątnicy i rude dziewczę w sukience z Murii z odsłoniętymi plecami. Chłopcy przycisnęli go do muru, po czym zaczęli obcinać trzos, bezskutecznie walcząc z cienkim łańcuszkiem i pasem zdobionym blaszkami z brązu. Dziewoja tymczasem łaskotała mu gardło nożem, namiętnie szepcząc do ucha:

- Trzosik albo życie. Trzosik albo życie, piękniśiu.

- Życie, życie wybieram, oczywiście - odpowiedział Kuin. - Poczekaj, niech odepnę sprzączkę. Pas też zabieraj, spodnie mogę trzymać w garści. A ty, śliczna pani, weź sobie mój płaszcz, bo możesz sobie pierś przeziębic.

I widząc mlaskające buty całej trójki, dodał:

- Butów niestety oddać nie mogę, nie będą pasowały na was. Ale jeśli pójdziecie ze mną do karczmy, to może gospodyni coś dla was wybierze z używanych. I możemy przy okazji uczcić nowe szaty.

- Przecież to wariat! - zdziwił się jeden z bandytów.

- On, suczy chwost, naigrawa się! - wycodził przez zęby drugi i przysunął do twarzy Kuina owłosiony, pokryty nagniotkami kułak.

Były kopista błyskawicznie nałożył na pięść swój kapelusz.

- On jest opętany! - pisnęła dziewczoja i wskazała palcem coś w głębi uliczki. - Patrzcie! Oto i aniołowie po jego duszę! Uciekajmy!

Porzuciwszy łup, bandycka trójka dała nogę.

„Mimo wszystko w przepowiedniach Pańskich jest jakiś sens - pomyślał Kuin, spoglądając za nimi. - Daj bliźniemu wszystko, o co poprosi i czego zażąda, a bliźni omdleje z zaskoczenia i stanie się całkiem bezsilny. O jakich aniołach mówiła dziewczoja?”

W tejże chwili usłyszał kroki i oddech za plecami. Odwrócił się, ale popatrzeć na niespodziewanych gości nie zdążył, bo ci zwalili się nań, wykręcili mu ręce - aniołowie, żeby ich!... - a potem uderzenie w głowę na długo pozbawiło byłego kopistę możliwości patrzenia, słyszenia i rozumienia.

7.

- Imię, ród, tytuł?

„Znam cię!” - pomyślał Kuin, kołysząc swoją obolałą głową.

Głowa jak na razie nie odpadała od szyi, ale odwracać się nie chciała za nic.

- Twoje imię, kmieciu!

„Ajajaj! po co taki wysoki styl? Czy to tak trudno dojść własnym rozumem, z kim się rozmawia? Mądry człowiek raz-dwa będzie wiedział. Oto ten na przykład - niby dworzanin, a kamizeli nosić nie umie, łokcie ponaciągane, rękawy podwiązane aby-aby. Chodzi równo jak na paradzie, ziemi pod stopami nie czuje. Kiedy chwyta za miecz albo zaczyna przeklinać, na jego twarzy maluje się bezradność. Kim jest? Wiadomo - Ziemianin. Kto z Ziemian jest gruby, wąsaty i chodzi w kasztanowej peruce? Don Gut, pościelowy księcia Irukańskiego. Bardzo nam miło”.

- Twoje imię, ścierwo!

- Kuin z ulicy Blaszaney, szlachetny donie.

- Z Arkanaru?

- Szlachetny don wie wszystko.

- To nie twoja sprawa. Odpowiadaj na pytania.

- Z Arkanaru.

- Rodzaj zajęcia?

„Powinienem coś skłamać, ale nic mi nie przychodzi do głowy. Bo i co może przyjść do tak rozwalonego czerepa?”

- Czarna magia - odpowiedział Kuin.

Don Gut klepnął się w uda i roześmiał serdecznie.

- Ty ścierwo śmiałe! Nie boisz się, że oddam cię w ręce władz?

- A czego może się bać ścierwo? - odparł byłý kopista.

- Odpowiadaj na pytania, bo się zapoznasz z dybami! Czego chciałeś od przestępcy państwowego Budacha?

„Głęboka histeria - zrozumiał Kuin. - Zastarzała histeria. Gdyby nie to, nie zaczęłyby o dybach. Co to - naprawdę zamierza mnie torturować? Skąd by miał kwalifikacje? Dobra, jak będziemy kłamać? Och, znowu nic do głowy nie przychodzi poza prawdą”.

- Budach przyszedł do mnie po pocieszenie.

- Po pocieszenie?

- Tak, szlachetny donie. Prosił, żebym porachował się z jego katami.

- A ty?

- Obiecałem mu, że to uczynię za bardzo umiarkowaną opłatą.

- Jakim sposobem?

- Przy pomocy swojej magii. Jeśli ty, szlachetny donie, chcesz ją wypróbować...

- Milcz!

„Uwierz, że jestem nikim - poprosił go w myślach więzień. - Głupi, nikczemny, srebroluby mieszczaninie. Spluń na mnie i wyrzuć za drzwi”.

- Kto cię przysłał do metropolii?

„Nie wierzy”.

- Nikt, panie. Ale przez granicę pomógł mi przejść szlachetny don Rumata z Estorii. „Łyknał?”

- Nie słyszałeś pytania? Kto cię wysłał?

- Nikt, panie. Uciekałem przed Szarymi Braćmi.

„Może przynajmniej z tego powodu będziesz mi współczuł? Humanizm, kultura, co?”

- Jakiego rodzaju magią zamierzałeś się posłużyć? „Nie, nie odczepi się. Za bardzo się trzęsą nad swoimi »uratowanymi«,,.

- Taką.

Kuin zdjął z szyi swój chrzcielny krzyż i cisnął go na stół. Teraz mętnie błysnął na ciemnym blacie. Don Gut dotknął go ostrożnie.

- Jantaryn? - zapytał po rosyjsku. Kuin wszystko rozumiał z samej intonacji. Skinął głową.

- Pan... - zaczął Gut, ale były kopista mu przerwał:

- Teraz nie jestem w stanie odpowiadać na pytania. Proszę mi dać jedną z waszych „cud-pastylek”, a wtedy zaspokoję pańską ciekawość, szlachetny donie.

8.

- Żył sobie człowiek zwany Kuin Intrologator. W pracy pilny, czasem bezczelny, ciekawski, chutliwy i tchórzem podszyty. Kochał drogie inkunabuły, tanie kobiety, mądre rozmowy i szalone pijaństwa. Żył i nie wiedział, że żywot jego jest niczym innym, jak tylko pożywką dla Przyszłego Jasnego Wieku. Zresztą jakby nawet wiedział, to nie bardzo by go to zmartwiło. Już dawno przywykł stroić miny za plecami całego Wielkiego i Jasnego. A już na pewno nie wiedział, że w jego ciało wszczepione zostały łańcuszki pamięci kompletnie innej istoty. Jednej z tych, które nazywacie Wędrowcami.

- Łańcuszki pamięci?

- Proszę mi wybaczyć, że trochę bezładnie opowiadam. Po prostu to się bardzo trudno przekłada na arkanarski. To znaczy wiem, jak to będzie brzmiało po arkanarsku wieki później, ale to nie ułatwia sprawy. Pan jeszcze nie zna tego języka.

- Zna pan przyszłość?

- Czasem tak.

- I może wpływać na nią?

- Tak samo jak i pan.

- Ale hm... Przyczyny i skutki nie cierpią z tego powodu?

- Cierpią. Czasem potwornie. Ale dlaczegożby nie? Całe nasze życie to cierpienie.

- Przepraszam, nie rozumiem.

- To ja proszę o wybaczenie. Zawsze żartuję w nieodpowiednim czasie. Pan sam zakłóca ciąg przyczyn i skutków, ale nie raczy tego zauważać.

- Co proszę?!

- Wasze statki. Mówicie: dolna przestrzeń, zerotransport. Ale to tylko słowa. W rzeczywistości latacie z prędkością większą od prędkości światła. Zmieniacie i przyszłość, i przeszłość, ale nie

zawsze możecie to zauważyć. I nie zawsze chcecie.

- Tak? Zresztą ja nie jestem specem. Ale co pan robi na tym globie? Ulepsza przyszłość?

- W żadnym wypadku.

- Czy to przeczy waszej etyce?

- To przeczy logice. Jeśli odetnę panu nogę i wstawię protezę, niechby nawet boskiej jakości protezę, to podziękuję mi pan za to?

- Ale jeśli lud jest chory?

- Wie pan, co to jest choroba dorastania? To, co obecnie mamy w Arkanarze, nazywa się reformacją. W setkach i tysiącach światów było dokładnie tak samo. Kościelna republika nie przetrzyma dłużej niż dwa - trzy lata. A rzemieślnicy nie zapomną o swoim nieudanym buncie i wkrótce będziemy tu mieli prawdziwą republikę. Władzę ludu. Co prawda niedokładnie taką, jakiej oczekiwaliście. To obrzydliwy sposób, nie przeczę. Ale innego natura jeszcze nie wymyśliła.

- Natura... Zgoda. Ale ludzie? Po co ludzie mają powtarzać te same błędy?

- Usiłuje pan oświecić tutejszą populację siłą albo namową. Tylko że kiedy zaczynają oświecać się sami, chwytają się pan za głowę i przyzywa posiłki. Ale osobiście pan nigdy i niczego się nie nauczył na własnych błędach. Słuchał pan tylko z zachwytem swoich mentorów. Dlatego pan się boi.

- Może pan obojętnie patrzeć na cierpienia ludzi?

- Czy to prowokacja? Czy może oczekuje pan, że odpowiem na pytanie, które panu samemu od dawna nie daje spokoju? Ja, jak pan widzi, pospiesznie uciekłem możliwie daleko od przyszłej Republiki Arkanarskiej. A pan? Pan nikogo nie morduje swoimi rękami, jednak z całej siły stara się, by pańskich wrogów przejechało koło historii. Ale jeśli powóz potrąci przechodnia, kto będzie winien: konie czy woźnica? Przez pana zginęła... Zresztą nieważne...

- Ale my nie wtrącamy się do biegu historii!

- Oczywiście. Tego prawa również was pozbawiono. Możecie współczuć naszym ludziom, ale nie możecie oddać za nich życia. Nawet swoje miłosierdzie okazujecie tylko tym, którzy na niebiosach będą uznani za tego godnych. Nie możecie uratować kobiety, dziecka, starca tylko dlatego, że są wam drodzy. Przeciwnie, musicie złożyć ich w ofierze dla „niosących kulturę”. Przez takie życie łatwo można sfiksować.

- A pan?

- Ja jestem człowiekiem tej ziemi. Urodziłem się tu, żyję, pewnie tu też umrę. To moje życie i kocham je. Czasem nienawidzę. Mogę pomagać swojej drugiej ojczyźnie, mogę nie pomagać. Jeśli zechcę kogoś uratować, uratuję. Zechcę zabić, zabiję.

- Ale ktoś może zechcieć zabić pana.

- Już zechcieli. I to wielu. A pan? Czy pan się czuje bezpiecznie z powodu waszych bezkrwawych praw?

- A Wędrowiec w pana duszy nie wtrąca się, nie kontroluje pańskich decyzji?

- Ten Wędrowiec to także ja. Umarłem wiele lat temu tam, w niebiosach. A teraz przeżywam tu drugie życie: życie kopisty i czarnego maga z Arkanaru. Uczę się go, uczę się tego świata. I każdy żywot jest dla mnie cenny i niepowtarzalny. Po co je niszczyć? Tak, możemy długo dyskutować o etyce, ale już widziałem, co to jest takie ulepszone jutro. Kiedyś my też chcieliśmy pomóc pewnemu narodowi. Niestety, zadziałały jakieś niezrozumiałe łącza wewnętrzne. Obecnie tylko kupka wyrodków pełza tam pomiędzy poniszczonymi maszynami. Znajdziecie jeszcze kiedyś ten glob, znajdziecie nasze ślady na nim. Zobaczycie naszą zbrodnię, naszą hańbę. Zrozumieliśmy wtedy, że



istoty myślące we Wszechświecie są powiązane ze sobą jak rośliny, zwierzęta i ptaki na jednej planecie. Nie wolno zmieniać jednego narodu w drugi. Nie wolno uczyć lwów, by pasły się obok owiec. Nie wolno dopasowywać życia do szablonu nawet z powodu miłosierdzia i humanizmu. To życie i tak będzie się broniło, póki nie zdechnie. Och, dobrze, wygląda, że mnie poniosło! Starzeję się chyba. O czym myśmy rozmawiali wcześniej?

- O łańcuszkach pamięci. Ale już sam się domyśliłem. Mówi pan o dziedziczności?

- Dokładnie! I nas, i Ziemiaków, i Wędrowców, i wielu innych łączy jedno: białko jako materiał budowlany i łańcuchy kwasów jako pamięć dziedziczna. A potem już jest łatwo. Kiedy dziecko rośnie w łonie matki, jego dziedziczność jest tłumaczona z języka kwasów na język białka. Potem wszystko, co widzi, słyszy, czuje, zapamiętuje się i tłumaczy z powrotem na język kwasów. Odkryliście te łańcuszki pamięci, ale uważaliście je za drobne pasożyty. Ale Wędrowcy władają mechanizmami zdolnymi do rozszyfrowania obcych cząsteczek pamięci. Nazwiecie je potem „detonatorami”. A skoro bezcenne jest każde życie, każde doświadczenie współdziałania istoty i świata, to nie ma żadnego powodu, by skazywać inne populacje na całkowite wyginięcie i zapomnienie. Tak więc Wędrowcy trują się w różnych światach jako te pszczołki na łąkach Pana. I już ponad miliard lat istnieje Biblioteka Pamięci.

- Ale w takim razie wasza cywilizacja musi być potwornie stara.

- Straszliwie stara albo bardzo młoda. Wie pan, co to jest krzyżowanie bliskie?

- Oczywiście.

- Na Ziemi możecie skrzyżować konia i osła, ale potomstwo ich będzie bezpłodne. Większość istot może rozmnażać się wyłącznie w granicach swojego gatunku. Stopniowo, w ciągu kilku milionów lat następuje deformacja jak u rasowych psów czy koni. Najpierw mieszają się narody, potem rasy. A potem następuje eksplozja dziedziczności, epidemia. Takie coś zdarzyło się pewnego razu na jednym ze światów. Dokładniej rzecz ujmując, dopiero się zdarzy, według waszej miary. My też kiedyś „nie potrafiliśmy obojętnie patrzeć na cudze cierpienia”. Zabraliśmy ludzi tego świata do siebie, do swojej przeszłości, i zmieszaliśmy ich dziedziczność z naszą.

- A jak to się ma do waszej zasady nieingerencji w działania natury?

- To było ogromnie ryzykowne, nie przeczę. Wyliczone, wyskalowane, ale i tak ryzyko. Jednakże udało się. Z niewiadomego powodu świat jest urządzony tak, że dobrowolne ofiary najczęściej nie idą na marne. Pozbawiliśmy obcą populację „szaleństwa dziedziczności”, ustrzeżliśmy się podobnej epidemii u siebie. Jednocześnie osiągnęliśmy dodatkowo dwie ważne rzeczy: pokonaliśmy bariery wewnątrzgatunkowego krzyżowania i stworzyliśmy detonatory. Potem, w przyszłości, kiedy wybuch dziedziczności będzie zagrażał temu światu, zaproponujemy jego mieszkańcom wstąpienie do naszego związku.

- Dobrze, ale dlaczego w takim razie kryjecie się przed nami? Dlaczego nie chcecie kontaktu?

- Proszę się tylko nie śmiać zbyt głośno. Ponieważ się was boimy.

- Nas?

- Jesteście Zabójcami Dzieci.

- Kim?!

- Za kilka lat spróbujemy wysłać naszych zbieraczy pamięci na wasz glob. Wy ich rozpoznacie, zdecydujecie, że okażecie miłosierdzie, pozwolicie im żyć w waszym świecie. Bez mała trzydzieści lat będziecie się męczyli, nie mając pewności co do ich intencji. A potem zabijecie ich, zanim oni uświadomią sobie do końca, kim są i co mają do wypełnienia. Wtedy przestraszymy się my. I

zniszczymy wszystkie nasze stacje obserwacyjne w przeszłości, a potem będziemy się przed wami ukrywali po całym Wszechświecie. Cóż, wiemy, jak można walczyć z chorobami dziedziczności, ale nie wiemy, jak walczyć z pandemią strachu.

- Ale tę przyszłość można przecież zmienić?

- Pewnie tak. Ale my nie możemy zniekształcać losu waszej populacji.

- I dlatego wszystko to mi pan opowiedział?

- Mój Boże, proszę nie myśleć, że ktoś mi zlecił takie zadanie czy nawet dał prawo opowiedzieć!

Po prostu ratuję swoje życie. A przy okazji, od chwili kiedy dostałem jantaryn, pańska obręcz nie działa. Pana dowództwo sądzi, że znowu włożył ją pan do szuflady. Moje dowództwo też niczego nie wie i wiedzieć nie będzie. Umówmy się, że chciałem zostawić ślad w pańskiej pamięci. Nie ja-Wędrowiec, a ja-Kuin, czarny mag z Arkanaru. Chciałem przegonić z pańskiego oblicza tę pełną obrzydzenia litość. Może spróbujcie nie tylko ulitować się, ale nawet pokochać tę naszą ziemię, nasze wino, nasze kobiety, skoro już ugrzęźliście tu na długo. Bo, wie pan, małżeństwa z litości nie zawsze są nieudane. A poza tym mam nadzieję, że z wdzięczności za szczerość wypuści mnie pan...

9.

Złamane drzewo za oknem w zmierzchu przypominało tęskniącemu progresorowi Glidera. W porywach wiosennego wiatru gałęzie pojękiwały i wydawało się, że to Glider płacze, prosi, by wypuścić go znowu w niebo.

Paszka stał na ganku skulony z zimna, ukradkiem paląc własnoręcznie zrobionego papierosa, ale zmieszanie i smutek nie znikwały. Wszystko to było logiczne i słuszne. O trudnościach adaptacji progresorów do obcego dla nich socjumu pisano rozprawy naukowe, a Paszka te rozprawy sumiennie czytał. W drugim - trzecim roku samotnych Ziemiaków ogarniały „niespokojne i depresyjne nastroje w połączeniu z metafizyczną intoksykacją”, czyli smutne rozmyślenia o istocie dobra i zła i uczestnictwie człowieka w ich odwiecznej walce. Tak więc gdyby złożył teraz meldunek o rozmowie z czarnym magiem-Wędrowcem, przyjęte byłoby to w wiadomy sposób. A jeśli do tego pamięta się o niedawnej wpadce Toszki - to nie tylko w sposób wiadomy, ale również jednoznaczny. I bazą na południowym biegunie człowiek się nie wykręci! Do domu, do domu, w objęcia matki Ziemi. I co wtedy zostanie? Gra z Toszką przez BWI w „Arkana Revolution”? Zawsze podejrzewał, że Wędrowcy po zetknięciu z ludzkością dadzą jej mata, nie myślał tylko, że to będzie taki dziecinnie łatwy mat.

Zszedł do sadu, przystanął obok stojącej przy spadzie dachu drewnianej beczki. Zaczepnął z niej zimnej wody z posmakiem stopionego lodu i ochlapał sobie twarz. Potem włożył do ust kawałek śledziona odyńca Y, przeżuł i przez kilka sekund stał, chwytając ustami powietrze, strząsając łzy. Budżet instytutu chudł z każdym dniem, zapasy sporaminy topniały w oczach, trzeba było się przestawić na miejscowe środki. Może i barbarzyńskie, ale skuteczne.

Teraz też na Paszkę spłynęła tak pożądana jasność i spokój. Nagle przypomniał sobie, że identyczna beczka stała na dacy u babci. Beczkę wykonał dziadek - z zawodu historyk - wszystko jak należy, z drewna i żelaznych obręcz, a babcia-hydrobiolog pokazywała pięcioletniemu Paszce wszelkie drobne żyjątka miotające się w kropli wody. Dokoła tej beczki też zbierają się latem wszystkie dzieciaki gospodarzy. Aż dziwne są takie myśli... Wydawać by się mogło: co mają

wspólnego babcia i dziadek - profesorowie Uniwersytetu Orkskiego, inteligenci w siódmym pokoleniu i tutejsi niedołudzie, „prefabrykaty”, „odlewy”, jak nazywał ich Toszka. A tu proszę - znalazła się łączność i Paszka, inteligent w dziewiątym pokoleniu, omal nie wpadł ponownie w metafizyczną intoksykację na temat: „A może czarnoksiężnik ma rację?”.

Nagle przypomniał coś sobie. Śledziona odyńca Y wstrząsnęła jego umysłem i wygrzebała mu z pamięci człowieka ze śmiesznymi uszami, twardo ociosaną twarzą i mądrymi zielonymi oczami, który kiedyś zagadał do niego na korytarzu instytutu. Paszka zrozumiał: ten mu uwierzy. Jedyny na Ziemi, który uwierzy bez żadnych dokumentów i dowodów. Na pewno.

# Publicystyka

urodził się w Baku (Azerbejdżan) w 1944 roku. Pierwsze opowiadanie fantastyczne opublikował w 1959, a jego debiut książkowy *Siewodnia, zawtra, wsiegda* miał miejsce w 1984. Jest autorem wielu powieści, m.in. *Ludi Koda* (1997), *Triwsielennaja* (2004), zbiorów opowiadań i nowel *Wsie rozumnyje* (2002), *Szło budiet, to i budiet* (2002), *Strannyje prikluczenija Iony Szeketa* (2005), *Czas uragana* (2005). Ponad 150 utworów poświęcił przygodom podróżnika gwiazdowego Iony Szeketa - izraelskiego kolegi po fachu słynnego Ijona Tichego z kart książek Stanisława Lema. Jego ulubiony genre to bard SF, koniecznie z interesującą, oryginalną fabułą. Od 1990 roku mieszka w Izraelu (stąd obecnie używane imię Pesah). Wraz z radzieckim pisarzem fantastyką Gienrichomem Altowem opracował skalę oceny pomysłów fantastycznonaukowych. Wiele lat poświęcił na opracowanie metod rozwoju twórczej fantazji, napisał o tym podręcznik dla inżynierów i wynalazców. W Polsce znany głównie z opowiadań opublikowanych na łamach „Fantastyki”.

Paweł  
Amnuel

Czas połamanych  
rowerów

Przekład  
Eugeniusz Dębski

Prorocy i astrologowie lubią cytować samych siebie: „Przepowiedziałem trzęsienie ziemi na Wyspach Bardzo Zielonego Przylądka? I miałem rację!”. Kiedy (w większości wypadków) przepowiednia się nie sprawdza, prorocy i astrologowie zachowują milczenie, jakby to nie oni parę miesięcy wcześniej coś tam twierdzili.

Na szczęście nie jestem astrologiem i - na nieszczęście - nie jestem prorokiem. Dlatego też przyznaję, że nie miałem racji, kiedy w październiku zeszłego, 1999 roku, pisałem w swoim artykule „I zatonała łódka...” co następuje: *Wiosnę 2000 roku w Pitrze na „Interpresskonie” zetrą się ze sobą profesjonalne prądy i jeśli „Granica” nie dostanie nagrody, to z radością przyznam, że nic nie pojąłem z procesów literackich zachodzących w świecie rosyjskiej fantastyki.*

Miłośnicy fantastyki, pisarze-fantaści i wydawcy rzeczywiście zebrali się niedaleko Sankt Petersburga w maju 2000 roku, ale powieść „Granica” napisana przez Marinę i Siergieja Diaczenków, Andrieja Walentinowa oraz Henryego Liona Oldiego żadnej nagrody - ani „Interpresskonu”, ani „Brazowego ślimaka” - nie dostała. Laureatem „Interpresskonu” została powieść Siergieja Łukianienki „Fałszywe zwierciadła”, a „Brazowego ślimaka” Borys Natanowicz Strugacki przyznał powieści Wiktora Pielewina „Generation P”. W kategorii „średnia forma” zwyciężyło opowiadanie Siergieja Siniakina „Mnich na skraju Ziemi”.

Moim zdaniem, na listach nominacyjnych były utwory bardziej zasługujące na nagrodę, ale jeżeli zacznę przekonywać, że „Hiperboliczna dżuma” Michaiła Uspienskiego i Andrieja Łazarczuka to utwór bijący na głowę „Fałszywe zwierciadła”, zacznie się polemika: „To pańska osobista opinia, panie Amnuel, w Pitrze miało miejsce demokratyczne głosowanie, a wynik jest, jaki jest”.

W rzeczy samej. Oto czemu przyznaję, że niczego nie zrozumiałem z procesów literackich zachodzących w świecie rosyjskiej fantastyki. Ale przyznaję to z goryczą, a nie z radością, dlatego że jeśli proces ten polega na przyznawaniu pierwszeństwa, w mojej opinii, gorszemu przed lepszym, to degradacja postępuje w jeszcze szybszym tempie, niż mi się zdawało zeszłej jesieni.

I jeszcze jedną swoją pomyłkę gotów jestem z goryczą uznać. Pomyłka polega na moim naiwnym założeniu, że właśnie nagrody literackie wyznaczają kierunek rozwoju gatunku, i dlatego, badając dynamikę przyznawania „Interpresskonu” i „Brazowego ślimaka”, można wyciągnąć wnioski co do kierunku, w którym podąża rosyjska fantastyka.

Od obu iluzji uwolniły mnie liczne głosy krytyczne na temat moich poprzednich artykułów, a także autorzy nielicznych, niestety, przeglądów analitycznych współczesnej rosyjskiej fantastyki. Jeden z autorów napisał w swojej notatce: *W ciągu dziesięciu lat utraciliśmy czytelnika, i nie mam podstaw, żeby to zdanie podawać w wątpliwość - nie tylko dlatego, że już od ponad dziesięciu lat nie mieszkam w Rosji (jeśli chodzi o ścisłość, to nigdy w Rosji nie mieszkałem, ponieważ Azerbejdżan, jak mówią: choć do Rosji podobny, ale to jednak nie Rosja), ale i dlatego, że sądy tego człowieka zawsze były kompetentne i uzasadnione.*

Problem jednak w tym, że utrata czytelników nieuchronnie pociąga za sobą utratę autorów, ponieważ między tymi procesami istnieje konkretne wzajemne powiązanie. Na początku lat dziewięćdziesiątych na rosyjski rynek księgarski napłynęła i nadal napływa ogromna ilość zachodniej fantastyki niskiej jakości, w przytłaczającej większości - fantasy. Gust czytelnika został zepsuty,

czytelnik zapragnął mieć coś podobnego i od autorów rosyjskich. *Rynek wymaga!, Rynek zawsze ma rację!* i tak dalej. Rosyjskiej fantastyki jest teraz na rynku nie mniej niż zachodniej, a poziom (oczywiście średnio biorąc, bo od każdej reguły są na szczęście wyjątki) jest niższy - kopia zawsze będzie gorsza od oryginału. Czytelnicy przyswoili i tę twórczość, jeszcze bardziej psując sobie smak, po czym... Zresztą, wystarczy - tendencja, jak sądzę, jest łatwa do uchwycenia.

Co sądzić o literackim rozwoju i rzeczywistym stanie rosyjskiej prozy fantastycznej?

Jedna możliwość - zgodzić się. Jeżeli i czytelnicy, i pisarze, i kompetentne jury krytyków, i sam Strugacki jednomyślnie nazywają jakiś utwór lepszym, to czy człowiek usiłujący pojąć kierunek procesów literackich może ten fakt pominąć? Uznanie tak różnorodnych gremiów chyba nie może być dziełem przypadku.

I tak bez wątpienia nagrody „Interpresskon-2000” (podobno przyznawany w myśl aktualnych prądów), „Brązowy ślimak” (przyznawany osobiście przez B.N. Strugackiego) i nagroda imienia Arkadija i Borysa Strugackich (przyznawana przez jury pisarzy i krytyków) obsypały w tym roku opowiadanie wołgogradzkiego pisarza Siergieja Siniakina „Mnich na skraju Ziemi”. Trzykrotne hura! wykrzyknięte pod adresem tego utworu najwyraźniej sugeruje, że niezależne jury i Borys Strugacki we własnej osobie znaleźli w „Mnichu...” coś o zasadniczym znaczeniu dla współczesnej fantastyki rosyjskiej.

Z zainteresowaniem przeczytałem to zadziwiające opowiadanie i zgadzam się całkowicie - „Mnich na skraju Ziemi” rzeczywiście stał się kamieniem milowym rozwoju fantastyki w Rosji w ciągu ostatnich, dziesięciu lat. Do czego szło, do tego i doszło. Co było do przewidzenia.

W moich słowach nie ma cienia ironii. Będąc na miejscu członków jury i pojmując cele i metody fantastyki w taki sposób, jak jest to ostatnimi czasy przyjęte, z pewnością też oddałbym najbardziej prestiżową nagrodę opowiadaniu Siniakina.

Temat jest znany - i to jego jedyna wada. Nie, moi Państwo, temat, fabuła, kompozycja to ostatnie rzeczy, z powodu których rzuciłbym w autora kamieniem. Jedyna, powtarzam, pretensja: brak nowości, ale czy w wątkach fantastycznych koniecznie potrzebujemy nowości?

Również nienowoty i często spotykany w literaturze jest bohater: romantyk w pojedynkę walczący ze skostniałym systemem. To także nie jest wada, albowiem taka walka rodzi takich właśnie bohaterów i charakterowi Szterna nie można odmówić formalnego prawdopodobieństwa.

Odkrycie, w imię którego bohater oddał życie, także nie jest nowe, ale przecież uważa się (zresztą, mnie akurat takie podejście do fantastyki zawsze wydawało się absurdalne), że w literaturze fantastycznej nowe idee nie są konieczne.

Przy takim podejściu nieuchronnie musiało się pojawić dzieło w swoim rodzaju epokowe, dowodzące samym swoim istnieniem, że gatunek fantastyki naukowej w jej rosyjskim wariantcie umarł i został pogrzebany.

Oto na czym polega wybitne odkrycie, którego dokonał bohater opowiadania Siniakina, astronauta Sztern: Ziemia, jak się okazuje, jest płaska i spoczywa na trzech wielorybach, a niebo jest sklepieniem położonym na wysokości kilkudziesięciu kilometrów.

Chciałoby się zapytać autora: pan tak poważnie? Nie, ja oczywiście rozumiem - w rzeczywistości Siniakin nie zakłada, że Ziemia jest płaskim kręgiem. To trafna - jego zdaniem, zdaniem szanownego jury i B.N. Strugackiego - metafora. Trzeba było wziąć jakąś ideę, która mogłaby zostać przedstawiona jako odkrycie o znaczeniu światowym. Można było wziąć inną - globalny lodowiec na przykład. Albo teorię flogistonu. Albo jeszcze cokolwiek innego, równie wybitnego.



Już słyszę chór moich oponentów: przecież opowiadanie wcale nie jest o tym! Opowiadanie jest o bohaterze - męczenniku, o jego mężnym oporze wobec bezdusznej maszyny ucisku...

Tak, tak, oczywiście. Ale ja, proszę wybaczyć, nie wierzę temu bohaterowi i temu autorowi, i temu tematowi z jednej prostej przyczyny: nie mogę uwierzyć, że to na poważnie. A jak na ironię to, co zostało napisane, jest poważne w dwójnasób i dlatego po prostu głupie.

Jakie wspaniałe przykłady można znaleźć w fantastyce, gdzie bohaterowie-samotnicy buntują się przeciwko zacofaniu, idą naprzód i zwyciężają (lub giną, ale i tak zwyciężają, bo w każdym wypadku nowe, niezbadane odnosi zwycięstwo nad tym, co zacofane, przestarzałe): „Mistrzowie” Ursuli Le Guin, na przykład, albo „Ściana ciemności” Arthura C. Clarke’a, czy też „Mur wokół świata” Theodorea R. Cogswella! O ileż bardziej abstrakcyjny, zdawałoby się, jest młodzieniec ze „Ściany ciemności”, o ile dalszy od rzeczywistości niż życiowo opisany Sztern! Ale Shervane zapadł mi w pamięć na całe życie, i jego czyn zapamiętałem, i ideę, dla której poszedł przeciw swoim współplemieńcom, też pamiętam w całym jej pięknie i niezwykłości.

Czyżby naprawdę nikt nie zauważył, czego opowiadanie Siniakina w końcu dowiodło: że we współczesnej fantastyce rosyjskiej nowe idee nie są nikomu potrzebne - ani czytelnikom głosującym za pomocą rubla, ani pisarzom fantantom? Więcej: nowe idee są nie tylko niepotrzebne, ale wręcz szkodliwe!

I rzeczywiście, po co fantastyce nowe, naukowo-fantastyczne idee, jeżeli: a) fantastyka, jak i literatura głównego nurtu, opowiada o ludziach, a wszelkie tam gwiazdoloty i planety stanowią jedynie tło, *entourage*, scenę, na której rozgrywa się dramat życia; b) fantastyka w zasadzie nie może przepowiadać czy prognozować przyszłości, ona jedynie konstruuje światy - bliskie współczesności lub też nie bardzo - w jednym jedynym celu: by opowiedzieć o niezmiennych z dawien dawna ludzkich charakterach i stosunkach; c) stąd wniosek, że idee w fantastyce należy tworzyć tak, jakbyśmy układali mozaikę z dobrze znanych elementów.

Zdarzało mi się już czytać - także i w artykułach wielce szanownych mistrzów, że fantastyka naukowa umarła i pokój jej prochom, i chwała Bogu, że już jej nie ma. Zdarzało mi się czytać, że fantastyka nie powinna zajmować się prognozami, ponieważ jest to w każdym wypadku błędzenie palcem po niebie - z tym samym zerowym efektem, bo przepowiednie fantastów nie sprawdzają się nigdy, no i nie ma potrzeby, żeby się sprawdzały. Fantastyka to literatura i dlatego... patrz wyżej.

Oto jeszcze jedno stwierdzenie, które ostatnimi czasy wielokrotnie zdarzało mi się i czytać, i słyszeć: *Czytelników nie obchodzą filozoficzne przemyślenia i problemy autora, oni płacą nie za to, lecz za interesującą historię. jeżeli będzie tam jeszcze i filozofia oprócz pasjonującej historii, to w niczym nie zaszkodzi, ale pieniądze płacą nie za filozoficzne wynurzenia.*

Dlaczego - chciałbym wiedzieć - szanowni autorzy i krytycy przyznają prawo do życia tylko temu z licznych podgatunków fantastyki, który pasuje do ich sposobu myślenia? I dlaczego szanowni autorzy i krytycy zakładają, że świetnie wiedzą, za co płacą swoje pieniądze czytelnicy? Mnie osobiście jako czytelnika interesują akurat *filozoficzne przemyślenia i problemy autora*, a jeśli będzie tam jeszcze i ciekawa historia, to w niczym nie zaszkodzi. Mam prawo do takiego postrzegania fantastyki? Zakładam, że tak. I nie wiem, czemu zdaje mi się, iż tak myślę nie tylko ja - jestem przekonany, że wśród czytelników znajdzie się niejeden człowiek, który zgodzi się z tym, a nie z przeciwnym punktem widzenia.

Wygląda na to, że wyginęli nie tylko myślący czytelnicy, ale - co za tym idzie - i autorzy. Przyczyna tkwi nie tylko w tym, że czytelnik zagłosuje rublem przeciw naukowo-technicznej i

filozoficznej fantastyce (zagłosuje „za”, jeśli znajdzie w takiej fantastyce nowe, nieoczekiwane idee, a nie przeróbkę lub wręcz powtórkę starych). Autorzy wyginęli także i dlatego, że na przestrzeni dziesięcioleci słyszeli od mistrzów: nowe idee są fantastyce niepotrzebne, fantastyka nie powinna prognozować, fantastyka nie powinna tego, a powinna tamto...

Z tej koncepcji narzuconej autorom powstało opowiadanie Siniakina. Hasło „Idea - niczym, fabuła - wszystkim” definitywnie zwyciężyło.

Czy można sobie wyobrazić koncepcję płaskiej Ziemi jako punkt wyjścia fabuły w jakimkolwiek opowiadaniu Clarke’a? Albo Le Guin? Lub powszechnie szanowanych braci Strugackich? Proszę, nie mówmy o skali talentów czy o tym, że opowiadanie Siniakina należy do innego podgatunku! Ja przecież też nie o skali talentów mówię (powtórzę przy okazji, że jedyna moja pretensja w stosunku do dzieła zupełnie nie jest związana z jego tematem, charakterem bohatera, językiem, stylem itp.). A podgatunek wszystkich tych utworów jest ten sam - fantastyka naukowa. Również opowiadania Siniakina.

Według mnie wszystko to jest smutne. Według mnie (chciałbym się mylić) w fantastyce rosyjskiej niemożliwe są już dzieła typu „Drogi miecza” H.L. Oldiego, „Wielorękiego boga Dalajna” Swiatosława Łoginowa, nie mówiąc już o tym, kto teraz poważy się i zdoła pisać tak, jak pisali w swoim czasie ci sami bracia Strugacy, Gieorgij Altow, Walentina Żurawłowa, Iwan Jefremow... Zresztą i tradycja Juliusza Verne’a zapomniana została dawno i dokumentnie.

Odpowiedź znam z góry: wszystko to jest już przestarzałe, teraz autorzy tworzą własne światy, własnych bohaterów. Naprawdę uważacie, że we współczesnej fantastyce rosyjskiej można znaleźć własne światy? Dla stworzenia własnego świata potrzebne są własne idee. Dla stworzenia własnych idei konieczne jest chociażby zrozumienie tego, że takie idee są potrzebne.

Kiedy mówię o nowych ideach w SF, to mam na myśli nie tylko te naukowo-techniczne. Idea może pochodzić z dziedziny socjologii, psychologii, nawet prawoznawstwa - skądkolwiek. Gdzie one są? Nie ma ich, ponieważ postulowano, że fantastyce nie są one potrzebne i w ogóle tylko szkodzą.

Zresztą z brakiem nowych idei jakoś już udało mi się z upływem lat pogodzić - przecież hasło, że fantastyka i bez idei doskonale sobie poradzi, nie pojawiło się wczoraj. Nie ma nowych idei - i cóż zrobić?... Ale z utworu Siniakina wynika coś ważniejszego dla fantastyki: idea może być nie tylko stara, ale po prostu niedorzeczna. Niedorzeczność ta jest oczywista dla autora, krytyków, czytelnika. Autor zmusza swego bohatera do poświęceń w imię idei nie tylko starej, ale jawnie i bezsprzecznie głupiej!

Gdyby biedaczyna Sztern poświęcił życie, aby udowodnić, że dwa razy dwa równa się cztery, byłbym go rozumiał nawet mimo tego, że w fantastyce podobna idea, jak by to delikatnie ująć... odrobinę trąci myszką. Koniec końców, bohater nie może być mądrzejszy od autora - myślę, że to jasne.

Ale żeby pod koniec XX wieku na stronach opowiadania fantastycznonaukowego zmuszać bohatera, by cierpiał w imię idei płaskiej Ziemi... Jak bardzo trzeba nie szanować fantastyki naukowej jako takiej, jak lekceważąco trzeba traktować ją jako gatunek, żeby coś takiego napisać na poważnie!

A może ja znów czegoś nie zrozumiałem i utwór Siniakina jest jednak farsą?...

Niekiedy wyjątki potwierdzają regułę. Z wielkim szacunkiem traktuję twórczość Wiaczesława Rybakowa i jego ostatnia powieść „Na cudzej uczcie”, moim zdaniem, jest takim właśnie wyjątkiem.

W istocie cała powieść napisana została dlatego, że autor chciał się wypowiedzieć - nie opowiedzieć historię, lecz dotrzeć z nurtującymi go przemyśleniami do świadomości czytelników. Myśli to kontrowersyjne, ale nowe i własne.

Wątpię, czy uda mi się kogokolwiek przekonać. Fantastyka naukowa w Rosji umarła - cóż, postawmy jej pomnik. Kogo obchodzi, że na zgniłym Zachodzie, unicestwionym z takim talentem przez Rybakowa w jego nowej powieści, zaczęła się odradzać po okresie zastoju - to są ich zachodnie sprawy, my idziemy własną drogą. Jak zawsze.

Zakończę, jak i poprzedni artykuł, cytatem, z którym jestem zmuszony się zgodzić. To z artykułu Aleksieja Karawajewa „Rękopis na skrzydłach motyla”: *Przykro mi o tym mówić, ale fantastyka rosyjska w swojej większości jest nieskażona wiedzą. Nie zastanawiało was, dlaczego dziewięciu na dziesięciu bohaterów to wojownicy, superagenci, komandosi i zabijaki? Dlaczego nagle ze stronik książek zniknęli zwykli ludzie: robotnicy, uczeni, muzykanci i mistrzowie artystycznego gwizdania ze swymi nieskomplikowanymi Wielkimi Problemami?... Odpowiedź, niestety, jest prosta. Oni nie wiedzą! Nie są w stanie opisać tego, co czuje prosty człowiek dławiony bezlitosną niesprawiedliwością zwykłego świata. I nie chcą tego wiedzieć, nie chcą czytać, nie chcą się uczyć, ciężko obrażają się na krytykę. To inżynierowie dusz ludzkich produkujący niedziałające rowery.*

Rowery, nawiasem mówiąc, wynaleziono już dawno.

urodzony w 1950 roku. Autor książek fantastycznych, m.in.: *Kagda otstupajut angiely*, *Piatiero w łodkie, nie szczytaja Sied'myeb*, *Szersze la babuszku*, *Sokruszytiel*, a także poeta i bard. Tłumaczy również z języka angielskiego, a za szczególnie istotne uważa przekłady takich autorów, jak Barbara Hambly, Pierce Anthony i Ann Parry. Jego utwory doczekały się wydań w wielu językach, m.in. angielskim, niemieckim, francuskim, hiszpańskim, bułgarskim, znajdują się także w stutomowym wydaniu „Biblioteka rodzimej klasycznej literatury beletrystycznej” przeznaczonym dla szkół Federacji Rosyjskiej. Jest członkiem Związku Pisarzy Rosji (od 1992 roku). Laureat nagród literackich głównego nurtu: „ABS - Priemija”, nagroda im. I. Jefremowa, nagroda państwowa PMR, nagroda im. T. Herda; a także licznych nagród przyznawanych pisarzom fantantom. Mieszka w Wołgogradzie. U nas znany głównie z publikacji w czasopismach fantastycznych. Polski czytelnik miał również okazję poznać trzy opowiadania z cyklu *Opowieści z Bakłuzyna* opublikowane w I tomie almanachu rosyjskiej fantastyki *Mroczny Bies* (Fabryka Słów, 2006).

Polemika z Pawłem (Pesahem) Amnuelem dotyczy noweli Andrieja Siniakina *Mnich na skraju Ziemi* znanej polskiemu czytelnikowi z antologii *Zombie Lenina* (Solaris, 2003).

Jewgienij  
Łukin

Pozdrowienia z lat  
osiemdziesiątych

Przekład  
Eugeniusz Dębski

Czego to nie wymyślą! Świat okrągły!

Dla mnie może być nawet kwadratowy, byle we łbach nie mać!...

A.Strugacki, H. Strugacki „Trudno być bogiem”\*

Przykro... Przeczytałem w Internecie artykuł Pawła Amnuela „Czas połamanych rowerów”, gdzie autor oznajmił wszem i wobec z dalekiego Izraela, że *fantastyka naukowa w Rosji umarła* i że ostatni gwóźdź do jej trumny wbił obywatel Wołgogradu, Siergiej Siniakin. Co za niesprawiedliwość! Przez całe życie walczyłem o ten przywilej: gwóźdźków naskładałem, przygotowałem młotek - no i macie! W ostatniej chwili odpychają od trumny. A co gorsza - kto? Przyjaciel i ziomek...

No dobrze, nie udało się przybić wieka - dajcie choć wbić osinowy kołek...

Dla mnie fantastyka to nie są tylko wprawki z literatury. Przy jej pomocy usiłuję się zorientować w fantasmagorii, którą siłą przyzwyczajenia zwiemy rzeczywistością. A z tak zwaną fantastyką naukową moje stosunki były zawsze nieco napięte. Widzicie, dwadzieścia lat temu słowo *naukowa* w odniesieniu do fantastyki oznaczało - poza wszystkim innym - *postępowa, dobra* i nawet *radziecka*. Brak *naukowości* świadczył o antykomunistycznym nastawieniu utworu. Wiem, co mówię - w 1984 roku, wyobraźcie sobie, mało mnie z żoną z tego powodu nie wyrzucili z miasta.

Pamiętam, jaki byłem wściekły, kiedy odkryłem, że Amerykanin Carl Wagner pisze horror w stylu gogolowskim, podczas gdy od fantastów radzieckich żądano pouczających przygód w duchu *monsieur Verne'a*.

Była i inna przyczyna odrzucenia - czysto filozoficzna. Rzecz w tym, że sam termin *fantastyka naukowa* stanowi oczywistą niedorzeczność, ponieważ nauka i sztuka różnią się zasadniczo w sposobie przedstawiania rzeczywistości. Naukowo-fantastyczna literatura piękna (z naukowego punktu widzenia) nie jest bardziej realna niż pięciokątny trójkąt.

Sprzeczano się ze mną: mało to w naszym języku bezsensownych grup wyrazowych?! Na przykład *biały fiołek*. I nic - przywykliśmy, używamy.

Zgoda. Ale nikt nie żąda od białych fiołków, żeby były jednocześnie i białe, i fiołkowe. A fantastykę naukową w jej najlepszych latach, jak pamiętam, obwoływano niemalże ukoronowaniem twórczości - stopem sztuki i nauki.

Ale stopu z definicji być nie może - możliwa jest tylko mieszanina. Co to w ogóle jest SF, jak nie zbeletryzowana publicystyka popularnonaukowa? Bierzymy szczyptę sztuki, szczyptę nauki, wrzucamy do kotła, stawiamy na słabym ogniu i od czasu do czasu mieszamy, aż się uwarzy.

No dobrze, a jeśli wrzucić do kotła nie jedną, a dwie szczypty nauki? W takim wypadku, zgodzicie się, mikstura wyjdzie dwa razy bardziej naukowa... A jeśli jedną szczyptę nauki i pół szczypty sztuki? Tak samo! Mikstura wyjdzie dwa razy bardziej naukowa.

Czyli im mniej talentu, tym bardziej naukowo...

Jednak, chwała Bogu, wyginęli u nas w końcu (jeśli wierzyć Amnuelowi) staruszkowie-dinozaury pchający się do literatury tylko z tego powodu, że brak wykształcenia pozbawił ich możliwości przedstawienia swojego kolejnego odkrycia w postaci twierdzeń i formuł...

W pełni zgadzam się z wnioskami Amnuela. Tak, SF ma przed sobą długie życie. Tak, „Mnich na skraju Ziemi” to faktycznie kamień milowy. Z wnioskami się zgadzam, ale z argumentacją... Sami osądźcie: „*W ciągu dziesięciu lat utraciliśmy czytelnika*”, i nie mam podstaw, żeby to zdanie podawać w wątpliwość... [...] *Gust czytelnika został zepsuty, czytelnik zapragnął mieć coś podobnego i od autorów rosyjskich.*

Zacniemy od tego, że jednolitego czytelnika u nas nie ma i nie było. Tak zwany *masowy czytelnik* radzieckich czasów jest niczym więcej, jak fantomem, który zrodził się z ubóstwa książkowego asortymentu i rozpadł jeszcze w latach *pieriestrojki*. Pseudomiłośnicy ochłodli dla fantastyki: jedni odpłynęli do polityki, inni do ultrasensoryki, jeszcze inni do matecznika elfów... Ci czytelnicy, którzy pozostali, i ci nowo narodzeni rozbili się na oddzielne grupy, z których każdą należy rozpatrywać osobno. Wielbiciele technicznej SF, według tezy Amnuela, w ogóle rozplynęli się w niebycie.

Tak więc nadużywanie słowa *czytelnik* w dzisiejszych czasach jest, jak by to rzec - nietaktowne. To tak samo jak manipulowanie słowem *naród*.

Ale wróćmy do tekstu: „*Rynek wymaga!*”, „*Rynek zawsze ma rację!*” i tak dalej. *Rosyjskiej fantazy jest teraz na rynku nie mniej niż zachodniej, a poziom (oczywiście średnio biorąc, bo od każdej reguły są na szczęście wyjątki) jest niższy - kopia zawsze będzie gorsza od oryginału. Czytelnicy przyswoili i tę twórczość, jeszcze bardziej psując sobie smak, po czym...*

No cóż, czas najwyższy przejść od ogólników do szczegółów i udowodnić na przykładzie Siergieja Siniakina, jak zdegenerował się gust rosyjskiego czytelnika i jak nisko spadł w Rosji poziom literatury fantastycznej. Prześcignąć naszą współczesną fantazy w tandecie - sami przyznacie, że to faktycznie trzeba umieć...

I tu zupełnie nieoczekiwanie następuje zwrot: *Nie, moi Państwo* - wyznaje nagle Amnuel - *temat, fabuła, kompozycja to ostatnie rzeczy, z powodu których rzuciłbym w autora kamieniem.*

Ładny gips! A to wszystko, o czym rozprawiał wyżej?

Jednak kamieniem rzucić trzeba. Inaczej wstyd. Inaczej wyda się, że oprócz skandalicznej wizji płaskiej Ziemi krytyk nie ma się do czego przyczepić. Kamienia, co prawda, nie sposób znaleźć, więc w ruch idą maleńkie kamyczki: *charakterowi Szterna nie można odmówić formalnego prawdopodobieństwa.*

Niby trafił... A właśnie że nie! Dlatego że za chwilę czytamy: *życiowo opisany Sztern.*

No, wygląda na to, że do bohatera nie da się przyczepić. A może jednak się da? Również nienowoty i często spotykany w literaturze jest bohater: *romantyk w pojedynkę walczący ze skostniałym systemem.*

Nawet nie będę zgadywał, co przywiodło Amnuela do takiego wniosku. W ten sposób można nazwać romantykiem nawet i tonącego. Ale ponieważ cały artykuł jest skonstruowany z podobnych nieścisłości, drobiazgowo czepiać się nie będę.

Jedziemy dalej: *Odkrycie, w imię którego bohater oddał życie, także nie jest nowe. [...] Jedyna, powtarzam, pretensja: brak nowości, ale czy w wątkach fantastycznych koniecznie potrzebujemy nowości?*

Od siebie dodam, że również nienowoty są znaki zapytania i przecinki, które napotykamy w

opowieści raz po raz...

Jakoś nawet niezręcznie wyjaśniać profesjonalnemu pisarzowi P. Amnelowi, na czym konkretnie powinna polegać nowość utworu literackiego.

Najlepiej ujął to Vitezslav Nezval: *Logicznie rzecz biorąc, szklanka przynależy do stołu, gwiazda do nieba, drzwi do schodów. Dlatego tych przedmiotów nie zauważamy. Trzeba było gwiazdę położyć na stole, szklankę postawić przy pijanych aniołach, a drzwi ulokować w sąsiedztwie oceanu. Chodziło o to, żeby zedrzeć maski z rzeczywistości, nadać jej promieniste kształty jak w pierwszy dzień stworzenia.*

I tak chodzi nie o nowość poszczególnych elementów, ale o ich zupełnie nowe zestawienie. To właśnie zrobił Siergiej Siniakin w swoim opowiadaniu, połączywszy coś, czego pozornie połączyć się nie da: prozę w duchu Warłama Szalamowa i absurdalne fantastyczne założenie. W imię czego? Oto pytanie, którego nie zadał autor artykułu. Bo i po co mu ono? I tak wszystko jasne: Ziemia jest okrągła!

Tym niemniej w imię czego? Amnel pisze: *Już słyszę chór moich oponentów: przecież opowiadanie wcale nie jest o tym! Opowiadanie jest o bohaterze - męczenniku, o jego mężnym oporze wobec bezdusznej maszyny ucisku.*

No cóż, temat określony został mniej lub bardziej trafnie. Jednak w tym wypadku nie o temat chodzi, ale prędzej już o ideę opowieści. Używając sformułowania Michaiła Zoszczenki: *Co chciał powiedzieć autor w swoim dziele?*

W swoim opowiadaniu „Mnich na skraju Ziemi” Siergiej Siniakin chciał powiedzieć i powiedział: *Twierdzenie naukowe może być prawdziwe, może być fałszywe, ale gdy zostaje użyte jako broń ideologii, staje się nieuchronnie powodem do niszczenia ludzi.*

Dla Amnuela, widzącego zbawienie ludzkości właśnie w nauce i technice, podobna myśl - to nóż w serce. Tak więc nie dowiódłszy literackiej ułomności „Mnicha...”, ucieka się do ostatniego, rozpaczliwego argumentu: *Ale ja, proszę wybaczyć, nie wierzę temu bohaterowi i temu autorowi, i temu tematowi z jednej prostej przyczyny: nie mogę uwierzyć, że to na poważnie.*

Nie wierzy, dlatego że nie może uwierzyć... Nie, krytyk nie udaje - jest szczerze oburzony. A teraz postawcie sobie pytanie: jeżeli w dzisiejszych czasach obywatel cywilizowanego państwa Izrael, Paweł Amnel, z tak żarliwym oburzeniem rzuca się na heretycką myśl o płaskiej Ziemi, to co powinni byli zrobić z astronautą Szternem za podobną herezję w ZSRR czasów stalinowskich?

Jak widać, idea utworu jest słuszna. I Amnel, niespodzianie upodobniwszy się do prześladowców Szterna, błyskotliwie to udowodnił.

Już uprzedzałem, że drobiazgów czepiać się nie mam zamiaru. Dlatego gotów jestem uznać za zabawne nieporozumienie oczywisty błąd, gdy krytyk w charakterze pozytywnego przykładu przytacza powieść światosława Łoginowa „Wieloreki bóg Dalajna”, gdzie świat, jeśli pamiętacie, jest nie tylko płaski, ale jeszcze kwadratowy.

Gotów jestem nawet przypuścić, że pomyłka, która stała się powodem do napisania tego artykułu, także została popełniona przez krytyka nieumyślnie. Nawiasem mówiąc, oto ona: *A podgatunek wszystkich tych utworów jest ten sam - fantastyka naukowa. Również opowiadania Siniakina.*

Kto mu to powiedział? *Znaleźć by go, w oczy mu spojrzeć...*

I to wszystko o Siniakinie. Ale na pewno jeszcze nie wszystko o autorach, którzy zdegenerowali się w pogoni za czytelnikiem głosującym rublem.

*Autorzy wyginęli także i dlatego - pisze Amnel - że na przestrzeni dziesięcioleci słyszeli od*



*mistrzów: nowe idee są fantastyce niepotrzebne, fantastyka nie powinna prognozować, fantastyka nie powinna tego, a powinna tamto...*

Ciekawe, o jakich to on mistrzach? Bo już na pewno nie o tych niesfornych starsuszkach-dinozaurach, którzy kiedyś wszczęli bunt w literaturoznawstwie, ogłosiwszy SF gatunkiem literackim, rozbiwszy ją na podgatunki i definitywnie odgradzając się od reszty literatury pięknej częstokółem własnoręcznie stworzonej terminologii. Tej samej terminologii, którą wykorzystuje w swoim artykule Amnuel. Słowa *idea*, dla przykładu, używa on w jednym jedynym sensie: fabułowórcza hipoteza fantastyczno-naukowa...

No więc co to za mistrzowie, którzy popsuli smak czytelnikowi i w rezultacie zdemoralizowali autorów? Nazwisk, niestety, krytyk nie wymienia, tylko obszernie cytuje pouczenia tych szkodników. Sens pouczeń można wyrazić jednym zdaniem: *Fantastyka - to przede wszystkim literatura*.

I dalej - bez żadnych przejść: *Oto jeszcze jedno stwierdzenie, które ostatnimi czasy wielokrotnie zdarzało mi się i czytać, i słyszeć: „Czytelników nie obchodzą filozoficzne przemyślenia i problemy autora, oni płacą nie za to, lecz za interesującą historię”*.

Czyje to stwierdzenie? Także mistrzów? Wychodzi na to, że także...

Pozostaje tylko mieć nadzieję, że i ta szacherka została przez Amnuela dokonana nie umyślnie, lecz z prostoty serca...

W ciągu dziesięciu ostatnich, tradycyjnie przeklinanych, lat ci, którzy próbowali w warunkach rosyjskich myśleć samodzielnie, zmuszeni byli gwałtownie wydorosnąć. Nie darmo powiedział Dostojewski: *Od prawdziwej, szczerzej biedy nawet głupcy niekiedy mądrzeją... taka to już właściwość biedy*. Pozbyliśmy się wielu iluzji - w tym także przekonania, że nauka pracuje na dobro człowieka. Niestety, nauka pracuje wyłącznie na dobro nauki i ze szczęściem ludzkim żadnego związku nie ma.

Mimo woli powstaje wrażenie: w jakich czasach człowiek opuścił Rosję, w takich pozostaje do końca swoich dni. Artykuł Amnuela „Czas połamanych rowerów” jest jakby wyjęty z lat osiemdziesiątych. Właśnie z pozycji krytyki z tamtych lat gromi on antynaukowe, a zatem reakcyjne dzieło. Więcej powiem: jeśli zamienić uogólniające słowo *czytelnik* na bardziej wymijające wyrażenie *niektórzy nasi czytelnicy* (to samo z autorami), wtedy artykuł ten można byłoby śmiało opublikować jeszcze za czasów władzy radzieckiej.

Nie wierzycie? No to wam zaraz przytoczę dwa cytaty, usunąwszy z nich dwa - trzy słowa, żeby zadanie nie wyglądało na zbyt łatwe: *Jakie wspaniałe przykłady można znaleźć w fantastyce, gdzie bohaterowie [...] buntują się przeciwko zacofaniu, idą naprzód i zwyciężają (lub giną, ale i tak zwyciężają, bo w każdym wypadku nowe, niezbadane odnosi zwycięstwo nad tym, co zacofane, przestarzałe) i Fantastyka - to przede wszystkim marzenie, przeniknięcie w możliwe wydarzenia, to ukazanie ludzi [...] pokonujących trudności, walczących i zwyciężających. To literatura wzbudzająca miłość do wiedzy, [...] wzywająca ku świetlanej przyszłości, a nie ciągnąca w błoto niewykorzenionych wad i w ciemny kąt beznadziejności*.

A na koniec pytanie: który z cytatów należy do Aranuela (2000), a który do Aleksandra Kazancewa (bodajże 1983)? Jakby nie było tych siedemnastu lat, prawda?

Widać słodko im się tam żyje, w *blogiej rajskiej idylli*, jeśli nie mają nic innego do roboty, jak tylko siedzieć i majstrować nakręcane mechaniczne zabawki SF.

PS.

A co, Ziemia naprawdę jest okrągła?

\* James Gunn „Droga do SF”, tom 2, Warszawa 1986; James Gunn „Droga do SF”, tom 3, Warszawa 1987.

\* „Spór o SF”. Antologia szkiców i esejów o science fiction. Poznań 1989.

\* oba w: „Nowa Fantastyka” nr 12/1990

\* Pierwsza Księga Mojżeszowa 18, 32

\* autor wykorzystał fragment wiersza Krzysztofa Kamila Baczyńskiego *Legenda*

\* Hangar 18 - największa budowla w tajnej bazie Groom Lake w stanie Nevada (USA). Według niektórych - w podziemnej części

obiektu są składowane latające talerze, według innych - Hangar 18 zbudowano dla samolotów szpiegowskich [przyp. red.].

\* Fragment romancy „Zmarły z miłości” w przekładzie Ireny Kuran-Boguckiej.

\* Epiarcha - starokertiański tytuł brata lub pełnoletniego syna panującego monarchy.

\* Anaks - starokertiański tytuł władcy.

\* Abweniusze lub Nieobecni - ogólna nazwa czterech bogów, twórców i strażników Kertiany - Astrapa, Unda, Lita i Anema, którzy przekazali swoją moc i władzę wybrancom z grona śmiertelnych i opuścili Kertianę.

\* Eoriusze - najbardziej odpowiednie znaczenie: „istniejący tu i teraz”, „obecni” - potomkowie w prostej linii Abweniuszy. Eoriuszy wyróżnia się wedle przynależności do jednego z czterech Wysokich Domów Kertiany - Fali (potomkowie Unda), Wiatru (potomkowie Anema), Błyskawicy (potomkowie Astrapa) i Skały (potomkowie Lita).

\* Abweniacy - wierzący w Abweniuszy.

\* Bogopamiętny - tytuł abweniarchy.

\* Fragment wiersza „Pamięć” w przekładzie Adama Pomorskiego.

\* Fragment piosenki „Piechota” w przekładzie Ewy i Eugeniusza Dębskich.

\* Fragment w tłumaczeniu Ireny Piotrowskiej.